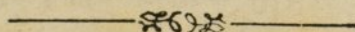
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1881.

TOM IV.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIV.







WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 23.

1881.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Ноября 1881 года.

SPIS RZECZY.

I. HISTORYA.

II. RZECZY SPOŁECZNE I FINANSOWE.

III. ETNOGRAFIJA.

IV. LITERATURA.

V. BELETRYSTYKA.

BUDŻET MIASTA WARSZAWY

NA ROK 1881.

Wchodząc do mieszkania nieznajomego nam człowieka, z pierwszego już rzutu oka odbieramy pewne wrażenie, które upoważnia nas do robienia wniosków o charakterze właściciela. Możemy tam spotkać konfort i elegancyą połączoną z porządkiem, albo zbytkowne sprzęty w nieładzie i zaniedbaniu, możemy przy najskromniejszém umeblowaniu dostrzedz staranność o udogodnienie i uprzyjemnienie życia, albo też pretensyonalne skupienie niektórych rzeczy w tych miejscach gdzie wchodzą goście, z niedbałością o to wszystko co służy do użytku codziennego. Nieraz, nawet przy zupełném ubóstwie uderzy nas czystość i ład w małéj ilości przedmiotów znajdujących się w izdebce. Obok więc środków materyalnych, jakiemi rozporządza każdy gospodarz, charakter jego, to jest pierwiastek natury czysto moralnéj, odbija się wyraźnie na wewnętrznym urządzeniu jego mieszkania.

Podobnego rodzaju różnice można dostrzedz i w prowadzeniu gospodarstw zbiorowych, w gminach i miastach:—i tutaj pierwiastek moralny musi też odegrywać swą rolę. Jakoż podróżnicy zwykle wnioskują o stopniu cywilizacyi i uspołecznienia narodu z tego co widzą na ulicach miast, lub na co się napatrzą przejeżdżając po wioskach. Wnioski te jednak, bardzo ogólnikowéj natury, tylko warunkowo mogą służyć do oceniania porównawczego dwóch narodów, czy kilku miast lub okolic kraju: opierać na nich sądy stanowcze, potępiać lub chwalić bezwzględnie—byłoby krokiem zbyt śmiałym. Bo w gospodarstwie miejskiém środki finansowe grają rolę bodaj ważniejszą niż sam charakter mieszkańców.

Jeżeli dla utrzymania czystości, ładu i porządku w gospodarstwie prywatném wystarczają dobre chęci lub zamiłowanie gospoda-

rza, to w gospodarstwie miejskiém stoją one na drugim planie, sama bowiem rozległość działania wymaga znacznych środków materyalnych, bez których dobre chęci i sprężystość gospodarza nie wiele zdziałać potrafią; gdy w gospodarstwie prywatném sam gospodarz może być wykonawcą swych chęci lub wymagań, to w miejskiém wykonanie powierza się mnogim i rozlicznym organom, które przedewszystkiém opłacić potrzeba; gdy w pierwszém utrzymanie porządku i czystości opędzać się może wydatkami nieznacznemi, to w drugiém porządek ten, pod postacią dobrych bruków, chodników, czystości placów i ulic i dostatku dobréj wody, bez znacznych nakładów utrzymać się nie da; gdy nareszcie w urządzeniu i utrzymaniu w porządku mieszkania prywatnego możliwa największa oszczędność, to w gospodarstwie miejskiém częstokroć niepodobieństwem jest powstrzymać się od wydatków.

Widzimy z powyższego, że zasoby materyalne odgrywają tu rolę główną, i gdy świadomość, że się coś robi dla siebie, jest główną dźwignią ku utrzymaniu gospodarstwa prywatnego w porządku, to w miejskiém czynnik ten oddziaływa o tyle tylko, o ile gruntuje się na poczuciu obowiązku rządzącego lub administratora. Skoro więc środki materyalne decydują prawie stanowczo o utrzymaniu gospodarstwa miejskiego w porządku, przeto chcąc sobie zdać sprawę z przyczyn takiego lub owego stanu tego gospodarstwa, najlepiéj jest rozejrzéć się w budżecie danego miasta. Odnośnie do Warszawy wiemy, iż obecny przedstawiciel jéj zarządu ożywiony jest najlepszemi chęciami, niemniéj jednak dobrze jest poznać stronę finansową gospodarstwa, którego ster może już w niedalekiéj przyszłości powierzony zostanie wybranéj z pomiędzy mieszkańców radzie miejskiéj, o zadaniach któréj pisaliśmy w zeszycie kwietniowym w artykule „Samorząd miejski.“ Nareszcie wskazanie cyfr, zapożyczonych z książki niedostępnéj dla ogółu, bo nie znajdującéj się w handlu księgarskim, posłuży do zoryentowania się, o ile słuszném jest rozpowszechnione mniemanie, że względnie do wysokości opodatkowania mieszkańców miasta i nieruchomości, porządek, ład i udogodnienia życia w mieście mogłyby być w Warszawie na wyższym szczeblu rozwoju.

Wszystkie poniższe dane liczbowe czerpiemy z projektu budżetu ułożonego przez magistrat.

Zatwierdzonego budżetu nie mamy i nie wiemy, czy posiada go już p. prezydent. W ogóle dotychczasowa procedura, którą przejść musi projekt budżetu m. Warszawy, zanim stanie się rzeczywistym preliminarzem budżetowym, niezmiernie jest przewlekła. Gdy w miastach używających praw samorządu zatwierdzenie budżetu należy do

rady miejskiéj, w Warszawie projekt budżetu przejść musi trzy instancye. Najprzód przez komitet budżetowy zorganizowany w roku 1870, w którym pod prezydencyą gubernatora obradują oprócz pp. prezydenta i ober-policmejstra, prezesi izb kontroli i skarbowéj, delegaci z ramienia p. generał-gubernatora i zarządu komunikacyi oraz czteréj obywatele miasta (1). Komitet roztrząsa przedstawiony przez prezydenta projekt budżetu i albo wprowadza doń zmiany, albo zatwierdza go w pierwotnéj formie. Następnie budżet przechodzi do p. generał-gubernatora, gdzie znowu uledz może zmianom, a nareszcie przedstawiają go do ministeryum spraw wewnętrznych, zkąd powraca ze zmianami lub bez nich, lecz już w ostatecznéj formie preliminarza budżetowego.

Te same instancye przechodził naturalnie i projekt budżetu na r. b.; o ile wiemy, w komitecie budżetowym nie uległ on ważniejszym zmianom, czy zaś w téj saméj formie został zatwierdzony przez ministeryum nie jest nam wiadomo; zwlekać wszakże z rozpatrzeniem go nie widzimy powodu: raz, że ważnych zmian nie przypuszczamy, powtóre że chwila tego ostatecznego zatwierdzenia zbyt jest nieujętą: gdy projekt budżetu na r. 1880 zatwierdzono już 29 Marca tegoż roku, to na sankcyą budżetu na r. 1878 wypadało czekać aż do 14/26 Czerwca.

Projekt budżetu na r. b. obejmuje, jak i wszystkie poprzednie, tylko dochody miejskie i zamierzone z nich wydatki; inne opłaty ściągane za pośrednictwem kas miejskich, lecz przeznaczone bądź na cele specyalne, bądź na dochód skarbu, nie figurują naturalnie w budżecie—niema w nim więc ani podatku podymnego przynoszącego skarbowi 311.000 rub. rocznie, ani opłaty kwaterunkowéj, ani dochodów i wydatków ze składek za ubezpieczenia ruchomości od ognia.

W dalszym ciągu znajdą czytelnicy szczegóły o tych opłatach, teraz zaś wracamy do dochodów i wydatków z funduszów miejskich, stanowiących właśnie treść książki, którą mamy przed sobą.

---

(1) Udział obywateli w naradach nad budżetem miasta nie należy do bardzo czynnych. Mieliśmy sposobność przejrzéć wypisy z protokułów posiedzeń komitetu za trzy lata ostatnie—znaleźliśmy w nich tylko dwa żądania i jeden wniosek, płynące od grona obywateli. Pierwsze dotyczyły obostrzenia kontroli przy poborze rogatkowego i nieczystości wody dostarczanéj przez wodociągi miejskie, a drugi polegał na zaznaczeniu konieczności pięcioletniéj lustracyi domów dla oznaczenia wysokości podatku szacunkowego. Tak nieznaczna liczba żądań i wniosków albo przemawia na korzyść zarządu miasta, szafującego dochodami miejskiemi, albo też dowodzi, że w obec przewagi w komitecie żywiołu biurokratycznego obywatele uznaja bierne zachowywanie się przy obradach za właściwą swoję rolę.

Dochody dzielą się na zwyczajne i nadzwyczajne; szczegółowe źródła pierwszych podzielono na siedm oddzielnych kategoryj mianowicie:

Stosunek do ogólnéj sumy dochodów.

§. 1. Dochody z majątku miejskiego i dzierżaw czyli czynsze emfiteutyczne, kanony, laudemia, dzierżawy z domów i placów miejskich (96.124 r.), opłaty za zajęcie chodników pod altany przy cukierniach i z wodą sodową; nadto zaliczono tu procenty od kapitałów miejskich ulokowanych w Banku Polskim (20.308 r.) i zahipotekowanych na nieruchomościach (1.292 r.)—ogólna suma tego paragrafu wynosi . . . . 137.911 r. — k. 6,88%

§. 2. Podatki od obywateli osiadłych: podatek szacunkowy (420.000 rub.) ustanowiony w r. 1871 w zamian dawniejszych opłat, jak brukowe, latarniowe itd. następnie 33 1/3% podatku podymnego płaconego skarbowi (103.200 r.), i opłaty za przeprowadzenie wodociągów do domów prywatnych (31.750 r.) . . . . 554.950 r. — k. 27.68%

§. 3. Podatki od przemysłowców: opłaty od świadectw handlowych i przemysłowych, 50%-owa opłata od patentów akcyznych, opłaty od dorożkarzy i omnibusów i od świadectw na prawo adwokatury, w ogóle . . . . 217.505 r. — k. 10.85%

§. 4. Podatki pośrednie: opłaty od zabaw i widowisk publicznych, podatek od psów, opłaty za karty pobytu (51.460 r.), od paszportów (35.100 r.), rogatkowe (260.030 r.), z miar i wag, od bicia bydła w szlachtuzach (86.640 r.) i dochód z protestu weksli i aktów notaryalnych (127.000 r.), ogółem . . . . 573.111 r. — k. 28,59%

§. 5. Obejmuje „Dochody pomocnicze:" Czasowy zasiłek ze skarbu na utrzymanie policyi (268.669 r.) i stałe na szkółki elementarne i rzemieślnicze (6.937 r.) i sekcyą do spraw skarbowych (2.775 r.), zasiłki z funduszów lombardu, z funduszu ubezpieczeń (47.624 r.), z funduszów bóżnicznych i kwaterunkowych . . . . 340.790 r. — 17%

§. 6. Dochody różne i przypadkowe. Główne pozycye tego działu stanowią dochody z Gazety policyjnéj (12.500 r.), z paletów egzekucyjnych (7.400 r.), z opłat i kar wymierzanych przez sędziów pokoju (36.800 r.), dochody biura adresowego (2.380 r. i inne pomniejsze . . . . 67.053 r. 82 k. — 3,35%

§. 7. Dochody zwrotne, mianowicie: opłaty za sprzedane grunta miejskie (5.980 r,), zwrot pożyczek budowlanych (11.283 r. 50 k.) i procent od złożonego w Banku funduszu budowlanego (24.036 r. 65 k.), zwrot kosztów kuracyi w szpitalach niższéj służby policyjnéj i strażaków (1.760 r.), zwrot szpitalom kosztów poniesionych na bicie bydła (2.700 r.) . . . . 45.760 r. — 2,28%

Dochody nadzwyczajne wynoszą . . . . 67.460 r. — 3.37%

Suma ta odpowiada pozycyi wydatkowéj, mieszczącéj w sobie nieopłacone wydatki służby roku 1879 i stanowi

część zatrzymanéj w tym celu gotowizny z wpływów tegoż roku.

Ogół więc dochodów wpisanych do projektu budżetu wynosi *2.004.540 r. 82 k.*

W sumie téj wszakże mieszczą się, jak widzimy ze szczegółowych pozycyj budżetu, i dochody nie obciążające wcale mieszkańców miasta w r. b.; do rzędu takich zaliczyć należy: procenty od kapitałów ulokowanych w Banku Polskim, zasiłek ze skarbu państwa i dochody nadzwyczajne powstałe z wpływów lat ubiegłych. Dla ustanowienia przeto sumy, mającéj wpłynąć do kas miejskich pod formą podatków i opłat na rzecz miasta za rok bieżący, należy z ogółu, spodziewanych według budżetu, dochodów strącić: 44.344 r. 65 kop. stanowiące procenty z Banku Polskiego, 278.381 rub. czyli wysokość zasiłków ze skarbu państwa i 67.460 rub. dochodów nadzwyczajnych, w ogóle 390.185 r. 65 kop.; pozostanie przeto, jako dochód płynący wyłącznie od mieszkańców miasta, suma 1.614.355 r. 17 kop. Przedstawiwszy w sposób powyższy szczegóły budżetu a przeto i wysokość opłat wnoszonych na rzecz kasy miejskiéj, winniśmy dla całości obrazu opodatkowania miasta, wskazać jeszcze ciężary na rzecz skarbu i mające przeznaczenie specyalne. Wszystkie te ciężary mogą być uważane za opłaty z nieruchomości, one bowiem prawie wyłącznie dźwigają je na sobie.

Opłaty te są następujące:

Podatek „podymne“ wnoszony na rzecz skarbu, opłata kwaterunkowa dla potrzeb całéj masy wojsk konsystujących w Warszawie i opłata za ubezpieczenie nieruchomości od ognia.

Pierwszy, jakeśmy to widzieli, przynosi skarbowi 311.000 rub. rocznie i pobiera się, stosownie do obowiązujących przepisów, w stosunku 7½% od połowy dochodu surowego z nieruchomości. Dla ustanowienia wysokości tego podatku, odbywa się co lat pięć tak zwana lustracya dochodu z nieruchomości.

Właściciele domów podają deklaracye o dochodzie jaki im nieruchomość zapewnia; po sprawdzeniu rzetelności tych deklaracyj przez specyalną komisyą, do składu któréj wchodzą delegaci magistratu i obywatele miasta, służą one za podstawę do oznaczenia sumy podatku. Ostatnia z takich lustracyj dokonana w r. 1874 wykazała, że dochód surowy z posesyj zabudowanych wynosił 8.294.000 rub., w stosunku więc do tego dochodu obliczonym został podatek „podymne“ w sumie 311.000 rub.

Te same deklaracye, *respective* ta sama lustracya służy do obliczenia wysokości opłaty kwaterunkowéj. Różnią się tylko zasa-

dy obliczeń: gdy „podymne“ stanowi $7\frac{1}{2}\%$ od połowy dochodu surowego z nieruchomości bez względu na wysokość dochodu, to opłata kwaterunkowa, jakkolwiek oblicza się także na podstawie dochodu surowego, uwzględnia mniejszy lub większy dochód. W ogóle, dla oznaczenia wysokości téj opłaty, domy podzielone są na dwie kategorye: przynoszące dochodu mniéj od 500 rs. i więcéj nad tę sumę.

Wynaleziona w ten sposób suma dochodu surowego, winna być podzielona na dwa działy i uledz opodatkowaniu, że jednak gmachy rządowe i instytutowe nie opłacają podatku kwaterunkowego a nadto domy nowopobudowane korzystają z krótszych lub dłuższych ulg w opłacaniu téj składki, przeto z ogólnéj sumy dochodu surowego (8.294.000 rs.) należy strącić jako dochód z nieruchomości pierwszéj kategoryi 91.184 rs. 90 kop. i drugiéj 107.600 rs. 50 kop., w ogóle 198.785 rs. 40 kop.; pozostaje więc do opodatkowania 8.095.806 rs. 94 kop. dochodu surowego. Z téj ostatniéj sumy na domy, przynoszące dochodu mniéj niż 500 rs. rocznie, przypada 169.024 rs. 50 kop. a na domy, dające więcéj niż 500 rs., wypadnie 7.926.782 rs. 44 kop. Pierwsze płacą 4, a drugie 5% od dochodu surowego.

Obliczona na takich podstawach opłata kwaterunkowa z nieruchomości na r. b. wynosi 403,100 rs. 10 kop. Nie jest to wszakże cała suma téj opłaty, bo oprócz nieruchomości, pociągnięci są do udziału w niéj rzemieślnicy i przemysłowcy. Stosownie do zasadniczych przepisów wydanych przez b. Radę Administracyjną w r. 1867, winni oni zapłacić $\frac{1}{10}$ część ogólnéj sumy wydatków przeznaczonych wyłącznie na potrzeby wojska, a ponieważ wydatki téj kategoryi obliczone na r. b. zużyją 408.797 rs. 55 kop., przeto rzemieślnicy i przemysłowcy winni zapłacić w r. b. 40.879 rs. 75 kop. Ogólna więc suma opłaty kwaterunkowéj mająca wpłynąć w r. b., równać się będzie 443.979 rs. 85 kop. — O wydatkach z funduszów kwaterunkowych, zawierających w sobie pozycye dość ciekawe, powiemy późniéj, teraz skończmy z opodatkowaniem: pozostaje więc jeszcze składka za ubezpieczenie nieruchomości od ognia. O téj opłacie wiemy tylko tyle, że wynosi ona przeciętnie 2 do 3% od dochodu. Jaką zaś ogólną sumę przewidziano na rok bieżący nie zdołaliśmy się poinformować. Możemy wszakże, bez obawy o nadmierne zwiększenie lub zmniejszenie ogólnéj cyfry téj opłaty, wziąć $2\frac{1}{2}\%$ od dochodu surowego z nieruchomości, jako normę składki za ubezpieczenie ich od ognia. Gdy obliczymy teraz po $2\frac{1}{2}\%$ od znanych już nam 8.294.000 rs., to otrzymamy 207.350 rs., które przyjmiemy za dochód roczny ze składek za ubezpieczenie od ognia nieruchomości m. Warszawy.

Na tém kończą się opłaty ciążące na mieszkańcach Warszawy. Na rzecz kasy miejskiéj wnoszą oni według streszczonego budżetu wogóle . . . . 1.614.355 rs. 17 kop.
„podymne" na dochód skarbu wynosi . . . 311.000 „ — „
opłata kwaterunkowa . . . . 443.979 „ 85 „
i składka za ubezpieczenie od ognia według rachunku przypuszczalnego. . . . . . . 207.350 „ — „

Ogółem. . . 2.576.685 rs. 2 kop.

co przy ludności wynoszącéj 357.000 stanowi po 7 rs. 22 kop. na jednego mieszkańca.

Dane powyższe pozwalają nam teraz przystąpić do zapowiedzianego wykazania stanu opodatkowania nieruchomości m. Warszawy. I tak:

Na rzecz miasta płacą one podatek szacunkowy i podymne $33\frac{1}{3}\%$. Pierwszy oparty jest na dochodzie surowym z nieruchomości i oblicza się na podstawie wspomnianych już wyżéj pięcioletnich lustracyj, drugi stanowi $\frac{1}{3}$ część takiegoż podatku pobieranego na dochód skarbu.

Wysokość podatku szacunkowego stosuje się do dochodu z domu: przy dochodzie 500 rs. pobiera się 2%, przy 1.000 rs. dochodu—3%, przy 2.000 rs.—4%, przy wyższym nad 2.000 rs. 5%, przeciętnie więc podatek szacunkowy wynosi . . . . $3\frac{1}{2}\%$

Podatek „podymne" stanowi $\frac{1}{3}$ część podymnego płaconego na rzecz skarbu, czyli że nieruchomości płacą od dochodu surowego bez uwzględnienia różnic w dochodzie. . . . . $1\frac{1}{4}\%$

Na rzecz skarbu. „Podymne" w stosunku $7\frac{1}{2}\%$ od połowy dochodu surowego, czyli od całkowitego dochodu . . $3\frac{3}{4}\%$

Opłata kwaterunkowa stanowi 4 albo 5% stosownie do dochodu czyli przeciętnie. . . . . $4\frac{1}{2}\%$

Wogóle podatki pochłaniają z dochodu surowego z nieruchomości 13%

Dodając nadto składkę ogniową za ubezpieczenie nieruchomości od ognia, stanowiącą od dochodu z domu przeciętnie. $2\frac{1}{2}\%$

Otrzymamy, że nieruchomości w mieście Warszawie opłacają ogółem od dochodu. . . . . $15\frac{1}{2}\%$

Nader interesującém byłoby porównanie powyższych rezultatów ze stopniem obciążenia nieruchomości miejskich w innych krajach Europy, porównanie to wszakże jest prawie niemożliwe dla braku odpowiednich danych statystycznych. Statystyka dotąd nie

może się pochwalić pracami porównawczemi na polu skarbowości, finanse państw wcale jeszcze nie tknięte, a chociaż finanse gmin miejskich a raczéj miast szczęśliwsze są pod tym względem, to wszakże jedyna istniejąca dotąd praca, mająca na celu porównawcze zestawienie stanu skarbowości stolic i znaczniejszych miast Europy, nie daje nam potrzebnych do porównania szczegółów.

Mówimy tu o pracy p. Körösiego (1), dyrektora biura statystycznego w Peszcie.

Autor podaje szczegóły o gospodarstwie finansowém 26 większych miast, ale rubryki, przez niego ułożone a potwierdzone na kongresie statystycznym peszteńskim z r. 1876, nie mieszczą w sobie całkowitych sum dochodów i wydatków zawartych w budżetach i zamknięciach rachunkowych miast, które stanowią przedmiot jego pracy. Na str. 20 sam autor powiada, że w jego rubryki weszło z dochodów miasta Pesztu 74%, Wiednia 94%, Stockholmu 89%, Rzymu 91%, Kopenhagi 90%, z wydatków zaś Pesztu tylko 55%, Wiednia 85%, Stockholmu 80%, Kopenhagi 65% a Rzymu zaledwie 37%. To przyznanie się Körösiego tak dalece osłabia wartość jego statystyki, że wypada wstrzymać się zupełnie od użycia cyfr jego do wywodów porównawczych. Choćbyśmy nawet przypuścili, że pominięte przez niego dochody należą do kategoryi opłat niestałych, a przeto że stałe, do rzędu których należą opłaty pobierane z nieruchomości, podane zostały zupełnie ściśle, to i w takim razie nie moglibyśmy posługiwać się dziełem statystyka węgierskiego, z powodu braku ścisłych wskazówek o zasadach przyjętych do opodatkowania. Dla jedénastu miast wskazówek tych wcale nie ma, podane zaś dla niektórych w dodatkach do tablic szczegółowych nie są wyczerpujące i zawierają przeważnie dane o stosunku opłat miejskich do podatków pobieranych na rzecz skarbu, o wysokości których nie ma żadnych szczegółów. Wyczerpujące zaś wskazówki dla Stuttgardu, Monachium, Turynu i Stockholmu, nie nadają się do porównań z podatkami pobieranemi w Warszawie, ponieważ same podatki są zupełnie odmienne.

Z tych wszystkich względów międzynarodowa statystyka finansów miast p. Körösiego, nie może służyć za materyał do porównania budżetu m. Warszawy z budżetami większych miast Europy, innych źródeł nie mamy, a przeto ograniczymy się do powtórzenia za p. prezydentem ogłoszonych przezeń odnośnych szczegółów dostarczonych mu przez właściwe organa zarządów miejskich.

---

(1) Statistique internationale des grandes villes.—Deuxieme section.—Statistique pes finances. Tome I, Buda-Pest, 1877.

Według tych danych, nieruchomości w Berlinie opłacają na rzecz skarbu 4% a do kasy miejskiéj 2 2/9% od dochodu, w ogóle 6 2/9%; w Paryżu podatek gruntowy i od drzwi i okien (contribution fonciere i contribution des portes et fenêtres) wynosiły w r. 1880 *na rzecz skarbu* 3.4679% od dochodu surowego, na rzecz departamentu 1.5150% i na rzecz kasy miejskiéj 1.8542%, w ogóle więc 6.8371%. W Wiedniu ogół podatków pobieranych z nieruchomości wynosi 42.09% od dochodu surowego, a we Florencyi podatek państwowy pobierany od dochodu czystego wynosił na rzecz prowincyi 16.25% i na dochód miasta 19.23%, w ogóle 41.23%.

Widzimy więc, że jeżeli nieruchomości warszawskie płacą mniéj niż florenckie i wiedeńskie, to znaczniéj więcéj od domów w Berlinie i Paryżu; zobaczmy teraz, jaki zachodzi stosunek między Warszawą a znaczniejszemi miastami Cesarstwa.

Tam na nieruchomościach miejskich ciążą trzy opłaty: na dochód skarbu opłacają one podatek główny i dodatkowy na kwaterunek, któren stanowi w większych miastach 73% głównego, zaś na dochód kasy miejskiej płacą tylko podatek szacunkowy, którego wysokość nie jest wszędzie jednostajną.

Do porównania bierzemy Petersburg, Moskwę i Odessę, ponieważ potrzebne dane i budżety tych miast udało nam się pozyskać. I tak:

W Petersburgu, podatek główny opłacany na rzecz skarbu, przy dochodzie surowym z nieruchomości ustanowionym przez lustracyą z r. 1874 w wysokości 35.000.000 rs. w zaokrągleniu, wynosi w stosunku do tego dochodu 0.96%
Dodatkowy na kwaterunek stanowiący 73% głównego. . 0.69½%
Szacunkowy na chodód kasy miejskiéj pobierany w stosunku 8/10% od ogólnéj wartości domów i obliczony w stosunku do dochodu surowego z nieruchomości stanowi . 5.69%
Ogółem od dochodu surowego. . 7.34½%

Pierwszy podatek wynosił w r. z. 336.042 rs., drugi 245.311 rs., a trzeci według budżetu z r. 1879 w całkowitéj sumie (1) 1.991.922 rs. 5 kop., ogółem 2.572.575 rs.

W Moskwie podatek główny, ustosunkowany do dochodu czystego z nieruchomości, wynosił 0.78%
dodatkowy na kwaterunek (73% głównego). 0.56½%
szacunkowy na dochód miasta od dochodu czystego, obliczonego w sumie 21.715.623 rs. . . . . 9.%—
Ogółem od dochodu czystego. . 10.34½%

(1) W preliminarzu budżetu wpisano, jako dochód spodziewany w r. 1879, tylko 75% przypadającego istotnie na rzecz miasta podatku szacunkowego mianowicie 1.493.941 rs. 50 kop.

Pierwszy podatek wynosił 168.000 rs., drugi 122.640 rs. a trzeci 1.901.511 rs. 45 kop., ogółem 2.192 151 rs. 45 kop.

W Odesie podatek główny stanowi od dochodu czystego z nieruchomości 0.75%
dodatkowy prawie 0.62%
szasunkowy na rzecz miasta 8%

W ogóle. . 9.37%

Suma podatku pierwszego równała się w r. z. 90.000 rs., drugiego 64.651 rs. a trzeciego 525.000 rs., ogółem 679.651 rs.

Zestawienie tych szczegółów z przytoczonemi wyżéj pozycyami dotyczącemi Warszawy pozostawiamy samym czytelnikom: z łatwością przekonają się oni o ile podatki, opłacane przez nieruchomości warszawskie, wyższe są niż opłaty, obciążające domy znaczniejszych miast cesarstwa.

Większe opodatkowanie domów Warszawy podatkami skarbowemi sprawia, że pomimo różnic zachodzących między Warszawą a Petersburgiem i Moskwą pod względem ich wielkości a tém samém i ilości domów, Warszawa płaci skarbowi prawie półtora raza tyle co Petersburg i prawie trzy razy tyle co Moskwa, opłaca bowiem na potrzeby skarbu podymnego i kwaterunkowego 711.272 rs., gdy Petersburg podatku głównego i dodatkowego 581.353 rs. a Moskwa zaledwie 290.640 rs.

Na tém zakończymy rzecz naszą o stronie dochodowéj, budżetu i przechodzimy do wydatków.

Ogólna ich suma przewidziana na r. b. wynosi 2.003.660 rs. 11 kop. i dzieli się na 19 kategoryj.

Podajemy je szczegółowo, lecz z sum wykazanych w projekcie budżetu potrącimy przy odnośnych pozycyach te części wydatków, które uskutecznione będą z dochodów nie płynących od mieszkańców miasta a szczegółowo wykazanych przy przedstawieniu dochodów.

		Stosunek do ogólnéj sumy wydatków.
§ 1. Spłata długów wynosi 135.908 rs. 97 kop. z których Bankowi Polskiemu przypada 96.390 rs. 12 kop., potrącając zaś z téj sumy 20.308 rs. stanowiące procenty pobierane z Banku otrzymamy, że na wydatki téj kategoryi przypadnie w r. b. z funduszów wnoszonych przez mieszkańców miasta.	115.600 rs. 97 k.	7.16%
§ 2. Utrzymanie zarządu miejskiego, bez 2.775 rs. wydawanych z funduszów skarbu na sekcyą skarbową przy magistracie	149.940 „ 50 „	9.29%
§ 3. Utrzymanie wodociągów	82.085 „ — „	5.09%
§ 4. Utrzymanie szlachtuzów	38.906 „ 44 k.	2.41%
§ 5. Utrzymanie zarządu ober-policmejstra i policyi, bez zasiłku przyznanego ze skarbu, kosztuje 260.956 rs.,		

	urzędu lekarskiego 7.500 rs., komitetu lekarsko-policyjnego 15.160 rs. i wydawnictwo gazety policyjnéj 9.280 rs., w ogóle	292.896 rs.	— k.	18.15%
§ 6.	Utrzymanie straży ogniowéj	196.586 „	— „	12.19%
§ 7.	Emerytury „	6.624 „	20 „	0.41%
§ 8.	Utrzymanie sądu zjazdowego i sędziów pokoju. . .	56.542 „	— „	3.51%
§ 9.	Zewnętrzny porządek miasta.	363.720 „	— „	22.54%
§ 10.	Oświetlenie miasta	51.888 „	— „	3.22%
§ 11.	Opłaty i czynsze z nieruchomości będących pod zarządem miasta.	4.276 „	— „	0.26%
§ 12.	Różne wydatki dotyczące gospodarstwa miejskiego, urządzenie jarmarku wełnianego, spłaty wartości placów zajętych na potrzeby miasta, wydatki na stemple do kart pobytu i inne drobne wydatki	34.506 „	— „	2.14%
§ 13.	Wydatki na potrzeby wojsk, najem podwód, reparacya odwachów i wsparcia rodzinom zabitych i ranionych żołnierzy podczas ostatniéj wojny	13.445 „	— „	0.83%
§ 14.	Utrzymanie zakładów naukowych, bez zasiłku przyznanego ze skarbu, ...	48.565 „	— „	3.01%
§ 15.	Utrzymanie zarządu zakładów dobroczynnych i zasiłki szpitalom.	45.311 „	— „	2.81%
§ 16.	Zasiłki skarbowi, na utrzymanie żandarmów, za rewizyą rachunków miasta i na filje pocztowe . . .	75.859 „	— „	4.70%
§ 17.	Wydatki nieprzewidziane	15.000 „	— „	0.93%
§ 18.	Wydatki zwrotne: mianowicie przekaz do Banku Polskiego wpływów za sprzedane place miejskie i na spłaty pożyczek budowlanych, bez procentów pobieranych z Banku od funduszu budowlanego (24.036 rs. 65 kop.), oraz odpowiadające pozycyom dochodowym zwroty za kuracyą policyantów i strażaków a także za bicie bydła dla szpitali	21,723 „	35 k.	1.35%

Ogólna więc suma wydatków wyniesie . . 1.613.474 rs. 46 k.

Pominęliśmy paragraf 19 budżetu, gdyż on zawiera w sobie wydatki z dochodów nadzwyczajnych płynących, jakeśmy to widzieli, z wpływów lat poprzednich. Największą przeto część dochodów miejskich pochłaniają wydatki na zewnętrzny porządek miasta. Okoliczność ta w dziwnéj staje sprzeczności z ciągle słyszanemi narzekaniami na złe bruki i chodniki, złą wodę do picia, brak kanalizacyi i czystości na ulicach i placach. Sprzeczność to wszakże tylko pozorna, a chociaż nie zamierzyliśmy kruszyć kopii w obronie zarządu miasta, jednakże winniśmy zaznaczyć, że podobne przedsiębierstwa, jak kanalizacya, nigdzie nie dają się dokonać z dochodów bieżących; jeżeli zaś istotnie woda, bruki, chodniki i czystość dużo pozostawiają do życzenia, to usprawiedliwia się to tém, że chociaż zewnętrzny porządek miasta pochłania największą część dochodów

miejskich, to wszakże nie więcéj nad 365.000 rs., a fundusze téj wysokości nie mogą wystarczyć na zaspokojenie tych wszystkich wymagań i potrzeb i utrzymanie ich w zupełnym porządku, sama bowiem przestrzeń na jakiéj rozciąga się obecnie Warszawa a z drugiéj strony upadek kursu, a ztąd i ogólne podskoczenie cen potrzebnych materyałów i pracy, zdają się temu stawać na przeszkodzie.

Doszliśmy tedy do wniosku, że szczupłości zasobów przypisać należy brak tych udogodnień i porządku, jakiemi się cieszą mieszkańcy innych miast, z tego zaś wypływa, że jeżeli, nie mówiąc już o kanalizacyi, domagamy się tych udogodnień, to możemy je mieć tylko drogą zwiększenia dochodów miasta, respective podatków na rzecz kasy miejskiéj.

Nie myślimy wszakże kreślić programu postępowania dla obecnego zarządu miejskiego lub spodziewanéj rady miejskiéj, nam chodzi o rozpatrzenie budżetu; nie przesądzając przeto kwestyi wprowadzenia, lub nie, nowych podatków czy opłat, przypatrzmy się powodom zniewalającym zarząd miejski do przeznaczania na „zewnętrzny porządek miasta" nie więcéj jak 22.54% z ogólnych wydatków.

Zdaje nam się, że to pochodzi z dwu przyczyn, a najprzód z powodu pewnéj niedokładności w ustawie o podatku szacunkowym. Twórcy ustawy, stosując się do terminu lustracyi dochodu z nieruchomości co lat pięć ustanowionego dla podatku podymnego, nieuwzględnili téj okoliczności, że pomiędzy jedném pięcioleciem a drugiém wznoszą się nowe domy, które na równi z innemi powinnyby opłacać podatek szacunkowy do kasy miejskiéj, tymczasem zaś pozostają one wolne od opłaty aż do czasu nowéj lustracyi.

Niedokładność powyższa przy normalnym nawet wzroście miasta, ujemnie oddziaływa na dochody miejskie, w ostatnich zaś kilku latach szkodliwiéj niż kiedykolwiek. Pod względem rozrostu miasta, ostatnie lat kilka należą do iście niezwykłych: pobudowano masę nowych domów, potworzyły się nowe ulice i nowe dzielnice, miasto zaś nietylko nie pobierało z nich żadnych dochodów, lecz musiało jeszcze łożyć na bruki i chodniki, a łożyć naturalnie z ogólnych funduszów, których przeznaczeniem właściwém byłoby zaspokojenie potrzeb dzielnic dawniejszych jako jedynie opodatkowanych. Drugą przyczynę upatrujemy w tém, że z powodu obowiązkowego lokowania kapitałów w Banku Polskim miasto nie ma możności odpowiedniego obecnym warunkom ekonomicznym wyzyskania zaoszczędzonych funduszów i musi z ujmą w dochodach poprzestawać na bardzo nizkim procencie; wreszcie, że na dochodach miasta ciążą wydatki obowiązkowe, od których miasto uwolnić się nie ma prawa.

Do rzędu tych ostatnich należą: nap. wieczysty czynsz pp. Kanoniczkom w sumie 7.950 rub. rocznie za plac zajęty pod budowę teatrów. Właściwie czynsz ten jest zasiłkiem opłacanym przez miasto teatrowi, temu samemu, któren przed piędziesięciu laty kosztował miasto 750.000 rub. i zwolniony został od wszelkich z niém obrachunków. Następnie opłata 2.655 r. rocznie, pod nazwą kompetencyi, która obecnie prawie w całości przeszła na dochód skarbu, a stanowi spłatę wartości placów, przeszłych na rzecz miasta od parafii Ś-go Andrzeja. Daléj idzie policya pochłaniająca wraz z zasiłkiem opłacanym skarbowi na utrzymanie żandarmów 365.539 rub. czyli 22.65% z ogólnéj sumy dochodów miejskich. Żadne modyfikacye w téj kategoryi wydatków nie są dozwolone magistratowi: urządzenie, skład osobisty, etaty i wogóle służba policyjna stosują się do poleceń rządu, któren jedynie decyduje tu o potrzebie utrzymania takiéj a nie innéj liczby służby policyjnéj i ze ściśle oznaczoném przez rząd wynagrodzeniem. Do wydatków obowiązujących miasto, a nie dających się spotykać w budżetach innych miast Europy, należy zaliczyć 56.542 rub. stanowiące koszt utrzymania sądu zjazdowego i sędziów pokoju i 1.500 rubli przeznaczone corocznie z funduszów miejskich jako zasiłek skarbowi na utrzymanie filij pocztowych.

Gdyby wszystkie wydatki powyższe, jeżeli już mają obciążać fundusze miejskie, miały przynajmniéj to za sobą, że oznaczenie ich wysokości pozostawione było decyzyi magistratu, wówczas możebyśmy ujrzeli w budżecie Warszawy większe niż dotąd sumy nie tylko na „zewnętrzny porządek miasta," ale i na utrzymanie szkół, które obecnie korzystają zaledwie z 48.565 rub. rocznie stanowiących 3% ogólnéj sumy wydatków.

W budżecie nie znajdujemy żadnych szczegółów ani o liczbie szkół, ani uczących się, ani uczących, nie możemy więc podzielić się niemi z czytelnikami i poprzestalibyśmy na zaznaczeniu tylko szczupłości wydatków na oświatę, gdyby nie to że zestawienie ich z podobnemi wydatkami innych miast zniewala nas do przytoczenia odpowiednich danych liczbowych. Gdy w Warszawie tylko 48.000 r. poświęca się na szkoły, to w Lipsku w r. 1874 wydano 1.509.912 franków, w Stuttgardzie 423 100 fr., w Monachium 705.028 fr., we Frankfurcie nad Menem 1.076.460 fr., we Wrocławiu 1.961.719 fr., w Genewie 862.539 fr., we Florencyi 786.153 franki. Sprawiedliwość nakazuje dodać, że we wszystkich tych miastach, z wyjątkiem Monachium, nauczanie nie jest bezpłatne, opłaty wszakże wnoszone przez uczących się w małych tylko częściach pokrywają wydatki łożone na zakłady naukowe: w Lipsku nap. opłaty te przyniosły w r. 1874

433.000 fr., w Stuttgardzie 94.300 fr., we Frankfurcie 495.000 fr., we Wrocławiu 502.000 fr., w Genewie i Florencyi po 27.000 fr.

Nie pod każdym wszakże względem Warszawa stoi niżéj od innych miast Europy: jeśli taniéj opłaca urzędników zarządu, jeśli z powodu niedostatecznych funduszów nie daje mieszkańcom dobréj wody, dobrych bruków i chodników, jeśli dla braku kanalizacyi nie odznacza się czystością, a dla potrzeb sanitarnych niema dostatecznych środków, to za to góruje w wydatkach na policyą. My wydajemy 365.500 rub. rocznie, a Lipsk w r. 1874 wydał 602.000 franków, Stuttgard 352.800 fr., Monachium 63.000 fr., Frankfurt nad Menem 170.240 fr., Liège 151.450 fr., Kopenhaga 500.000 fr., Wrocław 78.000 fr., Bukareszt 547.000 fr., Genewa i Florencya po 500.000 fr.

O ile ten przepych warszawski jest pocieszającym—niech każdy z czytelników sam osądzi, my zaś przechodzimy do wydatków z funduszów kwaterunkowych.

Obliczono je na r. b. w sumie 425.797 rubli.

Szczegółowe pozycye wyłącznego dla tych funduszów budżetu informują nas, że prawie 30.000 rub. przeznacza się corocznie na spłatę długów. Długi te wszakże nie były zaciągnięte przez miasto, włożono tylko na nie obowiązek spłacenia,—płaci więc Warszawa skarbowi 16.198 rub. rocznie na pokrycie 269.968 rub. zapłaconych przezeń długów zahipotekowanych na zajętych domach hr. Andrzeja Zamojskiego, 12.175 rubli rocznie do czasu spłaty 487.000 rub. zapłaconych ze skarbu jako wartość domu N. 413 nabytego od spadkobierców Skwarcowa i 1.625 rub. na zwrot kosztów skarbu poniesionych na wybudowanie na Pradze „punktu zbornego.“ Inne wydatki przeznaczone są na utrzymanie służby kwaterniczéj 6.850 rub., na zasiłek skarbowi 600 rub. rocznie, na najem domów dla wojskowych i urzędów wojennych 15.164 rub., na koszt kwater dla generałów, oficerów i urzędników zarządów wojskowych i na wsparcia rodzinom żołnierzy powołanych do służby w r. 1876 i 1877—329.988 rubli, na najem lokali dla urzędów i urzędników sądowych i opał tych lokali 25.500 rub. i na pokrycie wydatków z lat poprzednich i niedobory r. b. 17.700 rub. Pozostaje więc z dochodów r. b. 18.182 rub. 20 kop. które zostaną przelane do Banku Polskiego na lokatę.

Do szczegółów powyższych tyle tylko dodać możemy, że podobnie jak wysokość niektórych wydatków miejskich nie zależy od uznania zarządu miasta, tak też i wydatki z funduszów kwaterunkowych ściśle są przez rząd oznaczone, całe zadanie magistratu polega na zaspokojeniu według przepisanéj taryfy potrzeb całéj masy wojsk konsystujących w Warszawie i spłata długów wyżéj wykazanych. Nawet przewyżki dochodów nad wydatkami nie idą na zmniejszenie

podatku w roku następnym, ale wbrew ustawie o podatku kwaterunkowym, z r. 1867, kapitalizują się w Banku Polskim, jako fundusz na budowę koszar.

Z dniem 1 Stycznia r. b. fundusz ten wynosił już przeszło 300.000 rubli. Mogłyby one pokryć znakomitą część wydatków jednego roku i uwolnić nieruchomości od jednorocznych przynajmniéj opłat, gdyby nie odwrócono ogólnéj zasady, że przewyżki dochodów mających specyalne przeznaczenie używają się na zmniejszenie opłat w latach następnych.

Na zakończenie podajemy jeszcze szczegóły o kapitałach stanowiących własność miasta i długach przez miasto zaciągniętych a dotąd nie spłaconych.

Pierwsze dzielą się na trzy kategorye:

1⁰ Kapitały złożone w Banku Polskim na lokatę stałą, od których bank opłaca 4% wynoszą one	249.697 r. 43 k.
2⁰ Kapitały zlokowane w tymże Banku na 3%, powstały one z funduszu budowlanego	763.745 „ 47 „
i z przewyżek dochodów	197.381 „ 90 „
3⁰ Kapitały zahipotekowane na nieruchomościach	110.785 „ —
W ogóle kapitały miasta wynoszą . . .	1.231.609 r. 80 k.

Długi miasta w d. 1 Stycznia r. b. wynosiły:

1⁰ Reszta pożyczki zaciągnięta w Banku Polskim, na 5% i ½% na amortyzacyą, na budowę zjazdu ku Wiśle	641.333 r. 90 k.
2⁰ Reszta pożyczki zaciągniętéj w tymże Banku, na 3% i 7% na amortyzacyą, na budowę ratusza	28.705 „ 35 „
3⁰ Zarządowi górniczemu za bruk żelazny	115.579 „ —
4⁰ Koszta sądowe w sprawie o nieruchomość N. 2.798	142 „ 35 „
W ogóle	785.760 r. 60 k.

Kapitały więc miasta przenoszą długi jego o 445.849 rub. 20 kop. Pod tym względem Warszawa przewyższa inne miasta, nie wiele bowiem możnaby naliczyć z będących w tak szczęśliwych warunkach materyalnych; i jeżeli przyszła rada miejska, chcąc zaspokoić potrzeby mieszkańców, będzie miała dużo do zrobienia, to pod względem funduszów i długów miasta obejmie je w warunkach najbardziéj dogodnych.

A. P.

PAMIĘTNIKI METTERNICHA.

Mémoires, documents et écrits divers laissés par le prince de Metternich publiés par son fils, le prince Richard de Metternich. — Deuxième partie L'ère de paix, 1816—1848.—Tome troisième et quatrième, Paris, 1881.

Publikacya podjęta przez księcia Ryszarda Metternicha, uporządkowana i zebrana przez archiwistę wiedeńskiego p. Klinkowströma, postępuje w niemieckiém i francuskiém wydaniu raźno naprzód i znaczy swój postęp nowemi dwoma tomami. Obejmują one epokę od roku 1816 do 1829 włącznie. Nim przystąpimy do sprawozdania i rozbioru ich treści, rozpatrzmy się nieco w ich zewnętrznym układzie i rozkładzie. Rzecz to, jak się przekonamy, niezupełnie obojętna w ocenieniu i zrozumieniu należytém samejże treści. Na wstępie tedy powiadamy, że najniewłaściwszą dla obu tomów, które mamy przed sobą, byłaby nazwa *Pamiętników*. *Pamiętnikami* można było nazwać w pewnéj przynajmniéj części pierwsze dwa tomy obecnéj publikacyi; dwa drugie, teraz wydane, nie przedstawiają nigdzie jakiegobądź ciągłego opowiadania, składają się raczéj z mozaiki memoryałów do cesarza Franciszka w różnych, bieżących kwestyach polityki europejskiéj, z korespondencyi dyplomatycznéj między kanclerzem a ambasadorami austryackimi na różnych dworach, wreszcie, co najważniejsza, najciekawsza i najlepsza, z listów kanclerza do różnych członków rodziny i ludzi zaufania, jak np. do sławnego w swoim czasie Gentza.

Wobec podobnych pierwiastków składowych téj publikacyi, nasuwa się dość naturalne pytanie, o ile one wpływają na wartość i ciekawość rzeczy saméj. W odpowiedzi na to zapytanie wchodzi w znacznéj mierze w rachubę—talent pisarski samegoż kanclerza austryackiego. Wzgląd ten w ocenieniu niniejszéj publikacyi nie jest zaiste małéj wagi. Pamiętnikowéj treści ustępy, charakterystyki, li-

sty księcia Metternicha przekonywają nas najdowodniéj, że pomijając stronę serca, charakteru, uzdolnienia politycznego, mąż stanu austryacki jest *przedewszystkiém* człowiekiem wysokiego ukształcenia estetycznego i wcale niepospolitego talentu pisarskiego. W porównaniu, narzucającém się dość naturalnie, między nim a dzisiejszym mężem stanu pruskim, przedstawia się nam istnie przeciwbiegunowe *niepodobieństwo*. O ile mąż stanu pruski nie przebiera w środkach prowadzących go do celu i gardzi wszelkim doktryneryzmem, o tyle jest kanclerz austryacki jedynie tylko na stanowisku swém polityczném doktrynerem i poświęcającym często najważniejsze względy dobra państwowego doktrynie konserwatywnéj. O ile mąż stanu pruski z pewną ostentacyą lubuje się w krótkich, nieociosanych stylowo frazesach, wyrażających jego myśl i intencye polityczne, o tyle jest kanclerz austryacki obfitym w słowa, eleganckim stylistą, estetykiem rozpisującym się szeroko i ze znajomością rzeczy czy to nad nowoskomponowaną operą, czy to nad portretem Lawrence'a, czy nad posągiem Canowy lub Thorwaldsena. Wobec podobnego przymiotu żałować-by tedy może przyszło, że książę Metternich nie zostawił w ciągłém opowiadaniu pamiętników przedstawiających jego polityczną działalność w najważniejszéj i najświetniejszéj jéj epoce. Z drugiéj przecież strony nie śmielibyśmy rozstrzygać, czy nie zyskała przez to istotna i niefarbowana prawda historyczna. *Pamiętniki* we właściwém tego pojęcia znaczeniu byłyby pod zręczném i eleganckiém piórem kanclerza austryackiego wyszły raczéj na świetny wywód adwokacki, aniżeli obraz prawdy historycznéj. Owa mozaika memoriałów, dokumentów, korespondencyj rodzinnéj i dyplomatycznéj przedstawia nam ją, nawet w widocznéj okaleczeniu przez wydawców, lepiéj i wierniéj. Czytelnik traci na wydawnictwie, jakie mamy przed sobą; zyskuje najniewątpliwiéj historyk. Wspomniana mozaika rozmaitych pierwiastków składa się na barwny i charakterystyczny obraz, którego dokładność nie pozostawia niczego do życzenia.

Nieodżałowaną szkodą dla téj publikacyi, zawodem dla zaciekawionego czytelnika pozostaje, iż wewnętrzne dzieje kongresu wiedeńskiego, iż jego narady i spory, iż skutki, jakie wywarł powrót Napoleona z wyspy Elby, na jego postanowienia i postawę, nie znajdują w obecnie wydanych dwóch tomach równie żadnéj wzmianki, jak nie znalazły w obu pierwszych. Materyał trzeciego i czwartego tomu wprowadza czytelnika od razu *in medias res*, w tajniki roboty Metternicha około utrzymania w nietkniętéj całości zewnętrznéj i wewnętrznéj budowy europejskiéj, wzniesionéj przez traktaty wiedeńskie. Dla zrozumienia stanowiska kanclerza austryackiego, dla

pojęcia szczegółów jego współczesnéj działalności politycznéj, należy sobie uprzytomnić z jednéj strony charakter ówczesnego położenia Europy, z drugiéj przypomniéć wiarę jego i przekonania polityczne.

Pogrom Napoleona przez koalicyą mocarstw, wśród chętnego i samorodnego udziału ludów, pozostawił społeczność europejską w stanie pewnego, z każdym dniem więcéj rozdrażniającego się wyczekiwania. W nagrodę wysileń, za pomocą których wspólny wróg monarchii z bożéj łaski i swobody ludowéj legł po długich latach olbrzymiéj walki i znalazł Prometeuszowy przytułek na odludnéj wyspie Oceanu, wyczekiwały narody europejskie, zachodu przedewszystkiém, swobód politycznych i społecznych, objętych programem rewolucyi francuskiéj z roku 1789. Nadzieje te znalazły się zawiedzionemi; ztąd wzrastający od dnia do dnia ferment, nurtujący bądź to katakumbowo w spiskach i sprzysiężeniach, bądź wybuchający na zewnątrz w częściowych powstaniach, jakich liczne przykłady zapisują mianowicie podówczas ludy romańskie. Zachodnia Europa chora w owéj epoce, chora politycznie i moralnie, dzięki, nienaturalnemu skrępowaniu, odbierającemu jéj swobodę oddechu, nie dopuszczającemu normalnego funkcyonowania jéj organizmu.

Jakże teraz, zapytaćby należało, ma się książę-kanclerz do owego chorobliwego usposobienia zachodniéj Europy?—Odpowiedź na to zapytanie nie wypada ani na korzyść politycznego jasnowidzenia człowieka, uchodzącego przez długie lata za pierwszorzędnego męża stanu, ani na zaszczyt jego politycznego charakteru. W jednym ze swych listów późniejszych, do Gentza, jeżeli się nie mylimy, pisze książę Metternich: „W porównaniu z epoką obecną (rokiem 1819), rok 1789 nawet był samém zdrowiem moralném!“ Z tego wychodząc stanowiska, uważa istotnie kanclerz całą Europę, nie wyjmując dworu berlińskiego, nie wyjmując dworu petersburskiego wraz z samymże cesarzem Aleksandrem I, panią de Krüdener, hr. Capodistrią, Pozzo di Borgo, za moralnie i politycznie chorą, siebie—za powołanego przez opatrzność lekarza do leczenia groźnéj klęski, do zapobiegania jéj dalszym postępom. Kongres wiedeński zbudował sobie pod przewodnictwem i za inicyatywą jego wspaniały i ozdobny dom z kart; biada, ktoby go chciał wstrząsnąć lub popsuć. Namiętności zachowania go w nietykalnym pierwoskładzie, poświęca się wszystko, całą działalność polityczną osobistą, co ważniejsza, wszystkie środki państwowe i interes Austryi. Zasadnicze te znamiona wielkiéj polityki Metternicha przemawiają z każdego wiersza, z każdego słowa niemal jego memoryałów, not dyplomatycznych czy rodzinnéj korespondencyi, wśród niesłychanego zadowolnienia z samego siebie, wśród pochwał i komplementów sypanych sobie wcale nie skąpą miarą.

Pierwszy rok pokoju europejskiego, 1816, znajduje się słabo reprezentowanym w nowém wydawnictwie. Napotykamy tu tylko projekt konkordatu z Rzymem pióra Metternicha, projekt, jaki późniéj wszedł istotnie w życie przy schyłku dni kanclerza w roku 1855; napotykamy daléj memoryał jego w kwestyi reformy finansowéj w Austryi. Rok następny, 1817, przedstawia za to dla czytelnika o wiele ciekawszy i rozmaitszy obraz. Córka cesarza Franciszka I wychodzi za mąż za następcę tronu portugalskiego, Dom Pedra. Wspaniała fregata portugalska czeka w porcie Liworneńskim na arcyksiężniczkę Leopoldę, któréj zaszczyt odprowadzenia na miejsce dostaje się księciu-kanclerzowi. Po raz pierwszy przy téj to sposobności przychodzi nam podziwiać przymiot rzeczywisty i prawdziwy tego męża stanu, przymiot, którego mu ani zazdrość, ani choćby najwygórowańsza surowość sądu historycznego zaprzeczyć nie są zdolne. Przymiotem tym jest wspomniany wyżéj talent pisarski. Podróżując z arcyksiężniczką wskroś Włoch, kreśli kanclerz w malowniczy sposób swe wrażenia, swe spostrzeżenia, mające za przedmiot piękność natury, sztukę w najrozmaitszych jéj objawach, obyczaje i zwyczaje ludności, bez żadnéj przymieszki żywiołu politycznego. Mediolan, Ferrara, Bologna, Lucca, Piza, Florencya— otóż drogoskazy podróży, która pod piórem stróża konserwatyzmu europejskiego znajduje opis nie potrzebujący się powstydzić Heinego „Obrazów z podróży," z tejże saméj Lukki czy Florencyi. Listy te z włoskiéj podróży potrącają raz jeden tylko o politykę. Kanclerz zapisuje z zadowolnieniem, „że wszyscy *dobrzy* we Włoszech witają go z tryumfem, kiedy źli zgrzytają zębami."

Jeżeli jednak owa prywatna korespondencya lubuje się przedewszystkiém w pięknościach natury i sztuki, odkładając według maksymy epikurejczyków starożytności *„res severas in crastinum,"* nie należy sądzić, aby nawet pośród wrażeń owéj Yorickowéj podróży, działalność polityczna, i to działalność, w pewnym wyraźnie obranym kierunku, była wypoczywała ze strony kanclerza austryackiego. Rok owéj podróży, rok 1817, nie zapisuje się jeszcze we współczesnéj kronice europejskiéj tak burzliwym fermentem, jakim wrą i kipią następne lata. Mimo to, niepokoi Metternicha usposobienie Europy, skreśla on memoryały charakteru zachowawczego w sprawie wewnętrznéj administracyi Austryi, odbiera informacye ze strony Tytusa Manzi, byłego ministra Murata, o położeniu i usposobieniu w tymże samym sensie, alarmuje się już wtedy Piemontem i politycznemi sektami Włoch, w czém dlań pociechą, że Lombardya i Wenecya są najlepiéj administrowaną ich częścią, wreszcie przesyła hrabiemu Lebzeltern, posłowi austryackiemu w Petersburgu, noty, w których prze-



mawia obawa, aby polityczny i religijny mistycyzm pani Krüdener nie odniósł zwycięztwa na dworze petersburskim ku szkodzie prawdziwego konserwatyzmu.

Za powrotem do Wiednia, pod wpływem podobnych obaw rodzi się w kanclerzu myśl powstrzymania ducha rewolucyi i liberalnych dążności za pomocą jakoby ciągle funkcyonującéj, zachowawczéj kontroli. W podjęciu podobnéj myśli gra niewątpliwie swoję rolę doktryna konserwatywna, ale, co nie mniéj pewna, ma téż w niéj nieskąpy udział ambicya własna i chęć zyskania Austryi jakoby Agamemnonatu konserwatywnego nad kontynentem europejskim. Z rokiem 1818 wchodzi Europa w pamiętną epokę „*kongresów*,“ powtarzających się za inicyatywą Austryi od roku do roku, stawiających sobie niewdzięczne zadanie okiełznania ducha europejskiego za pomocą całego, sztucznego stosu środków prewencyjnych i represyjnych. I w téj, najciekawszéj bez wątpienia i najważniejszéj z całego jego publicznego i prywatnego życia epoce, przedstawiają nam korespondencya i dokumenta kanclerza w dwóch odmiennych postaciach, w postaci utalentowanego, świetnego turysty z jednéj, ponurego i niesmacznego doktrynera politycznego z drugiéj strony. *Turysta* Metternich opisujący swe podróże, swe wrażenia, kreślący charakterystyki osób uczestniczących w zwoływanych przezeń kongresach, jest niezrównany w swoim rodzaju, nie mniéj sympatyczny, jak pouczający dla czytelnika. *Mąż stanu* Metternich, jednostronny, wyłączny w swojém widzeniu rzeczy, doktryner usiłujący kongresowemi kleszczami powstrzymać i powściągnąć odzywającego się we wstrętnym mu kierunku publicznego ducha europejskiego, czyby miał prawo zyskać sobie to samo uznanie—*inna* kwestya. Na szczęście nie ma *kongresu*, którego-by nie poprzedziła *podróż* i nie ma memoryału, ani dyplomatycznéj korespondencyi, których-by nie poprzedziły opisy podróży, zapiski osobistych wrażeń i charakterystyki wpływowych i znaczących osób. W ten to sposób *turysta*, w obec czytelnika przynajmniéj, wykupuje *męża stanu*, a książka staje się ciekawą i zajmującą.

Rok 1818 zapisuje się w dziejach Europy kongresem akwisgrańskim; w dziejach osobistych kanclerza austryackiego zapisuje się poprzednio podróżą do Karlsbadu, Francensbadu, Marienbadu i Johanisberga. Wstęp ten kongresu akwizgrańskiego jest ciekawym i charakterystycznym. W opisie jego czuć zadowolnienie miłości własnéj, czuć zwycięzcę, widać odzywającą się do wysokiego stopnia miłość własną, optymistyczne może nieco daléj przeświadczenie wyniesienia Austryi na stanowisko mocarstwa przeznaczonego raz na zawsze panować moralnie i politycznie w Niemczech. Posłuchajmy, co Met-

ternich pisze o sobie w liście z Frankfurtu nad Menem dnia 4 września: „Nie można sobie zrobić wyobrażenia o wrażeniu, jakie sprawiło moje ukazanie się na sejmie. Co może nie byłoby skończone nigdy, załatwiło się w trzech lub czterech dniach. Codziennie nabieram więcéj przekonania, że wielkich rzeczy dokonywa się tylko przez samego siebie. Wszystko, co się znajduje w drugim rzędzie, wikła się, zabija, nie postępuje. Stałem się rodzajem moralnéj potęgi w Niemczech a może nawet i w Europie, potęgi, któréj próżnia dałaby się uczuć, skoroby znikła a zniknie przecież, jak wszystko, co zależy od słabéj i biednéj natury ludzkiéj. Spodziewam się, że niebo udzieli mi jeszcze czasu potrzebnego do zrobienia niejednego dobra: jest-to mojém najszczerszém życzeniem.“

Wystawienie sobie samemu podobnie pochlebnego świadectwa, podobny objaw tego, co medycyna trudniąca się obłędami umysłowemi podciąga pod kategoryą „manii wielkości,“ nie przeszkadza przecież barwnemu, zajmującemu, ciekawemu opisowi całéj téj podróży odbytéj przy boku Franciszka I wskroś Niemiec do Akwizgranu. Turysta i beletrysta górują tu znowu nad mężem stanu a opisy przejazdu przez Niemcy, pobytu we Frakfurcie czy w Kolonii rywalizują znów nie bez powodzenia z najlepszemi w tego rodzaju dziedzinie utworami. *Politycznie* przebija z nich radość z tryumfalnego przyjęcia cesarza austryackiego w Niemczech, a równocześnie pewne, ciche zadowolnienie z upokorzenia Prus i króla Fryderyka Wilhelma IV. „Przybyłem,“ pisze Metternich, „o godzinie siódméj do Kolonii. Nieprzeliczony tłum wyległ naprzeciw cesarza. Moje sześć koni i powozy mego orszaku spowodowały, że mnie wzięto za niego. Nadmiernie zatrzymywałem się co pięć minut, aby zapewniać lud, że się myli i że nie zasługuję na tyle honorów. Nic to nie pomagało. Doszedłszy do pierwszéj bramy, pochód rozpoczął się w najlepsze. Dzwony, wiwaty, szał ludności sześćdziesięciotysięcznéj około mego powozu, stłumiły mój głos i Gentza, którego przypadkowo spotkałem w Bonn i zabrałem z sobą. Zaledwie mi się udało uniknąć tego, że mi nie odprzężono koni. Byłem wściekły a Gentz drżał na całém ciele. Usłyszałem jeden tylko głos rozsądny w tym tłumie. Człowiek pewien, którego zapewniałem, że to *ja* jestem, odpowiedział mi: Kochamy dosyć *naszego* cesarza, aby krzyczeć dwa razy, jeżeli nim nie jesteś! Przybywam nareszcie do hotelu starego patrycyusza Geygera. Pan, pani i córki jego, panny których nigdy nie widziałem, opanowały moję osobę przy wysiadaniu z powozu. Byłem okryty młodemi i staremi pocałunkami; cały dom płakał, krzyczał i klął. Płakał z radości, ściskając mnie, ministra Austryi; krzyczał: „Niech żyje Cesarz!“—klął przeciw przeznaczeniu zmieniającemu dawny po-

rządek rzeczy. Otoczony wszystkiemi powagami miasta, wciągnąłem całą rodzinę do pokoju i błagałem ją, aby przecież była rozsądną. Odpowiedzieli mi samorzutném i kategoryczném zaręczeniem, że rozumieją w *tén* właśnie sposób być nimi i że nie chcą nimi być inaczéj. Począłem pojmować, że racye moje rozbiją się w obec podobnego postanowienia i oddałem się pocałunkom z heroiczną rezygnacyą. Powrócony wolności, spostrzegłem, że Giroux (kamerdyner księcia) znajduje się w objęciach służby; zdawała się nie widziéć, że zaniedbał swą brodę od przeszło tygodnia. Cesarz przybył nareszcie do swego hotelu, o dwoje drzwi ode mnie, a tłum i pocałunki przeniosły się o dwadzieścia kroków daléj. Z pewnością, gdyby ktoś przypuszczał, że szczęście, iż się było Francuzem a że się jest Prusakiem, przemazuje w Kolonii i nad Renem pamięć dziewięciu wieków, myliłby się bardzo. Prasy drukarskie stękają tymczasem pod tém kłamstwem! Podróż nad Renem była ciągłym tryumfem dla cesarza i stawała się dlań kłopotliwą. Cały jéj charakter powtórzył się na nowo jak najpiękniéj za jego przybyciem do Akwizgranu. Wszystko oddycha tylko cesarstwem w rodzinném i ukochaném mieście Karola W. Lud widzi tu tylko w cesarzu jego następcę; milczy, gdy którybądź z innych monarchów przejeżdża, nie przestaje krzyczeć tłumnie: „*Niech żyje nasz cesarz!*“ wszędzie, gdzie się tylko cesarz pokaże. Położenie Akwisgranu, którego wspomnienie nie jasne przed 26 lat wyniosłem, jest bardzo malownicze. Okolica przedstawia wiele urozmaicenia i bardzo bogatą kulturę. Pogoda wspaniała i wyzywa do przechadzki. Jesteśmy wszyscy bardzo dobrze pomieszczeni a środki, zapobiegające tłumnemu kupieniu się dyplomatów, sprawiają, że mamy dość dużo miejsca. Zwiedzaliśmy dzisiaj po południu z cesarzem katedrę. Król pruski przybył tam również, ponieważ nie widział jeszcze relikwij, które się wszystkie datują jeszcze od Karola W. a które wystawiają na widok publiczny tylko co 7 lat, lub téż, skoro która z głów koronowanych katolickich przybędzie je zwiedzić. Pokazano nam: 1) małą sukienkę Jezusa Chrystusa, którą nazywają w Wiedniu *Kinder-Rückel*, 2) suknię Matki Boskiéj, 3) przepaskę, którą Jezus Chrystus miał na krzyżu, 4) chustkę, w któréj Herodiada przyniosła głowę św. Jana Chrzciciela. Niechaj kto chce, nie wierzy w autentyczność wspomnianych przedmiotów; nie mniéj przecież jest rzeczą prawdziwą, że Karol W. dał je kościołowi przed 1.000 laty i że ten monarcha mógł je tylko nabyć ako noszące ślady najodleglejszéj starożytności. Wyborne ich zachowanie należy tylko przypisać nadzwyczajnym, podjętym około nich staraniom. Pokazują także czaszkę tego cesarza i wiele jego kości, dowodzących, jak wysokiéj był postawy. Na grobie jego po-

stawiono klęcznik, gdzie cesarz odprawiał swoję modlitwę. Lud, który otworzył gwałtem drzwi, aby widzieć tamże cesarza, poklą̨kł natychmiast, a króla (pruskiego) znalazłem bardzo źle umieszczonego stojącego pośród swego ludu. Na jego miejscu nie byłbym wcale przychodził. Cesarz Aleksander przybył tu tegoż samego dnia wieczorem. Przepędziłem u niego trzy godziny i znaleźliśmy się, jak w roku 1813. Rozpoczęliśmy dzisiaj nasze konferencye pod najlepszemi wróżbami i mam powód spodziewać się, że nam będzie trzeba trzech a najwięcéj czterech tygodni, aby nasze sprawy załatwić. Rezultaty będą jak najpowszechniéj zadowolniającemi. Cesarz Aleksander przybędzie ztąd do Wiednia. Nie ma już mowy o jego podróży do Włoch. Nie przypuszczam, aby jego pobyt w Wiedniu mógł trwać dłużéj nad dwa tygodnie, 1 Grudnia tedy wszystko powróci do dawnego porządku.“

Przytoczyliśmy umyślnie powyższy długi list Meternicha, raz dla tego, aby dać naszym czytelnikom próbę jego stylistyki, następnie aby na żywym przykładzie jego własnych słów udowodnić jego usposobienie dla Prus i króla Frydryka Wilhelma III, jego niewczesne żale z powodu usadowienia się nad Renem rywalizującego odwiecznie z Austryą mocarstwa, do którego wzrostu i rozrostu, dzięki swéj polityce z roku 1813, sam nieskąpą miarą się przyłożył. Obecnie zastępują u niego mała zazdrość i cichy gniew akcyą wielkiéj polityki, która tak doskonale chybiła w stanowczéj chwili; szczegóły téj zazdrości i tego kłopotu zobaczymy jeszcze niżéj...

Głównym rezultatem kongresu akwizgrańskiego było ze strony monarchów koalicyi postanowienie ewakuacyi Francyi. Innych następstw zjazdów chwilowo nie miał, ponieważ ferment rewolucyjny lat późniejszych nie jest jeszcze ani tak groźnym, ani tak widocznym w r. 1818, a żale i podejrzenia konserwatywne Metternicha zwracają się raczéj przeciw liberalizmowi gabinetów berlińskiego i petersburskiego, przeciw Hardenbergom, Capodistriom i Pozzo di Borgo, aniżeli przeciw wyczekującemu naówczas jeszcze i cierpliwemu liberalizmowi ludowemu.

Cichą stosunkowo i pogodną w zawodzie politycznym Metternicha epokę między rokiem 1818 a 19 wypełnia korespondencya jego z cesarzem Franciszkiem, któréj przedmiotem są *Prusy*. Kto wie, coby się było stało daléj, gdyby wewnętrzne zaburzenia Niemiec, gdyby groźniejsze od nich wstrząśnienia ludów romańskich nie były zwróciły uwagi męża stanu austryackiego w inną stronę i zmusiły go, niepotrzebnie może, poszukiwać raczéj w dziele okiełznania ducha europejskiego, *przymierza* gabinetu berlińskiego, aniżeli ubiedz go i upokorzyć na widowni niemieckiéj. W zimie z r. 1818 na 19

widzimy wyjątkowo, że Metternich dąży z jednéj strony do upokorzenia Prus przez Austryą, z drugiéj do zadowolnienia wołań ich ludności przez nadanie im nowego organizmu politycznego na wewnątrz. Jakżeż wymownym pod tym względem list Metternicha do cesarza Franciszka jeszcze z przedkongresowéj epoki! „Wasza cesarska mość znajdzie tutaj w załączeniu kilka sprawozdań p. Händla (konsula austryackiego we Frankfurcie nad Menem). Przekona się w. c. mość z nich, jakie ją czeka przyjęcie nad brzegami Renu. Znam uczucia ludności nadreńskiéj i uważałem za obowiązek radzić w. c. mości jechać wzdłuż rzeki, ponieważ jestem przekonany, że podróż ta przybierze charakter prawdziwego tryumfu. Zresztą zadadzą demonstracye prowincyj nadreńskich dotkliwy cios stronnictwu źle usposobionych. Objawy szczere i samodzielne kilku kroć stu tysięcy ludzi warte więcéj i przekonywają wymowniéj, aniżeli deklamacye profesorów i uczniów Jeneńskich. Na tymczasem, podróż cesarza Aleksandra i króla pruskiego nie będzie w niczém podobna do podróży w. c. mości. Jestto wypadek, który będzie miał dla Niemiec z pewnością szczęśliwe następstwa.“ Z drugiéj strony znajdujemy obok owéj dążności upokorzenia Prus, chęć, jak dopiéro powiedziano, obdarzenia ich nowym organizmem politycznym. Pod *tym* względem nie można odmówić kanclerzowi austryackiemu ani trafności oka, ani praktyczności spostrzeżeń. Metternich zna i rozumie Prusy; rozumie je i pojmuje lepiéj ich tradycyjny charakter aniżeli wszyscy ideolodzy pruscy. Odpowiednio do dziejowéj ich genezy i ustroju politycznego, na jaki się złożyły wieki a jakiego zmienić na prawdę nie mogło być zadaniem i dziełem ani jakiejś liberalnéj fantazyi, ani kawałka papieru, uważał kanclerz austryacki akt centralizującéj reprezentacyą kraju ustawy konstytucyjnéj za równie niepraktyczny, jak kłamiący istocie rzeczy. Był więc i oświadczał się w korespondencyi swéj z gabinetem berlińskim stanowczym przeciwnikiem *takiéj* konstytucyi dla Prus, kiedy natomiast przemawiał bardzo gorliwie za reprezentacyą stanową i prowincyonalną kraju. Nawiasowo powiedzmy, że rada ta zwyciężyła i znalazła się wprowadzoną w życie przez tak zwane, późniejsze z roku 1823, prawodawstwo stanowe.

Pogodnie stosunkowo rozpoczął się rok 1819; stan Austryi, Niemiec, Włoch nie zwiastował żadnéj politycznéj chmurki i z rychłą wiosną tegoż roku widzimy Metternicha puszczającego się wraz z ces. Franciszkiem w podróż do Włoch. Podróż ta odsłania nam w kanclerzu austryackim znów i przedewszystkiém to, czém się urodził i na co go Opatrzność stworzyła,—znakomitego turystę, literata, ściśléj jeszcze powiedziawszy, *felietonistę*. Ostatni ten wyraz bierzemy

najdosłowniéj, bez żadnéj przenośni. Metternich jest na prawdę w ciągu swéj podróży, sięgającéj przez Florencyą, Rzym, Neapol, Pompei, Puzzuoli, korespondentem wychodzącego w Wiedniu pod redakcyą nadwornego radcy Pilata pisma pod tyt. *Oestreichischer-Beobachter* a korespondencye jego i wrażenia podróży mogłyby bez przesady być ozdobą każdego pierwszorzędnego czasopisma europejskiego. Opisy czy to piękności natury, czy arcydzieł sztuki, czy przedmiotów starożytności są pełne wdzięku, znajomości rzeczy i zręczności pióra. Wśród wszystkich tych rozkoszy otaczającego świata przecież *latet anguis sub herba...*

Kiedy cesarz Austryi wraz ze swym kanclerzem lubują się w pięknéj naturze Włoch, kiedy Metternich opisuje z wdziękiem i szczegółowością prawdziwego znawcy i człowieka nauki gmachy, posągi i obrazy muzeów florenckich i rzymskich lub wykopaliska pompejańskie; kiedy monarcha jego odbywa podróż swą po półwyspie apenińskim jako uznany małych królów i książąt włoskich władzca,—nadchodzi z Niemiec wiadomość o zamordowaniu w Mannheimie profesora Kotzebue'go przez Sanda. Był to bez wątpienia wypadek, pominąwszy smutną jego stronę moralną, nie bez charakterystycznego znaczenia; świadczył wymownie o usposobieniu niemieckich uniwersytetów, o fermencie niezadowolnienia ogarniającym coraz szersze warstwy społeczeństwa niemieckiego. Bez wątpienia nie można było uniknąć ani ukarania winnego, ani rozpatrzenia się w pobudkach jego czynu, ale zarazem wywoływał podobny pojaw natarczywie badawczość i zastanowienie prawdziwego męża stanu w kwestyi polityki przyszłości. Zrozumiéć a następnie ogarnąć swą działalnością ferment, pokierować nim może umiejętnie ku własnym celom,—otóż zadanie, jakie się otwierało daléj i szerzéj patrzącemu mężowi stanu Niemiec i stanowiącéj naówczas część ich Austryi. Inaczéj Metternich. Dla niego istnieje tylko polityka represyi. W fermencie niemieckim nie może się, czém był, dopatrzéć pożądanego materiału dla zadań przyszłościowej polityki austryackiéj, lecz jedynie tylko objaw buntowniczego ducha, który psuje dzieło europejskie traktatów wiedeńskich a który jedynie tylko środkami represyi powściągnąć należy. Myśl ta zasadnicza polityki Metternicha powtarza się na tysiączne odmiany w listach jego z podróży włoskiéj do Gentza i daje początek słynnemu w swoim czasie kongresowi karlsbadzkiemu z r. 1819.

Pomysł tego kongresu rodzi się w czasie podróży włoskiéj, może pod dachem ambasady austryackiéj w Neapolu, któréj reprezentantem jeszcze od czasów nieszczęsnego króla Joachima jest ciągle rodak nasz książę Jabłonowski. Zadaniem zaś zamierzonego, nowe-

go monarchiczno-ministeryalnego zjazdu ma być 1) okiełznanie uniwersytetów przez nałożenie wędzidła profesorom i związkom uniwersyteckim, 2) ograniczenie swobody prasy, 3) ustanowienie osobnéj komisyi śledczéj. Dzieło to przygotowuje się powoli w czasie podróży włoskiéj, dojrzewa za powrotem z niéj w naradach między Gentzem a Meternichem w Wiedniu, przychodzi do skutku w ciągu lata na widowni karlsbadzkiéj. Kanclerz austryacki charakteryzuje swe zadanie i oddaje sobie samemu sprawiedliwość w następnym liście do żony z dnia 26 Lipca z Karlsbadu. „Niepisałem do ciebie przez pierwszego, wyprawionego ztąd do ciebie kuryera, ponieważ nie znalazłem na to czasu. Udam się jutro do Teplic, gdzie przepędzę całe trzy dni. Chwila obecna jest chwilą życia lub śmierci. Zdaje się, że Teplice są miejscem przeznaczoném do mych wielkich czynności. Za pomocą boską, spodziewam się pobić rewolucyą niemiecką zupełnie w sposób podobny, jak zwyciężyłem zdobywcę świata. Rewolucyoniści niemieccy sądzili, że jestem daleko, ponieważ się znajdowałem o 300 mil. Omylili się; trzymałem się pośród nich a teraz wymierzam swe ciosy. Znalazłaś dziwną wspólność między odkryciami i aresztowaniami w Prusach i Niemczech a moją przeprawą przez Alpy. Przypuszczam, że się przekonają o tém nareszcie, skoro się dowiedzą, że Niemcy gromadzą się tutaj około mnie. Hrabia Münster jest tutaj; Rechberg, Winzingerode, Berstett, baron Marschall, minister kierujący sprawami nassauskiemi i Bernstorff (Prusak), znajdą się tutaj około 1 Sierpnia. Podejmiemy wielką sprawę. Czy będzie dobrą? Bóg to zdecyduje. Nazywam ją wielką, bo z niéj wyniknie ocalenie lub obalenie ostateczne porządku społecznego. Wszystko to zostaje między nami.“

„*Wielka sprawa*“, jak ją nazywa kanclerz austryacki, powiodła się najzupełniéj. Okiełznano niemiecką prasę i uniwersytety niemieckie; utworzono komisyą śledczą w Moguncyi ku śledzeniu tak zwanych demagogicznych agitacyj. Wyniknęłoż ztąd jednakże, jak Metternich pisał i tryumfował, „*ocalenie ostateczne porządku społecznego?*“ Broń Boże! Urósł tylko w Karlsbadzie stos represyjnych postanowień, które świecą do dziś dnia przysłowiowo niepopularnością w Niemczech, które świadczą o dziwném krótkowidztwie politycznem przechwalającego się ich autorstwem kanclerza Austryi, które zabiły moralnie i politycznie stanowisko jéj w Niemczech i opinii publicznéj niemieckiéj, które w ostatecznym rezultacie rezultatów pokazały się w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu robotą „*pour le roi de Prusse.*“ Metternich, późniéj nieco, wypowiada następną maksymę polityczną, któréj praktyka przecież objawia się już w czasie zjazdu karlsbadzkiego i stanowi jądro jego postanowień. „Istnieje tak dla

indywiduów, jak dla państw wspólna reguła postępowania, stwierdzona doświadczeniem wieków i dni dzisiejszych; reguła ta brzmi: że nie trzeba pośród wzburzenia namiętności myśléć o reformach; rozsądek wymaga, aby w podobnych chwilach ograniczać się na utrzymaniu stanu obecnego...“ Reguła ta praktykowana przez cały ciąg rządów Metternicha wydała dla Austryi owoce, które miały dojrzéć w pożodze roku 1848, lepiéj jeszcze na polach bitew pod Solferino i Sadową...

Przy tego rodzaju widzeniu rzeczy, przy podobnych pojęciach i zasadach, nie spodziewajmy się naturalnie, aby kiedykolwiek w ciągu téj roboty była w umyśle austryackiego kanclerza zaświtała wątpliwość co do wartości i skuteczności jego roboty. Przeciwnie: on zadowolniony z siebie i ze swego dzieła; pali sam sobie nie skąpo kadzidła, mówi najpoważniéj o jego wielkości i niespożytości wiekowéj. Podobnym duchem tchną wszystkie jego listy, memoryały i rozmowy z epoki po karlsbadzkiéj, z końca r. 1819

W zimie z tegoż roku na następny odbywają się jeszcze w Wiedniu ministeryalne konferencye; pieczętują one ostatecznie różnemi szczegółowemi dodatkami dzieło karlsbadzkiego zjazdu ku wielkiemu znów tryumfowi kanclerza austryackiego, który, jeźli wśród ogólnego zadowolnienia i pochwał na każdéj niemal stronnicy niniejszego dzieła sobie nieszczędzonych, zaniepokojony i rozdrażniony czémkolwiek, to postawą cesarza Aleksandra a nadewszystko jego ministra Capodistrii, nienawistnego mu jako Greka, podejrzanego jako wyznawcę ówczesnych liberalnych opinij. Metternich, kształtując porządek rzeczy europejski na podstawie konserwatyzmu religijnego, politycznego, społecznego; uważając go za oparty niewzruszenie na gruncie stypulacyj wiedeńskich, okazuje dziwną czułość, dziwną drażliwość na jakibądź objaw tego, co się w jego języku nazywa *liberalizmem.* Piżmo jego trąci mu wszędzie, czy to z łamów peryodycznéj prasy, czy to z „*komersów*“ uniwersyteckich, czy z gabinetów dworów europejskich nawet, a nie ręczylibyśmy, rozpatrując się w jego pamiętnikach, memoryałach i korespondencyi, czy w barometrze jego gniewów i drażliwości *ostatnie* właśnie nie najwyższego dochodzą stopnia. Hardenberg w Berlinie, Canning w Londynie, Capodistria w Petersburgu,—otóż jego stałe nienawiści, powtarzające się z utrapieniem istnych widziadeł nocnych na każdéj stronicy jego zapisek. Uprzywilejowane przecież miejsce w tych jego nienawiściach zajmuje dwór petersburski, dla tego może właśnie, iż *zawodzi* jego konserwatywne nadzieje i oczekiwania.

Wspomniane dopiéro co ministeryalne konferencye wiedeńskie ciągną się przez pierwszą połowę r. 1820. Przebieg ich, odbywający

się ku najzupełniejszemu zadowolnieniu Metternicha, przerywa w dniu 6 Maja 1820 śmierć jego córki Klementyny..

Wogóle, zauważmy przy téj sposobności,—nie jest książę kanclerz austryacki ani szczęśliwym ojcem, ani szczęśliwym mężem. W czternastoletnim przeciągu czasu, który obejmują niniejsze dwa tomy jego pamiętników, traci pierwszą żonę, dwie córki i syna Wiktora,—wszystko już w dojrzalszym wieku. Wiktor mianowicie był obiecującym młodym człowiekiem i zajmował dyplomatyczne stanowiska w Londynie i w Paryżu jako sekretarz ambasady austryackiéj. Jeżeli zaś ze stanowiska czy to odmiennych przekonań, czy doświadczeń historycznych dałoby się wiele zarzucić księciu Metternichowi jako mężowi stanu, nakazują prawda i sprawiedliwość oddać mu wszelką cześć i uznanie jako głowie familii. W obec każdéj nowéj trumny w łonie jego rodziny, jakże rzewne objawy uczucia i serca odzywają się ze strony człowieka, którego *polityka* wcale sercową nie jest, który równocześnie pod twardym swym kluczem czy to pod *dachami ołowianemi* pałacu dożów, czy to w Kufszteinie lub na Spielbergu trzyma Confalonierich, Pellicców i Maroncellich! Z jakąż smutną lubością opisuje w swych listach kanclerz austryacki miejsce ostatniego spoczynku swego sędziwego ojca; z jakimże melancholijnym spokojem i bólem skreśla od godziny do godziny nieledwie postęp śmiertelnéj choroby córki swéj Klementyny; z jakąż czcią dla jéj pamięci daje polecenie zaprzyjaźnionemu z sobą, najsłynniejszemu swéj epoki portreciście, malarzowi angielskiemu Lavrence, uwiecznienia jéj rysów na płótnie! Na ubocznéj owéj dziedzinie rodzinnego życia, niewiadomo, co tu bardziéj podziwiać, czy serce i wrażliwość uczucia męża i ojca, czy téż znakomitość pióra, umiejącego podobnym uczuciom dać równie artystyczny, jak naturalny wyraz...

Lekarstwem na stłumienie owych cierpień i bólów rodzinnego życia jest dlań. jak sam powiada, *praca*, praca polityczna, któréj charakter i dążność znamy, któréj ostatecznym celem nałożyć Europie wędziło, ścisnąć jéj rwącego się ku odmiennym przeznaczeniom ducha w kleszcze wiedeńskiego szablonu. Środkiem do podobnego celu zjazdy i kongresy, udyscyplinowanie, jeźli tak wolno powiedziéć, gabinetów europejskich w kierunku zachowawczości *jego* autoramentu. Hasłem zwoływania podobnych kongresów jest regularnie jakibądź wybuch czy objaw rewolucyjny w jakimbądź zakątku europejskim; jednostajną ich bronią materyalna represya bez głębszego liczenia się z przyczynami i powodami...

Wśród podobnych to kłopotów rodzinnego i prywatnego życia, wśród podobnych prac i zajęć politycznych, widzimy znów, w miesiącu Lipcu r. 1820 Metternicha wybierającego się na zwykły swój

wypoczynek i pobyt karlsbadzki, gdzie wolny na chwilę od codziennych swego stanowiska zatrudnień, spędza czas w towarzystwie wspomnianego przez nas co dopiéro malarza Lawrence'a. Jestto właśnie przeddzień wybuchu rewolucyi neapolitańskiéj, któréj bezpośrednim rezultatem na kontynencie europejskim ma być znowu nie co innego, jak zwołanie nowego kongresu, na ten raz w Opawie, znów naturalnie pod patronatem i za inicyatywą kanclerza austryackiego. Nim jednakże, trzymając się w sprawozdaniu naszém o ile możności porządku chronologicznego, potrącimy o przebieg i niektóre szczegóły, tego nowego kongresu,—niechaj nam w interesie prawdy historycznéj faktu innéj, odleglejszéj, choć dla tego nie mniéj ciekawéj epoki,—będzie wolno dotknąć nawiasowo również nawiasowéj uwagi ze współczesnych zapisek Metternicha. Wykaże nam się ztąd problematyczność głębokości historycznéj Thiersa, wykaże nam się, co więcéj może, prawda zasadniczéj natury i jak niebezpiecznem dla jakiegobądź parweniuszostwa jest zetknięcie się z powagami i firmami staréj daty. Thiers, traktowany w pamiętnikach Metternicha z pewném arystokratycznem lekceważeniem jako parweniusz i demagog, spotykał się z nim po dwa razy, we Włoszech r. 1838, w Bruxelli r. 1852. Thiers brał wszystkie opowiadania Metternicha z istną pokorą parweniusza zaszczyconego towarzystwem wielkiego pana, bez dobrodziejstwa inwentarza, na seryo. Między innemi np. twierdzi na podstawie owych Metternichowych zwierzeń, iż Napoleon mógł w r. 1813, po zawieszeniu broni w Poischwitz, uzyskać pokój z pośrednictwem i neutralnością Austryi, gdyby w *końcu* Czerwca, podczas konferencyi z Meternichem w Dreznie, nie był z lekceważeniem własnego i Francyi interesu, odrzucił propozycyj austryackich. Ztąd naturalnie zwala odpowiedzialność dalszéj wojny i jéj nieszczęsnych dla Francyi następstw na karb Napoleona. Cóż tymczasem znajdujemy w poufnéj korespondencyi Metternicha? „*1 Czerwca 1820.* Dzisiaj siedm lat opuściłem Wiedeń w towarzystwie cesarza, który jechał objąć dowództwo wojsk zgromadzonych w Czechach i około tegoż kraju. W téjże saméj godzinie, w któréj kreślę niniejsze wyrazy, spotkałem Nesselrodego przejeżdżającego przez pewną wieś. Myślał, że siedzimy jeszcze spokojnie w Wiedniu. Doręczyłem mu depeszę dla cesarza Aleksandra, depeszę tak lakoniczną, że sobie jeszcze ją dzisiaj przypominam słowo w słowo. Była zredagowana w sposób następny: N. Panie, jesteśmy na miejscu, cierpliwości i zaufania! Zobaczymy się w przeciągu trzech dni, a w sześć tygodni będziemy sprzymierzonymi. Zaufanie nie istniało jeszcze, znalazło się późniéj i było usprawiedliwionem. Co do cierpliwości, znalazła się również, ponieważ byliśmy zdecydowani najzu-

pełniéj nie spieszyć się.“ Jasny w tém poufném zwierzeniu dowód, że Austrya już w pierwszych dniach Czerwca 1813 była zdecydowaną stanąć po stronie koalicyi przeciw Francyi, że zwłoka była jéj potrzebną do dokończenia uzbrojeń i przygotowań wojennych, że propozycye austryackie w Dreznie nie były Napoleonowi robione na seryo, że Napoleon poznał się na nich, a że Thiers, twierdząc inaczéj, pozwolił się po prostu Metternichowi wyprowadzić w pole...

Wracając po tym nawiasie do głównego naszego przedmiotu, spotykamy się w miesiącu Lipcu 1820 w zapiskach Metternicha z wrażeniami rewolucyi neapolitańskiéj czyli owego tragikomicznego wybuchu, który wystrzeliwszy deklamacyą, miał się skończyć sromotnym systemem ucieczki... Że kanclerz austryacki znajdzie w owéj „*rewolucyi*“ dostateczny argument do zwołania nowego kongresu i że pomyśli o europejskiéj represyi, uważamy, znając go, za rzecz wielce naturalną. Co natomiast ciekawsza, to że wybuch neapolitański przypisuje wpływom rosyjskim, przy czém znów naturalnie Capodistrii dostaje się główna część winy... Ostatnie miesiące roku 1820 spoglądają tedy na widowisko monarchiczno-ministeryalnego zjazdu w Opawie, który postępując w swej zachowawczo-represyjnéj robocie daléj, przenosi swe penaty na pierwsze cztery miesiące roku następnego do Lublany. Że kongres ten w zapiskach Metternichowych jest znów wielkiém i wiekopomném dziełem, że największą jego zasługę ma książę kanclerz austryacki a że rezultatem jego może być tylko represya, zbyteczną prawie powiadać rzeczą. Posłuchajmy tymczasem zwierzeń księcia o kongresie.

„*6 Stycznia 1821.* Dzisiaj święto Trzech Króli· Trzéj monarchowie zgromadzili się w téj chwili; otóż, to się zdarza wyśmienicie. Jesteśmy bardzo grzeczni i urządzimy w ten sposób, że stary Ferdynand (król neapolitański) wyciągnie migdał. Drugi to raz dostaje mi się zadanie postawienia go na nogi, zwłaszcza, że ma zły zwyczaj ciągłego upadania na nowo. Wielu przecież królów wyobraża sobie, że tron jest krzesłem, na którém można wygodnie zasypiać. Cokolwiekbądź, w roku 1821, jest takie krzesło bardzo mało wygodne do spania i bardzo źle wysłane... Mój dostojny monarcha przybył dzisiaj. Od długich miesięcy miałem dopiéro jeden dzień spokojny; był nim wczorajszy. Są to wyjątki w mojém życiu, które sobie pamiętam. Jutro przybędzie cesarz Aleksander a pojutrze król neapolitański. Obowiązki, które mam do spełnienia są na nieszczęście tego rodzaju natury, iż byłoby mi bardzo przyjemnie nie przedsiębrać nowego zadania po skończeniu pierwszego. Kategoryczny frazes zmarłego księcia Lawal stosuje się bardzo dobrze do spraw,

które mnie zatrudniają. Mówił mi dnia pewnego: Nie pożyczam nigdy nikomu ani jednego solda. Pocóż miałbym to robić? W najkorzystniejszém przypuszczeniu oddanoby mi tylko moje pieniądze. Jest w tym aksiomacie niezaprzeczalna prawda.

„*10 Stycznia.* Jeśli się ziemia nie rozstąpi, jeśli się niebo nie zapadnie lub jeśli hultaje najnędzniejsi i najtchórzliwsi świata nie wytępią zupełnie poczciwych ludzi pełnych dobréj woli i energii, wygramy naszą sprawę. Capodistria skaka jak dyabeł w święconéj wodzie; lecz jest w niéj zupełnie zanurzony i nie może nic zrobić. Głównym czynnikiem działalności, którą rozwijamy w téj chwili, jest moja zupełna zgoda z cesarzem Aleksandrem. Pod tym względem sprawia herbata cuda, jak w przeszłych latach.“

Proces został istotnie wygrany, według wyrażenia Metternicha; kongres mimo protestów reprezentantów neapolitańskich postanowił zbrojną interwencyą przeciw rewolucyi na półwyspie apenińskim, wykonawcą jéj uczyniła się Austrya. „Dzisiaj,“ pisze Metternich pod dniem 6 Lutego, „przeprawia się 60.000 ludzi przez Po. W przeciągu mniéj, niż trzydziestu dni zasiędą na kurulnych krzesłach prawodawców partenopejskich, co dowiedzie, że umiem się *nie* wahać. Moi nieprzyjaciele przekonają się, że im jestem bardzo niewygodny. Proklamacya austryacka jest dobra, prosta i bez frazesów. Doznaję dzisiaj tego samego uczucia, jakiego doznawałem 15 Sierpnia 1813. Jestto przecież wielkim ciężarem mieć armią na swych barkach.“

Wiadomy aż nazbyt dobrze, przysłowiowo już nawet, przebieg owéj represyi neapolitańskiéj. „*Nie skończę po neapolitańsku*“, mawiali generałowie współcześni innych narodów znajdujących się w podobném położeniu. Bez krwawych spotkań, bez trudu, wyjąwszy marszów, odbyła się przechadzka Austryaków, od równin Lombardyi do ostatniego cypla Kalabryi, dzieło restauracyi w Neapolu było spełnione; reakcya burbońska rozkoszowała. Wartoż było a nadewszystko miałże Metternich prawo tryumfować z owéj bezkrwawéj kampanii, szczycić się jéj rezultatem jako prawdziwém zwycięztwem, przypisywać nadewszystko sobie samemu zaszczyt owego zwycięstwa i stawiać sobie pomniki w zwierciedle własnéj próżności? Jakiekolwiek przecież są istotne tytuły kanclerza austryackiego do oddawania sobie z tego powodu pochwał, nie szczędzi ich na każdéj stronicy swéj korespondencyi, tém więcéj, że szczęśliwy przypadek pozwala mu przy sposobności téj kampanii, jakoby po drodze, zbierać nowe laury. Z wiosną roku 1821 był ruch neapolitański stłumiony, większa część armii austryackiéj miała się z powrotem do Lombardyi. W tém, pod koniec Marca 1821 rzuciła jéj łaska losu niespodziany,

tryumf pod nogi. Nastąpił wybuch wojskowy w Piemoncie, którego sprawcą, jak później (za ukazaniem się interwencyi austryackiéj) zdrajcą, był przyszły król Karol Albert. Zgnieść go, poniżyć i zgnębić moralnie i politycznie następcę piemonckiego tronu,—cóż znowu za tryumf dla Metternicha, cóż za nieprzebrane źródło samochwalczych wykrzykników! Skreśla siebie jako atletę, który raz na zawsze powalił o ziemię rewolucyonizm europejski, powiada z najpoważniejszą miną, że od Karlsbadu i Lublany będzie się datowała nowa era ludzkości, opisuje wreszcie swe wrażenia podróży po Niemczech, gdzie (mówi to zaś z pewną pogardą dla rewolucyjnych żywiołów kraju) „sukces jego jedna mu zwolenników i gdzie samiż studenci uniwersytetów lipskiego i hallskiego wznoszą mu łuki tryumfalne i wykrzykują wiwaty. Nawet znienawidzony Capodistria, nawet cesarz Aleksander, nie zdołali przeszkodzić „*wielkiemu i dobremu dziełu*“ a kongres lublański, którego postanowienia podpisują w imieniu swych monarchów Metternich, Vincent, Krusemark, Capodistria, Pozzo di Borgo i Nesselrode, kończy się dnia 12 Maja 1821, w tydzień zaledwie po zgonie Napoleona na odległéj wyspie Oceanu, bez wzmianki, bez wymówienia jego imienia wśród swego grona krótkopamiętnéj dyplomacyi europejskiéj. Wogóle co uderza w zapiskach kanclerza z owéj epoki, to uparte milczenie o wielkim mężu, któremu schlebiał i którego nienawidził zarazem, gdy był na szczycie powodzeń, którego najniepolityczniéj podkopał i na którym mścił się nikczemnie osobiście po jego upadku. Zaledwie ukazanie się książki O'Meare'a w r. 1822 daje mu powód do przerwania owego milczenia,—aby Napoleona wystawić jako szarlatana, poczciwego Irlandczyka jako dudka wyprowadzonego przezeń w pole.

Z rokiem 1821 widzimy tedy Metternicha w zenicie jego chwały i powodzeń, szczycącego się i zadowolnionego z odniesionych tryumfów, pogromcą rewolucyi, zbawcą porządku rzeczy europejskiego. Są jednakże właśnie w owéj chwili *dwa* kłopoty, *jeden* starszéj, *drugi* nowszéj daty, zakłócające pogodę męża stanu austryackiego i wywołujące jego antyrewolucyjną czynność. Pierwszym jest rewolucya hiszpańska, drugim powstanie greckie. Jeden i drugi kłopot tém dokuczliwszy, że niedosięgalny ramieniu austryackiemu. W Niemczech starczyła policya i komisya śledcza moguncka, we Włoszech dość było wypuścić na krzykaczy neapolitańskich czy piemonckich feldmarszałków Bubnę i Frimonta; sięgnąć jednakże z jednéj strony do Hiszpanii, z drugiéj do Grecyi było za daleko, a tu przedstawiała się na obie strony konieczność, jak Niemcy powiadają, wyciągania gorących kasztanów z ognia za pomocą innéj ręki. Ręką taką w Hiszpanii mogła być Francya i Anglia, w Grecyi Rosya, ale z jakiemiż

trudnościami, a doprowadzenie do skutku zamierzonego celu jakżeż wątpliwe. Na zachodzie izby angielskie i izby francuzkie ze swą opozycyą i z gotowemi protestami przeciw wszelkim próbom i pokusom reakcyi kontynentalnéj. Opinia publiczna zachodu mogła tylko krzywém okiem patrzéć na chęć gwałtownéj restauracyi rządów ponurego Burbona w Hiszpanii, podobnie jak opinia publiczna rosyjska, jak cesarz Aleksander, jak Capodistria przedstawiali bardzo niepewny żywioł wobec powstania greckiego. Dodajmy zaś ku nieszczególnemu zaszczytowi politycznego jasnowidzenia kanclerza austryackiego, że powstanie Greków przeciw panowaniu tureckiemu jest w jego oczach niczém lepszém i niczém innném od wszelkich współczesnych wybuchów rewolucyjnych europejskich i że dobrze zrozumiany interes konserwatyzmu wymaga na półwyspie bałkańskim takiéj saméj represyi, jaka staje się potrzebną na apenińskim i pirenejskim. Dodajmy, że ten tani i zdawkowy doktryneryzm, niegodny prawdziwego męża stanu, odsądzający Metternicha na wieczne czasy od prawa szczycenia się podobnym epitetem, podsycany nadto osobistą niechęcią do plemienia greckiego, trwa przez cały czas powstania Greków przeciw Turkom. Intrygując ustami i memoryałami przeciw Grekom w Petersburgu, Londynie i Paryżu, przeszkadzając im w dziele odzyskania niepodległości na drodze dyplomatycznéj, nie pomagając Porcie i nie mogąc zapobiedz ani protokółowi londyńskiemu z dnia 6 Lipca 1827, ani gromowi nawaryńskiemu, bawi się Metternich przez dziewięć lat na téj widowni w doktryneryzm konserwatywny, nie umiejąc z wypadków na półwyspie bałkańskim wysnuć najmniejszéj dotykalnéj korzyści dla Austryi. Jeźli co, to z pewnością powstanie greckie pozostanie najwymowniejszym kamieniem probierczym jego małéj wartości jako męża stanu. W pierwszych owych chwilach wybuchu greckiego ma przecież kanclerz austryacki wszelki powód być spokojnym co do Rosyi i spodziewać się, iż mimo Capodistriów czy Pozzo di Borgów będzie się trzymała względem Greków tychże samych, co on, podstaw i zapatrywań. Cesarz Aleksander kazał np. wykreślić z kontrol armii rosyjskiéj tych wszystkich oficerów, którzy się udali do szeregów powstańczych a dalsze szczegóły zachowawczéj polityki miały się urodzić i obmyślić na nowym kongresie...

Co się tyczy Hiszpanii, liczył kanclerz austryacki na osobiste usposobienie króla angielskiego i Castlereagha. W tym celu wybrał się w drugiéj połowie roku 1821 do Hannoweru i odbył z królem angielskim w Hannowerze szereg konferencyj, z których miał wszelki powód być zadowolnionym. Król Jerzy IV przeklinał głośno i bez ogródki rewolucyonizm europejski, wyrażał bez ogródki względem

niego te same usposobienia, co sam Metternich, i przedstawiał Castlereagha jako człowieka zaufania. Zżymał się przecież na opozycyjność reszty gabinetu i parlamentową większość, która mu na podjęcie dzieła restauracyi w Hiszpanii z pewnością nie pozwoli. Dla tego też przyjmuje późniéj, w r. 1822, Metternich istnie jak piorun z pogodnego nieba wiadomość o samobójstwie Castlereagha, po którym sukcesya gabinetowa dostaje się jego antypodowi politycznemu Canningowi. Metternich uważa przyjście Canninga do władzy za stanowczą klęskę swojéj polityki a uboższy nadzieją pozyskania *Anglii* dla represyi hiszpańskiéj, wybiera się w Październiku 1822 na kongres weroneński, stanowiący ostatnie ogniwo w pierścieniu owych zjazdów, za pomocą których usiłował utrzymać w kleszczach traktatów wiedeńskich wierzgającego przeciw nim ducha publicznego europejskiego. Wiadome rezultaty tego kongresu...

Wśród ciemnych protestów uwolnionéj już od kierownictwa Castlereaghowego Anglii, któréj reprezentant na dworze madryckim Sir Acourt sympatyzuje niedwuznacznie z rewolucyą,—podejmuje Francya wśród ironicznych powinszowań Austryi i Rosyi dzieło egzekutorki wyroków represyjnych kongresu Weroneńskiego przeciw Hiszpanii. Metternich nie umie powściągnąć objawów zadowolnienia najprzód ze stłumienia samejże rewolucyi hiszpańskiej, więcéj może jeszcze ze skompromitowania i poniżenia narzędzi, za pomocą których dzieła podobnego dokonywa. Francya, owa rewolucyjna Francya idzie gnieść i tłumić ruch hiszpański, którego ostatecznym celem tylko organizm polityczny, jaki sobie Francya sama przez morze krwi, w domu i poza domem wylanéj, wywalczyć potrafiła. W dodatku, jakoby ku skompromitowaniu i poniżeniu rewolucyi włoskiéj, znajduje się przy boku dowódzcy egzekucyi świętego przymierza księcia Angoulême, książę Carignanu, Karol Albert, odbywający w ten sposób pokutę za grzech udziału w awanturze piemonckiéj... Książę Metternich zaciera z radości ręce nad podobném widowiskiem, gdyby jéj tylko nie zakłócała postawa cesarza Aleksandra Capodistrii, Tatyszczewa wobec powstania greckiego. Chwilowo jednakże odnosi i na tém polu przecież połowiczne zwycięstwo. Niebezpieczeństwo wojny między Rosyą a Portą ottomańską zażegnane chwilowo a kanclerz austryacki i mężowie stanu Rosyi zgadzają się na politykę kompromisową między sułtanem a zbuntowanymi jego poddanymi greckimi. Sułtan ma uznać ich swobodę religijną, obdarzyć ich pewnemi ulgami administracyjnemi, udzielić amnestyą; w zamian mają Grecy wrócić pod jego panowanie i uznać jego władzę. Otóż to rezultaty kongresu weroneńskiego na wschodniéj i zachodniéj widowni europejskiéj rewolucyi...

Odtąd to, od roku 1823, można powiedzieć, stanowi główny i najważniejszy kłopot Metternicha *sprawa grecka*. We Włoszech panuje ponura reakcya; w Hiszpanii rozkoszuje się Ferdynand VII swém zwycięstwem. W Anglii psuje mu, co najwięcéj, humor, liberalny Canning, we Francyi jakiś objaw opozycyjności parlamentarnéj, w Rosyi po dawnemu Capodistria lub Pozzo di Borgo, z Niemiec zadowolniony,—pozostaje na placu jedyna Grecya jako niezwyciężony kłopot, z którym sobie skutecznie i radykalnie poradzić nie umie, który, nie występując czynnie, zażegnywa ciągle samemi półśrodkami. Rozpatrując się nieco uważniéj w korespondencyi i całéj działalności politycznéj Metternicha z owéj epoki, rozpatrując się w jego współczesnych memoryałach i instrukcyach posełanych hrabiemu Zichy do Petersburga, hrabiemu Apponyi do Paryża, księciu Esterhazemu do Londynu, nie można dość często powtórzyć tego, cośmy już powiedzieli, że sprawa grecka jest istnym kamieniem pobierczym nieudolności Metternicha jako męża stanu. Jedynym może politycznym argumentem, przemawiającym na rzecz jego polityki, jest przekonanie nie bez słuszności, że wypędzić Turków z Europy połączonemi siłami jest bardzo łatwém zadaniem, że jednakże największa trudność zależy na rozporządzeniu ich sukcesyą. Greków nie cierpi i odmawia im moralnéj i politycznéj kwalifikacyi zastąpienia Turków na półwyspie bałkańskim. Jedyny to przecież w całéj wschodniéj polityce kanclerza austryackiego argument istotnie przekonywającéj natury. Zresztą cechuje ją od początku do końca wieczny niepokój bez czynu i konserwatywny doktryneryzm. Metternich, nie licząc się ani z odgłosami opinii publicznéj europejskiéj, ani z rzeczywistém położeniem rzeczy, ani z naturą, czynnikami i charakterem greckiego powstania, nie upatruje w niém nic innego, jak objaw ogólnego rewolucyonizmu europejskiego, który jako szczerbę w budowie kongresu wiedeńskiego, czém-kolwiekbądź wypełnić i zamazać należy. Wyzyskać powstanie greckie dla Austryi, nie postoi mu ani na chwilę w głowie, całą jego namiętnością, całą jego dążnością stłumić je i przydeptać, co najwięcéj wśród pewnych ulg religijnych i administracyjnych, z dodatkiem jakiéj kulawéj amnestyi. W podobnéj, *grekożerczéj* dążności szuka sobie Metternich po całéj Europie sprzymierzeńców. W Październiku 1823 jedzie przez Galicyą do Czerniowiec na spotkanie z cesarzem Aleksandrem, w rok późniéj do Anglii, następnie do Francyi, późniéj w roku 1825 do Włoch. Nie można powiedzieć, aby jego polityka nie była uwieńczoną pewnym sukcesem. Cesarz Aleksander ulega wbrew usposobieniu swego otoczenia jego wpływowi i jakkolwiek sprzyjający może osobiście sprawie Greków, powstrzymuje się aż do ostatniego dnia swego życia

i panowania od wydobycia za nią miecza. W Anglii równoważą się ciągle z ostateczną korzyścią Turków prądy liberalne z tradycyjnemi sympatyami dla panowania tureckiego na wschodzie, w którego ruinach interesowi handlowemu i politycznemu Albionu tak łatwo i bezpiecznie się gnieździć. Francya czy to ostatnich dni Ludwika XVIII, czy pierwszych Karola X znajdowała się pod zbyt świeżemi wrażeniami swéj restauracyjnéj wyprawy hiszpańskiéj, aby tuż po niéj chciéć podejmować, mimo wszelkich sympatyj dla Grecyi, inną wręcz przeciwnego charakteru na półwyspie bałkańskim. Metternich zadowolniony z Francyi, z Karola X, z ministra jego Villèle'a, nie mniéj prawie aniżeli z Niemców i z usposobienia ich publicznego. Przejeżdżając wskroś Niemiec, spotyka się z samemi tylko wiwatami i bramami tryumfalnemi, a jak zaręcza, nie jest młodzież uniwersytecka właśnie w objawach podobnych ostatnią. Ważniejszemi przecież naturalnie są jego zdobycze moralne we Francyi, a pod tym względem posłuchajmy jego opowiadania z dnia 11 Kwietnia 1825 z Paryża.

„Mógłbym o tym przedmiocie (sytuacyi wewnętrznéj Francyi) napisać cały tom, lecz ponieważ cię zobaczę niezadługo, nie będę sobie téj pracy zadawał; zbywałoby mi zresztą na to czasu. Co jednak rzecz pewna, to, gdyby mi było trzeba czegoś innego od wewnętrznego mego przekonania, by wiedziéć, że zajmuję w świecie stanowisko zupełnie wyjątkowe, szczególne, jedyne, pobyt mój tutejszy w téj chwili wystarczyłby mi pod tym względem zupełnie. Stosunki moje z ministerium i królem z pewnością nie znajdują w przeszłości przykładów. Rzeczy zmieniają postać odpowiednio do tego, czy się patrzy na jeden peryod, czy też na całość wypadków, które dają zawsze pewien czas zastanowienia. *Ludzie uważają mnie jako rodzaj latarni, do któréj się zbliżają, aby się oświecić w nocy mniéj lub więcéj ciemnéj.* Nie mogę inaczéj skreślić tego, na co patrzę codziennie. Vilèlle i Damas chodzą i przychodzą do mnie, aby mi zadawać pytania, na które, Bogu dzięki, nie trudno odpowiadać. Skoro powiem moje zdanie, znajdują znakomitém, cokolwiek im powiem w materyi, w któréj bym bez zarumienienia się nie mógł powiedziéć nic innego. Możnaby sądzić, że ci poczciwi ludzie są przyzwyczajeni słyszéć: „*Nie wiem i nie rozumiem*", co jest odpowiedzią bardzo wygodną, zamiast odbierać śmiałe i stanowcze odpowiedzi. Nie mam, co do mnie, podobnych klęsk na sumieniu; otóż to dla czego znajdują, że ich latarnia oświeca. Pomiędzy wszystkiemi obowiązkami latarni, ten jest z pewnością najpospolitszym! Co widzę jasno, to że ambasador, jakiegobądź dworu wiedzący, iż ma racyą, to jest, który chce dobrego i który umie je wypowiedziéć bez ogródki, winien tu od-

grywać rolę bardzo znaczną. Pozzo np. byłby odegrał wybornie tę rolę, gdyby był dopełnił głównego warunku, jakiego wymaga. Miał przecież zawsze niesłuszność, a gdy rzecz ta stała się raz widoczną, osobistość spada niżéj od wszystkich, którzy ją otaczają. Takiém jest dzisiaj położenie p. Pozzo. Nawet skoro się zdarzy, iż odezwie się bezinteresownie, nie wierzy nikt jego słowom. Najwięcéj mu zaszkodziły finansowe spekulacye, które go niesłychanie zbogaciły. Wziął wielki udział w pożyczce dla kortezów; można sobie wyobrazić potém, jak głos jego jest uważanym w sprawie legitymizmu. Dla mnie mają najwięcéj interesu ściśle stosunki, jakie się utworzyły między stronnictwem *czystem* a moją osobą. Łączność ta będzie miała szczęśliwe następstwa. Ludzie, będący na czele tego następstwa, cisną się około mnie pełni zaufania, a rozpatruję się dzisiaj jasno w ich czynach, w ich planach i w ich nadziejach, jak gdybym tu już był od długich lat. Niechaj ci starczy chwilowo zapewnienie że tutaj nawet, w samém wnętrzu wszelkiego złego, utworzyło się jądro prawdziwego dobra, które się rozszerza i utwierdza bez ustanku w kierunku prawdziwie praktycznym. *Czynność* jest to, co charakteryzuje Francuzów, a nie poprzestają nigdy na próżnych słowach. Widuję często Bonalda. Pociąga mnie mocno do siebie a jest daleko praktyczniejszym, aniżeli przypuszczałem. Obok tego odznacza się w wielu materyach niewiadomością głęboką, jakiéj we Francyi znaleść trudno. Ma rodzaj milczącego podziwu dla wszystkiego, co wiem i gdy odbywam rachunek sumienia, znajduję doprawdy, że między nami nie wydarzyło się przypadku, aby nie wiadomość była mnie strąciła aż na poziom tępoty. Powód, dla którego złe robi ogromne postępy tak łatwo, leży w tém, iż wystarcza być nieukiem, aby stać się bohaterem złego. Ostatniemi czasy powiedział mi Bonald piękne słowo mogące znaleść zastosowanie ogólne, powiedział: „Właściwością głupców, a tworzą większość w społeczeństwie, jest ich skłonność odkrywania trudności w dobrych rzeczach a łatwość w złych.“ Aksiomat ten jest słuszny; da się zastosować np., jak niemożna lepiéj do biegu, jakim postępuje ministeryum angielskie. W przymierzu z nami znajduje ten gabinet wszystko trudném, w stosunkach z liberalizmem znajduje przeciwnie wszystko łatwém. Człowiekiem bardzo praktycznym jest Franchet. Jest bardzo młody, w towarzystwie bardzo przyjemny, a nawet usposobienia wesołego. Mógłbym ci dać o ludziach znajdujących się tutaj u władzy, objaśnienia, któreby cię w tym przedmiocie zbudowały. Wczoraj miałem zaszczyt być na obiedzie u króla. Odkąd monarchia istnieje, widziano tylko dwa razy prostych śmiertelników zasiadających do królewskiego stołu: księcia Wellingtona w r. 1815 i lorda Moira w charak-

terze osobistego przyjaciela rodziny podczas wygnania. To też wypadek ten robi tutaj wiele hałasu, według usposobienia różnych stronnictw. Jestem pewien, iż więcéj, niż raz jeden powiedzą, że *swoboda prasy* została poświęcona na stole wczorajszego obiadu."

Takich listów z epoki pobytu Metternicha w Paryżu mamy więcéj. Książę-kanclerz przegląda się tutaj w zwierciedle swojéj własnéj próżności; zadowolniony z siebie, zadowolniony z Francyi, przekonany, że potrafił zorganizować i natchnąć siłą oporu zachowawcze żywioły kraju, że zdołał zapobiedz wszelkiéj, sentymentalno-rewolucyjnéj interwencyi na rzecz buntowników greckich.

Takież samo uczucie pociechy wynosi z wycieczki do Włoch, w Maju 1825, krótko po śmierci żony. Podróż tę odbywa znów z cesarzem Franciszkiem, który na całym półwyspie odbiera hołdy „wszystkich zdrowo i dobrze myślących", ku wielkiemu zmartwieniu i gniewowi „złych i przewrotnych." Jestto epoka powstania greckiego, kiedy przybycie posiłków egipskich na jego widownią pod wodzą Ibrahima-baszy tłumi i gniecie wszelki opór a samemu powstaniu rychły zwiastuje koniec. Metternich cieszy się podobną perspektywą, doznaje nie mniejszego zadowolnienia z poniżającego aktu upokorzenia, jaki wobec cesarza Franciszka i jego samego odbywa następca tronu piemonckiego, późniejszy król Karol Albert. W liście z Mediolanu 16 Czerwca 1825 pisze:

„Historya powstania greckiego będzie kiedyś bardzo ciekawą. Spencer (kapitan angielski) twierdzi, że przed jego wyjazdem z Grecyi (około 15 Maja 1825) nie było ani jednego spotkania, z wyjątkiem kilku wycieczek walecznéj załogi Nawarynu, wycieczek zresztą odpartych, równie na morzu, jak na lądzie. Proszę cię przesłać te wskazówki internuncyuszowi; będą może miały pewną wartość dla niego i posłużą mu do kontrolowania tego, co wie z innéj strony. Nasz pobyt w Genui będzie miał szczęśliwe następstwa. Jest niepodobieństwem mieć więcéj powodzenia aniżeli go ma cesarz. Król (piemoncki) jest doskonały a książę Carignanu, który zdaje się lękać cesarza a nawet mnie, jak o tém wszyscy mnie zapewniają, zachowuje się bardzo dobrze. Oświadczył wobec nas otwarcie swoje *Pater peccavi* i zdaje się rzeczywiście stanowczo zdecydowanym nie dać się daléj oszukiwać. Jeżliby się kiedykolwiek inaczéj zdarzyć miało, nie wiem, jaka nieszczęsna gwiazda mogłaby go do tego zaprowadzić, ponieważ zna gruntownie swoich dawniejszych przyjaciół. Przepędziłem z nim wiele godzin i opowiadał mi rysy charakterystyczne liberalnego kramu, o jakich nigdy nie słyszałem. Między innemi dał mi bardzo ważne skazówki o postępowaniu księcia d'Angoulême i jego słynnego sztabu generalnego. Pod względem

doświadczenia, był mu czas, który przepędził pośród armii francuzkiéj i w Paryżu, bardzo użyteczny; mówi o wszystkiém z otwartością, która mu daje pozory zupełnie nawróconego. W przypadku, gdyby jego nawrócenie nie miało być rzeczywistém, nie mogłoby go nic wytłómaczyć w oczach cesarza a mniéj jeszcze w oczach moich. Byłem oszukany, rzekł do mnie, żegnając się, i byłem nim w zupełności. Dzisiaj nie jestem nim już i nie chcę być nigdy. Nauczyłem się znać liberalizm i jego rzeczników, zbrzydziłem ich sobie. Postępowanie jego jest wogóle, całkiem odpowiednie téj zasadzie, a cesarz myśli, jak ja, iż on nie pozwoli się schwycić tak łatwo poraz drugi. Co Boże daj!“

A więc i pod *tym* drobnym i ubocznym względem jeszcze jedna illuzya dyplomaty austryackiego, który z wiosną roku 1848 miał jeszcze sam sposobność przekonać się, o ile jego optymizm co do osoby Karola Alberta był ułudnym!...

Zadowolniony z następcy tronu piemonckiego, miał Metternich w ciągu swéj podróży włoskiéj powód być jeszcze więcéj zadowolnionym z papieża, nie przeczuwając, że i na téj widowni nastąpią zmiany nie odpowiadające niczém i w niczém dzisiajszéj pogodzie. „Kardynał Albani,“ pisze kanclerz austryacki, „który tu (do Mediolanu) był przysłany w celu powitania cesarza, wyjechał także. Od długich lat utrzymywałem stosunki przyjaźni z kardynałem; to téż odwiedzał mnie często. Gdy ostatniemi czasy Albani zakomunikował mi zamiar swego rychłego powrotu do Rzymu, dodał z pewną uroczystością, że ojciec św. polecił mu zadać mi pewne pytanie. Równocześnie wyciągnął z kieszeni własnoręczny list, który jego świątobliwość doń wystosowała i prosił mnie o przeczytanie tego dokumentu. Pismo to zawierało tylko te słowa: Czytałem z zadowolnieniem twój poufny list oznajmiający mi, że według twego przekonania książę Metternich pragnąłby wstąpić do kolegium kardynalskiego. Książę (tu następowało wyliczenie wszystkich czynów, przez które zasłużyłem sobie na podobne odznaczenie) posiada tyle praw do téj godności, iż jestem gotów mu ją nadać. Nim jednakże przystąpię do nominacyi księcia, zechciéj go stanowczo zapytać, czy pragnie rzeczywiście kardynalstwa, w którym to przypadku zaproponowałbym go na najbliższym tajnym konsystorzu. Możesz sobie wyobrazić wrażenie, jakie na mnie wywarła ta wiadomość, któréj nie umiałem sobie wytłómaczyć. Prosiłem kardynała, aby mnie w tym względzie oświecił, odpowiedział mi, że zdawało mu się odgadywać moje pragnienie posiadania kapelusza kardynalskiego z kilku wyrazów, które wyrzekłem, wyrazów odnoszących się do *czerwonego koloru*, który w rozmowie wskazałem kardynałowi jako będący

mi przyjemnym. Odgadniesz bez trudu odpowiedź, jaką dałem gorliwemu popieraczowi myśli, któréj sam nigdy nie miałem.“ Dziwić-że się wobec podobnych objawów monumentalnego serwilizmu, miłości własnéj takiego Metternicha, dziwić-że się, że mu dym podobnych kadzideł ze strony instancyj i instytucyj, mających obowiązek szanowania swéj godności, „*idzie do głowy*“ i że zamąca swobodę jego sądu i zastanowienia?

Co w ciągu owéj podróży włoskiéj zastanawia, czego w niniejszych pamiętnikach nie znajdujemy, ale co nam wiadomo zkądinąd, to dziwna i bezsercowa głuchota jego wobec cierpień Włoch, wobec udręczeń Lombardyi i Wenecyi. Nie zapominajmy, że to klasyczna epoka Spielbergów i Kufsteinów, owych *carcere duro*, Silvia Pellica Pallaviciniego, Confalonierego, Francuza Andryane'a. Rodziny skazanych oblegały, jak nam wiadomo, tak cesarza jak kanclerza. Nadaremno; odpowiedzi brzmiały regularnie twardą, zimną odmową, jakkolwiek nieszczęśni skazańcy od lat przeszło pięciu dźwigali kajdany. Pierwsze ulgi miały ich dopiero spotkać w roku 1830.

Doktryneryzm konserwatywny czy to na zewnątrz, czy na wewnątrz przeważa tutaj wszelkie inne względy, jakkolwiek-by się zdawać mogło, że umysł kanclerza austryackiego nie jest przecież raz na zawsze zamkniętym przystępowi prawdziwszych i praktyczniejszych pojęć politycznych. Tak np. staje się właśnie podówczas, właśnie w tymże samym roku 1825, książę Metternich mentorem politycznym, prawda, że bardzo niepojętych uczniów, następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda i brata jego a ojca dzisiejszego cesarza Franciszka Józefa, arcyksięcia Karola. Udziela im po prostu lekcyj praktycznéj polityki a między innemi spotykamy się z taką, zapisaną w programie nauki maksymą: „Zasada prawdziwéj polityki i prawdziwéj dyplomacyi. Są ograniczone trwałemi i rzeczywistemi interesami państw. Niedogodności polityki opartéj jedynie na namiętnościach. Jakaż jest prawdziwa polityka Austryi?“ Niewątpliwie bardzo zdrowe uwagi; byle tylko były znalazły miejsce nie w programie lekcyj tępych arcyksiążąt, lecz w praktycznéj działalności kanclerza! Że przecież tak *nie* jest, najlepszym dowodem cała jego działalność polityczna, przedewszystkiém znów jednakże w sprawie greckiéj. Nienawiści do osoby i polityki Canninga, komedya sejmu węgierskiego, z którego się Metternich dość naśmiać nie może, kłopot nieustanny o postawę Rosyi, wszystko to tylko mniejszéj wagi epizody téj epoki życia Metternicha, w któréj głównym trudem i zajęciem jest—*Grecya.* Stanowczym w téj dziedzinie wypadkiem jest zgon cesarza Aleksandra I. Metternich czuje się najprzód zatrwożonym i zaniepokojonym, następnie popada w stan niepewności z powodu następstwa

po zmarłym cesarzu. Niepewność owa sukcesyi trwa dla Wiednia przez cały miesiąc i nie pozwala ustawić prawdopodobnego horoskopu co do sprawy greckiéj. Cokolwiekbądź, panowała w gruncie rzeczy, mimo wszelkich przemijających nieporozumień, pewna zgoda w polityce cesarza Aleksandra i Metternicha. Zgon pierwszego wprawiał rzeczy na wschodzie w stan niepewności; co następca jego na tronie rosyjskim uczyni, nie dało się obliczyć. Jest to chwila, w któréj Metternich zgadza się wreszcie na stan jakiejś połowicznéj niepodległości greckiéj z cichą nadzieją w odwodzie, że baszy egipskiemu uda się przecież może jeszcze ruch powściągnąć.

Niepewność co do sukcesyi rosyjskiéj kończy się wstąpieniem na tron cesarza Mikołaja. Metternich, oceniając ogólne położenie Rosyi i skreślając charakterystykę dotychczasowych jéj władców, przyjmuje z pewną sympatyą wystąpienie nowego monarchy i odzywa się o nim i o Rosyi w sposób następny: „Nie znam stanowiska trudniejszego do wypełnienia od stanowiska cesarza Mikołaja. Aleksander, który miał łatwe zadanie, biorąc koronę po swoim ojcu, był na nieszczęście dzieckiem swéj epoki. Postępując od jednego do drugiego kultu, od jednéj do drugiéj religii, wstrząsnął wszystkiém, nie zbudował niczego. Wszystko w nim było powierzchowném, nic nie przechodziło po za to; przesadzony we wszystkiém i skłonny zawsze do przekładania złego nad dobre, pozostawił po upływie 25 lat panowania państwo swoje tam, gdzie cesarz Józef zaprowadził swoje w przeciągu dziewięciu. Józef II przecież był administratorem, czém monarcha rosyjski nie był. Cała materyalna część pierwszego była w ogóle dobrą a nawet niekiedy podziwienia godną. Dawna Rosya już nie istnieje; Mikołaj jest powołany do stworzenia nowéj a najszczersze życzenia moje towarzyszą mu w tém wielkiém i szlachetném przedsięwzięciu.“ Co także jeszcze starczy księciu-kanclerzowi za powód sympatyi i uznania dla cesarza Mikołaja, to nienawiść jego dla Greków. Pozostanie niezaprzeczonym faktem, że władca mocarstwa, które bezpośrednio przyczyniło się głównie do wzniesienia niepodległéj Grecyi, żywych jéj reprezentantów, co najmniéj, niesłychanie lekceważył. Uczuć tych nie wypiera się nawet w samejże chwili niemal wydobycia miecza za niemi w roku 1828. Charakterystycznym pod tym względem jest list posła austryackiego w Petersburgu, hr. Zichy do Metternicha, zdający szczegółową sprawę z rozmowy z cesarzem: „Trzymam się religijnie zachowawczych podstaw św. przymierza“—powiedział mi cesarz—„będę zawsze najgorliwszym stronnikiem św. przymierza, które znajdzie we mnie, cokolwiekbądź kto powie, jednę z najsilniejszych swych podpór. Powtarzam przy téj sposobności, że nienawidzę Greków, że się nimi brzydzę, jakkol-

wiek są moimi współwiercami; postępują sobie w sposób szkaradny, potępienia godny, zbrodniczy nawet, uważam ich zawsze jako poddanych znajdujących się w otwartym buncie przeciw prawowitemu panu; nie chcę ich oswobodzenia; nie zasługują na nie, a byłoby bardzo złym przykładem dla wszystkich innych krajów, gdyby im się udało takowe uzyskać. Nie uznałem również niepodległości kolonij hiszpańskich w Ameryce i znajduję, że propozycya, jaką przedłożyliście w Londynie w przedmiocie Grecyi, znajduje się w sprzeczności z zasadami, jakie wyznajecie, i wytrąca was z waszéj roli. Co do mnie, pozostaję czystym i wiernym moim monarchicznym zasadom. Cesarz, zechciéj mu to powiedziéć, znajdzie zawsze we mnie potężnego i wiernego sprzymierzeńca, gotowego mu podać pomoc w każdéj okoliczności a uznającego tylko co jest prawowitém. Gdyby potrzebował mojéj pomocy w jakimbądź zawikłaniu, znajdzie mnie zawsze gotowym do wspierania siebie z dobrą rezerwą, gdziekolwiek ją uzna za potrzebną. Daję ci tu na to moje słowo; potrzebuje tylko rozkazać.“

Nie przytaczając dalszych, ciekawych zresztą niezmiernie szczegółów téj rozmowy między hrabią Zichym a cesarzem Mikołajem, pojmiemy, jak dalece monarcha wyznający podobne uczucia względem nienawistnych Greków, przyznający się, nie dość na tém, do podobnych zasad politycznych, odpowiada ideałowi kanclerza austryackiego. Mimo to pokazuje się właśnie na tym przykładzie, do jakiego stopnia wszelkie ludzkie rachuby i widoki w obec niepowstrzymanego biegu wypadków i wyroków dziejowéj opatrzności są uludne i jak dalece tenże sam władzca wbrew woli i zasadom znalazł się skazanym na uczestniczenie w dziele oswobodzenia Grecyi, które mu było tak wstrętném. Tragi-komicznemi mianowicie są następstwa tak zwanego protokółu londyńskiego z dnia 6 lipca 1827 r., podpisanego między Francyą, Anglią a Rosyą w zamiarze uspokojenia i rozgraniczenia obu stron ku pokojowemu załatwieniu zawieruchy greckiéj, znajdującego wbrew woli Francyi i Anglii mianowicie rozwiązanie w katastrofie nawaryńskiéj, która ku przerażeniu samychże współzwycięzców, zniszczyła siłę morską Turcyi, by ją następnie od strony lądowéj, wyniszczoną i niezdolną do oporu, otworzyć inwazyi rosyjskiéj. Nie mniejszém w skutek gromu nawaryńskiego jest przerażenie samego Metternicha, który, jak zawsze, tak i na ten raz, zionący gradem pocisków papierowych na zbuntowanych greków, na Canninga, na rewolucyonistów całego świata, radby dopomagać zagrożonym i zachwianym Turkom... *życzeniami*.

Wśród tych wypadków z dziedziny wielkiéj polityki, zapisują się lata 1828 i 1829 w prywatném i rodzinném życiu kanclerza szere-

giem smutnych wydarzeń: śmiercią matki, śmiercią córki i żony, wreszcie zgonem pełnego nadziei syna Wiktora. Zapisać-że wśród tego fakt nabycia przezeń dóbr Klass w Czechach, jako dowód, że kanclerz nie tracił materyalnie i osobiście na *swéj* polityce? Również zapiszmy jako epizod pośród absorbującéj wszystko naówczas sprawy greckiéj i jéj kłopotów na dworze wiedeńskim, awanturę Dom Miguela w Portugalii. Jedyny to zapewnie specymen ultra-konserwatyzmu europejskiego, który nie ma szczęścia cieszenia się sympatyą księcia-kanclerza. Dom Miguel przywłaszcza sobie prawa Maryi da Glorii, córki Dom Pedra, cesarza brazylijskiego, wnuczki cesarza Franciszka. Dlatego to tylko infant portugalski, jakkolwiek politycznie najwzorowszy wyznawca konserwatyzmu i monarchicznego absolutyzmu, nie znajduje ani poparcia, ani sympatyi na dworze wiedeńskim.

Głównym przecież kłopotem owych lat 1828 i 1829 pozostaje sprawa grecka z dwoma swemi wojnami, turecko-rosyjską rozpoczynającą się z wiosną r. 1828 i wyprawą marszałka Maison do Morei. Wobec tych dwóch wojen czy zamachów, zarówno wstrętnych Metternichowi ze stanowiska jego polityki wschodniéj, przedstawia nam się kanclerz znów tém, czém był zawsze, doktrynerem zdolnym do życzeń i westchnień, w najostateczniejszym razie anatematów, nigdy— śmiałéj i stanowczéj akcyi. Zaciera ręce z radości na wieść o niepowodzeniach rosyjskich nad Dunajem w roku 1828; nie mniejszém zadowolnieniem przejmują go tanie i bezpłodne tryumfy Francuzów w Morei; czynnie sam wystąpić nie myśli. Epizod ten jego polityki ma jeszcze i pod tym względem znaczenie, że widzimy w nim występującego dzisiejszego cesarza Niemiec, ówczesnego księcia Wilhelma pruskiego. „Pomiędzy cudzoziemcami—pisze Metternich pod dniem 14 września 1828 r.—którzy przybyli brać udział w ćwiczeniach obozu pod Baden (Traiskirchen), znajdowali się książęta Wilhelm i August pruscy. Pierwszy jest księciem odznaczającym się pod każdym względem. Wiadomo ci (Esterhazemu), że jest połączony ścisłemi węzłami przyjaźni z cesarzem Mikołajem i że opuścił dopiéro Petersburg po pobycie kilkomiesięcznym w chwili, kiedy j. c. mość udała się do armii. Książę Wilhelm czynił wszelkie starania, aby uzyskać od króla swego ojca pozwolenie odbycia kampanii w armii rosyjskiéj. Król jednakże odmówił. Znając stosunki i zdolności j. k. wysokości, winienem był naturalnie przywiązywać wielką wagę do odgadnienia jego myśli co do położenia rzeczy na teatrze wojny. Otóż, mój książę, rezultaty, do których pod tym względem przyszedłem. Stwierdziłem najprzód w zasadzie, że książę Wilhelm jest zupełnie obznajmiony z zamiarami cesarza rosyjskiego. Przepędził przy jego boku miesiące poprzedzające rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, a wiem

bardzo dobrze, że nietylko cesarz pokłada w nim wielkie zaufanie osobiste, lecz że istnieje nawet między nimi żywa korespondencya. Wychodząc z tych podstaw, winienem przypuszczać, że słowa księcia mają wagę słów wypowiedzianych przez samegoż cesarza Mikołaja. Skoro rzecz ta jest dla mnie dowiedzioną a nie znajduje się w sprzeczności z przekonaniami, jakie zawsze wyznawałem co do prawdziwego położenia rzeczy w przeszłości, stwierdzam daléj fakta następne. Straszliwe zawikłanie obecnéj chwili czerpie swe źródło z usposobienia lekkomyślności, pozwoliłbym sobie nawet powiedzieć, z prawdziwego dzieciństwa młodego monarchy i jego młodego otoczenia, podżeganego i podsycanego przez niesłychaną słabość gabinetu i złe sztuki niektórych wichrzycielskich umysłów. Istotna wojna była uważana za rzecz niemożliwą. Jakżeż ci nędzni Turcy, zdradzający za każdym krokiem swą słabość i strach przez gotowość przyjmowania wszelkich obelg, śmieliby wystawić się na wojnę z Rosyą? Pełnomocnicy tureccy mieli się stawić niezawodnie na pierwszych etapach marszu rosyjskiéj armii. Co do owego wstrętu względem zdobyczy materyalnych, to cesarz był w dobréj wierze. Pragnął tylko oprzéć przyszłość swego panowania na jakimś świetnym czynie i zapewnić równocześnie drogom handlowym swego państwa zupełną swobodę. Książę Wilhelm zagadnięty przezemnie co do materyalnych trudności przeszkadzających osiągnięciu podobnego celu, zapewnił mnie, iż nie zna dokładnie środków przewidzianych przez cesarza, lecz że myśli, iż się nie myli, szukając ich w dwóch warunkach następnych: w zniszczeniu wszystkich twierdzy tureckich nad Dunajem, następnie zamków bosforskich i dardanelskich. Na moję uwagę, że istnienie państwa ottomańskiego, połączone jak istnienie każdego innego państwa ze środkami zabezpieczenia swéj niezależności, mogłoby się znaleść zagrożoném przez wykonanie podobnego planu, który dla tegoż samego, mógłby znaleść silną opozycyą ze strony Porty a którego urzeczywistnieniu mocarstwa prowadzące handel lewantyński mogłyby również przeciwstawić wielkie trudności, odpowiedział mi książę bez wahania, że nie uważa rzeczy z tego samego stanowiska; że Porta zasłużyła na karę i że nie trzeba jéj słuchać, że co się tyczy mocarstw morskich, nie mają nic rozsądnego do nadmienienia przeciw planowi podobnemu, zwłaszcza, że cesarz nie ma bynajmniéj zamiaru przeszkadzania handlowi, lecz, że przeciwnie, pragnie go oswobodzić od wszelkich możliwych przeszkód. Książę przyznaje, że wypadki nie odpowiedziały dotąd oczekiwaniom, lecz że takowe znajdą się niewątpliwie uwieńczonemi większém powodzeniem w przyszłéj kampanii. Przypuszcza z drugiéj strony, że to położenie rzeczy przedstawia ważne niebezpieczeństwa dla zacho-

wania pokoju europejskiego i że w skutek tego mocarstwa powinnyby starać się zapobiedz konieczności ponownego podjęcia wojny.“

Otóż zwierzenia, jakie kanclerz austryacki odbiera z ust dzisiejszego cesarza Niemiec w przedmiocie zawikłania wschodniego i udziału w niém Rosyi. Dalszy przebieg téj tyle żywotnéj dla interesu austryackiego sprawy nie przedstawia politycznéj działalności Metternicha ani w dodatniejszém, ani w ciekawszém świetle. Prawdziwemu mężowi stanu przedstawiała się wobec podobnego zawikłania na sąsiedniéj widowni następna alternatywa: *albo* dobyć miecza w obronie Porty ottomańskiéj, *albo* też porozumiéć się z Rosyą w przedmiocie podziału korzyści wojny. Kanclerz austryacki załatwia wschodni kłopot tańszym kosztem. Sympatyzuje platonicznie z Portą, zaciera ręce z radości na wieść o jakiémbądź potknięciu się akcyi rosyjskiéj, liczy, że Anglia i opatrzność nie pozwolą zbytniego obcięcia i upokorzenia Turcyi; tymczasem zaś bawi się nieprzerwanie w doktryneryzm polityczny, załamuje ręce nad wojną turecko-rosyjską, jako nad kardynalnym grzechem przeciw katechizmowi zachowawczemu, przyjmuje z niesłychaném zadowolnieniem a większemi jeszcze nadziejami fakt utworzenia gabinetu Polignaca we Francyi, z najgorszym humorem wiadomość o zawarciu traktatu adryanopolskiego, 14 września r. 1829. Już następnie, już podczas tragikomicznych negocyacyj o koronę grecką, już w owym przededniu rewolucyi lipcowéj, usiłuje książę-kanclerz istnie niedołężną dłonią powstrzymać bieg pędzącego niepowstrzymanie potoku, kreśli w październiku r. 1829 jeszcze memoryały o konieczności utrzymania zbiorowego systemu zachowawczości europejskiéj.

Na tém kończy się ostatni tom nowéj seryi tak zwanych *Pamiętników Metternicha.* Niechaj nam będzie wolno wyciągnąć z nich ostateczny nasz sens moralny i polityczny.

Nie można dość często powtarzać, że ręka właściciela papierów po kanclerzu austryackim, księcia Ryszarda Metternicha i ręka wydawcy, archiwisty p. Klinkowströma, pousuwała tak w pierwszéj, jak w drugiéj seryi wydawnictwa najciekawsze rzeczy, że *arcana imperii* wcale przez te *pamiętniki* nie odsłonione, że kongres wiedeński pominięty w nich prawie zupełnie, że usunięto troskliwie wszystko, coby mogło *kompromitować* kanclerza, coby go mogło przedstawić w ujemném świetle. A mimo to, jakże wyraźnie, jakże charakterystycznie, a jak wcale *nie dodatnio* staje przed oczyma naszemi, dzięki owéj publikacyi, tak mąż stanu, jak człowiek! Tak jeden, jak drugi nie wychodzi korzystnie, choć przyznać należy, iż drugi góruje jesz-

cze nad pierwszym. Jeżeli, by zacząć od *człowieka*, osobistość zdolna pełzać wobec potęgi i uroku Napoleona, doradzająca nawet z gruntownem przepomnieniem i poświęceniem monarchicznych i konserwatywnych przekonań, rzucić w objęcia rewolucyi „córę Cezarów,“ oceniająca akt podobny ze strony swego monarchy jako czyn istnie „wielkiéj duszy,“ przekreśla z odmianą fortuny podobne swe usposobienia, rady i wspomnienia do tego stopnia, iż temuż samemu Napoleonowi wbrew wyraźnym objawom woli cesarza Aleksandra i króla pruskiego, zazdrości swobody oddechu i kilku mil kwadratowych wolnéj przestrzeni, niepodobna zapewne przyznać *takiéj* osobistości przymiotów tego, co się nazywa szlachetnym, ludzkim charakterem. Gdy z drugiéj strony widzimy, jak tenże sam człowiek wobec nieszczęść rodzinnych okazuje się czułym i wrażliwym, z jaką troskliwością i surowością syna, męża, ojca czy to wieńczy własnoręcznie kwiatami groby ojca i matki, czy śledzi z udzielającém się sympatycznie samemuż czytelnikowi biciem serca ostatnie tchnienia umierających, dorosłych dzieci, czy ze łzami w oczach każe Lawrence'owi przenosić na płótno rysy ukochanéj zmarłej małżonki; gdy postępując daléj jeszcze w analizie człowieka, przekonywamy się, że to umysł przystępny wrażeniom wszelkiego piękna, wysoko ukształcony, łatwego i pięknego talentu pisarskiego, obok tego wszystkiego mocno ulegający podszeptom próżności, kołyszący się z lubością na falach miłości własnéj, przychodzimy do stwierdzenia nie nowéj zresztą wcale prawdy, że organizmy ludzkie jednego i tego samego moralnego i psychicznego odlewu są tylko wyjątkiem, że najczęściéj przeciwieństwa najodmienniejszéj natury i wartości podają sobie ręce, że nic wreszcie więcéj od praktycznéj polityki a nadewszystko walki partyjnéj nie jest w stanie zmieniać i przeinaczać naturalnych skłonności i usposobień umysłu i serca. Taż sama epoka dostarcza wielce podobny kanclerzowi austryackiemu pod tym względem egzemplarz. Talleyrand jest również dobrym panem swych domowników, troskliwym krewnym, umysłem lubiącym zajęcia literackie. Jakim wyszedł *człowiekiem* z męczeńskiéj i komicznéj na przemian gimnastyki swego tylu służbom i sprawom poświęconego żywota politycznego...

Wyraźniéj od dwóch pierwszych tomów *„pamiętników“* przedstawiają nam obecne dwa nowe męża stanu. Obie serye uzupełniają się, mimo wszelkich okaleczeń i przemilczeń, jak najwyborniéj i przedstawiają zaokrągloną, charakteryzującą logicznie osobę i politykę kanclerza austryackiego, całość. Już w sprawozdaniu z pierwszych dwóch tomów pozwoliliśmy sobie zwrócić uwagę na niewątpliwy według nas pewnik, że w pierwszém sześcioleciu swoich rządów w Austryi, Metternich był raczéj konserwatywnym doktrynerem, ani-

żeli mężem stanu mającym na względzie i celu wielkość i interes Austryi; że wyniosłszy z otoczenia domowego, z ławy szkolnéj i uniwersyteckiéj hydrofobijny istnie wstręt do rewolucyi francuskiéj i jéj idei, przeniósł go bez zastrzeżeń na osobę Napoleona, jako jéj wcielenie. Ztąd tłómaczymy sobie systematyczne odrzucanie z jego strony wszelkich praktycznych i dotykalnych korzyści, jakiemi Napoleon Austryą od r. 1810 darzył. Zapewnie nie mogło by być dla Austryi od czasu istnienia jéj w dzisiejszych jéj granicach i pojęciach korzystniejszych kombinacyj, aniżeli program Napoleona co do księstwa Warszawskiego, zwrot prowincyj illiryjskich, nabytek księstw naddunajskich i ujść Dunaju. Metternich nie rozumie i nie przyjmuje tych korzyści zaręczających wielkość państwową Austryi. W roku 1813 wymagał bezwątpienia interes Austryi *osłabienia* Napoleona; *upadku* jego nie wymagał nigdy, ponieważ przewaga kontynentalna obracała się w takim razie, nie tylko już nawet ze szkodą państwowego interesu Austryi, ale nawet, co dla Metternichowéj polityki rzeczą najważniejszą, ze szkodą idei konserwatywnéj *jego* autoramentu, na rzecz koalicyi rosyjsko-pruskiéj. Pojaw to zresztą tak jasny, tak namacalny, że się sam Metternich tuż niemal po bitwie lipskiéj, w skargach swych na otoczenie niemieckie cesarza Aleksandra, Steina, Arndta, Pfuhla, Anstettena, z pewną naiwnością do świadomości jego szkody przyznaje!

Epoka między rokiem 1815 a 1830, właśnie epoka niepodzielnego prawie Agamemnonatu księcia-kanclerza austryackiego w losach Europy, wykazuje podobnie ujemny charakter jego polityki w spotęgowanym tylko stokroć stopniu. Nic słuszniejszego nad wspomnioną już maksymę polityczną Metternicha, zapisaną w program lekcyj młodych arcyksiążąt: „*Zasada prawdziwéj polityki i prawdziwéj dyplomacyi. Są one ograniczone trwałemi i rzeczywistemi interesami państw. Niedogodności polityki opartéj jedynie na namiętnościach. Jakaż jest prawdziwa polityka Austryi?*“ Otóż wręcz przeciwnie zapisanéj przez się tak trafnie *teoretycznéj* prawdzie, pomiata nią Metternich cynicznie w *praktyce* swéj polityki. Nie wielkość i potęga Austryi są tu celem, lecz przeciwnie wielkość i potęga Anstryi mają tu być środkiem i narzędziem kosmopolitycznéj doktryny zachowawczéj, słowem, polityka namiętności zamiast polityki interesu. Metternich nie umie wyzyskać ani jednego z licznych ówczesnych zawikłań europejskich na dotykalną korzyść Austryi, moralną czy materyalną. Cała jego rola polityczna redukuje się do pełnienia obowiązków nie zawsze zręcznego, nie zawsze gotowego, bo często zbyt odległego od widowni naczelnika straży ogniowéj europejskiéj. Czy płomień buchnie w hiszpańskich koloniach Ameryki, czy na półwyspie iberyjskim; czy re-

wolucyjna pożoga wystrzeli słomianym ogniem we Włoszech, czy też powstanie greckie stanie w swéj stalowéj, nieugiętéj postaci na polu walki z Turkami; czy studenci niemieccy krzyczą na Wartburgu, opozycya francuska w izbach, czy Capodistria lub Pozzo di Borgo nie zdają mu się wyznawać czystéj idei konserwatyzmu *jego* autoramentu, widzimy Metternicha pędzącego na odsiecz zagrożonemu porządkowi świata za pomocą owych kongresów i zjazdów, których zaradczość nie sięga również po za sferę materyalnéj represyi bez rozprawienia się z przyczyną „*złego*.“ Gdyby też zaś przynajmniéj w zamian choć sława wojenna Austryi była z podobnéj i wśród podobnéj polityki wyniosła korzyść. Istotna *akcya* Austryi kończy się przecież na bezkrwawém stłumieniu nędznych wybuchów neapolitańskiego i piemonckiego. Z demagogami niemieckimi rozprawiły się skutecznie komisye śledcze i policye związkowych mocarstw.

Widząc w téj epoce piętnastoletniéj po roku 1815 Metternicha tak skrzętnym, tak zabiegłym, tak gorliwym około porządku rzeczy zachowawczego w Europie, tak niespokojnym o nietknięte zachowanie budowy z kart kongresu wiedeńskiego, tak spieszącym jéj wszędzie na odsiecz, jeżeli nie czynem, to choćby życzeniami i westchnieniami tylko, zapytajmy, co czynił równocześnie dla *Austryi*, jakim był *jéj* mężem stanu, kiedy od Peru i Boliwii aż nad brzegi Bosforu i Newy spieszył choćby memoryałami tylko i notami dyplomatycznemi gasić pożary rewolucyjne? Trzy naówczas były widownie dla najbezpośredniejszéj, naturalnéj akcyi zewnętrznéj polityki austryackiéj: Niemcy, Włochy i Wschód. Wszystkie trzy widownie przedstawiały dla prawdziwego męża stanu, nie dla doktrynera, bogate i wdzięczne pole działalności. W *Niemczech*, w obec niezamarłych jeszcze tradycyj dawnego cesarstwa, w obec popularności cesarskości austryackiéj, wobec małéj jeszcze powagi Prus, przedstawiała się mężowi stanu Austryi możność ubieżenia ich raz na zawsze najprzód w moralném, następnie w polityczném panowaniu. Na to trzeba tylko było nieco szerokości poglądów i umiejętności liczenia się z potrzebami i prądami czasu. Samochwalczy kanclerz znalazł wobec Niemiec jedno tylko lekarstwo: komisyą śledczą moguncką i prześladowanie swobody prasy. Austrya wyniosła z téj polityki niemieckiéj predykat *Chin europejskich*, straciła w Niemczech wszelki urok, nadzieje zwróciły się ku Prusom. Nie inaczéj we *Włoszech*. Autonomia dana Lombardyi i Wenecyi, wprowadzenie ciemnych naówczas i ponurych rządów piemonckiego i neapolitańskiego na racyonalniejsze tory, zaręczało Austryi stanowisko i powagę we Włoszech. Prosta represya, podtrzymywanie Ferdynandów i Karolów Feliksów, *carcere duro* jako odpowiedź na wszystko, co w ówczesnych ruchach włoskich

mogło mieć sens i podstawę, stworzyło Austryi położenie, które się tylko *końcem* jéj panowania we Włoszech skończyć mogło i skończyło.

Najfatalniejszym okazem akcyi Metternicha jako męża stanu pozostanie przecież *sprawa grecka*. Tak terytoryalnie, jak politycznie, przedstawiała owa sprawa dla prawdziwego męża stanu Austryi rozległe horyzonty. Czy to działając przeciw powstaniu, czy działając w jego interesie, czy podając rękę Turcyi przeciw Grekom i Rosyi, czy Grekom i Rosyi przeciw Turcyi, ale *działając*, ale *podając* komubądź z wojujących stron rękę, wynosiła Austrya z ówczesnéj zawieruchy na półwyspie Bałkańskim najniezawodniejsze, ogromnéj wagi korzyści. Co robi z takiéj „*bonne fortune*“ austryackiéj wielki mąż stanu austryacki? Marnuje ją, nierozumie jéj gorzéj jeszcze niemal od niemieckiéj i włoskiéj. Tępy doktryner przykłada do ocenienia charakteru i doniosłości powstania greckiego zwykłą, zdawkową podziałkę konserwatywnéj swéj formułki, klnie, nie wyciągając miecza, przez dziewięć lat Greków, jako buntowników przeciw porządkowi rzeczy europejskiemu, by po za swemi plecami pozwolić na ich korzyść ukuć protokół londyński z r. 1827, by, co gorsza, dopuścić grom Nawaryński, by, co najgorsza a może i najbardziéj upokorzająca w tém wszystkiém, pozwolić na dojście do skutku, wśród kwasów i niezadowolenia, bez udziału, ani bez przeszkody pierwszorzędnego mocarstwa, jakim była Austrya—niepodległości greckiéj.

Mąż stanu *Austryi* wychodzi i na téj widowni bankrutem, jak nim niewątpliwie wychodzi na obu pierwszych. Czy mąż stanu *kosmopolitycznéj zachowawczości* wychodzi z obfitszym swéj działalności plonem, niechaj odpowiadają daty roku 1830 i 1848, ostatnia zwłaszcza zapisująca fakt jego zwinięcia żagli w obec krzyków, nie rewolucyi nawet jeszcze, ale tyle przezeń wskroś całego życia lekceważonéj *auli*.

Nasze *ceterum censeo* po przeczytaniu niniejszéj seryi pamiętników streszcza się do następnego rezultatu. Mężem stanu Metternich nigdy i w żadnym kierunku nie był; umysł giętki, wykształcony, człowiek wysokiego towarzystwa i wytwornych form towarzyskich, pięknego pióra, był, co najwięcéj stworzony na ambasadora jakiegobądź mocarstwa europejskiego, *pod* rozkazami kierującego jego krokami systemu. Materyału na samodzielnego męża stanu w nim nie było, jak nie było oka i zdolności. Urodzony w niższych sferach byłby może znalazł powodzenie jako literat; jako mąż stanu chybił, jak mówić zwykli: „*wokacyi*.“ Jeden z najtrafniejszych sądów, jakie nam się o Metternichu kiedykolwiek napotkać zdarzyło a którego prawdę obecne pamiętniki każdém słowem niemal stwierdzają, znaj-

dujemy w *Historyi dziesięciu lat* Ludwika Blanca: „Polityka p. Metternicha zależała zresztą na unikaniu każdego wielkiego wstrząśnienia. Lubił spokój z egoizmu i nieudolności. Ci tylko stawiają czoło burzom, który czują w sobie siłę ich opanowania. P. Metternich chciał lekko zyskanéj sławy, któréj nicość najmniejsze zawikłanie byłoby wykazało, bez przeszkody używać.“ Nie przeszkadza to przecież niczém zaciekawieniu, jakie zapowiedziane wydawnictwo dalszych tych „*pamiętników*“ tomów, wywoływać może i powinno.

Kazimierz Jarochowski.

PYTANIE

IDYLLA

PRZEZ

Jerzego Ebersa.

I. Gospodyni i Rządca.

— Słona woda morska czy oliwa, to wam wszystko jedno! Alboż to ja lampy swojéj dawno nie zgasiła? Alboż to światło z ogniska nie dosyć jasne! Chyba wam oczy tak się ze snu zakleiły, że nie widzicie brzasku świtania, które coraz to wyraźniéj ku nam zagląda? Jeszcze oliwki nie wytłoczone a stara oliwa wyjdzie lada dzień; wiecie także, jak dużo dojrzałych owoców skradły nam te łotry złodzieje; ale prędzéj wróble przyniosą ziarno do spichrza niż wy zechcecie dopilnować dobra pańskiego!

Tak gderała Semestra, stara klucznica Lizandra z Syrakuz, na dziéwki Chlorydę i Doryppę, które leniwie obracały żarna, nie zwracając uwagi na dopalające się knoty lamp swoich.

Doryppa, młodsza wiekiem chwyciła za swą czarną jak kruk a niezbyt uporządkowaną ozdobę głowy, którą tysiące opornych włosków otaczało wokół jakby obłok szary, wyciągnęła ze zwoju kędziorów ponad błyszczącym śniadym karkiem strzałę bronzową, przydusiła nią słabe światełko obu lampek i odwracając się do klucznicy, rzekła:

— Aha! to tak! Jeszcze nie można odróżnić białéj nitki od czarnéj, a ja mam już lampy gasić, jakgdyby ten bogaty dom był chałupą żebraka. Dwieście dzbanów pełnych złotawéj oliwy stało przed tygodniem jeszcze w śpiżarni. Pocóż kazał je pan odnieść na statek i do Messeny zawieźć przez brata i Mopsura?

— A dlaczego nie zbierają owoców?—zapytała Chloryda. Oliwki są przejrzałe a złodzieje się rozhulali, odkąd strażników wzięto na wioślarzy do Messeny. My musimy kapkami oszczędzać, a toć my mamy więcéj tych sękatych drzew niż dni w roku. Ileż-to dzbanów oliwy możnaby wycisnąć z samych tych oliwek, co spadły na ziemię! U sąsiada Protarcha już dawno po zbiorze, a gdybym ja była Lisandrem...

— Toby się obeszło bez oszczędzania—przerwała dziewczynie szafarka. Wszakże, przyznać się muszę, i mnie było przykro rozstawać się z tym złotym darem bożym, ale cóż ja mogłam poradzić? Zachciało się go bratu pańskiemu Alkifranowi; pewnie to tam będzie jakaś duża zamiana; Alkifron jest mądry i ma rękę szczęśliwą, która z tego płynnego złota, co je tutaj mozolnie z oliwek wyciskamy i starannie przechowujemy, łatwo potrafi zrobić pieniądz metalowy. On — to niby mój syn; byłam jego piastunką, przy mnie się wychował. My tu na wsi pomnażamy majątek pracą, cierpliwością i usilną oszczędnością; kupiec w mieście musi mieć bystre i daleko sięgające oczy a umiéć ze wszystkiego prędko korzystać; a mój Alkifron dzieckiem już był najroztropniejszym z trzech synów Dyonizyusza i gdy trza było podzielić się jaką słodyczą, to on zawsze umiał zdobyć sobie kawałek największy. Kiedy matka jego żyła jeszcze, kazała mu razu pewnego podać sobie z pomiędzy świeżo upieczonych ciast najpiękniejsze, chcąc je zanieść do świątyni na ofiarę. Cóż wtedy ten łotrzyk powiedział? „Ażebym napewno się nie pomylił, najlepiéj będzie, jeśli wszystkich szkosztuję"—a kiedy Klitemnestra...

— Czy Alkifron jest młodszy od naszego biednego pana?—przerwała opowiadanie Doryppa.

— Były-to ciasta sezamowe ze słodkiém miodem—odparła klucznica, którą wiek pozbawił bystrości słuchu i narażał nieraz na mylne rozumienie tego, co się ciszéj mówiło. Czy bielizna do prania przygotowana?

— Nie pytałam o ciasta—odpowiedziała Doryppa zamieniając z Chlorydą figlarne spojrzenia—tylko chciałam dowiedzieć się ..

— Głuche-ście, wy dziéwki, spostrzegłam to już dawno—przerwała służącéj Semestra. Postradałyście słuch i wiem w skutek czego. Sto razy już wam zakazywałam, żebyście wieczorem rozgrzane tańcem nie rzucały się na trawę, na któréj jest rosa. Jakie często słyszę w odpowiedzi głupie brednie, kiedy się was o co pytam.

Dziewczyny głośno się obie zaśmiały.

W jeden dźwięczny ton zlał się wyższy głos jednéj z niższym głosem drugiéj; a dwie czarne pary oczu znowu się spotkały, a w nich

pełno było wesołego szyderstwa, bo one wiedziały doskonale, kto tu był głuchym a kto lepiéj słyszał nawet od tego słowika, co tam na dworze przed wschodem słońca w krzaku figowym zieleniącym się na nowo już-to radośnie się cieszył głosem do dźwięku fletu podobnym, już-to się tęsknie z pełnéj piersi skarżył.

Klucznica, zdziwiona i oburzona, spojrzała prosto w oczy śmiejącym się dziewczętom, potém hałaśliwie w ręce klasnęła, wołając:

— Do roboty, hołoto! Ty, Chlorydo, przygotujesz śniadanie, a ty, Doryppo, zobaczysz, czy pan czego nie potrzebuje i przyniesiesz drzewa do kuchni. I raz już przestańcie tego głupiego chychotania, bo kto się rano śmieje, ten płakać będzie wieczorem. Wam widać nie wywietrzały jeszcze z głowy żarty stróżów winnicy. A teraz precz z moich oczu; i niech żadna z was nie zabiera się do jedzenia, póki się nie uczesze!

Dziewki trąciły się łokciami i wyszły z gineceum, do którego właśnie szarzejący poranek jaśniéj zaświecił po przez dach odkryty.

Był-to budynek okazały, otoczony wkoło marmurowemi słupami, świadczący wyraźnie o dobrym bycie swego budowcy, gdyż podłogę, na któréj stał stołek klucznicy, bogato pokrywały barwne obrazy, które ułożył artystycznie z różnokolorowych kamieni jakiś sztukmistrz z poblizkich Syrakuz. Przedstawiały one młodzieńczego boga Dyonizosa, daléj Hiady, co go otaczały służąc mu pilnie, wreszcie, w malowniczych grupach, wszystkie dary niebian, opiekujących się ogrodami i polami a także i dary boga nizejskiego (1). Każdy obrazek po szczególe i obraz cały otoczony był ozdobnemi, pięknie przeplatanemi liniami.

Z żółtawego marmuru zrobione było ognisko, ku któremu pochyliła się właśnie Semestra, chcąc za pomocą gęsiego skrzydła rozżarzyć węgle przygasłe.

Wówczas wróciła Doryppa, powiedziała zwięźle, że pan wtedy dopiéro wyprowadzonym być chce na świeże powietrze, gdy słońce wyżéj się wzniesie, i, stosownie do rozkazu, przyniosła szczyp z sękatego drzewa oliwnego i szyszek które szybko się zapaliwszy, jasnym płomieniem obejmowały drzewo, dopóki swego ognia z jego żarem nie złączyły.

Z trzaskiem ulatywały błyszczące iskry z płonących szczyp ku odkrytemu dachowi a wraz z niemi ulatywał prosto w górę gorący dym mieszając się z czystém, chłodném powietrzem zbliżającego się po-

---

(1) To jest wspomnionego już Dyonizosa (Bachusa).

ranku; gdy w tém otwarły się drzwi gineceum, a przeciąg powietrza zwrócił szary ulotny słup na bok i skierował go na Semestrę wachlującą swojém gęsiem skrzydłem.

Odkaszlnąwszy, otarła sobie oczy krajem swego błękitnawego peplosu i gniewnie spojrzała na natręta, co o takiéj godzinie ośmielił się otworzyć główne drzwi komnaty kobiecéj.

Ale jak tylko poznała tego, co wszedł, skinęła mu przyjaźnie, z pewnym wszelako lekceważącym grymasem, podniosła się trochę, lecz zamiast pójść naprzeciwko przybysza, usiadła napowrót na stołku. Potém jeszcze lepiéj niż przedtém usadowiła się na swém siedzeniu i, nie mówiąc przyjaznych słów powitania, rzucała kaszląc, jakieś dźwięki niezrozumiałe.

— Ciesz się! (1) zawołał starzec do klucznicy głosem niezbyt donośnym. Zrób mi też trochę miejsca przy ognisku, bo ranek jest zimny. Zanim Helios wzejdzie, każe nam marznąć, abyśmy z podwojoną wdzięcznością odczuwali to krzepiące ciepło, które na nas w promieniach swych spuszcza.

— Masz słuszność—odparła Semestra, która mało co z przemowy starca zrozumiała—powinniśmy być wdzięczni za grzejący nas ogień; ale dlaczego ty w twoim wieku wychodzisz tak wcześnie na świeże powietrze w samym tylko chitonie, bez płaszcza i sandałów, wtenczas kiedy na drzewach ledwie co pączki puściły? Wy tam w wielu rzeczach postępujecie inaczéj niż inni ludzie i mocno ściskacie wasze rzeczy, ale ty, Jagonie, nie powinienbyś oszczędzać kapelusza, bo masz włosy tak siwe jak i ja.

— A na ciemieniu darmo-by kto i szukał—zaśmiał się stary. Wam kobiétom rzecz ta dłużéj służy niż nam, wdzięczna wam widać za lepsze pielęgnowanie. Ja nie potrzebuję ani kapelusza ani sandałów ani płaszcza! Stary chłop nie dba na chłód poranny. Kiedym był bębnem, wcalem nie był mniéj biały od córki twego pana, téj jasnowłoséj Ksanty; a teraz głowa i szyja, ramiona i nogi, wszystko, czego wełniany chiton nie przykrywa, takie czarne jak skórzany wór na wino, zanim go w dymie powieszą; a ciemna ta barwa jest jakgdyby ochronném odzieniem, a nawet czemś lepszém, bo mi pomaga, jak sądzę, nie tylko do łatwiejszego znoszenia zimna ale i upału. Nic już na mnie białego nie ma, tylko ten kawałek brody, te kilka włosów na głowie i te dwa szeregi nieposzlakowanych—dzięki bogom—zębów.

Mówiąc te słowa, Jazon powiódł brunatnemi twardemi palcami najprzód po górnéj, potém po dolnéj szczęce, które się naprawdę

---

(1) Jestto formuła powitania.

potężnie przedstawiały. Klucznica natomiast zacisnęła usta starając się zakryć niejakie po-za wargami spustoszenia, i odpowiedziała:

— Wam zęby są tak wierne jak nam włosy, bo mężczyźni dzielniéj ich używać umieją, aniżeli kobiéty. A teraz pokaż, co umiesz! Mamy tu na śniadanie doskonałą zupę z sera, terebintu i suchéj cielęciny. Jeśli się dziewka uwinie, nie długo będziesz czekał. W naszym domu każdemu gościowi, nawet niezbyt przyjaźnie usposobionemu, radzi jesteśmy.

— Nie dla jadła wstąpiłem tutaj—odparł stary. Ja już i tak swoje przekąsiłem. Coś mi leży na sercu, o czémbym chciał pomówić z tobą, co jesteś rozumną szafarką, a nawet mogę powiedziéć, panią tego domu i troskliwą opiekunką jedynéj jego córki.

Semestra, słysząc to, zwróciła się całą swą pomarszczoną twarzą ku starcowi, otworzyła oczy jak mogła najszerzéj i zawołała żywo do krzątającéj się przy ognisku Doryppy.

— Zostaw nas samych!

Dziewczyna poszła zwolna ku drzwiom i spróbowała się ukryć poza wystającym słupem, ażeby ztamtąd podsłuchiwać; ale Semestra dostrzegłszy ją, wstała z siedzenia, laską mirtową popchnęła ją na dwór i krzyknęła:

— Niech tu nikt nie wchodzi, póki was nie zawołam. Nawet Ksanta niech nam nie przeszkadza.

— Toż przecie sami nie zostajcie, bo do takiéj pary przyłączają się zaraz Afrodyta i wszystkie Erosy—zawołała dziewczyna, wyskakując za próg.

Po za nią zamknęły się drzwi z trzaskiem.

— Co ona powiedziała?—spytała Semestra, patrząc za śmiejącą się z niedowierzaniem. Ile przykrości trzeba znosić od sług, to, Jazonie, wypowiedziéć niepodobna; zwłaszcza od czasu, jak się stały głuchawemi.

— Głuchawemi?—zapytał starzec ze zdziwieniem.

— A tak; ledwie co czwarte słowo rozumieją jak należy; ba, nawet Ksanta, co dopiéro siedemnastu lat dobiegła, zaczyna cierpiéć na głuchotę.

Po wesołéj twarzy starca przemknął pośpiesznie uśmiech; głos wyżéj podnosząc, rzekł pochlebnie.

— Nie każdy szczycić się może tak delikatnemi zmysłami, jak ty, Semestro; czy masz czas mnie posłuchać?

Klucznica skinęła na znak zgody, oparła się o słup najbliżéj ogniska stojący, położyła obie ręce na kiju i pochyliła się tułowiem

naprzód, chcąc dać poznać, że chce słuchać uważnie i nie życzy sobie utracić ani jednego słowa z mowy starca.

Jazon stał wprost naprzeciw niéj, a podczas gdy się wzajemnie oczyma mierzyli, ona podobna była do przezornéj kotki, co się spodziewa napadu, mniéj bystrego, ale silniejszego kundysa.

— Wiesz o tém—zaczął stary—że przed wielu laty kiedyśmy oboje, ty jako mamka, ja jako rządca do tych dóbr przybyli, to piękne grunta naszych dzisiejszych panów należały bez podziału do ich ojca. Trzech synów dali bogowie staremu. Najstarszy, Alkifron, któregoś ty wykarmiła swą piersią i wyniańczyła swemi rękami, poszedł w świat, został w Messenie wielkim kupcem. Po śmierci ojca sowicie go wynagrodzili bracia i złotem i srebrem i domem w przystani; ziemią zaś podzielili się Protarch i Lizander. Mój pan, jako najstarszy po Alkifronie, dostał dom dawny, twój zaś wybudował sobie to nowe, piękniejsze mieszkanie. Pod naszym dachem zakwitnął syn jedyny, dorodny Faon, pod waszym urocza Ksanta. W tém pan mój pożeglował do Messeny nie tylko po to, żeby sprzedać naszę i waszę oliwę, ale także, ażeby porozumiéć się z opiekunem pewnéj bogatéj dziedziczki, o któréj brat mu pisał. Pragnie on miéć ją za żonę dla Faona; ale według mego zdania, Faon jest stworzony dla waszéj Ksanty a Ksanta dla Faona. I niczego téż nie brakowało, tylko żeby Hymen...

— Żeby Hymen, sądzisz,—przerwała Semestra—żeby Hymen połączył ich z sobą. Po dziedziczki trzeba się nachodzić, nie dadzą się one tak zrywać jak jeżyny. Jeśli dziedziczka pogardzi wieśniaczym zalotnikiem, to pewnie i Protarchowi i tobie i wam wszystkim wyda się rzeczą arcypożądaną, żeby Ksanta okazała się mniéj wybredną, bo wtedy nasze grunta z waszemi się zespolą.

— I byłaby znowu jedna całość, jak za czasów Dyonizyusza.

— A wy sami tylko mielibyście stąd zyski.

— Nie, Semestro, i nam i wam wyszłoby to na dobre; bo od chwili, kiedy pan twój spadł nieszczęśliwie z wysokiego muru otaczającego winnicę, brak tutaj oka pańskiego i niejedno nie tak się dzieje, jakby dziać się powinno.

— Co się chce koniecznie zobaczyć, to się i widzi—zawołała Semestra. Nasz majątek w niczém nie ustępuje waszemu, co się tyczy zarządu.

— Chciałem tylko powiedziéć.

— Że wasz Faon wydaje się tobie jak raz na to stworzonym, żeby mojego pana zastąpić. Ja o tém myślę inaczéj; a jeżeli tak daléj pójdzie, to i Lizander potrafi jeszcze używać nóg nanowo.

— Chory przychodząc do zdrowia potrzebować będzie spokoju, a ponieważ od śmierci twojéj i mojéj pani niesnaski nie ustają...

— Nigdyśmy jeszcze pokoju nie zakłócili.

— A nam kłótnia wydaje się jeszcze wstrętniejszą niż wam; ale jakież to często przytrafiają się między pastuchami i stróżami winnicy bójki i siniaki z powodu spólnie do nas należącego źródliska, a ten pięknie spojony taras nad brzegiem morza wraz z ławką marmurową jakże się już popsuł! a niedługo zniszczeje całkiem, a to dlatego, że twój pan chce, ażeby koszta naprawy do mego...

— I ja go codzienie w tém umacniam. Myśmy dali zupełnie nową cembrowinę przy źródle, więc też słuszną jest rzeczą, że pan mój żąda, aby Protarch kazał poprawić taras murowany. My nie ustąpimy, a jeżeli wy...

— Jeśli my odmówimy zadośćuczynić woli Lizandra, to wtedy powstaną właśnie te niesnaski i kłótnie, którym zapobiedz chciałbym za pomocą związku Faona z Ksantą. Twój pan przywykł iść za twoją radą, jak gdybyś była jego matką rodzoną. I rzeczywiście opiekujesz się biednym kaleką jak matka; a gdybyś tylko zechciała...

— Lizander inne ma zamiary, a ojciec Faona szuka przecież dla synka swego dziedziczki w Messenie!

— Ale z pewnością nie wedle życzenia młodzieńca: ja też nie przyszedłem na rozmowę z tobą w imieniu Protarcha.

— Więc to *ty* planik osnułeś, ale zdaje mi się, że on pójdzie z dymem; powiedziałam ci już: pan mój ułożył sobie co innego...

— Więc *ty* staraj go się zjednać dla nas; nie, nietylko dla nas ale dla dobra domu tego.

— Nie dla domu tego, tylko dla was. Plan twój nie podoba mi się.

— A dlaczego?

— Nie chcę właśnie tego, czego wy pragniecie.

— ,,Nie chcę"—oto mi doskonały powód kobiecy!

— A doskonały! bo ja przynajmniéj niczego nie chcę, czegom starannie nie rozważyła. Trzeba ci wiedzieć, że Alkifron z Syrakuz, najstarszy brat naszego pana, w jednym liście swatał swego syna Leonaksa nie z waszą—tam dziedziczką, która ze względu na własny jego dom zbyt małoznaczącą mu się wydaje, ale o naszę panienkę. Z radością oświadczyliśmy naszę na to zgodę a za kilka dni, może jutro nawet, przyjedzie tu nasz zalotnik wraz z panem twoim z Messeny, ażeby się narzeczonéj przypatrzyć.

— Jednakże ja obstaję przy swojém: wasza Ksanta należy się naszemu Faonowi; i gdybyście wy jako ludzie wyrozumiali zechcieli działać w myśl Dyonizyusza...

— Alboż Alkifron, najlepszy i najrozumniejszy z ludzi, nie jest także synem Dyonizyusza? Jego pierworodnemu życzę przed wszystkiemi innemi posiadania tego płodnego kawałka ziemi, a kiedy gospodarny i przemyślny ulubieniec bogatego ojca, kiedy Leonaks rozkazywać tu będzie przy boku Ksanty, wtedy nie zabraknie też środków, żeby naprawić nadbrzeże i choćby kilka ławek marmurowych postawić.

Na te słowa starcowi krew uderzyła do głowy; zawołał też gwałtownie:

— Do nieprawdy dodajesz szyderstwo. Znamy się na tém! Ażeby się przypodobać Alkifronowi, swemu mlecznemu synowi, zrobiłabyś nas wszystkich żebrakami. Jeżeli Lizander odda córkę Leonaksowi za żonę, to twoja, wyłącznie twoja tylko sprawka, ale my się postaramy.

Semestra nie dała się nastraszyć, lecz wzburzona podniosła do góry laskę mirtową i przerwała Jazonowi, mówiąc głosem donośnym a drżącym.

— Masz słuszność. Do Alkifrona rwie się to starzające się serce, które ciągle jeszcze szybko mi bije, jeśli tylko choćby imie ulubieńca posłyszę: a wy, wy doprawdy zamało zrobiliście ażeby nas sobie zjednać. Zeszłéj jesieni moszczu zebrało się takie mnóstwo, jakiegośmy się nie spodziewali. Brakło nam worków skórzanych, a kiedyśmy was prosili, żebyście dali swoich...

— Tośmy odmówili, bośmy nie wiedzieli sami, co począć z tém błogosławieństwem.

— A kto zamordował haniebnie mego szarego kota?

— Bo się zakradł do Faonowego gołębnika i zadusił gołębięta najpiękniejszéj pary.

— To kuna, a nie moje poczciwe, kochane zwierzątko. Wasze postępowanie dowodzi nieprzyjaźni, bo kiedy wczoraj nasza ciemnobrunatna kura przefrunęła ku wam, to ją kamieniami wypędzili. Może ją Faon wziął za sępa z ostrym dziobem i silnemi pazurami, co?

— Przepędziła ją dziéwka, gdyż drób wasz od czasu jak pan twój choruje i nie może sam dopilnować, ażeby się w niczém krzywda nie działa, dzień w dzień łuczy się naszym jęczmieniem.

— Dziwię się, żeś nas jeszcze nie napiętnował jako napastników!—krzyknęła Semestra. Tak, tak, nawet gdybyś mię sam we własnéj osobie wybił kijem, tobyś potém powiedział, że mi przypad-

kowo spadła na grzbiet sucha gałąź z drzewa figowego lub oliwnego. Znam was aż zanadto; to téż nie wasz ospały Faon, o którym powiadają, że czuwa wtedy, kiedyby mu raczéj przystało w domu spoczywać, ale Leonaks, syn Alkifrona, weźmie panienkę naszę za żonę. Nie ja to mówię, lecz tak rozkazuje Lizander, mój gospodarz i pan.

— Twoja wola jest jego wolą—przerwał starzec Jazon. Ani mi w myśli nie postało robić przykrość temu cierpiącemu mężowi, ale odkąd on jest chory, ty grasz rolę pana a on powinienby klucznikiem się nazywać. Zapewne, pod tym dachem ty znaczysz daleko więcéj niż ktobądź inny, lecz tysiąc razy potężniejszemi od ciebie są Eros i Afrodyta, gdyż ty panujesz za pomocą patelni, rożna i miękkich poduszek, a oni rządzą sercami swą boską nieprzepartą potęgą.

Semestra zaśmiała się szydersko i, uderzając laską mirtową o twardą posadzkę, zawołała.

— Rożen mój jest dobry i Eros może przyjdzie mu w pomoc ze swemi strzałkami, bo Ksanta nie więcéj dba o twego Faona jak ja nie dbałam o kogoś, co stoi przedemną, kiedy jeszcze był młodym. Eros lubi ucieranie się z przeszkodami! Kto tak razem wzrasta i codziennie jedno drugie spotyka, rano, w południe i w wieczór, to się do siebie przyzwyczaja jak noga do trzewika i trzewik do nogi, ale serce pozostaje swobodném. Ale kiedy piękny nieznajomy z włosem namaszczonym i w bogatym ubiorze pokaże się niespodzianie dziewicy, wówczas synaczek Kiprydy łuk swój napina.

— Ale strzały nie wypuszcza—rzekł Jazon—kiedy wie, że już inny strzał utkwił w sercu dziewicy. Każdy może sobie pozyskać każdą pannę z wyjątkiem téj, któréj duszę zapełni miłość do innego mężczyzny.

— Siwowłosy kawaler mówi to z doświadczenia—odparła szybko Semestra. A tenże wasz Faon! Czyż on rzeczywiście płonie ku naszéj dziewczynie? A to jakżeby mógł się starać albo pozwolić, żeby się dla niego starano o inną; toż to wszystko jedno. Ale szkoda mi słów tylu! Wiesz-że o tém, że naszę Ksantę znam lepiéj aniżeli ty i wiem, że ma tak mało pociągu do swego rowieśnika, jak ten oto słup z lewéj strony ogniska do słupa z prawéj, chociaż także już bardzo dawno pod tym samym dachem obok siebie stoją...

— A czy ty wiesz, co czuje marmur?

— Nic a nic, Jazonie, to jest ni mniéj ni więcéj tylko tyle, ile Ksanta dla Faona... Ale, cóż to tam za hałas przed bramą?

Jeszcze klucznica mówić nie przestała, gdy się uchyliło cokolwiek jedno skrzydło drzwi i przez ten otwór służąca Doryppa zawołała:

— Można wejść? Przyszedł posłaniec od Protarcha.

— Wpuść go krzyknęła żywo Semestra.

Brama szeroko się rozwarła; a do gineceum weszły obie dziewki a z niemi Mopsus brat rześkiéj Chlorydy. Siostra uwiesiła się bratu u ramienia, a kiedy weszli na podwórze, zdjęła kapelusz podróżny o szerokich brzegach z brunatnawych jego pukli, a czarna Doryppa zaszła mu z tyłu i pchnęła ociągającego się za próg komnaty kobiécéj, jak się łódź na morze wypycha.

Na żywe zapytania klucznicy odpowiedział, że Protarch sprzedał w Mesenie oliwę Lizandra równie dobrze jak swoję własną, że dla sąsiada swego Kleona kupił dwa konie i wysłał je naprzód pod jego opieką; dodał w końcu, że jeśli wiatr się nie odwróci, to Protarch mógłby dziś jeszcze przybyć do domu.

Mówiąc to wszystko, wyjął ostrożnie z za pasa, co ściągał nad biodrami jego niebieski, biało bramowany chiton, kawałek papirusu i podał go Semestrze wraz z pozdrowieniem od swego pana.

Klucznica obejrzała z obu stron tę żółtawą kartkę, wykręciła ją raz jeszcze i przybliżyła do samych oczu, przyczém wahająco się i niechętnie spojrzała na starego Jazona. Na co ma on wiedziéć, że ja czytać nie umiem—myślała sobie—toć Ksanta potrafi odcyfrować pisane znaczki a przyjdzie niezadługo na śniadanie.

— Może przeczytać?—zapytał starzec.

— Mogłabym i sama, gdybym tylko chciała—odparła klucznica, wodząc laską po posadzce i kreśląc różne ostre i rozwarte kąty, jak gdyby pisać zamierzała. Mogłabym, ale nielubię słuchać nowin na czczy żołądek; a to, co w tym liście powiedziano, jak mi się zdaje, obchodzi mnie a nie kogo innego. Ruszaj-no, Doryppo, i zawołaj Ksantę na śniadanie!

— Już ja wiem, co tam na tym świstku stoi—zawołała dziewczyna, niechętnie się rozstając tak prędko z bratem swéj towarzyszki, któremu z duszy sprzyjała a który miał jéj dużo jeszcze naopowiadać o swéj podróży do Messeny. Mopsus nam gadał, że synowiec naszego pana, Leonaks, syn Alkifrona, przyjedzie wraz ze stryjem i zabawi z tydzień albo i więcéj jako gość nie tam u Protarcha, ale w *naszym* domu. Ma to być słuszny młodzieniec, większy jeszcze od Faona, a Mopsus powiada, że żona Alkifrona, grube pieniądze, z polecenia naszego pana, w Messenie wydała i nakupiła u spółtowarzyszy swego męża złotych spinek i strojów kobiecych, nawet takich, które noszą tylko matrony.

Na te słowa po zmarszczonéj twarzy Semestry przemknął, jakby powiew wiosny po ogrodzie ogołoconym z liści, uśmiech radości i nadziei. Nie myślała już teraz o złych skutkach. jakie sprawić mogła nowinka na czczy żołądek i z lubością okiem duszy przypatrując się pięknéj niebieskiéj sukni matron i błyskowi bogatych podarków ślubnych Ksanty, spytała żywo tak miłego i pożądanego posła:

— Czy ona prawdę mówi? I jakie-to tam stroje?

— Ja sam niosłem ubranie—odrzekł Mopsus—i ułożyłem je do pięknego, obrazami z kości słoniowéj ozdobionego skarbczyka, jaki dostaje zwykle nowozaślubiona wraz z podarkami ślubnemi. Pomagała mi w tém Praksylla, wspaniała siostra żony Alkifrona; dała także...

— No idźcie i zawołajcie Ksanty—przerwała posłańcowi Semestra, która słuchając słów jego nieraz z cicha zachichotała.

Kiedy dziewczęta wraz z Mopsusem szybko się oddaliły, spojrzała na Jazona wzrokiem pełnym radości, i wyrazu zwycięztwa.

Potém przypomniała sobie, że jeszcze dużo i bardzo dużo zostawało do roboty dla przyjęcia młodego zalotnika, Leonaksa; to też głośno krzyknęła:

— Doryppo, Chlorydo! Chlorydo, Doryppo!

Ani jedna ani druga zdawała się jéj nie słyszéć; Semestra straciwszy wszelką nadzieję odebrania odpowiedzi, zwróciła się do Jazona, ściskając ramionami, i rzekła:

— Takie młode a takie głuche, to smutno! Trzeba im nowe uszy poprzyprawiać. Nieszczęśliwe dziéwki!

— Mopsus jest milszy od ciebie i *nie chcą* słyszéć—zaśmiał się Jazon.

— Nie, one *nie mogą*—zaprzeczyła żywo Semestra. Mopsus jest zuchwałym, niegodziwym nicponiem, którego już nieraz z domu wygnać chciałam, ale proszę mi takiego znaleść, coby mi posłuszeństwa odmówił!.. A co do twego projektu, toś przecie słyszał wyraźnie, że nasza panienka przeznaczona dla Leonaksa.

— A jeżeli Ksanta nie zechce Leonaksa i przeniesie Faona nad obcego młodzieńca?

— Syn Alkifrona ma być *obcym* na ziemi swych przodków! — zawołała Semestra.—No, niejednego można się nasłuchać; ale ja muszę zabrać się do roboty, bo trzeba przygotować jak najlepsze przyjęcie dla Leonaksa, ażeby odrazu mógł zmiarkować, że tu nie jest obcym, lecz zupełnie domowym. No idź sobie, jeśli chcesz i złóż ofiarę Afro-

dycie, ażeby zjednoczyła serca Ksanty i Faona; ja zostaję przy swoim rożnie.

— To właściwe dla ciebie zajęcie — zawołał Jazon — ależ nie używasz go jeszcze na wesele Leonaksa.

— Dla Faona—odparła Semestra—upiekę pieczeń weselną, ale nie prędzéj—przysięgam ci—aż zwierzę ofiarne, które sama utuczyłam, skłoni z piany zrodzoną boginię, żeby serce Ksanty zapaliła słodką miłością nie dla Leonaksa, tylko dla Faona, dla syna pana twego Protarcha!

2. Ksanta.

— Ksanto, Ksanto!—wołała Semestra w jakiś czas potém—Ksanto! Gdzież się ta dziewczyna podziała?

Starowina weszła do ogrodu, a umiejąc czas spożytkować i lubiąc łączyć jedno zajęcie z drugiém, szukała tedy swéj wychowanicy, raz-po-raz imię jéj wywoływała, równocześnie zaś zrywała warzywo i zioła, na których rosa świeżego poranku świetnym a wilgotnym perliła się blaskiem jakby słońca zwierciadło.

Przytém nie tyle myślała o Ksancie, ile o synu swego ulubieńca, o pieczeni, ciastkach i przyprawach, które dla niego przygotowywała.

Co ojciec jego w dzieciństwie jadał z największym apetytem, to wszystko chciała starannie przyrządzić dla Leonaksa, bo co ojciec lubił (myślała sobie), to i dzieciom smakować musi.

Ze dwadzieścia razy nachyliła się to do świeżéj lawendy, to do zielonéj sałaty i młodziutkiéj czerwonawéj rzepy, i za każdym razem, prostując się przy pomocy laski mirtowéj o tyle, o ile wiekiem zgarbione plecy pozwalały, powtarzała: Ksanto! Ksanto!

Chociaż jednak nawet zadarła głowę tak, iż słońce w otwarte usta świeciło, chociaż siła jéj płuc nie była małą; żadnéj odpowiedzi nie otrzymała.

Ale to jéj nie zaniepokoiło, gdyż dziewczę nie mogło być daleko a Semestra już przywykła do tego, że Ksanta długo na siebie czekać kazała i nie odpowiadała odrazu.

Co prawda, to dzisiaj odpowiedzi nie było słychać przez czas dłuższy niż zwykle.

A przecież dziewczyna doskonale słyszała donośny a piskliwy głos staruszki; tylko nie więcéj nań zwracała uwagi jak na gdakanie kur, na wrzask pawiów lub gruchanie gołębi na podwórzu.

Wiedziała ona, że klucznica woła na śniadanie, ale kawałek suchego chleba, który brać ze sobą na przechadzkę zwykła, wystar-

czył najzupełniéj do zaspokojenia głodu. Ba, gdyby ją Semestra wabiła najwyborniejszemi nawet ciastkami, toby nie zdołała jéj w téj właśnie chwili odciągnąć od ulubionego miejsca przy źródle.

Zdrój ten wytryskiwał obficie z najwyższéj skały w majątku jéj ojca. Często przychodziła tu Ksanta a zwłaszcza wtedy, gdy serce niepokojem biło.

Było téż to miejsce prześliczne!

Ze szczeliny skały wydobywała się z szumem połyskująca woda i, po lewéj stronie ławeczki, na któréj zwykle siadywała Ksanta, spływała do przejrzystéj drobniuchnéj sadzawki, wyłożonéj po brzegach płytami białego, pięknie wygładzonego marmuru. Na piaszczystém jéj dnie każdy czerwonawy kamyczek, każdą kulkę śnieżystego kwarcu, każdy rożek i każdą prążkę i smużkę ślicznych muszli widać było tak wyraźnie, jakby się je na dłoni przed oczyma trzymało; a jednak woda dno to pokrywająca tak była głęboka, że gdyby Ksanta chciała stopami tę wodę zgruntować, to połyskująca złotem spinka na jéj krągłém ramieniu a nawet gemma przytrzymująca jéj peplos na plecach musiałaby się zamoczyć.

Wody téj sadzawki były tak zielone a tak jasne jak kryształ, gdy do topniejącéj jego masy rzucano ziarna szmaragdu, ażeby i one się przemieniły w płynne kropelki.

W dalszym swym biegu, wody te płynęły korytem wysłaném roślinnością najróżnorodniejszą.

Tuż nad brzegami szybko ku dolinie pędzącego strumienia zwieszały się piękne powoje, zielenił się bujny mech już-to w cienkich smugach lekko ponad kamienie wybiegających już-to w dużych wilgotnych kępach przylegających mocno do skały. Delikatne zielone roślinki, poruszane na wszystkie strony naciskiem pluszczącéj wody, rosły wszędzie na dnie strumyka; a gdzie tenże, płynąc ciągle w dół, mógł odpocząć na miejscach równiejszych, owiewały go paprocie błotne kłaniając się uprzejmie, jak strusie pióra nad kołyską drzemiącego królewicza.

Ksanta lubiła iść za biegiem strumienia niknącego w zaroślach mirtowych.

A gdy przybywszy na swe ulubione miejsce, spoglądała w koło siebie, to widziała przedewszystkiém po prawéj i lewéj stronie potoku daleko ciągnące się ogrody i pola ojca swego i stryja, zarówno na łagodnéj pochyłości góry jak i na wązkiéj równinie przy brzegu strumienia.

A to wszystko wielce podobne było do niestrzyżonego kobierca, w którym na tle zielonén wyhaftowano białe i złotawe punkta, albo téż do jednego z owych koszyków, które w święto Demetry no-

szą dziewice na głowach, napełniając je aż po brzegi różnobarwnemi liśćmi, i z po za których wyglądają owoce jaśniejsze i ciemniejsze.

Młode zarośla granatów i mirtów puszczających już pędy, wesoło odbijały od ciemnéj zieleni połyskujących liści oliwek sękatych.

Na krzakach i krzewach błyszczały wonne róże gorącą czerwienią, jak gdyby ognisty słońca pocałunek do życia je powołał; a kwiaty brzoskwiń i migdałów jaśniały na gałęziach drzew delikatnemi barwami, jakby usta dziecka obudziły je ze snu.

Z dziwnie posplatanych z sobą gałęzi drzew figowych wyrosły świeże jak wiosna listeczki a do nich przylgnęły przepełnione torebki owoców. Wśród tęgich, błyszczących, zimą niespożytych liści wisiały złociste cytryny, a w długich szeregach strzelały w górę wysmukłe, ciemno-zielone cyprysy, jakby poważne przemowy chóru wśród wesołéj świątecznéj zabawy. Podobny do obozu o szeroko sklepionych, okrągłych namiotach, przedstawiał się oczom patrzącéj w dół dziewczyny sosnowy lasek jéj ojca; a kiedy wzrok swój zapuściła głębiéj, dostrzegała morze spokojne, którego szeroka powierzchnia wśród tak miłego poranku lśniła tu jak jasny bławatek, ówdzie jak szafir wygładzony a wszędzie starała się jakoby własnym błękitem prześcignąć barwę czystego nieba. A jak na firmamencie przebiegały chmurki srebrzyste, tak na morzu mknęły żagle białawe.

Zielenią pokryte pagórki stanowiły ramy tego miłego obrazka. Na ich pochyłościach, obficie ziołami porosłych, widać było to połyskujące od białości świątynie, to wsie i domy i chaty jakby trzody i rozpierzchłe owce, odpoczywające pod cieniem krzewów liściastych.

W koło głów ludzi wesołych wiją się kwieciste wieńce; tak tutaj dom każdego zamożniejszego rolnika otoczony był gajem lub ogrodem.

Po za pagórkami wznosiły się potężne w ostro zarysowanych liniach nagie czoła dalszych wysokich gór i śnieżny wierzchołek odpoczywającéj Etny świetnie z po za chmur pobłyskiwał.

Teraz, przy tak wczesnym ranku, nad morzem i ogrodami, nad pagórkami i skałami dalekiemi unosiła się delikatna zasłona barwy opisać się niedającéj. Doznawało się takiego wrażenia, jak gdyby na urobienie téj tkaniny morze dostarczyło wątku, na którém złote słońce dziergało.

Przecudny-to był krajobraz, ale nie dla przypatrzenia mu się wracała Ksanta ku źródłu; a może nawet i nie wiedziała, że on był pięknym.

Zapewne, kiedy morze jaśniało szafirem nieba i jak dzisiaj spoczywało nieporuszone, myślała sobie, że w rozkosznéj drzémce wygrzewa się na słońcu Glaukos, bóg błękitu morskiego.

W inne dni pogodne, kiedy się przelewały fale i bałwany, kiedy biała piana wieńczyła ich wierzchołki, a one wyglądały jak nieprzejrzanéj długości smugi w ciągłym ruchu o brzeg się bijące, Ksanta sądziła, że to pięćdziesiąt cór Nereusza oddaje się zabawie wśród jasnych nurtów.

Miłe-to były kobiétki a ich sztuczki były bardzo swobodne.

Jedne spokojnie się kołysały w połyskującéj wodzie, drugie rzucały się śmiało na grzbiety brodatych Trytonów, popędzając ich raźnie, by w liniach falistych po przez toń je wieźli.

Kiedy spienione fale z szumem o brzeg uderzały, zdawało się Ksancie, że słyszy, jak ci siłacze podtrzymując tułów łuszczastym ogonem, dmą szerokiemi usty w zębate muszle. Niejeden błyszczący grzbiet ciemno-błękitnéj fali, nie był z pewnością pianą morską; o nie! bowiem widziała wyraźnie, że to był biały grzbiet albo świecące ramię, albo srebrem błyszcząca noga córek Nereusza. Zdawało się jéj nawet, że widzi dokładnie, jak się te wesołe bogińki pluskały w niebieskiéj toni; raz głową to znów stopami zapuszczając się w głębinę, albo téż lekko się w kółko kręcąc wypływały na powierzchnię wody. Jedna drugiéj uprzejmie podawała rękę i przy tém bardzo często ukazywały się na załomie fal ich ramiona zgięte przecudnie.

Codzień inne wyprawiały figle, tak jak morze nie wyglądało nigdy jednakowo; bo co godzina zmieniała się jego barwa i tu i owdzie i wszędzie.

Smugi jasne, jak niebiesko-zielona przezroczysta gaza, częstokroć przebiegały poprzez ciemniejszą powierzchnię, wyglądającą jak płaszcz purpurowo-błękitny z drogiéj fenickiéj materyi. Ba, nurt morza mógł być tak czarnym jak oko Nocy i tak białym jak szyja Leukotei.

Naówczas atoli ukazywała się niebawem Amfitryta z włosem rozwianym a głosem donośnym, a wraz z nią Pozejdon na swym wozie w czwórkę zaprzężonym.

Patrząc ponuro zacinał ostro swe rumaki biczem, co świszcząc przerzynał powietrze. Gniewnie zapuszczał swój trójząb w morze, a natychmiast powlekały się bałwany jasno-brunatną i ciemno-żółtą i czarno-zieloną barwą, morze zaś nabierało podobieństwa do jakiegoś płytkiego stawu o dnie błotnistém, gdy robotnicy rzucają weń kamienie. Woda natenczas czystość swą zupełnie traciła, a fale rozhukane spienione pryskały ku niebu i groziły zniszczeniem marmurowego tarasu. Drżące Nereidy chowały się na wiecznie spokojne dno morza, Trytony nie potrzebowały już wcale wydrążonych muszli, by na nich łagodne wygrywać melodye; one teraz wydawały głośne

tony pieśni wojennéj, jak gdyby szło o zdobycie twierdzy nieprzyjacielskiéj, Amfitryta zaś obu rękami porywała długie, rozlatujące się włosy a wyciągnąwszy szyję i głowę rykiem wybuchała szalonym.

Dzisiaj atoli morze spoczywało. I kiedy Ksanta doszła do źródła, to rąbki mleczno-białych, lekko płatkami na siebie zachodzących chmurek, różowym jeszcze blaskiem grzbiety wyższych skał pokrywały. Był-to kraj szaty znikającéj Jutrzenki (Eos), były-to listki kwiatów rozrzucane przez Hory na drodze, po któréj potoczyć się miał czworosprzężny wóz Heliosa wyjeżdżający z morza.

Dzisiaj i o téj godzinie światło dzienne spływało bez przeszkody na cyprysy rosnące na wzgórzach, liście krzewów kołysały się w ogrodach przy lekkich wiatru podmuchach; a Ksanta kłaniała się im, bo myślała, że to piękne Dryady życie drzewom nadające witały się z sobą i do siebie mrugały.

Na ołtarzu, stojącym obok jéj ulubionego miejsca spoczynku, a wzniesionym przez pradziada na cześć nimfy tego źródła, składała ona czasami odmawiając modlitewkę kwiaty a nawet i krągły placek na ofiarę; ale dzisiaj nie po to przyszła do źródła.

I cóż ją wywiodło tak wcześnie z domu aż tu na wzgórze?

Może przybyła do zdroju, aby na jego zwierciadlanéj tafli własny swój obraz podziwiać?

W domu na coś podobnego rzadko kiedy nadarzyła się sposobność, gdyż Semestra, widząc ją wpatrującą się w gładki krążek metalowy, mawiała zazwyczaj:

— Jeśli dziewczyna często używa tego bezużytecznego bawidełka, to z pewnością odkryje w niém obraz głupiéj.

Rzeczy zakazane pociągają ku sobie, ale Ksanta rzadko bardzo spoglądała w owo płynne zwierciadło, chociaż ono mogłoby ją zachęcać do częstego w niém przeglądania się, gdyż jéj postać była wysoka i smukła jak cyprys, jéj obfite jasne włosy miały jakiś odblask złotawy, owal twarzy pięknie był zaokrąglony, a duże niebieskie oko kształtną długą brwią ocienione. Oko to nie mogło ukryć nic z tego, co poruszało jéj duszę: kiedy była samą, zdawało się pytać: „Jaką też przyszłość przeznaczyli mi bogowie?“ A z jéj spojrzenia można było nieraz wyczytać odpowiedź: „Pewnie że piękną.“

Ksanta jednakże nie po to przyszła do źródła, by roić o jasnéj przyszłości; nie, przeciwnie przyszła tu po to, by być smutną, smutną z głębi duszy i by módz łzy wylewać nie narażając się na strofowanie. Nie płakała gwałtownie, lecz z jéj oczu płynęły powoli owe okrągłe słonawe kropelki, co spadają po jaśniejących młodością policzkach jak ze zranionego pnia brzozy płynie sok błyszczący... kropla po kropli.

Tak, Ksanta była tu smutną, chociaż wszystko, co ją otaczało, wydawało się tak wesołém i chociaż w jéj domu śmiech rzadko ustawał, a ona sama nie mniéj swobodnie i wesoło chichotała, aniżeli zuchwała Chloryda i czarna Doryppa.

Ojciec chory, a teraz właśnie powoli do zdrowia powracający, nie mógł odmówić żadnemu jéj zachceniu, a lubo Semestra opór niekiedy stawiała, to przecież w końcu Ksanta robiła zazwyczaj to, co się jéj podobało. Uroczystości i raźnych tańców nie brakło, a żadnéj z jéj towarzyszek nie przynosili młodzieńcy piękniejszych wstążek i żadnéj nie podawali chętniéj ręki, gdy mieli pójść w zapasy. Ze wszystkich naokół dziewcząt była ona najpiękniejszą, a Ismena, żona Fryksora, powiedziała, że śmiech Ksanty przy zabawie jest tak wesoły, że chromych nawet do tańca-by skusił; a przecież Ismena miała także córkę w wieku Ksanty, więc to co powiedziała, musiało być prawdą.

Dlaczegóż więc, na wszystkie bogi! czuła się Ksanta tak smutną?

A czyż potrzeba koniecznie jakiejś przyczyny, ażeby to wyjaśnić?

Czyż dziewczynę ma koniecznie spotkać jakieś nieszczęście, ażeby uczuła tęsknotę do płaczu?

Nie, z pewnością!

Im która jest weselszą trzpiotką, tém prędzéj nastrój taki owładnąć nią może.

Kiedy niebo świeciło długo w całym swym blasku i kiedy powietrze staje się tak dziwnie przejrzystém, że się wyraźnie rozpoznaje wierzchołki najdalszych nawet gór, to deszcz czekać na siebie nie daje; a któż może długo śmiać się całém sercem, żeby nie musiał w końcu łzami się zalać?

Temu kto doświadcza dotkliwego, choć nie najgłębszego, cierpienia; temu kto się wzbił na najwyższy szczyt zadowolenia i—dziewczynie uczucia miłości doznającéj: tym trojgu najchętniéj użycza niebo dobrodziejstwa łez.

Czyż i w młodém sercu Ksanty utkwiła strzałka Erosa?

Byłoby to rzeczą możliwą, ale ona nie wyznawała tego nawet sobie saméj a jeszcze wczoraj zaprzeczyłaby temu bez zająknienia.

A jednak jeżeli kochała jakiego młodzieńca i jeżeli dla niego przychodziła aż tu na wzgórze do źródła, to mieszkał on chyba w tym czerwonawym domu, co się okazale wznosił po prawéj stronie potoku, pomiędzy morzem a źródłem na pięknéj równinie; raz-po-raz bowiem ku niemu spoglądała Ksanta. Pod tym dachem przebywali, oprócz służby, sędziwy rządca Jazon i Faon, syn jéj stryja; gdyż sam Protarch pojechał okrętem do Messeny wioząc swoję oliwę i oliwę chorego jéj ojca.

Starości przypada w udziale jałmużna szacunku, młodości zaś— dar Erosa, to téż z pomiędzy trzech mężczyzn, co tam po prawéj ręce Ksanty mieszkali, jeden tylko mógł rościć pretensyą do tego daru a nawet miał do niego całkiem słuszne prawo.

Ksanta istotnie i przy źródle myślała o Faonie, ale czoło jéj fałdowało się przytém tak dumnie, że bynajmniéj podobną nie była do dziewicy poddającéj się tkliwym wzruszeniom.

Otwarły się właśnie drzwi czerwonawego dworu; Ksanta szybko powstawszy, spojrzała w tę stronę. Wyszedł niewolnik trzymający w ręku duży uszasty dzban z brunatnéj gliny o czarnym rysunku i ostrożnie wyjrzał na podwórze.

I cóż jéj zrobił ten siwowłosy barczysty starzec, że tupnęła nóżką w ziemię i górny rząd białych jak śnieg ząbków głęboko w dolną wargę zapuściła, jakby wielką jaką boleść zgryść chciała!

Nikt nie może doznać mniéj przyjaznego przyjęcia jak ten niepowołany, co się nam zjawia zamiast upragnionego serdecznie; Ksanta zaś pragnęła ujrzéć nie niewolnika, ale Faona, co był synem jego pana.

Nie miała mu ona wprawdzie do powiedzenia nic, odskoczyłaby, gdyby Faon ośmielił się szukać jéj przy źródle; lecz mimo to pragnęła go widziéć, pragnęła przekonać się, czy Semestra prawdę mówiła, opowiadając, jakoby Faon zamyślał żenić się z jakąś bogatą dziedziczką, o którą ojciec starał się dla niego w Messenie.

Dla pieniędzy (tak zapewniała klucznica wczoraj w wieczór) zgodził się mieć brzydką żonę, a teraz korzysta z nieobecności starego i, jak tylko zagaśnie ogień na ognisku, co wieczór wydala się z domu. A dobrze już po wschodzie słońca wraca dopiéro nocny ten ptaszek, pewnie z rozpustnéj biesiady w towarzystwie szalonego Hermiasa i innych rozpasanych koleżków z Syrakuzy. Oni potrafią wprawić w ruch zbyt powolny język Faona!

Potém opowiadała tegoż wieczoru Semestra, jak się to odbywają takie uczty, a gdy wspomniała także o malowanych flecistkach, z któremi młokosy miejskie pieniądze swych ojców marnotrawią, a w dodatku zrobiła z naciskiem uwagę, że Faon wygląda już tak nieświeżo i tak jest ospały, jak gdyby był pojętnym uczniem osławionego Hermiasa: — to Ksanta znienawidziła starowinę i o mało co nie zapomniała o czci, należnéj siwym jéj włosom, mówiąc jéj wprost, że kłamie i spotwarza.

Dziewczyna atoli nie mogła przemówić, gdyż potajemne staranie się Faona o bogatą Messenkę głęboko zraniło jéj duszę, a przytém

na twarzy dawnego jéj zabaw towarzysza rzeczywiście widać było większe aniżeli poprzednio zmęczenie i zadumę.

Na pochwały Semestry oddawane młodemu Leonaksowi, jéj krewnemu, Ksanta równie mało zwracała uwagi, jak na ćwirkanie świerszcza u ogniska; a zanim jeszcze klucznica skończyła, dziewczyna wstała i nie powiedziawszy nawet dobranoc wedle zwyczaju, odwróciła się od niéj i wyszła z komnat kobiecych.

Przyszedłszy do swego pokoju nie położyła się odrazu, ale długo jeszcze chodziła przed swojém posłaniem. Potém tak nieostrożnie włosy rozplątywać zaczęła, że ją aż zabolało.

Piękną chusteczkę czerwonego jak mak koloru, którą kładła zazwyczaj na swe złociste pukle, ażeby się w nocy nie splątały, tak szybko a tak mocno zawiązała pod brodą, że musiała ją natychmiast zwolnić, boby się udusiła.

Z drobnych nóżek zdjęła sandały, które posłuszna zaleceniu nieboszczki matki, zwykle stawiała obok krzesła przeznaczonego na składanie równo złożonych sukni, rzuciła tego wieczoru w kąt; myśląc bez ustanku o Faonie, o dziedziczce z Messeny i niegodziwém postępowaniu swego niegdyś towarzysza. Przytém postanowiła sobie wybadać, czy Semestra prawdę mówiła, i w ciszy nocnéj namyśléć się nad tém, co jéj należy przedsięwziąć, aby podejść Faona i wywiedziéć się, jaki ma on udział w swataniu podjętém przez ojca.

Ale bóg Morfeusz inaczéj zrządził, bo zaledwie Ksanta położyła się, lampkę zgasiła i kołdrą się dobrze owinęła, a już opanował ją sen.

Obudziła się dopiéro nakrótko przed wschodem słońca i natychmiast przypomniawszy sobie o Faonie, o dziedziczce i o niemiłych słowach Semestry, poszła ku swemu źródłu.

Stamtąd mogła zobaczyć, czy syn jéj stryja powracać będzie chwiejnym krokiem z miasta, czy też wyjdzie rano jak zazwyczaj z domu, aby bułanki swoje, których żaden niewolnik dotykać się nie śmiał, zgrzebłem oczyścić i do wody zaprowadzić.

Nie pokazał się jednak, a zamiast niego wyszedł na podwórze barczysty niewolnik.

Jeżeli dawniéj tu na wzgórzu smutna była, dlatego że smutek sprawiał jéj przyjemność; to dzisiaj ból zagłębił się w jéj serce jak nóż, a ten kawałek białego chléba, który pomimo zmartwienia głód czując, do ust poniosła, wydał się jéj tak gorzkim, jak gdyby w piołunie był zmaczany. Solić go nie potrzebowała, bo o to postarały się już łzy nań spadające.

Dosłyszała ona wołania klucznicy, ale nigdy im nie była posłuszną natychmiast a teraz możeby na nie wcale nie zważała, gdyby

nie była spostrzegła, że..... rzeczywiście nie myliła się... że w całém znaczeniu wyrazu płakać zaczęła jak strofowane dziecko.

Płakać!

O kogo?

O tego-tam chłopca lekkomyślnego, niegodziwego, chciwego na pieniądze! Płakała ze złości na samę siebie a złościła się tak dobrze o to że płakała, iż nowe łzy popłynęły po policzkach...

Popłynęły, ale w niewielkiéj ilości, bo zanim się zaczerwieniły piękne jéj oczy, już oschły, jak to bywa zazwyczaj, kiedy są młode i kiedy się im coś nowego nawinie.

Głośno rozmawiając zbliżyło się do źródla dwoje dzieci, synek stróża winnicy i córeczka pasterza.

Ustroiwszy się dziwnie w świeży zielony bluszcz, który okręciły sobie około szyi i piersi, chciały one właśnie puścić łódkę z kory zrobioną na obmurowaną sadzawkę, dokąd źródło spływało.

Chłopak był właścicielem łódki, obiecał ją darować wczoraj dziewczynie a dzisiaj wzdragał się ją oddać, kładąc za warunek, żeby mu dała białe muszełki, które starszy jéj brat znalazł, ślicznie oczyścił i zawiesił na brunatnawém ramieniu przywiązawszy nitką. Chłopiec upierał się przy swém żądaniu i wyciągał rękę po muszle, dziewczynka broniła się łkając i płacząc.

Niespostrzeżona od dzieci Ksanta, ujrzawszy walkę przemocy ze słuszném prawem, szybko się do kłócących zbliżyła, uderzyła chłopaka po ramieniu, przyczém sprawiła się tak niezręcznie jak każda inna dziewczyna przy podobnéj czynności, odebrała chłopcu łódkę, oddała ją małéj a zwracając się ku niéj, rzekła:

— A teraz bawcie się razem i zgodnie, a jeżeli ci Syrus nie zostawi łódki i muszel, to przyjdź do mnie, biedna Stefanion.

Mówiąc to obtarła własną szatą oczy dziewczynki, wzięła ją za ramię, chwyciła czarnowłosą głowę chłopaka, przycisnęła łagodnie oboje dzieci i rozkazała téj parze:

— No, pocałujcie się!

Dziewczynka odważnie i uczciwie spełniła rozkaz, ale pocałunek chłopaka był raczéj podobny do uderzenia towarzyszki ustami, aniżeli do serdecznego uścisku.

Ksanta zaśmiała się wesoło, odwróciła się od dzieci i szła powoli ku dolinie.

Przytém jak błyskawice przelatywały jéj przez głowę różne drobne wydarzenia z ubiegłych czasów, z owych dni, kiedy ona sama była jeszcze małą i kiedy Faon bawił się z nią codziennie tak jak kędzierzawy Syrus z córeczką pasterza.

Wszystkie atoli obrazy, przesuwające się teraz po przed oczyma jéj duszy, wielce się różniły od tego, który dopiéro co widziała.

Kiedy razu pewnego powiedziała, że strumień mógłby zawieść do morza nie same kwiaty i liście, które weń wrzucała to Faon uśmiechnął się tylko z cicha, lecz nazajutrz znalazła tam wiatraczek drewniany, umocowany na osi, który Faon zrobił i postawił między kamieniami. Woda płynąca z góry uderzała w szerokie powierzchnie małych śmig i wprawiała je w ruch niezbyt szybki i niezbyt powolny. Całemi tygodniami cieszyli się oboje tą doskonałą zabawką; a on nie żądał za nią nawet słowa podzięki, ona też nie powiedziała nic, tylko mu żywością swoją dała poznać, że się mocno cieszy i to Faonowi wystarczyło.

Kiedy zaczęła wraz z nim budować domek z piasku i kamieni i nie mogli go skończyć, to nazajutrz rozpoczynając zabawę nanowo, już znajdowała domek ten pokryty dachem i otoczony ogródkiem w którym gałązki, powtykane w piasek służyły za drzewa a czerwone i niebieskie kwiaty—za krzewy.

Siedzenie przy źródle on sam dla niéj zrobił, jak niemniéj ławeczki przy brzegu, które ułatwiały dostanie się do łodzi suchą nogą; a i tę łódkę pomalował Faon czerwoną i niebieską farbą, zdaleka błyszczącą, posłyszawszy, że się jéj podobała różnobarwna łódź sąsiada.

Teraz myślała o tych i wielu podobnych postępkach swego towarzysza, przypomniała sobie, że nigdy nic jéj nie obiecywał ale zawsze występował z rzeczami gotowemi, jakgdyby to tak być powinno.

Pożądać wynagrodzenia za podarek lub podzięki za robotę jak to zrobił kędzierzawy Syrus, Faonowi nigdy na myśl nawet nie przyszło.

Usługę za usługą robił jéj w milczeniu; ale niestety; Ksanta w téj chwili nie miała wcale ochoty uznać tych dowodów przywiązania.

Męszczyzni na nikogo prędzéj się nie gniewają jak na tych, od których wiele doznali dobrodziejstw, nie mogąc się za nie odpłacić; kobiéty, bez różnicy, młode czy stare, mają w tém do bogiń podobieństwo, że każdy dar męszczyzny jako ofiarę sobie należną ochotnie przyjmują, dopóki są względem dawcy łaskawie usposobione; dziś atoli właśnie Ksanta miała skłonność do gniewu na swego towarzysza zabaw.

Tysiące wspólnych radości i smutków połączyło ją z Faonem a w najdalszym punkcie widnokręgu jéj wspomnień tkwił wypadek, co dał nowy kierunek jéj przywiązaniu do niego. Matki ich obojga pomarły w tym samym dniu; od téj chwili Ksanta sądziła, że powinna nad Faonem czuwać i miéć o nim staranie, z początku naturalnie jako o wielkiéj żywéj lalce tylko, a potém i w sposób poważniejszy. A teraz on się jéj wymknął i bliski jest przepaści!

— A przecież Faon to zupełnie co innego niż wyuzdani chłopcy z Syrakuzy!

Od dziecka należał on do tych, co działają, nie tracąc słów napróżno. Jak marzyciel lubił chodzić po samotnych drogach, przyczém zazwyczaj spuszczał w ziemię swe wielkie, piękne oczy.

— Niepytany, rzadko przemawiał.

Nigdy się nie chełpił, że może to lub owo zrobić, albo że dokonał rzeczy doskonałych.

Nie okazywał się rozmownym przy pracy a nawet przy wesołéj zabawie.

Zwolna zabierał się do roboty, ale co raz przedsięwziął, to potrafił dobrze do końca doprowadzić.

Chętnie go widywano na placu szermierki lub w tańcu; młodzieńcy bowiem poważali jego siłę, wdzięczny powab zręcznych ruchów i spokojny, niczém nie zastraszający się sposób rozbrajania kłótników i samochwalców; dziewczęta zaś lubiły patrzéć pięknemu marzycielowi w głębokie jego oczy a podziwém były dla niego przejęte, kiedy on przy najdzikszych nawet obrotach schylał się i podnosił zawsze beznamiętnie i ściśle według taktu bębenka lub podwójnego fletu,—a zawsze powabnie.

Naturalnie były i takie, co mu zarzucały ociężałość, jeśli zapomniał zwrócić na nie uwagę; saméj nawet Ksancie przykro się robiło, gdy język jego nie znajdował ani jednego słówka na opowiedzenie tych interesujących rzeczy, jakiémi błyszczało jego spojrzenie. O, bo to oko było wymowném! I kiedy jego głębokie, serdeczne spojrzenie, nie paląc się płomieniem, ale gorąco i potężnie działając jak strumień lawy, co w swéj cichéj wędrówce obala wszelką przeszkodę, ku niéj się zwróciło i z jéj wzrokiem się spotkało: wtedy pojmowała, że Faon milczy nie z ubóstwa ducha lub oschłości serca, ale dlatego, iż uczucia nim władnące są tak wielkie i silne, że ich żadne usta śmiertelne ubrać-by w słowa nie potafiły.

Mimo to wszystko gniewała się dzisiaj Ksanta na towarzysza zabaw; gniew zaś dziewczęcia ma dwoje oczu, z których jedno jest ślepe, a drugie zato widzi bystrzéj niż oko sokoła.

Co dawniéj w Faonie ceniła i lubiła, tego dziś Ksanta nie dostrzegała; to zaś, co słabą jego stronę stanowiło, widziała w samych skazach i plamach.

Tak, zapewne, milczący wiele przyjemności jéj sprawił, ale też był niemy jak ryba, i z pewnością nieraz byłby się pochwalił i podziękowania zażądał, tak jak inni, gdyby lenistwo nie pętało mu nieruchomego języka.

Niedawno musiała podać rękę chudemu Ifisowi, gdyż Faon zbliżał się zanadto powoli. To ospalec, niedołężny marzyciel... Chciała mu też powiedziéć, że lepiejby mu przystało swobodnie się wyciągać na posłaniu i ćwiczyć się daléj w milczeniu, aniżeli starać się o obce dziewczęta i hulać w nocy z rozpustnymi koleżkami...

(*C. d. n.*)

OSTATNIE LATA WITOŁDA.

CZĘŚĆ DRUGA.

Od dawna nie widział i nie zaraz zobaczy świat tak wspaniały zjazd trzech panujących, jakim był zjazd trzech potężnych mocarzy w Łucku, mówi nasz Długosz, podnoszący tę okoliczność, że Polacy wszystkich zaćmili liczbą, blaskiem, potęgą i powagą. W rzeczywistości—możnowładcy polscy, towarzyszący królowi w orszaku, ogołocili jego koronę już na tyle z blasku majestatycznego, że mogli nabytkami przyćmiewać liczny orszak litewski, składający się z całéj rzeszy potulnych książąt litewskich, ruskich i tatarskich, jakotéż mniéj liczny króla Zygmunta, złożony po większéj części z Węgrów. Ostatni, jak zwykle spaźniający się, miasto na dniu 9 przybył dopiéro 22 stycznia, miał bowiem jeszcze „mnóstwo spraw“ do załatwienia, z którego to powodu zresztą starał się pośpiesznym gońcem usprawiedliwić przed wyczekującymi go książętami. Sprawy, których bliżéj nie objaśniał, odnosiły się do terroryzowania husytów; środek niewinny, którego często używał wyzyskując pozorne zbliżanie się do Polski i Litwy. Podróży jego przez Sącz i Ruś czerwoną na Wołyń, towarzyszą roje plotek, obliczonych zapewne na łatwowierność Szafrańców, którzy tym razem nie podążyli na zjazd, lecz pozostali w Krakowie i przyjmują poselstwa husyckie wchodząc z niemi w układy. Znany z gościnności Witołd, podejmuje monarchów po królewsku, długie wieki będzie trwała pamięć o jego wspaniałém przyjęciu, a obronny pod owe czasy Łuck, licha dziś mieścina, zapisał na kartach swéj skromnéj historyi rozdział bardzo ważny, rozpoczynający się z dniem przybycia króla Rzymskiego, Zygmunta.

Mniéj aniżeli o zewnętrznych stronach zjazdu wiemy o wewnętrznych, o politycznem jego znaczeniu i celu, dla którego się zjechano. Na podstawie lakonicznych pod tym względem relacyj kro-

nikarskich, nie można się nawet domyśléć, że zjazd w Łucku jest skomplikowaną kontynuacyą owego szeregu zjazdów rozpoczynających się zjazdem w Wielonie, który się odbył w maju 1423 roku. Miał on nadto podnieść ideę wspólnéj krucyaty przeciwko Husytom, dlatego téż i legat papieski był uczestnikiem obrad zjazdowych, które tym sposobem urastały do znaczenia, kongresu monarchów w Łucku.

Uczestnictwo króla Zygmunta, zastrzeżone w jednym z dokumentów ugody Kezmarkskiéj, wcale nie było niespodzianką. Tak on jak i reszta z uczestników wiedzieli aż nadto dobrze, że zjazd ma na celu załatwienie piekących kwestyj: jak mołdawskiéj, husyckiéj i nie mającéj końca krzyżackiéj. Ostatnia obchodzi najbardziéj Polskę, husycka zaś króla Zygmunta; pierwszą atoli na zjeździe jest mołdawska, a przynajmniéj takby się zdawać mogło, rozważając treść listów Zygmunta, bezpośrednio przed zjazdem do Witołda i Jagiełły pisanych. Wyrażał on w nich groźbę, że nie przybędzie na zjazd, skoro mu król Jagiełło nie przyrzecze, iż przystanie na podział Mołdawii, który powinien nastąpić, na mocy jednego z artykułów ugody Lubowelskiéj. Wojewoda bowiem—tak argumentował Zygmunt—lubo wezwany na pomoc przeciwko Turkom, nie przybył osobiście, kraje więc jego powinny uledz podziałowi pomiędzy Polską a Węgrami, jak to i uchwalono w jednym z artykułów ugody Lubowelskiéj.

Pamiętając, że wojewoda Aleksander był w nie najlepszych stosunkach z Witołdem, gdyż syn jego Eljasz odesłał był Witołdowi (1422) powinowatą w. księcia Ryngałłę, którą pojął był w małżeństwo, zrozumiemy łatwo, jak drażliwą była kwestya, którą Zygmunt zagajał zjazd łucki, jak delikatnie zdawał się usuwać zarzut protegowania Krzyżaków, skoro ze sprawą tą wiązał szumny projekt przesiedlenia ich nad ujścia Dunaju. Niewiadomo, czy rada koronna dostrzegła w planie Zygmuntowym, dotyczącym podziału Mołdawii, właściwego celu obrotnego matacza. Pragnął on widocznie zatrudnić Polskę na wschodzie, aby ją odwrócić zupełnie od zachodu, a do tego celu stosowném mu się zdawało, poróżnić jéj króla z mołdawskim jego hołdownikiem. Przezorności w każdym razie odmówić radzie nie wypada, skoro dodamy, iż trwała opornie przy swojém zdaniu, że wojewoda nie zawinił. To téż cały szereg skarg, któremi zarzuca Zygmunt wojewodę: listów dowodzących, iż pod Gołębiec osobiście nie przybył i że z tego powodu chrześcijaństwo poniosło klęskę, to wszystko nie doznało w radzie koronnéj posłuchu. Żądanie Zygmunta odparto jako nieuzasadnione „zwłaszcza, gdy wojewoda znakomitym był członkiem i hołdownikiem królewstwa.“

Pozornie więc Zygmunt doznał porażki, gdyż nie dosięgnął zamierzonego celu. Mówię pozornie, i tu bowiem znalazł on sobie

sposób wyjścia z przykrego położenia, bez ściągnięcia na się podejrzeń, że działał zdradziecko. Za jego oto radą, zgodzono się, że w każdym przyszłym sporze co do stosunków Polski i Węgier z Mołdawią, Witołd ma być rozjemcą. Daléj, że jeszcze tego roku na św. Jerzy ma Witołd wysłać do wojewody posłów, do których się przyłączy poselstwo węgierskie, aby zbadać czy Kilja do rzeczonego wojewody czyli téż do wojewody Wołoskiego a hołdownika Zygmuntowego należy i żeby go przywieść do należytego uszanowania względem króla Węgier. Umówiono się nadto, aby zakon krzyżacki dał ludzi, król Zygmunt zaś zaopatrzył ich w potrzeby, i żeby założono zamek u ujść Dunaju celem obrony Europy od najazdów tureckich.

W ten sposób został Witołd, gospodarz zjazdu, za staraniem najdostojniejszego z gości sędzią przyszłych możliwych zatargów pomiędzy monarchami. Król Zygmunt dał jasny dowód, że ufa Witołdowi i tém pozyskał sobie męża, który mu przedtém nigdy na seryo nie dawał wiary. Niepotrzebujemy dodawać, że królowi i radzie jego nie bardzo podobała się ta decyzya, lubo zapadła za ich współudziałem i przyzwoleniem. Niedziwi to nas, że Długosz o niéj przemilcza, zastanawia atoli, iż rada postanawia odwetować sprawę mołdawską na drugiéj z porządku husyckiéj, że według powieści współczesnego świadka, jest ona inicyatorką w tejże — nie przewidując wcale porażki.

Według wspomnianéj właśnie relacyi świadka zjazdu Łuckiego, przystępują radcy polscy do króla Zygmunta i rzekną doń: Łaskawy królu i panie! Spojrzyj na niedolę Szlązka, który pustoszą husyci. Tam to dostarczymy ci pomocy; husyci bowiem gorsi są od Turków i pogan. Przypuściwszy nawet, że żądanie to w nierównie dyplomatyczniejszéj formie podaném było, aniżeli je znajdujemy w skromnéj relacyi jednego z kupców Wrocławskich, było ono jednakowoż aż nazbyt naiwném, aby nie doznało należytéj odprawy ze strony takiego przebiegłego dyplomaty, jakim był Zygmunt. Miał on odpowiedziéć: Cóż mam żądać od Polaków aby przeciwko Polakom wojnę wiedli. Już ja sobie na Szlązku, który jest moją własnością, sam dam radę—sprawozdawca nie dodał, czego się atoli petenci dorozumieli—byleście wy husytom nie pomagali.

Charakterystyczną tę scenę, objaśniają uchwały zapadłe w Łucku a dowodzące, że Zygmunt stanowczo naciskał na Jagiełłę; aby tenże zerwał wszelkie związki z husytami. Prawda, że pomocy polskiéj nie żądał na Szlązku, téj się raczéj obawiał, ale na jego żądanie postanowiono w Łucku, że król Jagiełło, odwoła z Czech poddanego swego Puchałę, że zabroni surowo Polakom wstępu do Czech, zakaże

stosunków z husytami; daléj, że dopomoże Zygmuntowi do odzyskania pogranicznéj Polsce Odry i w końcu, że zmusi Puchałę do zadośćuczynienia za krzywdy wyrządzone królowi Zygmuntowi. Dodać należy, że uchwały te były w wysokim stopniu kompromitującemi Polskę, dlaczego téż Długosz o tém niczego nie wspomina. Oczywista, że o wspólnéj krucyacie nie było i mowy, a Zygmunt jakby wywlókł tę kwestyą, aby odkryć w całéj nagości politykę polską względem husytów, wiedząc, że Witołd jest nieprzebłaganym jéj przeciwnikiem.

Nie lepiéj téż poszła sprawa krzyżacka, mająca za cel załatwić kwestyą o Nową Marchią i Drezdenko. Zygmunt działał tu jako wtajemniczony w zagmatwaną i aż do śmieszności przewlekającą się sprawę graniczną, jako dyplomata, znający najdrażliwszą stronę swych przeciwników i dokładnie obeznany ze stanowiskiem Witołda wśród owych zaciętych sporów. Mając przy sobie „piśmiennych“ krzyżaków, jak podówczas zwano biegłych w prawie kancelistów zakonnych, przystał najsamprzód na odstąpienie Drezdenka Polsce, czém odzyskał napowrót względy króla Jagiełły, upartego jak wiemy, w téj sprawie przeciwnika zakonu. Co do Marchii inaczéj postąpił. Znając upór Jagiełły, podsycany przez kanclerza i niechęć jego ku Witołdowi, doszłą do tego stopnia, iż niechciał powierzyć w. księciu kompromisu w téj sprawie jako sędziemu polubownemu, postanawia król Zygmunt wystawić słabostkę królewską na nową próbę. Jako pan Nowéj Marchii wręcza on Witołdowi wszystkie traktaty z królem Jagiełłą i dokumenta, dotyczące spornych granic z prośbą, aby był sędzią kwestyi granicznéj, zachodzącéj pomiędzy nim a Polską. Książę ucieszony wyrządzoną mu w téj chwili czcią, przynosi tę wiadomość wraz z aktami do króla Jagiełły. W królu odżył na nowo od dawna żywiony upór, odrzekł tedy księciu, iż ani chce widziéć ani słyszéć o jakowychś dokumentach i ze swéj strony nie przystaje na kompromis. Dorozumiewamy się, jak mocno ubodła ta odpowiedź ambitnego Witołda, jak ucieszyła i zachęciła do akcyi Zygmunta. Jego to bowiem obiera król na sędziego polubownego. Zygmunt wymawia się od zaszczytu i z dobrze pojętym interesem odkłada decyzyą w téj sprawie na przyszłość.

Tak więc i trzecia z rzędu sprawa poszła po myśli Zygmunta— w odwłokę. Sprawę o Marchią i Drezdenko odłożono do przyszłego jakiegoś zjazdu. A wszakżeż była ona tą, która jako najważniesza, dała powód do zjazdu!

Ale było ich więcéj—kwestyj drobnych, mniéj ważnych, o których zaledwie wzmianka pozostała w aktach. Mamy ślady, że traktowano w sprawach handlu, cła, daléj w sprawie Rusi, obchodzącéj

zarówno Jagiełłę jak i Zygmunta, o wojnie duńsko-hanzeatyckiéj i o owém przesiedleniu zakonu Krzyżaków nad ujścia Dunaju, czém jednéni mógł sobie Zygmunt podbić Jagiełłę i odzyskać jego dla się względy.

Pomimo, że przy traktatach obwiniano się wzajemnie, że starano się przyciąć przeciwnikowi, ukłuć odpowiedzią lub dokuczyć ironicznym uśmiechem, dbano jednakże o zachowanie przyzwoitéj miary; strony usprawiedliwiały się z zarzutów im czynionych a nawet wzajemnie sobie pochlebiały. Nawet tureckie stosunki były przedmiotem specyalnych narad, a Polacy musieli i tu odpierać zarzuty przez Zygmunta im czynione. Niepowiodło się im z odparciem; i tu zarówno jak w kwestyi husyckiéj ustąpili wobec nalegań Zygmunta i król Jagiełło musiał przyrzec, iż wyda mu możnego zbiega tureckiego „Turka syna Ślepego,“ którego wydania Zygmunt od dwu lat nadaremnie się domagał.

Dodajmy do tych spraw kwestyą przyszłego konsylium, które Zygmunt przyobiecywał zwołać przy pomocy kuryi, celem pojednania rzymskiego kościoła ze wschodnim, a będziemy mieli cały szereg spraw i kwestyj, nad któremi obradowano, na tym pierwszym z europejskich kongresów monarszych.

Pod względem rezultatów przedstawia się ten zjazd na pozór jako dzieło zupełnie chybione i upokarzające inicyatora, którym był król Zygmunt. Sprawa krzyżacka i mołdawska nie doznały załatwienia; *status quo* pozostał dawniejszy, chwiejny i niepewny, podżegający złość Polaków przeciwko zakonowi, pozwalający mistrzowi udaremniać zakończenie sporów granicznych i zwlekać całkowite wykonanie warunków pokoju melneńskiego, a nad obu stronami zawisła znowu groźna chmura nowéj wojny. Wojewoda mołdawski, ufny w obronę swych interesów przez Polaków, będzie mógł daléj służyć im za wygodne narzędzie do niweczenia planów Zygmunta względem Turków, co w stosownym czasie będzie na rękę Zygmuntowi do planu poróżnienia Jagiełły z Witołdem, który to ostatni, według zapadłéj w Łucku uchwały, miał pewne prawa sędziego nad krnąbrnym i zuchwałym wojewodą. Zygmunt nie uzyskał na razie żądanéj pomocy przeciwkom Turkom, wdzierającym się siłą mocą do Europy, a Czesi skoro ujrzą, że zjazd nie doprowadził do żadnéj względem nich decyzyi, będą jak dawniéj, ufni w sprzyjanie Polaków i w niedeterminacyą ich króla, oporem walczyć przeciwko Niemcom i Zygmuntowi. Sprzeczne interesa monarchów miasto złagodniéć, zaostrzyły się skutkiem obrad zjazdowych jeszcze bardziéj, aniżeli przed zjazdem.

To też wzrosła i nieufność króla Jagiełły względem Witołda, tém bardziéj, o ile książe gospodarz cieszył się niezwykłą sympatyą podchlebcy Zygmunta, który z rozmysłem i znawstwem charakterów i ludzi, dawał mu dowody szacunku i wysokiego poważania, stawiając go na równi z koronowaną głową, gdy wręczał mu kompromis w sprawach granicznych, jako sędziemu państw i monarchów, wiedząc prawie na pewno, że Jagiełło nie przystanie na takowy. Niechęć ta wzajemna, doznała bodźca od protektorów husyckich Szafrańców, którzy w obawie aby w Łucku nie zapadła decydująca uchwała względem husytów, wysyłają znowu do króla posła (w osobie Siestrzeńca) z upomnieniem, iż husyci grożą napadem na Polskę, gdyby król wszedł w jakiekolwiek przeciwko nim związki z królem Zygmuntem. Witołd przyjął z ironią to oświadczenie, wymawiając królowi zależność od złych i przewrotnych senatorów. Pozostali w Krakowie Szafrańcy, nie truchleją o wynik zjazdu, gdyż w Łucku jest biskup krakowski Zbigniew, antagonista Zygmunta, który z podejrzliwą obawą patrzy na każdy jego krok, przewidując zdradę. Wobec tego stanu rzeczy, nie dziwna, że Witołd który się spodziewał, że w domu swym pogodzi wrogów i załagodzi spory ich, nie cieszył lecz raczéj martwił się, że próby ugodowe rozbiły się o podejrzliwość, niechęć i złą wolę przeciwników. W złych rezultatach zjazdu, upatrywał on tajną i brudem skalaną rękę Szafrańców i ubolewał nad Zygmuntem, nie wiedząc ani się domyślając, jak oni na oślep pędzili w sieci, które na nich Zygmunt nastawił.

Zygmunt, pobity w oczach Polaków i licznych uczestników wspaniałego zjazdu, nie mógł i sam nieuczuć upokorzenia na jakie się dobrowolnie ale z rozmysłu wystawił. To nam tłómaczy jego chęć i zamiar zrealizowania zemsty, żywionéj od dawna przeciwko Polsce, lubo jak dotychczas, bezowocnie. Opór Polaków i Jagiełły z jednéj strony, szczególna przyjaźń i ufność Witołda i bojarów z drugiéj, wlały weń otuchę, że obecna chwila dogodną jest do poróżnienia połączonych krajów a przynajmniéj władców tychże, których unią za tak szkodliwą dla się uważał i nieraz już posady jéj zachwiać próbował. Zygmunt odważył się jeszcze raz powtórzyć próbę, azali się nie uda dokonać dzieła.

Nietajno historykom, że król Zygmunt lubował się w roli wielkiego negocyatora wśród królów, w pompie zewnętrznéj, jaką rozwinąć mógł jako sędzia spraw monarszych, jako rozdawacz lennictw i beneficyów, a szczególniéj koron itp. Charakterystyczny ten rys, powtarzający się po kilkakroć w jego życiu, nie jest atoli tak czystym i podniosłym, abyśmy z tego powodu króla podziwiać mieli. Prze-

ciwnie—po każdém jego pogodzeniu, zawrzała na nowo wojna pomiędzy świeżo pojednanymi, a korona Bośniacka przywiodła jéj właściciela w większą jeszcze zawisłość od króla Rzymskiego, aniżeli przed tém, kiedy to posiadał tylko mitrę książęcą. I Witołd był już raz kuszony przez króla Zygmunta, aby z rąk jego przyjął koronę, któraby uwieńczyć miała jego skronie, rozgłosić sławę i porównać go z wielu innymi chrześciańskimi królami, którzy mimo swéj korony, nie mogli się równać z jego zasługami i z książęcą sławą. Witołd atoli zanadto był rostropny aby niewiedziéć w tém przedłożeniu jakiejś ukrytéj myśli, dlatego téż oparł się natrętnemu Zygmuntowi, który pomimo téj niedystynkcyi w nieuznaniu tak wysokiego i niezwykłego dowodu grzeczności i zaszczytu, nie tracił nadziei obdarzenia Witołda drogocennym sprzętem, który był zawsze i będzie pożądanym celem niejednego ze śmiertelników. Witołd był na tyle nieroztropnym, że odparłszy pokusę, opowiedział o zaszłym fakcie Jagielle, może aby dać podejrzliwemu królowi dowód swéj niezłomnéj wierności. Niepotrzebujemy dodawać, jak z tego właśnie powodu ucieszyła się rada królewska i o ile wzrosły jéj przesadne względem Zygmunta podejrzenia. Również zbytecznem byłoby udowadniać, że Zygmunt o tém wszystkiém dokładnie był poinformowany i nadaremnie oczekiwał sposobności, aby błąd popełniony naprawić. Postanowił on, nie dawać poznać po sobie, jak dotkliwie obeszła go rekuza Witołdowa, a poznawszy upór i stałość księcia, z pominięciem jego osoby, zdążać do wytkniętego celu. Drogą tą było pozyskanie dla koronacyi króla Jagiełły. Gdyby król dał się nakłonić do przyzwolenia na koronacyą swego brata i gdyby królewskie swe słowo uroczyście wobec Witołda wyrzekł, mógłby Zygmunt liczyć na to, że w razie potrzeby, przez małe pokątne intrygi, nakłoni radę królewską do oporu przeciwko przyzwoleniu królewskiemu, a rozgłosiwszy równocześnie sprawę, wprowadzi w ten sposób Witołda i Polaków w stanowczy zatarg.

Pomysł ten, jak skutki okazały, nie był niemożebnym. Król Jagiełło był starcem o niepewném i chwiejném zdaniu, łatwo tedy dał się zwieść przez chytrego Zygmunta. Sposób w jaki Zygmunt oszukał Jagiełłę okazuje nam w nim zręcznego matacza, który działał nie bez namysłu i głębszéj rozwagi, a gruntownie znał władców jako téż i senatorów, kraje i interesa Polski i Litwy.

Po załatwieniu a raczéj odłożeniu spraw zjazdowych, odwiedził król Zygmunt Witołda i w obecności będącego podówczas w komnacie sekretarza książęcego Mikołaja Sepieńskiego, po raz wtóry po dwudziestoletnéj przerwie, zaproponował księciu, by przyjął od niego koronę. Będąc przygotowanym, że go książę odeśle z tą sprawą

do króla Jagiełły, umówił się z ostatnim o godzinę poufnéj pogadanki wieczornéj, mającéj bezpośrednio potém nastąpić, aby króla zaskoczyć nieprzygotowanego i odciętego od wpływu radców. Witołd, w rzeczy saméj, na żywe przedłożenia i słowa zachęty ze strony króla Zygmunta, odrzekł:

— Królu! nad sprawą tą, która zdaje się być niemałéj wagi, nigdy się głębiéj nie zastanawiałem, zwłaszcza gdy z królem Polskim bratem mym, zwykliśmy wspólnie się naradzać i zastanawiać i bez wspólnéj rady, niczego nie przedsiębierzemy.

— A więc pomówię w téj sprawie z królem Jagiełłą, odrzekł przygotowany na tę odpowiedź Zygmunt.

— Stoi to w waszéj królewskiéj mocy, odparł Witołd, któremu w téj chwili przypomniały się pokusy Zygmunta; przed 20 laty zwycięsko odparte. Dlaczego dziś je nie odpierał, zastanowimy się późniéj. *Tempora mutantur.*

Po chwili, a było to już w spóźnionéj wieczornéj dobie, odwiedza Jagiełło króla Zygmunta w jego komnacie, gdzie go zastał wraz z osławioną żoną Barbarą Cylejką i hrabią Stefanem Rozgonym, tudzież Janem Mężykiem, dworzaninem królewskim. Zygmunt przygotował był Jagiełłę, że ma mu coś sekretnego do powierzenia, a podejrzliwy król zapewne mniemał, że będą to namowy w sprawie ulżenia doli Krzyżaków, lub ostateczne próby zawikłania go w sprawę mołdawską. Jakżeż się tedy rozczarował, gdy Zygmunt począł wychwalać wspólnego ich gospodarza Witołda i w konkluzyi zaproponował, iż wypadałoby księcia w nagrodę jego wielkich zasług około krzewienia wiary, odszczególnić jakąś zewnętrzną oznaką chwały, któraby go zrównała w godności z innymi panującymi w świecie chrześciańskim. Pochlebny Zygmunt, który i Jagielle pochwał tych nie szczędził, porównując przy innéj sposobności królewskie na tym polu zasługi z zasługami Konstantyna Wiekiego, uzasadniał rozumowanie swoje w ten sposób, iż bezprzecznie możnaby cel osiągnąć, koronując Witołda i że dostojny gospodarz, który w domu swoim gruntuje zgodę w świecie chrześciańskim, godzien jest tego zaszczytu. Dodaje on, że zresztą i sposobność jest po temu, zwłaszcza gdy tylu obecnych jest gości, tyle dostojników duchownych i świeckich, zjazd liczny i okazały. A i Litwa wspólna ich ojczyzna, przed laty poniewierana i znienawidzona od zachodu, doznałaby przez koronę zaszczytu, pozwalającego jéj pod każdym względem równać się z innymi krajami chrześciańskiéj Europy. Dodawał atoli podstępnie król Zygmunt, że lubo już dawniéj o projekcie tym myślał, to jednakowoż przekonał się, że byłoby niesłusznem nie wezwać króla do rady nad wykonaniem tegoż, dlaczego też obecnie uprasza go „jako brata

swego najdroższego, bez którego rady niczego pod tym względem działać nie zamierza", aby orzekł swe zdanie.

Prostoduszny Jagiełło, ujęty mniemaną szczerością Zygmunta, odrzekł „łaskawie," że nie byłby takiemu projektowi wywyższenia Witołda i wspólnéj ich ojczyzny przeciwnym—owszem jest on zatém aby udzielić korony bratu, że jednakowoż należałoby tajemnicę tę do wiadomości Witołda podać. Zbytecznóm byłoby dodawać, jak wielce się Zygmunt ucieszył z takiego orzeczenia. Znając tedy chęci i zdania obu braci postanowił kuć żelazo póki było gorące.

Witołd odpychał w myśli koronę—jak pokusę, jak trapiącą go marę, jakby przeczuwając nieszczęścia, które zatruć miały z tego powodu ostatnie dni jego panowania. Radby był czém prędzéj pomówić w téj sprawie sam na sam z królewskim bratem, pora atoli była spóźniona; tego dnia niemógł on widziéć się z królem Jagiełłą.

O koronie nigdy Witołd nie myślał—był on bez niéj królem, dla wielkiego męża, wystarczała skromna mitra wielkiego Gedymina. Myśli jednakowoż o koronie mu nastręczanéj, nie odpycha on zupełnie. Ona to bowiem blaskiem swém poparłaby wpływ jego w Polsce, nadałaby wyraz dążeniom i pracom jego na Litwie i Rusi a sankcyą owocom trudów jego, przez pół wieku zgórą podejmowanych. Przez koronę Litwa byłaby porównaną z resztą królestw, a on zamykając powieki na wieczny spoczynek, nie potrzebowałby się obawiać o jéj losy przyszłe......

Ale czy działa Zygmunt otwarcie, przemyśliwał Witołd. Wszakżeż już raz podejrzywał on Zygmunta pod tym względem o nieszczerość. Obecnie atoli wynurzył otwarcie król Rzymski, że pomówi w téj sprawie z królem Jagiełłą. Zresztą i obecna chwila wcale była odmienną od owych dawno minionych, kiedy wodził Zygmunt księcia na pokuszenie. Wtedy był on wrogiem Litwy, a więc pomimo grzeczności okazywanych Witołdowi, miał książę poniekąd prawo do posądzania go o nieszczerość. Teraz przeciwnie składał król Zygmunt w ręce Witołda sądy nad sprawami spornymi monarchów (jak mołdawską i krzyżacką), naprawiając tém w zupełności błąd swój sądem wrocławskim wywołany. Zygmunt ujął sobie księcia zaszczytem odwiedzin w tak dalekie strony, a traktując go jako zupełnie sobie równego monarchę, mógł uśpić podejrzliwość Witołda. Wymowny intrygant umiał pochlebić ambitnemu księciu, iż on godzien jest tego zaszczytu, mając tyle dzieł prawdziwie wielkich, tyle czynów dla pożytku wiary spełnionych za sobą, umiał trafić do przekonania, wspominając o porównaniu Litwy z innymi krajami Europy. Przyjazna usługa z jaką się obecnie po raz wtóry narzucił Zygmunt,

okazała się księciu niekłamaną, rodzajem wdzięczności ze strony ugoszczonego monarchy, który zresztą kreował królów, a jako król Rzymski, według powszechnych podówczas wyobrażeń, niezaprzeczone miał do tego prawo. *Tempora mutantur.*

Z tém wszystkiém czuł Witołd i ważył wszystkie trudności, jakie projekt koronacyjny mógł napotkać ze stron rozmaitych. Obawiał on się mianowicie o niektórych z rady królewskiéj, którym niekoniecznie mógł się podobać projekt wywyższenia Litwy, zwłaszcza jeżeli by zechcieli dosłownie brać i tłómaczyć akt unii horodelskiéj, w którym ani o królu ani o królewstwie Litewskiem nie było mowy. Książę znał już wady tego traktatu międzynarodowego, który może wbrew myśli jego twórców, czynił w zasadzie z Litwy prowincyą Polski, zapewniając jéj niezawisłość póki stanie życia jéj księciu. Może téż i myślał, że korona zdołałaby wadę tę naprawić.

Nazajutrz rano wyszedł Witołd wcześnie, by pomówić z Jagiełłą o ważnym projekcie króla Zygmunta. Drzwi komnat królewskich a zarazem wizyty rannéj Witołda, pilnuje już król Zygmunt w zamiarze przeszkodzenia poufnéj braci, sam na sam, rozmowie. Wychodzi on z godną swą małżonką Barbarą naprzeciw księcia i z dobrze udaną radością oznajmia mu, iż wczoraj wieczorem był u niego król i zezwolił na koronacyą. „Chodźmy tedy z królową do Jagiełły"— dodał szybko—niedając czasu do namysłu zdziwionemu Witołdowi nad jego o tak wczesnéj porze i w tém miejscu obecnością.

Weszli tedy razem do komnaty królewskiéj. Zygmunt powitał króla i wnet przypomniał mu o wczorajszém przyzwoleniu.

„Przyzwoliłem na koronacyą książęcego mego brata i cieszę się z tego," odrzekł zagadnięty staruszek, wśród zwykłych sobie komplementów „jako księciu lepiéj życzy aniżeli sobie samemu, że sprzyja mu bardziéj aniżeli komukolwiek bądź innemu."

Witołd oceniając natychmiast doniosłość przyzwolenia królewskiego i jakby przeczuwając intrygę, wtrącił po litewsku, tak aby tego Zygmunt nie zrozumiał: królu, nie śpiesz w téj sprawie! Poradź się naprzód z prałatami i baronami swymi, czego i ja z moimi nieomieszkam uczynić.

Król, atoli znowu wobec Zygmunta i Barbary powtarza dane przyzwolenie i zaręcza, że jest to jego żądaniem i pragnieniem, aby w. książę otrzymał koronę.

Król Zygmunt wraz z królową poczęli tedy z nadmiarem udanéj wdzięczności dziękować Jagielle za to przyzwolenie, a gdy podówczas rada królewska wstępować poczęła do komnaty, oddalili się, z niepłonną już nadzieją, że intryga uda się im zupełnie. Równo cześnie wyszedł i Witołd na naradę ze swoim senatem i w obu iz-

bach poczęto dyskutować nad koronacyą, projektem nadspodziewanym, o którym dotychczas może i nikt nie wiedział. Dorozumiewać się jednakowoż godzi, że Zygmuntowi mogło zależéć na tém, aby wieść o wczorajszym konsensie króla, doszła do uszu tych, którzy ją przyjąć mogli tylko z oburzeniem.

Rada Witołdowa przyjęła projekt koronacyi z zapałem, ciesząc się chwałą księcia i ojczyzny. Senatorowie zaś polscy z niedowierzaniem ku księciu, z oburzeniem i pychą, że im się udało przeszkodzić czarnéj intrydze Zygmunta, odrzucili projekt, biorąc królowi za złe, że dał on przyzwolenie, którego oni niechcąc działać wbrew unii horodelskiéj, dać nie mogą. Postanowiwszy działać stanowczo, usuwają oni króla zupełnie, a biorąc na się straż i obronę zagrożonych praw koronnych, postanawiają wezwać Litwinów wraz z w. księciem na wspólną konferencyą, która się téż natychmiast odbyła.

Wspólne to posiedzenie było nadzwyczaj burzliwe i trzeba było powagi Witołda, aby nie dopuścić, ażeby spory doszły do ostateczności. Biskup krakowski, Zbigniew, oponuje projektowi, który przedstawia jako intrygę, uknutą przez Zygmunta przeciwko unii narodów; tak samo i podkanclerzy, który również zdaje się réj wodzić w radzie.

Możnaż sobie wyobrazić wzruszenia wstydu i oburzenia, z jakiém liczny senat bojarów przysłuchiwał się owemu „veto“ rady koronnéj? Jego treść, jakkolwiek może nie w takowéj formie jak ją Długosz przez usta Oleśnickiego podaje, zdawała się być osobistą dla nich zniewagą, obelgą dla idei równości ich z Polakami, w któréj wzrastali od czasu unii horodelskiéj, obelgą dla Witołda, który kraj ich tak wysoko podniósł, a co wszystko razem wziąwszy, pozbawiło Litwę samodzielności w obec Polski i przyprowadzało ją do najgłębszego upokorzenia wobec lennników litewskich, malkontentów Rusi i wobec dostojnego gościa, który ją podnieść chciał i wywyższyć. To téż i oni nie szczędzili słów, aby odeprzéć błahe w ich oczach zarzuty Polaków. Wielu było bojarów, którzy, jak to późniéj Witołd Jagielle przypominał, wydawali gniewne okrzyki, wybuchali dzikiemi pogróżkami i przycinkami, a wzburzenie doszło do tego stopnia, że hałas i krzyk rozlegał się w sali i przygłuszał mówiących. Nie zmieszany tém Witołd, maskując uśmiechem uczucie wstydu jakie go dotknęło, nakazał swoim milczenie. Obecni rozeszli się w spokoju. Poczém odszedł Witołd do króla, by mu opowiedzieć, że rada jego się sprzeciwiła i niezezwoliła na koronacyą. Przyczém dziękował książę królowi w serdecznych słowach, że on zezwo-

lił, dodając, że nigdy nie myślał ani też będzie myśléć o koronacyi.

Witołd zażegnał burzę. Nie tak rada królewska, tryumfująca, że się jéj udało przeciąć nici Zygmuntowéj intrygi i tracąca w zapobiegliwości swéj głowę, coby uczynić należało aby Zygmuntowi nie pozwolić na nowo nawijać je na kłębek. Zapadła tedy decyzya, aby usunąć króla Jagiełłę od wszelkiéj z intrygantem styczności. Obawiano się o staruszka, aby go Zygmunt na nowo nie wciągnął do sieci. Zamiast tedy przeczekać aż do wyjazdu króla Zygmunta, postanowiła rada jeszcze tego samego dnia opuścić wraz z królem mury Łucka, w naiwném mniemaniu, że tym sposobem przykréj téj sprawie położy koniec. Co też niebawem nastąpiło, jakby w spełnieniu późniejszego przysłowia: krzyknął niepozwalam*i uciekł na Pragę.

Dostało się przed wyjazdem jeszcze i Zygmuntowi. Musiał on wysłuchać gruntownéj filipiki Zbigniewa i znieść lekceważące słowa o intrydze knowanej przeciwko unii narodów. Nie potrzebujemy dodawać, że umiał on się obronić i że tak sangwiniczne postępowanie względem gościa było zbytecznem i niestosownem. Wobec oświadczenia Witołda, mógłby senat polski udać, że nie wie skąd pochodzi projekt koronacyjny. To też zatrzymał Zygmunt króla chcącego odjechać wieczorem, témi słowy: iż gdy za dnia przyjechał, w dzień by też mu i odjeżdżać wypadało. Ile złośliwéj ironii zawierały te słowa!

Król Jagiełło nazajutrz przy pożegnaniu z Witołdem gdy tenże powtórnie począł mu dziękować za jego życzliwość, oświadczył mu „iż koronacya księcia jest jego życzeniem,“ i upewniał go o swojéj dla tego projektu życzliwości. Niewiadomo czy wyrażał on tém tylko osobistą swą życzliwość dla księcia, czy też wypowiadał, skutkiem rady swych senatorów, zupełną od nich zawisłość.

Nagły i niespodziewany odjazd Polaków i króla jak z jednéj strony niemiłym był Witołdowi, tak z drugiéj był wcale na rękę królowi Zygmuntowi. Przy pokątnych intrygach, zręcznie prowadzonych a zdążających ku temu celowi, by fakt przykry i smutny, lecz w istocie błahy, wysunąć na pierwszy plan, mogła się udać kabała. Chwila ku temu dogodna i sprzyjająca. Pomaga mu wielce rozdrażnienie Litwinów i Rusi, ich głębokie upokorzenie, podrażniona ambicya księcia—a wreszcie, co może i najgłówniejsza, brak króla i senatu, którzyby plotkom i obmowom mogli położyć koniec. Zaprzeczyć się atoli nie da, że takie intrygi, pomimo talentu ich twórcy i wykonawców, nie potrafiłyby zachwiać stałością Witołda, który obrazę tę jako czysto osobistą traktował, i lubo mógł żywić niechęć

do przeciwników, to jednak przekonany był o szczérości i przychylności króla i o jego bezsilności wobec swych senatorów. Witołd pojmował trudne położenie królewskiego brata, a że nadto czuł i wiedział o doniosłości projektu koronacyjnego, który koniecznie pociągnąłby za sobą zmiany w układzie politycznym Polski i Litwy, tak że wymagałby nowéj redakcyi unii horodelskiéj, przebaczał w duchu oporowi senatu królewskiego i postanowił być głuchym na podszepty wplątanych w kabałę zauszników Zygmuntowych, jako też i samego króla Rzymskiego. Naprożno stara się ostatni udowodnić księciu, że on posiada prawo do koronowania go; naprożno ofiaruje się z tą usługą i przekonywa, że ta korona w niczém nie zmieni stosunku Litwy do Polski. Rostropność księcia, nakazuje mu zbywać pytania Zygmunta wymówkami, że na to potrzebaby przyzwolenia pełnéj rady bojarów Litewskich, którą późniéj w tym celu zwoła, że przeto i koronacya mogłaby kiedyś późniéj nastąpić. Zygmunt widząc, że ambitny książę, zasłaniając tém pomimo woli doznaną porażkę, usuwa jego plan w nieokreśloną przyszłość, ofiarowywał przynajmniéj księciu, na każdy wypadek swą uczynność i przyjacielską usługę.

Inaczéj aniżeli z Witołdem miała się sprawa z jego senatem— który obrazę senatorów polskich tém żywiéj odczuwał, im bardziéj intrygował śmielszy wobec nich król Zygmunt. On przekonywał ich, że Polacy, mimo unii, uważają ich jako niższych od siebie, a tém samém tak ich ojczyznę Litwę jak pana ich w. księcia, jako lenników swoich, i li z tego powodu nie chcą pozwolić na ich wywyższenie. Jednakowoż książętom i senatorom Litwy przewodził Witołd, z którego to powodu udatnie rozpoczęta kabała Zygmuntowa, natrafiała na trudności nieprzyzwyciężone.

Z tego zakłopotania wybawiła Zygmunta kancelarya królewska, zaalarmowana z umysłu przez Zygmunta rozszerzoną pogłoską, jakoby król Zygmunt sam zamierzał Witołda koronować, nie oglądając się wcale na Polskę. Krok jéj fałszywy, który opowiedziéć mamy, pozwolił intrydze nadać zwrot dla Zygmunta pomyślny.

Król Jagiełło udał się wprost z Łucka do Krakowa, rospuściwszy swych senatorów do domu. Oprócz biskupa krakowskiego, nie był nikt ze starszych senatorów obok króla jak tylko kreatura Szafrańców, młody podkanclerzy Władysław z Oporowa doktór prawa. Młodzieniec ten okazywał niezwyczajną gorliwość w zwalczaniu projektu Zygmuntowego, a nadto podzielał, wraz z mistrzami swoimi, Szafrańcami, przesadną podejrzliwość względem Zygmunta. Skutkiem tego, jak z jednéj strony nieostygał on w zapale i podejrzliwego z natury króla napawał obawą o stałość Witołda, tak z drugiéj

przemyśliwał nad sposobem przy którego użyciu, możnaby Zygmunta uczynić nieszkodliwym dla Polski. Wiadomości nadchodzące z Łucka do króla, utwierdzają go w powziętém o Zygmuncie mniemaniu; że mianowicie on przez plan swój zmierza wprost przeciwko unii horodelskiéj, a co gorsza, że pragnie Litwę oderwać od Polski i uczynić ją niezawisłém królewstwem. W tém podejrzeniu utrwala go alarm, że Zygmunt sam już pragnie ukoronować Witołda i nieoglądać się ani na króla ani na Polaków. Zapobiegliwy podkanclerzy, widział już ojczyznę w niebezpieczeństwie i szuka sposobów ratunku. Nadarza mu się następny: król Zygmunt wraca z Łucka do Węgier przez terrytoria polskie. Korzystać więc z chwili i przekonać go, że koronacya Witołda jest niemożliwą i odwieść go tym sposobem od wszelkich pod tym względem zamiarów. Wszakżeż Zygmunt głównie zawinił, od niego tedy należy wymagać by sprostował błąd uczyniony.

Nie umiemy zaiste powiedziéć, czy krok, jaki podkanclerzy obecnie zamierzał uczynić, za wiadomością i za zgodą królewską był uczyniony. To jednak pewna, że miał na to przyzwolenie Jana Szafrańca, kanclerza państwa, który był głównym przeciwnikiem koronacyi Witołda. Dorozumiewamy się, że tak kanclerz jak i podkanclerzy, pomimo woli, ulegali szerokim wpływom Zygmuntowéj intrygi i sami wpadli w zaplątane jéj sieci. Również i to nieulega wątpliwości że Jagiełło wypierał się późniéj, jakoby podkanclerzy za jego wiedzą odnosił się do Zygmunta i że doktora, jakotéż Szafrańców, uważał Witołd za jedynych wrogów w Polsce a to z powodu kroku jaki obecnie uczynili.

Bądź co bądź w kancelaryi królewskiéj pracowano obecnie nad instrukcyą poselską a miał ją doręczyć Zygmuntowi wracającemu do Węgier kuryer królewski Piotr Łęczycki. Treść téj instrukcyi, którą uważamy jako koronę intrygi Zygmuntowéj przytoczymy w dosłowném jéj brzmieniu. Poseł imieniem króla miał mówić do króla Zygmunta:

„Przypominamy sobie słowa i rozmowy braterstwa waszego w Łucku, o koronie i godności królewskiéj, którą mieliście zamiar uczcić brata naszego Witołda i ziemie litewskie. A chociaż to się nam bardzo podobało, jednak od tego odstępujemy i zbadawszy rzecz z naszymi radcami, sądzimy, że taka koronacya niczego dobrego przynieść nie może, a nadto, że gdyby przyszła do skutku, obawiać się należy między Polską a Litwą nieporozumień, wojen, zdrad i nieszczęść, które potém z największą tylko trudnością zażegnać by się dały, a unia i związki pomiędzy Polską i Litwą rozwiązane i zerwaneby zostały. Co większa, baronowie i szlachta Litwy, ośmieleni

powagą i dostojeństwem tego rodzaju, mogliby po śmierci brata naszego, co nie daj Boże, któremu do takiéj i tak wielkiéj godności sprzyjalibyśmy, króla sobie zarówno obrać, (podczas gdyby panowie polscy temu się sprzeciwili,) coby jawnie dążyło przeciwko naszym dokumentalnym ugodom, wyraźnie zastrzegającym, że tak po zgonie króla jak i w. księcia, tak w Polsce jak i w Litwie, panowie jednéj z tych ziem, nieśmią przystąpić bądź do koronacyi króla, bądź do elekcyi w. księcia, bez porozumienia się i poprzednéj zgody panów drugiéj ziemi. W. książę litewski a brat nasz ma wiele ziem, któreśmy mu w dożywocie dali, a które za przyjściem do skutku koronacyi mogłyby od nas jak i od polskiéj odpaść korony. Dlatego bracie nasz, prosimy was gorąco, życzymy sobie i domagamy się w imię dokumentalnych zapisów, przysiąg i związków pomiędzy nami zawartych, zechciejcie nasze, naszych synów i królestwa naszego dobro i pożytek mieć na względzie i równym umysłem rozważyć umowy i ugody, które, co niedaj Boże, mniemamy, że zaginą. Prosimy tedy o zaniechanie téj sprawy, dla uniknięcia wyżéj wspomnianych klęsk.“

Zastanawiając się nad powyższym elaboratem doktora podkanclerzego, nie podobna stłumić w sobie okrzyku podziwu nad uderzającym brakiem dyplomatycznego talentu uczonego tego dostojnika. Uderza nas nasamprzód zupełny brak znajomości charakteru Zygmunta, którego podstępność usiłuje podbić zbytnią otwartością królewską. Szczérość tę posuwa on do tego stopnia, że maluje cały kłopotliwy stan Polski, na wypadek, gdyby koronacya przyszła do skutku! Czyż nie dość było odwołać się do aktu unii horodelskiéj, w którym o królu ani o królewstwie Litewskiem nie było mowy? Podkanclerzy odkrywa słabe strony państwa i wykazuje Zygmuntowi ile obecnie Polska jest zawisłą od jego woli. Co gorsza, upokarza on wobec króla Zygmunta Litwę i jéj księcia, którego akt horodelski uznaje na Litwie za równego Jagielle suwerena. Co mówić wreszcie o podkanclerzym, który przed chytrym mataczem obwinia bojarów litewskich o dążności separatystyczne, gdy mówi, iż po śmierci księcia, na wypadek jego koronacyi, mogliby oni nie oglądając się na Polskę, kogo innego obrać sobie na króla. A gdyby Zygmunt zechciał z téj legacyi skorzystać i akt ten, kompromitujący zarównie księcia jak i jego bojarów, do tegoż ostatniego posłać? Prawda że tego nie przewidywał uczony podkanclerzy.

Niepotrzebujemy przesadnego powziąć wyobrażenia o dyplomacyi Zygmunta, skoro dodamy, że umiał skorzystać z błędu kancelaryi polskiéj, z Łańcuta, tam bowiem przedłożono Zygmuntowi ową legacyą, wysłał on nasamprzód posła do Witołda załączając mu kopię

owéj nieszczęsnéj legacyi, aby wiedział coby miał o królu Jagielle sądzić. Równocześnie dał znać o zaszłym zwrocie sprawy w. mistrzowi, przyobiecując uwiadomić go o odpowiedzi jaką da późniéj królowi Polski, i dając mu tajną instrukcyą przez brata w. mistrza, o czém nam późniéj wypadnie pomówić.

Zygmunt był przezornym i ostrożnym dyplomatą o nieco tchórzliwém usposobieniu, dlatego téż postanowił nie wprzódy odpowiedzieć Jagielle, aż się nie oprze na ziemi Węgierskiéj. Zbywszy więc posła obojętną odpowiedzią, że za przybyciem do Koszyc odpowie królowi, zdążał przez Sącz ku granicom węgierskim. Przybywszy do Koszyc odpowiada on na legacyą polską, jak na to w zupełności zasługiwała. Przypomniał najprzód królowi, że on sam na koronacyą raczył zezwolić i że to zezwolenie kilkarotnie wobec w. księcia powtórzył, wykazując przez to całą niestosowność kroku jaki zrobiono ze strony królewskiéj. Udając nieświadomego stosunków polsko-litewskich, wzmiankował daléj, że niewiadomo mu było, czy król zamyślał wypełnić swe słowo czy téż nie, zamierzał wszakże—dodawał Zygmunt—naradzić się pod tym względem z panami litewskimi i tymi których ta sprawa obchodzi. Dlaczego téż niezmiernie się dziwuje, że król Jagiełło tak rychło i niespodzianie znagla go do opuszczenia tych spraw, do których wykonania on przystępował tylko za doradą i zezwoleniem królewskiem, mając na celu jedynie dobro i honor domu królewskiego. Bo przecież—uzasadnia Zygmunt to zdanie—sprawa ta, żadnéj nie wyrządzi szkody domowi królewskiemu, a król obecnie wzywa go do odwołania tego co tylko za jego radą i zezwoleniem czyni, że żądane odwołanie i opuszczenie sprawy, hańbę przyniosłoby jego honorowi i imieniu coby wreszcie zmierzało przeciwko zapisom wzajemnych traktatów itp.

Karcąc w ten sposób błąd królewski, jakiego się z winy kancelistów dopuścił i okazując dobitnie, że nie cofnie rozpoczętéj sprawy, uważał Zygmunt jednakowoż za stosowne zmodyfikować udaną swą prawość i stałość charakteru nieco delikatniejszym rysem pozornéj przyjaźni. Mając na celu zamaskować wysyłkę posłów do Litwy i do Malborga, o czém wnet w Polsce wiedziano, i nie zrywając zupełnie z Jagiełłą intrygę, tak pomyślnie rzuconą pomiędzy braci, uczynić bardziéj zawiłą, pisał on daléj w te słowa. Żebyś atoli bracie wiedział, iż jest mém usilném staraniem w braterskiéj z wami pozostawać przyjaźni, gotów jestem znowu zjechać się z tobą i w. księciem, np. na granicy pruskiéj. Porozumiemy się tam nad sposobem w jakimbyśmy pozostawać mogli powiązani węzłem niezłamanéj przyjaźni wraz z królewstwami i krajami naszymi, tak żeby w ęzły te

i po śmierci naszej ziemie nasze wiązały i pozwoliły im używać błogiego spokoju czułéj przyjaźni. Poślemy w tym celu natychmiast posłów do w. księcia, aby oznaczył dzień i miejsce tego zjazdu a o odpowiedzi jego niezaniedbamy zaraz uwiadomić waszą braterską miłość.

Co do krzyżaków wzmiankował mimochodem Zygmunt, iż pomni dobrze, że pomimo jego woli król wybrał go na rozjemcę sporów granicznych, że on jednakowoż wolałby, aby Witołd był sędzią w polsko-pruskiéj sprawie, i tylko na wypadek, gdyby król i teraz niechciał przystać na Witołda jako rozjemcę, zmuszony byłby przyjąć włożony na się obowiązek. Sądzi jednakowoż z udaném niedowierzaniem—iż może strony zgodzą się na wybór jakiego innego księcia na sędziego polubownego...

Gdy w ten sposób kancelarya króla Jagiełły otrzymała należytą odprawę; a Zygmunt, nie zerwawszy całkowicie z królem, miał dogodną sposobność wprost przez Polskę porozumiewać się z Krzyżakami na jéj zgubę, witali go po drodze do Budzina husyccy Czesi, przestraszeni pozornem jego zbliżeniem się i pogodzeniem z Polską i Witołdem. Zygmunt wyznaczył im był ponoś z Łucka jeszcze termin zjazdu na dzień 6 Marca, i nie wątpił, że jeżeli kiedykolwiek natrafiała się dogodna pora do układów z husytami to obecna była najlepszą. Skutkiem podróży jego do Łucka, podniosło się raptownie jego znaczenie, a strach owładnął szeregi jego wrogów. To też i Turcy starają się obecnie o zawarcie trzyletniego z nim pokoju; zawiadamiają go o tém przez umyślnego pełnomocnika, wypowiadając równocześnie wojnę Wenecyanom, wrogom Zygmunta. Należało mu jeszcze uwiadomić o sprawach swych w. mistrza Krzyżaków i dać stosowne instrukcye. Kazał mu tedy najdetaliczniéj opowiedziéć o dalszym toku intrygi, „aby mistrz wiedział jak się ma zastosować,“ a wnioskując, że już otrzymał w Malborgu owe tajne poselstwo, które mu przez brata jego był posłał, żądał obecnie, aby mistrz donosił mu jaki obrót weźmie cała sprawa na Litwie i czy można mieć dobrą nadzieję... azali Witołd postanowi wziąć z rąk jego koronę. Jak wielce ciężyła ta sprawa na umyśle Zygmunta, świadczy ta okoliczność, iż polecał on mistrzowi pod sam koniec pisma, aby mu bez zwłoki, dniem i nocą dawał o „tém“ wiadomość, a również i ze swéj strony rychłe przyobiecywał instrukcye. Opuśćmy obecnie gabinet głównego intryganta, króla Zygmunta, a powróćmy do Litwy, dokąd się udał w. książę Witołd. Minęły dlań dni szczęścia a poczynały się ciężkie chwile trosk i zawodów. Z ostatnim dniem zjazdu Łuckiego miało niestety powodzenie opuścić go bezpowrotnie!

Ambitnemu książęciu Litwy trudno było nie uczuć upokorzenia, którego rzeczywiście doznał, gdy rada koronna sprzeciwiła się jego koronacyi. Upokorzenie to atoli nie było dotkliwém dotyla, aby wydać mogło, jako owoc, czyn jakiś, któryby zakłócił spokój związanych unią narodów. Nasamprzód nie było ono pierwszém, gdyż starć pomiędzy Witołdem a senatem króla Jagiełły, liczy przeszłość więcéj, aniżeli o tém wie historya. Powtóre, że tak jak dotychczas rzecz stała, mógł on ją uważać za kwestyą czysto osobistą i skarciwszy porywczość bojarów na owém burzliwém posiedzeniu, oczekiwać spokojnie, aż się cała rzecz nie skończy na drodze parlamentarnego porozumienia z obozem przeciwników. Jakkolwiek-by atoli ono wypadło—pomyślnie lub też nie—to pocieszało go jednak postępowanie królewskie, który na projekt zezwolił i konsekwentnie postępując, pomimo *veto* swych senatorów, zaręczał księciu, że sprzyja projektowi króla Zygmunta. To prawe postępowanie królewskie, jak z jednéj strony zacierało w duszy jego przykry obraz doznanych od króla uraz i starć wzajemnych, tak z drugiéj umniejszało stopień odczutego upokorzenia, zwłaszcza gdy Zygmunt już odjechał i z jego odjazdem zdawała się urywać nić intrygi, podsycającéj zamierający płomyk oburzenia w bojarach litewskich. Wobec téj okoliczności, że Witołd nie napierał się korony, byliby i bojarzy nie śmieli podnosić na nowo drażliwéj kwestyi, a więc odłożenie téj sprawy na przyszłość mogło zmienić się w całkowite jéj zapomnienie.

Przeciwny obrót wziąść mogła sprawa, gdyby kto przekonał Witołda, że był niegodnie przez króla oszukiwany!

Stało się to w Eikszyszkach dnia 13 marca. Naprzeciwko zmierzającego do dworu książęcego wielkiego księcia, wyjechali na spotkanie senatorowie jego, pozostali w Litwie, a na ich czele biskup Wileński. Do jego orszaku przyłączyło się wielu senatorów i znakomitszych bojarów litewskich z czołobitnością witających księcia. Powitanie zresztą nie było radosném, można się bowiem dorozumiewać, że i tu dowiedziano się o łuckiem zajściu, a w obec powagi księcia każdy musiał tłumić to, co mu najbardziéj leżało na sercu. W zamku, dokąd towarzyszono księciu, dano znać o przybyciu posła Zygmuntowego. Witołd przyjął go tedy w obecności licznego zebrania bojarów, niespodziewając się zapewne jakiéj treści będzie rzeczone poselstwo.

Przywołując sobie na pamięć scenę łucką, można się dorozumiewać o oburzeniu jakie zapanowało obecnie wśród tłumu bojarów, o gniewie i rozczarowaniu księcia, jakiego doznał wskutek niedyplomatycznego i nieszczęsnego kroku króla Jagiełły. Poniżenie i obelga, zadane Litwie w tym akcie, były zbyt jasno wyrażone, ażeby Litwini

nie mieli uczuć głębokiego upokorzenia. Ono przygniata ich, napełnia niewysłowioną goryczą, wzmaga gniew i oburzenie a w niejednego duszy błyska myśl odwetu. Czyż nie usłyszeli wyrzutu, że po śmierci księcia dążyć będą do seperacyi a nadto dumnego słowa, że są wasalami korony?

Gdyby Witołd był dążył do separacyi, jak go o to podejrzywano w Krakowie, cóż było dlań łatwiejszego, jak stanąć na czele oburzonych i separatystów, których dość było w państwie Litewskiem, wziąść od Zygmunta koronę i ogłosić się niezawisłym królem Litwy? Czyż krok taki, jakkolwiek zrobiłby go w oczach historyi zmiennym i zdrajcą, nie przypadłby do charakteru energicznego księcia? Czyż kiedykolwiek w życiu ociągał się Witołd z wykonaniem swego zamiaru? Niewątpimy na chwilę nawet, że gdyby był Witołd dążył do seperacyi, byłby niewątpliwie tak sobie postąpił w Ejkszyszkach.

Witołd jednakowoż za wielkim był politykiem, aby niewiedziéć, że z takowéj separacyi, dla Litwy zgubne tylko mogą wypaść skutki. Pojmował on Litwę, jako europejskie państwo, tylko w unii z Polską, i nie tajno mu było, że z dniem jego śmierci, na wypadek separacyi, Litwa rospadłaby się na liczne atomy, które ją składały, a którym on nadawał kierunek, Polska zaś życie.

Z tém wszystkiem jednakowoż, nie mógł Witołd milczeniem pominąć kroku królewskiego. Przedewszystkiém niepozwalała mu na to wysoce obrażona jego ambicya, obraza, która w oczach jego była czarną ze strony króla niewdzięcznością. Powtóre Witołd musiał zważać na roszczenia separacyjne bojarstwa, które prędzéj czy późniéj spowodowałyby wojnę domową, gdyby smutną tę kwestyą pozostawić niezałatwioną. Polityk szkoły krzyżackiéj, jakim był Witołd, chciał półśrodkami przywieść Jagiełłę do upamiętania się, a po téj drodze zdążał bezwiednie do celów, które jemu samemu były podówczas nie jasne.

W Ejkszyszkach konieczném było odpowiedziéć na poselstwo Zygmuntowi. Odpowiedź ta przechowała się po-dziś dzień i maluje stan nieméj boleści Witołda, którą miarkuje niezwykły umysł i rozsądek. Z godnością i powagą oświadcza książe, iż z przysłanéj mu legacyi polskiéj dowiaduje się, iż król Polski cofa swe słowo, które poprzednio był dał, a czy godziło się mu tak uczynić czy nie, sam o tém musi najlepiéj wiedziéć, że jednakoż słowo królewskie — według jego zdania—nie powinno być na wiatr rzucane. Witołd opowiada daléj królowi Zygmuntowi, iż w sprawie téj nie chciał bez namysłu i rozwagi działać, lecz chciał wprzód zwołać radę swoich bojarów i dostojników, gdy w tém król poniżył go zarówno jak i Litwę, traktując ich z góry jakoby Litwa nierówną była Koronie. Co do

twierdzenia królewskiego, jakoby Litwini bez wiedzy Polaków, nie byli w prawie obierania sobie pana, to zdanie to, lubo prawdziwe, nie ma obecnie żadnéj racyi i zastosowania, gdyż on (Witołd) jeszcze żyje i jest w posiadaniu rządów nad Litwą. Łagodząc przykrą w swych oczach sytuacyą króla Zygmunta dodawał, iż król Jagiełło stał się jéj powodem, gdyż udał się do Zygmunta ze sprawą, z którą winien się był zwrócić do w. księcia. Z tém wszystkiem, dziękuje książe Zygmuntowi za przysłanie legacyi a iżby zatrzeć ślady boleснéj dlań kompromitacyi, przypomina mu, jako nigdy z nim nie mówił w sprawach, któreby z niekorzyścią Polski lub jéj króla połączone były. W silném poczuciu czystości charakteru i sumienia, a nieczując mocy nad sobą i niejako szukając ulgi w boleści, jeżeli się wywnętrzy z nią przed Zygmuntem, pisze on daléj: Wprawdzie brat mój król Polski często mi przeciwności i krzywdy wyrządzał, wprawdzie nie okazywał on nigdy należnych memu stanowisku honorów i reputacyi, jednakowoż zawsze cierpliwie to znosiłem i bez szemrania, nie chcąc pomiędzy sobą a bratem i królewstwem jego siać ziarna niezgody i różnic. A nawet nie odwoływałem się nigdy do Miłości Waszéj w tych sprawach małéj wagi — usprawiedliwiał Witołd swą otwartość—obecnie atoli czynię to, gdy król Jagiełło tak wielką mi wyrządził obelgę i nietylko mnie samemu ale i książętom i bojarom ziem moich, jakoby z zamiarem narzucenia im jarzma niewoli i uczynienia ich hołdownikami swojéj korony, co sobie bardzo do serca wzięli, jako ludzie wolni, którzy nigdy nie byli hołdownikami. Zresztą, kończył Witołd usprawiedliwiając niejako zbytnią swą szczerość i otwartość, lubo z waszą królewską mością węzłami krwi spokrewniony, nigdy nie byłem wobec niéj tak otwartym, obecnie gdy za wolą Boga utwierdziliśmy przyjaźń naszą, chciejmy i nadal w niéj pozostać...

Zmartwiony Witołd nie wiedział może nawet, na jaką pokusę się narażał, wysyłając list ów do Zygmunta. Przyznając się do głębokiéj rany jaką uczuł w sercu, niedomyślał się zapewne, jaką sposobność dawał zręcznemu Zygmuntowi do dalszych intryg. Do króla Jagiełły nie pisał on równocześnie—podążył z Ejkszyszek do Trok, tłumiąc przykre nad miarę uczucia, zatruwające mu podeszłe już chwile żywota.

Podążmy do starego grodu litewskich książąt, aby śledzić zmianę uczuć Witołda, jakie się najlepiéj przybijają z własnego listu, wysłanego w piątek dnia 17 marca do króla Jagiełły.

Aby tém dobitniéj dać uczuć królowi okazaną względem siebie nieszczerość, aby oszukaństwo wystawić w całéj nagości i niejako dalszą odpowiedź lub usprawiedliwianie się królewskie uczynić zby-

tecznêm, przypomniał najprzód Witołd całe zajście w Łucku, nie zaniedbując dodać, że mimo kilkakrotne zapewnienia królewskie, on biernym był w całéj sprawie, że nigdy się nie starał o godność królewską. Ton téj opowieści, to spokój zwiastujący burzę, to gorycz zranionéj ambicyi odpierającéj podłe zarzuty przeciwników. Witołd przywołuje królowi na pamięć najdrobniejsze szczegóły całego zajścia, malujące najdosadniéj, że książe pomimo zezwolenia królewskiego, z powodu opozycyi jego senatorów, nie myślał nigdy się koronować. Wdzięczność, jaką czuł ku królowi za życzliwość i sprzyjanie projektowi, odejmowała znaczenie doznanemu upokorzeniu. W têm, kopia legacyi krolewskiéj, którą mu król Zygmunt raczył przysłać, inaczéj go pouczyła, mianowicie, że król w oczy zezwalał, zaocznie innego był zdania. Po tym dotkliwym wyrzucie nieszczerości, wypadało wykazać królowi nierozsądek i nietaktowność z powodu wysłania pomienionéj legacyi do króla Zygmunta. Zwraca przeto uwagę króla, że w niéj znajdują się ustępy w wysokim stopniu obrażającego, zarówno jak i bojarów litewskich, którzy krzywdzące ich słowa żywo wzięli do serca. Tu przytoczył treść klauzuli legacyjnéj, przypuszczającéj, że Litwini po śmierci Witołda mogliby bez oglądania się na Polaków przystąpić do elekcyi i dodał z goryczą: Chciéj rozważyć najjaśniejszy panie, czy zdanie tych, którzy coś podobnego napisać doradzili, było stosownêm? Potrzebaż to było prawić takie rzeczy królowi Rzymskiemu i kłopotać go czemś podobnêm? Czyż zresztą godną było rzeczą, wobec tego samego, który był świadkiem przyzwolenia, swe słowo królewskie odwoływać? Czyż nie stosowniéj było udać się z tą legacyą wprost do nas, załatwić całą tę sprawę wspólnie, a cobyśmy za wspólną naszą i senatu naszego radą uchwalili, tego się święcie trzymać! Nie lepszą byłoby to aniżeli poniżać nas, bojarów naszych i Litwę całą? Przecież dawniéj godziło się nam wzajemnie sobie oświadczyć, że ilekroć pomiędzy nami jakieś różnice powstaną, za obopólnêm porozumieniem je porównamy. A gdy już w. kr. mość tego, według starego zwyczaju nie uczyniłeś, czyż nie lepiéj byłoby zwołać starszych prałatów i baronów rady swéj i zastanowić się nad kwestyą gruntownie, aniżeli tak pośpiesznie i bez namysłu działać? Wszakże w. kr. mość wiedziałeś, że ja do koronacyi nigdy bym nie przystąpił bez waszéj i waszego senatu rady? W. kr. mość poszedłeś za zdaniem doktora, nowego podkanclerzego. Niechaj się dowie i zobaczy, jakiéj wartości była jego rada.

Co zaś dotyczy klauzuli o zapisach i unii obu krajów—odpowiadał Witołd na śmieszny i niedorzeczny wywód doktora—to raczy w. kr. mość wiedziéć, że te zapisy nie sprzeciwiałyby się nam wcale. Mówią one o wyborze pana obydwu ziem po śmierci jednego z nas.

Gdy zaś z łaski bożéj jestem przy życiu, nie potrzebna mi jest panów polskich elekcya. Koronacya ta, nie sprzeciwiałaby się zresztą i po śmierci mojéj rzeczonym traktatom; przecież jestem od dawna wybrany na pana i w. księcia Litwy i w silném, rzeczywistém a spokojném mam ją posiadaniu, dodawał z królewską dumą. A nawet gdybym zechciał, mówił do żywego urażony Witołd, nie bacząc na ważność słów swoich, gdybym w końcu postanowił koronować się, niewiem czy ci, co w. kr. mości w sposób powyższy doradzali, mogliby temu przeszkodzić?

Lecz postępowanie w. kr. mości zdumiewa mnie tém mocniéj, że w. kr. mość często powtarzałeś mi w rozmowach naszych a nawet piśmiennie oświadczałeś mi słowa: Bracie kochany, miłuję cię jako siebie samego; modlę się do Boga za ciebie więcéj jak za siebie i życzę ci więcéj sławy, długiego żywota i pomyślności jak sobie... i tym podobne grzeczności. A obecnie! I niewiem nawet z jakiego powodu i za czyją przyczyną pochodzi to, że nie posiadasz téj życzliwości, jaką mi okazywałeś pierwéj? A jednak—Bóg świadkiem—nigdy z królem Zygmuntem niczego nie mówiłem, coby zmierzało przeciwko dobru w. kr. mości.

Polecam daléj oświadczyć w. kr. mości, że klauzula o baronach naszych, jakoby ci po śmierci mojéj, mogli bez odwoływania się do senatorów polskich, obrać sobie króla, goryczą napełniła mnie i bojarów, których poniżacie jako tych, którym nie ufacie; spychacie ich z wysokiéj ich godności, nie użyczając im równego honoru, jakiego polskim okazujecie baronom. W końcu kazałeś w. kr. mość oświadczyć, że to co w krajach posiadamy, mamy tylko w dożywocie, przez co poniżacie nas i obrażacie w godności naszéj. Można się było obejść bez tego, gdyż o wszystkiem tém moglibyśmy byli razem pomówić i wspólną powziąć uchwałę.

Zdaje się, że nic nie potrafiłoby nam dokładniéj odmalować stanu duszy Witołdowéj, jak dość rozwlekłe pismo powyższe. Rozbolałe jego serce, zdaje się szukać ulgi w wyrzutach, oznaczających jak najsubtelniéj stopień doznanéj obrazy i obelgi, tém dotkliwiéj czuć się dającéj, że się jéj jak najmniéj spodziewał. Zadraśnięta boleśnie ambicya dała się uczuć w ostrych wyrazach zwróconych do króla, którego oskarżał o nieszczerość, o brak wiary do niego, o nierozważne i niewytłómaczone dlań postępowanie, wreszcie o obelgę zadaną honorowi jego i Litwy—a w słowach Witołda nie było już uległości dawnéj względem dziedzica Litwy. Przeciwnie, zdawał się on wypowiadać wojnę w obronie honoru wielkiego księstwa, które traktowano jakby jakąś prowincyą Polski—ukochaną Litwę, któréj sława była zadaniem i celem jego żywota.

W skutek tych wybuchów rozbolałéj ambicyi, pozostawał Witołd w stanie niebezpiecznéj chwiejności. Groźba, jakby mimochodem wypowiedziana królowi w przytoczonéin powyżéj piśmie, maluje poniekąd ów chorobliwy stan w jakim obecnie pozostaje w. książe. W tym dziwnym stanie, stroskany i zawiedziony Witołd szukał duszy, któraby chociaż współboleć z nim mogła. Dziwném by się wydawać mogło, że szukał on jéj w osobie mistrza zakonu, o którym wiedział, że tylko z musu jest przyjacielem Litwy. Lecz któż w obecnéj chwili sprzyjał jéj szczérze? Jak w młodości swéj podwakroć zbiegiem był w Malborgu, szukając dla niéj ratunku u wrogich Litwie mistrzów, tak obecnie u ich następcy szuka słów pociechy i ulgi w zmartwieniu. Dodajmy atoli, że uczucie to, lubo trwałe, nie było zupełnie szczérem. Przekonamy się o tém późniéj.

Książe uwiadowił mistrza jak najdokładniéj o całém zajściu Łuckiém, załączając kopje listów wysłanych do królów Jagiełły i Zygmunta. Ani się domyślał, że w Malborgu znano jéj przebieg z właściwego źródła. Mistrz wtajemniczony w intrygę przez Zygmunta, nie mógł się powstrzymać, aby nie wlać balsamu pociechy w rozdarte serce księcia, jak to przystało na duchownego i rycerza, dwu części składowych jego dostojnéj osoby. Można się dorozumiewać, że usprawiedliwiał on nawet króla Jagiełłę, zawisłego od senatu staruszka, ochraniał go od zarzutów, aby tém dać dowód swéj bezstronności. Mając opiece swéj powierzone nici intrygi Zygmuntowéj oglądał się w otoczeniu swém za ludźmi, którymby można było bezpiecznie końce ich powierzyć. Wybór padł na Fochsa, pospolitego zresztą lecz zręcznego krzyżaka, którego Witołd dla zbyt częstych poselstw ze strony zakonu, uważał poniekąd za swego domownika. Mistrz przytém nie lubił ręki kalać w brudzie, a tak Fochsowi, domownikowi Witołda i w. mistrza, przypadła ważna rola w intrydze zawiązanéj przez Zygmunta, któréj ważną połowę miał wykonywać mistrz zakonu.

Prostoduszny Fochs, w mniemanéj naiwności, doradzał księciu użyć kroków dyplomatycznych, któreby zmusiły Jagiełłę do powrócenia mu winnéj czci. W tym celu trzebaby odosobnić Polskę, trzebaby zapobiedz, aby nie zbliżyła się do zakonu i sam na sam nie uregulowała sporów granicznych z zakonem. Doradzał przeto Fochs księciu porozumieć się pod tym względem z w. mistrzem. Książe nie widział w tém nic ukrytego, przeciwnie sam czuł poniekąd potrzebę przeszkodzenia możliwemu pogodzeniu się króla z zakonem, gdyby ono, na co się w obecnych stosunkach zanosiło, bez niego obyć się miało. Fochsowi tedy porucza Witołd zapytać się mistrza, czyby nie miło było dlań, gdyby się z nim zjechał osobiście, zwłaszcza gdy na

zjeździe Łuckim nie był mistrz obecny. Zresztą powodów do zjazdu było aż nadto wiele w niezałatwionych dotąd sporach, ażeby pozory jego usprawiedliwić, a tak projekt, skąd inąd podszepnięty, umotywować. Fochs pospieszył z propozycyą księcia do Malborga a mistrz chwaląc sprawnego posła, zgodził się na zjazd z Witołdem w Jurborku i doniósł o tém Zygmuntowi.

Witołd miał jeszcze jeden powód więcéj do zbliżania się ku mistrzowi zakonu. Gdy go ominęły pierwsze głębsze wrażenia z powodu fałszywego kroku króla Jagiełły, począł on pilnie zastanawiać się, czy postępowanie króla Zygmunta, nie jest również fałszywe jak i króla Polski.

Wspomnieliśmy, że król Zygmunt nie chcąc zrywać zupełnie z Jagiełłą a intrygę uczynić coraz zawilszą, zaproponował chytrze zjazd na granicach pruskich odbyć się mający. Donosił on o tém Witołdowi, do króla zaś Jagiełły pisał już jako o rzeczy, o którą się z Witołdem niechybnie ułoży. Oczywista, że mając cel ukryty, motywował on projekt ten ogólnikami, że zjazd ten odbędzie się z olbrzymiemi korzyściami dla chrześciaństwa i t. p. Na miejsce zjazdu wyznaczał Toruń dla siebie i mistrza, jakaś miejscowość obok Torunia dla króla Jagiełły a Witołdowi podstępnie dawał do wyboru przyłączyć się do niego lub do króla Polski, jeżeli ten ostatni w ogóle zechce przyjechać. Zjazd miałby się odbyć około 5-go maja a Zygmunt nie zaniedbywał niby to mimochodem napomknąć Witołdowi, że on mógłby przy téj sposobności i sprawę koronacyjną załatwić.

Jakkolwiek wyłącznie sobą zajęty Witołd, nie mógł się nie zdziwić z powodu tak dziwnego projektu, skoro nad nim głębiéj się zastanowił. Poczynione przezeń uwagi nad projektem były tego rodzaju, że nie wypadało ich przesłać Zygmuntowi. Wysyła on przeto do Węgier sekretarza swego Małdrzyka z grzeczném odrzuceniem projektu, sądząc przytém, że tenże dowie się o prawdziwym stanie rzeczy na dworze Zygmunta. Uczuciem atoli, jakiego doznał, postanawia znowu podzielić się z w. mistrzem.

Opowiada mu tedy o ogólnikowym celu proponowanego zjazdu, to jest o niewytłómaczonéj dlań korzyści, jaką całe chrześciaństwo miałoby z tego odnieść i orzeka stanowczo, że projekt taki wcale nie przypada do jego umysłu. „Czyż może dlatego—dodaje on z cierpką ironią—miałby się nowy zjazd odbyć, żeśmy niedawno z rzeczonym królem Zygmuntem w Łucku się zjechali, uprzejmie i przyjaźnie rozłączyli, rozważywszy poprzednio wszystkie nasze sprawy i powziąwszy stosowne uchwały. Pisze król Zygmunt, że zjazd ten z chwałą chrześciaństwa byłby połączony! Wszakżeśmy w Łucku o tym

przedmiocie wiele radzili, wiele powzięli uchwał, według możności i woli naszéj. A może król Rzymski chce przedsięwziąść ów zjazd w sprawie naszéj koronacyi? Jeszcześmy się pod tym względem nie naradzili, abyśmy koronę tak rychło przyjmować mieli. Miałbym się zresztą na to zgodzić, to wolałbym przecież, aby się to stało w naszéj ziemi i grodzie. Zresztą do takiego zjazdu nieprzygotowaliśmy się, a król Zygmunt nie wyłuszczył dostatecznie celu w jakim właściwie ten zjazd miałby być zwołany."

W tymże liście przypominał Witołd o zjeździe w Jurborku (termin oznaczono na 25 kwietnia) i wzywał mistrza, aby mu był łaskaw odpisać, czy ma zamiar dotrzymać słowa, czyli też może zechce na zjazd przez Zygmunta proponowany podążyć! Niechajby go tedy natychmiast o postanowieniu swém zawiadomił. Niepotrzebujemy dodawać, że wielki mistrz odniósł się z tém pytaniem do króla Zygmunta i oczekiwał odeń bliższych instrukcyj w téj niekoniecznie łatwéj i poniekąd zmienionéj sytuacyi.

Zanim powrócimy znowu na dwór króla Zygmunta, spójrzyjmy co się działo podówczas na dworze króla Jagiełły, po otrzymaniu owego grzecznego, lecz mimo to odrzucającego żądanie królewskie listu Zygmunta oraz groźnego pisma Witołda, zapowiadającego nie mniéj groźną burzę.

Ależ jak to bywa ze starcem przywykłym do swego otoczenia i od onego zawisłym? Król lubo dostrzegł błąd popełniony przez swą kancelaryą, który Witołd tak sobie wziął do serca, że mu najprzykrzejszych z tego powodu nie szczędził wyrzutów, chociaż mógł dorozumiewać się, że główną sprężyną tego obrotu rzeczy jest Zygmunt, korzystający z błędu podkanclerzego, nie umiał atoli zdać sobie sprawy z całego jéj przebiegu w ten sposób, aby dojrzéć utajonych sprężyn intrygi. Z których to powodów wrodzona jego podejrzliwość nakazywała mu uciekać się po radę i objaśnienia do swych ulubieńców, a więc do téj saméj kancelaryi, któréj zarzutu, że on to, swém dorywczém przyzwoleniem na podstępny projekt Zygmunta najgłówniéj zawinił, nie mógł odeprzéć. Jagiełło ma się tém bardziéj za winnego, o ile wiedział, iż Zygmunt nie po raz pierwszy występował z projektem, o ile już nie raz, pod wpływem podszeptów, posądzał brata o jak najambitniejsze zamiary a w podejrzliwości swéj z porannéj wizyty w Łucku, którą mu Zygmunt i Witołd złożyli, mógł wnioskować, że było nawet niejakie pomiędzy nimi porozumienie. W prostocie swéj postanowił Jagiełło ufać swoim doradcom.

A jego doradcy! Można-ż sobie wystawić, jaki zamęt opanował kancelaryą, gdy Zygmunt, którego uważała za główną sprężynę złego, tak gracko wywinął się z jéj rąk odpowiedzią koszycką? Gdy

zaś z tego powodu, pokrywając kompromitacyą, z rozmysłem i dla konsekwencyi poczęli przed królem obmawiać Witołda i nieprawdopodobnymi domysłami trapić podejrzliwość starca, czyż może przyszli do opamiętania pod wpływem groźnego pisma w. księcia? Ci co w jednéj chwili wyrośli w oczach nieobeznanych ze sprawą i po wierzchu sądzących tłumów szlachty na bohaterów Polski, na zazdrosnych stróżów jéj praw i prerogatyw i obrońców ojczyzny przed chytrością jéj wrogów—ci nie tak łatwo opuszczą świeżo zajęte stanowisko! Dawną niezdarność pokrywają niedorzecznemi domysłami co do charakteru księcia; zarzut głupoty z pogardą ciśnięty im w oczy, im uczonym doktorom i radcom królewskim, zaostrza ich upór, rodzi myśl odwetu, a na dnie tych myśli niema czystéj naiwności, lecz jest tam nędzota rozmyślnego krętactwa.

Przypatrzmy się postępowaniu starego króla, które podjął w téj zmienionéj sytuacyi, pod przemożnym wpływem swoich ulubieńców.

Najprzód odpowiedziano Zygmuntowi, chłodno, i jakby w oznakę niezadowolnienia z powodu jego niedyskrecyi, że co do propozycyi nowego zjazdu, to król niemając swéj rady obok siebie, nie może niczego w téj mierze odpowiedziéć. Witołdowi posłał król szérokie usprawiedliwienie się, spychając winę na doktora podkanclerzego i na Szafrańców, a mianowicie że oni bez poprzedniego porozumienia się i zezwolenia królewskiego, wysłali do króla Zygmunta ową nieszczęsną legacyą. O jak wysoce szczérą i wspaniałomyślną jest kancelarya króla, skoro na barki swe składa winę, nie przyjmując atoli odpowiedzialności za jéj następstwa! Szczegół ten charakteryzuje najlepiéj ta okoliczność, że król ani myślał o usunięciu tak wysoce skompromitowanych swoich faworytów.

Natomiast, za ich poradą, przedsięwzięto zbadać stanowisko w. mistrza, w danym razie zbliżyć się doń, by go mieć po swéj stronie. Postanowiono więc ostatecznie załatwić spory graniczne, chociażby i bez współudziału Zygmunta lub Witołda, chociażby ceną ustępstw terytoryalnych, aby mieć sojusznika na każdy wypadek. Ewentualnie, można by mistrza zrobić pośrednikiem, by króla pogodzić z Witołdem. Z drugiéj znowu strony, miał król negocyować z husytami, śmiertelnymi wrogami Zygmunta, szukając w tém nietylko zemsty za jego sprawki, ale zamierzając nadto należycie zatrudnić go z téj strony i w ten sposób uczynić mniéj szkodliwym. Husyci nadto mieli by być postrachem na Krzyżaków i na Witołda.

Co do wojewody Mołdawskiego, postanowiono oszczędzać go i nie narażać na niepewny wyrok Witołda. Kompromis przeto łucki, uchwalono odwołać, chociażby z krzywdą i wstydem Witołda. Aby

wyczerpać treść uchwał obecnych, dodamy, że o wydaniu zbiega Tureckiego i o daniu pomocy Zygmuntowi przeciwko Turkom niebyło w nich i mowy. Wspomnieć jeszcze należy, że puszczono w obieg roje plotek o koronacyi Witołda, jako niby o zamiarze seperacyi Litwy, uknowanym przez chytrego a i tak znienawidzonego w Polsce Zygmunta, o Zygmuncie jako o konspirującym z husytami wrogu, a nawet przedstawiano napad husycki na Częstochowę jako jego sprawkę.

Do charakterystyki téj chwili, niepoślednéj wagi jest ta okoliczność, że uchwały powyższe, były dziełem kilku ludzi, że senat polski jest obcym téj sprawie. Niespodziewanie i nagle odrywa senatorów od ich czynności okrzyk: Witołd chce się koronować, husyci nasłani przez Zygmunta na rabunek Polski! *Hannibal ante portas!* Więc ratować ojczyznę i wkrótce przedstawi się Polska legatowi papieskiemu, spokojnie i pomału wracającemu z Łucka, jako jeden olbrzymi obóz wojenny. Zapewne, że wśród takich okoliczności, autorowie „veto“ Łuckiego wyrosną na bohatérów i zbawców ojczyzny.

Przyznać należy, że postępowanie takie, lubo ze złéj wiary i z konieczności wynikłe, nie jest pozbawione pewnéj konsekwencyi. Przebija w niém spryt niepośledni doświadczonéj już nieraz głowy dyplomatycznéj, która się nagle spostrzegła, że popełniła błąd kardynalny, a chąc go zatrzéć używa wszelkich ku temu sposobów, wyczerpuje wszystkie zasoby swéj wiedzy i talentu. W dziejach atoli nic się nie zaciera; popełniony błąd, rodzi nowe błędy a dygnitarze kancelaryi królewskiéj ani się spostrzegli, że miasto błąd zatrzéć rozmazali go tylko, ku uciesze tych którzy tego jakby tylko pragnęli i nieomieszkają z ich tajemnic skorzystać. Ich małoduszna, drobnostkowa i karłowata polityka zrodziła zazdrość i zawiść do Litwy i Witołda—dlatego, że Witołd wiódł Litwę genialnym torem wielkiéj polityki, że tylko okruchami swéj sławy osłaniał ich nędzną mierno-tę. W zarozumiałości swéj sądzą oni, że obecnie wyzwali Witołda do boju, podczas gdy są marjonetkami z łaski Zygmunta i narzędziami jego intrygi.

Szafrańcy zmistyfikowali króla, mistyfikują radę koronną. Już się wkradły pierwsze głębsze podejrzenia i tém głębsza przepaść pomiędzy Koroną a Litwą. Uchwały łuckie, stały się marném widziadłem, zdyskredytowano je z osobistą obrazą księcia, gospodarza zjazdu. Porwano wszystkie węzły wiążące króla z księciem, koronę z Litwą—króle, kraje i narody. Obronę praw koronnych, zdano w ręce sfanatyzowanych tłumów husyckich, z głębokiém upokorze-

niem korony spieszono z projektem zgody do Malborga, jakby w obawie aby ich nie uprzedzono.

Taką była polityka kilku faworytów królewskich w Krakowie. Wobec tych stosunków, w niespełna dwa miesiące po zjeździe w Łucku, jakiż jeszcze krok pozostaje królowi do wyboru? Nadchodzi wielkanoc (dzień 27 Marca) król według zwyczaju zwykł był upominki świąteczne posyłać bratu. Obecnie wysyła do Litwy swych posłów (biskupa Zbigniewa i Mikołaja wojewodę Sandomirskiego) aby pod pozorem żądanéj pomocy przeciwko husytom odwieść w. księcia od zamiaru koronacyjnego, którego się tenże mimo zezwolenia królewskiego, uroczyście był wyrzekał. Posłowie mieli upraszać księcia aby się wycofał od rozjemstwa w sprawie mołdawskiéj. Król już niemiał w skarbcu swym podarunków—jakby wszystko mu zabrali Szafrańcy. Jakiż król ubogi? Jaki przytém prosty i naiwny.

II.

Zygmunt od czasu przyjazdu z Łucka bawi w Preszburgu. Wyzyskując korzystną opinią, jaką mu przygotował zjazd z Jagiełłą i Witołdem w oczach przestraszonych tém Czechów, zdąża on do tego by raz już skończyć z nimi piekącą sprawę. Husyci zrazu z pokorą zdążają do Preszburga, rospoczynają się układy—ale już wkrótce idą oporem, rwą się—ktoś za plecyma husytów, stoi i podburza ich. Zygmunt bystrym okiem zoczył Szafrańców. Nie zwiódł go i napad husycki na Polskę, on wie czyja to sprawka, z kim ma do czynienia. Równocześnie dowiadują się o pomyślnych skutkach rospoczętéj w Łucku kabały. Wieść ta pociesza go a Zygmunt żywi niepłonną nadzieję, iż wnet już całkowicie odetnie Polskę od Czechów.

W odpowiedzi na husyckie intrygi Szafrańców, każe on poufnie rozgłosić, że zjazd Łucki okazał się dziełem poronioném, że na nim niczego nie doprowadzono do skutku a to z powodu, że Jagiełło i Witołd wzajem się poróżnili. Co bardziéj, najzaufańszym powierza on tajemnicę, że rzucił kość niezgody pomiędzy dwa psy aby się żarły. Równocześnie śle Zygmunt instrukcyą za instrukcyą do Krzyżaków, aby przy ich pomocy utrzymywać nadal napięty stosunek pomiędzy Jagiełłą i Witołdem. Krzyżacy jak najrychléj wykonywują zlecenia i stają się wspólnikami intrygi, żywiąc pretensye do połowy plonu. Przypatrzmy się, na czém głównie polegało ich zadanie.

Pytanie to rozjaśnia sytuacya Zygmunta, w jakiéj się on wobec Witołda i całéj kwestyi łuckiéj znajdował. Zygmunt bowiem, zażywszy swéj intrygi jako środka do celu, nie mógł się jéj całkowicie oddawać i potrzebował wyręczycieli. Bez nich niemógłby on się na-

wet obyć; z powodu, że użycie środków celem utrzymywania ognia nieporozumień pomiędzy Polską a Litwą, nie leżało w jego mocy. Względem Witołda potrzebował on być jak najostrożniejszym, aby nie zdradzić, że go tylko haniebnie zwodzi. Taż sama ostrożność konieczną jest wobec króla polskiego. Wprawdzie stosunek jego do sprawy łuckiéj, jest tego rodzaju, że i jego mniemana ambicya jest zranioną, że pozornie udaje on, jakoby nie mógł bez ubliżenia swemu honorowi porzucić projektu koronacyi księcia. Ale jakżeż się tu narzucać księciu, który korony téj od niego nie żąda? Wszakżeż tém ściągnąłby na się tylko podejrzenia ze strony ostrożnego księcia. Nawet błędu kancelaryi, nie może on wyzyskać w ten sposób, by zachęcić Witołda do złamania uporu Szafrańców. By chcieć utrzymać w opinii jego całą czystość swych zamiarów, niewypada Zygmuntowi wystąpić w roli delatora. Co gorsza—nawet błędu z konieczności tylko popełnionego, nie może Zygmunt usprawiedliwić przed Witołdem. Przezorny Witołd odrzucił projekt owego zjazdu. Czém usprawiedliwić takowy; jeżeli go nikt tu nie wyręczy?

W zupełnie innym stosunku do drażliwéj kwestyi znajduje się wspólnik Zygmunta, w. mistrz zakonu Paweł Russdorf. On jéj całkowicie na pozór obcy a przytém zażyły z księciem i nibyto cieszący się jego względami. W roli książęcego przyjaciela, może on współubolewać z nim, pocieszać go, poddawać myśli do zaspokojenia ambicyi. Bez ściągnięcia na się jakiegokolwiek podejrzenia, gdyż usprawiedliwiając nawet króla Jagiełłę, może on zwrócić uwagę księcia na Szafrańców jako jedynych jego wrogów w Polsce, zachęcić go do sparaliżowania ich wpływu, zwrócić gniew księcia na jedno stronnictwo, osłaniając tém interes swój wobec Polski, który przecież księciu dokładnie był znany. Mistrz ma poniekąd nawet prawo do zainteresowania się sprawą łucką, gdyż na zjeździe i sprawy zakonu były przedmiotem obrad a jego posłowie ich uczestnikami. W cóż się obróciły te uchwały, na czém stoi sprawa zakonu? Mistrz nie wzbudzał podejrzliwości księcia, skoro wskazywał na szacherki Szafrańców z husytami, skoro przedstawiał Witołdowi, że kancelarya zdyskredytowała tak uchwały łuckie, że chyba projekt nowego zjazdu nie jest niestety niczém zbyteczném. Czyż wobec tego nie mógł Witołd, dyskredyt zjazdu Łuckiego i uchwał tamże powziętych, wziąść za osobistą urazę i żądać zadość uczynienia? Mistrz zakonu już skutkiem swéj sytuacyi posiada środki, aby podbudzać i podżegać tkniętą do żywego ambicyą księcia do *koronacyi*.

Na tém słowie, sądzimy, polegała owa *tajna* instrukcya Zygmunta, o któréjśmy wyżéj nadmienili. Załatwił ją poseł ustnie,

a w aktach dyplomatycznych, zwraca ona na się uwagę jednèm wymownèm mianèm *tajemnica.* W czasach tych nie znano jeszcze depesz cyfrowanych, dlaczego też tajemnice powierzano tylko bardzo zaufanym osobom, w obecnym przypadku bratu w. mistrza. Mistrz miałby tylko wyłudzić pozwolenie ze strony księcia na koronacyą. A gdyby Polacy taką depeszę przejęli, jakby srodze szyki popsuli intrydze Zygmunta.

Niepotrzebujemy dodawać, że położenie to w jakim się wnet po zjeździe łuckim znalazł mistrz zakonu, w niczèm nie pogorszyło i tak już nie dobrego stosunku jego do Polski. Przeciwnie, był on pewnym, że kancelarya królewska, jak się to w rzeczywistości stało, pośpieszy doń z ofertami, które polepszą pozycyą zakonu i względy zakonu uczynią drogim towarem. Ów zjazd jaki miał odbyć z Witołdem wzmógł w Polsce najrozliczniejsze podejrzenia co do zamiarów mistrza—ależ jemu o wzmnożenie tych plotek chodziło, gdyż one podsycały zarzewia intrygi i czyniły zakon tèm potrzebniejszym dla Polski.

Takim sposobem jeden koniec sieci intrygi Zygmuntowéj znalazł się w urach Malborga.

Główną rękojmią powodzenia dla mistrza w całéj akcyi było to, że wyręczał się sprawnymi posłami, nie narażając przez to siebie i zakonu. Prawda że skutkiem tego akcya rozwijała się pomału, że Zygmunt był niecierpliwy, ale *Święta dusza* pomimo to nie odstępował od swego „pomału ale gruntownie.“ Szybkiego działania i hazardownéj gry nie znosił Rusdorf; raz dla tego, że było to obcèm jego naturze powolnéj i umiarkowanéj—powtóre, że skarb zakonu nie pozwalał na wysokie stawki. Rusdorf zresztą pragnie rozbratu pomiędzy Polską a Litwą, ale bardzo powątpiewa, azali on przyjdzie do skutku za życia Witołda. Zna on w końcu na wskróś Zygmunta i wie, że ten używa tylko zakonu za narzędzie i że w ciężkiéj doli i potrzebie nie ma co liczyć na jego pomoc.

Zręcznie użyci posłowie zastępują tedy mistrza w intrydze. Znamy już jednego Fochsa, którego obecnie widzimy znowu na dworze księcia.

Witołd, który już miał złość ku Szafrańcom za ich nieszczęsną legacyą, dowiaduje się od Krzyżaka o wcale ciekawych rzeczach. Król sędziwy niczemu nie winien donosi tenże, Szafrańcy są jedynymi wrogami księcia. Oni to w sprawie młyna Lubicza spowodowali króla, że nieprzystał na kompromis, dopókąd mu Witołd 9.000 grzywien nie wypłacił; oni są przyczyną, że król wypuścił na wolność wroga Witołdowego, Kraskę, za ich wpływem Jagiełło niedowierzał księciu, jakby go o jakie złe zamiary posądzając. Krzyżak opowiada,

że król za ich doradą odwołuje obecnie to, na co się był w Łucku zgodził, jak kompromis w sprawie mołdawskiéj; co gorzéj, że król, wbrew uchwałom łuckim, powierza im wejście z husytami w układy. Nie potrzebujemy dodawać, jak wielce w grę wchodzi na nowo tém zadraśnięta ambicya Witołda, jakie walki stacza z wielkim jego umysłem i jak zachęca do złamania uporu kancelaryi polskiéj.

Myśl zdruzgotania wpływu Szafrańców rodzi się w sercu księcia, już skutkiem saméj sytuacyi. Wszakżeż król Jagiełło cofnął swe zezwolenie za ich wpływem i sam to przyznaje; ale nie przyznaje tego, co teraz donosi krzyżak, że król ani myśli z pod tego wpływu się uwolnić, że w coraz gorsze popada błędy, że położenie księcia staje się z tego powodu przykrém nie do zniesienia. Fakta same pouczają Witołda o prawdzie denuncyacyj. I tak mianowicie, Jagiełło zamiast odpowiadać Witołdowi na ważne jego zarzuty, pomija je milczeniem, a natomiast oskarża przed nim Zygmunta, jako tenże buntuje husytów przeciwko Polsce. Witołd dostrzegł nędzotę wybiegu, a biorąc go za oszczerstwo, usprawiedliwia króla Zygmunta z mniemanych zarzutów i wylewa cały potok gorzkich wymówek królowi, że pozwala się oszukiwać przez podłych oszczerców. W tém napad husytów na Polskę usprawiedliwia poniekąd podejrzenia kancelaryi polskiéj. Polacy zbroją się, husyci wysyłają poselstwo z usprawiedliwieniem i tak rozpoczynają się upozorowane już negocyacye. Cała Korona zbrojnie i na koniu. Legat papieski nie może się dość nachwalić gorliwości wiary u Polaków, widząc, że w jéj obronie, wobec mniemanego niebezpieczeństwa, jak jeden mąż powstali wszyscy. Niedomyślnego legata wysyła król do Witołda, z prośbą, aby dał ratunek Polsce. Dobrze—odrzekł książe i wnet cała Litwa stanęła pod bronią. Cóż, gdy ratunku niepotrzeba, gdy Szafrańcy negocyują z husytami, cóż sądzić miał Witołd o téj igraszce? Znaleźli się wnet tacy, którzy objaśnili księcia o rzetelnéj prawdzie i nie dziw, jeśli w téj chwili pałał on żądzą zemsty ku nędznikom a fawo-rytom królewskim. A jakie roje plotek obiegają po Polsce i Litwie z powodu owego uzbrojenia się w obudwu krajach? Źli ludzie pod-szeptują Witołdowi, że Polacy tylko oczekują nań, aby się zjawił w Polsce gdzie go pojmą i uwiężą, że pod pozorem najazdu husytów uzbroili się przeciwko Litwie. W Polsce przeciwnie krążą wieści fałszywe, że Litwa zbroi się przeciwko niéj, słowem obraz zaburzeń i zawikłań w skutek kilku zgrabnie powiązanych węzełków intryg uskutecznionych pod hasłem „tajemnica."

Oto co pisze autor intrygi, Zygmunt, do jéj współautora w. mistrza na dniu 17 kwietnia z Preszburga:

„Piszesz nam w sprawie *tajemnicy*, że co do tego wysłałeś już poselstwo, które obecnie ma być u Witołda. Niczego nam jeszcze o niém nie donosił książe, lecz skoro-byś się tylko dowiedział o rezultacie legacyi, niezaniedbaj natychmiast mnie uwiadomić. U nas był obecnie sekretarz księcia Małdrzyk w poselstwie.

Doszły mnie już i pisemne wiadomości, że Jagiełło i Witołd na ostro przeciwko sobie stawają i że w téj sprawie jakieś poselstwo polskie zdąża do Litwy. Skoro się tylko dowiemy o przedłożeniach posłów, natychmiast damy ci o tém wiadomość. Nie wąpię—dodaje Zygmunt—iż lada dzień przybędzie z Litwy odpowiedź od księcia w sprawie koronacyi i innych wszystkich spraw, abym wiedział jak mam daléj postępować. Niezaniedbuj tylko donieść nam o przebiegu *tajemnicy*,—dodaje troskliwie—dla której wysłałeś posłów do księcia. W sprawie granic zakonu nie odpowiedział jeszcze król Jagiełło, niezaniedbam atoli napisać ci po otrzymaniu responsu.

Zapewne wiesz już — pisze Zygmunt w cedule dołączonéj do tego listu—że według uchwały w Łucku powziętéj, mam wraz z Witołdem wysłać posłów do wojewody mołdawskiego a mianowicie na dniu św. Jerzego a to aby mi Kilii ustąpił. Będzie to dla zakonu nie mały nabytek, niezaniedbuj przeto przyśpieszać wysyłkę ludzi zakonnych. A i Swidrygiełło nie omieszkał wysłać do nas uprzejme poselstwo. Ofiaruje się on nam ze służbą swą, byle był obecnym na naszym dworze. Król Polski miał go zasypać wielkiémi darami, według ich tamecznych zwyczajów. Sądzę, że go zamierza tém przywabić do siebie.“

Prawie równocześnie pisał Zygmunt do Witołda po otrzymaniu odeń kopij listów, w których książe usprawiedliwiał go przed Jagiełłą z podejrzeń, jakoby się miał wiązać z husytami przeciwko Polsce. Nie będziemy wykazywać stosowności chwili, w któréj można było wystąpić w roli oskarżyciela króla Jagiełły. Zygmunt więc pisze:

Kazałem pisma wasze odczytać i znalazłem w nich tę stateczną i szczérą waszéj braterskości miłość, jaką mi okazujecie udawadnianiem naszéj niewinności w tak prawy i szlachetny sposób, iż aby złożyć podziękę, którą teraz w sercu odczuwam, niemógłbym tego pismem wyrazić. Było to niemożliwém, zwłaszcza, iż nieproszony ani też wzywany, z własnéj woli i bez wiedzy naszéj tak szlachetnie postąpiłeś książe. Ja z méj strony jestem na usługi w. braterskości we wszystkiém i za wszystko co was dotyczy i waszego dobra, gotów nietylko interesa własne ale i własną osobę narazić i z wami w złéj i dobréj doli żyć i umierać.

Już w poprzednim liście wyłuszczyłem w. br. rzecz o skutkach traktatów z Czechami, z których-to w. br. jasno dostrzedz mogła

zawartą z nimi unią przy pomocy któréj, jak oszczercy nasi rozgłaszają, zamierzamy uskutecznić napad na Polskę. Sądzę, że sprawę tę można pominąć milczeniem, zwłaszcza, że to rzecz tak błaha i szkolarska, iż niewartą jest pisma. Jednakowoż posyłamy w. br. kopję listu Prokopa wodza Taborytów, któryśmy wczoraj otrzymali, a świadczy on wymownie, że Taboryci ani myślą odstąpić od oblężenia miast naszych. Czy to ma świadczyć o naszych związkach z husytami, raczy rozważyć braterskość wasza! Alboż i to jakobym miał zamiar napaść na margrabię Brandeburskiego—na mego krewniaka, który służy mi z wielką czołobitnością i z winnym szacunkiem? Ubolewam mocno, że brat mój król Polski, niesprawdziwszy wprzódy takich baśni, przedkłada je waszéj braterskości. Lecz gdy już w. br. w téj mierze tak prawdziwie i trafnie odpowiedział królowi, nie kuszę się o jakikolwiek dodatek, lecz tylko dzięki za to składam serdeczne. Nie mogę jednakowoż pominąć milczeniem téj okoliczności, iż król Jagiełło zdziwienie wyraża w swym liście do was pisanym, z powodu, iż mu w. br. tak wiele pisze o owym Turku, i że zasłania się mną, jakobym ja rzecz tę nie tak bardzo jak pierwéj brał sobie do serca. Rozważ proszę, najdroższy bracie, iż nigdy nie odstępowałem od żądania, aby mi go zwrócono, i że król Jagiełło po dwakroć mi oznajmił, iż w téj sprawie uczyni zadość uchwale łuckiéj—na co dotychczas bezskutecznie oczekuję. Mniejsza o to, że nam oświadcza, iż wypełni uchwałę, wam zaś, że się tylko usprawiedliwi—cokolwiek bądź uczyni—ja jak to już uczyniłem, zdaję sąd co do tych różnic i nieporozumień w wasze ręce. Z czego braterskość wasza łacno wnioskować może, iż nie żądam niczego złego lub niecnego, lecz iż dążę do umocowania wzajemnéj miłości i do utrwalenia związków naszych. Proszę tedy uprzejmie w. br., abyś zechciał królewskiego swego brata nakłonić, iżby on to samo uczynił i nie uchylał się od kompromisu. Niechciałbym bowiem chwytać się ostateczności, chyba gdybym był zmuszony z powodu ucisków i krzywd, jakie obydwaj doświadczamy...

Cokolwiek zresztą dowiemy się w tych sprawach później, nieochybnie damy o tém wiadomość waszéj braterskości. Jedno i jedyne jeszcze pozostaje do wyrażenia, co lubo pierwszéj często w. br. mówiłem i obecnie jeszcze powtarzam, że jestem i pozostanę jego serdecznym bratem i przyjacielem, na którym w. brat. z pewnością polegać może, jakby na sobie samym; i to bez wszelkich skrupułów we wszystkiém co dotyczy waszéj pomyślności i honoru. W tych sprawach nietylko swe własne ofiaruję usługi, boć ja przecież i tak węzłami krwi spowinowacony jestem z wa-

mi; postaram się nad to o pozyskanie dla was mych przyjaciół i chętnych mi książąt, zapewniając waszą braterskość o nierozłączonéj serc naszych miłości, któréj ząb czasu nie zdoła nadwyrężyć...

W dwu powyższych listach w całéj ich osnowie przytoczonych, przebija się niezaprzeczony talent dyplomatyczny króla Zygmunta, kierujący piórem swego pisarza, sławnego późniéj Kacpra Szlika. Treściwość i lakoniczność pierwszego pisma, równie jak chęć przymilenia się i uderzające a dobrze użyte pochlebstwo przybijające się w drugim, a spryt i korzystanie z okoliczności w obu, okazują najwidoczniéj, że Zygmunt nie po raz pierwszy zawiązywał podobne węzły śmiałéj intrygi.

(c. d. n.) *Antoni Prochaska.*

GABINET Hr. TAAFFEGO

I JEGO POLITYKA.

I.

Kilka gabinetów centralistycznych, z krótką przerwą, kiedy hr. Alfred Potocki i hr. Hohenwart rządom przewodniczyli—pracowało od r. 1867 nad tém, aby nikogo w Austryi nie zadowolnić. Pomiędzy Niemcami, jedni radzi byli, aby ich ministrowie prowadzili wprost do pangiermanizmu, drudzy wymagali, aby zaprzeczono nawet istnienia Czechów, inni jeszcze trudniejsze lub niepodobne do spełnienia stawiali żądania. Czesi nie mogli naturalnie być zadowoleni z gabinetów, które im żadnych a żadnych koncesyj narodowych uczynić nie chciały, Polacy morzyli się zajmowaniem ciągle odpornego tylko stanowiska, stronictwo zaś ścisle katolickie we wszystkich prowincyach Austryi nie dowierzało rządzącym liberałom. Słowem, wewnątrz państwa nie było nikogo przyjaznego rządowi, prócz kliki stojącéj u steru, będącéj pod wpływem wiedeńskiego żydostwa, która także nie dość wielką harmonią wewnątrz przedstawiała. Stosunki tak się zarysowały, że nie było najmniejszéj nadziei, aby przy dłuższém trwaniu centralistycznych gabinetów mogło dojść do jakiego takiego skonsolidowania się przeciwnych lub wrogich sobie żywiołów. Idea narodowości zanadto góruje nad wszelkiemi innemi ideami w dzisiejszych społeczeństwach, aby ktośkolwiek jasno patrzący na stosunki Austryi mógł się spodziewać, że centraliści potrafią przygnębić tę ideę na korzyść germanizmu, że zdołają dokonać zamalgomowania austryackich ludów, którego w korzystniejszych stosunkowo warunkach Józef II przeprowadzić nie zdołał. Widziała to dynastya austryacka, widzieli Węgrzy, a nawet jak się zdaje spostrzegł to i sąsiad Bismark, życzliwy od pewnego czasu Austryi—jedni centraliści

nic nie widzieli, bo im dobrze było z władzą. Sama dynastya zresztą nigdy nie miała sympatyi do centralistycznych liberałów; cesarz, zostający z nimi od tylu lat w bezpośrednich stosunkach, wiedział dobrze, że większość ich dąży do Berlina, i że od czasu jak wielkie germańskie państwo na wiedeńskich Niemców wywiera atrakcyą,—nie może być mowy o wyłącznem opieraniu się habsburskiej dynastyi na żywiole niemieckim.

Węgrzy, którzy w ostatnich czasach bardzo dobrze zrozumieli, że ich egzystencya i siła polega na połączeniu z Austryą, również z ukosa patrzyli na zachcianki wielkoniemieckie Niemców wiedeńskich, i pragnęli aby się raz przecie stosunki w Austryi ustaliły, a tém samém aby wzmogła się gwarancya wspólnéj potęgi dwóch państw tak ściśle z sobą połączonych.

Następstwa wojny wschodniéj, a mianowicie zajęcie Bośni i Hercegowiny przeważyły szalę na niekorzyść centralistów. Nie chcieli oni okupacyi, sprzeciwiali się jéj, nibyto ze względów oszczędności, ale właściwie z tego powodu, aby żywioł słowiański nie wzmagał się w Austryi, a tém samém aby cecha germańska którą jéj nadać chcieli, nie zacierała się coraz bardziéj. W radzie państwa występowali nadzwyczaj stanowczo przeciw zajęciu części krajów tureckich, atakowali z tego powodu dualizm państwa austro-węgierskiego, przyczém się nieraz i Węgrom dobrze dostało. Okupacya jednak stała się faktem dokonanym, leżała w widokach Węgrów i dynastyi—pozostanie więc stronnictwa u steru rządów, które się z tym już faktem spełnionym pogodzić nie chciało —było niemożliwém.

Z początkiem też roku 1878, podało się ministeryum centralistyczne księcia Adolfa Auersperga, rządzące Austryą od r. 1871, do dymisyi, która na razie przyjętą, późniéj zaś z tego powodu cofniętą została, że nie można było znaleść ludzi coby z istniejącą radą państwa dalsze rządy sprawować mogli.

Cesarz znalazł się wobec trudnego pytania: co daléj? Faktem było, że centraliści steru prowadzić nie mogą, ale również nie podobna było tworzyć gabinetu z tak wybitnych federalistów, jak hr. Hohenwart. Po pierwsze bowiem, próba z federalistami raz się nie udała, a powtóre Węgrzy tak stanowczo sprzeciwiali się federacyjnemu ukształtowaniu się Austryi, że każde w tym kierunku dążenie byłoby prowadziło monarchią do nowych wewnętrznych kataklizmów. Węgrzy—może ze swego stanowiska słusznie obawiali się, żeby przez utworzenie federacyi austryackiéj, nie zeszli także z czasem z państwa połączonego z Austryą unią osobistą, do rzędu prowincyi zfederowanéj, a nadto sądzili, że federacya w Austryi oddziała na ich organizm państwowy, że i Kroacya zechciałoby może wstąpić do au-

stryackiego związku federacyjnego i oderwać się od państwa węgierskiego. Te i inne pomniejsze względy wpłynęły na to, że Węgrzy nie dali sobie mówić o federacyi w Austryi, i że w tym względzie byli nieugięci. O rządach federalistycznych marzyć więc nie było można, a centralistyczne stały się niemożliwe. Na razie trzeba było przeto używać dawnych sił, tymczasem zaś przeprowadzić nowe wybory i patrzéć, co się da zrobić. Tak téż cesarz postąpił: powierzył chwilowo sprawowanie rządów dawnym ministrom, pod przewodnictwem Stremajera, zamianował tylko hr. Taaffego ministrem spraw wewnętrznych przeznaczając go na prezesa przyszłego gabinetu. Hr. Taaffe miał przeprowadzić nowe wybory.

Hr. Taaffe jest osobistością, o której w Austryi różne można słyszéć zdania: jego nieprzyjaciele odmawiają mu wszelkiéj kwalifikacyi na ministra, sądzą, że to umysł płytki, lekki; że daleko odpowiedniejsze miejsce dla hrabiego w klubie myśliwskim, lub na wyścigach, aniżeli za zielonym stołem, przy którym traktują się poważne sprawy państwa. W obozie nawet ludzi przychylnych obecnie gabinetowi dawały się z początku słyszéć głosy: że hr. Taaffe traktuje rzeczy publiczne po dyletancku, że chce rządzić dowcipkami itd. Są to wszakże, według mnie, sądy powierzchowne. Przedewszystkiém mam to przekonanie, że na przewodnika rządów, na kierującego gabinetem, potrzeba mieć daleko więcéj charakteru, taktu, zręczności, energii i sprytu, aniżeli głębokiéj nauki, lub nawet takiéj wiedzy, jakiéj potrzeba ministrowi finansów, oświaty lub handlu. Sportsmen może być czasem daleko zręczniejszym politykiem, aniżeli profesor wydziału prawa; otóż i hr. Taaffe posiada ten wrodzony zmysł polityczny i niejednokrotnie daleko łatwiéj umiał wyjść z bardzo trudnych stosunków, aniżeli wielu jego poprzedników. Ma on i to za sobą, że się szczyci najzupełniejszém zaufaniem cesarza, który żadnéj jego czynności nie podejrzywa, jak to często bywało za centralistycznych ministrów. Hr. Taaffe pochodzi ze starożytnéj szkockiéj rodziny, która przed wiekami osiadła w Austryi i od dawna była w usługach państwa. Będąc rówieśnikiem cesarza Franciszka Józefa, wychowywał się z nim prawie razem, i jest jedyną w Austryi osobistością nie należącą do cesarskiéj rodziny, którą łączą z cesarzem młodociane wspomnienia. Tradycye katolickie rodziny Taaffów, których prezes ministrów ściśle przestrzega, dalszym są jeszcze węzłem, pomiędzy nim a monarchą. W ten więc sposób stosunki jego z koroną są nadzwyczaj ułatwione. Na zewnątrz zaś, w obec stronnictw, całe usposobienie ministra prezydenta czyni go odpowiednim do prowadzenia polityki wewnętrznéj w Austryi, katolik—a nie ultramontanin, arystokrata—a nie człowiek zacofany, liberalny, wyrozumiały,

łatwy w stosunkach i naginający się do tych różnorodnych żywiołów narodowych i politycznych, które się składają na społeczeństwo austryackie. Hr. Taaffe objął już zresztą rządy z niemałą praktyką administracyjną, przez długi czas bowiem był namiestnikiem Tyrolu, a w gabinecie hr. Potockiego (od 12 Kwietnia 1870—4 Lutego 1871), ministrem spraw wewnętrznych.

Przewodnią myślą cesarza w powołaniu hr. Taaffego było utworzenie gabinetu pojednawczego, któryby o ile możności stał nad stronnictwami, rządził tak w niemieckich, jak i w innych prowincyach, sprawiedliwie i z czasem pogodził te narodowe szorstkości, które doprowadziły państwo w ostatnich czasach, do gorączkowego, niezdrowego stanu.

Od udziału Czechów w radzie państwa, od złamania ich polityki abstynencyjnéj, wszystko zależało: jeżeli oni mieli się nadal zamykać w dotychczasowéj skorupie, państwo nie mogłoby funkcyonować z całą pełnią sił. Wiedziały o tém dobrze koła dworskie, zrozumiał hr. Taaffe, gdy obejmował rządy—pierwszém i główném też jego zadaniem było: bądź-co-bądź sprowadzić Czechów do Rady państwa. Nowe wybory miały stanowić o udaniu się misyi gabinetu. Całą też wagę położył hr. Taaffe na to, aby osłabić centralistów w Czechach, którzy pod wodzą słynnego Herbsta, należeli do najzaciętszych przeciwników wszelkich ustępstw dla różnych narodowości. Wielką dotąd podporą tego stronnictwa była szlachta niemiecka w Czechach i ci czescy magnaci, którzy nie mogąc się pogodzić ze skrajną narodową polityką Riegera—woleli iść z centralistami. Hr. Taaffe w tę stronę skierował swój atak i z pomocą ks. Karlosa Auersperga przyprowadził do skutku kompromis pomiędzy ową arystokracyą czesko-niemiecką, a tak zwaném staroczeskiem stronnictwem, któremu przewodniczył Rieger i hr. Clam-Martinitz. Wskutek tego kompromisu Czesi weszli do rady państwa, a Niemcy stracili w Czechach cały zastęp posłów z większych posiadłości.

Wybory nadto w innych prowincyach, nie przeprowadzane już pod naciskiem centralistycznego rządu, wypadły o wiele korzystniéj dla stronnictwa autonomicznego: w Galicyi kilku Rusinów centralistów straciło swoje mandaty, tak, że dwóch tylko weszło w skład nowéj delegacyi; w Bukowinie, w Tyrolu, Krainie i Karyntyi, a nawet w saméj Austryi były rezultaty wyborów korzystniejsze aniżeli dawniéj, kiedy jeszcze rząd narzucał z Wiednia kandydatów na posłów prowincyonalnéj ludności i kazał wybierać mnóstwo posłusznych mu urzędników. Hr. Taaffe zniósł to nadużycie i wydał rozporządzenie do władz administracyjnyeh, zabraniające urzędnikom władzy wykonawczéj przyjmować mandaty. Mimo że rząd pozbawił się tym spo-

sobem nie moralnego wprawdzie i duchowi konstytucyi przeciwnego, ale na razie korzystnego środka, jednak rezultat wyborów zapewniał gabinetowi nie znaczną, ale przecież dostateczną większość, aby na niéj mógł oprzéć swe działanie. Na 352 posłów, z których się składa izba niższa, należało 170 do stronnictwa autonomistów, a 149 do trzech centralistycznych klubów, 34 zaś posłów było niezdecydowanych, nie wiedząc na razie, na którą przechylić się stronę. Prezydent gabinetu mógł jednak liczyć na to, iż stronnictwo przy którem jest władza, będzie miało tyle siły przyciągającéj, iż z czasem przygarnie do siebie większą część tych niezdecydowanych, i że ta część przynajmniéj w najważniejszych kwestyach z rządem będzie głosowała. Do takich maruderów politycznych należeli dwaj posłowie rusińscy z Galicyi, radca sądu Bazyli Kowalski i ksiądz Czarkiewicz, tudzież część posłów z południowego Tyrolu, Dalmatyńców i Słoweńców. Przewidywania gabinetu spełniły się też pod tym względem, maruderzy polityczni powoli łączyli się z armią, a obecnie stronnictwo autonomistów (prawica) rozporządza większością około 30 głosów.

Po przeprowadzonych wyborach przystąpił hr. Taaffe do złożenia nowego gabinetu (10 Sierpnia 1879), z tém przeświadczeniem, że wobec tak silnego nieprzyjaciela jakim jest stronnictwo centralistyczne, najodpowiedniejszym będzie gabinet koalicyjny, w którym obydwa wielkie stronnictwa miałyby swoich reprezentantów. Hr. Taaffe liczył na dobrą wolę przyszłych swych kolegów i na siłę stosunków, że ministeryum koalicyjne potrafi w kwestyach ważniejszych sprowadzić obydwa stronnictwa do porozumienia, a w każdym razie zyskać sobie w izbie bardzo poważną większość. Wierząc w dobry skutek swéj myśli zaprosił hr. Taaffe do współudziału w rządzie trzech centralistów, a mianowicie dotychczasowych ministrów: oświaty—dra Stremayera i obrony krajowéj—jenerała Horsta, tudzież barona Korb-Weidenheima na ministra handlu. Stronnictwo autonomiczne reprezentował hr. Juliusz Falkenhein, jako minister rolnictwa, tudzież dwaj ministrowie bez teki: p. Ziemiałkowski, dla Galicyi, i dr. Pražak dla Czech. Powołanie ministra bez teki dla Czech było pierwszą opłatą, jaką rząd uiścił Czechom za wstąpienie do rady państwa.

Myśl takiéj koalicyi nie zupełnie była szczęśliwą, może stosunki na razie nakazywały ją jako nieuniknioną konieczność, ale tego rodzaju koalicya na dłużéj utrzymać się nie da. Stronnictwa autonomistów i centralistów w Austryi zanadto jeszcze stoją od siebie daleko, większość centralistów zanadto upiera się przy swych germanizacyjnych eksperymentach, aby reprezentanci tak odmiennych od siebie kierunków na dłużéj z sobą się zgodzili. Hr. Taaffe wychodził z téj zasady,

że jeżeli konstytucya, którą centraliści ułożyli nie będzie naruszoną, to tém samém nie będą oni mieli powodu usuwać się od rządu. Na téj téż podstawie weszli do gabinetu trzéj posłowie centralistyczni. Jednakże takie zobowiązanie nienaruszania konstytucyi jest na dłuższy czas niemożliwém, bo mimo najlepszéj woli zajdzie przecież konieczność, już to tłómaczenia niektórych ustaw zasadniczych, już to uzupełniania braków w ustawie, gdyż inaczéj konstytucya skostniałaby i nie odpowiadała postępowi stosunków. Można zaś było przewidywać, że skoro tylko rząd wniesie jakikolwiek projekt do ustawy nie będący Niemcom na rękę, to ci zaczną zaraz krzyczéć, że projekt narusza konstytucyą, choćby nikomu na myśl nie przyszło naruszenie tego co jéj właściwą stanowi istotę: jak ustawy o wolności osobistéj, o prawie stowarzyszeń, o odpowiedzialności ministrów, o niezależności sędziów i t. d. Tak się téż stało, trzéj ministrowie centraliści mieli niesłychanie trudne wobec swego stronnictwa zadanie, bo Niemcy robili ich za wszystko odpowiedzialnymi, co się sprzeciwiało ich widokom.

Atak główny zwrócili Niemcy jak zawsze tak i teraz przeciwko Czechom i gdy ministeryum, chcąc cośkolwiek zrobić dla tych ostatnich, wydało rozporządzenie nadające językowi czeskiemu słuszne prawa w sądownictwie—podnieśli centraliści chórem okrzyk przeciwko ministrowi Stremayerowi, że zdradził własny obóz. Gazety wiedeńskie zaczęły pisać na różne tony, że narodowość niemiecka w Austryi zagrożona, że się krzywda dzieje tysiącletniéj kulturze germańskiéj, a z tych wszystkich agitacyj wypłynął memoryał niemiecki do cesarza (z 6 lutego 1880 r.) dążący do tego, aby język niemiecki utrzymać w Czechach w szkole i w urzędzie, gdyż potęga i jedność państwa wymagają jedności urzędowego języka, którym naturalnie musi być język niemiecki. Wprawdzie dla ubarwienia *petitum* nie przepomnieli autorowie memoryału mówić o najlepszych swych względem Czechów intencyach, o tém, że nie myślą uciskać żadnéj narodowości i naturalnych praw jéj zaprzeczać, ale frazesy kończyły się tém, że w Czechach po czesku ani pisać, ani uczyć nie wolno.

Zaledwie przeszła ta burza, a już znalazł się inny powód do jeszcze groźniejszego ataku. Dawny minister, poseł czeski Jireczek, znany autor historyi bulgarskiéj, postawił w komisyi budżetowéj rady państwa wniosek, wstawienia do preliminarza kwoty potrzebnéj na to, aby w uniwersytecie praskim można zaprowadzić katedry z czeskim językiem wykładowym. Minister Stremayer obecny na posiedzeniu komisyi, chcąc się zapewne po trosze rehabilitować wobec swych centralistycznych stronników odpowiedział, że o przeistoczeniu praskiego uniwersytetu na czeski mowy być nie może, że musi on zacho-

wać cechę niemiecką. Minister poszedł za daleko w swéj ochocie przypodobania się Niemcom, bo gabinet jeżeli nie chciał stracić racyi bytu, musiał dać Czechom to, co im się słusznie należało. Z drugiéj zaś strony Stremayer nie odzyskał napowrót zaufania w swym obozie, bo mu nie zapomniano rozporządzenia o języku czeskim w urzędzie, wydanego w jego własnym zakresie działania jako ministra sprawiedliwości.

Wśród tych walk o supremacyą nie zaniechali Niemcy szukać sprzymierzeńców w izbie, a naturalnie takim możliwym sprzymierzeńcem wydawało im się koło polskie, które się o ile możności starało utrzymać na stanowisku neutralném, pośredniczącém, na stanowisku sprawiedliwości i nigdy nie sympatyzowało ze skrajnemi dążeniami Czechów, widząc, że takowe wobec Węgrów przeprowadzić się nie dadzą. Ku Polakom więc zwrócili Niemcy swe afekta, obiecując, że nadadzą Galicyi najzupełniejszą autonomią i stanowisko podobne, jakie ma Kroacya w Węgrzech, jeżeli Polacy połączą się z nimi przeciw znienawidzonym Czechom. *Fides teutonica* zanadto już była znana w kole polskiém, aby iść na lep niemieckich obiecanek, a zresztą rzeczy zaszły za daleko, stosunek koła polskiego z Czechami i z innymi autonomistami zanadto stał się ścisłym, aby go dla pięknych oczu niemieckich zrywać można było. Niemcy więc odeszli z kwitkiem z koła polskiego, a dziennikarstwo wiedeńskie z jeszcze większą aniżeli dotąd bezczelnością i niesprawiedliwością zaczęło napadać, już nietylko na Czechów ale i na Polaków.

Jakby dla dolania oliwy do ognia, wcale niepolitycznie i niestosownie wystąpiło w Izbie stronnictwo klerykalne z dwoma wnioskami, które zupełnie były zbyteczne. Książe Alojzy Lichtenstein zmierzał do rewizyi ustawy zasadniczéj o szkołach ludowych. Żądał on, aby nie przeciążano gmin i krajów wydatkami na szkoły ludowe, tudzież aby w nauce uwzględniano religijne, moralne i narodowe potrzeby ludności. Drugi wniosek, p. Lienbachera, wyższego urzędnika w ministeryum oświaty, żądał zmniejszenia lat obowiązkowych uczęszczania do szkoły z 8 na 6; a mianowicie ze względu na ubogą ludność okolic górskich, która z 13 i 14-letnich wyrostków może mieć pomoc w gospodarstwie, któréj w skutek długiego trwania nauki obowiązkowéj jest pozbawioną.

W obydwu wnioskach było dużo zasadniczéj prawdy, ale niedogodności, jakie mogly wynikać z dotychczasowych pod tym względem ustaw, były usuwane rozporządzeniami administracyjnemi, tak, że poruszenie tych kwestyj, samych przez się bardzo drażliwych, zupełnie na razie nie było potrzebne. Ultramontanom jednak nikt nie mógł wytłómaczyć niewczesności ich wystąpienia—stali się też powodem

nowego wzburzenia centralistycznéj fali. Rzeczy doszły tak daleko, roznamiętnienie obydwu stronnictw tak się wzmogło, że stanowisko Stremayera jako ministra oświaty stało się niemożliwém. Cesarz uwolnił go téż (16 lutego 1880 r.) od kierowania tym wydziałem a na jego miejsce zamianował br. Konrad-Eybesfelda, namiestnika Dolnéj Austryi. Zarazem powierzył tekę skarbu Adolfowi br. Kriegsauowi, który był wysokim urzędnikiem w ministeryum i znanym ze swych zapatrywań autonomicznych. Stremayer pozostał jeszcze na razie jako minister sprawiedliwości w gabinecie wraz ze swymi centralistycznymi kolegami br. Korbem i jenerałem Horstem.

Hr. Taaffemu zdawało się zrazu, że potrafi utrzymać politykę koalicyjną, że zdoła pogodzić centralistów z autonomistami, na zasadzie wzajemnych koncesyj. Im dłużéj jednak istniał gabinet, tém bardziéj natura stosunków pchała go do obozu autonomistów. Centraliści nie myśleli o połowicznéj zgodzie; pragnęli oni rządów dla siebie i nie chcieli kapitulować, a czynili ze swéj strony wszystko, w Izbie, w dziennikarstwie i pomiędzy ludnością—co tylko prowadzi do rozdrażnienia i niezgody. Dalsze wypadki dowiodły, że gabinet z pierwotném założeniem, oparty na koalicyi ścisłych centralistów z autonomistami, nie mógł się utrzymać, gdyż taka koalicya była niemożliwą.

Centraliści gotowali się do stanowczego boju, niecierpliwili się, że od dłuższego czasu rządy do nich nie należą. Obrali więc wiosenne posiedzenia rady państwa r. 1880, na których rozstrząsać miano budżet, aby ostatecznie zrzucić niepowołanych przez nich nowatorów z ławy ministeryalnéj. Ataki zwróciły się głównie przeciw świeżemu ministrowi finansów baronowi Kriegsauowi i przeciw hr. Taaffemu. Baron Kriegsau okazał się zupełnie niezdolnym do piastowania swego urzędu, brak mu było nietylko wszelkiéj znajomości rzeczy, ale i potrzebnéj przytomności umysłu; stanowisko więc jego odrazu się zachwiało, a każdy mógł się domyślać, że nowy minister wyjdzie z gabinetu przy pierwszéj sposobności. Hr. Taaffe ratował jak mógł sytuacyą, ale wrażenie jakie wywarła dyskusya budżetowa było niekorzystne dla ministeryum. Centraliści mieli jasny cel przed oczyma, jasno określone dążenia, gabinet zaś łudził się jeszcze mrzonką koalicyi, któréj centraliści nie chcieli. Wiara w ministeryum i w skuteczność jego polityki tak dalece upadła, że koło polskie, które w rzeczywistości było jednym z filarów gabinetu, nie chciało mu dać zupełnego votum zaufania, ale gdy przyszło do uchwalenia funduszu dyspozycyjnego, oświadczyło przez usta p. Grocholskiego, że Polacy będą wprawdzie głosowali za udzieleniem rządowi tego

funduszu, ale że głosowanie nie ma bynajmniéj być dowodem zaufania do rządu. Z powodu nieobecności kilkunastu członków stronnictwa autonomicznego, które ostatecznie nie chciało gabinetowi stawiać trudności—zwyciężyli centraliści dwoma głosami i odmówili ministeryum powyższego funduszu, w kwocie 50.000 złr. Dziennikarstwo wiedeńskie tryumfowało, sądziło, że ministeryum poda się wskutek tego do dymisyi, rada ministrów nie uważała jednak sprawy nie uchwalenia powyższéj kwoty za kwestyą gabinetową i gabinet obchodził się rok jeden bez pieniędzy dyspozycyjnych.

Uchwała ta jednak dowodząca, jak kruchą była podstawa, na któréj się gabinet opierał, miała swą bardzo dobrą i w następstwach ważną stronę; przekonała autonomistów, że istniejący gabinet z większą aniżeli dotąd popierać trzeba energią, choćby bowiem nie wszystkim im dogadzał, przecież lepszym jest od centralistycznego. Ministeryum zaś widząc upartą centralistyczną niechęć ku sobie, poczuło się spowodowaném szczerzéj zbliżyć do autonomistów i porzucić niedościgniony ideał stania nad stronnictwami. Naszém zdaniem, po nad stronnictwami stoi i stać powinna korona, ale ministeryum wychodzi z łona pewnéj grupy parlamentarnéj, w jéj interesie działać powinno o ile się tylko da, gdyż w przeciwnym razie utraci zaufanie jednych i drugich. W organizacyi stronnictwa autonomicznego zaszły korzystne zmiany: w klubie polskim, który bardzo zawinił, gdyż jedenastu posłów Polaków brakowało przy głosowaniu nad funduszem dyspozycyjnym—nastąpiła karność; żaden poseł bez wiedzy prezesa koła nie może się obecnie z Wiednia wydalić; a kluby: czeski i feudalno-ulramontański także się przekonały, że samopas chodzić się nie da, że przed każdą ważniejszą sprawą trzeba się porozumiewać i twardą, prawdziwie wojskową, u siebie zaprowadzić dyscyplinę.

Cały przebieg rozpraw rady państwa; gwałtowność centralistów w parlamencie, w dziennikarstwie i w sejmie czeskim, dostatecznie przekonały p. p. Stremayera, Horsta i Korba, że w obecnym gabinecie dla nich miejsca nie ma, jeżeli nie chcą się wyprzéć swego stanowiska i trwać nadal w centralistycznych opiniach. Siła rzeczy pchała gabinet ku autonomistom, a ku nim ci ministrowie iść nie mogli. Zrobili więc to, co honorowi ludzie uczynić musieli—podali się do dymisyi a do nich przyłączył się i p. Kriegsau, który jakeśmy powiedzieli nie mógł, z przyczyny zupełnéj swéj nieudolności, pozostawać dłużéj na krześle ministeryalném.

II.

Hr. Taaffe zrobił to, co od początku zrobić wypadało, uzupełnił swój gabinet ludźmi należącymi wprost do stronnictwa autonomicznego, albo przynajmniéj takimi, którzy dalecy byli od zachcianek centralistycznych. Wtedy wszedł do gabinetu jeden z najwybitniejszych posłów polskich, p. Dunajewski, jako minister finansów; prezydent wyższego sądu krajowego w Wiedniu br. Streit został ministrem sprawiedliwości, wyższy urzędnik p. Kremer-Auenrode ministrem handlu a generał hr. Welsersheimb ministrem obrony krajowéj. P. Dunajewski przeważył szalę gabinetu na stronę autonomistów, trzéj inni nowo mianowani ministrowie nie byli tak dalece wybitnemi osobistościami, aby nadawali gabinetowi wyraźniejszą cechę.

Wychodząc z bardzo słusznéj zasady, że w Austryi, uczucie dynastyczne nadzwyczaj ważną odgrywa rolę i że wiele politycznych trudności w stosunkach międzyplemiennych zmniejszyć lub usunąć może, wpadł hr. Taaffe na trafną myśl odświeżania tego uczucia podróżami cesarskiemi. Seryą ich rozpoczęła podróż do Galicyi, dość świeżo jeszcze pozostającą w pamięci czytelników, aby ją opisywać potrzeba. Podróż ta była niezmiernego znaczenia dla wewnętrznéj polityki austryackiéj i bezsprzecznie wzmocniła stanowisko autonomistów, była bowiem jednym dowodem więcéj dla cesarza i stronnictwa dworskiego, że korona może się stale i statecznie opierać, obok narodowości niemieckiéj i na innych narodowościach i że polityka racyonalna autonomiczna, nie rozluźnia węzłów pomiędzy dynastyą a poszczególnemi krajami—lecz owszem je wzmacnia. Postępowanie delegacyi galicyjskiéj dowodziło już tego niejednokrotnie, ale wrażenia, których cesarz doznał w podróży galicyjskiéj ujmowały serce monarsze, wszczepiały w nim wiarę w ludność polską Galicyi, dowodziły, że tak powiem *ad oculos*, iż polityka, przyjęta przez gabinet hr. Taaffego, jedynie jest odpowiednią w państwie austryackiém.

Do podniesienia tych korzystnych wrażeń przyczyniła się dalsza podróż cesarza po Bukowinie, a w kilka tygodni później po Szląsku i Morawie.

Podczas gdy hr. Taaffe starał się podróżami cesarskiemi uświęcić tryumf swéj polityki, centraliści dążyli do tego, aby zniszczyć dzieło pojednania agitacyami przedsiębranemi na szeroką skalę. Urządzali zgromadzenia ludowe, mityngi w Wiedniu i na prowincyi i uchwalali rezolucye wyrażające nieufność do rządu i zapewniające, że narodowość niemiecka w Austryi jest zagrożoną! W tém wszystkiem było dużo dziennikarskiéj blagi a mało ochoty do demonstrowania u ludności, u samych nawet Wiedeńczyków, którzy się nie-

chętnie wdają w agitacye polityczne, jeżeli *interes* dobrze idzie, jeżeli w warsztacie, w sklepie i w fabryce dość jest klientów. Ludność nie mogła zapomnieć centralistom i ich rządowi, klęski finansowéj z r. 1873 i kilkoletniéj następnie ekonomicznéj stagnacyi i niewidziała bynajmniéj powodu obruszać się obecnie na rząd, skoro interesa zaczęły znów wracać do normalnego stanu i dobrobyt się polepszał. Podczas tych wszystkich zjazdów, *parteitagów*, agitacyj, popełnili centraliści mnóstwo niezręczności, w przykry sposób dotknęli nieraz dynastyą, albo też pokazali o co im właściwie chodzi—o niemiecką hegemonią—o prusactwo. W zaciekłości swéj tak daleko się posunęli, że prywatnych spraw dworu cesarskiego zaczęli używać za środek do swych wichrzeń i wysoce na siebie dwór oburzyli. Chodziło mianowicie o poruszaną swego czasu przez dziennikarstwo sprawę urządzenia zamku na Hradczynie, w Pradze, gdzie następca tronu po ożenieniu się zamieszkał. Centraliści posądzali w dziennikach wiedeńskich dynastyą o brak patryotyzmu, z powodu, że cesarzewicz zamówił w Paryżu cokolwiek mebli, obić i t. d., że tym sposobem skrzywdził przemysł krajowy. Z zadziwiającym brakiem taktu zestawiały dzienniki wiedeńskie przez kilka dni wydatki na urządzenie domu arcyksięcia, krytykowały, mięszały się w rzeczy prywatne, alarmowały publiczność, wciągnęły w całą sprawę radę miejską wiedeńską, słowem wywołały skandal, który do żywego musiał dotknąć i obrazić rodzinę cesarską.

Autonomiści też nie mogli do osiągnięcia swych celów lepszego na razie życzyć sprzymierzeńca aniżeli samych centralistów, którzy z gniewu za utratę władzy zapomnieli o wszystkich względach przyzwoitości publicznéj, o poszanowaniu monarchy i rzucali się jak wściekli na wszystkie strony, dowodząc coraz wyraźniéj, że nie są stronnictwem z któremby można się układać i któreby się na to przydało, aby wspierać rząd koalicyjny.

Skutkiem tego poczuwało się ministeryum coraz więcéj do solidarności ze stronnictwem autonomiczném, a przed rozpoczęciem zimowéj sesyi rady państwa (1880) odbyło z przewódcami wszystkich trzech odłamów większości parlamentarnéj konferencyą w Wiedniu, celem ułożenia wspólnéj przeciw centralistom kampanii. W konferencyi zastępowali gabinet wszyscy wybitni ministrowie, a mianowicie hr. Taaffe p. p. Ziemiałkowski, Dunajewski i Prażak, posłów było kilkudziesięciu, a pomiędzy nimi pp. Grocholski, Rieger i hr. Hohenwarth. P. Rieger pojechał w owym czasie do Pesztu, aby wysondować Węgrów o ile się oni zgadzają na dążenia autonomiczne narodu czeskiego i do tego zastosować postępowanie czeskiéj delegacyi. Rezultat tych odwiedzin przekonał p. Riegera, że jak z jednéj

strony Węgry nie będą mieli nic przeciwko słusznym narodowym wymaganiom Czechów, tak z drugiéj stanowczo przeciw wszystkiemu wystąpią, coby w najmniejszéj rzeczy zmierzało do naruszenia dualizmu monarchii i chciało istniejący organizm państwa przemieniać na federacyą. Czesi się rozczarowali, ale nabrali przekonania, że na razie nie można stawiać zbyt daleko idących wymagań, a mianowicie marzyć o unii personalnéj Czech z Austryą. Te wszystkie czynniki, jako to: bezwzględne, niesklonne do porozumienia się postępowanie centralistów, rozczarowanie Czechów i zdeklarowanie się ministeryum w kierunku autonomicznym zdziałały, że konferencye wiedeńskie wypadły bardzo pomyślnie; stronnictwo składające się z trzech odłamów zsolidaryzowało się, zespoliło i powzięło postanowienie, aby w zwartym szeregu i z jak najściślejszą karnością występować przeciw centralistom, w czasie kampanii zimowéj. Podróż p. Riegera do Pesztu miała szczegółowo, co do stosunku Czechów z kołem polskiém, ten dobry skutek, że Czesi zaczęli uznawać powody pełnego taktu i rozwagi postępowania Polaków, które poprzednio nie zawsze aprobowali, posądzając nas o niechęć dla swych projektów federacyjnych. Obecnie zrozumieli, że ta niechęć wypływała z rzetelnego przeświadczenia, iż idąc za daleko w dążeniach autonomistycznych, napotkałoby się na nieprzezwyciężone przeszkody, a cała kampania w tym kierunku podjęta, mogłaby wyjść tylko na szkodę wszystkich autonomistów i wyrobić w Węgrzech to niebezpieczne przekonanie, że stosunek dualistyczny pomiędzy nimi a Austryą da się utrzymać tylko na podstawie supremacyi niemieckiéj w Austryi.

W ubiegłéj sesyi zimowéj parlamentu stanęły więc naprzeciw siebie dwa zwarte obozy centralistów i autonomistów, o jakiejkolwiek koalicyi znów mowy być nie mogło, bo centraliści występowali przeciw prawicy i gabinetowi z zaciekłością i bezwzględnością, która często przekraczała miarę przyzwoitości parlamentarnéj. Gabinet znalazł w p. Dunajewskim bardzo dzielnego szermierza, który często oddawał centralistom piękne za nadobne, zbijał zarzuty centralistów natchnione najczęściéj złą wiarą, objaśniał cele i dążenia ministeryum i walczył za sprawę prawicy. Cały gniew centralistów zwrócił się też niebawem przeciw ministrowi finansów, którego zaczęli uważać za najzaciętszego wroga swego i przeciw hr. Taaffemu, którego wytrwałość w dążeniu do raz założonego celu, niezważanie na stawiane przeszkody, doprowadziło ich do najwyższego rozdraźnienia.

To stanowisko walczące, jakie zajmował gabinet hr. Taaffego, nie było odpowiedniém dla dwóch ministrów, a mianowicie ministra sprawiedliwości Streita i ministra handlu Kremera, dla pierwszego, że się nie bardzo mógł wżyć w nowy kierunek i może sercem jeszcze

lgnął ku dawnym nawyknieniom germanizacyjnym, dla drugiego, że się nie czuł dość na siłach, aby rzeczywiście walczyć na stanowisku ministra, zamiast spokojnie drzemać na fotelu ministeryalnym. Gabinet znów więc odrzucił dwa zwiędłe liście i przyjął do swego grona nowego ministra handlu br. Pino, który dotąd był namiestnikiem górnéj Austryi i bardzo skutecznie popierał politykę hr. Taaffego przeciw agitacyom centralistów. Wydział sprawiedliwości objął chwilowo dr. Prażak minister bez teki, a w ten sposób dwa wydziały: spraw wewnętrznych i sprawiedliwości nie mają dotąd swoich stałych ministrów. Minister prezydent czeka na stosowną chwilę, kiedy pomiędzy Niemcami, którzy dziś należą do stronnictwa centralistycznego wytworzy się partya umiarkowana, godząca się na nowy kierunek polityki wewnętrznéj, aby jéj reprezentantom zapewnić udział w rządach i oddać dwa opróżnione krzesła ministeryalne.

Nad wytworzeniem tego umiarkowanego stronnictwa niemieckiego pracuje hr. Taaffe od dawna, ale wszelkie w téj mierze czynione usiłowania rozbijają się o butę centralistów, o ich *non possumus*, przy którém stojąc, nie chcieli ani na jotę odstąpić od swych dążeń do supremacyi. Z czasem takie stronnictwo wytworzyć się musi, wielu bowiem pomiędzy Niemcami przyjdzie do przekonania, że lepiéj jakikolwiek mieć udział w rządzie, aniżeli bezskutecznie ciągle oponować; będzie to stronnictwo autonomistów z konieczności, a nie z przekonania. Wytworzenie, takiego stronnictwa jest jednem z najszczerszych życzeń gabinetu, bo mając jeszcze około siebie i ten zastęp posłów, mogłoby ministeryum stać nadzwyczaj silnie i nie opierać się wyłącznie na Słowianach i klerykałach, ale i na znakomitéj części Niemców liberalnych. Jakaś resztka nieprzejednanych centralistów nicby nawet nie szkodziła, byłaby konieczną w parlamencie opozycyą, bez którejby większość zanadto pewnie spoczywała na swoich laurach.

Nie dawna podróż cesarza po Salcburskiém, po Tyrolu i Vorarlbergu stała w związku z temi dążeniami, z jednéj bowiem strony chciano się niejako odwdzięczyć katolickiéj ludności Tyrolu za to, że jéj posłowie wspierają rząd, z drugiéj zaś zobowiązać sobie jeszcze większą część Niemców, a mniéj wiernych przekonać, że korona bardzo ściśle jest związaną z dążeniami obecnego gabinetu i że oponowanie przeciwko nim nie na wiele się przyda. Najnowsze wypadki w Pradze, a mianowicie zaburzenia ludności czeskiéj skierowane przeciw żywiołowi niemieckiemu mogły także przekonać centralistów, że korona zupełnie aprobuje postępowanie gabinetu. Niemcy bowiem, którzy swą arogancyą narodową wywołali te zaburzenia, jątrząc najszlachetniejsze uczucia patryotyzmu Czechów na każdym

kroku, spodziewali się, że postępki motłochu praskiego odwrócą dynastyą od Czechów, że cesarz powie, iż rzeczy tak daléj iść nie mogą, że hr. Taaffe rozbije o mury Pragi swoje zamysły polityczne. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu centralistów cesarz postąpił tutaj zupełnie w myśl zasad gabinetu; nie przypisywał burdom ulicznym tak wielkiéj wagi, jaką im Niemcy nadać chcieli; ocenił, że znaczna część winy spada na namiestnika, który nie dość był przejęty duchem ery pojednania, aby być bezstronnym wobec Czechów,—i usunął go z urzędu. Nowy namiestnik zaś dostał instrukcyą dzierżenia swéj władzy dla obydwu narodowości sprawiedliwie ale energicznie—co Niemcom nie było do smaku, spodziewali się bowiem nadejścia dla Czechów epoki represyi.

Oto jest stan obecny polityki, jaką zainaugurował pierwszy szczerze autonomiczny gabinet w Austryi, stan jak na teraz zadawalniający. Zachodzi jednak pytanie, czy ta polityka ma na przyszłość szanse powodzenia, czy idea autonomiczna w Austryi nie będzie musiała uledz moralnéj i materyalnéj supremacyi Niemców, a jeżeli nie ulegnie; jakiemi będzie musiała iść drogami, aby z jednéj strony pomagać narodom słowiańskim Austryi do ich naturalnego rozwoju, a z drugiéj nie osłabiać państwa, od którego istnienia poczęści polityczny byt ich zależy. Otóż naszém zdaniem rozwój idei autonomicznéj wszedł obecnie na nader korzystne i jedynie możliwe tory, i jeżeli ludy słowiańskie w Austryi nie zejdą z drogi umiarkowania, to będą mogły dojść do bardzo korzystnych rezultatów. W dziejach walki słowiańszczyzny z germanizmem najsmutniejsze nasuwają się spostrzeżenia: pierwsza zawsze ulegała, germanizm szedł coraz daléj na wschód, wyjątków od téj reguły było nie wiele. Przez jakiś czas Rzeczpospolita polska potrafiła opór stawiać naciskowi germanizmu, wiele miast, wiele kolonij niemieckich zostało spolonizowanych, ale późniejsze klęski narodowe na Pomorzu, w Wielkopolsce, znów się stały powodem utraty odniesionych korzyści i w ostatnich czasach przeważyły szalę na stronę Niemców. Pierwsza reakcya na korzyść Słowian rozpoczęła się z początkiem bieżącego wieku w Czechach i dotąd do nadspodziewanych, ogromnych doszła rezultatów; w ostatnich dziesiątkach lat w Prusiech żywioł polski cokolwiek się otrząsł z gniotącéj przewagi kultury niemieckiéj, w Poznańskiem przynajmniéj lud wiejski przyszedł do świadomości; obecnie zaś dla całego żywiołu słowiańskiego w Austryi zwycięstwo nad niemieckim staje się coraz prawdopodobniejszém. Nie są to bynajmniéj zwycięztwa zaborcze, natchnione duchem germańskiéj drapczywości, ale zwycięztwa restytucyjne, odzyskujące dla Słowian przynajmniéj w części to, co im Niemcy od wieków za-

bierali. Zwrot to w każdym razie niezmiernéj wagi historycznéj, a dla Słowian pocieszający i zachęcający, obala bowiem ów desperacki aksiomat, że w walce z germanizmem Słowiańszczyzna uledz musi...

Przed kilkoma miesiącami zamieściło jedno z poważnych pism niemieckich artykuł pod tytułem *Rückgang des Germanismus in Oesterreich*, a dziennikarstwo bardzo się nim zajęło. W artykule tym z boleścią wykazuje autor, że owoce tysiącoletniéj germanizacyi w prowincyach austryackich zaczynają się psuć, że w takiéj Karyntyi, Krainie i Styryi, gdzie do ostatnich czasów niemczyzna miała wyłączne panowanie, obecnie istnieją słowiańskie szkoły, słowiańskie gazety, słowiańskie książki, i że lud, który dawniéj miał sobie za zaszczyt należéć do wielkiéj rodziny germańskiéj, teraz z dumą powiada, że jest słowiańskim, i wypiera się wszelkiego z Niemcami wspólnictwa. Autor nie zna stosunków innych prowincyj austryackich, ale sądzi, że tam musi być jeszcze gorzéj z niemczyzną. I ma racyą, to mu przyznać musimy, a gdyby przyjechał do Galicyi i zobaczył ten Lwów, który przed 3o laty mówił prawie wyłącznie po niemiecku, a teraz jest miastem polskiém, toby się naocznie przekonał o marności germanizacyjnych nadziei. Z tych innych prowincyi, Polacy okazali najwięcéj żywotności w przetrawieniu, w assymilowaniu żywiołów germańskich. Galicya która bardzo a bardzo była przez germanizm zagrożona, obecnie jest już po za linią niebezpieczeństwa, a sami centraliści wiedeńscy poznali to, i chętniejsi są zawsze z Polakami aniżeli z kim innym do zgody, widzą bowiem, że w Galicyi nie mają racyonalnego interesu. Najtrudniejsza rzecz w Czechach, bo tam Niemców dużo, i to nie Niemców porozrzucanych kępami ale całymi powiatami, tam więc walka potrwa jeszcze bardzo długo, ale sądząc po rezultatach dotychczasowych, walka nie jest bez nadziei powodzenia. Nietrudnym do zupełnego odzyskania jest Szląsk austryjacki, tam idea narodowości wielkie w nowszych czasach robi postępy, a popierana usilnie przez żywioł polski w Galicyi, może się wkrótce wyemancypować od przewagi germańskiéj. Jedyną gwarancyą powodzenia jest ciągła, mrówcza praca, tak na polu ekonomiczném jak narodowém, praca powolna ale stała, bój takiż jaki Niemcy od wieków prowadzili. Szkoła, dbanie o czystość języka, literatura, oszczędność—to są pola międzynarodowéj walki. Tutaj zwycięstwo jest pewne i nie zawisłe od jednéj lub dwóch przegranych bitew. Ludy słowiańskie w Austryi przychodzą do przeświadczenia że tą bronią przedewszystkiém walczyć trzeba, a to pierwsza, najsilniejsza gwarancya, że potrafią opór stawiać wszelkim atakom germanizmu. Dopóki ludy słowiańskie w Austryi i w Prusiech starały się w drodze

rewolucyi, jak w r. 1846 i 1848 upominać o narodowe prawa, dopóty szanse ich powodzenia były bardzo małe, prawie żadne; bo idea narodowości połączona z rewolucyą miała przeciw sobie dynastye, rządy i znaczną większość ludności, która oddając się przemysłowi lub kupiectwu z natury rzeczy jest nieprzyjaciołką wszelkich przewrotów. Odkąd jednak stanowisko rewolucyjne stanowczo przez Polaków zostało porzucone, polonizm zyskał w Austryi nadzwyczaj na sile, stał się uprawnionym elementem w państwie i łatwiéj może z germanizmem podejmować walkę narodową, bo może służyć tak dynastyi jak i rządowi za punkt oparcia. Opierając się na Niemcach centralizując wszystko w duchu niemieckim, wynaradawiając ludy słowiańskie traci Austrya wszelką racyą bytu, pracuje tylko dla państwa wielko-niemieckiego. Zrozumiała to dobrze dynastya Habsburgów i nie zejdzie już z własnéj woli na fałszywe, a słowiańskim narodom, w pierwszym zaś rzędzie Polakom, szkodliwe tory.

Zachodzi jednak pytanie, czy naród niemiecki w Austryi, w połączeniu z Węgrami jako przeciwnikami Słowiańszczyzny nie będzie miał w danych stosunkach tyle jeszcze siły, aby popchnąć dynastyą wbrew jéj woli i chęci na zgubną drogę germanizacyi Austryi. Taka ewentualność, chociaż jak na teraz nie podobna do prawdy, mogłaby przecież nastąpić, ale tylko wskutek winy samychże narodów słowiańskich, gdyby te postępując tak jak czescy *nieprzejednańcy* wymagali takich zdobyczy, jakichby im państwo na razie, bez oburzenia przeciw sobie wszystkich Niemców i Węgrów, przyznać nie mogło. Słowianie w Austryi powinni sobie powiedziéć, że co się dziś nie da osiągnąć, to się osiągnie jutro—z cierpliwością zadawalniać się małemi ale ciągłemi zdobyczami i patrzéć tylko na to, aby z tych zdobyczy nic nieuronić. Takim zdobyczom, jakie się zyskuje wskutek naturalnego ekonomicznego, narodowego i politycznego rozwoju, ani Niemcy ani Węgrzy przeszkodzić nie mogą, bo ten rozwój odbywa się na podstawie i w granicach konstytucyi. Małe zaś zwycięztwa utworzą po latach wielką sumę, która w każdym razie zaważy potężniéj aniżeli dzisiaj na szali międzynarodowych z Niemcami stosunków.

Z tych wszystkich względów wypływa, że w Austryi niemożliwe jest w dzisiejszych stosunkach dłuższe istnienie innego gabinetu, prócz takiego, w którymby poszczególne narodowości widziały gwarancyą spokojnego rozwoju, pod względem narodowym i ekonomicznym. Niemożliwy jest na dłużéj germański centralizm, bo ten sprzeciwia się widokom dynastyi i oburza przeciw sobie wszystkie narodowości prócz niemieckiéj; niemożliwy jest federalizm, bo niektóre narodowości w Austryi jeszcze nie dość się wzmocniły, a nawet nie

dość wyraźnie wyrobiły swój indywidualizm narodowy, aby mogły działać jako równo-uprawnione członki w związku federacyjnym, odpowiada więc istniejącym stosunkom tylko gabinet autonomiczny, sprawiedliwy dla wszystkich narodowości. Takim jest na razie gabinet hr. Taaffego i dla tego według nas ma wszelką racyą bytu. Może sam hr. Taaffe ustąpić, może kto inny przyjść na jego miejsce; polityka jednak rządu powinna, według wszelkich ludzkich kombinacyj na długo pozostać ta sama, gdyż każda inna wywołałaby z jednéj lub z drugiéj strony tarcie, któreby zdrowemu rozwojowi państwa koniecznie szkodzić musiało.

Polacy mają przedewszystkiém interes w utrzymaniu autonomicznego gabinetu, bo nie potrzebując w domu staczać już walk z germanizacyą, mogą dążenia swe skierować ku uzyskaniu słusznego wpływu w państwie i starać się o jego potęgę. Nie mogą téż w dobrze zrozumianym własnym interesie zgadzać się na politykę któraby w czemkolwiek osłabiała monarchią austryacką, gdyż monarchia i dynastya jest im gwarancyą bytu i rozwoju narodowego. Gwarancya ta nie jest zaś chwilową chimerą opartą na przemijających sympatyach, ale wynika z interesu, jaki ma dynastya, aby z nas mieć Polaków, a nie Niemców, tudzież z tego przeświadczenia, że przy rozumném postępowaniu nie potrzebujemy się w Austryi obawiać przewagi kultury niemieckiéj i mogącego ztąd wypływać wynarodowienia.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Lord Mer, król londyńskiego City, odprawia tryumfalny przejazd do Westminsteru, aby tam składać przysięgę—i wraca do siebie na ucztę, podczas któréj, przewodnicy rządów państwa wygłaszają mowy, jako programy przyszłych swych działań, lub wyjaśniają stanowisko kontynentu, zażegnywając burzę możliwych wojen, przed wystraszonemi kupcami.

Lord Mer, król City, wybierany co rok z londyńskiego mieszczaństwa, ma większą władzę w swym obrębie od królowéj, trzymając w ręku szalę sprawiedliwości, administracyą i policyą. Wojsko chcąc przejść przez ulicę City, musi prosić o specyalne pozwolenie burmistrza, on mu wyznacza drogi pochodu i oznacza, jak żołnierze broń nieść powinni. Co więcéj, nawet królowa, zwykle raz na rok robi wjazd do City, prosząc również króla miasta o pozwolenie odwiedzin.

Z jednéj strony dygnitarze państwa w imieniu królowéj, pukają do zamkniętéj umyślnie na chwilę bramy, z drugiéj strony burmistrz w swym królewskim stroju, pyta się: „kto tam jest i czego chce?“ Wtedy odpowiadają mu: „Królowa prosi o pozwolenie wolnego wjazdu.“ Burmistrz daje rozkaz otwarcia bramy, królowa w licznym orszaku dworzan wjeżdża, przyjęta przez pana miasta, oddającego jéj z galanteryą, wprawdzie trochę kupiecką, klucze od bram miasta, tak jakby jéj oddawał klucze od składów swoich, rozumie się tylko dla ich obejrzenia.

Jeżeli przejdzie bill, zmieniający cały Londyn w jedno miasto i władza Lorda Mera przeciągnie się z City na cały obszar londyński, któż wtedy będzie w stanie zabronić królowi City stać się dyktato-

rem Londynu i panem Anglii? Mając pod swemi rozkazami karną armią dziesięciu tysięcy policyantów, kilkadziesiąt batalionów ochotników uzbrojonych i wyćwiczonych, w rezerwie milion w jednem miejscu zgromadzonych ludzi, arsenał największy w świecie, londyński bank w posiadaniu i morze pod stopami.. Burmistrz Londynu mógłby z łatwością zostać prawdziwym królem, gdyby mu czas jednego roku pozwolił na to i gdyby wieloletni kupiec mógł się od razu zmienić w rycerza.

Bywają wypadki, że piwowarzy stają się protektorami, ścinają głowy królom, trzymają w przerażeniu Europę, którą rządzą Mazarini i Ludwik XIV. Bywają wypadki, ale też wypadkom, towarzyszą czasy, czasom ludzie a nad ludźmi panuje opinia, płynąca z ich namiętności, przekonań, wiary i zapału.

Wszędzie ludzie—i cóżby znaczyli bohaterowie bez ludzi, a ludzie bez wielkich wstrząśnień, które targają ich sercami, wypalają mózgi, wstrząsają całém jestestwem, pchając naprzód, póki sił stanie, aż się spełni zadosyćuczynienie idei, która stworzona w umysłach, woła o swe narodzenie w nowéj formie, w czynach, w prawach nowych, w stosunkach, w których mogłaby panować i dowolnie się rozwijać.

Czyżby egzystował Napoleon bez wielkiéj rewolucyi i bez wielkich Davoustów, Massenów, Kleberów i Neyów... Któż tych ludzi wytworzył, jeżeli nie wulkan rewolucyi, co wstrząsając posadami na samém dnie nędzy, wyrzucił ich na powierzchnią rozgorączkowanéj masy społeczeństwa? Kromwell warzyłby piwo do późnéj starości, gdyby nie rewolucya angielska, a czemże-by on sam był, bez swego pułku wiernych?...

Burmistrze nie zapanują nad Anglią, wolą oni dostarczać światu całemu porcelany, papieru i okularów, niż rozdmuchiwać ogień, któryby ich samych naprzód pochłonął... Anglia dziś nie powstanie w imię kształtu rządu, w imię reformy obrządków religijnych. Lud angielski może się jeszcze kiedyś poruszyć, lecz dla kogo i dla czego? Czekajmy, rodzące się nowe idee nie wołają jeszcze o formę, o ciało i rzeczywistość...

Ach jakże ciężko temu ludowi na wolnéj wyspie wzburzyć się! Brak mu poprostu siły skupienia, nie ma ścieśnionych form przymusu, w których siła jego mogłaby znaleść punkt oparcia, aby je następnie zdruzgotać. Wolność w Anglii zabiła wielkie wstrząśnienia, które w naturze i ludzkości wywołują zamknięte granice. Ocean jest jeszcze spokojny, gdy już ścieśnione morza szaleją.

Gdyby też któremu z burmistrzów zachciało się nadużyć swéj władzy, ludność cała przyjęła-by te usiłowania serdecznym śmie-

chem i wybuchem wesołości angielskiéj. Szanownego Lorda ośmieszonoby, policya stałaby w miejscu, a bataliony ochotników poszłyby wypędzić uzurpatora. Lecz jeżeliby który z ambitnych królów zamierzał rozszerzyć swoję władzę, wtedy cały Londyn stanie po stronie swego burmistrza i wtedy biada napastnikom! *Coup d'état* w Anglii niemożliwy, dlatego téż i my z uśmiechem i dobrym humorem Anglików przypatrujmy się średniowiecznemu widowisku, przedstawianemu co rok podczas instalacyi nowego mera.

Zgromadzony lud w liczbie jednego miliona, wierny tradycyi, stanął jak jeden mąż czekając cierpliwie.

Na Fleet-street w jedném z tysiąca otwartych okien, sprawozdawca wasz stoi obok znajomego wam dżentlemena, który jest dziś dumny, surowy i poważny. Od dnia wczorajszego dostrzegłem w jego usposobieniu wielkiéj zmiany; sposępniał, jak gdyby został przygnębiony potężną ideą przyszłéj pozycyi członka parlamentu. Projekt przyjaciół, poparty przezemnie, zmienił się w jego duszy w pragnienie, pragnienie w namiętną żądzę, która sączy swój jad, sprowadzając jak u Makbeta i Hamleta początki moralnego przetrucia. Zaczynam żałować mojéj rady, obudziła ona uśpioną ambicyą, jak czarownice obudziły wróżbami swemi żądzę panowania w Makbecie. Pod jéj wpływem Makbet lunatycznie spełnia zbrodnię po zbrodni, w sercu dżentlemena ogień ambicyi już tli, do którego wierny sługa jego Dżorż dodaje oliwy, a ja ze swéj strony rozszerzam ognisko.

Dżentlemen patrzy na masy ludu i poważnie milczy, lud nie patrzy na dżentlemena, lecz również milczy, gdyż czeka. Policyanci w pewném oddaleniu stoją dumni ze swego stanowiska i władzy nad spokojnym tłumem. Tak, szanowny burmistrzu, gdyby ci przyszła fantazya spóźnić się i nie wyjechać w swéj złoconéj karecie, a zadumany, spokojny ten lud wyrzecze jedno słowo— dosyć!

Dziesięć tysięcy zgromadzonych ludzi to obraz stawu, co kołysząc swe wody lekko porusza trzciną wyrastającą z jego dna. Sto tysięcy—to niespokojne jezioro, milion — to morze. Rozgniewany lud—to wzburzony ocean, każda jednostka jest tylko kroplą.

Z kropel tworzą się fale, biada gdy je wiatr namiętności popycha. Człowiek, jednostka cicha, spokojna, oddana pracy dla życia, życiu dla pracy—milczy i kark schylony ugina. Lud olbrzym. Słyszysz szum oceanu? słyszysz wicher i łomot wzburzonych bałwanów? Czyż to już wszystko... Nie, to zaledwie początek, lud nie spoczywa, chociaż wiatr przycichnie—pójdzie daléj, aż do upojenia i wyczerpania sił.

Istotnie jakiś wiatr złowrogi przemyka się po niedościgłych wzrokiem masach, pochylając je, jak kłosy zboża na wielkich obszarach, jakieś przytłumione głosy dają się słyszéć, jak gdyby w naturze znaki zapowiadające burzę. Lud zaczyna się poruszać, powierzchnia jego drga, wiruje, zwiastując wybuch wulkanu, chwila, a postawi jeden krok naprzód! Burmistrzu nie czekaj, aby lud dał drugi znak niecierpliwości—daléj pójdzie już lawiną!

„Jedzie," słychać w oddali, „jedzie"—przechodzi z ust do ust błyskawicą, po całéj linii odbijając się aż o mury Westminsteru. Lud ciekawością zatrzymany staje, cofa się, czeka, potęgę swoję i siłę chowa w swych głębokościach. Olbrzym staje się dzieckiem śmiejącém się ze złoconéj karety i opasłéj figury burmistrza, przemienionego jak w bajce z kupca w króla, przypatrującego się z wystraszoną miną tłumom. Przeklina pewno swoję dumę wczorajszą, nie mogąc odszukać odwagi, tęskni za swym sklepem założonym okularami, a żałował-by wszystkiego, zacząwszy od wyrzuconych funtów złota, gdyby nie dwie olkrzymie korony osadzone na drzewcach, trzymane przez dwóch aldermenów, siedzących na przodzie karety. One to zdają się przemawiać do niego: „Tyś dzisiaj król, a jutro zostaniesz baronetem, twój wnuk może być lordem! Masz złoto, wysypuj go przez rok garściami, gość u siebie królów i mocarzy świata, wyprawiaj uczty, na których zabłysną bogactwa Anglii i Indyj. Przez rok będziesz królem, a po roku baronetem, miéj nadzieję, dziedzicznym! Zdobyłeś bogactwa, potrzeba ci uroku sławy, stanowiska, wpływów, imienia, któreby łączyło pracę ze znaczeniem godności... Otrzyj pot kroplisty z czoła czerwoną chustką, gronostaje zbyt mocno grzeją... Dlaczego nie miałbyś być baronetem, musisz być baronetem, tylko nie żałuj stu tysięcy funtów, które trzeba będzie wydać przez rok królowania, dla uświetnienia godności naczelnika pierwszego miasta na świecie!"

Już przeszły korporacye z bogatemi chorągwiami, za niemi rycerze zakuci w zbroję i wielki rycerz niosący miecz sprawiedliwości burmistrzowskiéj i giermki na koniach i świta konno i karety starożytne z dygnitarzami. Lud to wszystko widział, rozbawił się, rozśmieszył, zalega całe ulice; przejazd wstrzymany, swobodnie więc poruszać się może.

Uroczystość zabawy ulicznéj rozpoczyna się od lekkich boksów, które stanowią zaczepkę i niespodziankę, te wywołują przyjemne spotkania, zapytania, odpowiedzi i żarty.

Dżentlemeni z warsztatów, mis z fabryk składają przeważnie towarzystwo. Śmiechy napełniają powietrze, wesołość wzrasta, już się gonią, gdy dogonią często całują; pocałunki bywają kradzione, lub zdobywane

siłą; piwo angielskie leje się strumieniami, panowie częstują damy, damy starają się uprzedzać w uprzejmości panów. Nie ma pijanych, lecz w ogólności dobry humor przeplatany dowcipem, czasem boksem, często gonitwą a w końcu czułością przeprosin.

— Myślę o tym ludzie—rzekł do mnie dżentlemen—o tym naszym dzielnym ludzie angielskim, dotąd jeszcze tak poniewieranym.

— Więcéj tylko światła dla niego — odpowiedziałem — a na podstawie wolności, którą ma, pójdzie daléj. Więcéj światła, powtarzam, a zażegna burze społeczne wydobywając się z pod niewoli kapitału, jak się wydobywa z niewoli przeciążenia pracą, zabijającą jego siły i umysł.

— Rozumiem — odparł dżentlemen, bom sam pracował ciężko w młodości, a zniżając głos dodał — los *clerca* w ogóle a przedewszystkiém na City, to los białego murzyna, praca zabijająca, wynagrodzenie nędzne, przytem maltretują, jeżeli nie brutalnie, to przynajmniéj milczeniem obojętności.

— Jakaż jest cena wynagrodzenia waszych robotników w kantorach na City?

— Dwa, do trzech, a najwięcéj pięć funtów tygodniowo—co to za nędza!

— W porównaniu z innemi krajami nawet z całym kontynentem, płaca nie jest tak niską.

— Ach, sir, weź na uwagę drożyznę, koszta edukacyi, stracony czas na naukę, wysokość zaufania, jakie każdy z nich mieć musi — i kolosalne sumy czyli wielkie procenta, jakie ich praca daje!

— A jednak żyć za te pieniądze można.

— Nędznie samemu. Dla moralności, dla tworzenia rodzin, dla spokoju publicznego—płaca tych ludzi powinna być większą. Kto się za nimi ujmuje? kto za nimi przemawia? Nikt, dotąd są wydziedziczeni, wyjęci z pod opieki, zapomniani. Gdy robotnikiem opiekują się wszyscy, rząd, parlament, towarzystwa, filantropia, dobroczynność, najświetniejsi mowcy, lordowie i on sam sobą—to biedny klerk na absolutnéj łasce swego patrona, teroryzowany, poniewierany, ciężko pracuje, smutnie żyje bez poprawy swego losu, bez przyszłości, która zawisła od kaprysu właściciela, naczelnika.

— Dlaczegóż i oni sami nie myślą o sobie—odparłem.

— Ależ myślą i robią, co mogą, lecz cóż z tego? Konkurencya wielka, opieki żadnéj, każda opozycya uważana za bunt... I jak wyzyskiwano tak i wyzyskują ich pracę.

— Sir—odzywam się poważnie—sprawa ta, los tych ludzi, całéj téj warstwy społeczeństwa, umieszczonéj, jakby w pozycyi przechodniéj pomiędzy robotnikiem i rzemieślnikiem—a posiadaczem i boga-

tym, cała ta masa pracowników, którzy dźwigają i sumiennie odrabiają interesa Anglii, ludzi, z którymi żyłeś, których byłeś kolegą i towarzyszem, a tak wielu między nimi szlachetnych i rozumnych—sir powinieneś być ich opiekunem, rzecznikiem i obrońcą!

— Ale jak i gdzie?—zawołał dżentelmen.

— W parlamencie—odrzekłem uroczyście.

Dżentelmen zarumienił się lekko, nożdrza jego rozwarły się, usta otworzył i wciągnął całą piersią powietrze; potarł ręką po czole.

— Sir—rzekł, wyciągając rękę do mnie rozrzewniony,—zapracowany ciężko grosz, zaoszczędzone siły, rozsądek poparty doświadczeniem, poświęciłbym téj sprawie. Tak to byłby mój cel życia i moja specyalność w życiu publiczném.

— Wybornie—zawołałem,—nie pojmuję prac publicznych bez wytkniętego celu; lekceważę tych wszystkich mężów pływających po nieprzejrzanych wodach wielkiéj polityki, zwykle są-to próżniacy, lub spekulanci. Każdy reprezentant narodu, oprócz popierania dążności swego stronnictwa, powinien mieć jeden przedmiot, jednę kwestyą i tę starając się przeprowadzić, pracować nad nią, choćby całe życie.

— O tak, o tak—mówił dżentelmen—to ponaszemu, to po angielsku!

— Mamy kapitał, dodałem—mamy niezależność, swobodę, doświadczenie—potrzeba miejsca do pracy, a zatém do parlamentu!

Dżentlemen spuszcza oczy, a pulsa na skroniach biją mu gwałtownie.

Tymczasem gdy Lord Mayor składa przysięgę na Westminster, zabawa na ulicach przybiera szerokie rozmiary. Damy kupują maleńkie ołowiane sikawki napełnione różaną wodą i te ściskają w spracowanych rączkach, w zamiarze oblewania dżentelmenów cieniutkim prądem perfum: Dżentelmeni odwzajemniają się tą samą bronią. Niespodzianki wywołują głośne śmiechy,—zaczepki, odpowiedzi; uporczywe prześladowania stają się powodem ucieczki jednéj ze stron wojujących. Kto ucieka, bywa goniony; przy złapaniu wywiązuje się lekkie starcie. Atak zmusza do odpowiedzi i odwetu, a ten bywa często gwałtownym do tego stopnia, że aż ołowiana bańka rozmiażdża się od silnego uderzenia o głowę napastnika.

Miss rozbawiły się, rozochociły—co raz głośniéj się śmieją, same już atakują, prześladują, gonitwa staje się powszechną, wesołość ogólną; a wśród tego tłumu, jak pająki, co roztaczają sieci, pracują

pikpokety (1) polując na portmonetki, chustki, a nawet zegarki i łańcuszki zapatrzonych, lub roztargnionych.

— Pikpoket—krzyknął dżentlemen z okna.

— Pikpoket—zawołano na ulicy—gdzie? gdzie?

— Tam, tam, patrzajcie, łapcie! woła wychylony dżentlemen wskazując ręką.

Pikpoket pomknął na prawo, kilku młodych ludzi, z pewnością jego towarzysze, uderzyło na tłum z przeciwnéj strony a popychając go całą siłą wołają: Pikpoket! Pikpoket! Tym sposobem udaremniają pogoń, rozrywają uwagę, pokazując inny cel.

— Tam, tam na prawo—woła dżentelmen.

— Kto i gdzie? zapytuje się z gniewem jeden z szermierzy a pewno pomocnik operatora.

— Ty! odpowiada z okna zirytowany dżentelmen.

— Kłamiesz—krzyknął drugi.

Tłum zaczyna spoglądać na okno, gromadzić się i przypatrywać czekając walki.

— Ja cię nauczę, ty nikczemniku! odpowiada w największéj pasyi dżentelmen.

Na to pierwszy z napastników zamierza się laską, udając że chce ją z całą gwałtownością rzucić na dżentelmena. Mimowolnie cofamy się raptownie od okna,—na ulicy powstaje śmiech, pikpokety znikają w tłumie. Przytomnością uratowali towarzysza; zręcznością obronili siebie.

— Widzisz sir—mówi z goryczą dżentelmen, jak tym tłumem można kierować, jeżeli się ma bezczelność i śmiałość.

— Jeżeli się ma śmiałość, dobre zamiary i szlachetny cel, można go zaprowadzić daleko—odpowiedziałem.

— Nie zawsze, nie zawsze! Jakże często blaga, zuchwalstwo, buta, pobijają najszlachetniejsze zamiary,—mówił smutno przyszły statysta.

— W takim razie lepiéj lud wychowujcie,—mniéj klownów i klownizmu, mniéj punszu i poliszynelstwa, a więcéj artystycznéj prawdy i uczucia rzetelnego.

Dżentelmen spojrzał na mnie zdziwionemi oczyma.

— Przeciwko klownom—odpowiedział—przeciw naszym klownom sir powstajesz, a czyż Anglik bez nich się obejdzie?

— Gdy ich zabraknie, może być wynagrodzony wielkim Szekspirem—odrzekłem.

---

(1) Pikpoket—złodziéj kieszonkowy.

Dżentelmen jako przyszły prawodawca zadumał się głęboko...

Zapalają lampy, wieczór pogodny, ciepły—obok lamp płoną cyfry i transparenta wystawione przez zwolenników księcia Walii i zagraniczne ambasady, na uczczenie dnia jego urodzin. Ochota ludu nie tylko nie ustaje, lecz z każdą chwilą podnosi się. Zapomniano o burmistrzowskiéj karecie, dżig (1) co raz częstszy na ulicy, przytupywania forsowne, serdeczne wykrzykniki zmieniają się w namiętne, a młode pracownice bez jutra, rozswywolone jak młode kotki.

II.

Opuszczamy nasze okno na Fleet-Sreet, schodzimy na ulicę, towarzysząc ludowi w jego zabawie. Dżentelmen przechadza się jak dygnitarz państwa, opiekun ludu, trybun, ojciec narodu. Pewna dobrotliwa protekcya i łagodna pobłażliwość malowały się na jego twarzy, uśmiechał się i kiwał głową. Dżentelmen nie zrósł się jeszcze z kierunkiem myśli, które tak gwałtownie zwróciły jego uwagę na nowy cel; jeszcze jest sztywny, zamknięty, jakby ogłuszony.

Co do mnie, byłem w wybornym humorze. Lubię namiętnie wszystko, co się nazywa życiem, a więc walką. Walka na każdém polu to życie, a życie wszędzie i zawsze, to walka. Dowodem zadumany dżentelmen, w którego umyśle toczy się wewnętrzny bój, i miss, u których życie tryska z oczu, świeci płomieniem na twarzy, wyrywa się okrzykiem radości z uśmiechniętych ust.

— A to się bawią—rzekł do nas ciemnéj twarzy, dobroduszny mężczyzna, prowadząc pod ramię młodą jeszcze mistres, bojaźliwie pociągającą go ku sobie.

— Ależ moja droga—mówi towarzysz do swéj małżonki, czegóż mnie tak ciągniesz, jakbyś mi zabraniała mówić, przecież dziś wszyscy Anglicy powinni być jak dobrzy znajomi i przyjaciele.

— Każda uroczystość narodowa jest uroczystością braterstwa,—zawołałem, gdy tymczasem mistress zażenowana rumieniła się.

— Brawo! podchwycił dżentlemen—odzyskując równowagę humoru, każde święto u Anglików powinno być i może być świętem wolności. Mów sir, co ci się podoba i bądźmy przyjaciółmi, a nie pozwalaj aby mistres choć młoda i ładna tobą rządziła.

---

(1) Dżig taniec ludowy.

— Ja nie rządzę moim mężem—odpowiada nieśmiało mistres—lecz przykro mi, gdy on zbytecznie szafuje swoją dobrocią, wszystkich rad zaczepia·i dla wszystkich jest wylany.

— Bo nie jest ponurym prezbiteryańskim Szkotem, ale pewnie Anglikiem.

— Zanadto jest szczerym i otwartym i to mu w życiu i stosunkach wiele szkodzi.

— A mimo to jest zadowolony z siebie, uśmiechnięty i czerstwo wygląda, a pani jesteś rumianą i dobrze ubraną.

Gdy to mówi dżentelmen, mistres się wdzięcznie uśmiecha.

— Na niczem jéj nie zbywa—dodaje mąż,—człowiek cały dzień pracuje, aby utrzymać dom, wyżywić i jako tako kobiecinkę i dzieci ubrać.

— Czem się sir zajmujesz?—zapytałem.

— Jestem stolarzem.

— Pracujesz u siebie?

— Bardzo rzadko, chodzę do jednego z dużych zakładów.

— Ile godzin dziennie pracujecie?

— Z uderzeniem godziny 6 rano rozpoczynamy, zostając w warsztacie do południa. Czas od dwunastéj do 1-éj przeznaczony na obiad—i znowu praca aż do 5-éj po południu.

— Zatém pracujecie dziesięć godzin.

— Zwyczajnie; za godzinę zapłata wynosi 10 penów, co daje dziennie 8 szylingów i trzy peny—a na tydzień dwa i pół funta. W razie zaś pilnéj roboty, jeżeli nas zmuszają do pracy w nadobowiązkowych godzinach, otrzymujemy podwójną za ten czas zapłatę.

— A zatém sir jesteś w domu już po piątéj.

— O w pół do szóstéj piję herbatę, bawię się z dziećmi, czytam gazetę, którą sobie za pena po drodze kupuję, a następnie wychodzę z żoną i starszą córką na przechadzkę lub sam do klubu.

— A cóż w klubie robicie?

— Jak zwykle pijemy piwo, siedzimy, rozmawiamy, a najczęściéj śpiewamy chórem. Jeden z nas najtęższy przewodzi w śpiewie, a my za nim. Rozmawiamy często o naszych sprawach robotniczych, o wyborach do parlamentu, do rad szkolnych...

— Sir jesteś wyborcą? przerywa dżentelmen.

— Już po raz drugi, gdyż mam od ośmiu lat dom.

Dżentelmen otwiera drzwi publikhauzu, obok którego właśnie przechodziliśmy, prosząc damę, jéj męża i mnie do *private-room*, czyli miejsca przeznaczonego dla dżentelmenów. Trzeba bowiem wiedzieć, że każdy szynk ma przynajmniéj trzy wejścia do jednéj sali

w której niskie przegródki oddzielają szczelnie jednych przychodniów od drugich, grupując towarzystwo na trzy odrębne stany, a zgromadzając wspólnie przed jednym stołem bufetu. Największa przegroda przeznaczona dla ludu, przybranego w czapki, grube buty i kurty; druga kategorya stanowi ludzi w kapeluszach zwykle okrągłych i w niezbyt modném odzieniu, a trzecia dla dżentelmenów w cylindrach, paltotach,—rękawiczki są bardzo dobrze widziane. Podział dogodny dla wszystkich, każdy z przechodniów znajduje swoje towarzystwo, jest mu więc dobrze i swobodnie.

Panią majstrową obdarzono kieliszkiem wina, a my mężczyzni zaczęliśmy popijać podwójny staut, który również podwójnie działa: wzmacnia i jednocześnie rozwesela.

— No, szanowny wyborco, komu dałeś swój głos przy ostatnich wyborach?—pyta dżentelmen trącając się z nami i z damą szklanką nalanego piwa.

— Ja jestem whig od urodzenia, a jednak głosowałem na torysów—odpowiada wyborca.

— Whig głosował na torysów! co słyszę—rzekł poważnie przyszły kandydat.

— Tak sir, głosowałem, bo już mi się whigowie sprzykrzyli. Zawsze po nich spodziewamy się wielkich rzeczy, a oni nam dają okruszyny, a zresztą nic nie robią. Nie pomagali Francuzom w ostatniéj wojnie a w kraju nie ma nic nowego.

— Ale czyż można wszystko od razu zrobić; bo wy zaraz w jednym roku chcecie tak wielkiego skoku, jaki zaledwo w lat pięćdziesiąt jest możliwym, tłómaczył dżentelmen, jak gdyby już był member of Parliament.

— Najlepiéj podług mnie sir, jednych stawiać przeciwko drugim, raz tych, drugi raz tamtych, i tak raz-po-raz, co wybory zmieniać whigów na torysów, a torysów na whigów.

— A to dlaczego?

— Każde z tych stronnictw, przez swych przewodników przed wyborcami, obiecuje narodowi wielkie ulepszenia i kolosalne reformy. I gdy przyjdą do władzy, przypuszczam, whigi, obdzierają torysów na rzecz narodu; torysi zaś kosztem whigów, to jest bogatego mieszczaństwa, robią ofiary dla pracujących, dla ogółu. Np. zniesienie cła od herbaty i cukru, a podniesienie go w rzeczach zbytkowych. Whigi i torysi każde z tych dwóch stronnictw zosobna, ma coś do zaofiarowania i coś użytecznego do przeprowadzenia, a zatém, mojém zdaniem, najlepiéj jest, gdy jedno po drugiém następuje. Każde stronnictwo przy władzy zbyt długo zostające, opuszcza się, zaniedbuje, lekceważy swe stanowisko, jak stary

sługa. Często zaś zmieniane, jest zawsze grzeczne, usłużne, pracowite, a przedewszystkiém trzyma się swego programu, nie nadużywa władzy i nie forsuje zbytecznie w jednym kierunku.

Dżentlemen słuchał ze zdziwieniem tak wytrawnych zdań rzemieślnika angielskiego, spokorniał, spuścił z tonu, zmalał w swém przekonaniu i z łagodną miną zapytał:

— Zkąd sir nabrałeś tych opinij, które nie są do pogardzenia?

— A gdzieżby jeżeli nie w klubie, a przytém czyta się i gazety od piętnastu lat codzień, a potém można także pracować w warsztacie i myśléć. W klubie mamy *speakerów* wybornych, bo to i dowcipni i weseli i dobre głowy.

— Cóż to za jedni?

— Prawie wszyscy stolarze, chociaż są i z innych rzemiosł. My nie rozumiemy się na sprawach kontynentu, ale zato swoje troszkę znamy.

Podczas rozpraw politycznych, starałem się rozerwać mistres, bawiąc ją rozmową.

— Pani przeważnie czas swój przepędzasz w domu?

— Od trzech lat, sir, to jest od chwili, kiedy Bóg obdarzył mnie drugiém dziecięciem.

— A przed tym darem niebios?—zapytałem.

— Małą córeczkę zostawiałam u lokatorki na pierwszém piętrze, za co sobie odtrącała półtora szylinga tygodniowo z komornego, a sama chodziłam pracować do fabryki.

— Masz pani zatém dom?

— Już od ośmiu lat, to jest od chwili mego zamążpójścia, na dole mieszkamy, a dwa pokoje na pierwszém piętrze i dwa na górze wynajmujemy.

— I jak pani mogłaś wszystkiemu podołać chodząc do fabryki?

— Wstawałam razem z mężem, a robota w fabryce zaczyna się dla kobiét dopiéro o dziewiątéj rano. Miałam zatém przeszło trzy godziny czasu na zrobienie porządku i przyrządzenie herbaty naszym lokatorom.

Idąc do fabryki zabierałam z sobą drugie śniadanie, mąż w południe przychodził do domu i razem z małą jedli obiad, który sam prędko przyrządzał. Czyż to trudno kawałek mięsa usmażyć i przynieść piwa?

— Dlaczegożeście nie jadali razem?

— Bo u nas porządek godzin jest zupełnie różny jak u mężczyzn.

— Widoczna różnica jest już w tém, że kobiety mają więcéj czasu rano.

— Lecz za to ranną pracę kończymy o pierwszéj, wracamy do roboty o drugiéj, i już bez przerwy, oprócz piętnastu minut na herbatę o piątéj, musimy pracować do siódméj wieczór.

Otwierają się środkowe drzwi publikhauzu i do odgrodzenia przeznaczonego dla kapeluszy okrągłych, cofając się i zasłaniając rękami, wtacza się Dżorż, a za nim mis z podwiniętemi rękawami, z zaciśniętemi w pięście rączkami, postępuje krok za krokiem, częstując boksami uśmiechniętego chłopca. Opór napastowanego słaby, przysunął się do ściany przegrody i starał się tylko odbijać pchnięcia nie odpowiadając na nie.

Dżentelmen porozumiał się ze inną wzrokiem i przysunął się do przegrody.

Atakująca dama wyrzucając niewdzięczność i niewierność ofierze swego gniewu, nie przestawała bić kochanka, razy jednak były słabe, bo ręka mała, a ich właścicielka młodziutka.

— *Hear*, *hear*,—wołają zgromadzeni, robiąc, zwyczajem angielskim, miejsce dla walczących, bez najmniejszéj myśli interwencyi. Zniecierpliwiona mis, czując, że jéj pchnięcia nie wywierają odpowiedniego skutku, zamierza się lewą ręką do boku, a prawą wycina policzek, nieprzygotowanemu przeciwnikowi. Dżorż obrażony uderzeniem w twarz zrywa się, lecz w téj chwili dżentlemeńska ręka przechiliwszy się przez zagrodę, chwyta go za kołnierz.

Dżorż usiłuje się wyrwać ze szponów gwałtownemi ruchy, przy ogólném oburzeniu, za tak zuchwałą śmiałość napaści w chwili walki. Już gotowały się ręce zawijaniem rękawów do udzielenia pomocy Dżorżowi, gdy ten zdołał się wyrwać, odwrócić i zobaczyć dżentlemena.

— A ty, kanalio! walczysz z kobiétą i śmiesz jeszcze napadać— krzyknął dżentlemen.

Mis zaczyna płakać z żalu i ze złości. Dżorż nie traci przytomności, podejmuje w górę kapelusz i z patosem przemawia.

— Niech żyje *member of Parliament* Panowie! Oto wasz kandydat, którego musimy przeforsować. Niechaj tam broni praw kobiét. Tu Dżorż rzuca się nagle i całuje płaczącą mis.

— Panowie—mówi daléj zapalając się—jeżeli mój pan, a dziś kandydat, przejdzie do parlamentu przy mającym nastąpić wyborze, przysięgam wam, że obecna tu mis Nele będzie mistres, Dżorż Pyms to jest moją żoną. Tak zdecydowane i skontraktowane z moim panem.

— Ja nie chcę być twoją żoną, bo mnie zdradzasz, oszukujesz i kłamiesz. Idź sobie do Lucy a mnie nie zwódź i nie męcz—odpowiada płacząc Nele.

— Obywatele!—przerywa Dżorż—miss jest zazdrosna jak każda Angielka, i dlatego ją kocham jak prawy Anglik, a w dniu, w którym mój pan będzie składał przysięgę w parlamencie, Nele będzie jechać w białéj sukni ze swoim mężem w dorożce z kościoła do domu.

— Ja dam głos twemu kandydatowi—odzywa się podchodząc do Dżorża jeden z obecnych; ale jeżeli to ożenienie jest reklamą albo humbugiem, wtedy strzeż się!

Dżorż wysłuchawszy spokojnie, mówi daléj donośnym głosem:

— Przyłączam do tysiąca pozyskanych, które już posiadamy i ten szanowny głos, sądząc, że on nie jest ostatnim w tém towarzystwie. Na uczczenie nowéj znajomości, a wcale nie za pozyskanie kreski;—proszę słuchać! Ja głosy zdobywam przekonaniem a nie piwem, i żaden szpieg przeciwnéj partyi, nie złapie mnie na *bribery*, czyli inaczéj na kupowaniu głosów, proszę o cały pot *Pall-ale.*

— A ja—zawołał pokonany sprytem Dżorża dżentlemen—jeszcze dokładam dwa *poty* na zgodę tego urwisa z młodą miss, zaręczając, że w dniu mego wstąpienia do parlamentu odbędzie się jego ślub, na który jako świadków zapraszam obecnych.

Po tych wyrazach dżentlemen staje się od razu popularnym. Dżorż całuje w czoło Nelę, która udobruchana już się nie opiera. Zgromadzeni w przegrodzie podchodzą do dżentlemena, rozmawiając z nim poufale jak wyborcy z kandydatem.

— Czy masz sir na myśli postawić jaki nowy bil w parlamencie?—zainterpelował jeden z nich nowego kandydata.

Z tak szczęśliwego zapytania, dżentlemen postanowił skorzystać. Staje na stołku, a o ścianę przegrody opiera się łokciami, tym sposobem formuje się wyborna trybuna, z któréj głos zabiera kandydat.

— Tak szanowni wyborcy, mam projekt nowego billu.

— *Hear! hear!* co to za wymowa!—zawołał Dżorż.

— Dżorż nie przeszkadzaj mi, nie przerywaj toku myśli — woła w gniewie dżentlemen. — Największą potęgę narodu stanowi zdrowie jego członków, czyli pojedyńczych Anglików, takich jak my i takich jak wy. Zdrowie i siłę daje zdrowy pokarm, a tym jest mięso. Otóż na mięsie jesteście haniebnie okradani, obywatele Londynu! Mówię i powtarzam: na mięsie!

Sensacya w towarzystwie, które z każdą chwilą wzrasta nowemi przybyszami.

— Anglicy!—ciągnie daléj kandydat—siła narodu i zdrowie wasze, jest na łasce małych rzeźników lub masarzy. Ten funt mięsa,

który na targu londyńskim kupują od pięciu do sześciu penów, sprzedają wam za dziesięć penów lub szylinga! Ubożą naród pożerając jego siły! Społeczeństwo wymaga od was pracy cięższéj i wytrwałéj, wynagradzając za nią zapłatą wystarczającą zaledwo na wyżywienie, a pozwala was okradać na jedynym pokarmie, który daje siłę. Cóż korona na to? Jak zawsze śpi i czeka, co mówi parlament?—a parlament nie mówi nic...

Głośny śmiech przerwał na chwilę mowę dżentlemena, lecz był zarazem podmuchem do rozpalenia płomienia werwy jego wymowy.

— Korona śpi, parlament nic nie robi; za mała to kwestya dla niego, woli on czas marnować na gadaninie o kościele irlandzkim. Lecz my jesteśmy i nie śpimy i gadamy i mamy prawo wybierać i zbierać się na mityngi i mówić tak, że aż od naszego głosu szyby w ministeryach pękają!

Ogólne *hear*, *hear* i wielkie brawo. Dżorż rozlewa piwo w blaszane kubki, częstując niemi słuchaczów. Nele udobruchana pije piwo i uśmiecha się do Dżorża.

— I ja z méj strony oświadczam wam i mogę dowieść, że wszyscy rzeźnicy są to skończone łotry—oświadczył potężnym głosem jeden ze słuchaczy. Ileż razy oni mnie oszukali i okradli? Mam ja z nimi stosunki, bo to ja, a nie kto inny sprzedaję im barany, które wypasam wydzierżawiając łąki od królowéj w parkach.

— Cicho, cicho, niech mówi kandydat — odezwały się głosy z tłumu.

— Należy zatém zmusić parlament—ciągnął daléj dżentlemen, aby wydał prawo, nakazujące rządowi wziąć pod nadzór sprzedaż mięsa.

— Anglicy, słyszycie! To zamach na wolność, na handel, na konkurencyą, na przemysł, zamach na wasze najdroższe prawa, osobistéj wolności i stosunków rodzinnego życia!

Temi wyrazami przerwał jakiś inny dżentlemen w cylindrze na głowie, stojąc w téj saméj co i nasz kandydat pozycyi na przeciwnéj stronie drugiéj przegrody. Towarzysz mój zamilkł, całe towarzystwo zwróciło się ku nowemu mówcy.

— Wyborcy! nieznani ludzie chcą was podejść złudnemi obietnicami, przyrzekając, że w waszych żołądkach, za tę samę cenę, zamiast jednego spoczywać będą dwa funty mięsa. Rozbudzają w was łakomstwo i obżarstwo, nie dając możności zaspokojenia go i mielibyście wierzyć i dać się oszukiwać?

Dżentlemenowi krew uderzyła do głowy, poczerwieniał cały i już miał wybuchnąć, gdy w tém interpeluje przeciwnika Dżorż, pytając się go naiwnie.

— Czy sir dużo dziennie zjadasz kartofli?

— Dlaczego się o to pytasz, mój przyjacielu?

— Bo widać z twéj wymowy i rozumu, że się samemi kartoflami żywisz.

Homeryczny śmiech zgromadzonych zagłuszył odpowiedź zaczepionego.

Dżentlemen pochylając się ku mnie szepnął:

— Wygrana! Dżorż nas wyratował! I znowu podniósł rękę do góry prosząc o głos, lecz zaledwo zaczęło się uspakajać, przeciwnik zawołał:

— Czy ja lubię kartofle, lub nie, to moja rzecz, lecz nie lubię kupować głosów i nie popełniam *bribery*.

— Wyborcy z East Middlesex słyszycie? Spotwarzają was dowodząc, że za szklankę piwa sprzedajecie swoje przekonania—wołał Dżorż.

Przeciwnik znikł za przegrodą.

— Kochani słuchacze!—rzekł słodko, uspokojony po téj przerwie nasz dżentlemen — kwestya nie wyczerpana. Gdy rząd będzie wam sprzedawał swoje mięso, czyż przez to zdusi wolność, lub zamknie konkurencyą? Ci co nie będą chcieli kupować za sześć lub siedm pensów funta mięsa w rządowych halach, mogą nabywać za szylinga u prywatnych kramarzy. Dżentlemen z przeciwnéj strony, domyślam się, jest synem rzeźnika i dlatego tylko jada kartofle, aby zaoszczędzić ojcu jak najwięcéj mięsa na sprzedaż.

Głośny śmiech przerwał mowę.

— Szanowni wyborcy, uważacie, przez jaki będziecie reprezentowani dowcip i rozum—odezwał się poważnie Dżorż.

— Jeszcze nie wszystko — powtórnie zabrał uroczyście głos dżentlemen. Zawiązuje się *society* jako spółka handlowa do sprowadzania okrętami z La-Plata żywych wołów na rzeź, dla całéj Anglii, w nadziei, że będziemy mogli sprzedawać funt mięsa od czterech do pięciu pensów. Wyborcy z Middlesex, mam zaszczyt być jednym z członków założycieli tego towarzystwa i w krótkim czasie nie będziecie mieli potrzeby, jak Irlandczycy, lub synowie rzeźników żywić się kartoflami. Muszkuły wasze będą twarde jako stal a umysł będzie trzeźwy i jasny.

Dżentlemen zdejmuje kapelusz i kłania się wyborcom, wyborcy podnoszą blaszane kubki w górę, wołają *hear* i biją brawo.

— I wy wierzycie w takie *chit-chat* (gadaninę) — zawołał nagle oponent, wychylony z za drugiéj przegródki i wy wierzycie w podobny humbug; a to i ja, jeżeli będę chciał wejść do parlamentu, założę spółkę do sprowadzania osłów z Azyi.

— Nie rób sir tego—odezwał się handlarz baranami—potrzeba długiego czasu, aby osły azyatyckie przyzwyczaiły się jeść kartofle, jak je spożywają swojskie.

Dowcipne wyrażenie obcego, zdecydowało stanowczo wygraną. Koncepta na ten temat posypały się obficie, pokonany adwersarz zamilkł, i zdaje się, wyszedł; dżentlemen przez pośrednictwo Dżorża rozdawał swoje karty wizytowe wyborcom na tak niespodziewanie zaimprowizowaném posiedzeniu.

Stolarz i jego żona z wielkiém szacunkiem spoglądali na kandydata *member of Parliament*. Dama nie śmiała siedzieć, a poczciwy rzemieślnik zbliżając się do nas mówił:

— Bądź sir spokojny, będziesz miał mój krzyż (1), bo i ja należę do dzielnicy East Middlesex, a jeżeli przyjdziesz do naszego klubu, pokażesz się, przemówisz—ufam, że potrafisz sobie zjednać wszystkich, a znaleść możesz między nami i dzielnych pomocników.

(c. d. n.) *Sewer.*

---

(1) Głosujący w dniu wyborów nazwisko swego kandydata na kartkach wyborczych oznaczają krzyżami.

O różnorodności pokładów geologicznych

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Wszyscy mówimy, iż kraj swój kochamy,
Lecz gdzież ta miłość?—kiedy go nie znamy.

Królestwo Polskie pod wielu względami godném jest uwagi uczonych. Historyk, etnograf i archeolog znajdzie tu bogaty materyał do swoich studij naukowych, ale nierównie bogatszym przedstawia się ów materyał geologowi. Prowadzone poszukiwania, podczas feryj w ciągu lat dziesięciu, dały mi możność sprawdzenia faktu, iż ta część Polski odznacza się niezwykłą różnorodnością pokładów geologicznych. Na ten właśnie przedmiot chcę zwrócić czytelniku twoję uwagę, ale w tym tylko razie, jeśli będziesz podzielał ze mną zdanie, że grzechem jest być cudzoziemcem we własnym kraju. Wtedy bowiem może nie cofniesz się od przeczytania tych kilku kart, poświęconych ziemioznawstwu krajowemu. Kogo zajmują dzieje swego narodu, temu nie powinny być także obojętnemi i dzieje stopniowego kształtowania się cząstki ziemi, którą nazywa ojczystą— i sprawiedliwie, bo się na niéj urodził, jéj przyrodzonemi zasobami żyje i w niéj szczątki jego kiedyś ukrytemi zostaną. Nie zapominaj téż czytelniku, że w téj jeszcze ziemi ojczystéj ukrywają się nigdy nie wysychające źródła twego szczęścia i bogactwa, jeśli ją tylko dobrze poznałeś i kochać umiesz.—

Podobnie jak dzieje narodów, historya rozwoju ziemi często posiada także swój odrębny charakter, który się wyraża w oddzielnych pokładach geologicznych. Królestwo Polskie jest krajem przeważnie płaskim, przez co uprawa roli jest nie trudną. Południowa wszakże część, a mianowicie gubernie: Piotrkowska, Kielecka, Radomska i Lubelska stanowią wyjątek; ich powierzchnia jest pagórko-

watą, a do najwyższych wyniesień należą szczyty gór Świętokrzyzkich: Łysicy i Łyséj góry, z których pierwszy, według pomiarów sztabu generalnego, wznosi się na 2.006, ostatni zaś na 1.908 stóp nad poziom morza.

Prawie całą przestrzeń kraju pokrywają napływy, tworzące ziemię orną. Nieliczne stosunkowo w tym względzie wyjątki, tj. nagie skały czyli obnażenia, widzieć się tylko dają w południowych guberniach Królestwa. Napływy składają się z czystych piasków, z piasków zmięszanych z gliną piaszczystą lub innemi gatunkami gliny, z czystych glin, z glin wapienno-piaszczystych, z marglów i z czarnoziemu.

Czyste piaski, tworzące, jak wiadomo, nieurodzajną ziemię, występują wprawdzie w bardzo wielu miejscach, ale za to niewielkiemi kawałkami; największą ich przestrzeń znajdujemy tylko pod Olkuszem.

Piaski, zmięszane z różnemi gatunkami gliny, rozpościerają się już na wiele znaczniejszych przestrzeniach, tworząc lekkie, staranniejszego obrobienia wymagające grunta; spotykamy je w różnych miejscach całego kraju.

Czyste gliny zalegają równie znaczne przestrzenie i tak samo jak poprzednie grunta znajdują się we wszystkich guberniach; grunta gliniaste tworzą urodzajną, ale ciężką dla uprawy mechanicznéj ziemię rodzajną.

Natomiast *gliny, zawierające domieszkę piasku i wapna* czyli *wapienno-piaszczyste*, tworzą bardzo urodzajną i lekką do uprawy rolę. Temi to urodzajnemi gruntami, warunkującemi największą produkcyą pszenicy w tutejszym kraju, odznaczają się niektóre południowe powiaty, jak Miechowski i Stopnicki w gub. Kieleckiéj. Sandomierski i Opatowski—w Radomskiéj, Nowoaleksandryjski, Lubelski, część Janowskiego, Krasnostawski i Tomaszowski—w Lubelskiéj.

Grunta marglowate, powstałe z tak zwanych margli kredowych (opoki), występują tylko w południowéj części kraju: w powiecie Jędrzejowskim, w wielu miejscach powiatu Miechowskiego i Stopnickiego, po obu brzegach Wisły między Zawichostem i Puławami.

Nakonice *czarnoziem*, nie ustępujący w niczém co do swojéj rodzajności glinom wapienno-piaszczystym i gruntom marglowatym, rozpościera się na największą przestrzeń w powiecie Hrubieszowskim i powstał on tam na miejscu. Spotykamy go jeszcze, ale już w niewielkich kawałkach, jako napływ, na południe od Kowna i na południo-wschód od Maryampola w gub. Suwalskiéj, na zachód od Kolna—w Łomżyńskiéj, pod Radziejowem—w Warszawskiéj, między

rzekami Nerem i Wartą—w Kaliskiéj; nadto tworzy on także wązki pas, który się ciągnie wzdłuż koryta Wisły, a mianowicie: na jéj brzegu lewym—od Puław do ujścia rzeki Pilicy, na prawym od ujścia rzeki Wilgi do Karczewa, i znowu na lewym—około miasta Góry Kalwaryi, zkąd idzie ku okolicy wsi Willanowa pod Warszawą.

Powyżéj opisane napływy, tworzące powierzchnię tutejszego kraju, geologowie rozdzielają na starsze (diluwialne) i nowsze (aluwialne). Napływy starsze po większéj części zawierają jeszcze, większe lub mniejsze zaokrąglone bryły skał finlandzkich i szwedzkich przyniesione przez lodniki, czyli tak zwane głazy narzutowe (gnejs, granit, dyoryt, łupek hornblendowy, porfir felzytowy, kwarcyt itd.). Wspomniane głazy znajdują się na przestrzeni, któréj granica południowa, według Puscha, idzie mniéj więcéj od Częstochowy na Przedbórz, u stoku północnego gór Kieleckich, nad brzegiem rzeki Kamiony, przez Wisłę, Lublin i Lubartów i wchodzi w część południową gub. Grodzieńskiéj. W stronach od powyższéj granicy na północ położonych, ilość głazów narzutowych staje się coraz większą. Jednakże granica ta za ścisłą uważana być nie może, albowiem glazy narzutowe dostrzegałem pod Janowem w gub. Lubelskiéj, w miejscowości zatém o wiele więcéj jak Lublin na południe posuniętéj. W ogóle napływy w Królestwie należą do utworów bardzo niedokładnie jeszcze zbadanych, nie tylko pod względem geologicznym, ale i chemicznym. Nieznajomość składu chemicznego znakomitéj większości napływów niezaprzeczenie bardzo utrudniać musi rolnikowi racyonalną pracę około ziemi.

Skreśliwszy obraz różnorodnéj powierzchni kraju, wypada mi teraz zwrócić uwagę na te utwory, które się pod tąż powierzchnią ukrywają lub z pod niej wynurzają. Zobaczymy niżéj, iż rzeczone utwory są bezporównania różnorodniejsze niż same napływy.

Im więcéj rozszerza się zakres badań geologicznych, tém bardziéj utrwala się przekonanie, że powstawanie pokładów ziemi, od chwili kiedy się one tworzyć zaczęły, odbywało się i odbywa bezustannie, i że życie organiczne, od czasu pojawienia się go na kuli ziemskiéj, nie doznało również żadnéj przerwy. Następnie zauważano, iż w warstwach jednocześnie utworzonych, znajdują się szczątki jednakowych jestestw organicznych. Prawda ta jest prawie bezwzględną dla warstw starszych, chociaż za taką ona uważaną być nie może dla warstw nowszych, powstałych dopiéro wówczas, kiedy już różnice klimatyczne były coraz widoczniejsze. Niezależnie jednak od tego, szczątki jestestw organicznych stały się dla geologów podstawą, na któréj przeważnie opierają swoje wywody o względnym wieku warstw w różnych krajach. Ponieważ każdą rzecz, jaką

człowiek umié odróżniać, potrzebuje i nazwać, więc ztąd powstały rozmaite nazwiska pokładów i okresów w których się one tworzyły. Pokłady, zawierające skamieniałe charakterystyczne szczątki organiczne, otrzymały nazwę *formacyj geologicznych*. Nazwiska tych formacyj mają rozmaite pochodzenie: najczęściéj są wzięte od miejscowości, w któréj najprzód jakaś formacya została zbadaną, np. permska; czasami od charakteryzujących ją skał, np. węglowa, krédowa; czasami od zagrzebanych w niéj szczątków organicznych, np. formacya wapienia muszlowego. Powstała ztąd nomenklatura jest zrozumiałą tylko dla specyalistów, a nic nie mówiąca dla tych, którzy nie zapoznali się bliżéj z formacyami geologicznemi. Nie mam zamiaru wnikać w szczegóły téj nomenklatury, ale trzymając się ściśle założonego przedmiotu przedstawię teraz, jakie mianowicie z tych formacyj w kraju tutejszym występują.

Wszystkie doliny, pagórki i większe wyniesienia w Królestwie Polskiém składają się z utworów mineralnych, osadzonych przez wody; wyjątek stanowi tylko jedna miejscowość, znajdująca się w powiecie Będzińskim na wschód od Gołonoga, tuż przy saméj drodze żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, gdzie na piaskach leżą porozrzucane większe i mniejsze ostre odłamki skały ogniowéj, tak zwanego porfiru felzytowego, widocznie wynurzające się z pod ziemi. Całą zatém przestrzeń kraju zalegają tylko formacye osadowe. Badania Puscha, następnie Zejsznera i innych uczonych pokazały, iż formacye te poczynając od najstarszych są następujące: syluryczna, dewońska, węglowa i permska; tryjasowa, jurajska i krédowa; oligoceniczna i mioceniczna. Z liczby obecnie odróżnianych brakuje tylko czterech: laurentyjńskiéj, huronskiéj, eocenicznéj i pliocenicznéj. Widzimy więc, iż budowa geologiczna Królestwa posiada charakter bardzo różnorodny, skoro do składu jego gruntu weszły utwory mineralne, przedstawiające prawie wszystkie okresy rozwoju ziemi.

Formacya syluryczna była dostrzeżona po raz piérwszy w roku 1866 przez Wład. Zaborskiego w okolicach między Opatowem a Sandomierzem. Odkrycie to dało Zejsznerowi powód do bliższego poznania w roku następnym rzeczonych okolic, gdzie w Kleczanowie, wsi prawie o 2 mile na północo-zachód od Sandomierza położonéj natrafił na obnażenia skał sylurycznych. Drugim punktem, w którym ukazują się również obnażenia formacyi sylurycznéj, dostrzeżone w tymże samym roku przez Zejsznera, jest mała wioska Zbrza, położona w powiecie Jędrzejowskim. W obu tych miejscowościach obnażenia są bardzo nieznaczne i niewielkie, czyli pojawiają się tylko ślady formacyi sylurycznéj.

Formacya dewońska, złożona z wapieni, kwarcytów i piaskowców, rozpościera się w trzech guberniach, w powiatach: Będzińskim, Kieleckim, Opatowskim i Sandomierskim. W gub. Kieleckiéj, były odkryte w téj formacyi pokłady rud żelaznych, ołowianych i miedzianych oraz żyły rud ołowianych, z których przed kilkudziesięciu laty wytapiano żelazo, ołów i miedź; dzisiaj wszakże kopalnie tych kruszców są zupełnie zawalone, ale mam nadzieję, że po zbudowaniu zatwierdzonéj już drogi żelaznéj Dęblińsko-Dąbrowskiéj, exploatacya tych bogactw mineralnych na nowo powstanie.

Formacya węglowa, przedstawiająca tylko piętro górne, występuje w powiecie Będzińskim i Olkuskim. Formacyą tę tworzą piaskowce i gliny łupkowe, pomiędzy któremi spoczywają pokłady węgla kamiennego, odznaczające się niekiedy nadzwyczajną grubością, 54 przeszło stóp wynoszącą.

Opierając się na wynikach badań geologicznych i prac górniczych, można utrzymywać z wielkiém prawdopodobieństwem, że formacya węglowa zajmuje 11 mil kwadratowych, gdzie po części ukazuje się na powierzchni, po części zaś jest pokryta przez utwory późniejsze. Zapas w niéj znajdującego się węgla jest ogromny. Dla pokazania jego wielkości, przytoczę tu obliczenie p. Winc. Kosińskiego, inżyniera górniczego, podane przez niego w roku 1874. Dowiedzionym jest już faktem, że na całéj powyżéj oznaczonéj przestrzeni znajdują się pokłady węgla; ogólna ich grubość, trzymając się najumiarkowańszych przypuszczeń, w południowéj połowie wynosi przeszło 7 sążni, w północnéj około 2, średnio więc około $4\frac{1}{2}$ sążni. Ponieważ 11 mil kwadr. równa się 134.750,000 sążni kwad., zatém obiętość masy węgla wynosi 606.375.000 sążni sześciennych; sążeń zaś sześcienny wydać może 100 korcy węgla, więc zapas węgla w korcach wynosi 60.637.500.000. Przyjąwszy całkowitą produkcyą węgla w kraju w roku 1873 na 3 miliony korcy, wypada, że wspomniany zapas mógłby wystarczyć na 20.000 lat. Od tego wszakże czasu ogólna produkcya węgla w kraju znakomicie się zwiększyła: w roku 1880 wynosiła ona 77 395.000 pudów („Ekonomista“, r. 1881, N. 28 i 29 (1)) czyli 12.899.166 korcy, uważając 6 pudów za korzec. Należy przypuszczać, że w roku bieżącym produkcya węgla jak lat poprzednich wzrośnie także o 1.666.666 korcy czyli o 10 milionów pudów, że następnie po otworzeniu drogi żelaznéj Dęblińsko-Dąbrowskiéj niewątpliwie się

(1) „Produkcya węgla kamiennego w Królestwie Polskiém w roku 1880.“ W artykule tym znajdują się bardzo ważne i ciekawe wiadomości o dzisiejszém u nas kopalnictwie węglowém.

podwoi, a tym sposobem w stosunkowo niedługim czasie dojdzie do 2o milionów korcy czyli do 12o milionów pudów rocznie. Lecz i ta ogromna cyfra nie powinna sprowadzać obaw prędkiego wyczerpania tak wybornego materyału opałowego, bo zapas jego i w tym ostatnim razie jeszcze na 3.ooo lat będzie mógł nam wystarczyć.

Niezależnie od węgla, w formacyi téj, pod Będzinem i w okolicy Dąbrowy, spoczywają jeszcze rudy żelazne, tak zwane sferosyderyty gliniaste, w postaci bulw i nerek.

Formacya permska znajduje się w powiatach: Kieleckim, Będzińskim i Olkuskim. W powiecie Kieleckim osady permskie (wapienie), należące do piętra górnego, ukazują się przy wsi Kajetanowie, o 1o blisko wiorst na północ od Kielc, odnoszące się zaś do piętra dolnego (okruchowce wapienne) występują pod Chęcinami; z tych ostatnich, tj. z okruchowca wapiennego (skały zygmuntowskiéj) jest wyrobioną kolumna Zygmunta III w Warszawie.

W powiecie Będzińskim i Olkuskim, pokłady permskie (zlepy i martwice porfirowe) należą do piętra dolnego i tworzą wązki pas, ciągnący się od południowego wschodu na północo-zachód. W formacyi téj nie odkryto dotąd żadnych pożytecznych ciał kopalnych.

Formacya tryjasowa występuje w południowéj i południowo-zachodniéj stronie Królestwa, a mianowicie: w powiecie Opatowskim, Końskim (a właściwie Koneckim), Kieleckim, Stopnickim, Olkuskim i Będzińskim.

Piętro dolne, złożone z czerwonego piaskowca (1), rozpościera się głównie w południowéj części kraju: poczynając od Opatowa idzie na północo-zachód, następnie od północy i zachodu otacza pokłady dewońskie, a nadto ukazuje się jeszcze pod Chęcinami, w okolicach wsi Zbrzy, Pierzchnicy i innych. Piaskowiec ten daje wyborny materyał budowlany, którego oddawna używano do wznoszenia okolicznych kościołów; łamano go także dla budowy filarów przy moście warszawskim, i w tym celu urządzono łomy około Wąchocka i Suchedniowa. W południowo-zachodniéj stronie, piętro dolne, złożone z piasków, kruchych piaskowców i czerwonych iłów, ciągnie się wązkim pasem na przestrzeni pomiędzy Olkuszem a Siewierzem i spoczywa na osadach formacyi węglowéj.

Piętro środkowe formacyi tryjasowéj (wapień muszlowy) występuje w południowo-zachodniéj części kraju, mianowicie na wielu miejscach w powiecie Olkuskim i Będzińskim; w południowéj zaś

---

(1) Piaskowiec pstry, formacya północnego czerwonego piaskowca, Pusch.

stronie, w powiecie Kieleckim i Stopnickim, środkowe piętro nie zostało dokładnie zbadane, chociaż nie ulega wątpliwości, że składa się ono z tych samych ogniw, co olkuski i będziński wapień muszlowy.

Piętro górne, złożone z piaskowca białego, (1) rozpościera się głównie w południowéj części kraju, mianowicie: w powiecie Opoczyńskim, Końskim, Iłżeckim i Opatowskim, jak to pierwszy okazał p. Kosiński, lecz znajduje się ono także i w południowo-zachodniéj stronie Królestwa, czego znowu pierwszy dowiódł Roemer.

Formacya tryjasowa jest najgłówniejszym źródłem, zasilającém krajowy przemysł górniczy. W jéj bowiem środkowém piętrze, które zalega część południowo-zachodnią kraju, znajdują się obfite zapasy srebrodajnych rud ołowianych, rud cynkowych i żelaznych; rudy ołowiane (2) występują w gniazdach i żyłach nieznacznéj grubości, cynkowe (3) przebiegają żyłkami i przechodzą w jednolitą warstwę, żelazne (4) zaś tworzą nieregularne pokłady i gniazda. W miarę jak żądanie cynku wzrasta a kopalnie jego zagraniczne się wyczerpują, nasze kopalnie galmanu nabierają coraz większego znaczenia. Rząd też mając na uwadze tę okoliczność wyznaczył odpowiedni fundusz na osuszenie dawnych kopalń olkuskich, podług planu sporządzonego przez p. Kosińskiego, i temuż w roku zeszłym wykonanie téj pracy polecił. Kopalnie olkuskie rozpościerają się na przestrzeni 6 wiorst kwadratowych. Osuszenie ich ma być dokonane w ciągu lat trzech, przez zbudowanie sztolni, któréj długość wynosić będzie od 2—3 wiorst; sztolnia ta obniży teraźniejszy poziom wody w kopalniach o 7 sążni. Wkrótce tedy na dzisiejszych polach kopalnianych pod Olkuszem, nad któremi teraz panuje grobowa cisza, rozlegać się znowu będzie stuk kilofów, głos ludzki, słowem, zbudzi się tam dawne życie, a z niém—przemysł i nowe wzbogacenie kraju. Lecz przytém życzyć jeszcze należy, ażeby wznowione kopalnie olkuskie pozostały w ręku krajowców, a jeżeliby nikt z krajowych przedsiębiorców nie podjął się exploatacyi, rząd powinienby zatrzymać je we własnéj administracyi, nie wydając ich w ręce cudzoziemców. W piętrze górném téj formacyi, mianowicie pomiędzy Siewierzem i Kromołowem, spoczywają pokłady tak zwanego ilastego węgla

---

(1) Kajper; formacya pólnocnego białego piaskowca, Pusch.

(2) Srebrzysty błyszcz ołowiany, galena.

(3) Galman.

(4) Żelaziak brunatny.

brunatnego (1) i wyborne rudy żelazne (2), które pojawiają się w gniazdach, albo w postaci buł ułożonych w cienkie warstwy. Węgiel wspomniany nie może wprawdzie iść w porównanie z węglem kamiennym, tak pod względem jego wartości opałowéj, jako też i wytrzymałości podczas przewozu; dla miejscowego jednak użytku stanowi on materyał, który współubieganie się z węglem kamiennym może wytrzymywać. Za dowód tego służyć mogą dawne fabryki sukiennicze Moesa, które były opalane węglem brunatnym, około Poręby Mrzygłodzkiéj wydobywanym; nadto może on być także używanym do prowadzenia pieców wapiennych, wielkich cegielni, przędzalni, fabryk wyrobów glinianych i t. p.

Równie ważna pod względem górniczym jest także formacya tryjasowa, występująca w południowéj części Królestwa. Jakoż, w jéj piętrze górném, np. w okolicach Szydłowca, Końskich, Drzewicy i in., znajdują się liczne łożyska rudy żelaznéj (3), z któréj pochodzi przeszło połowa wytapianego u nas corocznie surowca; nadto w témże samém piętrze, często postrzegać się dają cienkie warstwy ilastego węgla brunatnego, lecz dotychczas nie natrafiono jeszcze na pokład, którego wydobywanie byłoby korzystném. Piętro to, jak wyżéj już wspomniałem, składa się z białego piaskowca. Piaskowiec ten wytrzymuje zmiany atmosferyczne i dlatego najczęściéj napotyka się na powierzchni. Jest on przytém doskonałym materyałem budowlanym; Szydłowiec i Kunów znane są powszechnie z licznych łomów tego kamienia. Znakomita większość pomników na cmentarzach pod Warszawą z niego jest także wyrobioną. Niekiedy rzeczony piaskowiec okazuje się nawet ogniotrwałym i jako taki bywa poszukiwany do zapraw wielkopiecowych.

Formacya jurajska rozpościera się głównie w południowo-zachodniéj stronie kraju, w powiatach: Olkuskim, Będzińskim, Częstochowskim i Wieluńskim; lecz znajduje się także w okolicach Sulejowa, Opoczna i Tomaszowa, na wschód i północo-wschód od Piotrkowa położonych, jak również na drodze od Szydłowca do Orońska, około Iłży i w okolicach Małogoszczy, zkąd idzie wązkim pasem przez Sobków do wsi Korytnicy w powiecie Jędrzejowskim.

Formacya jurajska u nas rozwinęła się tylko w dwóch piętrach, środkowém i górném. Piętro środkowe (jura brunatna), złożone

---

(1) Węgiel kajprowy; brunatny węgiel bagnisty, Moorkohle, Pusch; węgiel blanowicki, Roemer.

(2) Pospolicie zbity, niekiedy włóknisty żelaziak brunatny, a także sferosyderyt gliniasty.

(3) Sferosyderyt gliniasty, ruda ilasta.

przeważnie z glin żelazistych, zalega przestrzeń posiadającą kształt trójkąta, którego podstawą jest linia prosta, poprowadzona od miasteczka górno-szlązkiego Byczyny do Wielunia, a bokami—linie, łączące dwie powyższe miejscowości z Włodowicami w powiecie Będzińskim.

Piętro zaś górne (jura biała), składające się z białych wapieni zbitych, występuje głównie w okolicach na południe od Olkusza położonych, gdzie przedstawia najpiękniejsze kraju miejscowości—dolinę Ojcowa i Pieskową Skałę, a w Podzamczu około Ogrodzieńca tworzy skalistą górę, na 1·470 stóp nad poziom morza wyniesioną, w Olsztynie zaś, na południe od Częstochowy—malowniczą skałę. Oprócz tego w białych tych wapieniach znajdują się wspaniałe jaskinie, jak np. znane w Ojcowie i mniéj znana w Olsztynie.

Pod względem górniczym tylko środkowe piętro formacyi jurajskiéj zasługuje na uwagę: w niém bowiem jednėm spoczywają bogate rudy żelazne (1), które są wydobywane w różnych miejscach, pomiędzy Ogrodzieńcem a Pankami, Ogrodzieńcem a Żarkami i na lewym brzegu Warty w powiecie Częstochowskim, oraz pomiędzy Częstochową i Wieluniem. Rudy te wszakże zawierają w sobie fosfór, co ich wartość znakomicie zmniejsza. Tu winienem jeszcze nadmienić, że grunta powstałe z pokładów formacyi jurajskiéj są w ogóle nie wielkiéj wartości: utworzone z brunatnéj jury są żelaziste i w skutek tego mało urodzajne, z białéj zaś jury—suche i mało do uprawy przydatne.

Formacya kredowa, zajmująca największą przestrzeń kraju, występuje w gubernii Piotrkowskiéj, Kieleckiéj, Radomskiéj i Lubelskiéj, a mianowicie: w stronie północno-wschodniéj powiatu Będzińskiego i południowo-wschodniéj Częstochowskiego i Noworadomskiego; następnie w powiecie Olkuskim i Miechowskim; Pińczowskim i Stopnickim, po obu brzegach Nidy; Jędrzejowskim i Włoszczowskim; Opatowskim, Iłżeckim, Kozienickim, Janowskim i Nowoaleksandryjskim, po obu brzegach Wisły; nakoniec w powiecie Lubelskim, Krasnostawskim, Chełmskim, Zamojskim i Hrubieszowskim. Tu wszakże wypada nadmienić, iż formacya kredowa, jak podaje p. Kosiński, znajdować się jeszcze może i w zachodniéj części dawnéj gubernii Warszawskiéj, gdzie na wielu miejscach, np. w Paprotni pod Koninem, spoczywają luźne głazy wapienne, zawierające w sobie skamieniałości rzeczonéj formacyi.

---

(1) Sferosyderyt gliniasty w glinach szarych plastycznych lub ciemnych piaszczystych, a niekiedy także żelaziak brunatny w piaskach żelazistych.

Według Roemera, osady krédowe, spoczywające od strony wschodniéj formacyi jurajskiéj w południowéj części Królestwa, należą do utworów najmłodszych, t. j. do piętra górnego (senońskiego), i przedstawiają dwie grupy, z których spodnia składa się najczęściéj z piasków i piaskowców, wierzchnia zaś—przeważnie z opoki czyli białych marglów krédowych (wapiennych), a oprócz tego niekiedy z wapieni i piszącéj krédy. Cała zaś formacya krédowa w Królestwie jest częścią wielkiéj, baltyckiéj kotliny krédowéj, któréj granica zachodnia idzie wzdłuż krańca wschodniego utworów jurajskich, pomiędzy Krakowem i Wieluniem spoczywających. Nadto tenże uczony utrzymuje: że kotlina krédowa baltycka jest zupełnie oddzieloną od takiéjże kotliny w Saksonii, Czechach i na Szlązku, i że nasze osady krédowe, tak ze skał jako i fauny, daleko więcéj się zbliżają do utworów senońskich, występujących w Rosyi, na wyspie Rugii i na wyspach duńskich, jak w północno-zachodnich lub środkowych Niemczech (1).

W tutejszéj formacyi krédowéj nie znaleziono dotąd żadnych rud i węgli kopalnych, a z tego powodu formacya ta w obecnéj chwili zasługuje tylko na uwagę pod względem rolniczym i poniekąd technicznym. Jakoż białe margle krédowe, które rozpościérają się głównie w okolicach Jędrzejowa i Miechowa, tworzą najurodzajniejsze grunta w Królestwie Polskiém; kréda zaś pisząca, która się znajduje we wschodniéj części gubernii Lubelskiéj, mianowicie w okolicy Chełma, jest używaną do różnych celów technicznych. Od lat kilku, została nawet założoną przez krajowców pod stacyą drogi żelaznéj Chełmem osobna fabryka, produkująca tak zwaną spławianą krédę; odpadki zaś od téjże krédy dają po wypaleniu wyborne wapno.

Formacya oligoceniczna (1) występuje w północnéj i zachodniéj części Królestwa. Formacya ta składa się z gliny plastycznéj lub piaszczystéj z pniami bitumicznego drzewa i bursztynem, z iłów gliniastych, piasków i piaskowców z warstwami węgla brunatnego.

Wymienione osady oligoceniczne, tworzące bardzo prawdopodobnie wschodni skraj formacyi węgla brunatnego kotliny północno-niemieckiéj, pojawiają się w różnych miejscach. Glina plastyczna z licznemi kryształami gipsu znajduje się nad Wisłą, mianowicie przy Włocławku i na drodze od Kowala do Dobrzynia. Iły gliniaste, z nieznacznemi warstwami węgla brunatnego, zalegają prawy brzeg

(1) Do zupełnie odmiennych jak Roemer wniosków doszedł prof. Jurkiewicz; wnioski te zamieścił w swojéj rozprawie „Mielowaja formacija w Lublinskoj gubiernii.“ Warsz. 1872, str. 71—75.

(2) Formacya gliny plastycznéj i węgli brunatnych, Pusch.

Wisły od Zakroczymia do Płocka i Włocławka, główníe zaś pod Dobrzyniem. Iły gliniaste, piaski i piaskowce, zawiérające w pośród siebie grube warstwy węgla brunatnego, ukazują się nad Wartą, pod Koninem, Brzeznem, Morzysławiem aż do Koła; utwory te wszakże biorą swój początek aż w Marchii Brandeburskiéj, zkąd ciągną się ku Warcie i nad tąż rzeką, na wielu miejscach w W. Ks. Poznańskiém, znacznie się już rozpościerają, i gdzie z niemi także liczne i grube pokłady węgla brunatnego występują. Nakoniec glina piaszczysta z pniami bitumicznego drzewa i bursztynem tworzy pokłady spoczywające od Mławy do Augustowa, a szczególniéj w lasach pod Łomżą, które daléj ku północy przez całe wschodnie i zachodnie Prusy rozciągają się i w Sambii (zachodniéj części regencyi królewieckiéj) najbogatszy skład bursztynu przedstawiają. Widzimy przeto, iż nasza formacya oligoceniczna, podobnie jak piętro dolne formacyi węgla brunatnego w północno-wschodnich Niemczech, zawiera węgiel brunatny i bursztyn.

Formacya mioceniczna znajduje się głównie w południowéj stronie Królestwa, w powiatach: Pińczowskim, Stopnickim, Sandomierskim, Chełmskim, Janowskim, Zamojskim i Biłgorajskim. Według Puscha, tworzy ona dwa ogniwa: środkowe (formacya wapienia gruboziarnistego) i górne (spodnia grupa formacyi piaskowca muszlowego).

Badania wszakże dokonane przeze mnie w r. 1878 w gubernii Lubelskiéj, a w roku zeszłym przez p. p. Kontkiewicza i Michalskiego w gub. Kieleckiéj pokazały, iż nasze utwory mioceniczne są zupełnie podobne do takichże osadów w Galicyi i w kotlinie trzeciorzędowéj pod Wiedniem. Tworzą one dwa piętra: młodsze—sarmackie i starsze—górne śródziemne. W gub. Lubelskiéj oba powyższe piętra zauważyłem dotychczas tylko na wapieniach. W gub. Kieleckiéj, piętro sarmackie, jak podaje p. Kontkiewicz, składa się ze szczególnego rodzaju piaskowców i zlepów, zaś górne śródziemne, występujące tam przeważnie, z glin, margli, wapieni i gipsów. Gipsy, które rozpościérają się około Szkalbmierza i Proszowic, pomiędzy Pińczowem, Buskiem, Wiślicą i Nowém miastem Korczynem w dolinie Nidy, a także przy mieście Staszowie, niekiedy tworzą dość znaczne wyniesienia i odznaczają się szczególną budową, wyróżniającą je od pokładów tego minerału w innych krajach. Warstwy gipsu, leżące bezpośrednio na marglu piaszczystym, składają się z olbrzymich, do sążnia długością swoją dochodzących kryształów, na kształt słupów prostopadłych obok siebie ustawionych, i których ściany łupliwości niezwykłym jaśnieją blaskiem, gdy na nie promienie słońca padają.

Do osadów miocenicznych należy również siarka w Czarkowach, jak to piérwszy okazał Zejszner. W pogranicznéj z nami Ga-

licyi, spoczywają jeszcze w téjże saméj formacyi (w piętrze dolném śródziemném) powszechnie znane pokłady soli kamiennéj przy Wieliczce i Bochni, jak również pokłady siarki w Swoszowicach pod Krakowem.

W granicach Królestwa Polskiego soli kamiennéj jeszcze dotychczas nie znaleziono, pomimo jéj licznych poszukiwań, prowadzonych w zeszłém i bieżącém stuleciu w dzisiejszéj gub. Kieleckiéj, a w ostatnich czasach i w okolicach Ciechocinka. Poszukiwania w okolicach Ciechocinka, oprócz wykrycia tylko bogatszych solanek, innego skutku nie przyniosły. Lecz znalezienie przed 10 laty potężnych pokładów soli kamiennéj przy Inowrocławiu w W. Ks. Poznańskiém, w odległości około 3 mil od granicy Królestwa i około 6 od Ciechocinka, zwróciło uwagę rządu, który w skutek tego ustanowił w roku 1872 komisyą do wyznaczenia miejscowości, w jakichby u nas soli kamiennéj poszukiwać należało. Rzeczona komisya zwiedziła téż w okolicy między Ozorkowem i Ciechocinkiem wszystkie miejscowości, gdzie się pokazują źródła słone, jak np. Sliwnik, Wielką Wieś około Parzęczowa, Zgłowiącz i Janiszew około Lubrańca; następnie zaś po obejrzeniu okolicy Inowrocławia i Kruszwicy, zbadała jeszcze miejscowości pomiędzy Radziejowem i Ciechocinkiem, w którychby się także prawdopodobnie sól powinna znajdować. Nie ulega wątpliwości, iż komisya zamieściła w sprawozdaniu swojém wszystkie wiadomości, jakieby rządowi służyć mogły za podstawę do dalszych poszukiwań soli. P. Kosiński, biorący także udział w powyższéj komisyi, utrzymuje, że najgłówniejszą przyczyną nieznalezienia soli kamiennéj, poszukiwanéj w gub. Kieleckiéj tak dawniéj jako też i późniéj, to jest, pomiędzy rokiem 1818 i 1840, „było niedostateczne zbadanie okolicy pod względem geologicznym, a jeszcze bardziéj nieuwzględnianie okoliczności, przy jakich słone źródła ukazują się na powierzchni. Przy poszukiwaniach ówczesnych nie oznaczono ściśle w jakiéj formacyi geologicznéj soli szukać należy, w skutek tego przebijano pokłady, które przedstawiały mało w ogóle nadziei znalezienia soli, przyczém dochodzono do głębokości 1.400 stóp, nie zwracając uwagi na to, że słone źródła są zimne i że w skutek tego prawdopodobnie wytryskują z głębokości niewielkiéj, któréj temperatura odpowiada temperaturze źródeł. Poszukiwania prowadzone przez Zejsznera ograniczały się na formacyi trzeciorzędowéj, w któréj bez żadnéj wątpliwości sól powinna się znajdować, i pod tym względem, poszukiwania jego miały niezaprzeczoną wyższość i dlatego mogłyby mieć pomyślny skutek, gdyby były prowadzone daléj.“

Sądzę, iż powyższy zarys jest na tyle już wykończonym obrazem, że powziąć można z niego dostateczne wyobrażenie o całéj różnorodności pokładów geologicznych w Królestwie Polskiém. Ażeby obraz ten jednak mógł jeszcze więcéj uwidoczniać przez siebie wyobrażany przedmiot, dopełnię go następującą uwagą. Widzieliśmy, że z wyjątkiem formacyi oligocenicznéj, która występuje w północnéj, północno-zachodniéj i zachodniéj stronie kraju, wszystkie formacye, a jest ich ośm, zalegają cztery tylko południowe gubernie, a zatém stosunkowo niewielką przestrzeń. Z wymienionych nadto 24 powiatów tych gubernij, połowa tylko ma grunt złożony z formacyi jednéj, pozostała zaś połowa — co najmniej z dwóch. Ztąd téż niektóre z ostatnich powiatów przedstawiają zadziwiającą pod tym względem rozmaitość: w powiecie Opatowskim znajdujemy już trzy, w Kieleckim—cztery, w Olkuskim—pięć, a nakoniec w Będzińskim — aż sześć różnych formacyj geologicznych.

Wyżej przytoczone wiadomości, zdobyte drogą długich i trudzących badań, prowadzonych rozmaitemi czasy bieżącego stulecia przez różnych uczonych, a w czém największą położył zasługę Pusch a po nim Zejszner, nie mogły nie zainteresować rządu i instytucyj naukowych.

Wspomniałem już o wyznaczeniu w roku 1872 przez rząd oddzielnéj komisyi, mającéj zbadać: gdzie w kraju tutejszym soli szukać należy. W roku zeszłym ministeryum dóbr państwa wydelegowało znowu dwóch inżynierów górniczych, p. p. Kontkiewicza i Michalskiego, do prowadzenia pod kierunkiem p. Kosińskiego poszukiwań soli kamiennéj w gub. Kieleckiéj. Dotychczas nic nie wiadomo o znalezieniu tam soli, przypuszczam więc, że takowéj nie znaleziono; ale jest rzeczą niewątpliwą, że wyniki tych badań nie mało wzbogacą fizyografią gub. Kieleckiéj.

Uniwersytet warszawski pojął także swoje wysokie zadanie w tutejszym kraju i, pomimo szczupłych środków materyalnych jakiemi w zeszłym dziesiątku lat rozporządzał, w roku 1873 i 1878 delegował mnie do wykonania badań geologicznych. Do faktów nowych a stanowiących rezultat tych badań należą:

Niektóre po raz pierwszy przeze mnie dostrzeżone rodzaje skamieniałości w utworach dewońskich gór Kieleckich.

Odkrycie kwarcytów dewońskich, odznaczających się niezwykłém bogactwem skamieniałości, we wsi Kleczanowie.

Odkrycie pokładu formacyi krédowéj w powiecie Łódzkim.

Wskazówki dla oznaczenia ścisłéj granicy pomiędzy formacyami dewońską i tryjasową w okolicy Opatowa.

Dokładne oznaczenie wieku względnego wapieni pod wsią Zbrzą i kwarcytów na wschodnim krańcu gór Kieleckich.

Udowodnienie mylności twierdzeń p. Hempla i sprostowanie niektórych nie zupełnie ścisłych wskazówek Roemera, dotyczących porfiru i piaskowców w powiecie Będzińskim.

Odkrycie piętra sarmackiego i górnego śródziemnego formacyi mioceniczńej w gubernii Lubelskiéj.

Nakoniec Cesarskie Towarzystwo Mineralogiczne w Petersburgu delegowało mię w roku bieżącym do zbadania utworów trzeciorzędowych w gubernii Lubelskiéj. Mam nadzieję, iż zebrane przeze mnie w tegorocznych badaniach materyały przyczynić się także będą mogły, chociaż w małéj cząstce, do uzupełnienia wiadomości geologicznych o wspomnianéj gubernii.

Wszystkie powyższe fakty, rozszerzające zakres wiedzy o kraju własnym lub wskazujące na jego bogactwa kopalne, powinnyby zwracać szczególną uwagę naszéj zamożnéj inteligencyi, która jednakże w ogóle bardzo mało dotychczas zdaje się o tych faktach wiedziéć, a przynajmniéj pozwala się na téj drodze prześcigać cudzoziemcom. W ich ręce przechodzi w ten sposób kierunek najżywotniejszych interesów ekonomicznych krajowych. Nie mam zamiaru nawoływać współobywateli, ażeby swój obowiązek względem przyszłego rozwoju bogactwa krajowego lepiéj pojmować chcieli i aby do walki z trudnemi okolicznościami raźniéj się brali, — chciałem tylko zaznaczyć samo położenie rzeczy, z którego jak najgorszych dla nas skutków spodziewać się należy. A więc dokąd dążymy?

Dr. Jan Trejdosiewicz.

Przegląd pedagogiczny.

1) Wypisy polskie. Ułożył Adolf Dygasiński. Część niższa. Warszawa. Nakład B. Lesmana. 1881, str. VII+176. — 2) Wypisy z pisarzów polskich dla szkół męzkich i żeńskich. Ułożył Stanisław Gargulski, przełożony zakładu naukowego. Część wstępna na klasę wstępną i pierwszą. Warsz. Nakład autora, 1881, str. IV + 264. — 3) Toż. Część średnia. 1880, str. IV + 312. — 4) Wypisy polskie. Ułożył Antoni Bądzkiewicz. Część średnia. Warsz. 1881, str. 451+VII: — 5) Wypisy, przykłady i wzory form prozy i poezyi polskiéj. Książka do czytania ułożona przez D-ra Władysława Seredyńskiego i Anastazyą hr. Dzieduszycką. Wydanie drugie. Warsz. 1881. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 882 + VIII.

Musiałbym powiedzieć zużyty ogólnik, gdybym chciał określić trudność ułożenia dobrych wypisów, trudność zaświadczoną licznym szeregiem utworów z téj dziedziny dydaktyki naszéj; wolę już zwrócić uwagę na to, że jeżeli w tym oddziale literatury pedagogicznéj nie widzimy wielkiego postępu w stosunku do pierwszych prób, robionych na początku XIX stulecia, to jedną z bardzo ważnych przyczyn tego faktu był i jest brak sumiennéj kontroli nad wychodzącemi częstokroć w coraz nowych wydaniach Wypisami, Wzorami, Książkami do czytania. Jak dawniéj tak i teraz krytyka tego rodzaju dzieł miała charakter powierzchowny. Jedni, patrząc tylko na nazwisko autora, chwalą lub potępiają ułożoną przezeń książkę; inni przejrzawszy zaledwie spis rzeczy i parę kart w książce saméj, wydają mniéj—więcéj stanowcze wyroki; inni wreszcie, niewątpliwie najoględniejsi i przez to najsumienniejsi zostawiają ocenę Wypisów praktyce pedagogicznéj. Ten ostatni sposób „omawiania“ dzieł dydaktycznych ma niewątpliwie bardzo wiele za sobą; istotnie dopiero używając książki, można dokładnie, z doświadczenia, nabyć należytego, gruntownego pojęcia o wartości utworu, można się przekonać, jakie wrażenie robią na dzieciach opowiadania i opisy, bajki i powiastki. Ale czyż doświadczenie ma być robione ze szkodą umysło-

wą dzieci? czyż one mają służyć za owę *anima vilis*, na któréj-by pedagog potrzebował eksperymentować; czyż nie ma zasad, któreby posłużyły do oceny mniejszéj lub większéj wartości tego lub owego utworu? Niewątpliwie, praktyka może ostatecznie rozstrzygać, ale rzeczą krytyki jest przyjść w pomoc praktyce i dać jéj pewne wskazówki, które przed użyciem książki, przed doświadczeniem, mogą wyświetlić jéj znaczenie z punktu widzenia teoryi pedagogicznéj.

Ogólne zasady odnoszące się do układu Wypisów są znane. Pod względem treści powinny być nauczające i zajmujące. Niewolno podawać dziecku do czytania rzeczy takich, których-by się późniéj oduczać musiało, czy-to w zakresie umiejętności czy moralności; wychowańcowi należy przedstawiać te prawdy naukowe, które obecny stan umiejętności uznaje; należy weń wpajać takie zasady moralne, któreby mu na całe życie wiernym przewodnikiem być mogły ku ogólnemu doskonaleniu. Obok tego konieczną jest rzeczą, ażeby uczeń mógł z zajęciem odczytywać to, co w Wypisach znajduje, ażeby pokochał tę książkę, która parę lat jest jego towarzyszką, ażeby ją nawet jaką miłą pamiątkę lat młodych nazawsze jeżeli nie w rzeczywistości to we wdzięcznéj pamięci zachował; dlatego też artykuły w Wypisach zawarte powinny przemawiać do jego uczuć a pobudzać czynność wyobraźni.

Co do stylu, musi on czynić zadość dwom warunkom, musi być zrozumiałym stosownie do stopnia wykształcenia wychowańców, dla których książka jest przeznaczona, i winien być wzorowym stosownie do rodzaju prozy czy poezyi, do którego został użytym. Zrozumiałość jest przymiotem koniecznym, jeżeli książka ma przynieść uczniowi istotny umysłowy pożytek; wzorowość jest równie niezbędna, jeżeli czytanie ma się przyczynić do wytworzenia w wychowańcu możności wyrażania swych myśli jasno i poprawnie i jeżeli ma w nim wyrobić pewien stopień smaku estetycznego w ocenie utworów literackich. Z tego drugiego względu w stylu wypisów nie tylko dbać trzeba o gramatyczną i stylistyczną poprawność, ale także i o piękność, bo choć niekażdy ich czytelnik potrafi kiedyś pisać pięknie, to każdy winienby piękno czuć i choć trochę rozumiéć.

Co do zewnętrznéj wreszcie strony wydania, to, ze względów dydaktycznych, wypisy powinny być wzorem konsekwencyi w podziałach na rodzaje prozy i poezyi, w ortografii i przestankowaniu; a ze względów higienicznych, muszą się odznaczać drukiem wyraźnym i czystym, papierem dobrym, ażeby się czcionki nie przebijały i wzroku nie psuły.

Takie są w najogólniejszém streszczeniu wymagania stawiane Wypisom czy Wzorom; odnoszą się one i stosują do książek w jakim-

kolwiek języku pisanych; co się zaś tyczy wypisów polskich, to każdy zapewne zgodzi się na to, iż wzięte one być winny z dzieł autorów polskich. Można tu zrobić zarzut, że trudno dobrać artykułów w literaturze ojczystéj z niektórych działów wiedzy, mało uprawianych przez nas oryginalnie, że zatém trzeba się posługiwać i pismami autorów obcych, byle tylko podać je w dobrém tłómaczeniu. Zgodzić się można na tę argumentacyą, ale pod warunkiem, że z prawa tego użytkować trzeba jak najmniéj, starając się dokładnie i sumiennie poznać zasoby literatury własnéj. A przedewszystkiém należałoby wyciągnąć całą treść pedagogiczną z pism pierwszorzędnych naszych prozaików i poetów w tym celu, ażeby wielbieni przez naród i ukochani mistrzowie byli zarazem mistrzami naszemi od najpierwszéj młodości. Wprawdzie wielcy pisarze nasi, tworząc dla dojrzałéj części narodu, nie mieli i nie mogli miéć na uwadze uczącéj się młodzieży; mimo to jednak w dziełach ich znaleść można dosyć ustępów przydatnych dla celów pedagogicznych, jeżeli tylko pilnie w tym wyłącznym zamiarze rozczytywać się w nich zaczniemy, nie powodując się dotychczasową rutyną, która wolała nieraz rzeczy lichych pisarków dla lada-jakiego morału aniżeli utwory największych geniuszów, gdy w utworach tych jakiś wyraz lub też wyrażenie nie przypadało do smaku. Mało u nas w tym celu zrobiono, mało przetrząsano dzieła geniuszów i talentów pod względem pedagogicznym i dlatego tak wiele jeszcze śmieci w Wypisach: Zajączkowscy i Paszkowscy mają pierwszeństwo nad Mickiewiczem i Słowackim a bezimienni pseudo-styliści przed Korzeniowskim i Kraszewskim. Wartoby już przejąć się tém przekonaniem, że poczucie piękna kształcić należy od najwcześniejszéj młodości.

I.

Stopniowanie w układzie Wypisów wynika z żądania, żeby były zrozumiałe. Stąd powstaje zwykły podział na Wypisy niższe, średnie i wyższe.

Z roku bieżącego mamy dwie książki należące do kategoryi „niższych“ czy „wstępnych;“ jednę ułożył p. Gargulski, drugą p. Dygasiński.

Wypisy p. G—go pod względem układu, a nawet samych artykułów najwięcéj mają podobieństwa do powszechnie przed laty używanych wypisów Łyszkowskiego; rozpoczynają się one od opowiadań z pisma św. a kończą się na opisach z „historyi naturalnéj.“ W wyborze ustępów tak pod względem treści jak i stylu widać

nie niedbalstwo, ale wielką nieuwagę, brak dokładnego zastanowienia się nad tém, czy wszystko, co się drukuje w książce, będzie odpowiedniém dla dziatwy, która niezbyt dawno wyuczyła się czytać. I tak: umieszczenie w części „wstępnéj" wyjątków z „Historyi narodu" Naruszewicza („Wincenty z Szamotuł," „Kazimierz W.") uważam ze względów dydaktycznych za rzecz całkiem niewłaściwą; styl ciężki, częste przekładnie, budowa zdań trochę zawiła, tu i owdzie napotykane archaizmy (*nastąpić* w znaczeniu napaść, uderzyć, str. 135, co nie zostało objaśnione i może upoważnić ucznia do popełniania rusycyzmów), tok wogóle dla dzieci nieobsłuchanych z dawną polszczyzną dziwny—powinny były stanowić dostateczną pobudkę do pominięcia tych ustępów w części wstępnéj; zapoznanie się z prozą Naruszewicza pozostawić wypadało na lata późniejsze, w części średniéj lub nawet wyższéj. Też same względy kazałyby dać pokój wielu anegdotom (1) wypisanym ze starych książek a dość obficie w wypisach nagromadzonym (jest ich 47). Niektóre zaś z anegdot tych obok nieudolności stylowéj rozpowszechniają wiadomości niedorzeczne jak np. wyprowadzanie nazwy Trzebnica od słów: *trzeba nic* (str. 69).

Ale usterki takie są drobne w porównaniu z innemi. Chcąc przedstawić staropolskie obyczaje wybrał p. G. najniefortunniéj dwa ustępy, jeden z Kaczkowskiego, drugi z Chodźki, a oba wystawiają wcale nie budującą butę i bynajmniéj nie umoralniające pijatyki, w których słychać bezmyślne wołania: „Staroświecka poczciwość! Staropolska cnota! Schlachecka krew!" Potrzeba być bardzo nieoględnym, ażeby takie obrazy przedstawiać młodzieży dla obudzenia w niéj poszanowania i zamiłowania przeszłości; jest-to postępowanie przeciwne zasadom wychowawczym zarówno bezwzględnie jak niemniéj ze względu na ducha, jakim przejęte są niektóre podręczniki szkolne w języku rosyjskim pisane.

Nie można też w żaden sposób pochwalić pomieszczenia klechdy „o kmiotku Biedoklepie," w której jako ideał moralizatora przedstawiony jest kij-samobij, poprawiający skutecznie wszystkich, a między innemi i „języczliwą" żonę Biedoklepa, przemawiający do niéj nie tylko nader dobitnemi razami ale i nie mniéj dosadnemi słowy: „Nie bij się, złośnico! Nie kłóć się, kłótnico! I nie zrzędź, świegotko! A z wieścią czy z plotką do kumek nie biegaj! Mężowi ulegaj! ulegaj! Ulegaj!" Stosunki rodzinne nie mogą być wobec dzieci w ten

---

(1) P. Gargulski pisze: anekdoty zapewne ze względu na etymologią, ale jeżeli piszemy tchu zam. dchu, nie widzę dostatecznéj przyczyny zachowywania większéj względności etymologicznéj w wyrazach obcych dawno przyswojonych.

jaskrawy sposób malowone, a umoralnienie nie powinno być wystawiane jako zależne od kija. Jeżeli niektórzy wychowawcy uważają „Panią Twardowską“ Mickiewicza za nieodpowiednią karm dla wieku dziecinnego z powodu roli nadanéj żonie czarodzieja, to cóż powiedzieć o téj-tu klechdzie, w któréj jeden brzydki obraz zespolony jest z niemniéj brzydkim środkiem poprawy!

Są wreszcie artykuły, podające uczniom rzeczy niezgodne z prawdą, których zatém późniéj oduczać się będą musieli. Artykuły te osłonięte są wprawdzie poważném w pedagogii naszéj nazwiskiem Klementyny z Tańskich Hofmanowéj, ale zważyć potrzeba, że pisane one były albo przed laty 56 (jak Listy Elżbiety Rzeczyckiéj), albo przed 40 (jak Jan Kochanowski w Czarnolesie), i że co wówczas mogło nie razić, jakkolwiek było błędném, to dziś rozpowszechniane już być nie powinno. Błędy-to napozór nie wielkie, dotyczą bowiem chronologii; w jednym ustępie przedstawiony jest Konarski w r. 1754 jako autor dzieła o Skutecznym rad sposobie, chociaż ono dopiero od r. 1760 wychodzić zaczęło pojedyńczemi tomami; w drugim opisana jest uczta poetów u Kochanowskiego w czasie, kiedy niektórzy tam biesiadujący już nie żyli (Rej, Bielski). Kiedy późniéj wychowaniec uczyć się będzie historyi literatury, przypomni sobie te ustępy i zwątpi o wiarogodności zarówno Wypisów, jak Tańskiéj i nauczycieli, którzy mu ustępy te do czytania podawali. Jeżeli zaś nauczyciele zechcą prostować błędy w artykułach tych zawarte, to zachwieją powagę autorki a obudzą nieufność względem tego, kto Wypisy układał. Tańska zostawiła poddostatkiem rzeczy dobrych, ażeby w nich wybór dobry zrobić było można; a jeżeli szło o poznanie poetów XVI w. lub działalności Konarskiego, to można było innego użyć środka.

Są znowuż ustępy pod względem treści dobre, bo nauczające i zajmujące, ale pod względem stylu ułomne. P. G. nie chciał czy nie umiał poprawić stylu. Nie może mu służyć wymówka, że pragnął poszanować sposób pisania autorów, z których czerpał, bo autor wdzięczny byłby za poprawienie istotnych błędów, témbardziéj, że to się oczywiście odnosi do pisarzów, co jako styliści nie słyną. Tak np. str. 67: gramatycznie złém jest wyrażenie „Trzech wędrowników... przybyli do domu,“ podobnież na str. 81: „Największa część tych wysp **jest** gołemi, nieurodzajnemi skałami, str. 82 „w odległości **ośm** do dziesięciu godzin,“ str. 84 „przewłóczą“ jako czas teraźniejszy. Stylistycznie poprawne nie są frazesy, str. 61: „przypatrując się raz pałacowi pewnego senatora, *który* (a więc senator) był piękny i obszerny;“ str. 80: „Częstokroć ojciec rodziny **dla** zdobycia pożywienia **dla** drobnych dziatek“ i t. d., str. 89: „przywrócili do **życia** za **uży-**

ciem środków stosownych," str. 82: „ludzie ci *zdolni są*... na trzaskającym mrozie czatować," str. 83; „był on zbudowany z drzewa, *jak to ma miejsce* w całéj Szwecyi północnéj;" str. 80: „głowa *mnie* paliła." Trudno też usprawiedliwić takie np. rozpoczęcie bajki: „Nie wiem, gdziem ja to czytał, ale to do rzeczy nie należy. Pewien młynarz miał osła" i t. d. (str. 47), albo też takie: „Dziad lirnik na tle mogiły stepowéj—oto prawdziwa ilustracya *tamtych* okolic" (str. 98). Czyżby p. G. życzył sobie, żeby uczniowie ćwiczenia swoje w ten sposób rozpoczynali?

Ortografia i przestankowanie są w wysokim stopniu zaniedbane. Pisownia jest chwiejna; obok zwykłych dziś zakończeń przymiotnikowych znajdujemy: „na swoim stanowisku" (str. 86), „pracowitym wieśniactwem" (str. 137) obok myśliwstwo spotykamy myślistwo. Rażące błędy, których nauczyciele nie zwykli przebaczać swym wychowańcom, znajdują się obficie: nużać się, jerzyny, Nieświerz, Characz, Sapiecha, szałaszy (1-szy przyp. l. mn. str. 108), kapłun (dwukrotnie na str. 110), uprzykszona (str. 127), Sebestyan (139). Prócz tego, opuszczenia czcionek i wyrazów, niekonsekwencya w używaniu dużych liter, przestankowanie zupełnie dowolne, nie kierowane żadnemi stałemi zasadami, wywołują przykre uczucie zaniedbania, które jeżeli w kim to w pedagogu na surową naganę zasługuje.

O wiele korzystniéj przedstawiają się wypisy p. Dygasińskiego. Układ ich nie ma prawie nic spólnego z dawniejszą rutyną, a jakkolwiek możnaby się posprzeczać z autorem co do zasadności postawienia na czele książki—opisów z historyi naturalnéj, które są wprawdzie dobre, bo jasne, zrozumiałe i prawdziwe, ale mało mają pierwiastku dającego karm wyobraźni; ponieważ jednak każdemu nauczycielowi wolno wybierać ustępy do czytania według swych poglądów, nic to więc nie stanowi, że odłożywszy to, co jest wprzód umieszczone na czas późniejszy, weźmie naprzód powieści np. Rozmaitość artykułów, pomimo szczupłéj stosunkowo objętości książki, jest znaczna; są takie, co przemawiają do rozumu i takie, co działają na serce i wyobraźnię, z powodu tych drugich należy wyróżnić, obok rzeczy znanych z innych wypisów, nowo wprowadzone: „Polowanie na tygrysy," „Szalony słoń" a mianowicie „Wyspa pływająca." Uznanie też należy się pomysłowi wprowadzenia pieśni ludowych do wypisów, ażeby mowę literacką odżywić świeżym, pełnym życia pierwiastkiem. Z pomiędzy opisów i opowiadań naukowych zasługują na zaznaczenie ustępy wzięte z zoologii Maksymiliana Nowickiego tudzież obrazki historyczne, przedstawiające cnoty obywatelskie „Arystydes," „Mucyusz Scewola," „Wierność i stałość Regulusa." Trudno sobie tylko wytłómaczyć pomieszczenie artykuliku „Mikołaj Rej," bo ani treścią ani formą nie zaleca się wcale. Są w nim błędy

faktyczne: data urodzenia 1515, data śmierci 1568: („na rok przed śmiercią wydał *Zwierciadło* 1567,) Żórawno nad *Dnieprem* (!). Styl jest lichy; a niepoprawność napotyka się nierzadko: „*Pod* panowaniem Zygmunta I wyszła pierwsza *po polsku drukowana* książka" (str. 123) „wszystkie pisma Reja *oddychają* szlachetną myślą" (str. 125). Trudno też domyśléć się, po co wydrukowana została anegdotka „za co biją leniwca," (str. 88) w któréj batożenie przedstawione jest jako środek wychowawczy, do pracy pobudzający. Nazywanie świętego Wojciecha autorem „Boga-Rodzicy" (str. 104) niezgodne jest z wynikami badań naukowych; powinno to było być usunięte z artykułu, albo należycie zmodyfikowane. Przyjęcie do Wypisów wiersza napisanego przez Mieczysława Romanowskiego p. n. „Śmierć Żyżki" nie da się usprawiedliwić. Pod względem dykcyi poetycznej jest-to rzecz słaba („*We* setne aż pokolenia," str. 117), pod względem moralnym—niewłaściwa dla dzieci, głosi bowiem nienawiść śmiertelną względem Niemców, co starsi zrozumiéć mogą jako rzecz bardzo naturalną w ustach wodza husyckiego, ale dzieciom trudno jest stanąć na tém przedmiotowém stanowisku; słowa nienawiści zrozumiane więc być mogą jako nakaz moralny.

Ze względu na styl książki wogóle, można go uznać za dobry, wyraziłbym tylko zdziwienie, że artykuł o Konarskim rozpoczyna się od tych słów: „Za panowania Augusta III mędrsi obywatele przewidywali, że ten nieład musi przyprowadzić ojczyznę do zupełnego upadku" (str. 138). Gramatycznie rzecz rozpatrując, trzeba wytknąć niektóre usterki; drugi przyp. l. m. *wybrzeż* mniéj jest dobry niż „wybrzeży," *szczątka* (str. 69: „nie pozostało szczątki") w rodz. żeń. nie używa się, tylko w rodz. męskim: szczątek. Indyanie jest-to nazwa przyjęta dla dzikich mieszkańców Ameryki; mieszkańcy zaś Indyj nazywają się Indusami, o czém zapomniano w całym artykule p. n. „Szalony Słoń." Wyraz portugał (str. 143) oznacza monetę a nie naród.

Ortografia i przecinkowanie dość staranne, chociaż wzorowemi nazwać ich nie można; w użyciu j zachodzą sprzeczności, w pisaniu wyrazów razem lub oddzielnie—niejednostajności, pisanie wielkich liter zupełnie dowolne: europejczyk przez *e* a tuż obok Apasz przez A, toż Klasztor obok kościół i t. p. Błędów drukarskich jest kilka ciężkich, str. 34: *nedlieij* zam. nie jedli; str. 43: „suche role się podają" (zam. padają), str. 69; najprzód zam. naprzód! Kazimierz W. zakłada akademią w r. 1354 (zam. 1364).

Tak Wypisom p. G—go jak p. D—go wspólném jest to, że mało w nich zużytkowano poetów pierwszorzędnych; a mianowicie, ze względu na stopień przygotowania wychowańców, mało jest wyjątków

z Mickiewicza. P. D. wziął tylko „Powrót taty“ balladę, która począwszy od r. 1830 ma już stale zapewnioną w Wypisach siedzibę. P. G. zużytkował „Alpuharę“ i dał trafnie dobrany wyjątek z Pana Tadeusza przedstawiający Zosię w otoczeniu ptastwa domowego. Przeciwko „Alpuharze,“ jakkolwiek również od r. 1830 do wypisów przeniesionéj możnaby nadmienić, że uczy zemsty, ale ponieważ Almansor nie jest przedstawiony jako ideał (jak Żyżka w wierszu Romanowskiego), czyn więc jego nie może wpływać uniemoralniająco, a piękność formy balladę tę zaleca. Wyjątek z Pana Tadeusza zasługuje na bezwarunkową pochwałę, dodam tylko, że możnaby z tegoż arcytworu daleko więcéj nawet dla części „wstępnéj“ wyciągnąć. Z bajek Mickiewicza możnaby śmiało do téjże części wziąć dwie: „Przyjaciele“, „Lis i kozioł“, a nawet bajka „Osioł i pies“ nie byłaby zdaje się za trudną do zrozumienia i wygłoszenia, zwłaszcza gdy zważymy, że tak powszechnie używane bajki Krasickiego z powodu zwięzłości słowa a niekiedy z powodu nieprawidłowéj konstrukcyi niemałą przedstawiają trudność dla młodocianych umysłów, jednakże ani pedagogów ani dzieci nie zrażają. Niechże się tedy łamią dzieci z pewnemi trudnościami i w bajkach Mickiewicza, a korzyść, mianowicie z powodu świeżości, siły i barwności wyrażeń, plastyki w opisach będzie nierównie większa aniżeli przy uczeniu się na pamięć bajek Krasickiego lub mniéj jeszcze poetycznych Jachowicza.

Druga cecha ujemnie obie książki charakteryzująca jest ich strona wydawnicza; nie postarano się o dobry wyraźny druk ani téż o trwały nieprzebijający papier. Linie z odwrotnéj stronicy widać w połowie na poprzedniéj; a to na wzrok oddziaływa szkodliwie; témbardziéj, że wiersze bardzo często nierówno są odbite.

II.

Wypisów obejmujących zakres „średni“ mamy do porównania troje: pp. Gargulskiego, Bądzkiewicza oraz Seredyńskiego i Dzieduszyckiéj. Najmniejszą pod względem objętości jest książka p. G-go. Na pierwszy rzut oka zastanawia w niéj ta okoliczność, że znajdujemy tu wiele bajek tych samych, jakie są pomieszczone w części wstępnéj („Dwa żółwie,“ „Furman i motyl“, „Dziecię i zegar“ itd.). Dowodzi to bądź-co-bądź braku zastanowienia, co jakiemu wiekowi odpowiada; jeżeli bowiem bajki owe są zrozumiałe dla dzieci młodych, to pocóż je powtarzać dla starszych; jeżeli są za trudne, pocóż je było w części wstępnéj umieszczać? Jeżeli zaś jest to dowodem

wahania się, to nie przemawia na korzyść pedagoga taka niepewność w rzeczach będących pierwszą potrzebą dydaktyczną. Może jednak p. G. przytoczyć na usprawiedliwienie swoje fakt, że część średnią wydał wprzód aniżeli wstępną i że w przeciągu roku zmienił swoje zapatrywania. Zgódźmy się i na to; ale równocześnie zapytajmy, dlaczego takie drobne i bardzo dobrze dla dzieci zrozumiałe powiastki jak: „Bławatki,“ „Pleban i Kmiotek,“ „Miłość prawdy“ w części średniéj pozostawił, zamiast je do wstępnéj przenieść? Są-to jednak usterki niewielkie, gdyż nie wyprowadzają na manowce ani też nie oddziaływują źle na moralność wychowańca. Nie brak wszakże błędów i téj drugiéj kategoryi. P. G. pomieszcza artykuł Bohomolca o Kochanowskim. Pomijając już styl, którego wzorowym nazwać nie można, są tu omyłki, których wpajać w pamięć niewolno pedagogowi. Kochanowski, według tego artykułu, urodził się w Siczynie roku 1532, umarł mając lat 52, matka była z Białaszowa, jeden z przyjaciół K-go nazywał się Fogelwerk, umarł w Zwoleńcu, „w języku polskim tak się wydoskonalił, iż ani przedtém ani *potém* równego mu w téj mierze nie mieliśmy.“ P. G. zapomniał, że Bohomolec pisał swoję przedmowę do wydania dzieł Kochanowskiego w r. 1767, kiedy wielu szczegółów biograficznych o poecie naszym nie wiedziano, i kiedy o Mickiewiczu mowy być nie mogło. —Jak ten artykuł wykracza przeciw prawdzie, tak opowiadanie o Głonce, ostatnim wodzu opryszków w Karpatach, nie może się przyczynić do obudzenia uczuć szlachetnych w młodzieży. Opowiedziano tu jako rzecz godną pochwały zabicie opryszka przez podstęp i zdradę, do czego obywatel Sieciech używa takiego środka: „Gdy zasłyszał o Głonce, rozkazuje w téj wsi zamieszkałego przywołać rodzonego brata Głonki, zapowiadając mu, że, jeżeli nie odkryje, gdzie się brat opryszek ukrywa, mścić się na nim i na całéj jego rodzinie nie omieszka“ (str. 62). Mogłoby to być najzupełniejszą prawdą, ale czyż p. G. zamieszczając ustęp w swoich wypisach nie uczuł oburzenia na wspomnienie pomysłu Sieciecha, którego wykonawcą miał być brat Głonki i młodzi parobcy? czyż mógł przypuścić, że opowiadanie to uszlachetni serca wychowańców?

Z dwunastu tomów Korzeniowskiego nie potrafił p. G. wybrać ani jednego ustępu przydatnego dla młodzieży, a z kilkuset tomów Kraszewskiego dał jeden kruciutki artykulik o Bocianie i znany wiersz humorystyczny „Dziad i Baba“. Czyż doprawdy ci pisarze nie dostarczają dla naszéj młodzi nic, coby na pamięć zasługiwało, coby ich uczucia ku ideałom podnosiło? Ale natomiast, znajdujemy trzy artykuły pióra p. Gargulskiego: „Druk“, „Kompas“, „Głowonóg“. A jakie-to artykuły! Przypatrzywszy się jednemu, poznamy wartość

innych. Weźmy pod uwagę *Druk*. „Wynalazek sztuki drukarskiéj, (sic) zawdzięczamy Janowi Gutenberg (!). Mając lat 20, udał się on do Sztrasburgu (!) jako szlifierz, gdyż temu rzemiosłu poświęcił swą młodość i ono miało zapewnić mu utrzymanie... Pokup był wielki na te ryciny, gdyż każdy łatwo mógł je *pojąć*; naród w ogóle *przejęty* był duchem religijnym... Biblia ubogich złożona z 40 rycin, z krótkim opisem rzeczy wyobrażonéj *rysunkiem*... Szeffer uczynił wielki postęp *wynalazkiem* głosek (zam. czcionek) lanych, co *dawało je kształtniejsze* do druku... Drukowali biblię łacińską, któréj 12 arkuszy *było już poczęte*... *Księża klasztorni*, nie mogąc pojąć sztuki drukarskiéj, tak łatwo zastępującéj mozolne przepisywanie, *poczytywali* w niéj udział złego ducha... Pierwsze księgi sławiańskie drukował Świtopełek Fiol literami Cyrylickiemi... Oto jest skrócony obrazek języka, stylu, ortografii i korekty tego artykuliku na 2 stronicach druku. Także same zalety znaleść można i w dwu innych utworach p. G-go. Zdaje mi się, że kto nie włada dobrze językiem ojczystym, ten za wzór podawać się nie może.

Jest to jednakże rzecz zrozumiała; miłość zaślepia, miłość własna tém bardziéj; ale co trudne do zrozumienia, to nieuwaga czy pobłażliwość doświadczonego pedagoga, który takie wypracowania, za które uczniowi z trudnością trójkę zapisać-by przyszło, do Wypisów swoich bierze, mało co je ogładziwszy. A zdarzył się ten wypadek p. Bądzkiewiczowi. W jego książce znajdujemy dwa wspomniane już artykuły p. Gargulskiego: „Druk“ i „Kompas“. Są one ulepszone jedynie pod względem przestankowania a tu i owdzie pod względem odmian gramatycznych, chociaż bez zachowania konsekwencyi; słusznie poprawił p. B. wyrażenie: „Janowi Gutenberg“ na „J. Gutenbergowi“, ale zostawił „Andrzejowi Drycen“ (str. 271), zostawił wszystkie niepoprawne lub nieudolne wyrażenia, co więcéj nawet na błąd drukarski: „Kurfist Moguncyi“ (str. 272) targnąć się nie ośmielił na jednéj stronicy, chociaż na następnéj już odważniéj pisze Kurfirst przez duże K, ale natomiast wierny wzorowi, litery Cyrylickie czci należycie. W artykule o „kompasie“ przestarzałe wyrażenie „kamień magnesowy“ (str. 258) zachowuje nietkniętém. Nie kusząc się o rozwiązanie zagadki, dlaczego p. B. uznał te nieszczęśliwe artykuły za wzorowe, dodam tylko, że uwagę powyższą z prawdziwą przykrością musiałem zapisać; wogóle bowiem biorąc, książka p. Bądzkiewicza odznacza się starannym układem, dbałością wielką o dobrą korektę, o konsekwencyą w przeprowadzeniu jednostajnéj ortografii. Konsekwencya ta nawet raz okazała się niewłaściwą, p. B. bowiem w jotacyi tak daleko zaszedł, że nawet wyraz Benjamin pisze: Benijamin, choć nie ma po temu najmniejszego powodu, gdyż imię to ja-

ko złożone z dwu wyrazów *Ben* i *jamin*, może i powinno się pisać przez samę jotę.

Powtarzam jednak, że z książki p. B—a widać wyraźnie, iż układana była starannie, z prawdziwém zamiłowaniem przedmiotu. Są w niéj przeoczenia i omyłki (przypisywanie hymnu *Omni die Dic Mariae* itd. ś. Kazimierzowi); ale te w tomie mającym 451 stron jeżeli nie są do wytłómaczenia to do wybaczenia przynajmniéj. Jest jednak w samym układzie książki téj błąd ważny, który w praktyce dydaktycznéj może się dla niéj szkodliwym okazać. P. B. dbał prawie wyłącznie o naukę i moralizowanie czytelników, a bardzo mało się troszczył o ich zainteresowanie. Podaje on bardzo dobre artykuły historyczne, niektóre cenne opisy zjawisk przyrody, przedstawia ważniejsze wynalazki, zamieszcza rozumne napominania do cnoty; słowem uczy dużo, zajmuje rozum, ale do serca i wyobraźni przemawia rzadko. Nawet pod względem stylu więcéj niewątpliwie znajdziemy w książce p. B-a poprawnych aniżeli prawdziwie pięknych ustępów. Może to wynika z zasady, jaka p. B-wi przewodniczyła w układzie wypisów; może on istotnie chciał za ich pośrednictwem wpływać na rozwój zdolności rozumowania i na zwiększenie zasobów pamięci; zauważyć jednak muszę, że zasada taka byłaby jednostronną, a więc nie pedagogiczną. Zdaje mi się, że o to wszystkim wychowawcom idzie, ażeby uczniowie lubili książki szkolne, ażeby nie przymusowo tylko do nich zaglądali i przez to wstrętu ku nim nabierali, ale żeby z istotném zajęciem czytaniu ich z własnéj woli się oddawali. Wtedy dopiéro mogłoby do pewnego przynajmniéj stopnia zmniejszyć się czytanie pokątne nie tylko rzeczy zdrożnych, ale wogóle żywiących fantazyą i uczucie. P. B. nie zrobił nic albo prawie nic, żeby cel ten osiągnąć. Pominął powieść zupełnie, jakby nie istniała. Z dzieł Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kaczkowskiego, Żmichowskiéj nie umieścił ani jednego ustępu, z olbrzymiéj ilości utworów Kraszewskiego zamieścił krótki wyjątek z opisu Polesia. A nawet w dziale, będącym z natury rzeczy karmią dla uczuciowości tj. w poezyi p. B. tak potrafił dobierać artykułów, żeby tę karm uszczuplić jaknajbardziéj. Z Pana Tadeusza zamieścił dwa tylko wyjątki: „Śniadanie w domu pana sędziego“ i „Grzybobranie.“ P. B. wolał pomieścić słabe a nawet liche wiersze Jachowicza, jak: „Potęga słowa“ lub „Wieczór Kochanowskiego w Czarnolesiu“ aniżeli dać miejsce kilku sonetom krymskim lub „Zeglarzowi“ (w skróceniu) albo „Dumie o Wacławie Rzewuskim“ lub „Hymnowi o zachodzie słońca“ Słowackiego. Nie można zaprzeczyć, że to, co p. B. podał z poezyi, należy do rzeczy dobrych i pięknych, ale trudno nie spostrzedz, że brak tu wzniosłych.

Do charakterystyki książki p. B. należy i to, że najdłuższe w niéj ustępy mieszczą się na 4 kartach, a takich jest zaledwie kilka, najczęstsze zaś są kartkowe, stronicowe, a nawet półstronicowe. Dowodzić chyba nie potrzeba, że artykuliki półstronicowe (z wyjątkiem anegdot) są odpowiednie dla młodszéj dziatwy, nie mogącéj jeszcze dostatecznie objąć większéj całości, ale w Wypisach dla „średnich“ klas są niestosowne, gdyż najprzód drażnią tylko ciekawość, nie dając jéj zaspokojenia, a powtóre na tak szczupłéj przestrzeni trudno rozwinąć myśli głębsze potrzebujące obszerniejszego obrobienia.

Pozostaje nam jeszcze do ocenienia najobszerniejsza z tegorocznych książka do czytania, praca składkowa p. Seredyńskiego i pani Dzieduszyckiéj. Zawiera ona 882 stronic ścisłego druku, poezye są odbite petytem. Z saméj już objętości wnosić można, że materyału do czytania i rozwagi książka ta dostarcza podostatkiem. Wszystkie niemal rodzaje prozy i poezyi zostały w niéj uwzględnione, rozmaitość zatém jest wielka, wypisy te zawierają treść zarówno wzbogacającą pamięć i rozum jak zajmującą wyobraźnię i kształcącą uczucia Książka ta służyć ma głównie dla szkół wyższych żeńskich a mianowicie dla seminaryów nauczycielskich, jak to wyczytujemy u dołu każdego arkusza i przedmowie, zwrócono więc w niéj uwagę na zajęcia i losy kobiece. Dążność ta przebija się w powieściach (Marta, Cecylia), w szkicach z dziedziny obyczaju i pracy, we wspomnieniach (Życie ziemiańskie kobiét, Ostatnia uroczystość weselna starego kroju, Zajęcia niewiasty polskiéj w XVIII wieku, Wiadomości o rozwoju haftu, o koronkach, Zapiski młodéj nauczycielki, Z pamiętników Klementyny Tańskiéj), daléj w życiorysach i wizerunkach (Matka Jagiellonów, Marya Teresa, Katarzyna Wapowska, Katarzyna Jagiellonka, Klaudyna Potocka, Marya Pope-Carpantier) w zarysach dziejowych (Wychowanie dziewcząt w Chinach, w Egipcie, w Judei, w Grecyi, w Rzymie), w rozprawach wreszcie i mowach (Praca kobiét, O kształceniu kobiét w Anglii, Mowa na nabożeństwie za duszę Zofii Potockiéj). Prócz tego, nawet w artykułach ogólniejszéj treści, takich jak: „Marzycielstwo“, „Jest prawda w poezyi, jest poezya w prawdzie“ rozumowanie zwrócone jest ku temu, ażeby usposobienie kobiéty dla niéj saméj wyjaśnić i nadać mu dobry kierunek. Nawet w oddziale poezyi starannie wyszukiwano takie utwory, któreby najłatwiéj do serc niewieścich przemówić mogły; a trzeba przyznać, że wyboru dokonano z istotną znajomością rzeczy. Książka więc odpowiada swemu celowi: uczy i zajmuje umysły kobiéce. Rzeczywiście, jest dobrą, zwrócę tylko uwagę na pewne szczegóły, które może przy drugiém wydaniu uwzględnione będą.

Zadziwia najprzód w książce dla kobiét przeznaczcnéj brak nazwiska Żmichowskiéj (Gabryelli), nie ma go ani w dziale prozy, ani w dziale poezyi, nie ma go jako podpisu autorskiego, ani jako nadpisu nad życiorysem lub charakterystyką. Czy-to zapomnienie, czy zgóry postanowione wykluczenie? W pierwszym wypadku byłoby rzeczą naganną, w drugim jednostronnością poglądu na umysłowość kobiécą i zakres jéj działalności. Brak życiorysu Żmichowskiéj jako nauczycielki i gienialnéj autorki wobec panegiryku na cześć Zofii z Branickich Potockiéj „co niby kokosz nad pisklęty rozciągnęła opiekuńcze skrzydła“ nad rozrosłą rodziną (str. 613) co najmniéj razić musi. Ze względów nawet czysto dydaktycznych, dla porównania, wypadało obok hymnu na morzu Słowackiego dać wiersz Gabryelli: „Czemu mi smutno“; a prześliczny obrazek p. n. „Burza,“ nie mówiąc już o większych utworach, wart był miejsca w książce, która energią i wytrwałość w duszy kobiécéj zaszczepić pragnie.

Powtóre, zbyt wielka jest liczba przekładów z obcych języków. W dziale poezyi prawie połowę zajmują tłómaczenia: Odysei, Antygony, Grafa Habsburga. Przeciwko zamieszczeniu tych utworów nie podobna zrobić żadnego zarzutu, ale wolno wskazać nieproporcyonalność w stosunku utworów oryginalnych do przekładów; Odyseja zajmuje 90 stron, gdy wyjątki z Pana Tadeusza—zaledwie 12. Antygonę dano całą a z Lilli Wenedy—ani jednego ustępu. Ale tu przynajmniéj piękność tłómaczenia daje pewne zadośćuczynienie; w przekładach zaś z prozy musimy się raz-po-raz gniewać na niepoprawność stylu. Na 7 ustępów powieściowych, jest oryginalnych tylko 3; a tłómaczenia są rażąco złe pod względem gramatycznym i stylowym; czytamy tu o „znikomych“ (zam. przelotnych) uśmiechach, co przemykają po surowéj twarzy (94), o Lili, która była „dzieckiem domu“ (tamże), przypatrujemy się, jak w „rozważone usta“ wsączają po parę kropli bulionu (100), jak ludzie spostrzegają się „nieobecności“ Wintera (tamże), słyszymy o „zcierpniętym“ (104) mózgu pomijając rzecz już o *jak żeby* (zam. jak gdyby) o bułce *ze* szynką i tym podobnych specyałach.

Bardziéj usprawiedliwione są ustępy tłómaczone z dziedziny techniki, gdyż w naszém piśmiennictwie trudnoby coś podobnego znaleść, ale wcale nie są usprawiedliwione takie całkiem niepolskie wyrażenia jak: „Nie wypada jak tylko przyklasnąć (str. 255), lub: brzeżki o „pojedyńczym“ (zam. prostym) rysunku (254).

Wreszcie nie możemy pochwalić wyboru dość obszernego wyjątku z kursu estetyki p. Seredyńskiego (str. 487—505), gdyż ustępy te nie odznaczają się ani gruntownością i jasnością wykładu, ani też stylem, który jest niepoprawny, a niekiedy usiłuje być kwiecistym

a jest tylko napuszonym. Niech o tém zaświadczy choć mały wyjątek: „Z tych samych wyobrażeń wysnuły się w umyśle człowieka i inne jeszcze myślne postaci, urobiły się pojęcia, sądy i wnioski, które stanowią istotną treść owego mnóstwa podjętych (?) wyobrażeń, z pomocą których zdobywamy dopiéro poznanie prawd *tkwiących zasadą* w zjawiskach i rozumienie *wszystkiego* (zam. całego) otaczającego nas życia" (str. 489).

Druk i papier Wypisów tych jest dobry; możnaby tylko zaprotestować przeciwko petytowi w poezyach; korekta natomiast bardzo wiele pozostawia do życzenia; są tu wierzyczki, są takie daty jak r. 1569 za czasów Batorego itp.

Jeszcze parę słów o podziale na rodzaje prozy i poezyi we wszystkich wzmiankowanych tu książkach. Z wyjątkiem p. Seredyńskiego i pani Dzieduszyckiéj, którzy rozumieją dydaktyczną ważność podziałów tych, inni układacze wypisów zdają się je lekceważyć. Tworzą oni najdowolniéj i najfantastyczniéj rozdziały i ustępy, nie troszcząc się prawie wcale o umiejętną zasadę. Jestto objaw zostający niewątpliwie w związku z dość rozpowszechnioném u nas lekceważeniem stylistyki, którą uważają za rzecz przestarzałą, scholastyczną, nie mającą dzisiaj racyi bytu, pozbawioną praktycznego znaczenia. A jeżeli inne części stylistyki są lekkomyślnie pomijane, to témbardziéj rzecz o podziałach, gdyż, jak twierdzą, rodzaje prozy i poezyi tak zachodzą na siebie, że o rozgraniczeniu ich ani myśléć. A przecież do gruntownego wykształcenia potrzebne jest niewątpliwie uogólnianie, bez którego prawdziwa wiedza istniéć nie może, tylko luźne, chaotycznie pomieszane wiadomostki. Przyjąwszy to za rzecz pewną, zgodzić się będziemy musieli, że zdolność do rozumnego uogólniania od najpierwszéj młodości kształcić wypadnie. Choćbyśmy więc od ucznia nie wymagali ścisłych definicyj co do różnych gatunków prozy i poezyi, powinniśmy dbać o to, żeby książka, którą ma przed oczyma, była wzorem ładu należycie obmyślonego; przypatrując się porządkowi temu, nabierze on powoli, przy odpowiednich wskazówkach, jaśniejszego pojęcia o różnicy działów, z których książka jego się składa, przyzwyczai się do systematycznego myślenia. Jeżeli zaś w książce ładu nie znajdzie, to jakże ma go sobie przyswoić?

P. Gargulski, na wzór Łyszkowskiego, nie troszczy się wcale o jakiś wymotywowany podział; daje on napisy, jakie mu się na myśl nawiną: 1) Ustępy z pisma ś. 2) nauki i obrazy moralne, 3) przypowieści i powiastki moralne, 4) bajki prozą, 5) anegdoty, 6) opowia-

dani z życia społecznego, 7) legendy i baśnie, 8) obrazy i opowiadania historyczne, 9) opisanie miejsc, 10) historya naturalna. Tak jest w części wstępnéj; w części średniéj niektóre tytuły zatrzymano, inne przechrzczono, albo dodano nowe w tym rodzaju jak np. „Zwyczaje", „Blizkoznaczne słowa," „Wynalazki". Nie jest to podział, ale chaos.— P. Dygasiński poezyą dzieli podług rodzajów (na nauczającą, opisującą, liryczną), prozę zaś według przedmiotów wziętych pod rozwagę (nauki przyrodnicze i ziemioznawstwo, moralność i obyczaje, historya i biblia). Brak tu zatém jednostajnéj zasady podziału.—P. Bądzkiewicz daje ogólny podział według *jednéj* zasady podziału, wyróżniając prozę 1) „opowiadającą i historyczną" (!) 2) „opisową i podróżopisarstwo" 3) „rozumową i dydaktyczną" a poezyą epicką i liryczną, ale w szczegółach prozę dzieli według przedmiotów a więc idą osobno: igrzyska, zwyczaje, zjawiska przyrody, ustępy religijno-moralne, wynalazki itp. I znowu robi się zamieszanie. Najwięcéj systematyczności posiadają Wypisy p. Seredyńskiego i pani Dzieduszyckiéj; są one ułożone według rodzajów literackich; ale w rozmieszczeniu pojedyńczych ustępów popełniono niekonsekwencye rażące, do prozy opisowéj zaliczono artykuły należące właściwie do prozy dydaktycznéj (np. o hafcie, o koronkach, o kruku, o bocianie, o strusiu itd.); do prozy historycznéj wtłoczono „Zapiski młodéj nauczycielki", które właściwsze miejsce znaleźć-by mogły w prozie powieściowéj, gdyż kolorytu ściśle historycznego nie mają wcale.

Dziwna rzecz, jak u nas liche wzory są aż do bezmyśli naśladowane, a dobre—lekko cenione. Słaba kompilacya Łyszkowskiego dziś jeszcze ma swych wielbicieli; gdy tymczasem od lat już dwudziestu kilku mamy w trzytomowym zbiorze p. Jana Rymarkiewicza i w jego Prozaice bardzo dobrze i rozważnie obmyślany i do praktyki zastosowany podział wszystkich form prozy; a do téj pory żaden z „autorów" książek do czytania nie zechciał pójść w jego ślady i ulepszając w szczegółach, zatrzymać zarys ogólny. Zapewne wybitna indywidualność tych Wypisów budzi w układających nowe wypisy, obawę, żeby ich o kopiowanie nie posądzono i powstrzymuje od pójścia za dobrym przykładem. Czyż przy takiém postępowaniu może się u nas wyrobić dobra, zdrowa tradycya pedagogiczna, jeżeli *dobre* prace poprzedników nie są dla nas wskazówką?

P. Chmielowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Wojciech Oczko.—Przymiot i Cieplice, opatrzone życiorysem i oceną stanowiska naukowego W. Oczki przez dr. Edwarda Klinka oraz rozprawą o języku dzieł przez Ad. Ant. Kryńskiego. Wydanie jubileuszowe, Warszawa 1881. Str. V, CXXXV i 554, nakładem Towarzystwa lekarskiego warszawskiego.

Niejeden z czytelników naszych przypomina sobie zapewne piękny poemat Syrokomli: „Zgon Acerna,“ w którym jako szlachetny przyjaciel i pocieszyciel gasnącego poety występuje Wojciech Oczko, słynny w XVI w. lekarz i pisarz znakomity. Z osobistością i uczonemi pracami tego właśnie męża zaznajamia szerszą publiczność dr. Edward Klink, w dziele p. t. wyżéj przytoczonym. We wstępie dowiadujemy się historyi powstania tego dzieła. Dr. Klink pracując oddawna nad chorobami wenerycznemi i widząc ubóstwo literatury naszéj w dziedzinie historyi medycyny, postanowił zająć się zbadaniem dzieła Oczki p. t. *Przymiot* (syfilis); a zbadawszy je zaproponował w r. zeszłym Towarzystwu lekarskiemu uskutecznienie przedruku rzeczonéj pracy, która też jego nakładem a staraniem projektodawcy pojawiła się w r. b. jako edycya jubileuszowa w 3oo letnią rocznicę 1-go wydania, poświęcona zaś dr. Józefowi Majerowi, prezesowi Akademii umiejętności krakowskiéj, którego jubileusz obchodzono na świeżo odbytym zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie.

W wydawnictwie tém oprócz przedruku głównéj pracy Oczki: *Przymiot* i drugiéj mniejszych rozmiarów: *Cieplice*, znajduje się życiorys znakomitego syfilidologa i ocena jego stanowiska naukowego, skreślone przez dr. Klinka, oraz rozprawka o języku Oczki pióra Ad. Ant. Kryńskiego.

Osobistość Oczki była nam dotąd znana, lubo niedostatecznie, głównie z prac Sobieszczańskiego i ks. J. T. Lubomirskiego. Szczegółową jednak i bardzo dokładną biografią, a także wiadomość o rodzinie jego podał nam dopiéro dr. Klink, oparłszy swą pracę zarówno na dziełach drukowanych, jako téż, i to przeważnie, na źródłach rękopiśmiennych (akta radzieckie staréj Warszawy, akta zjazdowe v. konwencyonalne, akta kapituły warszawskiéj, księgi skarbowe i księgi metryki koronnéj), przy pomocy których, pracą skrzętną i mozolną wyświetlił wiele stron niejasnych i wyszperał mnóstwo drobiazgów interesujących. Długo mniemano, iż Oczko (który własnoręcznie podpisywał się: Ocko a i na pierwszych wydaniach w téjże postaci znajduje się jego nazwisko) był rodem z Czech lub téż z Morawii; dopiéro ks. Lubomirski dowiódł, iż urodził się w Warszawie, a dr. Klink wykazał na podstawie źródeł rękopiśmiennych, że rodzina Oczków jest czysto-polska, mieszczańska (chociaż w XVI w. spotyka się Oczków i wśród szlachty), osiadła głównie w Warszawie i że była już znana w XV w. Dziad Wojciecha Maciej i ojciec Stanisław byli stelmachami, w rodzinie prócz rzemieślników byli i uczeni; brat naszego doktora Rościsław i synowiec Wincenty. O stosunkach familijnych i majątkowych całego rodu dostarcza dr. Klink wiele wiadomości ciekawych i cennych, przytaczając z aktów oryginały łacińskie i dosłowne przekłady polskie. Oprócz wykazania rodowitości polskiéj Oczków, sprostował jeszcze dr. Klink datę urodzenia i śmierci Wojciecha. Bibliografowie i historycy literatury utrzymywali aż dotąd, że urodził się r. 1545 a umarł 1608. Tymczasem biograf nasz na podstawie dokumentów wnioskuje nieomylnie, iż umarł albo w ostatnich dniach Grudnia r. 1599 albo téż na samym początku Stycznia r. 1600 w Lublinie, gdzie go téż pochowano; a że wedle napisu na grobowcu Oczki, zachowanym w kościele Bernardynów lubelskich, żył lat 63, więc ur. r. 1537. To są dowody niezbite. Inne zaś przytoczone przez dr. Klinka (str. XI—XII) na poparcie, iż nie mógł się urodzić r. 1545 nie wytrzymują krytyki. Gdyby albowiem ur. r. 1545, to wypadałoby stąd, na mocy odnośnych i pewnych danych, iż w r. 16 życia studyował już filozofią, w r. 24 został dr. medycyny, a w 31 lekarzem nadwornym i sekretarzem królewskim, czego autor życiorysu nie przypuszcza i nie wierzy, aby te odznaczenia mogły spotkać Oczkę w tak młodym wieku. Tymczasem faktem jest powszechnie znanym, że wielu nawet w latach wcześniejszych otrzymywali stopnie doktorskie; przypomnę tu tylko Pico Mirandolę, który już w r. 14 życia studyował prawo kanoniczne, w 23 wystąpił ze swemi sławnemi 900 tezami; a syt sławy zgasł w r. 31 a i nasz Janicki w r. 24 życia już był zaszczycony godnością dr. filozofii. Więc

nie na mocy tych wnioskowań, ale na podstawie rzeczonych wyżéj dowodów, sprostowaną datę uważamy za niewątpliwą, co istotną stanowi dr. Klinka zasługę. Dowiadujemy się daléj, iż Oczko, ukończywszy nauki początkowe w szkołach miejskiéj i katedralnéj w Warszawie, następnie wspierany funduszami kapituły, studyował od 1559 lub 1560 przez lat 2—3 filozofią w Krakowie, że w końcu 1562 wrócił do Warszawy jako bakałarz, 1562—65 uczył w szkole katedralnéj, od 1565 (znowu wspomagany przez kapitułę) poświęcał się nauce medycyny we Włoszech i Francyi (Montpellier), zawadził też o Hiszpanią, 1569 wrócił jako dr. medycyny i filozofii do grodu rodzinnego; od 1576 był lekarzem nadwornym Stefana Batorego a potém Zygmunta III oraz sekretarzem królewskim; Batoremu towarzyszył na wyprawach wojennych. Żonaty był dwukrotnie (1574 i 1596), ale dzieci nie zostawił. Rozległa praktyka nie przeszkadzała mu pracować naukowo. Był Oczko nietylko znakomitym lekarzem, ale i obywatelem zacnym, filantropem szlachetnym, hojnym mecenasem i mężem wylanym dla dobra społeczeństwa, które całą umiłował duszą. Zdolnościami swemi, pracą, nauką, podniosłością umysłu, przywiązaniem do kraju pozyskał uznanie powszechne; choć syn stelmacha, jest jedną z gwiazd na firmamencie nauki polskiéj i świetnym jaśnieje blaskiem na skreślonym przez dr. Klinka obrazie umysłowości naszéj w. XVI. Nie darmo też nazywał go Batory *vir excellentissimus* (mąż znamienity—nie *najwyśmienitszy*, jak tłómaczy biograf).

Skreśliwszy pięknėm piórem życiorys Oczki, maluje daléj dr. Klink stan wszelkich gałęzi wiedzy lekarskiéj a w szczególności nauki o chorobach wenerycznych w Europie i u nas w wieku XVI, następnie, aby ułatwić czytelnikowi zrozumienie dzieł Oczki, daje obszerne ich streszczenie, w końcu zamieszcza ocenę jego stanowiska naukowego. Oczko wydał 6 dzieł, z których 4 w języku łacińskim znane są dziś jedynie z tytułów, dwa zaś napisane po polsku doszły czasów naszych, a mianowicie: *Cieplice* (Kraków 1578) i główne *Przymiot* (Kraków 1581); ostatnie należy do rzędu białych kruków. Dzieło p. t. *Przymiot* składa się z 2 ksiąg; we wstępie, do ks. I kreśli Oczko, jak mówi wydawca, „ogólny pogląd na przymiot, jego powstanie, rozwój objawów i leczenie, przyczém podane są niektóre wskazówki, odnoszące się do przebiegu przymiotu w Polsce“ (str. LXXXIII), daléj „opisuje najrozmaitsze metody leczenia przymiotu, zalecane w owym czasie, szczegółowo zaś przedstawia leczenie przymiotu za pomocą wcierań maści szaréj i rozbiera wszystkie następstwa, jakie wynikały z nadmiernego użycia merkuryuszu, przyczém podaje jednocześnie sposoby leczenia tych następstw; w ks. II poda-

je opis szczegółów wszystkich objawów przymiotu i wszelkich powikłań i następstw, najczęściéj napotykanych u chorych syfilitycznych“ (str. LXXXII). Dzieło to napisał Oczko nie tylko dla lekarzy, ale i dla pacyentów, jak przypuszcza wydawca. Podług dr. Klinka, Oczko, uczeń sławnych mistrzów włoskich i francuskich, jest znakomitością jako lekarz praktyczny i naukowy. Posiadał on gruntowną znajomość chorób syfilitycznych, których leczeniem głównie się zajmował; jest wybornym dyagnostą i terapeutą; niektóre działy, jak np. dyetetyka, opracowane są tak świetnie, że i dzisiejsza nauka nie wiele co do nich dodać może. Dzieło jego świadczy, że doskonale był obeznany z całą literaturą współczesną europejską, dotyczącą chorób wenerycznych, oraz z Hipokratesem, Galenem i lekarzami arabskimi, na których oparł swoję terapią; nadto umiał sam spostrzegać i badać; niektóre części obrobił zupełnie oryginalnie. Jakkolwiek spotykamy u niego i bałamuctwa, które na karb wieku policzyć trzeba, to jednakże „on pierwszy założył w Polsce podstawę dla nauki chorób wenerycznych i słusznie należy mu się miano ojca syfilidologii polskiéj“ (str. CVIII). „*Przymiot* jest dziełem pomnikowém“ mówi daléj dr. Klink, „stoi ono wyżéj od bardzo wielu współczesnych dzieł traktujących o chorobie syfilitycznéj; niewątpliwie doznałoby europejskiego powodzenia, gdyby po łacinie było napisane, ale my upatrujemy w tém wielką zasługę Oczki, że je po polsku wydał; znajdujemy bowiem dowody jego wielkiéj miłości dla kraju i języka ojczystego“ (str. CIX).

Drugie dziełko: „*Cieplice*,“ przez które rozumie się wszelkiego rodzaju źródła mineralne, nietylko gorące, ale i zimne, siarczane, słone, żelaziste itd. przeznaczone podobno dla pacyentów, uzupełnia *Przymiot*; opracowane jest naukowo i systematycznie, a z powodu wielu uwag praktycznych może i dziś jeszcze dla leczących się u wód służyć za podręcznik. Interesuje nas ono i z tego względu jeszcze, iż zawiera w sobie wzmianki o różnych zdrojowiskach w Polsce.

Oba dzieła napisane wyborową polszczyzną. Znamionują ją naturalność i właściwa wiekowi XVI prostota, piękność obrazowania, jędrność i dosadność wyrażenia oraz, z wyjątkiem zwykłych owym czasom konstrukcyj łacińskich, czystość wzorowa. Cechuje ją nadto jakiś wdzięk ponętny a niewysłowiony, który miłe sprawia wrażenie w porównaniu z mdłością i bezbarwnością języka wielu pism dzisiejszych. Zbogacił Oczko język polski mnóstwem wyrazów lekarskich i oczyścił go od innych mniéj właściwych. Tak więc jest Oczko, nie tylko pierwszorzędnym uczonym, ale i znamienitym stylistą stojącym na równi z najcelniejszymi prozaikami epoki Zygmuntowskiéj. Nad właściwościami języka zarówno wspólnemi Oczce i literaturze szesna-

stowiecznéj, jako téż jego indywidualnemi: a to pod względem głosowni, fleksyi, składni, etymologii i stylu zastanawia się w cennéj lubo pobieżnéj rozprawie p. Kryński, dołączywszy także słowniczek niektórych wyrazów. Żałujemy jednakże, iż p. Kryński podając przedewszystkiém charakterystyczne znamiona języka, wyróżniające go od mowy spółczesnéj, niektóre tylko zjawiska językowe objaśnia, tłómaczenie zaś innych pomija milczeniem; jak np. przyczynę zmiękczenia *rz* na *śrz* lub *jrz*, oraz *sr* na *śr* lub *śrz* (str. CXV—CXVI); sądzilibyśmy, iż dla wielu czytelników wyjaśnienie takie nie byłoby zbyteczne. Wyrażenia *lecie*, *zimie* (str. 231) są zdaniem naszém miejscownikami bez przyimka użytymi, które, jak w starosłowiańskim, tak i w polszczyźnie XVI w. nie utraciły bynajmniéj znaczenia rzeczownika i nie były przysłówkami, jak to utrzymuje autor przy wyrazie *lecie* (str. CXXIV); nie wyłuszcza daléj takich form jak *miali* nie *miali* (425), w których *a* wbrew dzisiejszéj polszczyźnie nie ulega osłabieniu czyli zwątleniu; nie zwraca uwagi na formy: *rádczéy* (str. 25) obok *rádniéy* (str. 488), *mieśce* (str. 490) obok *mieysce* (str. 491), *skámieniały* (27) obok *zákamáły* (22), obok zaznaczonego bezokolicznika *przyść* pomija *vydź* (str. 433), podobnież zamilcza brak asymilacyi fonetycznéj w rzeczowniku *widchnienie* (str. 5) itd. Dodany słowniczek jest téż bardzo niedokładny; nie znajdujemy w nim wielu wyrazów dziś niezrozumiałych, jak np. szarucha (6), blocha (11), sciatyka (13), niprzecz (22), grámatka (26), onaki (102), owcug (6), trazon (97) consus (98), tawta, lész, miętkiew (153), nadejść (str. 493) w znaczeniu zdybać, znaleść itd. Nie jest téż należycie objaśniona rozmaitość w pisowni Oczki. Zdaje nam się, iż większa dokładność w traktowaniu różnych szczegółów ułatwiłaby znacznie czytelnikowi zrozumienie dzieł Oczki.

Pod względem wydawniczym odznacza się dzieło okazałością i przepychem. Format ćwiartkowy, papier wyborowy, druk wyraźny i czysty. Przyozdobione jest drzeworytem (wedle rysunku dr. Peszkiego), wyobrażającym grobowiec Oczki, podobizną autentycznego listu Oczki do podskarbiego Młodziejowskiego, oraz homografiami karty tytułowéj *Przymiotu* podług ed. z r. 1581 i przedmowy autora do czytelnika. Korekta obu dzieł Oczki, zmudna i uciążliwa, przeprowadzona bardzo starannie; zajmowali się nią pp. Badowski, Włodarski i profes. Przyborowski. „Przymiot“ przepisał p. Komarnicki, a Cieplice p. Włodarski. Na marginesach cytowani są autorowie, na których Oczko się powołuje lub z których czerpał. Brak, zdaniem naszém, wydawnictwu jednéj i to bardzo ważnéj rzeczy, mianowicie objaśnień czyli komentarzy zarówno rzeczowych, jak leksykalnych, zwłaszcza, że załączony słowniczek jest niedostateczny. Komentarze

takie wiele materyj fachowych, zwykłemu czytelnikowi niezrozumiałych, wyjaśniłyby i treść samę uczyniłyby przystępniejszą. Jakkolwiek zresztą świetnie i z wielkim nakładem pracy dokonane, nie jest ono przecież wolne od pewnych usterek. Przedewszystkiém razi nas wielce, a szpeci dzieło, brak jednostajnéj pisowni w rozprawach dr. Klinka i p. Kryńskiego. P. Kryński odstępuje od zasad pisowni dotychczasowéj; wprowadza bowiem w swéj pracy *i* jotowane (jimiona, jistoty, zajimków, swojich, historyji), przyimek z oznacza literą *s*, zamiast podwójnych pisze spółgłoski pojedyńcze (klasyczny), w narzędniku i miejscowniku l. p. r. m. i n. przymiotników i zaimków stale daje końcówki *ym* (lubo znajdujemy: po zmiękczeniu po*przedniém* (CXV), a w narzędn. l. m. wyszystkich rodzajów *ymi* itd. Dr. Klink tymczasem zasad tych nie uznaje, a co więcéj dopuszcza się samowolności. Tak np. miejscownik i Narzędn. l. p. r. n. przymiotn. i zaim. pisze przez *em* zam. zwykłego dotąd *ém*, a dopeł. celow. i miejscow. l. p. r. ż. tychże wyrazów *ej* zamiast éj; wogóle jest stanowczym nieprzyjacielem *é* (pochylonego); daléj: biernik l. p. r. ż. rzeczowników żeńskich z tematową *j* raz pisze przez *ę*, np. propozycyę (III) filozofię (V), małmazję (CII), drugi raz przez *ą* np. herezyją (VIII); w tychże rzeczownikach raz tematową zatrzymuje np. opozycyja, (cywilizacyja (VIII), kwestyja (CVI), to znowu ją wyrzuca np. propozycyę (V), kwestyę (CVI), a w. dopełn. l. m. zam. końcówki *j* znajdujemy *i* np. elegii (X), uncyi (LXXIX); z tą nieszczęsną jotą dzieje się coś podobnego i w innych wyrazach albowiem obok: studyja (IX) dyjeta (LXXXVI) mamy dieta (LXXXV), terjaka (XCI); obok kwestyę spotykamy małmazję; spółgłoski w jednych słowach zachował podwójne: kolledzy (II), korrekta (IV), professorów (VI), w innych pojedyńcze: profesor (IV), korespondencyja (VI); obok: zaląc (LXXXV), wyląc (CVIII) widzimy strzedz (LXXXVIII); dziko też wygląda pisanie moją propozycyę (III) zam. moję propozycyą, owe prawo (VIII), wszystkie ciało (LXXXIII) zam. owo, wszystko. Czy mamy to złożyć na karb fantazyi ortograficznéj, czy niedbałości korektorskiéj? Tę ostatnią widać znowu w innych razach i w obu rozprawach, tak np. medyk włoski zowie się na str. XXVI Aranziusz a na str. LIV Arantiusz; na str. XXVI spotykamy pozostawali zam. pozostawili, str. LXXXIV miętki zam. miękki; str. LXXXVI narzędn. l. p. r. m. jednémzam. jednym str. CXVI emonologia zam. etymologia itd. W ustępach przytoczonych z Oczki p. Kryński trzyma się wiernie pisowni oryginału, dr. Klink zaś zwykle własnéj swéj ortografii a niekiedy Oczkowéj. Dr. Klink dopuszcza się niekonsekwencyi w używaniu nazwiska *Oczko*; raz albowiem rzeczownik ten odmienia, drugi raz uważa go za nieodmienny lub źle odmienia np. po Stanisławie Oczku, zam Oczce

(XVII), przez W. Oczko (XVIII), pracowitego Stanisława Oczko (XXIII), Wojciechowi Oczko (XXVII), co sprzeciwia się już duchowi języka. Spotykamy nadto i inne uchybienia językowe u wydawcy, jak: *władza* senatu upadła (VII), powinno być *powaga*, *znaczenie*; nauka Galena się *rozpadła* (LV) zam. upadła; wikaryusz *wiekuisty* (LIV) zam. stały (po łacinie *perpetuus*), *stelmachy wystąpili* (XVI) zam. stelmasi lub stelmachowie wystąpili, albo wreszcie stelmachy wystąpiły; *najbardziéj szczegółowe* (LI), *najbardziéj krytyczne* (LI) zam. najszczegółowsze, najkrytyczniejsze; niepoprawna też konstrukcya np. taka: pomimo tego że bardzo wiele poglądów etc. było jeszcze w powszechném poszanowaniu, *ale* (?) etc (LI) zamiast *ale* powinno być: jednak, wszelako. Sądzimy także, że należałoby pisać *syfilidyczny* zam. syfilityczny, jeżeli piszemy prawidłowo: syfilidolog, syfilidologia.—Ośmielilibyśmy się wreszcie zwrócić uwagę szanownego wydawcy, że nie Krzycki ułatwił Janickiemu wyjazd do Włoch (VI), lecz Kmita; Janicki albowiem wyjechał za granicę 1538 r. w rok po śmierci Krzyckiego, o czém przekonywa nas sam Janicki w elegii VII ks. II i elegii VI ks. I oraz Węclewski w broszurze: „Wiadomość o życiu, o pismach, wydaniach i przekładach poezyi Janickiego" (1869, str. 5—8); wątpimy także, iżby piękna biblioteka Raczyńskich miała się znajdować w Toruniu (LXXXI), chyba że świeżo przewieziono ją tamże z Poznania.

Mimo zaznaczonych usterek wydawnictwo dzieł Oczki jest istotnie pomnikowe; a uboga w źródłowe opracowania i poprawne edycye pisarzów dawniejszych literatura nasza zbogacona została pięknym nabytkiem. Kilkoletnią mozolną pracą dobrze się zasłużył piśmiennictwu ojczystemu i nauce dr. Klink, któremu należy się od nas słusznie publiczna podzięka. Nie możemy również pominąć obywatelskiéj zasługi Towarzystwa lekarskiego, które nie pożałowało znacznego nakładu. Obyśmy więcéj mieli prac takich, a umysłowość przeszłości naszéj w jaśniejszych o wiele przedstawiłaby się barwach. Dzieła Oczki czytać może i powinien nie tylko lekarz, ale każdy, kto prawdziwie miłuje język ojczysty. Nie wątpimy więc, że znajdą one szerokie koło czyt lników.

St. M.

Jan Žižka, o sepsáni životopisu jeho pokusil se Wácslaw Wladiwoj Tomek, Praha 1880. 8-o, str. 228.

Autor tego dzieła cieszy się wielką popularnością u swoich ziomków, którą mu zjednały liczne prace na polu dziejopisarstwa,

szczególniéj zaś historya uniwersytetu Praskiego i historya miasta Pragi, z któréj dotychczas wydał 4 duże tomy a doprowadził ją dopiéro do roku 1436. Pisząc ostatni tom tych dziejów, obejmujący historyą miasta od roku 1420, potrącał w nim autor nieraz i obszernie nawet o głównego bohatera owéj epoki Jana Żyżkę i z tego względu szczególną musiał zwracać uwagę na źródła, odnoszące się do historyi jego osoby. Dlatego po ukończeniu 4-go tomu historyi Pragi, p. Tomek postanowił dopełnić studya nad materyałami, tyczącemi się Żyżki i osobny życiorys jego napisać, mając na uwadze wielką rolę, jaką w historyi odgrywa dzielny przywódzca husytów. Takim sposobem powstało niniéjsze dzieło skromnie zatytułowane — próba biografii.

„Jan Żyżka" odznacza się temi samemi zaletami co i poprzednie prace autora: objektywnością przedstawienia i malowniczością wykładu, stylem przytém i językiem tak łatwym i przystępnym, że polak lub słoweniec bez trudności może je czytać, choćby nawet bardzo mało obznajmiony był z językiem czeskim. W opowiadaniu swém autor zupełnie usuwa się na stronę: podaje czytelnikowi wierne i krytyczne przedstawienie wypadków i samemu pozostawia sąd o nich; raz tylko jeden (str. 37—38) p. Tomek daje poznać swoje sympatye dla narodowego bohatera, biorąc go w obronę i uwalniając od bezpośredniéj odpowiedzialności za okrutne nieraz postępki i czyny Taborskiéj jego drużyny. Na to nie można się zupełnie z autorem zgodzić: broni on Żyżkę tylko argumentami, przeciwko którym jednak pozwalają się postawić wprost o przeciwném świadczące... fakty. Raz Żyżka bezpośrednio zapewne wpłynął na spalenie 24 pikardów (str. 88); drugi raz sam domagał się, ażeby konsulowie prascy spalili dwóch księży pikardów: Loquisa i Prokopa (str. 110); inne podobne dane można znaleść na str. 167, 186, nie tylko w tych razach ale i w wielu innych Żyżka mógł bezwątpienia przeszkodzić barbarzyńskim postępkom, mając taką władzę i wpływ w swojém stronnictwie, gdyby sam był zwolennikiem zupełnie humanitarnego postępowania z swoimi politycznymi i religijnymi przeciwnikami, gdyby się odznaczał bardziéj tolerancyjném usposobieniem.

Malowniczość wykładu, opierająca się na dokładnéj znajomości ogólnéj historyi Czech i miejscowości, w których się wypadki odgrywały, podnosi wartość dzieła i tych mianowicie rozdziałów (6, 7 i 8), w których są opowiadane, dosyć jednostajne w szczegółach, wyprawy Żyżki w różne strony kraju i które bez niéj byłyby suche i mało zajmujące. Oprócz źródeł już wydanych, autor czerpie niektóre szczegóły z rękopiśmiennych materyałów; w wykładzie trzyma się ściśle

chronologicznego porządku, dzieląc rzecz całą na 16 roźdzjałów a w 17-tym opowiadając „O Żyżce po śmierci.“

Ponieważ zbrakło-by mi tu miejsca na szczegółowy rozbiór każdego roździału, przeto uchylam się od tego (nawiasem zauważywszy, że autor mylnie na str. 103 i 139 nazywa Witołda bratankiem Władysława Jagiełły) i poprzestaję tylko na rozpatrzeniu kwestyi, która nas bliżéj obchodzi.

Nim jeszcze ukazało się to dzieło rozeszły się wieści (autor miał przedtém odczyt o Żyżce w Towarzystwie historyków czeskich w Pradze), że prof. Tomek odrzuca zupełnie podanie o bytności Żyżki w bitwie pod Grunwaldem. Ponieważ u nas każdy, kto czytał Szajnochę („Jadwiga i Jagiełło,“ Lwów 1861, tom IV str. 287—288) uważał to za pewne i ponieważ Matejko—nie bez racyi, jak przypuszczać należało—spopularyzował bardzo to podanie, umieszczając Żyżkę na obrazie, przedstawiającym wiekopomne zwycięztwo szlachetnego i gnębionego „barbarzyństwa“ nad zbójecką i najezdniczą „cywilizacyą,“ niecierpliwie oczekiwałem samego dzieła, ciekawym będąc w jaki sposób p. Tomek wspomiane podanie krytykować będzie. Autor tymczasem w gruntowną krytykę się nie bawi i poświęca temu faktowi na str. 11 krótki tylko przypisek następującéj dosłownéj treści: „Żeby Żyżka stracić miał oko w bitwie pod Tannenbergiem (1410, 15 lipca), w któréj zjednoczeni Polacy i Litwini odnieśli walne zwycięztwo nad niemieckimi rycerzami w Prusach, jest czystym wymysłem uczonych bardzo późnych. Jeżeli się nie mylę, twierdzi to pierwszy dopiéro Beckowsky (1700). Czesi i Morawianie przyjmowali wprawdzie w téj bitwie udział, według opowiadania Długosza, ale Żyżka, Długoszowi przed innymi dobrze znany, nie wzmiankuje się między nimi. Długosz jako dowódzcę czeskiego wspomina tylko Sokoła, to jest Jana Sokoła z Lamberku i Zbysławka, także Salawę, z Morawian zaś Jana Jenczykowic z arystokratycznego rodu, używającego herbu, zwanego Odrowąż.“ Cały ten wywód jest mylny i dowodzi, że szanowny autor, zajmując się historyą Żyżki i jego czasów, nie czytał, co o tém pisze Długosz, chociaż tego z wielu powodów pomijać nie należało. Wprawdzie Długosz przy opisie Grunwaldzkiéj bitwy nie wspomina wcale o Żyżce, ale o kilkanaście kart niżéj pod rokiem 1419 (wydanie Lipskie, tom I, str. 408), opisując wypadki czeskie, tak dosłownie powiada: „Johannes Zischka, qui superiori tempore apud Poloniae Regem in Prussia, bellis assiduis exercitatus fuit, uno carens oculo, quem pridem strenue pugnans amiserat, Hussitarum veneno infectus et rapidarum avidus etc.“ Tak więc świadczy o tém nie żaden późniejszy historyk, ale sam Długosz; że zaś jego świadectwo odnosić się może tylko do woj-

ny Pruskiéj w 1410 r. tego nie trzeba dowodzić, gdyż to wypada i z porównania innych danych z życia Żyżki. Sądziłbym nawet, że właśnie za zasługę i męztwo w téj bitwie Żyżka został dworzaninem królewskim, którėj to łaski inaczéj sobie umotywować nie można, skoro przyjęcie go do dworu królewskiego przypada na ten czas, kiedy z Polski mógł do Czech powrócić.

Teodor Wierzbowski.

Mein Polen. Reise-Erinnerungen aus dem Jahre 1879 von Maria Teresia Gräfin (hrabianka) Ledochowska, Graz 1881, 8-o, str. 158.

Wspomnienia z podróży po Polsce, pisane przez Polkę w języku niemieckim są, że tak powiem, w zasadzie rzeczą ciekawą. Z zajęciem też czytelnik weźmie książkę do ręki i z większém jeszcze czytać ją zacznie, gdy z pierwszéj strony dowie się, że są to wspomnienia autorki, wychowanéj w Austryi i poraz pierwszy odbywającéj wycieczkę do rodzinnego kraju. Obiecuje więc sobie znaleść tu sprawozdanie o tém, jak się obecny stan kraju, życie społeczne i t. d. i t. d. przedstawiają autorce, obserwującéj nieprzyzwyczajoném okiem, jakie na nią sprawiają wrażenie. Tymczasem spostrzega, że próżne są jego oczekiwania, gdyż książeczka ta ma wartość jedynie dobrego i gładkiego geograficzno-stylistycznego ćwiczenia.

Autorka powiada na str. 4, że „rozważanie piękności natury jest najczystszą i najwspanialszą radością“ i stosownie do tego, najwięcéj miejsca, bodaj czy nie $^3/_4$ całości, opisom przyrody poświęca: drobiazgowo opisuje terren, po którym biegną szyny kolei żelaznéj od Wiednia aż do Wilna i drogę do Poszyrwincia wsi o kilkanaście mil za Wilnem, którą to przestrzeń autorka jednym tchem przebyła; opisuje następnie szeroko swą posiadłość, miejsca, po których się przechadzała, pojedyńcze kamienie, drzewa, górki, laski, rzekę (w duchu Wincentego Pola, który na Litwie nic więcéj nie znalazł godnego poezyi, jak tylko ryby, grzyby i wędzonki), nie pomija pouczyć nas, gdzie tam stoją budynki folwarczne, stajnie, kuchnia i spichrz i inne przytacza szczegóły, interesujące może dla osób familii, ale nic nie obchodzące szerszego ogółu, czytające się bez zajęcia, tém bardziéj, że wszystko opowiedziane jest wprawdzie gładko ale bardzo prozaicznym stylem i językiem. Inne spostrzeżenia autorki są dosyć powierzchowne i niezbyt zajmujące lub znane (np. opis dożynek, obrzędów pogrzebowych) a niektóre własne zdania autorki nawet nieco naiwne gdy powiada: „*ich glaube*, dass sich noch Mauer-überrste von ehemaligen Wällen dort (w Częstochowie) befinden

müssen“ — resztki murów z wałów, czyli tak samo, jakby ktoś powiedział: kawałek końskiéj skóry z barana—albo: „*ich glaube* es (obraz Matki Boskiéj Ostrobramskiéj) ist mit Oelfarben und auf Holtz gemalt, albo też gdy wypowiada zdanie, że pieśni śpiewane przez lud przy dożynkach musiały oczywiście powstać przed zniesieniem poddaństwa i pańszczyzny! Toż samo co o spostrzeżeniach, powiedziéć można i o wrażeniach autorki: są średnio przeciętnéj miary; gdy zaś wspomnienia, wywołane widzianemi przedmiotami (str. 20, 27) silniéj wzruszają istotę autorki, nie umie doznawanemi wrażeniami owładnąć, uporządkować je, by piórem następnie opisać.

W powrotnéj podróży z Poszyrwincia do Wiednia, autorka zatrzymuje się dzień w Wilnie i dwa dni w Warszawie i w krótkości opisuje nam, co w tych miastach widziała. Opis niektórych miejscowości jak np. Łazienek, Saskiego ogrodu jest samodzielny i dosyć malowniczy, co zaś się reszty tyczy (przedewszystkiém kościołów) robi na czytelniku wrażenie, jakby był wyjęty z jakiegoś przewodnika podróży—takim pisany jest stylem suchym i konwencyonalnym.

Mimo że autorka, jak przypuszczać można, urodziła się za granicą, tam była wychowaną i tam stale przebywa, przedstawia się czytelnikowi jako gorąca patryotka—polka. Bezstronność jednak każe mi przyznać, że jéj patryotyzm osobliwszego nieco jest rodzaju—a najprzód, pojmuje go nie inaczéj jak tylko, jeżeli jest w zgodzie z dekretami Trydenckiego soboru i innych. Wylewy patryotycznych uczuć, jakie kilkakrotnie czytamy są piękne, ale ckliwe robią na czytelniku wrażenie, gdy z innych miejsc książki dowiaduje się, że autorkę dziwią zwyczaje lub ceremonie, obserwowane w Polsce, że jéj przeszkadzają w nabożeństwie śpiewy kościelne, wykonywane według innéj melodyi niż w Austryi, że austryackim łokciem mierzy to, co widzi w Polsce, że geografia i historya polska są jéj tylko z imienia chyba znane. Geografia polska nie zna miast: Czenstochow i Wilna i nie wie, żeby w Wilnie był obecnie jaki uniwersytet. Historyczne wspomnienia na str. 28—33 są tak oklepane, że wiedzą o nich u nas nieledwie dzieci, które mówić zaczynają, autorka tymczasem dowiedziała się o nich, przyjechawszy dopiéro na miejsce i opowiadać się zdaje jako nowość. W którym podręczniku lub dziele polskim z zakresu historyi wyczytała autorka, że Kościuszko, padając w bitwie pod Maciejowicami, miał wymówić słowa... które mu tylko potwarcy kładą w usta i które ona powtarza? Jest to niegodne kłamstwo!—zaprzeczył temu sam Kościuszko własnym listem, który można czytać choćby przy końcu życiorysu jego, wydanego w r. 1876 w Poznaniu przez Teodora Żychlińskiego.

Pewną okrasą tych wspomnień z podróży jest tłómaczenie czterech ludowych pieśni, któreby nie zawadzało przytoczyć i w oryginalnym języku, dając zarazem możność ocenienia o ile przekład ich jest wierny; można-by zaprotestować tylko przeciw zdaniu autorki, że są one łabędzim śpiewem ludu, w którego ustach dziś żyją; gdyż, zdaje się, że lud, co je powtarza, nie jest skazany na los amerykańskich indyan, ale ma jeszcze przed sobą przyszłość, w której gdy te jego pieśni zamilkną — powstaną zapewne czyny, według parafrazy poety.

Teodor Wierzbowski.

Etyka Mikołaja Reja z Nagłowic. — Księgi wtóre żywota poczciwego człowieka.

Tak zatytułowaną pracę zamieściły w 1880 roku „Kłosy“ w Nr. Nr. 793 do 804. Jest-to studyum p. Romana Plenkiewicza, obiecujące, jak widzimy z napisu, odsłonić nam poglądy moralne jednego z najdzielniejszych pisarzów naszych, którego możemy poczytywać za przedstawiciela szlachty z połowy w. XVI. Tu mimowoli nasuwa się pytanie, czy autor przysporzył nam cokolwiek materyału świeżego, nieznanego? czy nam przedstawił całość zasad Reja? czy wykazał, o ile tenże wyróżniał się od innych współczesnych?

Kto chce pisać i opracowywać specyalną działalność jakiegoś autora, np. etyczną, nie powinien jak p. P. wnioskować o tak rozległym przedmiocie z „Ksiąg wtórych żywota poczciwego człowieka,“ bo to jest nie tylko lekceważeniem spuścizny literackiéj po Reju, ale zarazem i do błędów prowadzi.

Z powodu niezużytkowania całego materyału, wnioski autora o poglądach Reja są niepełne, niedostateczne, a częstokroć fałszywe, bo czyż można z „ksiąg wtórych“ a zatém z jednéj trzeciéj części jednego dzieła wnioskować o całéj etyce Mikołaja Reja, nie uwzględniając ani „Krótkiéj rozprawy“ ani „Postylli“ ani „Apokalypsis“ ani „Wizerunku?“ Niewłaściwość takiego postępowania wskażę na kilku przykładach:

„Dosyć — powiada p. P. — porównać rozdziały o wychowaniu, życiu dworskiém, pochlebcach, *a przedewszystkiém o zbytkach w szatach, pokarmach i napojach*, o pysze i jéj rozmaitych odcieniach, by się przekonać, jak dalece Rej korzystał z Modrzewskiego.“

Tymczasem księgi *de Republica emendanda* wyszły dopiéro w roku 1551; a Rej już w „Krótkiéj rozprawie,“ (1543 rok) wyśmie-

wał to wszystko, co późniéj na poważną naganę Modrzewskiego zasłużyło. Czytamy tu:

Ukaż ten kołnierzyk, siostro!
Bo nań trzeba patrzyć ostro,
Bo w nim wzorek bardzó drobny—
Ale wżdy przecie nadobny.

. . . .

Jednak chodzę by łektuszka
Ni perełki ni łańcuszka!
A jako dzisiaj upstrzony—
I uboższych mężów żony!...
i t. d.

Takiż drugi ustęp znajdujemy w „Postylli,“ tylko zupełnie inaczéj wypowiedziany:

„Iż ja widzę córy syońskie, co to już możemy rozumieć córy chrześcijańskie, a nie chodzą z wyciągnionemi, a z podniosłemi głowami krążąc, a rozlicznie stawiając nogi swoje, mrugając na stronę, obracając oczy, a w pysze podnosząc głowy swoje. A dlatego powiada Pan, że Ja każę odrzéć i obłysić te marne głowy ich, te perły, te proste baranki“ etc.

Trzeci ustęp znany z „Żywota poczciwego człowieka!“ Otóż jest myśl, myśl jedna i taż sama wypowiedziana trzykrotnie. Autor nie uwzględniając „Krótkiéj rozprawy,“ pomysły nietylko Reja przyznał Modrzewskiemu, ale jeszcze nie rozróżnił i nie wykazał, jak się one w Reju rozwijały kolejno. Młody Rej satyrycznym uśmiechem chciał wywrzéć z początku wrażenie! ale widząc, że satyra nie skutkuje, wystąpił jako moralista.

„Nie odrzeczy będzie—mówi p. Plenkiewicz—oznaczyć czas, w którym (Rej) zerwał z panującym kościołem. Ogół pisarzów zajmujących się Rejem a przedewszystkiém W. A. Maciejowski i J. I. Kraszewski chwilę tę dosyć wcześnie, bo na rok 1533 naznacza, gdy ukazało się w druku jego tłómaczenie psalmu 113. Tymczasem zdaje się, iż przejście jego do kalwinizmu nie mogło przed rokiem 1545 nastąpić. Nasze zaś domniemanie opieramy na następnych wywodach. W roku wyżéj wymienionym, Rej wydał utwór dyalogowy pod tytułem „Żywot Józefa“ podzielony na spraw XII. W nim używa on wyrażenia „Matko Boża“ i o mszy świętéj wzmiankuje. Otóż ten podwójny anachronizm, uważamy za nader charakterystyczną wskazówkę. Gdyby Rej bowiem wtedy swe przekonania religijne odmienił, nie byłby pewnie, owiany duchem prozelityzmu, kładł w usta Józefa wezwania orędownictwa Boga rodzicielki, gdyż się kalwinizm stanowczo temu sprzeciwiał.“

Gdyby był p. Plenkiewicz znał „Postyllę,“ gdyby był znał „Krótką rozprawę“ nie przyszedłby zapewnie do tego wniosku i nie popełniłby błędu!

W „Postylli“ w III-ciéj części „w któréj się zawierają postępki i żywoty świętych niektórych i rozmowy onych, które Pan nasz ku nauce naszéj z nami mawiać i sprawować raczył“ zamieścił Rej 17 ewangelij na wszystkie uroczystości „Matki Boskiéj“ i innych świętych, których tytuły tu przytaczam:

1) „O wcieleniu panny Maryi;“ 2) „Na dzień Jędrzeja świętego i Jana świętego;“ 3) „Na dzień świętego Jana Apostoła;“ 4) „Na dzień nawrócenia świętego Pawła;“ 5) „Na dzień Macieja świętego;“ 6) „Na dzień Filipa Jakóba i Jana świętego;“ 7) „Na dzień narodzenia Świętego Jana;“ 8) „Na dzień Piotra i Pawła;“ 9) „Na dzień urodzenia Najświętszéj Maryi Magdaleny przeciwko niedbałości grzechów“ i t. d. Widzimy więc, że w „Postylli“ wyszłéj w roku 1556 a zatem w 11 lat po „Żywocie Józefa“ Rej nie popełnia anachronizmów tylko, ale pisze długie ewangelie, w których nieraz, ale kilkadziesiąt razy powtarza: „Matko Boża,“ „Najświętsza Panno“ i t. p.

Cóż więc z tego wnosić możemy? Przecież nie to, że Mikołaj Rej nie był do owego czasu dyssydentem...

Wszakże potrzeba było tylko wziąć do ręki „Krótką rozprawę“ a z niéj można było nabrać przekonania, że już przed rokiem 1543 Rej do dyssydentów musiał się liczyć.

W jednym z ustępów téj satyry, Rej występuje przeciwko opiece świętych patronów, zastosowanéj, przez ówczesne duchowieństwo do czuwania nad domowemi zwierzętami.

> Alboć ci wzmą (wilcy), alboć co daj,
> Tak kazał święty Mikołaj,
> Bo jeśli mu barana dasz—
> Pewny pokój od wilka masz.
> Dobry też Lenard dla koni,
> Dla wieprzów święty Antoni,
> Więc świętego Marka chwali,
> Więc Piotra, co kopy pali,
> Więc Michał, co leczy duszę.

Na stronicy 302-giéj p. Plenkiewicz cytuje „Zwierzyniec“ i „Figliki“ coby mogło stanowić dowód, że autor jeżeli nie z całego, to przynajmniéj korzystał ze znacznéj części materyału.

Nie pojmuję tylko, dlaczego przypisuje p. Plenkiewicz Rejowi, iż ten dalekim jest od potępienia statutu z roku 1496, który kmieci przykuł do gleby i w ręku pana złożył wymiar sprawiedliwości nie

określonéj innem prawem, nad poczucie sumienia. A przecież w „Zwierzyńcu znaleść można wierszyk na liście 132 zatytułowany:

Zając na ubogiego kmiotka.

Zajączek, jako kmiotek, iż ma kąsek mięsa
Więc go goni, koło płotka, choć nie krzyw ni kęsa.
Także ubogi kmiotek, drapie go, co żywo;
Daj panu—czynsz, pani—gęś, staroście—na piwo.
A snać, by ich nie skubli, więcéj-by ich mieli
Bo i ci nam przez zimę ledwie przesiedzieli
I zajączków gdyby tak nie często gonili,
Każdyby ich więcéj miał, by się rozrodzili.

Co się zaś tyczy „Figlików" i „Żartów" to tam „chłopów z głupia frantów" nie można brać za rzeczywistych wieśniaków, tylko za przedstawicieli jakiegokolwiek-bądź człowieka. Nie zestawiając „wtórych ksiąg" *Żywota* z innemi pismami Reja, autor natomiast zadał sobie pracę porównywania ich z poglądami Montaigne'a.

Mnie się zdaje, że całe to porównanie zupełnie nie było na miejscu. Montaigne urodzony 1533 roku wydał swoje „Essais" w 1580 r., a więc w 11 lat po śmierci Reja. Nie było więc można wykazać w żaden sposób wpływu Montaigne'a na Reja, a tém pewniéj Reja na Montaigne'a.

Może nam autor zarzucić, że Mickiewicz pierwszy zrobił to porównanie. Prawda. Ale Mickiewicz wykładał w Paryżu i aby dobitniéj dać poznać naszego poetę i pisarza, wskazał Francuzom: patrzcie oto jest on takim jak wasz Montaigne. My zaś nie znamy lepiéj Montaigne'a od Reja; u nas porównanie to nie może przynieść pożytku. Montaigne był człowiekiem starych zapatrywań, bronił kościoła katolickiego. Rej—był postępowcem, z kościołem katolickim zerwał i tylko niektóre ekonomiczne względy zmuszały go do pewnego konserwatyzmu.

Co się tyczy twórczego i poetycznego talentu Reja i na to w etycznéj swojéj pracy położył nacisk p. Plenkiewicz, cytując często ustępy. Wiele tych ustępów, które przypisuje autor etyki Rejowi, nie są tegoż z własnością jak np. (Nr. 797, str. 237, szp. II). „Wszakże jakby nie dosyć było Rejowi—mówi p. Plenkiewicz—tak widocznego i z taką prawdą nakreślonego obrazka, przedstawia on jeszcze rodzinę w porównaniach nacechowanych iście stylem biblijnym: Bo żona—słowa Reja—w tak dobrym małżeństwie, będzie jako winna macica, podawając p. Bogu wdzięczne gronka ku czci, a ku pociesze onemu towarzyszowi swemu. Dziatki będą, jako oliwne gałązki około stołu jego. A sam w swéj dbałości stanie jako drzewo cedro-

we, nad pięknym zdrojem pięknie stojące, które już żadnym wichrem poruszane być nie może.“

Otóż porównania tego nie stworzył Rej, jak utrzymuje p. Plenkiewicz, ale jest-to wyjątek z psalmów Dawida.

Rownież na następnéj stronie, opisanie ogrodu wzięte jest z Palingeniusa (księgi trzeciéj).

O innych wadach studyum p. P. jak np. o zupełnie zbytecznym a szeroko lecz sucho rozprowadzonym przeglądzie reformacyi w Polsce, bez umiejętnego grupowania faktów, przemilczam; zwrócę tylko uwagę na dwie jeszcze okoliczności.

W ustępie o Hozyuszu (Nr. 793, strona 175, szpalta I) autor mówi: „Mikołaj Dzierzgowski, prymas-arcybiskup gnieźnieński, przybyły świeżo z Trydentu, zwołuje w roku 1551 synod w Piotrkowie, na który oprócz innych biskupów, zjechał Stanisław Hozyusz, kardynał biskup warmiński, przybyły świeżo z Trydentu.“ Hozyusz był jednym z młodszych biskupów, gdyż dopiero w roku 1538 otrzymał kanonią krakowską i sandomierską, dopiero w roku 1549 został biskupem chełmskim, a w 1551 roku warmińskim. Sława jednakże młodego biskupa, po wykonaniu zlecenia włożonego nań na owym piotrkowskim synodzie, które tak znakomicie wypełnił w swojéj *Confesio fidei*, wzrastała szybko. W roku 1558 obdarzony od papieża Pawła tytułem „kolumny wiary“ a w roku 1591-szym dnia 26-go lutego został kardynałem. W rok późniéj otrzymał nobilitacyą i herb.

Zwraca też uwagę ustęp (Nr. 794, str. 186, szp. II), w którym autor, tak jak o Postylli i Apokalypsisie, mówi o katechizmie rejowskim.

Jak można było tak postąpić? Postylla i Apokalypsis to dzieła istniejące—a „katechizm“ znamy tylko z tytułu. Jakże nie widząc go i nie znając zupełnie możemy go równać z dziełami religijnemi. Czy same tytuły nie mogą nas mylić? Cóżbyśmy wnioskowali z przekazanych dwóch słów, zawierających w sobie niedokończony tytuł np. „*Gościniec pewny*“ nie znając jego końca? ale za to znając imię ich autora, którym był biskup Wereszczyński? Nie sądzilibyśmy zapewne, że w téj księdze znajdziemy: „niepomiernych moczygębów i wydmikuflów.“ Bądź-co-bądź o „Katechizmie Rejowskim,“ nie mamy prawa mówić z tą pewnością, z jaką mówi o nim pan Plenkiewicz.

Kończąc te uwagi musimy zaznaczyć, że materyał był do pracy, przedsięwziętéj przez autora, świetny i obszerny! Choćby samo przedstawienie „wolności,“ która tak różnie była pojmowana w XVI wieku, jakie-by ciekawe studyum dać mogło. Na tém tle możnaby

jedynie wykazać poglądy Reja, przedstawiciela potężnéj partyi szlacheckiéj.

W. Czajewski.

= Tomu drugiego **Encyklopedyi Wychowawczéj** wyszły już dotąd trzy zeszyty obejmujące artykuły na literę b, od *Basedow* do *Borowski.* Nie powtarzając tu ogólnych spostrzeżeń, jakieśmy dawniéj o tém szacownem a wielce pożytecznem wydawnictwie zrobili, zaznaczymy tylko uwag kilka, które nam przejrzenie rozprawek zawartych w trzech ostatnich zeszytach nastręczyło. Najpożyteczniejszą, zwłaszcza dla zajmujących się historyą pedagogiki w Polsce, pracą tu zamieszczoną jest niewątpliwie starannie zebrana i ułożona przez d-ra Władysława Wisłockiego „Bibliografia pedagogiczna polska," przedstawiająca w pięciu arkuszach petytowego druku w dwie kolumny spis dzieł i broszur, jakie od najdawniejszych aż do najnowszych czasów wyszły z pod pióra Polaków, w zakresie nie całéj wprawdzie pedagogiki, ale, najważniejszych jéj części. Znajdziemy tu więc rzeczy traktujące o wychowaniu i nauczaniu zarówno wogóle, jak w szczególności oraz materyały do historyi szkół w Polsce; brak tylko wymieniania podręczników szkolnych, co może odłożono albo do osobnego artykułu albo też do tych, które o oddzielnych naukach traktować będą, jak to widzieliśmy w artykule *Arytmetyka,* gdzie z bibliografią połączono i ocenę podręczników, z tego działu matematyki. Nie potrzeba być bezwzględnym czcicielem bibliografii, ażeby uznać jéj ważność, u nas zwłaszcza, gdzie znajomość źródeł w pracach historyczno - literackich jest tak bardzo ograniczona. Potrzeba tedy sprawiedliwém uczcić uznaniem żmudną pracę D-ra Wisłockiego, która niejednemu spółpracownikowi Encyklopedyi Wychowawczéj zrobi istotną przysługę. Możeby historyk pedagogiki w Polsce wolał, ażeby dzieła uszeregowane były nie alfabetycznie ale chronologicznie; możeby pracujący nad historyą Szkół życzył sobie, ażeby różne programata, popisy, wykłady nauk, akty uroczyste, i t. p. zebrane były nie pod temi nazwami, ale ułożone według nazwy szkół, do których się odnosiły; nie należy jednak zapominać, że wszystkim względom na-raz zadośćuczynić niepodobna, a układać spisy podwójne lub potrójne, jakkolwiek rzeczą jest dla bibliografa łatwą, ale złączoną z kwestyą ilości arkuszy druku, przeznaczonych na artykuł. Z rozprawek teoretycznych, których dotąd było bardzo mało, wymienić należy wybornie pod względem stylu, a gruntownie pod względem treści, napisane artykuły p. Juliana Ochorowicza p. n. „Bezinteresowność" i „Bojaźliwość," oraz słabszą stylowo, ale ze

znajomością przedmiotu skreśloną rzecz o „Bonach“ przez Henryka Wernica. Zanotować też należy pamiątkę po Aleksandrze Tyszyńskim—„Bojaźń bożą.“ Najwięcéj, jak zwykle dotychczas, znajdujemy prac z historyi pedagogiki powszechnéj a zwłaszcza polskiéj. Mamy tu zarys wychowania w Belgii; mamy obszernie przedstawioną działalność Bella i Lankastra (przez Henryka Wernica), Benekego (przez J. K. P.) mniéj obszernie ale dobrze—poglądy Basedowa, Berquin'a, Bernardina Saint-Pierre (przez L.), Bazylego W-go, Wincentego z Beauvais (przez F. J.). Z polskich pedagogów zwraca mianowicie uwagę Franciszek Bohomolec, którego zapatrywania i praktykę szkolną opracował nader starannie i szczegółowo p. Floryan Łagowski, jest-to pierwsza praca w naszéj literaturze wnikająca w głąb przekonań tak wydatnéj osobistości pedagogicznéj, jaką był niewątpliwie Bohomolec w połowie XVIII stulecia; autor ustrzegł się szczęśliwie zwykłych u nas szkopułów literackich t. j. przeceniania lub niedoceniania téj doniosłości, jaką miała działalność wziętych pod uwagę osób. W zestawieniu z tym artykułem jakże rażąco się przedstawia biograficzno-bibliograficzna notatka o Feliksie Bentkowskim. Na półtoréj stronicy opowiedziano tu życiorys, na pół stronicy skreślono, naturalnie ogólnikowo, działalność profesorską w uniwersytecie, przyczém poprzednia 14 letnia praca nauczycielska w Liceum warszawskiém została pominiętą, gdyż wzmiankowano o niéj w życiorysie jedynie; wreszcie na dwu stronicach wyliczono drukowane przez Bentkowskiego dzieła oryginalne, tłómaczenia i katalogi. We wszystkich zdaniach o pracach naukowych i działalności pedagogicznéj panują ogólniki powierzchowne, niczego nie uczące. A przecież Bentkowski jako pedagog zasługiwał na ocenę szczegółowszą i gruntowniejszą; do poznania jego działalności początkowéj dostarczają obfitego materyału programata Liceum Warszawskiego, w których można dokładnych zasięgnąć wiadomości zarówno o szczegółach treści jak i o metodzie, jakéj w wykładach swoich trzymał się Bentkowski. Powtóre jego historya literatury, będąca wiernym obrazem wykładów licealnych, zasługiwała na ocenę pod względem dydaktycznym, a jako pierwszy zbiór utworów piśmiennictwa na szerszą skalę, który wpływ wywarł wielki, domagała się sumiennéj charakterystyki. Redakcya Encyklopedyi Wychowawczéj, pomieszczając pierwszy artykuł biograficznéj treści (Agrykola) pisała: „Wykształcony pedagog powinien nie tylko poznać dokładnie wszystkie zjawiska pierwiastkowego rozwoju sztuki pedagogicznéj, ale powinien zrozumiéć ich wzajemny związek, powinien ocenić sprawiedliwie ich wzajemny stosunek, tudzież ich wpływ na ogólny rozwój kultury i oświaty narodu; bo tylko w ten sposób zdoła dokładnie zrozumiéć zadanie

pedagogiki w chwili teraźniejszéj.“ Wobec tego, usprawiedliwionem jest pytanie, czy artykulik o Bentkowskim da jaką karm umysłową temu „wykształconemu pedagogowi...“

= **Wydawnictwo Elizy Orzeszkowej w Wilnie** nie przestaje przypominać się ogółowi coraz to nowemi drukami. Ostatnie siedm książek i książeczek (od ósméj do szesnastéj) mają napisy następne: 1) *Przesądy w wychowaniu*, studyum pedagogiczne przez *Waleryą Marrené* (str. 178); 2) *Typy i obrazki krakowskie* przez *Michała Bałuckiego* (str. 262), jest-to zbiór 16 szkiców po większéj części nader wdzięcznie skreślonych; 3) *Zarys literatury polskiéj z ostatnich lat szesnastu* (tj. od r. 1865 do 1880) przez *Piotra Chmielowskiego* (str. 217); 4) *Poezya w wychowaniu* przez tegoż (str. 42); 5) *Wady naszych sadów* przez *Edmunda Jankowskiego* (str. 36), który nie tylko wskazuje tu braki sadownictwa naszego, ale podaje także rady, jak braki te usunąć, a w końcu proponuje założenie „towarzystwa ogrodniczego,“ któreby rozsyłało po kraju wędrownych nauczycieli ogrodnictwa, urządzało „Kursa sadowników“ zakładało „muzea żywych roślin,“ wydawało i rozpowszechniało czasopisma i dzieła ogrodnicze i t.p. — 6) *Szkice nie z natury* (str. 22) przez *Włodzimierza Spasowicza*, obejmujące znane czytelnikom „Ateneum“ rozprawy: o Syrokomli, Matuszewiczu, Polu i Hamlecie; 7) *Choroby duszy i odpowiedzialność moralna* (str. 38) przez *Antoniego Skórkowskiego*, przedstawiającego popularnie zarówno stan dzisiejszych poglądów na kwestye zaznaczone w napisie jako téż i dziejowy ich rozwój.

= **Wykaz pseudonymów** używanych przez autorów polskich ułożył *Edward Minkowiecki*, (Warszawa, 1881, str. XIX). Edward Minkowiecki należy do tych skromnych i cichych pracowników, których nazwisko rzadko wspominają dzienniki, ale którzy, obrawszy sobie pewien przedmiot badania, sumiennie i wytrwale nim się zajmują. Do bibliografii XIX wieku p. Estreichera dostarczył on niejednego cennego szczegółu; w „Przeglądzie bibliograficzno-archeologicznym“ czytaliśmy jego spis *kryptonimów* polskich, wiemy nadto, że ułożył wykaz wszystkich *pamiętników* zarówno wydanych przez Polaków jak odnoszących się do dziejów polskich, przygotował nadto do druku *bibliografią roku 1830 i 1831*, rzecz obszerniejszych rozmiarów, która mogłaby niemały pożytek przynieść zarówno historykowi politycznemu jak i historykowi literackiemu téj chwili dziejowéj. Obecnie ogłoszony „Wykaz pseudonymów“, skrzętnie zebrany, zawiera w alfabetycznym spisie najprzód nazwiska autorów z ich pseudonimami obok, a potém pseudonimy z właściwemi nazwiskami autorów obok. Nie jeden znajdzie tu ciekawą informacyą, a przyszły historyk literatury nie będzie potrzebował narzekać, że właściwego nazwiska autora

odszukać mu się nie udało, bo praca p. Minkowieckiego ułatwi mu oryentowanie się nie tylko wśród pseudonimów napotykanych na tytułach książek ale i wśród tych, które się w czasopismach z lat ostatnich zagęściły. Pożądaną byłoby rzeczą rychłe wydanie w osobnéj odbitce spisu kryptonimów, stanowiący uzupełnienie wykazu pseudonimów.

= Znakomite dzieło Langego przedstawiające dzieje materyalizmu zbliża się w przekładzie polskim ku końcowi. Miło nam zaznaczyć, że wyrażone przez nas przy ukazaniu się pierwszego zeszytu życzenie co do zmiany tytułu „Historya filozofii“ zostało ziszczone. Przy końcu pierwszego tomu dodano nowe karty tytułowe. Dziś więc książka Langego w polskim przekładzie nazywa się zgodnie z oryginałem: „**Historya filozofii materyalistycznéj** i jéj znaczenie w teraźniejszości.“ Przekładu tomu drugiego dokonał dobrze znany tłómacz wielu poetyckich utworów z literatury angielskiéj i niemieckiéj pan *Feliks Jezierski*. O ile w kilku miejscach sprawdzaliśmy, tłómaczenie jest wierne, a mimo to czyta się bez przymusu i bez tego nieprzyjemnego uczucia, jakiego się doświadcza, kiedy widzimy, że język tłómacza obraca się jakby w okowach. Możnaby się tylko o niektóre wyrażenia posprzeczać. Mówić o „zgniłym“ pokoju, jakkolwiek jest wiernym przekładem wyrażenia oryginału (der faule Frieden), nie wydaje nam się dobrą przenośnią w języku polskim; *der Fortbestand* tłómaczy p. J. przez „ciągłość“, co nie nasuwa myśli wyrażonéj przez autora, że trwanie religii, o któréj w tym ustępie jest mowa, i w dalszéj przyszłości jest niewątpliwém;—„poddawać się *pod* forum“ (str. 133) jakiekolwiek dla wygrania sprawy nie jest wyrażeniem gramatycznie poprawném. Przykrą omyłkę druku znajdujemy w nazwie rozprawy Milla: o **a**teizmie, gdyż ma ona napis: o *teizmie*.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

ARTYKUŁ 7 I DEKRETA MARCOWE

Szkic z wczorajszéj Historyi Kościoła i Społeczeństwa we Francyi.

Sądzę iż przyszedł czas na skreślenie téj karty historyi, którą tu przed oczami czytelnika chcę rozwinąć. Dopóki szczęk srożącéj się walki głośném aż do niego dolatywał echem, dopóty było za wcześnie. Historya ustępować musiała miejsca polemice. Dziś walczące strony nie złożyły wprawdzie broni, ani też żadna z nich ostatecznie rozbrojoną nie została; nastąpiła jednak chwila ciszy. Zniewolona do odwrotu, jedna z nieprzyjacielskich armij formuje się na nowych stanowiskach; druga obwarowywa zdobyte pozycye. Nie jest-to pokój ani nawet rozejm, ale przerwa tylko między dwoma aktami dramatu. Na pierwszy akt zasłona spadła i ten należy już do historyka. Że tego historyka rolę w piśmie polskiém dla polskich podjąłem czytelników, z tego usprawiedliwiać się nie sądzę abym miał potrzebę. Historya, w charakterze mistrzyni życia, nie zna kordonów granicznych. Nie francuską zresztą, ale wszecheuropejską raczéj, a więc i polską, nazwana być może sprawa, z którą się zgłaszam do uwagi moich współrodaków. Ścierają się tu żywioły, których my sami poniekąd cząstkę stanowimy, mocują się prądy, które nas samych unoszą, występują do stanowczéj może rozprawy dwa zastępy, wśród których każden, kto się do obywatelstwa nie we francuskiém, nie w europejskiém nawet, ale w ludzkiém społeczeństwie poczuwa, musi, tu lub tam zająć, choćby sympatyami swemi tylko, odpowiednie przekonaniom swym i dążnościom miejsce. Dekreta marcowe po jednéj stronie Renu — to tylko echo praw majowych po drugiéj stronie, a prawa majowe — to znowu jeden epizod tylko walki ogarniającéj wiek cały i społeczeństwo całe.

Zainteresowana zaś tym sposobem w tym epizodzie wczorajszéj historyi francuskiéj polska publiczność pozbawioną zda mi się być dotąd możności uchwycenia go w jego rzeczywistém świetle. Służy jéj wprawdzie możność czytania nieskończonéj ilości artykułów, feljetonów, broszur a nawet książek, zapełniających łamy pism i półki księgarni nadsekwańskich. Na placu walki wszelako, dla potrzeb walki, i z pod pióra walczących, nakształt pocisków, wychodzące utwory te, nie są w stanie dostarczyć podstawy do tego trzeźwego, beznamiętnego sądu, który jest téj polskiéj publiczności potrzebą. Tego rodzaju tendencyjne przedstawienie faktów jak np. pana Vacherot w zeszycie *Revue des deux mondes* z 1-go lipca z. r., albo pana Cherbuliez (Valbert) w tym samym zeszycie, przyczynić się mogą tylko do zwichnięcia pojęć i zaciemnienia poglądów. Żołnierza w zgiełku i zapale bitwy nie pytać o jéj plan i przebieg. Rzecz to stojącego na uboczu świadka. W roli też takiego świadka występuję tutaj, podejmując opowieść wypadków, na które patrzyłem z blizka, ale quorum *ne minima* quidem pars fui. Zabezpieczyć się chcę wszelako przed słuszną obawą czytelnika. Nie mam na myśli szczegółowéj kroniki, któréj drobiazgi znużyły by jego cierpliwość. Natomiast spotkać się obiecuję sobie z jego ciekawością i z jego uznaniem, kreśląc ogólny zarys pełnego doniosłości momentu dziejowego. Sądzę także, iż dobrze uczynię, jeżeli skorzystam z niewielkiego oddalenia epoki, w którą mi przenieść się wypada, i mając do czynienia z faktami przeważnie znanemi i w świeżéj powszechnie zachowanemi pamięci, poprzestanę na usiłowaniu związania ich węzłem logicznym i zestawienia we właściwym stosunku.

I.

Na pierwszy rzut oka, szereg chronologiczny tych faktów przedstawia się w postaci jednego z tych łańcuchów, o misternie splecionych kółkach, które pod nazwą *kwestyi* rzymskiéj lub wschodniéj stanowiły do niedawna najpokupniejszy towar w ręku wędrujących po bulwarach paryskich przekupniów. I ta charakterystyczna okoliczność staje mi się właśnie jedną pobudką więcéj do spełnienia podjętego tu zadania. I tak, pamiętny artykuł 7 występuje po raz pierwszy w projekcie prawa przedstawionym przez pana Ferry. Kiedy? Nie po zajęciu przez tego ministra stanowiska naczelnego w gabinecie: w epoce owéj gabinet Juliusza Ferry był jeszcze czemś zgoła nieprzewidzianém a nawet nieprawdopodobném. Nie za rządów jego poprzednika także: wszystkim wiadomo, jak dalece niepożąda-

ną była panu Freycinet ta część odziedziczonego przezeń ministeryalnego spadku. Jeżeli jakiemu naczelnikowi gabinetu przypadło do twarzy i mogło przystać do serca podjęcie na barki tego brzemiennego następstwami ciężaru, to chyba temu „urzędowemu ateuszowi, temu pod nr. 606 do pułku karbonarystów zawerbowanemu szeregowcowi,“ słowem Juljuszowi Simon. Gdzież tam! kiedy artykuł 7, uchwalony w Izbie niższéj, idzie pod wotum senatu, opozycya zachowawczo-klerykalna znajduje wymownego rzecznika, artykuł 7-my znajduje potężnego pogromcę—w kim? w panu Juliuszu Simon! Aż w końcu stropiony na drodze przypuszczeń umysł ucieka się do chronologii i znajduje u steru rządu, w chwili pojawienia się fatalnego artykułu—kogo? pana Waddingtona!

Ale to nic jeszcze. Artykuł 7, ta armata, ulana na zatracenie konserwatystów i klerykałów przez rewolucyonistę i ateusza Waddingtona, zagwożdżoną zostaje w Izbie wyższéj i nieuzdolnioną do wystrzału przez konserwatystę i klerykała Juliusza Simon. Cóż wtedy poczyna rewolucyonista i ateusz Juliusz Grévy? Oto na miejsce zagwożdżonéj armaty wydobywa kilka sztuk starych, zardzewiałych moździerzy—zkąd? z arsenału komuny zapewne, lub co najmniéj Dyrektoryatu? Gdzież tam znowu! Jeden z tych moździerzy wyszedł z ludwisarni za panowania tego zapalczywego rewolucyonisty i ateusza, który w historyi nosi imię Ludwika XV-go; do drugiego włożyli pierwszy nabój ministrowie nieszczęsnéj dla konserwatystów i klerykałów pamięci Karola X-go! Niepodobna do rozwiązania na pozór plątanina!

Ale to tylko pierwszy zewnętrzny pozór. Oczom sięgającym głębiéj te same wypadki z inném odsłaniają się obliczem. Ich zagadkowa zewnętrzna postać jest tylko maską, pod którą, jak dawni tajemniczy rycerze, ścierają się idee i interesa nie chcące z otwartą występować przyłbicą. I tak przedewszystkiém wychodzi na jaw ten fakt, że walka około artykułu 7-go i dekretów marcowych nie była i nie jest do téj pory w swéj istocie walką religijną. Taka walka, walka o religią, czy walka przeciw religii, to absolutne niepodobieństwo w kraju, w którym panującém wyznaniem jest od morza północnego do śródziemnego, od Alp do Atlantyku: indyferentyzm religijny. Artykuł 7 stał się tylko gruntem obranym za plac boju przez dwa czysto-polityczne żywioły: rewolucyjny i zachowawczy; żywioł zaś religijny odegrał od początku do końca rolę tylko sprzymierzeńca, którego pożądaną bądź-co-bądź pomoc każda z walczących stron pragnęła sobie zapewnić. Przypuszczam chętnie, iż taki pogląd nie poparty dostatecznemi dowodami obrazić-by mógł niektóre utarte już pojęcia. Dowodów wszelako nie zabraknie. Wystarczyć-by

mnie powinna za dowód obrona Zakonu Jezusowego podjęta przez takich ludzi jak p. Vacherot (patrz wyżéj wspomniany artykuł) albo p. Littré (*De l'établissement de la 3-e République*; Paryż, 1880); zwłaszcza kiedy za tymi ludźmi, znaleść można w chwili zastosowania dekretów do potępionego Zakonu, całą prasę zachowawczą wszystkich odcieni; ta zaś wtóruje tylko jednobrzmiącemu głosowi wszystkich, pierwszy raz może do tak zgodnego chóru zestrojonych, antyrewolucyjnych żywiołów. Wymowniejszym jednak w tym względzie będzie jeszcze proces historyczny całego przebiegu sprawy. Fakt dopiero co napomkniony panującym się okaże na całéj przestrzeni zdarzeń, którą, śledząc ten przebieg, zwiedzić nam wypadnie. Dlatego też wskazałem go na samym wstępie jako punkt wytyczny. Cofnąć się zaś mi teraz wypada do samych sprawy początków.

II.

Upatrywać w dekretach marcowych, jak to czyni właśnie p. Vacherot, bądź manewr na rachunek przyszłego odnowienia Izby, bądź okup rzucony popularności przez dzisiejszych piastunów władzy za dłuższe utrzymanie się przy niéj, to puszczać samowolnie w niepamięć fakta, plątać daty i krzywdzić, na rzecz idei republikańskiéj, tych, którym przypadł w danéj chwili ciężki obowiązek dźwigania jéj na swych barkach. Wszakże wiadomo o fatalnych dekretach, że się one stały, *narzuconém* ich autorom, następstwem artykułu 7 go. Rodowód ten nie jest i nie może być kwestyą sporną. Owóż kiedy artykuł 7-my ujrzał światło dzienne, za drogiéj hellenistom pamięci rządów pana Waddingtona, izba, któréj odnowienie weszło istotnie późniéj do programu politycznego pana Gambetty i jego przyjaciół, była właśnie uczyniła tego samego pana Gambettę, ośmieszonego niedawno ex-dyktatora, swoim wszechwładnym prezesem. W owéj więc epoce program oparty na jéj rozwiązaniu był chyba przedwczesnym. W owéj epoce także gabinet, który poddał ostatecznie prawo o wychowaniu uchwale izb, gabinet z panem Freycinet w charakterze prezesa i panem Lepère w charakterze ministra spraw wewnętrznych, taki gabinet, zaliczał się niewątpliwie do tych kombinacyj, przed któremi cofają się najśmielsi układacze horoskopów politycznych. Czasy nie były jeszcze odległe, aczkolwiek szybko zapomniane późniéj, kiedy wzmianka o zasługach pana Freycinet w ustach pana Gambetty wywoływała uśmiechy ironiczne na wszystkich niemal ławkach zgromadzenia narodowego.

Rzeczą jawną, rzeczą dotykalną, że się tak wyrażę, pośród kolei, przez które przechodziło społeczeństwo francuskie w ciągu

wieku bieżącego, stało się to, że niepodobieństwo utrwalenia w tém społeczeństwie porządku republikańskiego wynika głównie, a może nawet jedynie—z braku republikanów. Ztąd narzucona rządowi republikańskiemu konieczność usunięcia tego niedostatku. Jakim zaś innym sposobem mógł on uczynić zadość téj konieczności, jeżeli nie ujęciem wychowania publicznego w karby ducha republikańskiego. I jaki znowu środek inny, prowadzący do tego ostatniego celu, mógł się mu nastręczyć po za zmonopolizowaniem w swych rękach téj gałęzi publicznéj służby? Oto w zwięzłém przedstawieniu cała geneza artykułu 7.

Zwolennikami jednokształtności wychowania, patronowanéj i w najdrobniejszych szczegółach regulowanéj przez rząd nie jesteśmy; swoboda edukacyi jest zbyt wielką i piękną zdobyczą rozwiniętéj w czasach naszych idei wolności, ażebyśmy w zasadzie wyrzekać się jéj mieli. Ale kwestya-to tak obszerna i ważna, że w sprawozdawczym artykule na nią miejsca nie znaleść. Zastrzegając więc tylko ogólnie stanowisko swoje, w dalszym ciągu zobrazuję faktyczny stan sprawy.

Zapewne wykazywać nie potrzebuję, iż ani artykułem 7, ani zamierzoną reformą edukacyjną, kwestya religijna nie była bezpośrednio dotkniętą w najlżejszy sposób. Wychowanie w duchu *republikańskim* nie znaczyło koniecznie *w duchu anty-religijnym*, a nawet absolutnie nie mogło mieć takiego znaczenia w chwili, w któréj ster republikańskich rządów spoczywał w rękach pana Waddingtona. Późniejsze zachowanie się tego męża stanu, w epoce przeniesienia kwestyi edukacyjnéj na pole religijne, wystarczającym w tym względzie powinno być dowodem. Powtarzamy, dążenie rządu anty-religijném nie było. A postępowanie względem Jezuitów! — zarzuci kto może. Rozpatrzmy ten zarzut.

W chwili upadku Cesarstwa rozpościerający się w obrębie stolicy w czterech aż obszernych zakładach, rozsiadły na prowincyi we wszystkich niemal znaczniejszych miastach, w których, jeżeli nie szkoły, to tak zwane *rezydencye*, ogniska wpływu wszędzie sięgającego, utrzymywał; nie dzierżący wprawdzie w swém ręku ani wyższych szkół specyalnych, ani uniwersytetów, ale wciskający się bocznemi drzwiami do jednych i do drugich, był istotnie Zakon, przez tę ogromną cyfrę inteligencyj i sumień, którą tym sposobem opanował, potęgą olbrzymią nie tylko na edukacyjném, ale na wszechspołecznem polu i na politycznéj szachownicy. Potęga zaś ta była republikańskiemu porządkowi rzeczy stanowczo wrogą. Artykuł 7 nie wyszedł jeszcze z pod pióra pana Ferry, kiedy już rząd republikański miał Zakon przed sobą na stanowisku jawnéj opozycyi. Data

zajęcia przez Zakon tego stanowiska zbiega się z datą założenia trzeciéj R-pej. Nie była ta opozycya ani bonapartystowską, chociaż w ciągu ośmnastolecia Zakon szedł ręka w rękę z Cezaryzmem, ani legitymistyczną, chociaż wspólność dążeń zjednywała Zakonowi w tym obozie najżywsze sympatye, ani dynastyczną jakąkolwiek. Była tém, czém ją czyniła istota sama Zakonu, to jest konstytucyi jego i dyscypliny, powołania jego i tradycyjnego kierunku: była jak mówią francuzi *autoritaire* a tém samém bądź co bądź anty-republikańską. Przez tę konstytucyą swoję i dyscyplinę, przez tę formę potężną, w którą ujął go geniusz założyciela, był zakon *a priori* w antagonizmie z formą nowego rządu i młodzież w żelaznych karbach owéj formy wyrastająca nie potrzebowała podżegań, aby na nieprzejednanych republikańskiego porządku wrogów wyrastać. Domyślać się zaś wolno, że i podżegań nie brakło. Kiedy pan Vacherot zapewnia znowu, że w swém nauczycielskiém powołaniu, jak w fortecy zamknięci ojcowie nie dawali nigdy polityce dostępu do siebie, p. Vacherot żartuje sobie z łatwowierności czytelnika. Za wymarzonemi przez znakomitego publicystę murami téj fortecy, nie byłby się dobił Zakon tego stanowiska, na którém go do niedawna w obozie zachowawczym widzieliśmy. Ale forteca, w któréj wykłada się historya i filozofia, to forteca źle strzeżona przed polityką: nieprzyjaciel jest w środku. Nie ukazała się zaiste czarna suknia na żadnym balkonie; ale kto ma w każdém główniejszém mieście kilkanaście katedr, nie wspominając już o kazalnicach, a przed temi katedrami kwiat przyszłéj inteligencyi, ten może zostawić balkony panu Gambecie. Mają zresztą ojcowie i inne środki. Kto od trzech wieków nawykł do prowadzenia mas, temu zabraknąć tych środków nie może. Niech mi tu będzie dozwoloném wspomnienie osobiste. W lecie 1864 roku znajdowałem się w Metz. Jednego dnia zdumione miasto ujrzało całe tameczne kolegium jezuickie (do 500 chłopców najrozmaitszego wieku pod wodzą jakich 40 księży) maszerujące na banhof, siadające do wagonów III-ej klasy i jadące—dokąd? do sąsiedniego Luksemburga. Odprawiły paupry wchód tryumfalny do murów zakwestyonowanéj fortecy, w szeregach, z muzyką na czele i z miną zdobywców świata. Załoga prezentowała broń, municypalność przyjmowała przybyszów na ratuszu obiadem, na którym okolicznościowych toastów nie brakło: było to formalne objęcie w posiadanie. Że dyplomacya cesarska nie umiała zeń korzystać, w przygotowywanéj już wtedy a tak niefortunnie zakończonéj kampanii dyplomatycznéj, winić o to zapewne nie można usłużnych i zręcznych ojców.

Tak więc umiał przysługiwać się zakon rządowi, który posiadł jego sympatye. Po tém miarkować można jak umiał przysłużyć się temu który mu był antypatycznym. Wolno panu Vacherot przypuszczać, że i peryodyczne do Lourdes pielgrzymki nie wykraczały ze skrupulatnie strzeżonych granic nabożnego pątnictwa; ale wolno nam téj dobrowolnéj podobno naiwności nie podzielać. Orłom-li bowiem czy liljom sprzyja uświęconego miejsca patronka, to objawionem nie zostało; ale że nie sprzyja frygijskiéj czapce, w tym względzie objawienie byłoby zbytecznem.

Zakon nie byłby zakonem, to jest bojową z saméj instytucyi swéj falangą, to jest przednią z powołania swego strażą *ecclesiae militantis*, gdyby, w obec gwałtowniejszego niż kiedykolwiek starcia między społecznemi żywiołami, był mógł obojętne zająć stanowisko. Ale o tém nie było nigdy mowy. Owszem, jak niegdyś naprzeciw grożącéj im zagładą bulli papiezkiéj, tak teraz naprzeciw wszelkich możliwych artykułów praw lub dekretów, z tą samą tradycyjną bezwzględnością, postawili synowie Loyoli swoje *aut*, *aut*, rzucili na szalę zachowawczych interesów całą wagę swoich wpływów i trudów, swojego doświadczenia i zapału i podjęli walkę, któréj podobno widzieliśmy dopiéro początek.

I owóż dlaczego kwestya wpisania artykułu 7 do programu reformy edukacyjnéj stała się z góry dla zakonu kwestyą życia lub śmierci. Z góry, całém swojém postępowaniem, uchylał się zakon od warunków przywiązanych do konsensu, którego otrzymanie artykuł ten wymagalném czynił. Warunki te aczkolwiek nie zamieszczone w projekcie prawa, były dostatecznie wiadomemi: rząd chciał mieć dla nowych pokoleń wychowanie republikańskie. Niepodobieństwo uczynienia zadość tym warunkom, aczkolwiek nie obwieszczone urzędownie, było ze strony zakonu dostatecznie jawném i duch kierujący udzielonem przezeń wychowaniem wiał we wręcz przeciwną stronę. Z góry też niemożność otrzymania przezeń konsensu była widoczna.

Nie tak było z innemi nauczającemi zgromadzeniami duchownemi. Owszem od samego początku autorowie i obrońcy artykułu 7 objawili dość wyraźny zamysł oddzielenia jednych od drugich. Nic nie zniewalało ich do upatrywania nieprzejednanych wrogów nowego programu edukacyjnego w takich nauczycielach jak o.o. Dominikanie. Nader ważne zaś praktyczne względy przemawiały za wręcz przeciwną polityką. A więc najpierw korzyść odosobnienia tego żywiołu, który z natury swojéj był najniebezpieczniejszym a z położenia swego najpotężniejszym przeciwnikiem. A nie był to wzgląd najważniejszy. Ważniejszym jeszcze był ten który, wobec

późniejszych dekretów stał się jednym z najpotężniejszych argumentów opozycyi zachowawczo-klerykalnéj. Wypadało mianowicie liczyć się z niepodobieństwem zastąpienia z dnia na dzień w jego nauczycielskiéj roli całego olbrzymiego zastępu duchownych pedagogów. Ani materyalnych ani moralnych środków nie mogło starczyć na to. Zamknięcie szkółek ludowych (*écoles primaires*) utrzymywanych przez braciszków (*frères de la doctrine chrétienne, frères ignorantins*, etc.) wyrzucić miało w rok późniéj na bruk kilkakroć stotysięcy dziatwy, bez możliwości dla niéj znalezienia na razie miejsca w przepełnionych szkółkach świeckich.

Urzędownie też niemal charakter nieprzyjacielski artykułu 7-go ograniczonym został do samego Zakonu Jezusowego. Urzędownie niemal otrzymały inne zgromadzenia duchowne obietnicę uzyskania konsensu, za upomnieniem się o jego dobrodziejstwo. Miał zaś taki program, w przypadku jego powodzenia, tę jeszcze dla rządu republikańskiego dogodność, że uwalniał go od téj niepożądanéj ohydy, którą prześladowanie ściąga bądź co bądź na prześladowców. Wiadomo w saméj rzeczy było o zakonie że, cofając się przed zbyt oczywistém prawdopodobieństwem odmowy, konsensu wprost żądać nie będzie, a zatém, w *obec innych żądających go zgromadzeń*, sam się niejako postawi poza prawem. Chodziło o to tylko, czy te inne zgromadzenia dadzą się przywieść do zerwania solidarności z potępionem zgromadzeniem. Była to kwestya stanowczéj doniosłości dla stron obu. Stanowczéj nie przez to tylko, że jéj rozstrzygnięcie na korzyść téj lub tamtéj strony postawić musiało rząd republikański naprzeciwko, bądź odosobnionego przeciwnika, bądź potężnéj koalicyi: następstwa jednego lub drugiego wypadku sięgały daléj. Zjednoczenie w jednym obozie wszystkich duchownych współzawodników zakonu na polu edukacyjném, musiało przyciągnąć do tego obozu jednego więcéj potężnego sprzymierzeńca. Stawał z natury rzeczy w tym wspólnym obozie cały żywioł religijny i walka przybierała charakter nierównie drażliwszy, rozmiary nierównie szersze.

Z jednym nawet zakonem stoczona, musiała walka tego rodzaju zagarnąć pole dość szerokie. Zagrożeni w swym bycie za sprawą dźwiganego przez się anti-republikańskiego sztandaru, umieli Ojcowie podnieść ten sztandar wysoko i skupić w koło niego wszystkie siły zachowawczego stronnictwa. Ale sojusz zakonu z pokrewnémi zgromadzeniami otwierał daleko rozleglejszą arenę.

Tu więc, około tego stanowczego punktu zawiązała się pierwsza walka, spór pełen, jak zobaczymy, niepewnych i zmiennych kolei.

Zdawać się może dzisiejszemu czytelnikowi że zwycięztwo w tym sporze było z góry obiecane Zakonowi Jezusowemu. Przypo-

mina on bowiem sobie bez wątpienia przeważne stanowisko zajęte przez Zakon w całym świecie duchownym przy końcu panowania Piusa IX. Ale historykowi sumiennemu nie godzi się zapominać i o innych okolicznościach. Były zaś takie inne okoliczności, które zwycięztwo, do pewnego stopnia przynajmniéj, wątpliwém czyniły.

Komu znane są nowoczesne dzieje kościoła we Francyi—część tych dziejów skreślił niedawno pan T. Luxeau-Dangin w pouczającéj książce (1)—ten wie o rozmaitych, odrębnych kierunkach, spierających się w jego łonie i dobijających się kolejno przewodnictwa. Kierunkiem przeważającym w epoce restauracyi był *gallikanizm*, ten, razem z dawnych tradycyj monarchicznych zastępem, wskrzeszony gallikanizm, którego formułę podyktowała potężna wola Ludwika XIV. Odmienna bowiem, przez nowe warunki bytu nastręczona, forma gallikanizmu wyrobiła się była w epoce tryumfu rewolucyi. Dawny gallikanizm, obok dogmatu niezależności państwa od Rzymu, stawiał dogmat zależności kościoła od państwa. W obec nowéj formy rządu ten ostatni dogmat stał się dla kościoła niemożliwym. Zastąpiła go teorya zupełnego rozdziału między kościołem a państwem. Sławny biskup *Grégoire*, rzeczywisty naczelnik duchowieństwa francuzkiego w tych ciężkich czasach, stanowczym był zwolennikiem téj teoryi, choć pociągała ona za sobą w owéj epoce nader ciężką próbę ubóstwa. Z powrotem dawnéj monarchii wrócił téż, w innych tradycyj orszaku, dawny gallikanizm i silnego, aczkolwiek bezowocnego poparcia dostarczył kontr-rewolucyjnym przedsięwzięciom Karola X.

Ale jednocześnie wyrabia się kierunek nowy, który niebawem zapanować miał na gruzach wywróconéj po raz drugi monarchii. Czy nowy istotnie? I tak i nie. Stary, w zasadniczéj swéj idei, jak papieztwo i jak dążenia papieztwa do hegemonii duchownéj; ale nowoczesny na wskróś tchnieniem, które go z martwych teraz podniosło i życiem napełniło potężném, namiętném. Nie był bo *ultramontanizm* dla ówczesnego pokolenia tém samém czém był wiekiem i pół wcześniéj dla przeciwników Bossuet'a, ani tém czém się stał późniéj dla dzisiejszych swych wyznawców. Dla takich ultramontanów jak Montalambert zależność od Rzymu oznaczyła przedewszystkiém niezależność kościoła od państwa; niezależność zaś roszczona dla kościoła była pierwszą wprawdzie, ale jedną tylko ze swobód, z równym

---

(1) L'Eglise et l'Etat sous la Monarchie de Juillet. Plon, 1880;—ob. także: Histoire de la philosophie en France au XIX siecle. Traditionalisme et ultramontanisme, rzec p. Ferraz, profesora filozofii w Lyonie. Paryż, Didier, 1880.

żądanych zapałem dla prasy, dla szkół, dla stowarzyszeń, dla narodowości, dla wszystkiego co mogło nie czuć się dość swobodném.

Pyszny to był, przyznać trzeba, polot chrześciańskiego i katolickiego ducha i wiekopomna chwila w jego zawodzie! Lacordaire na kazalnicy, Montalambert na trybunie, a na stopniach ołtarza pasterskie z błogosławieństwem do nich wszystkich wyciągający dłonie ten ks. Affre, któremu męczeńskiéj nie było potrzeba korony, aby świętych aureolą otoczone miał czoło—co za widok!

Czemuż ten widok świetnym meteorem był tylko? że od błyszczącéj gwiazd gromady jedna oderwała się i spadła w otchłań czyż i inne gasnąć dla tego miały? A jednak zgasły! Z Rzymu potępienie padło na usta jednego Lamennais; czemuż umilkł niebawem Lacordaire? czemuż jego testament przekazany publiczności przez tego z licznych niegdyś duchów, który ostatni zeszedł z pola (1) testamentem stał się całéj drużyny, jéj usiłowań i jéj porażek, jéj nadziei i jéj zawodów?

Dla tego że skutki są nieubłaganemi następstwami przyczyn; że kto otwiera drzwi wszystkim czterem wiatrom musi i niepożądanych spodziewać się gości; a kto się zda na wiatrów wolę, musi iść kędy one dmą. Swoboda to ptak, który się gnieździ na wysokiéj górze, przez którą właśnie wieczna wszystkich wiatrów wędrówka. Że, prześcigając drapiących się na tę górę towarzyszy, pierwszy dostał się na jéj wierzchołek, to w świecie idei chwała Lamennais'go, ale to w świecie rezultatów jego potępienie. Inni, jego losem ostrzeżeni, stanęli w pół drogi, ale strwożeni, zniechęceni i mający do wyboru to tylko: stać na miejscu bez celu, albo pójść inną drogą bez przekonania. Szamocząc się między temi dwoma koniecznościami do końca, walcząc do upadłego z dogmatem nieomylności, poddając się, ale pijąc jak truciznę gorycz tego poddania, dogorywa za dni naszych liberalny ultramontanizm.

„Ach! gdybym mógł"—pisze nad grobem stojący już Montalembert do Döllingera, w Styczniu r. 1870—„ja, człowiek świecki, zająć miejsce w koncylium, poszedłbym, choćby dla tego tylko abym moją obecnością protestował."

A w późniejszym nieco liście, odnosząc się do świeżych wystąpień biskupa Orleańskiego:

„Dał on wielki przykład tego *co można jeszcze począć w łonie dzisiejszego kościoła*, w obronie prawdy i wolności. Niestety! odezwał

---

(1) Le testament de Lacordaire par Mr. le Comte de Montalembert; Paryż, 1880.

się za późno. Zestawiając jego dwa listy przeciwko nieomylności i przeciwko dziennikowi Univers, z listem pasterskim arcybiskupa Paryzkiego i z manifestem biskupów zgromadzonych w Fuldzie, byłbyś się przekonał że *wszystko nie było stracone.*"

Czy i ten, najwytrwalszy z szermierzy liberalizmu, byłby się poddał, jak drudzy dzielący jego sympatye i wstręty, jak ks. Gratry, np., gdyby jak on był się doczekał końca soboru? Wątpić nie można o tém, widząc jakie motywa służą mu do potępienia ojca Hyacynta po zerwaniu tego ostatniego z Rzymem:

„Zarzut największy jaki ci czynię"—pisze do niego, „to ten żeś opuścił twoich towarzyszy broni, dostarczając tym sposobem najświetniejszego tryumfu obraźliwym denuncyacyom i przewidywaniom naszych przeciwników. Widziałem przez lat 15 imię Lamennais'go służące za straszydło, eksploatowane przez wszystkie umysły ciasne i podejrzliwe, służalcze i zazdrosne. Gdybym miał nieszczęście liczyć jeszcze 15 lat przed sobą, widziałbym tak samo Twoje imię rzucane w twarz każdemu księdzu, każdemu chrześcianinowi, w którymby dopatrzono iskierki inteligencyi i szlachetności!"

Trudno zresztą o lepszą charakterystykę całego liberalnego ultramontanizmu jak ta, której dostarcza powyższy fragment listu, gdzie myśl polityczna przebija się w każdém słowie obok myśli religijnéj, a nawet bierze górę nad nią. Miałby był zaiste Montalembert, gdyby sprawa religii pierwsze w jego zaprzątnieniach zajmowała miejsce, ważniejsze zarzuty do czynienia otwartemu odszczepieńcowi jak ten zarzut dezercyi! Zarzut niesłuszny nadto. Ex-ojciec Hyacynt mógł go z czystem sumieniem odrzucić w oczy oskarżycielowi. On sam sprawiedliwiéj daleko mienić się mógł opuszczonym, on szedł naprzód obraną wspólnie drogą, a kto jak Lacordaire i przyklaskujący mu przyjaciele, nie wahał się dawać doktrynie "bezwarunkowego posłuszeństwa Rzymowi nazwę: „największego zuchwalstwa przybranego w Imię Chrystusowe" (la plus grande insolence décorée du nom de Jesus-Christ) (1) tego miejsce, w obec tryumfującego dogmatu nieomylności, nie było, jeżeli bodaj samemu sobie tylko chciał wiernym pozostać, między potępiającymi zbuntowanego Mnicha.

Do buntu w religii prowadziła fatalnie ta droga, tak jak w polityce prowadziła do rewolucyi. Jéj ostatnim kresem barykady roku 1848, którym błogosławił z kazalnicy Lacordaire; a za dni naszych błogosławi kościół księdza Loyson, znajdujący sympatye w ludności Bellevil-le'skiéj.

---

(1) Wyżéj zacytowany testament Lacordaire'a; s. 18.

W ślad też za reakcyą żywiołów zachowawczych, która zawiodła do władzy, a niebawem do tronu, spadkobiercę autokracyi Napoleońskiéj, poszła natychmiast druga reakcya, która w kościele oddała przewagę ultramontanizmowi innéj szkoły. Ultramontanie ci pojęli zależność od Rzymu w całkiem odmienny sposób. Dla tamtych była ona jedną formą i jednym więcéj środkiem swobody—dla tych przeciwnie ostatniém ogniwem łańcucha, w którego żelaznych ujęciach skrępowane mieć chcieli całe społeczeństwo. Ogniwo to musiało być potężném aby wszystkich innych ogniw ciągnienie wytrzymać—stąd dążenie ku podniesieniu władzy papieskiéj do najwyższéj możliwéj potęgi. Państwo zaś—władza cywilna, jako drugorzędne ale niezbędne ogniwo, odpowiadać także nie mogło swemu przeznaczeniu, bez silnéj, aczkolwiek podporządkowanéj pod tamtą organizacyi—ztąd sympatye dla cezaryzmu.

Tryumf tego nowego kierunku był z natury rzeczy tryumfem tego w kościele żywiołu, w którym najdokładniejsze znajdywał on uosobienie. Zakon, który wymarzył i urzeczywistnić potrafił formułę: *perinde ac cadaver*, miał wszelkie prawo do przewodniczenia w tym nowym ducha religijnego zawodzie. Ustępować musiał z placu, ze swoją luźną organizacyą i odpowiadającą téj organizacyi niezależnością myśli, drugi ów, na przeciwnym biegunie duchownego świata zawieszony zakon, który wypiastował Lacordaire'a. I ustępował w saméj rzeczy w osobie wielkiego kaznodziei, żegnającego swoich słuchaczów, nazajutrz po dokonanym zamachu stanu, umiarkowaną, jaką godziło się jéj być na kazalnicy, ale dość wymowną jeszcze protestacyą:

„Cofam się, bo ja także jestem swobodą!“ (Je me retire, car moi aussi je suis une liberté!)

Ostatnie to publiczne w Paryżu wystąpienie Lacordaire'a datę stanowi, odpowiadającą, w sferze interesów religijnych, dacie 2-go Grudnia. Od niéj bierze początek, ugruntowywujące się równomiernie z cezaryzmem w ciągu ośmnastolecia i chwiać się poczynające z nim razem w ostatnich latach, panowanie Jezusowego zakonu. Panowanie to nie zamknęło się zresztą w granicach Francyi. Jego właściwą stolicą był od początku Rzym. Rzym miał był równocześnie z Paryżem swoich politycznych i religijnych liberałów i doczekał się równocześnie prawie swoich barykad i swoich Apostołów. Wracający też z Gaëty, dokąd go własny liberalizm zaprowadził, gdzież miał szukać podpory Pius IX, jeżeli nie w anti-liberalnéj, anti-demokratycznéj, i anti-rewolucyjnéj dyscyplinie Zakonu? Kollegium rzymskie, ta potężna szkoła propagandy, w któréj wyhodowani misyonarze roznoszą po całym świecie podyktowane im hasła, z któréj wychodzą wi-

karyusze apostolscy i biskupi *in partibus*, szkoła ta przeszła, za wolą papiezką, w ręce synów Loyoli. Redakcya ich urzędowego niejako organu, dziennika *La civilta catholica* przekształciła się od r. 1854 w kongregacyą z kardynałem na czele i z misyą kierowania całą katolicką prasą. Rzym, z którego przed wiekiem niespełna padł grom zatraceniu przekazujący imię Jezuitów; Rzym stał się teraz rzec można jezuickim. Uczyniwszy zaś swoją niejako tę groźną dla niego władzę, dbał o to Zakon aby ta władza była jak najpotężniejszą. Z pod pióra Jezuity to, księdza Passaglii, wyszły w r. 1855 motywa do bulli ogłaszającéj dogmat Niepokalanego poczęcia, a będącéj zarazem i uświęceniem téj osobliwéj czci, jaką Zakon zawsze otaczał Matkę swojego Patrona i przygotowaniem do wielkiego dzieła r. 1870. Encyklika r. 1864, tak wyraźne natchnień jezuickich nosząca piętno, zgromadzenie biskupów w r. 1867 tak oczywiście jezuickich wpływów kierowane naciskiem, ostatecznemi były etapami prowadzącemi do zamierzonego celu. Sprężysta nakoniec dyscyplina Zakonu objawiła się dotykalnie w karném zszeregowaniu téj potulnéj większości, w któréj ustanowiony z góry w *Civilta Catholica* program soboru r. 1870 jednostajne zawsze znalazł posłuszeństwo.

Ale, gdy tam, w Rzymie, potęga Zakonu sięgała szczytu, we Francyi obrót politycznych wypadków zachwiewać ją zaczął. Liberalizm, wybijający się w polityce z pod dźwiganego przez lat kilkanaście jarzma, podniósł jednocześnie głowę w kościele. Obok, wchodzącego przebojem do gabinetu pana Ollivier, stawał śmieléj coraz odzywający się biskup Orleański. Z kierowanéj przezeń w Orleans szkółki wychodziło grono młodzieży, szczupłe wprawdzie, z falangami wymustrowanemi przez jezuickie kollegia mierzyć się nie mogące, ale przecież odmiennego ducha roznoszące po świecie. Zakon też Dominikanów występował napowrót w pole z orszakiem wspaniałych wspomnień do białéj przywiązanych sukni; przyciągał coraz liczniejszy zastęp wychowawców do wybornie prowadzonych zakładów, a przez księdza Montsabré odzierżył kazalnicę w Notre-Dame. Niebawem upadek Cesarstwa dodawał i więcéj otuchy i więcéj rzeczywistéj siły temu powstaniu żywiołu liberalnego. W chwili zaś obecnéj, w chwili wypowiedzenia wojny Zakonowi przez rząd republikański, zaświtała jakoby dla tego żywiołu jutrzenka pełnego obietnic jutra, otworzyła się dlań jakoby nowa era—przez wstąpienie na tron apostolski Leona XIII.

Z tym też żywiołem wejść w kompromis, z jego pomocą przeciągnąć na swoję stronę lub przynajmniéj zneutralizować całą masę duchowieństwa, usunąć tym sposobem z placu boju żywioł religijny, odciąć wrogi Zakon od wszelkich możliwych sprzymierzeńców

i w tych warunkach z nim się rozprawić—taką była rzeczywista polityka autorów artykułu 7-go, w pierwotnem założeniu. Być może iż po za tém założeniem kryły się inne, daléj w przyszłość sięgające widoki; sama jednak roztropność nakazywała ograniczyć na teraz, dość ryzykowne nawet w tém ograniczeniu zadanie.

Czy taka polityka miała za sobą jakiekolwiek prawdopodobieństwo powodzenia? Sądzę iż tém co poprzedza skłoniłem czytelnika do poważnych przynajmniéj w tym względzie wątpliwości. Osobiście idę daléj, wygrana po stronie rządu republikańskiego była w mém przekonaniu nie wątpliwą zgoła, jeśli by rząd był zdołał utrzymać się na téj pozycyi strategicznéj, którą sam dla stoczenia walki obrał. Późniejsze zachowanie się zgromadzeń i całego duchowieństwa w obec, spełnionéj już na zgromadzeniu oo. Jezuitów a wiszącéj nad resztą, groźby dekretów, nie zdaje mi się dopuszczać innego wniosku. Zgromadzenia *en masse* były by się podały uchwalonemu przez Senat artykułowi 7-mu, zostawiając jedno potępione zgromadzenie jego własnym losom.

Ale Senat nie uchwalił artykułu 7-go. Zeszeregowana, zapalona i poprowadzona do boju, przez niezrównanych w téj roli następców żołnierza z pod Pampeluny, opozycya zwyciężyła.

Jakiéj natury była ta opozycya? Sztandar ostentacyjnie wywieszony przez jéj zagadkowego przywódzcę miał na sobie wielkiemi literami wypisane słowo: wolność. Żołnierz zgromadzony pod tym sztandarem należał przeważnie do zachowawczego obozu. W rzeczywistości atoli nie chodziło na teraz ani o wolność ani nawet o zachowawcze interesa. Nie mogło chodzić o zachowawcze interesa panu Juljuszowi Simon, ani o wolność panu Chesnelong. Jawną było zresztą rzeczą, że ani te interesa ani wolność nie zyskają nic na upadku artykułu 7-go, ale owszem stracą; że rząd się nie cofnie, że się cofnąć nie może i że wytrącenie mu z ręki téj broni, którą sam sobie ukuł przeciwko jednemu zakonowi, wciśnie mu w rękę inną więcéj morderczą i sięgającą daléj. Można było w tym względzie dać wiarę pełnym prawdziwego smutku słowom pana de Freycinet. Artykuł 7 był istotnie „*un minimum*". Dekreta, do których rząd musiał się uciec, choćby tylko dla utrzymania swéj powagi, miały wystawić i zachowawcze interesa i wolność na szwank daleko dotkliwszy. Ale, jak powiedziałem, nie chodziło ani o jedne ani o drugie. Nie chodziło nawet w gruncie rzeczy o Jezuitów. Panu Jules Simon chodziło o powetowanie świeżych parlamentarnych porażek, których padł ofiarą we własném stronnictwie. Legitymistom czystéj wody chodziło o zastosowanie téj teoryi, która kataklizm społeczny za warunek *sine qua non* zbawienia Francyi poczytując, dąży *par fas et*

nefas do jak największéj sumy kataklizmowych pierwiastków. Wyzyskanie tych wszystkich interesów na rzecz swojego interesu, skierowanie tych rozmaitych dążności do jednego celu, było sztuką Zakonu Jezusowego i sztuką godną podziwu.

Ma się rozumiéć dokazanie téj sztuki było by było czystem niepodobieństwem, gdyby był Zakon nie był tém, czém był w istocie, to jest najdzielniejszym może z obrońców zachowawczéj idei i gdyby jego sprawa obecna nie była była tém czém była w rzeczywistości, to jest, jak słusznie, aczkolwiek nie wiem czy szczerze mówił p. Simon, *sprawą wolności*! Mas bowiem nie pociąga się bez sztandaru i bez hasła—nawet wtedy kiedy one wiedzą ze w dźwigających go rękach ten sztandar jest pożyczany, a w głoszących je ustach to hasło konwencyonalną formułą.

Charakterystycznym atoli i, w związku z założeniem naszém na zaznaczenie zasługującym jest fakt, że nie wywieszono dotąd i nie pokuszono się nawet o wywieszenie sztandaru *religijnego*. Zbyt wyraźnie mierzył rząd w jeden Zakon, oddzielając skrupulatnie jego sprawę od sprawy reszty duchowieństwa. Zbyt zaś łatwo było mu powołać na swoję obronę przed insynuacyą anti-religijnéj polityki wspomnienia nieprzyjaznych Zakonowi rządów Ludwika XV, lub Karola X.

Zauważyć przytém należy i to że, nawet odnośnie do Zakonu, artykuł 7 nie stawiał *kwestyi bytu*, a tylko *kwestyę nauczania*.

Upadek ostateczny tego artykułu zmienić musiał ten stosunek. Wprawdzie, zniewolony do zastąpienia go opartemi na dawném prawodawstwie dekretami, rząd starał się usilnie o przykrojenie ich na tę samę miarę. Skreślony zaś wyżéj pobieżny rys historyczny pozwala czytelnikowi wnioskować jak dalece obfitego w tym względzie materyału dostarczyć były w stanie zmienne koleje przeszłości. Cel pożądany nie mógł jednak być osiągniętym w całości. Stanął na przeszkodzie nietylko niedostatek środków prawodawczych, ale inny jeszcze czynnik, który dotąd bardzo podrzędną i dla tego pominiętą przez nas odgrywał rolę w téj sprawie, teraz zaś wpływać zaczął na jéj przebieg, w kształcie nader potężnego a burzliwego pierwiastku. Tym czynnikiem było to co nazywają pospolicie *opinią publiczną*; siła oparta na stanowczéj przewadze, jaką mają ci którzy mówią nad temi którzy milczą, a zupełnie niezależna od stosunku liczebnego jednych do drugich.

Dziesięciu krzykaczy może tym sposobem zapanować nad milionowym ale niemym tłumem i nazwać się opinią publiczną. Ztąd rozmaite chwianie się opinii publicznéj we Francyi—i gdzieindziéj. Czego rzeczywiście chciała w tym przedmiocie *właściwa* opinia pu-

bliczna francuzka w r. 1880 to jest większość francuzkich przekonań i sumień, nie ośmielę się powiedziéć z zupełną pewnością. Według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa nie chciała *niczego*, posługując się swoim, nietylko w materyi religijnéj, ale w politycznéj także i społecznéj, prawomocność mającym koranem, którym jest wspomniany wyżéj indyferentyzm. Ale pospolita *opinia publiczna*, to jest większość ludzi krzyczących głośno, chciała niezaprzeczenie, i zaczęła chciéć coraz więcéj stanowczo, rozwiązania wszystkich zgromadzeń i radykalnego wstąpienia na drogę anty-klerykalnéj polityki.

Zdało się konieczném rzucić od razu na pastwę téj żarłocznéj chęci bodaj jeden Zakon. Odwieczna to polityka, próbująca nasycić wilka jedną owieczką i odwieczny błąd. Odkąd istnieją wilki ta dobrowolna pierwsza ofiara służy tylko do zaostrzenia ich apetytu.

Rozwiązanie ostateczne zgromadzenia Jezusowego zostało wyrzeczone przez jeden z dekretów marcowych, z terminem egzekucyi zbiegającym się z końcem bieżącego roku szkolnego. Drugi dekret, utrzymując poprzednio zachowany rozdział, zawiesił egzekwowanie innych *nieupoważnionych* zgromadzeń do nieoznaczonego terminu.

Służyła więc możność i zgromadzeniom tym upomnienia się o wymagalne upoważnienie i rządowi przedłużenia dobrowolnie tymczasowej tolerancyi. Dla przeważnéj zaś większości zgromadzeń uzyskanie upoważnienia nie było na teraz wątpliwém.

Umiejętnie obrane w ten sposób stanowisko rządu nie odpowiadało przecież w zupełności temu, ktore pierwéj on zajmował. Odnośnie do Zakonu Jezusowego miały bądź co bądź dekreta charakter proskrypcyjny; odnośnie zaś do zgromadzeń w ogóle stawiały już teraz *kwestyą bytu*, a tém samém wkraczały stanowczo na pole religijne. Ustawa zaprzeczająca zgromadzeniom duchownym prawa nauczania może w danych warunkach zachować charakter czysto polityczny; ustawa odmawiająca im bytu nie zdoła dokazać tego nigdy.

Nie był jednak i teraz jeszcze program rządowy programem bez nadziei. Znalazł on w téj chwili właśnie wymownego obrońcę i apostoła w łonie samego duchowieństwa. Fakt zaś, że ten syn kościoła mógł przez miesięcy kilka, nieść na jedną z głównych kazalnic stołecznych namiętną nieraz obronę sympatyzujących z polityką rządową przekonań i pojęć, starczy za dowód, że mówiąc językiem Montalembert'a *wszystko nie było jeszcze stracone* dla rządu.

Synem Lacordair'a mienił się ksiądz *Didon* i przejął istotnie z tego znakomitego po nim spadku, jeżeli nie potęgę całą i świetność wymowy, to ową tak charakterystyczną u wielkiego Dominikanina no-

woczesność tonu, to część przynajmniéj jego zapału i całą, zdwojoną bodaj nawet, śmiałość w stawianiu i bronieniu takich tez, jak np. demokratyczność zasadnicza katolicyzmu, albo konieczność dla kościoła „który stał się niegdyś barbarzyńskim dla barbarzyńców“ (sic), zostania dziś republikańskim dla republikanów.

Przybywała także w pomoc téj śmiałości jakaś, nieznana mistrzom dawnéj liberalnéj szkoły, dobitność i że tak powiem nawet brutalność słowa, a za jéj sprawą to co było mglistego w pojęciach téj szkoły i jéj programach brało teraz ciało na się. Sojusz nietylko z demokracyą, ale z całém nowoczesném społeczeństwem z jego pojęciami, z jego aspiracyami i z jego wiedzą występował tu już stanowczo jako kwestya życia lub śmierci dla kościoła.

Ksiądz Didon szczerze sądził się powołanym do dokonania tego sojuszu; i przyznać trzeba, że mógł dać się uwieść temu złudzeniu, kiedy pod szerokiemi sklepieniami kościoła S-éj Trójcy kilkotysięczny tłum, kwiat inteligencyi i arystokracyi paryzkiéj, czekał, co niedziela od 12-éj do 4-éj zbyt skąpo gwoli powszechnéj ciekawości, wymierzonych miejsc pilnując, jego ukazania się na ambonie; kiedy, na jego wezwanie, sypały się składki na wzniesienie nowego gmachu, który by swobodniejszemu jeszcze apostolstwu otworzył podwoje.

To też coraz donośniejszém, coraz namiętniejszém, stawało się jego słowo, coraz śmielszemi jego wycieczki przeciwko zapóźnionéj w średniowiecznéj tradycyi doktrynie, zamykającéj drzwi świątyni kołatającym do nich potrzebom naszych czasów. Kiedy zaś, w kunsztowném, aczkolwiek przypadkowo niby nastręczającém się zestawieniu, obok naśladującéj republikańską formę konstytucyi swego zakonu, otwartéj jak step wszystkich wiatrów przewiewom, wskazywał w fortecy despotycznéj organizacyi zamkniętych synów Loyoli, jawném stawało się dla każdego gdzie miał szukać tych, którzy by radzi mieć drzwi do świątyni rozwartemi na oścież, a tych, którzy trzymają ręce na ryglach.

Był to ani mniéj, ani więcéj jak wierny, aczkolwiek w zupełnéj niezależności zapewne podjęty wykład programu rządowego.

Jak dalece „wszystko nie było stracone“ w razie utrzymania się tego programu i jak dalece utrzymanie się jego było możliwém świadczy późniejsze zachowanie się duchowieństwa w obec dokonanéj już na Zakonie Jezusowem egzekucyi. Autorzy i propagatorowie sławnéj „deklaracyi“ epigonami stali się tylko księdza Didon.

Wspomniałem o niezależności tego ostatniego od rządowéj polityki. Jakoż przypuszczenia aktualnego porozumienia między dwo-

ma zbiegającemi się wprawdzie, ale z tak odległych punktów wyjścia początek biorącemi, dążnościami brakuje podstawy — i użyteczności. Łatwiejszém jest przypuszczenie naturalnego sojuszu prądów, które nie teraz po raz pierwszy się spotkały. Wskrzeszone na gruncie politycznym tradycye roku 1848 musiały powoływać do życia i religijne z téj epoki tradycye. W tém znaczeniu ksiądz Didon był prawdziwym synem Lacordaire'a. Ale tradycye, choć wstają z grobu żywe i sił pełne, to zawsze z tym samym zarodkiem śmierci, który je w grób zapędził. Jak umiarkowana względnie polityka rządu, tak dążące do kompromisu apostolstwo księdza Didon, ulegać musiało naciskowi żywiołów pchających naprzód, po za wszelkie umiarkowaniem i pragnieniem kompromisu zakreślone granice. Niebawem w obec ujadania czerwonéj, po tropach Saint-Juste'a i Robespierre'a pędzącéj psiarni, wątpliwą stało się rzeczą czy gabinet pana de Freycinet utrzyma się sam przy umiarkowanym swoim programie, albo utrzyma się przy władzy, pozostając temu programowi wiernym.

Z drugiéj strony kompromisowa tendencya, reprezentowana przez księdza Didon, i naginać się musiała do potrzeby zadośćuczynienia coraz to daléj sięgającym wymaganiom liberalizmu i poddawać się temu fatalizmowi, który wszystkich poprzedników wymownego dominikanina zaprowadził daléj niż iść chcieli. Kiedy ujrzano go przekształcającego kazalnicę w trybunę, przemawiającego językiem demagogów, socyalistów, ba! nawet Wolterjanów; obwieszczającego raz blizkie równouprawnienie polityczne kobiét, drugi raz uprzątającego *Syllabus* jedném pogardliwém słowem, jak we Włoszech tylko do jakiegokolwiek użytku służyć mogące narzędzie polityczne; zadziwiającego mury kościoła grzmotami oklasków i zbierającego pochwały i zachęty w *czerwonéj* prasie, wtedy wzdrygnęły się sympatye i zatrwożyły się sumienia.

Trwogi te i wstręty umiał znowu przedziwnie wyzyskać Zakon Jezusowy. Religijnym masom postawił przed oczami, usprawiedliwiając skargę Montalemberta, z jednéj strony widma Lamennais'go i księdza Loyson, z drugiéj strony blizkie prawdopodobieństwo tryumfu radykalnéj polityki i wznowionych z tradycyi pierwszéj R-téj prześladowań. Zachowawczemu obozowi pokazał w religijnym liberalizmie, sprzymierzonego z politycznym radykalizmem, i zarówno zachowawczym jak religijnym interesom, zagrażającego wroga. Sam stanął naprzeciwko, jako przedstawiciel wiekowego z obydwoma temi żywiołami antagonizmu. I nagle, w jednéj chwili, jak zwykle bywa, dojrzał owoc wytrwałéj i zręcznéj polityki.

Przymierze odporne między religijną a zachowawczą armią zdało się jednéj i drugiéj jedynym środkiem ratunku; obrona zaś zagrożonego Zakonu pierwszym ratunku warunkiem. Neutralne dotąd stanowisko zajmujący, i głos wolny księdzu Didon zostawiający, arcybiskup paryski zgłosił się teraz uroczystym manifestem do jezuickiego obozu i cała masa duchowieństwa poszła za nim. Listy pasterskie, odezwy do dzienników i protestacye, manifestu arcybiskupiego echa, posypały się ze wszystkich stolic biskupich. Niezagrożone aktualnie dekretami zgromadzenia, podniosły jednomyślnie sztandar solidarności, wyzywając na siebie równe tym, które bratni Zakon dotknęły, gromy.

Dokonane zostało przymierze na walnym wiecu, któremu katolickie koła robotnicze (Cercles Catholiques d'ouvriers) posłużyły za pretekst (w maju 1880 r.) a który i z prowincyi znaczny ściągnął kontyngens religijnych i politycznych współwyznawców. Po mowie programowéj pana Chesnelong, zagrzewającéj do walki wspólnemi siłami w obronie wspólnych interesów, po udzielającém błogosławieństwa téj nowéj krucyacie przemówieniu biskupa Richard (koadjutora arcybiskupa paryskiego) przewodniczącego zebraniu, zabrał głos hr. de Mun. Przypomniawszy zaś odezwanie się Henryka IV-go: „J'aime mieux etre Jesuite que Jacobin,“ zawołał: „Ja także jestem Jezuitą!“ i porwane jego gorącą wymową, całe zebranie powtórzyło chórem: „Jesteśmy wszyscy Jezuitami! Niech żyją Jezuici!“

W kilka dni późniéj, wezwany do Rzymu przez swojego zwierzchnika dla zdania sprawy ze zbyt awanturniczych, a powodzeniem nieuwieńczonych wycieczek, ks. Didon osiadał w korsykańskiéj ustroni, na dyscyplinarnéj pokucie, ścigany aż tam przez potępiające go w oczach własnych współwyznawców radykalne sympatye. I odtąd w ultramontańskim tak jak w liberalnym kościele, w monarchicznym tak jak w zachowawczo-republikańskim obozie, miał przed sobą rząd samych sprzymierzonych przeciwko jego polityce wrogów.

Przymierze to nie przyniosło natychmiastowych rezultatów. Nie zmusiło rządu do cofnięcia się, bo cofnięcie się było dlań niepodobném. Dekreta potępiające Zakon Jezusowy zostały spełnione w oznaczonym terminie. Rezultaty mogły być dopiéro dalszéj przyszłości owocem. Przyszłość, w razie wytrwania przymierza, musiała rzucić rząd na drogę, którą iść nie chciał, na któréj wiedział sam, że pójdzie za daleko i przewidywał, że się spotka prędzéj czy późniéj z reakcyą obrażonych uczuć, przekonań i sumień.

Warunkiem wszelako osiągnięcia tych rezultatów była trwałość przymierza. Może, gdyby ten warunek mógł był być spełnionym, były by one już teraz widocznemi, lub bliższemi przynajmniéj.

Ale stało się inaczéj. Z dniem wykonania dekretów na Zgromadzeniu Jezusowem, walka, któréj pierwszy epizod uprzytomnić starałem się czytelnikowi, weszła w fazę nową, w któréj uledz miała zgoła nieprzewidzianym kolejom.

W nowéj téj fazie pojawia się na scenie nowy czynnik: Rzym. Rola tego czynnika była dotąd, o ile mi sądzić pozwala osobista znajomość wypadków, raczéj negatywną. I dla tego zostawiłem ją na boku. Dodatnią, na stronę Zakonu Jezusowego i reprezentowanéj przezeń tendencyi, być nie mogła. Świadczy przeciwko takiemu przypuszczeniu późniejszy, jawny już kierunek watykańskiéj, w sprawach francuskich, polityki. Świadczy ogólna, pokojowa tendencya téj polityki, wybijająca się na wierzch z chwilą wstąpienia na tron Leona XIII. W nowym paryzkim reprezentancie władzy papieskiéj mógł wprawdzie Zakon obiecywać sobie sprzymierzeńca. Początkami bowiem swojemi w duchownym zawodzie, niezbyt odległemi jeszcze, należał niezaprzeczenie J. E. ks. Czacki do związanego ścisłemi węzłami z Zakonem stronnictwa rzymskich *zelantów*. Późniejszą atoli swoją działalnością, złożył nowy nuncyusz aż nadto dowodów zupełnéj niezawisłości od tych węzłów, a zupełnego posłuszeństwa otrzymywanym z Watykanu hasłom.

Stanowczo zaś nie była taż sama rola rzymskich insynuacyj, wpływów i rozkazów dodatnią na stronę księdza Didon i tego rodzaju kompromisu, którego on się uczynił apostołem. W tym względzie nie ma pola zostawionego najmniejszéj wątpliwości. Apostolstwo namiętnego Dominikanina nie znalazło nigdy sympatyj w Nuncyaturze. Przerwany zaś jego zawód świadczy, iż nie znalazło ich także w Rzymie.

Między silnie ugruntowanemi tradycyami dawnego a nieśmiałemi jeszcze dążnościami nowego pontyfikatu zawieszona, polityka watykańska szuka dotąd poniekąd, i we wszystkich sprawach kościoła, właściwéj dla siebie drogi. Cóż dziwnego, że jéj nie znalazła od razu wówczas, w samym początku swego zawodu i w tak drażliwéj sprawie.

Zdaje się wszelako jakoby przychodzące do skutku początkowanie w wykonaniu dekretów marcowych było dostarczyło jéj brakującego natchnienia i zachęciło do ociągającéj się inicyatywy.

Cios zadany Zakonowi Jezusowemu powinien był wprawdzie zostawić całą, a nawet pomnożyć raczéj jego moralną potęgę, a zatém i wpływ jego w Rzymie. Na razie jednak skutek osiągnięty był wręcz przeciwnym. Kolej to zwykła rzeczy ludzkich. Męczennicy bywają tryumfatorami; są nawet zwykle nimi—ale jutro! Tymczasem, nim wstanie jutrzenka, biada zwyciężonym—nawet męczenni-

kom. Egzekucya dekretów zawiodła zresztą była oczekiwania sympatyzującego z Zakonem świata. Spodziewano się olbrzymiego wrażenia, oburzeń, protestacyj, gwałtów i zamieszek. Zapowiadano je nawet głośno. Po cichu zaś nabożniejsze i wrażliwsze dusze pocieszały się nadzieją więcéj przekonywujących jeszcze znaków gniewu Bożego, jakiegoś trzęsienia ziemi np. lub zaćmienia słońca.

Niestety! słońce nie straciło nic ze swego blasku, ziemia pozostała nieporuszona i co gorsza, nieporuszyły się także masy. Przerachowano się znowu z siłą francuskiego indyferentyzmu. Dla zwalczenia téj siły więcéj trzeba było jeszcze niż kilkudziesięciu policyantów odrywających zamki u kilku drzwi.

Jawném się więc stało, że ten sam indyfferentyzm towarzyszyć będzie wykonaniu dekretów i na innych zgromadzeniach i zdawać się zaczęło, że w tych warunkach będzie ta egzekucya absolutną klęską dla kościoła, bez żadnéj kompensaty.

Wypuszczano znowu w tym względzie z rachuby nader ważne czynniki. Zapominano, że nie na jednéj egzekucyi, choćby jak najbrutalniejszéj, zawisła cała krzywda zadana przez politykę rządową wolności osób i sumień; że więc nie na samém wrażeniu wywołaném tą egzekucyą powinny opierać się nadzieje pokrzywdzonych; że krzywda ta miała odtąd trwać i powtarzać się codzień i codzień także wzbierać kroplą przybywającą do kropli to morze pomsty, które prędzéj czy późniéj zalewa prześladowców.

Przyczyniało się podobno do zapomnienia tych względów kryjące się, wstydliwe, nieśmiałe i niepewne siebie, ale przecież ujawniające się parcie partykularnych interesów. Obok Jezuickich istniały przecież także Dominikańskie i Karmelitańskie zakłady naukowe. Zakłady prowadzone wzorowo ale nie mogące wytrzymać potężnéj konkurencyi Zakonu i wstrzymane przez nią w swym rozwoju. Konkurencya ta znikała obecnie. Czy nie stało się tak z Bożego wyroku? Drogi sprawiedliwości Bożéj są niezbadane, a narzędzia któremi się ona posługuje bywają rozmaite!

Domysłów tych, których sam miałem sposobność być powiernikiem, nie powtarzam dla rzucenia plamy na tych, którzy w szczerości serca do nich się uciekali. Były one, jak niedaleka przyszłość pokazała, nieugruntowanemi zgoła, ale u ludzi przekonanych o prawdzie swego posłannictwa i kierunku, zgoła godziwemi także.

Jakkolwiek-bądź, rezultatem tych rozmaitych danych był niespodziewany nawrot ku odrzuconéj niedawno tendencyi komplanacyjnéj, nawrót który niebawem znalazł swój wyraz w sławnéj *deklaracyi* duchowieństwa. Podejmując urzędownie sprawę zagrożonych zgromadzeń, duchowieństwo uchylało w ich imieniu narzu-

cany im obowiązek *upominania się o upoważnienie*, ale uroczystém poddaniem się republikańskiéj formie rządu obiecywało sobie okupić dla nich zakwestyonowane prawo bytu.

Inicyatywa tego nawrotu wyszła, według wszelkiego prawdopodobieństwa z Watykanu. Podstawy zaś, do proponowanego przez deklaracyą kompromisu, dostarczyły z wszelką pewnością rokowania zawiązane między reprezentantem watykańskim a ówczesnym przewodnikiem polityki francuskiéj. Niestety! rokowania te opierały się na obustronném złudzeniu. Targowano się w nich obustronnie o skórę niedźwiedzia, którego nie miano już w rękach. Było już zapóźno. Zapóźno w obec namiętności wzbudzonych opozycyą stawioną polityce rządowéj a rozkiełznanych pierwszém wykonaniem dekretów. Zapóźno w obec zachwianego stanowiska, niefortunnych téj polityki inicyatorów i obrońców. W tych warunkach *deklaracya* posłużyć tylko mogła do skompromitowania powagi duchowieństwa i do skompromitowania sprawy kościoła. Kompromitowała powagę duchowieństwa, narażając go na ironiczną odprawę, któréj doczekać się ono miało ze strony, przewagę biorącego w rządzie, radykalizmu. Kompromitowała sprawę kościoła, zrywając dopiéro co zawiązaną solidarność z uroczyście dopiéro co podjętą sprawą rozwiązanego Zakonu. Rzucała nadto ta sama *deklaracya*, na biorących udział w niéj i odstępujących tém samém w nieszczęściu, zasłużoną i za wierność wspólnemu sztandarowi potępioną bracią, jakby cień nieszlachetności.

Była zaś to nieszlachetność i odstępstwo absolutnie bez pożytku. Jeżeli w czém był teraz ratunek dla kościoła, to w jedności, w solidarności, w zespoleniu sił. Jeżeli z kim wypadało tę jedność i solidarność zachować, to z tym zastępem kościelnéj armii, który bądź co bądź nawet w pogromie swoim zostawał ogromną siłą, we Francyi zaś sam jeden rzeczywistéj *siły* mógł nosić miano. Przejrzał tę prawdę światły i najwybitniejsze, po śmierci księdza Dupanloup, w episkopacie francuskim miejsce trzymający ks. Treppel, kiedy nie wahał się słowem i piórem protestować przeciwko deklaracyi. Przejrzały ją rzadkie zgromadzenia, które, jak Benedyktyni z Solesmes, odmówiły przyłączenia się do niéj. Stwierdziły ją niebawem wypadki. Na ruinach gabinetu pana de Freycinet, gabinet Jules Ferry, oddając pośmiewisku niefortunną deklaracyą, dokonał na deklarujących dzieła zaczętego na Jezuitach.

Zaczęto wprawdzie od tego, że podziękowano w imieniu rzeczypospolitéj *obywatelom stanu duchownego* za objawione wierno-konstytucyjne sentymenta; jednocześnie atoli wyrażono pewność, że wierno-konstytucyjni obywatele nie zechcą przypuszczać, aby wyra-

żenie tych sentymentów mogło zastąpić potrzebę legalnego upoważnienia wymagalnego z mocy dekretów. Gdy zaś wierno-konstytucyjni obywatele nie zgłosili się po to upoważnienie, przystąpiono do egzekucyi.

Egzekucya ta znowu zawiodła oczekiwania. Heroiczne wysilenia, podjęte w celu otoczenia jéj jakowymś majestatem grozy i obudzenia nim drzemiących sympatyj, pozostały bez skutku. Wszędzie prawie nie przekroczyła ona rozmiarów bardzo pospolitego policyjno-ulicznego zajścia i wszędzie też prawie sympatye pozostały we śnie. Forteczne natomiast ostrożności, *veillées d'armes* podejmowane przez wyfrakowanych machabeuszów, wytrzymywane oblężenia, rygle, drągi i łańcuchy złożyły się tylko na udzielenie całemu wypadkowi jakiegoś komicznego charakteru, który rzeczywistą tragiczność jego osłabił. Zbierano niby tym sposobem materyały do przyszłego procesu. Jak gdyby spodziewana owa przyszłość nie miała mieć, nawet w przypadku zupełnego tryumfu, innych przed procesami zaprzątnień i innych obowiązków przed upomnieniem się o krzywdę księżny de Chevreuse, *wyciągniętéj* przez dwóch policyantów z uparcie bronionego stanowiska w obrębie klasztoru! Jak gdyby sam tryumfujący nad *porządkiem moralnym* radykalizm, nie był się cofnął przed narzucaném mu poszukiwaniem sądowném na autorach 16 maja! Bawiono się po prostu! Nie przeto przypuszczać chcę, aby wystawiono na szwank ostateczny tym sposobem sprawę, która dość silną jest sama przez się, aby znieść nawet błędy swych obrońców.

Ale tu zatrzymać mi wypada tę historyą wczorajszych zdarzeń. Dalszy jéj ciąg napiszą dopiéro jutrzejsze wypadki. Jeżeli ułatwić zdołałem czytelnikowi uchwycenie zagmatwanego tych wypadków wątku, uczyniłem zadość memu zadaniu. Jeżeli zachowałem w mém przedstawieniu rzeczy trzeźwość i bezstronność sądu, uczyniłem zadość pierwszemu mojemu zaprzątnieniu i pierwszéj potrzebie historyka. *X.*

PODANIE O WALTERZE Z TYŃCA.

(1) Liebrecht; Zur Volkskunde. Alte und neue Aufsätze. Heilbronn, 1879.
2) Rischka: Verhältniss der polnischen Sage von „Walgierz Wdały“ zu den deutschen Sagen von „Walther von Aquitanien: Brody. 1880).

Leżało to w naturze pierwotnego człowieka, iż lubił ród swój wywodzić od jakichś niezwykłych przodków: od bogów, półbogów, bohaterów mitycznych, a nawet od pół-ludzi pół-zwierząt, potworów; a czasami, w braku nadprzyrodzonéj prosapii, od jakiegoś głośnego cudzoziemca, awanturnika, rozbójnika, zbrodniarza,—byle tylko nie od pospolitego jakiego a cichego, miejscowego obywatela. Szczególnie bogatsi większe znaczenie w kraju posiadający ludzie pożądali takich rodowodów, a co większa, wierzyli w nie i poczytywali za największą obrazę, za świętokradztwo prawie, gdy jakiś śmielszy umysł poważał się o nich wątpić.

Jednym przodka wykarmiła wilczyca, innym orzeł go porwał w gniezdzie swém wyżywił; tamtym pradziad przywędrował z głośnego zburzonego grodu, innym prababką była pół-ryba pół-kobiéta; tych znowu praszczur niewątpliwie jest synem Zeusa, a tamtego przodka myszy zjadły. I tak daléj, przeróżne, dziwne, potworne dzieje opowiadano o kolebce pewnych rodów; a jeżeli nie były one budujące, to przynajmniéj dumnego potomka utwierdzały w przekonaniu, że antenaty jego odznaczyli się czémś niezwykłém i że wobec pospolitego człeka z gminu, który nic cudownego o swém gniezdzie nie umiał powiedziéć, był on czémś wyższém, czémś niepospolitém.

Do takiéj niepospolitości, wedle dawnych pojęć, mieli wszelkie prawo u nas Toporczycy. Rodu ich praojcem był sławny bohater Tyniecki Walter, o którym cudowne rzeczy prawił ksiądz biskup Bogufał, a późniéj pan Bartosz Paprocki, a za nimi wielu innych.

I.

Gdybym był pewny, że każdy mój czytelnik zna legendę o „Walterze Udałym“, nie powtarzałbym tu jéj, lecz tylko na niąbym wskazał i szedł daléj. Ale nie mając téj pewności, ile że o naszym ogóle powiadają, iż swoje rzeczy zna mało (musi to być potwarz!) wolę parę kart wypisać z Paprockiego, niżeli kazać czytelnikowi szukać podania po starych księgach.

Opowiada je wprawdzie Szajnocha w swoim szkicu o „Walgierzu Wdałym,“ ale że zajmuje go tylko pierwsza część legendy, więc tę tylko podaje. Ja zaś, mając zamiar zastanowić się nad całością i znajdując, że każde bajanie najlepiéj wygląda w téj szacie, w jakiéj ją nam przeszłość podała, wolę przytoczyć słowa pana Bartosza. Powinienbym właściwie zamieścić tu odpowiedni ustęp z kroniki, Bogufałowi przypisywanéj; ale wolę przerobienie Paprockiego, naprzód dla tego, że jest polskiém i gładziéj wystylizowaném, a powtóre, że choć datą napisania późniejsze, powołuje się ono na źródła może nie młodsze od Bogufałowych. Zresztą zaraz po przytoczeniu opowieści, porównamy szczegóły jéj z wersjami Bogufała i Bielskiego, więc nie stracimy żadnego rysu, który do pełności legendy byłby niezbędnym.

Paprocki tak prawi:

„Walcera hrabie z Tyńca wspominają historje, jako Andreasi de Żarnów (dziś zaginiony), wszakoż dowodniéj Anonymos (również zaginiony), to jest historyk; który kronikę polską, łacińskim językiem pisaną, krom podpisu imienia swego zostawił,—dla tego że był uniósł królewnę francuzką, imieniem Heligundę, tym sposobem: Służąc albo się bawiąc w postronnych krainach, dla przejrzenia spraw rycerskich, będąc mężem urodziwym i roztropnym, przypatrował się na dworze króla francuzkiego porządkowi. Tam będąc, okazował się znacznym i w każdéj potrzebie nad inne rycerstwo fortunniejszym, tak, że go ono szczęście wielkiéj sławy człowiekiem rozniosło. Na tegoż króla dworze było książę, które on królewicem niemieckim mianuje, imieniem Arinaldus, który się starał o onę królewnę, ale go sama panna wzgardzała. Walcerus przed nim miał u niéj wielką łaskę, co bacząc, zabawił się służbą króla ojca jéj, który mu zaraz dać kazał urząd u stołu, jeśliż podczastwo, albo misę stawiać, tego nie mianuje. Tam mu się ona panna pilnie przypatrując, wielką chęć i uprzejmość serdeczną k'niemu przyłożyła. Co on jawnie znając, chcąc ją jeszcze więcéj do miłości przeciwko sobie przyciągnąć, szedł w nocy pod pokoje jéj, śpiewał i grał na lutni jako mógł napiękniéj. Co

usłyszawszy Heligunda, z łóżka wstawszy, szła do okna, słuchała tak długo, póki Walcerus nie odszedł, wszakoż ktoby to był taki, nie wiedziała. A Walcerus zrazu nie chciał się jéj w tém objawiać, owszejki jeszcze stróże przenajął, aby tego nikomu nie objawiali. A gdy to drugiéj i trzeciéj nocy uczynił, pannę onę do tego zniewolił, że go bezmiernie miłowała, posłała sobie po straż, a ktoby to u niéj pod pokojem grał, pytała. Powiedzieli: Nie wiemy, ani znamy, bo tak nieznacznie twarz nakrywszy chodził. Ale panna chciała koniecznie wiedziéć od nich, ktoby to był taki. W czem gdy stróże byli uporni, ona ich do więzienia wsadzić kazała i na gardle karać chciała. Potem z bojaźni wyznali a wydali Walcera, który się o to na nie nie frasował. Heligunda już z myślą rozdwojona była, nie wiedząc kogo miała więcéj miłować, jeśli Walcera, którego osobę znała, jeśliż onego, którego tylko głos słyszała, a coby zacz był, nie wiedząc. A dowiedziawszy się, iż to już on był, którego w myśli serdecznéj miała, poczęła go dopiéro zapaliczliwiéj (tak) miłować, a potém do siebie na pokój wzywać. A gdy onych rozmów przez kilka czasów z sobą używali, umyśliła z nim potajemnie zjechać. Czego Niemiec postrzegł, jednak miłując onę pannę bezmiernie, nie wydał jéj i Walcera w tych sprawach, a to wiedząc, że przez jego państwo jechać mieli, był tego pewien, że Heligundy mógł łatwie dostać, a ucieszywszy się w miłości, onę niechęć jéj przeciwko sobie oddać (zemścić się za jéj niechęć). A tak naprzód jechał do domu, zakazał na przewozie, aby mu przewoźnicy znać dawali, kiedyby kto z panną od Francyi jachał, k'temu, aby go dłużéj zabawiali, rozkazał, aby od takiego nie brali mniéj za przewóz, jedno grzywnę złota, rozumiejąc to o Walcerze, żeby się z nimi miał o tak nieprzystojny przewóz targować. Walcerus, upatrzywszy czas, zjechał z panną do Polski. A gdy na rzece Renie przewozić się miał w państwie królewica onego, z fukiem przewoźnikom rozkazał, aby go co prędzéj wozili, którzy z przelęknienia zapomnieli rozkazania pana swojego, wszakoż tego nie zapomnieli, co za przewoz wziąć mieli. Walcerus, dawszy im to co mu zacenili, precz jechał. Oni dopiéro, wspomiawszy, znać dali o nim panu swemu. Królewic, będąc żałosny dla despektu i dla miłości na sercu nie uspokojony, puścił się po nim prędko sam, ufając szczęściu, że go miał przemódz. A gdy z daleka zajźrzał, wołał nań: Stój, zdrajco, przewozuś nie zapłacił i królewskąś córkę ukradł! Na co mu Walcerus obróciwszy się odpowiedział: Zle mówisz, przewózem zapłacił, a królewska córka sama ze mną dobrowolnie jedzie. Potém się zjechawszy, rzekli sobie o pannę z sobą czynić, a któryby którego zabił, miał wszystkie rzeczy przespiecznie pobrać i dobrowolnie precz jachać. W tém, acz królewico-

wi zbytnia miłość serca dodawała, wszakoż go Walcerus zabił. Przyjechał po tém na zamek swój Tyniec.“

Na tém się kończy część pierwsza podania o Walterze; to co daléj kronikarze nasi opowiadają o nim, jest drugą, zgoła odrębną legendą; téj ani Szajnocha, ani nikt, ile wiem, u nas porównawczo nie rozbierał. U Paprockiego tak brzmi ona:

„Tam (w Tyńcu) pomieszkawszy, o wielkie krzywdy skarżyli mu się poddani na Wiślimiera, opiekuna majętności jego. A tego Wiślimiera opowiada (zapewne Anonymus) książęciem wiślickim z narodu jeszcze Popielowego; ten był w niebytności Walcerowéj wielkim zdziercą póddanych jego. O co z nim naprzód Walcerus łaskawie mówił, a potém, gdy się im i jemu usprawiedliwić nie chciał, on go pojmawszy przywiózł na Tyniec i do wieże wsadził. Sam potém k‘woli królowi albo monarsze na służbę żołnierską jechał, zostawiwszy Heligundę na Tyńcu, która była bardzo żałosna z odjechania jego. Wszakoż gdy w wielkim dostatku chwilę była bez Walcera, poczęła się przed panną swoją uskarżać, mówiąc: żem ja ani dziewka, ani wdowa etc. Panna ona, żałując pani, powiedziała jéj: że tu jest więzień urodziwy, będziemyć go na noc wypuszczać do krotochwile, a na dzień go będziem do więzienia sadzać, tak że tego żaden nie postrzeże. Owa namówiwszy się to uczyniły, stróże co go strzegli przenająwszy. Heligunda obaczywszy Wiślimiera, męża urodziwego, nie chciała go więcéj dać do więzienia, owszejki dowiedziawszy się co zacz był, zjechała z nim na Wiślicę. W tém przyjechał Walcerus, pytał, czemu Heligunda przeciw jemu nie wyszła, jak to zwykła czynić. Powiedzieli słudzy, że jéj niemasz. Dowiedziawszy się wszystkiéj sprawy, jechał do Wiślice, zastał tylko samę Heligundę, a Wiślimier w łowy był zajachał. Upadła mu do nóg, prosząc łaski i miłosierdzia, a prosząc aby się schronił do komory jego i sługom się także schronić kazał, a ona mu go wydać obiecała, aby się nad nim pomścił krzywdy swojéj. A gdy on tak uczynił, Wiślimier przyjechał, ona wybieżawszy powiedziała mu o Walcerze, kędy go skryła. On go zatém z sługami nabieżawszy, pojmał i wsadził do więzienia, potém nań włożył okowy jakie rozumiał natęższe, k‘temu jeszcze do muru przykować dał, a nie rozumiejąc sobie wierniejszego stróża i przyjaciela do tego, siostrze swojéj rodzonéj oddał klucze od niego, coby z wiadomością jéj tylko w onéj komorze tak go w pęcie na potrzebę wypuszczano. W czém ona panna przez kilka czasów wiarę bratu swojemu strzymała statecznie. Potém ulitowawszy się Walcera, zmowę z nim tajemnie uczyniła, jeśliby ją chciał sobie wziąć za żonę, rzekła go z więzienia wypuścić; a była ta panną Rynga tak żadna (brzydka), że jéj żaden człowiek równy jéj w zacności

nie chciał jéj do stanu małżeńskiego. Co Walcerus uczynił, chcąc być wolen z wiecznego a okrutnego więzienia, bo siedział na żelezie nakształt woła uczynionem, a jeszcze do tego w okowach. A gdy już tę zmowę z sobą mieli, panna Rynga wolnym go uczyniła i miecza dodała wszakoż on siedział na onem żelezie, czasu czekając, jakoby niewolny. A gdy Wiślimier z Heligundą według zwyczaju szli się przelegać, rzekł do nich Walcerus: „Kiedybym ja téż teraz nad wami pomścił się krzywdy swojéj?" Poczęła sobą Heligunda trwożyć, ale Wiślimier ją upomniał; a rzekł do Walcera: „Już ci odpuszczę, chocia mię i zabijesz", a to dla tego mówił, że ufał wierności siostry swojéj. Dla większego żalu Walcerowego uczynił mu był z onego sklepu jego okno do pokoju swego, że na czas każdy na nie patrzał, kiedy zsobą żartowali. A gdy po onych rozmowach Wiślimier z Heligundą, tak się zabawili przespiecznie że Walcerus czas miał do pomszczenia krzywdy, skoczył prędko z onego wołu, przypadłszy oboje mieczem ku ziemi na łożu przebił, potém sam wolno z Ryngą na Tyniec wjachał, wszystkie skarby pobrawszy, co ona panna tak sprawowała, że słudzy Wiślimierowi tego nie postrzegli iże pan ich zabit, aż na Tyniec odwieźli one wszystkie rzeczy, a Walcera chodząc wolnego oglądali. Téj Heligundy ciało tam w Wiślicy schowano i twarz na kamieniu wyciosano, która była w roku 1242 na zamku, czego potwierdza Andreas de Żarnów". (Herby rycer. pols. wyd. krakow. 1858, od str. 59).

Porównajmy teraz z tą opowieścią rozdział 29 kroniki znanéj pod nazwą Bogufała (Bielowski Mon. II od str. 510). Wiadomo iż napisana jest ona po łacinie, stylem rozwlekłym i nudnym. I tę legendę opowiada ona daleko obszerniéj od Paprockiego, chociaż nie wiele szczegółów odmiennych zawiera. Rozpatrzymy szczegółowo co więcéj, a co mniéj mówi kronikarz od heraldyka.

Wiślimiera Bogufał nazywa *Wyslaus*, a więc Wisławem, czy Wysławem, dodając mu epitet *decorus*, piękny. Waltera różne kodeska różnie nazywają: Walterus, Walcerus, Walterz, Walczerzs, Valterus; nazwany on jest *robustus*, silny „co po polsku zwie się *vdaly Walterz*" dodaje jedna kopja, *wdalj Walczerzs*, powiada druga, *udali Valterz* mówi trzecia itd. Szajnocha z przydomku tego wysnuł wyraz *wdały*, za nim poszedł Bielowski i pisze w tekście kroniki: *Wdały Walter*; mnie się zdaje że to forma nie polska i że powinniśmy czytać *Udały*, o czem niżéj obszerniéj pomówimy.

Daléj, według kronikarza naszego, Walter miał być Popielowiczem, również jak i Wisław. Heligundę Bogufał nazywa *Helgunda*, a imienia Arinalda nie zna, zwąc rywala Walterowego poprostu „synem pewnego króla niemieckiego." Opowiadając o zajściu na

przeprawie przez Ren, kronika mówi, że przewoźnicy póty się nie zgadzają przewieźć uciekających na drugą stronę, aż nim nie przybędzie królewicz niemiecki. „Walter zaś, powiada, obawiając się niebezpieczeństwa ze zwłoki, wsiada na bucefała swojego, każe Helgundzie usiąść za sobą i rzucając się do rzeki, szybciéj od strzały ją przepływa.“ Potem, opowiadając o pojedynku, dodaje, że Walter się cofał i dopiéro gdy ujrzał kochankę, nabrał nowych sił i zwyciężył.

W Tyńcu, wedle kronikarza, Walter czas jakiś leczy się z ran, a po odjeździe jego na wojnę, Helgunda dopiéro po dwóch latach zaczyna nudzić się i szukać pocieszyciela.

Po zdradzieckiem pojmaniu Waltera, Wisław przybić go każe do ściany stojącego z rozkrzyżowanemi rękami. O kształcie oków do wołu podobnym niéma tu mowy. Nie wie też kronika imienia siostry Wisława, ale ją nazywa cioteczną. Po porozumieniu, umieszcza ona miecz Waltara pomiędzy plecami jego a ścianą; całą dobę czeka on chwili stososownéj do napadu, mając już ręce wolne i broń za sobą. Po groźném przemówieniu Waltera, kronikarz każe Helgundzie przepraszać Wisława, że zapomniała oznajmić mu, iż miecza Walterowego w łożu nie znalazła, na co on odpowiada: „Choćby on miał dziesięć mieczów, bez pomocy kowalów nie zdoła rąk z oków wyswobodzić. Ale w tem rzuca się na nich Walter i oboje jednéın cięciem na pół rozcina.

O wyobrażeniu Helgundy na jéj grobie mówi Bogufał, że „aż do dnia dzisiejszego“ oglądać je można.. Szczegółów zaś o odjeździe Waltera, o zabraniu skarbów i żony do Tyńca—nie podaje.

Bielski zdaje się, że streszcza Bogufała, wspomina jednak jako źródło „Anonymosa jednego.“ Wiślimiera nazywa Wisławem, a Waltera „Grabią z Tyńca Walcerem.“ (Wyd. 1764 roku str. 85 i dal.).

Dawniejsi kronikarze polscy (Gallus, Kadłubek, Długosz) wcale podania tego nie wspominają. Dzisiaj lud go nie zna, a Wójcicki w „Klechdach“ dla tego je zamieścił, iż mu się zdawało „przechowaném ze słowiańskich czasów“ (?) i „ważnym a ciekawym pomnikiem literatury“ (Klechdy wyd. 1851 r., t. I, str. 32).

Szajnocha tak umiejętnie i trafnie zestawił wszystko, co się dało zebrać, z pierwszą częścią podania, tak jasno dowiódł, że przywędrowało ono do nas z zachodu, iż pozostaje mi tylko słów kilka dodać i przedstawić czytelnikom streszczenie poematu sanktgallskiego, aby sami naocznie osądzić mogli różnice i podobieństwa polskiéj a niemieckiéj, czy raczéj średniowieczno-łacińskiéj redakcyi. Szajnocha zbyt krótkiemi słowy ją opowiedział, zdało mi się przeto rze-

czą niezbędną zamieścić tu obszerniejsze nieco skrócenie nudnego, niedołężnego a rozwlekłego poematu łacińskiego, aby dać wyobrażenie o zachodniém przerobieniu jakiejś pierwotnéj legendy o Walterze, która posłużyła za pierwowzór baśni Bogufałowéj.

Uhland (*Schriften über die Geschichte der deutsch. Dichtkunst und Sage* II od 428) tak oddaje skromną prozą napuszyste heksametry Eckeharda:

„Attyla zbrojnie krainy zachodnie plądrując, każe królom haracz i zakładników dawać, Gibich, król Franków, pan Wormacyi, którego syn Gunter jest jeszcze chłopięciem, oddaje młodego Hagena, ze szlachetnego rodu Trojańskiego (Troyes), wraz z wielkiemi pieniędzmi. Król burgundzki Herrich, pan Cavillonu (Chalons na Saonie), daje córeczkę jedynaczkę Hiltgundę, a Alfar, król Akwitanii, synka swego Waltera, narzeczonego Hiltgundy. Hagen i Walter dobrze się sprawują na dworze Attyli: celują przed Hunnami we wszystkich kunsztach wojennych i dowodzą wojskami króla. Hiltgunda, biegła w robotach kobiecych, pozyskuje łaskę królowéj i zostaje dozorczynią skarbcu. Tymczasem Gibich umiera, a następca jego Gunter wypowiada Hunnom przymierze i haracz. Hagen, dowiedziawszy się o tem, ucieka w nocy. Aby i Walter, podpora państwa, także nie uciekł, Attyla, za radą królowéj, chce go ożenić z pewną księżniczką huńską. Walter uchyla się od tego małżeństwa, dowodząc, że uczyniłoby go mniéj czynnym w służbie królewskiéj. Potém wracając raz zwycięzko z pewnéj wyprawy, spotyka się sam na sam z Hiltgundą. Całuje ją, każe sobie czarę podawać i ściska jéj rękę, na pamiątkę zaręczyn; późniéj umawia się z nią uciec z długiego wygnania. Dawno-by zresztą mógł już to uczynić, ale nie chciał dziewicy saméj zostawić. Stosownie do umowy, wydaje Walter królowi wspaniałą ucztę, na któréj wszyscy biesiadnicy upijają się i głęboko zasypiają. Hiltgunda napełnia dwie szkatułki złotemi naramiennikami ze skarbcu. Szkatułki te zawiesza po obu bokach rumaka Walterowego, Lwem zwanego, którego panna za cugle prowadzi. Rycerz kroczy w pełnéj zbroi, z tarczą i dzidą, Hiltgunda niesie wędzisko. W nocy uchodzą, bezdrożami leśnemi i górskiemi umykając, żywią się ułowionemi ptakami i rybami. Dziewicy serce bije, gdy wiatr gałązki poruszy, lub ptak skrzydłami zaszumi. Attyla nadaremnie nagrodę przeznaczył temu, kto zbiegów dogoni. Żaden Hunn nie śmie podążyć za bohaterem. Czterdziestego wieczoru przybywają Walter i Hiltgunda nad brzeg Renu pod Wormacyą. Za przewóz płaci Walter pierwéj złowionemi rybami; nazajutrz przewoźnik niesie je do miasta; dostają się one na stół króla Guntera, który bardzo się dziwi widząc takie ryby w kraju Franków. Prze-

woźnik, na pytanie, zkąd-by je miał, opowiada o wędrownym rycerzu i pięknéj damie, dodając, że za każdém stąpieniem konia szkatułki brzęczały jakby pełne były złota i klejnotów. Hagen, który siedzi też za stołem, zgaduje, że to towarzysz jego Walter z ziemi Hunnów powraca. Król Gunter nie posiada się z radości, że skarby, które ojciec jego haraczem pomnażał, wracają do kraju jego. Wybiera wnet dwunastu rycerzy, aby gonili za uciekającymi; Hagen, choć odradza to, należy do wyprawy. Tymczasem Walter dostał się w Wogezy i przebywa puszcze, pełne zwierzyny, oraz odgłosu trąb i ogarów; znajduje tam pod dwoma nachylonemi głazami jaskinię ze świeżą murawą. Tu chciałby Walter spocząć; do téj chwili nie spał inaczéj, jak wsparty na tarczy; teraz zrzuca zbroję; kładzie głowę na łonie panny, która, czuwając nad nim, bacznėm okiem w dal spogląda. Dostrzegłszy z daleka kurzawę, budzi Waltera. Uzbraja się on, porywa tarczę i dzidę i staje u wnijścia jaskini. Hiltgunda, obawiając się Hunnów, prosi go, aby jéj głowę uciął, iżby niczyją prócz niego się nie stała. Ale rycerz poznaje Nibelungów, a po hełmie towarzysza swego Hagena, którego jednego tylko się lęka. Król Gunter szedł śladami na piasku wyciśniętemi; dopadłszy nareszcie z rycerzami swojemi, wysyła Kamela z Metzu, aby zażądał od Waltera rumaka ze skarbami i panną. Bohater ofiaruje sto złotych pierścieni, jeżeli go od walki uwolnią. Hagen radzi królowi zgodzić się na to, ale gdy słowa jego nie mają skutku, odjeżdża i staje na wzgórku, Kamelo jedzie raz jeszcze z poleceniem, aby żądał od Waltera całego skarbu, a w razie odmowy, aby walkę rozpoczął. Nadaremnie Walter ofiaruje dwieście pierścieni. Kamelo ciska dzidę, Walter się uchyla, rzuca swoją, trafia w prawą rękę i mieczem przebija Kamela. Potém po kolei walczą Skaramund, synowie Kamela, Werhard, Sas Eckevrid, Hadward, Patavrid siostrzan Hagena, nadaremnie upominany przez wuja i samego Waltera, Gerwit, Randolf, Helmnod, Trogunt ze Strasburga, Tonast ze Spiry. Wązkość ścieżki dozwala walki tylko pojedyńczéj; Walter jednego po drugim przemaga. Król Gunter, zostawszy sam jeden, bieży do Hagena i błaga go, aby do walki przystąpił; po długim oporze, Hagen radzi przedewszystkiém wywabić Waltera z obronnéj kryjówki. Odjeżdżają tedy i czynią zasadzkę. Tymczasem słońce zaszło; Walter nie chce po nocy, jak złodziej, umykać; przegradza tedy drogę do pieczary cierniami i przywiązuje zdobyte rumaki. Wsparłszy głowę na tarczy, zasypia przez pierwszą część nocy, a panna tymczasem, siedząc przy głowie jego, śpiewem sen sobie odpędza. Potém Hilgunda kładzie się na spoczynek, a Walter, wsparty na kopii, straż trzyma. Z rana składa zdobyty oręż na czterech koniach, na piątego sadza narzeczoną, a szó-

stego sam dosiada. Nie daleko doliną ujechali, aż tu za niemi gonią Gunter z Hagenem. Walter każe natychmiast narzeczonéj, wraz z koniem Lwem, niosącym skarby, wjechać do pobliskiego lasku, a sam staje do walki. Hagen chce pomścić siostrzana i głuchym jest na wspomnienia Waltera o ich dawnéj przyjaźni, gardzi pełną tarczą złota, którą mu on ofiaruje. Od drugiéj do dziewiątéj godziny walczy pieszo z dwoma przeciwnikami. Nareszcie ciska nagle kopią na Hagena, a jednocześnie nacierając mieczem na Guntera, odcina mu kawał uda, tak, że król upada na tarczę. Walter chce go dobić, ale Hagen wsuwa głowę swoją pod miecz; pęka on, uderzając się o hełm Hagena, a gdy Walter z gniewem rękojeść precz odrzuca, Hagen rąbie go w prawą rękę. Chwyta on jednak ranioném ramieniem za tarczę, lewą ręką porywa krótki miecz huński i odcina Hagenowi prawą szczękę wraz z okiem. Tak okaleczywszy się wzajemnie, leżą obok na murawie. Hildgunda, przywołana przez Waltera, przewiązuje rany i pokrzepia ich winem. Król, jako leniwy w walce, dostaje ostatni. Na około nich leżą noga Guntera, ręka Waltera i drgające jeszcze oko Hagena. Ale trzéj bohaterowie żartują sobie przy kielichu: Walter ma polować na jelenie, aby dostać skóry na rękawiczki, z których prawa będzie wypchana; miecz będzie przypasywał u prawego boku, a żonę lewą ręką obejmował; Hagen jeść będzie zamiast mięsa dzika delikatną kaszkę i zezując witać bohaterów. Tak więc odnawiają dawne pobratymstwo, wśród krwi potoków. Wreszcie jęczącego króla sadzają na konia; Frankowie udają się ku Wormacyi, a Walter do ojczyzny.“

Oczywiście powieść Bogufała nie jest powtórzeniem téj Eckehardowéj; różnice w szczegółach są tak znaczne, że pomimo podobieństwo w innych względach, nie mamy prawa twierdzić, aby pomiędzy polską a szwajcarską odmianką zachodził bezpośredni stosunek; musimy więc z Szajnochą powtórzyć, iż prawdopodobnie i sanktgalleńska i polska postać legendy są przerobieniami jakiejś dawniejszéj, zaginionéj, łączącéj w sobie szczegóły obu późniejszych waryantów.

Do literatury tych waryantów, wymienionéj przez Szajnochę (Szkice, wyd. 1857, II, 10), dodać winienem parę szczegółów, jemu naówczas nieznanych. Naprzód, że w Nibelungach (awantura 28 i 39) są krótkie wzmianki o przygodach Waltera i Hildegundy; powtóre, że w r. 1860 odkryto dwie kartki anglosaskiego tekstu naszéj legendy dziewiątego wieku, a więc o dwa stulecia starszego od poematu sanktgalleńskiego. Nie podaję urywka tego w całości, lecz streszczam tylko ważniejsze rysy:

Chwila akcyi jest dniem drugim walki, gdy towarzysze Guntera i Hagena już są pobici; Walter lęka się potykać z nimi, bo Gunter

straszny, niezwalczony miecz posiada; ofiaruje mu wszystkie skarby i miecz swój, dzieło sławnego Wielanda, ale nadaremnie. W tém występuje dziewica, nie nazwana po imieniu, zachęca i ośmiela kochanka do boju, mówiąc, iż haniebnie było by gdyby z placu ustąpił i że nie powinien się lękać śmierci, ufając w Bogu i polegając na zacności swojéj sprawy. Walter tak upomniany, występuje do walki; Gunter zaczyna zalety miecza swego podnosić... i na tem kończy się urywek (Haupta Zeitschrift XII, 265).

Porównywając ten urywek z odpowiednim ustępem naszéj wersyi, widzimy, że podobieństwo szczegółów jest, ale dalekie; dochodzimy zatém do wniosku, iż polska postać legendy Walterowéj z innego jakiegoś oryginału zachodniego jest wzięta, którego dotąd nie wykryto, oraz, że postać niemiecka znaną już była w wieku IX i że dopiéro znacznie późniéj przerobiono ją na poemat łaciński, mniéj wszakże od niéj, niż od polskiéj wersyi różniący się.

Kończąc wreszcie rzecz moję o piérwszéj części podania, dodaję jeszcze poprawkę wzmianki Szajnochy o polskiém obrobieniu legendy w „Tygodniku Wileńskim“ z roku 1817 na 1819 (Nr. 149 i 150), wymieniam najnowsze wydanie tekstu łacińskiego obrobienia Eckehardowego, wraz z przekładem niemieckim przez Holdera i Scheffela w Sztutgardzie w r. 1874. Przypominam także, iż Magnuszewski z legendy naszéj korzystał w pierwszym obrazie utworu swego p. n. „Niewiasta polska w trzech wiekach.“

II.

Szukając źródła, czy odmianek pierwszéj części podania, nie wyszliśmy po za granice sąsiednich nam Germanów; zresztą osnowa jego tak jest niekunsztowna i mało charakterystyczna, że może być po prostu jednym tylko wątkiem jakiegoś większego podania rycerskiego, może nawet nie posiadającego ani rozgałęzienia, ani rodowodu.

Inaczéj rzecz się ma z drugą częścią naszéj legendy, któréj nikt u nas dotąd porównawczo nie badał. Wiąże się ona z szerokiém kołem podań i sięga aż Azyi, a może właśnie ztamtąd płynie.

Wprzód nim zastanowimy się nad szczegółami i genezą téj baśni, potrzeba, aby czytelnik poznał zasób faktów do porównania niezbędnych; i tu więc muszę wypisywać osnowę podań pokrewnych, bo nie przypuszczam, aby czytelnikowi były znane, albo też aby posiadał dzieła, w których się one mieszczą; że zaś przeciwny jestem przytaczaniu legend w zupełnie skróconém streszczeniu, bo tracą

przez to ostatecznie koloryt i stają się niezdatnemi do szczegółowego porównania z innemi, muszę więc nadużywać cierpliwości czytających i dyskrecyi redakcyi, zamieszczając kilka baśni w takiéj formie, jak je znajduję w książkach, które mam pod ręką.

Korzystam tu po części ze wskazówek Liebrechta i Benfeya; szczegółową wskazówkę zaś literatury podam na końcu rozprawki.

Rozpoczynam od przytoczenia baśni, zawartéj w zbiorku legend średniowiecznych, zwanym „Nugae curialium" (Rozrywki dworzan); zebrał je Walter Mapes, czy raczéj Map, anglik, archidjakon oxfordzki z końca XII wieku. Rozdział 4-ty części 3-ciéj opowiada następną historyą, pod napisem: „O Razonie i jego małżonce."

„Razo, chrześcianin, walwassor (panek feudalny), wybudował sobie zamek w sąsiedztwie pewnego admirała poganina i wdaje się w częste utarczki z sąsiadami. Ma syna i drugą żonę; téj oddaje razu pewnego pod straż pojmanego admirała; ale ona, w nieobecności męża, ucieka z nim na ulubionym rumaku małżonka. Ten, żałując jedynie straty konia, wkrada się, przebrany za żebraka, do miasta pogańskiego; tam, poznany przez żonę, zdradzony przez nią, idzie na stracenie, lecz go uwalnia nadbiegający syn, który zabija admirała, a żona tymczasem uchodzi. Przebrawszy się znowu Razo, nie mogąc się pocieszyć po stracie rumaka, powtórnie wciska się do miasta nieprzyjacielskiego i podsłuchuje niewierną swą żonę, jak się umawia z pewnym rycerzem, aby uciéc z nim o świcie. Czuwa tedy całą noc w miejscu przez nich wskazaném; kobiéta pierwéj przybywa od kawalera, a nie poznawszy męża, ucieka z nim, wsiadłszy na ulubionego jego rumaka. Lecz gdy mąż ze znużenia zasypia, żona poznaje go po chrapaniu; prosi aby spoczął w ustroniu, on jéj słucha, ale z konia nie zsiada i drzemie wsparty na kopii. Tymczasem rycerz pogański, przekonany iż go oszukano, dopędza ich; ale Razo, zbudzony rżeniem i tupaniem konia, przywołuje garstkę rycerzy, ukrytych w pobliżu pod wodzą syna, zwycięża przeciwników i wraca do zamku; syn zaś jego w zapale walki ścina głowę macosze i unosi ją jako zdobycz." (Liebrecht *Zur Volkskunde*, 1879, str. 39).

Teraz z kolei poznajmy dwa podania ludu ruskiego. Pierwsze nazywa się o Iwanie Hodynowiczu i podaję je według wersyi Kirszy Danyłowa, ukraińca z XVIII w.

„Książę kijowski Włodzimierz wysyła w świat syna swojego Iwana Hodynowicza, aby żony sobie się postarał. Jedzie on do Czerniechowa, do bogatego „gościa" t. j. kupca Dymitra, z „jerłykiem" czyli listem polecającym od księcia. Dymitr oświadcza mu, że Nastasja, córka jego, przyrzeczona już jest „zagórskiemu carowi" Afromejowi, a gdyby za Iwana poszła, toby została „chłopką." Wraca

młodzian do Kijowa i donosi o tém księciu Włodzimierzowi; ten w gniew wielki wpada, daje wojsko swoje i każe przemocą pannę zabrać. W Czerniechowie Iwan zastaje „murzów-ułanów,“ posłów od cara z podarunkami, a sam Afromej stoi o pół mili od miasta we trzy tysiące wojska. Nie przestraszony tém jednak, Iwan zabiera sam jeden Nastasję, wsadza ją na konia, odjeżdża w pole, stawi namiot i zabawia się z panną. Car Afromej wyzywa go na pojedynek; biją się w obec Nastasji; Iwan już ma obalić cara, gdy ten przypomina pannie, że zostawszy żoną Iwana, chłopką się stanie, więc ona chwyta za nogi bohatera, obalają go we dwoje, wiążą mu „białe ręce“ i przywiązują do „dębu surowego;“ car Afromej idzie z Nastasją do namiotu „poigrać“ na złość Iwanowi. Lecz w tém pojawia się odsiecz z Kijowa, stu wojowników; uwalniają oni Iwana; ten puszcza wolno cara; ale pastwi się nad Nastasją: odcina jéj jedną rękę, potem drugą, potem nogi, potem obrzyna usta i nos, a nareszcie ucina głowę.“ (Or. Millera Ilja Muromec od str. 369).

Drugie podanie, mające związek z cyklem przez nas rozpatrywanym, ma za bohatera Potoka, czy Potyka; z dwóch o nim legend zamieszczam tu tę tylko, która nas obchodzić może.

„W nieobecności Potoka, przyjeżdża zagraniczny jakiś car czy carowicz i wzywa żonę jego Łabędzicę-Białą (Łabędź po rusku jest rodzaju żeńskiego), aby szła zań za mąż. Ona się zgadza i z nim odjeżdża. Dowiedziawszy się o tem Potok, przebrany za kalekę żebraka, udaje się do tego cara i pod oknem prosi o jałmużnę; ale Łabędzica go poznaje, przyjmuje z udanem uczuciem i napoiwszy „napojem bezpamiętnym,“ w kamień obraca. Trzech braci ślubnych Potoka: Ilja Muromec, Dobrynia i Alosza Popowicz, długo nie widząc go z powrotem, idą go szukać; w drodze przyłącza się do nich starzec kaleka, który okazuje się czarownikiem. Znajdują Potoka w postaci kamienia; czarodziej kaleka przywraca mu kształt ludzki. Potok postanawia zemścić się nad żoną i uwodzicielém; lecz ta przekonywa go, że nie sama, ale mąż jéj obrócił go w kamień, znowu napaja go trunkiem cudownym, a gdy usnął, przybija gwoździami do ściany. Ale siostra cara cudzoziemskiego, nowego męża Łabędzicy, Marya, uwalnia Potoka; oswobodzony nie wie jak ma odzyskać rumaka swego i zbroję. Wreszcie naucza carównę Maryę, aby udała chorą i wmówiła ojcu, że widziała we śnie konia Potokowego, a na koniu pancerz i oręż, że go wodziła za cugle i że z pewnością wyzdrowieje, jeżeli sen sprawdzi się na jawie. Ojciec się zgadza, każe jéj dać konia i oręż. Potok chwyta broń, wsiada na koń, pobija całą drużynę cara nieprzyjacielskiego, zabija jego i żonę swoją Łabędzicę-Białą i żeni się z wybawicielką swą, carówną Maryą.“ (Rybnikow I, 210, 220, 229; II, 63, 71, 80).

Stasow, jeden z lepszych podanio-znawców rosyjskich, nie wątpi, iż legenda o Potoku bezpośrednio się wiąże z powieścią o czynach średnio-azyatyckiego bohatera Bogdo-Geser-Hana (Wiestnik Evropy 1868 luty str. 677). Oto jest treść téj powieści, wedle Schmidta (B. G. Chan od 273):

„Razu pewnego potężny olbrzym czarodziej przybrał postać wielkiego, szanownego lamy, przyszedł do żony Geser-Hana i zaczął ją namawiać, aby małżonką jego została. Olśniona podarunkami i bogactwem, zgadza się ona, ale z warunkiem, ażeby wprzód męża jéj zwyciężył. Potém, nauczona przez uwodziciela, idzie do Geser-Hana, powiada mu, że ten dobroczynny lama rozdał ogromne skarby ich ubogim i namawia go, aby poszedł do niego, pokłonił się mu i prosił o błogosławieństwo: to im szczęście i dostatki przyniesie. Po pewnym oporze, Geser-Han zgadza się na to; ale jak tylko pochylił głowę przed czarodziejem, aby odeń błogosławieństwo otrzymać, ten go zamienia w czarnego osła i każe mu dźwigać ogromne kupy obrzydliwego nawozu, a żonę jak swoję zabiera. Tymczasem trzéj bohaterowie, towarzysze Geser-Hana, długo nie widząc go, tęsknią za nim i naradzają się jakby go uwolnić; w tym celu udają się do drugiéj jego żony, czarodziejki; ta przybiera postać okropnéj jędzy, rodzonéj siostry lamy czarownika i mimo opór wiarołomnéj żony Geser-Hana, dostaje od niego czarnego osła, uprowadza go z sobą i przywraca mu postać ludzką. Wtedy Geser-Han postanawia zemścić się nad czarownikiem, ale ten ucieka od niego, przemieniając się to w wilka, to w tygrysa; nareszcie, gdy przybiera trzecią postać lamy otoczonego pięciuset uczniami, Geser-Han nasyła nań sen, przepowiadający mu, iż nazajutrz przyjdzie do niego młody, śliczny i bardzo rozumny uczeń. Czarownik wierzy w tę wróżbę i niczego się nie domyślając, uprzejmie wita Geser-Hana, gdy ten na drugi dzień przybywa w postaci młodego, pięknego i rozumnego ucznia, bawi się z nim rozmową i przyjmuje go do swojego domu. Geser-Han, wypatrzywszy stosowną chwilę, podpala dom czarownika, który sam z trzciny zbudował. W ogniu ginie czarodziej z całą rodziną.“

Posłuchajmy teraz bajania Somadewy, które podaję według Benfeya (*Panczatantra* I od str. 439); przekonamy się, że i ta sanskrycka legenda ma pewne powinowactwo z powyższemi.

„W pewném mieście był mąż zazdrosny i miał miłą i ładną żonę; ponieważ jéj nie dowierzał, nigdzie więc saméj wychodzić nie pozwalał; nawet gdy patrzyła na malowane postacie, lękał się aby na cnocie nie szwankowała. Pewnego razu, zmuszony pilną sprawą, wyruszył z nią razem do obcego kraju. Na drodze ujrzał las przez

(dziki) lud Bhillów zamieszkały; ze strachu porzucił żonę w domu jednego starego bramina, a sam puścił się daléj. Żona, ujrzawszy przechodzących Bhillów, wybrała sobie jednego młodego i poszła za nim do wsi, jak gdyby męża wcale nie miała, za nic sobie ważąc zazdrość jego, jak woda, która most zrywa. Mąż jéj, załatwiwszy sprawę, wraca do bramina i pyta o żonę. „Nie wiem, gdzie poszła, odpowiada bramin; to tylko wiem, że tu przychodzili Bhillowie, więc pewno ją uprowadzili; wieś ich znajduje się tu w pobliżu, idź tam natychmiast, może ją odbierzesz, inaczéj nic nie poradzisz.“ Taką odpowiedź otrzymawszy, poszedł mąż płacząc i narzekając na przewrotność kobiét do wsi; ujrzał tam żonę, która, spostrzegłszy go, strachem przejęta, mówi: „To nie moja wina, to Bhilla jeden przemocą mię tu uprowadził.“ Mąż, zaślepiony miłością, powiada jéj: „Chodź więc, uciekajmy nim nas zobaczą.“ A ona na to: „Teraz właśnie jest chwila, gdy Bhilla wraca z polowania, a gdy wróci, to będzie nas gonił i pewno oboje zabije. Więc lepiéj pójdź tu do téj jaskini i siedź ukryty. W nocy, gdy zaśnie, zamordujemy go i wtedy bez obawy ztąd się oddalimy.“ Po tych słowach niegodziwéj kobiéty, mąż schował się w jaskini. Ona zaś dała znać o tem Bhilli, który pod koniec dnia powrócił. Okrutny, silny Bhilla wyciągnął go z ukrycia i przywiązał do drzewa, aby nazajutrz uczynić zeń ofiarę bogini Dewi; a tymczasem, w oczach jego, zjadł wieczerzę z żoną jego, nasycił się jéj pieszczotami i usnął rozweselony w jéj objęciach. Mąż, wściekając się z zazdrości, widząc siebie związanym, a jego śpiącym, począł gorąco wielbić boginię Czandi (ta sama co Dewi, Durga), uciekając się do niéj w niedoli. Ukazała się tedy mu ona i obdarzyła go łaską, iż własnym Bhilli mieczem rozciął krępujące go więzy i odrąbał mu głowę. „Pójdź teraz, zabiłem tego łotra,“ rzekł do żony, obudziwszy ją. Wstała ona i zasmuciwszy się wielce, zabrała niepostrzeżenie głowę Bhilli i poszła za mężem. Kiedy nazajutrz przyszli do miasta, zaczęła wołać płaczliwym głosem, ukazując głowę: „Ten oto zabił małżonka mojego!“ Więc strażnicy miejscy zaprowadzili ich oboje przed króla; mąż opowiedział wszystko, a król, zbadawszy prawdę, kazał złéj niewieście obciąć nos i uszy, a męża wolno puścić.“

Powyższa baśń jest jedną z wielu, które Benfey przytacza jako powinowate z legendą Panczatantry (I, od 303 „Jak kobiéta za miłość odpłaca“); w legendzie téj wiarołomna żona wrzuca męża do studni i bierze za kochanka kalekę; w innych podaniach, przez Benfeya przytoczonych, kalecy bez rąk i nóg grają rolę uwodzicieli; a w jednéj bajce kałmyckiéj nieboszczyk więcéj kochany jest przez żonę od męża (Jülg, Kalmük, Märchen, bajka X). Zdaje się, że w legendach

budyjskich starożytne podanie aryjskie o niewiernéj żonie przybiera jakby postać ilustracyi do słów Buddy o kobiétach: „Każda niewiasta zgrzeszy, gdy się nadarzy sposobność popełnienia grzechu potajemnie, choćby kochanek był bez rąk i nóg“ (Panczat. II, 442). Wiadomo bowiem jak głęboką pogardę, żywił człowiek wschodni do kobiéty, jak jéj ani trochę nie wierzył, zamykając w haremie, strzegąc i karząc haniebnie za przeniewierstwo. Wiadomo także iż znaczniejsze maksymy moralne, wkładane w usta różnych założycieli i reformatorów religijnych, z biegiem czasu przybierały postać legend, osnutych na owych apoftegmatach, coś nakształt tak zwanych „przysłów dramatycznych“ naszego czasu, powstających z kilku słów aforystycznych. Otóż owe liczne odmianki powieści o niewiernéj żonie, przywiedzione przez Benfeya wyglądają na tego rodzaju wypełnienie zdania Buddy, nie tracąc jednak cech, łączących je z rozbieraną przezemnie grupą bajek.

Stosując do niéj metodę, używaną przy porównywaniu podań, rozbierzmy pokrótce główne wątki, stanowiące niby szkielet każdego z nich i sformułujmy je zwięźle; okaże się wówczas że i w innych baśniach też wątki odkryjemy, ale inaczéj skombinowane z innemi i w innym porządku posplatane.

W najogólniejszém objęciu treści wyżéj przytoczone podania rozkładają się na następne najprostsze cząsteczki:

1. Wiarołomna żona, najczęściéj bez wyraźnego powodu, ucieka z uwodzicielem.

2. Mąż dostaje się do niéj, ale ujęty podstępnie, zostaje przywiązany, lub przykuty w pobliżu łoża wiarołomnéj i musi patrzéć na pieszczoty jéj z uwodzicielem.

3. Siostra tego ostatniego (brzydka, jędza) porozumiewa się z jeńcém, uwalnia go, daje mu miecz, którym zabija występną parę.

Te trzy wątki w całości, lub częściowo występują we wszystkich wyżéj wypisanych podaniach. Nie potrzebuję, zdaje się, szczegółowemi wskazówkami rzeczy téj uwydatniać, tak dalece podobieństwa są wyraźne. Oczywiście mamy tu przed oczami jakiś dawny a szeroko rozgałęziony cykl podań o niewiernéj żonie, która całowała kochanka w obec związanego męża.

Ten ostatni wątek znajdujemy i w innych podaniach, ale inaczéj wpleciony; tak np. w baśniach zebranych przez Balińskiego, jędza, siostra rycerza, zdradza go dla miłości olbrzyma, mniéj więcéj w sposób taki, jak w naszych podaniach (około str. 120); w innéj znowu bajce, opowiedzianéj mi pod tytułem „Wierny sługa Pisielkiewicz,“ a krążącéj na Żmudzi, żona dla miłości Lucypera zdradza męża. Tym wątkiem cykl nasz wiąże się z obszerném kołem baśni,

w których niegodziwa żona zdradza męża przez zabranie mu miecza lub innego talizmanu, który go czynił niezwyciężonym.

III.

Najnowsze badania wiaroznawcze czyli mitologiczne doprowadziły do odkrycia klucza mitów; nie wszędzie, nie jednostajnie i nie do wszystkiego zastosowano tę metodę, nie wszystko jasno wytłómaczono, o wielu rzeczach różne zdania wyrażono,—ale zgoda z logiką i coraz dalsze a głębsze porównania utwierdzają mitologów w przekonaniu, że nowa metoda w zasadzie jest prawdziwą, a tylko w zastosowaniu do szczegółów niepomyślne czasami skutki wydaje i to z winy nie metody saméj, ale tych, którzy ją nie dość trafnie lub zbyt gorliwie do faktów stosują.

Metoda ta polega na tém, że w każdém wierzeniu, w każdym micie, w każdém podaniu doszukujemy się podwaliny zjawiskowéj, to jest gruntu przyrodzonego. Fenomena astronomiczne, meteorologiczne, biologiczne i wogóle wszelkie ruchy świata zewnętrznego odbiły się w świadomości człowieka pierwotnego całym szeregiem fantazmatów, w których zjawiska zewnętrzne, przełamane przez pryzmat mało rozwiniętego umysłu, wystąpiły jako nowy świat, stworzony na obraz i podobieństwo ludzkiego. Istoty tego świata uposażyła wyobraźnia pierwotna duszą nakształt ludzkiéj (animizm) i wogóle postacią cielesną i duchową na podobieństwo ludzkiéj (antropomorfizm). Mitologowie są nieraz w kłopocie, jakiém królestwem przyrody, jakiém szczegółowym jej fenomenem tłómaczyć należy dane wierzenie, daną postać mityczną: ale wogóle niema dziś już wątpliwości, że świat mityczny tłómaczy się jako refleks zewnętrznego, że wszystkie promienie padające ze zjawisk przyrody na wrażliwość człowieczą, załamywały się w sennéj świadomości praojców naszych i niezmierzoną ilość widm w niéj wytworzyły.

Mamy prawo tedy zapytać, co znaczy cykl podań, pokrewny z legendą o Walterze Tynieckim, przetłómaczony na mowę fenomenalną? Odpowiedź na to dać można, lecz z natury rzeczy będzie ona ogólnikową; brak bowiem obrobienia szczegółów w młodéj nauce naszej nie pozwala stąpać śmiało i mieć na pogotowiu niewątpliwą odpowiedź na każde zapytanie.

Zróbmy tu porównanie z lingwistyką. Weźmy np. wyraz *przeznaczenie* i pytajmy do jakiego pnia pierwotnego mamy go zaliczyć; przypuśćmy, że językoznawstwo pierwsze dopiéro kroki stawia i że ogólnikowo tylko wiemy, iż istnieje wzajemne pokrewieństwo grupy języków aryjskich, ale praw odpowiedniości

brzmień nie ustaliliśmy jeszcze, lecz je tylko przeczuwamy. Odpowiemy tedy, że po polsku ostatnim atomem wyrazu naszego będzie *znak*, albo raczéj *zna*, a w innych językach aryjskich coś nakształt tego; w łacinie wyraz *ignarus*, a w grecyznie gnōmon, gnōsis wydadzą się nam pokrewnemi, w sanskrycie dżnāna (wiedza) nasunie się do porównania i tak powoli nawleczemy na nić badania naszego, wszystkie jednobarwne paciorki faktów; utworzy się grono wyrazów pokrewnych, odtworzy się idealna postać pnia, praojca wszystkich form aryjskich, a po zbadaniu wielu grup podobnych, wysnują się dopiéro prawa głosowe, przy których pomocy zdołamy potém z góry przepowiadać postacie danych wyrazów w różnych językach.

Astronomia, jak wiadomo, celuje w takich proroctwach: dawna to i opracowana nauka, wzór ścisłości i wyrobienia dla innych; językoznawstwo coraz téż ściślejszém i niemylném się staje; mitologia z natury rzeczy nie prędko doskonałość osiągnie: jako gałąź wiedzy skomplikowana i niezmiernie obszerny zakres posiadająca, zaledwie dzisiaj o swych siłach chodzić zaczyna.

Jeżeli tedy nie każdemu od razu błyśnie myśl, jaką drogą wyraz *przeznaczenie* wiąże się brzmieniem i znaczeniem z pniem *zna*, to i w zadaném wyżéj pytaniu mitologiccném trudność leży nie tyle w wynalezieniu pnia kosmicznego, ale w wyszukaniu zapomnianych ogniw pośrednich, które łączyły podanie nasze ze źródłem, prawie z pewnością wskazać się dającém.

Niewątpliwie bowiem zdradzony, ujęty, przykuty, miecza pozbawiony, wystawiony na naigrawanie się wroga bohater, to słońce zimowe, pozbawione promienia-strzały, schowane gdzieś w ciemnéj jaskini mroku i chmur; a słońce zimowe to zupełnie to samo co bóg gromów i słońca, Gromnik wszechpotężny, ujęty przez Czarnoboga jakiegoś, związany okowami mgieł i chmur zimowych, pozbawiony pocisku piorunowego, upokorzony jak Herkules u stóp niewiasty, jak Baldur podstępnie zabity, jak Ozyrys na sztuki pokrajany, jak to mnóstwo innych bóstw i bohaterów, umierających lub więzionych czasowo, aby z wiosną zmartwychwstać, porwać znów miecz-piorun i wrogów poskromić, jak Walter z więzów uwolniony, chwytający za swą broń potężną i mszczący upokorzenie.

Ale przeprowadzić przez szczegóły téj ogólnéj wskazówki dziś jeszcze nie możemy, bo nam niedostaje mnóstwa kółek pośrednich, które niegdyś tego Waltera z bohaterem kosmicznym spajały. Roztropniéj tedy będzie tu w pochodzie porównawczym się zatrzymać, niż iść daléj niepewnym gruntem, przeprowadzać forsowną paralelę pomiędzy Walterem a Wotanem (jak to czyni autor najśwież-

széj o Walterze pracy, o któréj zaraz powiem) i narażać się na rozwianie dowodów w dym i mgłę hipotetyczną.

Czas niezawodnie przyniesie ślady zagubionéj drogi i nauka dowie się jakim torem mit o upokorzonym słońcu-piorunie zakwitł legendą o przykutym Walterze i osiedlił się w starożytnym Tyńcu naszym. Tymczasem zaś nie opuszczajmy pewnego gruntu badania i zadowolnijmy się wskazaniem na odmianki i refleksy naszego podania, oraz na prawdopodobne źródło jego w świecie zjawisk przyrodzonych.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć kilka słów o rozprawce nauczyciela gimnazium w Jarosławiu pana Rischki: Verhältniss der polnischen Sage von „Walgierz Wdały“ zu den deutschen Sagen von „Walther von Aquitanien“. Posłużyła ona dla mnie za pobudkę do napisania obecnego studium. Oddawna już miałem zasoby do porównawczego roztrząśnienia legendy tynieckiéj i zbierałem się je drukiem ogłosić; ale ukazanie się wymienionéj broszury dopiéro zachęciło mię do ponownego rozpatrzenia materyałów i skreślenia obecnéj rozprawki.

Praca pana Rischki zasługuje na uwagę, jako próba okazania w legendzie naszéj, ni mniéj ni więcéj jak „najdawniejszéj germańskiéj postaci mitycznéj, przechowanéj na gruncie polskim“ (str. 64). Próbę tę jednak uważam za chybioną. Widać w niéj wprawdzie gruntowne obznajomienie się z literaturą legendy, ale brak oswojenia się z metodą mitologiczną, oraz znajomości badań mitologicznych, tak ogólniejszego zakresu jak i specyalnie do obranego tematu odnoszących się, czuje się na każdym kroku. Argumentacya pana Rischki opiéra się przeważnie na niepochwytnych drobnostkach i stara się obszernie przekonywać o tém, o czém nikt nie wątpi. Tak np. parę stron (10—20) pan R. poświęca wysnuciu z Boguchwałowego wyrazu *olim* dowodów, że baśń o Walterze nie w ostatnich czasach pogaństwa, ale we wcześniejszéj jego epoce do Polski przybyła. Kronikarzowi zapewne ani się śniło, pisząc owo *olim* że ktoś ważyć będzie to słówko i przesądzać, ile wieków mierzy. Że zaś nie mnisi tynieccy podanie ze Szwajcaryi przynieśli, dawno już nas o tém zawiadomił Szajnocha; nadaremnie więc pan R. obszernie wojuje (str. 15 do 25) z „uporem przeciwników“ (str. 21), których doprawdy niéma.

Na str. 25 pan R. wnioskuje, że skoro podanie polskie nie jest zapożyczone z St. Gallen, więc „mamy w niem szczęśliwy i ważny nabytek dla starożytności niemieckich, *którego dotychczas naprózno szukaliśmy*.“ Wygląda to, jakby p. R. uważał się wynalazcą tego

nabytku; a jednak w r. 1838 już Jak. Grimm zestawiał podanie niemieckie z Boguchwałowem (Latein. Gedichte str. 113).

Zupełnie fantastycznem wydaje się przypuszczenie pana R. (str. 29), jakoby podanie o Walterze przyniósł do Polski i pielęgnował (!) jakiś odłam szczepu niemieckiego, oderwany od swoich podczas napadów Hunnów. Czy dla wyjaśnienia udzielenia się jednéj legendy sąsiedniemu ludowi wolno uciekać się do tak zuchwałéj hipotezy?

Teorya mitologiczna pana R. (str. 32), że jakoby z „pojęć o działaniu sił przyrody“ człowiek pierwotny wytwarzał postacie bogów, a potém, przez upodobnienie ich do ludzi, przekształcał na bohaterów, nie wytrzymuje krytyki. „Człowiek pierwotny“ i „pojęcia o działaniu sił przyrody“, to jaskrawa contradictio in adjecto; a co do późniejszego jakoby uczłowieczania pierwotnych bogów, to rzecz podobno ma się odwrotnie: pierwotne duchy nadprzyrodzone tworzyły się właśnie na obraz i podobieństwo ludzi pierwotnych, a potém dopiéro rosły, przez stopniowe skupianie atrybutów, i przybierały postać bogów.

Zbliżenie polskiéj legendy o Walterze do mitu Odynowego (od str. 33) wydaje mi się zgoła naciąganém. Pan R. bierze na serjo każdy frazes, każdy wyraz kroniki Boguchwała i odszukuje paraleli lub wytłómaczenia w mitologii niemieckiéj, a w szczególności w podaniu o Odynie i Balderze, zapominając iż frazeologia średniowieczna a treść podania ludowego, to rzeczy odrębne, oraz że indywidualność kronikarza w zapisaniu podania odgrywała nie małą rolę. Tak np. śpiew pod oknem, rys bardzo zwykły w powieściach rycerskich średnich wieków, któryby mógł być lub nie być w opowieści Boguchwała, urasta w oczach pana R. na wątek mitologiczny i powód do utożsamienia Waltera z Balderem.

Mit o Balderze jest taki: Zapłonął ten syn Odyna gorącą miłością ku Nanie, narzeczonéj Hotara; współzawodnicy walczą, Balder zwycięża; ale Hotar, przy pomocy miecza cudownego, pobija Baldera i żeni się z Naną; po dalszych zapasach jednak musi uciekać do puszczy; tam wzmacnia się napojem cudownym i śmiertelnie rani Baldera.

Jakież tu podobieństwo znaleźć można do dziejów Waltera? Chyba w drobnych szczegółach życia rycerskiego; które tysiącom podań za ornamentykę służą. A jednak pan R. na kilkudziesięciu stronach frazes po frazesie rozbierając, szuka mniemanéj jednostajności.

Drobne, podrzędne okoliczności grają w oczach jego rolę ważnych wskazówek. Na str. 47 z tego że legenda szwajcarska mówi

o uwożeniu skarbów i mycie na przewozie, pan R. wnosi, iż „wątek ten wskazuje na czasy, gdy już chciwość złota zapanowała pomiędzy ludźmi i to mu służy za dowód że polska odmianka legendy „bliższą jest złotego wieku“ (?).

Przy tak drobiazgowém ważeniu każdego wątku i naciąganiu podobieństw, można wszystko ze wszystkiego wyprowadzić. Zresztą winna tu metoda, a téj w Niemczech trzyma się nie jeden pan Rischka. Opiéra się ona na panującym jeszcze wpływie teologicznéj metodyki niemieckiéj, któréj głównemi znamionami są: nieszczerość, drobiazgowość, pedanteria i sofistyka.

Lecz naogół jako przyczynek literacki do wyjaśnienia legendy Walterowéj, broszura pana R. ma niezaprzeczoną wartość, choć z mitologicznemi jéj wnioskami trudno się pogodzić.

Kończąc rzecz moję, muszę kilku jeszcze słowami dotknąć kwestyi językowéj co do nazwy „Walgierz Wdały“ wprowadzonéj przez Szajnochę. Jakem to już powiedział, różne kopie Bogufała rozmaicie piszą imię bohatera legendy, nie wychodząc po za dwa główne typy: *Walter* i *Walcer*. Paprocki, jak widzieliśmy, stale nazywa go *Walcerem*. Zkąd Szajnocha wziął formę „*Walgierz* (lub Walcer“) i dla czego wolał pierwszą od drugiéj, nie wiem. To pewna że Bogufał odwołując się do polskiéj nazwy mitycznego pana na Tyńcu, pisze ją *Walter* („qui in polonico vocabatur wdały *Walter*“; *wdały* jest tu poprawką Bielowskiego, przejętą od Szajnochy). Nie widzę przeto powodu zmieniania tego imienia na *Walgierz*, tém bardziéj, że po niemiecku (i w poemacie łacińskim) brzmi ono *Walther* (Waltharius).

Co do przydomka *Wdały*; zauważmy przedewszystkiém, iż forma jego w polszczyźnie jest niemożebną, przymiotnik ten bowiem, a raczéj imiesłów, pochodzi od *udać się* i po polsku, jeźli kiedy istniał, musiał brzmiéć *udały*, jak to w kilku kopiach Bogufała widzimy; w innych zaś *w*, jak często w rękopisach średniowiecznych, zastępuje *u*. Domyślać się można iż Sajnochę i Bielowskiego do przyjęcia postaci *wdały* skłonił prowincionalizm polsko-rusiński *nieudały*=nieudatny, niedołężny (u wymawia się tu z rusińska, między *u* i *w*), z którego łatwo wywnioskować *wdały*. W téj formie i w tém znaczeniu istnieje wyraz ten tylko w języku rosyjskim: *udałoj* i ma rozgałęzienie (*udalec*, *udal*, *udalstvo*). Rusini krewiccy i ukraińscy posiadają go tylko z przeczeniem, w znaczeniu niedołężnego, niedowarzonego. Polacy na Litwie i Ukrainie używają czasem tego wyrazu w temże znaczeniu. T. Jeż (Tygodn. illustr. ser. 1 tom III str.

199 kol. 1) używa wyrazu polskiego nawet bez przeczenia, mówiąc o obrazie że jest *udały*, to jest że się udał; ale od nikogo więcéj nie słyszałem téj formy i mniemam, iż jest wytworzoną z prowincionalnéj: *nieudały*, wymawiającéj się prawie jak *niewdały* (samemi wargami, bez udziału przednich zębów dolnéj szczęki).

Zanotujmy wreszcie jako fakt charakterystyczny, że Wójcicki w Klechdach (we wszystkich trzech wydaniach) pisze *Wdali* Walgerz, nie czyniąc najmniejszego wysiłku ku wyjaśnieniu znaczenia tego przydomka. Pan Rischka zaś znajduje, że forma „Wdały“ jest tak dalece „zgodnéj z językiem, jędrnéj i rodzinnéj natury (sprachgerechter, kerniger und sprachunmittelbarer Natur), iż w żaden sposób z obczyzny, np. z łacińskiego *manu fortis* powstać nie mogła.“

Jan Karłowicz.

PYTANIE

IDYLLA

PRZEZ

Jerzego Ebersa.

(Dalszy ciąg).

3. Lizander.

Zbliżywszy się do domu, Ksanta posłyszała nawoływania Semestry i wesołe dźwięki monaulu (1).

Na podwórze potrafił się dostać kuglarz i pokazywał śmiejącym się widzom sztuki swoich tresowanych kur i kogutów.

Był-to człowieczek karłowatego wzrostu, z nogami wygiętemi na zewnątrz, na krótkiéj szyi spoczywała ogromna głowa z nader wystającém czołem, które jak altana ocieniało małe świdrujące oczki.

Pierzaci sztukmistrze tego człowieczka mieszkali w dwukołowéj biedce, ciągnionéj z wioski do wioski i z miasta do miasta przez malutkiego, pstréj maści osiołka.

W téj chwili na wieku biédki stały trzy koguty i cztery kury; wyglądały one bardzo pociesznie, gdyż białe pierwotnie pióra roztropny ich właściciel, wiedząc doskonale, co się podoba oczom dzieci i wieśniaków, pomalował tu na jaskrawo czerwony ówdzie na błyszcząco żółty kolor.

Przy biédce stał blady, mizernie wyglądający chłopczyna, który wesołe melodye z monaulu dobywał.

Lizander, ojciec Ksanty, kazał się wyprowadzić przed dom na słońce i siedząc w krześle poręczowém z pięknie wygładzonego drzewa oliwnego przyglądał się widowisku.

---

(1) Było to narzędzie muzyczne, na którym grano jak na naszym flażolecie lub klarnecie.

Spostrzegłszy córkę, skinął na nią, pogłaskał ją po włosach, gdy ona czoło mu ustami swemi musnęła, i rzekł:

— Zabawne widowisko! Dwa koguty idą za tym człowieczkiem, jak gdyby były posłusznemi dziećmi. Cieszy mię, że on tu przybył, bo komu los tak jak mnie zabronił używać wesołéj zabawy poza domem, ten wdzięczność uczuć musi, jeżeli ona przyjdzie do niego. Doryppo, tobie nogi same się wyrywają. Kiedy flet przemówi, to wprawia w ruch nogi dziewcząt, jak wiatr liście topoli. Najchętniéj pewnie zabralibyście się zaraz do tańca!

Na te słowa Mopsus pod takt muzyki zbliżył się do swéj ulubionéj. Semestra atoli zastąpiła mu drogę i zwracając się napół do chłopaka a na pół do swego pana, zawołała:

— Nie czas na skoki: Kto rano tańcuje, ten wieczorem nogi łamie. Lizander zdawał się potakiwać klucznicy i rzekł:

— No, to pójdź, Chlorydo, do śpiżarni i przynieś dla tego króla kogutów dzban wina, bochenek chleba i dwa séry.

— Ile serów — zapytała stara szafarka.

— Dwa—odparł Lizander.

— Jeden aż zanadto—zauważyła Semestra.—Jeden tylko przyniesiesz, Doryppo.

Chory uśmiechając się ścisnął ramionami, ujął rękę stojącéj obok siebie córki i powiedział tak cicho, że staruszka dosłyszeć nie mogła:

— Czyż ja sam nie stałem się podobnym do tych kogutów małego głowacza? Semestra rozkazuje, a ja chcąc nie chcąc słuchać muszę. Oto idzie za Chlorydą, ażeby drugi sér ocalić.

Ksanta uśmiechnęła się do ojca na znak potwierdzenia słów jego; a on podnosząc głos, rzekł do kuglarza:

— No, przyjacielu, pokaż, co umieją twoi sztukmistrze. A wy młodzi, ty, Mopsusie, i ty, Doryppo, rozruszajcie sobie nogi, dopóki dźwięczy monaul i dopóki stara w domu.

— Popatrzymy najprzód, co koguty umieją—zawołała czarnowłosa dziewczyna, wieszając się na ramieniu kochanka i przyglądając się wraz z nim widowisku, które się rozpoczęło nanowo.

I wyrwał się niejeden okrzyk podziwu i niejeden wybuch śmiechu, bo gdy człowieczek rozkazał największemu kogutowi, żeby się ze swą sztuką jeżdżenia popisał, to kogut poskoczył natychmiast na grzbiet osiołka; kiedy go prosił, żeby konia oczyścił, kogut brał czerwone pióro z pióropuszu na głowie potulnego wierzchowca, a w końcu dowiódł, że i trębaczem być potrafi, gdy mocno wyciągnąwszy szyję piać począł.

Jeszcze trudniejsze sztuki pokazywały kurczęta: wyciągały one z drewnianego pudła dla każdego z widzów po liściu, na którym widać było jakieś znaki.

Kuglarz tylko potrafił odczytywać tę bezgraninę, która przecież zawierała niezawodną wiadomość o przyszłych losach, a człowieczek zapewniał, że każdemu jego znaki wytłómaczy.

Wychowawca rodu koguciego był roztropnym człowiekiem i miał słuch bystry. Wyraźnie słyszał, jak przez Semestrę utracił jeden ze smacznych serów; to téż gdy klucznica powróciła, rozkazał kurze, by każdemu z obecnych oznajmiła, ile już lat przebył na téj ziemi. Dla Ksanty biała jak śnieg kurka wyliczyła złocistą głową na piasku szesnaście, a dla Mopsusa dwadzieścia i trzy—całkiem zgodnie z rzeczywistym stanem rzeczy.

— A teraz powiedz nam również wiek téj czcigodnéj niewiasty!—rozkazał kuglarz swéj kurze.

Semestra kazała Chlorydzie powtórzyć sobie, co powiedział człowieczek i już rozważała, czyby ze względu na „czcigodną niewiastę“ nie wypadało dać drugiego séra, gdy kura grzebać zaczęła.

Do sześćdziesięciu towarzyszyła pazurowi ptaka pochwalném kiwaniem głową, przy sześćdziesięciu pięciu zacięła usta, przy siedemdziesięciu ściągnęły się fałdy na skroni jakby wybuchnąć miała, przy osiemdziesięciu stukała w ziemię laską mirtową, a gdy kura coraz to szybciéj grzebiąc zbliżyła się do dziewięćdziesięciu i stu, szafarka zauważywszy, że wszyscy widzowie śmieli się a jéj pan trzymał się za boki z zadowolenia, z gniewem zawróciła do domu.

Jak tylko zniknęła za drzwiami, Lizander rzucił człowieczkowi półdrachmy i, klaszcząc w ręce, zawołał:

— No, dzieci, poskaczcie sobie, bo już jéjmości Semestry nie zobaczymy. Dobrześ się spisał, przyjacielu, a teraz chodź tu bliżéj i wytłómacz nam przepowiednie kur swoich.

Kuglarz pokłonił się, schylając wielką swą głowę i znów ją szybko podnosząc do góry, przyczém krótki jego tułów wydawał się nieporuszonym; następnie zbliżył się do pana domu i chwycił okrągłemi swemi paluszkami za liść będący w ręku Lizandra; ale ten odsunął rękę i rzekł:

— Najprzód ona, późniéj ja, bo jéj przyszłość jest długa, a moja...

— Twoja — przerwał człowieczek stojąc przed Lizandrem — twoja nader przyjemną będzie, gdyż kura wyciągnęła dla ciebie listek zapowiadający szczęście spokojne.

— Liść fijołka! — zawołała Ksanta.

— Tak jest, liść fijołka — powtórzył kuglarz. — Daj mi go do ręki! Tam się znajduje—popatrzno tutaj—tam się znajduje siedem kresek, a siedem—to każdemu wiadomo—siedem jest liczbą zdrowia. Szczęście spokojne w dobrém zdrowiu, oto twoja przepowiednia.

— Zapewne, bogowie powinniby mi je zesłać po tak długiém cierpieniu — westchnął Lizander. W każdym razie przyjdź tutaj za rok, a jeśli twoja gdacząca Pitya i ten listek powiedziały prawdę, i jeżeli wtedy pozwolą mi losy przystąpić do ciebie bez pomocy i bez kuli, to ci dam porządną sztuczkę materyi na świeże ubranie... Albo nie, lepiéj sprobuj szczęścia za sześć miesięcy, bo chiton twój słabszy jest odemnie i nie przeżyje pewnie całego roku.

— Ani nawet połowy — odparł kuglarz uśmiechając się filuternie. Każ mi już dzisiaj dać tę sztuczkę materyi, ażebym powróciwszy za miesiąc, mógł bawić w stosownym ubiorze gości zebranych na uroczystość twego wyzdrowienia. Nie jestem ja olbrzymem i nie uszczuplę zbytecznie twoich zapasów.

— Zobaczymy, może się co znajdzie—zaśmiał się Lizander— a jeżeli za dni trzydzieści nie wyrzucę ciebie za drzwi jako fałszywego proroka, choć w piękném ubraniu; to i flecista twój dostanie kawałek płótna na swe chude członki. A teraz powiedz jeszcze, jaka będzie przyszłość méj córki.

Człowieczek wziął liść z ręki Ksanty i rzekł:

— Liść to z drzewa oliwnego, odznacza się niezwykłą długością a ma jasną i ciemną stronę. Dosięgniesz późnéj starości a życie twoje upłynie wesoło albo mniéj pomyślnie, stosownie do tego jak je sobie urządzisz.

— Stosownie do tego jak je sobie urządzisz — powtórzyła dziewczyna.—To prawdziwa przepowiednia kurza. „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz“ — to było trzecie z rzędu słowo mojéj mamki.

Mówiąc to rzuciła liść na ziemię z wyrazem zawodu i rozdrażnienia na twarzy i odeszła od prorokującego człowieka.

Kuglarz przypatrywał się jéj ostro i badawczo, podnosząc nie bez trudu listek. Potém spojrzał uprzejmie na jéj ojca, przywołał ją i, pokazując palcem na spodnią stronę liścia oliwnego, powiedział:

— Zobacz-no te linie z małemi kreskami przy końcu. To ślimak z różkami. Zwierzątko powolne! Napomina ono, żeby się nie spieszyć. Jeśli cię pędzi coś do biegu, powstrzymaj kroki i zapytaj się, dokąd prowadzi droga.

— I wlecz się przez życie jak wóz zahamowany—przerwała Ksanta. Od twojéj wesołéj kury, co Semestrze sto lat wygrzebała, spodziewałam się usłyszéć coś innego aniżeli naukę moralną.

— A, zapytaj się jéj o to, do czego ci serce bije, a ona odpowiedziéć ci nie zaniedba—odparł człowieczek.

.Dziewczyna spojrzała na kuglarza wzrokiem niepewnym, pokonała jednak w sobie żądzę poznania przyszłości swojéj, lękała się bowiem szyderstwa ze strony ojca. Toć wiedziała, że Lizander, kiedy był zdrów i w dobrym humorze, za największą miał sobie przyjemność drażnić się z nią aż do łez.

Chory odgadł, co się działo w duszy córki, rzekł więc zachęcająco:

— Pozwólże popisać się kurze! Zatkam sobie obydwa uszy, kiedy ty pytać będziesz wyroczni. Ba, ba, i bez tego własnych słów nie słychać przy tym monaulu i przy krzykach szalejącéj tam młodzieży. Jak miód przywabia muchy, tak dźwięki monaulu ściągają tańczyć lubiącą hałastrę. Na psa! Tam już cztery dziarskie pary machają nogami! Nie widać tylko Faona. Powiadają, że łoże w domu mego brata wydaje mu téż się za twardém i że znalazł miększe wezgłowie w Syrakuzach. Dzień dzisiejszy rozpoczął się u nas już oddawna, w mieście może nie skończyli jeszcze wczorajszego; szkoda mi tego ślicznego chłopca!

— Czy to prawda—zapytała Ksanta rumieniąc się—że stryj szuka dla niego bogatéj narzeczonéj w Messenie?

— Może i tak, ale przy swataniu nie zawsze dościga się celu. Czy ci Faon nic nie powiedzial o życzeniu swego ojca? No, to proszę cię, zapytaj człowieczka, bo tak nie wiedziéć za co dostanie nową szatę, a ty zasłonisz mię od zarzutu rozrzutności.

— Nie chcę, cóż tam zresztą głupstwo...—odparła Ksanta zarumieniona i zabierała się iść do domu.

Ojciec ścisnął ramionami, a obracając twarz ku niéj, zawołał:

— Rób jak chcesz, ale ukrój kawałek brunatnéj wełnianéj tkaniny i przynieś kuglarzowi.

Dziewczyna już w domu zniknęła.

Jednostajną była nuta, którą chłopiec nieustannie wydobywał z monaulu, ale młodzież coraz była weselsza i coraz wyżéj podnosiły się nogi.

Jakby burzą opanowane, tak trzepotały różnobarwne ubrania tak latały wstążki; a klaskaniu w ręce pod takt muzyki i wykrzykom radośnym nie było końca.

Kiedy Mopsus albo który inny chłopak silniejszym krzykiem się wyróżnił, lub kiedy jaka dziewczyna zaśmiała się całém sercem, to z oczu Lizandra przykutego do krzesła strzelał jakby promień słoneczny; często też wznosił on ręce i wesoło się kołysał w takt muzyki.

— Doprawdy, serce twoje tańczy wraz z młodzieżą—zauważył kuglarz.

— Ale serce nie ma nóg—odrzekł Lizander i zaczął mu opowiadać o tém, jak upadł, przez jakie przechodził cierpienie, na jakie narażony niebezpieczeństwo, jakich środków używał i jak wreszcie złe szło ku lepszemu.

Opowiadał szeroko, bo mu zawsze lżéj się robiło na sercu, kiedy mógł znaleść spółczującego słuchacza, któremu by cierpień swoich historyą powierzył. A mało kto słuchał słów jego z taką uwagą jak kuglarz częścią z rzeczywistego uczucia litości, częścią z powodu uśmiechającego mu się kawałka sukna.

Człowieczek przerywał też często Lizandrowi, zadając rozumne pytania, i nie tracił cierpliwości, jeźli opowiadacz przerwał sam sobie, ażeby się przypatrzyć wesołemu ludkowi.

— Jak oni się śmieją i jak się weselą!—zawołał chory ponownie. A toć wszyscy młodzi, i ja sam, zanim upadłem.

Zdania tego nie dopowiedział do końca, nagle bowiem nuta zamilkła, tancerze oniemieli a zamiast śmiechu i muzyki dał się słyszéć głos Semestry, równocześnie zbliżyła się do chorego i Ksanta z kawałkiem brunatnego sukna na ramieniu.

Lizander nie bez zdziwienia spojrzał najprzód na zarumienione oblicze córki, ale zaraz potém popatrzył znów na miejsce przerwanego tańca, gdyż tam wydarzyło się coś, czego pochwalić nie mógł, a co jednakże pobudziło go do głośnego śmiechu.

Młodzież, przerwawszy zabawę, po krótkim przestrachu przyszła do siebie i wyciągnęła się długim łańcuchem.

Na czele swawolników stał Mopsus.

Za każdym chłopakiem szła dziewczyna, a cały orszak łączył się z sobą, gdyż każdy z jego członków miał obie ręce na plecach poprzednika.

Śpiewając rytmiczną pieśń do tańca, z tułowiem pochylonym ku przodowi, przebierając zgrabnie nogami coraz to szybciéj obchodzili w kółko szalejącą z gniewu klucznicę.

Semestra usiłowała pochwycić to Chlorydę, to Doryppę, to inną jaką dziewkę, ale zanim się jéj to udało łańcuch się rozrywał i łączył się po za jéj plecami prędzéj, niż ona obrócić się mogła. Mopsus i czarnowłosa jego kochanka byli znów przodownikami, chłopcy

i dziewczęta podawali sobie ręce, szybko się z pierwszą parą łączyli i okrążali staruszkę wieńcem młodych śmiejących się istot.

Przez czas dość długi nie udawało się pozbawionemu panu domu potrząść głową z naganą; ale kiedy stara szafarka nie przestając łajać i laską mirtową grozić, odchodziła od siebie z gniewu i wzburzenia, Lizander przesyciwszy się wyuzdaną zabawą, zwrócił się do córki i zawołał:

— Idź i oswobódź Semestrę i rozpędź rozszalałych. I żart nie powinien przekraczać miary.

Ksanta natychmiast usłuchała rozkazu, łańcuch prysł, w jednę stronę pośpieszyły dziewczęta, w drugą chłopaki zniknęli wszyscy; czarną tylko Doryppę złapała Semestra i niezbyt łagodnemi słowy i kułakami zapędziła do domu.

— No, to po wczesnym tańcu już rankiem łzy się leją—rzekł Lizander—radzę ci tedy, przyjacielu, jeśli chcesz uniknąć połajania, to prędko opuść podwórze wraz ze swemi pierzastemi sztukmistrzami. Daj mu sukno, dziewczyno.

Ksanta wręczyła kuglarzowi brunatną tkaninę.

Spełniając rozkaz ojca, zarumieniła się z lekka, bo gdy z całego postawu chciała była ukroić znaczną sztukę, Semestra wzięła jéj nóż z ręki i rzekła gniewnie:

— Połowa tego już jest podwójnie za dużo dla tego zuchwalca.

Człowieczek wziął w rękę dar niezbyt hojny, rozwinął go w całości i, zwracając się do Lizandra, powiedział:

— W naszym wieku nader rzadko można się dowiedziéć czegoś nowego. Dziś wszakże powinszować sobie mogę po raz pierwszy od czasu, jak-em rość przestał, że jeszcze mniejszym zostałem, niż jestem.

Chory ujrzawszy malutką sztuczkę sukna, potrząsł głową z niezadowolnienia; a kiedy kuglarz zaczął ją zwijać na kolanie, zdjął z ramion własną chlamidę i rzekł poważnie:

— Weź ten płaszcz, bo co Lizander obieca, tego nie lubi dotrzymywać w połowie tylko.

Ostatnie te słowa zwrócone były zarówno do człowieka jak do klucznicy, która ciężko dychając zbliżyła się do pana, a ręce się jéj trzęsły.

Dobrotliwych słów nie można się teraz było po niéj spodziewać, w każdym jednak razie nie tak gorzkich i gwałtownych, jakie się jéj do ust cisnęły, skoro zobaczyła, że jéj pan podarował mało co noszoną chlamidę jakiemuś tam włóczędze, a w dodatku ośmielił się nagrodzić jéj oszczędność ostrym docinkiem.

— Ten płaszcz własna ręką utkałam—mówiła—a teraz tak szanują moję pracę! Jest jeszcze dużo materyi w skarbcu, niechże Lizander zaraz na pierwszym jarmarku rozda to między szarlatanów. A to wszystko zrobiono dlatego, żeby uwłoczyć mojéj staranności i wierności. W innych krajach, nawet wśród dzikich barbarzyńców uczczonoby siwe włosy, a tutaj starzy uczą młodych, jak je znieważać szyderstwem i urąganiem.

Gdy to mówiła, choremu twarz pobladła, pod oczyma ukazała się ciemna pręga a na ustach wyraz głębokiego bólu.

Znać było na nim straszne znużenie.

Z każdéj miny jego widać było, jak boleśnie dotykał go zrzędzący głos i gwałtowne słowa staréj gospodyni, ale wyrazami donośnie wypowiedzianemi nie mógł ją zmusić do milczenia, gdyż głosu dobyć nie mógł. Uspokajającemi tylko ruchami chudych swych rąk i niemą prośbą oczu usiłował zapewnić sobie pokój.

Ksanta czuła i widziała, że ojciec jéj cierpi, zawołała więc stanowczo i bez cieniu bojaźni:

— Przestań już, Semestro, łajanie twoje szkodzi ojcu. Słowa te nie tylko nie ułagodziły, ale owszem spotęgowały gniew szafarki, która napół z oburzeniem, napół z płaczem wołała:

— Do tego-to przyszło! Dziecko rozkazuje staruszce. Ale wiedz o tém, Lizandrze, że ja nie dam pomiatać sobą jak jaka głupia. Zuchwały Mopsus jest synem twego wyzwoleńca i za grube zasługi służył temu domowi, ale dosyć już tego, ciągnie się to zadługo, dziś jeszcze musi dom ten opuścić, wierzę w to tak jak w to, że żniw doczekam. On albo ja! Jeżeli go zatrzymasz, pojadę do Agrygentu do wnuków moich i córki, która przez każdego posłańca zaprasza do siebie. Jeżeli zuchwały łobuz milszém ci jest odemnie, opuszczę to gniazdo niewdzięczności. W Agrygencie...

— W Agrygencie bardzo pięknie!—przerwał jéj kuglarz i wyraźnie a dobitnie wskazał palcem w kierunku tego sławnego miasta.

— Ślicznie tam—zawołała stara—dopóki się nie spotka na ulicy takiego świszczypały jak ty!

Klucznica nabierała świeżego powietrza, a pan jéj skorzystał z téj przerwy, ażeby łagodnym proszącym głosem jak dziecię bezbronne powiedziéć:

— Mopsus musi odejść, ten wesoły Mopsus; nikt nie potrafi tak dobrze jak on podnieść mię lub też prowadzić.

Słowa te uciszyły gniew Semestry, zniżając tedy głos odpowiedziała Lizandrowi:

— Nie będziesz już do tego potrzebował Mopsusa, bo dziś jeszcze przybędzie Leonaks, syn Alkifrona. Ten cię będzie oprowadzał i podnosił, jak gdybyś był jego ojcem rodzonym. Krewni z Messeny są przyjacielscy i szanują starość, bo podczas kiedy wy mi urągacie, tam myślą o mnie biednéj i przysyłają mi na rychłe wesele piękny ubiór jaki noszą matrony.

Chory spojrzał pytająco na córkę, a ta rumieniąc się, rzekła.

— Tak mi powiedziała Semestra. Kiedym w komorze odcinała sukno, zawiadomiła mię, że Leonaks przybywa jako zalotnik.

— Oby mu się lepiéj powiodło niż Alkamenesowi i innym, których odprawiłaś z niczém! Wiesz o tém, że cię przymuszać nie chcę ale teraz, kiedy tracę nawet Mopsusa, to bardzo radbym mieć jakiego kochającego syna. I czemuż to Faon wszedł na tak głupią i złą drogę? Młody Leonaks...

— To zupełnie co innego—przerwała Semestra. No chodź moja gołąbko, bo tysiąc rzeczy mam jeszcze do zrobienia.

— Idź, idź—rzekła Ksanta. Zaraz przyjdę. Lepiejby było dla ciebie, ojcze, gdybyś teraz spoczął. Daj się zaprowadzić do domu i prześpij się chwilkę na wezgłowiu.

Dziewczyna próbowała podnieść ojca, ale siły jéj za słabe były na wsparcie schorowanego człowieka. W końcu udało się Lizandrowi wstać przy pomocy kuglarza, który z silnym naciskiem szepnął mu do ucha:

— Kury moje powiadają mi niejedno; ale tu po za czołem przemawia inna jeszcze wyrocznia. Jesteś już na drodze do wyzdrowienia, ale nie dojdziesz do kresu; jeśli z tą starą, co tam kulejąc do domu idzie, nie postąpisz tak, jak ja postępuję z ptakami przy ich wychowaniu.

— A cóż ty robisz z niemi?

— Uczę ich posłuszeństwa dla siebie, a jeżeli spostrzegę, że przemaga w nich własna wola, sprzedaję kury i szukam innych.

— Bo też nic nie zawdzięczasz tym głupim ptakom.

— Za to tém więcéj zawdzięczam innym, które powinność swoję spełniają.

— Słusznie, dla tego je żywisz i pielęgnujesz.

— Dopóki się nie zestarzeją i nie wypowiedzą mi posłuszeństwa...

— A wtedy?

— Wtedy robię z nich podarunek chłopu, u którego znoszą jaja, jedzą i umierają. Dla twojéj kury mieszka w Agrygencie odpowiedni wieśniak.

Lizander zżymnął ramionami. Potém wsparłszy się na córce, chwiejnym krokiem posuwał się naprzód; a gdy na progu o mało co nie upadł na ziemię, Ksanta przysięgła sobie, że mu da syna, męża prawego i silnego, na którym by ojciec mógł się oprzéć i nie doznać zawodu.

4. Dwoje prosiąt.

Upłynął kwadrans a oblicze staréj szafarki wciąż jeszcze pałało, tylko że już nie z gniewu ale dlatego, że przed obfitym ogniem na kominie uwijała się z całą gorliwością, już to wyrabiając ciastka, już téż polewając pieczeń na rożnie własnym jéj sosem.

Obok klucznicy stał stary Jazon, który nie chcąc puścić na marne sprawy swego panicza, raz jeszcze wystawił się na pociski niemiłych słów Semestry, gdyż gorzko żałował, że ją wprzódy podrażnił zamiast sobie pozyskać.

Tak jest doświadczał niemiłego uczucia i o mało co nie wybił sam siebie za to, że narażając szczęście swego ulubieńca, swego Faona, dał się unieść popędliwości i wyraził ją w słowach...

Niestety! wyrazy, mające załagodzić sprawę, upadły na grunt twardy, gdyż Semestra zbyła je odpowiedzią ladajaką i dała w końcu do zrozumienia Jazonowi, że jéj przeszkadza.

— Baczność—powiedziała—jest matką powodzenia we wszystkiém. Jest ona bardziéj nawet potrzebną przy pieczeniu niż nawet przy tkaniu, a jeżeli Leonaks, dla którego ręce tu sobie narabiam, udał się w ojca, to potrafi doskonale odróżnić złe od dobrego.

— Alkifron—odparł Jazon—jadał figi znad naszéj altany przy domu daleko chętniéj aniżeli wasze.

— A kiedy je zajadał—zawołała staruszka,—toś ty go wicią leszczynową poczęstował. Dotąd jeszcze słyszę, jak krzyczał, niebożątko!

— Jeść dużo fig to niezdrowo na żołądek—odrzekł starzec bardzo powoli i wyraźnie, chociaż niezbyt głośno, aby Semestrze głuchoty jéj nie przypominać.

Gdy klucznica uśmiechnęła się na te słowa, przybliżył się do niéj i rzekł uśmiechając się dobrodusznie a życzliwie:

— Bądź-że roztropną, stara, i nie chciéj rozłączać dzieci, które do siebie należą. I Ksanta lubi także figi, a jeżeli Leonaks odziedziczył smak po ojcu, to pomyśl sobie, co się stanie z tym słod-

kim owocem na twych ulubionych drzewach, gdy owę parę Hymen połączy. Faon nie łaknie słodyczy. Ale bez żartów; niech sobie ojciec szuka dla niego dwudziestu nawet oblubienic, on przecież nie weźmie innéj prócz Ksanty. A czy możesz zaprzeczyć temu, że to chłopak piękny i silny?

— Takim jest i Leonaks—zawołała Semestra wcale temi słowy niepodbita. Widziałeś już dzisiaj swego ulubieńca? Nie! A wiesz, gdzie spadł ostatniéj i przedostatniéj nocy?

— Pewnie na swojém łóżku.

— W waszym domu?

— Ja nie śledzę chłopca, odkąd podrósł.

— I my także nie śledzimy! Napróżno czas tracisz, Jazonie; proszę cię więc na seryo, żebyś mi już dłużéj nie przeszkadzał, bo ot ukazuje się ciemna plama na pieczeni. Prędko, Chlorydo podnieś rożen znad ognia.

— Chciałbym zobaczyć Lizandra i życzyć mu dnia wesołego.

— Zmęczony i nikogo widziéć nie chce. Czeladź *nam* dokuczyła.

— To pochodzę sobie po ogrodzie.

— Aby próbować szczęścia u Ksanty? Powiadam ci, tracisz czas napróżno, gdyż ona układa sobie włosy dla naszego gościa z Messeny, i gdyby nawet tam oto stała, gdzie leżą listki jarmużu, toby mi się nie sprzeciwiła, jeślibym ci powtórzyła, coś słyszał z ust moich dziś rano o wschodzie słońca: „Dziewczyna nasza nie wprzód zostanie żoną Faona, aż ja sama złożę ofiarę Afrodycie, by serce Ksanty miłością dla niego przejęła.“

Jazon wzruszył ramionami i zbierał się odejść, gdy Doryppa przyszła z podwórza do ogniska.

Miała oczy zaczerwienione od płaczu; na ramieniu jéj spoczywało dygocące i nóżkami w powietrzu machające stworzonko okrągławo żółtawo-białe, które głosem żałosnym a donośnym i piskliwym skarżyło się daleko jękliwéj aniżeli głodne niemowlę. Było-to piękne, doskonale odpasione prosiątko.

Jazon patrzał na nie z zastanowieniem; Semestra zaś porwawszy je z ramienia dziewczyny, przycisnęła do swéj piersi, odwróciła się ze znaczącą stanowczością tyłem do starca i powiedziała dosyć głośno, by ją słyszéć mógł, ale nie głośniéj:

— Pieczeń na ucztę!

Jak tylko Jazon opuścił izbę, klucznica położyła czysto obmyte prosiątko na drewnianym stołku, kazała Chlorydzie pilnować, żeby się nie powalało, wyjęła ze skrzynki stojącéj przy kołowrotku jednę

wstążkę niebieską a dwie czerwone, pierwszą starannie obwiązała około zwijającego się w pierścień ogonka, dwie drugie zaś około uszu; następnie podniosła zwierzątko, popatrzyła na nie, jak patrzy matka na ślicznie ubranego ulubieńca, poklepała prawą ręką najtłustszą część ciałka i rozkazała Doryppie zanieść natychmiast prosiątko do świątyni Afrodyty.

— Piękne-to i całkiem bez zarzutu; niech je zaraz zabije na cześć dobrotliwéj bogini. Skoro tylko wszystko tu przygotuję, sama tam przyjdę, a po takim darze z piany zrodzona Kipryda pewnie nie odmówi méj prośbie. Ukryj starannie pod ubraniem to kochane zwierzątko, aby go nikt nie widział.

— Będzie kwiczało w drodze — zauważyła służąca.

— Prawda, będzie kwiczało—powtórzyła staruszka.—Czekaj-no, poszukam stosownego koszyka.

Staruszka wyszła na podwórze, a wróciwszy, powiedziała:

— Jest tam na dworze Mopsus z naszym osłem, ma on przewieść swoje manatki do domu matki; ale dzisiaj służy jeszcze u Lizandra. Włóż mu prosię w jeden z koszów na grzbiecie osła, to ci je szybko do świątyni zawiezie. Zaraz i bez zwłoki, bo jeżeli za godzinę nie znajdę prosiątka na ołtarzu bogini, ty mi za to odpowiesz! Powiedz mu to, a potém przynieś rozmarynu i pędów mirtowych aby uwieńczyć nasze ognisko.

Mopsus nie śpieszył się wcale ze spełnieniem tego polecenia.

Najprzód pomagał Doryppie ścinać zielone gałązki, przyczém nie tylko na ziemi, ale i na rumianych ustach kochanki szukał pożądanych darów; potém wyruszył wraz z osłem w drogę pod górę idąc bardzo powoli i nie popędzając swego towarzysza. Ten dźwigał kosz i z jednéj i z drugiéj strony siodła, głowę miał ubraną w pstre pióra kogucie, a uprzęż jaskrawo-czerwoną. W stroju tym wyglądał dosyć wesoło, a mimo to głowę zawiesił ku ziemi, nie tak przecie nisko jak jego młody przewodnik, którego Semestra wypędziła z domu pańskiego pozbawiając towarzystwa najukochańszéj.

Zeszło półgodziny, zanim dostał się do świątyni.

Na skraju lasku przed schodami prowadzącemi do wnętrza świątyni stał w tejże porze stary Jazon.

Jak niedawno w domu Lizandra dziewczyna, tak tutaj zacny staruszek trzymał na plecach coś małego piszczącego; było to również prosiątko; ale nie miało ono wstążki ani na ogonku ani na uszach, nie było téż bynajmniéj tłuste; pełno było czarnych plam wśród rzadko rosnącéj szczeci i na kończastym pyszczku.

Nie z czułością, ale z wielką niechęcią patrzał starzec na to niewinne stworzenie; bo też miał powód gniewać się na nie, gdyż kapłan nie uznał go za przydatne na ofiarę bogini, jako mało mające tłuszczu a dużo — złych znaków.

Niestety! Jazon nie miał w chlewie drugiego, a chciałby serdecznie zjednać boginię dla sprawy Faona!

Jak tylko ujrzał ofiarę Semestry, pośpieszył do domu, ażeby ją uprzedzić i serce bogini wcześniéj pozyskać dla swego panicza.

A teraz stał zawiedziony i rozmyślał nad tém, czy to nieszczęśliwe zwierzątko ma zadusić czy też matce odnieść do domu.

Jako oszczędny ekonom zdecydował się na drugą alternatywę, i właśnie w chwili, gdy sobie wystawiał obraz chudego centkowanego stworzenia w jego przyszłym, należycie zaokrąglonym stanie, posłyszał stąpanie osła popędzanego przez Mopsusa, uderzenia twardego kija o sprężyste ciało a po każdém uderzeniu słowo: „Semestra.“

W chwilę potém Mopsus mijał wraz z osłem starego ekonoma a kiedy chłopak, nie patrząc ani na prawo ani na lewo, nowy cios osiołkowi wymierzył i przytém znowu wypowiedział nazwisko klucznicy w połączeniu z szeregiem słów nienawistnych, Jazon popatrzył na służącego bardzo przychylnie a nawet czule niemal.

Dawniéj Mopsus, gdy spotkał starego, zwykle zdaleka przesyłał mu już pozdrowienie: „Ciesz się!“ — ale dzisiaj na powitanie rządcy odpowiedział smutném kiwnięciem głową i niewyraźném mruczeniem.

Ekonom zastąpił mu drogę, położył osłu na głowę swoję namozoloną rękę i zapytał:

— To ty osła swego nazywasz Semestrą?

Mopsus zaczerwienił się i odrzekł:

— Wszystkie oślice będę tak na przyszłość nazywał, ale tego oto nazwała stara megera Jazonem.

— Patrzaj-no — zawołał starzec — jak pięknie wspomina mnie sobie ta zacna niewiasta. Ale i o niéj także nie zapomniano, bo ile razy kij do góry podniosłeś, to jak mi się zdaje, i o niéj wspomniałeś.

— Naturalnie!—rzekł Mopsus; a głaszcząc pręgi na udzie osiołka, dodał przyjaźnie: — Biedny Jazonie i ty nie zawdzięczasz staréj nic dobrego.

Po tych słowach zwrócił się znowu do włódarza i rzekł:

— Gdybyś ty wiedział, jaka to niegodziwa kobiéta...

— Wiem—przerwał mu siwobrody—ale bądź-co-bądź jest ona staruszką i nie przystoi tobie ją łajać; tam w domu zastępuje ona chorego pana.

— *Jemu* chętniebym obie swe ręce podłożył pod nogi—zawołał chłopak.—Ale Semestra za nic wypędziła mię ze służby, rozłączyła mię z domem i Dorypą, a jakże ja zaraz znajdę miejsce w sąsiedztwie?

Ta płaczliwie niemal wypowiedziana skarga dziwne stanowiła przeciwieństwo z wielką, barczystą postacią Mopsusa, a do tego stanęły mu łzy w oczach, kiedy zaczął opowiadać ekonomowi o kuglarzu, o tańcu, o gniewie Semestry, o wydaleniu go z domu Lizandra i o rozkazie Semestry, żeby zawiózł prosię jako jéj ofiarę do świątyni Afrodyty.

Jazon słuchał go jednén uchem tylko, gdyż daleko przyjemniejszém od opowieści biednego chłopaka, wydało mu się ciche kwiczenie prosięcia przedostające się do jego uszu z kosza, który u jednego boku osiołka wisiał.

Włódarz znał się na głosach zwierząt domowych i wiedział, że takie tony wydaje tylko prosiak, który ma w sobie tłuszczu podostatkiem i żyje wśród szczęśliwych okoliczności.

W głowie Jazona zrodziła się myśl wielka; cieszył się nią widać bardzo, gdyż oczy mu się rozpromieniły, usta ściągały się do uśmiechu, wyglądał w końcu zupełnie tak samo jak Satyr przybliżający do swych warg szerokich całkiem dojrzałe i bardzo grube winogrono.

Skończywszy swe opowiadanie, Mopsus zauważył z przykrością, że jego smutna historya podziałała na starego rozweselająco; ale niebawem zaśmiał się i on, bo zanim mógł wyrazić swoje niezadowolenie już Jazon otworzył koszyk z lewego boku osła, wyjął wystrojone prosię Semestry, na jego miejsce włożył własne biédne zwierzątko a przytém chichocząc z zadowolenia rzekł:

— Po tém, co tobie biedakowi zrobiła, Semestra w żaden sposób nie zasługuje na łaskę naszéj bogini. Pozwól, żebym *ja* ofiarował Kiprydzie to najmilsze ze wszystkich prosiąt, a ty w imieniu klucznicy daj mego nieboraka; a prośba jéj z pewnością wysłuchaną nie zostanie.

Grube rysy Mopsusa rozjaśniły się na te słowa; zaśmiawszy się głośno uderzył prawą pięścią w dłoń lewą, wykręcił się na pięcie prawéj nogi i zawołał:

— Tak, to słusznie!

Ale zaraz potém obejrzał się tak niespokojnie, jak gdyby niewidzialna laska mirtowa świsnęła za jego plecami, i zapytał:

— A jak ona to spostrzeże?

— Wiem co zrobić—odparł mu starzec.

Dał Mopsusowi do trzymania prosię Semestry i zdjął wstążki z uszu i ogonka zwijającego się w pierścień.

Prosiątko kwiczało przy tém tak żałośnie, jakby rozumiało, że się zabierają do jego stroju i robią zamach na jego piękność.

Chociaż Jazon zaraz potém, przy pomocy chłopaka, włożył też same wstążki na swoje chude prosię, nie stało się przecież piękniéjszém i nie wyglądało lepiéj niż poprzednio, bo nie było szczęśliwém stworzeniem i nie odczuwało wartości pięknego przystrojenia.

OSTATNIE LATA WITOŁDA.

(*Ciąg dalszy*).

Talent dyplomatyczny Zygmunta dokładniéj poznać się daje ze skutków jakie wywołał tam dokąd bezpośrednio zmierzał, to jest u Witołda. Wywoływał on takie wrażenia i uczucia, które zapewne nieinaczéj tłómaczono sobie w Polsce, jak że Witołd zaślepioną goreje żądzą panowania, że goniąc za powabem korony, grozi bratu i przerzuca się na stronę wrogów Polski—które atoli, przy bliższém rostrząśnieniu okazują nam prawdziwy a wcale odmienny stan duszy zbolałego księcia. Ponieważ mimowoli ulegamy sądowi Długosza w tym przedmiocie, a sąd ten lubo ustalony w historyi a nawet pogorszony na niekorzyść Witołda, nie jest objektywnym, jakby się to wydawać mogło, zechciejmy przypatrzéć się bliżéj pismom, które stanowiąc odwrotną stronę medalu, dają sposobność pouczenia się w czém właściwie leży prawda dziejowa.

Dla dokładniejszego zrozumienia, przypominamy, że jesteśmy w chwili, kiedy to burza husycka grasować poczęła na granicach Polski od strony Szlązka. Było to pod koniec kwietnia. Jagiełło jakby w przestrachu uwiadamia o tém Witołda i prosi go o pomoc, niewiedząc że książę wie najdokładniéj, iż Szafrańcy toczą układy z husytami. Postępowanie takie króla nie mogło wlać ufności w serce Witołda—odpowiada przeto w dniu 3 Maja z Trok w ten sposób.

Najjaśniejszy królu. Łożniczy wasz Michał, przyniósł nam wasze listy z nowinami, nadesłanymi wam przez starostę krakowskiego, i pyta się w. kr. mość czy zasługują na wiarę, zwłaszcza, gdy my mamy pewne wiadomości z Węgier i sługa nasz Zygmunt Roth niedawno stamtąd przybył. Otóż zechce wiedzieć w. kr. mość, że on nam niczego z Węgier nie przyniósł coby potwierdzało te nowiny,

chyba że nastąpiły one już po jego z Węgier odjeździe. Nadto doniósł nam Roth, że heretycy husyccy pustoszą na Szlązku i Węgrzech. Wnosimy stąd, że wieść o której częstokroć nam pisaliście i co obecnie powtarzacie, jakoby husyci, podburzani przez króla Zygmunta, mieli zamiar uskutecznić napad na Polskę, jest oczywistą nieprawdą. Oni bowiem, jak to z wielu źródeł wiemy, i po dziś dzień nieprzestają rabować i pustoszyć ziemi i grodów Zygmunta. Niczego zresztą z nowin nie wiemy, chyba to że król Rzymski ma zamiar udać się do Niemiec.

Piszecie nam w ruskim liście, iż niesłusznie wymawiamy waszéj kr. mości zawisłość od *nowéj rady* waszéj i dodajecie, że Szafrańcy nie stanowią *nowéj rady*, gdyż i ich ojcowie byli członkami senatu królewskiego jakimi są i oni. Królu panie! Chociaż ich ojcowie zasiadali w radzie, słowa ich nie były takiéj doniosłości jakiemi są obecnie ich synów, ani też tamci ośmielali się udzielać wam rady prywatnéj, albo też odstępować od ogólnego sądu baronów, jak to ich synowie czynią! A cokolwiek bądź doradzaliby oni lub żądali, to w. kr. mość czyni; rady Szafrańców zawsze górują a nigdy nie doznają odrzucenia. Oni to nawet tego się dopuszczają, iż zaniedbują walne zjazdy ziemskie, gdyż niechcą być ich uczestnikami, a jeżeli raczą się zjawić, to pod sam koniec zjazdu, gdy inni prałaci i panowie już opuścili sale obrad—a natenczas zwalają oni wnioski przez senat omówione i uchwalone lub je całkowicie zmieniają. Innym razem, chociaż są obecni na zgromadzeniu, niechcą przystąpić do wniosków i tylko oczekują, dopókąd inni z rady się nie oddalą; natenczas przystępują do w. kr. mości i nakłaniają was do przystąpienia do ich wniosku. A chociaż w rzeczonym wypadku są obecni na radzie, podkomorzy jednak usunąwszy się w głąb' komnaty nie wotuje wcale. Dopiéro gdy inni komnatę opuszczą, on przystępuje do was i tak długo szepce wam do ucha, dopókąd nie przyzwolicie na zmianę świeżo powziętéj przez was i waszych senatorów uchwały. Oni to nawet podkopali wpływ doradczego słowa mego i innych baronów u w. kr. mości, budząc wasze ku niemu podejrzenia, chociaż my moglibyśmy wam zdrowszą może udzielić radę aniżeli oni. Gdy bowiem inni z senatu waszego uznają zdanie lub wniosek nasz za dobry, przerywacie ich mianem pochlebców naszych. Czy w tém dobrze postępujecie, idąc li tylko za Szafrańcami, i to bez względu na zdanie całego zgromadzenia prałatów i panów koronnych, okaże przyszłość, kiedy to zobaczycie wszystkie sprawki Szafrańców i skutki tychże. Oni to bowiem z wielkim nakładem wysłali Korybuta przeciwko królowi Zygmuntowi do heretyków czeskich, niezważając na wasz i chrześcijaństwa honor, który na szwank narażają, a szczegól-

niéj ów *duchowny* Szafraniec (kanclerz) który wielkie na ten cel wyłożył sumy, jakotéż *młodszy*, który osobiści Korybuta przeprowadzał do Czech. Albożż ów burgrabia Będziński Siestrzeniec, ich sługa, który często udawał się w poselstwach do husytów, czyż nie przybył do waszéj kr. mości z polecenia Szafrańców do Łucka, gdyśmy z królem Zygmuntem się naradzali, i nie odezwał się do was w te słowa. „Husyci mówią, że gdy w. kr. mość pogodzi się z królem Zygmuntem, oni powstaną przeciwko wam.“ Ja zaś znając złość i podstęp (tych co go wysłali) już niczego nie doradzałem, lecz odezwałem się do was i do króla Zygmunta w te słowa:

„Zły człowiek jest ten Siestrzeniec a poselstwo jego najniegodziwsze. Wiemy dziś, że to wszystko stało się za wnioskiem i powodem Szafrańców, że dlatego oni i na zjeździe (Łuckim) nie byli obecni! A skoroście tylko powrócili z Łucka, wnet ulegając perswazyom Szafrańców i doktora, poczęliście pisać przeciwko nam do króla Zygmunta i gdzieindziéj jeszcze, poniżając nas i ze czci odzierając — a wiemy na pewne, że stało się to za poradą Szafrańców. Z ich nakazu i potém jeszcze uczęszczał Siestrzeniec do husytów, zanim heretycy udali się do króla Zygmunta do Preszburga, i doradzał im, nakłaniając kacerzy, aby się nie jednali z królem Zygmuntem i niezawarli z nim jakiejkolwiek ugody. Wiemy i to, iż tenże Siestrzeniec za specyalnym rozkazem Szafrańców przepuszczał Polaków (przez granicę) pod Będzinem, przemykających się do husytów. W taki to sposób zamierza wasza kr. mość wspierać husytów, z czego niemała dla was i królestwa urośnie hańba po całym świecie chrześciańskim!

A jakieżto ci Szafrańce—skarzy się i wymawia królowi Witołd— mieli schadzki i układy z heretykami w Reichenbachu, skoro się na nie odwołują w obec waszych urzędników. Spodziewamy się, że układy te nie są skutkiem rady waszych prałatów i panów, gdyż wam i senatowi waszemu nie godziłoby się wchodzić w układy z heretykami. Oni przywiedli Korybuta nazad do łaski waszéj—zaiste nie mając na myśli honoru waszego lub jakichkolwiek korzyści dla korony, lecz tylko prywatny interes na oku, gdyż wiele nakładów uczynili na wyprawę księcia. Aby onych nie stracić niepowrotnie i nie narazić się na szkody, doradzają wam, abyście napowrót zajęli się Korybutem, gdyż w ten sposób książę mógłby zwrócić im nakłady i koszta—i niebaczą nawet na jakie niebezpieczeństwa narażają tém was i wasze królestwo!

Nadto, żądacie od nas pomocy przeciwko heretykom. Tak— obiecaliśmy z całą Litwą pośpieszyć na pomoc. Obecnie atoli z powodu owéj nowéj rady—zachodzi trudność w pytaniu, coby nam

uczynić należało. Dochodzą nas bowiem wieści, że służebnicy Korybuta zakupują broń w Olkuszu i Krakowie i że na sposób Puchały zaopatrują się w Polsce w wojenne potrzeby, że Polakom chcącym wojować razem z husytami nie broni się wyjazdu za granicę. Co wszystko dzieje się za sprawą nowéj rady. Lecz do czegóż to zmierza? Jaki tego skutek? Oto ten, chyba, że heretycy wzmogli się, spustoszyli Niemcy i Szląsk i że nawet wam grożą! Cóż przeto dobrego czynią Szafrańcy? Przecież husyci pragną zburzyć świętą wiarę, pokruszyć podstawy społeczeństwa ludzkiego, zabraniają duchownym używawania doczesnych dóbr, świeckich zaś wyzuwają z posłuszeństwa poddanych, chcą porównać szlachtę z ludem, słowem wszystkich bez różnicy.“

W taki sposób żółciowy pisze Witołd do króla Jagiełły wylewając piętrzącą się kaskadę słów z wyrzutami i żalem, jakie w skutek znanego nam przebiegu rzeczy uczuwał w sercu. Gromko a bezładnie następują one po sobie, uczucie żalu mięsza się z wyrazami goryczy i złości. Witołd daje folgę swéj boleści i co czuje na sercu, każe przenieść na papier, do użytku brata, który głęboką sercu jego zadał ranę. On—wydaje się—jakby wywierał zemstę na Szafrańcach, do których odczuwa nienawiść, i jakby bezwiednie wykonywał zlecenia wynikłe z podszeptów krzyżackich i z potwierdzeń tychże przez Zygmunta, wskazującego jako winnych na te osobistości, które król nad własnego przenosił brata. Książę niezapomina też i o uczonym podkanclerzym, na którego król zwala winę za nieszczęsną legacyą, i pisze o nim w następne słowa:

„Wspomniałem o podkanclerzym, że chociaż ojciec jego zasiadał w radzie królewskiéj, nie przykładano jednakowoż do zdania ojca takiéj wagi, jakiéj doznaje obecnie głos syna. Ale u w. kr. mości często się widocznie zdarza, że ojciec jest taki, syn zaś owaki. Przypominacie nam, żeśmy dlań u was wyprosili urząd podkanclerzego. Przyznaję; spodziewałem się bowiem, że będzie dobrym i że wzajemną miłość naszą i unię będzie miał na celu. A on, skoro tylko o obietnicy swego urzędu powziął wiadomość, począł pomiędzy nas siać ziarna niezgody i poróżniać nas wzajemnie, jak to się stało w sprawie młyna Lubicza, w sprawie Kraski itd. Orzekliście również że ów doktór (podkanclerzy) bez wiedzy i woli waszéj wysłał ową kompromitującą was legacyą do króla Zygmunta. Dlaczegoście przeto nie ukarali go dotychczas?

Wiedząc, że ten doktor z Szafrańcami, wszystko co tylko zechcą robią z waszą kr. mością, że nie zważacie wcale na radę innych prałatów i baronów waszych, nazwałem ich *nową i prywatną* radą.

Nadto jakiżto honor wyświadczył nam król Zygmunt bawiąc u nas w Łucku, gdy w sprawie wszelkich różnic pomiędzy nim a wami powstałych, w ręce nasze złożył kompromis? Wasza zaś miłość, która jesteś nam stryjecznym bratem, jakby na wstyd i hańbę naszą niechciałeś tego uczynić, jakbyś nas uważał za niedostatecznych do wydania sądu i nas o złe zamiary podejrzywał? A nawet w téj to odrobince, w mizernéj sprawie mołdawskiéj, którą powierzyliście sądowi memu, skoroście tylko zdążyli do królestwa i do Szafrańców, odwołaliście swe słowo królewskie, na wstyd i hańbę naszą! A gdyby to wasza kr. mość, złożył był kompromis w ręce nasze, jak to król Zygmunt uczynił, nie byłoby zapewne przyszło do tego co się obecnie dzieje, niebyliby i husyci tak się wzmogli, gdyby nie byli w stosunkach z Szafrańcami"...

Witołd oczekuje odpowiedzi od króla Jagiełły. Nie następuje ona tak rychło, jakby tego sobie życzył niecierpliwy książę. Bo i cóż miał odpowiadać król na tak dobitne argumenta. Wszakżeż co do zaniechania koronacyi odpowiedział Witołd posłom królewskim, że nie porzuci rozpoczętéj już sprawy, gdyżby się przezto narażał na zelżywe obmowy i na niesławę, gdyż o koronacyi rozeszła się już wieść między ludzi. Ale gdy Witołd dodawał, że niemiał nigdy myśli sięgać po królewską koronę i nigdyby nie powziął był zamiaru, gdyby nie zezwolenie królewskie—sędziwy król widział w stanowczéj odpowiedzi tylko błąd własny, który mu tém dobitniéj wykazują Szafrańcy, o ile odpowiedź księcia, służy im za wymowny argument. Jagiełło uwierzył w podejrzenia Szafrańców, to téż ani myślał o ich oddaleniu; przeciwnie, on toleruje zupełnie ich politykę husycką, potwierdzając tém wyrzuty księcia, jako już im tylko zaufał. Zamiast odpowiadać na ciężkie inkryminacye Witołda, król znosi się wciąż z husytami, ogląda się na zakon i wabi ku sobie mistrza, gotówby nawet z największym wrogiem się pojednać, aby w nim mieć środek do przeszkodzenia mniemanéj seperacyi Litwy. Listy i poselstwa książęce, tłómaczy mu kancelarya jako wysoce nieszczere wybiegi, do zmuszenia króla, aby opuścił jedynych swych sprzymierzeńców na których w potrzebie będzie można liczyć, do oddalenia z dworu krakowskiego tych którzy zgubnemu dla korony projektowi stanęli na przeszkodzie. Słowem król uległ całkowicie wpływowi Szafrańców i ani myśli się usprawiedliwiać. Nie zrywając jednak z Witołdem odpowiada mu pokrótce; powtarza swe dawniejsze podejrzenia co do stosunków Zygmunta z Husytami i maskuje swe własne z nimi stosunki, tém, że Taboryci mają zamiar wysłać doń poselstwo itp.

Rozżalony takiém postępowaniem królewskiém Witołd, uważał za stosowne znowu napomniéć króla i pod naciskiem groźby przywieść go do opamiętania i do spełnienia swoich żądań. W tonie tego listu przebija coś desperackiego, smętnego i groźnego zarazem. Autor widocznie nie przywiązuje już nadziei do używanego dotychczas przez się środka, a nie wie jakiegoby jeszcze miał użyć. Książę znać wie na wskróś o myślach Jagiełły a „źli ludzie" coraz nowszych mu szczegółów dostarczają, na podstawie których może się przekonać o nieszczérości i obłudzie królewskiéj, o stanowczej przewadze nad nim jego zauszników a swych wrogów.

Na dniu ósmym maja pisał książę do króla z Kowna, przypominając mu w treściwych lecz gorzkich słowach poprzednio wypowiedziane żale i zarzuty:

Ileż to już razy—pisze on—bądź to przez posłów bądź listownie lub żywemi słowy, siląc się na najrozmaitsze dowody, starałem się przekonać waszą kr. mość o wielkiéj doniosłości szczeréj i rzetelnéj przyjaźni z królem Zygmuntem, abyśmy razem powstali przeciwko heretykom husytom i koniec zadali szerzeniu się ich kacerstwa? W. kr. mość nietylko że na nasze nie zważałeś słowa, lecz głuchym byłeś na podobne rady swych senatorów, których jeszcze za to mianować raczyłeś moimi pochlebcami. Wybrałeś sobie wasza kr. mość jedynych Szafrańców i doktora jakotéż kilku ich popleczników z rady i tym tylko dajesz głos i wiarę, według ich tylko zdania postępujesz sobie, mając ich radę za świętą i nienaruszoną.

Racz rozważyć królu, czy dobrze ci poradzili i do czego już przyszło, gdy rzeczeni husyci tak dalece się wzmogli i tak szybko w siły urastają? Otóż, gdybym obecnie chciał przytaczać wszystkie me słowa, jakimi w. kr. mość nakłonić chciałem do podniesienia oręża przeciwko husytom, nie zmieściłbym ich w całym tomie. Wy nas uwiadamiacie, że oni poduszczani przez króla Zygmunta chcą napaść na koronę! Przeciwnie—husyci obecnie nie chcą pogodzić się z królem Zygmuntem; co gorsza, napadają na Węgry, pustoszą i rabują na Szląsku—a jak to nam pisaliście—odgrażają się waszéj kr. mości. Z jakiego powodu to się dzieje? Pozwoliliście im wzmódz się, postępując za zdaniem nowej waszéj rady.

Czyż nie lepiéj było złożyć kompromis w Łucku w nasze ręce, jak to król Zygmunt i obecnie jeszcze chce uczynić. Dziś bylibyśmy już wasze wzajemne żale i obopólne krzywdy wyrównali. A gdybyśmy pod ten czas byli w zgodzie, moglibyśmy łacniéj dać radę heretykom.

Daléj przytaczał Witołd cały szereg szczegółów, o których się świeżo przez „złych ludzi" dowiedziéć mógł a świadczących, że król

w porozumieniu jest z husytami, że zezwala, aby Polacy dążyli na pomoc kacerzom, że częste poselstwa przyjmuje od Puchały, Korybuta itp. i że Szafrańców używa do porozumienia się z husytami. Poczem zapytuje, dlaczego nie donosi o tém księciu i nie tłómaczy się z postępków, zmierzających wbrew traktatowi Keżmarskiemu. Zaręczam w. kr. mości—konkluduje książę, że gdy się nie pogodzicie z królem Zygmuntem i ze mną, abyśmy wespół wystąpili do wojny z husytami, jeżeli nie odwołacie tego coście rozgłosili, że jestem niewolnym—gdyż ja postanowiłem wraz z ziemiami mymi i z mą ojcowizną, czy to się wam podoba lub niepodoba, wolnym pozostać, natenczas całe chrześcjaństwo wielkie poniesie klęski.

W ruskiém piśmie dodaje wasza kr. mość, iż przybyć mają do was posłowie Taborytów, co wszystko tylko na hańbę waszą wychodzi. Wasza królewska mość, powinien im zabronić wstępu do królestwa i wszelkiéj styczności z poddanymi. Ilekroć bowiem do w. kr. mości przybywają, tylekroć wierni podejrzywają was na niekorzyść waszą. Zresztą wypowiadałem często już zdanie moje o posłach Taborytów, o wysyłkach do Puchały i Korybuta i o ciągłéj waszéj z nimi styczności. Na co wszystko nie uważacie nawet za stosowne nam odpowiedziéć. Zadziwia to nas niepomału, z jakiego się to dzieje powodu?

Kancelarya królewska i teraz nie odpowiada na zarzuty księcia: zbywa je ogólnikami a król, jak wnosić należy, uprasza tylko księcia o zaniechanie zamiaru koronacyjnego. Natomiast opowiadano mu z nowin o przybyciu jakiegoś posła z Węgier, tudzież o odpowiedzi jaką dano Szlązakom, proszącym króla o pomoc przeciwko husytom a mianowicie: że król nie zwykł niczego bez porady ks. Witołda czynić. Król tedy prosi księcia o tę radę.

Uprzytomniając sobie usposobienie księcia, można się dorozumiewać, że podobny list mógł do tém rozpaczliwszego doprowadzić go stanu. Otrzywawszy ów list w Miednikach dnia 24 maja, natychmiast każe odpisać nań królowi. Dodajmy, że jest to chwila, w któréj „złe wieści" mogły się rozrość w zastraszający i potworny sposób. Mdłe i omijające rzecz samą odpowiedzi ze strony króla, pozorują je i czynią w mniemaniu księcia i Litwy prawdopodobnemi. To też pisze Witołd, że wprawdzie drobną wieść o przybyciu hrabi Doryjskiego otrzymał od króla, że atoli na poprzednie jego listy, traktujące o tém, jako posłom Korybuta i Puchały wolny jest wstęp do królestwa, że wolno im jest zaopatrywać się w Polsce w broń i prowianty, że Polacy bez jakichkolwiek przeszkód zdążają do Czech itp., na to wszystko niczego nam w. kr. mość nie odpisuje, z czego wnoszę, że

macie jakieś traktaty i umowy z husytami, jak nas o tém dochodzą wieści.

Prócz tego, donosi nam w. kr. mość o odpowiedzi jaką daliście Szlązakom, proszącym was o pomoc przeciwko husytom, że bez naszéj rady niczego nie zwykliście działać. Wiemy dobrze, że tą odpowiedzią niczego innego nie zamierzaliście osiągnąć, jak tylko by usunąć się od dania im pomocy. A świat chrześcijański podczas tego cierpi i niszczeje, uginając się pod krwawém jarzmem husytów, którzy z dnia na dzień wzrastają w siły i potęgę! Wy się nami zasłaniacie w obec Szlązaków, że bez nas niczego nie działacie—na wstyd i ubliżenie honorowi naszemu, jak gdybyśmy nie doradzali zawsze aż do obecnéj chwili wspierać każdego przeciwko Czechom? Niewątpimy jednakowoż, iż wielom wiadomo jest, że rady nasze nie są wam przyjemne, gdyż od dawna doradzaliśmy wam na korzyść i dobro wasze wspierać każdego przeciwko husytom, wy zaś pozwalacie im przebywać w waszém królestwie, znosicie się z nimi. Lecz jakiego rodzaju są owe znoszenia się wasze, o tém niczego nam nie donosicie, zkąd wnioskujemy, że chyba toczycie z nimi jakie układy.

Zresztą wiele i bardzo wiele mielibyśmy do pisania o teraźniejszym układzie spraw najnowszych. Widząc atoli że w. kr. mość na treść listów naszych nie odpowiada, nie mamy potrzeby i z naszéj strony tak obszernie się rozpisywać. W gruncie rzeczy wiemy co się u was knuje. Z nowości téż, na żądanie wasze, nie mamy niczego do nadmienienia, prócz chyba rzeczy znanéj, iż słyszymy ustawicznie, jako husyci wzmagają się i że wy im sprzyjacie. Pogłoska ta wielce się szérzy u nas i zadziwia wszystkich. U nas przeciwnie—spokój, cisza i wszystko dobre...

Namiętny gniew Witołda przechodzi obecnie na pewien czas w stadyum chłodnéj groźby. To już nie nienawiść względem Szafrańców, buchająca nieugaszonym ogniem, nie żal do króla malujący się w powodzi wyrzutów, nie przedstawienia braterskie, ale nadto groźba, celem przełamania uporu królewskiego. Z po za niéj nie trudno dojrzeć, że książe jest całkowicie zdecydowany odeprzeć cios przygotowywany w Krakowie i że groźba w ten sposób łatwo się urzeczywistni w czynie. Witołd nie daremnie tak często i wiele pisał o husytach, podejrzywał on króla, że tenże knuje wrogie przeciwko niemu zamiary.

Z drugiéj strony, z po za słów groźby widoczna, że przeświadczenie o własnéj sile i opór jaki powadze jego stawiał król, pozostający pod wpływem Szafrańców, rozdmuchały w płomień iskrę zranionéj ambicyi tlejącą w jego sercu. Dziś już on żąda korony; żąda jéj w znaczeniu niezawisłéj od Polski monarchii Litewskiéj, nie bu-

rząc przez to unii horodolskiéj, żąda jéj, aby udaremnić supremacyą korony nad księstwem i symbolem tym porównać oba kraje. Pragnie jéj Witołd, aby zatrzéć rany draśniętéj ambicyi, gdyż tylko korona mogłaby zrehabilitować poniżone i na wstyd narażone jego imię.

Czy może pokrywa Witołd zamiary swe płaszczem obłudy, jak to głoszą wrogowie jego Szafrańcy? Nie! Działanie jego jest jawne, użyte manowce mogą świadczyć, że Witołd zanadto był do chwały światowéj przywiązany, aby się jéj, z ujmą swego honoru, miał wyrzec z ochotą, na cofnięcie słowa królewskiego i rozkaz jednego stronnictwa w Polsce. Przeciwnie u męża czynu, jakim był Witołd, wydają się listy owe, owe legacye pisma i półśrodki, anomaliją. Książę, jakkolwiek nie miał przesadnego wyobrażenia o swéj potędze, był zbyt energiczny i silny, aby miał osłaniać zamiar swój pozorem korony, gdyby był dążył do seperacyi Litwy, o co go posądzają Szafrańcy. Owe listy i półśrodki, których używa energiczny i gwałtowny w działaniu Witołd, każą wnosić, że korona, do której dąży obecnie, nie była wypływem tajnych a od dawna żywionych w sercu jego myśli, lecz wypływem nieszczęsnego przypadku błędów kancelaryi i zawiłéj intrygi—i gdyby nie ostatnie, historya stawiłaby księcia jako męża, który powtórnie odrzucił zaszczyt, jakim go obdarzyć chciała najpoważniejsza, według pojęć ówczesnych, osoba w świecie chrześcijańskim.

Naprężenie pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, powstałe po zjeździe łuckim, daje sposobność zarówno Zygmuntowi jak i Krzyżakom powikłania nitek intrygi w prawdziwie gordyjski węzeł.

Talent Zygmunta i w. mistrza zakonu, rozwijający się w intrydze i pokazujący się w całéj pełni, objaśnia się tém, że oni jedynie są panami sytuacyi; działają konsekwentnie i za wspólném porozumieniem, jeden zaciera ślady błędów drugiego, które li z konieczności powstały a mogłyby zdradzić tajemnicę; wzajemna pomoc i wyręczanie się ścierają z działania ich piętno rafinowanéj przebiegłości a nadają mu pozory, jakoby było wynikiem konieczności i dobréj woli. Cóż bowiem dziwnego, jeżeli Zygmunt dopraszający się u Jagiełły wsparcia przeciwko husytom, i odwołujący się pod tym względem na układy łuckie, wynurza równocześnie przed Witołdem udany swój gniew na króla, z powodu, że ostatni nie dotrzymuje tego na co był przystał, a co gorsza łączy się nawet z husytami. Czyż mogli Krzyżacy wzbudzić na siebie podejrzenie księcia, donosząc mu przez *swych poufnych* o najmniejszym fakcie dowodzącym ciągłego stosunku króla z husytami? Wszakżeż książe sprawdzał te wiadomości, wieściami zkąd-inąd nadchodzącémi, a sam król milczeniem wymownie potwierdzał ich prawdziwość. W obec tych i wielu innych oko-

liczności, o których się nam tylko dorozumiewać można, nie będzie zadziwiać, skoro dodamy, iż Witołd powziął mniemanie, że król Jagiełło wszedł w układy z husytami i że ostatni, pod osłoną korony Polskiéj, zamyślają rozpocząć jakąś akcyą wojenną. Krzyżacy zapewniają księcia, że to na nich cios wymierzony, na Litwie chodzą pogłoski, że to na ich księcia; król Zygmunt podejrzywa króla wobec Witołda, że przeciwko nim wszystkim Polacy łączą się z husytami, oczekującymi tylko hasła do boju. Zaiste Witołd podejrzywał o taki zamiar króla Jagiełłę, obiecywał Zygmuntowi natychmiastową pomoc na wypadek najazdu husyckiego, co gorsza — zbroił wciąż Litwę, aby cios odeprzeć w razie, gdyby się sprawdzić miała zatrważająca pogłoska, i w tym celu odbierał przysięgę od bojarstwa litewskiego.

Czyż dziwna, że wśród tego, udało się takim Fochsom wyciągnąć od księcia słowo, iż gotów jest koronę przyjąć, i że o tém niebawem pomyśli, gdyż postanowił w téj mierze wysłać posłów do króla Jagiełły jako-téż i do Zygmunta? Przypominamy, iż na tém słowie głównie zależało Zygmuntowi, wiedzącemu, że książe nigdy nie cofa tego co raz był wyrzekł. Mistrz zakonu uwiadamia króla Zygmunta o tajemnicy przez Redewicza, a ucieszony tém król będzie umiał w stosownéj porze użyć tego potężnego środka do swoich celów.

Podobnież zręcznie rozwija się intryga i w Polsce. Nie umiemy powiedziéć z jakiego źródła, dość, że raczyli się dowiedziéć Szafrańcy, jakoby Witołd konspirował na zjeździe z Krzyżakami na zgubę Polski; jako dał im słowo, iż granic zakonu nigdy nie naruszą Polacy, że zakonowi oddany zostanie okręg nieszawski, a książe w zamian za to będzie żądał od korony ziemi Ruskiéj. Może jeszcze co gorszego, ale któż dostrzeże wszystkich artykułów tajnych układów, z których ważniejsze powierzono Szafrańcom tylko w tajemnicy. Ależ bo tajemnica ma pozory prawdopodobieństwa, mówią Szafrańcy, wskazując królowi na treść odpowiedzi Witołdowej, na uzbrojenia na Litwie jakotéż i na odbiór przysięgi od bojarstwa. Podejrzliwość króla, którą posunęli Szafrańcy do tego stopnia, że uczynili go głuchym na szczére i otwarte słowa brata, wzrasta w gorączkowy niepokój. W skutek tego niepokoju przyjmuje król w Kaliszu poselstwo husyckie grzeczniéj aniżeli kiedykolwiek przed tém. Dowiaduje się o tém komtur toruński (który na dniu 22 maja przybywa do króla) i niezaniedbuje donieść w. mistrzowi, w jaki to sposób „według pogłosek" układa się król z Taborytami. Pogłoski te były dość kompromitujące króla, gdyż, prócz innych rzeczy, głosiły, że husyci żądali od króla wolnego przejścia przez Polskę na Prusy. Wnet też dowiedział się o tém i Witołd, aby mieć jeszcze jeden powód więcéj

do gniewu na króla i nowy bodziec drażniący jego ambicyą. Zamiast wykazywać całą niestosowność kroku Szafrańców, używających husytów za narzędzie swych planów, opowiedzmy co donosił komtur toruński królowi Jagielle ze strony w. mistrza. Oto, że mistrz miał zjazd z Witołdem w Jurborku i że tamże postanowili, iż na naznaczony termin książe wyśle swoich posłów, co téż król i mistrz ze swéj strony uczynią, aby raz spór graniczny ukończyć. Szafrańcy wytłómaczyli królowi w swój sposób całą tę legacyą, niedziwna tedy, że król z niczém odprawiwszy komtura, postanawia poufnie zainterpelować Witołda w sprawie podejrzanego zjazdu.

Ale Witołd otrzymuje tę interpelacyą w chwili gdy skąd-inąd mu donoszono o podejrzanych stosunkach Jagiełły z husytami i gdy król Zygmunt w starannie ułożonych artykułach oskarżał króla Jagiełłę, że wbrew traktatom nie chce mu wydać Turka, że wojewoda Mołdawski ufny w pomoc Polski nie chce wspierać Zygmunta przeciwko Turkom, co gorsza, że wydarł wiele powiatów należących do Besarabii a więc do wojewody, hołdującego Zygmuntowi, których opis załącza w liście. Zygmunt przez Małdrzyka ponownie składał kompromis w téj sprawie w ręce księcia i upraszał, aby zechciał wysłać pełnomocnika swego, któryby wraz z jego posłami obejrzał i zbadał te granice. Prócz tego poseł Zygmunta, Herburt z Fulsztyna, zaprzeczył uroczyście oszczerstwom i plotkom, jakie wymyślano na króla Zygmunta przed Jagiełłą, a mianowicie o jego mniemanych spiskach z husytami przeciwko Polsce. Według rycerskich przepisów owych wieków, wyciągnął poseł rękę do góry i protestując upraszał księcia w imieniu obrażonego króla Zygmunta, aby jeśli to możliwe, raczył mu wskazać tych, którzy owe plotki rozsiewają.

Takie i tym podobne sztuczki teatralne, wywarły zamierzony wpływ na Witołdzie, jakby na poparcie téj prawdy, że i geniusze bywają tylko synami wieku, który wyciska i na ich, chociażby najbardziéj wybitnych indywidualnościach swe oryginalne a w oczach naszych komiczne piętno. Dotknięty mniemaną a dobrze udaną obrazą Zygmunta, wzruszony niemniéj wybornie symulowaną jego szczerością i przyjaźnią, posłał natychmiast Witołd owe lamentacye Zygmunta do króla Jagiełły, z uwagami, świadczącymi o łatwowierności całkowicie opanowanego intrygą zygmuntową księcia, niemniéj jak o jego szczéréj chęci pogodzenia poróżnionych królów. Nastawał przeto na króla, aby zadość uczynił zygmuntowi, którego wbrew dawnym ugodom krzywdzi, aby mu wydał Turka, opuścił wiarołomnego wojewodę, nie wspierał husytów i wreszcie aby oddalił Szafrańców jako téż i młodszego Szafrańca, któremu Jagiełło wydzierżawił Lubowlę na Spiżu, a którego oddalenia domaga się Zygmunt.

Te stanowcze żądania jednakowoż nie zdołałyby zmniejszyć lub usunąć podejrzliwości królewskiéj, którą Jagiełło w ostatnim liście wynurzył przed księciem. Witołd wiedział nadto i o tém, że owe podejrzenia w formie najrozmaitszych plotek potwarczych obiegały po Polsce. Ażeby więc zapobiedz oszczerstwom, powstałym z powodu zjazdu z mistrzem zakonu, postanawia Witołd przedstawić całą sprawę w liście otwartym do panów polskich. Wprzód jednakże donosi on o tych potwarzach wielkiemu mistrzowi. A gdy Russdorf nie zaniedbał wyrazić swego zdumienia w piśmie na ten cel dość staranie ułożoném i zaadresowaném do Witołda, odesłał je książe do króla z uwagą, iż przekonać się może, jako wszelkie doniesienia o jakowychś tajemnych zmowach z zakonem, wymierzonych przeciwko Polsce, są brudném oszczerstwem. Inną jest treść pisma wystosowanego do panów koronnych świeckich i duchownych. Pochodzi ono z początku czerwca nieszczęsnego roku 1429 i zasługuje ze wszech miar na przytoczenie:

„Przekonany jestem—pisze Witołd—iż wiecie, jako zawsze byłem wielkim przyjacielem Polski, ani téż nigdy nie uczyniłem czegoś, coby zmierzało przeciwko honorowi lub na niekorzyść korony i że nigdy bez rady waszéj niczego-bym nie uczynił. Ani téż myślałem kiedy o koronie i sądzę, że wiadomo wam jest, iż gdy mi ją w Kezmarku ofiarował król Zygmunt, wręcz jéj odmówiłem. Toż gdy i w Łucku wszczął król Zygmunt o koronie rozmowę, nic stanowczego nie chciałem mu odpowiedzieć bez rady i zezwolenia króla Polskiego. A chociaż on podtenczas z wielkiém upodobaniem i łaskawością na moją koronacyą zezwolił, nie przykładałem wcale pilności, aby ją kiedykolwiek doprowadzić do skutku. Gdy atoli król z Łucka odjechał i począł poniżać nas w obec króla Zygmunta, gdy podobnież i do stolicy apostolskiéj posłał przeciwko nam wiele artykułów oskarżających i w obec całego świata nam ubliżał, począłem po raz pierwszy nad tém się zastanawiać, w jaki sposób mógłbym uniknąć krzywdzącego poniżenia i stosunku niewolnictwa, za pomocą którego zamyśla król mnie i ziemię moje uciskać, gdyż nigdy przed tém nie byłem niewolnym. Z tego to powodu nalegałem na króla, aby odwołał to co był o nas rozgłosił i orzekł o wolności naszéj. A chociaż w téj sprawie wiele traktowałem z królem, tak na drodze piśmiennéj jako-też przez poselstwa, jednakowoż dotychczas nie otrzymałem żadnéj stanowczéj odpowiedzi. Pomimo to, gdy tak z ustnéj relacyi posłów królewskich, jako téż z częstych jego listów przekonałem się, że mu Taboryci grożą, że nawet wśród napadu klasztor częstochowski zrabowali, natychmiast zawiesiwszy wszystkie krzywdy, różnice i niezgody, chociaż podówczas wielce byłem rozdrażniony i postano-

wiłem z niczem odprawić posłów; ofiarowałem się jednakże z pomocą koronie i królowi. Powołałem wszystkich ziemian do broni i osobiście zamierzałem stanąć na czele wojsk posiłkowych. Lecz skoro dowiedziałem się, że król Jagiełło porozumiewa się z heretykami, że posłowie husyccy, jak mianowicie Puchały i Korybuta, mają wstęp do Polski, o czém nam król wcale nie pisał, gdy nadto nie doniósł nam—o czém przez komtura toruńskiego dowiedzieliśmy się—że posłowie husyccy, żądali odeń w Kaliszu, aby przystał na cztéry artykuły prazkie i pomagał im przy napadzie na Prusy, zdziwiłem się niepomału, że przed nami król to wszystko zataja. Posyłałem tedy po trzykroć do króla z zapytaniem, czy prawdą jest to co pisał komtur toruński o legacyi husyckiéj i co w rzeczy saméj król odpowiedział kacerzom. Na to wszystko nie odpowiedział nam nawet król polski. Zresztą słyszeliśmy, że husyci mają wolny wstęp do Polski, że zakupują tamże broń i zasoby wojenne, a gdy o tém tak listownie jako-téż przez marszałka Zarębę dopytywałem króla, mianowicie z jakiego powodu zezwala on na wolny wstęp husytów do Polski, i czy te husyckie odwiedziny odbywają się za jego wiedzą i wolą — nie odpowiadał król na te pytania. Co gorsza, jakby na pośmiewisko nasze, nadesłał nam nic nie mówiący list przez łożniczego swego Guta, od którego dowiedziałem się, iż wysłano go z listem w ośm dni po przybyciu Zaręby.

To wszystko pilnie rozważywszy, nie wiedząc niczego o właściwych zamysłach króla, czy mianowicie przygotowuje się przeciwko nam, gdy pod broń zwołuje swoje rycerstwo, postanowiłem odebrać przysięgę wierności od wszystkich poddanych moich, wzmocnić nasze zamki i uzbroić ludzi, ażebyśmy w ten sposób przygotowani, tém pewniéj mogli odeprzéć cios napadu nieprzyjacielskiego. Nigdy nie zamierzałem wszczynać wojny z Polską, ani téż myśl taka postała kiedy w naszym umyśle. Jestem zmuszony niniejszém zawiadomić was o tém, z zapewnieniem, iż wtedy tylko broń podniosę, gdybyście wy lub król wasz wojnę wszczęli, gdyż natenczas należałoby się nam bronić i napad odpierać.

Pismo to wyprawiam do was w tym celu, abyście nie dawali wiary tym, którzy by was starali się przekonać, że my w innym zamiarze, aniżeliśmy to obecnie wyłuszczyli, zbroimy nasze zamki i napominamy do wierności nasze ludy. Wolemy bowiem, ażeby nas zastał przygotowanych do oporu ten, który zamierza nas napaść, aniżeli wcale o oporze nie myślących.

Nadto należałoby i wam porozumiéć się pomiędzy sobą i króla waszego przywieść do upamiętania, ażeby nie wchodził w układy z husytami, wrogami Boga i kościoła. Już pozaprzeszłéj zimy prze-

słał był nam król wiadomość, jako prosili go Taboryci, ażeby im dozwolił przechodu przez Polskę, celem napadu na Prusy lub Litwę. Gdyby na to zezwolił (obecnie); nie wiem w jakim by celu to uczynił—ufam w łasce Boga, że odeprę takie najście.

Słyszałem nadto, iż obiegają u was pogłoski, jakobyśmy żądali od korony Rusi a dla Krzyżaków Nieszawy, i inne tym podobne wyrażali żądania. Prosimy was, nie chciejcie dawać wiary tym baśniom, te bowiem rozsiewają Szafrańcy i doktór jako-téż i inni nasi wrogowie, z zamiarem podburzenia całéj Polski przeciwko nam. Chciejcie pismo to przesłać do miasta Krakowa, aby i im nie tajny był nasz prawdziwy zamiar. W końcu, zechciéjcie się zastanowić nad niém i doradzać królowi, ażeby w żaden sposób nie dozwolił heretykom przejścia przez Polskę celem napadu Prus, ja bowiem i wy, baronowie korony, jesteśmy poręczycielami, że to nigdy nie nastąpi i że będziemy wspierać Krzyżaków przeciwko heretykom, zwłaszcza gdy są to wierni wyznawcy Chrystusa a przytém nasi sąsiedzi."

List ten, jak obaczymy później, miał wielkie wywrzéć wrażenie na panów koronnych, których wpływ na króla usuwali Szafrańcy, w ten sposób, iż senatorowie uważali się za obcych całéj sprawie łuckiéj, podzielając tylko zapatrywania Szafrańców i pozostawając pod wpływem bardzo niekorzystnéj dla Witołda opinii. Książe mógł tuszyć sobie, że tym tylko sposobem zatamuje powódź oszczerczych plotek, i że słowo jego skierowane do senatorów polskich, wywrze lepszy skutek, aniżeli gdyby je znowu nadaremnie miał zwracać do króla.

A gdy w ten sposób, w oczach bacznego czytelnika, zdaje się Witołd zrywać pęta intrygi i przekraczać kresy jéj działania, opowiadacz niestety musi zaznaczyć, że książę z sieci zaledwie jedną wyciąga nogę, aby tém nieszczęśliwiéj zaplątać drugą i w jeszcze przykrzejszém znaleść się położeniu, aniżeli dotychczas. Przywodzimy tylko na pamięć, że sieć ta składa się z niewyczerpanéj ilości składowych części i że najdrobniejsza z nich ma jeden wspólny z całością cel, podtrzymywania zatargu pomiędzy braćmi i narodami.

Celem przełamania uporu króla Jagiełły, uciekł się książe do energicznych, jak wyżéj wspomniano, środków. Książe potrzebował jeszcze pomocy z zewnątrz i widzieliśmy, jak wielce rachował on tym względem na przyjaznego mistrza zakonu. W Iurborku przyrzekł mistrz księciu, iż bez niego nie przystąpi do żadnéj zgody z Polską, a więc do ostatecznego wykonania warunków pokoju melneńskiego, chociażby pod niewiedzieć jak korzystnemi warunkami ofiarowanemi zakonowi przez króla Jagiełłę. Obietnica Russdorfa wystarcza Witołdowi. Gdy atoli mistrz poczyna się chwiać i przed-

stawiać Witoldowi groźną burzę, na jaką narazić może zakon ze strony husytów, gdyby nie ustąpił królowi Jagielle, uważa książe za stosowne dodać otuchy małodusznemu mistrzowi. W tym celu uwiadamia go z Solecznik o dalszym toku spraw swoich z królem, nie wiedząc ani się też domyślając, że on zna najdrobniejsze szczegóły tychże, tak przez współautora intrygi Zygmunta, jako też przez licznych komturów i szpiegów zakonu, używanych przy jéj zawiązywaniu. Witold o tém wszystkiem nie wiedział, a lubo mógł podejrzywać mistrza i zakon, że oni korzystać mogą z powaśnienia braci, to raczéj obawiał się, że oni mogliby skorzystać z ustępstw ofiarowywanych im przez króla i bez interwencyi jego, w. księcia Litwy, pogodzić się z Polską. Kto wie, czy nie z umysłu starano się ze strony zakonu to ostatnie podejrzenie wzbudzić w umyśle księcia, dość że Witołd zaufawszy mistrzowi więcéj aniżeli mu na to pozwalało jego doświadczenie, odciąga mistrza od pogodzenia się z królem co do spraw granicznych, przedstawia mu „że żądania króla są niepomierne i że król niebawem spuści z tonu.“ Odpowiadając na obawy zakonu z powodu groźnéj postawy Polski, oświadczył, że cel jéj jest nijaki i uwagą ironiczną ilustrując tę grę komedyancką, dodawał odwagi trwożliwemu mistrzowi. Jeszcze bardziéj mniemał książe, że osiągnie celu u mistrza, gdy dodawał: „iż brak odpowiedzi ze strony króla, na artykuły obchodzące zarówno jego jako też zakon i króla Zygmunta, dowodzi, że król Jagiełło równą przeciwko nim wszystkim pała niechęcią, że przeto należałoby, aby mistrz nie śpieszył się z pogodzeniem, przeciwnie, aby się wstrzymał do czasu, w którym książę poznałby z odpowiedzi królewskich, na czém ostatecznie sprawy jego stoją.“

Korespondencya powyższa, uwłaczająca czystości charakteru Witołda, chociażbyśmy ją—jak to w istocie było—jako środek do celu uważać mieli, dowodzi, że książe zanadto zaufał charakterowi intryganta — mistrza, skoro nieoględnie podawał w ręce jego broń przeciwko sobie samemu.

Witołd atoli mniema, że tak mistrz jak król Zygmunt działają szczerze i że przy ich pomocy zdąża do celu, że zgniecie swych wrogów Szafrańców i przełamie upór króla Jagiełły. Widzi on nawet pierwsze pomyślne skutki swego postępowania. Sekretarz jego, Jan Lutek z Brzezia, wraca od króla Jagiełły, nieprzywożąc wprawdzie oczekiwanéj odpowiedzi na pojedyńcze artykuły książęcych żądań, lecz obietnicę, iż król zamierza nieporozumienia swe z królem Zygmuntem zdać pod sąd rozjemczy baronów Polski i Węgier. Obietnica ta zabłysła przed oczyma strapionego księcia jakby światło nadziei.

Poprzedzały ją artykuły z zażaleniami na Zygmunta, obwinienia dziecinne, z których żadne nie wykazywało, iż Zygmunt wykroczył w czemkolwiek przeciwko ugodzie kezmarskiéj. Co gorsza, były one w stanie przekonać każdego nieuprzedzonego o całkowitéj niewinności Zygmunta, tak, że Witołd mógł usunąć z umysłu swego wszelkie wątpliwości, jakie był raz na chwilę powziął o szczerości postępowania zygmuntowego. W odpowiedzi swéj (z dnia 25 czerwca) zwrócił książę królewską uwagę na błahość obwinień, napominając go do stanowczéj zgody z Zygmuntem. Mniemając, że tak późno przywiódł króla do opamiętania, odzywa się książę z pełną goryczy wymówką „dlatego to królu nie chciałeś mnie zrobić sędzią twoich sporów z Zygmuntem, żeś nie miał żadnych należycie uzasadnionych do niego pretensyj, żeś mi niedowierzał, gdyż ja wraz z twoimi senatorami rozpatrzywszy taką skargę, moglibyśmy ogłosić króla Zygmunta niewinnym.“

Co do sprawy mołdawskiéj uniewinniał się król Jagiełło w swéj odpowiedzi tém, że przystał był już na kompromis Witołda, jak mu to doniósł przez marszałka Zarębę, że jednak Zygmunt nie wysłał na oznaczony termin swych pełnomocników. Witołd, którego jak wiemy srodze ubodło, gdy posłowie królewscy w Grodnie oświadczyli mu byli, że wojewoda niechce przystąpić do kompromisu ani też wspierać króla Zygmunta przeciwko Turkom, a nadto prosili księcia, aby wycofał się od rozjemstwa w téj sprawie, przypomina te wszystkie szczegóły królowi. Dodał on i tę okoliczność, że zanim marszałek królewski doń przybył, już poseł mołdawski kilkoma dniami pierwéj cofnął był kompromis, na który w Łucku zgodzono się. Mniejsza zresztą o to—mówi Witołd, jakby nie zważając na sprawy mniejszéj wagi i znaczenia—spór wojewody Mołdawskiego z Wołoskim będzie można załatwić na późniejszym jakimś zjezdzie. Jedno podoba mi się w przedłożeniu królewskiém, a mianowicie, że zamierzacie zdać wasze nieporozumienia z królem Zygmuntem pod sąd obopólnych baronów, czy i w czém wykroczyliście przeciwko wzajemnym a zaprzysiężonym ugodom. Byłoby to bardzo pożądaném, aby wasza kr. mość, oddawszy Zygmuntowi według jego żądania Turka i oddaliwszy Szafrańców, wszystkie spory zdał pod sąd baronów waszych. Zechciéjcie ustąpić mu w tak drobnych sprawach, jak co do Turka i Szafrańców — prosił Witołd — gdyby bowiem dla tak błahych powodów miało przyjść pomiędzy wami do wojny, nieśmiałbym działać wbrew zaprzysiężonym traktatom i nieudzieliłbym z tego powodu pomocy waszéj kr. mości.

To stanowcze dążenie Witołda do całkowitéj rehabilitacyi zjazdu Łuckiego i tę walkę o honor książęcy maluje dosadnie uro-

czyste poselstwo, które zniecierpliwiony książe postanowił był wysłać do króla. Sprawują je Gedygołd wojewoda wileński i Rambold marszałek Litwy. Posłowie ci mieli uroczyście przedłożyć królowi żądania Witołdowe w artykułach pisemnych, na które król dotychczas wymijająco odpowiadał: oddalenie Szafrańców, wydanie Turka, zadośćuczynienie Zygmuntowi w sprawie mołdawskiéj i husyckiéj; względem tego wszystkiego mieli się stanowczéj odpowiedzi domagać posłowie. Nadto polecił Witołd posłom aby się zapytali króla, czy on zezwala na koronacyą czy nie, czy książe ma się za wolnego uważać człowieka czy też za niewolnika. Przypominamy co do ostatniego artykułu, że książe na zapytania Krzyżaków przyobiecał był mistrzowi zakonu, że w sprawie korony, niebawem pośle zapytanie do króla. Artykuł ostatni nie był wyrażony na piśmie.

Gdy poselstwo wyruszyło w drogę do Łęczycy, gdzie podtenczas bawił król Jagiełło, natychmiast o tém wiedziano w Malborgu. A gdy mistrz również traktował z królem w sprawach granicznych, niedziwna, że wysłał tamże sprytnego a znanego już nam komtura toruńskiego. Instrukcya poselska, jaką miał komtur, nie zachowała się w zapylonych aktach archiwum, a i skądinąd mamy powody do postawienia wniosku, że była tajną. Niezapominajmy, że mamy przed sobą historyą intrygi i że chwila w Łęczycy mogła] być dla niéj groźną. Gdyby naprzykład Jagiełło ustąpił z uporu a Witołd opuścił z pretensyi? Mistrz zakonu i na takie ewentualności musi być przygotowanym, a dyplomacya ówczesna ma ku temu dość środków pomocnych, jak się wnet przekonamy.

W poniedziałek dnia 18 lipca przybyli posłowie litewscy do Łęczycy, gdzie zastali króla z kilkunastu senatorami, pomiędzy tymi arcybiskupa Gnieznieńskiego, wojewodę poznańskiego i znanego nam doktora podkanclerzego. Z królem przybyła także królowa. Był już i komtur toruński a układy z nim szły pomału, bez pośpiechu, na którym mu widocznie mniéj zależało. Następnego dnia przedłożyli Litwini swój list wierzytelny, poczém wygłosili artykuły poselskie, tak jak je mieli na piśmie. Król zasiadł do obrad z senatorami; posłowie oczekiwali rezultatu — odpowiedzi. Tymczasem dzień po dniu mija, odpowiedzi nie ma. Niecierpliwią się posłowie i dowiadują się, że sędziwy król miewa bardzo tajne narady z komturem toruńskim, że sam na sam z nim się zamyka, nie wpuszczając do komnaty nikogo prócz tłómacza Stenbarskiego, że późniéj przywołał arcybiskupa a w końcu i wojewodę Ostroroga. Jakaż jest treść tajnych zwierzań komtura, rozpytują się posłowie litewscy. Możemy się domyślać, iż zakon, posiadający dowody autentyczne w listach Witołda na to, że

książe odciąga mistrza od ukończenia zgody z królem, mógł chwilę tę uważać za stosowną do wyzyskania poufnych listów na rzecz intrygi. Kopie listów mógł komtur i bez wiedzy mistrza wydostać tajemnie z kancelaryi zakonnéj. Wprawdzie ściągał na się przez to zarzut mniéj szlachetnego czynu, ale na takie drobnostki nie zważano w regule zakonnéj, według któréj cel uświęcał środki, one zaś, jak w obecnym wypadku, osłaniają całkowicie mistrza a innym jeszcze zwierzeniom komtura nadają pozory wielkiego prawdopodobieństwa. Ta reszta zwierzeń, odnosiła się do pewnych podejrzeń, jakie Witołd miał mieć co do małżeńskiéj wierności królowéj Sonki i do pewnych nie mniéj drażliwych wątpliwości względem prawego pochodzenia jéj dzieci. Te i tym podobne rzeczy—zaręczał komtur pod wielkim sekretem królowi— miał wyrażać Witołd wobec mistrza w poufnych rozmowach. Niewiadomo zresztą jakie jeszcze zwierzenia przynosił komtur, zapewne i wywiadujący się o te tajemnice posłowie litewscy nie dowiedzieli się o wszystkiem; wszakże były one dość czarne, skoro pisali do księcia, że o posłuchach jakie ich w téj chwili dochodzą, opowiedzą ustnie, gdyż wstydzą się przenosić je na papier.

Król Jagiełło zwierzeniami komtura był mocno zmartwiony. W piątek, a było to już późno wieczorem, wezwał on posłów litewskich z sobą na przechadzkę. Sam jeden wychodzi z nimi na łęczyckie błonia; widocznie—spodziewają się posłowie—zawezwał nas, by poufnie pomówić w sprawie zażaleń książęcych i ostatecznéj odpowiedzi, któréj się nie możemy doczekać. Tymczasem król, według zwyczaju, powtarzając te same słowa i wyrazy, począł skarżyć się na swą dolę—jak ciż posłowie donoszą księciu — i obwiniać Witołda, który odbierając przysięgę wierności od poddanych litewskich, za życia jeszcze królewskiego odbiera mu jego ojcowiznę. Odbiera ode mnie Litwę i od moich dzieci, powtarzał król. Posłowie usprawiedliwiają księcia; król trwa przy swojém zdaniu, nie nadmienia atoli niczego z powierzonych mu tajemnic przez komtura. Rozmowa trwała długo. Król był zmartwiony, posłowie obojętni; on, król, zdawał się korzyć przed nimi, wynurzając się ze swych boleści i podejrzeń co do osoby ich księcia, oni dumni w poczuciu swéj misyi nie uważają za godne pióra donieść Witołdowi o danych królowi na przechadce odpowiedziach. Dorozumiewać się można; że były one tego rodzaju, iż zdolne były utwierdzić króla w podejrzeniach; Rumbold wszakżeż, jak nas późniejsze pouczają dzieje, był separatystą. Aby zakończyć nudną konferencyą, któréj powodów, pomimo że doszły ich pogłoski o plotkach komtura, się nie dorozumiewają, zapytują posłowie króla, kiedyby zamyślał stanowczą dać im odpo-

wiedź na artykuły książęce. Jutro — brzmiała odpowiedź biednego króla.

Komtur tymczasem, załatwiwszy swoje sprawy, a nadto wytargowawszy jakąś korzyść w sprawach granicznych, mógł swobodnie odjeżdżać. Należało mu jeszcze tylko z posłami się widzieć, aby nie wzbudzić podejrzenia u Witołda. Rankiem tedy, w dzień sobotni, nazajutrz po owéj konferencyi króla z posłami, kryżak odwiedza ostatnich w ich komnatach. Posłowie ani się domyślają o celu wizyty. Komtur chyba grzeczność, formalność chce spełnić—takimi wszakże są krzyżacy. Komtur oświadczył o swoim wyjeździe i prosił uprzejmie posłów, by zechcieli polecić korne jego usługi księciu, że on chciałby we wszystkiém i przy każdéj sposobności odsłużyć się Witołdowi, którego łask i dobrodziejstw nie jest w stanie zapomnieć. Ma on jeszcze jedną tylko prośbę, mianowicie aby książe nie wziął mu za złe jego układów z królem, gdyż on przy załatwianiu sporów działał jako sąsiad królewski i że niczego nie mówił z królem, jak tylko to, co należało do kwestyi sporów granicznych. Nadmienił przy tém, że zgodził się z królem, aby granicę około Drezdenka stanowiła rzeka Noteć, że cło, rybołostwo i pożytki z połowy rzeki Noteci należeć mają do zakonu wedle starych traktatów. O téj ugodzie spieszy on zawiadomić mistrza, z tym dodatkiem, że co do reszty granic, jak około Landesberga, król zwlókł swoję odpowiedź dla braku pełnéj swéj rady.

Komtur pożegnał posłów i pośpieszył donieść o powodzeniu swém w. mistrzowi. Ale prócz tajemnic, o których posłów tylko głuche posłuchy dochodziły, oświadczył on mistrzowi to, co był zataił przed posłami, że wyłudził od króla, gołosłowną wprawdzie, ale zawsze obietnicę odstąpienia w imieniu korony polskiéj od jéj pretensyj do granic spornych około Landesberga, Hochzeitu i Nowéj Marchii za owe jakoby odstąpienie Drezdenka i połowy koryta Noteci, daléj że król obiecywał w ciągu czterech tygodni uzyskać potwierdzenie téj ugody od swego senatu, poczém potrzebowałby się tylko zjechać z mistrzem dla sporządzenia aktu ugody. Zakon troskliwie chodzi około sprawy intrygi i własnych, a mistrz otrzymawszy sprawozdanie komtura, nie zaniedba przypomnieć swoje usługi Zygmuntowi, aby odeń otrzymać dokument darowizny Nowéj Marchii, czego wdzięczny król zapewnie nie odmówi.

Tejże soboty, przywołani w tym celu posłowie Witołda wysłuchali w obec króla i senatorów polskich odpowiedzi na artykuły książęce.

Król ofiarowywał się usunąć Szafrańców; na artykuły mieszczące zarzuty usprawiedliwiał się, w sprawie zadośćuczynienia Zygmun-

towi odwoływał się—co jak sobie przypominamy i Witołdowi się podobało — że traktuje z nim o zjazd baronów polsko-węgierskich i że wyroku ich nie omieszka wypełnić.

Posłowie widzieli w odpowiedzi królewskiéj same tylko wymówki. Niezadowolnieni jednéni ustępstwem, powstawszy z miejsc zabrali głos:

Najjaśniejszy królu! Słyszymy odpowiedź na rozmaite punkta legacyi naszéj, lecz nie dostrzegliśmy z niéj, czy wasza kr. mość, jak to był w Łucku zezwolił i obecnie zezwala na koronacyą naszego hospodara w. księcia lub téż cofa zezwolenie? Czego obecnie pragniemy dowiedzieć się, by i o tém donieść w. księciu.

Artykuł ten, jak wiemy, nie był w instrukcyi poselskiéj wymieniony. Król zasłania się tą okolicznością, wymawia się, że zezwolenia nie dał, poczém powołuje swych senatorów na krótką naradę i odpowiada posłom:

Mało tu jest nas obecnych i z tego powodu w sprawie tak ważnéj, obchodzącéj całą rzeczpospolitą, nie mogę obecnie, w braku pełnéj rady królestwa—czegoś stanowczego odpowiedziéć.

— Ależ to uczyni zwłokę hospodarowi naszemu w jego zamiarach—odrzekli posłowie—zechce tedy wasza kr. mość odpowiedzieć kiedy zwoła na ten cel swoję radę.

Król na to: Nieumiem dziś odpowiedziéć na który dzień wyznaczę termin zjazdu, lecz gdy obecnie zmierzam do ziemi krakowskiéj i sandomierskiéj, łatwo będę się mógł porozumiéć pod tym względem z moimi senatorami.

Wyczerpana tą odpowiedzią cierpliwość posłów przechodzi na chwilę w oburzenie. Rozzuchwaleni przyjacielskiém z nimi postępowaniem króla, gdy im nadto i gniew Witołda i własna ich urażona ambicya dodawały odwagi, odrzekli:

— Z téj odpowiedzi przekonywujemy się, że w. kr. mości tylko o zwłokę chodzi w téj sprawie, a hospodar nasz nie chce jéj nadal doświadczać i pragnie wiedziéć, czy jest wolnym lub niewolnym i czy wasza kr. mość zezwala lub cofa zezwolenie. A gdy wasza kr. mość, jak się dorozumiewamy, nie ma zamiaru zezwolić ani téż dać nam stanowczéj odpowiedzi, polecił nam w. książe oświadczyć, że czy to się waszéj kr. mości podoba lub nie, on przyjmie i włoży na się koronę.

Przeraziły króla te zuchwałe słowa. Tak więc podejrzenia, tajemnice komtura miały być niestety prawdą: więc hańbę od księcia muszę znosić i poniżenie! Wydziera mi ojcowiznę i wypowiada wojnę.

Nastąpiła znowu dłuższa narada z senatorami z arcybiskupem, z Ostrorogiem i podkanclerzym. Już dobrze było popołudniu, gdy wreszcie posłowie usłyszeli od króla te słowa: Chcę w najkrótszym czasie zasięgnąć rady mego senatu, poczém wyślę posła do księcia z odpowiedzią. Temi słowy odprawił król posłów i udał się z nimi na obiad, po którym posłowie mieli się ruszyć w drogę do Litwy. Przed samym odjazdem wezwał król jeszcze raz posłów do siebie i na osobności bardzo długą miał z nimi rozmowę. Polecił zaręczyć Witołdowi „że go kocha jak dawniéj, że prosi Boga w codziennych modłach o zdrowie i pomyślność księcia, któremu téż więcéj tego życzy, aniżeli samemu sobie. Jak dawniéj — a zawsze to zwykł był czynić, dodają posłowie w swéj relacyi — prawił król bardzo wiele w ten sposób: Brat mój może uczynić, co mu się podoba; z méj strony życzę mu pomyślności i dobra. Należałoby ażeby zamiar swój uskutecznił za radą moją, po rozpatrzeniu treści dawniejszych naszych zapisów i w ogóle uczynił tak, aby mu to na dobro wyszło i nie uwłaczało jego godności. Brat mój jest wolny jak i ja — mówił król—i za takiego, gdyż za brata mego najdroższego, go uważam, nie zaś inaczéj; książąt i panów litewskich również uważam za wolnych jako i panów koronnych i za równych ostatnim pod każdym względem. W końcu wyrażał król zapewnienie posłom, iż oddali Szafrańców od siebie, jak tego żąda w. książe. Posłowie litewscy doznali przed wyjazdem szczerego pożegnania od królowéj. I ona wyrażała się „iż przyjemném jest dla niéj widzieć w. księcia w szczęściu i pomyślności, tudzież, żeby z królem jéj mężem żył w braterskiéj zgodzie“ i polecała się kornie pamięci w. księcia tudzież w. księżny Juljanny.

Posłów odprawiono 23 lipca, w ów dzień sobotni, kiedy to komtur toruński był już w drodze do Malborga. Nietrudno nam dostrzedz, że gdy ostatni z poczuciem tryumfu wracał do mistrza; Litwini przeciwnie ze zwłoką sprawy łuckiéj śpieszą do Witołda. Ze względu na historyą intrygi, czynności ich stykają się, z tą tylko różnicą, że gdy posłowie bezwiednie służą za jéj narzędzie, komtur przeciwnie z całym rozmysłem działa, jako wtajemniczony w plany i zamiary autorów intrygi. Ze względu na króla, skutki ich pobytu w Łęczycy uzupełniają się w ten sposób, że podejrzenia królewskie, wzmożone z jednéj strony podszeptami komtura, z drugiéj znowu strony groźbą posłów, dochodzą do stopnia rozpaczliwéj pewności o tém, co dotychczas było niejasném i niezromiałem. Skutkiem tego postępowanie królewskie jest w wysokim stopniu nieszczere i niekonsekwentne względem Witołda. W sercu swém czuje król tylko żal do księcia i mniema, że do tego już

przyszło, iż prócz gorzkich wymówek rzuca mi groźbę w oczy ten, któregom wyniósł na tron ojczysty, który mi wszystko, co posiada, ma do zawdzięczenia. Sławie domu mego i dzieci moich uwłacza książe, gdyż chce oderwać na zawsze od nich Litwę. Król już obecnie nie poczuwa się do żadnéj winy, a ustępstwa jego nie są aktem skruchy lecz wynikiem musu i twardéj konieczności. Jego majestat królewski doznał hardéj obelgi; zuchwała pogróżka posłów ubodła go do żywego. To téż nie może się powstrzymać od wynurzenia skargi przed księciem. Tego samego jeszcze dnia napisał on o tém do Witołda, żaląc się, że jego posłowie tak pośpiesznie sobie poczęli, nie dowiedziawszy się poprzednio o stanowczéj i niezmiennéj woli senatu królewskiego. Lecz i w skardze téj nie ma szczerości; król podstępnie chce wyłudzić od księcia chwilkę cierpliwości do czasu aż zapadnie uchwała senatu. I odwołanie Szafrańców jest pozorném tylko, w gruncie rzeczy, obłudą; król bowiem już tylko im ufa, a ich przeciwników w senacie podejrzywa o zausznictwo księcia i o zdradę względem siebie. Twarda konieczność nakazuje usunięcie, a król widzi w tém akt poświęcenia się ze strony Szafrańców, którzy już przed tém udaną gotowością wzięcia brzemienia winy i błędów królewskich na swoje barki; podbili całkowicie jego zaufanie. Jagiełło na ustach miał słowa miłości dla Witołda, w sercu zaś podziela ze Szafrańcami nienawiść.

Usposobienie to podejrzliwego króla, przebija się w stosunkach do zakonu, który od dzieciństwa nienawidził, a z którym wchodzi w układy i ufa ich podszeptom, jako-téż w stosunkach z Zygmuntem, o czém pokrótce napomkniemy. Wobec nacisku ze strony Witołda musiał król przystąpić do prób ugodowych z Zygmuntem. Strony załatwiały te próby zwykle za pośrednictwem zjazdu obopólnych baronów na pograniczu węgierskiém. Porozumiano się—a na zielone świątki przypadające w połowie maja wysłał był król z Wielkopolski prałatów i baronów swoich na zjazd do Szramowic „aby na nowo skojarzyli zachwianą i znacznie nadwyrężoną przyjaźń obu królów.“ Ale panowie węgierscy nie przybyli, a łatwo się nam dorozumiéć z jakiego powodu. Zygmunt pragnął nadal utrzymać naprężony stosunek pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, nie dziwna przeto, że zjazd taki wcale mu nie był na rękę. Za jego namową usprawiedliwili się baronowie węgierscy w ten sposób, że Polacy nie mogli im nieprzybycia wziąść za złe, zwłaszcza gdy się zasłaniali rokowaniami z husytami i stawili w propozycyi zjazd na przyszłość. Tymczasem Witołd znagla do działania. Sam król pisze tedy do Zygmunta, żądając zjazdu i obiecując ze swéj strony zadość uczynić wyrokowi ich baronów. Zygmunt odpowiada dyplomatycznie, iż okazuje się skłon-

nym do uczynienia wszystkiego, coby tylko wzajemną ich przyjaźń podsycić mogło i że w tym celu chętnie zjedzie się z królem na Spiżu lub w Bardyowie. Król odsyła znowu posła do Zygmunta, proponując na termin zjazdu czas pomiędzy Wniebowzięciem a św. Bartłomiejem. Zygmunt godzi się na święty Marcin, ażeby jak najdaléj odsunąć możliwość zgody. Podtenczas to, Jagiełło jeszcze raz z pokorą, uniżonością i zbytkiem udanéj szczerości uprasza Zygmunta, aby nie koronował Witolda i nie wydzierał mu przez to jego ojcowizny. Czynił to, powtarzamy, wtedy gdy postanowił był zdać tę sprawę pod obradę swego senatu. Czy była w tém konsekwencya? Pomimo przykrego doświadczenia, król powtarza swój błąd nawet w tak ważnéj chwili i obchodzi, stara się udaremnić żądania Witołda na drodze układów z Krzyżakami i z Zygmuntem.

Król Jagiełło, stosując się do oświadczenia danego Witoldowi, powróciwszy do Małopolski, wyznaczył na dzień 8 września zjazd prałatów i dostojników świeckich do Sandomierza. Miano się tam dokładnie zastanowić nad położeniem rzeczy i nad środkami zaradczemi, gdyż sytuacya była groźną i niecierpiącą zwłoki. Plotki zakonne i rozmaitych „złych ludzi“ czyniły ją jeszcze groźniejszą i w Polsce chciano naprawdę wierzyć, że Witołd bezcześcił sławę królowéj i synów królewskich, że komtur toruński i inny jakiś krzyżak donieśli o tém w sekrecie królowi. Poczém z ust do ust obiegała pogłoska, że król ma się zupełnie pogodzić i połączyć z Krzyżakami z zamiarem uczynienia mistrza zakonu opiekunem małoletnich swych synów i t. p. Niepodobna wskazać nam na osobistości, które rozsiewały takie pogłoski; faktem jest, że król zbliżał się do Krzyżaków, że dostojnikom zakonnym robił podarki, stosowne do zwyczajów wieku, w rzadkich okazach dziczyzny, ubitéj na polowaniach i coraz częściej przez kursorów znosił się z Russdorfem. Faktem jest daléj, że niewiadomo skąd dowiedział się Jagiełło o królu Zygmuncie, że tenże oczerniał go wobec króla angielskiego Henryka V-go, orzekając na publiczném posłuchaniu przez usta swego posła, że Jagiełło był pierwéj poganinem obecnie zaś jest heretykiem, gdyż ich protektorem. Również nieda się zaprzeczyć, że król powziął tę wiadomość z Gdańska a więc z krajów, zostających pod władztwem w. mistrza zakonu.

Nie trudno nam dojrzeć, dokąd zmierzają autorowie tych brudnych oszczerstw i potwarzy. Kwestya korony Witołdowéj ma pójść pod obradę senatu a tak stać się poniekąd kwestyą publiczną. Trzeba tedy i opinią publiczną o ile możności na to przygotować, aby uniemożebnić projekt koronacyjny, a zgodę pomiędzy królem i w. księciem, Polską i Litwą co najmniéj usunąć w przyszłość. Ku temu ce-

lowi jakże dobrze nadają się plotki udowadniające, że król Zygmunt jest najbardziéj winnym, że pragnąc Litwę oddzielić od Polski wymyślił ku temu koronę dla Witołda, że Witołd jest może w porozumieniu z Zygmuntem i przystaje na jego plan, a tylko dla uniknięcia wojny z Polską wymusza na królu problematyczne zezwolenie. Oszczerstwa o królowéj i jéj dzieciach miały już nietylko w podejrzliwym z natury królu wzbudzić myśli, że Kiejstutowic, mszcząc się za śmierć ojca odpycha Jagiellonów na zawsze od Litwy. A król Jagiełło miał synów, których szczerze kochał, dla nich za cenę praw i przywilejów władzy królewskiéj okupywał koronę polską—był twórcą dynastyi, którą ugruntować chciał nietylko w Polsce, gdzie się za gościa tylko poczytywał, ale i na dziedzictwie swém litewskiém, a Witołd — głoszą jego wrogowie — zamierza tym dzieciom wydrzéć ojcowiznę. Łatwo sobie wyobrazić jaki wpływ wywierają te brudy intryg pokątnych na sędziwego króla, na opinią rady jego—trudniéj nam wskazać na autorów tych szpetności; kto wie, czy nie wyręczają się Krzyżacy kim innym jeszcze, czy i obecnie Szafrańcy nie są bezmyślném narzędziem zawikłanéj intrygi w ręku zakonu?

Tak więc wstępujemy w drugie stadyum intrygi łuckiéj — gdy sprawa ta poniekąd gabinetowa, natury z początku prywatnéj, urasta powoli w kwestyą publiczną.

III.

Trudném było położenie senatorów królewskich zwołanych na dzień 8 września do Sandomierza. Zapewne większa ich część, nie ulegająca zgubnemu wpływowi Szafrańców, nie dawała wiary plotkom i oszczerstwom, umiała pojąć i usprawiedliwić ostry ton przymówek i gróźb Witołdowych skierowanych do króla, nie podzielała w gruncie rzeczy nieusprawiedliwionych podejrzeń Jagiełły—co więcéj znała winę jego i wiedziała dobrze, że król zezwoleniem swém w Łucku daném, którego się na próżno za doradą Szafrańców obecnie wypierał, był tu głównie winnym. Dostrzeżono i winy Szafrańców; wszakże Witołd otwierał im oczy wskazując i udowadniając prawdę swego aktu oskarżenia. Dorozumiewano się, że Zygmunt intryguje, posądzano go o zamiar oddzielenia Litwy od Polski i tłómaczono sobie, że wyzyskuje obecny rosterk pomiędzy dwoma temi krajami. Upór atoli Witołda w postawieniu na swojém różnie sobie tłómaczono. Tu mieli wrogowie księcia pole do popisu a możemy się dorozumiewać jakimi walczyli argumentami. To pewna, że większość podzielała zdanie, iż konieczną jest rzeczą zaspokoić ambicyą Witołda i zezwolić na koronacyą.

Gdybyśmy, co do obrad zjazdu w Sandomierzu, nie byli skazani wyłącznie na relacyą Długosza i posiadali szczegółową wiadomość o ciekawéj dyskusyi, pokazałoby to nam może, jak srogiego skarcenia doznała polityka Szafrańców przez większość senatu, moglibyśmy wskazać na tych, którzy sterawszy swą młodość na usługach księcia, chętnie przyzwalali na koronacyą tego, którego cenili jako największego z monarchów i odbierali za to od Jagiełły miano „zauszników Witołdowych.“ Moglibyśmy przedstawić scyssyą zaszłą z tego właśnie powodu pomiędzy królem a senatem i wykazać zwycięstwo większości senatu. Moglibyśmy przedstawić upokorzonego króla, uciekającego się powtórnie do rady swych Szafrańców, coby czynić wypadało, gdy senat doradza zaspokoić żądanie Witołdowe ze względu, iż w niém nie ma nic, coby uwłaczało literze prawa. Obaczylibyśmy, jak wyszydzeni Szafrańcy ze swemi argumentami, że koronacya uwłaczałaby artykułom unii horodelskiéj, przedstawiają następstwa tejże, mianowicie ze względu, że Zygmunt udziela tejże korony. Wszak to mogłoby uprawnić cesarstwo do najrozmaitszych roszczeń względem Litwy? Senat podziela te niepłonne obawy ale w gruncie rzeczy pozostaje przy swojém zdaniu. Jak tedy rozwiązać ten węzeł gordyjski? Szafrańcy bogaci w półśrodki i na tę ewentualność mają takowy na podorędziu. Oto niech król ofiaruje swą własną, koronę Polski, ambitnemu bratu byle zawarować następstwo nieletnim swoim potomkom, byle niedopuścić do mniemanego oddzielenia Litwy. Tym sposobem uczyni się zadość zausznikom Witołdowym, których się na każdy wypadek zobowiąże, aby niedopuścili Zygmuntowi, panu wrogich Niemców i roszczącemu sobie dziwne pretensye cesarstwa, koronować Witołda. Skutkiem obrad w Sandomierzu ustępował Jagiełło własną koronę w. księciu Litwy.

Zaiste trudno nam nie podziwiać poświęcenia Jagiełły, tak głęboko upokarzającego się wobec swéj rady króla, ustępującego z tronu rozgniewanemu bratu. Cokolwiekbyśmy zresztą o charakterze złamanego wiekiem i trudami, i już z tego względu pozostającego pod wpływem swego otoczenia, króla powiedzieć mieli, jakimkolwiek wpływom przypisać byśmy mieli jego stanowcze postanowienie, nic nie zdoła umniejszyć jego poświęcenia. Niezapominajmy, że prawie pół wieku piastował berło polskie a bez brzemienia korony chciał schodzić do grobu.

A rada królewska? Może sprzykrzyły się rządy staruszka jednym, może zapragnęli mieć wielkiego Witołda drudzy, może inni tuszyli i żądali upadku zauszników królewskich a może wśród trudnéj sytuacyi uznano ten środek za jedyny i zbawienny, dość,

że zgodzono się na propozycyą królewską. Znawcy charakteru księcia mogli atoli przewidzieć, że Witołd nie przyjmie korony żyjącego jeszcze brata. Ale cóż robić, może sama propozycya zdoła zaspokoić ambicyą w. księcia? usunie go z pod zgubnego wpływu Zygmunta, którego uznano za wroga ojczyzny. Takie i tym podobne panują zdania w Sandomierzu, skąd postanowiono wysłać z tą uchwałą poselstwo do Witołda. Wybór padł na biskupa krakowskiego który już w sprawie łuckiéj posłował do Witołda, tudzież na Jana Tarnowskiego Małopolanina przyjaźnie dla Witołda usposobionego męża. Polecono im użyć najsamprzód wpływu wymowy, z jakiéj słynął biskup, aby odwieść księcia od zamiaru koronacyjnego, poczém przedłożyć mu pokorne i pełne miłości przedstawienie warunku odstąpienia korony Polskiéj, mające go pogodzić z królem i koroną. Żadnych innych zleceń co do stosunków z husytami i zaspokojenia krzywd Zygmunta nie dano posłom w instrukcyi. Na święty Michał mieli się posłowie wywiązać z trudnego zadania.

Skutkiem powikłania się węzłów intrygi, zadanie to staje się jeszcze trudniejszém. Król Zygmunt bowiem korzystając z napiętego stosunku pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, uważa tę chwilę za stosowną do narzucenia się Witołdowi z ofiarowaniem żądanéj korony. Uczynił to w sposób bardzo misterny w liście z dnia 27 lipca. Opowiedziawszy nasamprzód o cokolwiek polepszoném swém stanowisku do husytów, mówi Zygmunt z dobrze udaném oburzeniem:

„Patrz bracie najdroższy, czy to są dowody o unii naszéj z heretykami o którą nas posądzają nasi wrogowie, czy to zapowiedzi konwencyi naszych z tymi, którzy nas, ziemie nasze i poddanych naszych niszczą przez rozboje i mordy, przez pożogę i wojny? Wierz mi wasza braterskość—mówi Zygmunt, udając brak cierpliwości—że gdy mi przyjdzie przedsięwziąść krok jakiś przeciwko królowi Polski, nigdy nie uczynię tego bez waszéj wiedzy i porady. Godziłoby się raczéj, by król ukrywał takie plotki nie podobne do prawdy, aniżeli je wam donosił w tak czarny sposób.“ Żeby jeszcze bardziéj zdyskredytować Jagiełłę w oczach Witołda a podnieść swoję bezinteresowność, począł przedstawiać Witołdowi, że pomimo to przystał z królem na zjazd na św. Marcin odbyć się mający. Przedstawiał on, że gdyby ważniejsze sprawy odciągnęły go od osobistego udziału, chciałby przynajmniéj baronów swych na zjazd wysłać, i podstępnie dodawał: Gdy ja atoli niczego nie zwykłem czynić bez rady i wiedzy waszéj br. dlatego i obecnie udaję się po nie, z prośbą: zechciéj nam poradzić, czy mam się osobiście stawić na tym zjeździe czy téż przez posłów dać się zastąpić? Chciałbym tam zadośćuczynienie uzyskać, dowieść niewinności mojéj i powolności dla zapisów obopólnych.

Zamierzam oskarzyć króla o daleko większe winy i krzywdy aniżeli je mnie zarzuca i udowodnić, jako on złamał przysięgę i wiarę i wspólne nasze układy i przymierza, jako je nadto i obecnie łamie i łamać nie przestaje. Gdyby atoli waszéj br. się zdawało—objawia Zygmunt *swe* całkowite ku Witołdowi zaufanie, żeby nam nie należało osobiście się stawić, natenczas znajdę dogodny sposób, aby się z téj sprawy wywiązać, i używszy usprawiedliwień godnych i przekonywujących, wyślę na zjazd tylko pełnomocników. Zechciéj mi tylko wasza br. objawić swe pod tym względem zdanie. Byłoby to mojém najgorętszém życzeniem, abyś swoich posłów na miejsce zjazdu wysłał, ażeby na wypadek gdybym osobiście wziął udział, na własne oczy i uszy wszystko widzieli i słyszeli, rady swéj nam udzielali i uwiadomić mogli was o wszystkiém.

Możemy tu zaznaczyć, że podstęp był dobrze obmyślony z gruntowną znajomością różnic zaszłych pomiędzy Jagiełłą a Witołdem. Zygmunt miał zamiar niedopuścić do zjazdu i winę niedojścia do skutku zwalić w oczach Witołda na Jagiełłę. Jak się to stało obaczémy późniéj.

Lecz nietylko ten podstęp odczytujemy w rozwlekłém piśmie Zygmunta. Oto co pisze w dalszym ciągu: Jedno jeszcze pozostaje do załatwienia. Otóż jak wasza br. uwiadomiłeś mistrza zakonu, ten zaś mnię przez Redewicza, postanowiłeś wasza br. przywdziać koronę królewską i w tym celu zamierzyłeś wysłać poselstwo do królewskiego swego brata, poczém znowu do nas takowe miałeś przysłać. Dotychczas jednakowoż nie przyszło ono do nas. Z najszczerszego serca proszę i błagam waszą br. zechciéj uszczęśliwić nas tą wiadomością, w sprawie tejże korony. Przygotowałem już korony i inne oznaki królewskiéj godności dla was i dla małżonki waszéj a siostry mojéj najdroższéj i chcę je wam odesłać z taką okazałością, jakiéj ta sprawa wymaga. A gdyby ktoś chciał przeciwnie doradzać waszéj br. i was odciągać od koronacyi, która tylko wyjść może na cześć i sławę waszą, ziemi i poddanych waszych, gdyby ktoś chciał w was wzbudzić jakąś wątpliwość w sprawie tejże koronacyi, prosimy was gorącemi słowy, pochodzącemi z głębi serca naszego, nie chciejcie temu dawać wiary. Wierzaj mocno wasza br., że za cenę całego świata nie ustąpiłbym od tego, co przyrzekłem waszéj br.; miejcie tę wiarę dla honoru swego i według woli waszéj jak się wam podoba. Upraszam tylko, niechciéj być wasza br. bojaźliwym w téj mierze, zapewniam bowiem że nigdy nie ucierpi wasza br. omieszkania z mojéj strony. Ażeby zaś całkowicie zdyskredytować króla Jagiełłę w oczach Witołda dodawał on w cedule te słowa:

Bracie kochany! Król Jagiełło sekretnie prosił mnie przez posła swego Nespora, abym ze względu na to, że obaj się starzejemy i że ja mam więcéj królestw, on zaś tylko jedno, które mu wystarcza, ale które ja mu rozdzielić i odciąć od niego usiłuję, gdym ja nadto wiedziéć powinien, że ziemia Litewska doń należy i że on jéj ustąpił waszemu br. tylko w dożywocie, pod warunkiem unii i wzajemnéj miłości, i że po śmierci waszéj powraca do Polski, abym więc z tych względów baczył na to, iżby rozdział ten nie nastąpił, abym pomny na przysięgi i zapisy nasze, na wiarę i na zbawienie duszy więcéj to brał sobie do serca, aniżeli sprawy, które tylko rozdział i wzajemne waśnie mają na względzie.

Zygmunt nie wątpił, iż Witołd zrozumie myśl przedłożeń królewskich, oskarżających ich obudwu o zamiar oddzielenia Litwy.

W parę dni późniéj (dnia 30 Lipca) oznajmiał Zygmunt najdroższemu swemu bratu Jagielle o losie układów z Taborytami; przedstawiał, że one nie świadczą przecież o unii z karcerzami, o którą go posądzają wrogowie. Dodawał o prawdopodobieństwie wojny, upraszając króla o pomoc na każdy wypadek, zwłaszcza—dodawał jakby z ironią—gdy wasza kr. mość już i tak całe lato miałeś ludzi pod bronią. Zresztą, jak w piśmie do Witołda, zapowiadał, że osobiście przybędzie na zjazd, chyba gdyby był zaskoczony nieprzywidzianymi wypadkami, natenczas bowiem musiałby się zastąpić przez posłów.

Kopie obu powyższych listów odesłał Zygmunt do w. mistrza „aby wiedział jak stoją sprawy husyckie“, i uwiadomiał go nadto, że wyśle Redewicza z ludźmi do ujść Dunaju, aby tam według układów Łuckich założono zamek zakonny na obronę chrześcijaństwa.

Zygmunt nie łudził się co do charakteru dumnego i urażonego w swéj dumie Witołda i umiał należycie korzystać z okoliczności, nadarzających się mu obecnie z taką szczodrobliwością życzliwego losu. Prawda, że los ten umiał on należycie przygotować i że pomoc krzyżacka była mu niezbędną. Witołd zaś, ów biegły polityk, domyślny mąż i zdrowy oceniacz najzawikłańszych sytuacyi politycznych,—Witołd, o którym dowcipny biskup Kropidło powtarzał, że on jeden w porównaniu z Zygmuntem i Jagiełłą zasługuje na pełne miano monarchy—o którego to odbijały się jak o granitową skałę najbardziéj wyrafinowane sztuczki zakonu, Witołd miałby się dać uwieść Zygmuntowi, miałby uwierzyć pochlebstwom Zygmunta, że on tylko dla szczęścia braci, tylko dla sławy księcia i Litwy pragnie ozdobić koroną jego skronie? Witold miałby uwierzyć, że ów Zygmunt bezinteresownie chce dostąpić zaszczytu koronowania księcia i że ma

najsłuszniejsze żale z powodu uporu do króla Jagiełły? On miałby może i temu dać wiarę, że Zygmunt, lada chwilka, postradawszy cierpliwość, porwie się do broni przeciwko niesprawiedliwéj i szkodzącéj jego państwu Polsce?

Niestety Witołd wierzył Zygmuntowi, gdyż wierzyć musiał. Zygmunt mógł tryumfować, że rzucił między psy kość niezgody, Witołd o tém nie wiedział, a gdy się o tém dowie, nie da wiary takowéj wieści. Z twardéj konieczności i musu nie uczyniłby tego, gdyż wiara w zdradę Zygmunta zadałaby ostatni cios zbolałéj jego ambicyi, upokorzyłaby dumę, kazałaby mu zbliżyć się do Jagiełły, od którego śmiertelnéj doznał obrazy bez skruchy i zadość uczynienia ze strony króla. Ona wydarłaby mu możność zrehabilitowania zjazdu monarchów, możność roli sędziego w sprawach Węgier a Polski i Krzyżaków, co jedynie mogło wynagrodzić szwank na jaki go sprawy łuckie naraziły. Witołd, wnosić należy, odpychał wszelkie czarne myśli i podejrzenia, jakie mu się już nie raz nasuwały o Zygmuncie; myśl zdrady usuwał on jak trapiącą go zmorę. Wszakżeż oszukał go brat własny król Jagiełło, wszakżeż Zygmunt dąży do rehabilitacyi uchwał Łuckich, tysiące szczegółów każe wnosić o jego szczerości, którą sprawdzają fakta—a sami Polacy oskarzają przed księciem swych ziomków o wspólnictwo z kacerzami czeskimi.

Ku komu innemu zwrócił Witołd swe podejrzenia, kogo innego posądzał on o zdradzieckość i postęp. Dorozumiewamy się, że mogli być tymi Krzyżacy, i że plan intrygi tego podejrzenia wymagał. Gdy bowiem posłowie Gedygołd i Rampold powrócili z Łęczycy do księcia, przywożąc znaną nam już odpowiedź królewską, donosili równocześnie i o owych tajemnych układach Jagiełły z komturem toruńskim, o jego niewytłómaczonéni zachowaniu się w obec króla i posłów, co wszystko, dodawszy jeszcze najrozmaitsze pogłoski i oszczerstwa, uwłaczające honorowi księcia, których autorem według powszechnéj wieści miał być właśnie komtur, nie mogło zadowolnić Witołda. Co gorsza, wiadomości te srodze go zmartwiły, o ile że był pewnym na podstawie porozumienia się z mistrzem powziętego w Jurborku, iż zakon nie przystąpi do załatwienia zgody z Polską, bez jego współudziału. Tymczasem sam król Jagiełło donosi mu inaczéj. A cóż dopiero za wrażenie wywrzéć musiały na nim owe ustne zwierzenia się jego posłów o stosunku zakonu do Jagiełły. Możemy się domyślać, że potworne plotki o sławie królowéj i o dzieciach królewskich, przysporzyły nowych zgryzot zbolałemu księciu, że łamały coraz uporczywiéj niezłomny hart duszy i że zawistny los stawiał go w coraz trudniejsze położenie, z którego go nic już uratować nie mogło.

Bezpośrednim skutkiem téj wiadomości było, że Witołd powziął silne podejrzenia co do charakteru mistrza i że pod tym względem począł dawać wiarę Lutkowi z Brzezia, jednemu ze swoich zaufanych sekretarzy, który czując niepokonany wstręt do Krzyżaków, podejrzywał ich o zdradę i z podejrzeniami swymi wcale się nie krył przed w. księciem.

Lutek z Brzezia utrwalał Witołda w prawdopodobieństwie podejrzeń i, czy skutkiem swéj dorady czy co prawdopodobniejsza skutkiem rozkazu ze strony w. księcia, wysłany został do Zygmunta celem oskarżenia zakonu. Skargę tę miał on atoli przedłożyć ustnie, nie jako zażalenie pochodzące od księcia, lecz jako własny domysł, tak żeby osoba księcia w sprawę tę wcale wmieszaną nie była...

Ale względem Jagiełły odczuwał Witołd podwójny żal w sercu, najpierw, gdyż obecnie miał od Zygmunta dowody, że król osobiście nie życzy mu koronacyi, powtóre iż król podejrzywając go uporczywie o zamiar oddzielenia Litwy, rzuca się w ramiona Krzyżaków, że się z nimi godzi, wykluczając od współudziału w. księcia, że niedowierza mu tak dalece, iż pozbawia go dokumentalnie przyrzeczonego mu opiekuństwa nad królewiczami, jakoby stwierdzając tém, że dawał wiarę najpotworniejszym oszczerstwom. Żal księcia, uczucie rozczarowania, zawodów, boleści i upokorzenia mogą osłabić stałość raz już powziętych zamysłów, ale z drugiéj strony mogą zaostrzyć upór, zachęcić do walki i Witołd pozostaje w stanie niebezpiecznéj chwiejności.

Skoro Lutek udał się w podróż do Zygmunta, uznał Witołd za stosowne, udając szczerość i jakoby nie zważając na obiegające plotki, wybadać myśli w. mistrza. Wprawdzie przyséła mu tenże zapewnienie: „jako nigdy niczego z królem polskim nie ułoży bez rady i wiedzy księcia, Witołd jednakowoż, jakby tylko oczekiwał tego listu i jeszcze tego samego (2 sierpnia) wysłał mu z Kiernowa kopię listu królewskiego z Łęczycy, pisanego wraz z listem swych posłów, którego treść dobrze już nam znana. Książę dodawał do przysyłki następującą uwagę. Z kopii załączonych możesz się przekonać zacny panie mistrzu, iż posłowie nasi nie odebrali pomyślnéj odpowiedzi na nasze przedłożenia. Król nawet z powodu słów przez posłów naszych wypowiedzianych powziął złość przeciwko nam. A wy wiecie mistrzu, żeśmy w sprawie dobra waszego zakonu wiele doznali przykrości od króla, żeśmy nadto nie szczędzili dowodów przyjaźni dla was i waszego zakonu, gdzieśmy tylko mogli. Tymczasem pisze nam król jakotéż i posłowie nasi nam donoszą, że wasz komtur naradzał się z królem nad wieloma tajnymi sprawami, że posłuchanie

sam na sam się odbyło w obecności jednego tłómacza. Posłowie piszą nam nawet, że zakon miał się pogodzić we wszystkich spornych kwestyach z królem Jagiełłą. Tuszymy jednakowoż i żywimy silną wiarę, iż wy nie inaczéj uczynicie, jak tylko według naszego układu (w Jurborku), że nie zapomnicie na świadczone wam z naszéj strony dobrodziejstwa, tudzież na waszą objetnicę i słowo. Wysyłamy do was Fochsa. A gdyśmy już mu udzielili instrukcyą, przyszedł posłaniec od was z listem, w którym nas zapewniacie, jako nie uczynicie niczego bez naszéj rady. Miło jest nam usłyszéć to zapewnienie z ust waszych, za co téż wam dziękujemy."

Witołd polecił Fochsowi zapytać się w. mistrza, czy nakazał on komturowi pogodzić się całkowicie z królem, a nadto zbadać czy owe pogłoski o rozmowie komtura są prawdziwe. Wiemy kim był ów Fochs, który całkowicie pozyskał był zaufanie Witołda. Ani ostrożny Witołd ani nawet przebiegły Zygmunt, nieznają istotnego celu traktatów krzyżackich z królem Jagiełłą. Jeden Russdorf wie o tém, że lubo na chwilę ściąga na zakon podejrzenia ze strony Witołda, to z drugiéj strony poprawia interesa zakonu i wzmaga podejrzliwość Szafrańców ku Witołdowi w całéj Koronie. Dopiéro poseł Russdorfa, Redewicz otwiera Zygmuntowi oczy i wskazuje na właściwy cel układów mistrza z królem polskim, a Rusdorf nadto, objaśnia w obszernén liście, że mimo małe nieporozumienia, które obecnie załatwił, ma on tyle jeszcze spraw do załatwienia z królem Jagiełłą, że do mniemanéj zgody nie tak zaraz przyjdzie. Cóż tedy Zygmuntowi mogło szkodzić, że zakon stara się dla swego dobra w mętnéj wodzie ryby łowić? Przestrzega tedy Rusdorfa ażeby nie posuwał się zadaleko w swych negocyacyach z Jagiełłą, tak mianowicie, aby stąd intryga nie doznała szkody. Wobec zaś posła Witołdowego—Lutka, zaręcza, że mistrz niczego tajemniczego nie układał z królem polskim i poleca w tym celu odesłać do Witołda list mistrza do Redewicza pisany. Oczywiste że i mistrz pośpieszył się usprawiedliwić przed Witołdem i że komturowie Christburga i Brandenburga w tym celu do Litwy wysłani dobrze się wywiązali z trudnego zadania. W ślad za Lutkiem wysłał i Zygmunt do Litwy rycerza austryackiego Leonharda z tajemniczym godłem smoka, jako dar dla Witołda.

Dwa poselstwa spieszą równocześnie do Litwy; polskie mające ofiarować księciu polską koronę—Zygmuntowe z *tajemniczym* smokiem, aby go wciągnąć w towarzystwo, którego godłem był tryumfujący nad padalcem krzyż święty, aby go odciąć tém na zawsze od

złego brata. Zanim oni przybędą uwija się mistrz zakonu, wysyła poselstwa do księcia, usprawiedliwia się, skarzy się na swe położenie, uniewinnia konieczność korzystania, mataczy, intryguje.

Książę, jak niedowierzał, tak niedowierza, chociaż znacznie osłabły jego podejrzenia. Dzięki zabiegom komturów z Christburga i Brandenburga, Witołd rad nie rad zezwolił na dalsze traktaty krzyżaków z Jagiełłą bez współdziałania ze swéj strony, domagał się tylko, aby przy dokumencie ugody zawieszoną była i jego pieczęć. Cóż bowiem szkodzić mu mogło, mówią komturowie, jeżeli zakon wytarguje od Jagiełły co sobie życzy—mistrz zapewni księciu warunek co do pieczęci. W obawie o całkowite odosobnienie Litwy, stara się Witołd pozyskać zaufanie mistrza tém zezwoleniem, przyobiecuje mu nawet donieść z czém odprawi posłów polskich, których się około pierwszéj połowy września spodziewał ,,aby mistrz wiedział jak się ma zastosować przy swych traktatach z królem Jagiełłą.“

I w sprawie przedłożonego Zygmuntowi oskarżenia pisał Witołd nadzwyczaj ostrożnie w te słowa: Opowiada nam Lutek, iż gdy go król Zygmunt zapytał, jak stoją sprawy pomiędzy królem Polskim, nami a zakonem, on od siebie a nie z naszego rozkazu opowiedział królowi o owych traktatach królewskich z komturem toruńskim. Donoszę wam o tém, abyście nie powzięli jakiego podejrzenia do nas, gdyby do was król Zygmunt o tém napisał. Stało się to bowiem bez wiedzy i woli naszéj, gdyż my w obec wszystkich oświadczamy, że żyjemy z zakonem w przyjaźni i miłości. Ponieważ zaś Lutek to mówił, musi za pokutę ten oto list pisać. Witołd umiał apelować do honoru Krzyżaków i widocznie znał ich o nim pojęcia.

Jakby za czasów najlepszéj z zakonem przyjaźni, donosi mistrzowi o pomyślnych wieściach z Litwy a mianowicie, iż przyjmował niedawno poselstwo od hana Mehmeta, donoszące mu o podbiciu carstwa Tatarskiego i o opanowaniu Złotéj Ordy. Przysyłał mistrzowi całą pakę listów Zygmunta w kopiach, wymawiając się, że radby je posłał w oryginałach, ale zatrzymywał je do użytku w obec posłów polskich, których się lada dzień spodziewał. Z otwartością bez granic spowiada się Witołd, jakby i dawniéj, z bólu jakiego doznaje, przekonywując się o nieszczerości królewskiéj. On stara się tém podbić nieszczerość mistrza, przykuć go do siebie i nie trudno dojrzéć starannie ukrywanéj obawy, że zakon mógłby się pojednać z królem Jagiełłą, a natenczas on pozostałby w odosobnieniu, upokorzenie tém głębsze a stanowisko jego wtedy nie do rozwiązania trudne i przykre. Do tego nie dopuszczę, postanawia Witołd, i zwraca uwagę wtajemniczonego w boleść swą mistrza na cedułę króla

Zygmunta zawierającą legacyą Nespora. Ten Nespor, jak sobie przypominamy, upraszał Zygmunta sekretnie ze strony Jagiełły by nie koronował księcia. „Król Jagiełło dziś się jeszcze usprawiedliwia,— dodaje książę—że podkanclerzy z własnéj inicyatywy i bez rozkazu królewskiego napisał instrukcyą dla posła. Obecnie możesz się przekonać mistrzu w czém jest prawda. Nadto należy podkanclerzy do najwyższéj rady królewskiéj, gdyby był inaczéj zrobił aniżeli mu to nakazano, dlaczegoż dotychczas nie został ukarany? A że król sam nakazał Nesporowi tę legacyą powtórzyć, dowodzi załączona cedula. Z powodu téj hańby, która mnie ponownie spotyka, mniemam, że bardzo łatwo być może, iż z posłami polskimi, których się lada dzień spodziewam, nie dojdę do ładu. Byłoby tedy stosownėm, ażebyście i wy, przy mającym nastąpić zjeździe z pełnomocnikami polskimi, trwali przy tém uporczywie, jakeśmy się o to ugodzili z waszymi, posłami, a mianowicie aby przy nowym dokumencie pokoju zawieszone były nasze i naszych bojarów pieczęcie.

Oleśnicki i Tarnowski stanęli na św. Michał w Grodnie. Mając opowiedziéć odprawę posłów polskich, jak ją czytamy w Długoszu, wypada nam zaznaczyć, że instrukcya, którą z sobą przywozili, kwalifikowała się zanadto może do krasomóstwa, w treści zaś była zbyt jałową, ażeby Witołd mógł uznać przedłożenia posłów za dostateczną skruchę i zadośćuczynienie ze strony króla. Gdy atoli posłom polecono, aby księcia pragnącego królewskiéj godności nowym rodzajem namowy *usiłowali odwieść od zamiaru*, a pokorném i pełném miłości przedstawieniem warunków, pojednali go z królem i królewstwem, to przyznać należy że czynili oni według możności, aby się jak najlepiéj wywiązać z trudnego zadania. Biskup krakowski, szanowany przez Witołda mąż, miał tu aż nadto sposobności do okazania swego krasomówczego talentu, z którego miał wielce słynąć.

Gdy atoli biskup w oratorskim swym zapale począł mówić Witołdowi o jego zbyt gorącém pragnieniu korony, o dążeniu do tego zaszczytu na wszelkie sposoby, gdy mu począł wyrzucać, że nalega w téj sprawie na zdradzieckiego króla Zygmunta, aby mu przysłał koronę, a zachwalać zbawienną i roztropną radę króla Jagiełły, który ze względu aby książę nie potargał związków wzajemnéj miłości, ofiaruje mu własną koronę — w obec tych i tym podobnych argumentów nie mógł się wielce zbudować Witołd. On żądał od króla skruchy za winę, zadośćuczynienia za obrazę i wyrządzone krzywdy, a posłowie królewscy wymawiają mu niesprawiedliwą żądzę królowania. On chciał usłyszéć usprawiedliwienia od króla, który przez swą politykę wyrządzał krzywdę Zygmuntowi, łamiąc dawne traktaty,

posłowie czynią zarzut Zygmuntowi, że pragnie potargać związki unii pomiędzy Polską i Litwą.

A więc, aby nie dopuścić do rozerwania związków unii, ustępuje król Witołdowi korony i stolicy. Prawda—dodają posłowie—ze względu, że król już stary, niezdolny do panowania, Witołd zaś silniejszy i czerstwiejszy a Polacy nie wątpią, że będzie lepiéj sprawować rządy tak w królestwie jako i w księstwie aniżeli Jagiełło, aniżeli król własny, który przez pół prawie wieku siedział na stolicy Piastów i dźwignął królestwo do znaczenia jednego z najznakomitszych państw Europy! Czyż, gdyby Witołd chociaż pomyślał o téj koronie, nie aprobowałby tém samém podejrzeń, które nań niesłusznie spadały.

Nie wątpimy, że posłowie starali się pochlebstwem ująć księcia, że usiłowali podbić i wzruszyć go propozycyą, o któréj skutkach tak byli pewni, że jak im to nakazano, zagrozili zemstą królewską Witołdowi, gdyby wzgardziwszy radami jego nie chciał odstąpić od swego zamiaru. Książę wysłuchał cierpliwie filipiki i wcale się nie dziwimy, że nie wywarła na nim należytego wrażenia, chociaż nie wierzymy Długoszowi, że powodem do tego była niepomierna żądza korony, chociaż krok obecny Jagiełły z całą otwartością i szczerością w stosowniejszéj porze uczyniony, jak np. wnet po owym zjeździe Łuckim, byłby nieodzownie zakończył sprawę koronacyjną. Obecnie zaś w odpowiedzi, kazał książę nasamprzód odczytać posłom owe listy Zygmunta, wykazujące jak dotkliwie obrażał go król Jagiełło, udowadniające ciągłego stosunku Polaków z husytami, porwania węzłów wspólnych traktatów ze strony króla Polskiego. Okazał i ową cedułę, w któréj *życzliwy mu* król Jagiełło hańbi go przed królem Zygmuntem i z największą nieszczerością w obec księcia, słowem stwierdzał i udowadniał cały szereg win królewskich, na które król nawet nie odpowiadał, a które są powodem, że książę widzi się zmuszonym przyjąć ofiarowaną mu przez króla Zygmunta koronę. Na koronacyą tę otrzymał Witołd od króla zezwolenie, które król cofnął wtedy, gdy książę ani myślał o koronacyi. Obecnie książę nie może się cofać bez narażenia się na wstyd i hańbę, zamiar bowiem był już powszechnie rozgłoszony. Co się tyczy ofiarowanéj mu korony polskiéj, odparł książę: że gdyby ją przyjął, wszyscy mogliby mu wyrzucać niewczesną dumę, że dla osiągnięcia królewskiéj godności, z krzywdą brata, zdarł mu niemal z głowy koronę, aby nią własne skronie przyozdobić.

Położenie posłów nie mogło być przyjemném skutkiem téj odpowiedzi. Niewtajemniczeni w intrygę, któréj się zaledwie domyślali, nie posiadali oni możności dania księciu zadawalniających objaśnień na silne zarzuty, uczynione królowi.

Pobyt atoli posłów w pośród murów Grodna, nastręcza badaczowi sposobność do poznania ciekawego i wiele mówiącego rysu charakteru Witolda, ażeby go miał zbyć milczeniem. Nie uderza nas bowiem, gdy znany z gościnności książę przez pięć dni podejmuje posłów w Grodnie, nie może atoli nie zastanowić, gdy się dowiadujemy, że książę, poznawszy w Oleśnickim nieubłaganego przeciwnika koronacyi, wywarł na nim pewien rodzaj, znanéj nam już z innego przykładu zemsty, który Długosz obelgą nazywa. Oto Witołd, według relacyi naszego historyka, miał obdarować kolegę księdza biskupa, którym był Tarnowski, 100 grzywnami w srebrze i to nie w celu przymilenia się posłowi, jak raczéj dlatego, aby okazać złość i wzgardę dla biskupa. Przypominamy w tém miejscu, że równocześnie mieli posłowie zakonni oświadczyć podkanclerzemu iż mistrz zakonu żyje w przyjaźni z Witołdem. Czy atoli idąc za Długoszem, mamy poczytać za zasługę biskupowi, gdy on zniósł tę obelgę z uśmiechem i obojętnością—to wielkie pytanie? W każdym wypadku przykład, jaki obecnie widział na osobie księcia, którego uważał jako *namiętnie pożądliwego korony*, nie zbudował wcale Oleśnickiego, gdy i jego *stalowy charakter* los zmienny a dziwny wystawiał na podobnąż próbę, gdyż na *żądzę kardynalskiego kapelusza*. Dziwna ironia losu! Obaj bezprzecznie wielcy mężowie w jednakowém, a może tylko podobném położeniu, pod jednym względem urażonéj ambicyi. Piękny temat do porównań, któreby mogły wypaść na niekorzyść *stalowego hartu duszy*, i jeden dowód więcéj, że współczesna historya nie jest mistrzynią życia dla współczesnych mężów historycznych.

Odmówna odpowiedź Witołda nie wywarła na posłach tak złego wrażenia, jak solidaryzowanie się księcia z Zygmuntem, oni go bowiem uważali za sprawcę złego, a Witołd uporczywie bronił od zarzutów niepopartych dowodami. Co gorsza, Witołd, który, jak wspomniano, miał mnóstwo dowodów celem wykazania nieszczerości w postępowaniu Jagiełły w obec Zygmunta, oświadczył posłom, iż jest on rękojemcą traktatu z roku 1423, i że z tego powodu interesa jego i Zygmunta są nierozłączone. Dlaczego też upierał się przy tém, aby Jagiełło szczerze i zupełnie pogodził się z Zygmuntem. W tym celu zgodził się książę z posłami na zjazd z królem w Hrubieszowie na granicy Litewskiéj. Tak król jako i książę mieli stanąć na terminie wraz z senatorami obu narodów. Oznaczono go na tydzień po św. Marcinie. Obustronne krzywdy i zażalenia, tak ze strony Witołda, jakotéż i Zygmunta, mieli senatorowie przedyskutować, rozważyć i jeśliby się udało, dobrze zakończyć.

Było to dla Witołda ostatnią nadzieją, że w ten sposób i sprawa jego koronacyi załatwi się bez sromoty, któréj ciężar dostatecznie odczuwał. Posłowie przeciwnie, jeszcze bardziéj utwierdzali się w mniemaniu, że Witołd działa w zmowie z Zygmuntem, i że względem króla Jagiełły był prostym niewdzięcznikiem.

Chaotyczność ich mniemań jeszcze bardziéj się zwiększyła, gdy książę różnemi sposoby nakłaniał ich, aby król zezwolenie swe powtórzył i odprowadzał ich na odchodném aż do Wołkowyska. Tu bowiem książe jeszcze raz powtórzył swą odpowiedź, odmawiając przyjęcia polskiéj korony i oświadczając, że nie będzie nalegał na króla Zygmunta o przysłanie korony, lecz jeżeli mu ją przyśle, przyjęcia jéj nie odmówi. Poczém prosił posłów, aby król Jagiełło do przeznaczonéj mu godności nie tamował drogi albo przebaczył mogącą go spotkać z jego strony obrazę, gdyby stawił przeszkody w osiągnięciu korony. Zapewniał przytém, że cześć i sławę króla miał zawsze na względzie i że nie myślał o zawichrzeniu wojną królestwa polskiego, ale owszém pragnął wszelkie od niego oddalić burze, innémi słowy, że koronacyą nie uważa w duchu oddzielenia Litwy.

W Wołkowysku posłowie polscy byli świadkami jeszcze jednéj sceny, na którą nie bez wrażenia patrzali. Oto w tém miejscu przyjął Witołd posła Zygmuntowego Leonharda, który wiózł mu w darze order „smoka“, godło towarzystwa założonego przez Karola IV, a opisanego pewnemi ścisłemi ustawami. Głową towarzystwa był król Rzymski a ustawy zobowiązywały każdego właściciela ozdobionego „smokiem“ nieopuszczać go tak w szczęściu jakotéż w nieszczęściu, co téż król obowiązywał się czynić względem członków towarzystwa. Zachowanie ustaw winni byli członkowie stwierdzić przysięgą. Dekoracya smoka, mającego krzyż na swym grzbiecie, oznaczała złość zwyciężoną przez krzyż święty, i tę to doręczono Witołdowi w obecności posłów polskich z zaproszeniem księcia do zacnego związku. Ponieważ poselstwo miało się odbyć tajnie a Witołd uroczyście przyjął posła i publicznie kazał wygłosić treść instrukcyi, uniknął tém samém wielu oszczerstw, jakichby na ten temat nieomieszkali byli rozsiewać tajemni intryganci Zygmuntowéj kabały. Książę przyjął dar Zygmunta w taki sposób, że żadną miarą niemógł tém zadowolnić szczodrobliwego dawcy. Odrzekł bowiem: „że nie przyjmuje daru za zobowiązanie się do braterstwa i związku, lecz tylko za upominek i zaszczyt osobisty, aby nie zdawał się niweczyć przysięgi wykonanéj królowi Jagielle inną przysięgą.“

Leonhard niedał się zbić z toru ową odpowiedzią i rozumiejąc, że Witołd przyjmuje dar Zygmunta, wyrzekł w obecności posłów polskich, iż zjazd przyszły pełnomocników Zygmunta i Jagiełły nie

mógłby się odbyć bez współudziału posłów w. księcia. Oczywista, że oświadczenie to poprzednio był zakomunikował królowi Jagielle w przejeździe przez Polskę, czém nie pomału mógł zaambarasować króla i kancelaryą. Zygmunt umiał korzystać z rozbolałéj ambicyi księcia i jakby przewidywał, że książę wzywając króla Jagiełłę do uczynienia z nim zgody, wyrzecze w obec posłów polskich, iż interesa książęce są nierozłącznemi ze sprawami króla Zygmunta." W obec tego orzeczenia, niepotrzebna było i smoka, aby sprawa wydała się w Polsce bardzo podejrzana, szczególniéj gdy tam patrzano przez szkła Szafrańców.

Taką była odprawa poselstw dwu monarchów, pragnącego zgody Jagiełły i przeszkadzającego tejże Zygmunta.

(*dok. nast*).

Dr. Antoni Prochaska.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ TRZECIA.

III.

— Stało się—rzekł dżentelmen gdyśmy wyszli—wahałem się, nie śmiałem się zdecydować, ten łotr Dżorż zmusił mnie. No i jestem kandydatem.

— Cieszę się serdecznie—odrzekłem—gdyż pierwszy krok najtrudniejszy, postawiliśmy szczęśliwie, reszta pójdzie łatwo, a jeśli nie zwyciężymy dziś, to zwyciężymy jutro.

— Musimy zwyciężyć dziś — zdecydował dżentlemen — albo upaść nazawsze, to mój system; dlatego sir ponieważ się już zaczęła agitacya, musimy natychmiast ułożyć cały projekt naszego postępowania i walki. Nieprzyjaciel nie śpi. Widziałeś tego wypasionego na kartoflach rzeźnika?

— Widziałem.

— I pewno nie wątpisz, że jest najemnikiem strony przeciwnéj i że ma spryt.

— I zręczność — dodałem.

— A może ich być dziesięciu!

Dżorż wraz z Nele dobiegają do nas. Nele zatrzymuje się o parę kroków; Dżorż zbliża się pospiesznie.

— Sir—mówi zdyszany chłopak—handlarz baranami chce wystąpić w naszéj sprawie jako *speaker*, zostać członkiem komitetu wyborczego—a w razie potrzeby i bokserem, za trzy funty dziennie, a w razie zwycięstwa sto funtów gratyfikacyi.

— Bierz go natychmiast — przerywa dżentelmen — ma spryt i dobrze mu z oczu patrzy.

— A jaką ma pięść! Na sam widok mrowie przechodzi.

— Zostaw swoję małą, bierz omnibus i wracaj do domu, herbata i narada!—rozkazuje kandydat.

Dżorż poskoczył do małéj i oboje zniknęli na zakręcie ulicy.

Wracamy do siebie. Dżentlemen uspokoił się w obec rozpoczętéj akcyi; z chwilą walki znikła niepewność, wróciła energia i swoboda umysłu.

Dżorż już czekał na nas.

— Pierwszą a niezbędną rzeczą w całéj téj sprawie—rzekłem—jest ogłoszenie jawne i głośne twéj kandydatury, przez pewien przedwyborczy komitet postawiony *ad hoc*.

— Najlepiéj jak się sir sam postawi w Middlesex—rzekł Dżorż—tam lubią tych, którzy się sami stawiają, bez żadnych protekcyj i wielkich zachodów.

— Tak, tak—rzekł dżentlemen—wystąpię sam, to jest postaramy się o własny komitet, należy tylko napisać odezwę do wyborców i swój program polityczny postawić. Sir wiesz, że ja uczony nie jestem, czyli nigdy nie miałem wielkiego nabożeństwa do książek a tém mniéj do pióra. Pisać to nie moja rzecz.

— I nie moja—rzekł z powagą Dżorż.

— A ty bydlę, alboż ty umiesz pisać!—krzyknął dżentlemen.

— Troszkę sir, Dżorż umie się podpisać, a nawet czasem i list pisze.

— Odezwę ja biorę na siebie—odpowiadam—lecz punkta programu musisz podyktować.

— Obrobimy razem—mówi dżentlemen.

— Obrobimy razem—powtarza Dżorż.

— Widzisz sir to zuchwalstwo angielskie—zawołał dżentlemen pokazując na Dżorża.

— W takich razach niczém się nie gardzi—odrzekłem—i Dżorż może dorzucić coś bardzo użytecznego; zna on swoich.

— To prawda, nie gardź sir polityką Dżorża—mówił rezolutnie chłopiec—bo polityka Dżorża może być polityką wyborców z Middlesex.

— Odezwę, którą sir napiszesz wraz z programem, odbijemy w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy — zaczął poważnie dżentlemen.

— Najprzód — odparłem — należy ją umieścić w jednym lub dwóch dziennikach i te zręcznym sposobem porozdawać wyborcom; a co do samego odbicia odezwy, nigdy nie jestem zdania aby odbijać zbyt wielką ilość. Pamiętaj sir, że książka, druk, mowa, odezwa, tak samo jak produkt, choćby najlepszy, gdy się znajduje zbyt obficie traci wartość, powab, słowem przesyca. Zgadzam się więc na tyle,

tylko egzemplarzy, ile niezbędnie potrzeba. Wy Anglicy podobnie jak Jankiesy przesadzacie w reklamach.

— Jak Jankiesy?—powtórzył gorzko dżentlemen.

— Tak sir, jak Jankiesy—odpowiedział za mnie Dżorż.

— Tylko ty milcz—krzyknął do Dżorża. — Nie mogę przystać na mniéj jak na 30.000 egzemplarzy.

— Zgoda, lecz je umiarkowanie rozrzucać.

— A wszystkie oddrukować w Middlesex przynajmniéj w czterech, lub sześciu drukarniach, tym sposobem będziemy mieli większą część drukarzy za sobą—zadecydował Dżorż.

— Dobrze Dżorż, ile razy jesteś rozsądny, zawsze pozyskasz moje uznanie. Drukarnie drukują nasze odezwy, a *Canvassery* (1) zdobywają nam zwolenników. Lecz zkąd wziąć kenvasserów?

— Jednego już mamy—przerwał Dżorż—sprytny to człowiek, pije jak beczka, boksuje się jak marynarz.

— Cóż znaczy jeden, nie można go samego zostawić—mówił dżentlemen. — Tu idzie o kramarzy, kupców, właścicieli domów, fabrykantów, a między nimi są religijni, anglikanie, prezbiteryanie, wolnomyślni zagorzalcy, bezwyznaniowcy i t. d. Głowa mi trzeszczy i zaczynam się bać. Cóż sir myślisz o Trutlu?

— Zdaje mi się, że ta śmieszna, milcząca figura, mogłaby nam tylko odstraszyć zwolenników.

— Przeciwnie sir, może nam ich przysporzyć, język rozwiążemy mu funtem, a czarne jego pończochy mogą silne zrobić wrażenie na kwakrach, lub purytanach, ma on minę w połowie ministra, a w połowie świeckiego kaznodziei.

— Jeżeli potrzeba ministra, mam jednego znajomego właśnie Jankiesa, jest on z rodzaju podróżujących misyonarzy, bardzo gorliwy metodysta, może jednak na chwilę w razie potrzeby odstąpić od swéj metody. Mówią złośliwi anabaptyści, że troszeczkę, zwykle wieczorem, ze zbytku żarliwości, traci przytomność i dlatego niezbyt szczególnego powodzenia doznają jego misye.

— Czy znany jest w Middlesex?—zapytał dżentlemen.

— Nie sądzę; rano zwiedza szpitale i tam prawi kazania, dostaje za to dwa lub trzy szylingi i powraca do Hamersmith gasić żarliwość.

— Wyborny! — przerwał kandydat — będzie na rano, wieczór wyprawimy go do Hamersmith. A zatém mamy już trzech—do

---

(1) Canvasser oznacza zdobywającego zwolenników i ich wota dla swego kandydata.

Trutla piszemy dziś, a na upolowanie ministra, jutro rano wyjeżdża Dżorż. Lecz więcéj zkąd ich wziąć, radźcie.

— Sir, jedni drugich zarekomendują—zakonkludował Dżorż.

— Dżorż masz racyą, a zatém w dalszym ciągu, jutro wynajmujemy hallę na zebrania i mowy. Wiesz sir, serce mi bije, gdy sobie wspomnę o mojém pierwszém wystąpieniu.

— Niechaj tylko będzie tak szczęśliwe, jak dzisiaj, lepszego nie potrzeba—pocieszam dżentlemena.—Zkąd sir wziąłeś wyborny projekt poruszenia kwestyi tak doniosłéj, jak ceny mięsa? — zapytałem.

— Wczoraj przedstawiono mi zamiar sprowadzenia żywych wołów z pastwisk La Plata, cena wołu na miejscu siedm funtów przewóz cztery—suma jedenaście, gdy dziś na targu średni wół kosztuje trzydzieści funtów.

— Przyjąłeś propozycyą?

— Natychmiast.

— Wszystkich jednak rzeźników będziemy mieli przeciwko sobie.

— Mniejsza o nich—wtrącił Dżorż—byleśmy pozyskali wszystkich szynkarzy.

— Otóż to jest dziś najtrudniéj—zauważył dżentlemen—będąc whigiem czyli liberalnym kandydatem, pozyskać szynkarzy! A jednak oni potęgę opinii trzymają w swych rękach.

— A toż dlaczego whigom trudno zdobyć szynkarskie serca?—pytałem zdziwiony.

— Jedynie dlatego, że Gladstone urwał im dwie godziny w niedzielę. Dawniéj otwierali od piątéj po południu do dwunastéj w nocy, a teraz zaledwo wolno im, od szóstéj do jedenastéj. Przyszły wybory i whigi z Gladstonem przepadli, torysi bowiem obiecywali rehabilitacyą godzin, wszyscy szynkarze stanęli po ich stronie, no i w rezultacie torysi wygrali. Szynkarze w Anglii to potęga, z którą się trzeba rachować.

— Szynkarzy w Middlesex nie można lekceważyć—mówił Dżorż.

— Dżorż znajdź na to radę a dostaniesz funta.

— Czy koniecznie trzeba być whigiem sir, można dla szynkarzy raz zostać torysem.

— No widzisz sir, jakie to zwierzę—krzyknął dżentlemen—on myśli, że w Anglii można być raz torysem a drugi raz whigiem. Jemu zdaje się to nic, gdy przecież my nie rozumiemy tego, jak można przechodzić z obozu do obozu. To tylko Gladstonowi i Disraelemu udała się podobna zamiana ról.

— Lecz można szynkarzom zapowiedziéć, że w imię wolności będziemy się starali usunąć prześladowanie, jakiego dziś doznają—odezwałem się po adwokacku.

— Wybornie, to się podoba wszystkim — zawołał uradowany gospodarz—a rozbroi niechętnych. Nie trzeba jednak sir tego pisać, o tem się powie i da instrukcyą kenwaserom. Daléj, daléj.

— Teraz ty Dżorż mów.

— Dwadzieścia dorożek biorę na siebie.

— Mało.

— Poszukamy więcéj.

— Sto z tablicami na przodzie i plecach, z naklejanemi ogłoszeniami, trzy partye po trzydziestu trzech, każda osobno, będą przeciągać po ulicach.

— A jakbym wynajął trzydziestu osłów—rzekł Dżorż—prowadzonych przez gromów z zawieszonemi tablicami.

Dżentlemen zrywa się, aby Dżorża uczęstować boksem, ale zatrzymuje się w połowie drogi i uderza się nagle palcem po głowie, mówiąc:

— Wyborna idea! Osłów, jak osłów, ale trzydzieści *pony* (1), które wynajmiemy od sałaciarzy i tym sposobem pozyskamy ich sobie; każdy konik będzie dźwigać po dwie wielkie tablice z mojém nazwiskiem. Te trzydzieści pony w dniu wyborów będą spacerować prowadzone przez giermków tam i napowrót przez ulicę, na któréj znajduje się urząd gminny.

— Zapomniałeś sir o minstrelach czarnych—rzecze Dżorż.

— Nie zapomniałem, minstrelom okleją się kapelusze afiszami.

— A gdyby im ułożyć piosnkę na cześć twoją sir, zachwalającą cię jako kandydata.

Dżentlemen spojrzał na mnie miłosiernie.

— Będę próbował ułożyć, tylko nie wiem, czy mi się uda— odpowiadam.

— Spróbuj tylko sir, a ufam, że ci się uda — odezwał się prosząco kandydat.

— A zatém mamy już wszystko! — zawołał wesoło Dżorż.

— Nie — jeszcze nie wszystko. Trzeba stworzyć przeciwnika, któryby walczył z nami a został zwyciężony, upokorzył się i złożył broń publicznie u naszych nóg.

— Wybornie, wybornie! — zawołałem — to prawdziwie dyplomatycznie!

— Tak samo sir jak podczas licytacyi naszych towarów, sami dajemy wadyum przyjaciołom, aby pędzili w górę wartość produktów, tworząc sztuczną konkurencyą. Znasz sir wyrażenie Pitta o opozycyi.

---

(1) Pony, małe koniki szkockie.

— „Gdyby jéj nie było,“ lecz gdy ona zdaje się będzie dość silną—robię uwagę.

— Zawsze ta która przed naszą siłą upadnie, tylko nas podnieść może,—odpowiada z powagą gospodarz.

Na tém skończyła się sesya przedwyborcza.

IV.

Nazajutrz pierwszy stawił się Trutle, w swym wytartym fraku, w czarnych pończochach i sterczących kołnierzykach. Kapelusz i parasol kompletowały strój poważnego i milczącego dżentlemena.

Pan Trutle, spokojny, z zamkniętemi szczelnie ustami, po przywitaniu, umieścił się koło kominka stojąc nieporuszony.

Kochany Trutle—rzekł dżentlemen—chcesz zarobić dziennie dziesięć szylingów?

— *All right sir*, odpowiada krótko zapytany.

— Przedewszystkiem trzeba usta otworzyć i języczek rozwiązać.

— I to się znajdzie sir za 10 szylingów dziennie.

— Pełniłeś kiedykolwiek obowiązki kenvessera?

— Już dwa razy, sir.

— Znasz więc tego rodzaju rolę?

— Wybornie—przekładam tylko ugodę od sztuki nad kontrakt na dnie.

— Nie można, *my dear*—rzekł dobrotliwie dżentelmen—nie podobna znaleść sposobu do ścisłéj kontroli, ztąd mogą być nieporozumienia i zawikłania.

— A zatém zgoda na dziesięć szylingów dziennie, zapytał chłodno Trutle otwierając paszczę i mrugając oczami.

— I gratyfikacya, jeżeli praca uwieńczona zostanie skutkiem.

— Wierzaj sir, Trutle nie psuje sobie gęby tam, gdzie nie potrzeba, spojrzyj na niego, figura nędzna, a jednak ten mały Trutle ma oko i nos,—może być kwakrem, purytańskim presbiteryaninem, nieprzyjacielem wolnego handlu i wojny—przeciwnikiem handlowych *societies robotników*, może mówić za zmniejszeniem podatków, obniżeniem cła, sprzedażą kolonij—o oszczędnościach, o biblii; stosownie jak, z kim i do kogo.

— Wybornie kochany Trutle—przeczuwalem w tobie talent do tego rodzaju czynności.

Trutle otwiera swoję paszczę na dowód uśmiechu, i powoli ją zamyka.

— Możeby jeszcze Trutla stać było i na coś lepszego—odzywa się skromnie ze spuszczonemi oczyma przyszły kenvasser.

— Nie wątpimy—odezwaliśmy się, chcąc utrwalić dobre przekonanie o sobie naszego urzędnika.

— Masz już sir odezwę do wyborców, swój program i chociaż jednę nową kwestyą gotową do rozciekawienia wyborców? zapytuje Trutle.

— Jeszcze nie, ale to wszystko będzie w swoim czasie, i gdy będziemy potrzebowali pomocy Trutla, zawezwiemy go. Tymczasem funt na zadatek, którego nie wliczamy do rachunku.

Trutle bierze kapelusz i parasol.

— Trutle, jeszcze jedna uwaga—odezwał się dżentelmen, czy zamiast cylindra w dniach propagandy, nie byłby ci więcéj do twarzy duży okrągły, czarny kapelusz?

— Rozumiem cię sir, dobre to ale nie w okręgu Middlesex. Kwakrów i wszystkich w tym rodzaju odcieni, nie lubią tam. Między kramarzami w tych stronach możesz znaleść sir zaledwo tysiąc prezbiteryanów; w ogólności coraz mniéj w Londynie żarliwych.

— A ty sir do jakich siebie zaliczasz?—zrobiłem uwagę.

— Stosownie do interesu, jak interes każe—człowiek wszystko z siebie zrobi.

— I bardzo sprawiedliwie dodaję z uśmiechem. Trutle kłania się i oświadcza, że czeka rozkazów szanownych dżentlemenów, kłania się jeszcze raz i wychodzi.

Wyglądamy oknem, ciesząc się widokiem, chociaż drobnéj a jednak w swoim rodzaju wspaniałéj postaci o spiczastych rysach i zmarszczonych brwiach, przyszłego kenvassera. Jego długi frak ze stojącym kołnierzem, szeroko zawiązana chustka z wystającemi w górę kołnierzykami i cienkie czarne nogi z długiemi stopami, czyniłyby tę postać arcy-śmieszną, gdyby nie imponująca powaga, która zmusza przechodniów do ustępowania mu z drogi.

Nie długo Trutle cieszy nas swoim widokiem, pierwszy napotkany *publikhaus* nęci go; zwalnia kroku, chwieje się i jakby jakąś nadprzyrodzoną siłą pchany, wstępuje, atoli po upływie minuty wychodzi.

— Trutle już wyszedł—zauważyłem.

— Aby wstąpić do drugiego. To pewna, że nie opuści ani jednego na całéj linii swéj drogi. Niemiec zwykle siedzi w jednem miejscu pijąc, póki może; Anglik zaś gdy pije, zmienia nieustannie miejsca, ciągle jest w podróży, od jednego publikhazu do drugiego

i dla tego tak dużo spotyka się u nas pijanych na ulicach—tłómaczył mi przyszły członek parlamentu.

— Sir jeszcze dwie najważniejsze kwestye,. zadał mi nagle pytanie dżentelmen. Jakie ogłosić obwieszczenie na plakatach i tablicach i jeszcze jedna, ale ta na późniéj.

— Co do ogłoszenia odpowiadam—zdaje się najlepiéj napisać jak zwykle: Kandydat liberalny ten i ten...

— A właśnie chciałbym coś odmiennego, oryginalnego i pełnego efektu. Pracowałem dziś w nocy, nad rozwiązaniem tego zadania. Od dawna nie pracowałem w nocy, sprawa publiczna znosi granice poświęcania! Pracowałem i napisałem.

— Słucham—rzekłem robiąc minę poważną.

— Dla pierwszéj partyi trzydziestu,—tablice oblepione czerwonym kolorem, białe litery. Dżentelmen wyjmuje kartkę papieru i czyta:

„Wyborcy, jeżeli chcecie jeść dobre mięso za połowę dzisiejszych cen, oddajcie swoje głosy kandydatowi liberalnemu..." Druga partya kolor żółty, czarne litery. „Wyborcy, czy między wami znajdzie się choć jeden tak twardéj głowy, aby miał odwagę, dać głos memu przeciwnikowi? Nie wierzę! Kandydat liberalny—na dole mój podpis." Trzecia partya biały papier zielone litery: „Nikt tylko kandydat liberalny!

Dżentelmen spojrzał się na mnie, śledząc bacznie, jakie wrażenie zrobiła jego ciężka, całonocna praca.

— Dobrze, wybornie zawołałem — dwa pierwsze plakaty nie powinny wychodzić z małych i wązkich uliczek, ostatnią wprowadzić na skwery, roady i główne przejścia.

— Jeszcze jedna okoliczność bardzo ważna i niesłychanie drażliwa—przerywa dżentelmen nieco zażenowany.

— Mów sir tak śmiało i otwarcie jak wierzysz w moję życzliwość.

— Jest tutaj zwyczaj, że przed wyborami, podczas wyborów i po wyborach, kandydat objeżdża w powozie swoich wyborców. Parę lat temu w Greenwich kandydował Gladstone. Pamiętam w wilię wyborów przejeżdżał się z żoną i córkami po ulicach miasta, przemawiał z wozu, żona i dzieci uśmiechały się, kłaniały, rozmawiały z kobietami. Nareszcie Gladstone wszedł na przewrócony stary wagon i z niego miał wyborną speech. Do ściany wagonu przystawiono drabinkę i po niéj weszła pani Gladstone, a za nią córki. Widok był rozrzewniający, zapał ogólny, mówiła i pani kanclerzowa, a wtedy córki powiewały chustkami. No i domyślasz się sir moich zamiarów.

— Zaczynam powoli.

— Nie chcę sam wystąpić, kawaler nie ma ani powagi ani znaczenia!... Wyobraź sobie, jedziemy, przy moim boku ona, ta wdówka, córka jéj na przodzie taka śliczna mis, a ty sir obok niéj. Przemawiam, i o czém ja mówię? Prezentuję ludowi moję narzeczoną, moją przyszłą pasierbicę i jéj męża. To będzie wspaniałe i zwycięstwo najpewniejsze.

— Więc i ja mam się koniecznie żenić z małą dla twojego zwycięstwa sir?

— Cóż ci to szkodzi, mała ładne, przyjemne i dobre dziecko. Widocznie dżentelmen chciał mnie przekonać i namówić.

— Zapominasz sir że jestem Polakiem. Może i ja mam we własnym kraju taką swoję małą, która ma również niebieskie oczy i złote włosy.

— W takim razie postać rzeczy się zmienia, ale towarzyszyć mi musisz.

Wchodzi Dżorż wprowadzając ministra i handlarza baranami.

— Sir oto dwóch kandydatów na kenvasserów. Szanowny minister i znany ludowy speaker mieszkaniec dzielnicy wyborczéj.

Malancholijny minister poprawia chustkę na szyi robiąc ją wolniejszą, podciąga rękawy surduta i zaczyna bardzo poważnie, chociaż nie bez pewnéj swobody:

— Dżentelmen—(tu kłania się lekko), nie przychodzę, aby się popisywać wymową, nie przychodzę aby rozrzewniać płaczliwym tonem mego głosu, bawić was frazesami, składać dowody swéj erudycyi przytaczaniem ciekawych faktów, lecz przychodzę, aby was przekonać. Przekonanie zawsze lepsze od wiary, bo ono dopiéro gruntuje niewzruszoną wiarę. Wiara wasza niech płynie z przekonania,— a przekonanie z rozumu, rozum niech się opiéra na doświadczeniu, a doświadczenie, aby było rzetelne i prawdziwe, powinno być długie i wytrawne.

Tu mówca odetchnął i tak ciągnął daléj:

— Dżentelmen! Co tam rozum chowany pod czaszkami łysych głów, w starych szpargałach i bibliotekach, któremi szczury się tuczą—nam potrzeba praktycznéj znajomości stosunków ludzkich, nam potrzeba ludzi którzy własną pracą zdobyli sobie stanowisko i uznanie w świecie, nam potrzeba ludzi, którzy umieli być biedni, i pracować tak, jak dziś potrafią być bogatymi, na korzyść społeczeństwa i kraju.

Dżentelmen! Oto jest kandydat, który zna życie, zna wasze potrzeby, rozumie wasze niedostatki, posiada dosyć siły, aby was

bronić przed chciwością łakomych! (tu mówca bije pięścią w stół) nie da was obdzierać, raczéj ostrzegać potrafi przed niebezpieczeństwem. Doświadczenie jego jest znane, zatém rady muszą być cenione. Nie wychował się w pałacach, ale w ubogim domku, jak wy i wasze dzieci, pracował z wami—uczył się od was bawił się jak prawdziwy John-Bull. Ma pieniądze, bo ma rozum, i wy je będziecie mieć, jeżeli będziecie pracować, jak on. Teraz jest bogatym a wy dorabiacie się, pracujcie więc, a on będzie za was ale i dla was radził i pilnował waszych interesów, czyli będzie waszym stróżem i waszym obrońcą.

Minister rozwiązuje chustkę u szyi, ściąga ją i rzuca na stół.

— Dosyć, czy jeszcze?—pyta się obojętnie.

— *Stop*—zawołał dżentelmen.

Minister amerykański zamilkł i cofnął się dumny jak po odegranéj roli, na dwa kroki od stołu, robiąc miejsce towarzyszowi.

— Ja tam nie jestem taki obrotny w języku, jak minister, rozpoczął przybyły, wysuwając się naprzód—ja mówię krótko, śmieję się głośno i pięścią popieram to, co mówię. Zresztą ja proszę, a nie lubię tylko, gdy mi odmawiają, nadewszystko rad spotykam się z kenwasserami przeciwnéj partyi i tam, gdzie ja jestem, oni nie przychodzą, a ja potrafię być wszędzie, zresztą za dziesięć szylingów dziennie od sztuki, znajdę pomocników.

— Wybornie, moi przyjaciele, wybornie! zawołał mój dżentlemen i kazał wnieść śniadanie.

— Od czego zaczniemy? pyta gospodarz uroczyście.

— Od *brandy*, rozumie się—odpowiada uśmiechając się minister. Brandy, sir, jestto ogień, ciepło, życie. Wieczorem przed ucztą zapalamy gaz, który nas rozwesela, a rano pijemy brandy, która ogrzewa i rozświeca nasz umysł.

— Ja zaś przy gazie i bez gazu, rano i wieczór piję brandy, jeżeli mocna,—rzekł towarzysz ministra.

— Dlatego, mój przyjacielu, o ile uważam, należysz do pospolitego rodzaju ludzi, a ci nie odznaczają się wyrobionym, delikatnym smakiem. Tobie wszystko jedno jak, bylebyś pił, a właśnie umiejętność w piciu, stanowi dystynkcyą człowieka i wyższość jego nad zwierzęciem, wliczając w to, sam z siebie wynikający dowód nieśmiertelności duszy.

— Pijmy zatém—rzekłem, brandy rano, jako świadectwo naszéj dystynkcyi, a wieczór, dla udowodnienia nieśmiertelności duszy.

Podczas rozmowy przyniesiono gazetę. Dżentelmen rozwinął Daily-News.

— Panowie! — zawołał wzruszony, już naznaczono wybory w Middlesex, tylko dziesięć dni czasu nam pozostaje, a nie mamy jeszcze swego komitetu wyborczego, i żaden z wyborców nie postawił mnie na kandydata, zatém nie podobna zaczynać. Artykuł kończy się apostrofą do wyborców, aby swém zaufaniem zaszczycili godnego siebie męża liberalnego. Czy czasem Daily News nie ma swego kandydata?

— To nam wszystko jedno! Middlesex nie czyta Daily News, a zawiązać komitet nie jest tak rzeczą trudną i ciężką. Zwołać w trzech miejscach wyborców liberalnych, dla postawienia kandydata. Każde zebranie wyśle trzech, razem dziewięć, mamy i komitet a z dziewięcioma damy sobie radę.

— A jeżeli nie damy?

— Ja za swoich z mojego koła ręczę, a gdy znajdziemy opozycyą, możemy się rozdzielić, założyć swój komitet i wtedy forsować.

— A gdy nam zarzucą brak zgody, jedności?

— To najmniejsza, znamy się na tém, my im pierwéj niezgodę wytkniemy. Brak zgody, to zużyty frazes, jeżeli chcą ją mieć, czemuż się nie zgodzą z nami? Zwykle ten krzyczy na brak zgody, kto pierwszy ją rozrywa. Zresztą nie trzeba czasu tracić, dziś porozumiewam się z sąsiadami i przyjaciółmi i na jutro w mojéj części robię zgromadzenie wyborców.

Dżentelmen wyjmuje dziesięć funtów, minister przymruża oczy na znak, jako mamona nie robi na nim zbyt silnego wrażenia.

— Na pierwszy początek wystarczy? zapytuje dżentelmen trybuna.

— Do jutra sir—gdyż pojutrze już sprawa i narada z członkami komitetu.

— Mam nadzieję, iż będziesz, szanowny obywatelu, w komitecie—rzekłem do energicznego trybuna.

— Imię Jacka Black już trzy razy figurowało na liście członków komitetów wyborczych.

— Jack Black znaczy coś u swoich.

— Panowie—zawołał dżentlemen, który ciągle czytał gazetę. Panowie, ostatni raz przestrzegam was, lepiéj się cofnąć, niż przegrać,—ja tracę nadzieję!

— Cofać się nie pozwalamy—zawołali razem wszyscy.

— Ależ szanowni obywatele, przerwał dżentelmen, kandydat w Londynie musi być znakomitością albo naukową, albo finansową, albo człowiekiem głośnego imienia.

— Sir masz sto tysięcy funtów majątku—zapytuje trybun?

— Trochę więcéj—odpowiada skromnie dżentlemen.

— Troszkę więcéj—dodaje z dumą Dżorż.

— I dorobiłeś się sir własną pracą?

— Zacząwszy od pensyi półtora funta na tydzień.

— Nie jesteś ani republikaninem, ani socyalistą, ani demokratą?

— Jestem do szpiku kości whigiem, chociaż nie zawsze potępiam torysów.

— Nie dowodziłeś sir strejkami robotników, ani nie zakładałeś z niemi handlowych spółek.

— Nigdy!

— Ryzykujesz sir na swój wybór parę tysięcy funtów?

— Nawet pięć!

— Tém lepiéj. Masz liczne stosunki, dobrą postawę, dobrą wymowę i przytomność, stawiasz kwestyą najżywotniejszą dla Anglików i jeszcze się lękasz?

Zachwycałem się sprytem i bystrością poglądów handlarza tucznemi baranami, gdy tymczasem tenże mówił daléj.

— Lud angielski nie lubi nowości i zmian, on zna tylko whigów i torysów. Chętnie idzie z whigami, bo z whigami szli jego ojcowie, a kramarze pójdą za wszystkimi, byle tylko wstrzymywać wszelkiemi sposobami organizacyą handlową robotników. My pierwsi postawimy whiga—i dlatego whigi nie ośmielą się dla samego porządku postawić drugiego, a konserwatyści niech sobie stawiają ilu chcą.

— Sir—odzywam się do trybuna—jak widzę, jesteś dobrze poinformowany w sprawach wyborów.

— To mój interes—odpowiedział handlarz—miałem czas nabrać rutyny,—przeforsowało się już dwóch chwała Bogu;—a zwracając się do dżentlemena kończył:

Jeżeli my ciebie, sir postawimy na kandydata, trzeba jednocześnie poparcia i z innych warstw, aby przeciwnicy nie zawołali, że jesteś kandydatem ludowym, republikaninem, lub socyalistą, tego się sir strzeż!

— Przecież mam przyjaciół zdeklarowanych whigów,—znanych, zamożnych whigów, którzy mi pomogą—odrzekł energicznie dżentlemen.

— Gdy mamy podpalać, podkładajmy ogień w kilku punktach odrazu.

— Sir jutro jesteś kandydatem, pamiętaj o miejscowych dziennikach i o wynajęciu sali, aby nas nie uprzedzili. Pojutrze jestem tu

z członkami komitetu, którzy cię prosić będą o przyjęcie kandydatury.

To rzekłszy Black wyszedł poważnie i pewnym krokiem.

— Oprócz wymowy, do czego jesteś zdolny sir,—zapytał dżentlemen, gdyśmy sami zostali z ministrem.

— Do wszystkiego—odpowiada bez namysłu.

— Umiesz pisać wiersze?

— Nie, ale umiem je deklamować.

— Jakiéj roli podejmujesz się przy wyborach?

— Mieć mowy wszędzie—na ulicy, w wagonach, w omnibusach, w szynkach, na zebraniach, gdzie potrzeba—a po wypowiedzianéj mowie, rozdawać oddrukowaną jéj treść.

— Dobrze, byleby tylko nie za dużo brandy, zauważył dżentlemen.

— Nie mów tego sir amerykańskiemu ministrowi,—u nas głowy z marmuru!

— Wiesz co masz mówić, jakich zasad bronić? pyta dżentlemen.

— Nie wiem, oprócz tego co słyszałem od Dżorża.

— Jutro odbierzesz notatkę ze szczegółami, a pojutrze do pracy—dziesięć szylingów dziennie.

— Mało—wymowa wyczerpuje.

— Piętnaście—tylko przytomność i roztropność. Dżentlemen kładzie na stół funta. Minister się uśmiecha, chowa funta, kłania się poważnie i wychodzi.

— Dżorż dorożki! woła rozgorączkowany nasz kandydat. Nie można tracić chwili czasu! Mam i ja przyjaciół! A ty sir siadaj i pisz odezwę, mowę, wiersze dla czarnych, program, co chcesz.

V.

Drugiego dnia zastałem u dżentlemena walną naradę z Blakiem i dwoma jego towarzyszami jako członkami komitetu pewnéj części wyborców. Wszyscy trzéj podjęli się roli kenwasserów, z niewielką nadwyżką zwrotu kosztów dziennego zarobku i zapewnieniem gratyfikacyi po wyborach.

Na wczorajszém posiedzeniu ogłoszono kandydaturę dżentlemena, która znaczną większością głosów przyjętą została. Niektórzy mieli wołać: „My go nie znamy,“ na co odpowiadał im trybun podnosząc w górę rękę: „To go poznacie tak, jak już znacie Blecka“.

Dżentlemen ze swéj strony uwiadomił nas o wytworzeniu się drugiego komitetu z kupców i przemysłowców, a złożonego z pięciu członków, którzy również podali go za kandydata. Postanowiono zlać oba komitety w jeden i przybrać jeszcze jednego członka do kompletu, następnie rozdzielić się na trzy biura w trzech oddzielnych częściach dzielnicy i ująć w swe ręce całą agitacyą, tém energiczniéj, że już torysi postawili swego kandydata i nie żałują starań i pieniędzy, aby go przeforsować.

Na biuro naszych trzech przyjaciół Bleck wybrał dwie wielkie sale na pierwszém piętrze jednego z publikhausów, blisko poczty i stacyi telegraficznéj, trzy kęby (dorożki) i dwa powozy miały stać dzień cały na rozkazy członków komitetu.

Postanowiono za dwa dni do sali, którą wynajął dżentlemen, zawezwać kandydatów, do wypowiedzenia swych przekonań i programów.

Kandydat odczytał odezwę i program, komitet uznał pracę tę za nadto poważną i dlatego polecił odesłać ją do dzienników; radził zaś aby mowa wypowiedziana w halli miała więcéj swobody humbugu i życia. Dyskutowano czy natychmiast rozlepiać plakaty z nazwiskiem dżentelmena jako kandydata liberalnego, czy zostawić całą energią po mowach w halli, gdy wpadł Dżorż—oznajmując ze torysi już swego ogłosili.

— U wszystkich rzeźników—wołał—powiewają już kolosalne arkusze, zalecające kandydata konserwatywnego. Przytém Dżorż oznajmił, iż plakaty dla dżentlemena już się drukują i można je co dziesięć minut po parę set odbierać.

— Nie ma czasu do stracenia—zawołali z zapałem komitetowi—do pracy!

Naprzód postanowiono zteroryzować publikhauzy czyli szynki, grożąc wszystkim właścicielom, którzy zabronią w swych oknach wystawiać plakatów z nazwiskiem dżentlemena, że będą namawiać lud, aby ich omijał. Groźba ta, sądzono, powinna wywrzéć stanowczy skutek, gdyż członkowie komitetu należeli do klasy robotniczéj i sami postanowili roznosić plakaty.

Nazajutrz wszystkie siły miały być poruszone dla zajęcia odpowiednich stanowisk, gdyż już przeciwna armia rozpoczęła kroki wojenne. Gotowaliśmy się do walki zaciętéj z nieprzyjacielem zręcznym i przebiegłym.

Rzeźników miano ignorować, a podczas publicznego wystąpienia napaść na nich z całą gwałtownością. Zwołanie wyborców przyśpieszono o 24-ry godzin. Panowie komitetowi a zarazem kenwassery pojechali wprost do drukarni zabierać plakaty.

Zostaliśmy sami, gdy zapukano do drzwi i weszła nowa figura.

— Sir jestem właścicielem trzydziestu dorożek i jestem whigiem—dlatego téż odmówiłem torysom, chociaż mi dawali za każdą 20 szylingów dziennie.

Temi wyrazami zaprezentował się dobrze wypasiony, czerwonéj twarzy, wygolony Anglik.

— Trzydzieści dorożek na trzech stacyach—mówił daléj po 20 szylingów od każdéj. W wilią wyborów należy oblepić,—dwa dni stanowi dwa funty, razem 60 funtów. Moje dorożki są szczęśliwe, wszyscy kandydaci oblepiający swe ogłoszenia na nich, przeszli do parlamentu.

— Wybornie! a cóż tam ludzie mówią o mojéj kandydaturze, szanowny wyborco? pytał dżentlemen dyplomatyczno-naiwnie.

Mówią tak, że aż tu przyszedłem, gdyby było inaczéj, nie chciałbym kompromitować ani siebie, ani dorożek. Dorożki moje mają tradycyą nieomylności, kochany panie.

— Więc jestem znany—indagował ze wzrastającą radością kandydat.

Tego niewiem—ale wszyscy wzięli sobie za hasło wybierać swego—i żaden uczony chociażby to był Livingstone nie przejdzie. My nie lubimy uczonych; zresztą jeden z moich ludzi był w publikhauzie podczas wystąpienia twego, sir, pamiętasz—i utrzymuje, że nie słyszał lepszego *speakera*, opowiadał nam wszystkie przygody i zentuzyazmował wszystkich. Mięso ma wielką wartość w Anglii i chociaż rzeźnicy wysilają się, aby przeprowadzić konserwatystę, upadną.

Uszczęśliwiony dżentlemen zakupił wszystkie miejsca na dorożkach dla swych ogłoszeń.

— Sir—mówił nowo nabyty sprzymierzeniec, mam dwa wyborne, otwarte amerykańskie omnibusy każdy na 25 osób, które mogą przywozić wyborców z dalekich stron. Dziesięć razy obrócą przez dzień to już mamy 500 głosów. Cztery dzielne konie zaprzęgam do każdego, jak tego wymaga zwyczaj.

— Wybornie, biorę je lecz dwa to za mało.

— Podejmę się dostawić dziesięć, które powinny przywieść 5.000 ludzi. Jestem zdecydowany podpisać się na dostawę téj liczby wyborców.

— Zgoda zgoda—odpowiadał kandydat, radość promieniała na jego twarzy, śmiał się głośno i ręce zacierał.

— Jeszcze jedno.

— Proszę.

— Sir nie trzymasz własnych koni?

— Dotąd nie.

— Zatém piękny, otwarty powóz z wysokim kozłem, elegancka liberya i cztery siwe konie w dzień wyborów, będą ci sir potrzebne, he? To się przyda, jeśli jeszcze, jak przypuszczam, będzie się miało kogo wsadzić do powozu i pokazać go swym wyborcom, hę? Cztery siwe konie pół krwi, co?

— Dziękuję serdecznie—mówił nieśmiało dżentlemen—spuszczając oczy jak 16-letnia panienka,—jeżeli tylko rzeczywiście będą potrzebne, a tymczasem zapraszam cię sir do halli podczas naszego wystąpienia.

— Przyjdę sir z memi ludźmi.

Ledwie wyszedł właściciel fiakrów, gdy we drzwiach pojawił się dostawca żywych plakatów.

— Jeżeli chcesz mieć sir na usługi stu ludzi dziennie, to należy się o to wcześniéj postarać, torysi mogą ich mieć więcéj.

Tak mówił chudawy człowieczek o czarnych oczach, pretensyonalnie ubrany, w fantastycznym niebieskim krawacie w czarne pręgi.

— W pierwszych chwilach dosyć trzydziestu—zdecydowałem.

— A podług mnie i stu za mało—odrzekł dostawca ludzi do dźwigania tablic z ogłoszeniami. Powtarzam że i stu za mało na tak wielki okręg.

— Więc pan życzysz sobie, jednego na każdéj ulicy postawić,—zapytałem.

— Nie jest moim systemem rozdzielać i rozrzucać. Mój system skupiać i masą imponować, bić w oczy. Trzydziestu razem maszerujących po pięć kroków jeden od drugiego to 150 kroków, stu w takiéj saméj odległości, już zajmie odrazu połowę mili angielskiéj, a ja chciałbym aby nasz pochód rozciągał się na całą milę. Wtedy dopiéro będzie coś mówił, a przedewszystkiém bił w oczy, odurzał i dobrze prezentował zamożność kandydata.

Dżentlemen zgodził się na dwustu.

VI.

Nadchodzi pamiętna noc w dziejach wyborczego okręgu Middlesex i w dziejach naszego dżentlemena. W halli już zapalono gaz, ustawiono stoliki na estradzie, dla dwóch komitetów. Przed hallą zaczynają się zgromadzać wyborcy, najęci ludzie z tablicami na przodzie i plecach z oblepionemi plakatami stoją obok, rozdając przechodniom drukowane ogłoszenia.

Członkowie komitetów wyborczych zbierają się na estradzie w dwóch oddalonych grupach, wyborcy przychodzą na salę. Kilku z członków porzuca swoje stanowiska, schodzą na dół, mieszają się z tłumem, rozprawiają, śmieją się i żartują.

Godzina ósma uderza—posiedzenie otwarte.

Dżentlemen poważnie z niepokojem w oczach, z gorączką na twarzy, kroczy wspaniale naprzód. Przyjaciele, zwolennicy i znajomi zastępują mu drogę, dodając zachęty, energii i animuszu.

— I ja jestem ze swymi ludźmi — rzekł właściciel dorożek, pokazując na gromadkę kilkunastu silnie zbudowanych Anglików w kapeluszach, opiętych łosiowych pantalonach z czerwonemi kamizelkami.

— Czy słyszysz sir, co ten wygaduje na ciebie—szepnął Dżorż, pokazując na kandydata konserwatywnego, który niemiłosiernie chłostał dżentlemena. Sir ja nie wytrzymam, pójdę i wyboksuję tego nikczemnika.

Dżentlemen nic nie odpowiedział, poszedł daléj, zbliżył się do schodów prowadzących na estradę, schwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. Liberalni członkowie komitetu przyjęli swego kandydata uroczystém powstaniem i ściskaniem jego ręki sadzając w pośród siebie.

Pretendent z drugiego obozu nie żałował przeciwnika.

— Nie wybierajcie ludzi—mówił — którzy oprócz robienia pieniędzy, nie mają żadnych zasług w narodzie. Jakąż dają wam gwarancyą ci biedni niewolnicy własnéj chciwości i zysków, uganiający się całe życie, aby napychać swe kieszenie złotem. Czyż kiedy oni mieli możność, lub czas przypatrzéć się potrzebom Anglii, zrozumiéć jéj stanowisko potężne i wielkie i ocenić interesa całego narodu. Mizerny klerk do 25-go roku życia swego, bez żadnéj nauki i wyższego wykształcenia; późniéj handlarz i mieszkaniec dzikich kolonij, dostawca broni dla Aszantów i amunicyi dla Karlistów, chociaż protestant, ośmiela się dziś sięgać po największą godność, chce być prawodawcą narodu angielskiego!

— Zepchnąć go ztamtąd!—wyleciał z tłumu wykrzyknik.—Na to hasło wzywające do boju, sformowały się w téj chwili dwa obozy. Rzeźnicy ze swymi przyjaciółmi, a zwolennicy konserwatysty po jednéj stronie, nasi po drugiéj, na czele komitetowi z ludu, przy nich właściciel dorożek, dostawca tragarzy i wielu innych zaangażowanych. Dorożkarze w milczeniu ściągają paltoty zostając tylko w czerwonych kamizelkach.

— Prawda was dusi i chcielibyście ją zboksować, ale my tu jesteśmy!—odezwano się ze strony rzeźników.

— Szanowni wyborcy głosujący za kandydatem liberalnym, zaklinam was w imię dobréj sprawy, uspokójcie się, bądźcie cierpliwi, aby nie powiedziano, że zwycięstwo wywalczyliśmy sobie pięściami.

Tak przemówił na estradzie z pośrodka nas jeden z członków komitetu. Uciszyło się, mówca daléj ciągnął.

— Nie jest zbyt trudno zebrać majątek, obdzierając dzikich! Czyż handel czarnymi ustał, pomimo to, że Anglia aby go zniszczyć poniosła tyle ofiar? Nie, lecz czy wiécie szanowni wyborcy, dlaczego; oto bo jest zbyt zyskownym! Można w paru latach zbogacić się, sprzedając te biedne istoty, obdarzone duszą nieśmiertelną, a których religia, prawo, ludzkość, sprawiedliwość, nakazują nam nazywać braćmi! Nie, moi panowie, po tém wszystkiém, coście słyszeli, nie podobna przypuszczać, abyście mieli obdarzać swém zaufaniem ludzi, którzy zdolni wam są tylko przyrzekać, sprowadzenie wołów z La Plata! Prędzejbym uwierzył w możność i chęci sporządzania rostbifów murzyńskich!...

Huczne oklaski, głośne *hear, hear!* i przeraźliwe świstania, w których nasz Dżorż jest mistrzem, były odpowiedzią na dowcipną mowę. Sam dżentlemen bił brawo i śmiał się.

— Jeżeli kłamać, to już tak, aby kłamstwo stało się humbugiem—zawołał wstając nasz kandydat. — Lubię humbug, bom prawdziwy Anglik i dlatego sam biję brawo!

Dżentlemen zaczął klaskać w ręce. Na to hasło zaczęto w naszéj partyi krzyczeć: Wybornie! doskonale! i bić brawo!

— Ale panowie—mówił daléj dżentlemen—kłamstwo jest brzydką wadą, świadczącą o braku edukacyi, dlatego też jeżeli mnie zaszczycicie swojém zaufaniem, będę wszystkiemi siłami starał się, aby przymusowe nauczanie zastosowano z bezwzględną ścisłością. Dużo jest biednych, którzy nie mogą podołać temu wymaganiu, lecz wiele, bardzo wiele jest gmin zamożnych, które nie powinny pozwalać, aby ich członkowie nie odbierali żadnéj edukacyi. Gdy gmina będzie odpowiedzialną, przymusowe nauczanie stanie się faktem. Czy mnie rozumiecie, obywatele Anglii, czy mnie rozumiecie?

— *Hear, hear!* brawo, rozumiemy! — wydobywa się ze wszystkich stron, przy akompaniamencie sykań rzeźniczych.

Stronnictwo nasze zostaje wzmocnione silnym sukursem kilkuset mężów, zdaje się sprowadzonych przez ludzi naszego dzielnego członka komitetu. Ta imponująca liczba o wiele przewyższała siłę przeciwników. Dżentlemen nabiera odwagi, zapomina o odezwie i programie, zapala się i mówi daléj:

— Tym to sposobem wykorzenimy kłamstwo, a utrwalimy moralność i zamiłowanie do pracy, która więcéj będzie szanowaną niż dzisiaj i doczekamy się nareszcie téj chwili, że nie ośmielą się maltretować jéj w oczach ludu, który egzystencyą swą zawdzięcza tylko własnéj swéj pracy. Cała potęga i wielkość naszego narodu spoczywa w rękach jego pracowników. Oni nie czekają, ani na spadki po krewnych, ani wyglądają pieniędzy od rodziców!

— Dużo jest między nimi, którzy żywią swoich starych, a nie obdzierają ich. Obdzierać rodziców i czekać w próżniactwie na spadki po krewnych, to się nazywa być szlachetnym, wysoko urodzonym i bezinteresownym!

Wielkie brawa, jak rozhukane fale oceanu zagłuszyły swym rykiem ostatni świst tonącego okrętu.

— Gdyby też tak pewnego dnia, podług téj maksymy — woła z animuszem dżentlemen—wszyscy Anglicy chcieli być szlachetnymi i bezinteresownymi—coby się stało z naszą poczciwą wyspą i dzielnymi jéj mieszkańcami? Demoralizacya, nędza — a w rezultacie śmierć i wyludnienie. Przepadłby naród, Anglii—by nie było!

Przeciągłe oklaski—minister wyrywa się naprzód z otwartemi rękami do uścisku dżentlemena, przy jego boku Trutle w kapeluszu mocno na bakier. Dżak Black zatrzymuje ich.

— Anglicy nie tamujcie mego uniesienia—woła minister—oto młodszy wasz brat Jankies, ja jestem Jankiesem, chce uściskać swego starszego brata John Bulla!

Przytrzymywany minister zwraca się, spostrzega Trutla i rzuca się w jego objęcia.

Braterski uścisk reprezentantów dwóch narodów jednego szczepu i jednego języka, wzbudził w wysokim stopniu zapał narodowy.

— Praca i wiara—rozpoczyna gromkim głosem dżentlemen.— Wiara w siebie samych i wytrwała praca, to dwa wielkie przymioty mego narodu, które nas postawiły u szczytu zamożności i cywilizacyi. Dwadzieścia lat pracowałem ciężko i mozolnie; zabierając produkta z Anglii, przywoziłem jéj w zamian złoto i kość słoniową. Zdaje się, że nie ubożyłem swego kraju.

— Brawo, brawo to nasza zasada!—wołano z tłumu.

— Nie miałem ja czasu mieszkać w Oxfordzie, aby się tam bawić, grać, szczuć szczury psami, tracić ojcowskie pieniądze i czasami słuchać teologii; ja z życia starałem się czerpać naukę, z doświadczenia rozum. Dwadzieścia lat uczciwéj pracy, to dwadzieścia lat studyów połączonych z praktyką. Nie mam wprawdzie patentów, ale, jak mówią, nie mam przy tém i długich uszów. I dumny jestem z tego, albowiem obywatele Anglii nie składają się z samych doktorów i uczonych bakałarzy.

Świst, pisk i krzyk przerwały mowę dżentlemena. Rzeźnicy i stronnicy konserwatyzmu zrobili ostatnie wysilenie, aby zgłuszyć i osłabić wzrastający zapał słuchaczy dla ich przeciwnika. Nasi odpowiedzieli na to wysilenie głośném hurra, tupaniem i oklaskami.

Siedzący obok nas członkowie komitetu powstali a ściskając po kolei rękę dżentlemena winszowali mu. To ostentacyjne wystąpienie stało się jedną pobudką więcéj do uniesień.

— Dwadzieścia lat ciężkiéj pracy — mówił spokojnie kandydat—to dosyć, powiedzieli mi moi przyjaciele; masz majątek i doświadczenie, powinieneś więc służyć swemu narodowi radą, jak służyłeś mu przez dwadzieścia lat pracą. Usłuchałem wezwania moich przyjaciół i oto jestem między wami gotów na wasze rozkazy.

— Przyjmujemy cię, przyjmujemy — wołali z naszéj strony.— Precz z nim!—odpowiedziano z drugiéj, lecz już bardzo słabo.

Dżentlemen podnosi w górę rękę. Cisza.

— Wiem ja z własnego doświadczenia, że jedyną rękojmią pomyślności jest rozsądna wolność. Otóż jéj praw będę pilnował i pracował nad jéj rozszerzeniem. Im mniéj więzów i kajdan, tém prąd życia narodu spokojniéj podnosi się, rozszerza i powiększa. Wolność, panowie, to postęp; ludzkość i narody muszą iść naprzód, inaczéj umierają. Chcąc zatrzymać postęp, trzeba kajdan; dlatego ja nie wierzę w głośne wykrzykniki konserwatystów na cześć wolności.

— Słowa i słowa! — krzyknął ktoś z przeciwnéj partyi — do szczegółów!

— Cicho!—krzyczano z naszéj strony.

— Domyślam się, o co moim przeciwnikom chodzi — rzekł z godnością dżentlemen. Kwestya mięsa dusi im gardła, a nie śmieją jéj podnieść.

— Tak, tak—wołano z jednéj i z drugiéj strony.

— Wyborcy! życie wasze, siła wasza, zdrowie, krew, która krąży w żyłach waszych, jest to wpływ mięsa, które zjadacie. Cóżby się stało z siłą naszego robotnika, dziś największą w Europie, cóżby się stało z rozumem Anglika, ze zdolnością do wytwarzania coraz nowych pomysłów, z trzeźwością rozsądku, która go nad innych wynosi z przebiegłością w handlu, gdyby przestał żywić się mięsem! A jednak panowie, ileż jest z pośród nas w Londynie, którzy go mogą kosztować zaledwo raz w tydzień. Anglia rokrocznie za samę żywność swoję musi światu całemu wypłacić 76 milionów funtów. I mamyż pozwolić, abyśmy byli obdzierani, na najdroższym i najpożywniejszym pokarmie! Dziś każą nam płacić podwójną jego wartość, jutro któż im zabroni przy zmowie podnieść go jeszcze w dwójnasób, nareszcie mięso stanie się droższém od złota i Anglicy będą żywić się kartoflami!

— Nigdy, nigdy!—zawołano z tłumu.

— Mógłby mi ktoś zarzucić, że tamuję wolność, staję na przeszkodzie wolnéj zamianie, zamykam wrota konkurencyi, która normuje sprawiedliwie ceny! Ależ wystąpić przeciw zorganizowanéj szajce (rzeźnicy pięście podnoszą do góry), która ssie krew narodu, zatrzymując jego wzrost i siłę, wystąpić przeciwko tym, którzy tylko dla siebie opanowali kanał przypływu tego produktu, nakładając dowolne ceny na jego wartość, to już nie obowiązek, ale konieczność, to już nie sprawiedliwość, ale obrona własnego bytu. Pamiętacie Anglicy dewizę pierwszego klubu towarzystwa befstekow: „Mięso i wolność.“ Niezapominajmy również słow Szekspira: „Te brytany z wyspy, byle im tylko dać potężną ilość mięsa, żelaza i stali, to będą jeść jak wilki i bić się jak dyabły.“ Brońmy się więc...

— Brońmy się!—zawołano ze wszystkich punktów naszéj strony, która się nieustannie wypełniała coraz większą masą. Brońmy się!—powtarzano naciskając na rzeźników i ich towarzyszy. Minister, Trutle, Black i jego kilku dzielnych wspólników na czele.

Członkowie komitetu konserwatywnego z przeciwnéj strony estrady wstają. Jeden z nich daje znak ręką prosząc o głos.

— Oświadczam—woła wśród gwaru — że wolność posiedzenia została pogwałconą, jesteśmy teroryzowani, i aby uniknąć walki, wychodzimy zapraszając naszych zwolenników do Alhambra-Hall.

Po tych słowach cały komitet wraz ze swym kandydatem schodzą z estrady, łączą się ze swymi wyborcami i opuszczają salę, przy oklaskach świstaniach i śmiechu naszych zwolenników. Wielu z opozycyi zostaje w sali łącząc się z nami.

Tak świetne zwycięstwo działa upajająco na wszystkich. Dżorż skacze w górę, Black ręce zaciera, Trutle podryguje zuchowato, minister klepie go protekcyonalnie po ramieniu, dorożkarze wdziewają paltoty na swe czerwone kamizelki, właściciel dorożek śmieje się głośno.

— A teraz z drugiéj strony — zaczął znowu promieniejący bohater dzisiejszego wieczora — przypatrzcie się jakby wyglądała Anglia za lat dziesięć, gdyby cena mięsa spadła, co być powinno—o połowę. O ileżby się podniosło zdrowie narodu, jego siły, jego dobrobyt, a nawet moralność, tak—nawet moralność. Taniość mięsa jest jednym z najdzielniejszych środków przeciw pijaństwu. Dajcie ludowi tanie mięso, a zmniejszycie najstraszniejszą dla niego plagę.

— Okropną plagę zabijającą Anglią i Amerykę—zawołał minister.—W tym przedmiocie piszę dzieło i z uwag naszego kandydata nie omieszkam korzystać.

Trutle podnosi parasol w górę, nie wiem, czy na znak, że podziela opinią swego towarzysza, czy ze zgrozy nad plagą, przeciw któréj postanawia walczyć.

— Zarzucono mi humbug w sprowadzaniu wołów z La-Plata— mówi daléj nasz kandydat.—Oto są akcye, które od wczoraj za sto tysięcy funtów rozebrane zostały—i z dziesięciu funtów poskoczyły już na dwanaście. Na pamiątkę dnia dzisiejszego i na dowód, że nie tylko słowem trzeba walczyć, składam dziesięć akcyi do rąk komitetu wyborców, aby za nie w pierwszą niedzielę po wyborach, zakupiono w głównéj halli mięsa dla biednych tutejszego okręgu.

Na tém skończyło się zgromadzenie. Na ulicy przed hallą witały nas okrzyki wznoszone na cześć kandydata i taniości mięsa, zmięszane z pogróżkami na rzeźników.

Siadamy wszyscy do odkrytego amerykańskiego omnibusu zaprzężonego w cztery konie, a zamówionego przez dżentlemena. Kandydat nasz stojąc w omnibusie uchyla kapelusza, tłum ciśnie się do powozu, konie z radości parskają.

— Panowie, obecnie nic mi nie pozostaje—przemawia dżentlemen—jak życzyć wam dobréj nocy. Mam nadzieję, że wszyscy staniecie w dzień wyborów, jak jeden, aby się nie dać upokorzyć rzeźnikom.

— Staniemy, ufaj! Wszyscy staniemy! — odpowiadają głosy z tłumu.

— A teraz pozdrówcie w imieniu mojém wasze żony i siostry! Kochajcie je i miejcie o nich staranie, zasługują na to — szlachetne Angielki.

Mistresy i misy powiewają chusteczkami i śmieją się.

— W wasze ręce, *ladies*, składam moje losy—woła wesoło kandydat.—Dobra noc!

Konie ruszają powoli robiąc sobie miejsce w otoczeniu. Pożegnania z dwóch stron, liczne i serdeczne, konie przyspieszają kroku, wyciągają kłusa — i jesteśmy sami na ulicy — wśród gwaru obojętnych i przejazdu obcych.

(d. n.) *Sewer.*

LISTY CZESKIE.

VIII.

Pożar teatru narodowego.—Szczęście w nieszczęściu: idea pojednania Niemców z Czechami.—Precz z hegemonią pojedyńczéj narodowości.—Różnica między niemieckiém stronnictwem konstytucyjném w Radzie Państwa a Niemcami mieszkającymi w Czechach.—Niegodne zachowywanie się dziennikarstwa wiedeńskiego.—Losy wniosków Herbsta i Wurmbrandta. Dyskusya dotycząca „języka państwowego.“—Hasła partyi konstytucyjnéj: *Deutsche Hegemonie und deutsche Staatsprache*, *Nieder mit Taafe*, *Nieder mit den Czechen.*—Kwestya uniwersytetu czeskiego w Pradze. „Burdy prazkie.“—Karlsbad.—Zmiana namiestnika Czech. Kraus.

List niniejszy zamierzałem zakończyć opisem owéj uroczystości która miała się odbyć w dniu 11 Września r. 1881 z powodu otwarcia naszego teatru narodowego. Tymczasem rozpoczynam to pismo pod trwającém dotąd wrażeniem, które długo jeszcze wywierać na nas będą zgliszcza nowego gmachu teatralnego spalonego w dniu 12 Sierpnia r. 1881.

Składki na budowę teatru narodowego, rozpoczęliśmy już w r. 1849 wśród bardzo niepomyślnych politycznych stosunków. Czasy reakcyi zgotowały temu przedsięwzięciu przeszkody nie do zwalczenia; dopiéro po roku 1861 można znów było o tém na seryo pomyśléć. W r. 1868 założono kamień węgielny pod tę pomnikową budowę; obecnie, po 13 latach teatr był już blizki ukończenia; tymczasowe otwarcie, na uczenie zaślubin jego cesarskiéj wysokości księcia Rudolfa Następcy tronu odbyło się 23 Maja r. 1881, dano w nowym teatrze 12 przedstawień, a ludność Pragi miała sposobność widziéć co zniszczył pożar 12 Sierpnia r. 1881.

Prawdziwéj przyczyny pożaru podać nie jestem w możności, bo nastręczają się w téj sprawie różne wprost przeciwne przypuszczenia, a dochodzenie sądowe nie jest jeszcze skończone (25 Sierpnia).

Jednéj wszakże wersyi poświęcę słów kilka. W niższéj szczególnie warstwie ludności prazkiéj, rozpowszechnione jest mniemanie, że ogień podłożony był przez Niemców, w celu zniszczenia dzieła, którém naród czeski mógł się szczycić z zupełną słusznością. Gdyby nawet można było myśl zatrzymać na tém mniemaniu, trzeba przypuścić dwa wypadki: albo jakiś robotnik niemieckiéj narodowości (Niemcy byli zatrudnieni przy budowie), podłożył ogień z własnego popędu, tj. z fanatycznéj nienawiści do Czechów, albo wciągnięty był do tego przekupstwem przez kogo innego. Według mojego zdania należy po dojrzałéj rozwadze, uznać tak pierwszy jak drugi wypadek za niemożliwy, z téj prostéj przyczyny, że tu w Czechach nienawiść między Niemcami i Czechami nie doszła jeszcze dzięki Bogu, do fanatyzmu zniszczenia, jak np. między Irlandczykami i Anglikami, i że spór narodowości w Czechach, jak to już niejednokrotnie w moich listach wykazywałem, prowadzi się w granicach kwestyi politycznych, niedotykając zgoła społecznych, tak że między robotnikami niemieckiéj narodowości bardzo trudno byłoby znaleść takiego patryotycznego fanatyka. Wypadku przekupstwa również dopuścić nie mogę, bo niebezpieczeństwo wykrycia sprawcy było by tak wielkie, ze musiałoby powstrzymać od podobnego czynu, tych nawet którzyby do samego pomysłu zdolni byli.

Sądzę więc, że w dobrze zrozumianym interesie, tak przez wszystkie rozważne umysły upragnionego pokoju między narodowościami, mamy dostateczny powód do odsunięcia od siebie myśli złośliwego, rozmyślnego zamachu. Jaki rodzaj bądź co bądź karygodnéj nieostrożności spowodował pożar, okaże się zapewne z zupełną stanowczością, ze śledztwa sądowego.

Faktem jest że 12 Sierpnia, między 5—6 wieczorem przechodnie spostrzegli na dachu nowego gmachu teatralnego dym i płomienie, że jednak spokojnie poszli daléj w przekonaniu że ogień będzie zapewne ugaszony i że gmachowi żadne nie grozi niebezpieczeństwo, faktem jest również że gaszenie pożaru rozpoczęto dopiéro około siódméj wieczorem, to jest wtedy kiedy ognia niepodobna już było opanować. Całe wnętrze gmachu spaliło się w zupełności; scena ze wszystkiemi dekoracyami zgorzała do szczętu; spłonęła też widownia, z któréj całego urządzenia nie wiele uratować się dało. Żelazne wiązanie dachu, żelazne masyw podciągi sufitowe nad widownią, leżą rozmaicie żarem powykręcane na podłodze, lub zwieszają się tu i ówdzie z oczernionych murów; pod tą plątaniną pogiętych części żelaznych, leżą szczątki pięknego pająka, który kosztował 15.000 flor. Wrażenie, jakie na każdym wywiera ten obraz straszliwego zniszczenia, działa na nas tém silniéj, że widzieliśmy tę pełną smaku

okazałość po której nam teraz tylko wspomnienie zostało. Wspaniała loża królewska bardzo jest spustoszona, tylko *foyer* na pierwszém piętrze i Loggia ze swemi 10 posągami ocalała zupełnie. Zewnętrzne mury gmachu pozostały nietknięte; z wnętrza trzeba będzie usunąć mnóstwo gruzów. W poniedziałek 22 Sierpnia rozpoczęły się roboty restauracyjne i jest nadzieja że za dwa lata będzie można obchodzić uroczystość otwarcia nowoodbudowanego teatru.

Kiedy dziś, w dwa tygodnie po nieszczęśliwym 12 Sierpnia, rozważam następstwa jakie miał dla nas ten nieszczęśliwy wypadek, z trudnością mogę się obronić od uczucia jakiegoś uspakajającego zadowolenia. Od katastrofy upłynęło zaledwie dwa tygodnie, a już suma składek na odbudowanie teatru, z prowincyj tylko do korony czeskiéj należących, przewyższa pół miliona, co niewątpliwie jest świetnym dowodem ofiarności narodu czeskiego. Ale inna jeszcze okoliczność niemniéj tu na uwagę zasługuje.

Pokojowy nastrój między Niemcami i Czechami (jak to późniéj będę miał sposobność wykazać) pozostawiał w ostatnich czasach bardzo wiele do życzenia, a wielki „pochód tryumfalny", którym Czechy uświęcić chcieli 11 Września 1881 rzeczywiste otwarcie swego pysznego teatru, i do którego poczynione już były najwspanialsze przygotowania między czeską ludnością całego kraju, nie mógł przyczynić się do polepszenia pod tym względem stosunków między obiema narodowościami. Niemieckie stronnictwo konstytucyjne, które usiłuje wszelkiemi środkami przekonać Niemców w Czechach, że pod ministeryum Taafego odgrywają rolę „odsuniętych" i tylko z potrzeby tolerowanych w Austryi i że w końcu strąceni zostaną do znaczenia jedynie ofiar Czeskiéj przemocy, ta partya nigdy w wyborze środków agitacyi nie przebierająca, byłaby nie na co innego spożytkowała wspaniałą uroczystość narodową 11 Września, jak na podniecenie niechęcią i zawiścią narodowéj rozterki do większéj jeszcze potęgi, jedynie tylko dla tego, ażeby z większém prawem twierdzić że to są właściwe owoce tyle im nienawistnego programatu pojednania ministeryum Taafego. Tymczasem 11 Września r. 1881 nie odbędzie się żaden pochód tryumfalny, Czechy stoją posępni przed czarnemi zgliszczami swego wspaniałego teatru, który dźwignęli kosztem tylu czeskich ofiar, a w ich niemieckich ziomkach obudziło się tak silne uczucie litości, że wielu z nich pośpiesza wyrazić swoje czysto ludzkie współczucie, udziałem w składkach na odbudowanie czeskiéj muz świątyni. Idea stanowczego pojednania narodowości wystąpiła tak dalece na pierwszy plan życia bieżącego, że my wszyscy którzy niczego z większém utęsknieniem nie wyglądamy jak takiego poro-

zumienia, prawie zmuszeni jesteśmy uważać katastrofę 12 Sierpnia jako wypadek zwiastujący szczęście naszemu narodowi.

Do słów powyższych dodać muszę uwagę, że pisząc to nie oddaje się żadnym chimerycznym złudzeniom i zdaję sobie sprawę jasno, wyraźnie z trudności takiego stanowczego pojednania; jednocześnie jednak widzę możliwość téj zgody, i mogę twierdzić, z zupełną znajomością stanu sprawy i panujących stosunków, że porozumienie z Niemcami w Czechach jest gorącém życzeniem całego narodu czeskiego.

Nie taimy tego bynajmniéj, że dla nas Czechów, harmonia narodowa w Czechach, to jest takie uregulowanie wszystkich stosunków publicznych między dwiema narodowościami zamieszkującemi kraj czeski, które uniemożebniłyby na przyszłość wszelkie spory w kwestyach narodowych, jest dla nas stanowczo sprawą najbardziéj palącą, do któréj rozstrzygnięcia przedewszystkiém dążymy, bo uważamy ją za kwestyą zasadniczą, od któréj zależy ostateczne ukształtowanie się państwa austryackiego, zupełnie oddzielonego od cesarstwa niemieckiego, ale równie jak to imperyum samodzielnego i do życia uprawnionego.

To czego my chcemy da się krótko wypowiedziéć. Chcemy zupełnego politycznego równouprawnienia Czechów w Czechach, na Morawach i na Szląsku, to jest pragniemy aby naród czeski stał w Czechach w Morawii i na Szląsku na jednakowém stanowisku politycznėm i na jednakich prawach politycznych z narodem niemieckim zamieszkującym te kraje. Słowem chcemy aby język czeski w Czechach, Morawii i na Szląsku był równouprawniony z niemieckim w szkole w urzędzie i w sądach, to jest w całkowitém życiu publicznėm. Żądamy zaś tego tylko dla Czech, dla Morawii i dla Szląska, to jest dla krajów korony czeskiéj nie dla całéj monarchii austryackiéj. W wiedeńskiéj Radzie Państwa mówimy po niemiecku, z ministrami i z ministeryami niemieckiemi komunikujemy się po niemiecku, i nie przychodzi nam do głowy domagać się w armii austryackiéj innéj komendy jak niemiecka. Jesteśmy jednak tego zdania, że monarchia austryacka szczególniéj pod względem narodowym, nie jest jednolitą całością, lecz że składa się z bardzo różnorodnych części, z których każda ma swoje odrębne życie i jest do tego życia uprawnioną, a nawet twierdzimy, że całość wtedy tylko w pełni siły egzystować może, jeżeli odrębne życie pojedyńczych części wszędzie silnie rozwijać się będzie.

Zaliczamy się więc z najgłębszego przekonania, i jak sądzimy w dobrze zrozumianym interesie państwa, do autonomistów, federalistów, czy też decentralistów,—mniejsza oto jak nas ktoś nazwać ze-

chce, a jesteśmy przeciwnikami ujednostajniającego centralizmu, w którym nie możemy dopatrzéć się ani zbawienia Austryi, ani jéj pomyślnego odrodzenia. Jesteśmy przeciwnikami centralizacyi państwowéj, nie z narodowéj żądzy przewodzenia, jak nam to adwersarze nasi niejednokrotnie przypisywali, bo przeciwnie, należymy właśnie do tych, którzy w kwestyi nowego ukształtowania się Austryi stawiają zasadę: niepotrzeba żadnéj narodowéj hegemonii, a nie jesteśmy znowu tak dziecinnie niedoświadczeni; abyśmy mieli dążyć do czegoś co musimy uznać za niemożliwe do osiągnięcia, gdyby nawet nie sprzeciwiało się wprost tylko co sformułowanéj zasadzie. Jeżeli nasi przeciwnicy w publicystycznych swoich organach, albo ściśléj mówiąc, jeżeli jakiś zbyt gorliwy gazeciarz—centralista, przypisuje nam Czechom zamiar *zczeszczenia* Austryi, to można prawie z pewnością twierdzić, że sam w to niewierzy ale uważa za dobry środek do rozdrażnienia przeciw nam Niemców mieszkających w Czechach. Nie jesteśmy téż bynajmniéj przeciwnikami centralizacyi w Austryi z zachcianek separatystycznych, ażeby—jak nam to również bywa przypisywane, korzystając z rozluźnionych umyślnie węzłów spójności politycznéj, tém łatwiéj się z nich wyśliznąć.

Przeciwko nam występują dotychczas Niemcy, naturalnie jako zawzięci centraliści. Używając tu dla krótkości nazwy „Niemcy“ muszę jednocześnie dodać uwagę dla wyświetlenia rzeczywistego stanu rzeczy. Wypowiedziałem to już na ostatniem posiedzeniu sejmowém, i sądzę że pogląd mój nigdy dość często powtarzanym nie będzie,—że my Czechowie, mówiąc o naszych politycznych przeciwnikach, musimy zawsze robić różnicę między niemieckiém stronnictwem konstytucyjném, a niemieckimi naszymi ziomkami w Czechach. Różnica ta jest rzeczywiście bardzo wielką i ma dla nas nader ważne znaczenie.

Niemieckie stronnictwo konstytucyjne występuje przeciwko wszelkim narodowym dążeniom ludu czeskiego z całą ostrością namiętności stronniczéj i posługuje się téż względem Czechów wszelkiemi dozwolonemi i niedozwolonemi środkami aby tylko te dążenia w niwecz obrócić. To stronnictwo, mające w swoich szeregach Niemców ze wszystkich prowincyj austryackich, stoi dziś jeszcze na tem stanowisku, na którém oparłszy się Schmerling chciał 1861 odbudowywać państwo austryackie.

Ponieważ Czechy stanowią najważniejszą przeszkodę do urzeczywistnienia takich upragnionych planów, niemieckie przeto stronnictwo konstytucyjne jest ich zaprzysięgłym wrogiem i przeciwnikiem, a ponieważ hegemonia niemiecka, najbardziéj jest zagrożoną w krajach czeskiéj korony (w Czechach zaledwie $^{2}/_{5}$ ludności jest

niemiecką w Morawii tylko $^{1}/_{4}$), więc też chciwa panowania partya konstytucyjna dąży ku temu wszystkiemi siłami ażeby swoje własne pragnienia narzucić ludności niemieckiéj w tych obu krajach, albo przynajmniéj rozniecić w niéj jak najsilniejszą dla Czechów nienawiść.

Takie zidentyfikowanie zapatrywań naszych niemieckich ziomków z poglądami i dążeniami stronnictwa konstytucyjnego nie powiodło się dotychczas i zapewne się nie powiedzie; na tém właściwie opierają się nasze nadzieje porozumienia się i pojednania z niemcami w Czechach i ostatecznego *fiasca* niemieckiéj hegemonii w Austryi. Ażeby tę możliwość lepiéj pojąć, trzeba przypomniéć sobie, że tak zwana partya konstytucyjna wyzyskiwała w sposób nader samolubny wytworzoną przez Schmerlinga, uprzywiliowaną swoję pozycyą w państwie, że z małemi wyjątkami rządziła na benefis własnéj kieszeni, i że członkowie jéj, dla tego właśnie w tak gwałtownéj stoją opozycyi przeciw gabinetowi Taafego, że są przez to ministeryum dawnych pieniężnych korzyści pozbawieni. Uprzywiliowane stanowisko i związane z niém korzyści pieniężne, dały się korzystnie uczuć tylko tak zwanym przedstawicielom narodu, ale bynajmniéj nie reprezentowanemu niemieckiemu ludowi, który tak samo musiał płacić nowe podatki jak ludność czeska, i dla tego reprezentowani Niemcy nie mieli tak ważnego interesu w utrzymaniu uprzywiliowanego stanowiska swoich parlamentarnych przedstawicieli, jak sami reprezentanci. Z tego powodu, lud niemiecki w Czechach i Morawii niema tego zmysłu politycznego antagonizmu w stosunku do Czechów, jaki by w nim przywódcy wyrobić chcieli; przeciwnie ten lud niemiecki ma nierównie więcéj zmysłu sprawiedliwości i słuszności, aniżeliby życzyli sobie panowie ze stronnictwa konstytucyjnego; to też żywimy uzasadnioną nadzieję stanowczego pojednania się z tym ludem, a takie pojednanie musi w końcu nastąpić pod rządem, który niemieckiéj hegemonii nie wypisał na swoim sztandarze.

Niemiecka hegemonia miała w Austryi znaczenie i bardzo ważną polityczną doniosłość, dopóki chodziło o zapewnienie w Niemczech przewagi Austryi; dziś kiedy ta kwestya została rozstrzygniętą stanowczo przeciw Austryi, chociaż, jak sądzę nie na jéj szkodę, niemiecka hegemonia w dawnych związkowych krajach Austryi, nie może już być ideą podtrzymującą państwo, w austryackiém rozumieniu rzeczy, i wtedy może tylko miéć właściwe znaczenie, jeżeli się te niemieckie prowincye uważa za przyszłe części składowe niemieckiego imperyum. Niemcy w Czechach muszą miéć o tém zupełnie jasne pojęcie; zapewniają nas dość często że są Austryakami i że niemi chcą zostać: wierzemy temu chętnie, ale w takim razie nie

możemy tego dobrze zrozumieć, dla czego polityczne równouprawnienie Czechów nie znajduje aprobaty i budzi opozycyą i musimy przypuszczać że i w tym punkcie czysto austryackiego rozumienia rzeczy, członkowie stronnictwa konstytucyjnego muszą mieć jakieś ukryte myśli, których niema niemiecka ludność ani Czech ani Morawii.

Nawet pod względem prawdziwie austryackiego nastroju, Czechy stoją bliżéj swoich niemieckich ziomków aniżeli tak zwana partya konstytucyjna, a nadzieja ostatecznego porozumienia się obu narodowości, opiéra się głównie na tém, że niemiecka ludność wyłamie się nareszcie z pod terroryzmu, który ją dotychczas czyni bezwłasnowolném narzędziem chciwéj panowania partyi konstytucyjnéj. Że taki obrót rzeczy nie należy do bezzasadnych złudzeń, wskazują bardzo wyraźnie pojedyńcze objawy rozdwojenia w łonie samego stronnictwa, które już w dwóch wypadkach doprowadziło do jawnego odszczepieństwa. Znajduje się w szeregach stronnictwa konstytucyjnego dość ludzi, którzy nie są wstanie poświęcić wszystkich swoich zasad dla żądzy panowania téj partyi i którzy nie mogą zgadzać się na wszystko co stronnictwo przedsiębiercze dla utrzymania czy też dla odzyskania swéj przewagi.

Kiedy na ostatniem posiedzeniu sejmu czeskiego (w Lipcu r. 1880), chodziło o to aby wiernokonstytucyjna większość potwierdziła swojém wotum jako rzeczywiście istniejące, rzekome „nadzwyczajne zaniepokojenie“ wywołane jakoby między ludnością niemiecką rozporządzeniem o języku z 19-go Kwietnia r. 1880, oddzielił się jeden z członków stronnictwa konstytucyjnego od swojéj partyi i głosował z Czechami w tym sensie: że rozporządzenie z d. 19 Kwietnia r. 1880 o języku, nie dało zgoła powodu do jakiegobądź zaniepokojenia między niemiecką ludnością w Czechach.

Kiedy w wiedeńskiéj Radzie Państwa (w Maju r. 1881), odbywało się głosowanie nad przedstawioném przez rząd prawém o utworzeniu uniwersytetu czeskiego w Pradze, i kiedy stronnictwo konstytucyjne, mimo pojednawczych przyrzeczeń, postanowiło *per majore* głosować przeciw projektowi, odzieliło się trzech wiernokonstytucyjnych od swego stronnictwa i głosowało z prawicą za utworzeniem uniwersytetu czeskiego, bo nie mogli uczucia sprawiedliwości poświęcić dla interesu partyi.

Takich ludzi znajduje się jeszcze dosyć, i to właśnie między wykształconemi Niemcami, dla których zasady prawdziwego liberalizmu, nie są tylko pustémi słowami i którzy nie poprzestają na wypowiadaniu tych zasad w pięknie brzmiących frazesach, lecz są tego zdania, że je odpowiedniemi czynami stwierdzać należy.

Stronnictwo konstytucyjne ma wprawdzie pretensyą reprezentować prawdziwy liberalizm i prawdziwy humanitaryzm, ale w stosunku do narodu czeskiego musi się zawsze wyprzéć zasad liberalizmu, jeżeli chce osiągnąć swój właściwy cel—zabezpieczenie wyłącznego panowania w Austryi.

Jak dalece stronnictwo konstytucyjne może, w samolubnym interesie żądzy panowania, oddalić się od zasad swego rzekomego liberalizmu, dowodzą prawie codziennie wiedeńskie téj partyi organa, mianowicie „Neue freie Presse", „Deutsche Zeitung" i „Wiener algemeine Zeitung", które prześcigają się w lżeniu narodu czeskiego i w tym kierunku dochodzą do rzeczy nieprawdopodobnych. Gdybyśmy rzeczywiście tacy byli jakimi nas te dzienniki przedstawiają, nie byłoby przewrotniejszego i nędzniejszego od nas narodu na całéj kuli ziemskiéj. Że takie systematyczne znieważanie narodu należącego do monarchii austryackiéj możliwe jest właśnie w stolicy, w głównéj rezydencyi tego państwa i że jest przez rząd milcząco tolerowane, jestto niewątpliwie objaw osobliwszy, nad którym powinniby zastanowić się statyści austryaccy i o którym to i owo dałoby się powiedziéć. My patrzymy na to zachowanie się prasy wiedeńskiéj dość obojętnie, bo wiemy po pierwsze, że mimo to zostaniemy zawsze tém czém jesteśmy, i ponieważ w ogóle mamy to przekonanie, że gminne wymyślanie, musi dowodzić nie gminności wymysłów, lecz gminności wymyślającego. Nadto, jedna jeszcze okoliczność pomaga nam do znoszenia nawałnicy olbrzymich napaści prasy wiedeńskiéj, mianowicie rozważanie znanego: *Omne nimium nocet*, a tu szkoda nie jest po naszéj stronie: brutalstwa bowiem wiedeńskich dziennikarzy nie znajdują upragnionego oddźwięku w sercach naszych niemieckich ziomków, w których naturalnie przeważa uczucie, że jesteśmy takimi ludźmi jak oni, i że mamy to samo narodowe i polityczne prawo do bytu jak oni. Przetrwaliśmy już niejedno, przetrwamy jeszcze i to osobliwsze wiedeńsko-austryackie dziennikarstwo.

Są w dziejach ludzkości pewne prądy, które nie dadzą się powstrzymać samolubnemi interesami koteryi, ani politycznemi intrygami stronnictw, a do takich należy niewątpliwie prąd naszych czasów, pod działaniem którego muszą się urzeczywistnić i praktycznie ziścić zasady prawdziwego liberalizmu, te zaś zasady są w rezultacie niczém innem jak zastosowaniem prawdziwego chrześciaństwa i są proste i łatwe do zrozumienia.

W zasadzie „Nie czyń drugiemu co tobie nie miło" zawiera się jedyne liberalne, humanitarne rozwiązanie wszelkich pozornie zawikłanych spraw politycznych, narodowych, społecznych i międzynarodowych. Egoizm osobisty i samolubstwo stronnicze, *które w właściwém*

świetle rozważane jest zawsze egoizmem osobistym, jako jedyna przeszkoda, musi być naturalnie usunięty i stłumiony.

Od tego ostatecznego celu ludzkich dążeń, o którym ten i ów słucha pokręcając z powątpiewaniem głową, jak o ideale, i my tu w Czechach jesteśmy jeszcze bardzo oddaleni. Szczegółowe przedstawienie naszych walk politycznych najlepiéj by to wykazało; ale właśnie ta niezaprzeczona nędza teraźniejszości, wytwarza dla każdego myślącego człowieka konieczną potrzebę ideału na przyszłość, jeżeli tylko nie chce duchowo zatonąć w materyalistycznym pesymizmie.

W ostatnim moim liście opisałem przebieg naszéj walki o narodowe i polityczne odrodzenie aż do początku posiedzenia sejmowego 1880—1881 r. t. j. do listopada 1880 r. Rozpoczynam więc od ostatniego posiedzenia sejmu wiedeńskiego, z którego, naturalnie, to tylko przytoczę, co się do tych walk naszych odnosi.

Znany już jest czytelnikom *Ateneum* wniosek Wurmbranda dotyczący mowy urzędowéj w Austryi i wniosek Herbsta co do języka czeskiego w urzędach.

Oba wnioski odesłane zostały 4 grudnia 1881 r. komisyi złożonéj z 24 członków, która wprawdzie ukonstytuowała się jeszcze w grudniu 1880 r., ale dopiéro w lutym 1881 r. odbyła pierwsze swoje posiedzenie, a nieprędzéj jak 6-go kwietnia załatwiła się z jednym z wniosków a mianowicie z wnioskiem doktora Herbsta.

Sprawozdanie tak zwanéj „komisyi językowéj“ o wniosku Herbsta, jest już wydrukowane i znajduje się w rękach posłów sejmowych. Zredagował je z wielką jasnością i znajomością rzeczy sprawozdawca kawaler v. Havelka c. k. radca trybunału krajowego w Pradze.

Przedstawiwszy losy języka czeskiego w urzędzie, od XV wieku, mniéj więcéj tak jak je w VI liście podałem, sprawozdawca mówi:

„Ze wszystkich przytoczonych dotąd przepisów prawnych okazuje się jasno i niezbicie, że tak w ogólnéj organizacyi sądowéj jak w rozporządzeniach późniéj wydanych i mających moc prawa, wyrażenia: *język w kraju używany i język krajowy* używane były w prawodawstwie w jednakowém znaczeniu, że zatém użyte w § 13 ogólnéj organizacyi sądowéj wyrazy: „*język używany w kraju*“ w prowincyach korony czeskiéj, obejmuje oba języki, czeski i niemiecki.

„To zastosowanie wyrazów „*język krajowy*“ i „*język w kraju używany*“ w jednakowém znaczeniu utrzymane jest także w nowszych czasach w patencie z 27 grudnia 1852 r., Nr. 260 Dziennika Praw i z 1-go stycznia 1860 r., Nr. 3 Dziennika Praw, według pierwszego ogłaszanie praw państwowych i rozporządzeń władz krajowych ma

się odbywać *w językach krajowych*, według drugiego, *w językach w kraju używanych.*

„Wprowadzone dopiéro w ostatnich czasach, przez przeciwników zrównania języka czeskiego z niemieckim w rządzie i w urzędzie, tłómaczenie § 13 ogólnéj organizacyi sądowéj, według którego wyrażenie *„używany w kraju“* ma znaczyć *używany w okręgu* czyli, że pod wyrazami *„język używany w kraju“* należy rozumiéć mowę używaną nie w granicach kraju lecz w granicach *okręgu* utworzonego przy podziale kraju w celach administracyjnych, ale nie zachowanego w chwili dekretowania ogólnéj organizacyi sądowéj,—jest pod względem językowym niemożliwe do utrzymania, z uwagi zaś na § 437 ogólnéj organizacyi sądowéj, wzbronione i przeciwne przepisanym paragrafami 6 i 7 ogólnego kodeksu cywilnego prawidłom tłómaczenia praw.

„Lojalne przeprowadzenie przepisów prawnych o równouprawnieniu języków: czeskiego i niemieckiego w sądach i w urzędzie w krajach korony czeskiéj, wymagało naturalnie znajomości obu języków u wszystkich urzędników.

„W tym celu rząd oddawna nalegał, ażeby urzędnicy w Czechach i Morawii władali obydwoma *„językami krajowemi*,“ a zatém i czeskim.

Odpowiednie prawa przytoczone są w sprawozdaniu, które kończy się temi słowy:

„Równouprawnienie języków: czeskiego i niemieckiego w sądach i w urzędzie, w Czechach i w Morawii przebiegiem wieków rozwinięte i wyrażonemi prawami stwierdzone, nietylko nie było cofnięte zasadniczém prawem państwa z 21 grudnia 1867 r. ale zostało raczéj w artykule XIX dobitnie uznane i zagwarantowane.

„Jeżeli teraz porównamy literę i ducha kwestyonowanego rozporządzenia ministra z 19 kwietnia 1880 r. z przedstawionemi tu i od wieków aż do dziś trwającemi normami prawnemi co do równouprawnionego użycia języków: czeskiego i niemieckiego we wszystkich sądach i urzędach w Czechach i w Morawii, będziemy musieli uznać, *że rozporządzenie pod względem prawnym nie zawiera nic nowego i że nie sprzeciwia się żadnemu z praw obowiązujących.*

„A ponieważ rząd w celu zapewnienia prawidłowego wykonywania praw, oraz w widokach powstrzymania wdzierających się nadużyć i bezprawiów, ma z mocy swego powołania nietylko prawo ale i obowiązek, wydawać rozporządzenia *w granicach praw obowiązujących*, więc wydanie rozporządzenia o języku bynajmniéj nie przekroczyło tych przysługujących rządowi attrybucyj.“

Komisya stawia zatém wniosek, ażeby Izba deputowanych uchwaliła przejście do porządku dziennego co do wniosku d-ra Herbsta.

W kwestyi wniosku hr. Wurmbranda o wyniesieniu języka niemieckiego do godności *austryackiego języka państwowego*, „komisya językowa“ nie wydała dotąd żadnéj uchwały i nie wyznaczyła żadnego sprawozdawcy.

Przedewszystkiém wypadałoby tu rozważyć, dla których krajów austryackich projektowane prawo miałoby być obowiązującém, w takim razie sam wnioskodawca przyszedł by do przekonania, że nie dla królestwa węgierskiego, nie dla Galicyi ani dla Dalmacyi.

Na jakie trudności natrafi takie prawo, można już łatwo wnosić z rozpraw Komisyi nad wnioskiem, szczególniéj z posiedzenia jéj z 2 kwietnta 1881 r., które tu, ze względu na szczególnie zajmujący charakter téj sesyi, według korespondencyi Rady Państwa, *in extenso* przytaczam:

„Na dzisiejszém posiedzeniu komisyi językowéj, na którém obecni byli: prezes Ministrów hr. Taaffe i minister sprawiedliwości dr. Prażak, odbywały się w dalszym ciągu rozprawy nad wnioskiem deputowanego hr. Wurmbranda.

„Deputowany hr. Wurmbrand powtarza swoję interpelacyą do rządu: jaką rząd zajmie pozycyą względem jego wniosku, tyczącego języka państwowego?

„Deputowany dr. Trojan (Czech) zastrzega się z góry przeciwko uznaniu jakiegoś języka za język państwowy, ponieważ według art. XIX zasadniczego prawa, wszystkie używane w prowincyach austryackich języki używają zupełnego równouprawnienia.

„Prezes ministrów, hr. Taaffe: Najprzód nastręcza się wogole do rozważenia pytanie, czy w obecnéj chwili można uważać za rzecz na czasie wniesienie takiego projektu do prawa. Rząd wychodzi z tego stanowiska, że w takim tylko razie można by taki krok uważać jako na czasie będący, gdyby przedtém nastąpiło porozumienie między różnemi narodowościami i politycznémi stronnictwami. Projekta któreby przeszły poprostu z poprawkami większością parlamentarną, nie mogłyby być uważane za zbawienne dla interesów ogółu. Czy zaś teraz nadeszła już chwila, w któréj możnaby mówić o porozumieniu między stronnictwami i narodowościami, to muszę zdać na sąd wysokiéj komisyi; z tego też powodu inicyatywa nie może wyjść od rządu.

„Minister rozbiera następnie wniosek przedstawiony przez hr. Wurmbranda i robi uwagę, że należałoby przedewszystkiém zbadać: czy wniosek dałby się wyprowadzić z brzmienia art. XIX prawa za-

sadniczego, a wtedy nastręczy się najprzód pytanie: co dep. hr. Wurmbrand rozumie pod wyrażeniem „język państwowy.“ Są w téj kwestyi różne zapatrywania; możnaby naprzykład mieć na myśli język władz; ale jest-to język urzędowy albo raczéj język służbowy. Ustanowienie języka urzędowego jest atrybucyą władzy wykonawczéj i należy do sfery rozporządzeń. Rzeczą jest rządu regulować język służbowy według zasad upraszczania interesów, taniości i t. p. stosownie do potrzeb prowincyj i ludności. Istnieją téż w téj materyi różne rozporządzenia dla rozmaitych krajów.

„W intencyi zarówno obecnego jak dawniejszych rządów, leżało zawsze uwzględnienie tych rozmaitych potrzeb i tym sposobem w pojedyńczych prowincyach rozwinęły się różne języki służbowe np. w Tyrolu, w Istryi i w Galicyi. Ale w tym razie pod wyrażeniem języka państwowego, nie może być rozumiany język służbowy.

„Nastręcza się więc pytanie, czy język państwowy ma to samo znaczyć co język rady państwa, ale w takim razie nie ma potrzeby wydawać oddzielnych przepisów, bo w Radzie Państwa rozprawy prawie bez wyjątku prowadzą się po niemiecku; język niemiecki służy ogólnie do parlamentarnego porozumiewania się, jakkolwiek dozwoloném jest w Radzie Państwa używać innego języka. Manipulacya w niemieckim języku w Radzie Państwa nie zostaje téż w związku z art. XIX zasadniczego prawa państwowego. Kwestya językowa nie powinna tu być wynikiem sporu między narodowościami, ale przeciwnie tworzyć ma węzeł łączący do porozumienia się między niemi. Trudno byłoby mocą prawa ustanowić jeden język jako urzędowy, bo nie możnaby tego pogodzić z brzmieniem artykułu XIX. Faktycznie potrzeba jest prowadzić w jednym języku rozprawy w parlamencie; ale zdaje się, że fakt nie potrzebuje już być ustanowiony prawem.

„Daléj trzebaby koniecznie zapytać, czy pod językiem państwowym nie ma być rozumiany język używany na sejmach? czy język niemiecki ma uchodzić za taki język państwowy dla sejmów? Minister musi to zostawić do osądzenia panom członkom komisyi, czy taki przepis prawny tyczący niemieckiego języka, jako języka pojedyńczych sejmów byłby możliwym do przeprowadzenia. Prezes ministrów stawia więc przedewszystkiém pytanie deputowanemu hr. Wurmbrand: *jak zamyśla określić pojęcie języka państwowego, w jaki sposób zamierza to pojęcie urzeczywistnić i przeprowadzając takowe w praktyce, do jakich korporacyj zastosuje?*

„Deputowany dr. Sturm (Niemiec z Morawii) uważa za stosowne na zapytanie prezesa ministrów odpowiedzieć inném pytaniem: „co p. prezes ministrów rozumie pod językiem służbowym?“

„Prezes ministrów, hr. Taaffe oświadcza, że pod językiem służbowym rozumie język, którym posługują się c. kr. urzędy i władze, ale nie ten, w którym mają być redagowane podania stron lub załatwiane przez władze sprawy między stronami; słowem prezes ministrów ma na myśli wewnętrzny język urzędowy.

„Dep. hr. Wurmbrand (ze Styryi) podnosi ważność języka, w którym rozwija się narodowość, dążąc coraz bardziéj do samodzielności. Z narzeczy powstają języki, na których następnie opiera się poczucie narodowéj samoistności. Nic nie mogłoby być dla Austryi szkodliwszego jak takie dążenie objawiające się we wszystkich kierunkach. Równouprawnienie może być rozumiane jedynie między jednakowemi siłami i dla tego, prawo winno regulować według potrzeby obieg języków stojących na różnych stopniach rozwoju. Mówca wyprowadza z samego prawa, że każdy z trzech ustępów art. XIX (1) zasadniczego prawa z 21 grudnia 1867 r. charakteryzuje rozmaite stadya językowe i zakres praw różnie rozszerza, stosownie do tego, czy ma do czynienia z językiem ludowym, z językiem w kraju używanym, czy też z językiem historycznym. Te języki nie mają bynajmniéj jednakowych do państwa pretensyj i mieć ich nie mogą. Gdyby nawet każdemu z tych języków, w granicach jego cywilizacyjnego rozwoju, miało być nadane zupełne uprawnienie, to jeszcze pozostaje szerokie pole na właściwy państwowy moment, na język państwowy, który jako wyobrażający ogólne ramy daléj sięgać musi aniżeli język krajowy w granicach prowincyi. Najważniejszémi czynnikami języka państwowego są języki: armii, najwyższych władz i służby wewnętrznéj. Ostatni wzgląd pociąga za sobą konieczność dla rządu działania nie na drodze rozporządzeń, lecz na drodze prawodawczéj.

„Co się tyczy pretensyi języka państwowego do stania się wyłącznym w monarchii, to o niéj nie może być mowy choćby dla tego,

---

(1) Uważałem za nieodzowne przytoczyć tu raz jeszcze tekst art. XIX jako ilustracyą osobliwszego dowodzenia hr. Wurmbranda.

Art. XIX. 1. Wszystkie ludy w państwie są równouprawnione i każdy lud ma nietykalne prawo do strzeżenia i pielęgnowania swéj narodowości i swego języka.

2. Równo-uprawnienie wszystkich krajowych języków w szkole, w urzędzie i w życiu publiczném jest przez państwo uznane.

3. W krajach gdzie mieszka kilka ludów, zakłady naukowe publiczne mają być tak urządzone, ażeby bez zastosowania przymusu do uczenia się drugiego języka krajowego, każdy z tych ludów znalazł odpowiednie środki do kształcenia się we własnym języku.

że prawo zasadnicze pozwala każdemu obywatelowi posługiwać się własnym jego językiem. Rząd myli się sądząc, że drogą rozporządzeń dojdzie do uspokojenia, do pojednania, bo rządy zmieniają się a z niemi zmieniają się rozporządzenia, które zawsze dadzą powód do skarg, albo do daleko sięgających pragnień narodowych.

„Dep. hr. Henryk Clam (Czechy) nie zaprzecza językowi niemieckiemu znaczenia środka jednoczącego ludność. W reprezentacyi zewnętrznéj, w armii, w organach reprezentacyjnych rady państwa, niemniéj jako wewnętrzny język urzędowy, ma swoje prawa, którym nikt nie chce zaprzeczać. Regulowanie zaś kwestyi języków sejmowych nie leży w kompetencyi rady państwa, a niemożliwym wydaje się deputowanemu projekt, posunięcia się jeszcze daléj i ogłoszenia języka niemieckiego za państwowy w stosunkach urzędów i władz ze stronami, obecna zaś chwila, jest, zdaniem jego najmniéj do tego stosowną.

„Dep. Dr. Tonkli (Słowak) uważa za bardzo pożądane wydanie rozporządzenia o języku dla trybunałów w okręgu Graz i Triest i spodziewa się, że rząd nakłoni najwyższy trybunał do wyrzeczenia się oporu przeciwko użyciu w sądach języka słowackiego.

„Dep. Prof. Czerkawski (Galicya). Wniosek Wurmbranda ma nie co innego na celu, jak przywrócenie na drodze prawnéj dawniejszego ujarzmienia narodowości a takiéj tyranii, mówca popierać nie może.

„Dep. hr. Hohenvarth (Kraina) pragnie tylko faktycznie stwierdzić znaczenie języka słowackiego, którego przed stu laty używano w sądach w Krainie, jako prawnie uznanego języka krajowego.

„Dep. Hausner (Galicya). Deputowany Wurmbrand sam wyrzekł, że język—to narodowość. Jeżeli więc pewien język ma być ogłoszony za państwowy, to będzie znaczyć nie co innego tylko, że narodowość, która się nim posługuje, wyniesiona będzie ponad inne, prawnie zupełnie zrównane narody. Byłoby to w zupełnéj sprzeczności z duchem i literą art XIX praw zasadniczych państwa.

„Na tem posiedzenie się kończy.“

Tyle sprawozdania korespondencyi Rady państwa. Pozostawiam czytelnikom sąd o tem, czy hr. Wurmbrand dał istotnie jasną i wyraźną odpowiedź na pytania zadane mu przez prezesa ministrów hr. Taaffe; ze sprawozdania jednak można już dość pewny wyprowadzić wniosek co do przyszłych losów całego wniosku, przypuszczając, że jeszcze zjawi się na porządku dziennym. Jakkolwiek już na ostatnich posiedzeniach Rady Państwa była o tém mowa w kołach parlamentarnych, że wniosek Wurmbranda nie będzie poddany pod dyskusyą w Izbie deputowanych, ponieważ, nawet lewica widziała

całą jego niewczesność, niemniéj przeto, obecnie (sierpień 1881 r.) wprowadzenie niemieckiego języka państwowego jest znowu głównym przedmiotem rozpraw dziennikarskich i zdawałoby się prawie jak gdyby całe stronnictwo konstytucyjne grupowało się dziś około wspólnego hasła: *Niemiecki język państwowy!*

W ostatnich czasach stawiano już stronnictwu konstytucyjnemu zarzut, że nie ma żadnego pozytywnego programu, że jest tylko stronnictwem przeczenia, partyą, dla któréj opozycya przeciw gabinetowi Taaffego jest sama przez się celem, wyłączającym wszelki inny program. Ten zarzut ma być prawdopodobnie teraz odpartym, słyszymy dziś bowiem i czytamy obecny program stronnictwa konstytucyjnego, wypowiedziany i wypisany jasno i wyraźnie w słowach: *niemiecka hegemonia a zatem i niemiecki język państwowy.*

Stronnictwo konstytucyjne, które już było bliskiem spadnięcia do znaczenia prostéj koteryi ludzi chciwych, a zatém i żądnych panowania, ma się teraz odrodzić jako stronnictwo *narodowo-liberalne.* Na podstawie silnie jakoby rozbudzonego poczucia narodowego, cała niemiecka ludność Austryi, ma zostać przykutą do stronnictwa i tym to sposobem koterya spodziewa się cele swoje osiągnąć.

Ażeby jednak ludność niemiecką usposobić odpowiednio do tego celu, trzeba jéj dowieść:

1-o że Niemcy są właściwemi założycielami monarchii austryackiéj, że Niemcy jedynie są filarami jedności państwa austryackiego, a zatém właściwemi wyobrazicielami idei politycznéj Austryi. Do Niemców więc należy niezaprzeczone prawo do politycznego kierownictwa w tém państwie i dla tego język niemiecki musi być językiem państwowym w Austryi.

2-o Ale przy ministeryum Taaffego, który ze swoim programatem pojednawczym, chce tylko zwieść łatwowiernych, Niemcy są faktycznie na drugi plan odsunięci, uciśnieni i przeznaczeni, szczególniéj w Czechach i Morawii, na ofiary *bohemizacyi.* Więc precz z gabinetem Taaffego i precz z Czechami!

Te myśli wypowiedziane tutaj krótko i węzłowato, powtarzają się z wszelkiemi możliwemi waryantami w przemowach różnych przywódców stronnictwa konstytucyjnego i w artykułach wstępnych dzienników téj partyi, która stara się wszelkiemi siłami wznieść na téj podstawie ogólne polityczne wyznanie wiary dla całéj niemieckiéj ludności w Austryi. Jeżeli mimo to wyraziłem nadzieję, że tu właśnie w Czechach zbliżyliśmy się do stanowczego porozumienia i pojednania z Niemcami, to nie sądzę, abym się uwikłał w sprzeczność, bo spodziewam się przekonać czytelnika, że przywódcy stronnictwa konstytucyjnego nie osiągną celu, który sobie założyli.

Weźmy najprzód *niemiecki język państwowy*. Nie mam zamiaru dowodzić tu powtórnie, że nie Niemcy założyli monarchią austryacką, ale to muszę stanowczo wypowiedziéć, że nie jedni tylko Niemcy mogą przypisywać sobie zasługę podtrzymywania téj monarchii w całości. Gdyby przyszło do tego, żeby Madiarowie, Polacy, południowi Słowianie i Rumuny nie chcieli myśléć o utrzymaniu w całości monarchii austryackiéj, to niewątpliwie Niemcy nie utrzymaliby téj monarchii, wbrew otwarcie wyrażonéj woli tych narodów. Nie należy więc robić z siebie coś ważniejszego, potężniejszego aniżeli jest w istocie, a przedewszystkiém nie trzeba stawiać aksiomatów, którym fałsz zadają dzieje i faktyczne stosunki.

Że obecnie niemiecki język jako język państwowy nie da się już wprowadzić, ani w królestwie węgierskiem, ani w Królestwie Galicyi, ani nawet w Dalmacyi, zauważyłem już przedtem; że go nie potrzeba wprowadzać w arcyksięztwie austryackiém, w Salzburgu i w Tyrolu—to wiadomo każdemu kto wie, że te prowincye, oprócz tyrolskiego Trentino, są krajami zupełnie niemieckiemi. W Styryi, Krainie i Karyntyi niebezpieczeństwo zagrażające żywiołowi niemieckiemu nie jest znowu tak wielkie. Pozostają więc Czechy i Morawia jako terytoryum, dla którego właściwie ma być potrzebne prawne ustanowienie języka niemieckiego jako państwowego, w celu zabezpieczenia w tych krajach na podstawie prawnéj uprzywiliowanego stanowiska Niemców.

Według planu stronnictwa konstytucyjnego, nadanie niemieckiemu językowi charakteru państwowego, ma podnieść Niemca w Czechach i w Morawii do godności prawdziwego, właściwego obywatela austryackiego, przy którym Czech będzie tylko tolerowany, jako tubylec faktycznie tam osiedlony. Niemiec byłby w takim razie uważany dla swego niemieckiego języka, który miałby wyłączny przywilej języka państwowego, za wyłącznie do służby państwowéj uzdolnionego, nie z tytułu posiadania potrzebnych wiadomości lub umysłowego uzdolnienia, ale na zasadzie języka którym mówi. Niemiec byłby w takim razie zupełnie jak dawniéj *Civis romanus*—właściwym *civis austriacus*; jego tylko język byłby w użyciu w urzędzie, w jego języku załatwianoby sprawy w sądach, jego język byłoby wyłącznie słychać w życiu publiczném a w końcu naturalnie, w jego języku udzielanoby publiczną oświatę, bo Niemiec nie miałby potrzeby uczyć się jakiegobądź innego języka, mogąc żądać, aby każdy nie niemiec, którýby chciał głos podnieść w publiczném życiu, przyswoił sobie język niemiecki. Wszelki handel prowadziłby się wkrótce tylko w niemieckim języku, jako ściśle związanym z urzędem i z sądem i wkrótce doszłoby do tego, że Czech nie mógłby ze swoim językiem

pokazać się w żadnym sklepie. Wtedy byłby osiągnięty właściwy cel niemieckiego stronnictwa konstytucyjnego, uprzywiliowane stanowisko Niemców w Czechach i w Morawii byłoby uratowane i możnaby radykalnie zaradzić zczeszczeniu Austryi.“

Ale czy taki cel jest rzeczywiście do osiągnięcia, dziś, w drugiéj połowie XIX stulecia? Chciéć być jednocześnie liberalnym i ujarzmiać całe narody, reprezentować humanitaryzm i jednocześnie eskamotować całym narodom naturalne prawa człowieka—jest-to zadanie, oczewiście nad siły austryackiego stronnictwa konstytucyjnego. Chciéć tak tłómaczyć art. XIX zasadniczych praw państwa, że polityczne równouprawnienie wszystkich austryackich ludów, to znaczy właściwie: podnieść język niemiecki na podstawie prawnéj do znaczenia języka państwowego, jest-to arcydzieło interpretacyi, na które nie zdobędą się panowie z partyi konstytucyjnéj. Mówią oni wprawdzie, że to wszystko nieodzownie jest potrzebne do utrzymania monarchii austryackiéj; ale niestety, najgorliwsi z tych panów już się wygadali, że to jest nieodzownie potrzebném dla utrzymania uprzywiliowanego stanowiska Niemców w Czechach i w Morawii, a na to musi im odpowiedziéć każdy uczciwy Niemiec w Czechach i Morawii, że jest wielka różnica między temi dwoma nieodzownemi koniecznościami i że on sam, nie czuje się zgoła ani uprawnionym ani powołanym, do przerobienia swego słowiańskiego ziomka na obywatela drugiéj klasy. Stronnictwo konstytucyjne zapisuje jako artykuł swego nowego politycznego programatu, coś, czego, po pierwsze, nie zdoła przeprowadzić i za co, powtóre, nie zjedna sobie ani niepodzielnych sympatyj, ani ogólniejszego współdziałania Niemców w Czechach i w Morawii, a tém mniéj w całéj Austryi.

Drugi punkt programu: *precz z Taaffem*, nie jest właściwie żadném nowém hasłem bojowém partyi, która się sama zwie jedynie uzdolnioną do rządzenia, choć temu jéj twierdzeniu sam sposób prowadzenia opozycyi przeciwko Taaffemu wyraźny kłam zadaje. Opozycya, która nie tylko uważa się za zdolną do rządzenia, ale nawet jak właśnie partya konstytucyjna, śmielsze głosi twierdzenie, że jest w Austryi *jedynie* do rządów uzdolnioną, powinnaby mieć zawsze przed oczyma złote prawidło: *Est modus in rebus*; tymczasem *modus*, którym nasza partya konstytucyjna już od dwóch lat prowadzi opozycyą przeciwko gabinetowi, jest dla każdego myślącego człowieka wymownym dowodem, że ta partya jest właśnie niezdolną do rządzenia, niezależnie od faktu, że właśnie przed dwoma laty, po dwunastoletnich rządach, dostatecznie przed całym światem dowiodła swéj nieudolności do dalszego prowadzenia spraw państwa. Systematycznem występowaniem przeciw wszelkiéj jakiejbądź

czynności rządu, odmawianiem budżetu, dziecinném łżeniem pojedyńczych ministrów, konspiracyami z galeryową publicznością przeciwko Izbie deputowanych, wiązaniem się z warcholskiemi żywiołami ulicy, przeciwko własnym kolegom, nie dowodzi żadna partya swego uzdolnienia do rządów, bo tu właśnie da się zastosować złota zasada: *Est modus in rebus*!

Hr. Taafe postawił sobie za zadanie pojednać zwaśnione narodowości w Austryi i każdéj z nich zapewnić te prawa i swobody, których może się domagać na gruncie konstytucyi. Tak zwane stronnictwo konstytucyjne, które samo sobie powinno było postawić za zadanie, nietylko przeprowadzić istniejącą konstytucyą a zatem i art. XIX zasadniczych praw państwa, ale przeprowadzić to wszystko w sposób najliberalniejszy, bo przecie chce wyłącznie reprezentować nowoczesny liberalizm, ta partya ma teraz dla *polityki pojednawczéj* dla *programatu pojednawczego* hr. Taafego, tylko żarty i szyderstwo; a kiedy już, agitacyami i podżeganiami dokazała tego (jak to daléj zobaczymy) że Czechy i Niemcy za łby się wzięli, wtedy nie wstydzi się tryumfująco całemu światu głosić: „oto macie owoce pojednawczéj polityki hr. Taafego.“

Ale dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie, a ten dzban którym niemiecka partya konstytucyjna chce czerpać z mętów niższych namiętności tłumów, rozbije się niewątpliwie, mógłbym nawet twierdzić że już jest pęknięty. Stronnictwo konstytucyjne postawiło obecnie wszystko na jednę kratę i na tę kartę nie wygra. Jéj hasło bojowe: „hr. Taafe jest przeciw Niemcom, więc do szeregów wszyscy Niemcy w Austryi i pomóżcie nam obalić Taafego,“ zawiera w pierwszéj części oczywistą nieprawdę, a z oczywistemi fałszami nie można przypisywać sobie zdolności rządzenia. Hr. Taafe nie jest wrogiem Niemców, bo sam jest Niemcem; ale hr. Taafe jako minister Jego c. k. mości cesarza austryackiego, jest przedewszystkiém austryakiem, i ma silne przekonanie, że w monarchii austryackiéj niemiecka hegemonia nie jest potrzebną, a panowanie samolubnéj koteryi wiernokonstytucyjnych, zupełnie jest zbyteczném, a nawet szkodliwém.

Ponieważ więc wielu Niemców w Czechach rozumie, że gabinet Taafego nie jest bynajmniéj nieprzyjaźnie dla Niemców usposobiony, a Austrya musi mieć rząd, któryby umiał być sprawiedliwym dla wszystkich jéj ludów, więc téż nie uda się tak zwanej partyi konstytucyjnéj wezwać Niemców w Austryi do pospolitego ruszenia przeciwko gabinetowi Taafego, nie zdoła zatém przeprowadzić i tego punktu swego programu i musi coraz bardziéj tracić na wpływie i znaczeniu.

Trzeciego punktu: *Precz z Czechami* nie wypowiada wprawdzie urzędownie stronnictwo konstytucyjne, ale za to organa partyi, tak wyraźnie w praktyce go stosują, że można go bezpiecznie za organiczną część programu uważać. Naród czeski jest widocznie główną przeszkodą wchodzącą w drogę partyi konstytucyjnéj. Gdyby Czechów nie było, możnaby się ze Słowakami załatwić krótko węzłowato; gdyby Czechów nie było, prowincya czeska i Morawia byłyby już zupełnie niemieckie, i nie trzebaby już stawiać kwestyi, czy Niemcy mają być w tych krajach panami czy nie. Gdyby Czechy znajdowali się w tych krajach w mniejszości, wszystko mogłoby być wkrótce w porządku, bo mniejszość musiałaby się poddać większości. Otóż rzecz się ma odwrotnie, Czechy stanowią w Czechach $^3/_5$ ludności, w Morawii $^3/_4$; a pomimo to, według programu partyi konstytucyjnéj panowanie Niemców w Czechach i w Morawii ma być prawnie ustanowione i konstytucyjnie zabezpieczone. Niema więc innego środka tylko *precz z Czechami*.

Nie propaguje się wprawdzie wytępienia Czechów, na to nie pozwala humanitaryzm; ale skąpi im się tak równouprawnienia, obrzydza im się do tego stopnia dążności narodowe, poniżaniem wszystkiego co słowiańskie a wysławieniem tego co jako niemieckie ma mieć jedynie trwałą wartość, ażeby Czesi wiecznie zmuszeni byli jedynie w germanizacyi widziéć ratunek i upragnione odrodzenie. W tym celu Niemcy w Czechach i w Morawii muszą przedewszystkiém być przyuczeni do pogardzania i poniewierania Czechami; każdy Niemiec powinien być do tego doprowadzony ażeby jak ten Faryzeusz w Biblii, wyrażał swoje względem Czechów uczucie w słowach. Panie dziękuję ci że nie jestem jak tamten oto...

Pod tym względem partya konstytucyjna, jéj agitatorowie i wiedeńscy w prasie stronnicy, którzy i w niemieckich miastach w Czechach godnych znaleźli naśladowców, mogą sobie przypisać zasługę, że wytworzyli takie usposobienie w wielu kołach niemieckiéj ludności w Czechach; i co do tego nie trzeba uwodzić się złudzeniami, bo istotnie pierwszym objawem tak zwanego niemiecko-liberalnego nastroju jest wyraźna niechęć dla Czechów (1).

---

(1) Kąpielowa gazeta „Karlsbader Badeblatt" N. 102 z 27 Sierpnia r. 1881 zawiera następujący artykuł:

„*Czesi w Karlsbadzie*. Pewien tutejszy nieskazitelny obywatel, który dotychczas z zasady nie prenumerował „Politika" (niemiecki dziennik Czechów wychodzący w Pradze) ani nie gryzmolił nic na nowych dziesięcio-guldenowych banknotach (na tych banknotach z tekstem niemieckim po jednéj a madziarskim po drugiéj stronie dopisywano lub dodrukowywano w Czechach *plati deset zlatych*), ani téż nie bił niemieckich studen-

Ale właśnie w tém znalazło się lekarstwo na złe już wyrządzone przez agitatorów partyi konstytucyjnéj w Czechach i w Morawii. Nie każdy Niemiec w tych krajach zdolny jest obudzić w sobie takie niemiecko-narodowe usposobienie, którego pierwszym, zasadniczym warunkiem jest nienawiść i pogarda dla Czechów. Zobopólne węzły pokrewieństwa i przyjaźni zbyt są różnorodne, zetknięcie w publicznem obcowaniu zbyt wielostronne, a umysłowe wykształcenie Niemców stoi na zbyt wysokim stopniu, ażeby mogli ze ślepą powolnością i niewolniczém posłuszeństwem przyjmować wszystko i czynić wszystko co im partya konstytucyjna narzucić chce jako sprawę stronnictwa, lub do czego ich wezwie w interesie stronnictwa. Kiedy spalił się narodowy teatr czeski w Pradze, wielu Niemców przysłało nam składki na odbudowanie, a wiedeńska „Neue freie Presse" spóźniła się z dowodzeniem, że właściwie porządny Niemiec nie powinien tego robić.

Stronnictwo konstytucyjne widzi w Czechach jedynie przeszkodę, i najchętniejby ją pragnęła usunąć, ale bardzo wielu Niemców w Czechach i w Morawii, mimo karność stronniczą, któréj się poddali, widzą tylko bratni naród, który z nimi pracuje, z nimi płaci podatki i który, ponosząc z nimi razem wszelkie ciężary nakładane przez państwo, może też niewątpliwie mieć pretensyą do używania wszelkich praw zapewnionych obywatelowi każdego dobrze urządzonego państwa.

---

tów (alluzya do sprawy w Kuchelbad z 28 Czerwca r. 1881, o któréj późniéj szczegółowo mówić będę) otrzymał przed kilku dniami drukowaną odezwę która w skutku gruntownéj narady z gospodarzem domu i z kucharką okazała się czeskiem zaproszeniem na zebranie odbyte w dniu 20 Sierpnia r. b. w Hotelu „Friedrich Wilchelmsthal" przez przyjezdnych na kuracyą do Karlsbadu i mieszkających tu stale Czechów i mające niby na celu założenie czeskiéj biblioteki w Karlsbadzie. Myśl jest tak naiwna że pod nią musimy domyślać się zupełnie czego innego i nie omylimy się twierdząc że to jest początek założenia „Besedy" w mieście w którém przed rokiem odbył się wiec niemieckiego stronnictwa. Pozostawiamy chętnie krawcowi i rękawicznikowi reprezentującym tu żywioł czeski, swobodę wypłakania się pospołu z ziomkami, z wielkiego bolu nad bezustannemi wyzywaniami Niemców, ale nie przypuszczamy aby uważano miasto nasze za najwłaściwszą arenę do czeskiéj propagandy; nieco ostrożności nie zaszkodzi, jeżeli niemiecki Karlsbad, chce pod każdym względem zachować swój prawdziwie niemiecki charakter." Tyle dziennikarz karlsbadzki. Co do saméj rzeczy uczynię tu tylko uwagę że chodzi tu nie o „czeską" ale o „słowiańską" bibliotekę, w któréj mogą być reprezentowane wszystkie słowiańskie literatury ponieważ właśnie „niemiecki" Karlsbad, nic pod tym względem nie robi dla swoich słowiańskich gości kąpielowych. Sąd o takiém dziennikarstwie w miejscu, które chce mieć sławę europejskich kąpieli, pozostawiam każdemu myślącemu czytelnikowi.

Dla tego to stronnictwo konstytucyjne nie zdoła praktycznie przeprowadzić ani trzeciego punktu swego programatu działania. Partya zaś polityczna stawiająca programata nie do przeprowadzenia nie jest znowu takim strasznym przeciwnikiem, jakkolwiek zostanie niewątpliwie na długo jeszcze przeciwnikiem, niewygodnym tak dla nas, jak dla gabinetu Taafego, bo osobliwszych używa środków i dróg do osiągnięcia swego celu, lub przynajmniéj do pomięszania szyków swemu przeciwnikowi. Można to było widziéć przy załatwianiu kwestyi uniwersytetu czeskiego i przy wyzyskiwaniu słynnych „excesów prazkich“ na cele stronnictwa.

Do rzędu narodowych pragnień Czechów należy także utworzenie czeskiego uniwersytetu w Pradze. Ministeryum Taafe okazało się skłonném, do uwzględnienia tego słusznego życzenia i chodziło tylko o praktyczny *modus*.

Taki modus praktycznego przeprowadzenia tego co naród czeski, w stosunku do kwestyi uniwersytetu uważa również za postulat poręczonego w art. XIX równouprawnienia narodowego, był naturalnie od dawnego czasu przedmiotem gorących rozpraw w czeskich kołach, a szczególniéj między czeskimi profesorami uniwersytetu prazkiego. Po nowém wejściu czeskich deputowanych do rady państwa (w Październiku r. 1879), a mianowicie po wręczeniu znanego memoryału czeskich deputowanych do Rady państwa, prezesowi ministrów hr. Taafe (na początku r. 1880), rozprawy te nabrały praktycznego znaczenia i skierowały się ku dotykalnemu celowi, przez odpowiednie rokowania posłów czeskich z gabinetem, których ostatecznym wynikiem było odręczne pismo cesarza z d. 11 Kwietnia r. 1881 a następnie dwa projekta rządowe w sprawie Uniwersytetu Karola Ferdynanda przedstawione Radzie państwa w Maju r. 1881.

Listem odręcznym do ministra oświaty rozkazuje cesarz ażeby uniwersytet prazki składał się odtąd z dwóch uniwersytetów z językami wykładowemi niemieckim i czeskim i żeby oba uniwersytety nosiły wspólną nazwę Carolo-Ferdinandea. W uniwersytecie z czeskim wykładem mają być otwarte od 1 Października r. 1881 dwa fakultety: filozoficzny i prawny.

Co do egzaminów urzędowych, Jego cesarska mość poleca ministrowi oświaty zaproponować takie normy, któreby dawały rękojmię, że nikt z uczących się w uniwersytecie z czeskim wykładem nie będzie mógł wstąpić do służby publicznéj, nie wykazawszy doskonałéj znajomości języka niemieckiego, jak również wprawy we władaniu nim. Nadto poleca się ministrowi poczynić stosowne kroki do przepro-

wadzenia powyższych środków jak również do nadania téj sprawie biegu zgodnego z konstytucyą i do przedstawienia odpowiednich wniosków.

Oba projekta rządowe (prawo tyczące uregulowania stosunków prawnych i porządku studyów na c. k. Uniwersytecie w Pradze i prawo tyczące dodatkowego kredytu 23 ooo fl.) muszą być uważane jako wynik porozumienia się rządu z Czechami. Pierwotnie zgodzono się na to, że utworzenie uniwersytetu czeskiego w Pradze dokonaném będzie drogą prostego rozporządzenia; ale ponieważ stronnictwo konstytucyjne oświadczyło w ostatniéj chwili, że będzie głosować za odpowiedniém prawem, więc wybrano drogę prawodawczą dlatego, że szczególniéj sfery rządowe łudziły się nadzieją, iż tym sposobem można będzie przyczynić się do załagodzenia narodowych waśni w Czechach. Nikt wtedy nie przypuszczał, ażeby ta gotowość stronnictwa konstytucyjnego mogła być tylko fortelem wojennym i wyłącznym celem przeszkodzenia projektowi czeskiego uniwersytetu.

Oba projekty rządowe wniesione były do Rady Państwa 16 maja 1881 r., 17-go maja wydrukowano je i rozdano, a 19 maja odbyło się pierwsze czytanie, po którém pierwszy projekt odesłany był do komisyi oświecenia, drugi do komisyi budżetowéj do przygotowawczego przedyskutowania i sprawozdania.

Poniżéj zestawiam pierwotny projekt rządowy i poprawione prawo, takie jakie wyszło z przygotowawczych obrad komisyi oświecenia, następnie zaś wyłuszczę odpowiednie uwagi:

Projekt rządowy.	*Wniosek komisyi oświecenia.*
Prawo z... tyczące uregulowania stosunków prawnych i porządku studyów w Uniwersytecie Karola Ferdynanda w Pradze.	Prawo z... tyczące c. k. Uniwersytetu Karola Ferdynanda w Pradze.
Za zgodą obu Izb Rady państwa, uważam za stosowne rozkazać co następuje:	Za zgodą obu Izb Rady Państwa, uważam za stosowne rozkazać co następuje:
§ 1.	§ 1.
Fundusz korporacyjny należący do prazkiego Uniwersytetu Karola Ferdynanda lub do pojedyńczych fakultetów, stanowić ma, od chwili kiedy utworzone	Od początku zimowego semestru 1881—1882 r. istnieć będą w Pradze dwa uniwersytety, mianowicie: „c. k. niemiecki uniwersytet Karola Ferdynanda“

będą pod jedną nazwą *Carolo-Ferdinandea* dwa uniwersytety: jeden z niemieckim, drugi z czeskim wykładem, wspólne mienie obu uniwersytetów czy też odpowiednich fakultetów.

i „c. k. czeski uniwersytet Karola Ferdynanda.“

Na niemieckim uniwersytecie, wyłącznie wykładowym językiem jest niemiecki, na czeskim — czeski. Używanie łacińskiego języka pozostaje w dotychczasowéj rozciągłości.

Oba uniwersytety są pod względem pomieszczenia oddzielone i mają odrębną organizacyą i oddzielny zarząd.

§ 2.

Od tego samego czasu, oba uniwersytety mają być uważane za równouprawnione pod względem fundacyj, w myśl których zarząd, rozdawnictwo lub prawo prezenty, przysługuje senatowi akademickiemu lub oddzielnym kolegiom profesorskim, wszakże o tyle o ile akty fundacyjne nie zawierają przeciwnych rozporządzeń.

Przepisy szczegółowe co do sposobów korzystania ze wspólnych praw przysługujących obu uniwersytetom co do zarządu, rozdawnictwa i prezenty w takich fundacyach, wydane będą przez ministra oświecenia po uprzedniém porozumieniu się z obu uniwersytetami.

§ 2.

Profesor lub prywat docent może należyć tylko do jednego z dwóch uniwersytetów.

Student może być zapisany tylko do jednego z dwóch uniwersytetów, ale może także w drugim uniwersytecie uczęszczać na prelekcye w charakterze nadzwyczajnego słuchacza, jeżeli słucha przynajmniej połowy godzin w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany. Prelekcye słuchane w innym uniwersytecie, mogą mu być tak liczone, jak gdyby na nie uczęszczał w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany.

§ 3.

Studyujący nie może być jednocześnie w obu uniwersytetach zapisany, pozwala się jednak każdemu zapisanemu w jednym uniwersytecie uczęszczać na pre-

§ 3.

Majątek należący do uniwersytetu prazkiego Karola Ferdynanda, ma być odtąd uważany za wspólne mienie obu uniwersytetów czy też fakultetów.

lekcye w drugim, a te prelekcye będą mu tak liczone, jak gdyby na nie uczęszczał w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany.

§ 4.

Ministrowi wyznań i oświaty poleca się wykonanie tego prawa.

Co się tyczy fundacyj, których administrowanie, rozdawnictwo lub prezentacya przysługuje senatowi akademickiemu, rektorowi lub pojedyńczym profesorskim kolegiom, oba uniwersytety są równouprawnione, o ile akta tych fundacyj nie zawierają ograniczających rozporządzeń.

Bliższe określenie sposobów korzystania ze wspólnych praw przysługujących obu uniwersytetom, co do administrowania rozdawnictwa i prezentacyi takich fundacyj ustanowione będą przez ministra oświaty po porozumieniu się z obu uniwersytetami.

§ 4.

Powyższe przepisy prawa mają być wprowadzane w miarę funkcyonowania fakultetów uniwersytetu czeskiego.

§ 5.

Ministrowi wyznań i oświaty poleca się wykonanie tego prawa.

Do projektu do prawa dodane były dwie następujące rezolucye:

1). Wzywa się rząd c. k. ażeby istniejące przy c. k. uniwersytecie urządzenia, zbiory i Instytuta zostawił przy tych katedrach, do których były dotąd przywiązane, z wyjątkiem ogrodu botanicznego i tych klinik, które niepotrzebne są niemieckiemu fakultetowi medycznemu, a mogą być pożyteczne przy funkcyonowaniu fakultetu medycznego czeskiego uniwersytetu.

2). Wzywa się rząd c. k. aby na uniwersytecie czeskim Karola Ferdynanda w Pradze, w którym fakultety prawny i filozoficzny mają

wejść w życie od zimowego semestru 1881—1882, zarządził otwarcie fakultetu medycznego z początkiem zimowego semestru 1882—1883.

Wspomniałem już wyżéj, że stronnictwo konstytucyjne oświadczyło ogólnikowo, że jest skłonném i gotowém głosować za prawem tyczącém utworzenia uniwersytetu czeskiego w Pradze. Członkowie lewicy (czyli partyi konstytucyjnéj) powtórzyli w komisyi oświecenia tę samę deklaracyą w imieniu swego stronnictwa, ale z dodatkiem, że prawo musi w niektórych punktach uledz poprawkom, jeżeli partya ma za nim głosować.

Pierwsza poprawka, którą przedstawili członkowie stronnictwa konstytucyjnego w komisyi oświecenia, ściągała się do rozstrzygnięcia kwestyi zasadniczéj rzeczywistego znaczenia. Niemcy złożyli już dawniéj w sprawie uniwersytetu deklaracyą, że nie mieliby nic do nadmienienia przeciw utworzeniu czeskiego Uniwersytetu w Pradze, jeżeli ten uniwersytet będzie uważany za nową mającą się dopiéro utworzyć instytucyą. Według twierdzenia partyi, uniwersytet Prazki był „pierwszym uniwersytetem w Niemczech" a tém samém należy wyłącznie do Niemców. Uniwersytet zatém dla Czechów musi być utworzony przy tamtym ale bez żadnéj z nim łączności.

Czesi twierdzili przeciwnie, że uniwersytet prazki założony był przez Karola I (jako cesarza niemieckiego Karola IV) głównie dla kraju czeskiego, Czesi więc mają w tym kraju równe do uniwersytetu prawo jak Niemcy w Czechach; myśl więc utworzenia nowego czeskiego uniwersytetu przy istniejącym już niemieckim, odrzucali Czesi, wyrażając natomiast życzenie, ażeby w uniwersytecie prazkim założonym w 1348 r., przeprowadzona była zasada równouprawnienia obu mieszkających w Czechach narodowości, t. j. żeby i w tym zakładzie naukowym pierwszeństwo, albo ściśléj mówiąc uprzywiliowana pozycya niemieckiego żywiołu, ustąpiła miejsca zupełnemu zrównaniu w prawach obu narodowości. Praktyczne urzeczywistnienie tego narodowego życzenia widzieli Czesi w podwójnych kolegiach profesorskich czeskich i niemieckich, przy każdym fakultecie, z których każde miałoby całkowite prawa kolegium profesorskiego, przyczém jednak mowy nie było o rozdziale uniwersytetu, bo miał być wybierany tylko jeden rektor, w jednym roku Niemiec, w następnym Czech, a następujący rektor miał *eo ipso* pełnić w następnym roku obowiązki prorektora.

Według tego planu uniwersytet prazki stałby się szkołą wyższą odrębnego rodzaju, ale wszyscy nieuprzedzeni w téj sprawie, nawet uznane powagi między niemieckimi profesorami uniwersytetu prazkiego, wyrazili przekonanie, że urządzony w ten sposób uniwersytet prazki, w którym żywioły niemiecki i słowiański w pokojowém

współubieganiu się uprawiałyby naukę, wywierałby potężną siłę przyciągającą na całą słowiańską wschodnią Europę, na czém nawet niemieccy profesorowie, zaniepokojeni z powodu kwestyi o pieniądze za kolegia, dobrzeby wyszli.

Z § 1 projektu rządowego okazuje się widocznie, że ten plan Czechów wobec stanowczego oporu Niemców, nie mógł być w praktyce przeprowadzony i że ze względu na panujące okoliczności, starano się przez utrzymanie wspólnéj nazwy Karolo-Ferdinandea i przez legalnie stwierdzoną wspólność majątku uniwersyteckiego i fundacyj, obwarować stanowisko ciągłości prawa.

Niemieckie stronnictwo konstytucyjne, wymagało jednak jak się pokazuje z poprawionego § 1 prawa, wyraźnego wypowiedzenia rozdziału obu uniwersytetów, a szczególniéj nalegało na wprowadzenie zamiast wspólnéj nazwy, dwóch nazw c. k. *niemieckiego* uniwersytetu Karola-Ferdynanda i c. k. *czeskiego* uniwersytetu Karola Ferdynanda.

Jakkolwiek chodziło tu o zasadniczą kwestyą, w któréj Czesi zrobili już i tak daleko sięgające ustępstwa, głosowali przecież za tą zmianą, szczególniéj dla tego, że członkowie stronnictwa konstytucyjnego, oświadczyli powtórnie w imieniu swéj partyi w Komisyi oświecenia, że stronnictwo tylko w takim razie za całém prawem głosować będzie.

Gdy tak zrobiony już został pierwszy krok na drodze przyjmowania żądanych poprawek w projekcie rządowym, nie pozostało nic innego jak pójść do końca, zawsze w nadziei jednogłośnego zawotowania prawa w Izbie zebranéj w pełnym komplecie.

Zgodzono się więc ze strony Czechów na wszystkie te punkta, według których wszelki tak zwany *utrakwizm* na obu uniwersytetach miał być prawnie wykluczony i na niemieckim niemiecki język, na czeskim czeski jako język wyłącznie wykładowy, postanowiony, a żaden profesor nie miał jednocześnie należyć do obu uniwersytetów.

Przyjęto również zmianę, że każdy student słuchać ma przynajmniéj połowę godzin w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany, w którym to wniosku Niemcy powodowali się widocznie zamiarem, zmniejszenia liczby studentów zapisujących się do uniwersytetu czeskiego.

Nie sprzeciwiali się wreszcie czesi dodaniu § 4, jakkolwiek i w téj poprawce wyraźnie na jaw wychodzi intencya niesprzyjająca przeprowadzeniu całego prawa. Słowem w komisyi oświecenia Izby deputowanych, zrobiono ze strony Czechów wszystko, co można było zrobić, ażeby pozyskać dla prawa głosy całéj Izby przyrzeczone wy-

raźnie przez członków partyi konstytucyjnéj, jeszcze przy zamknięciu obrad w téj komisyi.

Poprawiony w ten sposób projekt rządowy przyszedł w dniach 3o i 31 maja 1881 r. pod dyskusyą i uchwałę.

Odczytałem właśnie uważnie w stenografowanym protokóle mowy w tych dniach wypowiedziane. Zaraz pierwszy mówca stronnictwa konstytucyjnego, baron von Scharschmid odsłonił w zupełności karty swojéj partyi i doniósł nam, że wszyscy którzy spodziewali się pojednawczego załatwienia téj sprawy, byli w grubym błędzie. Postawił i motywował następujący wniosek odroczenia.

„Projekt do prawa tyczący stosunków prawnych i porządku studyów w uniwersytecie Karola Ferdynanda w Pradze zwraca się komisyi z poleceniem przerobienia go na zasadzie rozdziału majątku, urządzeń, zbiorów i instytutów i równych praw między uniwersytetami i fakultetami, któreby w prawie szczegółowo wyłuszczone były. Jednocześnie wzywa się rząd, aby zakomunikował Izbie deputowanych całkowity plan działań, które z powodu utworzenia nowego uniwersytetu w Pradze, powinny być zarządzone.“

Przez przyjęcie tego wniosku, musiałoby naturalnie odwlec się zamierzone otwarcie dwóch fakultetów czeskiego uniwersytetu dnia 1 października 1881 r., odrzucenie wniosku wykluczało znów tyle pożądaną jednogłosność w przyjęciu całego prawa.

Zbytecznén byłoby dodawać, że gorące odwołanie się drugiego mówcy, hr. Richarda Clam-Martinica, do mniemanego pojednawczego usposobienia niemieckich deputowanych z Czech, zostało bez żadnego skutku; wszystkie dalsze mowy przedstawicieli partyi konstytucyjnéj, dostarczyły tylko dowodów, że pojednawczych intencyj z téj strony faktycznie nie ma, że członkowie stronnictwa konstytucyjnego dawali w komisyi oświaty zapewnienia, do których widocznie nie byli upoważnieni i że właściwie, przeważa w tém wszystkiém wyraźny zamiar, o ile możności do ostatniéj chwili zwlekać z utworzeniem nowego czeskiego uniwersytetu.

O wszystkich przedstawionych przez stronnictwo konstytucyjne w ciągu dwudniowych rozpraw projektach zmian, nie mam zamiaru wspominać, bo wszystkie zdążały do jednego celu, do oznajmienia, że partya konstytucyjna nie może głosować za prawem; przytaczam tylko dosłownie wniosek dep. Granitscha, jako mający odrębne znaczenie. Brzmi on jak następuje:

„§ 5. Rząd wyda rozporządzenie dające wszelką gwarancyą, że nikt, ze studyujących na uniwersytecie z czeskim językiem wykładowym, nie będzie mógł wstąpić do jakiej bądź gałęzi służby pu-

blicznéj, nie wykazawszy zupełnéj znajomości języka niemieckiego jak również wprawy we władaniu tym językiem."

Wszyscy ci, którzy uważali za zupełnie zbyteczne uznanie na drodze prawodawczéj języka niemieckiego za język państwowy, dostrzegli tu jawny zamiar wcisnąć ten przepis do prawa, w którém jest zupełnie niepotrzebnym, a nadto widzieli jawną intencyą stronnictwa konstytucyjnego, motywowania jednym argumentem więcéj faktu niegłosowania za całém prawem. I tak w dniu 31 maja 1881 r. o godzinie 2 po południu w Izbie deputowanych stracono już ze wszystkich stron nadzieję, ugruntowaną dotąd na uroczystych zapewnieniach, że zawotowanie tego prawa będzie aktem pojednawczym względem narodu czeskiego.

Posiedzenie zostało przerwane, komisya oświecenia zgromadziła się w celu naradzenia się nad wnioskiem Granitscha i przedstawienia Izbie uchwały. Po godzinnéj naradzie, sprawozdawca prof. Kurčala, w imieniu większości komisyi oświecenia postawił następujący wniosek:

„Zważywszy, że najwyższém postanowieniem z d. 11 kwietnia 1881 r. zalecone zostało rządowi wydanie takich rozporządzeń, któreby dawały rękojmię, że nikt ze studyujących na uniwersytecie z czeskim językiem wykładowym nie będzie mógł wstąpić do jakiejbądź gałęzi służby publicznéj, nie wykazawszy zupełnéj znajomości języka niemieckiego jak również zdolności władania tym językiem; i w nadziei, że rząd c. k. wypełni to najwyższe zlecenie, jak mu to obowiązek nakazuje, wysoka Izba przechodzi co do wniosków dep. d-ra Granitscha do porządku dziennego."

Wniosek powyższy przyjęto bez rozpraw.

Pojedyńcze paragrafy projektu do prawa i obie rezolucye były również przyjęte, a sprawozdawca prof. Kurčala zaproponował zaraz trzecie odczytanie, które uchwalone zostało żądaną większością dwóch trzecich, poczém nastąpiło sławne owo ostateczne głosowanie.

Na ławach lewicy (stronnictwa konstytucyjnego) pokazało się wiele luk, bo ten i ów wyszedł; prawica była w komplecie.

Za prawem w trzeciem czytaniu głosuje cała zwarta prawica (Czesi, Polacy i partya Hohenwartha), Rusini i czterech członków klubu postępowego wbrew wyraźnemu tego klubu postanowieniu. Partya konstytucyjna głosuje przeciw, a z nią i członkowie komisyi oświecenia, którzy w imieniu całego swego stronnictwa dawali najuroczystsze przyrzeczenia.

Następnego dnia 1 czerwca Izba deputowanych została odroczona na czas nieograniczony.

Stronnictwo konstucyjne dopięło tym sposobem swego właściwego celu: projekta do prawa tyczącego utworzenia uniwersytetu czeskiego w Pradze, zostały niezałatwione, a zatém i samo otwarcie uniwersytetu musiało być odłożoném. Podejrzliwi ludzie z naszego obozu chcieli w tém widzieć potajemne porozumienie gabinetu Taaffego z partyą konstytucyjną; ja, nie mogę podzielać tego poglądu.

My Czesi, doszliśmy wśród tych okoliczności do głębokiego przekonania, że na pojednawcze usposobienie partyi konstytucyjnéj liczyć nie możemy; w tém przekonaniu mieliśmy wkrótce jeszcze bardziéj się utwierdzić i to w taki sposób, że nie można już było wątpić o nieprzejednanym téj partyi nastroju.

Przystępuję do tak zwanych „prazkich excessów“ z końca czerwca 1881 r., zostają bowiem w tak ścisłym związku ze sprawą uniwersytetu czeskiego, że można prawie stanowczo twierdzić, iż kwestya uniwersytetu czeskiego jest właściwą przyczyną excesów w Pradze w dniach 28 i 30 czerwca 1881 r.

Łatwo pojąć, że kwestya utworzenia uniwersytetu czeskiego, puszczona w obieg w 1880 r. a na wiosnę 1881 r. blizka rozstrzygnięcia, najwięcéj obudziła niepokoju w kołach niemieckich profesorów prazkiego uniwersytetu. Trzy względy odgrywały tu ważną rolę: 1-o nieprzyjemne dla wszystkich uszczuplenie honoraryów za kolegia; 2-o interesa stronnicze chciwéj panowania partyi konstytucyjnéj i po 3-cie interes ogólno-niemieckiéj agitacyi, uważanéj za misyą narodową między dość licznymi na uniwersytecie prazkim profesorami niemieckimi z cesarstwa niemieckiego (13 na samym fakultecie filozoficznym). Przez cały ten czas profesorowie niemieccy, obok redagowania memoryału do rządu, pracowali gorliwie nad obudzeniem między niemieckiemi studentami niechęci i oporu przeciwko utworzeniu uniwersytetu czeskiego. 13-go lutego 1881 r. na koncercie niemieckiéj studenckiéj korporacyi Teufonia, prof. Willkom wzywa niemieckich studentów do obrony mieniem i krwią niemieckiego charakteru uniwersytetu w Pradze i piętnuje dążenia Czechów słowami: *narodowe zuchwalstwo.* 27 czerwca 1881 r. na koncercie korporacyi Austrya, o któréj jeszcze późniéj będzie mowa, a zatém w wigilią fatalnego 28 czerwca, kiedy nareszcie osiągnięto to, co chciano osiągnąć, dr. Neuwirth chwali niemieckich studentów za to, że nie krępowali się niczém w wyrażeniu swego przekonania, że charakter czcigodnéj *alma mater* jest i musi pozostać niemieckim, *jeżeli ma służyć za przybytek wiedzy i obyczajów studentów.*

Jaki miał być związek między nauką a studenckiemi obyczajami—tego nie wiem; ale co wtedy znaczyły w Pradze te studenckie obyczaje, świadczy najlepiéj następujący artykuł prazkiéj gazety „Politik“ z d. 22 czerwca 1881 r.

„*Skandale uliczne.*“ Od kilku dni powtarzają się w naszém mieście skandale, których początek przypisać należy stanowczo prowokacyom niemieckich studentów, tak zwanych kolorowych studentów, albo „Burszów.“ Bez wszelkiego powodu i z niewątpliwą intencyą ci skandaliści niepokoją i znieważają spokojnych przechodniów, z czego wynikają zbiegowiska i hałaśliwe sceny. Jest widoczny systemat w tych excesach, panowie bursze pracują z polecenia i mamy tu oczywiście do czynienia z częścią téj pozaparlamentarnéj akcyi, która była zapowiedzianą w przeszłym roku, kiedy centralistyczni posłowie wyjechali z Wiednia, a następnie manifestowała się słynnémi sejmikami, których obecnie nie zapowiadano publicznie, ażeby módz działać tém gwałtowniéj, bo nie byłoby znowu bardzo chlubném dla stronnictwa, powierzyć działanie polityczne rozbawionym studentom i jeszcze przyznawać się do tego pośrednictwa. Panowie bursze nic téż innego nie robią, tylko to co w przeszłym roku robili p. p. deputowani, przenoszą warcholstwo na ulicę, spokojnym przechodniom wytrącają parasole z ręki, znieważają innych słowem i czynem, słowem niczego nie zaniedbują w celu wywołania skandalu ulicznego. Zamiar zbyt jest widocznym, ażeby go zaraz nie dostrzedz, chodzi o zdyskredytowanie Pragi przez powtarzające się ekscesa, o osławienie naszéj stolicy jako ogniska demonstracyj i o zapełnienie dzienników skargami, na ucisk i niepokojenie Niemców.

W obec tego możemy tylko doradzać publiczności, ażeby na żadne prowokacye nie zważała, aby na nie odpowiadała milczeniem pogardy, na którą zasługują, a ukrócenie nadużyć pozostawiła władzom, których zadaniem jest czuwać nad spokojnością i bezpieczeństwem publiczném.

Jako ilustracyą powyższego, przytaczam tu jeden tylko fakt, stwierdzony przez wiarogodnego świadka (deputowanego czeskiego d-ra Podlipny). Dziesięciu czy dwunastu widocznie pijanych burszów przechodzą około północy z hałasem, bijąc kijami w pozamykane drzwi sklepowe przez *Wassergasse* i plac Ś-go Wacława na Graben. Tam stają w szeregu przed pałacem hr. Nostitza i krzyczą na całe gardło: Patrol, patrol! Kilku przechodniów przypatruje się temu widokowi, w końcu nadchodzi i patrol policyjny, a pp. bursze domagają się od niego obrony przeciw „prześladującéj“ ich publiczności.

Tym sposobem rozdrażnienie przeciwko niemieckim studentom, *nie przeciwko Niemcom wogóle*, doszło między czeską ludnością Pragi do wysokiego stopnia, ponieważ zresztą wiedziano powszechnie, że ci panowie korzystają z każdéj sposobności, aby okazać swoję pogardę dla słowiańskiéj narodowości. Jeden z „burszów“ publicznie wyprowadził na przechadzkę swego psa z przyczepionemi do ogona

trój kolorowemi słowiańskiemi barwami, na wstążce na któréj były wypisane słowa „czeski pies.“

Wskutku niezmordowanych usiłowań niemieckich profesorów, studenci uniwersytetu prazkiego rozdzielili się na dwa przeciw sobie występujące, jaskrawo wyodrębnione narodowe obozy, a czescy studenci wiedzieli bardzo dobrze, że niemieccy ich koledzy byli równie przeciwni utworzeniu czeskiego uniwersytetu jak niemieccy profesorowie.

27-go Czerwca niemiecka korporacya studencka „Austrya“ obchodzić miała 20-sto letnią rocznicę swego założenia. Dyrektor policyi prazkiéj, rozważywszy słusznie panujące stosunki i dobrze świadomy tego, że w Pradze powszechnie obwiniano o to policyą że przy wszystkich excessach niemieckich studentów zawsze bierze ich stronę, nie chciał pozwolić na uroczysty pochód niemieckich studentów, c. k. namiesnictwo dało nań swoje przyzwolenie. Pochód odbył się 27 Czerwca wieczorem z tém większą okazałością. Studenci niemieccy jechali w 30 blizko otwartych fiakrach w galowych strojach przez zupełnie niepotrzebne zakręty (z „Ferdinandstrasse“ przez „Obstgasse“, „Graben“ znów na „Obstgasse“ i „Ferdinandstrasse“, przez Nadbrzeże „Karlgasse“ „Hussgasse“ do konwiktu) do miejsca zgromadzenia, gdzie zebrał się tłum w części zaciekawionego w części rozdrażnionego ludu, który musiał być usuwany przez policyą, co naturalnie kosztowało wiele czasu i zachodu.

Komers odbył się bez przeszkody, ale usposobienie niemieckich studentów, roznamiętniło się jeszcze bardziéj obecnością niemieckich profesorów.

Na czwartek, 28 Czerwca, zaprojektowano wycieczkę korporacyi Austrya statkiem parowym do oddalonéj od miasta na godzinę drogi, miejscowości spacerowéj *Kuchelbad*, któréj nazwa z powodu wydarzonych tam w tym dniu wypadków nabrać miała smutnego rozgłosu. Niemieccy studenci w liczbie 50 wyjechali o 10-téj zrana do Kuchelbad. Przy odjeździe ich nic się nie wydarzyło. Na statku chcieli wywiesić niemiecką flagę, ale jéj zapomnieli.

Z naszéj strony stała się rzecz godna pożałowania że „Narodni listy“ umieściły tego samego dnia ogłoszenie zwracające uwagę zarówno treścią jak miejscem w dzienniku: „Dziś popołudniu rendez-vous w Kuchelbad, kto może niech przyjeżdża do 4-téj, parowce szrubowe kursować będą całe popołudnie.“

Tego samego 28 Czerwca mężowie zaufania deputowanych sejmu i Rady państwa, do których i ja też należę, zgromadzeni byli u dr. Riegera, radzili nad sytuacyą i nad tém co możnaby zrobić aby przeszkodzić starciu, które widocznie chcieli wywołać nasi przeciw-

nicy aby je przeciw nam wyzyskać; uznali, że o wpół do dwunastéj w południe niepodobna powstrzymać następstw, rozpowszechnionego od rana po całém mieście inseratu „Narodnich Listów" i postanowili nareszcie wysłać deputacyą do namiestnika i do dyrektora policyi, z prośbą aby władze usiłowały o ile możności zapobiedz starciu, które z naszéj strony bynajmniéj nie było pożądaném.

Tymczasem w Kuchelbad studenci niemieccy spożywali bez przeszkody, obstalowany obiad. Kiedy około 2 po południu ukazali się tam czescy studenci a z niemi czeska publiczność, kilku studentów niemieckich pojechało fjakrem do Pragi, do Namiestnictwa i prosili o zbrojną pomoc. Około 6 stawił się w Kuchelbad, wysłany w tym celu komisarz okręgu Smichowskiego, Hruby z 6 żandarmami do których, dopiéro około 8-éj z oddalonego Königssaal przybyło jeszcze 12 żandarmów.

Przez cały ten czas nie stało się nic niepokojącego. Niemieccy studenci siedzieli pod zakrytą werendą gdzie im przygrywała muzyka; całą pozostałą przestrzeń w ogrodzie, zapełniała publiczność czeska w ilości około tysiąca ludzi, pomiędzy którymi niewiele więcéj czeskich studentów aniżeli niemieckich pod werendą; około 8-éj przyłączyła się do tłumu niewątpliwie żądna awantury młodzież z całéj okolicy. Przed werendą stało w szeregu 18 żandarmów.

Do 7-éj wieczorem nie przyszło właściwie do niczego nadzwyczajnego. Po siódméj wstali czescy studenci i reszta publiczności ze swoich miejsc i zaczęli śpiewać z odkrytemi głowami hymn austryacki.

Ponieważ niemieccy studenci pod werendą nie zwracali uwagi na tę manifestacyą, kilku czeskich studentów prosiło obecnego już z 6 żandarmami komisarza Hruby, ażeby wezwał niemieckich studentów do śpiewania wspólnie z czeskimi hymnu austryackiego. Komisarz nie mógł naturalnie nic innego zrobić jak uchylić się od tego żądania. Mimo to studenci czescy wraz z zresztą publiczności czeskiéj powtórzyli hymn znów bez udziału niemieckich studentów. Pod werendą musiały tymczasem odbyć się jakieś narady, których rezultatem były nareszcie dźwięki hymnu austryackiego. Czescy studenci podnieśli się natychmiast ze swoich miejsc, a z nimi i reszta publiczności i w potężnym chórze zabrzmiał hymn narodowy austryacki, pod werendą po niemiecku, w ogrodzie po czesku. Nie jeden czeski student śpiewał go wtedy z sercem przepełnioném krzepiącém przeświadczeniem, że się także przyłożył do demonstracyi polityczněj wielkiego znaczenia.

Komisarz Hruby, mając już przy sobie swoich 18 żandarmów, uznał chwilę za stosowną do zapobieżenia dalszym zawikłaniom; bo

już dawał się czuć wpływ zawadyackich żywiołów, z ostatnich szeregów czeskiéj publiczności, szklanki i butelki leciały na werendę. Czescy studenci oddalili się po dokonanéj z powodzeniem demonstracyi. Około 8-éj wieczorem komisarz wezwał niemieckich studentów, ażeby jeszcze przy dzienném świetle oddalili się pod jego opieką, ponieważ przy zapadającéj ciemności, niebędzie w stanie dać im téj opieki. Niemieccy studenci odpowiedzieli, że statek obstalowali na 9-tą i będą czekać na przybycie parowca. Komisarz podjął się telegrafować do Pragi po nadzwyczajny pociąg, który za kilkanaście minut mógłby być na miejscu. Nie przyjęto téj propozycyi. O 9-téj kiedy przyszła wiadomość, że statek przypłynął, studenci wyruszyli w drogę. Hruby sformował swoją kolumnę. Ale studenci niemieccy chcieli wziąść stołki, aby się bronić przeciw temu co mogło się stać w ciemności. Gospodarz oparł się temu żądaniu, a tym sposobem wymarsz spóźnił się i kolumna rozbiła się.

Połowa studentów niemieckich doszła z żandarmami do parowca. Na odchodzących rzucono kamieniami, które kilka osób trafiły, a między innemi komisarza w nogę. Tego czynu ulicznego brutalstwa nikt nie zechce usprawiedliwiać. Jedyne ważniejsze zranienie Niemca Pieka w głowę, było jak się zdaje spowodowane raczéj nieostrożnym skokiem i upadkiem aniżeli kamieniem.

Druga połowa niemieckich studentów rozproszyła się w dzikiéj ucieczce na obrośnięte lasem stoki gór za restauracyą, biegła nie ku miastu, lecz w stronę przeciwną, przepędziła noc w różnych miejscowościach, i nazajutrz dopiéro powróciła do Pragi.

Faktem jest że studenci czescy, właściwie nie mieli udziału w excessach w Kuchelbad i że nie było tam żadnéj bijatyki ani sporu między czeskimi i niemieckimi studentami.

Przybywających statkiem do Pragi niemieckich studentów przyjęły przy debarkaderze tłumy wzburzonego ludu, z krzykiem za niemi podążyły, a na powóz w którém jechali ranni rzucano jakoby kamieniami.

Chcąc skończyć odrazu z opisaniem „prazkich excesów“ dodaję to co wydarzyło się 30 czerwca wieczorem.

Na ulicach Pragi zgromadziły się tego wieczora w znacznéj liczbie żywioły, które przy wszystkich rozruchach w wielkich miastach główną odgrywają rolę. Te żywioły chciały też mieć udział w studenckiéj awanturze. Wzburzone tłumy hałasowały bez celu i myśli po różnych ulicach, a każde aresztowanie przysparzało tylko spektatorów. Po dziewiątéj godzinie straż w całym komplecie wyruszyła ażeby raz koniec położyć niedorzecznym burdom, patrole z wystawionemi bagnetami interweniowały tu i owdzie. Tłumy cią-

gnęły przed niemi i krzycząc demonstrowały przed niemiecką czytelnią i niemieckiém kasynem. Niema wątpliwości że to był gmin czeski bo innego w Pradze niema, a i w tym czeskim gminie jest także poczucie narodowe. W końcu tłum taki obległ teatr niemiecki, w którym tego wieczora nie grano i wybił kilka szyb. Ale i tu straż wdała się z całą energią, a po 10-téj widać już było na ulicach tylko przechodzące patrole. Aresztowano blizko 20 osób—i żadne inne nieszczęście nie zdarzyło się.

„Do tego redukują się obiektywnie przedstawione excessa w Pradze.“

W całéj téj sprawie niema nic nadzwyczajnego. Sprzeczki, a nawet bardzo krwawe bójki studentów uniwersyteckich z miejskimi filistrami lub z wiejskimi mieszkańcami z okolic, są rzeczą dość zwyczajną w środkowéj Europie a nawet w Anglii. W Pradze, niemiecka burszerya miała do spełnienia pewne zadanie co nadaje prazkim excessom odrębne znaczenie. *Praga jest miastem niemieckim*,— takie było hasło stronnictwa konstytucyjnego aż do spisu ludności w r. 1880. Gdy jednak mimo wymyślony przez tę partyę podział ludności według „mowy potocznéj“ znalazło się w Pradze 140.000 mieszkańców z czeską mową potoczną, a tylko 30.000 z niemiecką, trzeba się było uciec do innego środka, ażeby utrzymać się przy niemieckim charakterze Pragi. Więc od r. 1880 „*Praga jest niemieckiém miastem uniwersyteckiem* stało się znów hasłem partyi, a bursze niemieccy postawili sobie za zadanie nałożyć na czeskich filistrów, jarzmo swoich „studenckich obyczajów“ jak to się dzieje w Erlangen lub w Marburgu.

Faktem jest że polityczni przywódcy Niemców, podburzali do tego niemieckich studentów przy każdéj sposobności i że szczególniéj w tym czasie kiedy starcia między niemieckimi burszami a czeską publicznością zaczęły być chronicznemi, nic nie czynili dla pohamowania studentów. Faktem jest również że polityczni przewódcy czeskiego narodu, czeskie władze miejskie i czescy profesorowie uniwersytetu czynili wszystko dla zapobieżenia starciu. Możemy więc spokojnie zostawić sąd każdemu nieuprzedzonemu czytelnikowi o tém na kim właściwie cięży wina „prazkich excessów.“

Nie będę się nad tém rozwodzić w jaki sposób „prazkie excessa“ wyeksploatowane zostały przez stronnictwo konstytucyjne. Jawne i brutalskie lżenie narodu czeskiego w wierno-konstytucyjnych niemieckich dziennikach, dosięgło w pierwszych dniach Lipca r. 1881 niebywałéj gwałtowności. Zdawało się ze chciano moralnie zabić lud czeski pod powodzią obelżywych wymysłów. Wszelkiéj prowokacyi ze strony niemieckiéj zaprzeczano konsekwentnie i wszy-

stko co się w Pradze stało, przypisywane było tylko „głębokiéj nienawiści do cywilizacyi“, „gminności usposobień,“ „demonowi zwierzęcości“ i „twardości czeskich czaszek.“ Twierdzono, że w Pradze urządzone było systematyczne podburzanie przeciw Niemcom i jak w Paryżu w r. 1792 ozwał się przy huku armat okrzyk *La patrie est en danger*, tak w Pradze szerzono między ludnością terrorystyczny popłoch wołaniem *germanizm w niebezpieczeństwie*, a niemieckie zgromadzenia polityczne przygotowywały do alarmowego strzelania ciężkie naboje różnych rezolucyj.

Zgromadzenie konstytucyjne Niemców w Czechach uchwaliło 2 lipca następującą rezolucyą:

„Obelgi i czynne znieważanie Niemców w publicznych miejscach, powtarzające się ciągle w ciągu ostatnich dni, a przedewszystkiém prześladowanie i czyny brutalnego, krwawego gwałtu spełnione na niemieckich studentach przez fanatyków narodowych, narażają na szwank wolność obywatelską, i osobiste bezpieczeństwo mieszkańców stolicy tego kraju należących do niemieckiéj narodowości. W tym stanie rzeczy, stawiamy żądanie, ażeby Niemcom zapewniona była ta skuteczna opieka prawa, którą każde uorganizowane państwo pamiętające o wytkniętych sobie wyższych celach obowiązane jest dać swoim obywatelom. Takie żądanie jest tém bardziéj usprawiedliwione i naglące, że ze strony Niemców nie było nawet cienia przyczyny do tych gwałtownych napaści i że prawdziwéj do nich pobudki szukać należy wyłącznie w otwartéj do Niemców nienawiści. Wszelkie oskarżenie o ciążącą jakoby na nas winę wyzwania, odtrącamy z oburzeniem, powołując się na wiadome powszechnie fakta, jako tendencyjne fałsze i obłudną retorykę,—chyba że wyzwanie w tém by się miało zawierać, że jesteśmy Niemcami, po niemiecku mówimy i Niemcami się nazywamy. Pod tym względem oświadczamy stanowczo że żaden jakibądź przymus nie zdoła nas zachwiać w naszych narodowych i politycznych zasadach, których tém silniéj się trzymamy że ostatnie wypadki, wymownie nas oświeciły, czego lud czeski spodziewać się może, dla swoich narodowych i obywatelskich praw i interesów, od panowania czeskiego prawa. Wytrwamy zgodnie w walce za niemieckie prawo, za niemiecką cześć, wierni sobie i naszym plemiennym braciom!“

Profesor uniwersytetu Kick, w mowie motywującéj tę rezolucyą nacechował „zachowanie się niemieckich studentów (jako) pełne taktu, nieporównane i szlachetne.“

4-go Lipca w Niemieckiém kasynie zabrało się 79 deputowanych z Czech do sejmu i rady państwa, i uchwaliło“ manifest do ludu niemieckiego w Czechach“ który wydrukowany był w dziennikach

niemieckich, w dniu 5 lipca skonfiskowany przez władze. Było to, o ile wiem, wezwanie, do narodowéj walki, wołanie o pomoc dla uciśnionych współplemiennych, wystosowane do wielkiego niemieckiego narodu nie w spokojnym języku statystów, ale w namiętnym, rozdrażnionym i drażniącym stylu.

Odpowiedź na te niemieckie manifestacye, wyszła już 3o czerwca od saméj „Bohemii“ organu niemieckiéj partyi konstytucyjnéj w następującéj notatce:

„Słynny mikroskopista Wilh. Schubert z Drezna pisze do jednego, tutejszego naturalisty. Chętnie byłbym moje muzeum wystawił w Pradze, Miałem zamiar udać się teraz do Pragi i do Wiednia. Ale wszyscy znajomi nie radzą mi jechać do Pragi jako Niemcowi, i z tego powodu inną wybiorę sobie drogę.“ „Jakkolwiek tutejsze wypadki mogą być godne pożałowania, to przecież obawa znajomego p. Schuberta jest przesadzoną może on spokojnie ze swojém muzeum przyjechać do Pragi.“ Tak się odezwała „Bohemia“ w dwa dni po sprawie Kuchelbadu.

Bezpośrednią odpowiedź na rezolucyą niemieckiego zgromadzenia konstytucyjnego dał 5 Lipca „Cesky klub“ w przeciwrezolucyi przezemnie zredagowanéj, umotywowanéj i jednogłośnie przyjętéj, którą w znacznéj części poniżéj przytaczam.

„Ze względu że podobne twierdzenia (zawarte w rezolucyi niemieckiéj) mogą i muszą być tak tłómaczone jak gdyby czesko-słowiańska ludność stolicy Pragi a nawet czesko-słowiańska ludność całego kraju przejęta była *otwartą nienawiścią do Niemców* i z uwagi na fakt, że szczególniéj w ostatnich czasach, nie zdarzały się żadne starcia ani spory między niemiecką a czesko-słowiańską ludnością Pragi „Cesky klub“ oświadcza, że takie twierdzenie nie odpowiada prawdzie i że całe opłakane rozdrażnienie ostatnich czasów, nie odnosiło się bynajmniéj do Niemców wogóle, ani nawet do niemieckich studentów, ale wytworzyło się wyłącznie z powodu niemieckich burszów, którzy już od dawnego czasu nocnemi awanturami, zaczepianiem spokojnych przechodniów i wyzywającém obejściem wystawiali na ciężką próbę cierpliwość czeskiéj ludności.

„Zważywszy daléj, że rezolucye podobne do uchwalonéj w dniu 2 lipca r. 1881, przez „zgromadzenie konstytucyjne Niemców w Czechach“ nie mogą mieć innego celu jak rozdrażnienie niemieckiéj ludności przeciwko czesko-słowiańskiéj, „Cesky klub“ oświadcza: że potępia to tendencyjne podburzanie narodowości i mimo wszelkich politycznych walk nieprzestanie dążyć do przyjaznego stosunku z niemiecką ludnością kraju.

„Zważywszy wreszcie że wszelkie podobne rezolucye, jak się to ukazuje z mów wypowiadanych 2 lipca r. 1881, skierowane są w rezultacie przeciw gabinetowi Taafego „Cesky klub“ oświadcza: że pojednawczy program hr. Taafe, którego nie chce zrozumiéć partya konstytucyjna i zbywa go szyderstwem i ironią, jest programatem prawdziwéj austryackiéj polityki, bo w dziejach nie jest znane takie państwo, któreby wzniosło się do potęgi lub nawet istniéć mogło niezgodą między swémi ludami.“

Mamże przytaczać inne jeszcze niemieckie rezolucye z tego czasu sądzę że nie,—bo w nich niema nic nowego.

Partyą konstytucyjną odprawiono w Wiedniu z kwitkiem a i w Berlinie nie znalazła posłuchu. Hr. Taafe uchwycił dobrą sposobność ażeby najgorliwszego stronnika partyi konstytucyjnéj, barona Webera, usunąć ze stanowiska namiestnika w Pradze i te ważne obowiązki powierzyć feldmarszałkowi Krausowi (rodem z Pardubic), który cieszy się zupełném zaufaniem Jego cesarskiéj mości i swoją ścisłą bezstronnością zasługuje téż na zaufanie obu narodowości mieszkających w Czechach. Odręcznym listem cesarza z 5 lipca r. 1881, mianowany został Namiestnikiem w Pradze Prezes najwyższego sądu wojennego, F. M. L. kawaler Alfred von Kraus, a do „Czasu“ zatelegrafowano z Wiednia z dobrze poinformowanego źródła: „Opozycya może przywdziać żałobę. Wypadki w Pradze, zamiast obalić gabinet Taafego, wyszły mu tylko na pożytek. Szturm wiernokonstytucyjnych nie udał się oczywiście i umocnił tylko pozycyą tych przeciw którym był wymierzony. Możemy jeszcze dodać że urządzona przez lewicę agitacya *ułatwiła nominacyą pożądanego dla rządu namiestnika Czech.*“

Namiestnik Czech nie staje już na przeszkodzie porozumieniu się i pojednaniu dwóch narodowości mieszkających w téj prowincyi, partya konstytucyjna w swojéj nowéj „agitacyi oburzenia“ zapędziła się daléj, aniżeli mogli za nią pójść rozważniejsi pomiędzy naszymi niemieckimi ziomkami; teraz spalił się nasz teatr narodowy, a ludzkie uczucie litości zbliżyło do nas naszych niemieckich ziomków więcéj aniżeli to wypadało z planów i życzeń koteryi konstytucyjnéj—mamy więc najlepsze nadzieje.

Dziś właśnie kiedy kończę ten list, czytam w „Politiku“ artykuł z „korespondencyi austryackiéj“ wychodzącéj w Würzburgu pod natchnieniem hr. Taafego artykuł brzmi:

„Jeżeli opozycya stronnictwa konstytucyjnego, niema innéj podstawy do swéj namiętnéj walki, jak mniemane prześladowanie Niemców, *ową śmieszną bajkę*—w takim razie, nieszczególnie stoją jéj inte-

resa. Niemiecko-liberalna partya zrobiła *fiasco* na ekonomicznem polu. Liść po liściu opada z jéj drzewa, w krótce zaprezentuje się światu w całéj nagości i nie będzie mogła zaprzeczyć, że nigdy jéj o nic innego nie chodziło tylko o władzę, o panowanie o samolubne cele. Nie wątpimy o tém, jak już wyżéj się powiedziało, że powiedzie się dzieło pojednania, jeżeli tylko względem wszystkich austryackich ludów przeprowadzane będzie systematycznie i bez zboczenia z drogi prawa i sprawiedliwości."

Na to odpowiadam z całego serca: *Amen*!

Dr. Gabler.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Otto Sjögren. Johann Reinhold Patkul. (Osobne odbicie ze sztokholmskiéj „Historiskt Bibliotek" 1880. (p. 353—456).

Rozprawa Sjögrena o znanym awanturniku J. R. Patkulu, opiera się częściowo na niedrukowanych źródłowych materyałach, znalezionych w szwedzkiém archiwum państwowém, a jakkolwiek przedmiot nie zupełnie wyczerpany, co przy dzisiejszym stanie badania nie należy do rzeczy łatwych, jednakże rezultaty, do których autor doszedł, wpłyną niezawodnie na stanowczą zmianę sądu o téj postaci. Wielu nowszych historyków, nawet szwedzkich, zostając mniéj lub więcéj pod wpływem pism obrończych, ogłoszonych przez samego Patkula lub jego przyjaciół—chciało go przedstawić jako męczennika prawa, jako szermierza rzekomych inflanckich dążeń do niepodległości. Autor wykazuje, że takiéj partyi w Inflantach wcale nie było, lubo rzecz oczywista, że przeprowadzenie redukcyi tak samo w Inflantach, jak nawet w Szwecyi wywołało zacięty opór ze strony właścicieli ziemskich. Ale właśnie jak w Szwecyi, tak i w Inflantach mogła się Korona oprzéć na sympatyach przeważnéj części zarówno mieszczaństwa, jak szlachty, która téż szukała najczęściéj karyery w szwedzkiéj służbie państwowéj. Chociaż wielu z niechęcią znosiło surowe rządy Karola XI, to jednak i ci z małemi wyjątkami dalekimi byli od myśli oderwania się. Zatarg pomiędzy Koroną a rycerstwem powstał po części z różnego tłómaczenia przywilejów, po części z usiłowań pewnego odłamu szlachty, dążących do tego, aby na miejsce porządnéj, sprężystéj władzy, złożonéj z urzędników, przywrócić stare, anarchiczne rządy junkrów, n. p. przez ustanowienie wydziału krajowego, któryby z władzami publicznemi wprost współzawodniczył. Było to naturalném następstwem danych

stosunków, że podobne dążności bezwzględnie tłumiono; działo się to jednak tylko na podstawie istniejącego i przez wszystkich uznanego prawa. Nawet obrońca Patkula, sławny niemiecki jurysta, Thomasius, musiał przyznać, że w procesie jego o zdradę stanu prawo szwedzkie było kompetentne, a uczynione przezeń na korzyść oskarżonego konkluzye, polegają jedynie na nieznajmości albo mylnéj interpretacyi tego prawa, jak to autor stwierdza w sposób przekonywający, na podstawie obszernych, dotąd przechowanych aktów procesu.—Na domiar złego jeszcze jako żołnierz (był kapitanem) stał się Patkul winnym ciężkich przestępstw dyscyplinarnych, a rząd szwedzki był w tym razie tém mniéj do pobłażania skłonnym, że obwiniony z podwładnymi sobie żołnierzami i chłopami (nawet kobiétami), jak widać z przechowanych zażaleń, postępował niemiłosiernie i okrutnie.

Wyrok zatém ze stanowiska prawnego był zupełnie sprawiedliwym, a fakt, że został spełniony literalnie, nie należy poczytywać za objaw prywatnéj zemsty Karola XII, rzecz jasna, że późniejsze zachowanie się winowajcy nie mogło króla usposobić do złagodzenia surowéj kary. Można wydać pochlebny sąd o zdolnościach Patkula jako dyplomaty w polskiéj i rosyjskiéj służbie, ale nie należy mu przypisywać wyższych celów, jak innym współczesnym awanturnikom, którzy zabłyśli na dyplomatycznéj arenie. Nie powiodło mu się wywołać anti-szwedzkiego ruchu w Inflantach, a jego polityczne zabiegi były raczéj osobistéj, niż inflancko-narodowéj natury. Zresztą niejeden szczegół publicznego zawodu Patkula nie został do téj pory dostatecznie wyjaśniony, a rozprawa Sjögrena wytknęła sobie tylko skromne zadanie dostarczenia kilku przyczynków do jego historyi, za co téż należy się autorowi szczere uznanie.

Lwów, 28 września 1881 r. *Dr. Harald Hiärne.*

Sprawozdanie powyższe wyszło z pod pióra uczonego Szweda, który je napisał na prośbę moję specyalnie dla *Ateneum*, bezpośrednio przed wyjazdem do Moskwy. Profesor Hiärne jest może jedynym szwedzkim historykiem, umiejącym po polsku (wiemy natomiast o szwedzkich filologach, znających nasz język) i korzystającym z łatwością z polskich źródeł, nawet ze starych rękopisów; wartoby aby i nasi badacze XVII i XVIII w. zapoznali się z mową narodu, z którym w przeszłości łączy nas tyle, niestety po największéj części przykrych i bolesnych wspomnień, a u którego obecnie moglibyśmy znaleść nieocenione skarby dziejowych materyałów, zwlaszcza gdybyśmy władali jego mową. Należy żałować, że nieznajomość języka utrudnia nam czerpanie z tak ważnego źródła historycznego, a zarazem

wypada korzystać skwapliwie z łaskawego pośrednictwa d-ra Hiärne, który się podjął uprzejmie dawać w pismach naszych zwięzłe sprawozdania z najnowszych dzieł historycznych swego kraju, szczególniéj takich, których treść mniéj lub więcéj odnosi się do dziejów Rzeczypospolitéj.

Szanowny uczony spełniając dane przyrzeczenie, napisał słów kilka o rozprawie Ottona Sjögrena; my z naszéj strony pozwalamy sobie uzupełnić jego referat, zwracając uwagę czytelników na nieobojętne dla naszéj historyi dodatki źródłowe, ogłoszone przez szwedzkiego historyka, a mianowicie na niemieckie listy Patkula. Jest ich w ogólności trzy: jeden do Piotra W., dwa do jego kanclerza— wszystkie pisane w r. 1705, niedługo przedtém, zanim słynny awanturnik dostał się do więzienia. Pisma te zostały przejęte przez Szwedów, nie ma ich zatém w archiwum drezdeńskiém, jak widać z zajmującéj rozprawy K. Jarochowskiego p. n. *Katastrofa Patkula*, drukowanéj w *Ateneum*, do którėj odsyłamy każdego, ktoby chciał poznać sam przebieg i związek wypadków.

List do Piotra, datowany 8 sierpnia 1705 r. (nowego stylu) z oddalonéj o trzy mile od Drezna Miśnii, przepełniony jest oskarżeniami, zwróconemi przeciw Augustowi II, z powodu jego ówczesnych starań o zawarcie z Karolem XII osobnego pokoju na niekorzyść Rosyi. Mówi w nim Patkul: że już pod dniem 25 maja donosił ostrożnie o niebezpiecznych knowaniach króla polskiego, o których go uwiadomił król pruski, i prosił Piotra o pozwolenie, aby mógł udać się do jego rezydencyi i ustnie wszystko wyjawić, bo trudno to uczynić listownie. Żądane pozwolenie otrzymał 21 czerwca z tym jednak dodatkiem, aby albo sam przyjechał, albo téż, ponieważ rzecz nie cierpi zwłoki, wyprawił na bezpiecznéj drodze szczegółowy piśmienny raport, który téż przesyła obecnie przez kapitana Ferbera, załączając dla dowodu sporządzoną przez samego ministra pruskiego Ilgena, kopią pisma, wyekspedyowanego z kancelaryi saskiéj do Karola XII w dniu 29 października 1704 r. Prosi przytém o najściślejszą tajemnicę, bo czuje, jak mówi, że mógłby życiem przypłacić swą śmiałość. Zaręcza, że pragnąłby co rychléj opuścić Saksonią, gdzie musi drogo wszystko opłacać, podczas gdy w Polsce nie płaciłby ani szeląga (!), lecz mając tylko sześć tysięcy ludzi, a będąc otoczony saskiemi wojskami, nie podobna by mu było przedrzéć się tak daleko, podczas gdy bez trudności mógłby ujść na terytoryum cesarskie, gdyby się Piotr zdecydował oddać tę garść żołnierza na tymczasowe usługi cesarza niemieckiego. Celem wspomnianego powyżéj aktu kancelaryi saskiéj, złożonego z 10 punktów, jest zawarcie pod gwarancyą Francyi zaczepno-odpornego przymierza pomiędzy królem

szwedzkim a Augustem II. Wyznaje w nim król polski, że mógł bronić Karolowi XII przeprawy przez Wisłę, mógł daléj przyczynić się do zdobycia obleganego przez Patkula Poznania, ale nie uczynił tego; oszczędzając Szwedów, w których już widział przyszłych sprzymierzeńców. 6. „Co się tyczy nowowybranego (Stanisława Leszczyńskiego) zechce król szwedzki zaopatrzyć go, czém mu się spodoba, na co Król polski będzie patrzył przez szpary i nie będzie się temu sprzeciwiał, coby Jmć. Król szwedzki chciał uczynić dla niego w Kurlandyi lub na Litwie...“

7. „Król polski mając słuszne powody do opuszczenia Cara, ponieważ mu tenże nie dotrzymał słowa w wielu ważnych sprawach, po zawarciu tajnego traktatu między obu królami, sam nie przekraczając Wisły, zezwoli na to, aby Król szwedzki szedł na Moskali.“

8. „Gdyby zaś Król Szwedzki chciał się zatrzymać z tamtéj strony Wisły, czy to na Litwie, czy w państwie moskiewskiém, czy w brandeburskich Prusach, Król polski, skoro traktat zostanie zawarty, nie będzie mu w tém przeszkadzał; nadto Król polski powstrzyma dziesięć tysięcy Moskali, Kozaków, saskie i polskie wojska z téj strony Wisły pod pozorem utrzymania Polski w karbach posłuszeństwa; może także odwołać z Moskwy wszystkich oficerów, bez których armia Carska nicby zdziałać nie mogła.“

Najcharakterystyczniejszym może jest ostatni punkt nie przedłożony, jakoby wprost przez króla, lecz tylko przez ministra, jak się zdaje, Fleminga. „Piszący te słowa proponuje od siebie, aby dla sprawienia przyjemności nowo obranemu (Leszczyńskiemu), dać mu brandeburskie Prusy, wyniesione do godności królestwa, zwłaszcza, że nie byłoby rzeczą trudną opanować tę prowincyą, a nie zraziłoby to wcale konfederatów, którzyby z jednéj strony chętnie patrzéli na poniżenie elektora brandeburskiego, z drugiéj zaś strony nie byłoby im miło, aby się tam usadowili północni książęta...“

Ustęp powyższy dostatecznie, jak mniemam, tłómaczy skwapliwość, z jaką w Berlinie odkrywano Patkulowi machinacye Augusta II.

Listy do kanclerza rosyjskiego noszą datę 8 sierpnia i 16 września. Nie mogąc mówić szczegółowo o obydwóch tych pismach, choć bardzo zkądinąd ciekawych, zwracamy tylko uwagę na wyjątek z drugiego, jako dodający jeden jeszcze rys do charakterystyki przeniewierczego Sasa. Patkul otrzymawszy list z doniesieniem o usiłowaniach Augusta II, mających na celu uzyskanie od Szwecyi osobnego traktatu, postarał się o doręczenie go królowi. August wezwał z tego powodu Patkula do siebie, wyparł się uroczyście wszystkiego, a nawet zasypał go tak gorącemi i szczeremi na pozór zaręczeniami

i przysięgami, że sam przebiegły i podejrzliwy Inflantczyk, wedle własnego zeznania zmięszał się i nie wiedział, co o tém wszystkiém sądzić... *Klemens Kantecki.*

Pieśni śpiewaka z nad Dniepru. Lwów. Nakład autora: 1881 (str. 194).

Autor tego zbiorku poezyj, nieznany mi z nazwiska, należy widocznie do pokolenia, którego chwile młodości dawno już minęły: widać to zarówno z własnych jego zeznań jak z upodobań i nastroju pieśni. Z lubością przypomina sobie czasy, kiedy to goniąc za „świetnemi marami" dążył nad brzegi Wilii, ażeby czerpać światło w sławnéj wszechnicy i przeciwstawia im chwile obecne, „gdy oko łzą się pławi, gdy się serce z bólu krwawi," gdy po zniknięciu wielu a wielu nadziei „ku mogile" patrzy już tylko. Wincentego Pola nazywa „kolegą" swoim, a zachwycony i porwany pięknością Mohorta odzywa się do swego niegdyś druha a potém „mistrza lackiéj pieśni", przypomina drogi „wspólnym cierniem" wysłane i prosi:

Więc daj wspólne koić rany,
Choć twa, wieszczu, sława wielka;
Nie broń dusznéj téj zamiany,
Choć ty morze, ja—kropelka!

Rodem jest śpiewak nasz z Podola; przy odczytywaniu Mohorta stanęły mu w pamięci te chwile, „gdy w szczęśliwéj dni jutrzence, pod rodzinną marzył strzechą i daleki obraz senny, jak sokoli wzrok nie sięga, stanął w myśli *gród kamienny* i *Smotrycza* modra wstęga." Wiersz do Pola pisany za życia jeszcze śpiewaka Mohorta, a już liczy nasz autor „czwarty krzyżyk prawie" od owego czasu, kiedy każdy z nich w swoję poszedł drogę. Data więc wiersza do Pola przypadłaby na rok mniéj-więcéj 1870; a jeżeli autor będąc w uniwersytecie Wileńskim, miał lat około 20; możemy wnosić, że obecnie, wydając swój zbiorek poezyi liczy „śpiewak z nad Dniepru" lat 70.

Upodobania i nastrój pieśni zgadzają się z temi kombinacyami chronologicznemi. Porwany gwałtownym a gorącym prądem romantyzmu naszego, w jego fazie po roku 1831, starał się utrzymać na wyżynach, ku którym wielki hymn romantyczny unosił.

Wysokie pojęcie o posłannictwie poetów, jako zesłańców z nieba, proroków, których znaczenie porównywa autor do olbrzymiéj budowy wszechświata, którzy pojąwszy „słowo" narodu, jego wodzami duchowemi się stają (str. 70, 71), wpływa niewątpliwie na podtrzymanie podniosłego nastroju umysłu, usuwa na bok wszelkie dro-

bne zaprzątnienia, bóle i rozkosze indywidualne, utrzymuje w pieśniarzu święty ogień zapału, chroni od zwątpienia i rozpaczy, każe ukochać cały naród jedną wielką miłością i budzić go pieśnią, żeby nie zgnuśniał;—ale równocześnie wkłada na poetę obowiązek ogarniania okiem bardzo szerokich widnokręgów, dawania narodowi rad istotnie zbawiennych, wskazywania mu drogi wiodącéj do celu najpewniéj. Takiemu zadaniu nie sprostali, jak wiemy, nawet gieniusze, a cóż dopiéro mówić o tych co zaledwie jaki-taki talent posiadają... Ci sercem tylko serca podbijać mogą; a do górnego lotu trochę przymuszać się potrzebują, bo im ani rozum wielki ani fantazya wspaniała nie dopisują. Ogólne poglądy powtarzać oczywiście muszą za mistrzami. Tak téż jest i u „śpiewaka z nad Dniepru." Zrozumiały w zasadzie, lecz niebezpieczny w konsekwencyach panegiryzm dla wszystkiego, co polskie, jest w nim za równo silnie rozwinięty, jak i u wielkich wieszczów narodu. Przeciwstawienie zimnego, obojętnego, samolubnego świata promienistemu archaniołowi, co „śród modlitwy i pracy, z mieczem na dół spuszczonym" czeka spokojnie „losów swoich od Boga" jest u niego obrazem naczelnym, przyświecającym całemu szeregowi innych, w których bohaterstwo i cnota Polski wspaniałym blaskiem jaśnieją. Swój naród stawia naturalnie śpiewak „na czele ziemskich narodów."

A Wypowiedziawszy to, co od mistrzów posłyszał i przejął, zamierzył wyśpiewać „Chwałę Polski." Pomimo szczerego uwielbienia dla Mickiewicza, przystępniejszym dla jego umysłu i łatwiejszym do naśladowania był jego niegdyś „kolega" Pol. Na sposób téż Pola, na wzór „Pieśni o ziemi" tworzy swoje zwrotki poświęcone kolejno wspomnieniom bohaterów, mocarzów pióra, pędzla i dłuta, oraz sławnych niewiast polskich. Ażeby jednak stanąć obok Pola potrzeba było mieć charakterystyczną, oryginalną dykcyą wypowiadającą samoistnie zaobserwowane rysy. Ani samoistności w uwagach, ani szczególnych zalet w ich przedstawieniu „śpiewak z nad Dniepru" nie posiada, o czém każdy ustęp jego poematu z łatwością przekonać może nawet uprzedzonych. Oto np. wszystko co mówi o panowaniu dwu pierwszych Zygmuntów:

Skąd Zygmunci dwaj powstali,
Co wiek złoty Polsce dali?
Pierwszy słusznie mądrym zwan;
Drugi orła wraz z pogonią
Pojednawczą złączył dłonią
Sercem wielki, zacny pan,

Co dotrzymał żonie wiary
I dla miléj swéj Barbary,
Panów sejmu odparł grom;
Co zachował ślub niezłomny
I dał przykład w czas potomny,
Jak uświęcić godnie dom.

Nieprawdaż, że te wiersze przypominają raczéj tak zwane *versus memoriales*, w które dawniéj ujmowano prawidła gramatyki,

arytmetyki itp. ażeby ułatwić spamiętanie ich, aniżeli rzeczywiście piękny utwór poezyi? Może jednak autor, nie posiadając talentu kreślenia charakterów politycznych, szczęśliwszy jest i bardziéj pomysłowy w sferze sobie odpowiedniejszéj, w dziedzinie wieszczów? Zapewne, rysy są tu szczegółowsze, nie tak banalne jak w kreśleniu wodzów, ale i im do wyrazistości poetyczéj jeszcze daleko. „Śpiewak z nad Dniepru“ tak np. charakteryzuje ogólnie Mickiewicza:

Aż nad inne śmielszy ptaki,
Wzbił się orzeł w owe szlaki,
Gdzie *nie doszedł* żaden ptak;
I narodu kojąc jęki
Złotą harfą sypał dźwięki,
Zwał się milion—cierpiał *tak*

Autor dziadów, w te, gdy tworzył,
Téj miłości iskrę włożył,
Co sam Stwórca w niego *wlał*;
Potém orlich skrzydeł zwrotem,
Spokojniejszym płynąc lotem
Homerowską pieśń nam dał. (str. 44)

Zacne tylko, szczere uczucie ratuje ten utwór, który ze względu na artyzm nad miarę pospolitości się nie wznosi.

Mickiewiczowi poświęca autor wiersz osobny; jest on dosyć długi, ale cechami swemi wcale się nie różni od zwrotek w „Chwale Polski.“ Słusznie autor utrzymuje, że imię tego wieszcza nie zaginie, póki serca rodaków miłością kraju bić będą, ale słowom swoim nie umiał nadać siły, są one wprawdzie stwierdzeniem tego, co wszyscy ukształceni czują i myślą, ale nie zawierają nic, coby je w pamięć tego ogółu ukształconych silniéj wrazić mogło. Takiż charakter mają wiersze na cześć Pola, Szopena i Henryka Wieniawskiego. Zbiór tych wierszy poprzedza wstęp, mający być wyrazem smutku, jakim mogiły wielkich ludzi śpiewaka przejmują. Autor sądzi, że w obecném położeniu kraju nic nie pozostaje innego „jedno płakać“ nad nim i „jak Jeremiasz nucić psalmy łzawe, leżąc na gruzach i w niezmiernym bólu.“ Dla siebie nie żąda ani lauru ani grobowca sławy, zadowolni się tém, gdy „czuły wędrowiec“ dumając nad losami kraju „szczerą łzę uroni.“ Ta skromność pragnień śpiewaka, zwłaszcza w zestawieniu z owém wielkiem posłannictwem, jakie wieszczom narodu przyznaje, świadczy dobrze o śpiewaku i serca dla niego zyskać powinna.

Połowę książki zajmują przekłady. Mamy tu „Modlitwę“ bezimiennego, „Krucyfiks“ Lamartina, „Cyganów“ i „Czarny Szal“ Puszkina, „Paryzynę“ i kilka małych wyjątków z Byrona, dwa wreszcie wiersze Schillera: „Skarga dziewczyny“ i „Rezygnacya“. Autor nie odznacza się talentem wersyfikatorskim, jak to można widzieć z przytoczonych wyżéj wyjątków; najczęściéj posługuje się rymami utworzonemi z jednakowych form gramatycznych; a choć buduje wiersze dość poprawnie i ma pewną łatwość w ich tworzeniu; nie posiada

wszakże ani jędrności ani dobitności dykcyi. Te cechy jego uzdolnienia wpłynęły ujemnie na wartość tłómaczeń. które nie mogą być poczytane za wzorowe. Nie ma w nich ani wierności co do wewnętrznéj, ani kunsztowności co do zewnętrznéj strony. Dla przekonania się o tém, porównajmy pierwszą strofkę „Rezygnacyi" Schillera. W oryginale czytamy:

Auch ich war in Arkadien geboren
Auch mir hat die Natur
An meiner Wiege Freude zugeschworen,
Auch ich war in Arkadien geboren,
Doch Tränen gab der kurze Lenz mir nur.

W przekładzie zaś:

I mnie w Arkadyi zabłysnął poranek
I mnie natura u kolebki jeszcze,
Nadziei, szczęścia zaprzysięgła *wianek*
I mnie w Arkadyi zabłysnął poranek
A gdzież są szczęścia przepowiednie wieszcze?

Gadatliwość, rozwodnienie, nieokreśloność, pytanie w miejsce stanowczego twierdzenia nie przyczyniają się bezwątpienia do wywołania silnego efektu.

Kazimierz Brodziński. Studyum przez Waleryę Marrené. Kraków, 1881, str. 71 (odbitka z „Muzeum").

Pani Marrené, znana dobrze powieściopisarka, dała się także poznać z kilku studyów literackich o „zrozpaczonych" w literaturze, o powieściach mających za przedmiot kwestyą żydowską, w „Tygodniku Illustrowanym" o „Julianie Ursynie Niemcewiczu (w dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodniowego" z r. 1880). Sposób traktowania przez nią przedmiotu znany też jest zajmującym się sprawami krytycznemi: autorce nie idzie bynajmniéj o wyczerpujące przedstawienie rzeczy, ani o monograficzną dokładność, ani o zużytkowanie nieznanego lub świeżo ogłoszonego materyału, ale głównie i przedewszystkiém o popularne a ponętne określenie czy-to obrazu jakiejś osobistości, czy też stanu jakiejś kwestyi. Nie lekceważy ona wprawdzie doniosłości mało znanych materyałów, owszem poszukuje ich, ale czyni to w sposób przygodny raczéj niż pewnym planem określony. W pracach jéj literackich nie znajdziemy wszechstronnego zgłębienia rozpatrywanych przez nią kwestyi lub osób, ale znaleść możemy niejedno rozjaśnienie, niejednę cenną wskazówkę, niejeden szczegół interesujący.

W studyum nad Brodzińskim, p. Marrené korzystała z informacyi księdza Adama Jakubowskiego, niegdyś ucznia a następnie

przyjaciela naszego Kazimierza z Królówki; ta okoliczność przyczyniła się do wypełnienia obrazu działalności Brodzińskiego jako poety i profesora kilku drobnemi wprawdzie, ale nie mniéj interesującemi i charakterystycznémi rysami. Dowiadujemy się tu np. o pierwszych młodzieńczych pracach Kazimierza, mieszczących się w zbiorze wierszy brata jego Andrzeja, daléj o wielkiéj wrażliwości śpiewaka Wiesława na krytykę, zaniechał bowiem pisania wierszy o rymie męzkim, skoro się pojawiła ich parodya w wierszu Okraszewskiego, daléj o rozdawaniu nowo wstępującym studentom mowy Brodzińskiego, o powołaniu młodzieży akademickiéj itp.

Obok tych wiadomości, popartych świadectwem spółczesnego, należy zaznaczyć jako ważną, dodatnią stronę pracy p. Marrenowéj bardzo trafną ocenę charakteru, twórczości i działalności Brodzińskiego. Nieśmiałość i łagodność w usposobieniu, zdrowy rozsądek w tworzeniu, wytrwałość w obranym kierunku działania, miłość serdeczna kraju bez zaślepienia na wady: oto cechy, które nam jasno i prawdziwie dają poznać duszę śpiewaka „Wiesława". *Z* téj trafności w przedstawieniu osoby wypłynęła słuszna w ogólności charakterystyka utworów Brodzińskiego, z którą wtedy tylko zgodzić się niepodobna, gdy autorka wbrew sobie saméj, nie bacząc co powiedziała pierwéj, nie pilnuje konsekwentnego przeprowadzenia wyników, wysnuwającyeh się z cech umysłu i charakteru Brodzińskiego.

Gdyby się autorka była dokładnie wpatrzyła w naturę tego zdrowego rozsądku, który tak słusznie za znamię umysłowości Brodzińskiego podaje, nie potrzebowałaby narzekać na nieracyonalność (str. 20) na „zupełną ślepotę", na dziwactwa, na fałszywe doktryny (str. 21) wypowiedziane przez autora rozprawy „o dążeniu literatury polskiéj", gdyż przekonałaby się, że zdania w niéj wyrażone są prostym wynikiem stanowiska zdrowego rozsądku. Z tego stanowiska muszą się wydać śmiesznemi i niedorzecznemi „ogromne literackie fabryki", a „wszystkie księgi (rozumie się czysto erudycyjne), komentarze, spekulacye filozoficzne, spory uczone" wyglądają jak „stare zbroje rycerskie, które dziś po zamkach oglądamy." Takie i tym podobne zdania nie są bynajmniéj dowodem „zupełnéj ślepoty na znaczenie umysłowego ruchu, na jego konieczność i dobroczynne działanie", nie są też wcale dowodem, „jak fałszywa doktryna obałamucić może nawet trzeźwy umysł i do jakich doprowadzić go rezultatów"; a nie są takim dowodem dlatego, że w tych zdaniach Brodziński wyraża jedynie swój wstręt do próżnych popisów z erudycyą, do pedantycznych, niesmacznych komentarzy nad głupstwami ludzkiemi a nie do „umysłowego ruchu", który wysoko cenił i własną

działalnością popierał. A że tak rzecz tę Brodziński rozumiał, najłatwiéj się przekonać z téj okoliczności, że w tym samym roku i na tych samych kartach „Pamiętnika Warszawskiego,“ na których pomieścił swe „Myśli o dążeniu polskiéj literatury“, dowodził, wobec płytkich belletrystów, w pierwszym liście o polskiéj literaturze, że nauka, prawdziwa nauka potrzebna, niezbędna jest literatowi i poecie. Brodziński cenił naturalnie przedewszystkiém *rezultaty* nauki, nie zaś środki do tych rezultatów prowadzące, a ze względu na stosunkowo nizki stan oświaty w kraju, popierał to, co bezpośredni pożytek dla téj oświaty przynieść mogło. „Ścisłe nauki—pisał B. mniéj szkody poniosą, gdy sie rozłączą z wdziękami stylu, bo prawda sama z siebie zawsze jest piękną, wyjąwszy przecież, że uczeni dłużéj pisać będą dla samych uczonych, gdy ich celem być winno coraz nauki ułatwiać i upowszechniać;—ale tak zwane nauki piękne, im powszechniejsze, im bliżéj człowieka, bo serca jego dotyczące, tém są szkodliwsze, jeżeli im pewnych zasad, pewnego celu, nauki i filozofia wskazywać nie będą. Porządek w dziełach rozumu, wysokie czucie moralności w tworach imaginacyi, oto są przymioty serca i duszy, które ich spólne twory do doskonałości zbliżają.“

Równie jednostronnym a nieusprawiedliwionym jest zarzut „wielkiego zagmatwania pojęć,“ do którego jakoby Brodziński miał się przyczynić, poczytując „pożytek“ za główny cel utworów literackich. Zasada użyteczności będąca przewodnią myślą wszystkich naszych uczonych i literatów aż do czasów wpływu filozofii i estetyki niemieckiéj, była istotnie wyznawana i przez Brodzińskiego, który czasami tylko wspominał o uprawie „sztuki dla niéj saméj.“ I to jest również naturalnym wynikiem stanowiska zdrowego rozsądku i żadnego zagmatwania pojęć nie dowodzi. Dziwić się trzeba, że p. Marrené, która tak dobitnie usprawiedliwiała Niemcewicza z jego dążności utylitarnych w literaturze, nie zastosowała téj saméj miary to oceny poglądów Brodzińskiego, który od Niemcewicza różnił się, pod tym względem, jedynie przekonaniem, że dążności utylitarnéj można nadać o wiele większy stopień artyzmu, łącząc harmonijnie cel dobry z formą piękną. Nie znaczyło to bynajmniéj usprawiedliwianie w poezyi tendencyi jaskrawéj, bo przeciw temu Brodziński zastrzegał się stanowczo w kursie estetyki; ale znaczyło tylko tyle, że poezya nie może i nie powinna być igraszką, zabawką jakąś, lecz winna się stać jednym z czynników udoskonalenia, postępu narodowego. Zasada *użyteczności* tak rozumiana jest równoznaczną z zasadą *celowości* we wszystkich dziełach człowieka a zatém i w dziełach literackich. Taka zasada nie uprawnia bynajmniéj naciągań psychologicznych, ludzi papierowych, stosunków dowolnie wykrzywio-

nych dla przeprowadzenia pewnéj z góry powziętéj tendencyi. Zasada taka wymaga jedynie, ażeby np. utwór poetyczny nie był jedynie szeregiem pięknych wierszy o lichéj treści, ale żeby obok karmi dla fantazyi dawał karm i dla umysłu. Wszakżeż nawet najgłośniejsi zwolennicy zasady „sztuka dla sztuki“ nie wahają się twierdzić, że sztuka jest jednym z najdzielniejszych środków udoskonalenia, uszlachetnienia ludzkości i tym sposobem przyznają, że sztuka ma cel poza sobą. Tworzenia bezcelowego w zakresie ludzkości poprostu pojąć niepodobna.

Inne wady studyum p. Marrenowéj wynikają ze sposobu jéj pisania. Daje się ona unosić frazesom, paradoksom, chwilowym, przelotnym wrażeniom, niejednokrotnie unoszącym myśl jéj w inną stronę, aniżeli pierwotnie autorka sobie zamierzyła. Stąd powstają rażące sprzeczności; autorka zapomina niekiedy co poprzednio napisała, i rys nakreślony dawniéj przemazuje, sama o tém nie wiedząc. Parę przykładów da miarę tego rodzaju niekonsekwencyi. Mówiąc o kursie literatury wykładanym przez Brodzińskiego w uniwersytecie, p. Marrené powiada: „Brakło mu jednak odwagi być samym sobą do końca, brakło mu więcéj jeszcze może śmiałéj konsekwencyi myśli“ (str. 19). A potém streszczając listy o literaturze, powiada: „Był on rzeczywiście *zawsze* i *wszędzie* sam sobą, nie miał nic konwencyonalnego i konwencyonalizmu pod żadnym względem znieść nie mógł“ (str. 36). A gdzieindziéj jeszcze: „Walcząc przeciwko manii cudzoziemczyzny... zostawał przecież pod wpływem literackich doktryn wyznawanych wówczas powszechnie“ (str. 12), albo: „Teorye jego estetyczne musiały... odpowiadać owoczesnemu poziomowi ogólnéj intelligencyi, który nakształt fatum ciąży nad każdą indywidualnością“ (str. 23). Z innéj znowu kategoryi poglądów, zestawmy twierdzenia o wpływie Brodzińskiego na spółczesnych. Na str. 24 czytamy: „Brodziński nie należał do kategoryi umysłów śmiałych. Był-to raczéj pionier przyszłości, pracowicie torujący jéj drogę, przodował wprawdzie swojemu wiekowi, ale zbytecznie naprzód nie wybiegał, przeciwnie był z nim związany wszystkiemi tętnami. *Stąd téż pochodził wpływ*, jaki wywierał, a jaki nie może być udziałem *zbyt wysuniętych*, a więc odosobnionych pisarzów.“ Potém zaś, mówiąc o mniemaném zapomnieniu, jakiemu uległ według autorki Brodziński, powiada: „Niektóre powody tego zobojętnienia leżą niezaprzeczenie w samejże osobistości B-go, i charakterystyce (!) jego utworów. Brakło mu śmiałych i wybitnych rysów, a co najważniejsza niepodobna go podszeregować pod żaden ze sztandarów, które wówczas panowały w piśmiennictwie.“ Raz tedy brak śmiałych rysów za-

pewnia wpływ Brodzińskiego, a drugi raz tenże sam brak powoduje zobojętnienie dla niego.

Błędów faktycznych nie ma wiele w rozprawie p. Marrenowéj; na dwa z nich muszę jednak zwrócić uwagę. Gdyby autorka znała była dokładnie chronologią pism Brodzińskiego nie byłaby wprzód mówiła o Wiesławie (z r. 1820), ale o Oldynie (z r. 1819), a to posłużyłoby jéj do wykazania stopniowego rozwoju Brodzińskiego w samym sposobie przedstawienia życia wiejskiego. P. Marrené podaje dokładnie numer Dziennika Wileńskiego, w którym zamieszczona była rozprawka Śniadeckiego o pismach klasycznych i romantycznych. Wobec téj dokładności bibliograficznéj dziwnie brzmi zdanie następujące o treści rozprawki: *Nie wymienia on wyraźnie Brodzińskiego*, przecież znać, że pisze pod wrażeniem jego sławnéj rozprawy, że wszystkie pociski szyderstwa i oburzenia, któremi miota, ku niemu są wymierzone" (str. 32). Autorka widocznie zapomniała, że początek artykułu Śniadeckiego brzmi tak: „W roku bieżącym w pięciu numerach Pamiętnika Warszawskiego... znakomity w języku naszym pisarz *Kazimierz Brodziński* uczenie i przyjemnie opisał własności pism klasycznych i romantycznych" (Dzien. Wil. 1819, I, str. 2, 3).

Domysły podawane za fakta znajdują się także w studyum p. Marrenowéj. Autorka mianowicie przedstawia jako fakt, że Brodz. w rozprawie o entuzyazmie i egzaltacyi, występuje głównie przeciw wyrazom „Ody do młodości": Łam czego rozum nie złamie. Tymczasem, kto czytał rozprawę Brodzińskiego, ten nie mógł dostrzedz specyalnéj wycieczki przeciwko Odzie do młodości; ale przeciwko ówczesnemu usposobieniu młodzieży głównie warszawskiéj, która w czasopismach kierunku romantycznego egzaltacyą i egzaltowanych wysławiała. Że to usposobienie wywołane było w znacznéj części przez pisma Mickiewicza, między innemi przez Odę do młodości i Konrada Wallenroda, to uważać można za rzecz pewną; ale nie można, zdaje mi się, dowieść, żeby B. miał na myśli ów wiersz z Ody i żeby „głównie" przeciw niemu pisał obszerną rozprawę. Niedowiedzioném również jest twierdzenie, jakoby artykulik Brodzińskiego „o Idylli pod względem moralnym" podał Mickiewiczowi myśl do napisania „Pana Tadeusza" (str. 55). P. Marrené uważa to za fakt niepotrzebujący dowodzenia, a tymczasem rzeczą jest bardzo wątpliwą, czy artykulik ów Mickiewicz kiedykolwiek czytał. Rzecz bowiem o Idylli wyszła w „Pamiętniku Warszawskim" w r. 1823 wówczas gdy Mickiewicz był w więzieniu—i nigdy potém przedrukowaną nie została. Autorka powołuje się wprawdzie na list Mickiewicza do Odyńca, w którym jakoby poeta przyznawał się, iż myśl pa-

na Tadeusza zaczerpnął w Brodzińskim i że w epilogu o tém wspomina, ale że dodatek ten przez pomyłkę nie został pomieszczony w edycyi ówczesnéj, co zamierza w następnych sprostować. P. Marrené dodaje, że sprostowanie to nigdy nie nastąpiło. Czyż istotnie autorka nie zna tego wiersza dodanego do „Pana Tadeusza" w pośmiertnych wydaniach, czyż nie przypomina sobie tego ślicznego ustępu, w którym poeta wypowiada jako najgorętsze życzenia swoje, żeby „też wzięły wieśniaczki do ręki te księgi proste jako ich piosenki" i dodaje:

> Tak za dni moich, przy wiejskiéj zabawie,
> Czytano nieraz pod lipą na trawie,
> Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie...

W słowach tych jest niewątpliwie uznanie dla „sielanki krakowskiéj" Kazimierza z Królówki, jest może i poczucie pewnego dalekiego pokrewieństwa ze swoją „historyą szlachecką", ale przecież nie ma ani cienia dowodu o wpływie rozprawy „Idylla pod względem moralnym."

Z natury zadania swego studyum p. Marrenowéj nie jest wyczerpujące; za dowód niepełności można przytoczyć opuszczenie dwu ważnych chwil w życiu Brodzińskiego: autorka nie przedstawiła nam jego działalności wolnomularskiéj a nawet o niéj nie wspomniała, a powtóre pominęła milczeniem prace Brodzińskiego po roku 1830 („Mowa o narodowości Polaków", „Posłanie do braci wygnańców"). Pominięcie tych ostatnich prac, oprócz faktycznego znaczenia, wpłynęło także w sposób ujemny na przedstawienie stosunku Mickiewicza do Brodzińskiego (str. 40, 41), a mianowicie na ocenę poglądów Mickiewicza na działalność B-go, wypowiedzianych w kolegium francuskiém.

I układowi studyum ważne porobić można zarzuty. Nie jest ono wprawdzie tak chaotyczne jak rozprawka o Niemcewiczu, w któréj jedynym kierownikiem autorki było dowolne kojarzenie się wyobrażeń; zalet atoli systematyczności przyznać mu niepodobna. Najważniejszym w kompozycyi błędem jest to, że autorka w najzupełniejszéj z traktowaniem historyczném stanęła sprzeczności, i tym sposobem nie mogła przedstawić *rozwoju* umysłowości Brodzińskiego. Możnaby wprawdzie twierdzić, że autorce chodziło nie oto, jak się Brodziński rozwijał, ale jakim był przeciętnie, w ogólności, że zatém chciała nakreślić wizerunek literacki, ale takiemu twierdzeniu sprzeciwia się sposób obrobienia studyum, w którém mamy pokolei szczegóły młodości, działalność profesorską, działalność publicystyczną i wreszcie twórczość poetycką. Otóż w tym właśnie uszeregowa-

niu tkwi błąd zasadniczy, bo jak można mówić o wykładach uniwersyteckich od r. 1822 do 1831, zanim się nie rozpatrzyło w dawniejszych utworach Brodzińskiego, zanim się nie rozebrało jego rozprawy o klasyczności i romantyczności, jego Listów o literaturze, jego Myśli o dążeniu polskiéj literatury; kiedy w tych właśnie artykułach tkwią zasadnicze myśli, wypowiadane i rozwijane następnie w prelekcyach uniwersyteckich? Tak postępować jest to burzyć naturalny porządek rzeczy. Pomimo jednak zaznaczonych tu usterek praca p. Marrenowéj ma zalety popularnego przedstawienia działalności i zasług pisarza, który dzisiaj mniéj jest czytany, niżby na to zasługiwał, a w skutek tego stawszy się poczytną, może przynieść istotny pożytek, może zachęcić i młodzież i starszych do częstszego rozpatrywania się w „Dziełach" Brodzińskiego.

P. Chmielowski.

Początkowa nauka geometryi w zadaniach przez S. Dicksteina, Warszawa, 1881, 16—o, str. VII + 59.

W ostatnich latach pojawiło się u nas kilka zbiorków zadań do ułatwienia nauczania początków arytmetyki. Czy to przy ich pomocy, czy nawet i bez takowych, małym dzieciom zwykle dają różne coraz trudniejsze zadanka arytmetyczne. Innemi słowy, rodzice i w ogóle wychowawcy starają się o to, aby dzieci zaznajomiły się wcześnie z liczbami, ich własnościami i działaniami nad niemi. Mało jednak dbają o pojęcia geometryczne. Nierzadko się też zdarza, że rozpoczynający systematyczną naukę geometryi elementarnéj w klasie (jak teraz) czwartéj, z najprostszemi z niéj pojęciami nie są oswojeni, chociaż zwykle już lat cztery lub pięć „uczą się." Dla nich *koło* jest częścią wozu, *linia* przyrządem do kreślenia, a wzmianka pierwsza o *kącie* niekiedy niemiłe w nich budzi przypomnienie... Dlatego p. D. rzeczywistą oddał usługę ogłaszając ten zbiorek zadań. Dziecko, które je przerobi, z pewném zainteresowaniem słuchać późniéj będzie systematycznego udowadniania tego, co już jest mu znaném; łatwiéj tém samém wejdzie w tę sferę pojęć, które skutkiem braku przygotowania, zwykle przez rozpoczynających naukę ścisłą nie są należycie przyswajane. Książeczka ta jest więc całkiem na dobie. Prędzéj lub późniéj doczeka się dalszych wydań. Tym więc chętniéj wypowiemy tu uwagi, jakie przy pobieżném jej przejrzeniu nam się nasunęły. — Tak pod Nr. 13 spotykamy: „odległość prostolinijna, albo wprost odległość." Po co komplikować pojęcie abstrakcyjne odległości przez dodatek: prostolinijna, a to tym

więcéj, że już wciąż daléj spotyka się tylko wyrażenie: odległość, a o odległości krzywolinijnéj uczeń dowie się dopiéro przy nauce o kuli (nie z téj książeczki); to zaś ostatnie pojęcie będzie wtedy wyraźnie ograniczone warunkiem rachowania jéj na powierzchni kuli, tak, iż pojęcie ogólne o odległości (bez zastrzeżeń) będzie ściśle zgodném z tém właśnie, jakie sobie wyrobił, bez specyalizowania jéj, jako prostolinijnéj. — Podobnież w Nr. 11 spotykamy: „odcinek prostolinijny," a daléj (Nr. 15—28) tylko „odcinek." Lecz co do tego nasuwa się inna ważna uwaga. W tych miejscach wyraz: odcinek (powinno być: odcinek linii prostéj, jeśli już koniecznie mamy tu wprowadzić wyraz: odcinek) użytym jest, aby uniknąć wyrażenia: linia prosta, kiedy mamy na myśli prostą ograniczoną, gdy tymczasem w Nr. 38, 105 (zdanie drugie), choć o prostych ograniczonych jest mowa, wyraz odcinek nie został zastosowany. Naszém nadto zdaniem odcinek sam przez się, tak, jak go p. D. (Nr. 11, 12) wprowadza, w geometryi nie istnieje. Może być mowa o jednym z dwu lub więcéj odcinków téj saméj np. prostéj (jak w Nr. 159, 160), ale nie o odcinku, niezależnie od drugiego odcinka istniejącym oddzielnie.— Nr. 70 „proste, tworzące kąty przyległe równe, nazywają się prostopadłemi." Mówi się zawsze: prostopadłe do czego. Te linie nie są prostopadłe do trzeciéj. Powinno więc być: „proste... równe, są do siebie nawzajem prostopadłe." — Nr. 1 „Oto masz przed oczyma sześcian." Po uwadze o ścianach sześcianu i bokach kwadratu (Nr. 7), a następnie o kątach kwadratu i równości kątów prostych (Nr. 72), należało od ucznia zażądać zaraz dokładnego opisu sześcianu, ażeby pojęcie znanego mu już sześcianu zdeterminować, skoro to stało się możebném.—Jeżeli „linia, któréj żadna część nie jest prostą, nazywa się krzywą" (Nr. 120), to jak się nazywać będzie—uczeń zapyta—linia złożona z dwu części, prostéj i łuku koła? a na wyobrażenie kształtu téj linii naprowadzić może dziecko hak do zawieszania drążków. — Drugie zdanie Nr. 110 jest tak zredagowane, że uczeń może płaszczyznę przekątną sześcianu nazwać ścianą.—Czy mowa o „360-tych częściach" w Nr. 58, jak również żądanie w Nr. 64 odpowiedzi na pytanie „jaką częścią okręgu koła jest sekunda," nie jest zawczesne i czy wprowadzenie stopni koła (Nr. 58) nie dałoby się uskutecznić jaśniéj, przystępniéj? — Zamiast wyrażenia linia „jest niepłaską" (Nr. 118) wolelibyśmy: linia nie jest płaska, a samo się przez się rozumie, iż zamiast: „drugie ramiona (kątów) zlać się nie mogą" (Nr. 49) chętniéj byśmy widzieli zwykłe używane: przystawać do siebie nie mogą. Zwrócimy jeszcze uwagę, że gdy dwie rzeczy są nierówne, dość jest powiedziéć; jedna z nich jest większa; należy zaś uczniów oduczać od robienia dodatku: „a druga jest mniejsza" (Nr.

49, 51), będącego pleonazmem. — Ogólnie zaś jeszcze dodamy, iż książeczka ta, o ile się nam wydaje, większą usługę odda, gdy będzie w ręku uczącego, a nie ucznia, jak to było (str. VI) zamiarem autora. Życzyć-by nadto należało, żeby wprowadzono większą liczbę zadań, w rodzaju zadania Nr. 277, w którém jest mowa o powierzchni stołu. Im więcéj podobnych zadań, mających na celu zastosowania wiadomości nabytych do mierzenia przedmiotów otaczających ucznia, tym lepiéj. Korzystném byłoby jeszcze wprowadzenie oddzielenia jakimkolwiek znakiem, kreską, paragrafem, jednéj grupy pokrewnych kwestyj, traktowanych w idących po sobie numerach, od następnéj, odnoszącéj się do odmiennych pojęć. — Drobiazgowe uwagi powyższe są wskazówką, iż tę książeczkę, ułożoną według metody H. Spencer'a, uważamy za cenny nabytek dla starannych wychowawców. Zadania bowiem i kwestye w niéj podane są wybrane ostrożnie i trafnie, oraz w ogóle mówiąc, przy ich systematyzowaniu autor uwzględnił stopniowe rozwijanie się dziecka. Nacisk w przedmowie na unikanie pośpiechu przy jéj przerabianiu bardzo słuszny. — Zamykaliśmy tę książeczkę z myślą, iż rozpowszechnianie się podobnych pomocy naukowych jest w pewnym stopniu miarą postępu i troskliwości w tak ważném nauczaniu początkowém dzieci.

M. Baraniecki.

= **Bibliografii polskiéj XIX stulecia** p. *Karola Estreichera* wyszedł zeszyt drugi tomu szóstego i zawiera dopełnienie do tomów poprzednich w zakresie liter *H* do *O* (włącznie). W dołączonéj na czele przedmowie wyjaśnia autor, dlaczego nie chce postąpić wedle życzenia wypowiedzianego w *Ateneum* z r. b. (I, 583), żeby się w dopełnieniach ograniczył do pewnéj daty i żeby dołączył spis chronologiczny. P. Estreicher nie widzi wśród ogółu takiego zamiłowania w bibliografii, któreby dozwalało przypuścić, iż po ukończeniu dzieła zjawi się kiedyś uzupełniacz jego pracy, w terminach stałych i określonych; dlatego (dodaje) im obszerniejszém będzie, im rozciągléj idącém obecnie dzieło bibliograficzne, tém większa z niego korzyść; im bliższych czasów dosięga; tém większe obudzi zajęcie. Nam się zdaje, że w poglądzie autora na trudność pojawienia się „uzupełniacza" jest dużo pessymizmu, a w chęci obudzenia zajęcia przez zagarnięcie do Bibliografii jaknajświeższych tytułów—dużo optymizmu. Wszakże już teraz od lat 4 wychodzi stale „Przegląd bibliograficzny" staraniem p. Wł. Wisłockiego; czemużby nie przypuścić, że tenże pracownik zechce ułożyć po latach

pięciu czy dziesięciu ogólny katalog bibliograficzny? Co się zaś tyczy świeżości tytułów, to te nie przynęcą oczywiście nabywców z pośród szerokiego ogółu, któremu tytuły a nawet nazwiska bywają obojętne, a badacz literatury, krytyk, znajdzie się w ciągłym kłopocie, nie będąc pewnym, do jakiéj daty sięga bibliografia; prócz tego, psuje się przez to samo dzieło, które będzie miało zawsze cechę niedokończenia; boć już zeszyt I tomu VI obecnie potrzebowałby nowych dopełnień, a za rok całość dopełnień już będzie niekompletną. Czyż więc nie byłoby praktyczniéj, dla badaczów dogodniéj, gdyby tym dopełnieniom pewną metę naznaczono?... Od ułożenia spisu chronologicznego dzieł z wieku naszego wymawia się autor czekającą nań pracą około stuleci ubiegłych „pracą znacznie mozolniejszą i znacznie większego rozmiaru.“ „Trzech wielkich robót niepodobna dokonywać naraz; byłyby wszystkie ułomne.“ Dodaje wszakże, iż chętnie spis taki wydrukowałby, gdyby kto podjął się go ułożyć z pracy p. Estreichera: „rzecz nietrudna — powiada — dwuletniéj mechaniczněj roboty wymagająca, a w rezultacie nader użyteczna.“ Zdawało-by się, że rzecz byłaby jeszcze łatwiejsza, niż ją autor wystawia, gdyby też same kartki, z których drukuje się „Bibliografia,“ ułożono w porządku chronologicznym zamiast abecadłowym; ale ażeby to przypuszczenie uzasadnić, potrzebaby znać warunki, w jakich „Bibliografia“ się drukuje. Nie tracimy bądź-co-bądź nadziei, że ten spis chronologiczny, którego ważność i użyteczność p. Estreicher uznaje, zostanie ułożony i wydrukowany. — Drugą część przedmowy poświęca autor ostréj replice na zarzuty galicyjskiego „Słowa,“ które w „Bibliografii polskiéj XIX stulecia“ dojrzało dążność pomijania literatur pobratymczych. — Nad samą bibliografią nie możemy tu robić uwag, ani wykazywać drobnych usterek, jakieśmy dostrzegli; winniśmy jedynie złożyć należny hołd uznania autorowi za pracowitość i wytrwałość w podjętém przedsięwzięciu ciągnącém się już lat 12; a zarazem zachęcić czytelników do poparcia dzieła tego prenumeratą.

= Ile razy utwór jakiś piśmiennictwa polskiego ukazywał się w przekładzie na język obcy, zawsze prawie czasopisma nasze zwracały na to uwagę czytelników, wynosiły zasługę tłómacza i nie żałowały mu słów zachęty do dalszéj na tém polu pracy. Łączyła z tém może nadzieja, iż takie sympatyczne witanie przekładów pobudzi innych chętnych do pióra ludzi do wystąpienia w roli tłómaczów. Że ta nadzieja była uzasadnioną, przekonywa książeczka świeżo przez d-ra Aleksandra Stekerta, we Francyi wydana. Pan Stekert, warszawiak zamieszkały w Tuluzie, zapragnął zapoznać

francuzów z badaniami historycznemi Aleksandra Przeździeckiego, i w tym celu z książki wydanéj przed 28 laty pod napisem „Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach“ wybrał ustęp zarówno dla mieszkańców Powiśla jak i brzegów Garonny ciekawy i przełożył na język francuski. **Riche ou Richilde (donna Rica) princesse polonaise, reine (impératrice) d'Espagne, comtesse de Provence et de Toulouse** *par Alexandre Dr. Stekert* (*de Varsovie*). *Paris*, *Toulouse*, *1881*—taki jest tytuł książeczki, o któréj mówimy zawierającéj stron 21. Nie znalazłszy w nim żadnéj wzmianki o Przeździeckim, mógłby kto przypisać to opuszczenie wpływowi powietrza gaskońskiego; jednakże mniemanie takie nie zupełnie byłoby słusznem. Wprawdzie p. Stekert całkowite karty tekstu polskiego dość wiernie tłómaczy, ale dodał przecież na samym końcu pół szosta wiersza, a na początku tablicę genealogiczną, która się nie wszędzie z tekstem zgadza. Prócz tego nasz gaskoński ziomek opuszcza jeden przypisek, natomiast uzupełnia inny wzmianką o *piękności* Berengueli prowanckiéj, kiedy Przeździecki okazał dziwną obojętność na wdzięki zmarłéj przez 700 laty niewiasty. Kilkanaście błędów w przytaczanych tekstach jest również własnością niezaprzeczoną p. Stekerta, gdyż ich u Przeździeckiego nie znajdujemy. Nakoniec i w samém opowiadaniu zdarzeń tłómacz odstępuje od oryginału. W książce polskiéj powiedziano, że Konrad III „przyśpieszył wysłanie Kardynała Grzegorza do Polski“ co znaczy, że cesarz swém naleganiem skłonił papieża do prędszego wysłania legata;—tymczasem u p. Stekerta czytamy, że „Conrad s'empressa d'expédier en Pologne le cardinal“—wyrażenie, z którego by wypadało, że legat był wysłańcem nie papieża lecz cesarza; jakoż kilku wierszami niżéj „legat“ tekstu polskiego nazwany w tłómaczeniu „l'envoyé del'empereur,“ skutkiem czego i klątwę rzucić wypadało tłómaczowi jakoby „w imieniu“ cesarza. Tę drobną niedokładność wynagradza p. Stekert w innem miejscu jasnością przekładu nie pozostawiającą nic do życzenia. Nie możemy sobie odmówić przyjemności okazania czytelnikom téj znakomitéj próbki stylowéj. „Boleslas laissa même des otages... parmi lesquels se trouvait Casimir, leur plus jeune frère... cinquième fils de Boleslas III, *leur père*.“ W obec takiéj dokładności wyrażenia, art. 340 kodeksu Napoleona, zabraniający poszukiwać ojcostwa, nie może już przestraszać synów Bolesława Krzywoustego. Według listu Fryderyka Rudobrodego, jak go tłómaczy Przeździecki, Niemcy z takim pośpiechem przeprawiają się przez Odrę, że niektórzy z nich toną; u p. Stekerta, Polacy spiesznie uciekają, i lubo niepotrzebowali przebywać téj rzeki, dziwnym jednak sposobem, topią się w jéj nurtach.—Lubiącym rozwiązywać łamigłówki prawdziwie się przysłużył

p. Stekert czyniąc wspomnianego Fryderyka na str. 10 tekstu synem Henryka V, a na tablicy genealogicznéj synem Konrada III.—Z tych wszystkich powodów chwalimy bardzo p. Stekerta, iż podał swoje tłómaczenie pracy Przeździeckiego za robotę oryginalną; dla konsekwencyi jednak wypadało, albo opuścić w przypisku na str. 6 wyrazy „le comte A. Przeździecki, auquel nous empruntons ces renseignements,“ albo téż powiedziéć: auquel nous empruntons tout le texte et toutes les notes, sauf quelques modifications. Ze stanowiska wszakże prawnego wychodząc (a p. Stekert jest właśnie prawnikiem) nie możemy zgodzić się na uznanie téj czynności za pożyczkę, która należy do kontraktów dwustronnych. Jest to raczéj tak zwana przez prawników francuskich *saisine*. Pan Stekert wyczytał zapewne w *kutiumach* starą dykcyą: *le mort saisit le vif* i zastosował ją w tym razie praktycznie, zapomniał jednak, że ani związki krwi ani powinowactwo umysłowe nie wiążą go wcale z nieboszczykiem Przeździeckim.

= **Nauka fizyki w uniwersytecie**, mowa miana przy rozpoczęciu roku akademickiego w uniwersytecie lwowskim 1-go października r. b. przez prof. d-ra Oskara *Fabiana* (Odbitka z „Kosmosu,“ Lwów, 8-vo, str. 15). Wykład trzymany w nastroju popularnym ze względu na publiczność, uczestniczącą w podobnych aktach uroczystych. Mimo to prelegent zaznaczył wyraźnie główniejsze momenty w historycznym rozwoju fizyki, trafnie pochwycił zasadnicze ich rysy, dostatecznie je oświetlając, silniéj jednak zaakcentował niektóre z najnowszych teoryj, jak np. kwestyą tak zwanego stanu ultra-gazowego, teoryą elektryczności Edlunda. Rzecz cała napisana potoczyście i barwnie. Dodamy tu, iż mówca zaznaczył, że w r. b. dopiéro fizyka matematyczna uzyskała zupełne równouprawnienie z innemi przedmiotami w uniwersytecie lwowskim, przez utworzenie profesury zwyczajnéj tego przedmiotu (któréj uniwersytet Jagieloński jeszcze nie posiada). *M. A .B.*

= **O tak zwanym czwartym stanie skupienia** napisał dr. Oskar *Fabian*, prof. un. lw. (Odbitka z t. VII „Rozpraw i sprawozdań“ wydz. mat.-przyrodniczego akad. um., Kraków. 1881, 8-vo, str. 37). Autor szczegółowo się zastanawia nad głośnemi od lat dziesiątka doświadczeniami Crookes'a i jego teoryą stanu promienistego materyi, jak również drobiazgowo rozbiera doświadczenia oraz teoryą Puluj'a i jéj wyniki, zawarte w ogłoszonéj w r. z. pracy tego uczonego: „Strahlende Elektrodenmaterie,“ któréj rezultatem było odrzucenie zapatrywań Crookes'a. P. Fabian w zasadzie podzielając główne tezy Puluj'a, poddaje jednak jego wywody w kilku kwestyach znacznéj modyfikacyi, co gruntownie uzasadnia. Jako przyczynę zja-

wisk, które wywoływały przypuszczenie czwartego stanu skupienia, autor stawia albo ruch cząsteczek metalowych, oderwanych od bieguna ujemnego, albo też ruch cząsteczek gazu stykających się bezpośrednio z elektrodą ujemną. Na korzyść jednak téj ostatniéj teoryi przemawia szereg poważnych faktów, przytoczonych z doświadczeń własnych autora. Rozprawa ta obejmuje krytyczne i wyczerpujące przedstawienie naukowych teoryj poruszonéj kwestyi, oraz gruntowne uzasadnienie poglądów autora. *M. A. B.*

= **Zasada momentów przygotowanych**, przyczynek do analitycznéj mechaniki, napisał dr. Oskar *Fabian* prof. uniw. lw. (Odbitka z t. VIII „Rozpraw i sprawozdań" wydz. mat.-przyrod. akad. um., Kraków, 1881, 8-vo, str. 14). Po krótkim historycznym rysie zaznaczania i udowodniania téj fundamentalnéj zasady mechaniki, autor podaje własny jéj wywód odnoszący się odrazu do przypadku ogólnego t. j. do układu ilukolwiek punktów, połączonych w jakikolwiek sposób z sobą i poddanych jakimkolwiek siłom. Wywód ten zaleca się prostotą i jasnością i może być z korzyścią wprowadzony do podręczników mechaniki analitycznéj. *M. A. B.*

= Pracujący nad historyą kultury, wierzeń, lub jakby wyraził się pesymista, obłędu czy też łudzenia się rodzaju ludzkiego, w ostatnich latach trzech otrzymali ciekawy nabytek. Jest-to dzieło p. n. **Histoire de la divination dans l'antiquité**. Wydał je znany już publiczności francuskiéj autor dzieła: *Les Pontifes de l'ancienne Rome* (1871) i szeregu artykułów w *Dictionnaire des antiquités grecques et romaines* Daremberga i Saglio, *A. Bouché-Leclercq*, profesor fakultetu literackiego w Paryżu. Wydane są dotychczas trzy tomy, każdy o kilkuset stronicach w 8-ce większéj; czwarty zapowiedziany od roku. Tytuł atoli poniekąd zawodzi. Każdy obeznany z odkryciami w Asyryi i Egipcie, z pomnikowemi pracami Lenormant'a (*La magie chez les Chaldeéns* 1874, *La Divination et la Science des présages chez les Chaldéens*, 1875). Maspero, Chabas'a, Rougé'go z wydanemi papirusami magicznemi, lub księgą zmarłych,—sądząc po tytule dzieła Bouché-Leclercq'a przypuścić mógłby, że nakoniec objął ktoś w jednéj pracy całą starożytność, że powiązał z sobą rozmaite przejawy tych samych potrzeb i uczuć i przedstawił je w jednéj całości. Autor jednakże pominął i Chaldeę i Egipt, owe klasyczne ziemie wszelkich guseł, wieszczeń, zaklinań, owę kolebkę czarodziejstwa, gdzie wszystko się składało, by je doprowadzić do możebnéj doskonałości, ubrać w formę sztuki, zabarwić tajemniczością właściwą starożytności pochodzenia, wyczerpać wszystkie zasoby łatwowierności i obawy, doprowadzić do absurdum. Rozpoczynając dzieje wróżbiarstwa od czasów greckich, ograniczając się na Grecyi i Italii, autor do-

browolnie pozbawił się możności dotarcia do źródła tego, o czém traktuje; poprzestając jedynie na pisarzach greckich i rzymskich nie wyjaśnić, co oni otrzymywali i przekazywali, lecz zestawić tylko mógł. Zresztą—jest to jedyny zarzut, jaki można zrobić téj pracy. Przedmiot jest traktowany z erudycyą niemiecką, przedstawiony systematycznie, z właściwą francuzom jasnością. Godna podziwu znajomość literatury starożytnéj i źródeł, pozwoliła autorowi zebrać wszystko, co tylko gdzie bądź powiedziano o tym przedmiocie, należyte te przygotowanie naukowe, materyał ten samodzielnie obrobić, obszerne zaś ramy, zakreślone dziełu, wszystko to pomieścić dostatnio. Wydane trzy tomy objęły dopiéro Grecyą (*Divination Hellénique*). Część *pierwsza* zawiera metody wróżenia (tom 1-szy cały), część druga (tom 2-gi i 3-ci) traktuje o osobach wieszczących bądź pojedyńczo (prorocy, sybille) bądź kolegialnie (wyrocznie). Jeżeli zwrócimy uwagę na to, że wiara w czarodziejstwa wynikała ze stanu wiedzy i charakteru pojęć religijnych, że wróżbici i wróżki wchodziły w skład ciała kapłańskiego; jeżeli przypomnimy sobie, do jakiego znaczenia w dziejach ludów starożytnych dochodziły wyrocznie, że od nich nie raz zależały najważniejsze działania państwowe i czyny jednostek, będziemy wielce wdzięczni autorowi „Historyi wróżenia“ za podjęty trud i za sposób, w jaki go wykonał. Dzieło to bowiem odsłania czytelnikowi jednę z bardziéj tajemniczych i zagadkowych stron w dziejach społeczeństw; dla przyszłego zaś historyka Religii przedstawia zebrany i uporządkowany materyał, z którego mu nie raz skorzystać wypadnie.

= *Paweł Pierret*, konserwator Muzeum egipskiego w Luwrze, wydał wielce ciekawą i, jak obecnie, w braku dzieła traktującego o religii egipskiéj w jéj całości, bardzo pożądaną pracę p. n. **Le Panthéon Egyptien.** Kilka wyjątków z rozdziału wstępnego wyjaśni nam zasadniczy pogląd autora na religią egipską: „Teksty nam wykazują, że Egipcyanie wierzyli w boga jednego, jedynego, nieskończonego, wiecznego.“ Jeżeli na to zapewnienie zapytamy, co właściwie, przy tak ścisłym monoteizmie, oznaczają tysiączne postacie fantastycznych istot spotykane na rzeźbach egipskich, jaką rolę odgrywa Apis lub Mnewis w świątyni za życia, a po śmierci we wspaniałych grobowcach, na to autor nam odpowie: „W postaciach tych dziwacznych szukać należy znaków hieroglificznych, ideogramów i symbolów... Rozliczne postacie panteonu egipskiego przedstawiają rozmaite role i rozmaite własności boga abstrakcyjnego. Zachowuje on w każdéj z tych postaci, bez względu na ich ilość, swoję identyczność i całość swych własności..“ Następnie czytamy: „Najwspanialszym przejawem boga na ziemi jest słońce, które „ciałem“ jego nazywają... Słoń-

ce przedstawia symbol żyjący wiecznego odnawiania się bóstwa; umiera bowiem ono co wieczór, by odrodzić się co rana. Ten dramat słoneczny, jak można to nazwać, zamyka w sobie całą mitologią egipską. Składa go kilka aktów: wschód, przebieg dziennéj drogi nad widnokręgiem, zachód, przejście w nocy krain śmierci, odrodzenie się nazajutrz. W każdym akcie dramatu bóg zmienia imię nie tracąc jednakże ze swéj istoty i wszechmocy...“ Całe dzieło następnie jest rozwinięciem tych poglądów. I tak. W rozdziale 1-szym zaznajamia nas autor z pierwotnymi bogami, a raczéj symbolami jednego boga; będą to: *Apis* (w Memfis), *Mnewis* (w Heliopolis), *Ptah*, *Nun*, *Num* i t. d. W rozdziale 2-gim poznajemy własności słońca, które wytworzyły osobny szereg bogów i bogiń symbolizujących te własności. W czterech rozdziałach następnych, cztery akta dramatu słonecznego. Występuje w nich słońce a pod postacią słońca bóg jedyny a jeden, pod rozmaitemi nazwami (*Mehur*, *Nut*, *Kem*, *Ra*, *Set*, *Set-Horus*; *Tum*, *Seb*, *Ozyrys*, *Anubis*, *Horus*; *Harpakrat*, *Imhotep*, *Nofre-Tum*). Drzeworyty zrobione z posągów i rzeźb uplastyczniają postacie bogów. Czytając dzieło Pierret'a przenieść się musimy myślą do kolegium kapłanów egipskich, stanąć wśród łaknącéj wiedzy czy też chleba rzeszy młodych Egipcyan. Podlegamy bowiem złudzeniu, że słyszymy wykład teologa, dla którego religia stała się dogmatem, a rozwój jéj—formułą; który straciwszy z oczu historyą, pojęcia kilkudziesięciu wieków, zwinął w sylogizm suchy, prace kilkuset pokoleń skrystalizował w czcze twierdzenie. Dla takiego teologa wszystko jasne, gdyż własną logiką uporządkował chaotyczny materyał. Dla niego najdziwaczniejsze nawet fakta i zjawiska wyrażają pewną myśl, dadzą się podciągnąć pod pewny systemat, gdyż upatrzył w nich własną wiarę lub interes. Teksty nawet brzmią w tém dziele jako znane „powiedziano bowiem,“ bez uwzględnienia kiedy, przez kogo, przy jakich okolicznościach. Wysłuchawszy tego wykładu, zapytujemy jednakże: więc egipcyanie przedstawiali naród jednolity, podział na *nomy* nie dowodzi wcale innego ustroju państwowego, kult zaś specyalny różnych bogów po miastach wypłynął z dobrowolnéj umowy, w celu zwiększenia czci jednego boga, którego te bóstwa przedstawiać miały tylko własności? Więc egipcyanie przez cały ciąg kilku lub nawet kilkunastu tysiącoleci w rozwoju umysłowym nic nie postąpili, sztuka egipska nic na udoskonaleniu środków technicznych nie zyskała? Jeśli już na początku daty dziejowéj odbył się w Egipcie ów Synod religijny, który gwoli fantazyi ludowéj tworząc rozlicznych bogów, jako przedstawicieli własności jednego i jedynego, tak systematycznie i pięknie ich uporządkował, jakiemi środkami utrzymywano jedność wiary, jak

zapobiegano innowacyom? Rozwiązania tych pytań nie w Historyi Religii jeszcze, lecz w oddzielnych a specyalnych rozprawach szukać należy.

= **Note glotto logiche intorno alle lingue slave e questioni di morfologia e fonologia ario europea.** Memoria di *I. Baudouin de Courtenay* (Firenze, 1881, str. 29). Jest-to odbitka z „Aktów IV kongresu międzynarodowego Oryentalistów“ a zawiera dwie rozprawki naszego językoznawcy, odczytane czy też przedstawione tylko na tym czwartym kongresie. Pierwsza z nich mówi „o harmonii samogłosek w narzeczach rezyańskich;“ mamy tu streszczenie obszernych wywodów autora, złożonych w pracy po rosyjsku napisanéj p. n. *Opyt fonetiki rezjanskich govorov*, dopełnione wzmianką wywołaną przez recenzyą téj pracy, napisaną przez profesora Hasdeu w Bukareszcie. Pan Baudouin zestawiał harmonią samogłosek w narzeczach rezyańskich z podobną harmonią w językach turańskich i przypuszczał wpływ tychże na mowę Rezyan (mieszkających we Włoszech w prowincyi Udine, dystrykcie Moggio). P. Hasdeu zaś zwrócił uwagę na harmonią samogłosek w języku celtyckim i uważał za rzecz prawdopodobną, iż język Rezyan uległ wpływowi języka celtyckiego, przyczém twierdził, że Rezyanie są-to Celtowie zesłowiańszczeni. P. Baudouin w rozprawce swojéj włoskiéj wyznaje, że przypuszczenie p. Hasdeu niemniéj ma pozorów słuszności, jak jego własne dawniejsze o wpływie turańskim. W drugiéj rozprawce podaje p. Baudouin kilka spostrzeżeń dotyczących klasyfikacyi języków południowosłowiańskich. Twierdzi tu na wstępie, że klasyfikacya języków słowiańskich w ogóle, i języków południowo-słowiańskich w szczególności nie jest dotychczas ustalona w sposób prawdziwie naukowy; następnie twierdzenie to uzasadnia. Przystępując do swego specyalnego zadania, rozróżnia wśród narzeczy południowo-słowiańskich przedewszystkiém dwie klasy: 1) bulgarską i 2) serbsko-kroacko-słoweńską a rozróżnienie to opiera na podstawie fonetycznéj. Potém klasę drugą dzieli na Serbo-Kroatów i Słoweńców. Wśród Serbo-Kroatów rozróżnia *Sztokawców* i *Czakawców*, a jakkolwiek wskazuje niedokładność naukową nazw tych, w braku atoli lepszych, na nich poprzestaje „cum grano salis.“ Wśród Słoweńców wyróżnia dwa główne pokolenia (*stirpi*): zachodnio-północne i wschodnio-południowe. Nadmieniwszy daléj o pod-narzeczach, będących wynikiem albo naturalnego procesu różniczkowania, albo wtargnięcia róznych plemion w różnych czasach, albo wreszcie wpływów obcych, podaje w końcu trzy spostrzeżenia dotyczące klasyfikacyi języków wogóle z punktu widzenia genetycznego.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kasa pomocy naukowéj.—Ekonomista i filantropia, projekta i robota na seryo.—Projekt tow. pomocy dla sług.—Wystawa ogrodnicza.—Zamierzony spis jednodniowy ludności miasta Warszawy.—Wydawnictwa: „kalendarz Litewski“ „Doniesienia Warszawskie.“ – Ślepa mapa słowiańszczyzny. Ultimatum p. Aksakowa.

Nie raz i nie dwa mówiono w czasopiśmiennictwie naszém o niewesołych losach naszéj nauki. Istotnie, pomyślmy tylko o nienormalności warunków, wśród których umiejętność w kraju naszym rozwijała się i rozwija. Brakło nam téj ciągłości, téj nieprzerwalności w istnieniu najwyższych zakładów naukowych, która jest niezbędną dla utrwalenia w narodzie zamiłowania do badań naukowych, brak instytucyj, którychby zadaniem było wywoływanie, zachęcanie i nagradzanie prac umiejętnych, które z powodu niemożności zastosowania ich bezpośredniego do potrzeb życia, nie znajdują poparcia wśród wielkiego ogółu a zatém i opłacać się nie mogą. Mówiąc o saméj Warszawie, wszakżeż długie, bardzo długie ciągnęły się lata, a uniwersytetu w niéj nie było; po krótkiéj zaś chwili istnienia instytucyi, która w języku krajowym naukę wykładała, nastąpił i dotąd trwa okres, w którym język ten nawet jako przedmiot studyów został w niéj pominięty: wszakżeż od roku 1831 nie ma Warszawa żadnego towarzystwa naukowego, któreby *ogół nauk* za cel uprawy i doskonalenia postawić sobie mogło...

Skutkiem tak fatalnego składu okoliczności, nie mogło się wytworzyć wśród narodu dostateczne przygotowanie do przyjęcia nauki, ani tém samém dostateczne w niéj zamiłowanie, ażeby jednostki, które czas i trudy swoje poświęciły jéj uprawianiu, mogły swobodnie i bez trwogi o jutro nad doskonaleniem jéj pracować. Stąd nie bywało to rzeczą wyjątkową, że uczony nie tylko w biedzie pędził życie, ale w nędzy umierał, albo że potrzeba było odwoływać się do

uczucia *litości*, ażeby temu lub owemu weteranowi nauki ostatnie lata groszem publicznéj jałmużny uczynić znośnémi. Społeczeństwo instynktowo czujące potrzebę oświecenia, mówi swym synom: uczcie się! i dopóki są w gimnazyum lub w uniwersytécie daje dla nich już-to stałe, już-to doraźne wsparcia w formie stypendyum lub zapomogi na wpis, na książki. Ale jak tylko młodzieniec skończy uniwersytet, społeczeństwo go opuszcza, w tém przekonaniu, że nabrawszy wykształcenia, powinien i może sam sobie dopomódz, sam na własne utrzymanie zapracować. Gdyby szło o utrzymanie tylko, to niechby sobie radził młodzieniec, tak jak radziło i radzić sobie będzie wielu. Idzie tu jednak jeszcze o rozwój nauki w narodzie. Otóż są tacy, którzyby nauce poświęcić się pragnęli, a tymczasem brak środków zmusza do zaniedbania téj niwy naukowéj, na któréj w uniwersytecie pracować zaczęli a która im chleba nie zapewnia. Szukają zatém zajęcia, nieodpowiedniego często ani ich usposobieniu ani uzdolnieniu, mającego wszakże tę niepospolitą zaletę, że się opłaca. Tym sposobem istnienie, byt jednostki, zostaje jako-tako zabezpieczony, ale nauka traci niejednokrotnie talent, który mógłby przynieść pożytek i chlubę społeczeństwu.

Mógłby kto zarzucić, że społeczeństwo popiera i opłaca to, co mu jest potrzebne; cóż je tedy może interesować taka nauka, bez któréj ono się obchodzi? Społeczeństwo—powie on—rozwijając się, dojdzie powoli do poczucia konieczności nauki wyższéj, niż jéj potrzebuje dzisiaj, a wtedy potrafi ocenić i utrzymać ludzi, nauce téj oddanych. Twierdzenie takie jednak dowodziłoby krótkowidztwa umysłowego; znaczy ono bowiem toż samo co zdanie: nie ma konieczności dbać o wykształcenie dzieci, powoli one same potrzebę tego wykształcenia zrozumieją i nabywać go będą. Nie zapominajmy tylko nigdy, że inteligencya jest tém w organizmie narodowym, czém mózg w organizmie jednostkowym; od normalnego rozwinięcia jednéj i drugiego zależy rozumne kierownictwo czynnościami wszelkiemi. Jeżeli tę prawdę będziemy mieli w pamięci, to nie zechcemy twierdzić, że ta lub owa nauka nam niepotrzebna, lecz przeciwnie nie żałując grosza, całemi siłami popierać będziemy wszelkie prawdziwie naukowe przedsięwzięcia.

Takiemi zapewne myślami kierowało się grono osób, które wkrótce po śmierci rektora Szkoły Głównéj, dra Józefa Mianowskiego obmyśliło projekt śpieszenia z pomocą ludziom nauce się oddającym. Projekt ten przeszedł już przez wszystkie instancye, otrzymał zatwierdzenie i zamienił się właśnie w czyn, w instytucyą, noszącą nazwę: „Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowém.“ Do rozporządzania funduszami téj kasy wybrany został komitet z 12

członków złożony. Wobec olbrzymich a różnorodnych potrzeb kraju naszego, Komitet ma nader trudne zadanie pogodzenia sprzecznych z sobą poglądów, na kierunek, jaki działalność kasy przybrać winna. Namby się zdawało, że zarówno zasadniczą myślą ustawy jak i myślą pierwotnych twórców projektu uczczenia pamięci rektora Szkoły Głównéj jest popieranie prac ściśle naukowych, z uwzględnieniem, naturalnie, najważniejszych i najpilniejszych potrzeb naszych. W początkach zwłaszcza, przy małych funduszach, rozstrzelenie działalności w różnorodne kierunki byłoby rzeczą niewłaściwą, w miarę zwiększenia się funduszów, i sfera działalności rozszerzać się może. Nie wątpimy, że społeczeństwo nasze, a mianowicie ludzie rozumiejący nieodbitą potrzebę gruntownéj nauki w narodzie, pośpieszą z pomocą pieniężną i z poparciem moralném, już-to zapisując się na członków kasy, już téż ofiarując datki znaczniejsze. Dawały się czasami słyszéć głosy, że są ludzie zamożni, gotowi dać dziesiątki tysięcy dla jakiegoś pięknego celu. Teraz ludzie tacy mają pole do okazania w czynie swych uczuć obywatelskich, bo istnieje instytucya, która daje pewną gwarancyą należytego, rozumnego, zbawiennego zużytkowania ofiar.

Uważaliśmy za potrzebne poprzedzić temi słowy odezwę, którą komitet „kasy pomocy“ nam nadesłał, a którą serdecznéj rozwadze czytelników najgoręcéj polecamy.

Komitet kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém, imienia doktora medycyny Józefa Mianowskiego—ma zaszczyt podać do wiadomości publicznéj, że założona na zasadzie Ustawy zatwierdzonéj przez ministra Spraw Wewnętrznych dnia 30 Czerwca r. 1881. Kasa pomocy imienia Mianowskiego, z dniem 1-go Października r. b. rozpoczęła czynności swoje.

Stosownie do Ustawy, kasa ma na celu: udzielanie zapomóg pieniężnych jednorazowych lub peryodycznych, oraz pożyczek osobom pracującym na polu naukowém lub téż osobom, które już poprzednio w téj dziedzinie dały się poznać ze swoich prac naukowych. Zadaniem kasy może być również udzielanie takim osobom środków lub téż pożyczek na cele naukowe.

Fundusze kasy stanowią: a) wkłady założycieli, b) jednorazowe i coroczne wnioski członków kasy, c) dobrowolne ofiary na zasilenie kasy.

Członkowie kasy dzielą się na honorowych i rzeczywistych. Za honorowych członków uważają się ci, którzy ofiarują jednorazowo dla kasy przynajmniéj sto rubli. Do rzeczywistych zaś członków zaliczają się osoby, wnoszące corocznie do kasy przynajmniéj pięć rubli.

Sprawami kasy zarządza komitet wybrany z założycieli, w skład którego weszli: Tytus Chałubiński (Prezes), Stanisław Kronenberg (wice-prezes), Piotr Chmielowski, Karol Deike, Konrad Dobrski, Mścisław Godlewski, Władysław Holewiński, Jakób Natanson, Henryk Sienkiewicz, Franciszek Śliwiński, Henryk Struve, Filip Sulimierski.

Kasa posiada już obecnie pewien fundusz rozporządzalny, złożony w myśl Ustawy przez członków założycieli. Fundusz ten, użyty będzie na cele wyżéj wskazane w miarę zgłaszania się osób pragnących korzystać z pomocy instytucyi. Podania w téj mierze wnosić należy na imię prezesa komitetu kasy (Tytus Chałubiński, Mokotowska 8) lub jéj członka sekretarza (Marszałkowska 5o—Konrad Dobrski).

Dla zwiększenia rozporządzalnego funduszu, komitet ma zaszczyt upraszać o zasilanie go ofiarami na ten cel wnoszonemi, bądź w formie składek mających się opłacać przez członków honorowych i rzeczywistych, bądź w formie jednorazowych zasiłków, nadmieniając, że tak jedne jak drugie przyjmują się tymczasowo w biurze wice-prezesa Stanisława Kronenberga (Mazowiecka 18), w godzinach od 10 do 2 codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt. Tam również zapisywać się można na członków kasy i zasięgać wszelkich co do niéj informacyj.

Osoby mieszkające na prowincyi, raczą się zgłaszać listownie do kasyera instytucyi a zarazem członka jéj komitetu Karola Deikego (ulica Hr. Berga N. 3).

W Sierpniu i Wrześniu „Ekonomista“ w kilku artykułach wstępnych powstawał na „monopole filantropijne“, które u nas w Warszawie przywłaszczyli sobie jakoby „niepowołani specyaliści od filantropii.“ Nie dotykając poruszonych w tych artykułach kwestyi osobistych, do których mięszać się nie mamy najmniejszéj ochoty, nie możemy pominąć kwestyi ogólnéj, początkowania w urządzaniu i przewodniczeniu instytucyom filantropijnym.

Autor wzmiankowanych artykułów myli się, zdaniem naszém, i staje się zbyt już specyalnym *ekonomistą*, przyznając prawo do czynów większego miłosierdzia jedynie ludziom bogatym, którym fundusze ich pozwalają na to. Chociaż bowiem pieniądz jest niezbędnym warunkiem materyalnym dla okazania biednemu pomocy skutecznéj, ale prawdziwa ludzkość i wysoko rozwinięte uczucie miłości chrześciańskiéj, są warunkiem duchowym czynów miłosierdzia, nie mniéj

ważnym, a bodaj pierwsze przed pieniędzmi zajmującym miejsce. Ponieważ posiadanie pieniędzy i silne poczucie miłości nie zawsze, a nawet dość rzadko jak nas uczy ewangelia, łączą się z sobą, ponieważ zacytować można mnóstwo przykładów instytucyi bardzo dobroczynnych, powołanych do życia przez ludzi, którzy nigdy bogatymi nie byli, nie można więc potępiać tych co podejmują inicyatywę w rzeczach filantropii, chociaż fundusze ich własne nie pozwoliłyby im doprowadzić téj sprawy do pomyślnego skutku.

Jednakże samo układanie projektów i pisanie ustaw, nie może być uważane narówni z powołaniem do życia instytucyi,. i chociaż nie myślimy podejrzéwać szanownych autorów rozmaitych ustaw dla projektowanych stowarzyszeń, aby sobie przypisywali wielkie na polu filantropii zasługi, zdaje nam się, że w téj sferze działania, społeczeństwo nasze zbyt łatwo oddaje się iluzyom, i chorobliwie trochę bawi się myślami, nie powiem próżnemi, gdyż myśl poczciwa próżną być nie powinna, i zawsze, gdzieś, jakiś chociażby drobny skutek przynieść może,—ale myślami niedość przetrawionemi, które nie dochodząc do próby w praktyce życiowéj, nie napotykając przeszkód realnych do przezwyciężania, nie mogą téż pozbyć się cechy dyletanckiéj.

Nie potrzebujemy tutaj rozwodzić się nad warunkami wśród których żyjemy; każdemu z nas wiadomo jak trudno nam dojść do działania połączonemi siłami. Jak brak wszelkich szerszych widoków życia publicznego, wprawia siły nasze w stan odrętwienia, w którym to stanie marzenia najczęściéj grają rolę myśli, a gorączka uważaną bywa za rozwijanie się siły. Ale przy tych warunkach powinnibyśmy właśnie więcéj próbować działania osobistego i nie zadawalniać się układaniem projektów na szerszą skalę, o których najczęściéj powiedziéć można, że pozostaną tylko projektami.

W większéj części takich, powstających wśród naszego społeczeństwa projektów, widać dużo dobrych chęci, ale mało zmysłu praktycznego. Gdzie indziéj, wśród ludzi do życia publicznego wciągniętych, sprawy zwykle innym idą torem; tam nierównie więcéj niż u nas projektują i zawiązują stowarzyszeń filantropijnych, ale téż tam najrzadziéj bodaj zdarza się aby spisywano ustawy pierwiéj nim się przystąpi do czynności, praktyka zwykle idzie naprzód, ona drogę toruje. Inicyatywa osobista, robota prawdziwa, daje rzeczy początek; a skoro ta się rozwinie i skomplikuje do tego stopnia, iż jedna lub kilka osób już jéj wystarczyć nie mogą, wtedy przywołuje się do pomocy koło liczniejsze, znajdują się chętni, i niezbędna przy wspólném działaniu większéj ilości ludzi ustawa, sama najłatwiéj się układa z doświadczenia już w życiu nabytego.

Ustawa w takim razie nie potrzebuje być poddawaną opinii literatów w pismach publicznych, bo literaci, z niéj dopiéro dowiadują się o tém co się już robi od dawna, co już owoce skuteczne przyniosło. Literaci i redakcye pism, rozpoznając pożytek jaki to przynosi, nadają rzeczy większy rozgłos, znajdują się ludzie przychodzący w pomoc z funduszami, bo widzą że sprawa idzie, i rządy tam podobnym ustawom nie odmawiają zatwierdzenia, udzielają im powagę swéj urzędowéj opieki.

Na téj tylko drodze mogą powstawać instytucye żywotne i trwałe, nasze zaś projekta marnieją najczęściéj, rodzą się jakby nieżywe bo nie niosą w sobie warunków życia, brak im prawie zawsze téj duszy żywiącéj: silnéj woli człowieka, który cel pewien ukochał, poświęcił mu swe siły i zdolności, a dopiéro doszedłszy do jakichś rezultatów wzywa pomocy współobywateli.

Pomocy, nie do ułożenia projektu ustawy, któréj redakcya przy rozwiniętéj czynności jest rzeczą jedną z najłatwiejszych; pomocy, nie do rozwinięcia myśli niejasnéj, chęci jakiejś nieokreślonéj przyniesienia ulgi cierpiącéj ludzkości, ale pomocy do dźwignięcia ciężaru wszystkim widomego, zawadzającego na drodze ułatwienia stosunków ludzkich, ciężaru któremu siły jednego, pomimo szczerych usiłowań, podołać nie mogą. W takich warunkach współobywatele chętniéj śpieszyliby z poparciem i nieśliby żądaną pomoc temu, który wie co robi, a innych nauczyć może jak robić należy,— w takich tylko warunkach zwykle jednoczą się siły i powstają stowarzyszenia, które dokonywają rzeczy wielkich, bo pracują pod hasłem dla każdego jasném i zrozumiałém, bo prostą drogą idą do celu wyraźnie wytkniętego.

W ciągu lata przesłano do redakcyi naszéj projekt ustawy Towarzystwa pomocy dla sług, ułożony w kółku ludzi dobréj woli zgromadzonych za inicyatywą pani Emilii Dębskiéj.

Projekt ustawy dla towarzystwa, które żadnych funduszów nie posiada, musiał koniecznie zamknąć się w bardzo ciasnych granicach. Obiecuje on sługom: bezpłatną pomoc lekarską, grzebanie tych, które umierając żadnego funduszu nie pozostawią, a dla tych które z powodu starości lub kalectwa już pracować nie będą mogły, przyrzeka *starać się* o zapewnienie przytułku; projektuje też urządzenie kantoru stręczeń, kasy przezorności i pomocy, rozdawnictwo nagród za dobre sprawowanie się, oraz urządzenie gospód dla zabawy i użytecznych tamże pogadanek; za co wszystko sługa ma się poddać opiece a co za tém idzie i kontroli towarzystwa.

Nam się zdaje że obiecane dogodności nie są tak wielkie, ażeby skłoniły sługi do szukania opieki towarzystwa. Poddać siebię

i czynności swoje kontroli osób obcych, będzie zawsze i dla każdego rzeczą uciążliwą; tém przykrzejszą, na pozór przynajmniéj, musi być kontrola stowarzyszenia, działającego przez organa wybrane, zatém otoczone jakąś urzędową atmosferą; a chociaż cele tow. są najdobroczynniejsze, jednakże zamykają się one w ogólnych wyrażeniach: „zapewnienie sługom pomocy materyalnéj i moralnéj, tudzież rozwijanie w nich poczucia obowiązku i samopomocy.“

Sam projekt powstał z powodu ciągle trwającego narzekania na zły stosunek pomiędzy sługami i pracodawcami, zatém sądzić należy że tow. usiłowania swe kierować będzie ku zachęcaniu sług do moralnego postępowania i sumiennego spełniania obowiązku. Ale w projekcie całym nie ma wzmianki o jakimkolwiek zobowiązaniu ze strony tych którzy sługi najmują.

Owóż, stosunek pana czy pani domu do sług jest nader skomplikowany, i tak delikatnéj natury, że przy zajściach wszelkiego rodzaju, wina téj lub owéj strony, nie może być bez bardzo dokładnego zbadania okoliczności stanowczo określoną; a do podobnego badania wątpimy ażeby zarząd lub komitet towarzystwa miał czas i sposobność. Nowy kantor stręczeń przez tow. urządzony byłby może pożytecznym, ale dając panom pewniejszą niby gwarancyą dobrego sprawowania się służących, powinienby tym ostatnim dawać jakąś gwarancyą dobrego z nimi obchodzenia się. Zapewne że pomoc lekarska i obietnica pogrzebu mogą coś znaczyć; w każdym razie jednak nie tak dużo, ażeby ludzie zdrowi, którzy rzadko bardzo mogą być tak przezorni iżby o możliwéj chorobie pamiętali, dawali za to komuś prawo sądu o swoich postępkach; o śmierci zaś i pogrzebie zwykle medytują ludzie starzy, a wątpić należy, czy obietnicą miłosiernego pogrzebu, możnaby dwudziestoletnią *młodszą* zachęcić do sumiennego spełniania obowiązku.

Z obmyślanych środków, najbardziéj mogłoby wpłynąć na pociągnienie sług do szukania opieki towarzystwa, zapewnienie im przytułku na starość, i to nie tyle przytułku, ile jakichkolwiek emerytalnych wypłat, po pewnéj ilości lat pracy pod opieką tow., bo do domu przytułku ludzie niechętnie idą, chybaby przeszli pierwéj przez wszystkie stopnie nędzy; ale w téj materyi, tow. nie mające funduszów, może tylko obiecywać *staranie* o urządzenie przytułku.

Środkiem prawdziwie skutecznym, wzbudzającym zaufanie w sługach, byłoby zobowiązanie się członków tow. do dobrego i ludzkiego obchodzenia się z własnemi sługami, do uczenia ich pewnych robót, uznawania w nich swoich domowników, a nie przypadkowo tylko i chwilowo związanych z sobą na kwartał lub dwa przybłędów, zapewnienie im jakiéjkolwiek materyalnéj korzyści, szczególniéj za

dłuższą uczciwą i pożądną służbę, bez tego rodzaju warunków trudno się spodziewać ażeby chętni opiekunowie znaleźli kim się opiekować. Boć przecie kasy groszowe i kasa oszczędności istnieje już dzisiaj, a drobniuchny wedle projektu fundusz pomocy, do którego części uzyskuje się prawo pięcioletnią wytrwałością, zapewne mało kogo zwabi.

W ostatnich dniach Września r. b. odbyła się w Warszawie wystawa ogrodnicza. O ile jéj otwarciu niesprzyjała pogoda, o tyle w dniach następnych, podczas całego jéj trwania stan powietrza się zmienił na lepsze, a jasne i słoneczne, chociaż chłodne dnie, dały możność ludności naszego miasta tłumnego zwiedzania wystawy, z czego też amatorzy, których rozwój ogrodnictwa w kraju szczerze interesuje, skwapliwie korzystali. Wystawa powiodła się najzupełniéj, dając nowy jeszcze dowód usilnych starań komitetu Muzeum rolnictwa i przemysłu w popieraniu i zachęcaniu wszelkich objawów rozbudzającéj się coraz bardziéj działalności naszego społeczeństwa w rozlicznych kierunkach pracy organicznéj. Obszerna w zwykłych warunkach sala doliny Szwajcarskiéj, przemieniła się od razu we wspaniały ogród zdobny w kląby drzew egzotycznych, na co się złożyły cieplarnie Łazienek, Wilanowa i Natolina, Ursynowa, ogrodu Frascati jako też firm ogrodniczych w Warszawie to jest: braci Bardetów, braci Hoser'ów, p. Ulrych'a i innych, nie wspominając już o reszcie miejscowych i zamiejscowych wystawców, którzy doborem kwiatów, na jakie ich w porze jesiennéj stać mogło, rzucili na tło zieleni przeróżne barwy hodowanych przez siebie pieszczoszków Flory. Lecz wyraziwszy słuszne uznanie dla sztuki, która pod naszém chmurném i chłodném niebem z powodzeniem pielęgnuje rośliny właściwe strefom podzwrotnikowym, nie możemy też dłużéj się zatrzymywać nad wystawą kwiatów, dla któréj już sama spóźniona pora roku wskazała jako nieuchronną koniecznność, drugorzędne zaledwie znaczenie. Opuszczając więc państwo Flory, śpieszymy tam gdzie króluje Pomona.

W bogatym tym dziale widzimy najrozmaitsze gatunki owoców pochodzące z ogrodów powyżéj wymienionych, celujące doborém pod względem wielkości, barw, zapachu i zapewne smaku: jabłka, gruszki, śliwki, morele, brzoskwinie, ananasy, winogrona. Nie brakło wystawców z pomiędzy właścicieli ogrodów na prowincyi, nawet ze stron dalekich, bo ze Żmudzi, Podola i Wołynia. Obecność na wystawie okazów pochodzących z ogrodów należących do właścicieli ziemskich przekonała nas, że ogrodnictwo i sadownictwo zaczyna

być u nas uprawiane ze szczególném zamiłowaniem. Dążność ta, ku podniesieniu tak powabnéj gałęzi gospodarstwa, wybitniéj się okazuje od roku 1874, to jest od czasu ostatniéj w Warszawie wystawy rolniczéj, na któréj i ogrodnictwo było reprezentowane. Mamy prawo tak twierdzić, ponieważ w objaśnieniach dołączanych do deklaracyj wystawców, często znajdujemy wymieniony ten rok jako czas od którego rozpoczyna się rozszerzenie dawnego, lub założenie nowego ogrodu na większą skalę, jako téż szkółek drzewek owocowych, i to nie tylko już dla własnéj wygody i przyjemności, ale z widocznym celem ciągnienia zysków ze sprzedaży owoców i szczepów drzew owocowych. Instytucyą która najdzielniejszą stanie się podporą i pomocą dla tych usiłowań, jest nasz ogród pomologiczny, którego systematycznie ułożona wystawa wielce była nauczającą.

Bogaty dobór jego okazów był podzielony na trzy działy: pierwszy mieścił w sobie okazy wszelkich owoców godnych hodowania jako przydatnych do wszystkich celów; drugi zawierał takie, których hodowanie jeszcze się opłaca; trzeci nareszcie składał się z takich gatunków, które zgoła na hodowanie nie zasługują. Dokładne więc obeznanie się z przedmiotem pod tym względem, stanowić może dla właścicieli ogrodów podstawę do dalszego postępowania w racyonalnym kierunku i uniknienia strat, na które się niechybnie narażą, hołdując dylletantyzmowi lub ślepemu naśladownictwu.

Słusznie zatém jedna z trzech najwyższych nagród, podziękowanie komitetu, przypadła w udziale ogrodowi pomologicznemu.

Nie możemy tu wyliczać nazwisk wystawców i bliżéj się zastanawiać nad okazami przez nich dostarczonémi. Lecz nie możemy pominąć milczeniem dwóch zwłaszcza wystawców, gdyż doniosłość ich pracy wyda niechybnie błogie w przyszłości skutki. Pierwszym z nich jest p. Leon Szyperski, nauczyciel szkoły ludowéj w Włocławku, drugim zaś ks. Roch Wójcicki, proboszcz z Belska (pow. Grójecki). Za przykładem i namową szan. proboszcza, okoliczni włościanie zakładają u siebie sady, do których szczepów dostarcza im szkółka przez ks. Wojcickiego założona i utrzymywana. Cywilizacyjny wpływ zacnych tych usiłowań godzien jest najwyższego uznania.

Dział warzyw, doborém swoich okazów rywalizował z wystawą owoców. Widzieliśmy prawdziwie olbrzymie buraki, marchew, brukiew, kapustę itd. Na tę wystawę złożyły się przeważnie, jak się łatwo domyśléć można, ogrody handlowe, położone w bezpośredniem sąsiedztwie Warszawy, ponieważ obfitość nawozu i zbyt zapewniony, umiejętnie prowadzoną hodowlę czynią nader korzystną.

W dziale tym szczególną zwracała uwagę kolekcya nasion różnych warzyw własnéj produkcyi braci Kaczyńskich, ogrodników w Warszawie (ul. Mokotowska 2). To nas powinno przekonać, że niepotrzebnie płacimy haracz, sprowadzając nasiona warzyw z zagranicy, kiedy równie dobrych, a bezwarunkowo pewniejszych, możemy dostać u siebie.

Komitet sędziów, uwzględniając starania i pracę wystawców okazał się hojnym, powiemy nawet zbyt hojnym, w udzielaniu nagród. Możnaby sądzić, iż położył sobie za zadanie nie pominąć nikogo, z bardzo małemi wyjątkami. Na 69 wystawców katalogiem objętych rozdanie 58, wyraźnie *pięćdziesięciu ośmiu* nagród rozmaitego stopnia, jako to podziękowań komitetu, dyplomów na medale złote i potwierdzeń dawniejszych, medali srebrnych wielkich i małych, medali brązowych i listów pochwalnych, stanowi liczbę zbyt wielką. Każda nagroda powinna być odznaczeniem wysoko przez wystawców cenioném, a gdy wszyscy są odznaczeni, wtedy nagroda traci swą wartość i tylko jéj stopniowanie przywraca w części właściwy jéj charakter. Mówimy w części, gdyż nie można dziwić się pewnemu niezadowolnieniu wystawców, gdy otrzymają jednakową nagrodę za przedmioty wprawdzie do różnych konkursów należące, ale które pod względem znaczenia i doniosłości w żaden sposób porównane z sobą być nie mogą. Nie dziwimy się bynajmniéj przyznaniu medalu złotego ogrodowi Frascati za sto czterdzieści drzewek obciążonych dojrzałym owocem ale wyhodowanych w doniczkach tak, że mogą służyć za zastawę stołu do wetów, chociaż i tu mimowoli nasuwa się nam na myśl rusińskie przysłowie: „nic dziwnego, że król ma piękną żonę;“ ale stosunek pomiędzy małym medalem srebrnym udzielonym za podkłady pod bukiety, a listami pochwalnemi, które otrzymali p. L. Szyperski i ks. Wojcicki, wydaje się nam nienormalnym.

Obecnie przy magistracie miasta Warszawy prowadzą się czynnie roboty przygotowawcze do spisu jednodniowego ludności miejskiéj:

Ze wszystkich prac jakie administracya oświecona może przeprowadzić wśród społeczeństwa, jedną z najtrudniejszych, ale niezaprzeczenie pożyteczną, jest dokładne obliczenie ludności, nie tylko ilościowe ale i rozgatunkowanie jéj jakościowe wedle wieku, płci, stanu cywilnego, rodzaju zajęć, stanu majątkowego, wedle wyznań religijnych, stopnia oświaty i wedle wszystkich tych odmian i różnic, które w społeczeństwie ludzkim pewnym grupom nadają charakter odrębny.

Pominąwszy cele policyjne i finansowe, dla osiągnięcia których dokładna znajomość stanu rządzonéj ludności, zapewne jest arcy-

pożyteczną, ale bez któréj obchodzą się zwykle sfery urzędowe, zadowalniając się grupowaniem ludzi wedle cech zewnętrznych; dla administratora, jak go pojmuje nauka współczesna, a jakim go mieć chcą dzisiaj społeczeństwa wykształcone, dokładne cyfry statystyczne są niezbędną podstawą działalności. Statystyka jako nauka, opiera swe wnioski na rachunku prawdopodobieństwa i dla tego wnioski te, o tyle tylko mogą być prawidłowemi, o tyle mogą służyć za wskazówki do praktycznéj działalności o ile opierają się na materyale prawdziwym; tylko taki materyał może być podstawą rozumowania ścisłego i on tylko daje możność sądzenia o potrzebach społecznych. Doprowadzenie cyfr statystycznych do stopnia możliwie najbliższego prawdy w danéj chwili, jest zadaniem arcy trudném, jak wszelkie ujęcie w cyfry i grupy stale określone, tego co się ciągle zmienia, a zmienia się na ogromnych przestrzeniach i wśród wielkiéj ilości ludzi.

W szeregu dóbr narodowych, dobrém najcenniejszém, najkosztowniejszém, jest sam naród żywy, ludzie go składający. Już siła fizyczna człowieka, główne narzędzie pracy ekonomicznéj, jest produktem wytworzonym na machinie nader kosztownéj. Dla doprowadzenia téj machiny do stanu normalnego rozwoju, przy którymby czynność jéj w pełni wykazać się mogła, potrzeba lat 18 do 20 odżywiania, starań wszelkiego rodzaju, pielęgnowania zdrowia i prawidłowego rozwijania się organizmu. Stan pełnéj siły trwa u człowieka lat trzydzieści kilka do czterdziestu, bo około 55 go lub 60 roku życia już się on staje do roboty mniéj zdolnym, albo i zupełnie niezdatnym, a jednak stosunki jakie go w ciągu życia ze społeczeństwem związały, potrzeby moralne dorastających i dojrzałych pokoleń, wymagają wśród ludów cywilizowanych pielęgnowania starców, którzy nie tylko są drodzy sercu swych potomków, ale przechowują i oddają pokoleniom następnym doświadczenie i mądrość w długiéj praktyce życia nabyte, stają się żywym składem tradycyi, na gruncie któréj dopiéro postęp i doskonalenie się stosunków ludzkich opierać się może. W ciągu zaś epoki najbujniejszego rozwinięcia sił organizmu swego, człowiek ciągle musi je podtrzymywać ustawicznym odżywianiem się. Pokarm codziennie przyjmowany, działa podobnie jak paliwo w machinie parowéj, z tą jednak różnicą, że produkt tego paliwa, wytwarzająca się co chwila siła muskularna, nie może być przechowaną, ale aby być produkcyjną, musi się zużytkowywać w miarę wytwarzania się. Tak więc niedostatek albo zły gatunek pokarmu naraża człowieka na osłabienie, niedostatek pracy albo próżnowanie marnują siły bezpowrotnie.

Jeżeli siła fizyczna człowieka jest już tak ważnym czynnikiem, o ileż kosztowniejszą i cenniejszą jest siła umysłowa, potęga myśli człowieka wykształconego, uczonego, artysty, prawnika, lekarza, duchownego i wszystkich tych, którzy sami fizycznie nie pracując, nie tylko zarządzają siłami robotników, ale nadają kierunek ich myślom, potęgują uczucia całych narodów. Jakoż jeżeli dla hodowania dzieci i pielęgnowania starców wystarczają starania rodziny, tego pierwszego i pierwotnego związku społecznego, dla wykształcenia należytego umysłu ludzkiego zamało już sił saméj rodziny, tutaj nie tylko gminy ale i narody całe skupiają swe działanie, aby urządzić największą ilość wszelkiego rodzaju zakładów naukowych, ogromne sumy wartości składają się w muzeach, zbiorach, bibliotekach, najpoważniejsze umysły jednoczą swe usiłowania w seminaryach, uniwersytetach, akademiach, ażeby z całéj massy ludzi wyrobić pewną ilość kierowników umysłowych dla narodu, przywódców na drodze myślenia, pionierów w dziedzinie umiejętności.

Siła narodu, dzielność jego, o tyle będzie wyższą i potężniejszą o ile wśród niego żyć będzie więcéj ludzi dojrzałych, zdatnych do pracy umysłowéj i do roboty fizycznéj. Jeżeli w danym kraju, na stu ludzi przypada 60 dzieci i starców a 40 dojrzałych, potrafią oni zrobić wszystko prędzéj i lepiéj, aniżeli w innym kraju gdzie na sto wypadnie 70 dzieci i starców a 30 dojrzałych, bo tych ostatnich nie tylko mniéj staje do roboty, ale jeszcze ciąży na nich obowiązek utrzymywania o 10 więcéj istot słabych, na co pewna część ich usiłowań zużyć się musi. Tak samo, o ileż lepiéj i mądrzéj potrafi prowadzić swe sprawy naród, w którym, na stu ludzi dojrzałych będzie dziesięciu wykształconych, aniżeli taki w którym na stu ledwo jeden oświecony przypadnie. Ilość ludzi dojrzałych w narodzie o tyle będzie większa, o ile dzieci lepiéj się hodują, o ile pomiędzy nimi mniejsza śmiertelność; zmniejszenie śmiertelności zależy znowu od polepszenia warunków higienicznych; ilość dzieci czy ludzi umiejących czytać i pisać daje wyobrażenie jeżeli nie o stopniu rozwinięcia nauk w narodzie, to przynajmniéj o siłach, które do naukowéj pracy i wykształcenia mogą być zdolne.

Od administracyi nie wymaga się dotychczas, ażeby ludziom pokarmu lub roboty dostarczała, ale polepszenie warunków higienicznych, ale urządzanie zakładów naukowych wprost już ciążą na odpowiedzialności administracyi, która w pełnieniu tych swoich pierwszorzędnych obowiązków ustawicznie téż odwoływać się musi do spółdziałania samego społeczeństwa. Stąd już widać wyraźnie, jak dalece użytecznem być musi dla administracyi i dla społeczeństwa, wyjaśnienie dokładnego stanu w jakim się znajduje ludność da-

néj miejscowości, pod wszystkiemi wyżéj wzmiankowanemi względami. Rozpoznać ilość ludzi umiejących czytać i pisać, wiek ludności, stan zamożności, rodzaje zajęć, sposób życia, to znaczy dochodzić do świadomości tego czego ta ludność potrzebuje, co należy przedsięwziąć, ażeby jéj życie łatwiejszém uczynić, ażeby dać jéj możność pełniejszego rozwijania i lepszego zużytkowania sił własnych.

O wszystkich tych rzeczach pojęcie dać może spis jednodniowy ludności, który rozgatunkuje ją wedle dość delikatnych a jednak wyraźnych odcieni. Nad przeprowadzeniem takiego to spisu w Warszawie w Styczniu roku przyszłego, pracuje obecnie osobna komisya przy magistracie; powołano do niéj ludzi fachowych, wzywa też ona do pomocy wszystkich chętnych wykształconych ludzi, którzyby się zajęli przeprowadzeniem rzeczy w szczegółach; miasto podzielono na 42 okręgi, do każdego z nich wyznaczeni już są przewodniczący, z pomiędzy mieszkańców miasta, ci już sami sobie do pomocy potrzebną ilość delegatów dobierać będą. Komitet zaś spisowy z góry przyznał spisowi czysto-naukowy charakter, w skutek czego nieprawidłowości w spełnianiu przepisów policyjnych lub finansowych, jakieby przy spisywaniu ludności wykryć się mogły, nie narażą nikogo na odpowiedzialność.

Po kilkunastoletniéj a mimowolnéj przerwie, Wilno przesłało nam „Kalendarz litewski na rok 1882,“ zaznaczając „rok pierwszy“ tego wydawnictwa, jako zapowiedź i obietnicę dalszego trwania w przyszłości. Ten miły dla serca naszego i na uwagę zasługujący fakt istnienie swe zawdzięcza energii, przedsiębierczości i wytrwałości znakomitéj powieściopisarki naszéj, p. Elizy Orzeszkowéj. Nie będziemy się rozszerzali nad znaczeniem samego faktu, który zrozumiałym być winien dla każdego, kto zna stosunki nasze, kto wie, jak wielki wpływ wywrzeć mogą książki popularne—a do najpopularniejszych należą niewątpliwie kalendarze.

Ale radzi jesteśmy bardzo, że nie tylko fakt sam zanotować nam wypadło, lecz że i treść tego faktu, wewnętrzna wartość kalendarza, na zupełne uznanie i pochwałę zasługuje. Trzy głównie panie złożyły się na napisanie téj części, która, następując po zwykłych tablicach kalendarzowych, ma służyć za naukę i rozrywkę dla czytelników. Panie te są: Eliza Orzeszkowa, Walerya Marrené i Zofia Kościałkowska.

Wydawczyni zrozumiała potrzebę zaznajomienia czytelników z dziejami literatury naszéj i zachęcenia do poznania najgłówniejszych jéj przedstawicieli. Ci z czytelników co o literaturze polskiej słyszéć nie mogli w szkole, niewątpliwie odczytają z zajęciem to, co pani Orzeszkowa napisała w Kalendarzu o oświacie polskiéj przed

wiekiem XVI, oraz o Reju i Kochanowskim, obiecując na przyszłość ciąg dalszy bardzo popularnego, przystępnego a rozumnie prowadzonego wykładu. Bo nie ogólniki estetyczne, nie szczegóły biograficzne, ale doskonale dobrane wyjątki z dzieł samych autorów poznają czytelnicy, a poznawszy je i dowiedziawszy się, że takie ładne rzeczy pisano już u nas przed trzema z górą wiekami, może zapragną z autorami zaznajomić się dokładniéj jeszcze, a w każdym razie wyniosą przekonanie o wielkiéj wartości pismiennictwa polskiego.

P. Marrené w udatnie skreślonym obrazku powieściowym („Nie znamy, co mamy, aż postradamy“) daje młodym panienkom bardzo rozsądną przestrogę, żeby skończywszy pensyą nie uważały się za doskonałość, żeby nie gardziły skromną strzechą ojcowską, ale przyuczały się do życia i pracowania pod nią, bo życie nie jest balem, lecz szeregiem trudów; daje im poznać, że błyskotki powierzchownego wykształceniasą złudą, którą na chwilę tylko siebie samych olśnić można, która jednak przy zetknicciu się z warunkami rzeczywistości rozwiać się musi. Autorka umiała surowość morału osłonić wdziękiem opowiadania i nie chciała karać swojéj młodziutkiej kapryśnicy zbyt dotkliwie, powraca więc jéj szczęście już-już zagrożone i dach rodzinny już postradany i powiastka kończy się rzewnie sceną rodzinną przebaczenia i pojednania i przez to właśnie może najwięcéj serc pozyska.

P. Kościałkowska zapoznała czytelników w krótkości z dzisiejszym stanem i dawniejszemi dziejami Wilna, przypomniała swietne jego, uniwersyteckie czasy. Następnie skreśliła dzieje poddaństwa, kładąc nacisk na to, że Polska nie była „piekłem dla chłopów,“ jakto niektórzy koniecznie wmówić w nas usiłują. Wreszcie opowiedziała kilka zajmujących szczegółów „o wynalazkach naukowych.“

Obok tych literackich wiadomości znajdują się naturalnie w Kalendarzu i przepisy gospodarskie „z teki Doświadczyńskiéj“ i wyjątki z przepisów pocztowych o korespondencyi prywatnéj i wiadomości o jarmarkach i informacye księgarskie, a nadto jeszcze artykuł p. Edmunda Jankowskiego, objaśniający „co to można w ogrodzie zrobić.“

Słowem Kalendarz ten, w którym wymienione są święta według starego i nowego stylu, możemy polecić uwadze czytelników; nie powinni się oni zrażać, jego sukienką niezbyt wykwintną, gdy treść wynagradza hojnie brak pięknego papieru.

Mówiąc o wydawnictwach, słówko powiedzieć wypada o nowéj gazetce, która przybyła Warszawie.

Wydawnictwo anonsowe p. n. „Doniesienia Warszawskie“ z dniem 1 października przemieniło się na rodzaj kuryerka; połowa

każdéj stronicy zajęta jest ogłoszeniami, a druga tekstem. Na tekst ten składają się wiadomości kościelne, urzędowe, nowinki z miasta i kraju, oraz z cesarstwa, daléj korespondencye krajowe, kiedy niekiedy wiadomości księgarskie i literackie, czasami jakiś artykulik dotyczący spraw społecznych („Kasy zastawnicze,“ „Straże ogniowe ochotnicze“ i t. p.); bywa wreszcie i t. zw. „odcinek“ czyli feljeton. Wydawcy i redaktorowie zarazem, pp. W. Grabowski i H. Perzyński pisemko swoje, najtańsze ze wszystkich, jak powiadają w ogłoszeniach, rozpoczęli „w imię boże,“ pragnąc, ażeby ono mogło „znaleść się w każdym domu, u każdego domowego ogniska;“ nie obiecywali w szczególności nic, zaznaczali tylko, że stają do pracy „z dobrą wiarą, z silną wolą służenia społeczeństwu, z którém łączy nas Bóg jeden, ziemia jedna i idea jedna.“

Takie są zapewnienia wydawców i redaktorów. Nie myślimy im przeczyć na podstawie dotychczas wydanych numerów, ale zrobimy kilka uwag, które się nam nasunęły przy ich przeglądaniu. Polityki dotychczas w „Doniesieniach“ nie ma; zapewne nie ma jéj i w programie; nie jest-to strona ujemna, uważamy ją owszem za dodatnią wobec dość żarliwéj uprawy tego działu przez dziennikarstwo nasze. Wiadomości miejscowe są niezbyt obfite; zastępują je częstokroć anegdoty, które chyba bardzo niewybrednemu towarzystwu podobać się mogą; autorowie ich widocznie nie mają na widoku „ogniska domowego,“ ale zebrania kawalerskie, to téż sobie wcale po kawalersku postępują; lubują się w opowiadaniu scen z „damami do wszystkiego,“ z obdartusami, pijakami, zaglądają dość często do szynkowni, powtarzają co tam widzą, naśladują żargon żydowski, jaki posłyszą i t. p. A i język i styl zastosowują do natury zdarzeń, które skwapliwie notują. Z czytelnikami rozmawiają bardzo a bardzo poufale; „mościdziej,“ „facet,“ „urznięty w kij,“ „niech cię indor świśnie“ i t. p. wyrażenia są w ustach reporterów na zawołanie. W powieści i feljetonie powieściowym używanie ich jest usprawiedliwione potrzebą malowania z natury, ale wątpimy, czy artykuły dziennikarskie zyskają co na posługiwaniu się brukowym sposobem mówienia. Te i tym podobne anegdoty, takim stylem opowiadane, wskazywać się zdają, że „Doniesienia Warszawskie“ chcą zaakcentować żywioł plotkarski w prasie naszéj. Do tegoż rodzaju zaliczyć można niesmaczny feljeton opisujący sceny z domu obłąkanych w Warszawie. Może on interesować chyba tych tylko, którzy podobnych rzeczy nigdy w obrobieniu artystycznem nie poznali.

Ułatwienia w nauczaniu geografiii zdawna są przedmiotem rozmyślań i rozmaitych usiłowań ze strony pedagogów. Między innemi

środkami pomocniczemi nie małą grają rolę tak zwane mapy *ślepe*, na które uczeń sam wnosić winien w miejscach właściwych wszelkie nazwy, jakich się z podręcznika na pamięć wyucza. U nas, o ile wiemy, raz jeden tylko i to bardzo dawno próbowano wydawnictwa map ślepych. Obecnie p. W. K. doświadczony pedagog, wydał swoim nakładem taką mapę, przedstawiającą na wielkim arkuszu ziemie słowiańskie od ujść Elby na zachodzie aż do płaszczyzny zadnieprzańskiéj na wschodzie i od Baltyku aż po za Karpaty i morze Czarne. Siatka wodna, wykonana nadzwyczaj starannie i delikatnie, mile się oku przedstawia, a jéj barwa błękitna wpłynie na wyraźność mających się pomieszczać na niéj napisów. Pod tym względem mapa p. W. K. ma niezaprzeczoną wyższość nad wielką mapą w ośmiu sekcyach, którą dla użytku badaczów historyi wydano niedawno w Krakowie. Jako znacznie mniejszych od téj ostatniéj rozmiarów, może być pomocniczą do oryentowania się w tamtéj lub do jéj zmniejszania. Pan W. K. wykonał swą mapę na skalę 1:2.000.000. Kosztuje ona bez przesyłki kop. 50, z przesyłką kop. 80. Zgłaszać się o nią należy do księgarni Gebethnera i Wolfa.

Nie wszystkim zapewne czytelnikom naszym wiadomo, że w Moskwie wychodzi pismo pod napisem „Ruś,“ rozprawiające co tydzień na dwunastu kartach o polityce i bieżących zadaniach społecznych. Redaktorem onego jest p. Jan Aksakow, głowa szkoły sławianofilskiéj, niezmordowany polemista, pisarz, któremu wszyscy przyznają wielkie zdolności stylistyczne, bujną fantazyą i niezmierną skłonność do paradoksów. Literaccy przeciwnicy redaktora „Rusi“ posądzają go o zachciankę zmonopolizowania wyłącznie dla siebie prawa przemawiania w imieniu „ludu“ i szydzą z miłego złudzenia, jakoby był jedynym prawdziwym patryotą. Wszystkie jednak wysiłki publicystów, których on stale nazywa „pseudoliberałami,“ nie zdołały ani złudzenia tego rozwiać, ani owéj zachcianki wybić mu z głowy: polemika tedy wre ciągle w najlepsze i prędkiego jéj końca w obecnych okolicznościach przewidywać niepodobna. Osią około któréj spór się toczy jest nikczemność moralna „zgniłego Zachodu,“ mizerota wszelkich jego urządzeń, pogrążenie się tegoż Zachodu w materyalizmie po uszy, konieczność zatém otrząśnięcia się ze wszystkiego co wzięte z Zachodu zostało, co go przypomina, a tém samém, co trądem, który go toczy, zarazić-by mogło plemię zdrowe, mające bogate zadatki własnéj „samodzielnéj“ kultury.

Teza ta, podejmowana ciągle i broniona z zadziwiającą wytrwałością przez p. Aksakowa, bardzo nadaje się do sporu: spierano się wszakże długo o to, co jest dawniejszém kura czy jaje? co pierwéj człowiek wynalazł—młot, czy kowadło? Tam gdzie jeden ros-

koszować się będzie aromatycznym zapachem, drugiego woń zgnilizny wstrętem przyjmować może, bo rodzaj wrażenia nie tylko od samego zjawiska, ale i od rodzaju nosa zależy. Ale wszelka jednostajność znudzić musi i najcierpliwszego czytelnika. Nie można przecie naśladować owéj baby wiejskiéj, która wedle powiastki ludowéj, gdy mąż mówił: „golone," odpowiadała: „strzyżone." Pan Aksakow wié o tém bardzo dobrze, stara się zatém urozmaicić swą piosenkę, a jako biegły kompozytor może być pewnym, że mu na ulubiony temat nie zabraknie nigdy waryacyj. Więc dzisiaj dla kłopotów społecznych wykrywa zbawcze lekarstwo w „powiecie," jutro będzie walczył z wiatrakami systemu reprezentacyjnego; dopiéro co wołał na ziomków swoich: „nazad! do domu!" aliści nie może tu usiedziéć, biegnie (rozumie się—myślą tylko) za Dunaj, aby stawić księciu bulgarskiemu ultymatum i zupełnie na seryo wypisuje warunki, pod któremi pozwoli mu nadal panować. Z kolei dostaliśmy się i my na ten gorączkowo działający pytel. W N-rach 39 i 40 z roku bieżącego redaktor „Rusi," wystosował znowu ultymatum niby do nas, właściwie jednak do owych „pseudo-liberałów," nie dających mu spać spokojnie, i z powodu kilku artykułów gazeciarskich, które o polakach objektywniéj spróbowały się odezwać, zarzuca ich autorom co najmniéj „tępy umysł," a jeśli nie — to „przestępstwo i zdradę." Takim językiem przemawiając do swoich rodaków, redaktor „Rusi" nie mógł i dla nas zmienić swéj frazeologii: wielbi tedy „świetne przymioty i zdolności" naszego narodu, ale znajduje, że natura szczególnie nam poskąpiła „rozsądku, politycznego zmysłu i taktu," a w innén miejscu porównywa nas poetycznie i obrazowo do „rzezimieszka, który trzymając kogoś w przyjaznych jakoby objęciach, tymczasem wyciąga mu pulares z kieszeni." Tejże maniery trzyma się p. Aksaków czy to kreśląc swój pogląd na stare nasze dzieje, czy dotykając świeższych wypadków, czy wreszcie rezonując o tém jakie powinno być jutro. Tanio musi papier kosztować w Moskwie, skoro redaktor „Rusi" poświęca 23 kolumny ścisłego druku na wmówienie w swych czytelników tego, że kaftan przymusowy używany w domach waryatów w ostateczności, jest alfą i omegą psychiatryi polityczněj. Na dwudziestu trzech kolumnach druku znaleźliśmy zaledwie jedną myśl humanitarną, a i ta dostała się tu jedynie dla przypięcia łatki nielubionym przez p. Aksakowa urzędnikom petersburskim i hrabiemu Kotzebue.

Błędów faktycznych, które w znacznéj liczbie zdołał przytém nagromadzić, nie bierzemy publicyście za złe, błądzi bowiem, jak mniemamy, w dobréj wierze. Dziennikarz który tak dużo pisze, który nadto zajęty jest i innemi obowiązkami, mało ma czasu do

czytania, nic dziwnego zatém, że tego i owego nie wié, tego i owego nie rozumié. Mniejby się bez wątpienia gorszył wyrażeniem „psia wiara,“ gdyby wiedział, że gmin nasz używa go często bezmyślnie między sobą, równie jak wyrażeń „psie mięso,“ „psia wełna,“ „psia kość“ i t. d. Cała ta anatomia ludowa—przyznajemy chętnie—równie jest szpetną jak termin genealogiczny „sukinsyn;“ ale dopatrywać w tém objawu nietolerancyi religijnéj jest równie śmiesznem, jak mylném byłoby, gdyby kto „sukisyna“ chciał łączyć w związek genetyczny z podaniem ukraińskiem o ludzie „pesohołowciów.“ Podobnież nasz obelżywy wyraz „bydło“ jest zupełnie równoważny i równoznaczny z wyrazem „skotina,“ którego niepodobna aby p. Aksakow nie słyszał. Natrząsając się z frazesu „padam do nóg,“ p. Aksakow widocznie nie wie, że to odmienna tylko forma rosyjskiego „czełobitja.“

Toż samo powiedzieć wypada i o ultymatum. Tylko nieświadomość, istnie dziecięca, mogła podyktować je utalentowanemu redaktorowi „Rusi.“ Kwestye takie, jak ta, którą Bóg wie po co, poruszył, nie rozstrzygają się za pomocą deklaracyj, chociażby te podpisane zostały „przez wszystkich publicystów i wydatnych działaczów społecznych.“ Dzisiejsza nauka wykazała, że rozwiązanie podobnych węzłów zależy od całkiem innych a potężniejszych czynników. P. Aksakow wpadł na szczególny koncept owéj deklaracyi, bo jako dziennikarz ulega łatwemu do pojęcia złudzeniu: zdaje mu się, że jego drukowane słowa stają się faktami historycznémi, a to tylko, że użyjemy języka biblijnego, miedź brzęcząca i cymbał brzmiący, zwłaszcza, że ideał jego, polegający na powróceniu dnia wczorajszego, sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi, którego brak nam wytyka. Inna to całkiem rzecz fantazyować na temat „bylin“ o Ilii Muromcu i Aloszy Popowiczu, inne urządzenia w państwie przekształcać, a napisanie najlepszéj nawet książki o jarmarkach ukraińskich, nie kwalifikuje jeszcze na męża stanu; ministrowie przemawiają często z trybuny, bywają czasem świetnemi mówcami—to prawda, ale i to niewątpliwa, że nie retoryka kieruje losami narodów. Można okazywać swój patryotyzm bardzo gorącemi słowy, a obok tego być szkodliwie działającym obywatelem dla braku, tak potrzebnéj we wszystkiém, rozwagi. Życzymy p. Aksakowowi, aby przyszły historyk rozpatrując się w jego czynnościach, ważąc jego intencye i skutki z nich wynikłe, nie był zmuszony powtórzyć słów Hussa na stosie: *O sancta simplicitas!*

Otrzymaliśmy następną odezwę:

Grono ludzi, zajmujących się ułożeniem Książki Pamiątkowéj o b. Szkole Głównéj, ponawia dawniéj już ogłoszone wezwanie do wszystkich byłych studentów téj szkoły, ażeby zechcieli nadesłać następujące informacye:

1. Rok i miejsce urodzenia;
2. Szkoły, do których uczęszczali;
3. Rok wstąpienia do Szkoły Głównéj i czas pobytu w niéj;
4. Stanowisko obecne, a także prace drukiem ogłoszone.

Informacye te posłużą do ułożenia spisu studentów b. Szkoły Głównéj, który wejdzie w skład historyi losów téj instytucyi. O studentach zmarłych raczą informacye powyższe podać najbliżsi znajomi.

Byli studenci wydziału prawnego raczą nadsyłać wiadomości powyższe pod adresem Jana Maurycego Kamińskiego, Niecała nr. 8; wydziału lekarskiego—pod adresem Konrada Dobrskiego, Marszałkowska 50; wydziału matematyczno-fizycznego—pod adresem Eugieniusza Dziewulskiego, Podwale 2; wydziału filologiczno-historycznego—pod adresem Piotra Chmielowskiego, redakcya Ateneum, Włodzimierska 14.

Upraszamy wszystkie pisma polskie o powtórzenie téj odezwy.

= *Sprostowanie.* W październikowym zeszycie *Ateneum* w ocenie wypisów pp. Seredyńskiego i Dzieduszyckiéj, na str. 167 popełniono błąd, który w interesie prawdy poprawić należy. Zarzucono tam, że wiersza Gabryelli „Czemu mi smutno“ nie ma we wspomnianych wypisach; tymczasem on w nich się mieści. Sprawozdawca miał egzemplarz wypisów, w którym jeden arkusz był defektowy, co do tego arkusza więc musiał poprzestać na spisie treści, a w tym spisie nie wykazano owego wiersza. Dopiéro późniéj przekonał się sprawozdawca, że zamiast „Żalów Sarmaty“ Karpińskiego, umieszczonych w spisie, wydrukowano w samych wypisach wiersz Gabryeli. Przy téj sposobności prostujemy wiadomość podaną na str. 188: Zbiór rozpraw literackich p. Włodzimierza Spasowicza nosi napis: „*Studya* nie z natury“ i zawiera stronic 279. Daléj na str. 179 w wierszu 13-tym od dołu zamiast: „opisuje szeroko *swą* posiadłość“ czytać należy: „o. sz. *owę* posiadłość.“

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

P. Meyer—dziejopis Ks. Poznańskiego.

Geschichte des Landes Posen, von dr. Christian Meyer, Königlichen Staats Archivar der Provinz Posen.—Posen, Verlag von Joseph Jolowicz.—1881.

Przed kilku miesiącami ogłosiła, istniejąca w Poznaniu firma nakładowa, prospekt wraz z zaproszeniem do prenumeraty na dzieło „Królewskiego archiwaryusza prowincyi poznańskiéj d-ra Krystyana Meyera,“ mające obejmować „dzieje prowincyi poznańskiéj“ od najdawniejszych czasów aż do dni naszych. „Główne uwzględnienie—mówił prospekt—ma tu znaleść wewnętrzna historya kraju poznańskiego a więc historya jego ustawy i jego prawa, jak wogóle całéj kultury według jéj różnorodnego rozwoju w handlu i gospodarstwie, sztuce i nauce, języku i obyczaju. Mianowicie ma być dokładnie przedstawiona historya niemieckości (des Deutschthums) prowincyi, emigracya Niemców i ich rozszerzanie się, ich zakładanie miast i wsi. Punkt ciężkości tego opowiadania jednakże będzie stanowiła historya najnowszych czasów od roku 1772, od chwili okupacyi kraju przez Prusy. Właśnie ten peryod, tak niesłychanie ważny dla dzisiejszych stosunków, jest jeszcze w całości swéj mało zbadanym. Mianowicie było dano autorowi korzystać z nieużytego dotąd jeszcze materyału aktowego w królewskiém archiwum prowincyonalném do historyi zaprowadzenia administracyi pruskiéj, kolonizacyi obwodu nadnoteckiego itd.“

Po takiéj rekomendacyi wystawionéj, prawda że przez samegoż nakładcę, mającemu ujrzeć światło dzienne dziełu p. Meyera—mieli czytelnicy tém większe prawo spodziewać się rzeczy ciekawéj, uczonéj, zawierającéj nowe i nieznane szczegóły, im większą rękojmię podobnéj nadziei dawało stanowisko p. Meyera, jako „królewskiego archiwaryusza prowincyi poznańskiéj“ i przesądnie może nieco zakorzenione w całym świecie przeświadczenie o wyższości nauki nie-

mieckiéj. Przesądowi podobnemu mogłoby się zdawać czystém niepodobieństwem, aby tyle dbały o oświatę publiczną, tyle troskliwy w wyborze osobistości na stanowiska naukowe, tyle unikający z powodu „niższości naukowéj i cywilizacyjnéj“ mianowania *Polaków* na podobne stanowiska rząd pruski, był mógł powierzyć ważną posadę archiwaryusza prowincyonalnego zupełnéj ignorancyi i niezdolności. Jakkolwiek tedy wypróbowane od wielu lat i przez liczne przykłady doświadczenie, nie zapowiadało nam w p. Meyerze przyjaciela, ani w jego dziele pracy wolnéj od nieprzyjaznéj nam dążności, liczyliśmy po podobnym prospekcie i po stanowisku autora na rzecz godną uwagi i czytania. O ile, to bardzo umiarkowane zaiste oczekiwanie, po przeczytaniu książki p. Meyera może się uważać zadowolnioném, na to pytanie niechaj będzie odpowiedzią niniejsze sprawozdanie.

Wypada nam je przedewszystkiém zacząć od scharakteryzowania *dążności* autora. Rozumiemy maksymę starożytnego Ateńczyka, który twierdzi, że w walkach partyjnych nie wolno żadnemu obywatelowi pozostać neutralnym. W tolerancyi i pobłażliwości naszéj, rozszerzamy granice téj maksymy i przyznajemy prawo czy obowiązek podobnego podjęcia wyraźnego sztandaru i w walkach międzynarodowych. Niechaj tedy czy to Polak, czy Niemiec traktujący dzieje odwiecznego zatargu między obu narodami, nie wypiera się swojéj właściwéj barwy i zapatruje się na rzeczy z właściwego swemu interesowi narodowemu stanowiska. Taka dążność znajduje jednakże swe granice w uczuciu przyzwoitości, w zamiłowaniu prawdy, w znajomości przedewszystkiém rzeczy. By się zbyt długo we wstępie naszym nie rozpisywać, powiedzmy z góry, że jeżeli tendencya nam wroga jest u p. Meyera wszystkiém, nie ma z jego strony ani jednego warunku czy przymiotu, któryby ją miarkował. Biorąc sobie za wzory nie dodatnie i poważne historyografii niemieckiéj pojawy, jak np. Röppla lub Hirscha, ale mierności i przewrotności, jak Wuttkego, Adlera, Freytaga (wyraźnie piszemy *romansopisarza* Freytaga, na którego powagę się powołuje, nie przytaczając źródła), postanowił sobie p. Meyer za przykładem Wuttkego w jego tendencyjnéj i fałszerskiéj publikacyi *Das Städtebuch des Landes Posen*, „prowincyą poznańską,“ jakiś osobny odwiecznie według niego „kraj poznański,“ *Land Posen*, wydobyć z jego dziejowego, politycznego i narodowego związku (*herausschälen*, jak sam powiada), by dowodzić jego przynależność do Niemiec i żywiołu niemieckiego, by przekonywać od początku do końca czytelnika, że jeżeli się zaprzeczyć nie da, iż *„kraj poznański“* stanowił przez długie wieki część krajów Rzeczypospolitéj Polskiéj, to przecież sąsiedztwo z Niemcami, ich kolonizacya, geograficzne i handlowe stosunki, względy i potrzeby

cywilizacyjne wskazywały go *opatrznościowo* na konieczność przejścia w ręce niemieckie. Fatalizm taki zawisł według p. Meyera od pierwszéj chwili czasów historycznych nad „*krajem poznańskim*“ a daty roku 1772, 93, 95 i 1815 spełniły tylko jego wyrok. Łatwo pojąć, jakie koszlawizny i bezsensy wychodzą na jaw pod wpływem podobnéj tendencyi. Żywioł polsko-słowiański jest według niéj, począwszy od czasów Mieszka i Bolesława, skończywszy na dzisiejszych, przedmiotem zanieczyszczającym „*kraj poznański*,“ nie dopuszczającym żadnéj kultury, niezdolnym do jéj przyjęcia, zaniedbującym systematycznie oświatę, znającym tylko ucisk dla stanów niższych społeczeństwa, nie mającym zmysłu tolerancyi religijnéj.

Takim przedstawia się autorowi żywioł polski w przeszłości. W teraźniejszości piętnuje p. Meyer, wiernie według przykazów i obyczaju słownika policyjnego, każdy objaw życia polskiego w Poznańskiém, czy to nosi miano Towarzystwa pomocy naukowéj, czy Towarzystwa rolniczego, czy *Tellusa*, czy towarzystwa wyścigowego, epitetem rewolucyjnego agitatorstwa. Rzecz naturalna, że przy podobnym systemie trzeba ciskać gromami na „szlachtę i księży,“ robić z nich ciągle jeszcze żywioł bałamucący w rewolucyjnych celach poczciwe, ale ciemne chłopstwo, które jednakże ich syrenich dźwięków nie słucha. O prawdzie, bezstronności, dokładności historycznéj nie ma tu wcale mowy;. całe światło dostaje się wyłącznie i niepodzielnie żywiołowi i rządom niemieckim, wszystek cień pada na Polaków, którym autor żadnéj, co się nazywa żadnéj *dodatniej* nie przyznaje strony. Autor patrzy przychylnie zaledwie na te ustępy i te postacie przeszłości, w których i dzięki którym kolonizacya niemiecka doznawała opieki. Każdy objaw natomiast świadomości narodowéj, każdy nakaz czy to polskiego kazania w kościele, czy nauki języka polskiego w szkole, uchodzi za fakt grzesznego buntu przeciw cywilizacyjnéj wyższości Niemców, za zdrożny ucisk niemczyzny saméj. Nie potrzeba dowodzić, jak dalece ktoś, co się już raz puścił drogą tak wyuzdanéj tendencyi, nie kłopocze się ani o faktyczną prawdę, ani o środki i sposoby jéj stwierdzenia. Jak kruk do swego gniazda najrozmaitsze rupiecie, tak p. Meyer zbiera i znosi do gniazda swojéj przeciw nam nienawiści, bez względu na wartość i prawdę wszystko, co mu się nadarzy gdziekolwiek-bądź znaleść. Tak np. pożycza sobie od romansopisarza Freytaga (nie podając źródła, z ostatniego tomu jego *Bilder aus deutscher Vergangenheit*) bajki, że staroście gnieźnieńskiemu Unrugowi z rodu Międzychodzkiego *aus dem Hause Birnbaum* (co w tém za sens?) wyrwano język a samego żywo spalono za bluźnierstwo. Ten sam daléj romansopisarz jest mu źródłem do innéj jakiejś anegdotki o szlachcicu

Roskowskim, którego czarny but znaczył śmierć, czerwony pożar dla Lutrów i Kalwinów. Im daléj w las, tém więcéj drzew; im daléj postępuje opowiadanie autora, tém więcéj prawd tego rodzaju. Mianowicie staje się pod tym względem autor obfitym, skoro się dobił w swém opowiadaniu epoki roku 1848. Wtedy to są Niemcy niewinnymi barankami, nie mającymi sobie nic do wyrzucenia w postępowaniu swém względem Polaków, kiedy Polacy czyhają tylko na życie i własność Niemców. Opowiada autor przy téj sposobności niebywałe nigdy, wymyślone niewiadomo przez kogo, bądź to mordy zakładników w miasteczku Książu, bądź zamachy w samym Poznaniu na życie niejakiego P. Kolba von Schreeb, bądź rabunki popełniane nibyto przez Polaków na własności niemieckiéj czy to w saméjże stolicy prowincyi, czy po małych jéj miasteczkach.

Do jakiego stopnia miłość prawdy autora w tym względzie się posuwa, niechaj dowodzi następny szczegół. Autor przypisując kołu sejmowemu polskiemu w Berlinie jakieś rewolucyjne i wywrotne dążności, twierdzi, że zagraniczna propaganda rewolucyjna szła z niém ręka w rękę a mianowicie, że i „w prowincyi poznańskiéj rozpowszechniano proklamacye komitetu londyńskiego z dnia 23 Maja 1858 r. wypowiadające wojnę wszystkim państwom i tronom." Jakżeż tymczasem ma się z *prawdą* faktyczną podobnego twierdzenia? Otóż, jak dowiedziono i jak nikt nie przeczy, że o głupców i wartogłowów londyńskich nikt się nie pytał, ale że podrobione ich w Poznaniu odezwy, czyli ściśléj powiedziawszy, odwzorowane podług oryginału londyńskiego, rozpowszechniała w celu zbadania usposobienia publicznego—samaż władza policyjna poznańska. Autor nie wiedział, a najprawdopodobniéj nie chciał wiedziéć, tego powszechnie znanego faktu i zrzucił jego winę na rewolucyjność Polaków.

Rzeczą zbyteczną byłoby wobec takiéj tendencyi autora dowodzić, że jedyném lekarstwem na dziejową niepoprawność Polaków była jedynie tylko kolonizacya i cywilizacyjna działalność żywiołu niemieckiego. W tym celu i aby tego dowieść, wyprawia autor istnie łamane sztuki. Przedewszystkiém stara się przekonywać, że „*kraj poznański*" był już zdobyty dla kultury niemieckiéj przez kolonizacyą książąt i kościoła w XIII i XIV wieku, a że dodatkowe emigracye w skutek prześladowań religijnych XVI i XVII wieku dopełniły tylko reszty. Korzystając bardzo szeroką miarą z uczeńszego, cokolwiekbądź, od swéj książki *Städtebuchu* Wuttkego, wylicza autor, wszystkie nadania książąt, wszystkie fundacye klasztorów, wszelkie osadzania kolonistów na prawie niemieckiém. Procedura jego w tym względzie, by tylko przyjść do rezultatu dowiedze-

nia odwiecznéj niemieckości poznańskiego kraju, jest bardzo krótka i bezceremonialna. Każde miasto obdarzone prawem niemieckiém, każda kolonia na prawie magdeburskiém osadzona, uważa się ze strony autora z góry za niemiecką. Założony w roku 1253 przez księcia Przemysława na lewym brzegu Warty nowy Poznań, nosi u autora nazwę *niemieckiego* Poznania, *Deutsch-Posen*, ponieważ zyskał z nadania książęcego prawo magdeburgskie. Autor nie wié czy nie chce wiedziéć, że było w Polsce całéj, nawet w takich jéj stronach, gdzie kolonizacya niemiecka wcale nie zaszła, wiele miast i osad rządzących się prawem magdeburgskiém. Miasteczka: Kobylin, Zduny, Borek rządzące się tém-że samém prawem, posiadały, jak nas przekonywają gruntowne i sumienne badania uczonego Łukaszewicza, w wieku XVI ludność rzemieślniczą wyłącznie prawie polską. Chcieć zaś na podstawie prawa magdeburskiego robić wszystkie miasta i osady, które się niém rządziły, *niemieckiemi*, byłoby to samo, co chciéć zamieniać na Francuzów wszystkich Niemców, którzy się rządzili kodeksem Napoleona i posługiwali procedurą francuzką...

W kronice Helmolda już znajdujemy charakterystyczną odpowiedź, jaką biskup Starogrodzki Gerold daje skarżącym się na ucisk niemiecki i przeciążenie podatkami Słowianom: „Przeciw Wam, Słowianom i poganom wcale zgrzeszyć nie można!“ Nie wiemy, czy uczoność p. Meyera sięga aż do znajomości kroniki helmoldowéj, ale o czém się dowodnie przekonywamy, że logika jego nienawiści zapożycza się u figurującego w kronice tejże biskupa. Grzechy popełnione przeciw nam ze strony niemieckiéj nie uważa się tedy po prostu za grzechy lub co wygodniejsza, przemilcza się je zupełnie. A więc jest zabór fryderykowy z roku 1772 oddawna projektowaném, naturalném spełnieniem rozwoju dziejowych wypadków. Po tym gromie, powinien każdy rozsądny i jasnowidzący patryota był być przekonanym, że Polska istnięć nie może, dla czego podział z roku 1793 był znów tylko naturalnym wynikiem dziejowéj logiki a powstanie Kościuszki zdrożném wierzganiem przeciw jéj ościeniowi. Że przecież jeżli kto, to Prusy właśnie *nie* były przekonania o konieczności upadku Polski po pierwszym podziale, ponieważ w takim razie nie byłyby jéj podżegały przeciw Rosyi i Austryi i wiązały się z nią pamiętnym traktatem z dnia 29 Marca 1790 r. O owym aliansie jak i o złamaniu jego ze strony Prus nie powiada autor ani słowa, jak wogóle mówi lub przemilcza w swéj historyi „*kraju Poznańskiego*“ tylko to, co mu jego tendencya dyktuje. Naturalnie może być tylko z jéj stanowiska powstanie Polski za ukazaniem się Napoleona aktem buntu, istnienie Księztwa Warszawskiego uzurpacyą

nieprawowitéj władzy; wszystko, co się działo po roku 1815, rok 1831 i wszystko znów co się po tymże roku ze strony polskiéj czuło i robiło: nieładem, nieporządkiem, anarchią, karygodną agitacyą. Autor nie bawi się, chwała Bogu, w żadne sentymentalizmy, choćby nawet w sielankowo-liberalne sentymentalizmy własnych swych ziomków śpiewających o *Łagiewce* i *„von den lezten Zehn des vierten Regiments“* a całą tę poezyą zastępuje, w jego opowiadaniu i w jego szerokiém zapatrywaniu się na rzeczy, umiejętne a częste wyzyskiwanie frazesów i wyrazów policyjnego słownika. Słowem, chodziło autorowi w zasadzie nie o przedmiotowość jakąś historyczną, lecz o złożenie dowodu prawowierności politycznéj według prądów i recepty obecnéj chwili. Zamiar ten świetnie się autorowi udał, a jeżeli swém dziełem wystawił sobie patent niudolności na historyka, złożył tém świetniejszy popis na *âme damnée* panującego obecnie w Prusach systemu.

Tyle o *tendencyi* autora, któraby nas mogła gniewać i drażnić, gdyby nas nie rozbrajała jego gruntowna nieznajomość najelementarniejszych z dziejów i stosunków naszych rzeczy i gdyby, skoro się już bez nieprzyjaciół obejść nie możemy, nie kazała nam życzyć sobie mieć, o ile możności tylko *takich* nieprzyjaciół. Pan archiwista prowincyonalny Meyer, powtarzamy, nie ma nawet takiego wyobrażenia o historyi i rzeczach polskich, jakie posiada najniezawodniéj każda pensyonarka, czy każdy uczeń średnich klas wyższych naszych zakładów naukowych. Obok monumentalnéj niewiadomości podziwiać w nim tylko możemy nie mniéj monumentalną zarozumiałość i wyrokowanie o rzeczach *ex cathedra*, o których choćby już dla tego najlżejszego pojęcia mieć nie może, iż nie posiada języka polskiego i nie jest w stanie przeczytać i rozumiéć żadnéj książki polskiéj. Najhistoryczniejsze nazwiska polskie są dla niego *terra incognita* i kaleczy je w niemiłosierny sposób. Tak np. nic nie wié p. archiwista prowincyonalny o istnieniu rodziny *Sapiehów* w Polsce a opisując zajazd pruski w r. 1772 opowiada, że właścicielami miasteczka Wielunia nad Notecią byli „mieszkający w Gdańsku książęta *Sapia*.“ Nie dość na tém, nie ma prawie polskiego nazwiska, któregoby autor nie przekręcił i któreby był w stanie napisać w poprawny sposób. Świnarski jest u niego *Schwinarskim*, Lassocki *Lassorckim*, Kołaczkowski *Kolacskowskim*, Łukasiński *Lukassynskim*, Szamotulski *Szamotulim*. Z nazwami miejscowości dzieje się to samo. Nie ma prawie żadnéj stronicy tego, pod względem typograficznym istotnie wspaniałego wydawnictwa, gdzieby autor nie składał wybornego egzaminu owéj doszczętnéj nieznajomości języka polskiego. A przecież rozprawia autor z dziwną śmiałością (prawda, że w przedmowie tylko), „że hi-

storyografia polska dostała się ostatniemi czasy w ręce dylettantów," że „trzy imiona tylko, Lelewela, Bielowskiego i Szajnochy (co za zestawienie świadczące o znajomości ich wszystkich! (wzbiły się nad poziom pospolitości" i tym podobne inne rzeczy. Jak gdyby p. Meyer znał istotnie historyczną literaturę polską i był, *bez* przekładu na język niemiecki, zdolny wiedziéć na prawdę, co Bielowski, Lelewel czy Szajnocha po polsku pisali! Wyrokowanie o historyografii polskiéj i o historykach polskich ze strony dra Meyera, trąci nam tu daleko więcéj przymiotem odznaczającym nadbrzeżników Garonny, aniżeli stwierdza sławę gruntowności i sumienności nauki niemieckiéj, *der deutschen Wissenschaft.* Wystawmy sobie np. pisarza nie umiejącego po niemiecku lub po francuzku a zabierającego się mimo to do kreślenia nietylko historyi Niemiec lub Francyi, ale co więcéj, do wyrokowania o literaturze niemieckiéj lub francuzkiéj. Pytamy, czyż mógłby taki pisarz i taka jego pisarska próba utrzymać się choć dwadzieścia cztery godzin na widowni naukowo-literackiéj i czyby ich z niéj aż nadto zasłużone wyśmianie nie zmiotło? Tylko gruntowność nauki niemieckiéj i uczoność nasłanych nam oficyalnie archiwaryarzów naszych zbiorów prowincyonalnych uważa się za uprawnioną i powołaną do pisania naszych dziejów, do wydawania sądów o naszych duchowych pracach bez elementarnéj znajomości naszego języka. Czyż to nie wybornie i czyż tutaj także nie przebrzmiewa owo *dictum acerbum* biskupa Gerolda. „*Przeciw wam słowianom i poganom wcale zgrzeszyć nie można?*"

Aby jednak czytelnicy nasi szanowni nie chcieli przypuszczać może iż nas przeciw p. Meyerowi unosi jakaś niesłuszna i niewczesna niechęć,—pozwolimy ku zbudowaniu ich ułożyć mozajkę *niektórych* błędów jego dzieła, niektórych, wyraźnie mówimy, bo chciéć wyliczać i prostować wszystkie, trzeba-by pisać krytykę równą swą objętością samemu dziełu. To, co przytoczymy, da, jak się spodziewamy, dostateczne wyobrażenie o znajomości rzeczy i przygotowaniu naukowém pana archiwisty prowincyonalnego. A więc, zaczynając od przedmowy, pisze autor krótko przedtém, gdzie nie wiedząc ani słowa o Bartoszewiczu, Kalince, Smolce, Szujskim, powiada, „iż nowoczesna historyografia polska popadła w dyletantyzm" i gdzie Lelewela, Bielowskiego i Szajnochę bierze pod wspólny strychulec,—dosłownie, co następuje. „Wiek XVI i XVII pozostał całkiem bezpłodnym dla rodzinnéj *historyografii.*" Według p. Meyera, który zasłyszał o Gallu, Kadłubku, Godzisławie Baszku, Janku z Czarnkowa, kończy się historyografia na Długoszu. Po za nim przedstawia mu się niewypełniona niczém próżnia. Nie wiemy wprawdzie, w jakiém wydziale nauki p. Meyer uzyskał figurujący przy jego nazwisku tytuł „*do-*

ktora". Jeźli w nauce *historyi*, dziwiłoby to nas niepomału, ponieważ, jak nam dobrze wiadomo, są tak zwane seminaria historyczne przy uniwersytetach niemieckich bardzo troskliwe z jednej, bardzo wymagające z drugiéj strony, a jednym z przedmiotów egzaminacyjnych są także źródła do dziejów polskich. Jakże tedy, pytamy, dzieje się, że *doktorowi*, najprawdopodobniéj nauki historycznéj, że *uczonemu* obdarzonemu dodatkowo, w uznaniu zapewnie jego specyalnych wiadomości w dziedzinie historyi polskiéj, stanowiskiem archiwáryusza prowincyonalnego *poznańskiego*, nieznane nazwiska i dzieła historyografii polskiéj XVI i XVII wieku? Autor nie wie tedy widocznie nic ani o Kromerze, ani o Wapowskim, ani o Marcinie i Joachimie Bielskich, ani o Stryjkowskim, ani o Górnickim, ani o Orzelskim, ani o Heidensteinie, ani o Piaseckim, ani o Kobierzyckim, ani o Stanisławie Albrechcie Radziwille, ani o Rudawskim, ani o klimakterach Kochowskiego, ani o listach Załuskiego! Niewiadomość, jak na pisarza wydającego tak apodyktyczne wyroki o historyografii polskiéj tém zdrożniejsza, tém potworniejsza, że nieznajomość tak bogatéj już w owéj epoce literatury pamiętnikowéj polskiéj gotowiśmy autorowi darować...

Nie inaczéj ma się ze znajomością rzeczy autora w dziedzinie ogólnéj literatury i kultury polskiéj. Polska nie przedstawia dlań żadnego elementu samodzielnéj i samowiednéj jakiejś oświaty. Każdy tamże pojawiający się promień światła jest zasługą łaski *niemieckiego* słońca. Monumentalném pozostanie następne orzeczenie autora: „Polska jest jedynym krajem zachodnio-rzymskiego obszaru oświaty, który nie posiadał epoki humanizmu, odrodzenia (renaissance) ducha z więzów hierarchiczno-scholastycznych średnich wieków, dla czego téż stan oświaty polskiéj w XVIII wieku zupełnie na tém samém stanowisku się znajduje, jakie reszta zachodniego świata zajmowała w piętnastym wieku. Był to nowy czynnik odróżnienia pośród wielu innych, które od końca XIV wieku wzniosły mur graniczny między Polską a państwami zachodu i południa." Cóż sądzić o znajomości rzeczy pisarza, który podobne fałsze bez zająknienia powiada, cóż mianowicie, skoro nie umie po polsku, sądzić o jego sumienności? A więc uczonemu niemieckiemu, obdarzonemu akademickim stopniem i oficyalném stanowiskiem archiwaryusza prowincyonalnego poznańskiego, piszącemu specyalne dzieło o dziejach Polski czy jéj części, jest rzeczą *nieznaną* cały ów żywy związek między humanistami zachodu XVI wieku a ówczesną inteligencyą polską, owe wędrówki młodzieży polskiéj na uniwersytety Włoch i Niemiec, stosunki reprezentantów oświaty i pierwszych rodów polskich z Filipem Kallimachem, Konradem Celtesem, Muretem, Eraz-

mem Retterdamczykiem; nieznany wpływ owych stosunków na politykę, pojęcia religijne, literaturę, sztukę polską. P. Meyer nie wie tedy widocznie nic o tém, co się nazywa *złotym wiekiem* w dziejach literatury polskiéj, nie wie o kanclerzu Zamoyskim jako o statyście, nie zna zatargów religijnych polskich, z których każdego wiersza i słowa wychylają się wrażenia humanistyczne, nie wie o istnieniu łacińskich poetów naszych Macieja Sarbiewskiego i Klemensa Janickiego, wie tém mniéj naturalnie jeszcze o egzystencyi Reja, Jana Kochanowskiego, Klonowicza, Sępa Szarzyńskiego, bo inaczéj nie byłby mógł przecież powiedziéć, „że Polska jest jedynym krajem, który pozostał nietkniętym od powiewu odrodzenia i humanizmu.“ Jak nam się zdaje stós *niewiadomości* bardzo rozległych rozmiarów, niewiadomości, któréj okolicznością obciążającą, pozostanie bezcelna apodyktyczność i zarozumiałość autora.

W lustracyi błędów, któremi dzieło p. Meyera przepełnione od początku do końca, postępujmy ku zbudowaniu czytelnika daléj, jesteśmy tylko w wątpliwości, jakiéj się pod tym względem trzymać metody, czy iść porządkiem skrzywdzonych jego niewiadomością materyi, czy też trzymać się po prostu porządku stronic dzieła? Wybieramy drugą, jako wygodniejszą a dowodowi, który wyprowadzić zamierzamy, wcale nieprzeszkadzającą. Zastrzegamy się raz jeszcze tylko przeciw przypuszczeniu czytelników, jakobyśmy w lustracyi owych błędów p. Meyera byli wyczerpującymi. Na to nie starczyłoby nasze sprawozdanie a więc wyliczmy niektóre. Strona 66-ta jest pod tym względem dwa razy szczęśliwa a p. dr. Meyer zdaje tamże wyborny egzamin ze znajomości geografii politycznéj polskiéj. Autor mówi tamże. „Gniewkowska ziemia stanowiła przed środkiem XIV wieku osobne księztwo a dla tego też zapewnie późniéj i osobne województwo.“ Według wiadomości p. Meyera wchodziło tedy w skład ciała Rzeczypospolitéj Polskiéj osobne *województwo Gniewkowskie*, istnie Kolumbowy wynalazek uczoności prowincyonalnego archiwisty poznańskiego, wynalazek, „o którym się nie śniło dotąd żadnemu ze znawców choćby najgłębszych historyi i politycznéj geografii polskiéj.“ Tuż kilka wierszy niżéj na téj saméj stronnicy czytamy. „Województwa kaliskie i poznańskie razem nazywały się Wielkopolską.“ Znów gruby błąd przeciw abecadłu politycznéj geografii dawnéj Polski, bo przecież z pierwszego lepszego jéj podręcznika, jakich w literaturze naszéj nie zbywa, byłby się mógł p. Meyer nauczyć, że w skład tego, co się mieniło Wielkopolską, wchodziły prócz województw kaliskiego i poznańskiego, województwa: mazowieckie ze wszystkiemi swojemi ziemiami, sieradzkie, łęczyckie, rawskie, brzesko-kujawskie, inowrocławskie, płockie, w dodatku trzy województwa

pruskie, wśród pewnych zastrzeżeń odrębności, wreszcie ziemie wschowska i wieluńska. U p. Meyera kończy się Wielkopolska na Kaliskiém i Poznańskiém!...

Daléj czytamy na stronie 191 o Stefanie Batorym. „Nawet król powrócił na łono starego kościoła i rozporządził, aby biskupstwa na przyszłość tylko katolikom rozdawać.“ Podług uczoności autora był więc król Stefan Batory protestantem a biskupstwa polskie nadawano, według niego niegdyś protestantom, gdyż inaczéj nie byłoby naturalnie potrzeba królewskiego rozporządzenia, mocą którego tylko katolikom udzielane być mogą!...

Ze strony 195 dowiadujemy się, „że pod synami Zygmunta III, Władysławem IV i Janem Kazimierzem zewnętrzna spokojność kraju mniéj była zakłóconą,“ jak gdyby wojna kozacka, inwazya Karola Gustawa, elektora brandeburskiego, Rakoczego, straszna wojna z Rosyą były dowodami niezamąconego niczém pokoju! Dwie strony daléj czytamy dosłownie. „Królem został obrany prosty, krajowy szlachcic, Michał Wiśniowiecki, który się w dawniejszych wojnach dzielnym wojownikiem okazał!“ Poczciwy król Michał ucieszyłby się z grobu, gdyby mógł wiedziéć, na jakiego go to bohatera pan archiwista Meyer pasuje. Na stronie 199 czytamy o wielkiém zwycięztwie Karola XII pod Wschową dnia 14 Lutego 1706, kiedy, jak wiadomo z pierwszego lepszego podręcznika historyi wojny północnéj, bitwę ową wygrał szwedzki generał Renskiöld a Karol XII znajdował się naówczas na Wołyniu. Na stronie 273 powołuje się autor na powagę nie nazwanego przez się bliżéj, współczesnego (rok 1772) świadka, który twierdzi, że miasto Trzcianka (Schönlanke) zostało dopiéro założone w XVIII wieku, kiedy zostające pod jego, p. Meyera, własnym zarządem dokumenta archiwum prowincyonalnego poznańskiego stwierdzają fakt egzystencyi tego miasteczka już w epoce ostatnich Piastów. Niechaj zajrzy ku stwierdzeniu prawdy naszéj rektyfikacyi w wydany co dopiéro czwarty tom kodeksu dyplomatycznego wielkopolskiego. Wspomnieliśmy już, że autorowi obce nazwisko rodu *Sapiehów* i że ich (str. 262 tekstu, 480 indeksu) nazywa „zamieszkałymi w Gdańsku książętami *Sapia*.“ Na str. 316 powiada autor, „że waryackie małpowanie okrucieństw rewolucyi francuzkiéj sparaliżowało bardzo prędko powodzenie powstania (Kościuszki).“ Nie wiadomo, coby na podobne ignorowanie Maciejowic i Szturmu Pragi powiedzieli Fersen i Suworow i czyby za nie byli wdzięczni autorowi. Na stronie 364 celebruje podczas homagialnéj z dnia 3 Sierpnia 1815 przysięgi „książę—arcybiskup Raczyński,“ kiedy tytuł *księcia* nigdy Raczyńskiemu nie służył a arcybiskupstwo gnieźnieńsko-poznańskie datuje się dopiéro od regulującéj stosunki kościelne Prus

i Niemiec bulli „*de salute animarum*“ z roku 1821. Na stronie 385 opowiada autor, że w Styczniu 1831 wybuchła w Warszawie kontrrewolucya, któréj fakt znów naturalnie w głowie samego p. Meyera egzystuje...

Otóż niektóre fałsze i błędy autora, błędy i fałsze wynikające najprostszą drogą z najzupełniejszéj nieznajomości rzeczy autora, z jego monumentalnéj powierzchowności, z jego niewiadomości języka polskiego. Zdaje nam się, że ich wyliczyliśmy dosyć ku przekonaniu czytelników, z jaką to niby inteligencyą mają sprawę. Dowody podobnéj niewiadomości byłyby złe już i naganne w dorastającym młodzieńcu polskim. Z jakiém że np. lekceważeniem i to lekceważeniem zasłużoném całkiem, spoglądalibyśmy na ucznia wyższéj klasy naszych zakładów naukowych, któryby nam zarozumiale a śmiesznie prawił, że król Michał Wiśniowiecki był wielkim wojownikiem lub że czasy Jana Kazimierza odznaczały się zewnętrznym spokojem dla Polski. O ile przecież gorsza tak pomnikowa niewiadomość w uczonym najuczeńszego nibyto w świecie narodu, obdarzonym do tego wcale nie źle wynagrodzoném, urzędowém stanowiskiem archiwaryusza prowincyonalnego poznańskiego. Nie śmieszna to i zabawna rzecz gdy nam potém podobne figury prawią o gruntowności naukowéj niemieckiéj i traktują na tysiączne waryacye stary temat o wyższości cywilizacyjnéj Niemców nad Polakami. Możemy mieć i mamy bez wątpienia wiele błędów. Tyle przecież zaufania do sumienności i uczucia przyzwoitości polskiéj mamy, iż nie przypuszczamy, aby się znalazł Polak, który nie znając nawet języka niemieckiego chciałby się zabrać do pisania historyi Niemiec, a który zabrawszy się do niéj, śmiał np. pisać i drukować, że król pruski Fryderyk I był wielkim wojownikiem a że epoka cesarza Ferdynanda II była czasem zewnętrznego spokoju dla Niemiec lub że dolno-saski okrąg, *der nieder sächsische kreis* dawnéj rzeszy Niemieckiéj składał się z dzisiejszego królestwa saskiego i obu Luzacyi...

Wypada nam teraz z kolei rzeczy przypatrzeć się *metodzie* autora i *treści* jego dzieła. Jak tytuł wskazuje, chciał napisać historyą Poznańskiego, *die Geschichte des Landes Posen.* Byłoby jeszcze, jak to pospolicie mówią, „*pół biedy*“, gdyby znał dzieła choćby tylko Łukaszewicza, jego *Wiadomość o kościołach braci czeskich*, jego *Historyą szkół*, jego *Historyą kościołów.* Cóż przecież, kiedy autor po polsku nie umie, a przełożoném w całości na język niemiecki z dzieł Łukaszewicza jest jedynie tylko *obraz miasta Poznania*! Trzeba więc, by doprowadzić rzecz do 469 stronnic druku w wielkiéj ósemce, radzić sobie inaczéj. Inna kwestya naturalnie, czy autor radząc sobie w swoich kłopotach, poradził równocześnie czytelnikowi i czy mu

daje najmniejsze wyobrażenie o przeszłości „poznańskiego kraju.“ Kto zna choć trochę historyografią niemiecką trudniącą się rzeczami polskiemi, widzi jak na dłoni ową mozajkę, owe genetyczne fundamenta elaboratu p. Meyera. Nasamprzód posiłkuje się dziełem Röppla, następnie trochę kontynuacyą profesora Caro. Niewyczerpalném źródłem do różnych kombinacyj, do historyi kolonizacyi niemieckiéj aż do XIV wieku włącznie, do nieskończonéj gadaniny o stosunkach prawno-społecznych wsi i miast założonych na prawie magdeburskiém jest mu stronnicze i fałszerskie dzieło Wuttkego *Das Städtebuch des Landes Posen.* Odkąd go Wuttke opuszcza, dzieje się z nim, jak z leniwą pensyonarką wskazaną na granie a nie chcącą grać trudnych ustępów fortepianowych. Pędzi przez nie, fałszując je i kalecząc niemiłosiernie, by dobić do łatwiejszych. Takim, pominionym szybko wśród śmiesznego kaleczenia prawdy historycznéj, ustępem jest dla p. Meyera historya polska,—o „kraju poznańskim“ nie dowiadujemy się ztąd niczego,—od Kazimierza Wielkiego do roku 1772. Dobiwszy się szczęśliwie téj daty i oddawszy należny hołd Fryderykowi II za jego spełnienie aktu cywilizacyjnéj misyi w tym roku,—przepisuje z wiernością kopisty według dosłownego brzmienia tekst praw i rozporządzeń wydawanych przez rząd pruski, daléj protokóły tych i owych komisarzy pruskich przy obejmowaniu miast i kraju ustąpionych przez Rzeczpospolitą polską. Przy téj to sposobności mówi o *Sapiach*, *Kolacskowskich* i *Schwinarskich.* Tąż samą metodą posługuje się autor w opisie okupacyi pruskich z lat 1793, 95 i 1815. Co najwięcéj zawiera jego relacya bardzo suche, pozbawione życia i barwności, ograniczające się na cyfrach i datach wiadomości o działalności pruskich urzędników Vossa, Goldbecka, Hoyma, Nöldechena, Schultza, Zerboniego, Brenkenhoffa. Że po za tą biórokracyą jest jakaś społeczność polska z osobném narodowém życiem, intelektualną działalnością, politycznemi dążnościami i nadziejami nie przeczuwa nawet autor, a nie ma téż zapewnie tyle dziejopisarskiego zmysłu, aby wiedziéć, że kto chce pisać dzieje „kraju poznańskiego“ z owéj epoki, nie może być jednostronnym, nie może poprzestać na cytowaniu *publicandów* królewskich i wyliczaniu nazwisk reprezentantów administracyi pruskiéj, lecz winien przedstawić obraz współczesnéj społeczności polskiéj. O tém ani myśléć naturalnie u autora szerokości poglądów i talentu dziejopisarskiego p. Meyera, a przepisywanie niektórych ustępów z również kompilatorskiéj pracy barona Brüggena lub Schultza (Reise eines Liefländers), nie zastąpi tu przenigdy braku i potrzeby samodzielnego opracowania. Dodajmy zaś raz jeszcze, bardzo wyraźnie i bardzo stanowczo, że *aż* do okupacyi pruskiéj nie powiada nam autor

ani słowa „o poznańskim kraju.“ Zamiast mówić o nim, woli autor całemi setkami stronnic gadać rozmaitości o całéj Polsce, co warte i jakiego rodzaju, wiemy z powyższego sprawozdania. Dostawszy się w czasy najnowsze, opowiada autor ze stanowiska najżywszéj przeciw nam nienawiści o karach, jakie spotkały niepoprawną szlachtę poznańską za udział w wypadkach roku 1831, o arcybiskupie Duninie i jego oporności w kwestyi małżeństw mieszanych, o aresztowaniach w r. 1846, o represyi w r. 1848, o niespłaconéj dotąd koncesyami handlowo-celnemi usłudze, jaką Prusy oddały Rosyi w roku 1863,—ale że przez cały ten czas od roku 1815 aż do obecnéj chwili istniało i istnieje w Poznańskiém jakieś osobne życie polskie z osobną swą działalnością, cywilizacyjną, humanitarną, naukową zasługą i doniosłością,—o tém autor nic nie wie i nic nie pisze...

Słowem, jest cała praca p. Meyera, cała owa *Geschichte des Landes Posen*, w któréj, raz jeszcze, niezręczne, kompilatorskie gadaniny o Polsce zastępują historyą „kraju poznańskiego,“ najnędzniejszą mozajką nie zdolną wytrzymać żadnéj krytyki, a jesteśmy aż nadto silnie przekonani, że krytyka téj książki *niemiecka*, *jeżeli* się ukaże gdziekolwiek, będzie surowszą jeszcze i bezwzględniejszą od naszéj. Nakaże jéj to po prostu ciężko dotknięty honor nauki niemieckiéj. Możnaby zaś zaiste, korzystając, ale naturalnie długo, pracowicie i sumiennie choćby tylko z materyału archiwalnego znajdującego się w Poznaniu pod kluczem p. Meyera, napisać wcale interesującą, źródłową, nowsze całkiem rzeczy i stosunki odsłaniającą historyą „*kraju poznańskiego*“. Co za nieprzebrane skarby do dziejów własności, skarbowości, podatkowości, administracyi, politycznych przemian „*kraju poznańskiego*“ zawiera owe archiwum prowincyonalne poznańskie od roku 1386 do 1793! Gdyby p. Meyer chciał się na prawdę z niemiecką gruntownością uczyć, gdyby się obeznał nieco z tém, co mu pod nadzór oddano, a następnie wziął się do pracy i skreślił choć jakie pięćdziesiąt lat jakiéj bądź epoki przeszłości „*poznańskiego kraju*“, oddałby znamienitą przysługę nauce a sam zasłynął w jéj annalach. Sposób natomiast, w jaki swego dzieła dokonał, nie daje nam o jego kwalifikacyi na uczonego i pisarza szczególnie dodatniego wyobrażenia. Pojmujemy bardzo dobrze, że przysłany z Berlina do Poznania na archiwaryusza młody człowiek, nie ma wyobrażenia o powierzonóm sobie archiwum a bardzo powierzchowne tylko o dziejach polskich. Coby jednakże w takim razie ktoś zamiłowany na prawdę w swym przedmiocie czynił? Pracowałby w dziejach polskich, nauczyłby się języka polskiego, starałby się zapoznać ze skarbami swego archiwum. Porywać się za to bez znajomości tego wszystkiego z motyką na słońce, rozprawiać z dziwną

śmiałością w materyi najzupełniéj sobie obcéj, wystawiać się na nieuniknione rektyfikacye krytyki w najelementarniejszych rzeczach,— dowodzi dziwnego niedostatku własnéj krytyki, *Mangel an Selbstkritik*, jak powiadają Niemcy, chronicznéj a kardynalnéj choroby, która nam bardzo słabo wróży o pisarskiéj i naukowéj przyszłości p. Meyera...

Nie mniéj dziwi nas osobliwa nieopatrzność archiwalnéj administracyi pruskiéj w powierzaniu zarządu archiwalnego tak monumentalnym niewiadomościom i nieudolnościom. Jak gdyby na miejscu, między „owymi tyle niższymi oświatą i nauką" Polakami niebyło wielu zdolniejszych stokroć od p. Meyera do zawiadowstwa rzeczywistemi skarbami naukowemi, jakie archiwum poznańskie obejmuje. Sąd ten nasz, jeżeliby się zdawał za surowym, poddajemy z wszelkiem zaufaniem potwierdzenia w wyższéj owéj instancyi, pod ocenienie naukowych ludzi niemieckich znających rzeczy polskie i mających wyobrażenie o sztuce dziejopisarskiéj, jak Röppla, Caro, Wattenbacha, Grünhagena. Niechaj tacy będą sędziami naszego sądu i powiedzą bezstronnie, czy słuszna, aby kierownictwo miejscowych skarbów naszych archiwalnych dostawało się przybywającym do nas, zarozumiałym ignorancyom, kiedy mamy na miejscu skromnych a znających rzecz Polaków, zdolnych podobnemu zadaniu sprostać.

S. P.

PYTANIE

PRZEZ

Jerzego Ebersa.

(*Dokończenie*).

5. Droga ku morzu.

Podczas gdy kapłan Afrodyty przyjmował ofiarę Jazona, chwaląc piękność prosiątka i obiecując zabić je natychmiast, a zarazem oświadczając, że to nędzne stworzenie, które Mopsus w imieniu Semestry ofiarował, przyjmuje tylko ze względu na ofiarodawczynię i strój;—Ksanta wychodziła z domu.

Miała na sobie najładniejszy swój ubiór; jasne swe włosy uczesała prześlicznie, przyczém niejedno w główce rozważyła, gdyż dziewczęta wtedy najchętniéj rozmyślają, gdy siedzą przy kołowrotku lub kądzieli, albo też gdy w spokoju zajmują się ozdobą swéj głowy.

Semestra wyszła za nią, dała jéj nożyk i rzekła:

— Wypada drzwi przyozdobić kwiatami na przyjęcie gościa pożądanego. Na krzakach pełno róż teraz; idź więc i zetnij tyle, ile potrzeba na okazały wieniec, ale tylko czerwone lub żółte, białych nie bierz wcale, gdyż one nie przynoszą szczęścia. Najpełniejsze znajdziesz tam przy ławce nad morzem.

— Wiem, wiem.

— Zaczekajże i wysłuchaj do końca.

— I cóż?

— Pogoda przecudna, w nocy wiatr wiał łagodnie z północy; być więc może, że okręt z Meseny wyląduje jeszcze przed południem.

— Więc mnie puść.

— Idź tedy i wypatruj żagli, a kiedy nasze spostrzeżesz, to wracaj coprędzéj i powiedz Chlorydzie, żeby mię zawołała, gdyż muszę pójść do świątyni Kiprydy.

— Ty?—spytała Ksanta śmiejąc się.

— Ja, a tobie najmniéj przystoi śmiać się z tego zamiaru, mogłabyś mi nawet towarzyszyć.

— O nie! Ja ścinać będę róże.

Słowa te wymówione były tonem, który Semestra znała dobrze. Ilekroć przybierała go Ksanta, to zawsze silnie obstawała przy swojém i robiła, co chciała; Semestra zaś, która nigdy zgodzić się nie mogła na to, żeby posłuszeństwo Ksanty zmniejszało się cokolwiek z laty, posługiwała się chętnie w takich razach swoją głuchotą, by roztropnie uniknąć porażki.

Dzisiaj zwłaszcza bała się podrażnić wrażliwą dziewczynę; dlatego téż odpowiedziała:

— Coś to mówiła? Czyżby doprawdy nie lepiéj było, moja gołąbko, żebyś zaraz poszła po róże? Śpiesz się, śpiesz, bo okręt, którego wyglądasz, wiezie ci szczęście. Jak téż-to wygląda ten strój, co ci Leonaks ma przywieść! Czegoś podobnego, jak mi się zdaje, nie widzieliśmy tu jeszcze nigdy! I o mnie biednéj nie zapomnieli tam w Mesenie; słyszałam, że przebąkiwali o ubraniu, jakie noszą zazwyczaj matrony. Jest to... byłoby to... no, zobaczymy!

Chichocząc, prawie z zawstydzeniem patrzała w ziemię, mówiąc te słowa; potém napomniała Ksantę raz jeszcze, aby ją zawołać kazała, jak tylko się ukaże okręt z Meseny, i chwiejnym krokiem podpierając się laską mirtową poszła w górę drogą prowadzącą do świątyni Kiprydy.

Ksanta nie odrazu udała się ku morzu; owszem zbliżyła się najprzód do domu stryja, aby Faona oczyma odszukać.

Kiedy go dojrzéć nie mogła ani w stajniach, ani koło domu na chodniku ocienionym gałęziami figowemi, odwróciła się szybko i dumnie stłumiła w sobie chęć, żeby go zawołać.

Na drodze ku morzu spotkała najprzód barczystego niewolnika z domu stryja. Zatrzymała go i zaczęła wypytywać.

Semestra nie skłamała. Faon do téj pory jeszcze nie wrócił do domu z nocnéj wycieczki; przytém od wielu już dni o świcie dopiéro przychodził.

Nie, *on* nie jest tym mężem, któryby stać się mógł podporą ojca chorego, on wygląda bogatéj dziedziczki, a dla lekkomyślnych towarzyszy i dziewek zapomina o niéj i o rodzinie.

Myśl ta boleśnie ją dotknęła, tak boleśnie, że zbierało się jéj znowu na płacz tak samo jak przy źródle.

Ale ona łzy powstrzymała, i ani jedna nie zwilżyła jéj lica; wydawało się jéj atoli, że biedne jéj serce dostało oczu, które łzami płakały.

Nożyk w ręce przypomniał jéj, że ma ścinać róże i wyglądać okrętu, ktory miał przywieść z Meseny drugiego jéj stryja.

Jeżeli Leonaks jest takim, jakim go odmalowała Semestra, to go nie odprawię jak innych zalotników—myślała sobie Ksanta, która z uśmiechem dawniéj dawała odkosza.

Tak jest, chciała zostać jego żoną, nie tylko ze względu na ojca, ale także dlatego, żeby ukarać Faona!

Po tém postanowieniu uczuła w sercu taką gorycz, taką boleść, jakiéj nigdy jeszcze nie doświadczała.

Zamiast spuszczać się ku morzu, Ksanta, opanowana całkowicie sprzecznemi i walczącemi z sobą uczuciami, poszła wprost przed siebie, aż się znalazła przed bramą, zamykającą dziedziniec.

Tu przyszedł jéj znowu na myśl cel wyjścia z domu; zwracała się już tedy nazad, gdy kuglarz, odpoczywający za furtką w cieniu płotu zawołał na nią.

— Idziesz za moją radą, piękna Ksanto, i chodzisz zamyślona jak sofista.

— Więc mi nie przeszkadzaj!—zawołała dziewczyna, hardo głowę podnosząc.

— Daruj, jeżeli ci przeszkodziłem—odrzekł wychowawca kur, chciałem ci tylko powiedziéć, że możebym potrafił znaleść pomoc dla twego ojca. W ojczyznie mojéj.

— Gdzież twój dom?

— W Mesenie.

— W Mesenie!—zawoła żywo Ksanta.

— Tam—przerwał jéj kuglarz—mieszka lekarz wielce doświadczony.

— Żaden jeszcze ojcu nie pomógł.

— A jednak.

— To wejdź i pomów z ojcem.

— Boję się téj złéj staruchy, co tam rozkazy wydaje.

— Ona wyszła, zostaniesz ojca samego.

— Dobrze, pójdę do niego.

— Mówiłeś, że jesteś z Meseny?

— To moja ojczyzna.

— Czy znasz mego stryja Alkifrona, kupca?

— Oczywiście; on tam posiada najwięcéj okretów.

— I syna jego, Leonaksa?

— I jego widywałem często, gdyż chata moja znajduje się przy porcie naprzeciwko przystanku dla okrętów wuja twojego, a Leonaks zawsze kieruje ładowaniem i wyładowywaniem statków. Jeżeli kto, to on niewątpliwie należy do tych pieszczochów losu, co takim nieborakom jak ja życie to nieszczęśliwe obrzydzają i zmuszają ich do śmiechu wtedy, gdy ludzie mówią o istnieniu tam w górze bogów sprawiedliwych.

— Bluźnisz!

— Wypowiadam tylko to, co inni myślą.

— I tyś przecie był kiedyś młodym!

— Alem był karłem, a on ze wzrostu podobny jest do Achillesa; byłem ubogim, a on sam nie wie, co począć z bogactwem; mnie unikały dziewczęta, a za nim goniły, mnie znaleziono na ulicy, a nim opiekuje się dziś jeszcze ojciec, jego całuje dziś jeszcze tkliwa matka. Zresztą rodziców mu nie zazdroszczę, bo kto sierotą się rodzi, ten nie doświadczy już boleści zostania nim późniéj.

— Gorzkie-to, co mówisz.

— Kogo zbiją, ten się nie śmieje.

— Więc zazdrościsz szczęścia Leonaksowi?

— Nie, bo jakkolwiek słuszny miałbym powód do skargi, nie zazdroszczę wszakże żadnemu królowi, gdyż o jednym tylko wiem mniéj-więcéj, co się w duszy jego dzieje, a ten jeden stoi przed tobą.

— Narzekasz na los a przecie uważasz to za rzecz możliwą, że my wszyscy więcéj cierpień doznajemy aniżeli ty.

— Doskonale mię zrozumiałaś.

— To przypuść, że szczęśliwszym jesteś od wielu.

— A! gdyby-to wśród głupich nie było największéj liczby zadowolonych! Zresztą poranek dzisiejszy podoba mi się, bo mi twój ojciec dał to nowe ubranie, a chwile rozpaczy zdarzają mi się rzadko; przy pomocy kur swoich zarabiam na chleb i ser i wino i nie potrzebuję dbać o łaskę lub niełaskę czyjąkolwiek. Z bidką moją jeżdżę sobie, gdzie zechcę.

— Powinieneś więc bogom dziękować zamiast skarżyć się na nich.

— O, nie! bo brak cierpienia szczęściem jeszcze nie jest.

— A Leonaksa uważają za szczęśliwego?

— Dotychczas takim się wydaje, a kapryśna bogini zostanie mu wierną dłużéj może niż komu innemu, gdyż jest zajęty od rana do nocy jako prawa ręka ojca. Nie wpadnie przynajmniéj w jeden z dołów, które los kopie pod śmiertelnemi.

— Jakże się on nazywa?

— Nudy. Tysiąc jest gorszych a niewielu lepszych od twego krewniaka; a dziewczyna, którą on za żonę pojmie, może sobie powinszować.

Na te słowa Ksanta zarumieniła się; a w téj chwili karlik wchodząc na dziedziniec zapytał:

— Leonaks stara się o swoją krewniaczkę?

— Być może.

— A krewniaczka ma już kogo innego na myśli?

— Któż ci to powiedział!

— Moje kury.

— To kłaniaj się im ode mnie!—zawołała Ksanta; i opuściwszy kuglarza, pobiegła wprost ku ścieżce prowadzącéj do morza.

Tam, gdzie ścieżka ta oddzielała się od drogi, po któréj i fale pędzić mogły, stał pomnik szczególniejszy, przed którym zatrzymała się Ksanta.

Pochwała, udzielona przez kuglarza Leonaksowi, niebardzo do smaku jéj przypadła, owszem wolałaby była posłyszéć słowa nagany na zalotnika z Meseny, bo jeżeli podobny do obrazu jaki karzeł nakreślił, to byłby wsam raz tym mężem, coby mógł ojcu syna zastąpić i jako pan rządzić majątkiem, w którym nie wszystko tak szło, jakby iść powinno; a w takim razie trzebaby było zapomniéć o tym przeniewierczym marzycielu Faonie... gdyby to było rzeczą dla niéj możliwą.

Każda własność, w téj chwili, kiedy się jéj wyrzec mamy, zwykle wydaje się nam najpowabniejszą, nigdy téż jeszcze w życiu swojém nie myślała Ksanta o Faonie, z takiém wzruszeniem i z taką tęsknotą, jak obecnie i na tém miejscu.

Pomnik przed którym stała w milczeniu, była-to budowla szczególna, wzniesiona z cegły pomiędzy ogrodem jéj ojca i wuja, a umajona ze wszech stron kwitnącemi powojami.

Miała ona kształt silnego muru, z obu stron podpartego dwoma wysokiemi słupami.

W murze widać było kilka szeregów nisz głębokich ze sklepionemi przykrywami; na słupach zaś na tle ciemno-czerwoném ukazywał się z jednéj strony geniusz śmierci ze spuszczoną pochodnią przed ołtarzem ofiarnym, z drugiéj zaś Orfeusz, który małżonkę swoję z państwa cieni wyswobodził i tak wybawioną prowadzi ku światu ziemskiemu.

Wiele było nisz pustych jeszcze; ale w kilku stały już wazy z napół przezroczystego alabastru.

Najświeższe, umieszczone w najniższym szeregu, zawierały popioły dziadka jéj Dyonizyusza i jego żony; w drugiéj zaś parze nisz były szczątki dwu matek; matki Ksanty i matki Faona.

Obie te niewiasty tego samego dnia padły ofiarą zarazy, zarazy jedynéj, jaka od niepamiętnych czasów nawiedziła to wesołe i zdrowe pobrzeże.

Stało się to przed ośmiu laty.

Ona była natenczas dzieckiem jeszcze, ale Faon liczył się już do dużych chłopców.

Po dziesięć razy dziennie przechodziła Ksanta koło tego miejsca; częstokroć myślała wtedy o ukochanéj zmarłéj a gdy jéj wspomnienie żywiéj się uwydatniło w jéj sercu, przesyłała drogim popiołom tkliwe pozdrowienie, gdyż coś ją zmuszało wyrazić znakiem zewnętrznym to uczucie przywiązania.

Natomiast rzadko stawał przed jéj duszą ten dzień, w którym, po spłonięciu stosu, zebrano popioły obu matek tak młodo powołanych do krainy cieniów, złożono je w naczyniach i postawiono obok nisz dawniejszych. Ale obecnie musiała sobie i dzień ten przypomniéć i tę okoliczność, jak siedziała przed jednym ze słupów pomnika, jak płakała gorzko i wciąż sama sobie zadawała pytanie, czy-to podobna, ażeby matka już nigdy a nigdy nie przyszła do niéj, aby ją pocałować, kilka słów miłych powiedziéć, włosy uporządkować i pogłaskać; co więcéj, wtedy po raz pierwszy w życiu zatęskniła za połajanką z ust kochanych, już na wieki zamkniętych.

Faon stał w owéj chwili oparty o słup drugi i zasłaniał oczy prawą ręką.

Tak smutnym nie widziała go nigdy ani przedtém ani potém; tknęło ją to okropnie, kiedy zobaczyła, że Faon dygotał, jakby go mróz nawskróś przejmował, i że oddychając głęboko odrzucił w tył włosy, które mu zakrywały czoło do połowy jakby czarna zasłona...

Ona płakała z głębi duszy, a on ani jednéj łzy uronić nie mógł.

Zamienili naówczas ze sobą parę tylko słów urywanych, ale każde z nich brzmiało jeszcze w jéj uchu wewnętrzném tak, jakby pomiędzy chwilą ową a dzisiejszą upłynęło tyle jedynie godzin, ile lat naprawdę.

„*Moja* była tak dobra“—wyjąkała ona; on zaś skinął tylko głową, a po upływie kwadransa nie powiedział nic więcéj nad te słowa: „I *moja* także.“

Pomimo długiéj przerwy, rozdzielającéj wyrazy dziewczyny od słów chłopca, należały one przecież całkowicie do siebie, bo je łą-

czyła w obu sercach dziecięcych ta myśl ciągle w duszy ich żyjąca: „Matka moja była tak dobra.“

A wtedy Ksanta znowuż pierwsza przerwała długo trwające milczenie i spytała?

— Teraz kogóż mam jeszcze?

I znów upłynęło czasu niemało, zanim Faon mógł jako jedyną odpowiedź powtórzyć za nią zcicha:

— Tak, kogóż?

I to także były krótkie, niepozorne słówa, ale w nich brzmiał okrzyk tak głębokiéj boleści, jakiéj tylko serce dziecka doświadczyć może.

Zaledwie słowa te przedostały się przez usta chłopca, a już i lewą rękę poniósł do oczu, pierś mu wstrząsła krótkim kurczem i po policzkach strumień łez popłynął.

Dzieci miały oboje ojców swych jeszcze, ale w téj godzinie zapomniały o tém zupełnie.

Kiedy gaśnie ożywcze słońce, któż sobie natychmiast przypomina, że istnieje przecież księżyc i gwiazdy?

Skoro Faon rozpłakał się tak gwałtownie, łzy Ksanty zaczęły płynąć powolniéj; długo patrzała nań ze spółczuciem, choć on tego nie widział, gdyż oczy wciąż przyciskał rękoma.

Dziewczynka zobaczyła boleść większą od swojéj własnéj, a jak tylko poczuła, że ona bądź-cobądź nie jest tak smutną jak jéj towarzysz, coś ją pobudzać zaczęło, żeby mu ulżyć w cierpieniu.

Jak w kiełkującym zawiązku tkwi cała roślina wraz z kwiatami i owocami, tak téż w najmłodszéj nawet dziewczynie tai się przyszła matka, która lubi łzy osuszać i opiekować się i pocieszać.

Gdy Faon naówczas wciąż stał na jednem miejscu nieruchomy, Ksanta podniosła się, podeszła ku niemu, pociągnęła go trwożliwie za ubranie i rzekła:

— Chodź do nas razem z nami; pokażę ci coś bardzo ładnego; wykluło się czworo gołąbiąt, mają one bardzo szerokie dzioby i są okropnie brzydkie.

Towarzysz jéj odjął rękę od oczu i odpowiedział przyjaźnie:

— Nie, proszę cię, ja tu zostanę.

Wtedy wzięła go za rękę, pociągnęła naprzód i rzekła.

— No! musisz pójść; w moim wózku pękł dyszel.

Faon tak już przywykł śpieszyć z pomocą, ilekroć zabawka jaka dziewczynie się popsuła, że poszedł za nią, a nawet dnia następnego dał się jéj nakłonić do niejednéj rzeczy, do któréj najmniejszéj nie miał ochoty.

Był jéj posłuszny, ażeby jéj nie zasmucać; a kiedy przytém poweselał znowu a nawet w żwawym jéj śmiechu dopomagał; wtedy Ksanta cieszyła się, że go uwolniła od smutku, i od owego czasu przyjmowała wprawdzie usługi jego równie chętnie jak dawniéj ale zachowywała się wobec niego jak młoda mateczka i czuwała nad jego postępowaniem, jakby to było jéj obowiązkiem.

Dorósłszy nie wahała się zachęcać Faona albo go ganić; kiedyniekiedy nawet umiała się nań gniewać, a zwłaszcza gdy przy grze lub tańcu zabawiał się zanadto długo z dziewczętami, którym można było mniéj lub więcéj coś zarzucić a czasami nawet nic zgoła. Powiadała wtedy, że nie robi tego ze względu na siebie, bo to jéj wszystko jedno, ale znając dziewczęta, uważała sobie za obowiązek strzedz go przed niemi.

Wiele mu lubiła przebaczać, ale pod tym względem była surową i mogła się unieść aż do niegrzeczności.

Stojąc teraz przy grobowcu, przywiodła sobie na pamięć tę chwilę, kiedy go pocieszała, przypomniała sobie podjęte względem niego starania,—a to wszystko napróżno, bo on hula teraz po całych nocach z flecistkami.

Tak jest, z flecistkami!

Powiedziała to Semestra!

Wydał się jéj zgubionym, zgubionym całkowicie.

— Jeżeli dzisiaj zapłakać musiałam przy źródle — tak myślała sobie—to nie szło mi przecież o tych tam gości z Meseny; o nie! te łzy, co mi w oczach stanęły, to były łzy matki opłakującéj syna, który wszedł na manowce.

Wydała się sama sobie wielce czcigodną niewiastą i uważałaby to za rzecz naturalną, gdyby jéj siedemnastoletnią zaledwo główkę przyozdobił włos siwy zamiast złocistego.

Posuwała się nawet krokiem poważnym, godnym matrony; jednakże nie było-to wcale po macierzyńsku, kiedy w dalekiéj drodze ku krzakom róż nad morzem starała się usilnie o to, ażeby usunąć z pamięci wszystko, co Faon miał dobrego albo to na złe wytłómaczyć, nazywając jego spokojne zachowywanie się lenistwem, gorliwość z jaką jéj służył—słabością, małomówność—niedołęztwem i ograniczeniem, a nawet piękne jego marzycielskie oko ospałém.

Wobec tego wszystkiego mało miała czasu myśléć o nowym zalotniku; boć szło naprzód o to, aby roztrzaskać obraz starego bóstwa; ale każde uderzenie młotka taki ból jéj sprawiało, jakby je w siebie samę wymierzała.

6. Odpowiedź.

Krzak róży, ku któremu szła Ksanta, znajdował się nad morzem na tarasie będącym wspólną własnością jéj ojca i wuja, obok ławki z pięknie wygładzonego białego marmuru.

Wpływ niejednéj zimy okazał się w tym, że spojenia płyt kamiennych rozluźniły się a brzegi ich żółtawemi się stały.

Zdaleka już spostrzegła Ksanta, że ławka nie była pusta.

Pod tą ławką spływał do morza strumień wychodzący ze znanego nam źródła; a w bystrych jego nurtach dziewczęta prały zazwyczaj bieliznę.

Czyż one użyły teraz ławki, żeby na niéj rozwiesić ubiory i chusty, które prać miały?

Nie!

Na twardym marmurze leżał jakiś mężczyzna a chcąc się zabezpieczyć od blasku słońca wznoszącego się coraz to wyżéj narzucił sobie na twarz jasny swój płaszcz. Z pod tego przykrycia wyglądały obute i w kostkach obwiązane nogi, jakby się na jaką wędrówkę ich właściciel wybierał.

Po nich-to odrazu poznała Ksanta odpoczywającego tam młodzieńca.

Był-to Faon!

Poznałaby go pewnie, choćby tylko dwa jego palce zobaczyła!

Słońce miało niebawem wskazywać południe, a on tam leżał i spał.

Z początku przestraszyło ją to, że go tu znalazła; niebawem atoli poczuła jedynie oburzenie; przed oczyma jéj duszy stanął znowu obraz flecistek, z któremi pewnie tak się ubawił aż do zmęczenia.

— Niechże śpi!—mruknęła sobie dumnie i pogardliwie.

Potém przeszła około niego, urznęła pełną garść róż z krzaków pokrytych obficie purpurowemi i żółtemi kwiatami, siadła na wolném jeszcze miejscu obok zasłoniętéj głowy Faona wypatrywała okrętu z Meseny, a gdy się nie pokazywał, zaczęła splatać wieniec.

Pracy téj mogła dokonać równie dobrze tutaj jak na każdém inném miejscu, powiedziała więc sobie, że jéj przecież wszystko jedno, czy na ławce leży bielizna jéj ojca czy Faon.

Ale serce zadawało kłam tym uwagom, biło bowiem tak gwałtownie, że jéj boleść sprawiało.

A dlaczegóż to palce jéj poruszać się nie chciały a oczy zaledwie mogły rozróżnić róże czerwone od żółtych?

W ogrodzie było zupełnie cicho, żaden głos słyszéć się nie dawał, błękitne morze drzemać się zdawało, a jeśli jaka szeroka fala o brzeg się odbiła, to z tak łagodnym szelestem, że go ledwie dosłyszéć było można.

Jak senne widziadło latał około jéj róż milczący motyl, a jak myśl szybka chroniła się jaszczurka do szczeliny między płytami u samych jéj nóg.

Najmniejszego podmuchu wiatru nie było, żaden liść ani żadna gałąź z drzew nie spadła.

Tam wdali, jakby drzemiąc pod błękitnawemi zasłonami, rozciągał się brzeg kalabryjski, a tu i owdzie w mniejszéj lub większéj odległości, ale zawsze bez szelestu sunęły jak łabędzie po wodzie okręty i łódki z lekko zaokrąglonemi żaglami. Zdawało się nawet, że śpią i koniki polne i wszystko było tak spokojne, tak okropnie spokojne w około Ksanty, jakby się zatrzymał oddech świata, co ją kwitnący i błyszczący ze wszech stron otaczał.

Jakby przykuta siedziała Ksanta obok śpiocha, a serce jéj przytém biło ciągle jeszcze tak szybko i silnie, że się wydało, iż słyszy wyraźnie jego kołatanie jako jedyny dźwięk wśród tego zastraszającego milczenia.

Promienie słońca gorąco a bez litości spadały na jéj czaszkę, lica jéj pałały, opanował ją jakiś bolesny niepokój, więc też pewnie nie dla obudzenia Faona, ale tylko dla posłyszenia jakiegoś dźwięku, kaszlnęła nie bez trudu raz i drugi, a gdy to po raz trzeci zrobiła, śpiący poruszył się, usunął z twarzy część płaszcza, pokrywającą mu głowę, podniósł się zwolna cokolwiek i, nie zmieniając leżącéj pozycyi, rzekł głosem nadzwyczaj miłym poprostu i spokojnie:

— To ty, Ksanto?

Raczéj po cichu niż głośno, ale bądź-co-bądź wesoło brzmiały te proste słowa.

Dziewczyna spojrzawszy przelotnie tylko w twarz przebudzonego, zajęła się natychmiast tak gorliwie swémi różami, jak gdyby sama jedna tu siedziała.

— Cóż? — zapytał Faon w dalszym ciągu, patrząc na nią ze zdziwieniem wielkiemi czarnemi oczyma i oczekując od niéj powitania.

A kiedy ona trwała uporczywie w milczeniu, Faon nie zmieniając zresztą położenia, powiedział:

— Wesołego poranku życzę ci, Ksanto.

Dziewczyna, nie odwzajemniając powitania, patrzała w niebo wprost słońca, o ile blask jego znieść mogła.

Przytém drgnęły rumiane jéj wargi; róże trzymane w ręku rzuciła sobie na kolana, gdzie już ich siostrzyczki spoczywały.

Faon śledził ruch jéj oczu i nanowo, nie mniéj spokojnie jak przedtém przerwał milczenie, mówiąc z uśmiechem:

— Tak, doprawdy, słońce wskazuje, że już długo tu spałem, nie wiele już do południa brakuje.

Spokój młodzieńca wywołał burzę gniewu w piersi dziewczyny.

Krew burząca się łatwo wrzała w jéj żyłach; przymus musiała sobie zadawać, by mu róż nie rzucić w twarz.

Udało się jéj wszakże, zapanować nad sobą; z żywo napokaz uwidocznioną starannością ocieniła sobie oczy zgiętą ręką i wpatrywać zaczęła w okręty, które się na morzu ukazały.

— Nie wiem, co ci jest—rzekł Faon, gładząc prawą ręką czarne swe włosy, które mu czoło do połowy zasłaniały. Czy już teraz spodziewasz się okrętu z Messeny i mojego ojca?

— I krewnego Leonaksa—odparła szybko dziewczyna, kładąc silny nacisk na nazwisko.

Potém nanowo spojrzała w dal.

Młodzieniec wstrząsł głową; przez minut kilka milczeli oboje.

Następnie podniósł się nieco wyżéj, zwrócił się całą twarzą ku dziewczynie, wpatrzył się w nią tak uważnie i tak głęboko, jak gdyby obraz jéj chciał wyryć w swéj duszy na życie całe, pociągnął zlekka za rękaw jéj peplosu spadający ku ziemi i rzekł:

— Nie myślałem, żeby to było potrzebne,—ale muszę cię o coś zapytać.

Gdy to mówił, Ksanta oparła się prawym łokciem na kolanie, przebierała palcami po różowych ustach a lewą ręką wzdłuż wyciągniętą objęła poręcz ławki marmurowéj.

Oczy jéj mówiły mu, że słuchać go będzie, ale z ust jéj i teraz nie wyszło słówko najmniejsze.

— Mam ci zadać jedno pytanie, Ksanto—powtórzył Faon.

— Ty?—przerwała mu dziewczyna z wyraźnie uwidocznioném zadziwieniem.

— Ja; a któżby? Wczoraj wieczorem powiedział mi Jazon, że stryj nasz Alkifron stara się o ciebie dla swego syna Leonaksa i że ten ma być jakoby pewny dobrego przyjęcia ze strony Semestry i twego biednego ojca. Wybierałem się już do was, ażeby cię za-

pytać, czy to prawda; ale potém zawróciłem z drogi, gdyż było już późno, a miałem jeszcze coś innego do roboty; przytém myślałem sobie, że my oboje należymy przecież do siebie i że ty nikomu innemu nie mogłaś tak sprzyjać jak mnie. Nie lubię ja tracić słów napróżno; co się dzieje w mém sercu, tego wypowiedziéć nie potrafię, ale ty wiesz o tém już oddawna. Teraz wyglądasz krewnego Leonaksa. My oboje nigdyśmy go jeszcze nie widzieli, i zdawałoby mi się...

— Ale ja wiem — przerwała mu dziewczyna i powstała tak szybko, że róże spadły na ziemię a ona tego nie spostrzegła—ale ja wiem, że on jest dzielnym mężczyzną, prawą ręką ojca, mężczyzną pogardzającym zabawami nocnemi z flecistkami i nie lubiącym się starać o dziewczęta dlatego tylko, że są bogatemi.

— I ja tego nie robię — odparł Faon. Kwiaty wypadły ci na ziemię...

Mówiąc to młodzieniec wstał, schylił się po róże, pozbierał, podał je lewą ręką Ksancie a prawą starał się uchwycić jéj rękę; ona jednak cofnęła się i rzekła:

— Połóż je na ławce i idź obmyć sobie senność z twarzy.

— Czyż wyglądam tak zmęczonym?

— Naturalnie, chociaż leżałeś tu aż do południa.

— Ale bo téż przez kilka nocy sypiałem mniéj niż mało.

— I śmiesz się tém chlubić?—zapytała Ksanta, a lica jéj pałały. Nie jestem twoją matką, a ty możesz sobie robić, co ci się podoba, a jeżeli sądziłeś, iż ja do ciebie już należałam dla tego, że bawiliśmy się razem od dziecka i że przy zabawach bez wstrętu rękę ci podawałam, to się mylisz. Nie znoszę mężczyzny, który dnie w noc a noce w dzień przemienia!

Przy ostatnich słowach łzy stanęły w oczach Ksanty; Faon ze zdziwieniem patrzył na nie.

Spojrzał na Ksantę smutnie i z prośbą; przez czas jakiś patrzył w ziemię; niebawem wszakże zaczął się domyślać powodu jéj niezadowolenia i spytał z uśmiechem:

— Więc ty sądzisz, że ja przepędzam noce na hulance?

— A tak!—zawołała Ksanta, wyrwała mu swą rękę powtórnie i napół odwróciła się od niego.

— Ach!—odparł Faon zdumiony i zasmucony—nie powinnaś była tak myśleć.

Dziewczyna zwróciła się ku niemu, podniosła oczy ze zdziwieniem i zapytała:

— A gdzież bywałeś podczas ostatnich nocy?

— Tam na górze w waszym gaju oliwnym przy trzech Hermesach.

— Ty?

— Z jakimże zdziwieniem patrzysz na mnie!

— Myślałam sobie o tych hultajach, co nam skradli owoce z wielu drzew. Tam na górze za murem mieszka dziki Koraks z synami złodziejami.

— Z ich-to powodu, Ksanto, jak tylko się ściemniło, chodziłem tam na górę, bo ojciec twój jest chory i nie może dopilnować swego dobytku, a Mopsus i rybacy wasi i niewolnicy musieli się udać okrętem do Messeny, aby robić wiosłami i żagle napinać.

— I straż tam odbywałeś?

— Tak.

— Przez tyle nocy?

— Można przecież zamknąć oczy po wschodzie słońca.

— Jakże musisz być zmęczonym!

— Wyśpię się dowoli, jak tylko ojciec wróci.

— Powiadają, że on stara się dla ciebie o jedynaczkę bogatego Mentora.

— Z pewnością wbrew mojéj woli.

— Faonie!

— Cieszę się, że mi znowu rękę podajesz.

— Dobry, kochany, jedyny chłopcze, jakże mam ci podziękować!

— To niepotrzebne! Gdybyś nie pomyślała była o mnie takich niedorzeczności, to z pewnością nigdybym nie powiedział o owém czuwaniu na górze. A któż jeśli nie ja powinien był to zrobić, dopóki nie powrócił Mopsus?

— Nikt, nikt prócz ciebie! Ale powiedz-że, powiedz co prędzéj, jakie to miałeś zadać mi pytanie!

— Doprawdy? O Ksanto, droga, jedyna Ksanto, czy mnie czy krewnego Leonaksa wolisz za męża?

— Ciebie, Ciebie i tylko ciebie nikogo innego na ziemi!—zawołała dziewczyna i oba ramiona zarzuciła na pierś młodzieńca; on zaś silnie przycisnął ją do siebie i w upojeniu całował ją w lica, i w czoło, i w usta.

Morze i niebo i jasne słońce i wszystko, co było pięknném i świetném w bliskości i w dali, odzwierciadlało się w ich sercach; obojgu im zdawało się, jakoby uchem wewnętrznêm chwytali wszystko, co tylko śpiewa i dźwięczy, śmieje się i raduje. Każde z dwojga mniemało, że w kochaniu swojém posiada świat cały z całą jego rozkoszą i szczęściem. Stanowili oni jedność, jedność zupełną, a po za nim

nie było nic, nic zgoła; tym sposobem stali się dla siebie nawzajem światem osobnym a szczęśliwym, obok którego wszystkie inne rzeczy stworzone zamieniały się w nicość.

Tak upływały chwile jedna za drugą; już godzina cała zbliżała się ku końcowi biegu swego, a Ksanta zamiast wić wieńce, otoczyła szyję Faona ramionami, zamiast patrzéć w dal, patrzyła w jego oczy, zamiast baczyć na zbliżające się kroki, on i ona wsłuchiwali się w jedno i toż samo słodkie słówko, które kochankowie powtarzają ustawicznie a jednak nigdy nie czują znużenia, gdy je wypowiadają lub gdy go słuchają.

Róże leżały na ziemi, łódź z Messeny wpłynęła do przystani przytykającéj do majątku Lizandra, Semestra kulejąc przyszła nad morze, aby odszukać Ksantę i zastępując pana domu przyjąć jak bóstwo syna ulubieńca swego, co tu przybywał jako zalotnik.

Zanim doszła do ławki marmurowéj, Semestra niejednokrotnie wołała dziewczynę po imieniu, ale zawsze napróżno.

Kiedy nakoniec obeszła zarośla mirtowe, które dotychczas skrywały kochanków przed jéj wzrokiem, musiała się patrzéć własnemi oczyma na widok wcale dla niéj niepożądany.

Ksanta oparła głowę na piersi Faona, on zaś nachylił się ku niéj i całował ją w oczy, w usta, a nakoniec — któżby się tego dopuścił za czasów jéj młodości!—w ślicznie wycięty nosek.

Chwil kilka język odmawiał jéj posłuszeństwa; w końcu przecież podniosła ręce do góry, a z ust jéj wydarł się okrzyk jękliwy, w którym brzmiało i oburzenie i skarga żałosna.

Ksanta zerwała się przestraszona, Faon zaś pozostał na ławce marmurowéj, zatrzymał rękę narzeczonéj w swoich rękach i obejrzał się spokojnie nie okazując zdziwienia większego, niż gdyby tuż przy nim spadł owoc z drzewa.

Ten spokój młodzieńca wzmógł zawziętość staruszki; usta jéj otwierały się już, aby przepuścić straszliwy potok słów gniewnych; gdy w tém stary Jazon, lekko jak młodzieniec wbiegł pomiędzy nią a zakochanych, popatrzał przez chwilę z prawdziwém zadowoleniem na swych ulubieńców i, kłaniając się Semestrze z komiczną powagą, zawołał z uśmiechem:

— Oboje będą parą, stara przyjaciółko, i mogą żądać od ciebie błogosławieństwa, chyba że chcesz lekkomyślnie a grzesznie złamać świętą przysięgę.

— Jabym—jak-to, kiedyż-to—skrzeczała klucznica.

— A czyż-to—przerwał jéj Jazon głos podnosząc—a czyż-to nie przysięgłaś mi dziś rano, że własnemi rękami przyrządzisz pieczeń weselną dla tych-tu dwojga, jeżeli tylko sama złożysz ofiarę cypryjskiéj bogini, z prośbą, żeby ich serca złączyła?

— Tak też i będzie, niech mnie wszechwładna bogini...

— Trzymam cię za słowo·—zawołał Jazon.—Prosię twoje było ofiarowane Afrodycie, kapłan przyjął je z ochotą i zarżnął w moich oczach, błagając przytém głośno wraz ze mną niebiankę, żeby serce Ksanty napełniła miłością dla Faona.

Klucznica obie dłonie w pięść zacisnęła, przystąpiła do starca i tak stanowczo okazała swój zamiar czynnéj zaczepki, że włódarz, który mężnie z niejednym dzikiem się ścierał, nie bez obawy przed nią się cofnął.

Tak go pchała aż do ławki marmurowéj, a wtedy zawołała!

— Więc to dlatego nie miał kapłan ani jednego słówka pochwały dla mego ukochanego prosiątka! Jesteś złodziejem, oszustem. Mego drogiego wieprzaczka, którego wszyscy bogowie zazdrościć musieli matce Erosa, przywłaszczyłeś sobie i zapewne na jego miejsce podstawiłeś obrzydliwego potwora, podobnego do siebie, skłamawszy, że potwór ten ode mnie pochodzi. O, przenikam teraz całą sztukę! Kochany Mopsusek był twoim wspólnikiem; ale niech mię...

— Mopsus—zaśmiał się Jazon—wstąpił u nas do służby, a jeżeli narzeczona naszego pana pozwoli, to weźmie sobie za żonę czarną Doryppę. Od dzisiaj przecież co nasze to wasze.

— A nasze to wasze także—przerwała mu Ksanta.—Przestań się już gniewać, Semestro; nikogo innego nie wezmę za męża prócz Faona; ojciec na naszę niebawem przychyli się stronę; bądź tego pewna.

Klucznica uwierzyła niewątpliwie tym bardzo stanowczo wypowiedzianym słowom, gdyż jak wódz pobity, ale roztropny zaczęła już znowu myśléć o odwrocie i rzekła:

— Pokonano mię fortelem; ale com przysięgła w chwili słabości, to przysięgą być nie przestaje. Mnie żal tylko twego biednego ojca, który potrzebowałby syna, coby go w niczém nie zawiódł, i żal dzielnego Leonaksa.

W téj właśnie chwili, jakby imię swe posłyszał i jakgdyby posłusznie na zawołanie się zjawiał, wyszedł z poza mirtowych zarośli syn Alkifrona z Messeny wraz z ojcem Faona Protarchem.

Był-to piękny, wesoły młodzieniec, bogato i starannie ubrany.

Uśnisnąwszy ręce przybyłych i powitawszy ich serdecznie wziął Faon narzeczoną swoję za rękę, przyprowadził ją przed Protarcha i rzekł:

— Daj mi Ksantę za żonę, mój ojcze. Razem wzrośliśmy, jak ten tam bluszcz z dzikiém winem na altanie i nie możemy się rozstać z sobą.

— O nie, z pewnością nie!—zapewniała Ksanta; przyczém przygarnęła się do swego ukochanego i wtedy dopiero spojrzała w oczy swemu stryjowi a potem i młodemu Messeńczykowi, rumieniąc się i prosząc serdecznem spojrzeniem.

— Dzieci, dzieci! — zawołał Protarch. — Burzycie mi najpiękniejsze moje plany. Agarystę, jedynaczkę bogatego Mentora wybrałem dla ciebie, ty nierozsądny chłopcze i doszedłem już do ładu ze starym sknerą. Niechże tu teraz kto powie: zamierzam sobie, albo to i to stać się musi jutro! I ty jesteś milutką i dobrą, dziewczyno, nie mogę też utrzymywać, żebym się nie cieszył, ale—potężny Zeusie! cóż teraz powie brat mój Alkifron i ty, mój Leonaksie?

— Ja?—zapytał młody Messeńczyk z uśmiechem. Przybyłem tutaj jako syn posłuszny, ale jeśli mam się przyznać, to rad jestem z tego, co się tu dzieje, bo na drugi raz rodzice nie zechcą odpowiedzieć: Nie! kiedy ich poproszę, żeby mi córkę Kodrusa Ismenę dali za żonę.

— I tu stoi dziewczyna, która słucha słów tak niegrzecznych z większą, jak się zdaje, przyjemnością, niż Helena pochlebstw Parysa!—zawołał ojciec Faona i ucałował najprzód przyszłą córkę w lica potem syna w skronie.

— A teraz do ojca!—prosiła Ksanta.

— Jeszcze chwilkę — odparł Protarch — musimy zajrzéć do skrzynki, którą tam oto niosą ludzie. Hej, chłopcy, dawajcie baczność na wielką skarbnicę z fenickiemi towarami i ubiorami dla matron!

Semestra zaraz przy pierwszém powitaniu zbliżyła się była do syna ulubieńca swego, powiedziała mu, kim jest, przyjęła odwzajemnione pozdrowienie od jego ojca, ucałowała go w rękę i pogładziła po ramieniu.

Oświadczenie Leonaksa, że nie Ksantę lecz inną dziewczynę pragnie mieć za żonę, uspokoiło ją niemało, a też gdy usłyszała o ubiorach dla matron a nie o jedném tylko ubraniu, wesoło błysnęły jéj oczy, które spuszczając ku ziemi zapytała:

— Czy jest i błękitne?—kolor błękitny lubię nade wszystko.

— I błękitne także wybrałem — odparł Protarch.—A w jakim celu, to wam powiem w domu. A teraz w drogę; chcę powitać brata.

Ksanta trzymając narzeczonego za rękę poszła na czele orszaku, przygotowala ojca bardzo wymownie do tego, co się stało, opowiedziała mu, jaką zrobili krzywdę biednemu Faonowi on i ona sama i stara Semestra, przyprowadziła młodzieńca do niego i wzruszona, uklękła przed ojcem, gdy on kładąc jéj rękę w rękę jéj towarzysza, zawołał drżącym głosem:

— Miłym byłeś mi zawsze, czarna ty głowo, a Ksanta chce cię za męża. Więc mogę mieć syna! O bogowie olimpijscy słuchajcie,

syna dobrego, silnego, kochającego! Podnieś mię, mój chłopcze. Jakże się czuję rzeźwym! Alboż to mając ciebie nie zdobyłem sobie dwu dzielnych nóg i ramion? Niech-no mi się dzisiaj stara nawinie! Kuglarz nauczył mię, jak ją przywitać.

Oparłszy się na silném ramieniu Faona, szczęśliwy, uśmiechnięty wyszedł na dwór, przywitał swego pięknego i zdrowego synowca, jak niemniéj swego brata i rzekł:

— Pozwól Faonowi zamieszkać przy Ksancie w moim domu, który i tak niebawem jego własnym się stanie, bo jestem słaby i potrzebuję podpory.

— Zgoda, z całego serca zgoda! — zawołał Protarch—i będzie to dla wszystkich wygodnie, bo, bo — no, przecież kiedyś musi to wyjść na jaw—bo ja, ja stary głupiec...

— Cóż?—zapytał Lizander, a Semestra, zgięła rękę w ślimaka i przyłożyła ją do ucha, aby lepiéj słyszéć.

— Ja—przypatrzcie-no mi się—ja, Protarch, syn Dyonizyusza, nie mogłem już dłużéj tam w domu wytrzymać sam jeden z małomównym chłopcem i starym Jazonem i dlatego też—głupstwo to może, ale przecież nie występek żaden —i dlatego też wybrałem sobie nową żonkę.

— Protarchu!—zawołał chory podnosząc ze zdziwienia ręce do góry; Faon zaś skinął ojcu na znak zgody i zamienił z narzeczoną spojrzenie wesołe.

— Młodszą siostrę matki mojéj wybrał sobie — dodał Messeńczyk Leonaks.

— Młodszą, to prawda, ale nie najmłodszą—przerwał mu mowę Protarch. Za trzy dni odbędziecie swoje wesele, moje dzieci. Faon będzie gospodarował przy tobie, mój Lizandrze, wraz ze swoją Ksantą, a ja w starym domu tam na górze z moją Praksyllą. Zaraz po waszych zaślubinach jadę napowrót z Leonaksem do Messeny i przywiozę sobie żonkę.

— Oddawna już brakło nam gospodyni, błogosławię też twemu mężnemu postanowieniu!—zawołał Jazon.

— Prawda, zawsze byłeś odważnym—rzekł chory.

— Tą razą jednak nie tak bardzo, jakby się to wydawało— odparł Protarch z uśmiechem. Praksylla jest godną wdową, dla niéj zakupiłem w Messenie te ubiory dla matron, o które się dopytywałaś, Semestro.

— Dla niéj?—mruknęła stara.

— Jest tam także i ubranie błękitne, które nosić będzie z ochotą, bo ma włosy jasno-brunatne, przypruszone gdzie-niegdzie

siwizną. Jest jednak świeża i dzielna jakby młoda i niejedną dobrą radą przyjdzie w pomoc Faonowi i Ksancie na nowém gospodarstwie.

— Ja odjeżdżam do Agrygentu do mojéj córki—rzekła Semestra stanowczo.

— Dobrze—odparł jéj przyjaźnie chory—i wypocznij sobie na stare lata za swoje oszczędności.

— Do których ojciec mój dodaje tysiąc drachm—dodał Leonaks.

— Mój Alkifron ma serce!—zawołała klucznica.

— Ode mnie dostaniesz tyleż a do tego błękitne ubranie jak dla matron, w dzień odjazdu—powiedział Lizander.

* * *

Niebawem po weselu Faona i Ksanty odjechała Semestra do córki. Taras nad morzem został odnowiony pięknie a bez żadnéj sprzeczki, gdyż majątek należał znowuż wspólnie do obu braci, a Ksanta zaś znalazła w Praksylli drugą poczciwą matkę.

Marmurowe siedzenie, na którém rozstrzygnął się los młodéj pary, wnukowie jeszcze starzejącego się w miłości i zgodzie małżeństwa nazywali „ławką pytania."

KONIEC.

BRZEZINIACY.

SZKIC ETNOGRAFICZNY.

Prof. Lucyanowi Malinowskiemu
ofiaruje
wdzięczny uczeń.

Północne stoki Karpat, przekształcając się powoli w pagórki i wyżyny nie wyższe nad 200 stóp, poprzerzynane licznemi strumieniami i potokami, tworzą przy przejściu w obszerną płaszczyznę, ciągnącą się ku Wiśle, jakby zęby wielkiéj koronki zdobiącéj różnowzorą, barwistą Polski szatę. Okolica to malownicza: po monotonnych obrazach równin, oko doznaje tu prawdziwéj roskoszy na widok tylu rozmaitych w dali zieleniejących gajów, w różne łuki łamiących się pod niemi pagórków i sporadycznie rozrzuconych a uroczo w otoczeniu zielonych drzew sadu do stromych nieraz spadzistości poprzyczepianych chat wieśniaczych.

W téj to okolicy, dwie mile na południe od Dębicy, stacyi galicyjskiéj kolei Karola Ludwika, leży wieś Brzeziny, jedna z większych, bo przeszło milę kwadratową przestrzeni zajmująca. Wraz z małą wioską Jaszczurową tworzy własną parafią, kres południowo-wschodni dyecezyi Tarnowskiéj. Jadąc w te strony od Dębicy i dostawszy się na wyżynę więcéj niż pół mili od tego miasteczka odległą, po za karczmą zwaną „Bukową,“ ujrzy się na południowym krańcu widnokręgu czarno-siny pas lasów coraz mniejszemi falami ku zachodowi spływający i niknący powoli w gromadzie pagórków. To granica południowa Brzezin. Przez rozległe Braciejowskie lasy (należące do dóbr Dębickich hr. Raczyńskiego), przybywa się „na Kamieniec,“ część wsi Głobikowy—w tyle pozostały: Gawrzyłowa, Stasiówka i Braciéjowa. Od Kamieńca (nazwa karczmy) już do Brzezin niedaleko; na prawo część Grudy górnéj (kopalnie węgla

brunatnego), na lewo w dolinie wieś Mała, przed nami las „Kocią myślą“ (!) zwany, dziś smutnie nagimi pniami skarżący się na spustoszenie, jakie w nim zrządzono, a za nim na tablicy na lewo przy drodze stojącéj czytamy napis: „Gmina Brzeziny. Starostwo Ropczyce.“ A więc jesteśmy w Brzezinach.

Przed nami dwie długie ciągną się doliny, zwrócone ku sobie i łączące się wreszcie; trzecia główna na dwie mniejsze rozpadająca się części, ciągnie się od owych lasów dalekich i łączy ze siostrzycami w dolinę wązką, przerzniętą potokiem. W niéj na lewo zostawiamy część wsi zwaną „Bajem,“ na prawo „Górę“ w dalszych „Berdechów,“ „Pogwizdów z Podkościelniákami.“ Wszystkie ciągną się przeważnie w kierunku wschodnim, a zyskawszy w zjednoczeniu, prawie w połowie wsi, większą, obszerniejszą przestrzeń, płyną daléj w tym samym kierunku jako jedna dolina, część wsi „Dołem“ zwaną zawierająca. Na lewo w stronie północnéj znajduje się jeszcze jedna część wsi zwiększająca się ciągle „Bukowina;“ w środku zaś wsi na wyżynie, gdzie się kościół w otoczeniu lip wznosi, usiadły „Zagrody.“

Grunta wszystkie ciągną się mniéj lub więcéj szerokiemi pasami od doliny w górę ku krańcom wioski. Ponieważ jak już wspomnieliśmy, doliny mają kierunek wschodni, grunta są położone pod północ i pod południe, ku słońcu i od słońca tak, że gdy w północnéj stronie wioski ku słońcu zwróconéj już orać mogą na wiosnę i boso biegają, w stronie południowéj skorupa śniégowa nie zupełnie jeszcze pękła. „Bosáki“ śmieją się ze „Skorupów“ i mają się za coś lepszego.

W pewnéj odległości od dna doliny w górę na końcach pasów gruntowych wznoszą się chaty.

Zanim je zewnątrz i wewnątrz poznamy, zanim rzucimy parę rysów charakteryzujących ich mieszkańców, spojrzyjmy w przeszłość wioski.

I.

Kiedy i w jaki sposób zaludniły się te doliny—nie mówi podanie (1).

Musiało się to jednakże stać bardzo dawno, skoro pamięć mordów i rabunków tatarskich dotąd się jeszcze przechowała. Niszcząc kraj cały, wpadli oni i w te strony i wieś tę zupełnie wyludnili. Mieli

(1) Wszystko to co nastąpi, podaję tak jak słyszałem z ust ludu bez przymieszki własnych wniosków lub domniemywań, dla których w razie potrzeby ten tylko sobie kącik zastrzegam. (*Przyp. autora*).

długie dzidy, którymi ludzi przebijali; młode dziewczęta i chłopaków zdatnych uprowadzali a starych zabijali. Raz, jedna tylko baba pozostała i ta wyszedłszy z kryjówki z ciężarem na plecach uciekała. Jeden z pogoni, która się za nią puściła, rzucił dzidą za uciekającą; dzida utkwiła, baba padła a tatarzyn myśląc że zabita, wyciągnął dzidę i popędził daléj. Kobiéta podniósłszy się późniéj i zobaczywszy, że niebezpieczeństwo minęło, uciekła do lasu. Głównym miejscem ucieczki była góra obrośnięta lasem „Chełmem" zwana. Tatarzy nazywali ją *kiel* (?!). Był tam na szczycie kościołek św. Heleny, do którego się ludność chroniła. Razu pewnego zapędzili się Tatarzy aż na tę górę za uciekającymi, ale wtedy spadł deszcz krwawy i wrócić się musieli. Dzwonek cudowny, który się tam znajdował, miał moc rozpędzania swym głosem chmur burzą ciężarnych. Dwa razy go brano do Dobrzechowa pod Stryżów, ale zawsze wracał na swoje pierwotne miejsce (1). Przy tym kościołku przebywał potém przez jakiś czas pustelnik. Kiedy dach na kościołku już w bardzo złym znajdował się stanie, chciał go pobić gontami jeden wieśniak z sąsiedniéj Stempiny imieniem Harmata. Pustelnik nie pozwalał, w sprzeczce Harmata gontem go uderzył i zabił. Długie czasy przeto kościołek ów zostawał pod klątwą, aż powoli w gruzy się rozsypał. Jeszcze przed kilkudziesięciu laty były ślady ścian, dziś jedyna tylko lipa w pośród jodeł świadczy, że tu na tym miejscu dawniéj nie jodły tylko porastały.

Gdzie dziś część wsi „Podkościelniákami" zwana, miało być kiedyś wielkie miasto, które się atoli z Tatarami zapadło. Kopiąc raz głęboką studnię dostawano jeszcze obręcze i naczynia rozmaite.

Szwedzi mieli w ten sam sposób plondrowaać i palić a po nich przyszedł książę Rakoczy, który bardzo tę okolicę wyniszczył. Ponieważ wszędzie zabierano, co kto miał, chciał pewien pan, staruszek, skarby swoje gdzie ukryć, ale nie miał tak bezpiecznego miejsca. Wnuczka jego poradziła mu, aby je ukrył na spodzie dołu, w który śmieci rzucano. Uczynił jak doradziła. Kiedy przyszli na rabunek, za wskazówką znajomych we wsi ludzi, którzy musieli bogatych wskazywać, przeszukano wszystko i nic nie znaleziono.

A potém po Szwedach i Rakoczym chodzili w te strony „konfederáki" (konfederaty). Jeździli oni na koniach, na głowach mieli wysokie, siwe, rogate czapki a przez plecy przewieszone mieli

---

(1) Ma to być ten sam dzwonek, który dzisiaj przy kościele parafialnym w Brzezinach w dzwonicy obok innych zawieszony, na nabożeństwo różańcowe parafian w niedzielę przed sumą zwołuje.

strzelby. Jeździli, zabierali, co gdzie napadli, ale im zwykle ze dworów dostarczano wszystkiego.

Raz pod zimę zjechało się ich wielu na Pogwizdowie pod lasem, i tam na „zárębnéj górze“ pościnawszy jodły ogrodzili się niemi; pozabierali z chałup żłoby, koryta i inne sprzęty i tak całą zimę obozowali, a ze dworów dowozili im wszystkiego.

Innym razem przybyło kilku do Pawła Święcha leśnego mieszkającego pod lasem na Berdechowie. Zabrali oni wiele pieniędzy z Wielopola (pobliskiego miasteczka) a osobliwie od bogatego mieszczanina Durka. Przyjechawszy w nocy do wspomnianego Pawła Święcha, chcieli się pieniędzmi podzielić. Było tego złota z półtora korca. Nie miał czém Święch zaświecić ale w końcu zapalił szczépkami na nalepie a konfederaci mierzyli pieniądze czepkami i dzielili się. Co spadło albo się na bok odtoczyło, tego nie podnosili, ale to nazajutrz dzieci pozbierały i było tego dosyć.

Kiedyindziéj zażądali od tego samego Święcha siana. Ponieważ nie miał, nie mógł im dać, ale wskazał takiego wieśniaka, który miał poddostatkiem, a był nim Walek Gąsiór. Posłano do niego chłopaka, aby siana przyniósł. Kiedy siano wiązano w stodole w powróz, zjawił się nagle jeden żołnierz. Poznał, że to siano pewno dla konfederatów; wyznanie przelęknionego chłopaka potwierdziło jego domysł. Zabrał chłopca z sianem do lasu, gdzie się wiele wojska znajdowało, a potém kazał mu przewodniczyć prosto na dom ojca. Dziewczyna czatująca na dworze widziała, jak ktoś czarny chłopaka do lasu prowadził; powiedziała o tém konfederatom a ci ponabijawszy strzelby, oczekiwali napadu. Gdy wojsko nadeszło, po kilku strzałach poddali się i w niewolą zabrani zostali.

Był wtedy dziedzicem górnéj części Brzezin Stępkowski, pan bogaty, ożeniony ze Strzegocką wdową. Ten przywołał do siebie leśnego Święcha i zarzucił mu, że on konfederatów sprzedał. Leśny usprawiedliwił się, opowiedziawszy zdarzenie całe. Wtedy p. Stępkowski rzekł do niego: „Pierwszą winę ci daruję, ale jeżeli się to powtórzy, to nie będziesz więcéj po ziemi chodzić.“

Kiedy się raz z wojskiem starli, zmusili wszystko do ucieczki; jednego chwyciwszy porąbali „na kapustę“ i pochowali nad szkarpą „w paprociu“ (1).

„Na skarbisówkach“ przy kamieńskim lesie (2) przyzostał raz jakiś starszy i rozłożywszy na ziemi derkę z konia „przesuszał“ pie-

(1) Nazwa jaru na Berdechowie.

(2) Należącym do Kamienicy górnéj.

niądze. Krzysztof Żurowski (1) kopiąc nieopodal stamtąd kopaline, zobaczył to, podszedł krzakami z tyłu i uderzywszy go motyką w głowę, na miejscu trupem położył. Na tym samym miejscu go pogrzebał a pieniądze i konia zabrał, i stąd-to aż do ostatnich czasów Żurowscy mieli się dobrze a w sporze nieraz im wytykano, że się na Rosyanach wzbogacili.

Chcieli konfederaci zabrać kosztowności kościelne i żądali od księdza, aby im je wydał. Ksiądz co miał swojego, dał, ale wreszcie bojąc się ich grabieży, słysząc o nadejściu, schronił się w zarośla tarniny „na Sekułówce“ (2). Ale kiedy przejeżdżali mimo konfederaci, piesek pokojowy księdza zaszczekał i kryjówkę zdradził. Zabrano księdza, ale im nic nie wydał, bo nic nie było.

Tak to konfederacya miała trwać przez lat siedem. A potém, ponieważ tu wszystko było zniszczone, zbierali się ludzie tłumnie i chodzili „czerniawą“ przez drugie lat siedem, zabiérając co gdzie napotkali. Panowie widząc, że biéda, podpisali się królowi węgierskiemu (?) Józefowi II, że go będą słuchać i potém się nieco uspokoiło.

Kiedy potem była francuska wojna, to i z Brzezin brano wielu do wojska a między innymi niejakiego Longosza i Szydłę. Nie wszyscy byli na wojnie; wielu siedziało tylko po „transportauzach“ (Transportshaus) i prochu nawet nie wąchali. Z tych co powrócili w r. 1813 opowiadał jeden, że był w Italii, że trzy konie pod nim ubito, obcasy u butów mu ustrzelono a on wrócił zdrów i cały.

Podczas powstania za Wisłą miał folwark p. Strzegockiego (Brzeziny górne) niejaki p. Tabaczyński w dzierżawie. Z trzech synów jeden był księdzem, drugi wysokim urzędnikiem a trzeci siedział w domu i mówiono, że nic z niego nie będzie. Kiedy usłyszał o powstaniu, nazmawiał chłopów i kiedy w niedzielę „ojcowie“ (rodzice) pojechali do kościoła, on mając klucz dorobiony otworzył do kufra, nabrał pieniędzy tyle, że potém musiał na to miejsce całą sztukę płótna podłożyć, aby bardzo znać nie było i na dwoje sani pojechał pod Sandomierz. Pojechał z nim Fela Raś (3) i ten opowiadał, że się tam ćwiczyli „egzecyrowali“ długo, zanim się przeprawili na drugą stronę. Tam były wiekie dymy, huki i strzelania. Kiedy się zbliżano do bitwy, Tabaczyński to bladł, to czerwieniał. Byli coś we trzech bitwach; potém ich rozbito, generała Krukowieckiego wzięto w niewolę a oberznąwszy mu skórę na

(1) Jeden z protoplastów do dziś dnia żyjącéj i rozgałęzionéj rodziny.

(2) Nazwa pola.

(3) Feliks Raś jeden z wieśniaków tutejszych.

czaszce do okoła i obróciwszy włosami na wewnątrz w téj czapce naturalnéj, obwożono go długo. Rozbitki tułali się długo, nie mając co jeść, aż wreszcie prawie nago dostali się na tę stronę.

Pierwotnym panem Brzezin miał być jakiś magnat, do którego skarbu i Brzeziny należały. Jednemu z wiernych dworzan lub sług swoich oddał on Brzeziny i pierwszy dwór stał na miejscu gdzie i dziś Nr. 1 się znajduje — dwór Brzezin Zasadnich (Baj). Ponieważ ten Pan (miał się nazywać Rogus) miał cztery córki, podzielił Brzeziny na cztery folwarki, z których drugi „górnymi" trzeci „średnimi" czwarty „dolnymi" Brzezinami do dziś dnia nazywają.

W Brzezinach górnych a przedewszystkiem na Berdechowie były grunta małe, prawie same zagrody; to też z nich odrabiano pańszczyzny tylko po 15 dni „pobábnych" (1). Ale potém panowie coraz więcéj wymagali tak, że w końcu z zagrody i 300 dni odrabiać trzeba było na pańskiém, a swoje leżało odłogiem, bo rąk brakło do uprawy. Nie dozwolono próżnować ani nawet we święta. Jeżeli wypadło np. Boże Narodzenie w piątek, to aby chłop nie próżnował, wysyłano go w Wigilią wieczór ze zbożem lub innymi artykułami do Tarnowa.

Z Brzezin dolnych do lasu jest dobra mila. Aby tam zajechać, nałożyć drzewa i wrócić, potrzeba było dnia całego; a tymczasem panowie kazali się dwa razy wrócić. Wyjeżdżano więc zaraz po północy do lasu a wracano późno; drogi były złe, często koło północy słychać było nawoływanie wracającego z lasu, którego konie uwiązgły w błocie.

Nie wolno było wydalić się ze wsi bez pozwolenia pana, a tym bardziéj w innéj wsi się ożenić. Niejaki Stoncel nie mógł wytrzymać, poszedł do Głobikówki i tam się ożenił. Kiedy się pan o tym dowiedział, kazał go sprowadzić i wtedy bito go tak, że aż krew strumieniami płynęła. Potém włożono go w świńskie koryto i odwieziono do Głobikówki.

Była biéda wielka; żaden chłop nawet bogatszy nie miał nawet kożucha na zimę.

Kiedy nadszedł rok 1846 Brzeziny zostające za pośrednictwem Grudny górnéj w sąsiedztwie ogniska całego ruchu—Smarzowy, stały się również widownią krwawych wypadków.

Oto co mi opowiedział Jan Święch, jeden z najstarszych i najpoważniejszych kmieci brzezińskich:

---

(1) Szły kobiéty do okopywania, grabienia slana i t. p.

„W piątek przed niedzielą zapustną wieczór (d. 20 lutego) stał się rozruch we wsi, że w Siedliskach (Bogusz) panów pozabijali. Ludzie chodzili od chałupy do chałupy, radzili coś, pobrali kostury w rękę i tak czatowali noc całą. Posłaliśmy do browaru dowiedziéć się, co się dzieje; odpowiedziano nam, że w Grudny rabują, panów pozabijali; więceśmy z bojaźni całą prawie noc nie spali. Nazajutrz (d. 21 lutego) młócono u mnie owies. Ja poszedłem do kościoła na mszą świętą. Przy kościele mówi mi dziad, co się to po tamtych wsiach podziało. A ks. Kanonik (ś. p. X. Wojciech Zagórowski) był wówczas na wikarówce i wyprawiał gróbarza do Siedlisk. Skoro mię zobaczył zapytał:

— A co wy tam radzicie?

— Ej, nie dobrze słychać, proszę ks. Kanonika — odpowiedziałem.

— A cóż takiego?

— Ha, powiadają, że Siedliską parafią zrabowali, panów pozabijali...

— Nie pletlibyście bajek, Janie.

— Lepiéj-by było, żeby to były bajki.

Poszliśmy do kościoła, ja służyłem do mszy św. Potem ks. kanonik poszedł na plebanią a ja się jeszcze modliłem w kościele, kiedy w tem wpada jakaś baba i krzyczy: „Janie, we wsi jakiesi zabijatyki!“ Wychodzę przed kościół a tu wszystko z Dołu ciągnie na Górę. W domu nie zastałem nikogo oprócz jednéj dziéwki. Pytam gdzie poszli?—odpowiada—że w pole patrzeć co się we dworze dzieje. Biegnę i ja a oni tam stoją. Koło dworu górnego była ogromna czérniawa, co przyszła z Siedlisk i Smarzowy od Szeli. Po drodze wołali: Wychodź, wychodź! bo będziesz brał buki!—otóż ludzie się bali i szli razem. Gróbarza, który był już pode dworem, nie puścili daléj. Wrócił się więc i opowiadał, że zabili p. Ruckiego (Brzez. zasadnie) i p. Stronczaka (Brzez. górne). Po wsi rozlegały się głosy: „Rzną! rzną!“ Uciekliśmy do domu; ogień rozniecony na śniadanie zalałem wodą, wziąłem dziecko w pierzynę i uciekliśmy do Dębiny (1), gdzieśmy aż do południa pozostali.“

„Tymczasem kiedy zrabowano oba górne dwory, puszczono się „na średniznę“ (dwór Brz. średnich). Na koniach i pieszo pędziło wszystko jak szalone z wrzaskiem i hukaniem, a przeważnie nie nasi. Kiedy wpadli do dworu, słychać było trzask okropny, bo wszystko rąbali lub rabowali. Wreszcie ucichło, kiedy wszystko przewa-

---

(1) Mały lasek należący do gruntów plebańskich.

liło na dół. Idę ku kościołowi a tu biegnie kucharz ze średnizny i krzyczy; „Nideckiego zabili!“ Opowiedział mi potém, jak ten pan co miał ów folwark w dzierżawie, nie wiedząc, gdzieby się skryć, kazał się w stodole zawiązać we wiązkę słomy. Lokaj go zdradził; wyrzucono wszystką słomę na bojisko i młócono tak długo, aż go zamłócono.“

„Przychodzę do domu a tam koń stoi ogromny. Skąd ten koń?—pytam. A to Józek przyprowadził go ze dworu - mówią mi. Więc następnego dnia służył on do patroli a potém się go oddało.“

„Kiedy ciągnęli na średniznę, ksiądz Kanonik wziął komżą i stułę i stał przy drabinie przed wikarówką. Między przechodzącym tłumem był niejaki Januszek szewc z Wielopola, który tu na wsi miał budę, a którego parę dni przedtém ksiądz wspomógł i pieniędzmi i zbożem. Ten przechodząc zawołał: „A co to? księdzu darujecie?!“ Mimo to nic księdzu nie rzekli a on przelękniony uciekł najpierw w krzaki pod parkanem ogrodowym a potém był aż „w dołach“ (1). Stamtąd uciekł „na Podkościelniáki“ do Pacochy Jędrzeja gdzie aż do rana dnia następnego pozostał. Dowiedziawszy się, że Warchoły (kilku wieśniaków z Pogwizdowa) na księdza się zbierają, o zachodzie słońca udałem się do niego. Dnia tego nie było nabożeństwa; ks. Węglarz wikaryusz uciekł do Wielopola a organista Lechowski przebrany razem z innymi rabował. O tém wszystkiem opowiedziałem ks. Kanonikowi „na łyséj górze“ (2); nadto, że mu zabrali konie i że na niego samego czynią teraz zasadzki.

— Cóż ja teraz pocznę?—zapytał mię z niepokojem.

— Trzeba się skryć gdzieindziej—nic innego nie wypada zrobić. Skoro mrok zapadł, kazałem najpierw samemu księdzu przekraść się do Sekuły pod lasem, komornika na moim gruncie, a potem sam się tam udałem. Przenocowaliśmy tam spokojnie. Nazajutrz (poniedziałek 23 lutego) dowiedział się Wilk (wieśniak z Zagród), że ksiądz w jakiejś nieporządnéj chałupie nocował; mówił więc, że gdyby wiedział gdzie jest, toby go u siebie ukrył. O zmroku przeto przyodziany w chłopski kożuch i magierkę białą, przeszedł na wskazane miejsce; w czarnym bowiem ubraniu aniby się był mógł pokazywać. Do środy przeto przebył u Wilka—poczem skoro się uspokoiło, powrócił na plebanią.“

„O innych panach Brzezińskich dowiedziałem się późniéj. P. Stanisław Morski z Dołu przebrał się w łachmany i uciekał granica-

(1) Zarośla i łąki noszące tę nazwę, należą do gruntów plebańskich.

(2) Tak się nazywa miejsce, gdzie stoi chałupa wspomnianego Jędrzeja Pacochy

mi od Mały (1) z jakimś p. Wiśniewskim ekonomem z Wielopola. Przy karczmie za lasem poznano ich, sprowadzono przed dwór zasadnich Brzezin i tam ich zabito. Kiedyśmy w niedzielę poszli do dworu p. Stronczaka, wszystko było zrujnowane i potłuczone, zrabowane a zabity leżał w pokoju.

P. Stojewska z Brzezin zasadnich uciekła do Mateusza Pełki i tam przebrana kądziel przędła. Jéj synowie i niejaki p. Żachorski i Skólski jechali do Dębicy; w drodze w wąwozach Gawrzyłowskich napadnięci, zamordowani zostali. Wspomniany już wyżéj p. Rucki był bratem rodzonym p. Stojowskiéj i był ciemnym. Rozpłatano mu głowę sągowym drzewem. Żona p. Morskiego uciekła do Bujaka a potem do Wielopola."

„Na Jaszczurowy był p. Tabaczyński. Nie chciał wierzyć pogłoskom nawet wtedy, gdy cała czereda stanęła na dziedzińcu. Młócono go cepami tak długo, aż skonał. Jęki jego i prośby były przez góry słychać do Brzezin."

Zamordowanych późniéj pościągano ku kościołowi i pochowano we wspólnym dole, wykopanym w rowie cmentarnym. Bez trumien rzucano ciała jedno na drugie przesypując wapnem.

Przyszedł potem rok 1848, w którym śmierć głodowa zdziesiątkowała ludność Brzezin. „Kapali jak muchy" — wyraził się wieśniak opowiadający mi o tamtych czasach.

W r. 1850 grad i ulewa poniszczyła znowu plony, klęski za klęskami karały morderców, z których prawie wszyscy (a właściwych Brzeziniaków było tylko kilku) marnie poginęli a ich majątki po największéj części w ręce żydowskie przeszły.

Pokolenie nowe innymi napojone zasadami i nie obce dla oświaty, chwalebną kroczy drogą. Od lat blisko trzydziestu, szkoła zbudowana prosperuje; w r. 1873 założono przy niéj czytelnię za staraniem energicznego wójta Jana Chmury. Kilka egzemplarzy pisemek ludowych wydawanych we Lwowie jak „Chata" i „Wieniec" rozchodzi się zawsze po wsi; nie rzadko zgromadzają się téż w niedzielę po obiedzie w szkole i czytają wspólnie.

Gdyby nie nędza materyalna, i oświata postępowała-by raźniéj; przez podział atoli gruntów na kawałki małe, prawie na zagony, ludność popada coraz więcéj w ręce żydów lichwiarzy.

---

(1) Wieś sąsiednia na północ od Brzezin.

II.

Chaty *(chawpa)* (1) są zwykle zbudowane u stóp góry, skąd dłuższym lub krótszym pasem ciągnie się grunt właściciela zagrody aż do wierzchołka lub jeszcze po za takowy; gdzie spadzistość góry za przykra, budują chaty prawie na jéj grzbiecie ale bardzo rzadko na samym szczycie.

Chaty są zbudowane z drzewa okrągłego (*ᵘobláḱ*) jodłowego, z kory odartego, które składają w węgły; szpary między nim powstałe utykają mchem i zalepiają gliną. Dach pokrywają słomą, robiąc z niéj małe wiązanki (*kicki*), szczyt zwany *kalenicą* układają z osobno w tym celu ukręconych wałków ze słomy i gliny (*vále*) przymocowanych *vwókami* t. j. drążkami spojonemi na jednym końcu w kształcie krzyża, lub tylko drążkami poziomemi spojonemi powrósłami i niejako przez kalenicę przewieszonemi. Cała chata spoczywa na dosyć głęboko w ziemię zakopanych grubych zwykle dębowych pniakach (*peck'i*) lub kamieniach; na nich opierają się bezpośrednio *przycieśi* a cały skład ścian u góry kończy się zrębem (*zrąb*). Na zrębie osadzają się krokwie a na krokwiach łaty poziomo przymocowane. Do nich to przywiązują się kicki począwszy od dołu aż do kalenicy. Pierwszy szereg od dołu zwą *ᵘokapem*, który u zamożniejszych bywa niekiedy z gontów. Szczyty bundynku są zwykle więcéj spadziste.

Bez względu na drogę lub miejscowość, domy są zwrócone frontem na południe, tak, że to nieraz dziwacznie wygląda, gdy się spotyka po jednéj stronie drogi kilka chat a w żadnéj okna, chyba tylko drzwi zaryglowane, zresztą położenie chaty stosuje się niejednokrotnie do kierunku doliny.

Systemu w układzie budynków gospodarskich nie podobna tu szukać. Zamożni kmiecie posiadający od 50 do 80 a nawet 100 morgów gruntu i zagrodnicy (mniéj posiadający niż 50 morgów) mają zwykle powyżéj chaty równolegle lub prostopadle do niéj stodołę, składającą się z dwu sąsieków (*sąśek*) a w środku nich z gładko z ziemi ubitego i wylepionego bojiska (*bojsko*), na którym młócą zboże. Ubożsi przedłużają zwykle z tyłu lub z boku chaty strzechę i pod nią w przestrzeń ograniczoną ścianami z drzewa, podobnie jak chata, lub tylko czterema słupami, gromadzą nie wielkie swoje plony. Stajnia jest tu zwykle rzadkim zjawiskiem; bydło bowiem znajduje się w izbie mieszkalnéj.

---

(1) Przez *w* oznaczam ogólnie polskie *ł*, które Brzeziniacy wymawiają wargowo. Og. pol. *w* oddaję przez *v*.

Chata mająca kształt prostokąta, składa się z sieni, mniéj lub więcéj obszernéj izby i kómory. Oto obraz wnętrza najpospolitszéj chaty:

Wszedłszy do sieni przez wysoki próg, znajdujemy po lewéj ręce drzwi do kómory, w któréj oprócz składu *„chust kościelnych“* (suknie używane tylko do kościoła) i odzieży zimowéj, znajdują się zapasy słoniny (*ᵘomasta*) sadła, masła i t. p. Spotkać tu można i płótna na półkach lub len jeszcze nie zużyty, konopie, powrozy, uprząż na konie i inne gospodarskie cenniejsze narzędzia. Jeżeli gospodarz posiada konie, to zwykle drugie drzwi po téj saméj stronie wiodą do stajni; w przeciwnym razie znajduje się tam albo przez całą szerokość domu komora, lub miejsce to zajmuje chléwek. W razie, gdyby ten kąt był próżny, stawiają tam żarna do mielenia lub *stęᵐpę* do wyrabiania grubéj kaszy (pęⁿcák), która zresztą stoi albo zewnątrz domu pod ścianą albo pod stodołą. Sień nie ma powały a podłogę stanowi ziemia ubita, nie zawsze równa, chyba, że jéj wieśniak ubogi za bojsko używać musi.

Drzwi na prawo czarne okopcone wiodą do izby, zwykle kształt kwadratu mającéj. Tuż przy drzwiach przy ścianie podłużnéj na lewo a często i na prawo znajdują się żłoby i drabiny; tu bowiem chudoba wieśniaka mieszka z nim razem: po lewéj krowy, po prawéj cielęta. Na prawo w środku ściany dwa małe tuż obok siebie znajdują się okienka, których szyby drobne, zakopcone i zanieczyszczone przez muchy a stąd matowe, skąpo przepuszczają światło. Okna te pojedyńcze, są przymocowane z zewnątrz za pomocą gwoździ i oblepione gliną; nie otwierają się prawie nigdy. Pod oknami ława prosta drewniana nie zawsze zgrabna a nawet umyta, a przed nią stół na czterech bądź prostych bądź krzyżowych nogach; obok niego stoi niekiedy jeszcze mniejsza ławka, którą stosownie do potrzeby przenosić można. Za temi sprzętami znajduje się w kącie duże, prawie kwadratowe niezgrabne łoże (vyrko), którego pościelą bywa stara płachta i kaftan (płóciennica); poduszkę (*zágwóvek*) i pierzynę spotyka się rzadko. Nad łóżkiem na ścianie znajdujemy obraz jakiego świętego w ramach, najczęściéj czerwono malowanych; niekiedy atoli znajdują się obrazy nad oknami wewnątrz i zewnątrz chaty. Między łóżkiem a piecem a bliżéj pierwszego stoi na ławce, lub wisi na hakach mała prostokątna szafa, bez tylnéj ściany i zamknięcia, którą raczéj półką zwaćby należało. Na jéj „przegrodach“ mieszczą się miski, rynki, garnki. Obok niéj mała, zaopatrzona dziurami deszczułka, służy do wkładania łyżek i mątewek, zwana *wyźńíkiem*. Na przeciwko drzwi, w ścianie szczytowéj znajduje się również

okienko, dochodzące nieraz rozmiarami tylko średniéj wielkości szyby a zalepione tak, że się nigdy nie otwiera, dla tego równie jak okna większe zanieczyszczone.

Na lewo od okienka w kącie przeciwległym od łóżka stoi piec, kształtem podobny do sześcianu. Przednią część jego stanowi „nálepa“ także „przypieckiem“ zwana. Nie szersza jak na 1½ stopy i podobnie jak piec cały oblepiona białą gliną, służy we dnie jako ognisko do gotowania, w nocy zaś jest miejscem spoczynku dla jednego z członków rodziny. W środku jéj w ścianie przedniéj pieca jest otwór do wsadzania chléba; w nim to po największéj części pali się ogień—po zań zmiatają w piec ogień aby trwał dłużéj i potrawy przystawione ogrzewał. Jest on zwykle kształtu pół koła lub łuku gotyckiego. Pod nalepą znajduje się otwór większy i ten prowadzi do obszernéj dosyć jamy, gdzie zwykle drób w nocy przesiaduje i kury jaja niosą.

Piec sam nie przytyka do ściany tylnéj, ale jest od niéj górną swą częścią oddalony prawie na szerokość nalepy. Miejsce to zowią zapieckiem (zápiecek); służy ono równie jak nalepa w nocy za miejsce spoczynku. U powały a raczéj tragarzów ponad nalepą i piecem wisi „páleń“ i sięga aż do drzwi. „Páleń“ stanowią dwa drążki dosyć znacznéj grubości na końcach do tragarzów za pomocą wici przymocowane lub wpuszczone w przeciwległe ściany. Oddalenie ich od siebie nie wynosi więcéj jak łokiéć, tak, że na nich wygodnie urąbane drzewo, len w snopkach (klubiki) lub konopie leżéć i suszyć się mogą. W braku szafy na suknie służy páleń również za wieszadło dla codziennych okryć i przyodziewy.

Przestrzeń między piecem a drzwiami zapełnia drabina i żłób; tu bowiem „chudoba“ wieśniaka mieszka z nim razem: po lewéj od wchodu zwykle krowy po prawéj cielęta. Ziemia w tym miejscu wyłożona dylami; mały rowek ograniczony nie raz dylem dłuższym służy za rynsztok, którym popod przyciesi wypływa gnojówka „na dwór.“

Rozniecony na nálepie ogień ogrzéwa w części jak to już wspomnieliśmy i piec piekarski; dym powstały rozpościera się po izbie otacza páleń i otworem umieszczonym w powale niedaleko od drzwi (dymnik) wydobywa się na strych, przeciska się następnie przez słomę dachu i wychodzi na zewnątrz. Jeżeli go jest za wiele w izbie otwiérają drzwi do sieni.

Od lat niewielu wprowadzili zamożniejsi kominy i „izdebki“ tj. drugie izby. W domu zatém gdzie się izdebka znajduje, są drzwi do niéj w miejscu okienka między piecem a półką na sprzęty kuchenne. Izdebka bywa zwykle uboższą jeszcze w sprzęty; oprócz łóżka

stołu i ławki rzadko napotkać można szafę lub skrzynkę. Z izby wypuszczony piec ogrzewa izdebkę; oświeca ją zaś okno podobne do okien izby w téj saméj co tamte umieszczone stronie, wskutek czego w przeciwległéj od niego części izdebki, mającéj kształt długiego a wązkiego prostokąta chyba tylko w południe jest cokolwiek jasno. W izdebce można napotkać podłogę ale dosyć niezgrabnie ułożoną. Jest ona mieszkaniem „samych gospodarztwa“ (1) i służy do przyjęcia w gościnę osób szanowanych bądź to podczas wesela, bądź przy innéj jakiéj sposobności.

Wprowadzenie kominów okazało się dla włościan niepraktycznéin; mówią, że potrzeba przez to na zimę więcéj drzewa, że w zimie zimno w chałupie z kominem, że nie ma gdzie drzewa ususzyć itp. To téż wielu po kilku latach pozrzucało kominy. Podobnemi prawie powodami bronią się przeciw budowaniu osobnych dla bydła stajen; oszczędność i „ciepło w zimie“ zawsze są na ich ustach dla odparcia zarzutów, w rzeczy zaś saméj jestto siła przywyknienia. Jeżeli stajnia dla koni zajmuje część domu po lewej stronie sieni od wchodu, wtedy tuż przy wyjściu ze sieni w stronę północną znajduje się chlewek dla trzody a po drugiéj stronie zbiór nawozu. Mostek mniejszy lub większy ułatwia zwykle przystęp trzodzie do chlewa a bydłu do progu chałupy.

W téj stronie chaty równolegle do niéj w pewném oddaleniu stoi stodoła postawiona najczęściéj w ten sposób, że węgieł chaty lewy leży w jednéj linii z węgłem prawym stodoły lub odwrotnie. Stodoła bywa tego samego kształtu co chata i téj saméj prawie wielkości; dzieli się téż równie na trzy części, z których środkową zaopatrzoną szerokiemi podwojami z frontu i tyłu stanowi „bojisko“ gdzieindziéj „klepiskiem“ zwane, części zaś skrajne—zowią „sąsiekami.“ Wszystkie te części nie mają powały; w ścianach oddzielających bojisko od sąsieków znajdują się okienka kwadratowe blisko na 2 łokcie wysokie i szerokie, przez które podaje się snopki. Ziemia w sąsiekach pozostaje w tym stanie jak była przed budową budynku, dosyć znaczne odstępy między ziemią a przyciesią mają służyć do lepszego przewiewu powietrza, gdyby przypadkiem mokre snopki złożyć trzeba było. Przed złożeniem atoli zboża do stodoły pokrywają ziemię gałęziami grabiny, olszyny, aby snopki nie leżały na gołéj ziemi, poczém położywszy przy ścianie przeciwległéj od okienka rząd snopków, kładą następny i dalsze rzędy w ten sposób,

---

(1) Z suff-ьstwo przez złączenie się z poprzedz. *r* znikło *s*; w języku og. pol. ř dyssymilowało się na *r*.—Por. „Gwara Brzezińska“ str. 27.

iż części odcięte sierpem-zwane w snopku „kneble“—spoczywają na gałęziach, kłosy zaś (kwósia) opiérają się o poprzedni rząd pierwszy. W ten sposób układają snopek przy snopku, warstwę przy warstwie aż do „zrębu.“ Kiedy już warstwa najwyższa ma „zrąb“ przewyższać, kładą rząd snopków na zrębie tak, że kneble na nim spoczywają ale nie wystają na zewnątrz. Następne warstwy idą w ten sam sposób do góry aż do „bontu“ tj. poprzecznego drążka wiążącego krokiew u góry.

„Bojisko“ ma ziemię ubitą pałką i starannie wylepioną gliną tak, aby żadnych rysów, dołków i szpar nie było. Na nim młócą zboże w jesieni; przez wiosnę i część lata służy za wozownią.

Pod strzechą stodoły znajdujemy zwykle oparte o ścianę różne narzędzia gospodarskie lub części wozu; obok stodoły zaś stoi często „bróg“ (dach kwadratowy oparty na czterech wysokich słupach w ten sposób, że go zniżać lub podwyższać można), miejsce do schowania siana lub w roku urodzajnym owsa.

Na przestrzeni między chałupą a stodołą znajduje się „nátoń“—miejsce do rąbania drzewa. Obok chałupy, stodoły lub za nią, stosownie do położenia, a czasem nawet opodal od zabudowań oddalona znajduje się „gruba“ do chowania ziemniaków przez zimę. Jestto dół w ziemi wykopany, którego ściany tworzą kształt sześcianu. Głębokość jego dochodzi do 6 stóp. Belki położone poprzecznie i nakryte gałęziami a potém ziemią wykopaną tworzą powałę—na krycie „gruby.“

Wyżłobienie w jednym boku, i rodzaj odrzwi w miniaturze podtrzymujący nasyp, tworzą otwór nie większy, jak aby człowiek mógł się do wnętrza dostać. Jeżeli gospodarz nie ma suchéj gruby, przechowuje ziemniaki przez zimę w „kopcu.“ Na pierwszym lepszym kawałku roli robi koło, i wbija w jego środek kołek do 6 stóp wysoki—obwód zaś jego otacza rowem płytkim. Na płaszczyznę tego koła sypie ziemniaki do wysokości możliwéj poczém boki pokrywa grubą warstwą równéj słomy, źdźbłem do ziemi, i obrzuca to wszystko dosyć grubą warstwą ziemi, związawszy przedtem dobrze powrósłem kłosy słomy schodzące się u góry u kołka. Kopiec taki ma kształt stożka.

Koło zabudowań gospodarskich a przedewszystkiem przed chałupą ciągnie się sad drzew owocowych. Znajdujemy tu grusze, śliwinę, (białą i „węgierki“) „lubáski“ i damaski.“ Przed oknami chaty w miejscu, gdzie sad rzadszy lub go nie ma zupełnie, można często spotkać mały ogródek, zasiany kwiatami i ziołami. Króluje tu słonecznik wśród równie żółtych i jemu w miniaturze podobnych „ná-

giętków"—daléj rośnie „róża ślázová", georginie, astry—„boże drzevko" „cyprysek," „józefek", „piowenek" „barvinek," mięta, i parę łodyg bylicy. Róży pospolitéj i innych kwiatów nie hodują, ale zioła na ostatku wymienione gospodyni mieć musi. Ogródek ten ogrodzony płotem do koła; aby się doń dostać trzeba przez płot przeleźć, do czego służy mała, do 3 stóp długa, przez płot przeprowadzona deska na końcach dwoma prostopadle w ziemię wbitymi kołkami podparta—zwana „przewazem." Na częściach sterczących z jednéj i z drugiéj strony płotu można wygodnie postawić nogę i oparłszy się rękoma o wystające kołki przejść na drugą stronę.

Przy kilku chatach we wsi można napotkać jeszcze inny ogródek, w którym stoi kilka pni pszczelnych w najpierwotniejszym stanie. Mimo to, że organista posiada liczną, bo do 80 pni dochodzącą pasiekę i prowadzi ją wzorowo w ulach Dzierżona, nie wielu Brzeziniaków da się do pszczelnictwa zachęcić, bo widzą, że to wymaga kosztów i pracy i stałego a widocznego nie przynosi w tych stronach zysku. Jak Pan Bóg da—to chętnie każe się pszczołom dzielić z owocem ich pracy, jeżeli braknie, nie skory do niesienia im pomocy; zostawia je losowi. W ten sposób nic dziwnego, że przed laty kilkunastu miał pni parę, a teraz ma równie tyle jeżeli nie mniéj—a i to cudem tylko prawie utrzymane.

III.

Przypatrzmy się teraz ubiorowi Brzeziniáka.

Z płótna domowego wyrobu lub drelichu zrobione spodnie pokrywają nogi aż po niżéj kolan, gdzie części ich dolne (nogavice) chowają się za cholewy butów. Koszula również z domowego płótna, spuszczona na spodnie sięga blisko do kolan; przepasują ją pasem wązkim skórzanym, u którego wisi zwykle a szczególniéj u młodszych kozik (cyganek). Koszula spięta jest pod szyją spinką prostą mosiężną ze szklannėm oczkiem lub téż ściągnięta „skrávkiem" tj. kawałkiem jakiego czerwonego lub niebieskiego perkalu, który również i wązkie mankiety (oszévki) wiąże. Na koszulę wdziéwają kamizelkę z czarnego lub niebieskiego sukna zapinaną aż pod szyję, a na to „kaftán" codzienny z grubszego („zgrzebnego lub paceśnego") „kościelny" zaś z lnianego płótna. „Kaftán ten (gdzieindziéj płóciennicą zwany) przeszywany (stembnowany) dosyć gęsto, żadnych zresztą nie posiada ozdób, tylko mankiety (wapki) wykładane są suknem niebieskiem i również w deseń stembnowane; leżą one tak na rękawie jak kołnierz wykładany. „Kaftán" fałdzisty, szeroki u dołu

i do kolan sięgający ma kształt czamary, osobliwie na biodrach, gdzie stembnowanie nad kieszeniami zupełnie podobne do wyszycia taśmowego czamar. „Kaftán“ taki nazywają „kaftán v podkovę“, dla odróżnienia od „kaftána v klamki“ sąsiednich wiosek. Kołnierz stojący nie otacza całéj szyi, lecz jest pod szyją wycięty; kaftán na przodzie zapięty bywa tylko na 3 lub 4 haftki.

Za nakrycie głowy służy w lecie kapelusz słomiany własnego wyrobu z dużem rondem (kaňa); w zimie „magierka“ z białéj wełny tkana mająca czerwone i zielone kółka i desenie; lecz teraz przeważa czarna barania czapka. Do okrycia się w porze zimnéj lub słotnéj mają płaszcz czarny, szeroki „z peleryną“ lub „burdus“ szaraczkowy. Noszą téż dosyć często w porze słotnéj stare płaszcze piechoty austryackiéj, które wdziewają na „kaftány.“ W zimie okrywają się kożuchami baraniemi formy „kaftana“ z wielkim kołnierzem wykładanym, najczęściéj czarnym. Wdziewają nań kaftan jakoby wierzchnie pokrycie.

Chłopcy prawie aż do lat dziesięciu biegają boso bez butów i czapki. Za całe odzienie mają koszulę przepasaną nie w pasie, ale popod ramiona przez piersi „trokiem“ lub „skrávkiem“ od „fartucha“ matki lub zwykłym sznurkiem (povrózkiem). Tak biega koło domu i tak pasie bydło. Jeżeli ojciec lub matka biorą go do kościoła lub np. do dworu albo do proboszcza, ubiérają go w zbytnią ojca odzież; a więc że w lecie ojciec nie wdziewa kamizelki i nie nosi „magierki“ ubierają synala w „kamizolę tatusiową“, która nieraz aż do ziemi sięga malcowi, i wdziewają mu magierkę, pod którą nietylko, że się poci ale prawie nic nie widzi bo głowa jego w niéj tonie bez śladu. Dobrze przynajmniéj, że go w tych uroczystych chwilach zwykle „ojcove“ tj. rodzice prowadzą lub niosą na rękach.

W zimie siedzi „chwopók“ na piecu lub nálepie przeto nie potrzebuje cieplejszéj odzieży.

Wyjątkowo zaopatrują chłopaka w odzież, tj. kaftan, magierkę małą, i buty jeżeli musi uczęszczać do szkoły. Ponieważ to tylko zmusza ich do sprawiania chłopcu osobnego odzienia, przeto narzékają na szkołę, że nietylko wydatków przysparza a w domu nie ma kto paść bydła—ale nadto, mówią, „cego on sie ta v ty skole naucy, chyba beśtefrantóv.“

Ubiór kobiéty składa się naturalnie z więcéj i wielorodnych części. Koszula ma dwie połowy; dolna (nádowek) z pocześnego lub zgrzebnego bywa płótna, górna ze lnianego a gdy to „chusta kościelná“ z „kartonu“ (perkalu) z haftowaną koło szyi kryzą i mankietkami (oszévki) a często i gorsem. Na koszulę wdziéwają „fartuch“ płócienny biały lub „vybijankę“ z kolorowego perkalu, która

czy dla oszczędności czy dla zwyczaju ma na przodzie kawał prostokątny z płótna prostego („przedsobek"); tę część przykrywa „zápaska" nieco krótsza od fartucha, sięgająca powyżéj kostek, szérokością zaś zachodzi po za biodra. Do kościoła wdziewają więcéj spodnic kolorowych lub białych często koło dołu haftowanych. „Zápaski" zdobią również haftem. Kibić obejmuje „gorsét" różnokolorowy, dołem obszywany „tackami," okrągłemi kawałkami sukna w kształcie liści tak, że się przynajmniéj w czwartéj części pokrywają. „Gorsét" ma guziki błyszczące, chociaż one nie służą do zapięcia gdyż go ściągają haftkami lub sznurem. Cały gorset z „ramiąckami" (części w kształcie szelek przechodzące przez ramiona) obszywany bywa „krepinką" do gorsetu dobieraną. Koszulę pod szyją wiąże wstążka czerwona, rzadziéj innego koloru.

Dziewczęta wdziewają na gorset chustki białe, płócienne, lub kolorowe wełniane, stosownie do pory roku grube, a na głowę biorą chusteczki kolorowe z perkalu wiążąc dwa końce pod brodą; często chustką dużą okrywają głowę na chusteczkę małą.

Kobiéty zamężne odziéwają na gorset „rańtuch". Jestto kawał płótna białego, cienkiego, trzy do czterech łokci długi w naturalnéj płótna szerokości; pokrywa on plecy i ręce od ramion po łokcie, przy których sfałdowany spada końcami na dół. Młodsze kobiéty i w ogóle „modnisie", „vygvarnisie", biorą teraz nie rańtuch, ale chustki wełniane kolorowe.

Na głowie wiążą kobiéty chustki, najczęściéj białe, niekiedy na końcach haftem czerwonym zdobne. Złożywszy chustkę „na rogi" kładą ją tak na głowę aby dwa końce nakrywające się spadały na plecy, poczem dwa końce pojedyncze przeprowadzone w odwrotnych kierunkach w tył po pod końce spadające na głowie nad czołem związują w zgrabny węzeł duży. Dziewczęta i kobiéty rozdzielają włosy w poprzek od ucha do ucha na część przednią i tylną. Część przednią dzielą znowu na dwie ku czołu, czeszą je gładko, a związawszy końce w kształcie loków zakładają je za uszy (muszcki). Resztę włosów dziewczęta plotą w jeden warkocz i kończą go kolorową najczęściéj czerwoną wstążką w fontaż związaną. Kobiéty zaczesują część tylnią do góry i tam za pomocą lnianych „splatanek" zastępujących sztuczny warkocz, splatają je w kółko na środku głowy, na którém potém chustka związana lepiéj się trzyma.

Dziéwczęta które straciły panieństwo (závitki) muszą również jak kobiéty zamężne wiązać chustkę na głowie.

Kobiéty starsze zachowały jeszcze dawniéj powszechnie używane okrycie na jesień—„kaftánik" i na zimę—„sukniá." Piérwsze było

zupełnie podobne do czamary kształtem (jupki staropolskie) tylko bez wyszyć taśmą i z małym gorsem zapinanym na haftki; z granatowego było sukna i sięgało długością do kolan; „suknie“ zaś podobne kształtem i materyą do poprzednich, tém się jednak różniły, że były dłuższe i podbite futrem. Dzisiaj oba te rodzaje ciepłych okryć nikną a zastępuje je „katana“ (zwykły kaftanik bez stanu); nabytek nie piękny i nie wiejski cieszy się dziś przecież do tego stopnia powodzeniem, że nawet w lecie zamiast gorsetów bywa używany.

Obuwie kobiét i dziewcząt stanowią buty polskie z cholewami średniéj wielkości.

Jak o chłopaka matka dba nie bardzo i nie czesze go i nie myje chyba tylko w niedzielę, tak znowu o dziewczynę troszczy się od dziecka. Skoro tylko chodzić poczyna ma już spodniczkę, matka splata warkocze i zakłada wnet za nie kwiatki; biorąc ją ze sobą do kościoła przyodziéwa chustką białą lub kolorową jedną ze swoich. Często też osobliwie w lecie można widziéć u dziewcząt wpięte we włosy całe bukiety sztucznych kwiatów, co zresztą tylko przy weselnym obrzędzie znajduje się w użyciu.

IV.

Brzeziniacy bywają zwykle średniego wzrostu, cery białéj. Rysy twarzy piękne a przynajmniéj nie nieprzyjemne; tylko przybysze z innych wsi odróżniają się od nich. Ta okoliczność jak również i ubiór, a osobliwie „kaftán“ chłopa, a „kaftánik“ i „suknia“ kobiéty naprowadzają na domysł, że najstarsze rody Brzezińskie były kiedyś rodami szlachty zagonowéj. Że to nie sama tylko hypoteza świadczy tradycya o rodzinie Łękawskich, którą miał skądś jeden z panów Morskich w dawnych czasach jako opiekun do Brzezin dolnych sprowadzić i na roli osadzić; późniéj musiała pańszczyznę robić zarówno z drugimi, a dziś nie ma i śladu dawnego pochodzenia.

Obok takich nazwisk jak powyżéj wymienione Łękawskich (Wękaski) znajdujemy bardzo wiele innych na ski zakończonych, które w innych stronach Polski są nazwiskami rodzin szlacheckich. Np.

Boboski, Cyrański, Dzikoski, Folvarski, Kviátkoski, Marecki, Miskiro, Rózański, Servański, Sokowoski, Stalecki, Stasioski, Surceń-

ski, Viśnioski, Vodziński, Vojnaroski (rodzina bardzo rozgałęziona) Zuroski (1).

Na—icz (ic): Wukasievic, Majchrovic, Márcinkievic, Vójtovic Voskovic.

Inne nazwiska: Barán, Buják, Gąsiór, Jirzyk, Jaskówka, Kácór, Kania, Karaś, Mrocka, Pająk, Sikora, Vilk, Vróbel,—Kviátek, Śliva, Harmata, Jagiewa, Makuch, Skóra, Sydwo—Biáwek, Biestek, Budzis, Budzik, Chmura, Ciosek, Curelik, Drak, Duda, Dziurdzik (Morawiec z matki) Frodyma, Gábór, Gancárz, Gleń, Godek, Jandrejasik, Jánik, Javorek, Jezior, Kosiba, Koválik, Konsór, Kramárz, Kurzava, Kut, Kutawa, Longos, Luksor, Mądro, uOgrodni, uOlech, uOzga, Pacocha, Panocha, Rakocy, Raś, Regmoa, Sarek, Sekuwa, Stachura, Stanek, Stásik, Stoduś, Sych, Sviech, Szawajka, Tabas, Tęncár, uUrbanek, Várchów, Vietecha, Vodzis, Zbylut, Zygmond.

Zresztą prawie każdy Brzeziniak ma nadto „przezwisko" miejscowe, nadane jemu lub w spadku po ojcach odziedziczone. Są to częścią przymiotniki, częścią rzeczowniki oznaczające symbolicznie przymiot, nazwy od miejsca pochodzenia lub miejsca zamieszkania, nakoniec imiona zdrobniałe. I tak Biestką zwą „Filárem", że tęgi i wysoki, jednego z Chmurów „Przysiężniákiem", że jego ojciec był przysiężnym tj. pomocnikiem wójta za czasów pańszczyzny; innego Chmurę zowią „Bartyzelem", Draka „Birówką" Gąsiora „Bębnárzem" (bednarz) innego zaś „uOlejárzem" innego jeszcze „Kulponem" „Pniákiem." Godek ma przydomek „Papuga", jeden z Jandrejasików „Maláu" że przybył ze sąsiedniéj wsi Mały. Kviátkoskiego zwą „Bernadynem", Sokowoskiego „Kramárzem"; jednę gałąź Vojnaroskich „pazurnikami", że chciwi, inną „Dziadosami." Márcinkievica „Biédą", Jánika „Maruską" uOgrodnika „Korbą." Ze Śviechów zwie się jeden „Vojtasik", inny „Muzyk" inny „Polniák" „Szabelán"; z innych przezwisk notuję: Stary wójt, Viatr, Męnkál, Kucharcyk, Stelmach, Páleński, Bobcyk, Jarzynka, Uwán, Konoparty, Bubur, Janielák, Kovál.

Przezwiska od miejsca: Panocha z zá dvoru, Józek z Rędzin, Kuba z przydolá, Teodór z Tomasikóvki, Longas z nad Sadomy, Kuba z lémiérzysk, Gąsiór s końca (z granicy), Sikora ze rzék, Pacocha z wysy góry, Chmura z nád wavy, Raś ze zágród, Józek z Nákłá.

Zdrobniałe imiona jako przezwiska: Florek, Florcák, Staszcák, Vojtasik, Jędras,—Józin, Grześ, Wukás, Bartek.

---

(1) We wszystkich nazwiskach przed końcówką—ski ginie w gw. brzez. ogólne pol. *w* stąd Zuroski—Żurowski.

W skutek niegospodarności Brzeziniacy są przeciętnie wziąwszy ubodzy. Osobliwie od czasu wolności dzielenia gruntów, kiedy role kilkudziesięcio morgowe rozpadły się na kilka części, podatki coraz większe, a rola nie umié wydać sama bez przemysłu dochodu na opędzenie potrzeb—mimo większéj oświaty biéda większą jest prawie.

Rękodzieł prawie żadnych nie pielęgnują. Najwięcéj jeszcze w części wsi zwanéj Berdechowem zajmowano się tkactwem; prawie w każdéj chałupie zastać można było w zimie tkacza (knáp) za warstatem. Ale ponieważ nowszy przemysł zagraniczny zapełnia wszystkie półki żydów jarmarcznych towarami płóciennymi, które prawie o połowę są tańsze i na oko piękniejsze, przeto i to rzemiosło upadło. Owi ,,Berdeszácy", których dla handlowania płótnem i drelichami, z którymi aż do Korczyny i Gorlic chodzić mieli „Korcycanami i Gorlicanami" zwano, teraz muszą z roli się wyżywić i—zarobku, tj. z zapłaty za robotę w polu.

Zresztą oprócz kilku dosyć zgrabnych bednarzy, cieślów, jednego kołodzieja, który jest w części i tokarzem, jednego krawca—nie ma innych rzemieślników. Szewcy bowiem są osiadłymi mieszczanami z sąsiedniego Wielopola lub Brzostku.

To też nic dziwnego, że Brzeziniak nie zna żadnych wygód. Widzieliśmy to z jego urządzenia domowego, poznamy lepiéj z jego pokarmu.

Pszenicy prawie nigdy nie sieje, chyba kilku najbogatszych gospodarzy, mających odpowiednie grunta. I ci zresztą sieją nie wiele. Z żyta zmielonego w domowych żarnach pieką co tydzień w piątek lub sobotę tyle chleba, aby na tydzień wystarczyło. Jeżeli się żyto nie urodzi, domieszają do chleba jęczmienia lub owsa.

Te dwa ostatnie gatunki zboża najgłówniejszą odgrywają rolę. Z jęczmienia robią w stępie „pęcák"—rodzaj grubéj perłowéj kaszy w żarnach kaszę („krupy") z jęczmiennéj mąki robią kluski, „paciarę" i „papciák." Paciara-to najprostsza potrawa. Na wrzącą wodę sypią mąkę i mątewką rozbijają tak, aby się gruzełki nie porobiły. Wysypują potém na miskę i dodawszy słodkiego mléka jedzą. „Papciák" to to samo prawie, tylko że gęstszy i wystudzony jedzą zwykle z kwaśném mlékiem.

Z owsa robią „bászc" gdzieindziéj „żurem" nazywany. Jeżeliby się owies nie udał a żyto było, robią go z żytniéj mąki. Mąkę wsypaną do osobno na to przygotowanego garnka („trzop") zalewają ciepłą wodą, żeby kisła. Gdy przez noc zakiśnie, rano z wierzchu zbiérają otręby, potém rozbiwszy płyn dobrze mątewką na wrzącą zalewają wodę.

Bászc z chlebem lub ziemniakami stanowi przez cały rok śniadanie. Jeżeli jest w kómorze „szpérka“ lub „sadło“, to gospodyni „uskwarzy“ nieco i okrasi („omaści) po wierzchu; jeżeli nie ma to się zjé i bez tego, byle dużo i ciepłego.

Obiad składa się zwykle z ziemniaków i kapusty; czasem zamiast pierwszych pęcák, rzadko kluski. Wszyscy domownicy jedzą z jednéj miski, drewnianymi łyżkami. Zawsze naprzód idzie potrawa gęsta; z tych zaś pierwsze miejsce zajmuje kapusta, potém ziemniaki. Jedzą powoli; nabrawszy pełno na łyżkę, o krawędź miski ocierają, poczem powoli do ust z łyżką podnoszą, a nim po drugą sięgną wspiérają rękę z łyżką na kolanie.

O wieczerzę nie wiele się troszczą. Zostało z rana bászcu a z południa ziemniaków, to zjedzą to na zimno; jeżeli nie, to jedzą paciarę, lub kluski, niekiedy ziemniáki, jeżeli mają czas „uskrobać“.

To pokarm zimowy.

W lecie ponieważ ciężko pracują więcéj i lepiéj jeść potrzebują. Szczególnie do żniwa wymagają dobrego pożywienia. Ponieważ we dworze tylko płacą i każą „być o svojem“ tj. samemu się wiktować, przeto do dwora i do księdza idzie tylko ten, kto musi odrabiać, podczas kiedy kmiecie dający „vicht“ i jeszcze kilkanaście grajcarów mają zwykle dosyć zarobników.

I wtedy „bászc“ zjawia się na śniadanie. Zwykle atoli, aby odmienić wysyłają gospodynie około godziny ósméj rano kluski na mléku i ziemniaki. Po zadzwonieniu na Anioł Pański w południe stawiają obiad w chałupie, zwykle w cieniu gdzieś lub na boisku. Jeżeli daleko od chałupy jest pole, na którém żną, to im znowu wynoszą. Obiad musi mieć dań kilka. A więc idzie kapusta, ziemniaki, kasza lub kluski, wreszcie „papciák“ lub „pęcák.“ Im więcéj dań tym naturalnie lepiéj. Między czwartą a piątą godziną po południu dają „juzynę“—chléb ze sérem i kwaśne mléko; jeżeli zaś nie było na obiad papciáku, to go teraz podają z kwaśném mlékiem. Wieczór po robocie dają na wieczerzę kluski i ziemniaki. Kiedy już są owoce podają osobliwie na śniadanie zamiast bászcu polévkę owocową, zwaną „pamuwą.“

Oto najwspanialsze życia brzeziniaka. Mięsa prawie nigdy nie kupuje—chyba na święta Bożego Narodzenia lub Wielkanoc i to wtedy gdy je żyd ma we wsi. Jeżeli jemu lub sąsiadowi krowa lub inne jakie bydlę zachoruje tak, że je dorznąć muszą, rozkupują także wówczas mięso.

Wieprze biją zwykle na zapusty; mięso i inne rzeczy zjedzą a połcie słoniny i sadło ma wystarczyć na cały rok na omastę, bo

masła nie wiele używają, bo go i nie wiele mają. Jedząc bowiem wszystko tylko z mlékiem nie mają dobréj na masło śmietany a stąd i masła mało. Jeżeli nawet jest, to gospodyni mało pokazuje, boby trzeba do dworu zanieść, lub na plebaniją; lub nakoniec pani organiściny, aby wyjednała u męża kawałek wosku święconego z paschału, bo tém dobrze okadzić krowy. Jeżeli i to nie, to zbiera gospodyni masło dla żyda, aby mieć czém zapłacić za modne chustki, muśliny, korále. Jaja również dostają się żydowi; drób idzie do dworu po największéj części.

Kobiéty więc strojnisie lekkomyślne, a mężczyźni nie wielce gospodarni a niekiedy i pijacy, co jednakże z czasem powoli znika. W ogóle lud dosyć rzetelny i usłużny, czyli jak oni zowią „skwonny“; w stosunku do obcych („czarnych“) atoli nieufny a nawet podejrzliwy. Boi się innowacyj bo poza nimi widzi widmo—większego podatku.

Przywiązania do kraju nie objawiają—brak téż poczucia narodowości. Kilka rodzin opuściło wieś i udało się do Ameryki. Jeden wrócił i wielu jeszcze chętnych od zamiaru odwiódł.

W stosunkach rodzinnych nie bardzo czuli. Dosyć częste zaburzenia w małżeństwie, bitki a nawet procesy w rodzeństwie. Mąż (naturalnie nie bez wyjątków) nie wielce żałuje żony, chyba dla wydatku i kłopotu, któryby mu śmiercią sprawiła, a może i osieroceniem dziatek. Krowy mu więcéj nieraz żal bo nie ma za co kupić innéj. Rodzice żałują dzieci ale dorosłych, które im w pracy dopomagały mniejsze, niemowlęta nie wielki obudzają żal osobliwie w ojcach; da Bóg,—będzie drugie.

W stosunku do sług zachowują się po patryachalnemu; sługa to część rodziny.

Do szkół nie mają ochoty oddawać dzieci, bo im sił do pracy ubywa, a niepewni są pomocy na starość. Mimo to wyrabiają się uzdolnieniem na wcale roztropnych; lubią czytać, osobliwie pokolenie młodsze. Wielu okazuje zdolności muzyczne; grają osobliwie na skrzypcach, pomijając fujarkę. Sprytniejsi robią sobie nawet sami rodzaj skrzypcy które zowią „uochtábką.“ Oprócz tego zdolności do rzeźbiarstwa nie rzadkie; niedawno udał się jeden do szkoły rzeźbiarskiéj do Zakopanego, przedtem już jako młody chłopak zyskawszy sobie sławę na jarmarkach pięknie rzeźbionymi krucyfiksami.

V.

Poznaliśmy mniéj więcéj zewnętrzną postać Brzeziniaka; poznajmyż teraz jego obrzędy, zwyczaje, zabobony wierzenia itp.

Rok zaczyna się dla Brzeziniaka prawie podobnie jak w kościele z Adwentem albo raczéj z Bożem Narodzeniem.

Gospodynie ścisle tego przestrzegają aby na św. Łucyą (13 grud.) kurom ogony poucinać, to wtedy będą jaja nieść.

Wigilią Bożego Narodzenia obchodzą uroczyście. Kiedy piérwsze gwiazdy na niebie się pokażą zastawiają wieczerzę składającą się ile możności z kapusty z grzybami, grochu, ziemniaków z olejem (lnianym) bászcu z grzybami, „palusków“—(klusek w kształcie małych palców) także z olejem i gotowanych „susek“ tj. owocu suszonego, przeważnie polnych gruszek. Ławka na której stawiają miskę z potrawą jest pokryta sianem potém czystą płachtą. Na niéj pod miską znajduje się parę garści zboża rozmaitego—dla kur. Bezpośrednio pod miskę kładą opłatek. Kiedy zjedzą podnoszą miskę z uwagą: przylepił się opłatek do miski z kapusty—urodzi się „na bez rok“ tj. przyszłego roku kapusta, do miski z grochu—groch, do miski z ziémniaków—ziémniáki, z bászcu—owies, z klusek—pszenica lub jęczmień, z „susek“—owoce.

Po zjedzeniu grochu wynoszą na dwór na łyżce grochu i wołają:

Vilku pódź do grochu
Nie cekej Nowego Roku.

poczém groch ten na węgle (vęgwo—róg budynku) zostawiają. Uważają czy gwiazdy świécą jasno i jest ich dużo, bo wtedy kury będą dużo jaj niosły.

Po wieczerzy przynoszą do izby wiązankę równéj słomy i rzucają całe garście do powały tak, aby ucięte siérpem części uderzały o powałę. Ile ździebeł utkwi w pajęczynie lub szparach, lub nakoniec w „kopciu“ (kopeć) dymnéj chałupy, tyle sobie rokuje kóp zboża na rok następny. Przy tém rzucaniu nie obejdzie się bez żartów i figlów osobliwie między młodymi. Po załatwieniu tego zwyczaju, robią ze słomy leżącéj na ziemi powrózła i idą zaraz wiązać nimi drzewa w sadzie, aby nie uschły i miały wiele owocu.

Siano z pod miski dają w Boże Narodzenie bydłu ziarna zboża kurom.

Ponieważ po wieczerzy i „rzucaniu kóp“ nie zamiatają, przeto kawaler, który sobie gdzieś dziéwuchę upatrzył i miałby się ochotę „w zápust“ ożenić, idzie do niéj świtaniem („do dnia“) w Boże Narodzenie „na śmieci.“ Jeżeli go przyjmą wydobywa z kieszeni „granówkę“ (wysoką czworoboczną flaszkę) wódki i rozpoczyna się pijatyka trwająca nieraz do południa bo ochocie nie ma końca.

W dzień św. Szczepana święcą owies ale się nim nie biją w kościele. Idąc z nabożeństwa nie wstępują do domu ale idą w pole i rozrzucają ów święcony owies—aby ostu nie było.

Dzień tygodnia, w którym przypada św. Młodzianków, uważają przez rok cały za feralny, w którym nic rozpoczynać, nic siać i sadzić nie należy.

Podobnym dniem niepomyślnym dla sadzenia ziemniaków i „kárpieli“ (brukiew) jest każdy piątek, ponieważ posadzone wtedy będą czérwliwe tj. robaczne.

Na Nowy Rok „ino świt“ biegają chłopcy niżéj lat pietnastu; naturalnie ubodzy—„po szcodrákach“ Wszedłszy do izby mówią:

Niek bedzie pokválony Jezus Krystus!
Na szczęście, na zdrovie, na ten Novy Rok
Zeby sie rodziuwa pszenicka i groch,
W uoborze, w kómorze
Co dej Panie Borze.
Poviadali chwopácki
Zeście piekli szcodrácki
Dejcie tyz i nám
Zapwaci vám sám Pániezus (1)
I ten śvięnty Ján.

Potém śpiewają jeszcze kolendy, dostają „poczęstunek“ najczęściéj ciepłego bászcu „ze skwarkami“ i owe „szcodráki“ tj. duże okrągłe bułki z tego samego co zwykły chléb ciasta.

W czasie od Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli „namáviają,“ „godzą“ gospodárze sługi, stąd czas ten zowie się „godami“ (gody).

W „ᵘostatki“ tj. ostatnie dni „Zápustów“ chodzą parobcy a nawet i młodsi weseli gospodarze „po drábsku.“ Przewracają kożuch włosem na zewnątrz, przepasują się powrósłem a nieraz i inne ozdoby, jak np. rzemienie żołnierzy, naśladują powrósłami zatykają kij za pas i osmoliwszy sobie twarz sadzami chodzą po domach, gdzie się spodziéwają zastać wesołe towarzystwo, i płatają najrozmaitsze figle.

W „Kwietnią“ Niedzielę (palmową) święcą palmy, na których bywa okręcony nowy batóg. Palmy zatykają w żyto; a gdy piérwszy raz idzie bydło w pole używają palm (złożonych z trzciny i kwiatów iwy) za batóg, aby bydło było takie gładkie, jak te „bagnięta“ z iwy.

---

(1) Ściągnięte z Pán Jezus.

W Wielki tydzień obchodzą chłopaki „Judásza.“ Kilku się ich umówi, znoszą rozmaite szmaty a zeszywszy je razem w kształt dwu-rocznego dziecka wypychają sianem i odziéwają koszulą. W wielką Środę i Czwartek mają tego Judásza w ławce kościelnéj w płachcie skręconego, i w téj ławce nie wolno nikomu siedzieć tylko tym chłopakom. W Wielki Piątek na jutrznią przywożą tego Judásza na „tarapacie“ podobnéj do „táków“ (taczki) i mają go pod chórem. Gdy się jutrznia skończy wiozą go na tarapacie trzy razy po za wielki ołtarz, a potém wywiózszy go na cmentarz, rozdziérają na kawałki i wyrzucają na drzewa koło kościoła stojące albo wracając do domu rzucają żydom do sieni.

W wielką Sobotę starają się usilnie o ogarki z tarni, którymi się paliło przy święceniu wody na cmentarzu. Jeżeli przy tém zamiészaniu stłukło się wiele dzbanków i flaszek, to będzie rok mokry. Ten co do domu wodę święconą przyniesie, skrapia nią dom cały do koła, potém ludzi i bydło. W drugi dzień Wielkiejnocy (Poniedziałek) obchodzą „śmigus“ zléwając się nawzajem wodą. Często nawet posuwa się swawola chłopaków do tego stopnia, że wrzucają dziéwki do rzéki lub stawu.

Poświęcone w Krzyżowe dni krzyżyki z „krzyżowego drzewa“ (bukszpan?) i zatknięte w polu mają chronić od robaków i gradu, w węgło—od piorunu.

Sadząc groch nie pozwalają go gryść aby nie był „hrobacny.“

W Oktawę Bożego Ciała („ochtáby) święcą wianki z ruty, piołunu, „józefku“, stokrotki, macierzanki, poziomkowych liści, „przywrotku“ i „kopelniku“ wiészając je na ołtarzach lub gałązkach drzewek, którymi kościół umajony. Wiankami tymi okadzają potém krowy, aby ich czarownica nie oczarowała.

Z drzew, którymi był umajony kościół obłamane gałązki wstawiają w kapustę jako środek przeciwko liszkom (gąsienicom—„gąski“).

Jeżeli w dzień ŚŚ. Piotra i Pawła dészcz, to liszki kapustę zjedzą.

Kiedy mają rozpocząć żniwo, zakładają na prawą rękę, na kostkę poza dłonią, rodzaj bransoletki ze sznurka, aby się ręka nie „rozvinęwa“.

Przed każdodziennym rozpoczęciem żniwa rzucają siérp na ziemię i potém go podniósłszy dopiéro żną a to dlatego, aby się uchronić od okaleczenia.

W dzień Wniebowzięcia N. M. P. (Matka Boská Zielna) święcą rozmaite ziela związane w wiązkę (wszystkie w ogródkach napotyka-

ne—nadto kilka ździebeł zboża, bylicę, wrótycz, miętę, gałązkę leszczyny z orzechami, kalinę), którymi potém okadzają krowy, i dają im gotowane jeść po ocieleniu.

W ten sam dzień święcą wieńce z pszenicy; dawniéj tylko dworscy teraz i zamożniejsi gospodarze. Niekiedy jadą z tymi wieńcami nawet do sąsiedniego miasteczka Wielopola, ponieważ tam w owym dniu odpust. Po nieszporach tegoż dnia obchodzą „vieńcoviny“ gdzieindziéj „dożynkiem“ zwane. Ten który „vieńcoviny“ sprawia i u którego mają wić wieniec, zmawia cztérech swatów i cztéry drużki. Drużki znoszą jaja, orzechy i jabłka, a „swaciá“ składają się na wódkę i przy wiciu wieńca wódką go obléwają i częstują się. Kiedy ten wieniec uwiją i wstążkami i jabłkami ubiorą, przymocowany na drążkach przywożą „na zielną“ ku kościołowi i stawiają na cmentarzu. Kiedy procesya z kościoła wyjdzie biorą swaciá wieniec i obchodzą z nim koło kościoła; przywiózszy do domu, stawiają go na bojisku. Kiedy po nieszporach skrzypek przyjdzie biorą swaciá wieniec przed ganek i przy muzyce śpiéwają:

Mám já vieniec, mam,
Komuż já go dàm,
Mám ja vieniec pszenicany
Nas pán dobry i kochany
Dám já mu go dám.
U nasego pana zielony podworzec
Jest ta panna na vydaniu, má piénędzy korzec.
Korca jich ta niéma, skądby jich nabrawa
Ale pów korca má dzieby jich podziawa.

U nasego pana zieloná podwoga,
Stolik malowany, jak u Pana Boga.

Swuzuwem u pana, swuzuwem u księdza,
Miáwem podkóvecki z samego mosiędza.

Jagem suzuw przy dworze,
Przy francuskiem mondorze,
Vysuzuwem dzievcynkę,
V siedmiu latach Klárcieńkę.
Pojecháwem na vojaż
Vojováwem siedem lát
Przyjecháwem przed vrota:
„Moja Klárciu puść mie ta!“
Vyswa jedna w zieleni:
„Tvoja Klárcia juz v ziemi!“
Vyswa drugá v żáwobie:
„Tvoja Klárcia juz v grobie!“
Pojecháwem na smętárz
I co prędzym z konia zláz:

„— Kto ta chodzi po grobie?“
„Ja Klárcieńku do Ciebie.“
„— Jesceś mi ty nie przysiąg,
„Jesce jich ta más tysiąc.“ —

Jeżeli pleban sprawia „wieńcowiny“ śpiéwają mu:

Mám já vieniec mám,
Komuz já go dám?
Mám já vieniec pszenicany,
Nas jegomość poświącany,
Dám já mu go, dám.
Mám já vieniec mám,
Komuz ja go dám?
Mám já vieniec pszenicny
Nas jegomość prześlicny
Dám já mu go, dám.
Niesiemy plon,
Jegomości plon—
I zeby się plonovawo
I sto korycy vydavawo,—
Jegomości plon!

Poczém następuje powyższa dłuższa piosnka.

Czy i dla wieśniaków sprawiających wieńcowiny mają umyślne śpiewki, nie mogłem się dowiedzieć.

Nawet mniéj zamożni gospodarze urządzają niekiedy a szczególniéj przy żniwie owsa tak zwaną „twukę“. Ogłaszają pewnego dnia, że dadzą „twukę“; a wtedy robotnicy już po dziennéj robocie zamiast wracać do domu idą na miejsce zapowiedziane i po przekąsce, a najczęściéj tylko po wódce, blizko do północy przy blasku księżyca pracują. Naturalnym magnesem takiéj tłuki jest muzyka, którą gospodarz naprzód „obstaluje“ a która zostając na uboczu żeńcom przygrywa. Musi téż i gospodarz być lubiany, bo inaczej i muzyka nie wieleby ściągnęła ochoczych, zwłaszcza że ponad wspomnianą wódkę i muzykę nic więcéj nie otrzymują w nagrodę. Jeżeli wcześniéj skończą, puści się nieraz kilka par w taniec nawet po zagonach; poczem wracają do domu wesoło, niekiedy nawet śpiéwając.

Po żniwach nastaje dla wieśniaka już czas bardzo jednostajny. W polu przebywa nie wiele, więc téż szczególnych zwyczajów niema.

VI.

Natomiast w czasie od 15 Sierpnia czyli „uod zielny“ aż do „jandvięntu“ odbywa się najwięcéj wesel. Wprawdzie idąc porząd-

kiem naturalnym obrzędów przygodnych powinnibyśmy teraz skreślić chrzciny, a potém wesele i pogrzeb; ale hołdując zasadzie moralnéj, że po weselu powinny się odbywać chrzciny, chętnie jéj ulegamy, nadając w ten sposób pewną łączność temu ustępowi z poprzednim.

Wesele a raczéj „veszele“ lub w żartach „szevele“ (z przestawnią zgłosek piérwszych) traci coraz więcéj cech charakterystycznych a przechodzi w prostą formułkę kościelną związania rąk nowożeńcom. Przyczyn tego faktu należy szukać raz w ciągłém ubożeniu ludu, którego dziś, z kilkoma wyjątkami, nie stać na przyjmowanie co najmniéj przez trzy dni, prawie setki gości, jak to było dawniéj, a powtóre w pocieszającym z innych względów wstręcie do karczmy, w któréj przecież dawniéj najważniejszy dzień pierwszy weselny przepędzano. Bądź co bądź, obrzęd ten traci powoli na znaczeniu i właściwościach; pamiętam go przed laty dwudziestu— a teraz; prawie nie do poznania.

Znajomości rozpoczynają się zwyczajnie podczas wędrówki z kościoła w niedzielę, przy żniwie lub co najczęstsze na jarmarku. Na ten bowiem, osobliwie do pobliskiego Wielopola Skrzyńskiego, musi prawie każdy iść co dwa tygodnie w poniedziałek, bez względu na to, czy ma po co, czy nie. Jeżeli nie ma czegoś do sprzedania, jakiego prosiaka lub byczka, to zawsze znajdzie potrzebę jakąś domową, jak np. klocek soli (warzonki), gospodyni zawsze brak „trzopów“ (garnków) lub miski—ot, i potrzeba jest, która wybawia z kłopotu z odpowiedzią, kiedy kuma zapyta kumy, poco idzie na „jarmark.“ A więc ciągnie wieś cała na jarmark, a nie mając co robić na mieście, zapełniają sklepy i szynki. Nie trzeba myśléć, aby tam pili wódkę; broń Boże—wszak większa część wsi ślubowała wstrzemięźliwość, ale piją—„harbatę“, w któréj trzy części rumu a raczéj zafarbowanéj okowity zwanéj „harakiem“ a część czwarta nieczystéj ciepłéj wody. Gdyby się upił „na wódce“, miałby sobie to za grzech: upiwszy się „na harbacie,“ usprawiedliwia się, że on „ślubował tylko od wódki.“

W ten sposób „napijając“ i „racząc się herbatą“, rozprawiają o swojéj biédzie, kłopotach, omáwiają zdarzenia w okolicy, przetrząsają bajki i „svatają się“ tj. czynią sobie nawzajem propozycye małżeńskie, naturalnie nie młodzi, ale albo „ojcovie“ albo upoważnione do tego osoby starsze. Sławi przeto jedna i druga strona swą zamożność, obiecuje posag, który się naturalnie zawsze z kawałka gruntu składa i obiecuje wybudować „vystavić chawpę“ dla młodych, bo od czasu wolności dzielenia gruntów żaden syn ożeniwszy się, nie chce pracować wraz z ojcem aż do jego śmierci, a potém

objąć wspólną pracę, ale żąda zaraz podziału, własnego domu, własnego gospodarstwa.

Jeżeli ostatecznie układ stanął, zapiją na szczęście i wybierają się do domu, nie pomijając zwykle ani jednéj karczmy we wsi, których liczba wzdłuż drogi prowadzącéj przez wieś wynosi nie mniéj i nie więcéj tylko ośm!

Mimo to formalne załatwienie sprawy, jeżeli się to tylko nie działo bez woli i chęci młodych, następują wnet potem „ᵘogadziny.“ Młody (tem imieniem będziemy odtąd nazywać wstępującego w związki małżeńskie) bierze ze sobą jakiego gospodarza i „pijatykę“ i udaje się do chałupy wybranéj przyszłéj, najczęściéj w niedzielę „po niesporach“ czyli wieczorem. Po zwykłém powitaniu:

— Niech bedzie pokválony Jezus Krystus!

— Na wieki—Amen.

— Vitejcież kumo (kumie, sąsiedzie i t. p.).

— Vitejcież do nás. Coście ta swychali?

— Ji—my nic novego, vszyćko stará biéda, vy co prędzy.

— A i my nie viema nic novego i t. p., i po długich nieraz korowodach, ociąganiu się, chociaż obie strony wiedzą dobrze cel tych odwiedzin, chwyta młody ojca lub matkę młodéj za nogi i prosi o kieliszek, wyjmując z kieszeni „granóvkę.“ Równocześnie gospodarz towarzyszący młodemu, zagaja rzecz właściwą.

— Ej, nie viécie po co my tu przyśli. Nie pytácie sie nás.

— A coby my sie vás ta pytali (odpowiada ojciec lub matka) vyście nie dzieci, mácie na sobie pasy, toście doroswy lud.

— A no, przyślimy tu po vasę N. (wymienia imię).

Ojciec wtedy odpowiada, że nie wie, czy ona się zgodzi na tę propozycyą; aby przeto u źródła zasięgnąć wiadomości, wołają dziewczynę. Ta uciekła gdzieś po za chałupę i nie chce przyjść; wreszcie przychodzi, na pytania nie odpowiada, ale albo się w kąt kryje albo za matkę, wreszcie pozostawia to do rozstrzygnięcia rodzicom (zdaje sie na ᵘojców). Ci naturalnie zgadzają się, a zapiwszy tę sprawę, przy czém młody pije do młodéj „do trzeciego razu,“ myślą o czasie wesela.

Przed weselem atoli muszą być „ᵘopoviedzi“ a aby te być mogły, trzeba iść do księdza „na katechiz,“ przyczem młoda zanosi gęś, z wyjątkiem jeżeli bardzo uboga, to choć jaj parę. Katechizowanie odbywa się zwykle w piątek. Nowożeńcy przychodzą na mszą, po któréj udają się do proboszcza. Ten bada ich skłonności i pokrewieństwo i albo ich sam katechizuje, albo gdy zajęty, odsyła ich do wikaryusza. Jeżeli tego nie ma, czynność ta spada na organistę. Po pomyślnym wyniku „katechiza,“ którego treść stanowią

główniejsze zasady wiary, młody przychodzi w sobotę po południu do proboszcza i „daje na „opowiedzi.“

Obierają teraz „druzbę“ (starosta) i „svaszkę“ (starościna). Po dwu zapowiedziach „zmáviają svatóv“ (drużbów) im lepsze wesele, tym więcéj „svatóv,“ jeżeli „svatóv“ dwóch to drużki żadnéj; zwykle na jednę „druzkę“ przypada dwu swatów.

Jeżeli młoda jest ubogą, chodzi w czasie od pierwszéj do ostatniéj zapowiedzi „po vilku,“ t. j. niejako po jałmużnie po dworach i zamożniejszych gospodarzach, a każdy ją wspomaga czem może.

Do przygotowań na wesele należy pieczenie „kowácy“ t. j. placków okrągłych ze sérem i „sysek“ t. j. małych wielkości orzecha włoskiego rogalów, zaopatrzonych czterema rogami; bywają one z ciasta kołaczowego ale spieczone twardo jak kamień. Nadto musi mieć wesele „palmę,“ zwaną inaczéj „rózgą.“ Ma ona kształt czteroramiennego świecznika, tylko że ramiona wraz ze środkową laską mają jednakową wysokość. Te proste kije na okrągłéj podstawce osadzone ubierają piórami kur i kaczek, w które zawijają orzechy, daléj jabłkami, jajami i wstążkami. Jeden ze swatów, któremu tę rózgę powierzają, zowie się „palmovy“ i jest najstarszy. „Palmę“ po weselu zanoszą zwykle do proboszcza lub do dworu.

„Swaciá“ starają się mieć czarne płaszcze, w których jednéj dziurce od guzika wisi uwiązana chustka czerwona perkalowa, nadto *u czapek* robione bukiety. Drużki podobnie z robionych kwiatów mają wieńce („gierlandy“) na głowie.

Ostatnia zapowiedź bywa w niedzielę; w następujący po niéj poniedziałek lub najdaléj we wtorek odbywa się ślub rano po mszy św. W niedzielę przeto w nocy chodzi młody z muzyką i stając pod oknami krewnych lub tych, których pragnie mieć na weselu „odgryvá na dobránoc,“ a przedewszystkiem drużbie i swaszce. Odegrawszy wszędzie, wraca do drużby, gdzie go już oczekują „svaciá“ i drużba z muzyką idzie do swaszki. Bywa to już nad ranem. Swaszka ich poczęstuje, da co przekąsić i wtedy udają się do młodéj.

Tu się ich już spodziewano a więc poczyniono przygotowania. Od płotu do ściany, albo do jednego z drzew owocowych stojących najbliżéj chałupy, ciągną łańcuch z powróseł słomy zrobiony, a na jego środku zawieszają skorupę z popiołem. Nazywają to „vartą“ dodając jéj przydomek „haniebná“ t. j. wielka. Kiedy weselni od drużby nadeszli, domownicy młodéj usłyszawszy hałas, wychodzą i pytają nadeszłych.

— Skądeście vy?

— A my stąd a stąd (wymieniają jakieś miejsca). Sukámy sarny cawką noc a nié mogemy ji nájść (znaleść).

— A my nie viemy coście vy za jedni, mozeście vy jakie zbiegce.

— A my dobrzy ludzie, mámy tu zaśviacenie. Wtedy jeden ze swatów czyta na kawałku jakiego papieru ad hoc przygotowanego:

A dzie tu ten stary Ján co pod borem uoryváw,
Kijánkom się uopasáváw, nitkom sie podpiéráw.
Na piecu studnię miáw, cérpáw ją przetakiem

i t. d. znany powszechnie szereg niemożliwych rzeczy.

Po przeczytaniu tego, ojciec młodéj chwyta papiér i rzuca go na bok, przychodzący rozbijają skorupę, rozrywają łańcuch i wchodzą do izby.

Kiedy się pousadzają za stołem, cofają się drużki z młodą do „kómory" a z nimi nawet niekiedy parę innych dziewcząt. Swacia wyprowadzają stamtąd po jednéj i pytają młodego:

— Niech bedzie pokválony Jezus Krystus! Panie mwody, cy ci sie tyz ta nadá?

On odpowiada: „Przyjmuję ale nie dziękuję." Kiedy w ten sposób wyprowadzą wszystkie dziéwczęta i drużki, prowadzą na ostatku „babkę bwágalną" (żebraczkę) z kądzielą a za nią młodą z „rózgą." Babka młodego wyściska, skrzypek gra i śpiewają:

Jidzie viánek jidzie, z kómory do jizby,
Ustąpcie sie ludzie, zeby nié miáw cizby (1).
Viuwa se dzievcyna viánki,
Z drobny rutki róvniánki,
Tocawa jich po stole,
Mamusieńce na żale (2)

Młody przyjmuie młodą tymi słowy: „przyjmuję i dziękuję," poczem parę razy z nią obróci się w koło.

Na stole kładą trzy bochenki chleba i sér i na tém ręce młodym wiążą; ona chce mieć rękę na wiérzchu, i on także, aż w końcu on zwycięży. Dadzą kawałek z jednego bochenka młodéj a z drugiego jemu. Są to części skrajne zwane „przylépkami." Te posolą i „przytulą do kupy, zeby sie tak kochali." Chléb ten dają potem dziadom przy kościele. Trzeci chléb krają na kwałki i szwaszka je wraz z orzechami i syskami rzuca między nagromadzone ciekawe obce dzieci. Drużba przeprasza rodziców wraz z młodym, który,

(1) Ścisk.
(2) albo: uojcu, matce na żale.

chwyciwszy ich za nogi prosi o błogosławieństwo: „Pobwogoswávcie mie tyz do kościowa bozego do stánu máwżeńskiego.“

Toż samo potem czyni drużba z młodą. Drużki tymczasem śpiéwają:

Zabiérej sie N. z nami,
Nie zalévej sie wzami;
Do kościowa bożego,
Do stánu máwżeńskiego.
Lesie mój lesie, rozwijej-ze sie:
Nadobná dzievcyno, zabiérej-ze sie.
Syrze mój syrze, sus-ze mi sie scyrze:
Vszyćko to na jesień, na Jasiową kieszeń.
Bez progi, moje dziévce, bez progi,
Uchyć se mamusieńkę za nogi.
uObeźryj sie moje dziévce za sobom,
Jak to pwace rodzinecka za tobom.
Przeproś se dzievcyno ojca matkę i cawą rodzineckę,
Zebyś se uprosiuwa szczęśliwą godzineckę.

Młoda śpiewa:

uOj powiadaliście izem zwá bywa
A teraż mie pwacecie,
Niechze sie uojcu matce serce kraje,
Po co mie za mąz daje.

Wychodząc z domu, śpiéwają swacia:

A u nasy pani matki przed sienią
Cervienią sie jabusecka cervienią.
Cervienią sie jabusecka i viśnie—
Przyjechali po N. umyśnie.

W ten sposób odbyły się „rękoviny.“ Dzień się już zrobił, do kościoła kawałek, a trzeba być na mszy, więc wszystko rusza. Swacia, a na ich czele „palmovy,“ nieraz dobrze podchmieleni, hałasują i wyśpiewują:

uO da, da, da, uo da da da, uo da, da, da, da, da, da rozlegające się po wsi.

Po ślubie udają się państwo młodzi z kołaczem do proboszcza a niekiey i do dworów. Reszta weselnych czeka koło kościoła, lub wstępuje do karczmy. Wreszcie idą do domu swaszki. Swaciá śpiewają:

Cyście nám tu radzi, cy nie radzi
Bo sie nás tu vielga gromada provadzi.
Dziesi sie nám pani mwodá podziawa,
V kościele nám za uontárzem uostawa.

Każdy swat daje po pół kwarty wódki i drużba i swaszka. Śniadają chléb, sér, kołacz a po śniadaniu drużba wyprowadza pary na boisko, gdzie zwykle tańczą; chyba jeżeli wesele odbywa się w zimie, w zapusty, to tańczą w izbie. Najprzód idą swacia z rózgą i trzymając za dwa końce chustkę, po pod nią się przekręcają; w ten sam sposób przechodzi drużba ze swaszką, potem z gośćmi weselnymi aż do dwudziestu czterech par. „Svatkowie proszę“ odzywa się drużba, ukłoni się czapką i tańczy naprzód a za nim wszyscy. Każdy ze swatów musi jakiś czas potem tańczyć w pierwszą parę a przed każdém takiém kołem częstuje wszystkich tańczących wódką.

Tak na tańcu schodzi do późnéj nocy. Weselni zostają na nocleg u swaszki i na drugi dzień tańczą tak znowu do południa. Śpiewają wtedy swatom:

Vychodźcie svatkovie bo vám cas,
Vyjedliście harendárce z becki kvas.
Vyjedliście vyjédli
Do gwóvecki do jedny.

Wtedy swacia z drużbą i swaszką idą do domu młodéj a kiedy staną na dworze, jéj ojciec wychodzi z flaszką i zaprasza. Swaszka śpiéwa:

A vyjdze do nás, a przywitejze nás
Pod ślivy, pod ślivy —
Bo pod tvojem kochaneckiem
Koń sivy, koń sivy.
A vyjdze do nás, a przyvitejze nás
Pod szcepy, pod szcepy —
Bo pod tvojem kochaneckiem
Koń ślepy, koń ślepy.
A vyjdze do nás, a przyvitejze nás
Pod sady, pod sady —
Bo pod tvojem kochaneckiem
Koń gniady, koń gniady.
A vyjdze do nás, a przyvitejze nás
Pod gruski, pod gruski—
Przyvitejze svácusię i druzki.

Swacia śpiéwają:

A cyście nám tu radzi nie radzi,
Bo sie nas tu nie vielgá kompanijá provadzi.
A bo nás tu nie vielgá dvanáście,
Przecie se nám usiąść káżcie.

Na to odpowiadają drużki:

A są tu u pani mwody wavecki
Te se posiędą druzecki.

A są tu u pani mwody wavcyska,
To se posiędą svaciska.

Wchodzą potem do izby; zjadłszy co, udają się swacia do sąsiadów i znaczniejszych osób, aby je pozapraszać. Kiedy sproszeni goście nadchodzą, wychodzi naprzeciwko nich młody i rodzice młodéj z muzyką i poczęstunkiem; przybywający niosą zwykle ze sobą „harak abo gorzáwkę." Pogoszczą ich w domu, potém prowadzą do tańca na bojisko. Wieczór dają gościom „śniádanie" (!) „bászc i kowác" i wyprawiają pijatykę a w nocy późnéj zastawiają obiad złożony z grochu z rosołem, mięsa z kapustą, którego państwo młodzi nie jedzą, boby się im bydło nie wiodło, „kárpiele," kaszę z flakami i kaszę jaglaną. Od kaszy jaglanéj pani młoda ucieka, bo gaszą światło. Śpiewają:

Vyswa, vyswa kavula z lassa
Vyjadwa, vyjadwa stajanie prosa.
A dzie uona?—v stodole
Patrzy dziurką na pole, na pole.

Muzyka gra a swacie z drużbą szukają młodéj, która się zwykle kryje w kómorze. Przyprowadzają drużbie różne baby i dziéwki, a on się tylko obróci z nią trzy razy do koła, uderzy w „páleń" laską i puści ją mówiąc: „Kochani svatkovie starejcie sie, bo to nie vygodne!" Niekiedy przyprowadzają mu jeszcze chłopa odzianego po kobiecemu; ten z drużbą puszcza się w zapasy i wynosi go do sieni. Krzyczą: „Druzbę nám ukradli." Wreszcie przyprowadzą panią młodą, ale ona do trzeciego razu ucieka aż wreszcie sadzają ją przemocą na środku izby na małym stołku, który zwykle służy do dojenia krów. Drużki śpiewają:

A moja N. przestáń sie bryzovać (1)
Stązecki, śpilecki dej mamusi schovać.
Jak cie bedą cepić poźryj do povawy,
Zeby tvoje dzieci cárne uocy miawy.
Jak cie bedą cepić poźryj do tragarza
Zebyś vychovawa syna na césarza.
Hec kiec moje dziévce hec kiec
Viánecek na kowecek a na gwóvkę cepiec.

Pani młoda kopie stołek nogami i nie chce usiąść; kiedy już usiędzie, zakładany jéj przez swaszkę czepiec do trzeciego razu zrzuca a młody jéj kładzie na czoło; ona mu w oczy nim ciśnie,

(1) Opierać się.

wreszcie schowa pod kolana dopiéro kiedy młody znajdzie, swaszka ją czepi.

Młoda śpiéwa:

Nieszczęśliva godzinecka na świecie
A któż mi ten ślicny varkoc rosplecie.

Zaczepiwszy, mówi a potém śpiéwa:

— Jest dowek v gwovie, starejcie sie, zebyście go zarównali.

Davejcie śrybwo,
Zeby sie ji viedwo bydwo.
A chto szcéry
Niech dá i papiéry,
A chto nié má miedzi,
To niech v chawpie siedzi.

Zbiérają pieniądze a drużki śpiewają razem z kobiétami:

Niemiwo mamusieńce niemiwo,
Bo sie ji dziéciątecko zmieniwo.
Jeszce bedzie mamusienńce niemili (1)
Kiedy bedzie w kolébecce li, li, li!
Nie dámy nie dámy dzievcyny chwopcu,
Pókil nám nie przyniesie gorzáwecki v skopcu,
Nie vidać, nie vidać z gorzáwką chwopca,
Posed se do rzyki vymyvać skopca.
Mwody, mwody, dej gorzki vody,
A uona ci za to svoji vygody,
Vylazwa, vylazwa z pod nálepy żabka,
Z nasy pani mwody zrobiuwa sie babka,
Vyláz, vyláz, z pod nálepy racuś:
Z nasego mwodego uostáw jino kwacuś.

Młody śpiéwa:

Powozyli dziéciątecko na ślivie;
Zacep-ze sie moja N. szczęślivie.

pije do młodéj a ona mu do trzeciego razu zalewa oczy wódką, a inni się śmieją z niego, że płacze.

Śpiewaja:

Zakukaa kukawecka v fuzyji;
Zacepili kochaneckę suzy ji.
Zakukaa kukawecka na lasce:
A cóz ci juz moje dziévce po svasce.

W dalszych ośmiu wierszach powtarza się to samo, ale zamiast „na lasce“ śpiewają: „na virzbie,“ „na wacie“, „na grusce“, „na

(1) Niemilej.

szcepku", a zamiast „po svasce" dodają: „po druzbie", „po svacie", „po druzce", po skrzypku."

Młoda:

Zakukaa kukawecka na buku:
Krzyvoście mie zacepili na uchu.
Zakukaa kukuwecka na lesie:
A co mi to mój N. przyniesies.

Młody:

Śtyry cepce, śtyry cepce abo sześć:
Zacep-ze sie moja N. v chtóry chces.

Młoda:

V ty kómorze, v ty kómorze, v ty novy
Cesawa se pani mwodá len biáwy.
Cesawa se len biáwy i vwosy:
Vydajes mie moja mamo z roskosy.
Vydajes mie moja mamo na rolą:
Będę jadwa kapuścinę jawovą.
A veźcie mie z tego stowka weźcie,
Bo mi cepiec bardzo gwovę gniecie.
A weźcie mie z tego stowka zaráz,
Zeby sie mi mój viánecek naláz.

Drużki:

Tańcovawa pani mwodá śmiele,
Vypadwo ji z podowecka ziele.
A to ziele vlele kosztovawo?
Śtyry vowki z uobory vygnawo.
Jedna pára v harendę vydaná,
Drugá pára dzievcynie na viano.
Turbuje się moja mama turbuje,
Ze ci nié ma lá N. krasule.
Nie turbuj sie moja mamo nie frasuj,
Bo to stoji w stajenecce sześć krasul.
Poswo dziévce po vodę,
Vzięwo z sobom urodę.
I zielony zbán;
Rozbiuw ji go pán.
Moje dziévce nie pwac-ze,
Já ci ten zban zapwacę:
Chusteckę ci dam.

W dziewięciu następnych strofkach, pan ofiaruje z kolei dziewczęciu: „koràle", „gorsecik" „koszulkę", fartusek", „ciżemki" (trzewiki), „śviniárza" (tj. pastucha świń). „fornála", „lokaja", a w końcu powiada: „i sám ci się dám."

Swaszka i kobiéty:

Przyjechali gubernacl (1) z Berna,
Pytali sie, po cemu tu vewna.
Po dukacie chtóra nie tykaná,
Po grajcaru, chtóra pomyrhaná.
Hej hej nieboga
Uciéć nié mogwa
Z kądzieliną swoją.

Młoda odpowiada:

Ja ze svoją kądzieliną między progi,
A za moją kądzieliną dziad ubogi.
Ja ze svoją kądzieliną pod koryto,
Znalazwam se śtyry bite dobre i to (2)
Ja ze svoją kądzieliną do kościowa
A za moją kądzieliną cawa szkowa.
Chvaluweś sie chwopce, ze mas mwode lata,
Vąsy jak pocioski (3), broda jak u capa.
Chvaluweś się chwopce, ze ty mas pawace,
Skorom ja—ta zaswa, same podpiérace.
Chvaluweś się chwopce ze mas budynecki,
Skorom ja—ta zaswa same spróchniawecki.

Młody z matką lub swaszką śpiéwa:

Uciekwa mi przepiórecka v proso,
A ja za nią nieborácek bosso.
Trzeba by sie pani matki spytać,
Cy pozvoli przepióreckę schytać.
Chytej ze se przepióreckę chytej,
Jinno sie ji piórecek nie tykej.
A jakby ja przepióreckę chytáw,
Zebym się ji piórecek nie tykáw.

Po czepinach wychodzą znowu do tańca na bojisko. Skrzypek odwraca skrzypce i gra na ich stronie przeciwnéj, co naturalnie nie daje żadnego głosu. Odzywa się do pani młodéj:

— „Cosi się mi pani mwodá stawo, że mi skrzypce nie chcą grać!“

Kiedy mu młoda da pieniędzy albo wstążkę wtedy dopiéro gra. Młoda tańczy z każdym dobrze, tylko z młodym kuleje. Śpiewają mu na to:

A dzieześty chwopce svoje uocka podziáw
Coś se ty takie kulosisko uobráw.

---

(1) Liweranci.
(2) albo: Zarobiwszy śtyry ceskie dobre i to.
(3) narzędzie do wydobywania ognia z pieca piekarskiego.

Trzy razy tak z nim tańczy; jeden z swatów złamie nad nią kij i powiada „ze sie napraviuwa fankovná noga.“ Wtedy młody długo jeszcze tańczy t. z. „spuściznę.“

Swacia i drużki rozchodzą się po czepinach, reszta nadedniem. We środę tj. dnia trzeciego bawią się jeszcze starsi pijatyką.

W niedzielę następującą sprawiają niekiedy jeszcze „popraviny“ poczem myślą o „przenosinach“ pani młodéj na nowe gospodarstwo.

Jeżeli się młody ożenił już nie z panną, śpiewa sobie:

uOżeniuw ci ja sie, uożeniuw, uożeniuw
Ale nie z panienką, Boże mój, Boże mój.
Pravda ci to pravda, pravda doskonawa
Ze dzie vody duzo, poćcivości mawo.

Z obrzędów pozostały nam jeszcze do przedstawiania chrzciny i pogrzéb, z których żaden nie ma tyle cech samoistnych co wesele.

Osobliwie chrzciny, których właściwą treścią jest obrzęd kościelny, ciekawe są tylko dla kilku zabobonów. Nowonarodzone dziecię kąpie „babka“ tj. akuszerka, powija i przygotowuje do chrztu, bo ten zwykle w kilka godzin następuje po urodzeniu. Ojciec tymczasem obejrzał się za kumami, którzy nadchodzą do „krześnika“ (1). Babka bierze go na ręce a kumowie z ojcem idą ku kościołowi. Idąc powinni się wiele śmiać i mówić, aby dziecko było wesołe i śmiałe. Jeszcze przed udaniem się do kościoła powinni chrzestni ojcowie dawać dziecku pieniądze, aby się go zawsze trzymały. Zwykle atoli dają mu póżniéj, babce zaś wkładają do wanienki, w któréj się dziecko kąpie, „niby za to, że to dziecko przyniosła.“ Po przyniesieniu dziecka od chrztu nie rozpowijają go piérwéj aż chrzestna matka nadejdzie; i ta rozpowija najpiérw nogi aby prędko chodziło.

Kończą się chrzciny jak każda prawie uroczystość familijna— „pijatyką,“

Obok kolébki stawiamy trumnę—w życiu to aż nadto częste.

Chorób nie umié leczyć Brzeziniak. W niektórych słabościach wierzy nawet, radzie babek wyżéj wspomnianych, w innych zdaje się na Pana Boga. Natura tylko pomaga mu do wyzdrowienia, bo lékarzy nie wzywa; raz dla braku zaufania, drugi raz dla braku środków. Jedzie zwykle najpiérw po księdza a gdy ten nakaże wezwać

---

(1) „Krześnikiem“— chrzestnikiem zowią chrzestni rodzice swego pupila.

lékarza, tymi samymi końmi po niego spieszy wtedy, kiedy, jak to mówią, dusza już na ramieniu.

Konającego zdejmują z łóżka i kładą na ziemi na równéj słomie, zwracając go nogami ku drzwiom. Ma to ułatwiać konanie. Podają też do ręki gromnicę i odmawiają modlitwy.

Umarłego ubiérają w długą aż do stóp koszulę z domowego płótna prędko uszytą; przepasują go frędzlami, które zwykle płótno zakończają. Jeżeli to jest mężczyzna wkładają czapkę na głowę, kobiécie chusteczkę. Tak ubranego wkładają do trumny prostéj z czarnym krzyżem na wieku, którą stawiają w sieni.

Trzeciego dnia rano przed pogrzebem zgromadzają się sąsiedzi i znajomi i następuje wyprowadzenie zwłok nie przez księdza bo tego tu dla odległości chat od kościoła nie ma w używaniu, ale przez jednego ze świadomych oracyi sąsiada.

Oracya ta, a raczéj egzorta przed wyprowadzeniem, brzmi jak następuje:

„V jimio ^{u}Ojca ji Syna ji Ducha Śvię^{n}tego Amen. Rác przyść Duchu śvię^{n}ty ji napewń serca viernych, chtórzy sie zgromadzili na vyprovadzenie śvę^{n}ty pamięci zmarwego N. z domu docesności do domu viecności.—Vitám vás vszyćkich zgromadzonych, chtórzyście sie tuześli na to miejsce ji do tego domu na ten akt smutny ^{u}oglą^{n}dać zvwoki zmarwego N. brata nasego. Dziękuje vám jego jimieniem já mizerny cwoviek za to chválebne krześcijańskie zgromadzenie przy tém ^{u}ostatniem vyprovadzeniu tego zmarwego N.— Życuwbym sobie vám zgromadzonem przedwozyć, jakie mácie provadzić życie spokojne vedwug przykázaniá boskiego. Pismo śvię te móvi: kochaj Pana Boga tvego a bliźniego tvego jako siebie samego.“

Daléj, powołując się na „evanieliję“ i „pácierz“ codzienny, prosi zgromadzonych, aby przebaczyli nieboszczykowi jego winy; dziękuje, że przyszli oddać mu ostatnią posługę, zaleca im aby pokutowali za grzechy i kończy część pierwszą przemowy wezwaniem „^{u}o jedno ^{u}Ojcanas i jedno Zdrovaś.“ W części drugiéj mówca wskazuje na marność zbiorów doczesnych a ważność dobrych uczynków, żegna pozostałą rodzinę i jeszcze raz przeprasza w imieniu zmarłego.

Wynosząc potem trumnę uderzają jéj krawędzią potrzykroć o próg chałupy mówiąc przy każdém uderzeniu: „Wieczne odpocznienie etc.“ Ma to zabezpieczać od przychodzenia nieboszczykowego ducha.

W duchy bowiem wierzy Brzeziniak z całą naiwnością, równie jak w pokutujące dusze. Jeżeli np. w garnku przystawionym do

ognia pocznie piszczeć, albo czasem stęka, mówią że to pokutująca dusza.

Wierzą téż, że *niektóry* człowiek może miéć dwie dusze a wtedy go zowią „strzygoniem.“ Niepokoji on ludzi i straszy. Trzeba go z grobu wydobyć i włożywszy mu kamień między zęby obrócić twarzą do dna trumny, wtedy figlów zaprzestanie. Niektórzy twiérdzą że to za słaby środek. Najlepiéj odciąć mu głowę i położyć w nogach aby się znowu nie zrosła.

Ciało zmarłego wiozą na prostym wozie do kościoła, śpiéwając przytém nabożne pieśni.

Nad grobem śpiewają najczęściéj starą pieśń:

Juz jidę do grobu smutnego ciemnego,
Tam będę spocyvaw jaz do dnia sądnego etc.

któréj melodya nadzwyczaj smutna a do treści zastosowana, przenikającą, do łez pobudzić musi.

VII.

Większa część pieśni używanych i śpiewanych przez Brzeziaków zawiéra się w obrzędach przedstawionych. Zresztą przy tańcu używają krakowiaka, którego komponują na poczekaniu w zastósowaniu do okoliczności. Z powtarzanych często i śpiéwanych przez pastuchów w polu przytaczam kilka:

Sivy konik sivy, cervone popręgi:
Kochają mie panny, bom se chwopcyk tęgi.

La la la gąsecki, la la la gąsecki:
Zbiéraj Maryś piórka będą podusecki.
Nie bedę zbieraa, bo mi mama daa
Śtyry podusecki piątą uobiecaa.

Za Viswą za vódą tam dziévcęta wadne:
Maglują, prasują, ji chwopcóv sanują.

Jageś z góry jechaw, cegoś nie hamovaw:
A kiej cie nocka zaswa, cegoś nie nocovaw.

Hojze jino dana jeszce:
Som konisie w novem mieście,
Som koniki uoba gniade;
Ja do ciebie Maryś jadę

Z piosnek większych wspomnę o narzékaniu córki na matkę.

A biéda mi na tę mać
A biéda mi izber mater vachter tomber
na tę mać
Co mie za mąż nie chce dać...
A teraz mie vydaje...
Skoro chleba nie staje...

Wreszcie znaną o Podolance która otruła brata:

Na Podolu biawy kamień
Podolanka siedzi na niem.
Przysew do ni Podoleniec
—Podolanko dej mi vieniec.
—Chętniebym ci vieniec dawa
Zebym sie brata nie bawa.
—uOtrujze ty brata twego,
Bedzięs miaa mie samego itd.

VIII.

Powieści o śmierci, djable, czarownicach i skarbach ma Brzeziniak dosyć. Przytoczę z nich po kilka tak, jak mi je opowiadano.

Jedna baba chorovaa bardzo, tak ji chwop posew do miasta, kupić ji vina, pieknego chleba, a temcasem śmierć przyswa po babę i stanęwa ji v gwovach: Baba patrzy ji móvi: "o moje piekne cosi, jakie tyz ty piekne "ocka más. Przydź Urbanku przydź przynieś gościovi pić (bo ji chwopu bywo Urbanek), a śmierć móvi: Urbán przydzie ciebie nie zastanie. A "ona znovu: "o moje piekne cosi, jakie tyz ty piekne rącki más! Przydź Urbanku przydź, przynieś gościowi pić, a śmierć, znovu tak pedziaa, jak piérvy. A baba zną": "o moje piekne cosi, jakie tyz ty piekne ząbki más. Przydź Urbanku przydź, przynieś gościovi pić,—a śmierć krzykwa, że Urbán przydzie ciebie nie zastanie, skocuwa do ni i udusiuwa ją ji juz ji Urban nie zastáw.

Sew chwop do lassa na wyka na povrozy i spotkáw sie z djábwem. Djábuw sie go pytá: dzie ty jidzies? a "on: jidę będę konáry wámáw, bedę djábwów viésáw. A djabuw go prosi, zeby choć jego nie "obiesiuw, a chwop móvi: dej mi tę cápkę pieniędzy, to cie nie obiesę; a djabuw móvi: jábym ci dáw takich cápek dziesięć, zebyś mie nie obiesiuw. Tak chwop vykopáw v ziemi dowek, vwozuw cápkę a v cápce dziurę zrobiuw, tak djábuw nosiuw jaz nasypáw pewno pieniędzy i chwop djábwów nie viésáw i nie był povroźnikiem.

Jak djábuw zased do piekwa, pytają sie go jinsi djábli, dzieś tyla piéniędzy podziáw? Dáwem chwopu zeby nás nie viéśáw, a ^{u}oni móvią: jakiś ty gwupi, nás jest tyle a chwop jeden, zeby my sie dali obiesić; jidź po piéniądze niech ^{u}oddá.—Tak posew do chwopa vować ^{u}o piéniądze, a chwop mówi: mam dvóch dziadków v kapuście, jak mi jich dogonis to ci piéniądze ^{u}oddám. Tak pośli ^{u}oba do kapusty i chwop vowá: dziatkovie vstajcie! ji dziatkovie v nogi ji djabuw gnaw jednego trochy drugiego trochy, ji zadnego nie dognaw, bo to bywy zające; nie wziąw piéniędzy bo jich nie dognaw ji posed do piekwa ji tam poviedziáw: nie przyniózem piéniędzy bom dziadków nie dognaw, takie bywy stareńkie sive. Iiznąw mu kazali po piéniądze, przysew vziąw chwopa do lassa ji mówi ^{u}o piéniądze, a chwop móvi: chtóry bardzi gviźnie tego bedą piéniądze. Djabuw gviznąw jaz gawęzie leciawy z jodwóv ji drugi raz sie drzeva wamawy a jak trzeci raz to jaz sie z korzeniami vyvracawy drzewa ji chwop móvi: zaviąz sobie ^{u}ocy, bo jak gviznę to jaz ci ^{u}oko vyskocy. Djabuw sobie zaviązaw ^{u}ocy a chwop vzion s pod kaftana żelazną páwkę ji uvaluw go raz a jak go drugi raz nakryw to mu ^{u}oko vyskocywo ji poviedziaw: nie chcę trzeci raz, bobyś mie zabiuw ji poleciaw. Kazaw mu chwop przynieść zapór ^{u}od piekwa tak przyniós. Djabuw movi: chtóry vyzy vystrzeli, tego bedą piéniądze, ji vystrzeluw, nie bywo go dwugo vidać ji vziąw chwop do ręki i vowa: Bartek, Bartek mas ten zapór, narób mi podków, bo to dobre zelaz^{u}o, a djabuw vowa: nie wyciskuj zapora, bo jakbyś mi vycisnąw a koval vziąw, nié miawbym cem piekwa zawozyć, to mi djabli uciekną. Ji wziąw mu zapór ji mówi: chtóremu s kamienia voda pódzie tego bedą piéniądze. Ji vziąw kamień v rękę ścisnąw zgniótł go ale mu s kamienia voda nie ciekwa. Tak miaw chwop zną^{u} sér, ścisnąw ji voda mu ciekwa, tak widziaw, ze chwopa nie pokona, tak uciék do piekwa.

Jednemu mynarzovi psuw zavsze djabuw jáz (1). Co zastaviuw, to mu djabuw zepsuw, ji nié móg mleć bo vody nie bywo. Tak przyswa jedna babka do tego mynarza ji mynarz ji mówi: dawbym vam korzec mąki, zebyście mi co poradzili na to, zeby mi djabuw tego jazu nie psuw. A ^{u}ona podziawa: poradzę. Ji kazawa mu se sprawić cawy pwug żelazny, kolca, chomą^{u}ta z postronkami, uzdy, lice ji bat ji vszyćko żelazne. Jak to vszyćko mynarz spraviuw, vzięwa ta baba vszyćko, poryktovawa ji zavowawa: vychodź! Jak ten djabuw wysed, zaprząg nęwa go, vjechawa z niem ve vyrę^{m}by, v pniaki, dzie sie nazyvawo pasternik, ji ^{u}orawa niem do samego powudnia. V powudnie sama poswa do mwyjna na ^{u}obiad a jego ^{u}osta-

(1) Jáz—tama przy stawie młyńskim.

viuwa zaprząg nię^{n}tego. Jak staw, sed kowo niego chwop z gawąz- kami z lassa, bo byw biédny, nié miaw za co kupić, tak se nazbiéraw na narą^{n}cko. Djabuw móvi do niego: zebyś sie ty zaprzągnąw ji ciągnąw za mnie, tobyś ty gawąząków nie nosiuw, bobym ci daw duzo piéniędzy, cobyś se kupiuw pola. Ji chwop myśli, ji pedziaw: za- przągne sie! Tak djabuw wylaz, chwopa zaprzągnąw a sam pole- ciaw v siano, dzie dziévki grabawy, kości se prostovaw, bo go ta ba- ba batem żelaznem ^{u}okropnie zernęwa. A ta baba bywa carownica. Jak przyswa z ^{u}obiadu, zacęwa tem chwopem ^{u}orać. Chwop próbuje pociągnąć—ani nie rusy; jak baba zacnie batem ^{u}okwadać, a chwop sie prosi, krzycy gvawtu a ^{u}ona móvi: cegoś do powudnia tak nie krzycaw? a nie bedzies vięcy jazu psuw? A chwop móvi: ^{u}o juz téz nie bedę, ani sie raz v to miejsce nie pokazę! a djabuw lezaw v sia- nie ji tolaw sie, śmiaw sie s tego, ze sie chwop prosiuv. Vzięwa ba- ba chwopa vyprząg nęwa, sama poswa do mwyjna a djabuw vstaw ze siana ji móvi do chwopa: chodź do lassa, a jak zaśli do lassa, djabuw daw mu duzo piéniędzy ji juz po gawązki do lassa nie chodziuw, dja- buw juz jazu nie psuw, a babie mynarz daw korzec mąki.

Ve vśi Varzycach (?) byw taki ksią^{n}dz, co robiuw z djabwem co chciaw, dzie sie kazaw tam go zanieśli. Raz zvowaw djabwóv ji kazaw sie zanieść do Rzymu, tak djabli vzięli drzvi ^{u}od kościowa Varzyckiego, vsadzili na nie księdza ji vio z niem het do Rzymu! Jak przylecieli niedaleko lassa, to sie go pytali: jak chces plesocu (?) cy bez konopie, cy ponad konopie, t. j. cy bez las, cy ponad las, a ^{u}on poviedziaw: po nad konopie, bo jakby byli jechali bez las, toby go byli zabili. A ^{u}on sie poto kazaw nieść do Rzymu, bo sie djabuw przebraw za pannę ji posed do papieża, zeby go skusić. Tak ten ksiądz siedziaw pod lipą przy kościele ji swysaw jak kruki se gada- wy, ze zeby chto viedziaw ze dzisia ^{u}Ojciec śvię^{n}ty zgrzésy a posed do Rzymu ji daw ty pannie v pysk, toby sie rozlawa maziom, bo to jest djabuw, a ^{u}ona go skusi dzisiaj koniecnie. Tak ten sie ksią^{n}dz zaraz kazaw tam niéść, zeby ^{u}obronić Papiéża przed pokusą. Vsed do pokoju Papiéża, ^{u}valuw te pannę v pysk ji rozlawa sie maziom, a djabli te drzvi ^{u}ostavili a ^{u}od rzymskiego kościowa vzięli ji przynie- śli go (księdza) do Varzyc ji dotychcas sąm te drzwi ze Rzymu przy kościele ve Varzycach.

Jeden chwop byw ^{u}ubogi, nié miaw cem palić, tak zaprzągnąw krovę ji bycka ji pojechaw do lassa po drzevo. Jak jechaw, zastą- piuw mu na drodze vąż, tak ten chciaw go ^{u}ominąć, zjechaw do fosy, przytrzymaw, zeby sie nie vyvaluwo ji ^{u}ominąw go. Tak vąż sta- nąw ji poviedziaw: za to ześ mie ^{u}ominąw, poviem ci cosi. Jak be- dzies jechaw, bedzie tam lipka a na ty lipce bedą miawy vróble

pravo, a ty bedzies rozumiaw co ^{u}oni będą móvili, jak jich vójt bedzie są^{n}dziuw. Jak przydzies do domu, vyprzęgnies, żona da krovie ji byckowi jeść, ale krovie da lepi jeść. Tak bycek ji krova bedą sie przemáviać, ji ty sie z tego bedzies śmiáw, tak żona sie ciebie bedzie pytać cego sie ty śmiejes, a ty ji poviés co ja ci móviuw ji ^{u}o co sie krova ji bycek przemáviali. Ji ty ji poviés, ze ci vąż powiedziaw zebyś umar jakbyś to rzék, a ^{u}ona na ciebie bedzie koniecnie nalégać, ze choćbyś ji umar to ji musis poviedzieć. Ji powiés ji, ji zachorujes, tak żona ci przyniesie róvny swomy, legnies ji kazes sobie zavować kur, ji kogut ci rozpersvaduje ji wstanies z róvny swomy ji babę vybijes. Przyjechaw chwop do chawpy wyprząg, ji dawa żona krovie lepi jeść a byckovi gorzy; a bycek móvi do krovy: jednako my robili, to my povinni jednako jeść, to ten chwop rozumiaw, co ^{u}oni móvili ji uśmiechaw sie. Żona sie go pytawa: z cego sie ty śmiejes? ji przez naléganie żony poviedziaw ji vszyćko ji zachorovaw. Jak juz na róvny swomie lezaw, przysed do przytomności ji kazaw sobie zavować kur; jak kury veswy, kogut sed na ^{u}ostatku, stanąw v progu ji móvi: a to, to, to, to! ja jich mam siedem a poradzę jem, a ty jedny babie szelmie nie poradzis? veź povroza chwopie, namoc ve vodzie a vybij dobrze babie plecy. Tak ^{u}on tak zrobiuw, babie plecy vycharataw, bo mu tak kogut rozpersvadovaw. Ji piesek vylaz z pod stowu ji poviedziaw mu: taką biédę mas a ja na piéniądzach lezę. Pośli ^{u}oba pod stów, piesek troskę ^{u}odkopaw a do resty chwop ji nalaz mawy kociowek s piéniądzmi. Za te piéniądze kupiuw sobie konie, juz krovą ji byckiem nie robiuw. Kupiuw zboża la siebie ji la koni i przy^{u}odzievkę. A za to mu vąż ^{u}o vszyćkiem poviedziaw ji ^{u}o piéniądzach, ze mu na zdradzie nie staw ji nie zabiuw go.

Jeden chwop chodziuw do pana do dvora na zarobek. Pan mu kazaw brać przykopę (fosę) gwę^{m}boką v ^{u}ogrodzie, ji ^{u}on braw ji natrafiuw na kociowek ji bywo o tem kociowku pewno piéniędzy. Vziąw go, ledvie vytovarzuw ze ziemie, przykryw ziemią zeby nicht nie uźraw, ji do viecora braw fosę. Pan mu zapwaciuw za dzień a ^{u}on przysew do chawpy ji móvi do svoji baby: poviedziawbym ci cosi zebyś ji ty nikomu nie pedziaa, a ^{u}ona pedziaa, ze nie povié. Kazaw sie ji ^{u}ubrać v najpiekniejse chusty, ^{u}on se vziąw kropác (1). ji pośli. Jak juz byli niedaleko vziąw ten kropac, namocuw v gnojóvce ji za con babę chlastać, a ^{u}ona móvi: taka pogoda, gviazdy świécą a taki dészc jidzie. A chwop móvi: to ty nie viés, ze jak pogoda to taki dészc śmierdzący jidzie. Ji pośli vzięli na nosidwa

(1) Szmata na kiju uwiązana.

ten kociowek, ji przynieśli do chawpy; poviedziaw ji zeby nikomu nie gádawa. Na drugi dzień przyswa do ni kumecka, ji mówi ji zebyście nikomu nie gádali, poviedziawabym vám pod sekretem cosik. Mój chwop tu naláz v pańskiem ᵘogrodzie kociowek s piéniędzmi. A ta kumecka mówi: nie poviem nikomu, nie. Jino przyswa do chawpy zaráz ᵘopedziawa tak ze sie to vnetki dotrzęswo do pana. A jesce jak śli s tem kociowkiem z ᵘogrodu, tak sie śviéciuwo v jedny chawpie; baba sie pytá chwopa: na co sie tu śviéci? a ᵘon ji gádá: a juści tamty nocy temu chwopu zwodzieje ᵘukradli spérki, teráz siedzi ji pilnuje piéniędzy. Jidą dali kowo ᵘovcarni a ᵘovce becawy, ᵘona sie go pytá: co to tak zabecawo? a ᵘon ji mówi: a juści pana djábli biorą ji celádka pwace. Ji jak sie do pana ᵘo tem kociowku donieswo, tak pán poswáw po tego chwopa ji mówi mu: piéniądześ naláz, ᵘoddej jich! A chwop pedziaw, ze nie nalaz. Tak go pan skardzuw, stanęli ᵘoboje do prava, chwop sie nie przyznaje, tak sie pytają baby a ᵘona mówi, ze nalaz vtedy, jak śmierdzący dészc sed jak sie u chwopa śviéciuwo co mu zwodzieje spérkę vzieni, co piéniędzy pilnovaw, jak celadź pwakaa jak pana djabli brali. Tak pan mówi: dészc śmierdzący nie sed, chwop piéniędzy nie pilnovaw, mnie djabli nie brali. Tak babie vypalili dziesięć bukóv ji vyścigali do chawpy a chwop piéniądze s kociowkiem miaw.

Bywo dvóch braci jeden biédny drugi bogaty. Tak żona tego bogatego prosiuwa svego męża, zeby temu biédnemu zasiáv pole svojem zbożem, tak ᵘon tak zrobiuw. Jaz ráz vychodzi ten bogaty v pole a tu cosi znosi zboże s pomieci biednego na pole bogatego Co ty robis? ji co ty jezdeś?—pytá sie. „Já jezdem tvoje szczęście, a tvój brat, nié má szczęściá jaz v ty a v ty vsi v karcmie.“ Tak ᵘupoviedziáw to brat bratu ji pojechali tam ji ᵘgodzili sie s panem. Vybráw sie nareście ze svego domu ten biédny ale sobie zapomniáw gárcka zelaznego. Tak sie po niego vróciuw a tam bywa jego biéda; zabráw ᵘon ją a jak jecháw kowo studni vrzuciuw ją tam. Jak zajecháw na miejsce, pán dáw mu na trzy lata darmo miészkanie ji tak dali sie mu juz dobrze viedwo.

Na granicy Brzezin, Jaszczurowy a Szufnarowy znajduje się w lasku sosnowym głękoka rozpadlina skalna we wzgórzu. Jedna jéj ściana dosyć wysoka ma nawet kształt łuku jakby dawnéj kamiennéj bramy, co dało powód do podań jakoby to było stare zamczysko, które miało podziemny ganek z zamkiem Odrzykońskim o 4 mile odległym i że w głębokich piwnicach znajdują się skarby.

O tych to skarbach następującą słyszałem powiastkę:

Ráz paswy pastuchy na Dupiácu (tak nazywają to miejsce) ji s figlów jeden drugiemu cisnąw cápkę do dziury, co ta bywa dosyć gwęmboká. Chwopák zacąn pwakać ji lamentować za cápkąm, jaz tu vyskakuje s ty jamy cápka a v ni pewno dukátów. Chwopák zaniós to biédny matce a temcasem tamte pastuchy chciay co dostać ji jeden cisnąw svoję cápkę "umyśnie. Cápka vyleciaa z jamy ale zamiást piénię̨dzy bywo v ni zówte g .. (1).

Parę̨set kroków od zachodniéj granicy Brzezin, od lasu zwanego „Kocią myślą", po lewéj stronie drogi prowadzącéj przez Brzeziny do Wielopola Skrzyńskiego, można było widziéć aż do ostatnich lat małe bagno, zarośnię̨te sitowiem. Miejsce to zwane podziśdzień *Żabieńcem* taką ma o sobie legendę:

Na owém miejscu stała dawniéj karczma. W jakiś dzień zapustny wesoła drużyna zabawiła się długo w nocy omal nie do świtania. W tém rozległ się głos dzwonka—kapłan spieszył do chorego z ostatniemi Sakramentami. Skrzypek siedzący na stole na głos dzwonka ukląkł pobożnie. Rozochocone parobczaki kazały mu grać, ale on tego nie słuchał. Przekleństwa obelgi i razy spadły na skrzypka—kapłan przejechał ale równocześnie karczma się zapadła w ziemię i tylko klęczący skrzypek został ocalony.

IX.

Brzeziniak wierzy w „mamony", uroki, czary i tajemniczą siłę niektórych ziół.

„Mamony" odgrywają tu tę samę rolę co u tatrzańskich górali dziwożony.

Kiej kobiéta má dziecko mawe nim jeszcze pódzie na vyvód, przychodzą mamony ji chcą ją koniecnie zabrać ze sobom. Ráz tak sie stawo. Jedna kobiéta vyswa na dvór viecór. Nie vidać ji nie vidać, chwop ceká, vysed na dvór, ale już ji nie bywo nigdzie, sukali, chodzili nigdzie nie náleźli. Ji tak vyswo trzy lata. Ten chwop byw v jednem lesie ji zabwą"dziuw, przysed do taki vielgi skarpy a tam jego baba praa wachy tem mamonom. Jak ją poznáw, tak ją vziąw

(1) Podaniami temi spowodowany były właściciel Szufnarowy p. Rogójski kazał kopać pod tą rozpadliną. Kopano długo i głęboko, ale się niczego nie dokopano.

ji uciekali ^{u}oboje, zeby jich nie dognawy, ji ^{u}uciekli. A ta baba to miaa takie piersi dugie ji vielgie jaz po kolana, tak ji mamony ^{u}odciągwy. Zaráz v nocy przyswy ^{u}ony za niom do chawpy ji darwy pazurami po ^{u}oknie, chciay ją duchem vziąść, ale jich nie puścili ji poswy, a na trzeci dzień ta kobiéta umarwa, tak ji ^{u}ucyniwy.

Ji u nás na Berdechovie już tak sie stawo, że chciay vziąść nieboszckę Jaskówcyną Jantoniovą ji Jánkovą Bartyzelkę, juz uciekay ^{u}od domu ji móviuwy, ze jich vowawy ji obiecyvawy rózności, zeby swy.

Uroki może dać zły człowiek drugiemu lub źwierzęciu lub nawet roślinie i rzeczy. U człowieka mają one się objawiać bólem głowy i nudnościami. Środek na to bardzo prosty. Bierze się do garnuszka wody, wrzuca w nią trzy żarzące węgle. Jeżeli opadną to są uroki jeżeli nie to ich nie ma. W każdym razie trzeba trzy razy łyknąć téj wody i omyć nią twarz, to uroki ustąpią. Matki to zwykle czynią dzieciom i spluwając na ziemię trzy razy mówią: „na psa uroki, na kota suchoty a na moje piekne dziecko nic!"

Aby złe oczy ludzkie nie dały uroków kapuście, stawiają zwykle w niéj dziada ubranego w łachmany, z fajką w ustach. Jeżeli tego nie ma kto zrobić, zawieszają nieraz głowę konia znalezioną gdzieś w szkarpie, aby złe oczy miały na co paść piérwéj zanim padną na kapustę.

Wszelkie czary określają słowem „ucyniuw mu." Skrzypek jeden drugiemu tak potrafi ucynić, że przerznie strony na skrzypcach a temu vnętrzności v brzuchu. Ráz sie tak stawo, to bywo duzo subjekcyje, dochtorzy go rozbiérali, ale ^{u}on sie—padá—vymáviáw, ze ^{u}on mu jino strony przerznąw a ten ji báciogi miáw przerznięte.

Moc czarowania „cynieniá" przypisują osobliwie chodzącym wędrownym jak „miśkárzom", węgrom, cyganom.

Wspomniałem już o cudowności wianków święconych podczas oktawy Bożego Ciała lub ziół na Wniebowzięcie N. Panny Maryi. Okadzenie krowy nimi chroni od władzy czarownicy; pomocne jest i w kąpieli przeciw róznym słabościom ludzkim. I tak np. chcąc uwolnić dzieci od robaków (glist), robią kąpiel z grochowianki (słoma grochu polnego) i w téj kąpieli smarują dzieciom plecy miodem a gdy „glisty povyszcyniają wby" (łby-to są wyrzuty skórne zwane „siérdami"), golą takowe sądząc, że te „glisty záskórnie" mając łby obcięte, nie mogą być juz dzieciom szkodliwe.

Wierzą, że jest na łąkach ziele zwane „násieźráu.“ Jeżeli która dziewczyna chce być lubianą od chłopców, musi iść o północy zupełnie nago na łąkę i zerwać owo ziele mówiąc:

násieźráu ja cię rvę
piącioma palcami
szóstom dłonią
niech sie chwopcy za mnom gonią.

poczem powinna je nosić zawsze przy sobie.

Na zakończenie podaję kilka wierzeń.

Koniec świata będzie wtedy, gdy się samo czarne bydło będzie mnożyło.

Gdy się kot kręci koło ognia, to będzie mróz.

Gdy kury skakają po izbie tu i owdzie, to będzie wiatr.

Gdy się dzieci bawią i mówią sobie: bam, bam, jak gdyby dzwoniono, to ktoś w domu umrze.

Jeżeli się dzieci bawią kamykami, będzie głód, a gdy piaskiem na gościńcu, to będzie dużo chléba.

Kiedy podczas pogody kogut pieje na płocie albo gdzieś na drzewie, będzie dészcz; gdy to czyni po dészczu, będzie pogoda.

Jeżeli się kurze uczepi słoma u nogi lub u pióra i wlecze się za nią, mówią, że ktoś umrze w domu; jeżeli słoma długa—to dorosły, mała—to dziecko.

Gdy się w piecu wypala a zostanie jeszcze mały ogarek, nie trzeba go tłuc „kociubą“, boby jastrząb brał kury.

Na progu izby nie trzeba drzewa rąbać, bo jak się sér zrobi to będzie pękał.

Gdy się kupi bydlę lub świnię i wyrzuca się dwa lub cztery rajcary „na szczęście“, to za te grajcary trzeba zaraz co kupić i zjeść, aby to bydlę dobrze jadło.

Gdy się sprzeda bydlę, trzeba piéniądze schować do dziéżki chlebnéj to, się temu co kupił będzie wiodło.

Gdy źrébię piérwsze zęby uroni, trzeba je w złób zawiercić, wtedy chociażby je złodziéj ukradł, to przyleci nazad do tych zębów.

Jeżeli jakie małżeństwo postawi figurę przy drodze lub w polu jedno z nich umrze w roku.

Kto chce się stać niewidzialnym, niechaj weźnie czarnego kota wyjdze z nim na granicę wsi i gotuje go tam w nowym garnku, pod

nową pokrywką i nową łyżką miésza. Przeciw przeszkodom szatana niech się zabezpieczy kołem, siedem razy święconą krédą zakreślonéin, i święconą wodą. Po ugotowaniu kota aż do odpadnięcia mięsa od kości, niech każdą oddzielnie kostkę bierze przed siebie i pyta towarzysza z sobą wziętego, czy go widzi? Natrafi naostatek na kostkę, za którą go nie ujrzy i ta go zawsze niewidzialnym czynić będzie. Taką kostkę mają złodzieje kradnący nawet w biały dzień (bielednia) żydom ze straganów towary.

Roman Zawiliński.

OSTATNIE LATA WITOŁDA.

(*Dokończenie*).

Trzy zjazdy miały nastąpić pod koniec nieszczęsnego dla Witołda roku (1429) przedostatniego w jego życiu, aby naprawić to czego jeden osławiony zjazd w Łucku niedoprowadził do skutku. Pierwszy pełnomocników polskich z krzyżackimi miał tuż po opowiedzianych wypadkach odbyć się w początkach października. Miejsce zjazdu Nieszawa. Drugi na granicy węgierskiéj pełnomocników polskich z Zygmuntowymi na św. Marcin. Trzeci nareszcie, w tymże samym czasie jak i drugi, a więc w połowie listopada, zjazd Jagiełły i Witołda na granicach Litwy. Cel wszystkich jednakowy—miała nim być zgoda. Pod takimi atoli warunkami, w jakich pozostawali próbujący jéj, jakżeż mogła ona nastąpić? Z jednéj strony nieszczérość i intryga, z drugiéj podejrzliwość i zła wola, upór i niechęć z obudwu, a wszyscy chcą korzystać z czasu z okoliczności.

Oto co zrobiono po owym zjeździe senatorów w Sandomierzu, prócz wysłania posłów do Witołda! Kancelarya wysyła jednego z sekretarzy królewskich do Rzymu, zaklinając papieża, aby powagą swą zabronił koronacyi. Powtarza prośby, które poprzednio przedłożono przez legata apostolskiego Andrzeja, a nadto żąda wysłania dwóch bull: jednéj do Zygmunta z napomnieniem, aby zaniechał planu koronacyi „który wyląg się w jego głowie za podbudzaniem czartowskiem,“ drugiéj do Witołda, aby zaniechał ambitnego planu a pamiętał na przysięgi Jagielle wykonane. Rzecz najniestosowniejsza, na jaką się tylko można było zdobyć. Pierwsza dlatego, że nieznano jeszcze odpowiedzi książęcéj, wszakżeż król ofiarował mu własną koronę. Powtóre, że rozgłaszano drażliwą sprawę; daléj że

hańbiono Zygmunta, o którym powinno się było wiedzieć, że taką bullę będzie raczéj uważać za podnietę do czynu,—wreszcie, że w złém a fałszywém świetle przedstawiano Witołda, zadawano nową ranę ambicyi i drażniono ją najdotkliwiéj.

Bulle jakich się domagano od papieża ilustrują dokładnie politykę Szafrańców, którzy stérują obecnie na swą rękę nawą polityki koronnéj. O królu niema już mowy.

Staruszek pochlebia zakonowi, bije zwierzynę na polowaniach i rzadsze okazy łosi, jeleni odsyła ze Skawy w upominku dostojnikom zakonu. Chciałby tém dobrze usposobić mistrza na zjazd Nieszawski, mający się odbyć w październiku. Witołd trwoży się, jakby był niepewnym zakonu. Musi mieć wyraźne do tego dane, skoro tak często przypomina Rusdorfowi o niewykluczeniu pieczęci litewskiéj. Mistrz waha się. Sytuacya napięta—zakon mógłby z niéj skorzystać, tém bardziéj że Polacy ustępują i okazują się powolnymi jak nigdy przed tém! Niestety Rusdorf był wykonawcą woli Zygmunta i musiał słuchać co mu zwierzchni pan i opiekun zakonu rozkaże. Szafrańcy ze swéj strony naciskają; chcą mieć, za cenę wielkich ustępstw jakie robią jako zwycięzcy, przynajmniéj rękojmię pewności. Żądają tedy, ażeby miasta pruskie, komturowie, urzędnicy ziemscy zaprzysięgli „*pokój wieczny*“, ażeby przyłożyli do pergaminu swoje pieczęci, słowem aby byli rękojemcami prawości mistrza zakonu i króla Jagiełły. Witołd dowiaduje się, że szanowny komtur Toruński przyobiecał takie rękojemstwo królowi—obawa księcia i niepokój wzrasta, i przebija się wymownie w naglących przypominaniach pod adresem mistrza...

Szafrańcy rozwinęli széroką czynność, połączoną ze stanowczością. Żądają przedewszystkiém, żeby mistrz we własnéj osobie stawił się na terminie zjazdu. Sądzą słusznie, że to byłoby rękojmią szczérości i trwałości ugody, że nadałoby traktatom wagi i znaczenia, zwłaszcza gdy na ten wypadek i król miał być obecnym. Mistrz zawahał się, gdyż spostrzegł dokąd zmierzają Szafrańcy. Dopiéro na dwa tygodnie przed zjazdem oświadcza królowi, jakotéż arcybiskupowi komtur toruński, że mistrz skutkiem ważnych spraw przybyć nie może. O wybieg nietrudno zakonowi. Oczywista, że i król na zjazd nie przybył; zjechali się tylko obustronni pełnomocnicy, aby nawzajem robić sobie wyrzuty z powodu krzywd i nieszanowania traktatu Melneńskiego. Mistrz sam powinien się znajdować na zjeździe, mówią Polacy, czyniąc srogie wymówki pełnomocnikom zakonnym. Rozjeżdżają się strony nie załatwiwszy sprawy; odkładają ją atoli do osobistego zjazdu mistrza z królem, nie wyznaczając nawet terminu.

Skutkiem zjazdu w Nieszawie strony poznały się cokolwiek lepiéj. Niemogło ujść baczności sterników polityki polskiéj, że Krzyżacy ich uwodzą, że komtur toruński mógł rozmyślnie bajać i że nie ma co liczyć na zakon, ani też próbować ugody, chyba żeby przy pomocy tego środka korzystać z czasu. W kancelaryi królewskiéj nastąpiło rozczarowanie; Szafrańcy doznali upokorzenia. Następuje chwila namysłu, ścierania się zdań, stronnictw, słowem polityka zajmuje umysły świeckich i duchownych panów korony. Jest to chwila ważna, która ma zgotować w niedalekiéj przyszłości czyn o doniosłém znaczeniu dla historyi wewnętrznéj Polski. Szafrańcy mają za sobą króla i husytów, i na tych ostatnich znowu całkowicie się opiérają. Przeciwnicy ich w koronie mają za sobą chyba rody swoje i niepewne w obecnych stosunkach w Polsce, bardzo niepopularne hasło *Witołda*. Łatwo przewidziéć po czyjéj stronie będzie zwycięstwo.

Mistrz poznał, że położenie jego staje się coraz trudniejszém, że już grożą Husyci, a on z poza husyckich pleców dopatruje Szafrańca—biskupa Włocławskiego. Śpieszy tedy znowu, aby się listownie pochwalić przed Witołdem ze swéj ku niemu wierności. Oskarża króla o niedotrzymywanie pokoju wiecznego, o sprzyjanie husytom, podnoszącym na nowo głowę, i przedstawia rzecz w ten sposób, jakoby tylko przez wzgląd na żądanie księcia niedopuścił do zgody zakonu z królem. Natomiast domaga się przebiegły mistrz, aby książę, odwzajemniając się zakonowi, wziął pod swą specyalną opiekę sprawy zakonu przy zjeździe panów polskich z litewskimi lub króla z W. księciem, i żeby był rzecznikiem zakonu w obec Polaków. Witołd mógł się cieszyć że zjazd Nieszawski spełzł na niczem.

Wkrótce nastąpił zjazd panów polskich z pełnomocnikami Zygmunta, który teraz dopytywał się króla Jagiełły azali i posłowie Witołda będą obecni na zjeździe. Skoro zaś otrzymał przeczącą odpowiedź „gdyż Polacy sam na sam bez współudziału Witołda chcieli zakończyć z nim sprawę“, zakazał panom Węgierskim jechać do Szramowic na umówiony termin. Czy Szafrańcy zaniedbali donieść o téj odpowiedzi królowi, czy taka taktyka była im na rękę, niewiadomo, dość że król wysłał swych pełnomocników na zjazd—i że ci panowie długo oczekiwali na Węgrów. Baronowie Węgierscy nieprzybyli—a tak drugi zjazd spełzł na niczem. Witołd powtórnie mógł się ucieszyć z klęski Szafrańców.

Czyż w obec tego trzeci zjazd może rokować pomyślność? Miałażby kancelarya zezwolić na to, aby się król korzył przed Witołdem, wyznawał winę i prosił o przebaczenie? Miałażby dopuścić aby król zdał pod sąd księcia sprawy Polski z jéj wrogami,

a wreszcie może i zezwolić na koronacyą? Szafrańcy zanadto wysoko stanęli w zamąconéj przez się opinii Polski, ażeby mieli zajęte stanowisko opuszczać, zanadto pewni byli zwycięstwa, ażeby go się zrzekać. I gdy za ich przyczyną husyci podnieśli na nowo zwycięski oręż, podjąwszy zbrojne wyprawy, gdy zagrożony postrachami zakon prosi Jagiełły, aby na wypadek napaści ze strony husytów raczył mu pomódz, gdy książęta Szląscy jedni błagają ratunku u Zygmunta, który nadaremnie zwoływał reichstag do Wiednia i znowu powtórnie zwołuje do Preszburga, polityka Szafrańców odnosi zwycięstwo w Polsce. Senatorowie świeccy i duchowni nic śmią się jéj sprzeciwić, nie chąc sobie narazić króla. Wśród tych okoliczności król miał jechać na Litwę, celem porozumienia się z Witołdem. Jakby przygotowując ostatniego, iż nie dozwolą na upokorzenie się króla, wysyłają Szafrańcy doń list, mający go przekonać, iż wina z powodu nieprzyjścia do skutku zjazdu w Szramowicach leży po stronie Zygmunta. Napróżno usiłuje Witołd w ostrym tonie przekonać króla, że zjazd nie mógł przyjść do skutku, gdyż posłowie litewscy nie byli obecni; napróżno usprawiedliwiał Zygmunta, który najwyraźniéj oświadczył przez usta posła, że tylko pod warunkiem gdy i Witołd będzie uczęstnikiem zjazdu, obeśle takowy. Kancelarya na to wszystko była głucha i wyzyskiwała fakta w ten sposób, iż coraz więcéj skarbiono sobie stronników. Witołd widział to i pojmował dobrze, że Szafrańcy budują swą politykę już tylko na husytach, że powtórzą się zajścia i układy z wiosny i lata tego roku, że tu już nie chodzi o jego koronę, ale o supremacyą Polski nad Litwą i że myśl ta przechodzi powoli w krew polityków polskich, skarbiąc sobie coraz możniejsze stronnictwo.

Możemy się dorozumiewać, że Witołda bolało to do żywego— témbardziéj gdy butni politycy krakowscy, jakby się chełpiąc z tego i grożąc mu, układali doń listy w imieniu króla z nowinami o zwycięstwach husyckich na Szląsku i Łużycach. Niemogąc położyć tamy wybuchom namiętnego gniewu, posunął on otwartość do tego stopnia, iż w odpowiedzi swéj wyrzucał królowi szowinizm i hipokryzyą. W liście tym wykazywał Witołd, że król nadaremnie wysyłał swoich baronów do Węgier, gdyż zjazd bez jego współudziału niemógł się obyć i pisał daléj:

Z nowości podajecie nam o oblężeniu ks. Żegańskiego przez husytów, o ich zwycięstwach w Łużycach tudzież że heretycy w niektórych baronach króla Zygmunta pozyskali nowych adherentów. Zaiste w głębi serca ubolewam nad temi nowościami i smucę się z powodu ucisku jakiego doznają wyznawcy Chrystusa od heretyków. Ani też wypada wam weselić się z tego powodu, aby coś po-

dobnego nie zaszło i w waszém królestwie; tak już dość popuściliście cugli takim Puchałom, Szafrańcom i Siestrzeńcom, iż już publicznie trzymają stronę heretyków. I teraz to bowiem wielu Polaków z krakowskiego publicznie przyłączyło się do Puchały przy jego powrocie do Odry; otrzymali odeń żołd i bez przeszkody wyszli z waszego królestwa, a ci którzy przedtem zwykli się byli z nim znosić i obecnie skoro tylko ich wola, bez obawy i przeszkody udają się do niego!... Pisze nam nadto wasza kr. mość, iż doszły was wiadomości, jako król Rzymski zbiera wojska, machiny oblężnicze i armaty, lecz w jakim zamiarze—nie wiecie. A skoro wy nie wiecie, my dobrze wiemy, że przygotowuje się przeciwko heretykom, z zamiarem odebrania im niektórych zamków na Morawie, dokąd już wysłał część wojsk swoich, jak to się z załączonych kopij jego listów możecie przekonać... Sądzicie w końcu, jakoby niewiadomy był nam powód owych częstych poselstw Siestrzeńca do Taborytów, tudzież posłów taboryckich do Szafrańców i do waszéj kr. mości? Wiemy nadto dobrze, o czem zapewne i inni wiedzieć muszą, że nie uczyniłby tego, gdyby mu to ze strony waszéj kr. mości było wzbronioném...

Taki ton mowy Witołda niemógł przygotowywać zgody z królem. Książe otwarcie wyrzuca królowi przewrotność, wskazuje na indywidua, którym ciska z pogardą rękawicę, nie oszczędzając bynajmniej ani ich charakteru ani wysokiego stanowiska. Pewno, że Szafrańcy na takie wezwanie nie będą towarzyszyć królowi na zjazd grudniowy, a król bez radców nie będzie mógł niczego stanowić z Witołdem. Nadzieje więc trzeciego zjazdu są mniéj niż złudne. Odbył się on w Krynkach około Grodna a był raczéj zwykłémi odwiedzinami króla, który przez pół wieku zwykł był święta bożego narodzenia przepędzać wraz z Witołdem w ojczystéj Litwie. Losy zechciały, że były one ostatniemi; Witołd nie miał przyszłych doczekać. Żaden z baronów polskich nie towarzyszył królowi—sam tylko z orszakiem przybywa do Litwy. Długosz dość charakterystycznie opowiada, że król tego roku przepędził świątki bożego narodzenia wbrew zwyczajowi—na Rusi...

A gdy zdradziecki zakon wraz z Zygmuntem z niepokojem w duszy oczekują rezultatu zjazdu i gdy kancelarya wertuje kopje listów Zygmuntowych (które przysłał był Witołd) i odkrywa podejrzane ustępy, słucha Jagiełło całéj burzy wyrzutów, jakimi go obrzuca zbolały książe. Przywykły do tego rodzaju występów w Polsce, przygotowany zresztą na to ostrym tonem listów książęcych i uzbrojony w instrukcye od Szafrańców, nie doznał Jagiełło głębokiego wrażenia, nie odczuł całego ogromu boleści Witołda. Stary król, nie zdobył się w téj chwili na wiarę niewiernego Tomasza—tak dalece

zaufał Szafrańcom, tak głęboko umieli oni osadzić w sercu jego zarodki podejrzeń i niewiary. Może i błagał księcia, aby odstąpił od planu koronacyi? Któż to wiedzieć może, zwłaszcza, gdy cała jego podróż nie mogła być na rękę uprzywilejowanym dygnitarzom kancelaryi, wbrew których woli i podjętą była? Sędziwy i złamany król poświęcił już w duszy los brata, los ojczystéj Litwy, cześć i ambicyą księcia na ołtarzu dynastyi, którą chciał ugruntować w Polsce.

Na dniu 29 Grudnia, we czwartek po bożem narodzeniu, mieli się rozstać bracia bez nadziei zgody. Było to w Grodnie. Król pouczony od Szafrańców, usiłuje zastraszyć księcia husytami, wynurzając się przed nim, że husyci domagają się wolnego przejścia przez Polskę celem napadu na Prusy lub Litwę. Przyzwól im na to, rzecze Witołd z ironią—niechaj napadną na Litwę; będzie to godnem waszego kraju i królewskiéj korony! Natenczas król znowu jak dawniéj upraszał księcia, aby na wypadek, gdyby husyci zamierzali napaść na Polskę, zapewnił mu pomoc ze swéj strony. Można się dorozumieć co odpowiedział na to Witold i że miał dogodną sposobność do domagania się, aby król ze swéj strony na wypadek napadu husytów na Prusy, udzielił zakonowi pomocy. Król jak na wszystko odpowiadał i na to żądanie, że odpowie na nie na przyszłym zjeździe panów rady koronnéj. A gdy podobnie i na inne znane nam żądania brzmiała odpowiedź króla, nie dziwna, że Witołd postanowił nie oglądać się na zjazd wiosenny Polaków i przyjąć koronę, skoroby mu ją Zygmunt przysłał. Rozstanie się króla z księciem było chłodne.

Nazajutrz w piątek przybył do Grodna jakiś rycerz polski i prosił o natychmiastowe posłuchanie u księcia. Był nim Ciołek z rodziny Stanisława biskupa Poznańskiego, faworyta i kreatury Witołda. Ciołek oświadczył, iż objawi księciu, kto pomiędzy nim a Jagiełłą sieje ziarno niezgody i waśni. Zaciekawiony książe żąda objawienia, przyobiecując, iż rzecz całą jakotéż imię donosiciela zachowa w tajemnicy, któréj jak zaręcza Długosz, nigdy nie dochowywał. Ciołek prawił:

„Znasz dobrze wasza ks. mość Hanusza Stemberga powiernika zakonu i Lansego komtura Toruńskiego, którego tak często wysyłał mistrz do króla Jagiełły. Otóż opowiadał mi Hanusz, że tak on, jako-téż rzeczony komtur, z polecenia mistrza musieli objawić królowi, jako wasza ks. mość własnémi usty kalałeś sławę i cześć królewskich dzieci, wyrażając wątpliwość, ażali byłyby one prawego łoża. Z téj to przyczyny zamierzał król uczynić mistrza opiekunem swych dzieci i państwa i proponował zakonowi związek przeciwko waszéj ks. mości.“

Musiała uderzyć i zastanowić Witołda taka wiadomość. Jakkolwiek podejrzywał on i znał zakon, lepiéj zapewne aniżeli ktokolwiek inny i dawno domyśliwał się prawdy, czuł jednak obecnie potrzebę oparcia się na nim i nie myślał z nim zrywać, ani téż dać do poznania Ciołkowi, że już przedtém domyśliwał się prawdy. Udając przeto oburzenie odrzekł Ciołkowi, iż jego doniesienie jest fałszem i że książe jest całkowicie przekonany o nieprawdzie tego doniesienia. „W. mistrz, wierzę w to mocno, nigdyby czegoś podobnego nie powiedział, były słowa Witołda.

Misya Ciołka, a możnaby wnosić, że była wykonaną w imieniu całego stronnictwa, nie powiodła się. Co ważniejsza dla historyi intrygi, że Witołd nie przypuszczając wobec Ciołka, aby mistrz miał coś podobnego powiedzieć królowi, narażał się u tych, którzy o tym sekrecie wiedzieli, na najrozmaitsze podejrzenia. Znawcy sekretów królewskich, chcący tyle rzeczy wiedzieć o dumnych zamysłach i niepohamowanéj ambicyi księcia, mogli go obecnie i o to na seryo podejrzywać, że oczerniał przed mistrzem młodych Jagiellonów i że wobec tego prawne upewnienie sukcesyi Jagiellonów staje się koniecznością.

Słowem najgorsze domysły szerzyli w Polsce Szafrańcy ugrupowani w możne stronnictwo „ta nowa rada,“ jak ich pogardliwie nazywał Witołd. I jakżeż się szerzyć nie miały, pytamy, skoro sam Witołd podawał im oręż do ręki. W kopiach listów Zygmuntowych, które kazał był sporządzić królowi jeszcze przed zjazdem w Krynkach, znajdowały się ustępy podejrzane, nasuwające myśl każdemu uprzedzonemu zwolennikowi kancelaryi królewskiéj, że Witołd był w zmowie z Zygmuntem, chociażby go miał nawet orężem poprzeć przeciwko Jagielle, że żąda odeń korony i separacyi Litwy. W skutek „głębokiego“ zapewne namysłu postanowiła kancelarya nakłonić króla, aby z tego powodu zainterpelował Witołda. Zebrała nadto wiele grawaminów mieszczących się w dość sporéj ilości artykułów skierowanych przeciwko Zygmuntowi, z żądaniem aby je Witołd przesłał oskarżonemu.

Żądania takowe niepoparte argumentami, wobec widocznego zamiaru i czynów świadczących o chęci szkodzenia Zygmuntowi, zdały się być Witołdowi impertynenckiemi. W istocie były niemi, skoro pomimo propozycyi zjazdu z Zygmuntem, pokątnie i tajnie wspierano największych jego wrogów husytów, skoro zresztą król nie chciał w Łucku ani słyszeć o tém, aby książe rozstrzygał jego spory z Zygmuntem. Odpowiedź przeto Witołda była więcéj jak ostrą; możnaby twierdzić, że była zuchwałą.

„...Artykułów skarg—pisze on do króla—któreście nam przysłali wysłuchałem. Żądacie, abyśmy je od siebie przesłali królowi Rzymskiemu z wymówkami i skargą. Pomiędzy tymi artykułami jednakowoż, żadnego nie znalazłem, abym na jego podstawie był uprawniony do sądu, że król Rzymski wykroczył w czémś przeciwko związkom i zaprzysiężonym z wami układom. Bo gdyby nawet było w którémś z artykułów coś ważnego, jak co do rozporządzenia dotyczącego kupców i ceł granicznych, jako-też w sprawie zamknięcia dróg handlowych, rzeczy te powinny być załagodzone przez prałatów i panów waszych państw. To też wielce zdziwiłem się wraz z obecnymi tu w Przewałkach bojarami, z powodu wyraźnego żądania, abyśmy całą winę waszą wzięli na swe barki, wypisali królowi Zygmuntowi te impertynenckie artykuły, oskarżając go—was zaś usprawiedliwiając. Zechciejcie przypomnieć sobie, że przecież król Zygmunt wręczył nam w Łucku wszystkie dokumenta wzajemnych ugod i zapisów, abyśmy je przedstawili waszéj kr. mości, a wyście o nich ani słyszeć ani je widzieć chcieli, ani też kompromisu w ręce nasze złożyć, jakobyście mieli nas w podejrzeniu. Na jakiéj tedy podstawie wypada nam, jak tego żądacie, obwiniać króla Zygmunta a Was uniewinniać? Jeżeli się Wam podoba, uczyńcie to sami przez posłów, których doń zamyślacie wysłać! Z moim honorem niezgadza się pisać doń czegoś podobnego, już to że nie postępujecie według treści naszych wspólnych zapisów, już-to że nie złożyliście kompromisu w nasze ręce... Z kopij listów króla Zygmunta, któreśmy Wam przed zjazdem jeszcze byli przesłali, przekonywujecie się, jako król Zygmunt zasiał ziarna niezgody pomiędzy nas, że żądał odemnie pomocy przeciwko waszéj kr. mości. Posiadamy po dziś dzień listy Zygmunta, a w nich nigdy pomocy orężnéj przeciwko wam nie żądał, lecz prosił, abyśmy stali przy jego sprawiedliwości i ją rozeznawali. I drugi też list a mianowicie ustęp „abym przenikliwym wzrokiem baczył w koło siebie i niedał się obejść w mych sprawach,“ wytłómaczono wam wykrętnie, gdyż król Zygmunt ma tu na myśli naszą koronacyą i zwraca mą uwagę, abym się nie dał odwieść od takowego zaszczytu. I słuszna; gdyż dobrze wié, iż posyłacie posłów do Ojca świętego i do niego, znieważając nas i poniżając, jakobyśmy niegodnymi byli zaszczytu korony. Dlatego to pisze, abym nie dał się uwieść czyimś prośbom, ani też pozostawał we wstydzie i hańbie.“

List ten dokładnie charakteryzuje stanowisko Witołda do króla i nawzajem—po owych trzech zjazdach pod koniec roku 1429. Jeżeli zaś z drugiéj strony, tak szorstkim swym tonem, jak goryczą i wyniosłością, otwiera zranione serce księcia i objawia wszystkie

uczucia, jakiemi przepełnione są tajniki zbolałéj duszy i jest zarazem dobitnym dowodem podnoszonéj przez Długosza szczerości księcia—to drugi list, jaki w parę dni do mistrza pisać kazał, dowodzi, że Witołd względem zakonu aż nadto był politykiem, aby się dać powodować uczuciom, chociażby i bardzo zbolałego serca. Książe każe opowiedzieć mistrzowi szczegóły rozmowy z królem, o ile ona dotyczy zakonu, załącza daléj odpowiedź na artykuły, słowem wszystko co dotyczy zakonu i Zygmunta. Wreszcie opowiada o owém tajném poselstwie „znakomitego rycerza polskiego“ nie wymieniając jego imienia i wyszczególnia całe doniesienie, które już z góry uważa za potwarz rzuconą na mistrza. To téż kilkakrotnie zaręcza „że nie wierzy doniesieniu i że pisze o tém mistrzowi z tego powodu, gdyż ma we zwyczaju o wszystkiem doń pisać.“ W końcu zaklina, aby się nie usprawiedliwiał, ani téż kiedy o tém wzmianki czynił, gdyż on téj baśni nie daje wiary.“

Tak pisał Witołd do mistrza na dniu 1-go stycznia 1430 roku. Witołd był nieszczérym względem Russdorfa, z którym wiąże go twarda rzeczywistość i smutne okoliczności. Udając nieograniczone zaufanie mógł go tylko pozyskać, gdy przeciwnie szczerym wybuchem gniewu odtrąciłby go wprost do obozu Szafrańców. Nadto udaną szczerością i wiarą w szlachetność zamiarów mistrza odciągał mistrza od Szafrańców, nie wzbudzał czujności i ostrożności w zakonie, mógł łatwiéj śledzić jego czyny i zapobiegał dalszéj a potwornéj intrydze fałszywéj i obłudnéj *Świętéj duszy*. Gdyby był o tém nie doniósł mistrzowi, Rusdorf i bez tego dowiedziałby się o zajściu w Grodnie, podwoiłby czujność a stosunek pomiędzy nim a zakonem byłby naprężony. Witołd sam siebie okłamuje, gdyż żywi podejrzenia ku Rusdorfowi a nieśmie ich okazać; dlatego to zakazuje nawet usprawiedliwiać się mistrzowi, aby nie wyczytywać z pomiędzy wierszy podłości zakonu i nie utrwalać się tém samem w podejrzeniach. Zraniona ambicya i polityka, każą być Witołdowi nie szczerym wobec mistrza, tłumić mnożące się podejrzenia i chociażby oszukiwać samego siebie...

Rosterk pomiędzy władcami Polski a Litwy wpływa niepomału na wzrost husytyzmu i zwycięstwa kacerskich Czechów. Zygmunt zamierzał przez zamieszki wewnętrzne odciąć Polskę od Czechów, dotychczas atoli celu nie dopiął, gdyż one jeszcze nie zupełnie dojrzały, aby mogły sparaliżować znaczenie i wpływ korony na zewnątrz. Przeciwnie, kancelarya widząc w Zygmuncie nieprzebłaganego wroga, zdawała się tylko wyczekiwać sposobności, aby jak dawniéj wpływać na Cze-

chów i utrwalać ich w rokoszu przeciwko Zygmuntowi. A chociaż domysły Zygmunta o podżeganiu husytów przez Szafrańców były uzasadnione, nie miał on jednakowoż namacalnych dowodów, aby temu zapobiedz, gdyż Szafrańcy tak skrycie układali swe plany, iż trudno je było pochwycić dla oskarżenia Polski wobec świata o wspólnictwo z wyklętymi przez kościół kacerzami.

Stosunek tedy Zygmunta do husytów był wcale nie do pozazdroszczenia. Był on właściwie w wojnie z nimi (gdyż rozejm skończył się pod jesień r. 1429) z tą tylko różnicą, że gdy husyci ustawicznie niszczyli jego kraje, on niemiał nawet broni do odparcia wrogów. Reichstag w Wiedniu nieprzyszedł do skutku, król zachorował i zaprosił elektorów do Preszburga, gdzie uchwalono zwołać przyszły reichstag na dzień 5 marca do Norymbergii. A stało się to w Grudniu 1429 roku, wśród warunków nader niepomyślnych. Husyci bowiem wtargnęli już do Saksonii, do Miśnii, potém do Frankonii, niszcząc do szczętu te bogate kraje, trafiając w samo serce wrogich sobie Niemców.

Ta zwycięzka wyprawa, jak z jednéj strony połączyła na chwilę podzielony na liczne a wrogie sobie stronnictwa naród czeski, tak z drugiéj pogorszyła i tak już fatalne położenie Zygmunta. Pogorszył się tém głównie stosunek Zygmunta do Rzeszy Niemieckiéj; kredyt królewski podkopali husyci zupełnie. Brandeburczyk, wróg Zygmunta a kreatura i sojusznik Polski, jakby jaki reprezentant państwa Niemieckiego, zawarł z dowódcami zwycięskich husytów pokój w Beheimstein 11 lutego 1430 roku. Artykuły tego pokoju, dotkliwie obrażające Niemcy, utworzyły podstawę do przyszłych kompaktatów z husytami. Były one i policzkiem wymierzonym Zygmuntowi, o którym nawet mowy nie było, a na mocy jednego artykułu uchwalono poufną dyskusyą z husyckimi doktorami na jesień w Norymberdze, dokąd to Zygmunt na wiosnę zwoływał głowy swego państwa! Gdy obaj Prokopowie dnia 21 lutego odbywali tryumfalny wjazd do Pragi, naliczono w Saksonii i Miśnii 18 miast i 1.400 wsi zniszczonych przez oręż i pożogę husycką. W górnéj Frankonii skutki napadu przedstawiały jeszcze gorszy obraz zniszczenia. Nie było już tam czego liczyć. Frankonia była pustynią.

Zaledwie przeminęła trwoga, wywołana napadem husytów na Niemcy, podnieśli dumne czoło polscy husyci na Szląsku. Dobek Puchała zbiera Sierotki, na czele 10.000 wojska przechodzi Odrę i łączy się z Korybutem. W sąsiedztwie Polski i jakby pod jéj opieką, starają się ci Taboryci usadowić i zajmują silne stanowiska. Korybut zajmuje Gliwce, Puchała Kluczborek. Z nimi łączy się Bolko, Opolski książe, wraz z wielą *szlachetnymi*. Stało się to w marcu

i w pierwszéj połowie kwietnia 1430 roku. Równocześnie silny oddział husytów kieruje zwycięzki oręż swój na Węgry. Wszędy popłoch i trwoga do nieopisania.

Cóż się dzieje równocześnie w Polsce. Oto głoszą tam Szafrańcy, że husyci mają napaść na Polskę lub na Prusy i strasząc tém mistrza, usiłują pokryć wsparcia udzielane husytom na Szląsku. Król kilkakrotnie pisze do Witołda, prosząc o pomoc, tak, że tenże na chwilę waha się i nie wie, wierzyć-li Zygmuntowi, który ustawicznie oskarża Polskę o związki z husytami, czy też wierzyć królowi błagającemu o pomoc.

Wsparci o husytów zajęli Szafrańcy względem Zygmunta wyzywające stanowisko. I gdy tenże w Preszburgu żegnał książąt elektorów, spieszny goniec przybyły z Rzymu wręczył królowi Jagielle owe wyżebrane bulle, których treść dostatecznie już znamy. Kancelarya odesłała je adresatom: Witołdowi i Zygmuntowi. Zygmunt otrzymuje je w chwili tak upokarzającéj, że przysłania nie mógł nie uważać jako dotkliwego ciosu i szyderczéj ironii ze strony Szafrańców. On szydził sobie z króla strasząc go koroną, którą zdala okazywał Witołdowi, a tu papież wręcz mu jéj zakazuje przysyłać księciu i to podtenczas, gdy husyci wymierzają cios w serce Niemieckiego państwa a trwoga opanowuje wszystkich jego poddanych. Miotany bezsilną złością, oczekuje jakie wrażenie sprawi bulla na Witołdzie. List księcia, na który z niecierpliwością oczekuje, ma dodać mu odwagi. Witołd w odpowiedzi na machinacye Szafrańców, zażądał od Zygmunta przysłania korony i wyznaczenia terminu na uroczystość koronacyjną.

Z drugiéj strony znowu niepodobna działać wbrew rozkazowi papieża. Mogłoby to jeszcze bardziéj osłabić jego wpływ w Niemczech. Papież Marcin w kwestyi husyckiéj polegał zawsze tylko na Polsce; na wypadek sprzeciwienia się rozkazowi, mógłby rozstrzygnięcie kwestyi zdać na Polskę, a cel odcięcia Polski od Czechów mógłby być całkowicie chybiony. Ucieka się przeto Zygmunt do zwykłego środka, do wybiegów dyplomatycznych. Pisze do księcia Medyolańskiego, do przyjaznych sobie kardynałów mających wpływ na papieża, zaręczając, że jak to był poprzednio listami Witołda udowodnił, sam król Jagiełło dał powód do podjęcia myśli koronacyi, gdyż sam na nią zezwolił, że on (Zygmunt) żywi największą przychylność i powolność ku Ojcu świętemu, lecz w tym wypadku musi go przestrzedz, że przez intrygi Polaków jest źle poinformowany. „Nienależało—pisze Zygmunt do kuryalistów—pisać Witołdowi tak surowo i to bez wszelkiéj przyczyny. Styl bowiem apostolskiego pisma jest mocno nadęty i w dość zawiłym sposobie pisania i nas sa-

mych dotyka. Boga powołuję na świadka, że przecież nie *obyczajem szatana, który jest ojcem niezgód i waśni pobódką*, lecz ku chwale Wszechmogącego Pana, dla bezpieczeństwa i spokoju chrześcijaństwa a na postrach niewiernych i pogan, podjąłem to dzieło koronacyjne. Podjąłem je za zezwoleniem króla Polski i zamierzam dokonać na złość wrogom naszym. Zrobię wpoprzód protestacyą, że ta koronacya nie obrazi w niczém związków i unii Polski z Litwą, ani téż będzie gwałtem przeciwko niéj wymierzonym... Spodziéwam się, że i elektorowie państwa zapobieżą obmowom i oszczerstwom Polaków, zapomocą takowych informacyi, któreby Ojca świętego powstrzymały od wysyłania podobnych pism. Co atoli nie przeszkadza Wam (mówi do księcia Medyolańskiego) abyś wysłał natychmiast któregoś z sekretarzy twoich do Ojca świętego, aby tenże na przyszłość podobnych pism nie wysyłał, lecz raczéj utrwalał Witołda w zamiarze koronacyjnym, jeśli uzna to za stosowne. Wierzę bowiem na pewno, że przez taką koronacyą wypłyną dla świata chrześcijańskiego pomyślne skutki, powróci ona miłość pomiędzy braćmi—przeciwnie zaś, gdyby nienastąpiła, powstanie wieczna niezgoda pomiędzy nimi, poczną się gwałty i wojny (jak tego dowodzą listy Witołda) jeżeli Ojciec święty nie zarządzi inaczéj. Bądź przeto troskliwym w téj sprawie, jak tego wymaga jéj ważność. Jeżeli bowiem i na dal niesłusznie sromocić będą Witołda wobec Ojca świętego, wstydzić i poniżać księcia i jeżeli Papież zgadzać się będzie z podżegającymi go Polakami,. porozumienie i zgoda nasza z kuryą, za Twoim i elektorów wpływem uskuteczniona, nie mogłaby trwać daléj, gdyż to uwłaczałoby powadze naszéj imperatorskiéj. Poniżeniem księcia wyrządzonoby i nam obrazę, gdyż my sprawy jego poczytujemy za swe własne. Mamy nadzieję, że wasza książęca mość, ze względu na dobro chrześcijaństwa, zapobieżysz, aby nie uwłaczano powadze naszéj i aby uniknięto zgorszeń, jakieby z tego powodu wyniknąć mogły.“

Takie i tym podobne a charakterystyczne pisma Zygmunta nie zmieniły poglądu kuryi na całą sprawę, a tém mniéj pobudziły ją do odwołania bull admonicyjnych. Zygmunt sam nie uwierzył, aby mógł za pośrednictwem swych przyjaciół uzyskać coś podobnego w kuryi. Czyni on to, aby przewlec sprawę, tém bardziéj skompromitować zawiłą intrygę łucką uniemożliwić zgodę pomiędzy braćmi. Oto co odpowiada Witołdowi na jego stanowcze żądanie! To że mu koronę wyśle i oznacza na ten cel (daleki!) termin 8-go września. Dlaczegóż jéj księciu zaraz nie posłał? Bo on korony Witołdowéj nie brał tak na seryo, jakby to się z listów jego wydawać mogło. Wobec groźnéj chwili jaką mu zgotowali Szafrańcy, wobec bull pa-

pieskich wypadało zwlekać. Może się nadarzy późniéj pomyślniejsza chwila, w któréj będzie mógł się wywiązać z danego słowa.

Kunktatorstwo Zygmunta i tę nieszczerość względem Witołda, potwierdzają w pełni listy jego do księcia pisane. Oskarża on w nich Polaków o sprzyjanie husytom, posądza o tajemne związki, dziękuje księciu za obronę spraw swych wobec Jagiełły i ręczy, że książęce sprawy leżą mu na sercu jakby i własne. A te własne sprawy przedstawiał Witołdowi w różannych kolorach, pomimo, że w rzeczywistości były jak najopłakańsze. Witołd atoli nie tak łatwo dał się komu oszukać i wiedział co się święci, że husyci wsparci przez Polskę, stają się panami sytuacyi. To też mogło go zastanawiać, że Zygmunt tak późny naznacza termin na koronacyą.

Jak z powyższego wnosić można, stronnictwo Szafrańców przygotowuje dnie zwycięstwa nad Witołdem. Przy pomocy husyckiéj polityki zaszachowano Zygmunta i zakon, salwując nadto honor Polski. Witołda izolowano. Do podjęcia z nim walki, trzeba atoli pewności zwycięztwa. Nastąpi ono niechybnie wtedy, skoro król cały naród drużyn szlacheckich, przewodników rodów rycerskich, będzie mieć za sobą. A więc duchowieństwo, możnych i szlachtę pozyskać trzeba, by sparaliżować całkowicie wpływ Witołda na przychylnych mu radców korony, by zmusić stronników Witołda do złożenia broni, innych zaś przynęcić ustępstwami. W tym celu zwołał król zjazd duchowieństwa i możnych do Jedlny.

Zjazd Jedleński przejednuje króla z duchowieństwem i możnowładztwem Polski, przez nadanie ustępstw jakich się napróżno domagali przed pięciu laty. Stronnicy Witołda musieli umilknąć; już nie będą jak dawniéj upornie popierać żądania książęce, król zaś nie będzie już w przyszłości z atrybucyi swéj korony robić tego użytku, aby miał straszyć senat i przewódców rodów, iż skoroby przystali na żądanie Witołda, on cofnie przywileje stanu szlacheckiego. Dokument Jedleński z 4-go marca 1430 roku, o wielkiém znaczeniu dla historyi wewnętrznéj Polski, jest rękojmią tego przejednania. Ceną wielkich ustępstw, gdyż nowym wyłomem idei monarchicznéj w Polsce, okupuje Jagiełło przyrzeczenie duchowieństwa i szlachty, że po jego zgonie obiorą na króla i dziedzica jednego z synów, targuje się o winną mu wierność i posłuszeństwo poddanych.

Dla nas ma przywilej Jedleński skąd inąd wielkie znaczenie. Pominąwszy już tę okoliczność, że na jego mocy nie jest już Witołd tutorem państwa i małoletnich królewiczów na wypadek śmieci Jagiełły, jak o to się dawniéj ułożono, że nie zasięgnięto od Witołda rady ani zezwolenia na uchwały, znajdujemy nadto w dokumencie tym artykuły, wymierzone wprost przeciwko unii Horodelskiéj. Trak-

tatem tym międzynarodowym zabezpieczyli Polacy jak i Litwini w 1413 r. wolny wybór tak króla jak i wielkiego księcia za zgodą i zezwoleniem drugiego narodu. W przywileju Jedleńskim nietylko że nie przyzwano Litwinów do zgody na uchwałę dotyczącą następstwa młodego Jagiellończyka w Polsce, ale wyznaczono go na pana i dziedzica krajów Litwy i Rusi „które Witołd tylko w dożywocie dzierży, po jego śmierci zaś prawym i dziedzicznym spadkiem wracają do potomków króla i korony Polskiéj.“ Wykluczono przeto prawo elekcyjne dane Litwinom na mocy unii Horodelskiéj, a stawiono natomiast prawo dziedziczne. Litwę obrabowano z praw przysługujących jéj mocą unii i rozporządzano nią jakby prowincyą podbitą, węzły unii narodów deptano bezecnie nogami. Gdyby przynajmniéj uchwalono prawo dziedziczne w Polsce? Dokument zawiera same tylko ustępstwa same przywileje. Genealogije szlacheckie otrzymawszy po egzemplarzu przywileju Jedleńskiego, mogły się pochwalić przed bracią zwycięztwem odniesioném nad królem i zachęcić je do obrony Jagiełły w spodziewanéj walce z Witołdem. Cóż bowiem w zamian uzyskał król od obdarowanych? Oto uchwalono nieprzepuścić korony, którą miał Zygmunt przysłać Witołdowi, a do księcia miano wysłać poselstwo z napomnieniem go do zgody z królem i do zaprzestania knowań o koronę. Zajęto stanowisko silne i wyzywające.

Szafrańcy święcą dni tryumfu nad Witołdem i jego polityką. Ich marzenia o zniżeniu Litwy do podrzędnego stanowiska prowincyi koronnéj, zdają się urzeczywistniać. Zachęcone ustępstwami duchowieństwo i możnowładztwo będzie już bronić zainaugurowanéj polityki. *Nowi ludzie* robią nowy kierunek polityki rzeczywistością.

Witołd przewidywał, że zjazd Jedleński przeciwko niemu głównie będzie wymierzony. On mógł się domyślać, że Szafrańcy opanowawszy całkowicie starego króla, ukują nań oręż i przygotują Polskę do walki. Tego atoli nie mógł przewidywać, że pominąwszy jego radę i radę litewskiego senatu, zawyrokują o przyszłych losach Litwy i zniżą ją do stanowiska koronnéj prowincyi. Witołd rachował na swych przyjaciół i zwolenników w Polsce.

Dowodzi tego ten szczegół, że na zjazd Jedleński wysłał był zdolnego swego sekretarza Małdrzyka, zaopatrzywszy go w otwarte pisma do prałatów i baronów polskich z usprawiedliwieniem zamierzonéj koronacyi, którą już jako niechybnie nastąpić mającą zapowiedział. Długosz znający widocznie treść tego pisma, podnosi, że Witołd użalał się na Jagiełłę, iż tenże oskarżył go przed papieżem i królami chrześcijańskimi, jakoby ze szkodą jego królewstwa czynić miał zabiegi o koronę, nie pomnąc na to, że sam był na nią zezwolił.

Znając całą sprawę a nadto treść pisma, które Witołd poprzedniego roku był wysłał do panów koronnych, możemy się dorozumiewać o treści i celu obecnego. Książe nie ukrywał prawdy a zamierzał osłabić wpływ Szafrańców. Szafrańcy zwyciężyli.

IV.

Sekretarz książęcy Małdrzyk wrócił z Jedlny 15 marca i doniósł Witołdowi o związku baronów z królem, o przywileju Jedlińskim i o tem, jako baronowie zamierzają odpowiedzieć księciu na jego zażalenia przez poselstwo i że ono w wielki piątek ma przybyć do Grodna. Witołd odczuwa cios, lecz już nie odkrywa rany przed mistrzem Rusdorfem, lecz pisze doń, by go przykuć do siebie, by pozornym aliansem z zakonem zrównoważyć przynajmniéj alians Szafrańców z husytami. Dając tedy znać mistrzowi o zjeździe Jedleńskim—dodaje Witołd ze swéj strony—że niespodziewa się od mających doń przybyć posłów niczego innego jak nowéj zwłoki i wymijania żądań i uprasza mistrza, aby na dzień przybycia posłów wysłał ze swéj strony kilku komturów, a to w tym celu, iżby Polacy widzieli, że książe z zakonem jest w jedności i żeby komturowie, będąc obecni przy odprawie posłów polskich, tém lepiéj mogli o niéj poinformować w. mistrza. „Okaże się potrzeba—pisze daléj Witołd—to będziem mogli zjechać się osobiście po nadchodzącéj wielkiéj nocy około Jurgenburga lub Christmemla, w czasie kiedy się to Wam podoba. Będziem tamże mogli naradzić się nad sposobami, któreby mogły zapewnić nam bezpieczeństwo na wypadek napadu na Litwę lub Prusy ze strony Polaków. Skoro-by zjazd takowy miał być zbytecznym, natenczas zawiadomi was o tém komtur, którego wyślecie do nas. Gdyby zaś zjazd osobisty miał się Wam wydać niestosownym, to jednakowoż wyślijcie do nas waszych komturów na dzień przybycia posłów polskich—co waszéj dobréj woli pozostawiamy do rozstrzygnięcia. Gdy zaś Polacy nie zezwolą na naszą koronacyą i nas i nasz kraj niewolić będą, tém bardziéj zmuszeni będziemy wziąść na skronie nasze koronę, żądając wolności naszéj, jak o tém pisaliśmy do króla Zygmunta, o czém wiecie z kopij przysłanych wam listów. W tejże sprawie piszemy obecnie znowu do tegoż króla, poślijcie mu załączone listy do Norymbergii.“

Taktykę ową ze strony księcia przewidują sprytni Szafrańcy. Domyślając się słusznie, że Witołd postanowił im na przekór działać i pomimo uchwał zjazdu Jedleńskiego, próbować azali nie uda się koronę wziąść na swe skronie—i że ku temu celowi pragnie zaskar-

bić sobie zakon, by być pewnym jego pomocy, umyślili temu przeszkodzić. Kwestya husycka jest im tu na rękę a oni wyuczyli się już ją wyzyskiwać.

Właśnie podówczas gdy się odbywał zjazd Jedleński, husyci pod kierownictwem Dobka Puchały, Korybuta i Piotra Polaka napadli na Szląsk i rozpoczęli zdobywać zamki, w których się trwale osiedlić mieli. Można się dorozumiewać, że uczynili to z tajnego polecenia i za wsparciem Szafrańców (z których jeden, po śmierci ks. Bolka Cieszyńskiego, z ramienia króla był starostą na téj części księstwa Głogowskiego, na któréj miał Bolko udział). Mniejsza o to, czy dorozumiewanie powyższe zgadza się z prawdą—panika była wielką—a Szafrańcy, wyzyskując ją, przedstawiali Polskę w niebezpieczeństwie ze strony husytów. I teraz to, król Jagiełło, uwzględniając dawniejsze żądania króla Zygmunta, odbiera Puchale Bydgoszcz i donosząc o tém Witołdowi, prosi go uroczyście o pomoc na wypadek spodziewanego napadu husyckiego. Nadto rozpuszczono w obieg alarmujące wieści obliczone na postrach Krzyżaków, których Puchała był nieprzebłaganym wrogiem. Alarm powiększyło jeszcze poselstwo polskie, wysłane do mistrza z Jedlny. Zastało go ono w bardzo kłopotliwém położeniu, gdyż z jednéj strony przyciąganego na stronę Witołda, z drugiéj znowu obawiającego się o napad husycki.

Posłowie polscy wystawili Rusdorfowi wielkie niebezpieczeństwo jakie grozi od husytów zarówno Polsce jak i zakonowi. Straszono mistrza, że husyci domagają się wolnego przejścia przez Polskę celem napadu zakonu, co w pełni potwierdzały ku temu celowi sfabrykowane pisma przez usłużne kreatury Szafrańców. W końcu zaproponowano mistrzowi zaczepno-odporne przymierze, nietylko przeciwko husytom ale i przeciwko wszystkim wrogom każdego z kontrahentów, pod warunkiem, jeżeli krzyżacy uskutecznią ratyfikacyą pokoju Melneńskiego i przystaną na ustępstwa, których król dawniéj żądał, jak co do Nieszawy i t. p. Na co gdyby był mistrz przystał, byłby Witołd całkowicie izolowanym.

Rusdorf, chodzący po manowcach, ujrzał się na rozdrożu, lecz dorównując w przebiegłości Szafrańcom nie stracił głowy. Zatrzymał on posłów u siebie a tymczasem wysłał rządcę z Barcianu do Witołda z zapytaniem, coby mu w tym wypadku czynić należało. Czyż takie poselstwo, nie zapraszało Witołda do uczynienia z zakonem zaczepno-odpornego przymierza przeciwko ich wrogom—czego się od mistrza domagali Polacy? Stanowcza odpowiedź ze strony Witołda, miała decydować, którą z dwu dróg obierze Święta Dusza. Rządca z Barcianu miał być obecnym przy przyjęciu posłów polskich

i zaręczyć imieniem mistrza, że tenże żadnych zjazdów ani téż ugód z królem Jagiełłą nie przedsięweźmie bez rady w. księcia Witołda. Poseł krzyżacki przybył na dwór książęcy na dniu 14 kwietnia, Witołd przyjmował na tym dniu poselstwo króla Jagiełły.

Poselstwo polskie składali Zbigniew Oleśnicki, który już po raz trzeci fungował w charakterze posła od czasu zjazdu Łuckiego i Mikołaj z Michałowa wojewoda Sandomierski. Odpowiedzieli oni w imieniu baronii Witołdowi, że król Jagiełło nie potępiał księcia „z którym zawsze jednym tchnął duchem“ lecz jeżeli żalił się przed papieżem i królami, to znaglony był do tego koniecznością, aby przez zamierzone przyjęcie korony z rąk króla Zygmunta, nie czynił ujmy jego prawom, co ozwaniem się do Stolicy śwtętéj wypadało odeprzéć i zwalczyć. Naganiali mu posłowie ponawianie przysiąg i zbrojenie zamków Litewskich i dopraszali się, aby zaprzestał myśléć o koronie a zajął się innemi chwalebniejszemi sprawami.

Na takie poselstwo dał Witołd nazajutrz, jak to tegoż samego dnia pisał mistrzowi, wymijającą odpowiedź, a mianowicie że nie knował żadnych zamachów przeciwko Polsce i bynajmniéj nie w tym celu ponawiał przysięgi i uzbrajał zamki, aby miał występować przeciwko królewstwu polskiemu i wojnę mu wydawać, ale czynił to dla własnéj obrony, gdyż wiadomém mu było, że husyci nalegali na Jagiełłę wielokrotnemi prośby i poselstwy, aby im przez swoje państwo przejścia do Prus lub Litwy dozwolił, gdy tymczasem król tai się z tém przed księciem. Witołd zażądał usprawiedliwienia w sprawach z husytami i postawił doraźne żądanie, aby król jednomyślnie przeciwko kacerzom działał, wraz z królem Zygmuntem, i żeby zerwawszy z nimi, wojnę im wypowiedział a nie narażał się na srom i wstyd chrześciańskiego świata. Jak przedtém zażądał on kategorycznie, aby mu król wręczył kompromis, w sprawach krzyżackich jakotéż w sprawach z Zygmuntem, czego na wstyd i upokorzenie księcia na zjeździe łuckim nie chciał uczynić. Było to więc powtórzenie dawniéj stawianych warunków zgody, od których książę żadną miarą nie chce odstąpić. Możnaby się domyślać, że i co do koronacyi nie ustępował Witołd w obec posłów—że obminął tę kwestyą, chociaż w umyśle swém zdecydował już upraszać Zygmunta by mu jéj nie przysyłał. Politykę Szafrańców możnaby wszakże i bez korony podkopać; kwestyą husycką wywołaną jako broń odporną przez Szafrańców, możnaby przeciwko nim samym zwrócić—i o tém właśnie myślał obecnie Witołd.

Pokazuje się to dość wyraźnie z odpowiedzi księcia danéj w. mistrzowi na doraźne jego zapytanie, coby miał w sprawie husyckiéj począć z królem Jagiełłą. Odpowiedź ta jest z tego względu arcy-

ciekawą, iż świadczy że Witołd udaje jako by go manewrem husyckim w części zwiedli Szafrańcy. Mówimy—udaje—gdyż ani na chwilę nie przypuszczamy, jakoby w istocie Witołd miał wierzyć w kłopotliwe położenie w jakiém pozostawała Polska względem Husytów, żeby nie podejrzywał manewru *nowej rady* tj. Szafrańców.

Dziwna to—pisze Witołd do mistrza dziękując mu za położone w nim zaufanie—że król Jagiełło, który przed tém ociągał z daniem odpowiedzi na prośby wasze o pomoc w razie spodziewanego napadu ze strony husytów, obecnie przyciśnięty okolicznościami sam o takową pomoc prosi. Możecie mu na jego żądanie odpowiedziéć, że mu użyczycie pomocy przeciwko husytom, byle on ze swéj strony wam w podobnym wypadku dopomagał, aby się kacerstwo nie rozmnażało. Co dotyczy żądania, abyście go przez osobne poselstwo uwiadomili, czy będziecie dotrzymywać warunków pokoju Melneńskiego we wszystkich punktach i artykułach, odpowiedźcie, że macie dobrą wolą aby tylko i on ją posiadał. Zechciałby on atoli jaką umowę lub związek uczynić z wami, odpowiedźcie mu, że wieczny pokój zawarto pomiędzy nami trzema, tak pomiędzy królem i nami z jednéj jako też i wami z drugiéj strony, i że wam tedy nie przystoi pod tym względem zgadzać się na jakąś ugodę lub coś postanawiać krom mojéj wiadomości i mojéj rady. Miałby tedy jaki zjazd lub jakowe postanowienie na nowo zajść,—dodaje po raz wtóry Witołd—odpowiedźcież, że to nie mogłoby się obejść bezemnie. Posłowie polscy—którzy obecnie bawią u nas—nie odpowiedzieli nam według naszéj woli, odpowiemy też im wymijająco. Do koronacyi będziem się przygotowywali; skoro by nas atoli zaczepili Polacy będziemy się bronić.

W obec manewru husyckiego i takiéj odpowiedzi Witołda niebyło już o zjeździe w Jurgenburgu mowy. Szafrańcy ani chwili nie tracą, by wyzyskiwać tenże na rzecz zainagurowanéj przez się polityki supremacyi korony nad Litwą. I na dniu wielkanocnym, kiedy Witołd dawał odprawę posłom polskim, przybył doń pośpieszny goniec z listem królewskim. Jagiełło donosił w nim księciu, że Taboryci z wielkiem wojskiem nie daléj jak o trzy mile oddaleni są od granic Polski, że powszechnie mówią iż starszyzna Taborytów była u króla Zygmunta w Preszburgu, skąd wprost zdąża na czele zbrojnych hufców na Polskę. Król błaga Witołda o pomoc.

Książę udaje niepewność i waha się coby miał na tę prośbę odpowiedziéć i odsyła list do mistrza Rusdorfa z zapytaniem, coby mu w tym wypadku uczynić należało. Prosi nas król Jagiełło o pomoc—są słowa listu Witołda—a my przecież się jeszcze z nim nie pogodzili. A wy mistrzu sami wiecie o tém, gdyż często wam donosiłem

tak przez posłów jako też listownie, że król Rzymski wszystkie sporne sprawy, istniejące pomiędzy nim a królem Polskim, na mnie zdał, jako na sędziego rozjemczego—na co niestety król Jagiełło nie przystał. Gdyby król Jagiełło tak był uczynił jakeśmy mu doradzali, z pewnością byłoby nigdy do tego nie przyszło co się obecnie dzieje. Radźcież nam, proszę, czy mam mu pomagać przeciwko kacerzom czy też nie, zwłaszcza gdy on nas tak wielce poniża i na wstyd wystawia i nas jako niewolnika swego uważa—jak o tém dobrze wiecie.

Podówczas istotnie Dobek Puchała rozsiewał groźne wieści, że pociągnie na Polskę. Wojska Taboryckie opierały się kilkakrotnie o granice polskie i Szafrańcy w cichości tryumfowali. Król Jagiełło, udając przestrach, zbiera zbrojne hufce, a przez szybkich gońców ustawicznie błaga o pomoc Witołda. Książę znowu udając najwyższe oburzenie z powodu gróźb husyckich i ich zwycięskiego oręża w Niemczech na Szląsku i Wegrzech, radby by wyzyskać tę sprawę celem całkowitego pokonania Szafrańców i pogodzenia się z królem.

Zaiste rostropność owego węża biblijnego cechuje umysł Witołda znajdującego się wśród nadzwyczaj trudnych i zawiłych stosunków. Widząc jak wrogie mu stronnictwo Szafrańców coraz bardziéj podnosi głowę, coraz daléj odpycha Litwę od Polski, jak coraz to zawikłańszą staje się jego pozycya, udaje on jednakowoż, jakoby niewidział machinacyj husyckich i pragnąc w duszy zgody z Jagiełłą, dąży do niéj lecz w ten sposób aby przy tém ambicya jego na nowy szwank nie była narażoną. Przezorny polityk zna on słabość i nicość obłudnego zakonu, w obec którego nieszczęsne fatum kazało mu grać rolę szczérego przyjaciela. Zna on egoizm i słabość nieszczerego Zygmunta, który żadną miarą nie mógł dać sobie rady z samymi tylko Husytami, i widział że połączenie Polski z husytami, chociażby ostatni mieli być tylko narzędziem w ręku Polaków, przedstawiało w obecnéj chwili silny alians zaczepno odporny, przeciwko któremu trudne były szanse powodzenia. Zewsząd otoczonego obłudą i zdradą nie porywa go myśl rozpaczy i nie wiedzie go do porywczego a niczém nie usprawiedliwionego kroku—i bądź co bądź jasno przebija się myśl, by niedopuścić do bratobójczéj walki, na którą się od roku już zanosi pomiędzy Polską a Litwą, W tym celu postanowił nie odrzucać prośby króla o pomoc, i owszém przyobiecać mu takową, lecz podyktować takie warunki, aby zbolała jego ambicya i nadwyrężona duma odzyskały zadośćuczynienie zgodne z powagą króla i jego honorem.

Sprawę o koronie i koronacyi wypadało usunąć na drugi plan— a podczas tego wysłać prośbę do Zygmunta, by mu korony nie przysyłał. Prośba ta (wymagała tego nadzwyczajna drażliwość téj sprawy) uskutecznioną była w ten sposób, że nawet Krzyżacy o wysłaniu jéj nie wiedzieli. Natomiast zażądał książę od króla Jagiełły, aby podjął walkę z husytami, aby im listy wypowiednie obraźliwéj treści wysłano, aby Szafrańcy ustąpili zupełnie i aby ich od łaski królewskiéj oddalono. Gdyby się to uzyskać dało, postanowił Witołd w dalszéj konsekwencyi zmusić króla do wręczenia mu kompromisu w sprawie krzyżackiéj i w sprawach spornych z Zygmuntem, a więc do zmuszenia króla do kapitulacyi z jego zewnętrzną polityką. Majestat, jakim miał być otoczony jako sędzia sporów międzynarodowych, ten jedynie mógł powrócić Witołdowi jego cześć i sławę, mógł mu choć w części wynagrodzić szczerby, jakie poniosła jego ambicya przez „veto koronacyjne."

Okrom niezłamanéj woli niezrywania z koroną Polską, i inne pomniejszéj wagi powody, złożyły się na to dążenie Witołda, aby wyjść raz z przykréj sytuacyi, w jakiéj od czasu zjazdu Łuckiego pozostawał. Wspomniémy o nich pokrótce a przekonamy się że książę był przeświadczony o obłudzie swych mniemanych przyjaciół i pozornych sojuszników.

Sądzić należy, że niemały wpływ na refleksyą księcia, wywarły owe bulle admonicyjne, których treść, po ustąpieniu pierwszych a przykrych i gwałtownych wrażeń—i po głębszéj rozwadze, musiała wpłynąć łagodząco na całe otoczenie księcia, na starszyznę i duchowieństwo Litewskie, jakotéż i na samego Witołda. Wszakżeż życzono mu korony—głowa kościoła, ku chwale którego on walczył, uznawała go być godnym korony, doradzając tylko, aby się starał uzyskać ją na drodze pokoju. Wszakżeż kuryaliści wielbili go pod niebiosa, jako *puklerz Europy*, jako *najdzielniejszego obrońcę wiary* i *największego męża z grona współczesnych monarchów*, wszakżeż palili u stóp jego ofiary humanistycznych elukubracyj, odurzając go dymem kadzidła i błagając aby zaniechał zamiaru.

Ważniejszy wpływ przypisać należy rzeczywistości. Bo i jakżeż niemiał obecnie dostrzedz Witołd, że Krzyżacy dybią tylko na to, ażeby niezgoda jego z królém buchnęła płomieniem pożaru? Gdyby był nawet całkowicie zaślepiony i gdyby podrażniona i ustawicznie jątrzona jego ambicya, do tyla utłumiła w nim przyrodzony spryt i niezwykłą domyślność w rzeczach polityki, żeby nawet niedawał wiary własnym doświadczeniom i słusznym posądzeniom takiego Bartłomieja Cybulki, dokładnego znawcy charakteru Krzyżaków, to oczywiste dowody, które miał teraz przed oczyma, pobudzały go do

głębszego zastanowienia. Gdyż właśnie podówczas, kiedyto po odprawie posłów polskich, dochodziły go wieści, że mniemany jego upór jak najgorsze może pociągnąć za sobą skutki, skądinąd dochodziły skargi na Krzyżaków, że ci książęcia haniebnie oszukują.

Skarga, o któréj mowa, wyszła ze strony duchowieństwa dyecezyi Rygajskiéj—któréj tutorem był Witołd, utwierdzony na téj godności przez papieża, nie zaś przez króla Zygmunta. Mistrz zakonu wyzyskując poróżnienie się Witołda z Jagiełłą, pracuje nad tém aby za pośrednictwem kuryi odebrać księciu władzę tutorską, najrozmaitszemi sposobami gnębi kapitułę i duchowieństwo. Uciskane duchowieństwo udaje się ze skargą do swego tutora—Witołda.

Książę, który w pierwszéj chwili zdziwił się, że mistrz zakonu nie zniósł się z nim jako z tutorem w téj sprawie, spostrzegł wnet że „*Święta dusza*“ wyzyskuje waśń księcia z królem Jagiełłą. Domysł ten potwierdzają w zupełności nowe skargi Inflanckiego duchowieństwa. Witołd był rozsrożony, mając dowody, jak srodze nadużywano jego zaufania ze strony, któréj silił się ufać, któréj udaną przyjaźń okupywał ofiarą zaparcia się siebie samego, którą bronił z narażeniem sławy swego imienia na rozmaite podejrzenia. Natychmiast postanowił tedy ująć się za pokrzywdzonym duchowieństwem i równocześnie wysłał Bartłomieja Cybulkę do króla Zygmunta ze skargą na zakon nieszanujący jego praw tutorskich i z pośbą, aby Zygmunt, jako zwierzchnik zakonu, zakazał mistrzowi takiego na dal postępowania. Przed połową maja zaniósł Bartłomiej tę skargę, wielce z tego powodu zdziwionemu Zygmuntowi.

Witołd postanowił atoli niczego o tém nie wzmiankować mistrzowi zakonu. Przeciwnie—potrzebując go do swych celów, postanowił opiérać się na nim i nadal i do pewnego czasu udawać najczystszą przyjaźń. Z otwartymi był Witołd otwartym z podstępnymi działał podstępnie.

Mistrz Rusdorf, będący podówczas w wielkiéj obawie o Husytów i mający się z tego powodu starać o względy Polski, dostrzega zmiany w umyśle Witołda. „Święta dusza“ przenikał on na wskróś tajemnice wielkiego męża, które tenże sam przed sobą zdawał się ukrywać. Zresztą tajna skarga Witołda nie pozostała tajemnicą dla zakonu. Pod koniec maja wiedział już o niéj Rusdorf przez jednego z usłużnych szpiegów zakonu. Natenczas dopiéro poczyna się mistrz wstydzić przed własném sumieniem. Teraz już pieką go słowa czułych listów książęcych, jak gdyby były obelgą w twarz mu rzuconą. Obecnie przenika on tajemnicę Witołdową pogodzenia się z królem i wie i obawia się, że przy takowéj ugodzie mogłyby wyjść na jaw

pilnie ukrywane brudy zakonu, mogłaby wypłynąć na wierzch czarna jego intryga, coby bóg wie jakie dlań pociągnęło skutki.

Przebiegłość i zmysł polityczny mistrza, każą mu zapobiedz podobnym ewentualnościom. Daléj knować pomiędzy zwaśnioną bracią niepodobna; podżegać daléj spory za pomocą czarnéj intrygi byłoby na zbyt hazardowném. Święta dusza, postanowił być pośrednikiem, celem pogodzenia Jagiełły z Witołdem. Czy zamiar ten był szczérym, to znowu inne pytanie.

A więc nasamprzód przez komtura Toruńskiego usposabia Rusdorf sędziwego Jagiełłę do uczynienia zgody z Witołdem. Wprawdzie przykro staremu królowi, odbierającemu od Witołda co dnia to ostrzejsze wymówki, co dnia to większe groźby a zawsze te same warunki zgody, że wtrąca się pomiędzy nich ktoś nieproszony—wołałby on raczéj sam na sam pogodzić się z bratem—ale się nie sprzeciwia. Równocześnie sam mistrz, korzystając jakoby z dawniejszego zaproszenia ze strony księcia, o którymby w innym wypadku z pewnością był zapomniał, fatyguje się na zjazd z Witołdem nad Niemen, zapewne do dalekiego Jurgenburga lub Christmemla. Uzyskuje on tamże słowo książęce, że Witołd wyśle posłów—na zjazd mistrza z królem.

Poczém do króla Jagiełły wysyła komturów, Toruńskiego i Czczewskiego, z uwiadomieniem, iż on (mistrz) postanowił za zezwoleniem Witołda, zjazd panów Polskich z Litewskimi w Nieszawie, we dwa tygodnie po św. Janie. Panowie polscy, oświadczają krzyżaccy posłowie, mają być w Nieszawie, Litewscy zaś w Toruniu. Sam mistrz będzie obecnym na tym zjeździe. Z hardą pychą, mającą jakoby pokryć nieszczerość, z wyniosłą dumą, mającą jakoby świadczyć o bezinteresowności i szlachetności zamiarów, narzuca się *Święta dusza* na pośrednika sporów Polsko-Litewskich.

Zapewne że teraz już ta niezwykła bezinteresowność mistrza nie przyprawiła króla Jagiełły o zdumienie. Szafrańcy przywykli sami nędzną walczyć bronią dostrzegli wnet, że mniemana szlachetność mistrza, zakrawająca na bezczelność, jest bardzo interesowną, a nie umiejąc sobie zdać sprawy z konsensu księcia na próbę zgody, mającą być dokonaną przez wielkiego mistrza, wzięli ustępstwo Witołda za własne zwycięstwo. To pewna że w ten sposób starali się królowi wytłómaczyć krok Witołda.

Król Jagiełło na dniu 14 czewca wystosował pismo do Witołda, w któróm mu opowiedział o świeżém przedłożeniu posłów zakonnych. Wolałbym—oświadcza król—sam na sam załagodzić spory z WKs. Mśćią, jak to zwykliśmy z dawna czynić, lecz gdy to nastąpić nie mogło, zgodziłem się na projekt Krzyżaków i w tym celu uwia-

domiłem już prałatów i baronów wielkopolskich, tudzież panów ziemi Krakowskiéj, aby na termin przybyć nie omieszkali. W dalszym ciągu tego pisma przyobiecywał król Witołdowi, iż już polecił staroście Krakowskiemu ażeby tenże baczył na to, by nie sprzedawano husytom broni; ręczył, że książęcy posłowie mogą zupełnie bespiecznie zdążać przez Polskę do Węgier, a w końcu upraszał Witołda, iżby nakłonił bawiącego u niego księcia Kazimierza Mazowieckiego do złożenia królowi powinnego hołdu. O Szafrańcach ni słowém nie wspominał król a i co do Husytów nie usprawiedliwiał się szerzéj, jakby tego pragnął Witołd, ale zdawał się okazywać skruchę i chęć do zgody, a to samo już było wielką dla Witołda uciechą w téj tak ciężkiéj chwili. Witołd po otrzymaniu tego listu uważał porę tę za stosowną do wysłania dwu pism ważne rzucających światło na charakter tego męża. Jedno z nich było powtórzeniem niedawno wysłanego, a od kilku już miesięcy przygotowywanego w umyśle księcia a adresowane było do Zygmunta Luksemburczyka i zawierało prośbę, uzasadnioną najrozmaitszymi argumentami, by mu nie przysyłał korony—drugie do mistrza zakonu z ofiarowaniem mu pomocy na wypadek napadu Prus ze strony husytów. Są to nadzwyczaj ważne pisma celem poznania zagadkowego i sprzecznego na pozór postępowania Witołda, abyśmy się nad niemi bliżéj zastanowić nie mieli. Przypominamy bowiem, że Witołd w obec Polaków i króla wcale nie cofał pretensyi do zamierzonéj i ustanowionéj na dzień 8 września koronacyi i że tak oni jak i Krzyżacy wcale nie wiedzieli o zabiegach księcia, tych mianowicie, aby mu Zygmunt korony nie przysyłał. Cała sprawa była jakoby w zawieszeniu, a skoro tu i owdzie dowiedziano się coś o zabiegach Witołda, oczekiwano z żywą niecierpliwością, jakie stanowisko zajmie w obec tego żądania król Zygmunt Luksemburczyk.

Król Zygmunt, odgrywający w nieszczęsnym naszym dramacie nikczemną rolę intryganta, napróżno wyczekiwał chwili w którejby z posiewu swego mógł zbierać plon obfity.

Termin reichstagu w Norymberdze upływa. Zygmunt nieprzybył lecz wyznaczył drugi na 17 maja—na który również nie przybył. Czy był chory, czy może obawiał się napadu ze strony Turków, nie wiadomo; zastępował go na pierwszym kanclerz jego Kacper Schlick i uchwalono wyprawę na Czechów. Lecz dlaczegoż pod koniec czerwca opuszcza wreszcie Zygmunt Węgry, które od kilku lat już zaszczycał swym pobytem, i goni do Niemiec na opóźniony już reichstag? Dlaczego zwłaszcza zatrzymuje się w Wiedniu i sprasza na

nowo elektorów i książąt, aby się ponownie zjechali do Norymbergi? Prawdopodobnie dlatego, że w Węgrzech niemógł daléj snuć kabały, i że panowie węgierscy niedopuściliby do tego, aby król ich, wysyłając z Węgier koronę dla Witołda, zakłócił spokój przyjaźnych sobie od wieków dwu narodów Polskiego i Węgierskiego. A tu tymczasem zbliżyła się chwila stanowczego działania. Witołd bowiem wysłał potajemnie pismo do Zygmunta, aby mu korony nie przysyłał. Był to straszny cios dla Zygmunta, mającego dotąd niepłonną nadzieję, że zamieszki pomiędzy Polską a Litwą niechybnie nastąpią i tylko stanowcze działanie mogło uratować dzieło intryg od upadku. Ku temu celowi trzeba było niewygodny do stanowczéj akcyi terren węgierski, na którym rospoczęta była akcya intrygi, zamienić i przenieść na terrytorya Rzeszy Niemieckiéj.

Jakżeż atoli postąpić sobie względem żądania książęcego z Witołdem samym. Wszakżeż książę usprawiedliwia się to krótkością terminu, to zakazem papieskim wystosowanym do biskupa Wileńskiego aby go nie konsekrował, i innymi nie mniéj wymownymi argumentami; już wprost nie życzy sobie korony i uprasza Zygmunta, by mu jéj nie przysyłał. Prośba Witołda jest tak szczérą i wymowną, że Zygmunt gdyby miał choć trochę serca, byłby jéj nie odmówił. Na szczęście króla Zygmunta, książe i przed nim starannie ukrywał to co go najbardziéj bolało, tj. zranioną ambicyą; i upozorowywał ją argumentacyą, która była konceptem jego mądrych kancelistów a nie wyrazem jego woli, przeciwko któréj niemożnaby wystąpić bezkarnie. Zygmunt mógł tedy użyć równie wymownéj argumentacyi, zaczerpniętéj u swych zdolnych kancelistów, a natenczas łatwo mógł przekonać księcia, że te wszystkie powody i wątpliwości są aż nadto błahe, aby mogły stargać rozpoczęte dzieło. Zygmunt potrzebował daléj zbić podejrzenia, jakoby już nie chciał przystąpić do kompromisu, podtenczas gdyby i król Jagiełło – na co się wszakżeż zanosiło—na kompromis przystał,—a ku temu celowi potrzebném było wykazać całą bezinteresowność postępowania w kwestyi korony, i to w ten sposób, żeby książe uczuł to, że tu i honor króla Rzymskiego wchodzi w rachubę i że cofnięcie rospoczętego dzieła jest obecnie niepodobne. Potrzeba było wreszcie szybko wysyłać przyobiecaną koronę i tém zaalarmować Polskę równie jak i Litwę, ewentualnie wywołać już raz stanowczy, a dawno upragniony, konflikt pomiędzy zbratanymi świeżo narodami i krajami.

Wszystko to w krótkim przeciągu czasu wykonał król Zygmunt. Nasamprzód zwołał on radę ze starszych dostojników państwa, było to wnet po przybyciu jego do Wiednia—przywołał i doktorów biegłych w prawie i przedłożył im kwestyą korony Witołdowéj. Oczy-

wista, że zawezwani zawyrokowali według życzenia Zygmunta, iż jest on w prawie koronowania Witołda, że konsekracya, której niedozwala papież, nie jest rzeczą konieczną tylko formalną a jako taka należy do spraw ceremoniału, bez której tedy może się książe całkiem wygodnie obejść. Na poparcie tego, jakoteż i na usunięcie innych wątpliwości książęcych, przytoczono dowody i przykłady mogące usunąć skrupuły całkiem prawego umysłu. Cały szereg tych dowodów i uwag kazał Zygmunt spisać swemu kanclerzowi Kacprowi Schlickowi i na podstawie tego materyału sformułować list do księcia, mający rozwiać jego wątpliwości a nadto pocieszyć nadzieją, że korona na oznaczony termin będzie w Litwie. Pismo to natychmiast wysłano do Litwy. Poczém poczyniono przygotowania do wysłania korony. Znalazł się jeden z biskupów, który miał przewodniczyć poselstwu, kilku niemieckich grafów i kilku książąt Szląskich. Drogę miano obrać przez Krainę na Prusy i Litwę. Poselstwo to właściwe, które miało przedłożyć księciu koronę i insygnia królewskie w darze od Zygmunta, mieli wyprzedzić doktorowie prawa, którym poruczono usunąć resztki skrupułów książęcych dotyczących szczegółów koronacyjnych i zakazu papieskiego, jak gdyby skrupuły te były najgłówniejszą przyczyną wahania się ze strony księcia.

Tak tylko szybkość decyzyi i pośpiech w działaniu mogły uratować dzieło intrygi Zygmuntowéj. Czuł on bowiem aż nadto dobrze, że zaszła jakowaś zmiana w umyśle Witołda, że książę nie bez powodu wyrażał w dobitnych słowach, iż niedowierza szczerości zamiarów Zygmunta, jak co do owego kompromisu; że nie bez przyczyny oskarża mistrza zakonu przez umyślnych posłów. Wiedział Zygmunt, że odmowa ze strony księcia na propozycyą dotyczącą opiekowania się królestwem węgierskiem na czas niebytności tamże króla Rzymskiego, również nie dobrze wróży na udanie się dzieła intrygi. Wprawdzie z relacyj krzyżackich i z listów Witołda do Jagiełły pisanych, których kopie przysyłał mu książę, mógł zaczerpnąć otuchy, że do zgody pomiędzy królem Polskim a Witołdem jeszcze daleko,—bądź co bądź pośpiech w działaniu był koniecznym.

Znaglał do tego pośpiechu sam Witołd. Jeszcze się bowiem nie zatarły wrażenia pierwszego listu księcia w sprawie nienadsyłania już korony, gdy przybył drugi podobnyż z Litwy. I w tym książę upraszał sekretnie Zygmunta, aby mu nie przysyłał korony—co gorsza dla Zygmunta, wyrażał wątpliwość, że tenże przeszkodzony i ustawicznie zajęty innemi sprawami, nie może szczerze zająć się sprawą koronacyjną. Zamiast przysłania korony, domagał się książę od Zygmunta, aby przez tych posłów, których zamierzał wysłać na uroczystość koronacyjną, jeszcze raz uroczyście złożył kompromis

w sprawach spornych z królem Jagiełłą. Było to niedowierzanie, w tak otwartéj i prostéj formie wypowiedziane, że można je było wziąść za wyraz nieufności ze strony oszukiwanego przez Zygmunta księcia. Tego atoli Zygmunt w dobrze zrozumianym własnym interesie rozumiéć nie chciał, a zgorszony poniekąd takiemi wyznaniami, zawisłego od swego kaprysu księcia, tém bardziéj postanowił nie miéć dlań litości.

Rospoczyna tedy akcyą i wysyła natychmiast do Witołda Zygmunta Rotha, ajenta krzyżackiego wraz z jakimś sławnym doktorem prawa, Włochem, poruczając im uspokoić Witołda i zapewnić go o czystości i stałości zamiarów królewskich i przygotować do przyjęcia korony. Im to przypada trudne zadanie naprawienia tego, co, w skutek nieznanych bliżéj Zygmuntowi powodów, całą sprawę zagmatwało i popsuło. Zanim atoli posłowie ci wyprzedzający uroczyste poselstwo z koroną przez Szląsk, Krainę i Prusy zdążą do Litwy, stara się król ukoić umysł Witołda zręczną odpowiedzią na jego ostatnie pismo, w któréj mu zaręcza wielokrotnie, że wiadomości jakie go o koronacyi doszły są umyślnie przez ich wrogów rozsiewane i że on nigdy nie przestawał ani też dotąd przestaje o niéj myśléć. Wśród skarg na szowinizm króla Jagiełły, i na husyckie machinacye niektórych z rady polskiéj korony, zaręcza Zygmunt, że on jak dawniéj tak i obecnie składa kompromis w ręce księcia, co gdyby był Jagiełło ze swéj strony na zjeździe Łuckim uczynił nie byłoby nigdy przyszło do tego co niestety dzieje się obecnie. Pośpieszny goniec poniósł ten elaborat kancelaryjny do Litwy, a kancelarya Zygmunta pracowała nad komponowaniem dokumentów zawierających projekt ścisłego związku pomiędzy Zygmuntem a zakonem z jednéj a Witołdem z drugiéj strony, by je wręczyć odchodzącym do Litwy Rothowi i włoskiemu doktorowi. Uczyniono to nie bez głębokiego namysłu i z równą temuż przebiegłością, wiedziano bowiem, że posłowie ci przejęci będą na polskiéj granicy i że dokumenta te skompromitują Witołda w oczach Polaków, podejrzywających księcia o takowe separacyjne zamiary. Odpowiedź Zygmunta datowaną była z Wiednia 22 lipca 1430 roku, a wkrótce potém Roth i doktór Baptysta Cigala opuścili Wiedeń, zdążając powoli ku granicom pruskim.

Gdy wieść o zamierzanym przez Zygmunta zamachu docierała do Polski, odbywał się podówczas pod Toruniem zjazd pełnomocników polskich i litewskich, na którym Rusdorf odegrał dość niefortunnie rolę negocyatora. Posłowie obustronni wystąpili z szeregiem skarg i żądań, których strona przeciwna nietylko że zaspokoić nie

mogła ale i odpowiedzieć na nie nie umiała. Posłowie królewscy udawadniali mistrzowi, że Witołd nie ma prawa się koronować, witołdowi zaś wystąpili z dawném żądaniem księcia, aby król zezwolił na koronacyą, któréj termin wyznaczony był na dzień ósmego września i aby złożył kompromis w ręce księcia, jako sędziego spraw spornych z Krzyżakami i Zygmuntem. Na co znowu odrzekli posłowie Jagiełły, że król odpowie księciu na jego żądanie przez osobnych posłów, których. na ów termin 8 września wyśle do Litwy. Zamiast fungować w charakterze negocyatora, był Russdorf świadkiem wyzwania, które uroczyście dokonaném zostało, przez zwłokę odpowiedzi królewskiéj aż do owego terminu koronacyjnego. Wobec tego wyzwania uważał szanowny pośrednik sporów za stosowne spełnić uroczyście żądania Witołda. Rusdorf oświadczył wobec obustronnych posłów, że sprawa zakonu z królem Jagiełłą jest zarazem i sprawą Witołda, gdyż imię księcia figuruje na dokumencie pokoju, pieczęć jego przewieszona również obok królewskiéj, że przeto zakon nie może sam na sam traktować z królem o sporach granicznych i innych i że musi być przy tém książe. „Zakon wszakżeż przestrzega zawsze litery prawa i trzyma stronę słuszności.“

Posłowie polscy, pomimo licznych zapewnień szacunku i poważania dla korony, któremi ich obsypywał mistrz zakonu, byli jakby zbici z tropu. Wobec narzucania się Rusdorfa na pośrednika wobec zapewnień jakiemi przez zaufańców swych, jak przez komtura Toruńskiego, łudził on króla Jagiełłę, zapewne że w obec tego nie byli oni przygotowani na podobne oświadczenie Rusdorfa. Prawda, że względem skarg polskich na zamiar koronacyjny Witołda, zachował Rusdorf stanowisko dwójznaczne, więcéj może przechylając się na stronę skarżącą jak oskarżoną—co atoli nie przeszkadzało, że posłowie uznali, iż zakon oszukiwał tylko króla i koronę i że ściśle związany jest z Witołdem.

Tak to dalece zamąconą była opinia o Witołdzie przez znane nam stronnictwo Szafrańców, że nie oceniono należycie stosunku mistrza do Witołda. Z całego postępowania księcia osądza mistrz, że książe jest względem zakonu nieszczerym, że udaną przyjaźnią, zapewnieniami sprzyjania i życzliwości maskuje inny zamiar, zamiar wyzyskania zakonu celem zrehabilitowania zbolałéj i ukorzonéj ambicyi i dumy i że dla tego niemożliwém jest nakłonić księcia do oddzielenia się od Polski. Polacy posądzają zakon o potajemny jakiś z księciem związek. Jakże szczęśliw byłby Rusdorf, gdyby posądzenia takowe mogły być rzeczywistością, zabiegi jego byłyby uwieńczone, tajnie żywione życzenia byłyby prawdą, mogącą dla za-

konu obfite i błogie wydać skutki. Lecz Rusdorf dziś już do gorzkiego przyszedł przekonania, że wielce przerachował się co do charakteru Witołda. Przedsię Rusdorf aż nadto często dostarczał księciu sposobności do związania się z zakonem w przymierze zaczepno-odporne. Dziś niestety rumienił się przypominając sobie na bezowocność tych zabiegów, gdyż książe nietylko że indentyfikował stanowisko Polski i Litwy w stosunkach tych państw do zakonu i Zygmunta, ale nadto nie zezwalał zakonowi nawet tak drobnych koncesyj, jakiemi były sprawa biskupstwa i kapituły Rygajskiéj i udając szczerą przyjaźń wobec mistrza, oskarżał go zaocznie przed Zygmuntem, a więc przed tym, który na każdy wypadek wielki jeszcze wpływ wywierał na zakonie.

Bądź-co-bądź Rusdorf nie miał powodu ubolewać nad tém, że opinia Polski pod względem pojmowania jego przykrego stosunku do Witołda, jest zamąconą. Co go jednakowoż boleć mogło, to była prawie pewność, że książe zna te brudne i potworne intrygi zakonu, za pomocą których usiłował zakon rozniecić iskrę niezgody powstałą pomiędzy nim a Jagiełłą. Jeszcze bardziéj gniewała mistrza zależność, w jakiéj z tego właśnie powodu pozostawał zakon względem Witołda — tego krewkiego prędkiego i gwałtownego nawet męża— który w tym wypadku posiadał tyle siły zaparcia się siebie samego, że wmawiał w mistrza, iż nie wierzy w plotki i potwarze rozgłaszane o zakonie, że nie życzy sobie nawet, aby mu mistrz na nie odpisywał lub miał się usprawiedliwiać. Zakon, który do téj pory mógł bezkarnie intrygować, miał przez to mądre zachowanie się księcia ręce związane, a o co księciu chodzić mogło, był odeń zawisłym i nie śmiał już nadal hazardownie intrygować. Zapewne, że takie stanowisko było dlań bardziéj aniżeli przykrém, zwłaszcza, gdy otrzymał wiadomość Zygmunta o stanowczym zamiarze wysłania korony, o zbliżaniu się pierwszych posłów, gdy odczytał rozkaz króla Rzymskiego, aby o ile możności ułatwił przeprawę posłów do Litwy.

Nierównie przykrzejszą aniżeli mistrza zakonu była sytuacya Polski wobec wiadomości o zamiarze króla Zygmunta. Rusdorf mógł mieć nadzieję, że zbliża się stanowcza chwila kataklizmu, a chociaż z obawą i trwogą na nią spoglądał, mógł przynajmniéj tuszyć sobie, że zakon w mętnéj wodzie przecież jakiś połów uskuteczni. W Polsce przeciwnie z wiadomością o zamiarze Zygmunta, znikła nawet ta iskierka nadziei, jaką miano wobec głuchych posłuchów, że książe już nie chce korony i że domagał się u Zygmunta, by mu jéj nie przysyłał. Kto wié czy wobec tego nie żałował król téj doraźnéj instrukcyi, którą udzielono posłom śpieszącym do Torunia. To pewna, że rozczarowanie które nastąpiło skutkiem zacho-

wania się mistrza na tymże zjeździe, czego się nigdy nie spodziewał, było dlań bardzo bolesném i że w téj chwili stracił wiele z zaufania do Szafrańców i ich hucyckiéj polityki, nie przynoszącéj spodziewanych owoców. W Polsce pojęto teraz dokładnie, że na dzień ósmy września, na ten nieszczęsny termin koronacyi Witołda—zbierają się liczni książęta Rusi wasale Litwy, że lubo niechętnie przybędzie tam mistrz Rusdorf, mistrz Inflancki, carzyki Tatarscy i że książe zechce się upewnić o ich przyjaźni i wierności i zmusić tém króla Jagiełłę do naprawienia złego, którego tenże stał się przyczyną na zjeździe Łuckim. Zjazd takowy—wiedział o tém król i Szafrańcy—jakkolwiek nie zawartoby tamże ugód dokumentami zatwierdzonych, oddawał księciu blask majestatu, który na chwilę nieopatrznie przyćmili jego wrogowie, izolował króla Jagiełłę i zmuszał go niejako do przebłagania brata i do zadość uczynienia jego woli.

Opinia powszechna w Polsce potępiała zamiary Witołda, uważając je jako seperacyjne a tém samém zgubne dla korony. Wobec intryg Szafrańców, sądzono powszechnie, iż król wyczerpał już wszystkie środki celem odwiedzenia księcia od zamiaru separacyjnego i obawiano się, że zamach na unią wkrótce będzie uskuteczniony. Sami Szafrańcy szerzą te pogłoski, aby przygotować Wielkopolan do mężnego oporu, a przynajmniéj do nieprzepuszczenia korony i przejęcia jéj na granicach Nowej Marchii.

Równocześnie postanowili Szafrańcy zaapelować do kuryi rzymskiéj i to bezwłocznie, aby uzyskać bullę zakazującą Mistrzowi zakonu, przepuścić posłów króla Zygmunta wiozących koronę przez Prusy. Sprawę tę poruczono znanemu już nam pisarzowi kancelaryi królewskiéj Piotrowi Łęczyckiemu i wysłano go siedmiotrzeć do Rzymu z kosztownemi upominkami dla tych kardynałów, którzy mieli się zająć sprawą. Uzbrojono go w doraźne koncepta pism, na mocy których miała kurya powtórnie zakazać Zygmuntowi i jego biskupom zajmowania się koronacyą; mistrzowi zaś miano polecić, aby w sprawę koronacyi się nie mięszał, przeciwnie żeby posłów króla Zygmunta nie przepuścił przez Prusy i żeby starał się swém pośrednictwem załagodzić spór braci. Podobnąż odradzającą koronacyą bullę miano z kuryi przesłać i Witołdowi. Konieczność wysłania takowych bull poparła kancelarya polska tém, że koronacya Witołda wymierzoną jest przeciwko unii, gdyż Witołd jest tylko namiestnikiem królewskim na Litwie a nie księciem samodzielnym, mogącym sięgać po koronę. Król Zygmunt — twierdzono daléj — nieśmiał udzielać korony, zawarł bowiem traktat z królem Polskim, na mocy którego zobowiązywał się nie odrywać od korony krajów, będących w jéj posiadaniu. Podobnyż argument zastosowano i wzglę-

dem zakonu, który nieśmiał pomagać Zygmuntowi w zamierzonym zamachu.

Takowe argumenta, poparte drogimi upominkami, miały przekonać kuryą, tém bardziéj, że poseł zaręczał, że gdyby sprawa koronacyjna nie absorbowała gnuśniejących od przeszło roku sił Polski, jużby husytów nie było na świecie, gdyż król Jagiełło nie omieszkałby był zgnieść ich zupełnie.

Z przyjazdem Łęczyckiego do Rzymu, nastał chwilowy zamęt u sterników nawy kościelnéj, jak to zaręcza prokurator zakonu w swéj relacyi do w. mistrza, naiwnie opowiadając te wypadki. Kuryaliści twierdzili, że skutkiem wysłania żądanych bull, powstanie olbrzymia niezgoda pomiędzy kuryą a Rzymskiem państwem; kardynałowie przychylni Zygmuntowi usiłowali zapobiedz wysłaniu—pomimo to atoli postanowiono spełnić żądanie Polaków *„gdyż oni obiecywali zgnieść husytów, którym Zygmunt nietylko, że nie mógł dać rady, ale jak to dość głośno mówiono, zapomocą nich chciał zgnieść duchowieństwo.“* Nie wchodzimy w to, czy ostatnia pogłoska była prawdą czy też tendencyjną plotką mszczącéj się na swym wrogu kancelaryi polskiéj; konstatujemy, że donosi o niéj poważny prokurator zakonu i że taką jéj przypisuje doniosłość w skutkach. Uczeni rzymscy, popierają teraz argumenta kancelaryi polskiéj i twierdzą, że król Rzymski nie ma prawa rozdzielać korony, gdyż sam jeszcze nie otrzymał korony cesarskiéj od papieża. Inni doktorowie znowu do tegoż samego przychodzą wniosku za pomocą takiéj argumentacyi, że aby król Zygmunt mógł kogoś koronować, to powinienby był on sam nie przyjmować od papieża korony.

Z powyższego widoczna, że kancelarya polska poleciła użyć wszelkich środków, aby przeszkodzić koronacyi i że najgłówniejszym środkiem było wykazanie niemocy Zygmunta i Niemców wobec wrogów kościoła husytów, jakoteż zaręczenie, że gdy papież zapobieży koronacyi, natenczas Polska postara się o zgniecenie kacerstwa w Czechach. A poseł — któregośmy poznali jako kreaturę Szafrańców, przy owej nieszczęsnéj legacyi w Łańcucie—musiał być bardzo sprytnym, gdyż po jego przybyciu do Rzymu, mówiono tamże w największéj tajemnicy, *iż gdyby obecnie panował pokój we Francyi, możnaby było Rzymskie państwo i Rzymską koronę odebrać Niemieckiemu językowi.*

Takiemi były środki przygotowawcze do przyszłéj kampanii ze strony wrogów witołdowych. Nie myśleli oni wcale o jakichkolwiek chociażby najdrobniejszych ustępstwach i to nawet wtenczas, gdy powszechnie sądzono, że mądry Rusdorf stoi po stronie Witołda. Chcąc przeszkodzić dostaniu się posłów do Litwy, rozpoczęto ukła-

dy z wrogiem Zygmunta, z Brandeburczykiem, aby tenże nie dozwolił im przejścia przez swe terytorya, Wielkopolan zaś, pod przewództwem Jana Czarnkowskiego, powołano pod broń i postawiono ścisłą straż graniczną mającą czyhać na posłów króla Zygmunta.

Witołd tymczasem odpowiadał na nieszczerość ze strony Polski zupełną na pozór obojętnością. W początkach sierpnia mijało już sześć tygodni od czasu, kiedy pomiędzy nim a królem Jagiełłą nastało złowrogie milczenie. Witołd nie miał ochoty przerywać go chociażby słówkiem tylko—bo i do czegóż by taka odezwa doprowadziła. Z Polski nadchodziły wiadomości, że Szafrańcy zbroją się w Wielkopolsce do oporu i do nieprzepuszczenia posłów Zygmunta. Równocześnie doszły go listy Zygmunta zawiadamiające go o tém, iż skrupuły książęce co do koronacyi nie są uzasadnione i że posłowie z koroną niechybnie na termin 8 września przybędą do Litwy. Co podówczas sądził Witołd o Zygmuncie, o którego nieszczerości i intrygach był przekonany — łatwo pojąć można. Witołd czuł to dobrze, że lada chwila, lada nieoględny krok z czyjéjkolwiek bądź strony—a katastrofa któréj tak starannie unikał, mogła nastąpić. I w téj chwili atoli, Witołd tak pewnym był siebie, iż nieprzypuszczał możności stanowczego zerwania ze strony swojéj lub téż ze strony swych poddanych, dla których wola jego była rozkazem. Zarówno przekonany był, że król Jagiełło nie podniesie oręża na niego i że zbrojenia w Wielkopolsce mają na celu nieprzepuszczenie posłów i straszenie Krzyżaków zarówno jak i jego samego. Czyż w obecnéj chwili stanowczy protest przeciwko nadesłaniu korony był możliwy? Czyż Witołd, lubo przekonany, że Zygmunt pracuje i wysila się, aby przyspieszyć katastrofę, mógł obecnie zażądać stanowczo od Zygmunta, by mu nie przysyłał korony? Wszakżeż Zygmunt otwarcie wyrażał, że i honor i jego ambicya wchodzi tu w grę; zresztą zanim-by list téj treści doszedł Zygmunta, posłowie z koroną dawno już byliby w drodze. Wobec oświadczenia ze strony Zygmunta, iż posłowie jedni już wysłani, drudzy, mający przywieść koronę i insygnia koronacyjne do Litwy, niebawem udadzą się w podróż, wobec tego niepozostawało Witołdowi nic innego jak tylko urzeczywistnić zamiar koronacyjny. Z kancelaryi książęcéj wychodziły tedy listy do książąt Ruskich i Tatarskich, do przyjaznych baronów Polskich, do obu mistrzów, z zaproszeniem na zjazd, mający się odbyć 8 września, jak to dawniéj wiadomo. Czy Jagiełło lub Polacy zezwolą lub nie, bez zwłoki przyjmę koronę—były słowa Witołda.

Wyrazy takowe nieświadczą, jakby to się zdawać mogło, o niewzruszoności zamiaru Witołda, mają one przywieść przeciwników do upamiętania się — a są zarazem zwierciadłem gniewu i oburzenia

książęcego przeciwko nim i królowi Jagielle. Witołd umie i ze swéj strony wywrzeć presyą a słowa te wywołają może w Polsce opór przeciwko polityce Szafrańców i zgotują upadek głównych jego przeciwników.

Natomiast w stosunkach do mistrza jest książe tak nazbyt grzecznym, tak uprzedzająco słodkim i serdecznym, że niepodobna nie niedostrzedz, iż to zachowanie się jest tylko maską i że książe znakomicie odgrywał znaną mu rolę dyplomaty szkoły krzyżackiéj. Gdy bowiem wrócili posłowie księcia z owego zjazdu pod Toruniem i oświadczyli księciu o wspaniałém podejmowaniu ich ze strony mistrza, zdawał się książe nieposiadać z radości. Szczególniéj zadowolniło go, że mistrz po jego woli odpowiedział pełnomocnikom polskim. Z téj tedy odpowiedzi—która jak to zauważano była klęską Szafrańców—postanawia skorzystać książe i nakłonić mistrza, aby na oznaczony dzień koronacyjny przybył do Litwy. Na tém przyrzeczeniu zależy wielce księciu, który wié o tém, że tą pozorną wspólnością swych interesów z interesami zakonu wywrzeć mógłby stanowczą presyą na Jagielle. Z drugiéj znowu strony miał książe powody do powątpiewania, azali mistrz nie odmówi zaproszenia, gdyż mógł wiedzieć o tém, że mistrz na owym zjeździe pod Toruniem, bez żadnych uwag wysłuchał treści zapisów Witołdowych, które przynieśli na ten cel pełnomocnicy polscy, aby dowieść, że zamiar koronacyjny księcia wymierzony jest przeciwko tymże zapisom. Witołd pojął krytyczne stanowisko Rusdorfa, skoro tenże przez posłów litewskich oświadczył księciu, że skoro nie stanęłyby sprawy nie cierpiące zwłoki na przeszkodzie, mistrz na termin 8 września przybędzie. Oczywista, że wobec tego oświadczenia trzeba było usunąć wątpliwości mistrza i chociażby nadmiarem udanéj przyjaźni pokonać jego wahanie się. To téż dziękował mu w nadzwyczaj uprzejmych słowach za trudy podejmowane w jego sprawie, za przyjacielską odpowiedź, jaką go niedawno zaszczycił a nawet za tę niepewną obiecankę przyjazdu. Witołd zaręczał, że byłoby to dlań prawdziwą i niezwykłą przyjemnością, gdyby mistrz raczył przybyć osobiście, a odgadując niejako jego wolę, zapewniał, że skoro się to mistrzowi niepodoba, książe nie zaprosi arcybiskupa Rygajskiego, jak wiemy wroga zakonu, na uroczysty zjazd. Donosił daléj, że już od dawna nie miał wiadomości od króla, że jednakowoż zmuszony był obecnie do napisania groźnego listu z wyrzutami, dlaczego by go śmiał poniżać i ustawicznie oskarżać przed papieżem i królami i pogrozić, że jeżeli się nie powściągnie i nie przestanie nadal go oczerniać i poniżać, natenczas książe będzie zmuszonym objawić na króla w artykułach podobnych, wszystko to, cokolwiek wié o nim złego. Jak

z tego widoczna presya ze strony Witołda była niemałą, a przed bystrém jego okiem nie uszły machinacye husyckie Szafrańców.

Korespondencya księcia z mistrzem wzmaga się, jakby na dowód, jak bardzo mu obecnie na przyjaźni zakonu zależy. Co dnia niemal biegną gońcy ku granicom zakonnym, wręczając pogranicznym komturom listy książęce do dalszéj odsélki. Marszałek zakonu Henryk Holt należy do zaproszonych na uroczystość wrześniową dostojników zakonnych, jako znawca kraju i języka litewskiego. Kiezgajłło starosta Żmudzki, otrzymał stosowne rozkazy, aby na granicy oczekiwał przybycia w. mistrza i starszyzny zakonnéj. Mistrz otrzymał zachęcenie, aby okrętem raczéj na Ragnetę aniżeli konną na Grodno odbyć podróż; wiedział, iż począwszy od granicy Litewskiéj liczni książęta jeden po drugim począwszy od ks. Swidrygiełły i Zygmunta Kiejstutowicza, będą mu dodawani do świty; wiedział i o tém, że Witołd nie pozostaje już w korespondencyi z Jagiełłą i że grobowa pomiędzy nimi nastała cisza, że obie strony udają obojętność, to też mógł sądzić, że chwila krytyczna już się zbliża. To wszystko wiedział Rusdorf od Witołda i z upragnieniem w duszy wyczekuje jakiejś katastrofy, jakiegoś zajścia, które dałoby powód do wojny pomiędzy Polską a Litwą, gdyż doniesiono mu, że poselstwo Zygmuntowe jest w drodze i że równocześnie Polacy stoją na granicy by je pojmać. Że tajemna radość mistrza połączoną była z trwogą i obawą—niepotrzebujemy bliżéj uzasadniać—to też niczego stanowczego nie odpowiada on Wiłdowi o swym przyjeździe.

Przewiduje to Witołd i dorozumiewa się powodu milczenia ze strony Rusdorfa. Zjazd, bądź-co-bądź, nastąpić musi a z nim i koronacya jeśliby posłowie Zygmunta na czas oznaczony przybyli. Witołd atoli już podtenczas wiedział, że posłowie ci nieprzybędą i że król Zygmunt z rozmysłem wysłał ich drogą lądową, gdyż w ten tylko sposób można było uskutecznić skandal na granicy polskiéj. Ależ sam zjazd licznych książąt i wasalów Litwy przywiedzie kancelaryą polską do upamiętania i zmusi króla do układów, sądził mądry znawca ludzi i stosunków—Witołd; gdyby tylko mistrz przybył, gdyż nie przyjazd jego mógłby go narazić na wstyd i upokorzenie w obec Polski. Witołd postanowił tedy wywierać presyą na mistrza za pomocą listów, które pozwalały zakonowi mieć jakąś nadzieję, że separacya nastąpić może i tém zmusić go do przybycia. Uwiadamia go przeto na dniu 13 Sierpnia, że król Zygmunt z pewnością przyśle koronę na oznaczony termin, a że Polacy będą wzbraniać poselstwu przejścia przez granicę, mogłoby to zatrzymać mistrza w Malborgu i przeszkodzić zamierzonéj podróży. Przyznaje to książę sam i pisze daléj: Kochany mistrzu! Gdyby nawet z powodu niedających się dziś

przywidzieć przypadków, nasza koronacya miała być opóźnioną lub doznała przeszkody, tak żeby na omówionym terminie nie przyszła do skutku, to pomimo to upraszam Was usilnie, zechciejcie do nas przybyć na termin. Zechciejcie przybyć bez względu na to, czy przybędą posłowie Zygmunta czy też nie, abyśmy pomówić mogli o kwestyach naszych wspólnych, gdyż wielu książąt i przyjaciół naszych będzie obecnych. A gdyby jakimkolwiek bądź sposobem koronacya nasza doznała zupełnéj przeszkody, to chcielibyśmy się z przyjaciółmi naszymi naradzić, abyśmy obronić się mogli od możliwego napadu ze strony wrogów naszych. A chociaż nie mam zamiaru na nikogo napadać, mam jednakowoż własną obronę na umyśle, jak np. względem króla Polski, który nas i kraje nasze poniża, wkłada na nas jarzmo niewoli—a my nie chcemy być niewolnikami lecz ludźmi wolnymi. To też nie zamyślamy wieść wojny przeciwko królowi Polski, lecz bronić się gdy nas napadnie...

...Doniesiono nam, jako król Polski wypuścił Kraskę z więzienia; wiedźcie, że on tak ustnie jak pisemnie a nadto przez posłów i dokumenta zaręczył nam, że Kraskę nigdy nie wypuści z więzienia. Nadto często mówiłem królowi, że ma do wyboru albo żyć z Kraską albo z nami—a skoroby go wypuścił z więzienia, postrada naszą przyjaźń. Wy zaś dobrze wiecie za co to ów Kraska był uwięziony. Skoro go tedy na wolność wypuścił król, wnosimy stąd na pewno, że już nie chce ani zamyśla żyć z nami w przyjaźni.

List ten miał na celu poddać mistrzowi iskrę nadziei, pod względem tajnie żywionych myśli separacyjnych i zachęcić do gorąco oczekiwanéj przez księcia podróży. Z tém wszystkiém mistrz nie tak rychło dał się przekonać ponętnym i pięknym słówkom Witołdowych listów. On poczuł całą fatalność następstw, gdyby poselstwo Zygmuntowe wywołało kolizyą pomiędzy krajami Polski a Zakonu i spodziewał się jakiegoś stanowczego kroku ze strony Witołda, jak propozycyi aliansu na podobny wypadek. Tymczasem Witołd nie wyklucza możności takiego aliansu, ale żąda aby mistrz przybył wpierw do Litwy, gdzie dopiéro będzie się można naradzić nad wspólnemi interesami. Jakżeż atoli miał tam jechać, gdy na granicach polskich zbrojne stały hufce—gdy już dokładnie komturowie graniczni wiedzieli, że Polacy granice od Nowéj Marchii silnymi obstawili czatami i że jacyś posłowie Zygmunta już się prawie zbliżali do granic. Komturowie, poddani zakonu z trwogą patrzyli w przyszłość i zdawali się wzajemnie pytać „co to będzie.“ Jakżeż w téj stanowczéj chwili miałby mistrz wyjeżdżać. Było to w połowie Sierpnia 143o r. W téj krytycznéj chwili postanowił mistrz zaapelować do starszyzny zakonu. Najdoświadczeńszy z komturów, komtur z Christ-

burga odradzał mistrzowi podjęcia podróży na Litwę. „Pomnij—pisał on do wielkiego mistrza, że stosunki zakonu są tego rodzaju, iż niedozwalają na twój wyjazd. I tak już wysyłasz także marszałka zakonu z komturem Toruńskim. Mojem zdaniem najlepiéj byłoby pozostać w domu a dać marszałkowi pełnomocnictwo do zastąpienia się, pokierowawszy w poprzód w ten sposób sprawą, aby jak najrychléj z poselstwa wywiązać się mogli, lub żeby przynajmniéj komtur Toruński, będący zarazem sołtysem, napowrót powrócił. Zresztą z załączonych kopij listów Witołdowych widzę, że on pisze tylko o zjeździe a o koronacyi niczego (stanowczego) nie wspomina; a i poselstwo zdążające z koroną nie mogłoby w żaden sposób stanąć na termin w Wilnie. W końcu Witołd powinienby się jaśniéj tłómaczyć—według rady komtura z Christburga—którą przyjął w. mistrz i zgodnie z nią sobie postąpił. W parę dni późniéj marszałek zakonu i znany nam komtur Toruński byli już w drodze do Litwy.

Witołd odczuwał czego po nim żądają Krzyżacy i wiedział, że jeżeli nie napisze wprost, że zamierza się koronować, mistrz zakonu na czém mu najbardziéj zależało—nie przybędzie do Wilna. Już na dniu 16 sierpnia zaszła okoliczność, z któréj mógł w téj mierze skorzystać i zadowolnić miłość własną zarówno jak i interesowność zakonu.

Dnia 16 sierpnia rano, przybył podkomorzy Andrzej poseł królewski na dwór Witołda do Dorsuniszek. Poseł na klęczkach powtarzał swą legacyą, na mocy któréj, król Jagiełło prosił, błagał i zaklinał księcia, aby odłożył termin koronacyi, która jak mu donoszą miała się odbyć na dniu 8 września i ażeby przed tym terminem mógł się odbyć zjazd osobisty króla z księciem, Jagiełło ofiarowywał ze swéj strony wszystko to uczynić czegoby w. książę zażądał, że król nawet własną koronę chce odstąpić księciu, któremu się wraz z dziećmi swémi i państwem poleca i w opiekę oddaje, tak iż będzie mógł z nim uczynić co mu się tylko podoba, byleby tylko uczynił zwłokę z koronacyą.

Witołd na tę propozycyą odpowiedział, że terminu zjazdu nie przedłuży i doniósł o tém mistrzowi, aby go zmusić do natychmiastowéj podróży.

Cóż to, zapytamy spowodowało tak nagłą przemianę w umyśle królewskim? Wszakżeż nie pisywali do siebie od paru miesięcy a Witołd, nie otrzymując nawet odpowiedzi na swe pisma, oświadczył, iż niema wcale ochoty przerywać téj błogiéj ciszy i żałowałby nawet na ten cel pióra i atramentu. Król zaś zdawał się być całkowicie zawisłym od swych zauszników, którym zawdzięczał tę groźną

sytuacyą. Stronnictwo Szafrańców uchwaliło—takby się zdawać mogło—wydać wojnę Witołdowi gdyby się poważył koronować i w tym celu obstawiło granicę Mazowiecką od strony litewskiéj a Witołd, w odpowiedzi na to, nakazał również wzmocnić załogi pogranicznych zamków. Z obu stron czekano hasła wojny, tém prawdopodobniejszego, o ile że wiedziano o terminie koronacyjnym i o podróży posłów Zygmunta. Skoro tedy król w téj stanowczej chwili tak wielce się poniżał w obec Witołda, skoro poseł jego na klęczkach prosił o zwłokę terminu koronacyi, że zresztą król na wszystkie inne warunki Witołda przystaje, to krok taki należy przypisać nietylko łagodnéj i unikającéj stanowczych scysyj naturze sędziwego króla, lecz w równéj mierze i walce zaszłéj w łonie jego senatorów, o któréj niestety żadnych pozytywnych niemamy danych. To pewna, że z chwilą gdy król oświadczał gotowość przystania na warunki obrażonego księcia, Szafrańcy upadli. Wszakżeż jednym z głównych warunków księcia było ich usunięcie. Że atoli nie zwyciężyła partya przeciwna, a więc senatorów przychylnych Witołdowi, dowodzi ta okoliczność, że i w téj chwili jeden z środków zaradczych, a mianowicie niedopuszczenie lub przejęcie poselstwa Zygmuntowego, jak wiemy pomysł Szafrańców, uznano za zbawienny.

Polityka Szafrańców,—polegająca na tém, aby wszelkimi sposoby, chociażby nawet za pomocą tak hazardownego środka jakim była wojna, uzyskać bez względną supremacyą nad Litwą, na zasadzie traktatów poprzedzających unią horodelską a z wykluczeniem ostatniéj,—upada wśród chwili, kiedy to oni rachowali na pewne zwycięstwo. Mężowie którzy ich zastąpili przy sterze polityki, nie pochodzili atoli z obozu ich wrogów, przeciwnie byli to tylko rozważni pośrednicy wśród starcia się stronnictw, nieprzeceniający sił Polski i znający potęgę i geniusz Witołda, mężowie którzy wiedzieli, że jeżeli kolizya nastąpi jeszcze za życia Witołda, niemożna przewidzieć na czyją stronę przeważy się szala zwycięstwa. Ci małopolscy senatorowie, z pośród których niebawem po śmierci Witołda jeden miał stanąć na czele nowego stronnictwa, sprzyjają nawet Witołdowi, wielbią jego cnoty i geniusz, i wiedzą dokładnie, że wszystko to co Szafrańcy o separatycznych dążnościach Witołda mówili, jest fałszem—natomiast podejrzywali Szafrańców, że oni służą za bezmyślne narzędzie jakiejś intrygi Krzyżackiéj i że sami zgotowali rozstrój pomiędzy Polską a Litwą. Taki biskup krakowski Oleśnicki, Tarnowski lub Michałowski posłujący często do Witołda, najdokładniéj obeznani byli z wszystkimi błędami polityki Szafrańców; przekonani oni byli o całkowitéj niewinności Witołda oczernianego przez tychże—wiedzieli atoli, że przyznać się do tego obecnie nie można,

gdyż trudno odwrócić bieg wypadków, które zaszły tak daleko, że przeto trzeba salwować honor królewstwa jakimiś układami, przedłużaniem i zwlekaniem kwestyi—choćby nawet upokorzeniem chwilowem własnego króla. Liczono przy tém na prawość charakteru Witołda, na jego wspaniałomyślność, a wreszcie i na jego wiek i stargane siły, które wkrótce już miały koniec położyć jego żywotowi. W rzeczy saméj nieróżnią się przeto panowie małopolscy a pośrednicy w scyssyi stronnictw od Szafrańców w zapatrywaniach na kwestyą supremacyi korony nad Litwą—tak samo jak Szafrańcy nieżyczą i oni korony Witołdowi i zazdrośném okiem patrzą na jego rozwielmożnienie się—różnią się natomiast w doborze środków celem zapobieżenia koronacyi, a pod tym względem są niebespieczniejszymi przeciwnikami Witołda aniżeli Szafrańcy, ślepo wpadający w zasadzkę, przygotowaną przez Zygmunta i Krzyżaków.

W skutek odpowiedzi danéj podkomorzemu Andrzejowi, król Jagiełło, zmuszony był wysłać solenne poselstwo do Witołda z powtórzeniem prośby i kapitulacyi. Jakie okoliczności go znaglały do tego kroku, obaczymy niebawem, jakie atoli scyssye odbywały się po téj odpowiedzi książęcéj w łonie senatu, o tém milczą dzieje. To pewna że Szafrańcy upadli a Oleśniccy, Tarnowscy, Michałowscy i inni magnaci Małopolscy zajęli ich dotychczasowe stanowisko. Jak dalece atoli pewnymi panami sytuacyi i sukcesu swego poselstwa, byli świezi doradcy, Małopolanie, poświadcza ta okoliczność, iż równocześnie z odjazdem posłów do Litwy, wysłano do papieża prośbę, aby wysłał Witołdowi i Jagielle pisma z powinszowaniem uczynionéj zgody, po któréj kościół ma prawo spodziéwać się zupełnego wyniszczenia kacerstwa. Niestety bulle te miały niezastać jednego z adresatów przy życiu a miał być nim Witołd. Król, we własnéj osobie, wraz z siostrą swą księżną Aleksandrą Mazowiecką, którą w poprzód wysłano miał się przygotowywać do podróży na Litwę.

Był to zresztą ostateczny czas do uczynienia zgody. Dnia bowiem 19 sierpnia forpoczta poselstwa Zygmuntowego, składająca się z dra Babtysty Cigala i Zygmunta Rotha, krzyżaka bawiącego w roli (agenta) powiernika i domownika na dworze Zygmunta, dostała się w ręce czychających na nich Wielkopolan, pozostających pod dowództwem Czarnkowskiego.

W okolicach Człuchowa, posłowie ci przedzierając się ukradkiem przez Polską granicę do Prus, zostali pojmani, obdarci i obici, a po przekonaniu się, że nie wiozą korony, puszczeni na wolność. Mogli tedy zapłakać nad „tą gorzką wolnością i chwilą powrotu“,

gdy w myśl instrukcyi danéj im przez Zygmunta, chcącego wyzyskać gwałtowny i mściwy charakter Witołda, (z téj bowiem strony najbardziéj poznał księcia) narazili się na nielitościwe kije. O obronie bowiem kilkunastu, naprzeciwko od tygodni czatujących setek rycerzy i mowy być nie mogło. Przebiegły Zygmunt zarówno jak i Krzyżacy przewidywali to zajście, z niecierpliwością oczekując wieści o zamieszkach pomiędzy Polską a Litwą, które to zajście powinno było wywołać. Uwolnieni tedy posłowie udali się do komtura Człuchowskiego a ten odesłał ich do w. mistrza.

Zakon truchlał z obawy o „swój honor“ zwłaszcza że obawiano się, aby nie znaleziono u owych posłów listów mogących go skompromitować. To też sołtys Nowéj Marchii, gorliwy o cześć zakonu, a mianowicie aby brudy jego nie wystąpiły na wierzch, posłał swego szpiega do Kalisza, aby się dowodnie przekonać, ażali poderzenia się nie ziszczą. Posłano również i do panów Wedlów z pytaniem dlaczegoby należeli do wspólki z Czarnkowskimi, celem pojmania posłów króla Rzymskiego. Odpowiedzieli Wedlowie ogólnikowo, że bynajmniéj tego nie uczynili przez złość do zakonu. O tém wszystkiém donoszono natychmiast do Malborga.

Mistrz Rusdorf dowiadywał się równocześnie z innéj strony, że panowie Małopolscy przykładają rękę do uczynienia zgody pomiędzy królem a księciem i że król coś nie bardzo sympatycznego napisał do Witołda o komturze Toruńskim. Nie uspakajały go przeto ani wieści z Mazowsza, skąd się dowiadywał, że najmłodszy książę zwany „Złym“ nie złożył Jagielle hołdu lubo był wezwanym do złożenia, ani nowiny z nad granic polsko-litewskich, wróżących wojnę. Rusdorf z obawą patrzał na gromadzące się od strony Człuchowa hufce Wielkopolan, z tajoną uciechą przyjął niefortunnych posłów Zygmunta, gdyż spodziewał się, że gdy doniesie o tém Witołdowi wyczerpie do reszty jego cierpliwość i spowoduje go do zbrojnego wystąpienia przeciwko Polsce. To też w jaskrawych kolorach malował on kłopotliwe i groźne położenie zakonu, opowiadał o zajściu granicznem i o wojskach gromadzących się na granicy polskiéj, tłómacząc tém, że zmuszony jest pozostać w Prusiech i nieprzyjąć zaprosin księcia.

Witołd tymczasem ani dał poznać, że przenika zamiary mistrza, doniósł mu o odmownéj odpowiedzi danéj posłowi króla Jagiełły a przy téj sposobności napomknął, że i solenne poselstwo, które ma przybyć do Wilna, takąż samą zbędzie odpowiedzią. W ten sposób zdawał się łączyć interesa własne z interesami zakonu a dziękując, że mistrz raczył mu przysłać swych pełnomocników, których przybycia oczekuje, upraszał go usilnie aby sam przybyć raczył. „Gdybyś

przyjacielu nie przybył, mówił Witołd, wieluby podniosło wątpliwość o naszéj przyjaźni, powszechnie bowiem już wiadomo, że osobiście będziesz uczestniczył na zjeździe. Będziemy przecież wspólnie naradzać się nad tém, coby z pożytkiem, szczęściem i z naszą wspólną sławą się łączyło, dlatego upraszam uprzejmie, przybądź przynajmniéj do Kowna na sam dzień 8-go września, jeżeli inaczéj już być niemoże. Tém bowiem wyrządzisz nam wielką przysługę."

Tegoż samego dnia 17 sierpnia donosił mistrzowi i marszałek zakonu że się już w drogę wybiera i nie tail się z tém, że mistrz będzie musiał sam osobiście przybyć. Uczynił on to na żądanie księcia. To też w parę dni potém (24 sierp.) książę dziękował marszałkowi za gorliwe nakłanianie mistrza do podróży, a używając silnego słowa zachęty i pochlebiając zarazem dumie mistrza dodawał: zapewne z powodu obawy ze strony króla Polski niechce mistrz opuścić Prusy, a przecież zakon niezwykł nigdy obawiać się przed nikim, ktobykolwiek bądź jakie podejrzenia żywił względem zakonu. Posłowie odsyłają list ten do mistrza zachęcając go powtórnie do wyjazdu, z dodatkiem, iż obecnie zupełnie niewiedzą, w jaki sposób mogliby usprawiedliwić jego nieobecność. Gotuj się przynajmniéj do podróży—pisali mu oni—abyś na każdy wypadek mógł ją podjąć; wiedz bowiem, że bez łaski księcia, zakon nasz wieleby ucierpiał i na wielkie niebezpieczeństwa mógłby się narazić.

Dnia 5 września zdecydował się wreszcie mistrz do ważnego kroku—do wyjazdu. Nazajutrz miał wyjechać. Przebiegły mistrz zanim podjął decyzyą, napisał do króla Jagiełły iż jedzie do Litwy w tym celu, aby pojednać króla z księciem. Zapewne że napisał to w skutek wiadomości, według któréj król miał przestrzedz Witołda, aby nie dawał wiary komturowi Toruńskiemu, bawiącemu już pod ten czas na Litwie. A Rusdorf znał powody, dla których król uciekał się do takiéj przestrogi—aby zapobiedz hańbie zakonu, uznał że obecność jego w Wilnie jest konieczną. Równocześnie, żeby ujść podejrzeń ze strony króla, dał sołtysowi Nowéj Marchii dymisyą—zapewne za przygodę posłów Zygmuntowych.

Przed samym wyjazdem jeszcze raz pisał mistrz do Witołda i do mistrza Inflanckiego, malując w całéj grozie trudne swe położenie i nie tając się z domysłem, że Polacy podżegną Husytów do napadu na Prusy, skoroby się im nie udało przejąć korony. W pięć tysięcy koni—donosił mu do Malborga zdegradowany sołtys Nowéj Marchii—czyhają Polacy na Poselstwo Zygmunta wiozące koronę. Poselstwo tymczasem dowiedziawszy się o przygodzie awangardy, cofnęło się z Frankfurtu do Bieskowa, aby tam oczekiwać przybycia

arcybiskupa Magdeburskiego i magnata czeskiego Rozenberga. Na czele poselstwa stali książęta Ludwik z Brzegu i Przemko Opawski, niemający wcale ochoty narażać się na niebespieczeństwa połączone z przejściem przez Polską granicę—mieli się tedy z arcybiskupem naradzić jaką by inną drogę obrać należało, aby zdążyć do Litwy z koroną. Mistrz Rusdorf niemógł im pod tym względem dać wskazówki udając się w daleką podróż do Litwy.

Witołd podejmował na dniu 8-go września w Trokach wielu gości, przedewszystkiém książąt wasalów Litewskich, Ruskich i Tatarskich, posłów obu mistrzów. Przybyło i poselstwo polskie, aby uroczyście i powtórnie na klęczkach błagać księcia o odłożenie terminu koronacyi, że na wszystkie zresztą inne żądania książęce, król się zgadza. Obecnych było wielu ze szlachty polskiéj, zwolenników i przyjaciół księcia, którzy pokryjomu przekradłszy się przez polską granicę, zdążyli na uroczysty dzień do Litwy.

Witołd mógł być szczęśliwym, wszakżeż święcił dzień zwycięstwa nad swymi politycznymi wrogami! Nie, zwycięstwo to nie jest jeszcze zupełném, punkt co do koronacyi pozostaje w zawieszeniu. A nadto Witołd musi układać minę jakby żadnego nie miał zmartwienia, gdy tym czasem największy niepokój owładnął nim, gdyż niewiedział niczego o posłach Zygmunta, on musi na pozór odgrywać rolę szczęśliwego, a tu lada chwila lada wiadomość o scyssyi granicznéj o przejęciu korony a wszystko mogło być straconém. Już wiadomość o przejęciu pierwszych posłów oburzyła go do żywego i czuł się on tak upokorzonym, tak nieszczęśliwym, jakby w owéj fatalnéj chwili na zjeździe Łuckim. Zapewne że książę wnet przyszedł do siebie aby zapanować nad sobą—ale staczając tę walkę olbrzymią wpadł w zgryzotę, która wkrótce miała go przyprawić o śmiertelną chorobę—i książę nosił już zarodek śmierci.

Z tém wszystkiém Witołd nie dał poznać po sobie jak wysoce dotknęła go ta wiadomość. W obec natarczywych wiadomości mistrza, zapytywał on posłów polskich, czy król nie zamyśla wszcząć wojny z zakonem, gdyż wojska Polskie stoją na granicach zakonu. Odpowiedziano mu, że Wielkopolanie mają nakaz nie przypuścić korony i dlatego tłumnie zebrali się na granicach Nowéj Marchii. Witołd tego samego dnia jeszcze uwiadamia o téj odpowiedzi Rusdorfa, zaręcza, że Polacy nie napadną na Prusy i dodaje, że na żądanie zjazdu z królem Polskim, odpowiedział posłom, iż zgodziłby się na nie byle wiedział w jakim celu mianoby się zjeżdżać. Prosił aby zakon wręczył poselstwu Zygmunta glejt bespieczeństwa przez Prusy a w końcu o przyśpieszenie podróży. Witołd prócz wielu innych bolesnych

skrupułów żywi jeszcze takowy co do przyjazdu mistrza, na który liczne zebranie książąt zdaje się wyczekiwać.

Mistrz jechał ale skarżył się ustawicznie, a książe tak był rozdraźnionym, tak wątpliwym co do jego przybycia, że jeszcze na dniu 10 września zbijał podejrzenia a zarazem upraszał mistrza aby poselstwo Zygmunta inną drogę obrało i ominęło straże polskie. Tegoż samego dnia jeszcze wysłał książę drugi list Rusdorfowi, ręcząc że Polacy tylko grożą zakonowi, w istocie zaś ani myślą napadać na zakon. Niedoniósł mu atoli tego o czém marszałek równocześnie pisał, że książę odroczył termin koronacyi na święty Michał.

W istocie, książę w obec faktu że korona na termin nie przybyła, odłożył tenże na św. Michał. Posłowie zakonu, którym głównie na koronacyi zależało, upraszają księcia aby i przyjazd mistrza raczył odroczyć na tenże termin. Witołd pozornie nie dając wiary ostrzeżeniom króla Jagiełły, co do chytrości i podłoty zakonu, miał obecnie znowu przykrą sposobność przekonania się o co właściwie szło Rusdorfowi. Jakżeż wielce interesuje się zakon losem mojéj korony— sądził ironicznie książę, ale niedał po sobie tego poznać i chłodno z największym spokojem odpowiedział posłom zakonnym, że życzeniem jego jest aby mistrz natychmiast zdążył do Litwy—a skoro przybędzie, natenczas naradzą się coby pod względem koronacyi przedsięwziąść należało. „Gdybym bowiem nawet posiadał obecnie ową koronę, mówił książę—tobym jéj nie włożył na skronie bez rady i woli wielkiego mistrza.“

Komplement ten przyjęli posłowie za dobrą monetę, nie sądząc nawet, że książę przenika ich bezczelne zamiary. Pracując nad zerwaniem unii, życzyli sobie zajścia granicznego z poselstwem Zygmunta wiozącym koronę i zapytywali mistrza, coby im uczynić należało w tym wypadku, gdyby skutkiem takiego zajścia przyszło do akcyi wojennéj, czy mają pozostać na Litwie czyli podążyć z powrotem do Prus.

Mistrz pomału zdąża ku granicom Litewskim dokąd już przybył dr. Baptysta Cigala i Zygmunt Roth towarzysz niedoli, aby zdać księciu najdokładniejszą relacyą z niesłychanie oburzającéj przygody, jakiéj doznali na granicy polskiéj. Przygotowany na to wszystko Witołd, nie dał nawet pozoru, jak boleśnie dotknęła go ta przygoda. Natomiast pragnął zniweczyć podstępny zamiar króla Zygmunta i uprosił Baptystę, aby napisał do swych towarzyszów poselstwa, ażeby albo się cofnęli albo inną jaką drogę obrali, któraby im dozwoliła ominąć straże polskie i nie narażać się na widoczne niebezpieczeństwo.

Baptysta, powolny prośbie księcia, wnet po przybyciu (na dniu 13 września) wysyła żądaną prośbę z Trok do Frankfurtu, a wnosząc z tego że książę trwa w zamiarze koronacyi, począł rozdmuchiwać płomień zbolałéj jego ambicyi. On to bowiem miał poruczenie od Zygmunta usunąć wszelkie wątpliwości jakie się nasuwały księciu pod względem przyjęcia korony, miał usprawiedliwić spóźnienie posłów, miał uskutecznić odłożenie terminu—zaspokoić księcia i napoić go otuchą, że na święty Michał korona niechybnie przyjdzie.

Witołd układał twarz jakoby był najlepszéj myśli, wszelako w duszy odczuwał gorycz i strapienie, na które uczony prawnik, powiernik planów Zygmunta, nieprzenikając myśli księcia, wcale nie umiał znaleść lekarstwa. Z każdym dniem mnożyła się liczba gości. Na dniu 16 września przybywają wielcy książęta Moskwy i Tweru z wielu innymi książętami, a o posłach Zygmunta ani słychu; dochodzą tylko głuche i trwogą napawające wieści—tłumiące ostatni promyk nadziei. O mistrzu—domyśliwał się książę, że powinien był w tym czasie opuścić Labiów, w którym tenże od 5 dni oczekiwał pomyślnych wiatrów do żeglugi. Na dniu 17 września napisał książę do Rusdorfa, iż wyczekuje go z niecierpliwością i niezaniedbał dodać, że gdy Polacy zamierzają orężem wzbronić posłom Zygmunta wstępu do Prus przez Nową Marchią, to przecież posłowie nie powinni obierać téj drogi, ale udać się przez kraje księcia Słupeckiego.

Niepokój księcia pod tym ostatnim względem wzrastał z każdym dniem. Już z relacyi posłów polskich, wiedział bardzo dobrze, że hufce Wielkopolan, w miejscu zwaném Turza góra, czatowały na poselstwo a z wielu danych domyśliwał się a nawet miał przekonanie, że Zygmunt umyślnie wskazał posłom tę niebespieczną drogę. Skoro tedy poselstwo, nie zważając na prośby książęce ani na listy Baptysty lub w. mistrza, zechce wpaść w ręce Polaków wśród krwawéj bitwy, nie będzież to początek katastrofy? Nie wywołaż to nowych trudności i zawikłań, których on tak starannie uniknąć pragnął. Bartłomiéj pisarz, będący przy poselstwie, powinien był według rozkazu Witołda być już w Litwie, a tu pogłoski dochodziły, że wpadł on w ręce czat wielkopolskich.

Na poufném posłuchaniu oświadcza kiąże bawiącym u niego posłom zakonnym, że go to wielce dotknęło iż Bartłomieja pochwycono. Użył on tego wynurzenia się za pretekst, by znaglić mistrza do rychlejszéj podróży i do tego stopnia uwiódł przebiegłych lisów zakonnych, iż ci (na dniu 19 września) napisali do mistrza, że ze słów księcia wnioskują, jako on z powodu przeszkód stawianych posłom króla Zygmunta przez Polaków, zapewne uskuteczni z mistrzem ja-

kiś akt wzajemnych zobowiązań się, któryby atoli nie stał na przeszkodzie pokojowi wiecznemu.

Jakżeż atoli miał mistrz znaglać i przyśpieszać swą podróż z Labiowa, skoro zewsząd najniepomyślniejsze dlań wiatry wiały, a zwłaszcza z granic polskich. Wysyłał on śpiesznych gońców do wojsk wielkopolskich z zapytaniem, jakie by były ich zamiary; odpowiedziano że oczekują poselstwa Zygmunta a względem zakonu zachowują się przyjaźnie. Drugą razą odpowiedziano mu znowu „że w danym czasie dowie się, ażali nie żywią nieprzyjacielskich zamiarów.“ To samo pisał i król Jagiełło w odpowiedzi na list mistrza, datowanéj z dnia 16 września. Wprawdzie już dwukrotnie dziękowałem wam mistrzu—pisał król—za szczére wasze chęci celem pogodzenia nas z wielkim księciem, cóż kiedy niestety na tych dobrych chęciach tylko się skończyło. Teraz udaje się mistrz po raz trzeci na zjazd z księciem, wysławszy naprzód swych posłów, lecz ci posłowie właśnie donoszą mu, że niczego dotychczas nie uskutecznili. Król nie polecił swemu sekretarzowi Andrzejowi, ostrzegać wielkiego księcia by nie dawał wiary komturowi Toruńskiemu, jak to zresztą tenże Andrzej w obec księcia gotów jest oświadczyć. Wszakżeż wielu książąt ubiegało się o to aby pojednać króla z księciem, lecz król wszystkim im odmówił, gdyż ufa tylko zakonowi, przenosząc ofiarność i przyjaźń zakonu nad wszystkich innych, dlaczego też król uprasza mistrza, aby o ile to w jego możności jest, raczył uskutecznić iżby król mógł żyć z księciem w dawnéj przyjaźni. Co się tyczy posłów króla Zygmunta, których przejęto na granicy potém zaś wypuszczono, to król bawiąc podówczas na polowaniu nie mógł zapobiedz wypadkowi—zresztą wypuszczono ich i oddano przyaresztowane rzeczy. „Ale co gorsza, dochodzą do nas słuchy, kończy król—że pewni nieprzyjaciele nasi, chcący oderwać od nas nasze kraje, zamierzają przejść przez wasze kraje zakonne. Dziwi nas to bardzo, że się ich przejściu nie sprzeciwiacie, gdyż zapisy nasze dokumentalne, niedozwalają wam przepuścić tych wrogów przez Prusy. Dlatego prosimy was, abyście nie dozwolili im przejścia, gdyż toby mogło nadwyrężyć naszą wspólną przyjaźń i wielką podnieślibyśmy wątpliwość co do waszéj bezinteresowności, gdybyście zezwolili na to, co wprost wbrew prawom naszéj korony zmierza—którym to często pogłoskom trudno nam dawać wiary.“

Mistrz otrzymał tę dyplomatyczną przestrogę na ziemi litewskiéj. Dnia 24 września był on w Kownie a w poniedziałek (25 wrz.) oczekiwał go Witołd w Trokach.

W miarę jak mistrz Rusdorf zbliżał się ku granicom litewskim zbliżał się do nich i król Jagiełło. Wysłał on tamże księżnę Mazo-

wiecką, powtarzał przez jéj usta przyjęcie wszystkich warunków zgody, jakie tylko podyktuje książę, oddawał mu własną koronę i kazał poufnie zapytać, że jeżeliby żądał korony w dożywocie tylko, to on może na to zezwolić, pod warunkiem że ta korona spadnie po śmierci księcia na królewskiego syna. Obawa króla była niezwykłą a nowi doradzcy wcale jéj nieuspakajali—ufni, żę książę da się przebłagać, że opuści zamiar, i że oni skutkiem tego wyrosną wobec opinii królestwa na większych jeszcze bohaterów, aniżeli przed chwilą byli nimi panowie Szafrańcy. Oleśnicki znał dokładnie charakter księcia i błędy Szafrańców.

Obawę króla wzmogła jedna jeszcze okoliczność. Zaczęto głośno mówić, że król Zygmunt nakazał poselstwo swe wesprzéć siłą zbrojną i przeforsować przejście przez Nową Marchią do Prus. Król obradował podtenczas z kilkoma senatorami nad odpowiedzią Witołda, którą przyniósł Małdrzyk. Brzmiała ona: że książę ma obecnie zjazd u siebie, a jeżeli król sobie tego życzy może zjechać do Wilna i być tegoż uczestnikiem. Obawiając się aby pogróżki Zygmunta nie spełniły się, coby tylko pogorszyło sytuacyą, przyjął lakoniczną odpowiedź Witołda za zaproszenie, i pomimo uporu niektórych senatorów zdecydował się pojechać do Wilna. Był to krok według niektórych z rady bardzo hazardowny; tém wyżéj stanęli tedy w opinii powszechnéj ci senatorowie, którzy postanowili królowi towarzyszyć w podróży. W senacie podziwiano cywilną odwagę Oleśnickiego i Tarnowskiego, jadących wraz z królem do Litwy, by zatrzéć błędy polityki Szafrańców—tłumy, mniemające że zamiar separacyjny Witołda zbliża się ku wykonaniu, unosiły się nad obrońcami ojczyzny i praw koronnych. Szczególniéj drobna szlachta Wielkopolska, pyszna, że jéj przypadło w udziale bronić koronę od wrogów, unosiła się nad nowymi bohaterami, butna jéj postawa wzrosła do tyla, że poselstwo króla Zygmunta cofnęło się do Bieskowa, oczekując posiłków;—nie miało ono ochoty przeforsowywać przejścia przez granicę.

Liczni goście bawią u Witołda, gdy król Jagiełło w pierwszych dniach października zapowiedział przyjazd do Wilna. Tu bowiem podejmował książę liczną rzeszę przyjaciół i hołdowników swoich, znacznie już złamany ustawiczną walką z samym sobą, zgryzotą i troską o całkowitą rehabilitacyą honoru i sławy swego imienia. Jedni z jego przyjaciół nie dostrzegali tego, drudzy zdawali się niedostrzegać i poczynali znosić się tajemnie z księciem Swidrygiełłą.

Król Jagiełło nadaremnie oczekiwał u Niemnowego mostu aby go tamże według zwyczaju powitał Witołd. Zamiast przybyć osobi-

ście wysłał on tamże swoich książąt i szlachtę aby poczcili króla i brata. Gdy atoli król (na dniu 9 października) zbliżał się do Wilna, wyszedł na milę przed miastem naprzeciw niemu Wiotłd z liczną swą świtą, w pośród któréj pierwsze miejsce zajmował mistrz Rusdorf, poczém dopiéro wielcy książęta Moskiewski, Twerski książęta Rjezańscy, posłowie hana tatarskiego itd. Przyjęcie było wspaniałe i serdeczne, jakby bracia żadnych wzajemnych uraz nie mieli, Witołd po dawnemu ściskał i całował brata swego króla Jagiełłę—który się tak wielce przed nim upokorzył—a pomimo to tak szczérze się radował, widząc Witołda, iż zdawał się nie czuć upokorzenia, które atoli dokładnie widzieli Krzyżacy i liczny orszak książąt, wasalów litewskich. Nazajutrz rano król z senatorami swymi zeszedł się z Witołdem, otoczonym również swą radą, a liczni goście jak Rusdorf ze swą świtą, posłowie tatarscy, książęta ruscy, byli świadkami tego posłuchania. W obecności dostojnych gości zażądał Witołd napowrót tego czego mu król w Łucku odmówił, a mianowicie wręczenia kompromisu w sprawach spornych z Zygmuntem i z zakonem. Nadto zażądał on związku wspólnego z Zakonem i Zygmuntem przeciwko Husytom, w końcu aby król zezwolił mu wziąść koronę od króla Zygmunta, który mu ją obecnie przysyła.

Jagiełło przystał na pierwszą część postulatów, atoli pod warunkiem, żeby książę zaraz do Zygmunta napisał z zapytaniem, czy tenże obecnie przystaje na kompromis i czy zechce w tym celu posłów z pełnomocnictwem przysłać i kiedy. Warunek ten znać dobrze był umotywowany, gdy go książę przyjął i według niego umyślił postąpić. Co do koronacyi odpowiedział król, iż odkłada decyzyą aż do zjazdu panów korony Polskiéj, do których téż natychmiast wysłał posła, aby zasięgnąć ich decyzyi.

Witołd odniósł większą połowę zwycięstwa. Wspaniałomyślny, nie okazał tego Jagielle, jak wielce tenże poniżyć musiał królewski majestat, aby odzyskać przyjaźń księcia i naprawić błędy zasiane przez Szafrańców, z których swoi i postronni wrogowie, tak Polski jak i Litwy, wielką korzystać mieli ochotę. Doświadczony polityk i znawca charakterów, postanowił on dobrocią i sprytem pozyskać to, czego mu na przebój uzyskać się nie udało. Mówiono, że książę usiłował przekupić polskich senatorów, że prośbą i namową pozyskać chciał ich głosy.

Sesya atoli nie odbyła się bez epizodu świadczącego, że senatorowie Polscy, czy z konieczności czy dla konsekwencyi pojmowali i teraz koronacyą jako akt sprzeciwiający się prawom koronnym, a jeżeli księciu nie przypisywali obecnie separatycznych dążeń, to na pewno twierdzili, że do takiéj separacyi dążą Krzyżacy, król Zygmunt

i że żywiołu do urzeczywistnienia téj myśli znajdą dość na Litwie. To też gdy Rusdorf oświadczał wobec dostojnego zgromadzenia, że celem jego przyjazdu jest chęć pogodzenia króla z księciem—wiemy pod jakim naciskiem wymawiał te słowa—zaprotestował temu Zbigniew biskup Krakowski, oświadczając „iż Polacy posiadają w przejętych od Baptysty i Rotha listach dostateczne dowody, jakiego to rodzaju przejednania i przyjaźni pragnie mistrz pomiędzy Witołdem a Jagiełłą.“ Witołd taktownèm postąpieniem miał zapobiedz skandalowi.

Rola mistrza, jaką z musu odegrywał była dlań nadto nieprzyjemną aby miał grę jéj przedłużać. Przystąpiwszy uroczyście do kompromisu i do związku antihusyckiego, wyniósł się czemprędzéj do Prus, aby konspirować poza plecyma Witołda ze Świdrygiełłą i chlubić się w obec papieża i kuryi, że on to głównie przyłożył ręki do tego chwalebnego dzieła. Bazyliszek z zadrości pękał, że świetne plany zakonu zniknęły jakby widziadło—pozostała mu tylko nadzieja. Wyjazd mistrza spowodowały także częste przestraszające wieści z nad granicy polskiéj, a mianowicie, że król Zygmunt postanowił swe poselstwo wesprzeć siłą oręża. Gdyby wskutek tego zaszła walka graniczna, wypadek taki mógłby pociągnąć za sobą niedające się dziś przewidziéć ani obliczyć skutki, a kto wie jakby na tém wyszedł zakon, który uważał za stosowne nie liczyć obecnie na Witołda.

Że mistrz Rusdorf w istocie nie miał potrzeby liczyć na Witołda, pouczały go o tém wyrzuty jakich książę nie szczędził królowi Zygmuntowi, że tenże przez jakieś wahanie się i brak decyzyi, w wątpliwości i zawikłania poplątał całą sprawę koronacyjną i z niewiadomych powodów koronę na oznaczony termin nie przysłał. To też w istocie Witołd był gniewny na Zygmunta i z niedobrze ukrywaną goryczą pisał doń (na dniu 13 października z Trok) z wyrzutami że onto jest właściwie winien iż koronacya nie nastąpiła. Przypomniał bowiem Zygmuntowi iż on kilkakrotnie tak listownie jak przez posłów zaręczał, iż na termin 8-go września, czy to się komu podoba lub nie koronę przyśle, i że wskutek tych zapewnień książę więcéj dla przyjaźni króla Zygmunta jak dla czego innego postanowił się koronować, zaprosił dostojnych gości na uroczystość, a tu miesiąc cały już upływa a korony jak niema tak niema. Z królem polskim zgodził się książę w sprawie kompromisu, a teraz żąda od Zygmunta odpowiedzi, czy i on na tenże kompromis przystaje jak to dawniéj chciał uczynić,—a zaręcza mu, że nie pogodzi się nigdy z królem Jagiełłą ani też zawrze z nim jakowego układu w ten sposób, aby nie miał baczenia na interesa króla Zygmunta. W sprawie koronacyi

król Jagiełło odpowiedział, że będzie wyczekiwać decyzyi swoich senatorów i panów koronnych — książe atoli bądź co bądź nie zgodzi się na nieprzyjmowanie korony. Koronę tę nie potrzebował król Zygmunt tak solennemu poruczać poselstwu, dlatego niechajby ją w sekretniejszy sposób przysłał, przez co uniknie upokorzenia i wstydu i wielkich wydatków, jak to w obecném zaszło wypadku...“

List ten dokładnie maluje stan duszy Witołda. Książe nie może nawet dyplomatycznego listu ominąć bez wylania goryczy żółcią zaprawiającéj każdą myśl jego. On jest przekonany o nieszczerości i intrydze Zygmunta, a przecież z całą szczerością odkrywa swe rany i żąda odeń lekarstwa, zaspokojenia zranionéj ambicyi, upokorzonéj dumy, przyćmionéj sławy—on żąda korony. Prawda, że równocześnie oskarża Zygmunta wprost o jakąś podejrzaną niedecyzyą o niezrozumiałe i niedające się wytłómaczyć wahanie się—a pomiędzy wierszami kanclerz Szlick pewno dostrzeże zarzut.... podłoty... Witołd jakby czuł, że zwycięstwo jego nie może zostać połowiczném, że będzie wtedy całkowitém, gdy włoży na swe skronie koronę. To dążenie nie pozwala mu być całkowicie otwartym, całkowicie szczerym tak wobec Zygmunta jak i wobec Jagiełły i gdy pierwszemu zaręcza baczenie na jego węgiersko-polskie sprawy w sądzie kompromisarskim, to równocześnie przyrzeka Jagielle, iż bez kwestyi przysądzi ziemię Ruską koronie polskiéj. Tak samo wobec Krzyżaków postępuje Witołd; oświadcza bowiem królowi, iż pod względem spraw spornych z Krzyżakami zaspokoi on całkowicie pretensye Polskie, jak to żądali mieć Wielkopolanie. Czyż te tajne przyrzeczenia nie znamionują nieszczerości księcia i czyż nie można posądzić księcia, że on, dążąc do całkowitego zwycięstwa, używa je jako środka celem pozyskania konsensu Polaków w sprawie koronacyi. Umiemy usprawiedliwić to postępowanie, lecz czyż ono jest zatém godném Wielkiego Witołda?

Cobykolwiek sądzić można o téj nieszczerości, to pewna, że jest ona znamieniem walki, jaką Witołd stacza z sobą samym. Skutkiem niéj, jest Witołd w przededniu śmiertelnéj choroby, jakiéj już nie mogło wytrzymać wątłe i zgrzybiałe jego ciało.

Widziano tę walkę wewnętrzną w otoczeniu księcia. Jagiełło jak mógł koił zranione serce Witołda; ukorzeniem swém, szczerością i powrotem zaufania ratował starzec starca, zrabowany i wyzuty z władzy wyzuwanego z téjże, wielki przez szczęście monarcha wielkiego męża przez własne zasługi. Król czuł jak każde jego słowo, każda nowina o koronie odnawia zabliźnione rany księcia, odnawia walkę wewnętrzną, najwznioślejszy i poważny łamie umysł... podczas gdy król sam boleć musiał lub udawał, że boleje... chociaż sam był tu winnym...

Bo czy mówiono o podłym zakonie, czy wykrywano intrygę komtura Toruńskiego i oszczerstwa rzucone przez tegoż na dzieci królewskie, czy wykrywano podły plan Zygmunta i współudział w nim Rusdorfa, Witołd udawać musiał, że niewierzy temu, on musiał w obec Jagiełły usprawiedliwiać zakon, bronić dobréj sławy Zygmunta. Potwierdzając bowiem podejrzenia, musiałby chyba przyznać w obec brata, któremu błąd Łucki w całości przypisywał, że i jego samego nikczemnie oszukano, jego Witołda, który od czasu wielkich dni swego wielko-książęctwa nigdy w życiu tak zdradliwie nie dał się oszukać. Świadomość i przekonanie o tém a udawanie jakoby się temu nie dawało wiary, zabijały Witołda przyprawiając go o śmiertelną chorobę, gdyż on wobec samego siebie symulował, jakoby nie był oszukany i że cały błąd leży po stronie Jagiełły i upadłych Szafrańców.

Walkę wewnętrzną księcia podsycała niepewność co do posłów wiozących koronę. Królowi Jagielle donoszono z Wielkopolski, że król Zygmunt chce siłą mocą przeforsować przejście poselstwa do Prus i że to mogłoby wywołać krwawe starcie graniczne. Proszono o jak najśpieszniejsze instrukcye. Jagiełło uznał za konieczne wieścią tą zakrwawić serce Witołda.

Witołd niezapomniał zwykłéj energii. Napisał on najsamprzód krótko do posłów Zygmunta, aby się wrócili do domu. Do Zygmunta zaś napisał: „Donoszą obecnie królowi Polski, że w. kr. mość zamierzasz poselstwo swe wesprzeć wojskiem z Niemiec, aby je przemocą z Frankfurtu nad Odrą do Prus przeprowadzić. Oczywista, że Polacy nie omieszkają uzbroić i przygotować się ze swéj strony i może nastąpić krwawe zajście graniczne, a stąd większe tylko powstaną różnice i spory pomiędzy Wami a królem Jagiełłą. Gdy ja atoli inaczéj już z rzeczonym najukochańszym mym bratem postanowiłem w téj sprawie, jak o tém w poprzednim liście do w. kr. mości pisałem, proszę was usilnie, abyście nie zechcieli wspierać swych posłów siłą oręża ani też chcieli ich nam obecnie przysyłać, lecz raczéj oczekiwać, dopokąd Was nie uwiadomimy o naszém zdaniu. Podczas tego bowiem, panowie polscy odpiszą nam w sprawie zezwolenia na koronacyą a spodziewamy się wraz z bratem Jagiełłą w ten sposób załatwić sprawę, że już wkrótce rzeczeni posłowie będą mogli wprost przez Polskę udać się do nas z koroną.“

Mistrz zakonu otrzymał kopię listu tego, wraz z przyjacielską prośbą od księcia, ażeby i ze swéj strony raczył napisać do posłów Zygmunta z doradą do powrotu. Prosił go też książe o podwody dla pisarza swego Domarata, ażeby tenże tém rychléj zwrócił rzeczonych posłów z drogi, gdyż—dodawał—przybycie ich pod obecną

chwilę, byłoby mu bardzo nie na rękę i stawiałoby go w trudném położeniu...

Jeżeli to postępowanie księcia świadczy o stanowczém postanowieniu niekoronowania się w obecnéj chwili, a zatém o ustępstwie na prośby Jagiełły, to znowu wcale nie mówi za tém, jakoby miał on porzucić zamiar koronowania się na zawsze. Przeciwnie, świadczy najwymowniéj, że postanowił wyczekiwać decyzyi senatu koronnego, żył nadzieją uzyskania korony a z nią i całkowitego zadowolenia urażonéj i zbolałéj ambicyi.

Wielki historyk téj epoki, Długosz, jak powszechnie wiadomo, przypisuje tę żądzę koronowania nienasyconéj ambicyi księcia i wyniosłéj żądzy panowania i zapomina snać o tém lub nie chce wiedziéć, że ambicya księcia była wysoce urażoną i że korona miała być zadość uczynieniem dla w. księcia Litwy, jeżeli honor jego i całéj Litwy nie miał być na szwank narażony. Długosz nie chce o tém wszystkiém wiedziéć, gdyż musiałby zarazem okazać i odwrotną stronę medalu, musiałby opowiedziéć o błędach króla i kanclerskiego stronnictwa, a on usiłuje poczytać senatorom sprzeciwiającym się koronacyi krok ten za największą zasługę, za to co wielkie i godne zapisania na kartach dziejów Polski.

Z tém wszystkiém nie przeczymy, ażeby Witołd nie miał używać wszystkich możliwych łagodnych sposobów do pozyskania upragnionéj korony. Jagiełło, zapewne za doradą Zbigniewa, widzącego zbliżający się koniec życia książęcego, robił nadzieję i co do swéj osoby dał nawet zezwolenie, pod warunkiem, aby korona przeszła po śmierci księcia na syna królewskiego i żeby to dokumentnie było utwierdzone. Złamany na ciele książe, rozbolały zwłaszcza gdy mu się fistuła otworzyła, chwytał się i iskierki nadziei. Ten wielki Witołd na łożu boleści, był tylko ambitnym Witołdem, pomnym jedynie na urażoną ambicyą i upokorzoną dumę swego kraju. Zdrów na ciele usiłował i umiał zapanować nad sobą, a gdy ta ciągła walka przyprawiła go o śmiertelną chorobę, gdy boleść i rozpacz stargała wątek dotychczasowego a wiekowego szczęścia i przyprawiła go o śmiertelną chorobę, mógł nawet niezapanować nad sobą—na poły pogański jego wielki duch, nie znał chrześcijańskiéj rezygnacyi... począł ulatywać...

A więc i prawdą być może, że na łożu boleści pragnął, by mu włożono na skronie koronę, a on ją wnet odda dawcy Zygmuntowi. Mógł myśléć, że tém zaspokoi i ukoi zranioną ambicyę i ukorzoną dumę swą i ukochanéj Litwy, że sława jego przejdzie przez to w potomność czysta i nieskalana.

Zapyta może kto, dlaczegoż Witołd nie dał poznać Krzyżakom że są zdrajcami, królowi Zygmuntowi, że go uwodzi i że haniebną snuje intrygę—wszakżeż wiedział o tém dokładnie. Dlatego, odpowiadamy, że najsamprzód sam w siebie wmawiał, iż nie jest zwodzonym i głuszył wstyd przed samym sobą; powtóre, że uczyniwszy tak, musiałby był zerwać z Zygmuntem i Krzyżakami a oni mu pomocnymi byli do zwycięstwa nad polityką Szafrańców, byłby musiał zrezygnować na poważną rolę sędziego w sprawach Polski z Rzymskim królem i Zakonem, a tylko ta rola dawała mu rękojmię zupełnego poskromienia planów Szafrańcowych względem Litwy a korona ofiarowywana przez Zygmuta mogła je unicestwić na przyszłość. Witołd zrywając z krzyżakami i Zygmuntem, o których haniebnéj intrydze był przekonany, musiałby chyba kapitulować przed polityką Szafrańców.

Dnia 16 Października odprowadzał Witołd Jagiełłę z Wilna do Trok. Podróże takie odbywały się w owych czasach konno. Dwaj zgrzybiali starcy, z wielką świtą wyjechali, jako pojednani już przyjaciele, za miasto. Osłabiony i zbolały Witołd począł tracić siły i spadł z konia, odniesiono go tedy do Trok. Tu pokazało się, że księciu otworzyła się fistuła pomiędzy łopatkami. Dwa tygodnie przeleżał na łożu boleści a przy nim czuwał król Jagiełło. Na łożu tém, z którego więcéj już powstać nie miał, miał się według Długosza napierać w dziecięcy sposób korony. Daléj opowiada Długosz, że gdy choroba coraz bardziéj się wzmagała, przywołał Witołd książąt i bojarów Litwy i oddał rządy Litwy w ręce tego, z którego rąk je był przed pół wiekiem odebrał. Miał go przytém prosić o przebaczenie za wszystkie obrazy, jako też i zabiegi jakie czynił o koronę. Poczém spowiadał się kilkakrotnie przed biskupem wileńskim Maciejem i zapewniał tegoż, że wierzy w zmartwychwstanie, czemu za życia nigdy wierzyć nie chciał. Oddał Jagielle klucze zamków litewskich—a król 21 Października potwierdził nadania niebezpiecznie już chorego brata dla kapituły wileńskiéj. Dnia 27-go Października oddał Witołd bogu ducha, mąż przez współczesnych za największego wśród książąt i królów uważany — jak nie na jedném miejscu podnosi Długosz, który nie za wiele sympatyzuje z Witołdem, abyśmy relacyą jego w tym punkcie o przesadę posądzić mieli. Wszakżeż najznakomitsi kuryaliści współcześni porównywali Witołda z Aleksandrem Wielkim, któremu on jeden wśród współczesnych sobie książąt dorównuje umysłem i sławą.

A gdy jeszcze książe leżał na śmiertelnéj pościeli, znalazł się człowiek, który od dawna miarkował, że książe gaśnie i czynił za-

biegi by zostać jego zastępcą. W miarę pogarszającéj się choroby Witołda, począł Swidrygiełło coraz zuchwaléj podnosić głowę, apelować do zauszników swoich, skarbić sobie stronnictwo z malkontentów na Litwie, konspirować z zakonem, nie kryjąc dumy swéj w postawie ni czynie. Zmiarkował to dogorywający Witold, przewidujący dobrze w téj chwili, jaki los czekał Litwę ukochaną, skoro ten burzliwy i niespokojny książę zostanie jego następcą. Zapewne, że mógł pożałować w téj chwili, że w myśl unii horodelskiéj nie czynił zabiegów, aby przygotować następcę Litwie, gdyż miała ona zagwarantowaną wolność elekcyi—podkopaną uchwałą zjazdu Jedleńskiego przez Polaków. Witołd miał kazać przywołać do siebie Gedygołda, Rumbolda i Mikołaja Sepieńskiego, aby zawiadomili Jagiełłę o zuchwałych postępkach księcia. Wskutek téj przestrogi Swidrygiełło znikł naraz z Trok, by konspirować z ukrycia z Krzyżakami. Zapewne, że wobec tego nie mógł Witołd umrzeć spokojny o los ojczyzny, którą tak kochał.

To téż skoro pochowano zwłoki Witołda, począł Swidrygiełło, ta zła gwiazda Litwy, wyzyskiwać błędy polityczne ze zjazdu Łuckiego wynikłe. Swidrygiełło dąży wszelkiemi środkami do separacyi.

Swidrygiełły wystąpienie to fatum historyczne za winy, które nigdy nie pozostają niepomszczone w historyi. Zdrada, o którą niesłusznie posądzano Witołda, znajduje wykonawcę w Swidrygielle; ludzie którzy pod Witołdem i zamarzyć nie śmieli o odstępstwie od Polski, będą Swidrygielle pomocnymi przy dokonaniu dzieła hańby, na Polskę i Litwę spadną obficie srogie ciosy wojny domowéj, strumieniami krew popłynie, krew narodów, których węzły unii przez winę niedowierzania, pychy i samolubnéj polityki z jednéj strony, jak znowu wyniosłéj i podrażnionéj ambicyi z drugiéj, zwolnione zostały. Mścicielka win—historya—wykonuje akt zemsty. Witołd przewidywał to, ale nie był już w stanie zatrzymać przewrotu, jaki bezwiednie dokonywał się po za jego plecyma.

Spuśćmy zasłonę na ten straszny obraz wojny domowéj, a przypatrzmy się jednéj jeszcze scenie, ilustrującéj dokładnie naszych aktorów, których poznaliśmy przy opisie zjazdu Łuckiego. Oto Jagiełło wnet po śmierci Witołda wyznacza Swidrygiełłę na w. księcia Litwy, łamiąc tém unią Horodelską całkowicie, ale zmuszony był do tego aktu koniecznością, gdyż Swidrygiełło przygotował się już był należycie, aby bądź co bądź osiągnąć władzę nad Litwą. Zamiast odwdzięczyć się królowi za dobrowolne oddanie rządów Litewskich, żąda on odeń zupełnéj samodzielności Litwy, zrywa z niechcącym na to przyzwolić królem i zmusza go do zawarcia z nim zawieszenia broni...

Któż jest pomocnikiem złego zapytamy? Braciszek zakonu, znany nam Zygmunt Roth, Szlązak rodem a poufny dworzanin króla Zygmunta, pracującego zawzięcie nad zerwaniem unii Polski a Litwy.

Tuż po śmierci Witołda, w pierwszych dniach Listopada (8-go) za doradą tego to Rotha, zgodził się Swidrygiełło na wysłanie go do króla Zygmunta z następującemi artykułami poselskimi:

Książe Swidrygiełło oświadcza przyjazne usługi i szczerą podziękę za świadczoną mu pomoc w szatach, koniach i pieniądzach, gdy bywał na jego dworze, czego nigdy jak długo żyć będzie nie zapomni.

Książe proponuje związek wzajemnéj pomocy, pomiędzy królem Zygmuntem, zakonem i sobą. Jeżeli król Jagiełło zechce przystąpić do związku, możnaby go przyjąć—jeżeli na to zgodzi się trójka kontrahentów.

Jeżeli Rotha zapyta król Zygmunt, czy książe nie chciałby się koronować, ma odpowiedziéć: „Jeśli to w. kr. mości się podoba i jeżeli zechce posłać księciu koronę, to tenże chętnie ją przyjmie i będzie za to wdzięczny, dopókąd mu starczy żywota, jako syn swemu ojcu i jako sługa panu swemu, tak we własnéj osobie jako i z bojarami i szlachtą litewską.“ Książe radby się nawet ożenić w ten sposób, aby to z korzyścią dla króla Zygmunta było, jak np. z córką wojewody Wołoskiego, aby go przez to ociągnąć od związku z Turkami i z koroną Polską...

W odpowiedzi na to poselstwo, król Zygmunt zawiera ów proponowany alians za pośrednictwem Rusdorfa, wykluczając atoli króla Polski „gdyż ten tylko nowe trudności stawiałby i przeszkody, a jego zmusić trzeba, ażeby najpierw każdemu z kontrahentów winny dług spłacił.“ Charakterystycznie wyraża się on w instrukcyi dla Rusdorfa: Co tylko chciałem powierzyć Ci dokonanie ważnéj sprawy z księciem Swidrygiełłą—a ona za łaską Boga sama się dokonuje...

W misterny sposób knuje Zygmunt na nowo kabałę i we współce z zakonem doprowadza szatańskie dzieło do skutku. Epizod ten wtajemnicza nas w haniebną jego intrygę i rozstrzyga stanowczo kwestyą, że mianowicie Zygmunt działał z rozmysłu i z góry ułożonym planem ręka w rękę wspólnie z Rusdorfem. W nagrodę obiecywał zakonowi po szczęśliwém rozerwaniu związków pomiędzy Polską a Litwą, dopomódz do odzyskania praw tegoż do Litwy... Prawda, że były to tylko obietnice i że historya chociaż wykonała akt zemsty, nie zezwoliła na zniszczenie szlachetnego i wielkiego związku dwóch narodów.

Najpodlejsza z podłych „Święta dusza“ miał dość miedziane czoło, że gdy bratobójcza zawrzała walka, on po zdradziecku napadł

na Polskę, a gdy los go zawiódł i srogo odpokutował zdradziecki zamach—świadczył się bogiem i prawdą wobec kuryi i konsylium Bazylejskiego, iż jemu to tylko ma król do zawdzięczenia, że się pojednał z zagniewanym nań Witołdem, iż on to głównie przyłożył ręki do uczynienia zgody pomiędzy braćmi!

Pozostałoby jeszcze dodać, w jaki to sposób przyjął Zygmunt owe cierpkie dwa listy Witołda, w których niedbalstwu i podejrzanemu brakowi decyzyi, przypisywał zbolały książe, iż odkłada koronacyą aż do otrzymania konsensu ze strony baronów polskich.

Szalbierza naszego nie zabolał wcale taki srogi zarzut. Moglibyśmy się nawet domyślać w jaki sposób odpisał Witołdowi, gdybyśmy nie posiadali kopii jego odpowiedzi datowanéj z Ulmu 8 Listopada, a zatém po śmierci adresanta, o któréj przedzielony od Litwy setkami mil, Zygmunt wiedziéć jeszcze nie mógł. Zgadywalibyśmy, że się usprawiedliwiał w ten sposób, aby na Jagiełłę wskazać jako na jedyną przyczynę złego, że atoli od przysłania korony nie odstępował, że przeciwnie, trzymając Witołda za słowo, przyrzekał, że koronę przyśle, skoro otrzyma przyszły list od księcia.

List ten jest w rzeczy saméj tejże treści; zawiera nadto ustępy świadczące, że Zygmunt nawet w tym wypadku, gdyby Witołd był sędzią kompromisarskim, miał na myśli sprawę pokierować w ten sposób, aby ani on ani Zakon na tém nie ucierpieli i żeby nowe zawikłania sprawić pomiędzy Polską, Litwą a Zakonem... Oto co pisał na wiadomość od księcia, że król Jagiełło przystąpił do kompromisu „że gdyby był król dawniéj to uczynił, nie przyszłoby nigdy do obecnych niezgód. Ja z méj strony najchętniéj ponownie zdaję sąd w ręce księcia. Spodziéwam się, że gdy po św. Katarzynie zakończę sprawy z husytami, przybędę na granicę pruską i tam moglibyśmy się wszyscy zjechać, w tym celu, aby raz już sporne nasze sprawy załatwić. Książe mógłby i króla Jagiełłę nakłonić do wzięcia osobistego udziału w zjeździe, nad czém margrabia Brandeburski ma obecnie pracować. Wiedz bowiem bracie nasz najukochańszy—odpowiadał Zygmunt na podejrzenia książęce—biorę Cię bowiem samego na świadka, jako nigdy nie pragnąłem siać pomiędzy Tobą a królem Jagiełłą ziarna niezgody i zawsze pragnąłem waszéj przyjaźni i wzajemnéj miłości. Dowodzą tego dobre nasze chęci przez przystąpienie do kompromisu, gdyż chcieliśmy zgody, do czego widocznie nie dążył król Jagiełło, skoro w Łucku nie przystąpił doń—ba nawet poróżniliśmy się z królem Polskim, pragnąc wywyższenia honoru i sławy waszéj braterskości. Oskarża nas w. braterskość o niedbalstwo, zapewne musi król Jagiełło przejmować nasze listy i aresztować posłów naszych, inaczej bowiem nie umiałbym wytłómaczyć sobie zarzutów w. braterskości, w ostatnim liście zawartych.

Tak pisał dyplomata XV w. a równocześnie przesyłając kopią tego listu do Rusdorfa dodawał: wiedz, że ten zjazd nie jest na seryo pomyślany i że gdyby nawet do niego przyjść miało, to mam tam właśnie wiele tajemnych i ważnych spraw z Tobą do pomówienia; doniesie ci o nich Nespor, doręczyciel tego listu...

Prawda są tajemnice, których szaleństwem byłoby powierzać pismu. Zygmunt obiecywał Zakonowi za usługi w nikczemném dziele intrygi złote góry i oczywista nie mógł tych obietnic wyrażać na piśmie. Dlatego tylko ogólnikowo czytamy w późniejszéj instrukcyi danéj Rothowi, że Zygmunt będzie się starał podnieść sprawę zakonu, skoro zakon Swidrygiełłę całkiem odsunie od Polski. Te pretensye zakonu znane są w dziejach—pod owe czasy obejmowały one Żmudź, Litwę i Ruś a apetyt zakonu, nigdy nienasyconego, nie pogardzał takiemi łakotkami, jakiemi były pograniczne ziemie Polskie i Mazowieckie, obfitujące w silne grody i pozwalające poskramiać wrogą Polskę. Podówczas atoli żołądek krzyżacki z powodu potrzeby Grunwaldzkiéj cierpiał na „niestrawność,“ obietnice Zygmunta miały być marzeniami.

Dr. An. Prochaska.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(*Dokończenie*).

VII.

Omnibus zatrzymuje się przed dużym domem wielkiéj restauracyi. Na drugiem piętrze osobny salon z zastawą do wieczerzy. Dżorż i garsony już nas oczekują.

Siadamy zmuszając dżentlemena, aby prezydował. Dżentlemen śmieje się basem, ręce zaciera, a nareszcie ze skromnością spuszcza oczy. Rozrzewnienie i radość opanowały go zupełnie.

Ja zaś, oraz jeden z przyjaciół i dwóch jeszcze dziennikarzy, po zaspokojeniu pierwszego głodu, udaliśmy się do drugiego pokoju pracować. Należało przed jedenastą skończyć sprawozdanie dla tych dzienników, których reporterzy nie byli obecni, aby jutro rano mógł być już wiadomy rezultat naszego zwycięstwa w hali.

Głośno odczytana po napisaniu mowa dżentlemena wywołała powtórne oklaski. Sam mówca nie mógł przyjść do siebie, słysząc jak jego wyrażenia tak dobrze układały się w całość i dobitnie myśl malowały.

— Ile razy szanowny a przyszły member of parliament — rzekł nasz wspólny przyjaciel pan Woodward—będziesz mówił z poczucia słuszności, z głębi swego serca, ile razy będziesz wysnuwał myśli, które wypracowane spoczywały w twoim mózgu, zawsze się one będą układać w obrazy, mające treść i całość i zawsze będą wskazywały siłę przekonania.

Wyprawiono Dżorża z naszemi sprawozdaniami do dzienników i wtedy zasiedliśmy swobodnie i ochoczo do wieczerzy.

Zawezwano nas wkrótce do obliczenia statystycznie możności wygranéj przy wyborach dżentlemena. Okazało się, że nasz kandydat może mieć zaledwo tysiąc głosów więcéj. Od tego należało odliczyć parę set niegłosujących, jak się to zwykle zdarza w stronnictwie zwyciężającém, które sobie lekceważy przeciwnika i tym sposobem osłabia wygraną, lub co gorzéj, często sprowadza klęskę. Zwycięstwo zatém było jeszcze wątpliwe i dlatego postanowiono poruszyć wszystkie możliwe sprężyny, żeby tylko nie upaść.

Na ten temat sypały się projekta po projektach, których słuchając nie w Londynie, możnaby śmiało je wziąść za żarty, gdy tymczasem tu w szlachetnym i pomysłowym Albionie, rozbierane były z powagą brytańską, przy pogodném obliczu i głębokiém zastanowieniu.

— Mam wyborny projekt—rzekł jeden z biesiadników, któregobym nie oddał w zwykłych stosunkach za sto funtów, lecz w tak ważnéj sprawie nie waham się go wyjawić.

— Słuchamy!—zawołaliśmy wszyscy.

— Wielka, długa, dziesięcio-łokciowa deska, szerokości na możliwą wysokość człowieka, od stóp do ramienia, przymocowana do dłuższego o dwa łokcie drążka. Na desce téj ma być wymalowany nasz kandydat, trzymający w jednéj ręce udo wołu a w drugiéj udo barana. Wielkie sztuki czerwonego mięsa ozdobić napisami: „Funt po sześć penów, jeżeli mnie wybierzecie.“ W oddaleniu widać rzeźnicze sklepy z powywieszaném mięsem z dzisiejszemi cenami. Rrzeźnicy w sklepach załamują ręce a rzeźniczki mdleją. Deskę tę obnosić na wspomnianym drążku po całym okręgu wyborczym.

Pomysł uznano za bardzo naturalny, właściwy—a nawet konieczny. Rachowano w przybliżeniu trzysta głosów więcéj za tę jednę deskę.

Przy bliższém rozpatrzeniu porobiono poprawki. Deskę zmieniono na płótno w ramach drewnianych, do rysunku dodano kilka efektownych rysów. Trutle miał być wzmocniony jeszcze trzema chodzącymi po sklepach i po domach kenwaserami, aby stanowczo rozjaśniać wszystkie wątpliwości wyborców co do usposobienia kandydata, podchwytując zręcznie każdego wyborcy opinie i te nawzajem podać mu w innych wyrazach, jako przekonania kandydata.

Znowu wzmocnieni energią i programem dalszéj pracy, rozeszliśmy się pełni otuchy i dobréj myśli.

Na drugi dzień wpadł do mnie Dżorż z miną złą i zafrasowaną.

— Sir czy uwierzysz jakie się nieszczęście stało?

— Nieszczęście mówisz—odzywam się przecierając oczy ze snu

Dżorż w milczeniu rozwija arkusz papieru podając mi go.

Okropny widok! Na wielkiéj, białéj płachcie papieru przerażająco wyrysowany dżentlemen, więcéj zbliżony do orangutana jak do człowieka, chociaż podobieństwo rysów złośliwie zachowane. U nóg dżentlemena powiązani murzyni—chudzi, umierający z głodu. Arabowie wyliczają mu pieniądze za ten towar, a z boku układają w beczkach pekefleisz. Czyżby to miała być aluzya do ostatnich słów mówcy konserwatywnego wyrzeczonych wczoraj? Pod spodem napis: „Oto kandydat liberalny z Middlesex."

— Sir, czy to być może, aby tak spotwarzano mojego pana, oskarżając nas o podstępny handel czarnymi, gdy my właśnie, jak sir wiész, walczyliśmy przeciwko téj zbrodni, jak przystało na Anglików. Strzelano do nas—raniono dwóch ludzi, a jednak myśmy się nie ulękli.

— Opowiesz mi — przerywam — o dowodach waszego męstwa drugim razem, a teraz zapytuję cię, czy chcesz być *respectable*, mieć sklep i ożenić się z Nele.

— Oh sir, ja tylko o tém myślę.

— A zatém potrzeba fotografii kandydata konserwatywnego i dobrego drzeworytnika!

— Rozumiem sir, rozumiem—tak, tak, odwet, musi być odwet!— wołał uradowany chłopiec.

— Daléj sprowadzisz ministra i Dżaka Bleka. Czy płótno, które ma być obnoszone na drągach, już jest gotowe?

— Właśnie gdy wyjeżdżałem, malarz kończył kredką portret dżentlemena. Ach jak podobny, nie uwierzysz sir.

— Jakiego powodzenia doznają czarni minstrele?

— Nadspodziewanego sir, lecz przyznam się, że i ja trochę przyczyniłem się do tryumfu.

— Będziesz zatem *respectable* — tylko się spiesz, czekam cię w domu twego pana.

Dżorż wybiegł do drzeworytnika, ja pojechałem do naszego kandydata. Ledwie zdołałem się przywitać, gdy do pokoju weszli Dżak Bleck, minister i Trutle.

— Co słychać, moi panowie, jak stoimy? — pytał niespokojnie dżentlemen. Czy wiecie o buncie szynkarzy?

— Zapóźno—rzekł stanowczo minister. — Zapóźno—powtórzył lakonicznie Trutle.

— Przez nasze biura — zabiera głos trybun — przeszło wczoraj wieczór z górą dwa tysiące ludzi! Wszyscy są zentuzyazmowani na rzecz naszego kandydata. Ciągle utrzymujemy z nimi porozumienie, co chwila więcéj zwolenników przybywa. Rozliczne kluby wysyłają swoich delegatów do komitetu!

— W niedzielę będziesz sir rano metodystą, po obiedzie anabaptystą—konkluduje z miną obojętną minister.

— Jednym i drugim—dodaje Trutle.

— U pierwszych mówię kazanie rano—prawi daléj minister—u drugich przemawiam wieczór. I tu i tam—wszędzie będę opowiadał twoje sir zasługi misyjne. Wierni zostaną wezwani, aby się co do jednego stawili przy urnie, do poparcia najlepszego brata. Tymczasem.,.

— Tymczasem — przerwałem — dodaję nowy szczegół do tematu mów.

— Im więcéj tem lepiéj — oświadcza ze spokojem automatu Trutle.

— Przeciwne stronnictwo rzuca potwarze na nas, nazywając naszego kandydata handlarzem niewolników! Słyszeliście na własne uszy.

— Biada im—zawołali. Trybun podniósł swą okazałą pięść a Trutle parasol.

— Należy—zabieram głos—rozwijać przeciwne pojęcia, opierając się na dwóch czynach bohaterskich dżentlemena, który wraz ze swymi ludźmi uwolnił po dwakroć ekspedycye z niewolnikami.

— Rozumiem — przerywa minister — jest to temat łatwy i malowniczy do opowiadania.

— Dzienniki ogłoszą dziś wieczór opis tych zdarzeń—oświadczam. — Mister Black objaśni również w tym względzie wszystkich swoich ludzi, a tymczasem szanowny Trutle niech opowie pokrótce swoje czyny.

— Są one ciche, ale głęboko sięgające—zaczyna ponury kenwaser. Tak, nie mylę się, mówiąc, że sięgam aż na samo dno serc rodziny. Rozlepiłem i wystawiłem po oknach sklepików około trzysta plakatów, wszędzie z małemi wyjątkami dobrze je przyjęto. Wszędzie szanują moję powagę i zgadzają się z moją opinią, bo ja naprzód zgadzam się z ich opiniami. Mój system sir, nie wchodzić do domów bez przygotowania.

— To jest mój system—przerywa gwałtownie minister.

— Nie przeczę, ale obecnie stał się moim—odpowiada majestatycznie Trutle. Sąsiedzi mówią o sąsiadach i tym sposobem poznaję po kolei wszystkich mieszkańców ulicy. Wielu uważa mnie za księdza. Godność ta, szczególniéj między kobiétami, dobre robi wrażenie. Jestem zwykle częstowany jadłem i napojem i rade ze mną rozmawiają.

— Jeszcze jedna poprawka — przerwałem. Panowie proszę uważać! Napadliśmy na rzeźników wydając im wojnę na śmierć

i życie, a nie zabezpieczyliśmy sobie punktu oparcia u innych kramarzy, mających stanowisko i pieniądze! I już są skutki téj nieuwagi, w niechęci ku nam szynkarzy! Trzeba to naprawić.

— Już kwestya ta przedyskutowana—zawołał z tryumfem Black, i stosowne instrukcye posłane naszym ludziom. Rzeźników, tłómaczymy im, dlatego głównie chcemy ukrócić, aby za oszczędzone pieniądze rozbudzić w narodzie chęć do rozszerzenia konsumcyi towarów kolonialnych. Nasz kandydat—szepczą im do uszów,—właśnie prowadzi handel z koloniami kawą i herbatą...

Dżentlemen zaśmiał się, wołając:

— Wybornie, wybornie!

— Ilu komitet posiada kenwaserów?—rzucam pytanie chodząc po pokoju.

— Tylu ilu apostołów z Judaszem—odpowiada trybun.

— Jaką ilość mówek w przecięciu wygłaszasz pan dziennie?—zagaduję ministra.

— Śmiało mogę wymienić liczbę pięćdziesiąt, i jestem pewny tego co mówię. Przeszło pięćdziesiąt tysięcy ludzi musi mnie słuchać każdego dnia.

— W dalszym ciągu proszę szczegółowo rozbierać i objaśniać mowę naszego kandydata, mianą w halli.

— Od dziś już zacząłem. Odczytuję z drukowanéj mowy jeden ustęp jak z biblii i tłómaczę go wiernym.

— A ty, szanowny kenwaserze—zwracam mowę do Trutla—mów jak najmniéj, raczéj kieruj rozmową i potakuj. Minister niech nie zapomina o historyi wyswobodzenia niewolników, a komitet proszę, aby wysyłał jak najwięcéj telegramów i listów. Przedewszystkiém nie pozwalać zasypiać swoim. Co chwila nowe pomysły, chociaż zawsze w jednym kierunku. Ludzie lubią odbierać depesze, podnoszą one ich ambicyą, czują, że się o nich dba i ceni ich wpływy. Starają się więc być wdzięczni. A teraz do czynu—do czynu panowie.

Zostaliśmy sami i zamyślili się głęboko.

— Sir ty jeden nie tracisz głowy—przerywa ciszę dżentlemen. Masz energią, stanowczość, a rozkazujesz jak stary żołnierz lub wytrawny polityk.

— Nie jest to moja—odrzekłem z godnością—lecz mego urodzenia zasługa.

— A to ciekawe—zawołał towarzysz.

— Każdy szlachcic polski czuje się uprawnionym do najwyższych godności, a zatém i do wszechstronnego fachowego wykształcenia. Żaden szlachcic polski nie odmówi posady admirała floty,

chociaż morza nie widział, żaden szlachcic polski nie usunie się od sterowania nawą państwa, chociaż prócz kalendarza nic innego nie czytuje!... Inwencya mości dobrodzieju, inwencya—jest to obowiązek szlachty, aby szlachecki rozum w danych okolicznościach zastąpić.

— Co to za szczęśliwy naród!—szepnął z westchnieniem dżentlemen.

Dalszą rozmowę przerwał cichy, spokojny, o zapadłych oczach drzeworytnik. Skłonił się nam nieśmiało czekając rozkazów.

— Wymagam od pana—zabrałem głos, sześciu obrazów na jutro rano, za każdy płacę dwa funty.

Blada twarz drzeworytnika zajaśniała rumieńcem, zapadłe oczy błyszczały.

— W naszéj obecności narysujesz pan szkice podług mojéj inwencyi. Tu dumnie spojrzałem na kandydata, kandydat skłonił głowę, a za nim pochylił swoję drzeworytnik.

— Obrazki mają przedstawiać życie trzeciego syna lorda, od urodzenia aż do jego kandydatury. Twarz należy skopiować podług téj fotografii. Trzy obrazki będą poświęcone życiu uniwersyteckiemu w Oxfordzie, a dwa z nich specyalnie dla uwidocznienia, jak szlachetni młodzi dżentlemeni przepędzają czas na tresowaniu psów do polowania na szczury i samę szlachetną walkę w cyrkach wytresowanych psów z chowanemi na ten cel szczurami, przy współudziale radości i oklaskach studentów.

— To wyborne, ja będę rozdawał te obrazki—krzyknął Dżorż, a rozjaśniona twarz kandydata zbliża się, aby jego usta złożyły pocałunek na mojem czole.

Zasiedliśmy do pracy z drzeworytnikiem, a podczas tego mała figurka malarza pośpiesznie posuwała się naprzód, z wykończeniem olbrzymiego płótna, którego temat znany już jest czytelnikom.

Twarz dżentlemena na płótnie jaśniała angielskim humorem. Uśmiech jak po dobrym befsteku igrał na jego ustach.

— Zmieniam projekt—zawołałem patrząc na obraz.

Dżentlemen i malarz poskoczyli ku mnie.

— Obraz ten, mówię—nie robi w dzień właściwego wrażenia, należy go zmienić na transparent, oświecić wewnątrz i obnosić po ulicach w nocy wzniesiony jak można najwyżéj w górę..

— Mogą być dwa—zdobywa się na uwagę mała figurka malarza.

— Brawo, brawo!—dwa. Jeden na dzień, drugi na wieczór.

Dżentlemen z radości klasnął w dłonie.

— Przy każdym przystanku, muzyka towarzysząca pochodowi, powinna wygrywać narodowe melodye angielskie, a czarni minstrele śpiewać chwałę kandydata i rozdawać nasze odezwy, mowy i programy. Obraz ten skopiować, wyciąć na drzewie odbić i rozrzucać po ulicach.

— Co za pomysły, co za pomysły!—woła kandydat—ściskając mnie serdecznie.

VIII.

Jeszcze nigdy w moich oczach miasto świata nie przedstawiało się tak przyjemnie, wesoło i towarzysko. Zdawało się, że Bóg handlu i interesów położył się na chwilę spać, a ludzie uwolnieni z pod jego wpływu, oddają się najprzyjemniejszym rozrywkom—udając dzieci. Jedynie wyścigi w Derby, są zdolne zrównoważyć gorączkę mas. Niepewność zwycięstwa, równowaga sił walczących zaostrzają ciekawość—i jak na wielkich Derby, wywołują zakłady.

Interes położył się do snu, powierzając berło fortunie. Anglicy namiętnie kochają i tę królowę. Dziś już nie walczą komitety i zasady, nie walczą thorysi i whigi, lecz namiętności ludzkie: ambicya, pycha, zawziętość—i gra... Co do gry, zakłady idą, jak na wyścigach. Każdy chce wygrać i każdy forsuje swego kandydata.

Jestem nareszcie obok urzędu gminnego. Co za wspaniały widok! Trzystu ludzi z przewieszonemi przez ramiona, długiemi tablicami, naklejonemi plakatami, z nazwiskiem dżentlemena, kroczą poważnie, dumnie i prędko. Śpieszą się. Anglicy lubią się śpieszyć i patrzeć na śpieszących się. Trzysta ludzi, w jednym, nieprzerwanym łańcuchu, w odległości kilku kroków jeden od drugiego; nie widać początku i końca. Odchodzą i powracają, zmieniają się, krzyżują. Postępują wężykiem i znów wyciągniętą linią giną wśród domów i ulicznego ruchu.

Za nimi szkockie *pony*, okryte w kształcie dachu dużemi deskami, drepczą wesoło. Małe ich główki i cienkie nóżki, śmiesznie wyglądają zaledwie w połowie widziane. Na ten rozrzewniający dla Anglików widok—wszyscy stają, wszyscy czytają słowa wymalowane wielkiemi literami:

„Tylko tego wybierajcie, waszego jedynego kandydata liberalnego."

— Za kim pan głosujesz? pytam, zatrzymując jednego ze znajomych mi torysów?

— A za kimże?! Patrzaj sir—odpowiada dobrodusznie zapytany, pokazując ręką na naszą armią niewolników z zawieszonemi tablicami.

— A przecież jesteś torysem—odzywam się z uśmiechem.

— Tak torysem—prawda—ale w obec takiego wystąpienia whiga—nie mogę za torysem głosować, który widać lekceważy nas i zaniedbuje! Anglik sobie nie da ubliżać. A zresztą nie śmiem.

— A to z powodów? odzywam się rozciekawiony.

— Nie śmiem, albowiem wszędzie mówią o whigu, wszędzie whig, grają, śpiewają dla whiga, a pan chcesz abym dawał głos jego przeciwnikowi. Naprawdę—nie śmiem. Jakieś przychylne uczucie opanowuje człowieka, które mu nie pozwala inaczéj wystąpić—i mimowolnie idzie za tym popędem, nie mogąc mu się oprzéć.

— Tajemnico reklamy—pomyślałem—ty królom dajesz purpury i korony, rozlicznym bóstwom stawiasz świątynie, wyradzasz podziw—a dajesz sławę i rozgłos. Reklamo, panowałaś od początku świata i dziś nim rządzisz!

Dziesięć omnibusów zaprzężonych czterma końmi. Na koźle obok woźnicy, siedzi konduktor trzymając w jednéj ręce chorągiew liberalnego kandydata, w drugiéj długą, miedzianą trąbę.

Dziesięć omnibusów, to czterdzieści koni, które przywożą jednym zamachem trzystu wyborców! To dziesięć trąb, które razem grają i dziesięć chorągwi jednocześnie powiewa. To robi wrażenie, imponuje, podbija, i zniewala do wzięcia udziału w tak wspaniałym orszaku.

Trzystu wyborców—razem, jednocześnie przywiezieni, zgromadzeni przed domem ratusza, są aż nadto imponującą siłą, aby przeciwna partya ośmieliła się pomyśléć o zaczepce i starać się rozpędzić mężów, ważących przeciętnie każdy z osobna po 200 funtów.

Przejeżdżających wita publiczność jednym wielkim okrzykiem, wyborcy odpowiadają uśmiechami, ukłonami—często wiwatem na cześć kandydata popartym odgłosem trąb miedzianych.

Na przeciwległym placu stała gromadka rzeźników—spokojna, zadowolona z siebie, dumna.

— Idą, idą!—wołają biegnący naprzód chłopcy.

Muzyka trzydziestu trąb i klarnetów zagłuszyła wszystko i wszystkich.

Wyborcy stanęli—zgromadzona ludność odwróciła głowy, omnibusy ruszyły szparkim kłusem ustępując miejsca nadchodzącym. Idą! W oddaleniu, jakby na rozhukanych bałwanach morza utworzonego z głów ludzkich posuwał się majestatycznie, niby arka przymierza,

wzniesiony w górę obraz apoetozujący wielkie czyny naszego kandydata. Przed obrazem szli czarni minstrele, za obrazem muzyka, za muzyką tłumy ludu. Anglicy przepadają za niespodziankami i oryginalnością.

Pomysł obrazu podobał się—minstrele rozweselali, a zachwycali wszystkich minister i Trutle.

Poprzedzając minstreli, dwóch przyjaciół postępowało majestatycznie na czele całego orszaku. Trutle miał kapelusz na bakier i parasol na ramieniu. Minister okrycie głowy trzymał w ręku i pot z czoła chustką obcierał.

Muzyka ustała—i zapanowała cisza uroczysta, ciekawość zamknęła usta—wszyscy patrzeli milcząc. Orszak cały zbliżał się, z przeciwnéj strony nadciągnęło trzysta ludzi z tablicami—i pony przybrane w tekturowe dachy.

Przedsiębiorca ogłoszeń ustawił swoich w imponującéj kolumnie. Za ludźmi zajęły miejsce konie trzymane przez dżokejów. Kobiéty i dzieci biegły ile im sił starczyło, aby zająć odpowiednie a dogodne miejsce na placu.

Kastaniety i tamburyna uderzyły w takt, a z dwunastu gardzieli wybiegły tony piosnki — ożywienie wróciło, wesołość zapanowała...

Stanęli na rynku. Minister dał znak, aby przestano śpiewać. Jeden z pomalowanych minstreli podał mu składane krzesło, na które wstąpił z godnością opierając swą rękę na ramieniu Trutla.

Muzyka zagrała hymn narodowy. Minister zaczął śpiewać, za nim minstrele—za nimi trzystu z tablicami, dżokieje i wreszcie cała publiczność, co jednakże nie przeszkadzało przypatrywać się obrazowi...

Uśmiechnięta, czerwona twarz kandydata odbijała na obrazie szczerością i dobrocią. Mały murzynek obejmował okazałe jego policzki drobnemi rączkami, murzynka stojąca obok dziecka, pokazująca z radości duże białe zęby—rozśmieszała patrzących i rozweselała obraz, gdy murzyni dziękujący Bogu za odzyskaną wolność, rozrzewniali widzów. Wszystko to umieszczone było po lewéj stronie kandydata. Po prawéj stała wspaniała ćwiartka wołowego mięsa, o którą oparł rękę przyszły dygnitarz. Na czerwoném mięsie umieszczony był białą farbą napis: „Jeżeli będziecie rozsądni, czyli będziecie wybierać, jak wam każe sumienie—funt tego wybornego mięsa kupicie za dwa miesiące—po sześć penów“!! Po za ćwiartką mięsa, na drugim planie widać było sklep rzeźniczy, a z okna jego wyglądała zapłakana rzeźniczka i chudy, łamiący ręce rzeźnik.

— Do was przemawiam matki!—zawołał z podniesienia minister. Cześć matkom angielkom, bo one jedne zdolne są zrozumiéć jak szlachetni są ludzie kochający dzieci. Patrzcie, narażał życie za wolność tych nędznych istot—tu wskazał ręką na obraz—a za całą nagrodę nic nie żąda, jak tylko całusa od czarnego malca. Jakżeż on musi kochać dzieci białe?

Matki, nie pozwalajcie mężom swym głosować na thorysa, którego jedyną rozrywką, jak to widziałem na własne oczy—i nie mylę się, słuchajcie!—jedyną rozrywką targać za uszy biedne dzieci przebiegające na odległość jego rąk.

Szmer oburzenia a przedewszystkiém matek, przebiegł po zgromadzeniu.

Korzystając z tak przychylnego wrażenia minister zawołał:

— Matki przysięgnijcie, że nie pozwolicie mężom swym, gdy wrócą na obiad z pracy, hańbić się oddawaniem głosów thorysowi!

— Przysięgamy! zawołała kapela, minstrele, trzystu z tablicami, trzystu wyborców i cała za nimi zgromadzona ludność. Minister podniósł kapelusz w górę.

Stałem zadumany patrząc na tak wspaniały obraz.

— Sir, sir! wołał na mnie przeciskający się dowódca murzynów, we fraku w zielone i czerwone pasy, w czarnéj murzyńskiéj peruce i wielkim trójgraniastym kapeluszu. To ja, Dżorż—dodał ciszéj, nie poznajesz mnie sir?

— Trudno cię poznać z tak zamalowaną twarzą,—odparłem śmiejąc się.

Dżorż przecisnął się przez tłum, docierając szczęśliwie do miejsca, gdzie stałem. Zwróciliśmy się na róg ulicy, dobijając do drzwi piwiarni. Zgromadzeni tam ludzie robili nam miejsca, z pewnym rodzajem szacunku i uznania—będąc pewni, że to ja jestem kandydatem, a przebrany za murzyna Dżorż moim agentem.

— Ach sir—szepnął mi Dżorż pijąc poncz. Ach sir, drżę cały na samę myśl, jeżeli się nie uda. Tyle pracy i tyle wysileń na próżno. Sklep, gospodarstwo, dom, odpoczynek.

— Tylko nie traćmy energii—przerwałem.

— Alboż jéj nie mamy.

— Tylko odwagi.

— Odwagi—zawołał Dżorż—wszystkich thorysów wyzywam na boksy i zmiażdżę ich. Lecz nie o odwagę tu idzie, tylko o szczęście! I moja Nelle pracuje, biega od domu do domu, opowiada swoję przyszłość, szczęście, wszystko, jeżeli nasz pan przejdzie; płacze, śmieje się i prosi.

— A nie mówi, że gdy zostanie kupcową, będzie sprzedawać taniéj o pół pena cukier?

— O pena, o całego pena taniéj, cukier, herbatę, kawę, rodzynki. Przysięga, że taniéj.

— No to bądź dobréj myśli.

— Nie widziałeś sir naszego pana?

— Dziś jeszcze nie—lecz jadę do niego.

— Opowiedz mu jak my tu pracujemy!

— Opowiem—bądź spokojny!

— I pociesz go sir.—To mówiąc Dżorż postawił na stole próżną szklankę, podniósł kapelusz do góry i zawołał:

— Niech żyje kandydat liberalny!—że aż szyby w oknach zabrzęczały.

— Brawo, brawo—odpowiedzieli goście, których jednak zagłuszył przeraźliwy gwizd właściciela szynku i usługujących chłopców.

Szczęściem Dżorż nie słyszał opozycyi, goniąc oddalający się orszak, ja zaś korzystając z przerzedzenia się tłumów, dotarłem do keba, oblepionego odezwami na rzecz mego kandydata, i ruszyłem wyciągniętym kłusem do bohatera dnia.

Chodził wielkiemi krokami po pokoju—smutny, znękany jak Samson po obcięciu włosów. Zrobił wszystko co mógł, niczego nie zaniedbał, a jednak zwątpienie szarpało mu serce—uczuł się bezsilnym, zależnym od wypadku, uśmiechu szczęścia, kaprysu fortuny—zwyczajnie jakprzeważna część, jeżeli nie wszystkie, interesa tego świata i jego bohaterów. Przyjął mnie z załzawionem okiem i sentymentalną miną.

— Jesteś nareszcie mój najdroższy przyjacielu—dzielić ze mną najcięższe chwile oczekiwania i niepewności.

Dżentlemen uścisnął mnie serdecznie.

Wina, zawołałem—najlepszego wina hiszpańskiego butelkę, jakie masz w piwnicy.

— Odgadłeś wieszczym duchem odgadłeś, czego nam potrzeba—mówił uśmiechając się, a zabrawszy klucze zniknął w podziemiach.

Zmuszając go do picia wina, a opowiadając bohaterskie czyny ministra i Dżorża, potrafiłem nareszcie smętną twarz męża okrasić rumieńcem zadowolenia. Śmiał się, słuchając powtórzonéj mowy do matek Angielek—zacierał ręce dowiedziawszy się o przytomności i energii Dżorża. Uważałem, że nawet w duchu żałował, że nie mógł być obecnym uroczystościom wyprawianym na jego cześć. Powaga jednak męża stanu, zatrzymywała go w domu. Podług przepisów moralności publicznéj przy wyborach, kandydat o niczém nie wie, nicze-

go się nie domyśla, gdyż cała agitacya urządzoną bywa zawsze przez jego przyjaciół i zwolenników.

Dobry humor wracał, nadzieja znów zaczęła ożywiać serce, bo wino rozgrzewało krew. Układaliśmy plany wspaniałe i wielkie.

Tentent galopującego konia po bruku ulicy, zwrócił naszą uwagę i zatrzymał oddech w piersiach dżentlemena — koń nagle stanął.

— Depesza z naszego komitetu—szepnął nie mogąc ruszyć się z miejsca.

Wybiegłem. Chłopiec nie zsiadając z konia podał mi depeszę.

— Czekaj—rzekłem wracając pośpiesznie do pokoju.

„Dotąd zyskaliśmy 1600 głosów,—gdy przeciwnik prawdopodobnie ma ich 1800! Nie traćmy nadziei—główne nasze siły dopiéro o trzeciéj staną na placu. Jack Black.

Dżentlemen uderzył z całych sił pięścią w stół.

— Zginęliśmy—rzekł cicho, rękami ujął twarz i w takiéj pozycyi kiwał się sapiąc.

— Do kolonii—zawołał po chwili—do kolonii uciekajmy! Musisz sir ze mną jechać, bo inaczéj zwiążę cię i skrępowanego każę przenieść w nocy na pokład okrętu. Tam dopiéro zobaczysz moję potęgę, wpływy i dzielność, a nawet rozum. Słyszysz sir—rozum!

Nie słuchałem skarg pretendenta do krzesła w parlamencie, pisząc odpowiedź przywódcy odbywającéj się batalii.

— Niewdzięczni—mówił sam do siebie—na tyle obietnic, na tyle dobrodziejstw...

— „Wytężyć wszystkie siły, aby zwyciężyć"—czytałem głośno napisaną depeszę.

Dżentlemen stanął, włożył ręce w kieszenie i nastroiwszy ponurą minę słuchał.

— „Podwoić liczbę omnibusów — czytałem dalej — co kwadrans rozsyłać telegramy do naszych na oddalonych punktach, posłać im w pomoc najdzielniejszych ludzi naszemi powozami. Niech się piwo leje. Niechaj dżin odwilża gardło dam, a *grog* dodaje odwagi młodzieży. Co godzinę przysyłać wiadomości."

— I czy to co pomoże, czy to co pomoże! zawołał wzdychając i łamiąc ręce z rozpaczą.

Nic na te lamenta nie odpowiedziałem—uśmiechając się dobrotliwie. Nalałem szklankę wina dla chłopca zabrałem depeszę i wyszedłem.

Wspaniały narożny dom, na dole szynk, na górze sale przeznaczone na biuro komitetu, świetnie dziś wyglądał przystrojony w chorągwie, otoczony rzędem dorożek i kebów pooblepianych od góry do dołu drukami na cześć liberalnego kandydata. Kanwasery, inaczéj członkowie komitetu, rumiani i uśmiechnięci, a których można było poznać po białych kartkach, zatkniętych za tasiemki kapeluszy biegali tam i napowrót, przejeżdżali, wyjeżdżali, szeptali do siebie— i pili, ile tylko czasu starczyło, a okoliczności pozwalały. Te nastręczały się tyle razy, ile było interesów, których w tym pamiętnym dniu nie brakło.

W wielkiéj sali na pierwszém piętrze, przechadzał się świątecznie ubrany Jack Black, pod jego okiem pisarze rozpisywali depesze i odczytywali przyniesione. Kanwasery przybiegali z raportami, szepcząc mu do ucha nowiny, na które również cicho odpowiadał. W przyległym pokoju bilardowym, panowały hałas, wrzawa, wesołość i okrzyki co chwila.

Jack Black zobaczywszy mnie wchodzącego, pobiegł na przywitanie, ściskając mi serdecznie rękę.

— A co—pytał się, mrugając na mnie—a co idzie, hę? U nas tak, i tak być musi. Rozkazy twoje sir spełnione co do joty.

— Idzie, idzie, powtarzam—a o dwieście twardych łbów angielskich stoimy mniéj od naszego przeciwnika!

— Ha, ha, ha, zaśmiał się trybun trzy razy, tak potężnie, że aż nagle zrobiło się cicho w przyległym pokoju. Do drugiéj sir, o drugiéj godzinie zrównamy się, a o trzeciéj będziemy mieć o dwieście głosów więcéj! Niech żyje kandydat liberalny! krzyknął wznosząc rękę do góry.

— Hurah! krzyknęli z przyległego pokoju. Hurah zawołali pisarze. Odpowiedziano im również głośno i ochoczo z dołu, z ulicy i ze strony dorożkarzy.

— Nasi—mówił daléj tryumfująco—będą prowadzić niedługo rzemieślników i robotników. Zobaczymy. Trzeba im tylko dać czas po pracy, ubrać się i pokrzepić.

— Jakim sposobem możecie wiedziéć, ile macie głosów, lub ile ma ich thorys?

Trybun pochylił się do mego ucha i szepnął mi:

— W sieni magistratu mamy czterech ludzi, którzy przeglądają kartki wyborców i notują, a przeciwnicy mają jednego, którego nasi ciągle oszukują, pokazując mu cyfrę naszych wyborców o połowę mniejszą. Konserwatyści są najpewniejsi zwycięstwa, i dla tego opuścili ręce. Myślą, że rzeźnicy i szynkarze to wszystko!

Prawda, że to potęga, ale my mamy małych lecz licznych. Zaczekaj sir jeszcze pół godziny.

Tu trybun wyjął zegarek srebrny, potężnych rozmiarów, schowany w woreczek zrobiony ze staréj rękawiczki. Zdjął z niego skórę i patrzał z powagą.

— Pół godziny i stoję przy swojém—powtórzył—a twarz twoja sir, rozpogodzi się radością jak słońce.

Minęło pół godziny wśród wrzawy, rozmów, szeptów i nieustannych załatwiań interesów.

Do sali wbiega posłaniec z zaklejoną kartką w ręku, za nim kilkunastu ludzi, przeważnie kanwaserów.

— Z magistratu, z magistratu—szeptano, wyprzedzając posłańca.

Zbliżyłem się do trybuna, czytając napisane ołówkiem te wyrazy: „Prawdopodobnie o trzy głosy więcéj.“

— O trzysta głosów więcéj, krzyknął trybun—słyszycie, już o trzysta głosów prześcignęliśmy naszego przeciwnika!

— O trzysta głosów—zaczęli wołać z okien kanwasery.

— Zanieść tę wiadomość na same krańce wyborczego okręgu.

— Co to znaczy? szepnąłem trybunowi.

— Teraz już można i należy, odpowiedział mi. Robiliśmy dotąd tajemnicę, dopókiśmy nie prześcignęli rzeczywiście przeciwnika. Dobiegamy do mety, użyjmy więc ostróg i wytężmy wszystkie siły, aby się nie dać zepchnąć. Tym jednym okrzykiem wahających się przeciągnęliśmy na naszą stronę stanowczo, a już zapózno dla przeciwnika do wydobywania nowych zasobów.

— Lecz dla nas przysyłaj rzeczywiste raporta. To mówiąc wyszedłem, wracając do przyjaciela piechotą, aby się doczekać na ulicy stanowczéj wiadomości.

Przechadzałem się zamyślony obok mieszkania dżentlemena, dopóki tentent konia nie obudził mnie z marzeń. Odebrałem depeszę, rozdarłem ją, i biegnąc po schodach czytałem:

— Mamy już więcéj o dwieście głosów! Niech żyje kandydat liberalny!

Wpadam do pokoju. Dżentlemen leżał na kanapie, patrząc w sufit, z miną człowieka, któremu przeczytano wyrok śmierci.

— Niech żyje kandydat liberalny! krzyknąłem podnosząc depeszę w górę.

Kandydat zerwał się na równe nogi.

— Dwieście głosów więcéj, tyle właśnie, ile potrzeba.

Łzy zabłysły w oczach poczciwego człowieka, wziął depeszę w rękę, i chcąc ukryć wzruszenie usiadł, wpatrując się w ową tajemniczą cyfrę, zapowiadającą mu tak świetne zwycięstwo.

Po pięciu minutach milczenia odczytałem głośno napisaną odpowiedź do naszego trybuna, aby dalsze wiadomości przysyłał nam pod adresem damy serca kandydata i zredagowałem następujący telegram do narzeczonéj dżentlemena:

„Droga pani! Sądzę, że mi nie odmówisz towarzystwa w przejażdżce po dzielnicy wyborczéj, w celu podziękowania wyborcom za ich zaufanie.“

— Co, co—zawołał przestraszony kandydat, wybory jeszcze nie skończone. Wszystkie dzienniki dostaną telegram i powtórzą tę wiadomość, możemy się skompromitować!

— Tém lepiéj, że powtórzą. Tego chcę, aby powtarzały, odparłem—bo tym sposobem odbierzemy ochotę i animusz konserwatystom.

Dyskusyą naszą przerwał, wtaczając się do pokoju z batem w ręku, sam w swéj osobie właściciel dorożek, ubrany świątecznie, z bukietem przy boku.

— Powiedziałem—przemówił uroczyście —że nie kto inny tylko ja, będę obwoził członka parlamentu, pokazując go wyborcom i dotrzymuję słowa.

Spojrzyjcie panowie przez okno, cztery siwosze półkrwi i najmodniejszy powóz! A teraz proszę o szklankę wina, chcę wypić za zdrowie naszego prawodawcy!

— Ludzie, co wy robicie!—prosił się dżentlemen żałosnym głosem, gdy z oczu tryskała mu radość nie-do-opisania, a twarz oblewały rumieńce.

— Czy pojadą i damy? zapytał się nasz honorowy woźnica.

— Jedziemy po nie—odpowiedziałem.

W kilkanaście minut siedliśmy do powozu przystrojeni w białe kamizelki i czarne surduty zapięte, polecając swoje losy woźnicy, którego majątek najmniéj piędziesiąt tysięcy funtów wynosił.

Przez drogę dżentlemen odzyskał humor i pewność siebie. Uwierzył nareszcie, że jest wybranym i zmienił się do niepoznania. Jestem tego zdania, że szczęście najsilniéj zmienia ludzi.

Damy uprzedzone o naszym przyjeździe, czekały nas w odpowiednich tualetach, a spełniając swój obowiązek, układały bukiety dla ubrania niemi naszych koni.

— Jesteśmy—odezwał się dżentlemen, wchodząc zamaszyście do pokoju.

Pulchna, okrągła, a jeszcze ładna dama uśmiechnęła się, a wyciągając swe krótkie, tłuściutkie paluszki, przemówiła pieszczotliwie.

— Stało się, co się miało stać—i co chciał Bóg, aby się stało, bo zrobiło się dobrze i sprawiedliwie.

Dżentlemen pocałował damę w rękę na znak swéj wielkiéj sympatyi i zamiarów na przyszłość.

W téj chwili dał się słyszéć tentent galopującego konia.

— Dwudziesty piąty numer! wołał konny posłaniec, ile mu sił starczylo.

Wyjrzałem oknem, zatrzymując go.

— Zwycięstwo! zawołał, podnosząc kaszkiet w górę i osadzając konia.

Spojrzeliśmy wszyscy na tryumfatora. Zachwiał się na nogach i padł na fotel, zamykając oczy. Dama pochwyciła flakonik i namoczoną perfumami chusteczką obcierała twarz zemdlonego wybrańca narodu. Zwycięzca otworzył oczy, i dwa strumienie łez toczyły się po téj uczciwéj twarzy. Wszyscy byliśmy wzruszeni. Dama odpowiadała łzami, za co otrzymała gorące i serdeczne uściśnienie rąk.

Wszystko było gotowe do wyjazdu—konie przystrojone, damy z bukietami w rękach. Siedliśmy do powozu. Mijaliśmy ciche ulice śpiesząc się do naszéj dzielnicy. W połowie drogi spotkał nas jadący kebem dzielny Jack Black,—przywitanie było serdeczne i rozczulające.

— Sir będziesz przemawiał przed domem naszego komitetu! Czekamy, a teraz za mną!

To mówiąc skoczył do keba, poprzedzanego paru dorożkami z kenwaserami i członkami komitetu.

Otoczeni taką świtą, wjechaliśmy na główną, szeroką ulicę okręgu wyborczego. Ruch panował na-pół świąteczny, pełen wrzawy wesołości i swobody.

Pierwsi kenwasery wznieśli okrzyk na cześć obranego członka parlamentu—ludność się poruszyła, zbliżając się do powozu, dżentlemen się kłaniał, damy się uśmiechały. Kupcy powychodzili ze swych sklepów, ściskając ręce swego reprezentanta.

Dżentlemen jako zwycięzca, przewyższał sam siebie przytomnością umysłu i dowcipem. Każdemu z otaczających umiał coś przyjemnego a stosownego powiedziéć.

W zwiększającym się coraz więcéj orszaku zajechaliśmy przed znany nam już dom siedziby komitetu. Stanęliśmy otoczeni tłumem wśród nieustannych okrzyków. Trybun stanął na wierzchu dorożki otoczonéj żelazną poręczą—i z tak zaimprowizowanego miejsca przemówił do ludu pokazując mu wybrańca. Z okien sali komitetowéj powiewały chorągwie, a z okien domów prywatnych chusteczki, trzy-

mane w rękach dam. Dżentlemen wstał, kłaniał się i na znak, że chce mówić, podniósł w górę kapelusz. Uciszyło się.

— Cóż mam powiedziéć—zawołał—chyba tylko podziękować wam, obywatele, za zaufanie!

Serce płaci się sercem.

Dużo upłynęło czasu, nim skończyły się owacye, mowy i wykrzykniki pożegnania. Wróciliśmy do domu narzeczonéj szczęśliwego wybrańca, spędzić razem jeden z najprzyjemniejszych w życiu wieczorów.

Nazajutrz pobiegłem odwiedzić przyjaciela, członka parlamentu, jednego z reprezentantów najrozumniejszego i najbogatszego narodu...

— Patrz, patrz sir—odezwał się zirytowany w najwyższym stopniu dygnitarz pokazując mi rachunki.

Dziesięć tysięcy funtów, czy uwierzysz, dziesięć tysięcy funtów mam zapłacić za mój wybór.

— Ileż kosztowało miejsce w parlamencie Gladstona? odezwałem się—męża wielkiego rozumu i serca, pierwszego ministra i naczelnika stronnictwa?

— Siedm tysięcy funtów—odpowiedział z powagą.

— A Disraelego?

— Dwanaście tysięcy.

— Stoisz w pośrodku między Gladstonem i Disraelim. To coś znaczy. Zresztą zrobiłeś majątek, masz rozum zdobyty doświadczeniem, masz energią, odwagę, humor i oryginalność tobie tylko właściwą. Czyż żałujesz dziesięciu tysięcy funtów, aby służyć Anglii?

— Nie—odpowiedział cicho z uczuciem.

— Znając cię w rozmaitych chwilach i fazach życia, znając twoje upodobania i sympatye—nie mogę się powstrzymać, aby nie zawołać: Niech żyje prawdziwy *John Bull*!!

Sewer.

SPRAWOZDANIE KONTROLI PAŃSTWA

O

Wykonaniu budżetu Państwa Rosyjskiego

Za rok 1879.

Z pomiędzy sprawozdań budżetowych za kilka lat ostatnich sprawozdanie za rok 1879 należy do najciekawszych. Pokój niezakłócony ani wypadkami polityki zagranicznéj ani wewnętrznéj, dał możność społeczeństwu zająć się pracą wytwórczą, urodzaje na ogół średnie, powrót handlu i przemysłu do warunków zwykłych,—wszystko to pozwala uważać rok wymieniony za normalny, a przeto i sprawozdanie kontroli państwa o wykonaniu budżetu w ciągu owego roku, dostarcza nam dokładniejszych wskazówek o istotnych siłach finansowych państwa rosyjskiego.

Zanim przystąpimy do szczegółów, przypomnijmy ogólne cyfry prelimiarza budżetowego na rok 1879. I tak:

dochody obliczone były jak następuje:

zwyczajne (czyli właściwe i zwrotne) wynosiły	617.097.942 rs.
na budowę dróg żelaznych i portów	9.367.766 „
pozostałości z lat poprzednich	2.500.000 „
Ogółem	628.965.708 rs.

Wydatki:

zwyczajne (właściwe i zwrotne) . .	610.715.991 rs.
na budowę dróg i portów	9.367.766 „
na wydatki nieprzewidziane w r. 1879	4.000.000 „
na potrzeby z lat poprzednich . . .	2.500.000 „
i na niedobory podatkowe.	2.000.000 „
razem	628.583.757 rs.

Odjąwszy ostatnią tę cyfrę od sumy dochodów widzimy, że spodziewany był plus tych ostatnich, wynoszący . . 381.951 rs.

Cofnijmy się teraz o lat dziesięć i porównajmy podane wyżéj cyfry z odpowiedniemi cyframi preliminarza na rok 1869.

Przewidywane wówczas dochody wynosiły:

zwyczajne (właściwe i zwrotne)	428.282.028 rs.
na budowę dróg i portów	31.123 3o3 „
pozostałości z lat poprzednich	7.500.000 „
Ogółem	466.905.331 rs.

Wydatki zaś wynosiły:

zwyczajne (właściwe i zwrotne)	439.593.212 rs.
na budowę dróg i portów	31.123.3o3 „
fundusz na potrzeby z lat poprzednich . . .	3.500.000 „
wydatki nieprzewidziane roku 1869	4.600.000 „
na niedobory podatkowe	3.262.890 „
razem	482.079.406 rs.

Przewidywano więc w r. 1869 deficyt w sumie 15.174.074 rs. Nie zamierzyliśmy wszakże przypominać wszystkich szczegółów dotyczących wykonania budżetu z roku 1869, a przeto i kwestyą pokrycia tego deficytu pozostawiamy na uboczu, chodziło nam jedynie o wykazanie wzrostu budżetu państwa w ciągu ubiegłych lat dziesięciu.

Widzimy że preliminarz na rok 1876 przewyższa takiż z r. 1869 w dochodach o 162.060.377 rs. a w wydatkach o 146.504.351 rs. Różnice te wszakże, jako wyniki kombinacyj plusów i minusów w różnych pozycyach budżetowych, nie wykazują jeszcze w jakich mianowicie dochodach i w jakiego rodzaju wydatkach nastąpiła podwyżka zamierzeń.

Ze szczegółowego dopiéro porównania obu preliminarzy, przekonać się można że główna suma, składająca się na utworzenie przewyżki w zamierzeniach dochodowych budżetu, przypada na dochody niestałe; stanowi bowiem przeszło 111 milionów rubli; zamierzenia dochodów celnych na rok 1879 przewyższają takież na rok 1869, prawie o 40 milionów rubli; 20 przeszło milionów przypada na podatki stałe, z nich zaś 10 milionów powstało przez proste zapisanie do budżetu państwa, opłat, które stanowiły dawniéj tak zwane „podatki państwowe ziemskie", a pozostałe kilka milionów rs., składają się z sum drobniejszych, stanowiących przewyżki w kilkunastu innych źródłach dochodów państwowych, których szczegółowo przytaczać nie będziemy.

Dane powyższe, wykazujące powiększenie zamierzeń głównie w dochodach niestałych, mogłyby doprowadzić do wniosku, że wzrost budżetu państwa rosyjskiego jest prawidłowym i opiera się przeważnie na naturalnym rozwoju gospodarstwa narodowego. Wszakże, o ile wniosek taki wyprowadzony z rozpatrzenia budżetu Anglii lub Francyi mógłby być słusznym, o tyle co się tycze państwa rosyjskiego nie odpowiadałby naturze rzeczy.

Podwyższenie bowiem zamierzeń budżetowych nastąpiło wyłącznie wskutek zwiększenia pomiędzy rokiem 1869 a 1879 opłat akcyznych, stemplowych i innych niestałych i ustanowienia nowych opłat: bezpośrednich (stałych) na pokrycie wydatków kwaterunkowych dla wojsk w Cesarstwie i podatku od podróżujących kolejami żelaznemi i ładunków pospiesznych. Wogóle więc nie obfitsze wpływy, lecz podniesienie stopy istniejących i wprowadzenie nowych podatków i opłat, wpłynęło na zwiększenie budżetu. Gdyby nie ta okoliczność, różnice między obu preliminarzami budżetowemi byłyby nieznaczne. Zresztą wobec przyjętego w Rosyi przez administracyą finansową systemu układania budżetu, warunki ekonomiczne nie wielką odegrywają rolę w kwestyi podnoszenia lub zniżania zamierzeń, oddziaływają tu głównie rozporządzenia dotyczące zmian w opodatkowaniu. Potwierdza się to i tem jeszcze, że wpływy rzeczywiste porównane z zamierzeniami, przedstawiają zwykle znaczne różnice na niekorzyść zamierzeń to jest przewyższają je. Przez ciąg dziesięciu lat od 1869 do 1879, wpływy rzeczywiste w dochodach zwyczajnych, tylko raz jeden zawiodły oczekiwania, mianowicie w r. 1877, w którym przyniosły skarbowi mniéj o 9.374.392 rs., niż było przewidziano w budżecie, we wszystkich innych latach zawsze były wyższe, a osiągnięte przewyżki, pomijając nieznaczną z r. 1876 (2.518.173 rs.), dochodziły od najniższéj w r. 1873 równającéj się 15.958.581 rs. do najwyższéj w r. 1878 wynoszącéj 67.723.727 rs.

Teoretycznie—budżet racyonalny winien uwzględniać wszelkie warunki ekonomiczne i naturalny wzrost dochodów, a przeto dążyć do tego, aby preliminowane w nim sumy były o ile możności zbliżone do rzeczywistych wpływów i wydatków; gdyby te względy odegrywały pewną rolę przy układaniu preliminarza budżetu rosyjskiego, tak znaczne, jak przytoczone przez nas, różnice między dochodami preliminowanemi a istotnemi nie mogłyby mieć miejsca. Wszelako, mając na uwadze względy praktyczne, gotowiśmy usprawiedliwić stosowany w państwie rosyjskiem system zamierzeń skromnych, nie obejmujących w sobie ewentualnych przewyszek w dochodach. W państwie tak obszerném jak rosyjskie, mającém potrzeby tak

ogromne, którego budżet zawiera rok rocznie bardzo znaczne wydatki nadetatowe, system nieznacznego powiększania zamierzeń dochodowych, może być rzeczą praktyczną. W ten sposób administracya finansowa, zastępująca do pewnego przynajmniej stopnia brak ścisłéj krytyki zamierzeń budżetowych, praktykowanéj na Zachodzie, może z większą łatwością hamować żądania poszczególnych władz i zarządów i tylko tą drogą pokryć zjawiające się w ciągu roku wydatki nieprzewidziane. Gdyby administracya finansowa, zrywając z dotychczasowym systematem, podniosła cyfry zamierzeń budżetowych do wysokości wpływów spodziewanych istotnie, wówczas wydatki, usuwane obecnie na drugi plan, mogłyby stać się nie tylko pierwszorzędnemi, lecz nieodzownemi i pochłonąć całą sumę zwiększonych dochodów, zmuszając do wyszukiwania nowych źródeł na pokrycie wydatków nadetatowych. Dopóki więc kredyty nadetatowe odegrywają rolę tak poważną w budżecie, system skromnych zamierzeń dochodowych, nie uwzględniających możliwych przewyszek, chociaż nieusprawiedliwiony teoretycznie, winien być stosowany i nadal, gdyż w obec warunków wyjątkowych ma on też wyjątkową przyczynę bytu.

Wracamy teraz do sprawozdania kontroli i przejdziemy z kolei wszystkie jego działy.

I.

Zamierzenia dochodów zwyczajnych na rok 1879 przewyższały takież na rok poprzedni o poważną sumę 58.848.932 rs. Na wprowadzenie jéj do preliminarza wpłynęło zwiększenie od 1 Stycznia 1879 r. opłat akcyznych, patentowych, stemplowych i ustanowienie podatku od podróżnych na drogach żelaznych. Pomimo jednak tak znacznego powiększenia zamierzeń, rezultat ostatecznego zamknięcia rachunków skarbu, dotyczących służby roku 1879, jest jeszcze dość pomyślny.

Na rzecz przewidywanych w dochodach zwyczajnych 617.097 942 rs. wpłynęło:

W latach poprzedzających r. 1879. .	280.011	rs. 78	kop.
w ciągu roku sprawozdawczego . .	655.566.561	„ 30	„
i w roku 1880 przed zamknięciem rachunków z roku poprzedniego. . .	6.107.618	„ 55	„
Wogóle wpłynęło. .	661.954.191	rs. 63	kop.

Wypada przeto, że wpływy rzeczywiste przewyższyły preliminarz o 44.856.249 rs. 63 kop., że jednak z téj ostatniéj sumy należy

potrącić 2.500.000 rs. wpisane do budżetu tytułem pozostałości z lat poprzednich i nie stanowiące dochodu roku sprawozdawczego, istotna przewyżka wyniesie 42.356.249 rs. 63 kop. i w takiej też sumie wykazana jest w sprawozdaniu.

Przewyżka ta nie jest wszakże sumą wyłącznie pozycyj plusowych. Plusy przyniosły skarbowi w istocie 57.151.450 rs., że zaś niektóre pozycye zawiodły oczekiwania, a ogół takich niedoborów uczynił 12.295.201 rs., przeto dla otrzymania podanych wyżéj 42.356.249 rubli, należy ogół minusów odjąć od ogółu plusów a nadto otrzymaną różnicę zmniejszyć o wskazane wyżéj 2.500.000 rs. pozostałości z lat poprzednich.

Taki rezultat wykonania budżetu z r. 1879 zdaje się z konieczności prowadzić do korzystnych wniosków o stanie ogólnego dobrobytu. Na ogółowych wszakże cyfrach nie można opierać wniosków ścisłych i chcąc wyrobić sobie sąd rzetelny, należy przekonać się, czy pomyślny rezultat zamknięcia rachunków przedstawia rękojmie trwałości na przyszłość i czy wpływy po nad zamierzenia nastąpiły w pozycyach świadczących o ogólnym dobrobycie i rozwoju gospodarstwa narodowego. Przechodzimy przeto do tych pozycyi.

Przewyżki nad zamierzenia miały miejsce w dochodach następujących:

Cła przyniosły więcéj o . . .	16.221.949 rs.
Akcyza od trunków	15.811.221 „
Podatek od przemysłu	1.396.811 „
„ „ soli	2.141.034 „
Opłaty stemplowe.	1.541.200 „
„ aktowe.	1.583.524 „
„ paszportowe	711.920 „
„ od żeglugi.	119.096 „
Regalja (górnictwo 5.604 rs., mennica 779.131 rs., poczta 202.305 rs., telegrafy 885.990 rs.) wogóle	1.873.036 „
Dochody z dóbr państwa (opłaty czynszowe i dzierżawne 177.456 rs., ze sprzedaży nieruchomości 601.140 rs., dochód z lasów 3.319.547 rs.) wogóle więcéj o.	5.475.043 „
Ze sprzedaży ruchomości skarbowych.	2.603.300 „

Procenty od papierów wartościowych, będących własnością skarbu i zyski banków państwa.	176.093 rs.
Zwroty pożyczek udzielonych ze skarbu	1.131.723 „
Opłaty szkolne	89.807 „
Dochody rozmaite	5.411.442 „
i dochody kraju Zakaukazkiego.	864.242 „

Jak widzimy, najznaczniejsze przewyżki przypadają na dochody od trunków i opłaty celne.

Pierwsze, w ogólnéj sumie wpływów z r. 1879 (228.260.002 rs.), przedstawiają przeszło trzecią część całego budżetu dochodowego i dotąd pod względem finansowym były źródłem niezawodzącém, nie oddziałało tu szkodliwie ciągłe podnoszenie opłat akcyznych, a wpływy rzeczywiste rok rocznie przewyższały zamierzenia. Opierając się na tych przykładach, należałoby przypuszczać, że i nadal źródło to zawodzić nie powinno, czy przypuszczenie to sprawdzi się—trudno zaręczyć. Sekret bowiem dotychczasowéj elastyczności dochodu od trunków, polega na ich konsumpcyi, wobec tego, dla dalszego wzrostu dochodu od trunków trzeba, żeby jednocześnie z podniesieniem opłat akcyznych wzrastała i konsumpcya wódki, czy możliwy jest ten warunek, o tém przyszłość tylko przekonać może; rok zaś 1879 nie daje żadnych danych w tym kierunku. Chociaż bowiem bez względu na zwiększenie w nim opłat, dochód skarbowy wzrósł bardzo znacznie, to jednak należy pamiętać, że powiększenie tych opłat, głównie zaś patentowych, nastąpiło dopiéro w pierwszych miesiącach roku sprawozdawczego nie zaś od początku roku; w ten sposób przepisy odnośne zaskoczyły rozpoczętą już produkcyą i handel wódką, zmuszając niejako do wytrwania w dalszéj pracy bez względu na nową wysokość opłat. Gdyby nowe przepisy były znane przed, lub w chwili wykupywania patentów i świadectw na prowadzenie tego przemysłu, to prawdopodobnie przewyżka nad zamierzenie nie dosięgłaby sumy tak znacznéj. Zresztą nie przesądzając przyszłego wzrostu dochodu od trunków, winniśmy zaznaczyć, że dalsze podwyższanie opłat od tego przemysłu nie byłoby, zdaje się, wolném od obawy o zmniejszenie dochodu, zpotęgowanie kontrabandy, oraz mimowolną zachętę do wyszukiwania sposobów obejścia prawa i przepisów dotyczących produkcyi.

Cła jak widzieliśmy przyniosły więcéj niż oczekiwano o 16.220.000 rs., w porównaniu zaś z wpływami roku 1878 prawie o 12.500.000 rs.

Przewyżkę nad preliminarz, sprawozdanie objaśnia zwiększonym przywozem towarów zagranicznych, głównie zaś: owoców, trunków, herbaty, wyrobów bawełnianych i bawełny (1). Wyjaśnienie powyższe uważamy za słuszne, lecz tylko do pewnego stopnia. Przywóz towarów zagranicznych znaczniejszym był niż w latach: 1878, 1877 i 1876 ale nie przewyższył rocznego przywozu, jaki miał miejsce w latach przedwojennych. Potwierdzenie tego znajdujemy w sprawozdaniu kontroli państwa za rok 1875, z którym jedynie rok 1879 może być porównywany. Otóż w r. 1875, najpomyślniejszym ze wszystkich pod względem finansowym, cła przyniosły skarbowi 62.383.113 rs. kredytowych, zaś w roku 1879, 91.785.949 rs. kredytowych czyli więcéj o 29.402.836 rs. Przewyżka ta jednak nie przesądza wcale o powiększeniu się ilości przywiezionych towarów. Wiadomo, że od r. 1877 cło pobierane jest w monecie brzęczącéj— zasada poboru polega na tem, że gdy do r. 1877 dana jednostka towaru przywożonego, ocloną była w wysokości rubla kredytowego, obecnie taż sama jednostka opłaca tegoż samego rubla w monecie metalicznéj, dla przekonania się przeto, w którym z dwóch lat (1875 i 1879) przywieziono więcéj towarów, należy dochód r. 1875 pobrany w rublach kredytowych, porównać z dochodem z ceł osiągniętym w r. 1879 w rublach metalicznych. Otóż ten ostatni, wskazany w sprawozdaniu za r. 1879, wynosił 63.304.121 rubli metalicznych (91.785.949 rs. kr. wedle kursu 26 pensów przyjętego w budżecie do obrachunku przy wysokości pożyczek zagranicznych i procentów od nich), skoro zaś dochód r. 1875, jakeśmy to podali wyżéj, równał się 62.383.113 rs. kredyt., przeto mniejszym był od dochodu z r. 1879 tylko o 921.008 rs. Ponieważ jednak z dochodu r. 1879 należy potrącić 2½ miljony rubli opłacone w skutek podniesienia stopy opłat celnych od bawełny, przekonywamy się, że dochód r. 1879 mniejszym był od takiegoż z roku 1875 o 1.078.992 ruble. Jeżeli więc jak mówi sprawozdanie przywieziono więcéj herbaty, trunków, owoców i wyrobów bawełnianych, to w zamian za to przywieziono mniéj innych towarów.

Podany wyżéj cyfrowy rezultat porównania dochodu celnego, osiągniętego w r. 1875 z dochodem roku 1879, powstrzymuje od wszelkich optymistycznych wniosków o rozwoju handlu zagranicznego, wniosków do jakich możnaby dochodzić, mając przed oczyma kolosalną i figurującą po raz pierwszy w budżecie, sumę dochodu

---

(1) Bawełna pod wpływem zwiększenia od r. 1879 opłat celnych przyniosła przewyżki przeszło 2½ miljony rubli.

z ceł za rok 1879, mianowicie niespełna 92 miljony rubli. Natomiast rezultat ten, świadcząc o zmniejszonym przywozie, staje się dosyć wymownym w innym kierunku, pozwala bowiem wnioskować o przyczynach tamujących rozwój handlu zagranicznego. Nam się zdaje, że przyczyny te leżą głównie, jeżeli nie mamy powiedziéć wyłącznie, w nizkim kursie rubla rosyjskiego—nigdzie bowiem upadek kursu nie daje się tak dotkliwie i namacalnie uczuwać, jak przy rozrachunkach z zagranicą; nic przeto dziwnego, że zmusił on do unikania o ile możności tych rozrachunków, gdy zaś aż do dnia dzisiejszego kurs rubla prawie się nie podniósł i szybkiego poprawienia się przewidywać nie można, braknie danych do przypuszczeń, żeby przywóz towarów zagranicznych mógł się zwiększyć bez względu na tę okoliczność. Gdy zaś przypomnimy o wprowadzoném od 1 Stycznia r. b. nowem podwyższeniu opłat celnych o 10%, to dojdziemy do wniosku, że owe 92 miljony rubli, osiągnięte w r. 1879, nie dają rękojmi na przyszłość i że ożywienia handlu zagranicznego, a co zatem idzie i podniesienia się dochodu skarbu, można oczekiwać nie prędzéj jak po poprawieniu się kursu, innemi słowy, stanu ekonomicznego kraju i podniesieniu się ogólnego dobrobytu. Wymowniejszą daleko i lepiéj rokującą, chociaż nie zaślepia dziesiątkami miljonów rubli, jest przewyżka po nad zamierzenia osiągnięta w podatku od przemysłu. Otrzymany w téj pozycyi plus, niespełna 1 ½ miljona rubli, świadczy o rozwoju przemysłu i handlu wewnętrznego, czego zresztą należało oczekiwać po latach wojny.

Większy nad zamierzenie dochód od soli, sprawozdanie tłómaczy wpływem zaległości do kasy, lecz sumy przypadającéj na te spłaty nie podaje. Przewyżki w opłatach stemplowych, aktowych i paszportowych, skarb państwa zawdzięcza podwyższeniu ceny marek stemplowych i papieru stemplowego, a nadto co do dochodu od paszportów, to nie bez wpływu pozostały tu środki obostrzające przepisy paszportowe.

W dziale regaljów największą przewyżkę przyniósł dochód telegraficzny, dzięki ożywieniu tego sposobu porozumiewania się. W rzędzie dochodów z dóbr państwa, lasy przyniosły skarbowi sumę największą. Osiągnięty plus 3.319.000 rs., powstał według sprawozdania wskutek zwiększonego popytu na drzewo z lasów rządowych i podskoczenia cen drzewa na targach. W przewyżce téj mieści się plus osiągnięty w Królestwie Polskiém, wynosi ono 448.710 rs. a spowodowały go nietylko przyczyny wspólne dla Królestwa i Cesarstwa, lecz i szczególne, mianowicie: znaczne zakupy drzewa poczynione przez drogi żelazne Terespolską i Nadwiślańską.

Z pozostałych pozycyj zwyżkowych mamy do wyjaśnienia, jako przedstawiające kwoty najznaczniejsze: przewyżkę nad zamierzenia w dochodzie ze sprzedaży ruchomości skarbowych i ze zwrotu pożyczek.

Co do pierwszéj, to osiągnięte w niéj 2.603.300 rs. wpłynęły, o ile wnosić możemy z rozrzuconych w dziale szczegółowym sprawozdania wyjaśnień, w skutek przedsięwziętéj sprzedaży koni i zużytych ruchomości, pozostałych po wojnie. W drugiéj pozycyi pobrano więcéj o 1.131.723 rs. Suma ta nie jest szczegółowo usprawiedliwiona w sprawozdaniu. Z ogólnikowych tylko uwag widzimy, że składają się na nią spłaty zaległości z lat dawniejszych; nieoczekiwany wpływ od drogi żelaznéj Kursko-Azowskiéj, na zwrot skarbowi dokonanych przezeń wypłat z tytułu poręczenia dochodu drogi i nareszcie spłaty przedterminowe na rzecz zaciągniętych ze skarbu pożyczek. W jakich jednak sumach trzy te kategorye dochodów składają się na powyższe 1.131.723 rs. tego sprawozdanie nie podaje. Przypatrzmy się teraz pozycyom, w których osiągnięto dochodu mniéj niż oznaczono w zamierzeniach budżetowych i tak:

podatki stałe (gruntowy i leśny) dały mniéj o	1.353.779 rs.
akcyza od tytoniu	829.197 „
„ „ cukru	995.523 „
podatek od podróżnych na drogach żelaznych. . . .	425.256 „
„ szosowy	72.281 „
opłaty rozmaite (niestałe).	109.764 „
dochody od dróg żelaznych	2.083.360 „
wpływy na spłatę obligacyj dróg żelaznych	1.880.371 „
zasiłki na rzecz skarbu z funduszów miejskich i innych.	145.428 „
dochody zwrotne	4.389.068 „

Pierwsze miejsce poświęciliśmy niedoborowi w podatkach stałych, nie dla tego, żeby on był największym, lecz z téj pobudki, że wymownie świadczy o złym stanie gospodarstwa narodowego.

Dochód z tego źródła zawodzi już od lat kilku. W r. 1875 przyniósł on sumę największą 120.229.384 rs., w r. 1876—118.440.727 rs., w r. 1877—116.998.379 rs. w r. 1878 podniósł się do 120.066.101 rs., żeby w r. 1879 spaść znowu do 117.467.458 rs. Widzimy z tego, że wpływ rzeczywisty podatków stałych z r. 1879 przewyższa tylko dochód, jednego z lat najgorszych, roku 1877 i to o nieznaczną sumę 469.079 rs., mniejszym zaś jest od dochodu roku najlepszego 1875—o 2.761.926 rs. a od dochodu roku 1874—o 2.714.118 rubli. Niedobór z r. 1879 sprawozdanie przypisuje nieurodzajom w jednych miejscowościach, utrudnionemu sprzętowi w drugich, pożarom, pomorowi bydła i nareszcie innym przyczynom.

Wszystkie te przyczyny zdają się mieć tylko względną racyą za sobą — ani nieurodzajami w pewnych miejscowościach, ani też utrudnionym sprzętem, ani pożarami nie możemy usprawiedliwić niedoboru w podatkach stałych, gdyż wszystkie te klęski miejscowe nie były tak znaczne, aby mogły przeważyć, na swoją stronę szalę wpływów dodatnich, któréj też w r. 1879 balastu nie brakło wcale. Wątpimy, czy w tak rozległém państwie, którego prowincye znajdują się w nader różnych warunkach klimatycznych, możnaby wskazać, nie już lata, lecz bodaj rok jeden, w którym urodzaje były jednostajnie dobre we wszystkich miejscowościach i sprzęt jednostajnie pomyślnie się udał; warunki dodatnie i ujemne spotykają się co roku i wzajemnie też i rozmaicie oddziaływają na siebie. W r. 1879 dodatnie byłyby powinny mieć przewagę: zarówno urodzaje uważane powszechnie za średnie, jako też nizki kurs rubla, przynoszący producentom większą ilość znaków obiegowych, a tem samem ułatwiający im uiszczanie się z należności i długów, składają się razem na to, że na pozór nie ma przyczyn obniżających dochód z podatków stałych; a jednak był on mniejszym nietylko od zamierzeń na rok sprawozdawczy, ale od dochodu z r. 1874 o 2.714.118 rs., nie można bowiem porównywać roku 1879 z 1878 i 1877 jako latami wojny i ogólnéj stagnacyi i że usuwamy porównanie z dochodem roku 1875 jako wyjątkowo i pod każdym względem pomyślnego. Rok 1879 miał ogromną przewagę nad 1874—oprócz bowiem, zaznaczonego już, niskiego kursu rubla korzystnego dla producentów, miał on większą ilość rąk roboczych przysporzonych przez naturalny przyrost ludności. Skoro więc ta zwiększona ilość rąk, złożyła skarbowi mniéj niż mniejsza w r. 1874, to już nie szczególne jakieś, ale ogólne przyczyny na to oddziałać musiały, a przeto nie te, które sprawozdanie zaznacza, ale chyba ukrywające się pod nadanym przez to sprawozdanie tytułem *innych* Co przez ten ogólnik wypowiedzieć chciano, nie wiemy i o tém też sprawozdanie zachowuje milczenie, naszém zaś zdaniem to ciągłe obniżanie się dochodu w kategoryi podatków stałych, policzyć należy na karb wadliwości systemu tych podatków w Rosyi; korzystnéj zaś zmiany, pod względem finansowym, można oczekiwać nie prędzéj jak po wprowadzeniu w życie nowych zasad opodatkowania, będących jak wiadomo przedmiotem prac nowéj komisyi specyalnéj. Już w roku 1871, istniejąca wówczas „komisya podatkowa“ zaznaczyła nierównomierność w obciążeniu podatkami rozmaitych klas społecznych (mybyśmy dodali i nierównomierność między rozmaitemi prowincyami); wykazała, że na klasach uboższych ciąży 76% ogólnéj sumy wszystkich podatków; nadto, że klasy te nie są w stanie ani z gospodarstwa rolnego, ani z przemysłu, któremu się

oddają, wydobyć dostatecznéj ilości gotowizny do uiszczenia ciążących na nich opłat.

Niedobór w podatkach stałych w r. 1879 powstał głównie skutkiem nieuiszczenia się właśnie tych klas uboższych; na wykazany bowiem minus w sumie 1.355.779 rs. składa się przeważnie niedobór w podatku *podusznym*, pobieranym od włościan dawniéj rządowych i od włościan niegdyś obywatelskich, nadto w podatku opłacanym p. włościan b. rządowych zamiast czynszów (obrocznaja podat'). Wobec tego zdaje sie rzeczą jasną, że obok innych względów, sama kwestya podniesienia dochodu skarbu z podatków stałych, zależną jest od reformy w opodatkowaniu, skierowanéj ku przeniesieniu części ciężaru podatkowego z klas uboższych na zamożniejsze, które w centralnych i wschodnich prowincyach Rosyi wcale nie upadają pod brzemieniem opłat stałych na rzecz skarbu. Potwierdzenia téj myśli daleko szukać nie potrzebujemy, mamy je bowiem w części szczegółowéj tegoż samego sprawozdania, w pozycyach dotyczących podatków stałych pobieranych w Królestwie Polskiém.

Wiadomo powszechnie, że podatki stałe są tu daleko równomierniéj rozłożone niż w Cesarstwie i że nie obciążają wyłącznie jednéj klasy ani folgują drugiéj; otóż gdy w Cesarstwie powtarza się rok rocznie niedobór, dochód z podatków stałych pobieranych w Królestwie Polskiém zwykle przewyższa zamierzenia. Nie mamy sprawozdań za lata poprzednie, możemy więc tylko przytoczyć cyfry za rok 1878 i 1879. W pierwszym ogólna suma zamierzeń podatków stałych w Królestwie wynosiła 7.571.342 rs., dochód zaś rzeczywisty przyniósł 7.621.535 rs. czyli przewyższył zamierzenia o 50.193 rs., w drugim zamierzenia równały się 7.581.266 rs., dochód zaś wynosił 7.630.718 rs. czyli większym był od zamierzeń o 49.452 rs.

Opłaty od tytoniu przyniosły w r. 1879 więcéj niż w r. 1878 o 1.039.029 rs. mniéj zaś od zamierzeń na rok sprawozdawczy o 829.107 rs. Niedobór ten sprawozdanie usprawiedliwia zbytecznêm wygórowaniem zamierzenia obliczonego z uwzględnieniem wprowadzonéj od 1 Stycznia r. 1879 droższéj banderoli, a nadto z powodu zmniejszenia się liczby fabryk tabacznych; zawsze jednak dochód skarbu z tego źródła dosiągł w r. 1879—13.000.000 rs. Po raz pierwszy widzimy taką sumę w téj pozycyi dochodu, a jednak niepodobna powstrzymać się od uwagi, że jest ona nieznaczną w porównaniu z dochodami skarbu z tego źródła w innych państwach Europy. Skarb Francyi pobiera z opłat od tytoniu prawie 85 miljonów rubli, Austryacko-Węgierski 60 miljonów rubli, Angielski 50 mil. rub., Włoski 25 mil. rs., Hiszpański 22 mil. rs. Różnice te zwiększą się jeszcze, gdy uwględnimy tę okoliczność, że co się tyczy spożycia ty-

toniu, Rosya daje się prześcignąć tylko Austryi a góruje nad innemi przytoczonemi wyżéj państwami. Na 100 mieszkańców przypada: w Austryi 124.5 kilogr., w Rosyi 83.3 kil. we Francyi 75 kil., w Anglii 62 kil. we Włoszech 57 kil. a w Hiszpanii 49 kilogr. W obec tego, tylko nizkością opodatkowania tłómaczyć można nieznaczny dochód skarbu Rosyjskiego z opłat od tytoniu—wiedzą o tem wyższe władze finansowe i opracowują projekt nowéj ustawy tabacznéj, na którą téż zapewne długo czekać nie będziemy.

Niedobór w dochodzie z opłat od cukru powstał, według wyjaśnienia w sprawozdaniu, skutkiem nieurodzaju buraków. Minus w dochodzie z podatku od podróżnych i ładunków pospiesznych na drogach żelaznych jest tylko pozornym, właściwie skarb osiągnął tu pewną zwyżkę nad zamierzenia. Spodziewany dochód obliczony był w sumie 7.500.000 rs., że jednak w sumie téj mieścił się jeden miljon rubli obliczony jako dochód mający wpłynąć od podróżnych na statkach parowych, którego pobór wnet po ustanowieniu został wstrzymany, przeto z podatku od podróżnych i ładunków pospiesznych na drogach żelaznych spodziewano się 6.500.000 rs. Wpływ rzeczywisty wynosił 7.074.700 rs., przewyżka więc nad zamierzenie równałaby się 574.700 rs. należy jednak pamiętać, że dochód za Grudzień roku 1879 przelany został do skarbu zaledwie w Styczniu roku 1880 — przewyżka więc istotna będzie wiekszą; w przybliżeniu sięgać może miljona rubli. Czy jednak plus ten jest bardzo pocieszającym, to pytanie na które możnaby dać odpowiedź po przekonaniu się, jak oddziałał podatek na ruch podróżnych i ładunków na drogach żelaznych i czy nie wywołał on, zwiększonych wydatków skarbu na zagwarantowane przezeń dopłaty do dochodu dróg żelaznych. Nie mamy ścisłych danych do wyczerpującego zbadania obu tych kwestyj, z zebranych zaś tu i owdzie szczegółów widzimy, że dochody osiągnięte przez drogi żelazne, za przewóz w r. 1879 podróżnych i ładunków pospiesznych, mniejsze były od takichże dochodów z r. 1875 i że to zmiejszenie się dochodów, drogi żelazne przypisują mniejszéj liczbie podróżnych i ładunków, dzięki właśnie wprowadzonemu podatkowi; z drugiéj strony sprawozdanie kontroli państwa, będące przedmiotem pracy niniejszéj, wykazuje, że w ciągu roku 1879 wypłacono drogom żelaznym tytułem dopłat do dochodu poręczonego przez rząd, 14.386.791 rs. czyli więcéj niż w roku poprzednim o 3.065.174 rs. Przewyżki téj jednak nie możemy, dla braku odpowiednich danych, kłaść w całości na karb zmniejszonego dochodu dróg żelaznych w skutek wprowadzenia podatku. W wypłaconéj bowiem sumie 14 miljonów rubli mogą się mieścić wypłaty dokonane za lata poprzednie, o czem sprawozdanie nie infortuje nas

wcale. W każdym razie czy podatek od podróżnych i ładunków na drogach żelaznych zwiększył wydatki skarbu na dopłaty gwarancyjne, czy nie, sam podatek, przy nie dość rozgałęzionéj sieci dróg żelaznych i w obec potrzeby ułatwienia nie zaś utrudnienia środków komunikacyi, słusznym podobno ulega zarzutom. Podawane od czasu do czasu wiadomości gazeciarskie, o toczących się w wyższych sferach naradach nad kwestyą utrzymania lub zniesienia tego podatku, dowodzą że i władze skarbowe uważają go za *malum necessarium* wprowadzone w chwili kłopotów finansowych państwa, wiadomości te zdają się budzić nadzieję, że może też doczekamy zniesienia tego podatku, nie używającego ani w Rosyi ani we Francyi, gdzie istnieje, najmniejszéj popularności.

Z pozostałych pozycyj minusowych, znaczniejsze niedobory przypadają na dochody od dróg żelaznych i we wpływach na spłatę obligacyj tychże dróg. Minus w pierwszéj wynosi 1.880.371 rs. a w drugiéj 2 083.150 rs. Obadwa te niedobory sprawozdanie tłómaczy *opóźnieniem* opłat należnych od dróg żelaznych. Wyjaśnienie to dosyć nieokreślone pozwalałoby wnioskować, że wpływy o których mowa nastąpiły chyba w pierwszych miesiącach roku 1880. Czy tak jest jednak, a z drugiéj strony i co prawdopodobniejsze, czy one nie zostały na zaległości do spłacenia w czasach lepszych— o tem ze sprawozdania nie dowiadujemy się wcale.

Niedobór w dochodach zwrotnych świadczy o niepokończonych rozrachunkach między rozmaitemi władzami i wydziałami rządowemi.

Zamykając na tem ustęp o dochodach zwyczajnych, przechodzimy do strony wydatkowéj budżetu.

II.

Widzieliśmy wyżéj, że wydatki zwyczajne preliminowane na rok 1879 przewyższały cyfrę takich-że wydatków z roku 1869 o 161.122.779 rs.

Dla uwydatnienia w jakich wydziałach administracyi nastąpiło podwyższenie lub zmniejszenie wydatków, podajemy sumaryczne zestawienie cyfr obu preliminarzów.

	W preliminarzach obliczono: *wydatków zwyczajnych.* na r. 1869	na r. 1879
Na służbę długu państwowego	80.984.293 rs.	157.147.840 rs.

Wyższe władze państwa. (Rada państwa, komitet ministrów, kancelarya Panującego, komitet do spraw królestwa Polskiego, kancelarya kaukazka i próźb)	1.672.780 rs.	2.441.323 rs.
Kancelarya do spraw Królestwa Polskiego	210.450 rs.	
Synod	7.997.267 rs.	10.187.133 rs.
Ministerium Dworu	8.881.886 „	9.121.856 „
„ spraw zagranicznych . .	2.242.065 „	3.365.647 „
„ wojny	140.348.576 „	184.855.714 „
„ marynarki	17.709.362 „	27.164.554 „
„ skarbu	82.146.743 „	87.263.474 „
„ dóbr państwa	8.374.366 „	18.440.689 „
„ spraw wewnętrznych . .	23.691.671 „	36.892.485 „
„ wydział poczt i telegrafów	14.994.575 „	20.039.090 „
„ oświecenia	9.289.455 „	16.256.044 „
„ dróg komunikacyi . . .	21.641.773 „	11.398.763 „
„ sprawiedliwości	10.156.022 „	15.804.861 „
Kontrola państwa	1.873.785 „	2.143.473 „
Główny zarząd stadnin rządowych	650.722 „	842.770 „
„ kraju Zakaukazkiego	6.727.421 „	7.350.285 „
	439.593.212 rs.	615.715.991 rs.
Dodając nadto kredyty nadetatowe na wydatki zwyczajne	43.832.893 „	40.625.212 „
Otrzymamy ogół wydat. zwyczaj.	483.426.105 „	651.341.203 „

Z tabeli powyższéj widzimy, że wzrost wydatków zwyczajnych w ciągu ubiegłego dziesięciolecia, nastąpił prawie we wszystkich wydziałach administracyi państwowéj. Przewyżki najznaczniejsze przypadają na dwie największe pozycye strony wydatkowéj budżetu, mianowicie: długów państwowych i ministerium wojny. W pierwszéj wydatki prawie się zdwoiły a w drugiéj wzrosły o $44\frac{1}{2}$ miliony rs. na ogół przewyżki wydatków w obu tych wydziałach pochłaniają $\frac{3}{4}$ sumy stanowiącéj różnicę między zamierzeniami dochodowemi na r. 1879 a na rok 1869. Wiemy, że do pewnego stopnia nic nowego nie komunikujemy czytelnikom, wzrost długów państwa i wydatków na wojsko, dobrze jest znany ogółowi, pragnęliśmy tylko wzrost ten okazać w cyfrach i ułatwić zestawienie jego, ze zwiększaniem się wydatków w innych wydziałach zarządu państwa, podana wyżéj tabelka dostarcza odpowiedniego materyału—pozostawiając więc czy-

telnikom wysnuwanie wniosków dalszych, przechodzimy do wydatków z r. 1879.

Widzieliśmy wyżéj, że wydatki zwyczajne preliminowane na rok 1879 wynosiły 610.715.991 rs. W ciągu roku wyjednano kredytów nadetatowych: na wydatki zwyczajne—40.625.312 rs. 48 kop. i nadzwyczajne na potrzeby wojny ukończonéj i wyprawy zakaspijskiéj—138.959 222 rs. 56 kop. Ogół przeto wydatków (bez preliminowanych: na budowę dróg i portów, na wydatki nieprzewidziane, na potrzeby lat ubiegłych i na niedobory) stanowił cyfrę 790.300.426 rs. 50 kop.

Na rzecz téj sumy wypłacono:

w ciągu roku 1878	19.016.455	rs.	37 kop.
„ „ 1879	656.852.956	„	32 „
w roku 1880 przed zamknięciem rachunków z r. 1879	35.679.573	„	11 „
i pozostało do wypłacenia po zamknięciu rachunków	64.452.590	„	32 „
Razem	776.001.575	„	12 „

Z téj sumy na wydatki zwyczajne przypada 643.892.258 rs. 37 kop. i nadzwyczajne (potrzeby wojny wschodniéj i wyprawy Zakaspijskiéj) 132.109.316 rs. 75 kop. kredyty zaś niewyczerpane w sumie 14.298.850 rs. 92 kop. zostały cofnięte,

Szczegóły, o wydziałach rządowych którym udzielono kredytów nadetatowych, czerpiemy z wykazu znajdującego się w sprawozdaniu w którém wydatki zgruppowane są podług wydziałów.

W rubryce pierwszéj wykazu mieszczą się wydatki zwyczajne wpisane pierwotnie do preliminarza na r. 1879, ogłoszonego w Grudniu r. 1878. Ogół téj rubryki zgadza się w zupełności z cyfrą preliminarza, w szczegółach zaś są pewne różnice; że jednak powstały one z uwzględnienia, w wykazie o którym mowa, zmian zaszłych w ciągu roku w rozdzieleniu kredytów pomiędzy wydziały rządowe, nie widzimy potrzeby szczegółowo o nich się rozpisywać, a przystępujemy do rubryki następnéj. Tu znajdujmy kredyty nadetatowe *na wydatki zwyczajne*. Największych kredytów nadetatowych wymagała „Służba długu państwowego.“ Suma kredytów udzielonych, wynosiła w tym dziale 15.304.968 rs. 4 kop. potrzebne one były na opłacenie kuponu od dwu pożyczek „wschodnich“ (II i III) i krótkoterminowych bonów rządowych. Następnie największych kredytów nadetatowych, podobnie jak w latach 1877 i 1878, udzielono ministerium skarbu. W r. 1879 kredyty te na wydatki zwyczajne wynosiły

9.941.910 rs. 53 kop. i nadzwyczajne 327.233 rs. 71 kop.—na ogół więc razem z zamierzonemi w budżecie, ministerium skarbu wyjednało dla siebie w ciągu roku 1879—97.532.426 rs. 56 kop. Pod względem wysokości udzielanych kredytów, wydział ten zajmuje trzecie miejsce w budżecie państwa Rosyjskiego, dwa pierwsze bowiem należą się ministerium wojny i służbie długu państwowego.

Z udzielonych ministerium skarbu kredytów nadetatowych, 4½ miliony rubli przeznaczone były dla dwunastu towarzystw dróg żelaznych na spłatę obligacyi i opłacenie kuponów od obligacyi, jeden milion rubli na różnicę kursu przy zamianie pieniędzy na marki fińskie, jeden milion rubli na przygotowanie wystawy moskiewskiéj, prawie pół miliona na stłumienie epidemii w gub. Astrachańskiéj, pozostała suma kredytów nadetatowych assygnowaną była na zwiększenie etatów urzędnikom ministerium skarbu i inne wydatki. Z ogólnéj sumy kredytów udzielonych ministerium skarbu cofnięto jako niewyczerpane 2.823.738 rs.

Dla ministerium wojny wyjednano w kredytach nadetatowych 132.474.716 rs. 85 kop. z których 4.287.426 rs. przypada na wydatki zwyczajne, reszta na nadzwyczajne.

Z całéj sumy kredytów nadetatowych przeznaczono było: 48 milionów rs. na skompletowanie zapasów wojskowych, przeszło 40 milionów rs. na potrzeby armii czynnéj i wojsk okupacyjnych; 16.781.000 rs. na zapłacenie drogom żelaznym i flocie ochotniczéj za przewóz wojsk powracających z placu boju, 4.687.000 na wydatki wyprawy Achał-Tekińskiéj; na kupno broni 1.785.865 rs. na kupno materyałów i najem robotnika do pistonów, naboi i t. p. przedmiotów 1.138.600 rs.—na przewóz materyałów artyleryjskich 4.363.785 rs. na uzbrojenie artyleryi w działa dalekonośne 7.288.720 rs. na wzmocnienie fortec 1.747.000 rs.; na wydatki eksploatacyi drogi Bendero-Galackiéj i reparacyą dróg w Bułgaryi 2.453.300 rs. itd. w pozycyach drobniejszych, których wyliczać tu niepodobna.

Z całéj sumy kredytów udzielonych ministerium wojny (317.330.430 rs.) cofnięto w kredytach niezużytkowanych 8.469.859 rs.

Ministerium spraw wewnętrznych uzyskało kredytów nadetatowych na wydatki zwyczajne i nadzwyczajne 4.516.009 rs. z których cofnięto następnie jako niewyczerpane 1.150.520 rs. Kredyty nadetatowe potrzebne były przeważnie na utrzymanie czasowych generał-gubernatorów ich kancelaryi i fundusze oddane im do szafowania (350.000 rs.), na potrzeby jarmarku i policyi w Niższym Nowogrodzie, (109.000 r.) na urządzenie mieszkań dla plemion górskich wysyłanych z Kaukazu, (305.000 rs.), na potrzeby więźniów (301.600 r.), na wydatki nadzwyczajne: zasiłki miastom, zakładom dobroczyn-

nym itd. (176.000 rs.), na potrzeby wojsk konsystujących w królestwie Polskiem(242.000 rs.), na dopłaty poczthalterom za konie pocztowe użyte do przejazdów Panującego i zasiłki poczthalterom (142.660 r.); na potrzeby służby telegraficznéj (228.400 rs.), na zapłacenie za przesyłanie depesz w r. 1878 i 1879 towarzystwu Czarnomorskiemu i Wielkiemu Północnemu (222.000 rs.) na urządzenie telegrafu podwodnego z Baku do Czigislaru (650.000 rs) itd.

Znaczniejszych jeszcze kredytów nadetatowych wymagało ministerium dróg komunikacyi—w ogóle, to jest na wydatki zwyczajne i nadzwyczajne, udzielono temu wydziałowi 5.784.860 rs. następnie ministeryum marynarki 3.862.974 rs. i ministeryum Dworu 2.727.421 rs.

Z pierwszéj sumy użyto 316.000 rs. na nowe roboty i zbadanie koryta rzeki Amu-Darii; 550.000 rs. na budowę dróg w obwodzie Batumskim, na zbudowanie drogi żelaznéj Bendero-Galackiéj 4.810.800 rs.

Co do téj ostatniéj pozycyi, zastanawia, że gdy wydatki na budowę drogi figurują w etacie ministeryum dróg komunikacyi, wydatki na eksploatacyą téj saméj drogi żelaznéj znajdujemy w etacie ministeryum wojny. Sprawozdanie nie daje żadnych wskazówek pod tym względem.

Z kredytów nadetatowych udzielonych ministeryum marynarki, użyto 2.226.314 rs. na opłatę „Rosyjskiemu towarzystwu żeglugi parowéj“ za używanie okrętów i statków jego podczas wojny ostatniéj i na kupno i uzbrojenie statków w Ameryce; 824.000 rs. wydane zostały na koszta żeglugi na wodach obcych, i 150.000 rs. na wydatki dotyczące budowy okrętów—pozycye drobniejsze pomijamy.

Sposobu użycia kredytów nadetatowych udzielonych ministerium Dworu, sprawozdanie nie podaje.

Zamykając rzecz naszą o stronie wydatkowéj budżetu dodajemy jeszcze że kredyty nadetatowe wzrastają rok rocznie. Gdy w r. 1875 kredyty te udzielone na wydatki zwyczajne stanowiły $2^3/_4\%$ całéj sumy wydatków zwyczajnych obliczonych w budżecie, w r. 1876 wzrosły o 1%—w r. 1877 o 2% tj. stanowiły $5^3/_4\%$, w r. 1878 spadły wprawdzie do $3^1/_2\%$ lecz w roku o którym mówimy dosięgły aż $6^1/_4\%$ przewyższając rok 1875 o $3^1/_2\%$, bez względu na to, że rok ten jako normalniejszy, a tém samém zbliżony do r. 1875, nie powinienby tak znacznie prześcigać tego ostatniego.

W szczegółową krytykę wydatków wdawać się tu nie możemy, należałoby ocenić z kolei działalność każdego wydziału administracyi rządowéj i wykazać tą drogę o ile produkcyjną i w ogóle po-

trzebną jest praca i istnienie danego wydziału, a nadto czy działalność każdego z nich jest w prostym stosunku do wydatków nań łożonych, lecz ani miejsce ani zakres naszéj pracy, polegającéj na streszczeniu rachunków skarbu, na to nie pozwalają, dla tego téż wracamy do przedmiotu nas zajmującego. Zanim jednak przejdziemy do zbilansowania dochodu z rozchodem, zatrzymamy na chwilę uwagę czytelnika nad wydatkami na minioną wojnę Rosyjsko-Turecką, na potrzeby któréj jak widzieliśmy, jeszcze i w r. 1879 udzielono 138.959.222 rs. 56 kop. tytułem kredytów nadetatowych na wydatki nadzwyczajne.

W r. 1876 wydano w przewidywaniu wojny	50.998.114 rs.
„ 1877 wojna kosztowała „	429.328.089 „
„ 1878 „ „ „	408.142.969 „
nareszcie w r. 1879 wyjednano kredytów na 138.959.222 r. 56 kop. że zaś cofnięto z nich 6.849 905 rs. 81 kop. przeto w istocie wydano	132.109.317 „
Razem	1.020.578.489 „

O sposobie pokrycia tego ogólnego wydatku, powiemy trochę niżéj, teraz zaś dodajemy że wydatek roku 1879—132.109.317 rs. pokryty został funduszami z emisyi obligacyi *trzeciéj pożyczki wschodniéj* i resztą za obligacye dwu pierwszych takichże pożyczek. Ze źródeł tych wpłynęło do skarbu w r. 1879:

Za obligacye pożyczki	I-éj	4.893 r.	14 kop.
„ „	II-éj	32.608.753 „	2 „
„ „	III-éj	255.518.006 „	8 „
	Razem	288.131.652 „	24 „

czyli więcéj nad podaną wyżéj sumę wydatków na potrzeby wojny o 156.022.335 rs. 49 kop., które według słów sprawozdania, użyte zostały na opłacenie Bankowi Państwa pożyczek, zaciągniętych przez rząd na opędzenie wydatków wywołanych przez potrzeby nadzwyczajne. Jakie to jednak pożyczki zapłacone zostały tego sprawozdanie nie podaje.

Co zaś do wydatków, które pochłonęły w r. 1879 owe 132.109.317 rs. to ze sprawozdania widzimy że $28_{,3}$ mil. rs. zużyto na pensye i utrzymanie wojsk (chyba okupacyjnych?), 27 milionów rs. na umundurowanie, $19_{,4}$ milj. rs. na przewóz wojsk i ciężarów, $13_{,8}$ milj. rs. na furaż, $10_{,8}$ milj. na uzbrojenie, $10_{,3}$ milj. rs. na wydatki budowlane, $7_{,2}$ milj. rs. na prowiant, $4_{,6}$ milj. na wyprawę Tekińską, $3_{,5}$ milj. rs. na potrzeby sanitarne, $3_{,1}$ milj. na ministerium marynarki, $1_{,5}$

milj. na telegramy, przejazdy i utrzymanie komunikacyi pomiędzy oddziałami wojsk, 1,5 milj. rs. na wydatki nadzwyczajne i 464 tysiące rs. na wydatki rozmaite.

Wracając do sumy ogólnéj na wydatki nadzwyczajne czyli wojny wschodniéj 1.020.578.489 rs. 99 kop. widzimy, że na pokrycie jéj użyto funduszów następujących:

Z emisyi 4-ej seryi 5$^{0}/_{0}$-wych bil. bankowych	91.763.436	rs.	4 kop.
Z pożyczki zagranicznéj z r. 1877	106.408.573	„	25 „
„ wschodniéj I-éj.	174.607.411	„	39 „
„ „ II-éj.	276.092.955	„	47 „
„ „ III-éj.	255.518.006	„	8 „
Z reszt z lat dawniejszych	3.843.321	„	20 „
I z przewyżki dochodów zwyczajnych roku 1878 nad wydatkami tegoż roku . . .	25.708.084	„	81 „
W ogóle. .	933.941.793	rs.	24 kop.

Pozostaje więc do pokrycia 86.636.696 rs. 75 kop.. Jakich zaś funduszów administracya finansowa ma użyć w tym celu, o tem sprawozdanie nie informuje nas wcale.

III.

Widzieliśmy, że w 1879 r. dochody zwyczajne przyniosły skarbowi	661.954.191 rs. 63 k.
Wydatki zaś uskutecznione w ciągu roku 1879 i pozostałe do pokrycia z funduszów służby roku 1879, równały się	776.001.575 rs. 12 k.
Wydatki przeto przewyższyły dochód o	114.047.383. rs. 49 k.

W sumie wydatków mieszczą się jednak wydatki nadzwyczajne w ilości 132.109.316 rs. 76 kop. pokryte częścią zasobów, których pożyczki wschodnie dostarczyły; potrąciwszy więc je z ogólnéj sumy, otrzymamy wydatki zwyczajne, uskutecznione ze zwyczajnych także dochodów w ilości 643.892.258 rs. 37 kop., dochód zatem r. 1879 przewyższyłby wydatki o 18.061.933 rs. 26 kop. W sprawozdaniu kontroli państwa ostatnia ta cyfra zwiększoną jest o 1.967.301 rs. i stanowi 20.029.234 rs. 26 kop. W sprawozdaniu powiedziano, że ta przewyżka wynikła ze zmniejszenia o takąż sumę wydatków zwyczajnych, których część mianowicie 1.967.301 rs. uskutecznioną była nie z zasobów ogólnych, lecz z funduszu zapasowego wydziału wojny. Obrót ten jest czysto rachunkowy, lubo nie wpływa wcale na stan kasy, niemniéj jest dosyć zawiły. Dla wyjaśnienia tego rachunku podajemy słów kilka o owym funduszu zapasowym.

Z powodu ciągłego wzrostu wydatków ministerium wojny i marynarki, ustanowiono w r. 1873 dla obu tych wydziałów *budżet normalny* na lat pięć, w sumie na pierwszy rok 195 milionów rs. z dodaniem 10 milionów w latach następnych. 170 milionów przeznaczono dla wydziału wojny zaś 25 dla ministerium marynarki. W rozwinięciu tego postanowienia udzielono obu tym ministerium (wbrew obowiązującym przepisom o sposobie układania i wykonywania etatów) prawa do szafowania kredytów niezużytkowanych w danym roku w granicach budżetu normalnego, w latach następnych, bez względu na zamknięcie rachunków za rok budżetowy, a nadto postanowiono, że wszelkie oszczędności poczynione w obu tych wydziałach, nie przechodzą na rzecz skarbu lecz stanowią tak zwany *fundusz zapasowy wydziału wojny*, przeznaczony na potrzeby ministerium wojny.

Fundusz ten nigdy nie istniał obok kasy państwa, przeciwnie w niéj się koncentrował, ale chociaż był tylko rachunkowym, zawsze jednak ministerium skarbu musiało go mieć w pogotowiu na ewentualne żądanie wydziału wojny.

System budżetu normalnego przepisany został na lat pięć — nadane zaś ministerium wojny prawo do szafowania funduszu zapasowego przedłużono następnie do r. 1880. Pomijamy niepraktyczność takiego budżetu normalnego, któren téż, wobec ciągle wzrastających wydatków, nie doprowadził do żadnych rezultatów i od roku 1880 został zniesiony i wracamy od rachunku kontroli państwa. Otóż skutkiem nadanego wydziałowi, respective ministrowi wojny prawa używania oszczędności w każdéj chwili, ministerium skarbu musiało téż być gotowe do zadośćuczynienia tym żądaniom na zawołanie, a ztąd rezerwować fundusze równające się sumie kredytów niewyczerpanych. Jeżeli więc obecnie kontrola odpisuje pewną sumę wydatków na rachunek tego funduszu, to tylko dla tego, że na pokrycie ich użyto właśnie tego funduszu znikającego już z końcem roku 1879. Jakkolwiek słusznym jest taki rachunek niemniéj byłby daleko jaśniejszym, gdyby jednocześnie z cofnięciem kredytów, w sumie wyrównywającéj wysokości funduszu zapasowego, fundusz ten został zapisany do dochodów i w ten sposób oddziałał bezpośrednio na zwiększenie przewyżki dochodów nad wydatkami, wykazanéj w sprawozdaniu bez dostatecznej jasności.

IV.

Następujący dział sprawozdania informuje o wydatkach nieuskutecznionych. Z końcem roku 1878 pozostawało do wypłacenia na rachunek służby tegoż roku 40.779.959 rs. 25 kop. i na rachunek lat poprzednich 59.937.634 rs. 21 kop., razem 100.717.593 rs. 46 kop.

Z téj sumy w ciągu r. 1879 spłacono 31.366.865 rs. 15 kop. Pozycyą największą stanowią wydatki tak zwane: gospodarcze na potrzeby urządzeń gospodarskich każdego ministerium. W téj kategoryi zapłacono 13.692.278 rs. 7 kop. W pozycyi drugiéj figuruje opłata kuponów od obligacyj pożyczek państwowych nie przedstawionych do realizacyi w czasie właściwym, użyto na to 9.023.026 rs. 47 kop. Sumę znaczniejszą przedstawiają jeszcze wydatki budowlane mianowicie 6.780.466 rs. 95 kop. i wydatki za przewóz wojska na drogach żelaznych i wodnych w sumie 433.887 rs. 81 kop. Pozostałe pozycye opuszczamy jako mniéj znaczące.

Jeżeli teraz od ogólnéj sumy należności przez skarb niezaspokojonych 100.717.593 rs. 46 kop. odejmiemy spłacone w 1879 roku 31.366.865 rs. 15 kop. otrzymamy różnicę wynoszącą 69.350.728 rs. 31 kop. czyli sumę zaległości pozostających; że jednak należy z niéj potrącić 698.946 rs. 28 kop. zaległości z r. 1875, nie reklamowanych przed terminem przekluzyjnym, przeto w istocie pozostanie na rok 1880 zaległości lat dawniejszych i roku 1878—68.651.782 rs. 30 kop. Dodając do téj ostatniéj sumy, wykazane w ustępie drugim, wydatki dotyczące służby roku 1879 i nieopłacone przed zamknięciem rachunków za ten rok, czyli 64,452.590 rs. 32 kop., zobaczymy, że ciążące na skarbie państwa z końcem roku 1879 wypłaty a odnoszące się do okresu od r. 1876 do 1879 włącznie równały się (68.651.782 rs. 3 kop. + 64.452.590 rs. 32 kop.) 133.104.372 rs. 35 kop.

Z sumą powyższą długu skarbowego, porównamy wierzytelności skarbu, przedstawione w wykazie specyalnym dołączonym do sprawozdania. Wierzytelności te, pochodzące z zaległych rat podatkowych, opłat i niespłaconych pożyczek, podzielono na trzy kategorye. Do pierwszéj należą zaległości podatkowe figurujące w rachunkach kas skarbowych. Wynosiły one z końcem 1878 roku 92.220.458 rs. 90 kop., na rok zaś 1880 pozostało 94.812.966 rs. 25 kop. czyli że w ciągu r. 1879 zwiększyły się o rs. 2.592.507 kop. 35. Główne powiększenie się zaległości miało miejsce w rubryce „Spłata pożyczek udzielonych ze skarbu osobom prywatnym, stowarzyszeniom i miastom“ (1.395.861 rs.) i „zwrot wydatków skarbu dokonanych na rachunek funduszów specyalnych“ (815.970 rs.). Z pozycyj zaś, które uległy znaczniejszéj obniżce, piérwsze miejsce należy się zaległościom w podatkach „podusznym, leśnym i czynszowym,“ zmniejszyły się one bowiem o 1.462.857 rs. Zaległości w podatkach pobieranych w Królestwie Polskiém, wynoszące z końcem 1878 roku 1.557.000 rs. zmniejszyły się w ciągu 1879 r. o 50.698 rs.

W ogóle zaległości podatkowe wpływały dość pomyślnie. Zmniejszyły się w 43 guberniach a zwiększyły w 25. Obniżenie się

sumy zaległości dosięgło w gub. Kazańskiéj n. p. 28% ogólnéj sumy niedoborów z tej gubernii, przyrost zaś zaległości był największy w gub. Astrachańskiéj, gdzie wynosił 120% ogólnej sumy zaległości z téj gubernii po koniec roku 1878.

Wykazowi temu można zrobić ten zarzut, że nie objaśnia jakich lat sięgają podane w nim cyfry zaległości, niema tego ani w pierwszéj rubryce zawierającéj sumy pozostałe do pobrania z końcem roku 1878, ani téż w rubrykach wykazujących zaległości nowo-powstałe w ciągu roku 1879, i wpływy na rzecz zaległości. Szczegóły te byłyby bardzo pożądane, nie tylko dla zaspokojenia ciekawości, lecz głównie z tego powodu, że pozwoliłyby przekonać się dokładnie ile téż w ogólnéj sumie wpływów danego roku, wykazanych w części głównéj sprawozdania, mieści się wpływów na rzecz budżetu roku danego i ile z téj sumy odchodzi na służbę lat ubiegłych.

Zaległości drugiéj kategoryi to jest „figurujące w rachunkach władz i zarządów administracyjnych" powiększyły się także. Z końcem roku 1878 pozostawało do siągnięcia 56.295.269 rs. zaś na rok 1880 przekazano 59.437.223 rs. czyli więcéj o 3.141.954 rs. Powiększenie to, tak samo jak w zaległościach kategoryi pierwszéj nastąpiło głównie w pozycyi „pożyczek udzielonych ze skarbu," (4.826.015 rs.) i „zwrotów skarbowi wartości przedmiotów wydanych ze składów rządowych" (428.800 rs.). Zmniejszenie się zaległości téj kategoryi daje się zauważyć w pozycyi „kary za niedotrzymanie warunków kontraktów" (1.588.917 rs.).

Trzecią i ostatnią kategoryą stanowią „Długi Towarzystw dróg żelaznych powstałe w skutek udzielonych im ze skarbu pożyczek." Pod tym tytułem ogólnym mieszczą się wierzytelności skarbu powstałe: z niespłacenia pożyczek wydanych drogom żelaznym na budowę; opłacenia przez rząd procentów od akcyi i obligacyi dróg żelaznych i rat amortyzacyjnych, z tytułu przyjętych przez rząd obligacyj dróg żelaznych i nareszcie za ustąpione przez rząd drogom żelaznym materyały, sprzęty kolejowe i opał. Wszystkie te zaległości razem wzięte wynoszą z końcem 1879 roku 450.706.800 rs. 83 kop., że zaś w r. 1878 czyniły 392.986.631 rs., przeto w ciągu roku 1879 wzrosły o 57.720.169 rs. czyli w stosunku 12.8%.

Wzrost ten sprawozdanie objaśnia z jednéj strony, zapisaniem na zaległość wydanych w r. 1879 dopłat gwarancyjnych, a z drugiéj, doliczeniem procentów do pożyczek wydanych dawniéj i niespłaconych w roku sprawozdawczym, wreszcie opieszałością towarzystw w uiszczaniu się z ciążących na nich zobowiązań.

Wszystkie podane wyżéj rodzaje zaległości razem wzięte tworzą bardzo poważną cyfrę 604.956.990 rs. pięć razy prawie przewyższającą zaległości wydatkowe ciążące na skarbie państwa.

V.

Zamierzenia budżetowe funduszu przeznaczonego na budowę dróg żelaznych i portów, obliczone były, jakeśmy to widzieli, w ilości 9.367.766 rs. w istocie zaś wpłynęło więcéj o 5.824.383 rs. 16 kop. co razem czyni 15.192.149 rs. 16 kop. Na tę sumę złożyły się wpływy pochodzące ze spłaty awansów i pożyczek wydanych drogom żelaznym w latach poprzednich (454.890 rs. 30 kop.), ze spłat pożyczek udzielonych pod zastaw akcyj (1.841.325 rs.), spłat za przynależności kolejowe (4.226.686 rs.), za akcye wylosowane (35.868 rs.), ze zwrotu ze skarbu niewłaściwie pobranych (17.908 rs.), za obligacye konsolidowane ustąpione ministerium Dworu (4.573.762 rs.), wniesione przez wydział zagraniczny kancelaryi kredytu, bez wskazania źródeł tego dochodu (4.408.660 rs.) i od Banku Dyskontowego Peterburskiego tytułem spłaty wydatków na kupno akcyj drogi żelaznéj Libawskiéj (2.814 rs.). Wydatki z funduszu kolejowego, podług sprawozdania wynosiły w ciągu 1879 roku 34.613.592 rs. 45 kop. a pozostało do wypłacenia 1.097.635 rs. 27 kop. w ogóle więc 35.711.227 rs. Ze szczegółowych zaś wyjaśnień anneksów widzimy, że wydatki te dosięgły 42.103.163 rs. 88 kop. czyli więcéj o rs. 6.391.936 kop. 16 wyjaśnienia téj różnicy nigdzie nie znajdujemy, że jednak większa ta suma (42.103.163 rs.) zapisana została tytułem wierzytelności skarbu u towarzystw kolejowych, przeto ją będziemy uwzględniać w dalszych wywodach.

Szczegółowe pozycye wydatkowe pomijamy, poprzestając na klasyfikacyi głównéj i tak: Za przyjęte przez rząd obligacye i akcye dróg żelaznych wydano 8.854.072 rs. 86 kop., tytułem pożyczek udzielono drogom żelaznym 17.086.066 rs. 66 kop., na przygotowanie sprzętów i materyałów kolejowych, wydano 11.722.060 rs. 34 kop. na wytknięcie nowych linij 36.818 rs. 90 kop., na budowę i urządzenie portów 2.577.398 rs., na budowę mostu na Newie 575.836 rs., na premia fabrykom wyrabiającym sprzęty kolejowe 847.200 rs., przelano do kasy Państwa tytułem procentów od obligacyj budujących się dróg żelaznych 279.745 rs. 63 kop., utrzymanie pociągu Cesarskiego kosztowało 10.988 rs., wydatki na komisyą do zbadania stanu dróg żelaznych w Rosyi wyniosły 110.085 rs. i nareszcie zwrócono procentów pobranych niewłaściwie 2.892 rs.

Z zestawienia dochodu i wydatków z funduszu kolejowego widzimy, że ostatnie przewyższyły dochód o 26.911.014 rs. 72 kop. Skoro zaś w funduszu kolejowym, bez względu na wykazany w r. 1878 remanent 4.121.878 rs. 63 kop., sprawozdanie nie wykazuje żadnych pozostałości z lat poprzednich, przeto całą tę przewyżkę wydatków

nad dochodami, musiała pokryć kasa Państwa; o tém wszakże żadnéj wzmianki niema w sprawozdaniu.

Przewaga wydatków nad dochodami funduszu kolejowego powtarza się stale; w r. 1877 wydano nad dochód 5.169.961 rs., w 1878 roku 40.914.522 rs. nareszcie w r. 1879 jak wyżéj podano 26.911.014 rs. 72 kop. W obec tego ciągłego zapożyczania się funduszu kolejowego w kasie Państwa, niezrozumiałem jest prowadzenie wyłącznego rachunku tego funduszu, powstałego nadto z zasobów stanowiących własność skarbu. Pamiętamy, że za ministeryum p. Abazy podniesiono kwestyą zlania go z ogólnemi funduszami skarbowemi, dlaczego jednak myśl ta dotąd urzeczywistnioną nie została, nie jest nam wiadomem.

VI.

Za grunta wykupione na rzecz włościan wydano do 1 Stycznia 1880 roku tytułem wynagrodzenia indemnizacyjnego 733.641.549 rs. 60 kop., z których na rok 1879 przypada 12.276.732 rs. Wpływy na rzecz téj ogólnéj wypłaconéj sumy, przewidywane były w r. 1879 w wysokości 43.462.305 rs., zaległości lat dawniejszych stanowiły 17.461.141 rs., razem więc miało wpłynąć 60.923.446 rs. Że jednak z téj sumy umorzono w 1879 r., 254.165 rs. 55 kop., przeto oczekiwano istotnie 60.869.281 rs. Na rachunek téj sumy wpłynęło 43.297.455 rs. 66 kop. czyli mniéj o 17.371.825 rs., które pozostały na zaległości. Największa część téj sumy przypada na gub. Smoleńską mianowicie 3.779.000 rs., drugą z kolei pod względem zaległości będzie gub. Nowogrodzka obciążona 1.637.000 rs., następnie idzie Moskiewska, 1.531.000 rs., i Czernichowska 1.415.788 rs.

Z rzędu gubernii opłacających należności w terminach przepisanych, wyróżniają się Grodzieńska, Stawropolska i Astrachańska, w żadnych z nich zaległości nie dochodzą nawet tysiąca rubli

Oprócz podanéj wyżéj cyfry dochodu (43.297.455 rs.) były jeszcze wpływy na rzecz rat z lat przyszłych w ogólnéj sumie 125.557 rs. i na spłatę kapitalnéj sumy długu indemnizacyjnego 713.221 rs. 86 kop. Ogółem przeto wpłynęło w r. 1879 na fundusz indemnizacyjny 44.136.235 rs.

Wydatki uskutecznione z tego funduszu ściągały się do opłacenia procentów od biletów bankowych II seryi, świadectw indemnizacyjnych i rentowych; wydatki téj kategoryi wyniosły 22.157.230 rs. Opłata procentów od długów zaciągniętych w instytucyach kredytowych, zużyła ogółem 13.595.851 rs., amortyzacya wskazanych wyżéj papierów wartościowych i spłata rat amortyzacyjnych zaciągniętych

długów — wymagały 5.961.221 rs., tantyema władz administracyjnych zajętych operacyą indemnizacyjną: 324.869 rs., utrzymania głównego zarządu indemnizacyjnego i inne wydatki wynosiły 186.432 rs. Ogółem wydatki r. 1879 równały się 42.225.604 rs. czyli, że mniejsze były od dochodu o 1.910.631 rs.

VII.

Dział długów Państwowych zawiera tylko cyfry ogólne dotyczące zmian jakie zaszły w r. 1879 w miarę spłaty dawnych lub zaciągnięcia nowych długów. Na 1 Stycznia roku 1879 ogólna suma długów wynosiła 2.515.329.861 rs. 35 kop. Suma ta mniejsza jest od wykazanéj w sprawozdaniu za rok 1878 o 47.629.203 rs. 82 kop. gdyż wartość rubla kredytowego przyjęta w r. 1878 w stosunku 23½ pensów, zmieniła się w r. 1879 i ustaliła na 26 pensów, które też przyjęte zostały do ustanowienia wysokości długów zagranicznych w roku sprawozdawczym. Do powyższéj sumy przybyło w 1879 r. 300.000.000 rubli z powodu zaciągniętéj 5%-éj pożyczki wewnętrznéj pod nazwą „Trzeciéj wschodniéj.“ Obligacye téj pożyczki realizowane były po 92½ za sto i mają być umorzone w ciągu lat 49.

Na rzecz ogólnéj sumy długów Państwa spłacono w 1879 roku 22.054.141 rs. 26 kop. a przeto z początkiem roku 1880 długi Państwa wynosiły 2.793 281,720 rs. 9 kop. nie licząc długu za konsolidowane obligacye dróg żelaznych, za obligacye drogi żelaznéj Mikołajewskiéj ani też długu Bankowi Państwa wynoszącego z dniem 1 Stycznia r. 1880—354.823.372 rs.

Nadto nie mieszczą się w powyższéj sumie długów ani bilety bankowe seryi II-éj, ani świadectwa wykupowe i rentowe czyli wszystkie papiéry emitowane na spłatę należności za grunta włościańskie. Opuszczenie długów téj ostatniéj kategoryi, długów których wysokości podać nie możemy dla braku danych, usprawiedliwia się chyba tém, że na ich spłatę przeznaczono dochody specyalne, pobierane od włościan dawniéj obywatelskich, które także w budżecie państwa nie figurują. Wykazaliśmy wyżéj że suma pożyczek t. z. *wykupnych* wydanych do 1 Stycznia r. 1880 równała się 733.641.550 rs. na taką więc sumę emitowano wymienionych wyżéj papiérów wartościowych. Ile ich jednak umorzono i ile pozostaje jeszcze w obiegu? Sprawozdanie kontroli za rok 1879 zapowiada, że szczegóły odnośne będą podane w sprawozdaniu za rok 1880, gdyż komisya specyalna pracująca nad uporządkowaniem rachunków dotyczących funduszu wykupowego, zaledwie w r. 1880 prace swoje zdoła ukończyć.

Co się tycze, niewykazanych w liczbie długów państwa, konsolidowanych obligacyi dróg żelaznych i obligacyi drogi Mikołajewskiéj, opuszczenie ich w sprawozdaniu nastąpiło dla tego, że kapitał przez nie reprezentowany ma być spłacony przez odpowiednie wpływy od dróg żelaznych.

Że jednak te ostatnie nie śpieszą z uiszczaniem się z należności i żeśmy wykazali wyżéj inne długi ciążące na drogach żelaznych, przypuszczamy że nie będzie pozbawione interesu wykazanie sum reprezentowanych przez te obligacye w dniu 1 Stycznia roku 1879. Otóż 5%-wych konsolidowanych obligacyi dróg żelaznych było do téj daty w obiegu na sumę 68.567.150 funtów sterlingów,—4%-wych obligacyi drogi Mikołajewskiéj są dwie serye—nieumorzone obligacye pierwszéj seryi reprezentowały z końcem 1878 roku, 293.767.000 franków a seryi drugiéj, 272.836.500 franków.

O wskazanym w sprawozdaniu kontroli długu Bankowi Państwa nie dano innéj informacyi prócz téj, że pochodzi on z rachunku bieżącego kasy państwa w banku. Z jakich przeto składa się pozycyi nie wiemy i jeżeli podana wyżéj suma 354.123.372 rs. 41 kop. nie jest rezultatem skombinowania kredytu i debetu kasy państwa w banku, to w długu tym nie mieści się należność bankowi nawet za bilety kredytowe *czasowo-wypuszczone* na rzecz skarbu, suma których jeszcze z dniem 1 Stycznia r. b. wynosiła 417.000.000 rs. Podana w sprawozdaniu suma długów państwa pozostała do spłacenia z dniem 1 Stycznia r. 1880—(2.793.281.720 rs.) dzieli się na kategorye następujące.

Pożyczki zagraniczne; 5%-we: wynoszą 84.507.000 florenów holenderskich i 39.066.900 funtów sterlingów—; 4½%-owe; 2.310.000 flor. holend. i 4.750.000 funtów sterlingów.

Pożyczki zaciągnięte w kraju: 6%-we—43.648.348 rs. 43 kop. 5%-we 1.228.287.724 rs.; 4½%-we 216.000.000 rs.; 4%-we 209.164.514 rs.; dług bezprocentowy w biletach kredytowych wynosił 543.347.084 rs. Co do tego ostatniego długu sprawozdanie nadmienia że biletów kredytowych było w obiegu z d. 1 Stycznia r. 1880—716 515.125 rs. że jednak należy potrącić z téj sumy wartość funduszu wymiany mianowicie 173.168.041 rs. rzeczywisty przeto dług państwa w téj pozycyi wynosić będzie jak wyżéj 543.347.084 ruble.

Do tych szczegółów i dla utworzenia wykazanéj wyżéj sumy długów państwa, sprawozdanie dodaje jeszcze dawniejsze długi królestwa Polskiego: pochodzące z epoki księstwa Warszawskiego i lat 1815, 1816 i 1831 w sumie ogólnéj 56.261 rs. dług duchowieństwu z wyjątkiem katolickiego—164.336 rs.; pożyczkę 4%-wą zaciągniętą przez skarb królestwa w r. 1844 w sumie pozostałéj: 19.818.086 rs.

4%-we listy likwidacyjne za uwłaszczone osady włościańskie 50.053.702 rs.; długi Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu ciążące na dobrach rządowych 372.589 rs.; spłata długu za dom dla urzędu pocztowego w Warszawie 17 131 rs. i nareszcie dług bankowi Polskiemu za wybudowanie magazynu zbożowego w Modlinie 285.719 rs. Ogółem długów królestwa Polskiego—70.767.824 rs.

VIII.

Ostatni dział sprawozdania kontroli państwa poświęcony jest unduszom specyalnym nie stanowiącym własności skarbu a będącym tylko w jego zawiadywaniu.

Informacye dotyczące tych funduszów są nader skąpe i wcale nie wyjaśniają źródeł z których one powstają.

Niepodobna przechodzićpo szczególe każdéj pozycyi, przytoczymy więc tylko sposobem przykładu, że należą tu fundusze obowiązkowego ubezpieczenia nieruchomości od ognia, fundusz drogowy i kwaterunkowy, a także fundusze powstałe np. z zapisów na stypendya lub inne cele.

W ogóle więc kapitały specyalne tworzą się z funduszów przestających być, z chwilą opłacenia ich, własnością osoby opłacającéj, lecz nie otrzymujących właściciela wyłącznego a tylko przeznaczenie specyalne.

Sumy funduszów specyalnych zbywające nad potrzeby, lub nie zużyte doraźnie zaraz po ich opłaceniu lokują się w bankach na procent doliczany także do tych funduszów.

Wykazywane przeto w sprawozdaniach kontroli wpływy tych funduszów w ciągu roku danego, powstają z dwu źródeł, mianowicie ze składek, opłat lub zapisów stosownie do natury funduszu i z procentów otrzymanych z banków za czas, przez który fundusze te były w nich zlokowane.

Fundusze specyalne doszły już do sum bardzo znacznych a obrót ich w ciągu roku 1879 przedstawia się jak następuje:

Remanent z r. 1878 wynosił 197.993.325 rs. W r. 1879 remanent ten zwiększono o 2.964.811 rs. przez zapisanie do rzędu kapitałów specyalnych *funduszu użyteczności publicznéj Królestwa Polskiego*, przelanego z polecenia rządu z kasy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego do Banku Polskiego.

W ciągu roku 1879 wpłynęło 34.895.184 rs. 21 kop. wydano 23.968.302 rs. 44 k., pozostało przeto na rok 1880—211.885.018 rs. 27 k.

Szafowanie funduszami specyalnemi powierzone jest różnym wydziałom rządowym stosownie do przeznaczenia funduszu; obecnie wszystkie wydziały administracyi państwowéj mają w swém zawia-

dywaniu pewne fundusze specyalne. Nie mogąc wyliczać wszystkich wskażemy najgłówniejsze.

Kapitał emerytalny wojsk lądowych wynosi 68.407.621 rs., takiż kapitał oficerów morskich 15.595.719 rs., takiż kapitał inżenierów górniczych 1.426.000 rs., kapitał emerytalny Królestwa Polskiego 2.887.000 rs. Kapitał na zapomogi w razie nieurodzaju (prodowolstwiennyj) 21.676.260 rs. Fundusz ubezpieczenia bydła od zarazy w Królestwie Polskiém 514 000 rs. Fundusz ubezpieczeń nieruchomości od ognia w Królestwie Polskiém 1.810.854 rs. Fundusz drogowy Królestwa Polskiego 648.100 rs. Fundusz kwaterunkowy Królestwa 166.195 rs. Fundusze stypendyalne ogólne 11 349 108 rs. Kapitał emerytalny inżynierów komunikacyj 1.827.700 rs. Kapitał inwalidów 21.450.000 rs. Kapitał opieki nad urzędnikami zasłużonemi 4.257.000 rs. i Fundusz użyteczności publicznéj Królestwa Polskiego 3.102.382 ruble.

Na zakończenie podajemy szczegóły o wydatkach z funduszów specyalnych wynoszących w ciągu roku 1879—23.968.302 rs. Całą tę sumę zużyto na potrzeby następujące:

Na emerytury, pensye i zasiłki byłym urzędnikom i inwalidom.	5.617.641 rs.
„ wsparcia z powodu pożarów, nieurodzajów, pomoru bydła i t. p.	3.814.387 „
„ stypendya, utrzymanie zakładów naukowych i zasiłki na wychowanie	3.176.873 „
„ wynagrodzenie zastępców wojskowych.	2.396.889 „
„ budowę i utrzymanie dróg, budynków, cerkwi, pomników i dozór nad nimi	1.953.212 „
„ pensye dodatkowe pracującym i koszta zarządzania kapitałami.	1.913.199 „
„ ochrony i utrzymanie łóżek w szpitalach	214.649 „
„ zakłady rządowe, drukarnie i laboratorya. . . .	1.512.314 „
„ wydatki dotyczące więźniów i więzień.	1.249.633 „
„ koszta kwaterunku wojskowego	593.828 „
„ koszta przesyłki pieniędzy i zwroty niewłaściwie zaperceptowanych	542.179 „
„ wydawnictwa, biblioteki, muzea i premja za wynalazki i odkrycia	392.850 „
„ zapomogi pracującym i ich rodzinom	376.038 „
„ kupno i przemianę papierów wartościowych. . .	214.608 „
Razem jak wyżéj. .	23.968.302 rs.

A. P.

Z DZIEDZINY PRZYRODY.

I. Ochronne szczepienie zarazy.

Gdybyśmy nie żyli w czasach tak gorączkowych, że co chwila ulegamy nowym wrażeniom, że w głowie naszéj panują wyścigi faktów podobne do zmian barw w kalejdoskopie, gdybyśmy zdolni byli do jakiéj takiéj refleksyi i oceny wartości rozmaitych elementów chaosu rzucającego się do wszystkich zmysłów naszych, to bezwątpienia imię Pasteura zapanowałoby obecnie wszechwładnie na porządku dziennym ludzkości, byłoby miliony razy powtarzane w pałacach i w chatkach i nieledwie zapominano-by o Algierze i Guiteau, o metropolicie serbskim i odwiedzinach króla Włoskiego. Pasteur bowiem wprowadza nas na próg nowéj ery, pokazuje nam zdaleka świat obiecany, gdzie nie ma epidemij i epizootij... Czy to halucynacya i miraż, czy téż odblask czystéj prawdy, czy ludzkość stanie się szczęśliwszą pozbywszy się najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół, czy téż wpadnie w otchłań jeszcze większego nieszczęścia przez wzmożenie walki o byt?—oto są pytania, które tylko dla idyoty mogą być obojętne—a jednak—prace Pasteura bierze obecnie do serca tylko mała stosunkowo garstka naturalistów i lekarzy...

Z kronik, w poprzednich rocznikach Ateneum umieszczonych, czytelnicy wiedzą, iż Pasteur już od lat 25 zajmuje się badaniem natury fermentów. Wiadomo téż, iż pomnikowe jego odkrycie podstawy fermentacyi mlecznéj, natchnęło chirurga angielskiego Listera pomysłem nowéj metody operacyi chirurgicznéj, że metoda ta polega na ochronie rany od przystępu zarazków zawieszonych w powietrzu i że jéj rezultaty świetnie stwierdziły pojęcia Pasteura. Wiadomo wreszcie, iż ogłoszenie badań nad fermentacyą masłową i wibryonem jéj właściwym, wprowadziły Davaine'a na tór odkrycia, że karbunkuł zależy od pewnéj, z zewnątrz napadającéj na organizm istoty organicznéj, że teorya zarazków z zewnątrz przybywających coraz

większą ważność i zakres przybierać zaczęła, że znaczna liczba uczonych rzuciła się na tę drogę otworzoną do robienia doniosłych odkryć. Nic tedy dziwnego, że Pasteur chociaż chemik, sam unoszony prądem, który wywołał, oddał się wyłącznie badaniu pierwiastka chorób epidemicznych i... wyprzedziwszy wszystkich współzawodników, znowu świat nieoczekiwanym faktem zadziwił.

Nowe podstawy w nauce o zarazkach i powodach udzielania się, przenoszenia się chorób zaraźliwych z jednego organizmu na drugi, były bezpośrednim rezultatem badań Pasteura nad tak zwaną *cholerę kur*. Aby je zrozumiéć, musimy przejrzeć te rezultaty.

Weźmy — powiada Pasteur — kurę, ginącą od cholery kurzéj i umoczmy w jéj krwi cieniuteńki koniec pałeczki szklannéj. Następnie zanurzmy tę pałęczkę w zupełnie czystym i przezroczystym rosole kurzym, który przedtem został zjałowiony (1) w temperatúrze 115° C. Rosół umieszczony jest w takich warunkach, że ani powietrze otaczające, ani naczynia i przyrządy, nie mogą go zatruć zarodkami, w które obfituje atmosfera i które przylegają do każdego przedmiotu. Pozostawiwszy ten płyn, zarażony krwią kury cholerycznéj, na czas krótki w temperaturze 25—35° Cel. spostrzeżemy, że płyn stał się mętnym, a mikroskop wykaże w nim roje organizmów mikroskopijnych, z postaci podobnych do 8. Są one często tak małe, że przy pomocy najsilniejszych powiększeń nie widzimy więcéj jak punkciki.

Weźmy z tego płynu jednę kropelkę, kropelkę jak najmniejszą, tyle tylko co się może zostać na pałeczce cienkości igły—i wpuśćmy tę nieznaczną ilość do drugiego naczynia, zawierającego rosół klarowny zjałowiony. Po pewnym czasie zobaczymy, że ten rosół zmętnieje, a jeśli znowu przeniesiemy jego kropelkę do innego naczynia z czystym rosołem, to i w nim po pewnym czasie zauważymy zmętnienie i drobne organiczne istoty formy 8. Możnaby to samo powtórzyć z naczyniem czwartém, dziesiątém, setném, tysiączném i wszędzie po kilku godzinach nastąpi nieochybnie jedno i to samo zjawisko.

Po dwóch lub trzech dniach, gdy zmętnione rosoły wystawione były na temperaturę 30° C., męty znikają i spadają jako osad na dno naczyń. To oznacza koniec rozwoju ósemkowatych organizmów. Jeśli naczynie ochronione jest za pomocą korka z waty od organizmów zawieszonych w powietrzu, to płyny w tém stadyum będące,

(1) Zjałowionemi nazywają się w podobnych doświadczeniach płyny, w których przez gotowanie zabite zostały zarodki istot mikroskopijnych. Jeśli nowe nie wpadną, to płyn taki nie mętnieje i nie pokrywa się pleśnią.

mogą pozostać bez zmiany przez czas dłuższy, lub krótszy, przez całe nawet miesiące.

Porównajmy teraz zaraźliwość płynu z setnego czy tysiącznego naczynia, z zaraźliwością krwi kury cholerycznéj. W tym celu zaszczepmy 10 kurom krew, a 10 drugim płyn z setnego naczynia, którem poprzednio wstrząsnęliśmy, aby osad zmieszał się z cieczą przezroczystą. Spostrzeżemy fakt dziwny: *kury, którym zaszczepiono rosół tak dalekiego zstępnego z krwią choleryczną pokrewieństwa, umrą tak prędko i z temi samemi symptomatami co kury wprost krwią zarażone, a po śmierci krew jednych i drugich zawierać będzie jedne i te same ciałka zaraźliwe formy ósemki.*

Objaw ten jest zupełnie analogicznym z przenoszeniem pszenicy z jednego pola na drugie. Pszenica z setnego będzie zupełnie podobną do pierwotnego zasiewu. Zarazki krwi kury cholerycznéj nie są niczém inném jak organizmami żyjącemi, które się nadzwyczaj szybko rozmnażają.

W dalszym ciągu doświadczeń, Pasteur zmienił warunki przygotowywania tych „kultur." Zamiast przenosić zarazę z jednego rosołu do drugiego, zaraz po zmętnieniu płynu, Pasteur trzymał każdą kulturę pół miesiąca, miesiąc, dwa, trzy, dziewięć nawet miesięcy, zanim wziął z niéj kroplę do przygotowania kultury następnéj.

W skutek tego nastąpiła zupełna zmiana w skutkach. *Stopień zaraźliwości każdéj z tych kultur oddzielonych od siebie znaczniejszym czasem był odmienny.* Płyny pochodzące od płynów świeższych, nie tak długo trzymanych, zabijały 8 kur na 10, którym je zaszczepiono; płyny pochodzące od starszych kultur zabijały kur pięć, trzy, jedną na dziesięć, wreszcie zarażone kulturami najstarszemi żadnéj z dziesięciu kur użytych do doświadczenia nie zabijały, choć wciąż jeszcze zawierały w sobie widoczne ciałka mikroskopijne, które w dalszym ciągu można było kultywować.

Co więcéj, gdy z którejkolwiek z takich kultur zarazy, rozcieńczonéj, osłabionéj, nawet z téj, która już żadnéj siły zaraźliwéj nie posiada, weźmiemy kropelkę i przeniesiemy ją do świeżego zjałowionego rosołu, a po zmętnieniu zarazimy nim natychmiast inny rosół i t. d., to, jeżeli czas ubiegły pomiędzy przygotowywaniem tych kultur będzie dość krótki, otrzymamy płyny zaraźliwe téj saméj siły, od któréjśmy rozpoczęli, otrzymamy zaś płyny zupełnie niezaraźliwe, jeśli pierwotna kropla została wziętą z naczynia stojącego już kilka miesięcy.

Co to jest zaraza rozcieńczona osłabiona? Jak się ona objawia u kur, Pasteur odpowiada na to, jak następuje. Gdy zaszczepimy kurze kulturę z zarazą osłabioną, to wywołamy w jéj organizmie

tylko miejscowe zaburzenia, mniéj lub więcéj głębokie zmiany chorobowe w mięśniu, jeśli ją w mięsień zaszczepiliśmy. Mięsień napełnia się istotami mikroskopijnemi téj saméj postaci i wyglądu co najzaraźliwsze, pochodzące bezpośrednio z krwi cholerycznéj. Po pewnym krótszym lub dłuższym czasie zaburzenie miejscowe znika, zarazki zostają zabsorbowane, poniekąd strawione, mięsień powraca do dawnego stanu. Znikła więc przyczyna choroby i kura powraca do zdrowia. Jeżeliśmy zaszczepili płyn z organizmami, których zaraźliwość zupełnie zniesiona, to nawet i zaburzenie miejscowe w mięśniu nie następuje. W tym razie, zauważa Pasteur, spotykamy się z przykładem odporności życiowéj, albowiem organizmy mikroskopijne o zupełnie zniesionéj sile zaraźliwéj, nie straciły jeszcze siły rozmnażania się i wydałyby miliardy potomstwa w ośrodku nieżyjącym.

Co jest przyczyną zmniejszania się, słabnięcia zaraźliwości kultur, poprzedzonych znacznym upływem czasu? Inaczéj mówiąc, co jest przyczyną, że organizmy tych kultur tracą mniéj lub więcéj siłę rozwoju w ciele kury, tak, że sile odporności życiowéj coraz łatwiéj jest zarazę co do miejsca ograniczać? Czynnikiem, który to rozcieńczenie zarazy wywołuje, jest powietrze: im dłużéj tlen jego działa na kulturę, tém ona słabszą się staje. Pasteur stwierdził to doświadczeniem.

Dalszy ciąg doświadczeń doprowadził Pasteur'a do zasad szczepienia cholery kurzéj na podobieństwo szczepienia ospy. *Okazało się, iż kura, która przeszła chorobę wywołaną szczepieniem zarazka osłabionego, nie ulega już niebezpieczeństwu gdy się jéj zaszczepi bakterye silnéj zarazy*,— symptomata bywają albo zupełnie nieznaczne, albo przelotne. Już ich jad ze krwi kur cholerycznych nie zabija, a przez czas bardzo długi, niekiedy rok lub więcéj, są zupełnie nietykalne w obec warunków wywołujących cholerę w kurnikach.

Pasteur postanowił zastosować to odkrycie i do karbunkułu, który już dość dawno uznano za chorobę pochodzącą od mikro-organizmów. Lecz tu natrafił genialny uczony na ogromną trudność. Bakterye karbunkułowe nie rozmnażają się przez podział tak jak drożdże i zarazki cholery kurzéj, lecz rozpadają się na zarodki, które przez lat kilka i kilkanaście zachowują całkowitą siłę zaraźliwości, bez względu na to, że są wystawione na działanie tlenu powietrza. Lecz geniusz i praca Pasteura pokonały tę trudność. Chodziło przedewszystkiém o zatamowanie rozwoju bakteryj pierwotnych o niedozwolenie im rozpadnięcia się na zarodki. Pasteur osiągnął ten cel, wystawiając bakterye karbunkułowe na działanie powietrza w temperaturze 42—43° C. W téj temperaturze kultywują

się one t, j. mnożą, ale już nie rozpadają się na zarodki. Po miesiącu lub sześciu tygodniach kultura umiera, to znaczy, że wszystkie bakterye są martwe, niezdolne do rozmnażania się t. j. przeniesione do świeżego rosołu, już go nie mącą. Ale w granicach tego terminu życie istnieje w naczyniach wystawionych na powietrze i ciepło. I tu okazuje się fakt analogiczny z cholerą kurzą. Gdy doświadczać będziemy zaraźliwości kultur rozmaitéj starości, dwu, trzy, cztero, dziesięcio, dwudziesto-dniowéj, aż do martwych, to spostrzeżemy, iż bakterye na długo przed śmiercią straciły swą zaraźliwość, choć jeszcze są żywe i mogą się mnożyć, kultywować. Wcześniejsze zaś od nich kultury odznaczają się zaraźliwością rozcieńczoną, osłabioną, a każdy z tych stopni zarazy można reprodukować oddzielnie przez kulturę. Mamy więc tu wszystko to co przy cholerze kur, nawet doświadczenia ze szczepieniem dały teżsame rezultaty i zaraza stopnia osłabionego okazała się środkiem ochronnym przeciw zarazie silniejszéj.

Mamy więc możność, powiada Pasteur, przygotowywania szczepionki (vaccin) przeciwko karbunkułowi; łatwo ocenić doniosłość tego rezultatu w praktyce. Ale to jeszcze nie wiele. Każdy łatwo spostrzeże żeśmy pozyskali ogólną metodę przygotowywania szczepionek zaraz, za pomocą działania tlenu powietrza t. j. siły kosmicznéj wszędzie na powierzchni ziemi istniejącéj. Naodwrót, zarazie osłabionéj, można przywrócić całkowitą siłę zaraźliwości za pomocą pewnego procesu fizyologicznego...

Widzimy, jak szerokie pole otwiera Pasteur nauce. Tworzy fizyologią, niemal technikę, w któréj posługuje się strasznemi nieprzyjaciółmi ludzi i zwierząt jak żelazem, które można zmiękczyć i zahartować, stępić lub zaostrzyć. Już to co Pasteur w mowie swéj jasno wypowiedział, stawia go na równi z największymi geniuszami i dobroczyńcami ludzkości – a ileż tam jeszcze napomknięć, które dowodzą, że posiada wiele odkryć niezupełnie dotąd sprawdzonych, których przedwcześnie nie życzy sobie ogłosić, że jest na torze do nowych zdobyczy, lecz obawia się zdradzić ścieżek, które do nich prowadzą.

Zapewne nie długo da nam czekać na resztę swoich wielkich odkryć. Możemy być dobréj myśli i spodziewać się, że nie zawiodą naszych oczekiwań, że uwieńczenie téj długoletniéj systematycznéj pracy, będzie zupełnie kwadrowało z jéj początkiem i stadyami pośredniemi.

A teraz na zakończenie powiedzmy jeszcze słówko o rezultatach praktycznych szczepienia karbunkułu. Oto słowa Pasteura: „We Francyi tracimy corocznie z powodu karbunkułu ilość bydła

któréj wartość wynosi dwadzieścia milionów franków. Proszono mnie, abym przedstawił publicznie moje rezultaty; uczyniłem temu żądaniu zadość i oto do czego doszedłem: dano mi do rozporządzenia pięćdziesiąt owiec; pomiędzy niemi było 25, którym zaszczepiono karbunkuł ochronny; w piętnaście dni potém zaszczepiono wszystkim 50 owcom jad karbunkułowy najbardziéj zaraźliwy; dwadzieścia pięć owiec, którym był zaszczepiony jad ochronny oparło się zarazie, dwadzieścia pięć drugich owiec, których nie zabezpieczono szczepionką, padło na karbunkuł w przeciągu piętnastu godzin. Od tego czasu nie mogę nastarczyć fermierom wciąż żądającym ode mnie szczepionki.“ *B. R.*

II. Organizmy w meteorytach.

Gdy przed ośmdziesięciu pięciu laty słynny ówczesny uczony Chladni ośmielił się ogłosić pracę o kosmicznym początku meteorytów i starał się udowodnić dawne podania ludowe o kamieniach na ziemię spadających, ściągnął na siebie szyderstwo powszechne, a jeden z krytyków twierdził, że czytając książkę Chladniego doznał wrażenia jakby mu rzeczywiście kamień spadł na głowę. W kilka lat jednak późniéj nikt już nie wątpił o głazach przybywających na ziemię z obszarów światowych, a dzięki niedawnym pracom Schiaparellego poznaliśmy istotne ich znaczenie i stanowisko, jakie im należy przypisać w rzędzie brył niebieskich. Nie spodziewaliśmy się zapewne, że drobiazgi te planetarne sprowadzą nam nową jakąś niespodziankę, gdy oto znajdujemy się wobec dzieła, które wywołać może zdumienie nie mniejsze zapewne, aniżeli praca Chladniego w końcu zeszłego stulecia. Dr. Otto Hahn odkrył w meteorytach istoty organiczne szczątki, zwierząt, które przybyły do nas z innych ciał niebieskich. W wydaném niedawno dziele autor ten zamieścił na 32 tablicach fotograficznych, przeszło sto rysunków utworów, które uważa za formy nie mineralne lecz zwierzęce, i zalicza je częścią do gąbek, częścią do korali, a częścią wreszcie do liljowców, tj. uważa je za twory zbliżone do typów zwierzęcych ziemskich.

Są to skamieniałości pozostałe w tych pozaziemskich głazach, utworzone w takiż sam sposób, jak w kamiennych pokładach ziemi przechowały się zabytki istot niegdyś na niéj żyjących. Gdy organizm kamienieje, na miejsce substancyi organicznych wstępuje masa mineralna; niekiedy mogą téż pozostawać drobne resztki pierwotnéj substancyi, jak np. szkielety krzemionkowe gąbek, ale to ma drobne znaczenie. Miejsce ciała zwierzęcego zajmuje kamień, posiadający

zwykłe swe własności mineralne, i tylko postać jego jest zabytkiem i świadectwem dawnéj formy organicznéj. W tenże sposób według Hahna powstały owe skamieniałości w organizmach meteorycznych, minerał zajmujący miejsce tych dawnych tworów jest odmienny od minerału, stanowiącego ściany.

Twory te meteoryczne są wogóle bardzo drobne, a dla badania ich Hahn przygotowywał cienkie, wygładzone blaszki meteorytów i badał je pod mikroskopem. Skamieniałości znajdują się głównie w choudrytach, to jest w odmianach kamieni meteorycznych, przedstawiających budowę drobnoziarnistą, śród któréj rozrzucone są drobne kulki krzemianu magnezyowego, z kryształkami i ziarnami oliwinu, żelaza niklowego i niektórych innych minerałów. Według Hahna choudryty te są jakby splotem, siatką, któréj oka zajęte są przez drobne, skamieniałe twory, tak że niekiedy dwie trzecie części całego głazu zbudowane są z krzemianu, który zajął miejsce istoty żywéj, a w jednym centymetrze sześciennym znajduje się niekiedy do 5o różnych form organicznych.

Na poparcie, że mamy tu do czynienia z istotnemi organizmami, a nie z jakiemiś szczelinami mineralnemi, nie z rysami krystalicznemi, przytacza Hahn, że rysunki te przedstawiają formy zamknięte, że daje się w nich dostrzedz stopniowy rozwój, że posiadają budowę organiczną, jako komórki lub naczynia, i że nakoniec ogólne ich wejrzenie przedstawia podobieństwo do form znanych. Budowa tych tworów składa się z rurek okrągłych, cechujących jedynie tylko twory organiczne, gdy minerały ograniczone są płaszczyznami i krawędziami ostremi.

Aerolity badane przez Hahna pochodzą głównie ze spadku meteorytów pod Kuyatynią w Węgrzech 9 czerwca 1866, sądzi on, że należałoby w podobny sposób zużytkować bogate zbiory głazów meteorycznych, znajdujących się w różnych gabinetach, a które tam stanowią materyał martwy.

W bliższe badanie zoologiczne nie zapuszczał się autor, jako mineralog, pozostawiając sprawę te specyalistom; otóż zadaniem tém zajął się dr. F. Weinland, występujący jako gorliwy stronnik i obrońca poglądów Hahna. Z dochodzeń jego wypływa, że utwory te w meteorytach są rzeczywiście szczątkami korali, zbliżonemi najbardziéj do rodziny *Favostidae*, która na ziemi zresztą już nie istnieje i którą znamy jedynie tylko ze szczątków kopalnych, znajdowanych w najdawniejszych pokładach ziemskich,—przegrody występujące w jamach żołądkowo-naczyniowych tych polipów dobrze są zachowane.

Badania zoologiczne utrudnione są przez to, że przy rozbijaniu masy meteorytów, łupią się one wzdłuż polipniaków; w jednym tylko egzemplarzu dostrzegł Weinland przecięcie poprzeczne, które przedstawia właściwy układ kielichów i dozwala rozejrzéć je z góry.

Korale te uderzają w porównaniu z ziemskiemi osobliwą drobnością, tak że w pierwszém swém sprawozdaniu Weinland cały ten zbiór organizmów uważa za prawdziwie liliputowy świat zwierzęcy; średnica bowiem polipniaka, o którym wyżéj wspomnieliśmy, wynosi zaledwie 0,9 milimetra, średnice zaś pojedynczych kielichów wynoszą przecięciowo po 0,05 m. Są to stosunki, jakich zgoła nie przedstawiają polipy ziemskie, u których kielichy o średnicy 1mm. już bardzo drobnemi się nazywają. Po rozpatrzeniu wszakże znacznéj liczby innych form, zbliżonych od otwornic (*Foramini ferae*) ziemskich, przekonał się Weinland, że one w ogóle nie ustępują wielkością odpowiednim formom ziemskim, i że owa drobność odnosi się wyłącznie do korali meteorycznych, ale i tu napotkał średnice kielichów dochodzące 0,1 milimetra. Zresztą o formy dobrze zachowane bardzo trudno, jednakowoż jeden gatunek gąbki, często napotykany, dał się wybornie odtworzyć z kilku przecięć poprzecznych i podłużnych; całą bowiem budowę wewnętrzną można było poznać tak dobrze, jak na okazie żywym.

Ze szczątków roślinnych, sądzi Weinland, że znalazł formę przypominającą wodorosty; wyższych form zwierzęcych, mięczaków lub stawowatych np. nie ma tam zgoła żadnego śladu; mamy tu przeto do czynienia z formami zwierzęcemi bardzo pierwotnemi, meteoryty te przeto pochodzić muszą z bardzo wczesnéj formacyi ciała niebieskiego, którego się wydają szczątkami. Cały ten świat zwierzęcy, w którym można rozróżnić do pięćdziesięciu różnych gatunków, sprawia wrażenie zbioru jednolitego, co każe się domyślać, że pochodzi on z jednego ciała niebieskiego, lubo badane meteoryty należą do różnych spadków, nawet zeszłowiecznych. Wszystkie te organizmy nakoniec żyć musiały w wodzie, i to w wodzie nigdy nie marznącéj.

Streściliśmy tu pogląd Hahna i Weinlanda, a zaledwie dodać potrzebujemy, że świat naukowy dotąd na rzecz tę z niedowierzaniem się zapatruje; odkrycie tak doniosłe i tak niezwykłe wymaga dokładnego zbadania, aby je przyjąć i z niém się oswoić. Że na innych światach przebywać mogą istoty żywe, nie przedstawia to zapewne nic osobliwego; analogia niektórych planet do ziemi jest tak znaczną, że domysł o ich zaludnieniu nasuwa się bardzo naturalnie.

Ale gdy twory te obcych światów widzimy przed sobą, gdy zwłaszcza dostrzegamy faunę tę tak pokrewną naszéj, że gatunki dają się determinować (Weinland utworzył już kilka rodzajów— *Hahnia*, *Petiscus*, *Urania*) i zaliczać do gromad, do rodzin niełedwie ziemskich, to w istocie zdumieniu oprzéć się nie możemy.

Zresztą odkrycie to, gdyby się bezspornie potwierdziło, musiałoby zmienić i pogląd nasz na meteoryty. Znakomicie obrobiona teorya Schiaparellego każe w nich widziéć ciałka samoistne, których roje dostawszy się w obręb przyciągania słońca, krążą dokoła niego rozsypując się coraz bardziéj, coraz jednostajniéj po eliptycznych swych drogach, po których biegną i komety, pokrewne według Schiaparellego meteorytom. Teorya ta nie mogłaby się już utrzymać wobec odkrycia tych organizmów meteorycznych; nie są to bowiem ślady istot, któreby mogły rozwinąć się na powierzchni drobniutkich tych ciałek niebieskich, ale są to istotne skamieniałości, ukryte w ich wnętrzu. Należałoby więc przypuścić, że głazy te są to odłamki jakiejś rozbitéj planety, widome dowody przerażającéj jakiejś katastrofy niebieskiéj, co sprowadziła zagładę całéj bryły niebieskiéj pokrewnéj ziemi naszéj.

Istotnéj krytyki naukowéj dzieło Hahna dotąd nie wywołało, oprócz pobieżnych dosyć zarzutów, że formy te mogą być pochodzenia zupełnie mineralnego, że mniéj więcéj podobne rysy można w niektórych bryłach mineralnych stucznie wywoływać. Weinland wszakże silnie jest przekonany, że mamy tu do czynienia z formami zwierzęcemi. „Nie przejdzie ani dziesiątek lat—mówi on—a posiadać będziemy drobną, powszechnie uznaną faunę meteorytów. Dziś wydaje się to może słowem zbyt zuchwałém, ale koledzy moi, znający mnie od lat dwudziestu pięciu, uwierzą zapewne, że przekonania takiego na wiatr nie wypowiadam.“

Wkrótce ukazać się ma w aktach akademii wiedeńskiéj obszerna praca tego zoologa, z dokładnemi opisami i rysunkami badanych przezeń tworów; wtedy cała ta sprawa jaśniéj się przedstawi. Odwołanie się do sądu przyszłości będzie tu zapewne bardziéj usprawiedliwioném, niż wobec jakiegokolwiek innego odkrycia.

III. O klimatach w dawnych okresach geologicznych ziemi.

Jeżeli od tych obcych organizmów i dalekich światów przerzucimy się nagle do zamierzchłych dziejów własnéj naszéj planety, będzie to skok zapewne nagły, ale usprawiedliwiony tém, że to, co jest daleko, podsyca ciekawość naszę zarówno silnie, jak i to, co było

dawno; jeżeli więc czytelnika mogła zająć wiadomość o zoologii astronomicznéj, to nie będzie dla niego obojętną i meteorologia geologiczna.

Geologia usiłuje odtworzyć historyą ziemi od jej najwcześniejszego początku, od chwili, gdy zaczęła się skupiać z pierwotnéj masy, oderwanéj może, jak o tém mówi słynna teorya Laplace'a, z owéj olbrzymiéj mgławicy, z któréj się zwolna wytworzył cały świat słoneczno-planetarny. Słońce, którego plamy są widocznym objawem stopniowego jego stygnięcia, Jowisz i Saturn, których powierzchnie dotąd jeszcze, jak się zdaje, własném, acz nader już słabém błyszczą światłem, są prawdopodobnie obrazem stanów, przez które ziemia niegdyś przechodziła. Ale czasy te tworzenia się pierwszych żużli na ognisto płynnéj masie zlania się ich w wątłą skorupę, powolnego jéj grubienia i ostudzenia do tego stopnia, że nakoniec skroplona woda wypełnić mogła jéj zagłębienia,—stanowią jakby bajeczny okres dziejów ziemi, bajeczny mówimy, bo podobnie jak historykowi pierwotnych dziejów człowieka, tak i geologowi brak tu jeszcze dokumentów, na zasadzie których mógłby bezpiecznie wywody swe opiérać.

Dopiéro, gdy przez mechaniczne lub chemiczne działanie wód na owe pierwotne skały ogniowe zaczęły się tworzyć pokłady osadowe, geologia wchodzi na drogę badań ściślejszych, historyą ziemi kreśli już na podstawie źródeł dziejowych, które w łonie jéj znajduje. Dokumentami temi są zabytki dawnéj fauny i roślinności: one to nas uczą o konfiguracyi dawnych lądów i rozległości mórz, zapoznają nas ze zmianami, jakim ulegać musiał skład atmosfery, pozwalają wnosić o temperaturze, jaka w różnych czasach na planecie naszéj panowała.

Z wykopalisk znajdowanych w dalszych piętrach epoki pierwszorzędowéj, w tak zwanéj formacyi sylurskiéj i dewońskiéj, okazuje się, że pod największemi szerokościami geograficznemi (do 80°) żyły téż same zwierzęta, co pod równoleżnikiem 45°. Toż samo widzimy jeszcze w okresach daleko późniejszych; w czasach tworzenia się pokładów tryasowych Szpicberg posiadał téż same zwierzęta co Szwajcarya; roślinność późniejszéj epoki jurajskiéj w Norwegii północnéj nie różniła się zgoła od roślinności południowo-francuskiéj, a i w następujących potém dolnych piętrach formacyi kredowéj szczątki roślinne znajdowane w Grenlandyi, okazują charakter flory zwrotnikowéj i podzwrotnikowéj. Pierwotny zatém klimat ziemi cechował się zupełną jednostajnością i wysoką temperaturą.

W pierwszych dopiéro stopniach górnéj formacyi kredowéj, gdy na ziemi ukazały się drzewa liściaste, dostrzegamy pierwsze śla-

dy obniżenia temperatury pod 70° szerokości północnéj, zaczyna się objawiać zależność klimatu od szerokości geograficznéj, co wszakże zupełnie wyraźnie występuje dopiéro w epoce trzeciorzędowéj, gdy lądy otrzymały już kontury, w ogólnych przynajmniéj rysach odpowiadające dzisiejszym, i gdy zwierzęta ssące bujnie się już rozwijają. Zabytki ówczesnéj roślinnności uczą wprawdzie, że w stronach północnych panowała jeszcze temperatura znacznie wyższa, aniżeli w okresie bieżącym, ale niewątpliwie niższa aniżeli w czasach formacyi kredowéj; istotnie zwrotnikowe formy trzeciorzędowe napotykają się już tylko pod zwrotnikami.

Do tych tedy, stosunkowo bliskich nam już czasów przeobrażanie klimatu szło zupełnie stopniowo. Ale wtedy to właśnie zaszła nagła zmiana, temperatura obniżyła się niesłychanie i nastąpił ów słynny okres lodowy, odmienny zarówno od poprzednich jak i od następującego po nim peryodu, który już bezpośrednio zbiega się z dzisiejszą dobą geologiczną, tak że obecny klimat ziemski wytworzył się właśnie z klimatu lodowego. Okres ten lodowy, wtrącony w tak osobliwy i niespodziewany sposób między odrębne dzieje klimatyczne, stanowiący przeskok w rozwoju prawidłowym warunków bytu ziemskiego, jest niewątpliwie jedną z najmozolniejszych i najciekawszych zagadek w nauce, któréj dotąd liczne usiłowania należycie rozwiązać nie zdołały.

Tworzono przypuszczenia najniedorzeczniejsze; powoływano się np. na to, że temperatura słońca w pewnéj chwili mogła się obniżyć, albo też na to, że w przestrzeni światowéj, którą przebiega ziemia wraz z całym układem słoneczno-planetarnym, panować może w różnych miejscach rozmaita temperatura. Pomijając już wszelką bezpodstawność podobnych hypotez, pamiętać należy, że okres lodowy nie tyle znamionuje się nader znacznem zimnem, jak raczéj silnym rozwojem lodowców; powyższe zaś wpływy wywołaćby mogły jedynie pokrycie ziemi jednostajną skorupą lodową, ale nie ten olbrzymi pas lodowców, sięgający od stron biegunowych daleko w strefy umiarkowane i ciepłe.

Znacznym rozgłosem cieszyła się przez czas pewien teorya Adhémara, opierająca się na nierówności trwania półrocza letniego i zimowego na obu półkulach; nierówność ta, obecnie wychodząca na korzyść półkuli północnéj, z biegiem wieków, a raczéj tysiącoleci, przechodzi kolejno z jednéj półkuli na drugą, wywołując silniejsze ogrzewanie przez słońce już to jednéj, już drugiéj; wpływy te, sumując się w długim ciągu czasów, sprowadzają nakoniec na półkuli upośledzonéj ubytek ciepła, a w dalszym ciągu i olbrzymi rozwój lodów. Według tego przeto poglądu, okres lodowy nie stanowi zgoła

odrębnego momentu w rozwoju ziemi, ale jest objawem występującym peryodycznie, naprzemian na pólkuli północnéj i południowéj. Zarówno jednak teorya ta w pierwotnéj swéj postaci, jak i w następném przerobieniu Crolla, uległa pod ciosami krytyki. Ogólny wszakże pomysł peryodyczności zmiany temperatury, posiada obecnie wybitnego przedstawiciela w osobie Schmicka. Wpływy astronomiczne, działając niejednostajnie na obie półkule w ciągu długich peryodów, wywołują przelewanie się jéj części ruchliwych—wód i jądra płynnego—z jednéj półkuli na drugą, co sprowadza pewne przesuwanie się środka ciężkości bryły ziemskiéj, a w skutek tego niejednostajny rozkład wód na jéj powierzchni, rozwój zaś lodowców na półkuli silniéj zalanéj jest bezpośredniém następstwem nadmiernéj wilgoci; stosunki zresztą astronomiczne, zarówno jak i dawny ustrój ziemi, mogły działanie to w minionych okresach potęgować o wiele silniéj niż obecnie.

Pomimo głębokiego uzasadnienia ostatniéj téj teoryi, trudno się oswoić z zasadą peryodyczności klimatów lodowych, a badania geologiczne zdają się owszem wskazywać, że okres lodowy, którego ślady znajdujemy w dzisiejszym rozwoju lądów i w rozprzestrzenieniu tak zwanych głazów narzutowych, które mogły być jedynie tylko przez lody przeniesione, zaszedł współcześnie na obu półkulach. W takim razie niewątpliwe to obniżenie temperatury u schyłku okresu trzecio-rzędowego należy wyjaśnić, jako objaw jednorazowy, nie uciekając się do kataklizmów nadzwyczajnych, które geologia z teoryj swoich stanowczo usunęła.

Podobną teoryą klimatów podał właśnie niedawno Probst towarzystwu przyrodniczemu wirtemberskiemu; hypotezą tą stara się on uzasadnić zarazem pierwotną jednostajność klimatu dawniejszego, następny podział jego strefowy, wystąpienie okresu lodowego i nakoniec klimat okresów ostatnich. Nie odwołuje się on przytém do wpływów astronomicznych, kosmicznych, a zmiany klimatyczne wiąże jedynie ze stopniowym rozwojem powierzchni ziemi, opiérając się przedewszystkiém na wynikach badań meteorologicznych.

Wiadomo, że stan klimatu w różnych miejscach jednego i tegoż samego równoleżnika bardzo jest różny, ale rozkład ciepła zależnie od szerokości geograficznych ocenić można ze średnich temperatur rocznych równoleżników, to jest z temperatury, jakąby posiadał każdy równoleżnik, gdyby stan ciepła był na nim jednostajnie rozłożony; obliczenia takie przeprowadził Dove dla półkuli północnéj, oznaczając tym sposobem jéj klimat normalny. Warunki klimatyczne byłyby wszakże zgoła odmienne, gdyby cała powierzchnia ziemi oblaną była morzem, czyli, gdyby ląd tak ustąpił, że nie miałby już za-

dnego wpływu na klimat. Czysty ten klimat morski daje się ocenić z obserwacyj dokonywanych na wyspach.

Otóż klimat morski okazuje znacznie większą jednostajność, aniżeli klimat normalny; gdy ten ostatni przedstawia między równikiem a biegunem różnicę 34.4° R, w klimacie morskim dochodzi ona zaledwie 20°. Rozmaitość ta tłómaczy się głównie znaczniejszém ciepłem właściwém wody; wymagając do ogrzania swego większéj ilości ciepła, wolniéj się ogrzewa i prędzéj też stygnie aniżeli ląd stały. Przytém, klimaty morskie w większych szerokościach geograficznych są znacznie cieplejsze od lądowych; w stronach bliższych równika różnica ta jest mniejszą, a nawet—w skutek zapewne silniejszego ulatniania się wód w stronach gorętszych, co pochłania znaczną ilość ciepła,—stosunek staje się odwrotnym; klimat morski jest tam nieco chłodniejszy od lądowego.

Czysty przeto klimat morski przedstawia uderzające podobieństwo do klimatu dawnych epok geologicznych, zarówno pod względem jednostajności, jak i wyższéj temperatury w stronach bliższych bieguna. Owéj tedy zamierzchłéj epoce przyznać należy, klimat przeważnie morski, co się potwierdza tém, że pokłady ówczesne są morskie, znajdujemy w nich szczątki zwierząt morskich.

Nie tłómaczy to wszakże jeszcze dostatecznie wysokich temperatur pozazwrotnikowych, ocenianych przez geologów na 25° do 30°C., dla tego Probst powołuje jeszcze do innych znany czynnik, mianowicie zachmurzenie nieba. Pochmurność wpływa na ujednostajnienie stanu ciepła, znosząc różnicę dnia i nocy, lata i zimy; obszerność wahań temperatury dziennéj w czasie dni pogodnych jest o wiele większą aniżeli w ciągu dni pochmurnych.

Gdy ziemia była zalana wodą, pochmurność była znaczniejszą i utrzymywała się stale, zwłaszcza w szerokościach większych, gdy w okolicach zwrotnikowych, podobnie jak teraz, pogoda i zachmurzenie następowały prawidłowo po sobie; prądy morskie doprowadzały przeto wodę ciepłą w okolice biegunowe, gdzie chmury chroniły ją od silnego stygnięcia; wpływało to więc na ogólne podwyższenie temperatury.

Biorąc tedy za podstawę wyniki obserwacyj obecnych, obliczył Probst wpływ obu powyższych czynników na temperaturę średnią pod różnemi szerokościami; rachunki wykazały, że w takich warunkach temperatura równika wynosiłaby 21.5R, a słabnąc nieznacznie, dochodziłaby pod 80° jeszcze 14°R.

Wysokość 14° może wprawdzie wytłómaczyć istnienie paproci drzewnych i innych roślin, wymagają one bowiem raczéj klimatu je-

dnostajnego, aniżeli bardzo ciepłego. Ale korale, zachodzące w dawnych okresach jeszcze około równoleżnika 80^{0} wymagają temperatury wyższéj; tu przypuszcza Probst wpływ ciepła wewnętrznego ziemi, które przy mniejszéj grubości skrzepłéj skorupy mogło oddziaływać do tyla, że umożebniało życie korali.

Jednostajność ta klimatu ginąć musiała w miarę rozwoju lądów, o czém świadczy wystąpienie i coraz znaczniejsza przewaga roślin liścieniowych i zwierząt lądowych, według Heera w połowie okresu trzeciorzędowego średnia temperatura roczna wynosiła w Grenlandyi 9^{0}C, w Szwajcaryi 19^{0}, okolice zaś zwrotnikowe miały klimat odpowiedni obecnemu. I stan przeto ciepła jest niższy i rozkład jego nie jest już jednostajny. Klimat bowiem morski ustąpił, ale nie stał się jeszcze lądowym tak dalece jak obecny, pochmurność straciła swą jednostajność, ale powstała jeszcze znaczniejszą od obecnego jéj stopnia,—klimat stał się pośrednim między jednostajnym i ciepłym dawnych okresów, a dzisiejszym—niejednostajnym i chłodnym.

Dalszy przyrost lądów w końcu okresu trzeciorzędowego rozwinął klimat odpowiadający już dzisiejszemu i będący tylko dalszém rozwinięciem zmian, które się poprzednio rozpoczęły. Ale na tenże okres właśnie, jak to geologia dowodnie poznała, przypada podniesienie się gór na ziemi, Pirenejów, Alp, Karpat, Kaukazu, Himalajów, Kordylierów; działanie to było następstwem marszczenia się skorupy ziemskiéj na zastygającém i ściągającém się jądrze ziemi i odbywało się nader stopniowo i nieznacznie. W miarę wszakże wynoszenia sie, góry zaczęły stanowić zbiorniki dla wód skroplonych, a z nagromadzenia śniegów powstały lodniki, które przez coraz większe rozprzestrzenienie, spowodowały oziębienie klimatu i sprowadziły ów osobliwy okres lodowy.

Ale własna działalność lodowców zwolna przygotowała ich zagładę; one same bowiem sprowadziły starcie gór, zniżyły ich poziom, rozerwały zbite ich masy, utworzyły doliny, a to wszystko ograniczyło możność gromadzenia się śniegów. Lodniki zaczęły niknąć na różnych punktach i zwolna usunęły się do skromnych rozmiarów, w jakich je dziś widzimy. W miarę ustępywania lodników klimat stawał się łagodniejszym i stopniowo rozwinęły się obecne stosunki klimatyczne.

Klimat czasów naszych zbliżony jest do klimatu trzeciorzędowego, jakim był zwłaszcza u schyłku tego okresu; stan téż ówczesny powierzchni ziemi odpowiadał obecnemu; góry, które wtedy nie doszły jeszcze ostatniego swego kresu przedstawiały wysokość podobną do dzisiejszéj,—wówczas nie były jeszcze doszły zupełnego swego rozwoju, dziś są już zmyte i starte.

Teorya Probsta zaleca się niewątpliwie prostotą, nie odwołuje się do wpływów kosmicznych, a przeobrażenie klimatu tłómaczy jedynie zmianami, jakie na powierzchni ziemi zachodziły; nie pokonywa ona jednak zapewne wszystkich trudności, a przedewszystkiém pomija milczeniem silną wilgotność powietrza, która musiała być jednym z głównych warunków znacznego rozwoju lodowców. Nastręczają się i inne wątpliwości; sama jednak kwestya przeszłości ziemi dostatecznie jest ciekawą, aby wzbudzić zajęcie dla każdéj teoryi która ją wyjaśnić usiłuje.

S. K.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Urzędnicy kancelaryjni królów polskich z lat 1434—1506..—Studyum dyplomatyczne, opracował *Dr. Roman Maurer*, zastępca nauczyciela w gimnazyum brodzkiém.—Odbitka ze sprawozdania c. k. realnego wyższego gimnazyum w Brodach, za rok szkolny 1881.—W Brodach 1881, nakładem autora 8⁰, str. 51.

Kto wié, w jakim stanie po dziś dzień znajduje się umiejętność dyplomatyki naszéj, albo raczéj, ażeby się dosadniéj a prawdziwiéj wyrazić, kto wié, że u nas dotąd prawie zgoła nieistnieje ta gałąź propedeutyki historycznéj, ten powita z prawdziwą przyjemnością i nie będzie skąpić wyrazów uznania niewielkiéj wprawdzie pod względem rozmiarów, ale mozolnéj i żmudnéj, a nadto ważnéj, choć w rezultatach niewdzięcznéj pracy, któréj tytuł wypisaliśmy na czele niniejszego sprawozdania. W innych działach rozległéj dziedziny nauk historycznych, że tylko wspomnimy heraldykę lub genealogią, naukowa niwa nasza, w miejsce zdrowych kłosów chwastem porosła; tu bo jednak, mówię o dyplomatyce, taż rola zgoła niemal leżała odłogiem. Prace odnośne, po większéj części słabe, nierzadko dyletanckie próby dadzą się na palcach wyliczyć; nadto, rzadko która z nich poświęcona jest wyłącznemu traktowaniu zawiłych pytań dyplomatyki historycznéj, lecz raczéj tylko mimochodem je omawia. Odliczywszy nieszczególną naszą sposobność do tak suchéj i ścisłéj jak dyplomatyka umiejętności, była tego jéj zaniedbania ze strony nauki główną przyczyną zwłaszcza niepomierna skąpość odnośnego materyału. W niedawnych dopiéro czasach wzbogacony, dzięki podjętym w ostatnich latach wielkim wydawnictwom dokumentów średniowiecznych, znacznie materyał dyplomatyczny, jak z jednéj strony okazał wysoką ważność nieznacznych napozór zagadnień dy-

plomatyki, tak téż z drugiéj dopiéro umożliwił pierwsze jako tako pewniejsze kroki na tém polu. Że jednak rezultaty, które się dotąd osiągnąć dały, nie są jeszcze zbyt bogate, żeśmy dotąd nie wiele zdrowego ziarna zdołali uzbierać na tém polu, które przecie tak bujnemi faluje kłosami u naszych zachodnich sąsiadów, jak Niemców lub Francuzów, tego najlepszy dowód widzimy właśnie choćby w sumiennéj pracy pana Maurera. Autor jéj ogłosił już przed kilku laty pracę z zakresu dyplomatyki polskiéj p. t. Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły (1), którą poważna krytyka naukowa, między innemi i w Ateneum (2), acz nie bez pewnych zastrzeżeń, to jednak w ogólności przychylnie i z uznaniem przyjęła. Praca obecna, jak już jeden rzut oka na daty chronologiczne w tytułach wypisane poucza, jest dalszym ciągiem owéj pierwszéj pracy autora z zakresu dyplomatyki polskiéj. Ze słowa wstępnego zaś, które poprzedza niniejszą pracę, dowiadujemy się nadto, że autor zajęty jest opracowaniem urzędników kancelaryi polskich z czasów przedjagielońskich, a w pierwszym rzędzie z w-14°, czyli od czasów Łokietka aż po czasy Jagiełły; i to będzie zapewnie część najciekawsza jego pracy, zważywszy odległość czasu i ubóstwo odnośnych źródeł, jakotéż tę zwłaszcza okoliczność, że urządzenia kancelaryjne, które w epoce dotąd traktowanéj przez autora są już w pewnym mniéj więcéj ustalonym stanie, w epoce poprzedniéj dopiéro się wykłuwać i tworzyć poczynają. Z rzeczonego słowa wstępnego dowiadujemy się nadto jeszcze, że autor zamierza przedmiotem osobnéj pracy zrobić kancelaryą litewską, któréj w niniejszéj rozprawie poświęcony ustęp, wskutek niemożności, w jakiéj się autor znajdował, wyczerpującego korzystania z wydawnictw rosyjskich, koniecznie musiał wypaść bardzo skąpo i ubogo. Atoli wróćmy do niniejszéj pracy.

Jakeśmy wyżéj powiedzieli, rezultaty dotąd osiągnięte na polu dyplomatyki naszéj, jakkolwiek w stuleciu w materyał stosunkowo najbardziéj obfitującém, są nader ubogie. Pan M. zestawił te ogólniejsze rezultaty swego studyum na pierwszych kartkach rozprawy. Za najważniejszy z nich wypadnie podobno poczytać wniosek autora co do metamorfozy pierwotnych *protonotaryuszów* kancelaryi polskiéj na *sekretarzy*; która to zmiana zaszła, według autora, między latami 1418 a 1423. Obok nich istnieją nadto dawniejsi notaryusze. Z czasem, gdy pracy w kancelaryi królewskiéj coraz więcéj przybywało,

---

1) Biblioteka warszawska, 1877, t. III i w osobnéj odbitce.

2) Rok 1878, t. III, artykuł dra. F. Papée p. t. Dwie prace z dziedziny dyplomatyki naszéj, str. 178 nast.

i w miarę tego także liczba sekretarzy się zwiększyła, a zatém i godność ich nieco spowszedniała, (w r. 1475 było równocześnie aż pięciu sekretarzy), okazała się potrzeba odznaczenia jednego z pomiędzy ich grona i przywrócenia tém samém niejako dawniejszéj godności protonotaryatu. Ta nowa ewolucya godności kancelaryjnych zaszła w r. 1470. Ów sekretarz, odznaczony od reszty swych kolegów, przybiéra tytuł pierwszego czyli najwyższego sekretarza, a że dzierży sygnetową pieczęć królewską, przeto zwany jest powszechnie annularis secretarius lub téż annularius. Sekretarza takiego nie należy bynajmniéj uważać za osobę podrzędną i małego znaczenia; możnaby go owszem poniekąd porównać z dzisiejszymi podsekretarzami stanu w niektórych państwach nowożytnych. Należeli podobni sekretarze „obrączkowi“ do liczby jeźli nie najwyższych, to przecie wysokich dostojników, i aczkolwiek byli raczéj urzędnikami króla niżeli państwa, składali przy obejmowaniu urzędu przysięgę senatorską, a postępowali bezpośrednio czy to na podkanclerstwo czy téż, jak późniejszy prymas Jan Łaski, nawet na kanclerstwo. Wskutek téj ewolucyi liczyła hierarchia kancelaryjna od r. 1470 jeden stopień więcéj: po *kanclerzu* i *podkanclerzym* szedł *wielki sekretarz*, po nim dopiéro szli *sekretarze*, którzy, jak to powiedziano wyżéj, w latach 1418—1470 znaczyli toż samo co dawniejsi protonotaryusze a odtąd tj. o r. 1470 przyjęli także nazwę starszych notaryuszów; i wreszcie jako piąta, najniższa kategorya *notaryusze* tout court czyli notaryusze bez epitetu. I ta ostatnia kategorya nie była bynajmniéj bez znaczenia; znajdujemy w niéj takie imiona jak: Grzegorza z Sanoka, Zbigniewa z Oleśnicy (w r. 1469) i inne, które późniéj niejednokrotnie w stanowczy sposób wpływały na losy kraju. Ale i pod względem (że tak powiem) technicznym, ściśle dyplomatyki dotyczącym, ta kategorya urzędników kancelaryjnych, acz najniższa niemały przecie przedstawia interes. W istocie, jeśli zważymy, że zazwyczaj nie kto inny, jeno ci notaryusze i sekretarze nietylko pisali ale i układali (czyli, jak mówią, redagowali) dokumenta, uznamy bez trudu, że w razach nie pewnych, gdzie np. podejrzaną jest autentyczność dokumentu, znajomość pisania lub raczéj stylu każdego z notaryuszów nieobojętnym będzie dla krytyki momentem. Konieczna jest zbadać i wniknąć w naturę powstania dokumentu, skoro się go chce czy to uznać autentycznym czy odrzucić jako sfałszowany, a ku temu właśnie potrzebne jest poznanie (w granicach możliwości naturalnie) indywidualności pisarskiéj autora dokumentu. Nie powiemy nikomu nic nowego, nadmieniając, że podrabianie dokumentów, przywilejów zwłaszcza kwitło w wiekach średnich; nie jesteśmy chwała Bogu w czasie, w którym się zdarzyło powiedzieć,

niepomnę komu, że skoro w wiekach średnich sztuka pisania była niemal wyłącznie w posiadaniu stanu duchownego, podobne fałszerstwa należą do kategoryi złośliwych wymysłów, lub co najmniéj nie bardzo mądrych baśni i że czegoś podobnego bez obrazy duchownéj sukienki przypuścić niepodobna. Nie jesteśmy, powtarzam, dziś jeszcze w tych pieluchach naiwnéj wiedzy, ale też może jeszcze niekażdy zdaje sobie należycie sprawę, raz z ogromnéj liczby popełnionych fałszerstw, a powtóre z nadzwyczajnie wielkiéj biegłości fałszerzy w podrabianiu dyplomatów, więc, co za tém idzie z niezwykłych trudności, z jakiemi stwierdzenie autentyczności lub fałszerstwa jest połączone. Poznanie osobistości choćby tych najniższych urzędników kancelaryjnych, jakkolwiek będące tylko jednym z mnogich środków, jakiemi rozrządza krytyka dzisiejsza, jest tedy rzeczą bynajmniéj nie do pogardzenia (1) i zaleca się przeto historykowi nietylko dlatego, że te urzędy niższe były zazwyczaj szczeblami, po których późniejsi przewódcy narodu spinali się do wyższych dostojeństw kancelaryjnych. Praca pana M. nie wychodzi po za podanie bardzo skąpego spisu imion tych niższych urzędników, sekretarzy i notaryuszów; atoli żądać odeń więcéj trudno, skoro materyał, jakim rozrządzał, na więcéj nie pozwalał. Jest i tak ten spis pierwszym, jaki dotychczas został ułożonym.

Jeżeliśmy uznali ważność informacyi, które zdolne są rzucić światło na stanowisko i osoby sekretarzy i notaryuszów, to cóż dopiéro powiemy o dostojeństwach najwyższych kierowników kancelaryi królewskiéj t. j. kanclerza i podkanclerzego. Acz nie najintratniejsze ani najzaszczytniejsze, były to z pewnością wtedy i jeszcze długo późniéj, nim trzymanie stałych armij zrobiło (dożywotnich o tém nie zapominajmy!) hetmanów istotnymi panami rzeczypospolitéj, a częste bezkrólewia dodały niepomiernego znaczenia prymasowskiemu i marszałkowskiemu urzędowi, były, powiadam, dostojeństwa kanclerskie i podkanclerskie najważniejszemi w rzeczypospolitéj. Zawiadujący kancelaryą królewską łączył w istocie w osobie swojéj, cobyśmy dziś nazwali ministerstwem spraw zagranicznych, wraz z dobrą częścią kompetencyi ministra sprawiedliwości i ministra spraw wewnętrznych. Ważność zajmowanego przez kanclerzy stanowiska okaże się jeszcze lepiéj, skoro zważymy, że sprawy zewnętrzne były podówczas owemi, co do których najmniéj była ograniczoną, a zatém najpełniéj mogła się objawiać władza królewska,

---

(1) Nie nowa to teorya; zobaczyć w téj mierze pisma wiedeńskiego profesora Sickl'a.

względnie władza współpracowników królewskich w kancelaryi t. j. właśnie kanclerzy i podkanclerzych. Są to tedy pierwsi i najbliżsi doradcy korony, któréj najważniejsze sprawy im są poruczone; tak powierzają im stany najważniejsze dyplomaty, ażeby je odwieźli do zamku krakowskiego, w bezpieczne schronienie; ich opieszałość zdolna sprowadzić na kraj takie klęski, jak smutnéj pamięci porażkę chojnicką (1454). Oni to najczęściéj jeżdżą w poselstwach do obcych dworów, przyczém się nawet zdarza, że biorą z sobą w drogę pieczęci, w celu natychmiastowego ratyfikowania mających się zawrzéć traktatów; w razie małoletności królewskiéj, jak za Warneńczyka, widzimy ich w rzędzie „opiekunów" chwilowo osieroconego państwa (tutores regni), a gdy obcy książęta składają hołdy królom polskim, to oni czytają słowa przysięgi. Już to samo wystarczy, dla okazania ważności wszelkich dat i szczegółów, odnoszących się do zawodu tych wysokich dostojników, choćby nawet, jak się niestety rzecz ma w przeważnéj liczbie wypadków, daty te ograniczały się do dość suchych spisów godności, kolejno piastowanych przez tego lub owego kanclerza lub podkanclerzego. Nie brak przecie zupełnie i pewnych ogólniejszych rezultatów. I tak z samego zestawienia imion wynika, że już w owym czasie wymagano, ażeby kandydat do kanclerskiéj lub podkanclerskiéj godności był „secundum saeculi morem ex magnificis et nobilibus parentibus ortus." Jakoż znajdujemy w spisie kanclerzy same tylko prawie historyczne imiona, synów najzamożniejszéj i najznakomitszéj szlachty. Stanowią oni też, jak się tego łatwo domyśléć można, najwyższą inteligencyą kraju; każdy z nich prawie odbywał studya w uniwersytecie krakowskim i uzyskał stopnie akademickie. Postępują często nader szybko: Oleśnicki, który jeszcze w r. 1470 jest notaryuszem, w r. 1471 jest już sekretarzem, a w roku następnym dostępuje godności pierwszego sekretarza i podkanclerzego. Łaski wstępuje do kancelaryi w r. 1501, w r. 1502 jest już pierwszym sekretarzem a w rok potém dzierży już wielką pieczęć. Ze względu na ważność tych urzędów, nie cierpią na nich królowie jak tylko osoby zupełnie sobie oddane (tak Kazimierz Jagielończyk Gruszczyńskiego), które jakkolwiek duchowne piastują godności, nie wahają się przecie w potrzebie stanąć po stronie króla a przeciw uroszczeniom duchownego stanu. To też się zdarza, że ich król trzyma w urzędzie nawet wtedy, gdy zostali biskupami lub nawet, gdy który z nich wyniesiony został na najwyższą duchowną godność w Polsce, t. j. gdy został prymasem, jak to się stało w r. 1464 z Janem Gruszczyńskim, który pomimo to zachował wielką pieczęć. Zwykły awans kanclerza i podkanclerzego jest: jeźli jest świeckiego stanu człowiekiem, województwo sandomierskie

i Starostwo krakowskie; jeźli kanclerzem jest duchowny, pierwsze znaczniejsze biskupstwo. Jako charakteryzującą polskie stosunki okoliczność podnosi p. M., że podkanclerzy biskup wymieniony jest w dokumentach przed kanclerzem, skoro ten jest duchownym niższego rzędu, co zapewnie nie tak rzadko się zdarzyło, gdyż wiadomo, że uchwała stanowiąca alternatę pomiędzy dwoma najwyższymi dostojnikami kancelaryi królewskiéj, według któréj tedy skoro kanclerzem był duchowny, to podkanclerzy musiał być świeckiego stanu, powziętą była dopiéro po wstąpieniu na tron Zygmunta I (1506) czyli już u schyłku właściwéj epoki dyplomatycznéj. *Szaraczki* — powiada p. M.—szlachta wioskowa, która wstępuje do kancelaryi, a która zazwyczaj podobnie jak arystokratyczniejsza jéj brać, jest w stanie wykazać stopnie naukowe, może się przez całe dziesiątki lat wysługiwać w kancelaryi, ażeby się ostatecznie niczego nie dosłużyć. Niejaki Jabłowski jest notaryuszem przez 31 lat, od 1425—1456; Krowickiego, który jest dziekanem lwowskim, widzimy na urzędzie notaryusza królewskiego w r. 1487 i jeszcze w r. 1506 na tém samém stanowisku. Połączenie wszystkich dzielnic polskich pod jedném berłem wyszło z Małopolski; Małopolan zasługą były również chrzest i unia Litwy z koroną. Podobno tedy nie pomylimy się, jeźli do téj historycznéj przewagi Małopolski nad Wielkopolską odniesiemy fakt niewątpliwy, że aż po pierwsze lata panowania Kazimierza Jagielończyka jedynie Małopolanie mieli przystęp do godności dworskich, a zatém i do urzędów kancelaryjnych. Dopiéro przywilej cerekwicki 1454 r. wydany, zniósł tę wyłączność i odtąd téż i drobna szlachta wielkopolska była dopuszczaną do kancelaryjnych zajęć. Gdy w 3 dni po wydaniu tego przywileju w bitwie chojnickiéj wraz z podkanclerzym Szczekocińskim zginęła mniejsza pieczęć, musiano w kancelaryi królewskiéj wydawać jakiś czas pisma pod pieczęcią *starosty* nakielskiego (1).

Tyle o kanclerzach i podkanclerzych. Instytucya *pieczętarza* (sigilliger) przeniesiona do nas z węgierskiéj kancelaryi nie trwała długo. Gdy Władysław Warneńczyk wyjechał do Węgier, jakiś czas urzędnicy węgierscy pełnili obowiązki kancelaryi królewskiéj, wydając dyplomaty dla Polski. Później w r. 1444 napotykamy Jana Reja z Szumska z tytułem pieczętarza czyli zastępcy kanclerza, atoli jeszcze w tym samym roku bitwa pod Warną położyła rychły koniec, jak wielu innym rzeczom, tak i téj przejściowéj instytucyi.

---

(1) a nie kasztelana, jak powiada p. M. (str. 7). „Sub cera et sigillo *capitanei naclensis*“ stoi w odnośnym dokumencie. Szujski: Codex epistolaris saec. XV, 158.

Niechaj mi będzie wolno uczynić obecnie Szan. autorowi niektóre spostrzeżenia i uwagi co do poszczególnych kwestyj. Powiada on, że wątpliwe pochodzenie szlacheckie zagradzało drogę do godności kancelaryjnych i na poparcie tego twierdzenia przytacza przykład Erazma Ciołka. Być to może, bardzo to nawet prawdopodobne, atoli przykładu Ciołka na stwierdzenie tego przytaczać nie należy. Ta bowiem przyczyna leżała gdzieindziéj. Wszakżeż skoro Aleksander uznał—słusznie czy nie słusznie, nie tu rozstrzygać—szlacheckie urodzenie ulubieńca swego, skoro nadto mógł go zrobić biskupem płockim, cóż mu mogło przeszkadzać do posunięcia go w kancelaryi, z urzędu sekretarza, który od 10 lat blisko piastował, na godność czy to podkanclerzego czy nawet kanclerza? Raczéj przypuścić należy, jako rzecz mojém zdaniem o wiele prawdopodobniejszą, że Ciołka ubiegł w godności wielkiego sekretarza jego późniejszy (a podobno już i ówczesny) rywal Jan Łaski, który gdy niebawem potém posunięty został na kanclerstwo, dla Ciołka już w kancelaryi miejsca nie było; boć zresztą biskupstwo płockie, na którém Ciołek od r. 1503 zasiadał, nie było *incompatibile* z mniejszą pieczęcią, ani de facto ani de jure. Dowodem pierwszego Wincenty Przerębski, który był w r. 1498 równocześnie biskupem płockim i podkanclerzym; a co do drugiego, to przypominam, że ustawę o incompatibilach uchwalono dopiero w r. 1504. Gdy już mowa o Ciołku zauważę, że niebyłoby zawadziło dodać, choćby dla uniknienia możliwéj pomyłki, że tenże Ciołek nosił także tytuł protonotaryusza apostolskiego, godność, którą otrzymał w r. 1501 od papieża Aleksandra VI (1).

Skoro do dowodów, które w méj pracy o Wapowskim przytoczyłem przeciw twierdzeniu prof. Zeissberga, jakoby Łaski nie był kanclerzem kapituły gnieźnieńskiéj, powiodło się panu M. odszukać i przydać nowe (str. 22), nie ma obecnie już zgoła powodu do podawania w wątpliwość autentyczności testamentu Aleksandra (jak to był czynił Zeissberg) a tém samém przenoszenia opowiadania Miechowity o napadzie Tatarów w r. 1506 i ostatnich chwilach Aleksandra, nad odnośny rozdział lepiéj tym razem poinformowanego Wapowskiego (2).

W poczcie sekretarzy i notaryuszów kancelaryi litewskiéj przytacza p. Maurer (na str. 43) pod r. 1502 „*Jana sekretarza Rusina*,“

---

(1) Zob. Theiner. Vetera Monumenta Poloniae, t. II, f. 280.

(2) Zob. moją rozprawę doktorską: Rozbiór podługoszowéj części kroniki B Wapowskiego. Kraków, 1880, str. 79 w nocie.

a pod lat. 1502—1504 „*Jana Sopyechę*,“ który prócz sekretarskiego urzędu przy królu, pełni nadto obowiązki kanclerza królowéj Heleny. Otóż skoro autor cytuje pracę moję o Ciołku, winien był tam znaleść wymienionego jako jego kolegę w poselstwie do Aleksandra VI papieża „*Jana Sopyehę* (Sapiehę) Rusina,“ sekretarza wielkiego podówczas księcia Aleksandra a krewnego i „prokuratora“ metropolity kijowskiego, Jana Józefa (1). Ten Jan Sopyeha a wymienieni u p. M. dwaj Janowie to widocznie jedna i ta sama osoba; gdyż niepodobna przypuścić, ażeby równocześnie było aż dwoje lub zgoła troje urzędników w kancelaryi, którzyby wszyscy mieli na imię Jan, byli Rusinami i wszyscy nadto byli sekretarzami przy Aleksandrze. Jeżeli zaś Jan Sopyeha zwie się nadto kanclerzem królowéj Heleny (2), to nie obala to bynajmniéj powyższego przypuszczenia, owszem raczéj je poniekąd stwierdzać się zdaje, skoro wiemy z Theinera, że Ciołek wraz z swym kolegą t. j. właśnie owym Sopyehą mieli sobie poruczoną w Rzymie pewną sprawę w. księżny Heleny, któréj tu jednak bliżéj rozpatrywać nie można (3).

Jedną z kardynalnych zasad publicznego prawa polskiego było, że obrany król polski zostawał *istotnym* królem dopiéro w chwili, gdy pod odczytaniu przysięgi włożono mu koronę na skronie. P. M., który zdaje się nie znał, tego w czasach burzliwych późniejszych bezkrólewi tak ważnego prawa, dowiódł jednak, dzięki skrzętnemu porównywaniu dat panowań królewskich, że ta zasada obowiązywała już za czasów Olbrachta i Aleksandra, pierwszych królów, którzy datowali wydane przez się dokumenty nietylko zwykłym sposobem, ale nadto, choć nie zawsze, według lat panowań swoich i to licząc zawsze od dnia koronacyi.

Kończymy te uwagi szczérym wyrazem uznania dla równie mozolnéj jak sumiennéj i krytycznéj pracy Szan. autora, a nadto życzeniem już raz z kompetentnéj strony objawioném, ażeby autor zechciał uzupełnić swą pracę podaniem spisu wszystkich dokumentów z epoki, którą opracował. Nietylko-by się przez to ułatwiły poszukiwania, ale nadto zyskałby na tém sam autor, bo by tym sposobem zrobił pracę swą niezbędną dla wszystkich tych, którzyby się chcieli zająć odnośną epoką.“

Stanisław Lukas.

---

(1) Theiner, l. c. t. II, f. 283. List Aleksandra VI papieża do w. księcia Aleksandra z 7 maja 1501.

(2) Das aelteste Materikalbuch der Universität Krakau, herausg. von Zeissberg, p. 68.

(3) Dotyczyła ona pożycia Aleksandra z (schizmatycką) żoną.

Wykaz form języka staropolskiego zawartych w „Przykładach i Wzorach z najcelniejszych poetów i prozaików polskich D-ra Karola Mecherzyńskiego“, napisał *Szymon Matusiak*. Kraków, Nakładem księgarni J. M. Himmelblaua. 1882. 8-o. str. 56.

„Wypisy Mecherzyńskiego“ są książką szkolną, służącą za podręcznik do nauki języka i literatury polskiéj w niektórych gimnazyach galicyjskich. Z tytułu więc spodziewaćby się należało, że książeczka p. Matusiaka jest najprostszym podręcznikiem szkolnym, któryby służył uczniom za komentarz do ich wypisów. To samo wnosimy téż z przedmowy, a jednak tak nie jest. Pod tym bowiem dość skromnym tytułem chciał autor widocznie dać uczniom obraz całego języka staropolskiego, lecz mu się to nie udało. Tylko w uwagach nad głosownią (str. 1—8), ogranicza się on na przykładach zawartych w wypisach, w deklinacyi (str. 9—26) zaś i w konjugacyi (str. 27—54) rozwija „swoje“ niby poglądy, illustrując je tu i owdzie przykładami z wymienionych wypisów. Nicby to zresztą nie szkodziło, gdyby tylko wszystko było przedstawione w sposób, dla nauki szkolnéj stosowny. Lecz że tak nie jest, łatwo się o tém przekonać. Przedewszystkiém powoływanie się ciągłe na język starosłowieński pedagogice szkolnéj nie odpowiada, bo język starosłowieński uczniom naszych polskich gimnazyów znany nie jest. O języku starosłowieńskim więc, podobnie jak o sanskrycie, zendzie i t. p. w książce szkolnéj mowy być nie powinno. Nie można tu bowiem uczniów o prawdziwości swéj nauki na przykładach przekonać, lecz trzeba tylko od nich wymagać wiary, że kiedyś w jakimś języku tak było. W nauce szkolnéj musimy się ograniczyć na takich tylko faktach, które z samego języka polskiego lub najwyżéj przy pomocy innego jakiego, uczniom znanego, dowieść się dadzą. Nie dość na tem, lecz autor powołuje się tu nawet na języki aryjskie (str. 9), nie wytłómaczywszy nawet nigdzie, co to są te języki. Skądże więc uczeń ma wiedziéć coś o nich? Czy w wypisach Mecherzyńskiego może być odpowiednie objaśnienie? Zresztą cały sposób przedstawienia, jak dla szkoły, jest niedokładny, określeń albo żadnych nie ma, albo są niedostateczne i fałszywe. W głosowni np. nie ma żadnéj wzmianki o podziale dźwięków; widocznie więc autor przypuszcza, że ten uczniom gimnazyum wyższego dokładnie jest znany. Mimo to uważa późniéj (§ 6) za stosowne, bodaj przy sposobności wymienić, które są *dźwięczne*, a które *bezdźwięczne* spółgłoski. Jeżeli to było konieczne, należało o tém już z góry uczniów uprzedzić, a nie dopiéro przy uwagach „o assymilacyi.“ W innéin znów miejscu (str. 9 uw.) uczy, że „temat jest to ta część wyrazu, do której dodaje się końcówki“; jakżeż więc uczeń uwierzy, że „bóg, pan“, i t. p., są „tematami na—**a**“,

gdy w formach innych przypadków, jak: bog-a, bog-u, końcówkami są -a. u, a jako temat według określenia autora zostaje: bog—, pan—. Cały więc ten podział podług pierwotnego stanu tematów dla szkoły odpowiedni nie jest. Sam autor zresztą widocznie o nim pojęcia dokładnego nie ma, gdy np. „*bracia*“ liczy do — i — tematów (str. 12).

Nie myślę wszystkiego wykazywać, co w téj książeczce dydaktyce szkolnéj nie odpowiada, bo zanadto wieleby to zabrało miejsca i na nicby się nie przydało. A zatém ,,zbiór ten luźnych uwag“, jak go sam autor w przedmowie nazywa, nawet „w braku odpowiedniego podręcznika do staropolszczyzny“ *na nic się w szkole nie przyda.*

Lecz o ważniejszą tu rzecz teraz idzie, to jest o *naukową wartość* tych „luźnych uwag.“ W przedmowie, po bardzo szumnéj zapowiedzi: „W wielu punktach różnią się *moje* zapatrywania od zapatrywań przyjętych dotąd w szkołach naszych, pochodzi to stąd, że w ostatnich latach badania na polu gramatyki znaczny zrobiły postęp“ — wylicza autor prace, z których niby korzystał, a które, jak stę pokazuje, zna tylko z tytułów. Innych zaś prac, z których rzeczywiście wyjął wszystko, co tylko jest dobrego w tych uwagach, nie wymienił. Mimo to, spodziéwać-by się należało, że podaje tu autor najświeższe rezultaty nauki, któreby tak pod względem materyału jak jego opracowania, były ważnym dla gramatyki porównawczéj przyczynkiem. Otóż co do *materyału* gramatycznego, to nauka nic a nic z téj książeczki nie zyskuje. W wypisach Mecherzyńskiego bowiem, znajduje się bardzo mało wyjątków, i to z zabytków języka staropolskiego, już dawno znanych. Co do *opracowania* zaś, potrzeba tę pracę podzielić na dwie, równéj objętości, połowy.

W pierwszéj z nich, t. j. w uwagach nad głosownią i deklinacyą (str. 1—26), jeśli się co nowego znajduje, to tylko jest najlepszém świadectwem, że autor nietylko o postępie badań na polu gramatyki w latach ostatnich, lecz nawet o tém, co już oddawna wiadomo, niedokładne ma pojęcie. W głosowni np. stawia niejako autor prawidła głosowe języka staropolskiego, nie wiedząc wcale o tém, że w każdym języku czysty i właściwy kształt prawideł głosowych wtedy dopiéro się pokaże, gdy się od całéj summy zjawisk odejmie działanie analogii i wyrazów przyswojonych. Z językiem zaś martwym jakim jest u nas staropolski, rzecz jeszcze trudniejsza. Potrzeba bowiem pamiętać, że nie mamy tu do czynienia z żywemi dźwiękami mowy, lecz z martwemi i niedokładnemi znakami pisma. Wszystkiego tego autor nie uwzględnia, tylko stawia reguły kategoryczne i po największéj części fałszywe, jak np. zaraz na str. 1, że w wyrazie „wrób*e*l“ samogłoska *e* stoi w miejscu starosł. ъ (twardego!), tamże,

że „*é* ścieśnione zaczęto wymawiać jak *i*“ (jak gdyby to zależało od kaprysu lub wygody tylko, a nie było spowodowane fizyologiczną tego dźwięku naturą), że w wyrazie „jachać“ zachowało się *a* pierwotne (str. 2), że samogłoski ścieśnione są „następcami“ długich (s. 3), o wpływie zaś pierwotnego akcentu widocznie nic autor nie wié itd. Mnóstwo takich błędów spotyka się na każdéj stronicy. W zmianach spółgłoskowych np. główną rolę gra tu „dążenie do ułatwienia wymowy.“ Wprawdzie zdania uczonych o téj kwestyi różnią się, ale przecież najświeższe badania do innych doprowadziły pod tym względem rezultatów (1).

W uwagach dotyczących deklinacyi (str. 9—26) korzystał autor widocznie z wielu objaśnień, zebranych ostatniemi czasy w pracach odnoszących się do deklinacyi staropolskiéj, lecz nie był w stanie ich dobrze zrozumiéć. Stąd pochodzi, że w tablicach końcówek deklinacyjnych miesza końcówki: starosłowieńskie, staropolskie, ogólnie polskie obecne, i takie, których nigdzie nie ma. Nie ma tu końcówek, które istniały rzeczywiście w staropols. w pewnych przypadkach, takie zaś, których żadnego śladu w zabytkach nie mamy, figurują tu w znacznéj liczbie. Tak np. (str. 11) w przyp. 2 l. p. tematów na — ja widzimy tylko końcówkę — (j)e, gdy tymczasem w staropol. napotykamy w tych tematach téż końcówki: *ę*, *ej*, *i*, (zawsze z poprzedzającą zmiękczoną). Za to przytacza dla tematów na -es-, -en-, -ent-, w tym samym przypadku końcówki *-e*, objaśnione jeszcze przykładami (str. 13). słowiesie, cielesie, kamienie, imienie, źrebięcie, cielęcie, których nietylko w wypisach Mecherzyńskiego, ale w całém znaném dotąd piśmiennictwie staropolskiém nikt jeszcze nie wynalazł. Szkoda, że autor nie zacytował przy takich itp. przykładach miejsca, gdzie tak cenne dla historyi deklinacyi formy wynalazł! Podobnych błędów spotyka się tu mnóstwo.

Przypatrzmy się teraz drugiéj połowie książeczki, w któréj autor podaje uwagi do „*odmiany słowa.*“ Możnaby śmiało powiedziéć, że to jest główną częścią téj całéj pracy, że za taką ją autor uważał, i tylko dla wciągnięcia jéj pod jakiś ogólniejszy tytuł dał na początku uwagi o głosowni i deklinacyi. Mnóstwo téż tu rzeczy znajdujemy nowych, objaśnienia form słownych dzisiejszym badaczom zupełnie nieznane, lecz czyjeż to wszystko? Oto p. Matusiak wydrukował tu dosłownie jako swoję własność notatki z wykładów prof. L. Malinowskiego, mianych w półroczu zimowém r. 1880/1 w Uniwersytecie Jagiellońskim p. t. „System konjugacyi w języku polskim.“ Że tak jest

---

(1) Por. *Delbrück*, Einleitung in das Sprachstudium, Leipzig 1880, s. 118 i nast

rzeczywiście, mogą poświadczyć wszyscy kolledzy p. Sz. Matusiaka (do których i ja się liczę), którzy tych wykładów słuchali i podobne cenne notatki również posiadają. Tém bardziéj zadziwia, że p. Matusiak wszędzie ze swojém „ja" występuje (por. str. 28 uw., 36 uw., 41 uw. itd.) podając wszystko za płody swego rozumu. Łatwo to każdy gramatyk pozna, że wszystko, co tu nowego, nieprawnym jakimś sposobem przez autora przyswojone zostało. W wielu bowiem szczegółach, których podczas wykładów p. Matusiak nie zrozumiał, spotyka się podobne błędy, jak w piérwszéj połowie téj książeczki. Aby wiele miejsca nie zabierać, przytoczę tylko jeden przykład z piérwszéj zaraz stronicy tych uwag o konjugacyi (str. 27). Za temat czasu teraźniejszego uważa on tam „*niese* lub *nieso*", co jest niedorzecznością, bo w starosł. jest: nese-, neso-, w polsk. zaś. niesie-, nioso-, i t. p.

Dlatego i nad tém, co rzeczywistą tu wartość stanowi, t. j. nad objaśnieniami form słownych prof. L. Malinowskiego zastanawiać się trudno. Wystąpiłem tu zaś dlatego z tak długim artykułem, aby milcząc a wiedząc o wszystkiém, faktu podobnego niejako nie pochwalać, a zarazem, aby czytelnicy, których wszelki postęp w nauce interesuje, nie dali się w błąd wprowadzić podobnemi reklamami, jaka się niedawno ukazała w „Czasie" (Nr. 246. 27. X. 1881 (1).

Lipsk, *6 listopada*, *1881*. *Jan Hanusz.*

---

(1) Po napisaniu recenzyi powyższéj doszło mię „*Oświadczenie*" (str. 3), w którém p. M. przyznaje się, że przywłaszczył sobie cudze poglądy i tylko „przez nieoględność nie uprzedził prof. Malinowskiego o tém skorzystaniu z jego wykładów."

Widocznie więc p. M. sądzi, że dość było uprzedzić kogoś, że mu się jego własność zabierze, a zresztą podać wszystko za „swoje zapatrywania." Nie potrzeba tu było wcale uprzedzać prof. Malinowskiego, lecz należało wymienić, czyje zapatrywania się ogłasza. Pod tym jednak względem objaśnia nas p. M. w sposób następujący: „W pracy téj opuszczono przy drukowania ku wielkiemu mojemu zmartwieniu (!) uwagę, że konjugacyją opracowałem na podstawie wykładów prof. D-ra L. Malinowskiego" (str. 1). Nie dość tego, bo nawet w szczegółach powoływał się p. M. na „źródło, z którego wiadomości swe czerpał", np. na str. 43 w objaśnieniu słowa „*wspomięnąć*", lecz „adnotacyja ta została również przy druku pominiętą" (s. 11). Któż więc winien, że przy druku wszystkie tego rodzaju adnotacyje wypuszczone zostały, a w miejscu ich znalazły się uwagi, jak np. „różnią się moje zapatrywania" (przedm.), lub: „ograniczamy się tylko do uwag nad niektórymi słowami, które już dziś albo nie są znane albo błędnie wyjaśniane przez wielu gramatyków" (str. 36 i t. p.?) Wszak ta książeczka drukowała się w Krakowie, a autor jéj dopiero w miesiąc po wyjściu z druku spostrzegł się, że mu powypuszczano tak cenne uwagi! W szczegółach wylicza p. M. 4 miejsca, w których przedstawił zapatrywania prof. L. Malinowskiego, a to: w objaśnieniu *trybu rozkazującego* i słowa „*wziąć*" całkiem, a w uwagach do słów: *kluć*, *pruć*, *wspomienąć* po części. „Wszystko inne zaś w części konjugacyjnej mej pracy", czytamy dalej (str. III), „opiera się już to na cytowanej książ-

= **Wincenty Pol, jego młodość i jego otoczenie** (1807—1832) przez Karola Estrejchera. Jest to odbitka z „Przewodnika naukowego i literackiego“ wychodzącego we Lwowie, jako „dodatek do Gazety Lwowskiéj.“ Autor zebrał w rozprawie téj nieznane, a na autentycznych dokumentach oparte szczegóły, odnoszące się do poety tak rozmaicie w różnych czasach ocenianego. Najprzód rozpatruje p. Estreicher prace Pola w ich chronologicznym porządku, zwracając głównie uwagę na bibliografią i zaznaczając na miejscu stosowném, jak też który utwór przez krytykę został przyjęty i jak w ogólności oceniano działalność Pola, czy to poetycką czy naukową. I tu już znajdujemy kilka nowych a interesujących wiadomostek, wyjętych z wierszy i broszur okolicznościowych. Ale dopiéro od rozdziału drugiego, w którym p. Estreicher przedstawia stosunki rodzinne Pola, rozpoczyna się szereg szczegółów pracowicie na jaśnię wydobytych, które zajmować mogą jako przyczynek zarówno do dziejów samego Pola, jak i niemniéj do dziejów téj chwili historycznéj, w któréj się on urodził i kształcił. Bardzo trafnie charakteryzuje i przykładowo objaśnia p. E. znaczenie podań w rodzinie krążących: „W takich podaniach familijnych — powiada — wyobraźnia gra rolę wielką: jedno napomknięcie, jakiś szczegół, podaje wątek do przypuszczeń, a te z czasem nabierają cech prawdopodobieństwa, aż w koncu stają

---

ce prof. Leskiena, już na pracach prof. Miklosic'a. Tą książką prof. Leskiena ma być „*Handbuch der Altslawischen* (!) *Sprache*“, z któréj miał też p. Sz. M. przyjąć podział słów. To tylko utwierdza mię w przekonaniu, że najzwyklejsze i najbardziéj rozpowszechnione podręczniki nawet z tytułów p. Matusiakowi nie są znane. Książka bowiem taka, jaką p. M. cytuje, wcale nie istnieje, a podręcznik prof. Leskiena ma tytuł: Handbuch der Altbulgarischen (Altkirchenslavischen) Sprache. Lecz mniejsza o to. Dowiadujemy się z tego, że w 4-ch tylko uwagach, i to nie całkiem, korzystał p. M. z wykładów prof. L. Malinowskiego, wszystko zaś zresztą czerpie z książki prof. Leskiena i z prac prof. Miklosicha. Otóż najprzód w książce owéj prof. Leskiena nic o języku polskim nie ma, a w pracach prof. Miklosicha, w przedmowie do owéj książeczki przytoczonych, wątpię czy p. M. co do konjugacyi polskiéj znalazł. Jeżeli zaś co jest w innych pracach prof. Miklosicha, jak Vergl. Wostbildungslehre, i t. p., jestem pewny, że p. M. zna to tylko z drugiéj ręki, t. j. z wykładów prof. L. Malinowskiego. Mogę o tém sądzić najlepléj porównywając własne notatki z owych wykładów prof. L. Malinowskiego z książeczką p. Matusiaka. Przeto pomimo całego tego „Oświadczenia“, muszę powtórzyć, że wszystkie wyjaśnienia konjugacyi dotyczące, pochodzą wprost z wykładów prof. L. Malinowskiego. Przykłady są wyjęte w czytanki K. Mecherzyńskiego, a własnością p. Matusiaka, któréj mu nikt zaprzeczać nie myśli, są w szczegółach liczne omyłki i błędy. Przy końcu swego „Oświadczenia“ ucieka się p. M. do czczych frazesów, jak np. „Myśl rzucona przez Nauczyciela kojarzy i inne z nią spokrewnione“ i t. p. Piękne mi kojarzenie myśli, objawiające się tém, że się przepisuje „Mistrza“ myśli, i podaje za swoje!

Lipsk, 22 listopada 1881 r. *Jan Hanusz.*

się prawdą. Polowi samemu nasuwały się rojenia nie oparte na fundamencie. Krótko przed śmiercią zapowiedział lekcyą publiczną o Mickiewiczu i całą godzinę mówił ślicznie, z wiarą i przejęciem o Mickiewiczu, jak w Petersburgu dawał dzisiejszemu cesarzowi Aleksandrowi w obecności cesarza Mikołaja lekcye literatury i historyi polskiéj. Powtórzył wszystkie rozmowy tak jasno, tak szczegółowo, jakby sam z własnéj świadomości to zapamiętał. A jednak o takich lekcyach biografowie milczą..." P. Estrejcher nie chce opierać swych wiadomości na takiéj sypkiéj podstawie. „Kto wierzyć chce podaniom — mówi — niechaj wierzy. Co do mnie, wolę wyszukiwać daty, grupować je i z pewnego stosunku wnioskować o niepewnych." W ten postępując sposób i zużytkowując przechowane dotychczas papiéry rodzinne, p. E. nakreślił krótką historyą rodziny Polów, Lonchampów, Ziętkiewiczów, wykazując, jak obce pierwiastki asymilowały się pod wpływem rodzimych. Rozdział trzeci „Szkoła" jest niewielki, ale do znajomości stanu ówczesnych szkół w Austryi dorzuca także parę szczegółów. W następnych rozdziałach (IV i V) przedstawia p. E. „Towarzystwo" i „Koleżeństwo" Pola, poczynając od na pół szlacheckich oficyalistów do kolegów szkolnych i przyjaciół. Tu mamy wielce zajmujące wiadomości o skłanianiu młodzieży polskiéj do ćwiczenia się w wierszowaniu niemieckiém, o wydawanych na ten cel czasopismach (*Lemberger Miscellen*, *Mnemosyne*, *Galicia*) i o kółkach literackich pomiędzy r. 1826 a 1836. W rozdziale szóstym podaje autor szczegóły, odnoszące się do pierwszych wzruszeń serdecznych poety, przytacza pod ich wpływem napisaną powiastkę *Samotnicy*, będącą odbiciem sentymentalnych utworów literatury niemieckiéj i pomieszcza dochowane urywki pamiętnika, w których poeta opowiada powstanie i powolny rozwój miłości swéj do Kornelii Olszewskiéj, późniejszéj swéj żony. W ostatnim wreszcie, siódmym rozdziale zajmuje się p. E. pierwocinami twórczości poetyckiéj Pola, jego usposobieniem niecierpiącém pracy przymusowéj, rutynicznéj, jego niedbałe starania o posadę profesora języka i literatury niemieckiéj w uniwersytecie wileńskim, jego wreszcie udział w wypadkach z r. 1831. Wydobyte z zapomnienia i oddrukowane poezye Pola z przed r. 1830 odznaczają się w ogóle brakiem samodzielności zarówno w pomysłach jak w wykonaniu; styl nie daje nawet przeczuwać przyszłego gawędziarza, a język częstokroć niepoprawny świadczy, jak trudno było, pomimo studyów nawet, wydobyć się z pod wpływu téj mowy znacznie zepsutéj, jaką mówiło jego otoczenie. Najdłuższy z poematów Pola, który po raz piérwszy z pracy p. Estreichera poznajemy, p. n. *Samobójca*, tyle ma tylko w sobie charakterystycznego, że łączy się pod względem przedstawione-

go w nim usposobienia z owemi sentymentalno-rozpaczliwemi wylewami duszy, jakie były w modzie pod wpływem romantyki; a w dodatku jest miernym, a czasem lichym stylowo. P. Estreicher krytycznie patrzy na te początki poetyckie Pola i całkiem słusznie je ocenia.

= **Homer i Homerycy** przez D-ra *Ludwika Ćwiklińskiego* (odbitka z „Przewodnika naukowego i literackiego"). Od pięciu blizko wieków, odkąd poematy mitycznego Homera znane są w Polsce, po raz to piérwszy pojawia się w tak obszernych rozmiarach rozprawa poświęcona temu, często u nás wspominanemu ale nader rzadko czytanemu, patryarsze poezyi europejskiéj. I praca d-ra Ćwiklińskiego nie jest oczywiście wyczerpującą, dotyka ona zlekka niektórych kwestyj dotyczących Homera, a szczegółowo zastanawia się jedynie nad przekładami epopei starogreckich na język polski; w każdym jednak razie ona piérwsza u nas poświęca tym poematom uwagę baczniejszą. Informacye, jakie w niéj znajdą czytelnicy, pochodzą od fachowo wykształconego i zdolnego filologa, profesora klasycznych przedmiotów w uniwersytecie lwowskim, zaufać im można w zupełności. Rozprawa p. Ćwiklińskiego, ogólnie biorąc, składa się z dwu części W pierwszéj zastanawia się autor nad losami epopei starogreckich zarówno wśród samych Hellenów, jak wśród późniejszych narodów ze szczególném uwzględnieniem studyów nad Homerem w Polsce, a nadto przedstawia wyniki najnowszych badań nad sposobem powstania tak Iliady jak i Odysei; — w drugiéj zaś części p. Ć. rozprawia o sposobach tłómaczenia tych poematów, kreśli historyą zapatrywań na tę kwestyą w Niemczech i u nas, roztrząsa pytanie o metryczności mowy naszéj celem przekonania się, czy możemy do pewnego przynajmniéj stopnia oddać w przekładzie miarę wierszową Iliady i Odysei, a w końcu ocenia wartość ich dotychczasowych tłómaczeń w języku polskim. Wszystkie pomieszczone tu uwagi świadczą o gruntownéj znajomości zarówno samych poematów jak i licznych studyów nad nimi, wszystkie odznaczają się rozwagą i umiarkowaniem, nie lubiącém żadnych krańcowych sądów, choćby one mogły znaleźć poklask chwilowy. W kwestyi powstania Iliady podziela poglądy powszechnie dziś wśród filologów przyjęte o pierwotném istnieniu pojedyńczych pieśni ludowych, które następnie spojono, choć niezbyt zręcznie, w jednę całość. Co do Odysei podaje hipotezę Kirchhoffa, którą możnaby streścić w ten sposób: Odyseja powstała stopniowo przez rozszerzenie, opracowanie i wykończenie krótkiego pierwotnie poematu, który możnaby odtworzyć z różnych wierszy księgi I, V, VI i VII, a które poeta wysnuł swobodnie na podstawie podania ludowego, formą jego wcale się nie krępując. Nieco

później, ale jeszcze przed pierwszą olimpiadą inny jakiś nieznany poeta z Kolofonu lub Smirny napisał dalszy ciąg tego utworu, mający już wartość mniejszą, gdyż jego autor nie umiał różnych pieśni ludowych, z których czerpał, przerobić do tego stopnia, iżby stąd jednolita powstała całość. Nareszcie około 30-éj olimpiady inny znowuż poeta opracował znaną do owego czasu Odyseję, powiększając ją więcéj niż o połowę; dodatki te pochodzą po części z głowy samego obrabiacza, po części zaś są pieśniami dawniejszego pochodzenia; własne jego uzupełnienia są liche, a sposób wcielenia ludowych pieśni nowych do dawniejszego poematu bardzo niezręczny, przez co w poemacie powstało wiele sprzeczności. W tym to kształcie dostała się do rąk komisyi redakcyjnéj, ustanowionéj przez Pizystrata a za jéj pośrednictwem i do nas. Co do przekładów, odróżnia p. Ć. parafrazę, która nie krępuje się formą oryginału i nie dąży do wiernego odtworzenia toku zdań, i właściwe tłómaczenie, które i tym względom czyni zadość. Za najlepszą parafrazę poczytuje przekład Odysei przez Siemieńskiego, wytykając równocześnie usterki téj znakomitéj ale przechwalonéj pracy; za najlepsze chociaż niepoetyczne tłómaczenie uważa przekład Iliady heksametrami przez p. Popiela dokonany. Na wymagania, jakie tłómaczom naszym stawia p. Ć., zgodzić się należy prawie bezwarunkowo; wszystkie są należycie wymotywowane, nię przechylają się ani na stronę niewolniczéj wierności, ani też na stronę poetyckiego fantazyowania. Wiadomości o istniejących u nas przekładach epopei starogreckich powiększył p. Ć. wydobywając z rękopismów biblioteki Ossolińskich dwa (liche zresztą) tłómaczenia Iliady przez Floryana Unifantowicza i Jana Zborowskiego. Piszący te słowa, mógłby wskazać niewymieniony przez p. Ć. przekład znacznéj części IX-éj księgi Odysei przez Brunona Kicińskiego, drukowany w „Dzienniku Wileńskim" roku 1815, II, 205—219. A co dotyczy rozpraw o przekładach Homera na nasz język, wypadałoby zaznaczyć pracę bezimiennego, pomieszczoną w I-ym tomie „Astrei" (r. 1821) str. 65—77 p. n. „Niektóre uwagi nad przekładem Iliady ś. p. Franciszka Dmochowskiego."

═ **Herder i jego filozofia historyi**, napisał D-r *Tadeusz Rutowski*. Kraków, 1881, str. 57 (odbitka z „Muzeum"). Niepospolity znawca literatury XVIII wieku, Herman Hettner, powiedział, że Herder nie należy wprawdzie do pisarzy klasycznych w stylu Winckelmanna, Lessinga, Kanta, Goethego i Schillera i że pisma jego po części są przestarzałe, że jednakowoż wpływ tego genialnego myśliciela we wszystkich kierunkach był tak potężny w swoim czasie, iż ani wielka poezya Goethego i Schillera, ani tak zwana szkoła romantyczna, ani filozofia Schellinga i Hegla, nawet pomyśléć by się nie dały bez po-

przednictwa Herdera. Takiego to rycerza ducha wziął za przedmiot swego badania p. Tadeusz Rutowski. Zajął się zaś szczegółowo tylko filozofią historyi Herdera w tém przekonaniu, że jako poeta, jako tłómacz, jako odkrywca skarbów poezyi Wschodu i Północy, oraz poezyi ludowej, jako literacki i teologiczny krytyk i polemista, jako teolog i kaznodzieja, jako filozof, należy Herder do bohaterów ducha niemieckiego w wieku XVIII, lecz jako filozof historyi, należy do świata całego. Atoli chcąc przedstawić należycie pomysły historyozoficzne, nie mógł autor pominąć poglądów w ogóle filozoficznych Herdera, zobrazował je więc zwięźle i dosadnie. Następnie streścił teoryą *rozwoju* Herdera w ogólnych zarysach: „Człowiek nie zleciał z nieba, jego *genesis* jest ostatnią fazą niezmiernie długiéj historyi tworzenia się świata. Główne momenta procesu są: tworzenie się systemu słonecznego, ziemi, żyjątek, długi łańcuch rozwoju organizmów, zjawienie się najwyższego kwiatu rozwoju — człowieka, dzieje ludzkości. Człowiek nie jest przypadkowym produktem, kaprysem losu, jest najwyższym wytworem z elementów ziemskich, cały ziemski, cały produktem natury. Dzieje ludzkości stają się zrozumiałemi, gdy człowiek nie stoi oderwany od natury, gdy nie pojmujemy go jednostronnie podług pewnych jego właściwości, ale jako zjawisko naturalne, prawidłowe, jako część całości; wtedy rola jego w całości staje się zrozumianą, jéj rozmiar, jéj granice, jéj wartość dają się oznaczyć. Człowiek jako produkt natury zdradza wszystkie pierwiastki swego pochodzenia: jest koroną organizacyi na ziemi, ulubioném dzieckiem natury; ażeby mógł się stać, musiał wyprzedzić go nieskończenie długi szereg przyczyn, czynników, okoliczności, stosunków i stał się, gdy rozwój organizmów w nim, w mikrokosmie, najwyższego stopnia dosięgnął. Jak człowiek łączy się z całym łańcuchem organicznego świata, stoi tenże w związku z ziemią i z uniwersum“ (str. 15). W dalszym ciągu p. R. przedstawia po szczególe pomysły Herdera odnoszące się do rozwoju ziemi, człowieka, rozumu, religii, historyi w związku z czynnikami naturalnemi, polityki wreszcie. Autor wykazuje, że Herder jest jednym z tych poprzedników teoryi ewolucyi, którzy nietylko widzieli *fakt* rozwoju, ale nadto poznali *prawo* tego rozwoju i starali się wytłómaczyć przyczynowo pojedyncze jego zjawiska. Tę teoryą ewolucyi, na podstawie determinizmu powszechnego wprowadził Herder do historyi ludzkości, wskazał dosadnie wpływ natury na narody, na ich charakter i instytucye. P. R. wbrew twierdzeniu wielu poważnych badaczy, stara się dowieść, że Herder w rozwoju świata i ludzkości nie szukał celowości, że jedynie mógł dać pozór takiego zapatrywania się posługując się językiem obrazowym, który lubuje się w przenośniach i symbolice;

Herder, zdaniem autora, od najwcześniejszéj młodości aż do wieku dojrzałego wyznawał stale zasadę stałéj przyczynowości zarówno w przyrodzie jak i w dziejach. W ostatnim rozdziale porównywa p. R. Herdera z poprzednikami jego na polu historyozofii (głównie z Leibnitzem, Viconem, Monteskiuszem, Wolterem) i streszcza swój pogląd na znaczeniu jego w założeniu téj nauki. Herder był eklektykiem, metafizyczne podstawy zapożyczył u innych, ale zastosował je z taką stanowczością do dziejów ludzkości, że dziś jeszcze wpływ jego jest widoczny. Twórczą jego ideą był wyraz *natura*; stąd jego filozofia historyi jest „optymistycznym fatalizmem natury.“ Wprawdzie znajdują się w dziełach Herdera zdania o potędze woli ludzkiéj, ale nigdzie nie ma wyraźnego określenia, jakim sposobem ta wola może nad naturą zapanować i względnie nad nią odnieść zwycięztwo. Praca p. R-go oparta jest na gruntownném i samodzielném badaniu; wartość jéj zatém niemała; byłaby większa, gdyby się jaśniéj umiał wyrażać i gdyby się nie posługiwał mnóstwem wyrazów jcudzoziemskich, które styl jego i język szpecą. Mamy na to własne słowa, aby nie mówić o *detaliach ekstremach*, *koncepcyach*, *konwenien-cyach*, *dywinacyach intuitywnych*, *prekursorach*, *artefaktach*, *kontra-ryzmach*, *ideach regulatywnych*, duchach *impregrowanych* frazesami *charakterach*, *komplektycznych*, *Oryentach*, *insolencyach*, *rezultatach detajlicznych*, *hiatach*, *odium*'ach, *ewangelium*'ach i t. d. Prócz tego w języku naszym nie przyjęto form: *peryoda*, *szkica*, *szablona*, jako rodzaju żeńskiego, a spójnik *ale* nie kładzie się jak niem. *aber* w środku zdania („starał się jednak *ale* wszystkie zarzuty... ubezwładnić“ str. 48 została wspólność języka, która *ale* dopiéro przez późniejszy rozkwit literatury i t. d. str. 46).

= **Przegląd pedagogiczny**, według świéżo ogłoszonego *prospektu* wychodzić będzie w Warszawie od 1-go stycznia roku przyszłego w terminach dwutygodniowych. Od niejakiego czasu dawała się już silnie czuć potrzeba pisma, któreby ożywiający się coraz bardziéj ruch na polu wychowawczém, światléj i rozważnéj kontroli poddać mogło, któreby wśród trudnych u nas warunków edukacyjnych, służyło wytrawną radą przewodnikom wychowania domowego i w ogóle prywatnego, zarówno pod względem zasad jak i wyboru środków wychowawczych. Zdaje się, że mający u nas powstać dwutygodnik pedagogiczny potrafi spełnić to niewątpliwie bardzo trudne, ale téż i bardzo ważne zadanie. Prospekt zapewnia, że ideałem wychowawczym redakcyi „Przeglądu pedagogicznego“ jest wszechstronny a harmonijny i naturze człowieka odpowiadający rozwój wszystkich uzdolnień fizycznych i umysłowych; że w przeprowadzeniu téj zasadniczéj myśli redakcya wesprze się na zasadach przyjętych przez

nowszą naukę, odrzucając bezwarunkowo zarówno zakorzenione przesądy jak i dowolne, jednostronne przekonania reformatorów wychowawczych. Wszelka przesada daleko idąca — czytamy w prospekcie — ciasnota jednostronna, partykularyzm lub zacofanie się nie znajdą schronienia w piśmie naszém, które objawy tego rodzaju będzie uważało jako szkodliwą dążność do nieprawidłowego i nienaturalnego zacieśnienia rozwoju młodego człowieka. Przegląd pedagogiczny zamierza traktować równocześnie działy wychowania „fizycznego i intelektualnego, uczuciowego i estetycznego, moralnego i religijnego“ tak pod względem teoretycznym jak i praktycznym, zwracając uwagę i na zasady i na metody. Najwięcéj uwzględnioną tu będzie ta część wychowania, która z jednéj strony przedstawia się jako wielostronnie najważniejsza, z drugiéj zaś najbardziéj potrzebuje głosu doradczego; wychowanie zatém macierzyńskie i elementarne w ogóle stać będzie na piérwszym planie „Przeglądu pedagogicznego.“ W dziale sprawozdawczym notowane będą ulepszenia odnoszące się do pielęgnowania zdrowia dzieci, wykazy ilości szkół publicznych i prywatnych, liczba przedmiotów naukowych, pomoce naukowe, a nadto rozbiory książek do czytania dla młodzieży, podręczników szkolnych, artykułów pedagogicznych ogłaszanych w innych czasopismach. Nie wyliczamy tu wszystkiego, co prospekt szczegółowo zapowiada; możemy tylko dodać, że nie pominięto tu ani jednego ważnego szczegółu wychowawczego. Życzyć też należy „Przeglądowi pedagogicznemu“ jak najszerszego poparcia ze strony nauczycieli i rodziców, ażeby obietnice powyższe mogły być jak najlepiej spełnione dla dobra wychowania, dla dobra oświaty.

Wydawca, **W Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.



